

JAVIER  
MARÍAS

*Twoja twarz jutro*

GORĄCZKA I WŁÓCZNIĄ

TANIEC I SEN

TRUCIZNA, CIEŃ I POŻEGNANIE

„Wierzę, że Javier Marias jest pewnym  
kandydatem do Nagrody Nobla”.

J.M. Coetzee



JAVIER MARÍAS  
*Twoja twarz jutro*

GORĄCZKA I WŁÓCZNIĄ  
TANIEC I SEN  
TRUCIZNA, CIEN I POŻEGNANIE

Z języka hiszpańskiego przełożyła  
Ewa Zaleska



Tytuł oryginału:  
TU ROSTRO MAÑANA

Copyright © 2002, Javier Marias

Copyright © 2004, Javier Marias

Copyright © 2007, Javier Marias

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Wykonanie okładki: Szara Sowa  
Zdjęcie na okładce © Dr. Paul Wolff & Tritschler/Corbis via Getty Images

Redakcja: Bożena Sęk  
Korekta: Agnieszka Majewska

ISBN: 978-83-7999-976-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

I Gorączka

II Włócznia

III Taniec

IV Sen

V Trucizna

VI Cień

VII Pożegnanie

Podziękowania

Nota tłumaczki

Przypisy.

*Dla Carmen López M. –  
oby chciała nadal mnie słuchać*

*Dla Sir Petera Russela,  
Któremu tą książką spłacam dług  
za jego wielki wpływ,  
a autorowi,  
za długoletnią przyjaźń*

# **I**

## **Gorączka**

Nigdy nie powinno się niczego opowiadać, dostarczać informacji czy przywoływać historii, ani powodować, by ludzie snuli wspomnienia na temat istot, które nigdy nie istniały, nie postawiły stopy na ziemi ani nie przemierzyły świata, a jeśli nawet przezeń przemknęły, teraz są już prawie bezpieczne w niepewnej i na poły ślepej niepamięci. Kiedy opowiadasz, to jakbyś dawał prezent, nawet jeżeli opowieść zawiera truciznę, też jest więzią i wyrazem zaufania, a ten kto zaufał, rzadko nie doświadcza wcześniej czy później zawodu, rzadko więź nie gmatwa się i nie zapętla tak bardzo, że trzeba użyć noża lub brzytwy, żeby ją przeciąć. Iluż ludzi nie zawiodło mego zaufania spośród wielu, którym je okazałem, ja, tak ufny we własny instynkt, nie zawsze jednak dający mu wiarę i zbyt długo naiwny? (Teraz już mniej, znacznie mniej, ale to mija bardzo powoli). Nie zawiedli mnie dwaj przyjaciele, nadal im ufam, w przeciwieństwie do dziesięciu innych, którzy to zaufanie utracili lub roztrwonili; przetrwały resztki zaufania do ojca i, nie pozbawione wstydu zaufanie, jakim obdarzałem matkę, uczucia bardzo do siebie podobne, jeśli nie jednakie, w dodatku z matką to było krótko, już nie może mnie zawieść, chyba że z za grobu, zakładając, że pewnego dnia dokonam jakiegoś okropnego odkrycia i coś skrywanego wyjdzie na jaw; nie przetrwało zaufanie do siostry, do dawnych narzeczonych, kochanek ani do żadnej byłej, obecnej albo wymyślonej żony (siostra bywa zazwyczaj pierwszą miłością z lat dziecińczych), bo zdaje się, że w takich związkach niemal obowiązkowo to co się wie lub widziało, zostaje w końcu wykorzystane przeciw ukochanej osobie czy współmałżonkowi – albo przeciw komuś, czyje ciepło i ciało liczyło się tylko chwilowo – przeciw komuś, kto coś ci wyjawiał, kto zgodził się mieć



cię za świadka własnych strapiień i słabości i był gotów do zwierzeń, przeciw komuś, kto z głową na poduszce po prostu wspominał głośno, pogrążony w myślach i nieświadomy ryzyka, nieświadomy ani lustrującego go bezlitosnego oka, ani nadstawionego i wybiórczo słuchającego ucha (często to nic poważnego, najwyżej do użytku domowego, kiedy jest się przypartym do muru lub w defensywie można to wykorzystać, by dowieść swojej racji podczas przeciągającej się sprzeczki, wtedy niech służy za argument).

I to także oznacza zawieść zaufanie: nie tylko wyrządzić krzywdę lub doprowadzić kogoś do zguby za sprawą własnej niedyskrecji, nie tylko używać tej zakazanej broni, gdy osobie, która wcześniej opowiadała i wyjawiała sekrety – a teraz tego żałuje i zaprzecza, i płacze się, i myli tropy, i chciałaby to wymazać, i milczy – wiatr zawieje w oczy i los się od niej odwróci, lecz także uzyskiwać korzyści z przekazanych nam w chwili słabości, nieuwagi lub wielkoduszności informacji, bez szacunku i względu na okoliczności, w jakich weszliśmy w posiadanie tej wiedzy, którą teraz łatwo nam zmanipulować i sfałszować – czasem wystarcza samo powiedzenie czegoś na głos, by to coś uległo przeinaczeniu: czy były to zwierzenia poczynione podczas miłosnej nocy albo w chwili rozpacz, wieczorem w poczuciu winy lub po przebudzeniu smutnym rankiem, w pijanym słowotoku bezsenności: jakiejś nocy albo jakiegoś dnia, gdy ktoś mówił tak, jakby po tej nocy lub po tym dniu nie było już żadnej przyszłości (bądź jakby jego nieokiełznany język miał umrzeć wraz z tą nocą i tym dniem), nie wiedząc, że zawsze jest coś, co ma nadejść, zawsze zostaje coś jeszcze, minuta, włócznia, sekunda, gorączka, i jeszcze jedna sekunda, sen – włócznia, gorączka, mój ból i słowo, sen – a także nieskończony czas, który nie zatrzymuje się ani nawet nie zwalnia tempa po naszym ostatecznym końcu, lecz nadal dopowiada, mówi, szepce i zadaje pytania, i opowiada, choćbyśmy nic już nie słyszeli i choćbyśmy zamilkli.

Pogrążyć się w milczeniu, tak, zamilknąć, to wielkie pragnienie, którego nikt nie spełnia, nawet po śmierci, a już na pewno nie ja, który często opowiadałem, w dodatku na piśmie, w raportach, i jeszcze gorzej: który patrzę i słucham, choćbym już o nic w zamian nie pytał. Nie, nie powinienem niczego opowiadać ani słuchać, bo nigdy nie zdołałem sprawić, by nie zostało to powtórzone lub użyte przeciwko mnie, na moją zgubę, albo co gorsza, żeby nie zostało powtórzone i użyte przeciwko tym, których kocham, aby ich zgubić.

A potem jest nieufność. Jej również nie brakowało w moim życiu.

To ciekawe, że wymiar sprawiedliwości bierze nieufność pod uwagę, a jeszcze dziwniejsze, że zadaje sobie trud, by nas ostrzec: kiedy ktoś zostaje aresztowany, przynajmniej na filmach, pozwala mu się zachować milczenie, ponieważ, jak zostaje natychmiast poinformowany, „wszystko co powie, może zostać użyte przeciwko niemu”. Jest w tym ostrzeżeniu jakiś dziwny – albo niekonsekwentny i sprzeczny – zamysł, by nie prowadzić zupełnie nieczystej gry. To znaczy, informuje się więźnia, że od tej chwili reguły gry nie będą czyste, komunikuje mu się i przypomina, że tak czy inaczej zamierza się go dopaść i wykorzystać w tym celu wszystkie jego potknięcia, niekonsekwencje i błędy – już nie jest podejrzanym, lecz oskarżonym, zamierza się dowieść jego winy, obalić alibi, nie może już liczyć na bezstronność, w każdym razie od dzisiaj aż do dnia rozprawy – wszystkie wysiłki zostaną skoncentrowane na zdobyciu dowodów potrzebnych do jego skazania, cała inwigilacja, podsłuchy, śledztwo i dochodzenie będą służyć zdobyciu dowodów obciążających go, potwierdzających decyzję o aresztowaniu. A mimo to daje mu się możliwość milczenia, niemal żąda się od niego, by milczał; w każdym razie powiadamia się go, że przysługuje mu takie prawo, o czym mógł nie wiedzieć, i tym samym czasem wprost podsuwa mu się taki pomysł: w ogóle nie otwieraj ust, nawet nie zaprzeczaj zarzutom, nie ryzykuj obrony na własną rękę; zachowanie milczenia jawi się albo jest przedstawione jako ze wszech miar najbardziej roztropne i jako coś, co może nas ocalić, nawet jeśli uważamy się za winnych i jesteśmy winni, jako jedyny sposób na to, by ta zapowiedziana nieczysta gra nie przyniosła skutku albo nawet nie mogła mieć zastosowania w praktyce, a przynajmniej nie przy mimowolnej

naiwnej współpracy więźnia: „Ma pan prawo zachować milczenie”, w Ameryce nazywają to „formułą Mirandy”, nawet nie wiem, czy w naszych krajach istnieje jej odpowiednik, kiedyś w Ameryce zastosowano tę formułę wobec mnie, dawno temu albo nie bardzo, ale policjant nie wyrecytował mi jej w całości, tak jak trzeba, gdy szybko wyrzucił z siebie słynne zdanie: „Wszystko co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu”, zapomniał dodać „przed sądem”, byli świadkowie tego pominięcia i z tej przyczyny zatrzymanie okazało się nieważne. Ten sam dziwny obyczaj przesądza o innym prawie podsądnego, by nie zeznawać na swoją niekorzyść, nie szkodzić sobie własnymi wypowiedziami, odpowiedziami, zaprzeczeniami albo własnym jękaniami. Nie szkodzić sobie własną opowieścią (tak, to może wyrządzić wielką szkodę); mieć tym samym prawo do kłamstwa.

Gra jest w istocie tak brudna i wyrachowana, że w tych okolicznościach żaden wymiar sprawiedliwości nie może uchodzić za sprawiedliwy, a w takim razie może nie ma co liczyć na żadną sprawiedliwość nigdy, nigdzie – może sprawiedliwość to fantasmagoria i fałszywe pojęcie. Bo oto mówi się oskarżonemu: „Jeżeli zeznasz coś, co nam się nada albo posłuży naszym celom, damy ci wiarę, uwzględnimy to i użyjemy tego przeciwko tobie. I odwrotnie, jeżeli złożysz zeznania na swoją korzyść i we własnej obronie, jeżeli powiesz coś, co oczyści cię z zarzutów, a dla nas będzie niewygodne, nie damy ci wiary i będą to słowa rzucone na wiatr, ponieważ przysługuje ci prawo do kłamania i przyjmujemy za pewnik, że wszyscy, to znaczy wszyscy przestępcy z tego prawa korzystają. Jeżeli wymknie ci się jakieś obciążające cię stwierdzenie albo uwikłasz się w jakąś wyraźną sprzeczność, albo wyznasz coś otwarcie, twoje słowa będą się liczyć i zadziałają na twoją niekorzyść: usłyszymy je, zarejestrujemy, przyjmujemy do wiadomości, uznamy, że zostały wypowiedziane, będą odnotowane, dołączymy je do akt twojej sprawy i będą stanowić zarzut przeciwko tobie.

Każde zdanie natomiast, które pomoże ci uwolnić się od zarzutów, będzie nieistotne i zostanie zlekceważone, udamy, żeśmy go nie słyszeli, i nie zwrócimy na nie żadnej uwagi, nie weźmiemy go w rachubę, będzie jak powietrze, dym, szkodliwe opary i nie zadziała na twoją korzyść. Jeżeli przyznasz się do winy, uznamy, że to prawda, i potraktujemy poważnie; jeżeli powiesz, że jesteś niewinny, potraktujemy to jak żart z całym dobrodziejstwem inwentarza”. Uznaje się za pewnik, że zarówno niewinny, jak i winny przyzna się do winy, a więc jeżeli się odezwą, nie będzie między nimi różnicy, będą postawieni na równi albo potraktowani tak samo. I wtedy właśnie się dodaje: „Możesz zachować milczenie”, chociaż to też nie pozwoli odróżnić niewinnego od winnego. (Pogrążyć się w milczeniu, tak, milczeć, oto wielkie pragnienie, którego nikt nie spełnia nawet po śmierci, a przecież właśnie to nam się doradza i do tego się nas przekonuje w najważniejszych chwilach: „Milcz, nie mów ani słowa, nie mów nawet, żeby się uratować. Trzymaj język za zębami, połknij go, choćbyś miał się udławić, jakby ci go kot pożarł. Milcz i wówczas się uratuj”).

W kontaktach z innymi, w normalnym życiu bez niespodzianek, nie zdarzają się takie ostrzeżenia i może powinniśmy stale pamiętać o ich nieobecności lub braku czy też, co sprowadza się do tego samego, o zawsze oczywistym i groźnym powtarzaniu, dokładnym lub przeinaczonym, wszystkiego co mówimy i o czym rozmawiamy. Nic na to nie można poradzić, prędzej czy później ludzie mówią wszystko, to co ciekawe i to co nieistotne, to co osobiste i to co publiczne, to co głębokie i to co błahe, to co powinno pozostać ukryte i to co powinno zostać podane do wiadomości, mówią o smutkach i radościach, i urazach, o pretensjach i uwielbieniu, o planach zemsty, o tym, z czego są dumni i czego się wstydzą, o tym, co wydawało się sekretem, i o tym, co się dopominało, by sekretem pozostać, o tym, co powszechnie wiadome, i o tym, do czego nie można się przyznać, i o tym, co okropne i co oczywiste, i o tym, co istotne – że się zakochali – i o tym, co nieważne – że się zakochali. Bez chwili zastanowienia. Ludzie mówią bezustannie i opowiadają, nie zdając sobie z tego sprawy, zupełnie nieświadomi uruchamianych przez siebie i nie poddających się kontroli mechanizmów intrygi, dwuznaczności i chaosu, które mogą się okazać fatalne, rozmawiają bez ustanku o innych i o sobie, a także o sobie, rozmawiając o innych. To ciągłe mówienie jest czasem postrzegane jak transakcja, chociaż chce się wydawać prezentem (w każdym przypadku ma w sobie coś z prezentu), a często jest raczej łapówką albo wyrównaniem jakiegoś rachunku, albo przekleństwem rzuconym pod adresem konkretnej osoby, albo na chybił trafił, żeby ślepy los obrócił to na dobre lub na złe, albo monetą, za którą kupuje się pozycję społeczną i przysługi, i zaufanie, a nawet przyjaźń i oczywiście seks. A także miłość, kiedy to co druga osoba mówi, zaczyna być nam niezbędne i staje się naszym stylem bycia.

Niektórym z nas za to płacą, za mówienie i słuchanie, za wprowadzenie ładu i opowiedzenie. Za zachowanie w pamięci i za spostrzeganie, i za selekcjonowanie. Za wyłudzenie wiadomości, upiększanie, zapamiętywanie. Za interpretowanie i tłumaczenie, i poduszczanie. Za ciągnięcie za język i przekonywanie, i przekręcanie. (Mnie płacili za opowiadanie o tym, czego jeszcze nie ma i czego nie było, o tym co przyszłe i prawdopodobne albo zaledwie możliwe – za hipotezę – to znaczy za przecucie i wyobrażenie sobie, i wymyślenie; i za przekonanie do tego innych).

Potem większość zapomina, jak i od kogo dowiedziała się tego, co wie, a niektórzy są nawet przekonani, że sami na to wpadli, cokolwiek to było, opowiadanie, pomysł, pogląd, plotka, anegdota, kłamstwo, dowcip, gra słów, maksyma, tytuł, historia, aforyzm, dewiza, przemówienie, cytat albo cały tekst – zawłaszczają to skwapliwie przekonani o własnym autorstwie, a może i wiedzą, że dokonują kradzieży, lecz wolą o tym nie myśleć i tym sposobem ukrywają to sami przed sobą. Zdarza się to dzisiaj coraz częściej, jakbyśmy w naszych czasach niecierpliwie przesuwali wszystko do domeny publicznej, jakby nie istniało już pojęcie autorstwa czy też, ujmując rzecz mniej banalnie, jakbyśmy nie mogli się doczekać, by wszystko zmienić w plotkę, greps, anegdotę, które biegną z ust do ust i z pióra na pióro, i z ekranu na ekran, wszystko poza kontrolą, bez staranności, pochodzenia, przynależności i właściciela, wszystko podkrecone, bezwstydne i bez zahamowań.

Ja natomiast zawsze dokładam starań, by dobrze pamiętać swoje źródła, być może to skrzywienie zawodowe, które mnie nie opuszcza, ponieważ nadal wykonuję tę pracę (musiałem wyćwiczyć pamięć, by odróżniać to co prawdziwe od tego co wyobrażone, to co się zdarzyło od tego co domniemane, to co powiedziane od tego co zrozumiane), i w zależności od źródła, od kogo coś wiem, staram się nie wykorzystywać tych informacji

albo tej wiedzy, a nawet zabraniam sobie tego, bo teraz zajmuję się tym tylko okazjonalnie, tylko wtedy, kiedy to silniejsze ode mnie i nie mogę się powstrzymać albo gdy proszą mnie przyjaciele, którzy mi za to nie płacą bądź nie płacą pieniędzmi, a jedynie swoją wdzięcznością i niejasnym uczuciem, że są moimi dłużnikami. To marna zapłata, czasami bowiem się zdarza, wcale nie tak rzadko, że starają się sprzedać to uczucie mnie, żebym to ja się z nim męczył, a jeśli nie jestem chętny do takiej zamiany rolami, nie poczuwam się do zobowiązań i nie zachowuję się tak, jakbym zawdzięczał im życie, zaczynają mnie w końcu uważać za niewdzięczną świnię i stronić ode mnie: wiele osób żałuje, że prosiło o przysługi i wyjaśniło, na czym miały polegać, mówiąc tym samym zbyt dużo o sobie.

Jakiś już czas temu pewna znajoma nie poprosiła o uprzejmość, tylko zmusiła mnie, żebym jej wysłuchał i – nie tyle dramatycznie, ile ze strachem – wprowadziła mnie w szczegóły swego świeżo nawiązanego romansu, chociaż to z jej mężem jestem bardziej i dłużej zaprzyjaźniony niż z nią. Wyświadczyła mi niedźwiedzią przysługę, bo całe miesiące czułem się udręczony tą wiedzą – a ona ją poszerzała, dorzucała stale coś nowego, teatralnie i egoistycznie, coraz bardziej popadając w narcyzm – pewny, że wobec przyjaciela, jej męża, powinienem zachować milczenie: nie z tego powodu, bym nie czuł się w prawie powiadomić go o czymś, czego być może – skąd można to wiedzieć – wolał pozostać nieświadomym; nie żebym nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za spowodowanie swymi słowami działań bądź decyzji innych ludzi, lecz ze względu na to, jakim sposobem dotarła do mnie ta niewygodna informacja. Nie mogę swobodnie dysponować czymś, czego nie odkryłem na własną rękę, wypełniając jakieś zlecenie lub prośbę, powiedziałem sobie. Gdybym natknął się na żonę mego przyjaciela wchodzącą z kochankiem na pokład samolotu do Buenos Aires, mógłbym pewnie rozważyć jakiś neutralny sposób ujawnienia tego, co wcale nie chcąc, zobaczyłem, owego faktu



poddającego się interpretacji, chociaż skądinąd bezspornego (przede wszystkim nie wiedziałbym o jej związku z tym mężczyzną, nie mnie zatem przyszyłoby coś podejrzewać, lecz memu przyjacielowi), aczkolwiek czułbym się pewnie jak donosiciel albo intruz, w każdym razie nie sądzę, bym się do tego posunął. Jednakże, powiedziałem sobie, miałbym przynajmniej taką możliwość. Dowiedziawszy się zaś od niej tego, co wiedziałem, nie miałem prawa użyć tego przeciwko niej lub rozpowiadać o tym bez jej zgody, nawet gdybym żywił przekonanie, że działam w interesie mego przyjaciela, a bardzo mnie to kusiło w chwilach większego wzburzenia, na przykład kiedy przebywałem w towarzystwie ich dwojga albo kiedy jedliśmy we czwórkę kolację (moja żona jako czwarta, nie kochanek) i znajoma wymieniała ze mną porozumiewawcze spojrzenie z wyraźnym dreszczykiem emocji (a ja wstrzymywałem oddech), albo kiedy mój przyjaciel wspominał beztrusko o jakiejś wszystkim wiadomej zdradzie popełnionej przez kogoś nam dobrze znanego, o czym współmałżonek tej osoby nie miał pojęcia. (A ja wstrzymywałem oddech). Tak oto zachowywałem milczenie przez wiele miesięcy, wysłuchując o czymś i niemal temu asystując, co ani mnie nie obchodziło, ani mi się nie podobało, a wszystko pewnie po to, myślałem w najczarniejszych chwilach, by pewnego dnia – kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw albo zostanie wyznana bądź dostrzeżona, bo zasłona spadnie wreszcie z oczu – okazać się biernym świadkiem lub współnikiem czy też, jeśli ktoś woli, współkonspiratorem, i to przez osobę, której sekretu dotrzymuję i której wyłączną władzę w tej sprawie uznałem i zawsze szanowałem, nie mówiąc nikomu ani słowa. Jej władzę i jej autorstwo, mimo że w sprawę są jeszcze zamieszane co najmniej dwie osoby, jedna świadomie, druga nie mając o tym pojęcia, a może mój przyjaciel nie jest w to jeszcze zamieszany i stałby się dopiero wtedy, gdybym mu powiedział. Może to ja jestem już zamieszany z powodu tego, co wiem, oraz dlatego, że wysłuchiwałem

i dokonałem interpretacji – myślałem – moje długie doświadczenie i długa lista obowiązków to mi właśnie podpowiadają i potwierdzają codziennie, każdego dnia, który mija i coraz bardziej je zaciera, oddala ode mnie tak, że chwilami wydaje mi się, iż musiałem o nich tylko czytać albo oglądać je w kinie, albo sobie wyobrazić, że nie tak łatwo się z nich wyplątać ani nawet o nich zapomnieć. Albo że to w ogóle niemożliwe.

Nie, nigdy nie powinienem niczego opowiadać ani nigdy niczego słuchać.

**P**rzez pewien czas słuchałem i czyniłem spostrzeżenia, interpretowałem i opowiadałem, wtedy to była moja praca, ale zawsze tak robiłem i nadal robię, biernie i mimowolnie, bez wysiłku i bez wynagrodzenia, widocznie nic na to nie mogę poradzić albo taki mam sposób bycia, będzie mi towarzyszył aż do śmierci, dopiero wtedy od niego odpocznę. Nieraz mówiono mi, że mam dar, a Peter Wheeler zwrócił mi na to uwagę, zaalarmował mnie, objaśniając i opisując ów dar, bo jak wszyscy wiedzą albo przeczuwają, rzeczy istnieją dopiero wtedy, gdy zostaną nazwane. Ja natomiast czasem postrzegam ten dar jako przekleństwo, mimo że teraz ograniczam się zazwyczaj do trzech pierwszych czynności, które dokonują się bez słów i wewnątrz, zachodzą tylko w mojej głowie i wcale nie muszą dotyczyć nikogo innego poza mną, a opowiadam coś komuś tylko wtedy, gdy nie mam innego wyjścia albo ktoś usilnie o to prosi. Albowiem w okresie mego zawodowego życia w Londynie, powiedzmy: życia za wynagrodzeniem, nauczyłem się, że to co nam się po prostu przydarza, nie ma na nas szczególnego wpływu lub ma, lecz nie większy niż to, co nam się nie przydarza, natomiast liczy się właściwie tylko opowieść (również opowieść o tym, co się nie przydarza), jakkolwiek nieprecyzyjna, zdradziecka, przybliżona i w gruncie rzeczy bezużyteczna, opowieść jest decydująca, wpływa na nasz stan ducha i sprowadza nas na manowce, i zatruwa nasze kroki, ona też niewątpliwie utrzymuje w ruchu gnuśne, leniwe koło świata.

W działaniach szpiegowskich, konspiracyjnych czy przestępczych nie przypadkiem i nie dla kaprysu poszczególni uczestnicy akcji, spisku albo napadu – tego co skrywane, potajemne – znają tylko pojedyncze, częściowe, fragmentaryczne i niewyraźne dane, każdy wie, jakie ma

konkretnie zadanie, ale nie zna zadania pozostałych ani ostatecznego celu. Na filmach możemy zobaczyć, jak partyzant przekonany, że zginie w następnej akcji, mówi, żegnając się z narzeczoną: „Lepiej, żebyś nic nie wiedziała, kiedy będą cię przesłuchiwać, powiesz, że nic nie wiesz, powiesz prawdę, prawda jest łatwa, ma większą siłę i jest bardziej wiarygodna, prawda przekonuje”. (Kłamstwo faktycznie wymaga umiejętności zmyślenia i improwizacji, pomysłowości, niezawodnej pamięci i ekwilibrystyki, wszyscy posługują się kłamstwem, lecz mało kto robi to umiejętnie). Albo jak gangster, który zaplanował duży skok, pomysłodawca i mózg całej akcji, poucza swego pomocnika: „Jak będziesz znał tylko swoją część roboty, to choćby cię złapali albo choćbyś nawalił, plan się powiedzie”. (To prawda, można sobie pozwolić, by jeden z elementów planu nie wypalił lub żeby coś się nie powiodło, nie tak łatwo o szybką definitywną klęskę, w każdym przedsięwzięciu, w każdym naszym działaniu walczymy do upadłego, nim pogodzimy się z przegraną). Albo jak szef tajnych służb szepce do agenta, wobec którego powziął podejrzenia i któremu już nie ufa: „Twoja niewiedza zapewnia ci najlepszą ochronę, o nic więcej nie pytaj, w tym twój ratunek i twoja polisa”. (Najłatwiej ustrzec się zdrady, gdy nie ma czego zdradzić bądź kiedy w grę wchodzi tylko bezwartościowe plotki bez żadnego ciężaru gatunkowego, puste opakowanie, figiel splątany temu, kto płaci). Albo jak ktoś, kto zleca zbrodnię lub grozi, albo jak ktoś, kto wyznaje swoje niegodziwości i tym samym naraża się na szantaż, albo jak ktoś, kto kupuje coś po kryjomu – kołnierz zawsze podniesiony, twarz w cieniu, nigdy nie zapala papierosa – ostrzega wynajętego mordercę bądź szantażowaną osobę, bądź potencjalnego szantażystę, bądź kolejną kobietę, dawno zapomnianą namiętność, nadal jednak powód do wstydu: „Pamiętaj, nigdy się nie spotkaliśmy, nie wiesz, kim jestem, nie znasz mnie, nigdy z tobą nie rozmawiałem ani nic ci nigdy nie powiedziałem, nie znasz mojej twarzy ani

głosu, ani oddechu, ani imienia, ani pleców. Ta rozmowa ani to spotkanie nigdy się nie odbyły, to co teraz widzisz, nigdy się nie wydarzyło, tego nie ma, tych słów nie było, bo ich nie wypowiedziałem. Nawet jeżeli teraz je słyszysz, ja ich nie wypowiadam”.

(Milczenie i wymazywanie, zatajanie, odwoływanie i milczenie również w przeszłości: oto wielkie, acz nieosiągalne pragnienie świata i dlatego właśnie nie wystarczają żadne środki zastępcze, a dziecinadą jest wycofywanie tego, co się powiedziało, odwoływanie nic nie pomoże; i także dlatego zapieranie się w żywe oczy jest takie irytujące – bo wbrew pozorom jedynie to może zaszcześcić wątpliwość i czasem być skuteczne – zaprzeczanie, że się powiedziało to, co się powiedziało i co wszyscy słyszeli, zaprzeczanie, że się zrobiło to, co się zrobiło i czego inni doznali, wprawia w rozpacz, że nieodwołalnie i co do joty może spełnić się coś, co zapowiadają te wcześniejsze słowa, które mogły paść z tak wielu i z tak różnych ust, z ust podżegacza i rzucającego groźby, kogoś, kto przeczuwa, że padnie ofiarą szantażu i płaci potajemnie za swoje przyjemności i korzyści, a także z ust ukochanej osoby albo przyjaciela – i że tym słowom można wówczas równie rozpaczliwie zaprzeczyć).

Wszystkie te kwestie zasłyszane w kinie wypowiedziałem ja sam albo ktoś je do mnie skierował lub kiedyś usłyszałem je od innych w realnym życiu, które pozostaje w dużo większym związku z kinem i z literaturą, niż to się zazwyczaj przyznaje i uważa. Nie chodzi o to, że jak się twierdzi, jedno naśladuje drugie, rzecz w tym, że nasze nieustanne fantasmagorie należą też do życia, poszerzają je i komplikują, sprawiają, że staje się ono mniej przejrzyste i zarazem łatwiejsze do przyjęcia, choć nie bardziej wytłumaczalne (a jeśli nawet, to bardzo rzadko). Cieniutka linia oddziela fakty od fantasmagorii i pragnienie od jego spełnienia, i to co wyobrażone od tego co rzeczywiste, bo w gruncie rzeczy wyobrażenia są już faktami, a pragnienia są swoim spełnieniem i zdarza się to co wymyślone, choćby

nie działa się tak nigdy z punktu widzenia zdrowego rozsądku lub prawa, które na przykład dostrzega przepastną różnicę między zamiarem i przestępstwem albo między popełnieniem przestępstwa a jego usiłowaniem. Świadomość nic nie wie o ustawach, nie obchodzi jej także ani nie pociąga zdrowy rozsądek, każda świadomość ma własny rozsądek i jak wynika z mojego doświadczenia, ta cieniutka linia się rozmywa i znikając, niczego już nie rozdziela, toteż nauczyłem się obawiać wszystkiego, co przebiega przez myśl, a nawet tego, co jeszcze nie przyszło na myśl, bo niemal zawsze się przekonuję, że wszystko już gdzieś było, nim przeniknęło umysł, nim do niego dotarło. Nauczyłem się zatem obawiać nie tylko powziętej myśli, pomysłu, ale i tego, co jest wcześniej, co je poprzedza. I tak oto jestem swoim własnym bólem i własną gorączką.

Mój dar albo moje przekleństwo to nic nadzwyczajnego, chcę przez to powiedzieć, że nie jest niczym nadnaturalnym, nadprzyrodzonym, sprzecznym z naturą ani przeciwnym naturze, nie ma nic wspólnego ze zdolnościami paranormalnymi ani nawet z jasnowidzeniem, chociaż czegoś na kształt tego ostatniego oczekiwał w końcu mój przejściowy szef, człowiek zatrudniający mnie przez pewien czas, który wydawał się bardzo długi, odpowiadał mniej więcej okresowi mojego rozstania z Luisą, kiedy wróciłem do Anglii, by nie pozostawać w pobliżu żony, gdy ona powoli oddalała się ode mnie. Ludzie z godną uwagi częstotliwością zachowują się idiotycznie ze względu na swoją skłonność, by wierzyć w powtarzalność tego, co im sprawia przyjemność: jeżeli raz zdarza się coś dobrego, to powinno się zdarzyć ponownie, a przynajmniej ku temu zmierzać. Wystarczyło, że przy jednej okazji udało mi się trafnie zinterpretować pewien związek, ważny (przejściowo) dla pana Tupry, by Mr Tupra – w istocie tak zawsze się do niego zwracałem, dopóki się nie uparł, żebym nazywał go Bertramem, a trochę później Bertiem, choć nie miałem na to wielkiej ochoty – zechciał wynająć moje usługi, początkowo okazjonalnie, a wkrótce potem już na pełny etat, powierzając mi teoretyczne funkcje tyleż nieokreślone, co rozmaite, wśród nich rolę współpracownika czy też okazjonalnego tłumacza podczas jego hiszpańskich i iberoamerykańskich eskapad. W rzeczywistości jednak, a raczej w praktyce, byłem dla niego interesujący, i w takim charakterze mnie przyjął, jako interpretatora ludzkich losów, by przytoczyć jego pompatyczne sformułowanie i nadmierne oczekiwania. Byłoby lepiej powiedzieć po prostu „tłumacz” albo „obserwator ludzi”: ich zachowań, reakcji, skłonności, charakterów i wytrzymałości; ich podatności na wpływy i uległości, ich słabej lub

nieugiętej woli, ich niestałości, ograniczeń, naiwności, braku skrupułów i oporu; różnych stopni ich lojalności lub nikczemności oraz ich szacunkowej ceny, ich trucizn i pokus; a także możliwych do wydedukowania i będących ich udziałem historii, nie tych przeszłych, lecz przyszłych, takich, które jeszcze się nie zdarzyły i dlatego można im było zapobiec. Albo można je było stworzyć.

Poznałem go u profesora Petera Wheelera z Oksfordu, wybitnego emerytowanego już hispanisty i portugalisty, człowieka, który wie więcej niż ktokolwiek na świecie o życiu księcia Henryka Żeglarza, jednego z najlepszych znawców Cervantesa, dziś już sir Petera Wheelera i pierwszego laureata Nagrody Nebrija przyznawanej w Salamance największym sławom w swojej specjalności albo dziedzinie i – co trochę zaskakujące w świecie uniwersyteckim, skąpym lub spauperyzowanym, w zależności od konkretnego przypadku – związanej z okazałą sumą pieniędzy, w związku z czym jego skąpi albo klepiący biedę zagraniczni koledzy skierowali na niego zwięzione z zazdrości oczy po raz przedostatni. Jeździłem do niego co jakiś czas z Londynu (godzina pociągiem w jedną i godzina w drugą stronę), poznawszy go wiele lat wcześniej i mając z nim trochę do czynienia jeszcze w swoich kawalerskich czasach – teraz byłem w separacji, w Anglii zawsze samotny – kiedy przez dwa lata pracowałem jako lektor języka hiszpańskiego na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wheeler i ja przypadliśmy sobie do gustu od samego początku, może z szacunku dla Toby’ego Rylandsa, profesora literatury angielskiej, który nas sobie przedstawił, bliskiego przyjaciela Wheelera od czasów młodości, bardzo do niego podobnego pod wieloma względami, a także wiekiem i statusem przymusowego emeryta mimo woli. O ile Rylandsa odwiedzałem często, o tyle Wheelera nie spotkałem już do końca mego ówczesnego pobytu, bo kiedy u nas trwały zajęcia ze studentami, on wykładał jako profesor emerytowany w Teksasie, w wakacje natomiast ja wyjeżdżałem zazwyczaj



do Madrytu lub podróżowałem, tak więc nie nadarzyła się sposobność. Kiedy Rylands umarł, już po moim wyjeździe, Wheeler i ja nadal darzyliśmy go szacunkiem, a ponieważ od tej chwili był to już szacunek dla wspomnienia lub bezbronnego ducha, przypuszczam, że będzie trwał w nieskończoność: korespondowaliśmy i dzwoniliśmy do siebie od czasu do czasu, a jeżeli przyjeżdżałem na kilka dni do Londynu, starałem się wykroić wolną chwilę i odwiedzić go, sam albo z Luisą (Wheelerą jako zastępcę lub następcę Rylanda albo jako spadek po nim: to szokujące jak łatwo zastępujemy ludzi, którzy znikli z naszego życia, jak podejmujemy starania, by zapełnić puste miejsca, jak nigdy nie godzimy się na to, by zmniejszyła się obsada, bez której kiepsko sobie radzimy i ledwie umiemy przeżyć, i jak równocześnie wszyscy jesteśmy gotowi zająć w zastępstwie puste miejsca, które nam się przydziela, ponieważ rozumiemy ten mechanizm stałej powszechnej substytucji i uczestniczymy w nim, on dotyczy wszystkich, nas zatem także, toteż zgadzamy się na rolę nieudolnych naśladowców i sami znajdujemy się w otoczeniu coraz większej ich liczby).

Bawił mnie i wiele mnie nauczył swoją inteligentną, pozbawioną zatem okrucieństwa złośliwością i dziwną przenikliwością, tak subtelną i wolną od ostentacji, że często trzeba się było jej domyślać albo ją odgadywać z jego uwag i pytań pozornie nieszkodliwych, retorycznych bądź nieistotnych, ale dla kogoś dostatecznie czujnego zagadkowych jak hieroglify: trzeba go było słuchać „między słowami”, podobnie jak czasem trzeba czytać między wierszami jego zapiski, aczkolwiek ten sposób komunikowania się nie wprost nie przeszkadzał mu również – gdy znudzony niedopowiedzeniami postanawiał odrzucić je nagle jak zbędny balast – być tak szczerym i bezlitosnym w stosunku do osób trzecich, do życia albo do samego siebie (nie zachowywał się tak zazwyczaj wobec swego bezpośredniego rozmówcy) jak żadna ze znanych mi osób, może z wyjątkiem Rylanda

i mnie, lecz jako ucznia i wychowanka ich obu. Ja dostarczałem mu pewnie rozrywki – nie ośmielałem się myśleć inaczej – i swoją nieskrywaną sympatią, łatwym zadowoleniem i pełnym admiracji śmiechem podbijałem mu bębenka, do czego nie trzeba mnie zachęcać w obecności osób, które szanuję i podziwiam, a Wheeler wzbudza we mnie oba te uczucia. (Ja nie byłem dla niego zastępcą ani następcą nikogo, w każdym razie nikogo mi znanego, może kogoś z jego zamierzchłej przeszłości, długo odwiekanym, a kto wie, czy nie wykluczonym już zastępstwem jakiejś dawnej postaci, której odgłosu albo tylko cienia lub odbicia już się wyrzekł).

Tak więc w czasie mego pobytu w Londynie, gdzie pracowałem dla BBC Radio, dopóki nie wyciągnął mnie stamtąd Mr Tupra, odwiedzałem go w Oksfordzie, w jego domu położonym nad rzeką Cherwell, podobnie jak dom Rylandsa, jego dawnego sąsiada, robiłem to z własnej inicjatywy, a bywało, że i z jego, gdy z jakiego bądź powodu pragnął mieć świadków swoich występów lub teatralnych inscenizacji albo kiedy miał gości i chciał im zapewnić trochę urozmaicenia – na przykład w postaci Hiszpana, który nie miał już nic wspólnego z dobrze wszystkim znanym środowiskiem uniwersyteckim – albo innych gości, na których temat miał ochotę ze mną porozmawiać następnego dnia, kiedy już będziemy sami. Odniosłem takie wrażenie dwa albo trzy razy: jakby Wheeler, dobrze już po osiemdziesiątce, przygotowywał sobie zawczasu rozmowy, które mogły mu dostarczyć rozrywki lub pobudzić go do działania w niedalekiej, dla niego ciągle przewidywalnej jeszcze przyszłości. A jeżeli przewidywał, że będzie się dobrze bawił, rozmawiając ze mną potem o Tuprze, opowiadając mi jakieś niedyskrecje na jego temat, komentując jego przywary, śmieszności czy tajemnice, to powinienem był wcześniej Tuprę poznać, a przynajmniej kojarzyć go z jakimś konkretnym głosem i konkretną twarzą i wyrobić sobie jakiś pogląd, choćby powierzchowny, z którym on mógłby się potem zgodzić lub nie, a nawet wyklócać się ze mną na ten temat z niepotrzebnym

uporem, tylko wtedy bowiem nasza rozmowa sprawiała mu przyjemność. Potrzebny mu był przeciwnik, kiedy perorował.

Zastanawiam się, czy zagadkowy kruchy czas starości nie na tym właśnie polega, na paradoksalnym odkryciu – przez tych, którym udaje się go doczekać i przynależać do niego – że jest tego kurczącego się czasu nadmiar i że niemalą jego część można poświęcić na przygotowanie czy komponowanie wybranych momentów; albo, powiedzmy, na wybieganie myślą w trakcie wielu pustych lub beczynnych chwil ku kilku zawczasu wymyślonym scenom i zamierzonym dialogom, zapamiętawszy już wcześniej kwestie przeznaczone w nich dla siebie: jakby starzy ludzie bardzo dbali, by ich czas – zarazem krótki i powolny, skąpy i obfity, czas przebiegłego starca – był jak najlepiej zaplanowany, ukierunkowany i zarządzany, i jakby się nie godzili – już dość, wystarczy: dość już bólu i dość gorączki; dość słowa, włóczy, a nawet snu – żeby był sprawą zwykłego przypadku, tego co niewiadome i niezależne od nich, lecz chcieli zmienić go w rezultat ich własnego działania, ich własnej dramaturgii i zamysłu. Albo, co sprowadza się do tego samego, jakby starali się ten czas antycypować, nadawać mu kształt i jak najbardziej wypracować jego zawartość: tego właśnie chcieli jako jedyne pewnego sposobu na prawdziwe wykorzystanie czasu, który im pozostał, który zdaje się płynąć bardzo wolno, ale przecież spada im z ramion jak śnieg, sypki i niewzruszony. A śnieg zawsze topnieje.

W odniesieniu do Tupry niewątpliwie miałem wrażenie, że Wheeler chciał, żebym go poznał albo zobaczył, w przeciwnym bowiem razie zadzwoniłby tylko i powiedział: „Zaprosiłem kilkoro przyjaciół i znajomych na bufetową kolację, w sobotę za dwa tygodnie; może byś przyszedł, wiem, jaki jesteś samotny w Londynie”. Wcale nie wiedział, czy jestem trochę czy bardzo samotny, czy może uskarżam się na nadmiar towarzystwa, zwykł jednak przypisywać innym własną sytuację, własne potrzeby, a nawet zaniedbania, taki podstęp, ucieczka do przodu, bo wtedy trudno się spodziewać, że ktoś wytknie mu coś podobnego albo czymś podobnym się zrewanżuje, byłoby to mało oryginalne ze strony rozmówcy, infantylne. Ale chociaż użył takich mniej więcej słów, to kiedy z ochotą przyjąłem zaproszenie i zanotowałem sobie dzień i godzinę, nie rozłączył się, tylko dodał z udawanym wahaniem (ale nie ukrywał, że je udaje): „W każdym razie będzie ten gość, Bertram Tupra, dawny uczeń Toby’ego”. („Fellow”, tego słowa użył, jest chyba mniej lekceważące niż „gość”, bo rozmawialiśmy po angielsku i po hiszpańsku, a czasem każdy mówił w swoim języku). Nim zdążyłem zrobić jakąś uwagę na temat tego niewiarygodnego nazwiska, uprzedził mnie, literując je na wszelki wypadek, i przyznał: „Tak, wiem, brzmi jak wymyślone i mogłoby takie być, istotnie, ale bardziej prawdopodobne, że nieprawdziwe jest imię, Bertram, nie Tupra, takie nazwisko musi być autentyczne, rosyjskie albo czeskie, nie wiem, może fińskie, a może tylko tak się wydaje, bo brzmi trochę jak «tundra», nie sądzisz? Tak czy owak, na pewno nie jest angielskie, jest aż nazbyt wyraźnie cudzoziemskie, może ormiańskie albo tureckie, pewnie uznał, że rozsądnie będzie zrównoważyć je imieniem godnym angielskich scen teatralnych, sam wiesz, takie imiona jak Cyryl,

Bazyli, Reginald, Eustachy, Bertram pojawiają się we wszystkich starych dramatach. Może dlatego je zmienił, bo gdyby się nazywał, czy ja wiem, Vladimir Tupra albo Vaclav Tupra, albo Pirkka Tupra, nie mógłby się poruszać tu swobodnie bez wzbudzania podejrzeń, wyobraź sobie, jeszcze kilka lat temu byłoby to dla niego bardzo niefortunne, zatrudniliby go w balecie albo w cyrku, ale nie zrobiłby kariery w swoim fachu, jak przypuszczam...”. Wheeler roześmiał się drwiąco, jakby przez sekundę ujrzał oczyma wyobraźni znanego mu Tuprę ubranego w ciemne rajstopy, kostium z dekoltem w serek lub głębokim wycięciem, jak płąsa po scenie na nogach o silnie umięśnionych udach i potężnych żylastych łydkach; albo w ażurowym fosforyzującym dopasowanym trykocie akrobaty. Milczał chwilę, nim na nowo podjął wątek, jakby czekał jakiejś zachęty z mojej strony albo nie mógł się zdecydować, czy wyjaśnić, co oznacza „w swoim fachu”. Nic nie powiedziałem, więc nadal się wahał, zaczął mówić, ale zauważyłem, że nie zwraca uwagi na to, co mówi, miałem wrażenie, że chce tylko zyskać czas na podjęcie jakiejś decyzji: „Zastanawiam się, czy nie zainspirował go ten legendarny księgarz z okolic Covent Garden, Bertram Rota, znasz to miejsce, chyba był dwojga imion, Cyril Bertram Rota, dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ma bardzo ekscentryczne nazwisko jak na właściciela lokalu przy Long Acre czy gdzieś w tamtej okolicy, pewnie hiszpańskie, prawda? Znasz w Hiszpanii kogoś o nazwisku Rota, jak ten skorumpowany trybunał kościelny? No więc może naprawdę mieć na imię Bertram, mam na myśli Tuprę, pewnie jego ojcu, zakładając, że to ojciec przyjechał tu z tundry albo ze stepu, przyszło do głowy, żeby zrobić ze swego syna Brytyjczyka już przy urodzeniu, złagodzić ten barbarzyński, niemal oskarżycielski efekt Tupry, w Hiszpanii przez słowo „*estupro*”, gwałt, musiałby całkiem zmienić nazwisko, co? Ale takie proste sztuczki zdają egzamin, weźmy przykład tego Roty, do dzisiaj na to nie wpadłem, a od tylu lat wydaję fortunę na kosztowne książki z jego

katalogu; muszę zagadnąć Anthony'ego, syna Roty, chyba jeszcze żyje...". Wheeler zamilkł znowu, perorując, rozważał w głębi ducha, czy mi coś powiedzieć, oznajmić albo w jakiejś sprawie się mnie poradzić. „A poza tym”, podjął natychmiast, „mając na imię Bertram, Tupra może oczekiwać, że wszyscy będą nazywać go prywatnie Bertiem, czuje się jak bohater utworów Wodehouse'a, kiedy jest wśród przyjaciół albo z narzeczoną, a właśnie, narzeczona też przyjdzie, nowa narzeczona, chce nam ją przedstawić, założę się, że jest bardziej dumny z jej wyglądu niż z inteligencji, której poziom łatwo przewidzieć...”. Przerwał po raz ostatni, ja jednak nie byłem nazbyt komunikatywny, nie miałem też nic do dodania, zrobił więc jeszcze jedną dygresję, żeby zakończyć w dobrym stylu, i ta dygresja zaintrygowała mnie bardziej niż wszystkie poprzednie: „Po angielsku mówi, rzecz jasna, jak rodowity niezbyt wykształcony Anglik z południowego Londynu, powiedziałbym. W istocie jak się zastanović, to może jest bardziej Anglikiem niż ja, bo przecież urodziłem się w Nowej Zelandii i przyjechałem tu dopiero w wieku szesnastu lat, w dodatku ze zmienionym nazwiskiem, choć z innych naturalnie przyczyn, bez związku z patriotycznym brzmieniem albo ze stepami. No tak, ale to wszystko już wiesz i nie ma to nic do rzeczy, rozgadałem się. Liczę wobec tego na twoją obecność i do soboty”. A na pożegnanie zwrócił się do mnie najmielszym tonem, który maskował obecną zawsze ironię: „Czekam niecierpliwie na twój przyjazd. Tam, w Londynie, jesteś bardzo samotny. Nie wystaw mnie do wiatru”. To ostatnie zdanie powiedział w moim języku: „*No te me rajes*”.

Taki był i jest sir Peter Wheeler – był i jest nieprawdziwym starcem, chcę przez to powiedzieć, że jego czcigodny i emanujący spokojem wygląd przysłania często energiczne, niemal akrobatyczne machinacje, a za jego rozkojarzonymi dywagacjami skrywa się spostrzegawczy, analityczny, przewidujący i interpretacyjny umysł, który bezustannie ocenia. Przez kilka ciągnących się w nieskończoność minut kierował moją uwagę na owego Bertrama Tuprę, przez co czułem się teraz zobowiązany przyjrzeć mu się w trakcie bufetowej kolacji, taki był zapewne główny cel Wheelera, żebym jemu właśnie się przyjrzał. Ale nie wyjaśnił w końcu dlaczego i w gruncie rzeczy nie powiedział ani słowa na temat tego gościa czy też *fellow* prócz tego, że swego czasu był uczniem Toby’ego Rylandsa i że ma nową narzeczoną, cała reszta to były jałowe rozważania i domysły na temat jego absurdalnego nazwiska. Nie zdecydował się nawet po tych wszystkich niewypowiedzianych wahaniach sprecyzować, co oznacza „w swoim fachu”, w którym nigdy nie zrobiłby kariery, gdyby się nazywał Pavel albo Mikka, albo Jukka. A na koniec uniknął moich prawdopodobnych indagacji w tej kwestii, napomykając po raz pierwszy w mojej przytomności o swoich nowozelandzkich korzeniach, nie tak wczesnym znowu przyjeździe do Anglii oraz zmienionym bądź apokryficznym nazwisku i nie pozwalając mi zarazem zadać mu na ten temat żadnego pytania, bo natychmiast dodał: „Ale to wszystko już wiesz i nie ma to nic do rzeczy”, aczkolwiek z całą pewnością wcześniej o niczym nie wiedziałem.

Jeszcze jedna cecha wspólna z Tobym, pomyślałem, odłożywszy słuchawkę. O Tobym opowiadano między innymi, że pochodził z Afryki Południowej: jeszcze jeden powód, dla którego zaprzyjaźnili się w młodości, obaj byli cudzoziemskimi Brytyjczykami albo Brytyjczykami

z obywatelstwa jedynie, obaj byli przyszywanymi Anglikami. Rylands nie poświęcił nigdy ani słowa tym pogłoskom ani ja go o to nie nagabywałem, nie lubił zanadto wspominać swojej przeszłości, tak się o nim mówiło i taki był ze mną; nie uważałem za właściwe wypytywać o te sprawy po jego śmierci, oznaczałoby to sprzeniewierzenie się jego woli w chwili, gdy on sam nie mógł już podtrzymać jej w mocy ani zmienić („Dziwne to – niczego więcej nie pragnąć”, zacytowałem w duchu z pamięci, „dziwne nawet swe własne imię odrzucić”). Zawahałem się, czy nie zadzwonić od razu do Wheelera, żeby mógł rozwinąć trochę te nowe informacje na swój temat, na temat swojej przeszłości, i żeby mi wytłumaczył, dlaczego, u diabła, rozwodził się tak długo o Tuprze, doprowadzając mnie niemal do desperacji. Tuż przed telefonem od niego wykręcałem bowiem numer w Madrycie, który był nadal zapisany na moje nazwisko, ale już nie był mój, lecz Luisy i dzieci, i który pozostawał tak uparcie zajęty, że chciałem jak najszybciej spróbować ponownie choćby po to, by zmierzyć czas moich bezowocnych wysiłków. Dlatego nie zadzwoniłem do Wheelera od razu, zaraz po odłożeniu słuchawki, było mi spieszo ponownie wykręcić tamten utracony numer, a raczej numer, z którym przyszło mi się rozstać i pod którym dawniej sam często się zgłaszałem, będąc w domu. Teraz nigdy się pod nim nie zgłaszałem, bo nie było mnie już w domu, nie mogłem już wracać do domu na noc, znajdowałem się poza tym w innym kraju i chociaż nie byłem taki samotny, jak sądził Wheeler, to czasem jednak trochę byłem, a może źle znosiłem brak stałego towarzystwa i to, że nie okazywałem się stale zajęty, czas mi wtedy ciążył albo ja powodowałem, że się dłużył, może dlatego bez większego trudu wysłuchałem najpierw uważnie Wheelera u niego w domu, a potem przyjąłem propozycję Tupry, bo propozycja ta gwarantowała mi stałe towarzystwo, nawet jeżeli czasem nie było towarzystwem bezpośrednim, lecz za pośrednictwem słuchu lub wzroku, zapewniała także, że będę stale zaprzątnięty.



Telefon Luisy w Madrycie był nadal zajęty. Nie był uszkodzony, jak wyjaśnili mi w biurze napraw, a żadne z nas nie miało telefonu komórkowego, tego szpiegowskiego wynalazku. Może była połączona z Internetem, zachęcałem ją do założenia drugiej linii, żeby nie blokować telefonu, proponowałem nawet, że za to zapłacę, ale jeszcze tego nie zrobiła, korzystała z Internetu tylko okazjonalnie, to pewne, niemożliwe więc, żeby z tego właśnie powodu telefon był tak długo zajęty w czwartek wieczór, w jeden z dni, kiedy zgodnie z naszymi ustaleniami miałem odbywać telefoniczne rozmowy z synkiem i córeczką, zanim dzieci pójdą spać, zrobiło się już zbyt późno, godzina później w Hiszpanii, tam już po dziesiątej wieczór, tutaj po dziewiątej, pewnie zjedli we troje kolację, oglądając telewizję albo jakiś film na wideo, trudno im było dojść do porozumienia na temat tego, co chcą oglądać, dzieliła ich zbyt duża różnica wieku, na szczęście chłopiec był cierpliwy i opiekuńczy wobec siostry i często jej ustępował, zaczynałem się o niego niepokoić, był opiekuńczy nawet wobec własnej matki, a możliwe, że i wobec mnie, szczególnie teraz, kiedy wiedział, że jestem daleko i na wygnaniu, osierocony w jego mniemaniu, ludzie, którzy są tarczą, bardzo cierpią w życiu, podobnie jak strażnicy, którzy zawsze mają wytężony słuch i czujne oko. Pewnie już leżą w łóżkach, ale przez kilka minut będą jeszcze mieli zapalone światło, to rodzaj bonusu, jaki dawaliśmy im z Luisą, żeby mogli jeszcze coś poczytać – komiks, byle co, jakąś bajkę – nim nadejdzie sen, to okropne, kiedy znasz dokładnie zwyczaje domu, w którym nagle już cię nie ma i do którego wracasz tylko z wizytą, zapowiedziawszy się zawczasu, jak jakiś bliski krewny raz na jakiś czas, lecz ciągle jeszcze tkwisz w utkanej przez siebie pajęczynie, w świecie zdarzeń, które budowały twoje poczucie bezpieczeństwa i wydawały się niemożliwe bez twojego współdziałania, bez ciebie, wieloletniego współnika tego, co się robiło i widziało tyle razy, i nie jesteś w stanie wyobrazić sobie żadnych zmian, chociaż wiesz, że nic ich

nie powstrzyma, może już się dzieją, mogą być nawet pożądane i jesteś już zdolny jakimś wewnętrznym okiem je widzieć takie, jakie mogłyby być te zmiany, które zajdą pod twoją nieobecność i za twoimi plecami, ciebie już tam nie ma, nie jesteś już uczestnikiem ani nawet świadkiem, jakbyś został wyrzucony z potoku czasu, który widziany z niekorzystnej odległości, zmienił się dla ciebie w nieruchomy obraz albo zastygłe w bezruchu wspomnienie.

Wierzę niemądrze, że będą wiernie czekać na mój powrót albo przynajmniej symbolicznie odgrywać rytuał oczekiwania, a przecież nieskończenie łatwiej pozbyć się symboli niż minionych zdarzeń, które i tak są wypierane i wymazywane bez szczególnego wysiłku – wystarczy być zdecydowanym i podporządkować temu wspomnienia. Nie wierzę, że Luisa nie znajdzie wkrótce nowej miłości albo nowego kochanka, nie wierzę, że na niego nie czeka, choćby bezwiednie, że nie wypatruje go z wyciągniętą szyją czujnym wzrokiem i że – choć jeszcze nie wie, kogo wypatruje – nie czeka beczynnym na oczywiste pojawienie się kogoś, kto jeszcze nie ma twarzy ani imienia i dlatego posiada wszystkie możliwe twarze i imiona, takie i siakie, znośne i odpychające. A mimo to, wbrew zdrowemu rozsądkowi, roję sobie, że Luisa nie weźmie swojej nowej miłości czy kochanka do domu, w którym mieszkają nasze dzieci, ani nie zaprowadzi go do naszego łóżka, które jest już tylko jej łóżkiem, że będzie się z nim spotykała po kryjomu, jakby ciągle świeże jeszcze wspomnienie o mnie narzucało jej takie zachowanie i dopraszało się o nie – jakiś szept, jakaś gorączka, jakieś zadraśnięcie – jakby ona była wdową, a ja godnym żałoby nieboszczykiem, którego miejsca nie można tak szybko zająć, jeszcze nie, kochany, czekaj, poczekaj, jeszcze nie nadeszła twoja chwila, nie zepsuj wszystkiego, daj mi trochę czasu i daj go trochę zmarłemu, jego czas już nie biegnie, daj mu nieco czasu, niech się rozpułynie, pozwól, żeby stał się duchem, nim zajmiesz jego miejsce i wygnasz jego żywą obecność, pozwól

mu stać się nicością, poczekaj, aż jego zapach ulotni się z pościeli i z mego ciała, poczekaj, by nie było już tego, co było. Nie wierzę, że Luisa dopuści, ot tak, tego mężczyznę do naszych obrzędów czy na wspólne zdjęcia, że pozwoli nagle, aby to on pomagał jej w przygotowywaniu kolacji – zostaw, ja zrobię te omlety – aby on oglądał z nią i dziećmi film na wideo – wszyscy się zgadzają, może być „Tom i Jerry” – aby to on wchodził na palcach do pokoi dzieci – jesteś wykończona, ja pójdę, nie wstawaj – i gasił światło, upewniwszy się przedtem, że moje dzieci zasnęły z książeczką o Tintinie, która teraz zsunęła się bezgłośnie na podłogę, albo z misiem na poduszce przygniecionym leciutkim ciężarem niewinnych snów.

Trzeba się jednak przyzwyczaić do myśli, że nikt nie odprawia żadnej żałoby ani nikt nie żywi żadnego szacunku dla wspomnień o nas ani dla tego, co teraz – za późno – decydujemy się podnosić do rangi symbolu, dlatego między innymi, że Luisa wcale nie jest wdową, ani my nie jesteśmy martwi, ani ja nie umarłem: nie wykazaliśmy tylko dostatecznej troski i nic nam się nie należy, a przede wszystkim dlatego, że jej czas, czas, który obejmuje i zwłaszcza dzieci, już nie jest naszym czasem, jej czas biegnie bez nas, a ja dobrze nie wiem, co mam zrobić z moim, który biegnie również beze mnie, a może nie umiałem jeszcze uczynić go moim czasem, może już nigdy go nie dogonię i zawsze będę podążał samotnie w ślad za nim. Wkrótce będzie miała kogoś, kto zrobi omlety i codzienną troskliwością zaskarbi sobie względy jej i dzieci, kto nie będzie okazywał zniecierpliwienia, że nie ma jej tylko dla siebie o każdej porze, kto cierpliwy, wyrozumiały, solidarny, swoimi taktownymi przemilczeniami, troskliwymi pytaniami i uśmiechem współczująco kwitującym przeszłość wykopie mi grób głębszy niż ten, w którym już mnie pogrzebano. Tego właśnie można się spodziewać, ale kto wie... Ten ktoś może być beztroskim wesołym bon vivantem, który co wieczór będzie ją wyciągał z domu i nawet nie będzie chciał słyszeć o dzieciach albo wchodzić do

naszego domu dalej niż za próg, będzie czekał w przedpokoju, wystrojony i gotowy do wyjścia na bankiet, bębniąc przynaglająco palcami o framugę drzwi; oderwie ją od dzieci, doprowadzi do tego, że je zaniedba, narazi ją na różne niebezpieczeństwa i skłoni do tych samych wesołych ekscesów, na jakie ja tu sobie pozwalam wcale nierzadko... To może być także jakiś despota, zgorzknialec, który będzie ją gnębił, odseparuje od przyjaciół i narzuci niepostrzeżenie własne wymagania i zakazy pod maską czułości, słabości, zazdrości, pochlebstw i próśb, dewiant, który pewnej deszczowej nocy zaciśnie jej na szyi swoje wielkie łapska, gdy tymczasem dzieci – moje dzieci – będą się temu przyglądać z kąta pokoju wciśnięte w ścianę, jakby chciały, żeby ustąpiła pod ich naporem i znikła, a wraz z nią ten okropny widok i więznący im w gardle szloch, zły sen, i to przeciągłe rżenie, które wydobywa się z ust ich umierającej matki. Ale nie, nic takiego się nie wydarzy, takie rzeczy się nie zdarzają, nie będę miał tego szczęścia albo tego nieszczęścia (ani fantasmagoria się nie ziści, ani rzeczywistość nie zmieni się w koszmar)... Kto wie, kto nas zastąpi, wiemy tylko, że ktoś taki zawsze się znajdzie i bez względu na okoliczności zastąpi nas we wszystkim, co robimy – w przyjaźni, w pracy, w miłości i nienawiści, która też się w końcu nami zmęczy; w domach, w których mieszkamy, w miastach, które nas przyjmują, w telefonicznych rozmowach, które nas do czegoś przekonują albo w których ktoś słucha nas cierpliwie, śmiejąc nam się do ucha lub pomrukując twierdząco, w grze i w interesach, w sklepach i w gabinetach, w krajobrazie z dzieciństwa, który wydawał się tylko nasz, i na ulicach wyczerpanych widokiem takiej zgnilizny, w znajomych restauracjach i w alejach, i w naszych fotelach, w naszej pościeli, w której zniknie nasz zapach i wszelki ślad po nas i która zostanie wreszcie podarta na szmaty i na ścierki, i ktoś nas zastępuje w naszych pocałunkach i całując, zamyka oczy, i w myślach, i w marzeniach,

i wszędzie jestem tylko jak śnieg na ramionach, sypki i niewzruszony, a śnieg zawsze topnieje.

Spoglądam przez okno mego mieszkania przemyślnie urządzonego przez jakąś Angielkę, której nigdy nie widziałem, odkładam i znowu biorę do ręki słuchawkę, wybieram numer i znowu odkładam słuchawkę, spoglądam na leniwy londyński wieczór na placu, z którego powoli znikają ruchliwe postaci i cichnie odgłos ich zdecydowanych kroków i na krótką chwilę – *interregnum* – zaludniają go postacie niespieszne, zmierzające teraz chwiejnym krokiem w stronę koszy i pojemników na śmieci, w których zagłębiają popielate ramiona w poszukiwaniu niewidzialnych dla nas skarbów albo szczęśliwej zapłaty za kolejny przeżyty dzień, kiedy ciągle jeszcze nie jest noc, ale z pewnością już nie dzień, gdy ciągle jeszcze jest dziś dla wracających do domu albo dla tych, którzy szykują się do wyjścia, lecz już jest wczoraj dla tych, którzy przychodzą i odchodzą i są w tym wszystkim pogubieni. Unoszę wzrok, żeby odnaleźć żywy świat, świat, który wie, dokąd zmierza, do którego, jak sędzę, nadal przynależę, który chroni się w rozświetlonych wnętrzach przed popielatością zmierzchu, chcę się oddalić od pogubionego świata owych zjaw, które grzebią w śmieciach i zmieniają się w śmieci, nie chcę się upodobnić do tego świata; unoszę wzrok ponad zamierający ruch uliczny i żebraków niczym cienie, i ostatnich maruderów – pięć albo sześć kroków biegiem, a potem skok do ruszającego już z przystanku piętrowego autobusu bez drzwi, stukają damskie obcasy, są w poważnym niebezpieczeństwie – spoglądam w górę, nad korony drzew, na drugą stronę placu, za pomnik, gdzie wznosi się elegancki hotel i ogromny biurowiec, i domy mieszkalne zamieszkałe przez rodziny lub nie zawsze rodziny, nie zawsze ludzi takich jak ja dawniej, czasem takich jak ja teraz – będę bardziej sobą, będę teraz bardziej sobą, mówię sobie w duchu, *I'll be more myself*, żyjąc i mieszkając samotnie – widuję czasem ludzi podobnych do mnie pod jednym względem: ludzi

mieszkających samotnie i co najwyżej przyjmujących gości, zdarza się, że gość zostanie u nich na noc, u mnie też tak bywa, jeśli to mnie ktoś się przygląda z jakiegoś obserwatorium.

Naprzeciwno, za drzewami, których korony wypełniają sobą środek placu, mieszka jakiś mężczyzna dokładnie na tej samej wysokości co ja, na trzecim piętrze. W angielskich domach nie ma żaluzji, rzadko zdarzają się firanki lub okiennice, a gdy są, pozostają na ogół odsłonięte lub otwarte aż do chwili, gdy sen zaczyna swe odurzające łowy, i często zdarza mi się widzieć, jak ten mężczyzna tańczy, czasami z kimś w parze, ale najczęściej sam. W tych swoich tańcach, a raczej w tanecznych wygibasach przemierza radośnie cały, długi na cztery okna salon. Nie ma cienia wątpliwości, że nie są to ćwiczenia zawodowego tancerza – w żadnym razie: mężczyzna jest kompletnie ubrany, jakby zaraz miał wyjść z domu, zdarza się, że ma nawet krawat, jakby wrócił właśnie do domu po pracy i w swej niecierpliwości zdołał ledwie zdjąć marynarkę i podwinąć rękawy koszuli (częściej jednak ma na sobie elegancki sweter lub polo z długim albo krótkim rękawem), a jego taneczne kroki są żywiołowe, chociaż nie pozbawione harmonii i wdzięku, ale powiedziałbym, że bez ładu ni składu, bez szczególnego wyczucia rytmu i zamysłu, dopasowane każdorazowo do muzyki, którą słyszy tylko on, jak sobie to wyobrażam, przyglądając mu się przez lornetkę, jakiej używa się na wyścigach. Zdawało mi się, że widzę, jak wkłada sobie do uszu słuchawki albo jakieś inne urządzenie, bez wątpienia bezprzewodowe, inaczej nie mógłby tak hasać i poruszać się z taką swobodą. To by tłumaczyło, dlaczego niekiedy rozpoczyna swoje tańce bardzo późno, szczególnie jak na angielskie zwyczaje nie dopuszczające głośnej muzyki po jedenastej wieczorem ani nawet godzinę wcześniej, nie mam pojęcia, co zrobił, żeby wygłuszyć hałas tanecznych kroków. Może zaczyna tak późno, bo chce łatwiej przywołać sen, robi to wszystko, aby się zmęczyć, wprawić w oszołomienie, zamroczyć, uwolnić się od myśli

o swoich zmartwieniach. Jest szczupłym, zwinnym trzydziestokilkulatkiem o ostrych rysach twarzy i dość atletycznej budowie – mocno zarysowana szczęka, nos i wydatne czoło, szerokie bary, płaski brzuch – która sprawia wrażenie naturalnej, nie zaś wypracowanej ćwiczeniami na siłowni. Nosi wypielęgnowany wąsik w stylu dawnych bokserów, ale prosty, nie podkreślony do góry na modłę dziewiętnastowieczną, włosy ma zaczesane do tyłu z przedziałką pośrodku, może nawet wiąże je z tyłu w ogonek, ale tego nie jestem pewien. Dziwne jest to obserwowanie jego ruchów, gdy nie słyszy się równocześnie prowadzącej go muzyki, bawię się w zgadywanie, co też to może być, podkładam muzykę w myślach, aby – że tak powiem – nie narażać go na śmieszność pantomimy, taka sytuacja jest jakoś idiotyczna, lepiej więc przywołać coś z własnej pamięci muzycznej – albo podrzucić coś z płyty, jeśli ma się akurat coś odpowiedniego pod ręką – melodię, która zawładnęła tancerzem i prowadzi go bezgłośnie, czasem myślę: Sądząc po namiętym kołysaniu tułowiem, tańczy pewnie „Hucklebuck” Chubby’ego Checkera, może to coś Elvisa Presleya, na przykład „Burning Love”, bo potrząsa głową jak kukła i drobi kroki, a może to jakiś nowszy kawałek, może to Lynard Skynard i ich sławna piosenka o czymś tam z Alabamy, bo wyrzuca wysoko nogi jak Nicole Kidman, gdy tańczyła to w jakimś filmie; a teraz to może być calypso, co poznaję po ruchu bioder naśladowującym taniec z Antyli, w dodatku trzyma w rękach marakasy, lepiej odejdę od okna, inaczej zaraz będę musiał nastawić ma adapterze „I learn a Merengue, mama” albo „Barrel of Rum”, ten facet to jakiś wariat, ale wygląda na szczęśliwego, nie zamartwia się tym, co jego bliźnich wpędza w ponury nastrój albo ich zżera, jest bez reszty oddany swojej pasji, tańcowi nie przeznaczonemu dla nikogo, zdziwiłby się na wieść, że czasem, gdy nie mam nic lepszego do roboty, przyglądam mu się, może zresztą nie ja jeden, obserwowanie go to właściwie dobra zabawa, która podnosi na duchu; jest w nim jakaś tajemnica, nie potrafię sobie

wyobrazić, kim jest ani czym się zajmuje, to wykracza – co rzadkie – poza moje zdolności interpretacji czy też dedukcji, które prowadzą mnie na ogół do jakichś wniosków, trafnych lub nie, ale przecież nigdy mnie nie opuszczają; od razu potrafię stworzyć jakiś prowizoryczny portret, łowię jakiś stereotyp, wiarygodne przypuszczenie, jakiś zarys lub strzęp życia jakkolwiek byłoby to wydumane, to z gruntu mój własny, detektywistyczny sposób myślenia, idiotyczny sposób myślenia, z powodu którego krytkowała mnie i robiła mi wyrzuty Clara Bayes, gdy mieszkałem tu przed wieloma laty, zanim jeszcze poznałem Luisę; musiałem ten sposób myślenia przy Luisie powściągnąć, żeby jej nie irytować i nie przyprawiać o lęk, ten zabobonny lęk, który zawsze wyrządza największą szkodę; jednakże nie na wiele się to zdało, nie sposób poradzić sobie z tym, co już wiemy i co wzbudza w nas największy strach (może dlatego, że sami prowokujemy wówczas los, by uniknąć rozczarowania), a wiemy zazwyczaj, jak sprawy się skończą, jak będą ewoluować i co nas czeka, ku czemu wszystko to zmierza i jaki będzie różnych spraw koniec; wszystko widać jak na dłoni, w gruncie rzeczy bardzo szybko wszystko jest w związku widoczne, jak we wszystkich uczciwych, prostych opowieściach, wystarczy ośmielić się i spojrzeć, jedna chwila zawiera w sobie zapowiedź wielu przyszłych lat i niemal cały kształt naszego życia – jedna brzemienna swoim znaczeniem chwila – i jeśli tylko chcemy, możemy ją dostrzec i rozszyfrować, nie ma tak wielu możliwości, wskazówki rzadko są mylne, jeżeli tylko umiemy odczytać ich znaczenie, jeżeli jesteśmy na to gotowi – ale to trudne i może się okazać katastrofalne; pewnego dnia dostrzegasz jakiś nieomylny gest, jesteś świadkiem jakiejś ewidentnej reakcji, słyszysz przesądający o wszystkim ton głosu, choćby ta druga osoba od razu ugryzła się w język – za późno; czujesz na karku spojrzenie o zamierzonej intencji, spojrzenie ufne w to, że niby rzucone dla niepoznaki, tyle jest przecież spojrzeń mimowolnych; zauważasz nadmierną



słodycz lub niecierpliwość, dostrzegasz zamiary ukryte, lecz nigdy do końca, albo zamiary nieświadome, czasami można przewidzieć działanie kogoś drugiego, nim on sam je przewidzi, nim sam je pozna lub wyczuje, i wówczas odgaduje się jeszcze nieuknutą zdradę i niewyczuwalną jeszcze pogardę; zakłopotanie, w jakie wprawia twoja obecność, irytację albo niechęć, jakie wywołujesz, albo przeciwnie, co nie zawsze jest lepsze: otaczając cię bezwarunkową miłością, nadmierne oczekiwania, oddanie, czyjś wysiłek, by cię zadowolić, stać się niezbędnym i zająć potem twoje miejsce, i stać się tym, kim ty jesteś; żądzę posiadania, złudzenia, czyjaś determinację, aby trwać przy tobie albo zdobyć twoje serce, niedorzeczną, irracjonalną lojalność; potrafisz rozróżnić prawdziwy entuzjazm albo tylko schlebianie, albo mieszankę jednego i drugiego (bo nic nie występuje w postaci czystej), wiesz, kto nie jest godny zaufania i kto jest ambitny, kto nie ma skrupułów i kto pójdzie do celu po twoim trupie, a kto jest szczerą duszą i wiesz, co będzie, gdy napotkasz tego ostatniego na swojej drodze, wiesz, co go czeka, jeżeli się nie zmieni, nie stanie się kimś gorszym, a i wówczas gdy to zrobi: wiesz, czy będzie twoją ofiarą. Kiedy przedstawiają cię jakiemuś szczęśliwemu małżeństwu albo jakiejś parze, widzisz, kto kogo porzuci pewnego dnia, i widzisz to natychmiast, gdy tylko się przywitasz, albo najdalej pod koniec wieczoru. Wyczuwasz też, kiedy coś idzie nie tak albo się rozpada, albo staje na głowie i sprawy przybierają inny obrót, kiedy wszystko się wali, wyczuwasz chwilę, w której przestajemy kochać tak jak dawniej albo w której nas przestają kochać, wyczuwasz, kto się z nami prześpi, a kto nie i kiedy przyjaciel odkryje własną zazdrość, a raczej postanowi jej ulec i pozwoli, by tylko ona kierowała odtąd jego poczynaniami i była mu przewodniczką; kiedy zaczyna wychodzić na jaw albo staje się ciężka od urazy; wiemy, co mamy w sobie męczącego albo irytującego i co nas gubi, co trzeba było powiedzieć, a nie zostało powiedziane, albo o czym trzeba było milczeć,

a nie zostało przemilczane, co sprawia, że pewnego dnia inni patrzą na nas nagle innymi oczyma – złymi albo gniewnymi oczyma – już coś mają za złe; kiedy rozczarowujemy lub kiedy nawet nie rozczarowując, wywołujemy irytację, bo nie dajemy upragnionego pretekstu, żeby nas odprawić; wiemy, jaki miły gest staje się nagle nie do zniesienia i że sygnalizuje to moment, kiedy my stajemy się na zawsze nie do zniesienia, i wiemy też, kto będzie nas kochał do śmierci i czasem, ku naszemu ubolewaniu, po śmierci mojej albo po obu śmierciach... czasami wbrew naszej woli... Ale nikt nie chce nic widzieć i dlatego prawie nikt nie widzi, co go czeka, co nas czeka albo co wcześniej czy później nas spotka, nie powstrzymujemy się od nawiązania rozmowy lub przyjaźni z kimś, kto przyniesie nam tylko wyrzuty sumienia i kłótnie, gorycz i płacz, ani z kimś, komu my to wszystko przyniesiemy, choćbyśmy widzieli to jasno od pierwszej chwili. Staramy się, by sprawy nie miały się tak, jak się mają i jakie się jawią, upieramy się bezsensownie, by przekonać samych siebie, że podoba nam się ktoś, kto od początku mało nam się podoba, i darzyć zaufaniem kogoś, kto budzi naszą głęboką nieufność, to tak, jakbyśmy często występowali przeciwko samym sobie i naszej wiedzy, bo tak to często czujemy, bardziej jako wiedzę niż intuicję, wrażenie, żadna z tych rzeczy nie ma nic wspólnego z przeczuciem, nic w tym nie ma nadprzyrodzonego ani tajemniczego, tajemnicze jest tylko to, że nie przykładamy do tego wagi. Skoro tak wielu ludzi doświadcza tego uczucia, to wyjaśnienie musi być proste: po prostu wiemy, lecz nienawidzimy tej wiedzy; nie możemy znieść tego, że widzimy, wzbudza naszą nienawiść ta nasza wiedza, pewność i przekonanie. Nikt nie chce stać się swoim własnym bólem i gorączką...

Jak już wspominałem, niekiedy – aczkolwiek wówczas widziałem to wcześniej zaledwie dwa razy – mężczyzna ten, którego nie udało mi się zinterpretować, odgadnąć czy ocenić, nie umiem wyrobić sobie na jego

temat żadnego zdecydowanego, a nawet ogólnego zdania, otóż ten mężczyzna czasem, wbrew swemu zwyczajowi, tańczył w parze, z dwiema różnymi kobietami, za pierwszym razem widziałem go tańczącego z białą, za drugim razem z Murzynką lub Mulatką (nie widziałem dobrze, światło było przygaszone), ale i wtedy robił wrażenie przejętego głównie sobą i raczej własną niżli partnerek przyjemnością, chociaż bez wątpienia lubił dla odmiany tańczyć w parze, lubił obracać swoje partnerki, przyciągać je do siebie i ocierać się o nie w swoim przestronnym salonie bez mebli, jakby specjalnie urządzonym do tanecznych harców. Biała kobieta ubrana była niestety w spodnie; czarna natomiast miała na sobie fruującą i unoszącą się w tańcu spódnicę, która niekiedy nie opadała do końca, lecz na chwilę zaczepiała się na pończochach (albo rajstopach czy jak tam się dzisiaj nazywa ta część garderoby, co sięga aż do pasa), dopóki lekki ruch bioder lub przypadkowy ruch ręki nie uwolnił materiału i nie oddał go znowu we władanie cenzorskim prawom ciężkości. Z przyjemnością patrzyłem na jej uda, chwilami migąły też pośladki, dlatego zaniechałem korzystania z lornetki, podglądanie w zasadzie nie jest w moim stylu, przynajmniej zamierzone, jak w tym przypadku. Biała kobieta pożegnała się zaraz po sesji tańca, ujrzałem ją na dole, jak wychodziła z budynku, w którym mieszkał mężczyzna, i wsiadła na rower (mogła włożyć spodnie z powodu roweru, chociaż nie trzeba koniecznie szukać powodu); Murzynka albo Mulatka została, jak sądzę, na noc: oboje zatrzymali się po dłuższym tańcu, po czym zgasło światło i długo nie widziałem, żeby wychodziła, było już późno, a potem zrobiło się jeszcze później, postanowiłem się położyć i zapomnieć o niej. U mnie też czasem zostawały kobiety, szczególnie w trakcie pierwszych kilku miesięcy zadomawiania się, rozpoznawania nowej sytuacji i robienia bilansu: tak, było ich jak dotąd trzy – jedna przyszła ponownie, druga miała ochotę przyjść, ale się nie zgodziłem, trzecia nie miała nawet takiego pomysłu, straciła zainteresowanie, nim

nasza przygoda zdążyła się zacząć, nic o niej nie wiem ani później nic o niej nie słyszałem, w każdym razie od chwili kiedy zjadła u mnie w kuchni śniadanie, machinalnie i szybko, jakby nie było nic dziwnego w tym jej pobycie u mnie o tak wczesnej porze, ot, przypadek; była zaręczona z synem jakiejś ważnej figury i drżała z emocji na myśl o rychłej zapowiedzi małżeństwa, przerażała ją ta bliskość ślubu, nerwowy narzeczony mógł do niej wydzwaniać od poprzedniego wieczora albo od wczesnego ranka, wybierać numer, odkładać słuchawkę, podnosić słuchawkę i wybierać numer, a ona nie odbierała albo zgłaszała się automatyczna sekretarka lub poczta głosowa, nieznośne jest tak dzwonić i dzwonić na próżno, sam z trudem już znosiłem kolejne próby dodzwonienia się do Luisy, co ona może robić – może specjalnie odłożyła słuchawkę, bo ma gościa, może ktoś miał zostać u niej na noc i był tylko jeden sposób, aby zagwarantować sobie, że nie przerwę niczego ani nie zakłócę swoim głosem – pewnie nagle, gdy już stało się jasne, że gość zabawi dłużej, uświadomiła sobie, że to czwartek – włócznia, gorączka, mój ból, sen, to co istotne lub bez znaczenia – czyli dzień, kiedy trzeba położyć dzieci troszkę wcześniej niż zwykle i na całą noc zdjąć słuchawkę z widełek telefonu, rano zawsze można wytłumaczyć to nieuwagą.

Ale na tym przynajmniej etapie zostaje tylko gorliwy zalotnik, który robi co może, żeby się wprowadzić i zająć puste miejsce w ciepłym łóżku, bez ambicji dokonywania jakichś zmian, bo bardzo mu się podoba wszystko, co robił jego poprzednik, i pragnie tylko stać się nim, nawet jeżeli sam o tym nie wie; wesoły bon vivant przychodzi albo nie przychodzi, interesuje go życie pełne rozrywek, a nie spanie na jednej poduszce; zaborczy despotą z początku się kryguje, bardzo dba o to, by nie wydać się natrętem, czeka na słowa zachęty, ale i wtedy odrzuca zwykle pierwsze zaproszenie („Nie chcę ci komplikować życia, to byłby dla ciebie kłopot, może jeszcze nie masz pewności, czy chcesz mnie zobaczyć rano, lepiej jeszcze się

zastanów”), jest ustępliwy, pełen rewerencji i ciągle jeszcze przezorny, powściąga swoją natarczywość, nie zabawia długo ani nie mitręży czasu na obcym terytorium właśnie dlatego, że zamierza całe to terytorium zawłaszczyć i na razie nie chce wzbudzać podejrzeń. Ten nie zostanie na noc, choćby go błagano, nie na początku: ponownie się ubiera mimo późnej godziny, zmęczenia i chłodu, pokonuje własne lenistwo – trzeba znowu włożyć skarpetki – odkłada na później wszelką ochotę i wszelki pośpiech – nie ma nic przeciwko temu, żeby ochota i pośpiech się nasiliły – wsiada do samochodu albo wzywa taksówkę i znika bezszelestnie o świcie również po to, by szybko za nim zatęskniono, kiedy tylko zamknie za sobą drzwi i otworzy drzwi windy, i pozostawi nieubraną, ciągle jeszcze gorącą kobietę, żeby wróciła sama do niegościnnego skotłowanego łóżka, do pomiętej pościeli, w której nadal utrzymuje się ich zapach. Jeżeli jest tam taki mężczyzna, taki pokrętny facet, który później nie da jej chwili wytchnienia i całkowicie odizoluje ją od przyjaciół, który nie będzie nawet musiał mnie grzebać i zakopywać głębiej, bo wraz z pierwszym jej strachem, pierwszą prośbą i pierwszym spełnionym rozkazem zdążył już zatrzeć wspomnienie o mnie; jeżeli to on jest jej gościem tej nocy, możliwe, że Luisa odłoży słuchawkę z powrotem na widełki, kiedy już sobie pójdzie, starannie ubrany jak wtedy, gdy przyszedł, nawet w rękawiczkach, może odłoży słuchawkę na widełki, słysząc w bramie i na ulicy odgłos jego kroków, głośnych teraz, pewnych i władczych, bo odniósł trwałe i znaczące sukcesy na swojej drodze do niej. Być może zatem powinienem być wytrwały, spróbować znowu później, kiedy zdecyduję się iść spać, żeby o niej zapomnieć, już prawie jedenasta w Madrycie, co ja tu robię tak daleko, nie mogę nawet wrócić na noc do domu, co ja tu właściwie robię, w obcym kraju, zachowując się jak zdenerwowany narzeczony albo gorzej, jak pozbawiony szans adorator, albo jeszcze gorzej, jak żaloszny zalotnik, który nie chce przyjąć do wiadomości tego, co już wie, czyli że nigdy nie

będzie przyjęty. Już nie czas na takie emocje, to już nie jest mój czas, mój czas już minął, mam od dawna dwoje dzieci, a kobieta, do której dzwonię, jest ich matką, mam dzieci dostatecznie długo, by moje myśli zawsze wokół nich krążyły i żeby były dla mnie wiecznie dziećmi, dlatego mój czas się wykoleił, dlatego uległ zawieszeniu, jaki ma sens, abym się denerwował o przyszłość wszystkich trojga w zależności od tego, kto mnie przy nich zastąpi, na razie, o ile wiem, na nikogo się nie zanosz, nikt się jeszcze nie wybiera, aczkolwiek gdyby był już ktoś taki, Luisa nie musiałaby mi o niczym opowiadać, również o tym, kogo widuje albo z kim się umawia, nie wspominając już o tym, z kim sypia i kogo odprowadza do drzwi w szlafroku zarzuconym na rozgrzane nagie ciało, z kim żegna się długim pocałunkiem, jakby chciała przechować ten smak do następnego razu. Może jest blada pod koniec długiego dnia, bez śladu makijażu, włosy ma potargane jak dziecko po całodziennym zabawie, a podkrążone oczy i poszarzała cera wskazują na zmęczenie, nawet chwilowa radość z tego, co właśnie się zdarzyło, nie potrafi upiększyć jej twarzy, która domaga się odpoczynku i snu, jeszcze więcej snu, żeby wreszcie przestać myśleć. Ja też nie opowiedziałem jej o tych trzech kobietach, które zostały u mnie na noc, o żadnej z nich – o której? po co miałbym to robić? – nawet o tej, która przyszła ponownie.

Żebracy już się wycofali, zgarnawszy swoje trofea – są zwykłym *interregnum* popiołu i cienia – plac jest niemal pusty, od czasu do czasu ktoś przechodzi, nikt nigdzie nie jest ostatni, zawsze ktoś przechodzi później. Palą się światła w eleganckim hotelu i w kilku mieszkaniach, ale w tej chwili żadna postać nie pojawia się w moim polu widzenia. Nieodgadniony tancerz z naprzeciwka już skończył i zgasił światło, zresztą rozpoczął dziś o zbyt późnej porze, żeby podołać dłuższym harcom. Zostaję więc zupełnie sam niczym narzeczony lub kochanek, zarazem z krwi i kości i fantomiczny, mało znaczący, jestem tu i ciągle nie śpię.

„Si?”

Podniosłem słuchawkę na dźwięk dzwonka, była tuż pod ręką. Machinalnie odezwałem się po hiszpańsku, od dłuższego czasu rozmyślałem w swoim języku.

„Deza”. Tak właśnie, po nazwisku, zwracała się do mnie Luisa, kiedy czuła się winna albo czegoś ode mnie chciała, a także kiedy była w złym humorze z mojego powodu. „Cześć, pewnie próbowałeś się dodzwonić, przepraszam, siostra przez godzinę trzymała mnie w charakterze osobistego psychoterapeuty przy telefonie, fatalnie układa jej się z mężem, a mnie uważa teraz za ekspertkę. Dobrze, co? Dzieci już śpią, naprawdę mi przykro, położyłam je o zwykłej porze, szczerze mówiąc, kompletnie zapomniałam, że dziś jest czwartek, przypomniałam sobie dopiero przed chwilą, kiedy skończyłam z nią rozmawiać, wiesz, jak to jest: coś, co dla ciebie jest całkiem jasne, w ogóle takie nie jest dla tej drugiej osoby, powtarzasz jej wszystko dziesięć razy i powoli szlag cię trafia, tak samo z moją siostrą, w gruncie rzeczy chce słyszeć tylko to, co sama sobie mówi, a nie to, co ja mogę jej powiedzieć albo doradzić. Co u ciebie?”

Wydawała się zmęczona i nieobecna, jakby rozmowa ze mną była dla niej dodatkowym wieczornym obowiązkiem, którego nie wzięła wcześniej w rachubę, i jakby nadal prowadziła rozmowę z siostrą, nie ze mną, zakładając, że rozmowa z siostrą w ogóle się odbyła. Zawsze jest tak samo, każdego dnia, ciągle, przy każdej wymianie słów z każdym możemy wierzyć albo nie wierzyć w to, co nam się mówi, nie ma tak wielu możliwości, wierzymy zatem prawie we wszystko, co nam się mówi, a jeżeli nie wierzymy, to zazwyczaj zachowujemy w tym względzie milczenie, w przeciwnym wypadku wszystko się staje uciążliwe i skomplikowane. Cokolwiek zatem zostanie powiedziane, przyjmowane jest w zasadzie jako prawda, i to co prawdziwe, i to co fałszywe, chyba że to ostatnie jest nagminne, nagminnie fałszywe. Nie był to teraz przypadek

Luisy, mówiła o czymś, co mogło się wydarzyć naprawdę lub co tylko maskowało prawdę, czyli jakąś inną rozmowę telefoniczną, kolację w mieście i wynajęcie gadatliwej opiekunki do dzieci, czyjąś dłuższą wizytę i pożegnanie, to nie była moja sprawa, zresztą jakie mogło to mieć znaczenie, musiałem przyjąć wyjaśnienie Luisy za dobrą monetę, właściwie nie powinienem zadawać żadnych pytań. A poza tym jest przecież inna możliwość, posługujemy się półprawdami, prawda nas inspiruje do wymyślania i snucia na jej podstawie kłamstw, zawsze więc te kłamstwa mają w sobie ziarno prawdy, osnowę, punkt wyjścia, swoje źródło. Ja zazwyczaj wiem, nawet jeżeli owe kłamstwa mnie bezpośrednio nie dotyczą albo nie ma sposobu, by się o tym przekonać (często nic mnie nie obchodzą, jest mi wszystko jedno). Odkrywam je bez konieczności posiadania dowodów, ale na ogół zachowuję tę wiedzę dla siebie, chyba że ktoś mi płaci za to, bym je wskazał, jak wówczas gdy zajmowałem się tym zawodowo w Londynie.

„Wszystko dobrze”, powiedziałem i nawet to krótkie zdanie było fałszywe. Właściwie wcale nie miałem ochoty rozmawiać. Nawet pytać co u dzieci, z pewnością nic nowego. Mimo to podała mi szybki skrót wiadomości, niejako tytułem zadośćuczynienia za to, że nie usłyszałem dziś wieczorem ich głosów: może dlatego zwróciła się do mnie po nazwisku, Deza, chciała, żebym jej wybaczył niedopatrzenie, którego nie wypominałem, bo i tak te kilkuminutowe rozmowy telefoniczne z synem i córką były zawsze rutynowe i idiotyczne, zawsze te same moje pytania i podobne ich odpowiedzi, nigdy mnie o nic nie pytali z wyjątkiem tego, kiedy przyjadę i co im przywiozę, potem kilka czułych słów i jakiś żarcik, wszystko drętwe, uczucie przykrości przychodziło później, w ciszy, przynajmniej w moim przypadku, ale dawało się znieść.

„Jestem ledwie żywa”, powiedziała na zakończenie Luisa. „Nie mam już siły dzisiaj rozmawiać przez telefon. Idę spać”.

„Dobrej nocy. Spróbuję zadzwonić w niedzielę. Śpij dobrze”.



Odłożyłem słuchawkę, a raczej odłożyliśmy słuchawki, ja też czułem się wykończony, nazajutrz czekał mnie huk pracy w BBC Radio, ciągle tam pracowałem, nie wiedziałem, że już niedługo. Gdy rozbierałem się przed snem, przypomniałem sobie jak kiedyś, tysiąc lat temu, niedługo po urodzeniu się naszego syna, nie całkiem jeszcze przyzwyczajony do istnienia dziecka, do jego wszechobecności, zadałem Luisie bzdurne pytanie, kiedy rozbierała się do snu. Zapytałem ją wówczas, czy sądzi, że mały zawsze już będzie mieszkał z nami, dopóki będzie dzieckiem albo nastolatkiem. Zdziwiona i odrobinę zniecierpliwiona odpowiedziała: „Jasne, a niby z kim? Co za idiotyczne pytanie”. I zaraz dodała: „Jeżeli nic nam się nie przytrafi”. „Co masz na myśli?”, spytałem trochę rozkojarzony, jak często w owym czasie. Stała niemal naga. I odpowiedziała: „Nic złego”. Teraz nasz syn wciąż jeszcze był dzieckiem, a jednak nie mieszkał już z nami, tylko z nią i z naszym drugim dzieckiem, ze swoją siostrą, która też miała zawsze mieszkać z nami. Musiało nam się zatem przytrafić coś złego, może nie nam obojgu, tylko mnie. Albo jej.

Przy pierwszym kontakcie i na przyjęciu Tupra okazał się miłym człowiekiem, uśmiechniętym i zaskakująco przyjaznym jak na mieszkańca Wysp Brytyjskich, jego delikatna prostoduszna próżność nie była uciążliwa, wręcz przeciwnie, pozwalała traktować go z odrobiną ironii i budziła odruchową niemal sympatię. Był ponad wszelką wątpliwość Anglikiem mimo swego dziwaczego nazwiska, bardziej Bertramem niż Tuprą: gestykulacja, intonacja, naprzemiennie wysokie i niskie tony w obrębie jednej wypowiedzi, lekkie kołysanie się na piętach z rękoma założonymi na plecach, nieśmiała początkowo postawa, uważana w Anglii za wyraz uprzejmości albo wstępną deklarację, że nie będzie się podejmować żadnych prób werbalnej dominacji – w jego przypadku ta nieśmiałość była bardzo początkowa, to znaczy nie trwała dłużej niż wzajemne prezentacje; a mimo to miał w sobie odmienność, jakiś odległy, lecz widoczny ślad obcych korzeni – może tylko ze strony ojca – może przesiąkł tym bezwiednie i całkiem naturalnie w domu i nigdy nie utracił mimo swego miejsca zamieszkania, szkoły, a nawet studiów na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie ludzie nabierają specyficznej manieri, uczą się szczególnego sposobu wyrażania się i ekskluzywnych charakterystycznych zachowań – będących niczym swoiste znaki rozpoznawcze albo kody – znacznej wyniosłości, a nawet tików na twarzy w przypadku osobników bardziej i śmieiej utożsamiających się z miejscem czy raczej z jego legendą. To coś pozostawało w związku z pewną twardością charakteru lub niejakim stałym napięciem, a może była to jakaś odsunięta w czasie, ukryta, trzymana na wodzy porywczność, zawsze gotowa wybuchnąć bez świadków – albo tylko przy osobach zaufanych. Nie wiem, jak to wyrazić, nie zdziwiłbym się bowiem, gdyby Tupra, będąc sam w domu bądź nie mając

nic lepszego do roboty, tańczył jak wariat w swoim pokoju, z partnerem lub bez, ale raczej w parze z kobietą, rzucało się w oczy, że niezmiernie lubi kobiety (w Anglii, gdzie wszyscy się krygują, takie rzeczy są bardzo widoczne), nie tylko tę jedną, z którą w danej chwili był, lecz niemal wszystkie, nawet te w dojrzałym wieku, miał jakby zdolność widzenia ich takimi, jakie były dawniej, jako młode kobiety, a kto wie, może i jako małe dziewczynki, jakby potrafił czytać w nich wstecz i okiem zagłębionym w przeszłość sprawić, by ta przeszłość w chwili, gdy on się jej przyglądał i ocalał ją, na nowo stawała się teraźniejszością i by te kulące się w sobie, wędnące, wycofujące się kobiety odzyskiwały w jego obecności zdolność pożądania i wigor (a może nie było to nic ponad blask; szalone efemeryczne iskrzenie, bardziej efemeryczne nawet niż pierwszy błysk zapałki po potarciu o draskę). Uderzające było, że nie tylko on je tak widział swoimi oczyma, lecz że widzieli je tak inni, jakby zarażał ich swoją wizją, gdy o nich opowiadał lub, innymi słowy, jakby uczył nas i przekonywał, by dostrzegać to, co on widział od razu, a czego my nigdy byśmy nie zobaczyli bez jego pomocy, bez jego słów i palca wskazującego.

Zaobserwowałem to już podczas bufetowej kolacji u sir Petera Wheelera, później oczywiście też, lepiej go poznawszy. Potem zdałem sobie bowiem sprawę, że jego ostrość widzenia napisanych już w połowie biografii i przebytych w połowie dróg dotyczy wszystkich w ogóle, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, chociaż kobiety pobudzały go i poruszały dużo bardziej. Na przyjęciu zjawiał się w towarzystwie kobiety, którą wcześniej zapowiedział Wheelerowi jako swoją narzeczoną, osoby o dziesięć, piętnaście lat od niego młodszej, która zdawała się znać na wylot tak Tuprę, jak i tę sytuację: nie szczędziła uśmiechów zamożniej wyglądającym gościom i zadawała się z nimi bez entuzjazmu, starając się brać udział w rozmowie, jakby odgrywała znaną na pamięć rolę i myślała tylko o tym, która to może być godzina (w istocie dwa razy zerknęła bezwiednie na zegarek). Była wysoka,

niemal za wysoka na wysokich obcasach, poruszała się na nich perfekcyjnie, miała nogi silne i umięśnione, jak Amerykanka, a twarz nieco końską, rysy wdzięczne, ale groźnie zarysowaną dolną szczękę, duże, ściśnięte, zbyt długie zęby, w uśmiechu górna warga załamywała się w połowie i prawie znikła – nie było jej do twarzy z uśmiechem. Ładnie pachniała swoim naturalnym zapachem, należała do kobiet, których przyjemna, lekko kwaśna woń – bardzo ponętny zapach ciała – przebija wszelkie dodatki, to z pewnością ten zapach najbardziej podniecał jej narzeczonego (nie mówiąc o wyeksponowanych udach).

Tupra mógł mieć około pięćdziesięciu lat i był od niej niższy, jak większość mężczyzn na przyjęciu, wyglądał jak doświadczony w podróżowaniu dyplomata, ciągle jeszcze wysyłany z nienacka to tu, to tam, albo jak wysoki urzędnik działający raczej poza biurem niż w biurze, to znaczy jak ktoś, kto nie tyle jest ważny nominalnie, ile niezbędny w praktyce, raczej przyzwyczajony do gaszenia wielkich pożarów i łatania dużych dziur, do zażegnania wojen, do uspokajania i ogrywania rebeliantów niż do wypracowywania strategii zza biurka. Sprawiał wrażenie człowieka mocno stąpającego po ziemi, nie zagubionego na szczytach władzy ani ślepo stosującego protokół: czymkolwiek się zajmował („w swoim fachu”), z pewnością częściej chodził po ulicach niż po dywanach, aczkolwiek były to pewnie wybrane, eleganckie i zamożne ulice. Ciemne włosy łagodziły wrażenie pękatej czaszki, były ciemniejsze, gęstsze i bardziej kręcone, niż spotyka się zazwyczaj w Wielkiej Brytanii (z wyjątkiem Walii), prawdopodobnie farbował je sobie na skroniach, gdzie skręcały się niemal w pierścionki, zdradzając niepożądaną, chociaż późną siwiznę. Oczy miał niebieskie albo szare, zależnie od światła, rzęsy długie i nazbyt gęste, by nie wzbudzały zazdrości każdej niemal kobiety i podejrzeń każdego niemal mężczyzny. Spojrzenie białych oczu było żartobliwe, nawet jeśli bez takiej intencji – wyraziste zatem i wówczas, gdy

było bez wyrazu – i dość życzliwe czy też powinienem powiedzieć: dowartościowujące, dla takich oczu zawsze jest ważne to, co mają przed sobą, osoby, na których spocznie takie spojrzenie, czują się godne zainteresowania, jakby jego bystrość od razu kazała oczekiwać, że przeniknie do głębi osobę, przedmiot lub scenę. Potępia się taki rodzaj patrzenia, rzadko już występujący w naszych społeczeństwach, i odmawia mu się prawa bytu. W Anglii na pewno nie zdarza się często, bo tamtejsza długa tradycja nakazuje, by spojrzenia były ukradkowe, bez wyrazu i nieobecne; ale i w Hiszpanii, gdzie przecież patrzono tak dawniej, teraz nikt nikogo nie widzi ani nie wykazuje w tym kierunku najmniejszego zainteresowania, a swoiste spojrzeniowe sknerstwo każe ludziom zachowywać się tak, jakby innych w ogóle nie było albo jakby byli tylko kształtem lub przeszkodą do ominięcia bądź oparciem, na którym można się wesprzeć lub można po nim przejść, a jeśli się wgniecie, to i lepiej, i wszystkim się wydaje, że bezinteresowne spojrzenie na bliźniego byłoby przyznaniem mu niezasłużonego znaczenia, które w dodatku pomniejsza znaczenie samego patrzącego.

Jednakże ktoś, kto nadal patrzy tak jak Bertram Tupra, pomyślałem, kto skupia wzrok na właściwej wysokości, czyli na wysokości człowieka, kto chwyta i łapie, a raczej przyswaja pojawiający się przed nim obraz, wiele zyskuje, szczególnie na wiedzy i na tym, co wiedza umożliwia: może nakłaniać i wywierać wpływ, może stać się niezbędnym i spowodować, by za nim tęskniono, gdy się odsuwa lub odchodzi albo użyje takiej groźby, może odradzać i przekonywać, i zawłaszczać, może insynuować i podbijać. Tupra przypominał w tym Toby'ego Rylandsa, którego był studentem, wykazywał ciepłe, wszechogarniające zainteresowanie; miał też coś wspólnego z Wheelerem, mimo że spojrzenie Wheelera było nieufne, czujne, oczy zawsze sprawiały wrażenie wyrabiających sobie opinię, nawet gdy zdawały się zamyślane, rozkojarzone lub senne, myślących

samodzielnie bez udziału głowy, osądzających, gdy nie było potrzeby wydawania sądu nawet na własny użytek. Tupra natomiast początkowo nie wzbudzał strachu, nie sprawiał takiego wrażenia i dlatego nie czułeś potrzeby, by mieć się na baczności, zapraszał cię raczej do opuszczenia tarczy i zdjęcia hełmu, by lepiej mógł się przyjrzeć. Wszyscy trzej mieli ze sobą coś wspólnego, a on, jako łączące ogniwo, sprawił, że uświadomiłem sobie więcej podobieństw między dwoma starcami, przyjacielem żyjącym i przyjacielem zmarłym: pokrewieństwo charakterologiczne; a może nie chodziło o to, lecz o podobne zdolności. Może u wszystkich trzech to był dar.

Pomyślałem, że Tupra musi nieodparcie pociągać kobiety (myślałem tak wiele razy, widziałem to) niezależnie od ich pozycji społecznej, zawodu, doświadczenia, zadufania w sobie czy wieku, mimo że miał już około pięćdziesiątki i właściwie nie był przystojny, był jednak ogólnie atrakcyjny, aczkolwiek niektóre jego cechy mogły być dla obiektywnego obserwatora odpychające: nie tyle zbyt gruby nos, jakby rozbity kiedyś jednym ciosem albo kilkoma, nie tyle niepokojąco błyszcząca i gładka jak na ten wiek skóra w złocistym odcieniu piwa (naturalnie wolna od zmarszczek bez sztucznych zabiegów), nie tyle brwi przypominające plamy sadzy i chętnie się zrastające nad nasadą nosa (pewnie wyskubywał je co jakiś czas pęsetą), lecz raczej usta, zbyt miękkie i mięsiste, pozbawione jędrności i za szerokie, wargi trochę afrykańskie, a może raczej indyjskie albo słowiańskie – z pewnością cofały się przy pocałunku i rozpląszczały jak miętka, ugnieciona plastelina albo takie powodowały uczucie swoim dotykiem jak dotyk przyssawki, dotykiem stałej nieusuwalnej wilgoci. A mimo to, pomyślałem, usidli każdego, kogo będzie chciał, bo nic nie ma krótszego żywota niż obiektywizm, a gdy go zabraknie lub gdy człowiek się go pozbędzie, by móc dalej żyć, nic nie jest odpychające. Poza tym niektórym podobają się pewnie takie usta i rozpalają w nich namiętność.

W wieku męskim, a i w niepewnych latach pierwszej młodości, rzadko kiedy czułem się bez szans w obecności innego mężczyzny przekonany, że gdyby taki gość lub *fellow* spojrzął na towarzyszącą mi kobietę, nie zdołałbym żadną miarą jej przy sobie zatrzymać. Jednakże nie towarzyszyła mi żadna kobieta ani podczas kolacji u Wheelera, ani przez większość czasu, kiedy pracowałem u Tupry jako jego współpracownik. Całe szczęście, że nie ma ze mną Luisy, pomyślałem; nie ma jej tu i nie powinienem się obawiać (myślałem tak wiele razy, widziałem to). Ten mężczyzna bawiłby ją, rozumiał i pochlebiałby jej, zabierałby ją co wieczór do miasta i wystawiał na najstosowniejsze i najbardziej owocne z niebezpieczeństw, byłby troskliwy i solidarny i wysłuchałby jej opowieści od początku do końca, i odseparowałby ją także od wszystkiego, i narzuciłby jej niepostrzeżenie swoje wymagania i zakazy, wszystko równocześnie lub w bardzo krótkim odstępie czasu, i nie musiałby wcale kopać ani całą głębiej, żeby mnie posłać na samo dno piekła, ani też podejmować najmniejszego wysiłku, by odesłać mnie w niebyt, mnie i wspomnienia o mnie, jej incydentalną i nieprawdopodobną tęsknotę za mną.

To przekonanie powodowało, że stosunek jego nowej narzeczonej do niego wydawał mi się jeszcze dziwniejszy, kobieta sprawiała takie wrażenie, jakby jakiś czas temu przebyła już z nim całą podróż: podróż była długa, nawet dłuższa, niż planowano, i doprowadziła do przesytu wspólną wędrówką, a tym samym do lekkiego znudzenia samym Tuprą, którego, rzecz by można, tolerowała raczej ze względu na dawną zażyłość i pojednawczą naturę – może też trochę naturę pochlebcy – niż podążała za nim po wielkim salonie z entuzjazmem bądź natrętną uporczywością nowej kochanki czy nowego kochanka, którzy jeszcze nie dają wiary swemu szczęściu (on mnie kocha, ona mnie kocha, co za rozkosz) i myślą je z przeznaczeniem albo podobnymi wzniosłymi głupstwami. Nie żeby nie

wydawała się uzależniona od Tupry, raczej jednak z tego względu, że był jej osobą towarzyszącą i to on zaciągnął ją lub przyprowadził do domu Wheelera i do tych wszystkich ludzi, w połowie pracowników uniwersytetu, w połowie dyplomatów, finansistów, polityków lub przedsiębiorców, a może też literatów bądź przedstawicieli wolnych zawodów (trudno rozeznąć się wśród elegancko ubranych ludzi w obcym kraju rządzącym się archaiczną etykietą, choćby się tam mieszkało; na przyjęciu był też obecny ogromnego wzrostu podchmielony mężczyzna ze szlacheckim tytułem, lord Rymer, mój stary znajomy z Oksfordu i emerytowany już dyrektor, czyli *warden*, jednego z oksfordzkich kolegów, All Souls), nie przyszła zaś z wyboru, posłuszeństwa, ochoty lub miłości albo z naturalnej chęci poznania czegoś nowego, co przez krótką chwilę ociąga się z utratą waloru nowości, a to właśnie chciałoby się przyspieszyć (wszystko co nowe jest bardzo męczące, bo wymaga nauki i nie ma wytyczonego biegu). Peter przedstawił mi ją jako Beryl, bez żadnych dodatków. „Mr Deza, stary przyjaciel z Hiszpanii”, powiedział po angielsku, kiedy przyszli, a ja już byłem w środku, nadał im wyższą rangę, przedstawiając mnie w pierwszej kolejności, zobowiązywała do tego obecność damy, a może i coś więcej; potem dodał: „Mr Tupra, z którym przyjaźń sięga jeszcze dalszych czasów. A to Beryl”. Nic więcej.

Jeżeli Wheeler chciał, żebym przyjrzał się Tuprze i poświęcił mu więcej uwagi niż innym gościom, przeliczył się w swoich rachubach, zapraszając równocześnie innego Hiszpana, niejakiego De la Garzę, nie byłem pewien początkowo: attaché kulturalnego, prasowego czy też sprawującego jeszcze bardziej nieokreśloną i pasożytniczą funkcję w ambasadzie Hiszpanii, aczkolwiek po kilku jego wypowiedziach nie mogłem całkowicie wykluczyć, że jest urzędnikiem delegowanym jedynie do stosunków nieobyczajnych, degustacji alkoholi, potajemnego dawania łapówek i dotrzymywania towarzystwa. Był to osobnik nienagannie ubrany,



ograniczony i bezczelny, który – jak to na ogół bywa wśród moich rodaków, gdy los zetknie ich z cudzoziemcem przy jakiegokolwiek okazji lub w jakimkolwiek miejscu, czy to w Hiszpanii, gdzie są gospodarzami, czy to poza nią, gdzie są podejmowani jako goście, bez względu na to, czy stanowią większość czy też występują w pojedynkę – nie znosił w gruncie rzeczy zadawać się z cudzoziemcami ani znajdować się w uciążliwej sytuacji, gdy trzeba okazać im trochę uprzejmego zainteresowania, kiedy zatem natknął się na ziomka, przykleił się do mnie na dobre i przestał zwracać jakąkolwiek uwagę na tubylców (koniec końców to myśmy tam byli przyjezdni), wyjąwszy dwie albo trzy, a może cztery seksualnie ponętne kobiety wśród piętnastu w sumie biesiadników (posiłku na zimno, czyli z bufetu, przysiadających więc na krótkie chwile w różnych miejscach, kręcących się to tu, to tam albo stojących), chociaż polegało to bardziej na gapieniu się na te kobiety w nazbyt czytelny sposób, wypowiedaniu na ich temat grubiańskich uwag, wskazywanie na nie nieokiełznanymi ruchami brody – posunął się nawet do tego, że raz czy dwa dał mi w bok bezwstydnego, niedopuszczalnego, porozumiewawczego kuksańca – niż na podejściu i nawiązaniu znajomości lub rozmowy, czyli na przejściu ze stadium patrzenia do bardziej konkretnych zalotów, co na pewno nie było dla niego łatwe po angielsku. Kiedy nas sobie przedstawiono, od razu zauważyłem jego radość i ulgę: mając pod ręką Hiszpana, nie tracił czasu i oszczędzał sobie fatygi posługiwania się lokalnym językiem, którym w swoim mniemaniu mówił, ale jego mało wyszukany akcent powodował, że najzwyklejsze słowa brzmiały jak chrapliwy bełkot niezrozumiały dla nikogo oprócz mnie – co nie było zaszczytem, lecz męką, bo moje obeznanie z jego niewzruszoną fonetyką pozwalało mi odszyfrowywać mimowolnie wszystkie bzdury oraz impertynencje; mógł bez zahamowań dawać upust swojemu krytykanctwu i przeklinać do woli, nie ryzykując, że ktoś z krytykowanych go zrozumie,

czasem zapominał co prawda o sir Peterze Wheelerze i jego znakomitej znajomości języka hiszpańskiego, kiedy jednak o tym pamiętał, a gospodarz znajdował się na odległość słuchu, przechodził na obsceniczny rynsztokowy żargon, to znaczy na jeszcze bardziej obsceniczny i rynsztokowy niż w innych sytuacjach; czuł się uprawniony do poruszania przy mnie absurdalnych tematów krajowych, nie zawsze wynikających z rozmowy, a ja nic prawie nie wiem o bykach ani o kretynizmach lansowanych przez tabloidy, ani o członkach rodziny królewskiej, aczkolwiek nie mam też nic przeciwko tym pierwszym i prawie nic przeciwko tym ostatnim; mógł też przy mnie kląć i wtrącać do woli wszelkie plugastwa, a w obcym języku to rzeczywiście jest trudne (potoczyście i przekonująco) i na ogół ludziom bardzo tego brakuje, jeżeli są do takiego mówienia przyzwyczajeni, często miewam okazję przekonać się o tym za granicą, gdzie widzę, jak ministrowie, arystokraci, ambasadorowie, potentaci przemysłowi i profesorowie uniwersytetów, a nawet ich szacowne i bardzo wyelegantowane żony i córki, jak również matki i teściowe różnej proveniencji, wiedzy i wieku natychmiast wykorzystują moją obecność, by wylać z siebie potok piekielnych przekleństw i wyzwisk po hiszpańsku (albo po katalońsku). Spadłem De la Garzy z nieba i byłem dla niego błogosławieństwem, nie odstępował mnie zatem i chodził za mną krok w krok po pokoju i ogrodzie, nie zważając na wieczorny chłód, i raczył mnie na zmianę wulgaryzmami i nadętą uczonością oraz odreagowywał po hiszpańsku swój stres.

Przez cały wieczór był moim cieniem i nawet jeżeli rozmawiałem z innymi osobami, oczywiście po angielsku, on pojawiał się po kilku chwilach (gdy jego rozmówca umknął zniesmaczony nagromadzeniem fonetycznych idiotyzmów i przeinaczeń) i wtrącał się, najpierw w swojej okropnej angielszczyźnie, by – wobec faktu, że zrozumienie go wymagało nie lada wysiłku od moich rozmówców – przejść od razu na hiszpański

z oczywistym żądaniem, żebym mu służył za tłumacza symultanicznego („Dalej, przetłumacz tej głupiej krowie mój dowcip, przecież widać, że nic nie kuma”), i ze skrywaną intencją wypłoszenia wszystkich moich interlokutorów i zapewnienia sobie monopolu na moją uwagę i na rozmowę ze mną. Starłem się nie dać mu tej satysfakcji i spokojnie robiłem swoje, nie słuchając jego paplaniny, chyba że zanadto podnosił głos i docierały do mnie dwuznaczne fragmenty albo pojedyncze słowa, które wtrącał przy pierwszej chwili ciszy, lub nawet na takową chwilę nie czekając, ale i wtedy nie wiedziałem najczęściej, jaki jest ich kontekst, ponieważ attaché De la Garza tkwił obok, jakby był moim prywatnym attaché, i ani na chwilę nie przestawał perorować niezależnie od tego, czy mu odpowiadałem, słuchałem go czy nie.

To się zaczęło po naszym pierwszym spięciu – zaskoczyło mnie, wywinąłem się zmaltretowany i zaniepokojony – kiedy to przepytał mnie na okoliczność moich obowiązków i wpływów w BBC Radio, a zaraz potem zaproponował mi sześć albo siedem pomysłów na programy radiowe oscylujące między imperialną arogancją i bezdenną głupotą, a często łączące jedno i drugie, rzekomo pożyteczne z punktu widzenia jego ambasady oraz naszego kraju i bez najmniejszej wątpliwości jego osobistej kariery, zakomunikował mi mianowicie, że jest specjalistą od nieszczęsnego Pokolenia 27 (nieszczęsnego, bo wyeksploatowanego do granic i strywializowanego) i od nieszczęsnego Złotego Wieku (nieszczęsnego, bo wałkowanego na okrągło), i od wcale nie nieszczęsnych pisarzy faszystowskich z okresu przed wojną domową, po wojnie domowej i w trakcie wojny domowej, chociaż byli to zawsze ci sami pisarze (nie ponieśli w czasie walk większych strat, niestety), chociaż on ich oczywiście nie określił tym epitetem, bo tę bandę donosicieli i lepszych cwaniaków uważał za godnych szacunku bezstronnych ludzi.

– To w większości nadzwyczajni styliści, trzeba być naprawdę małoduszny, żeby się czepiać poglądów politycznych, mając do czynienia z taką poezją i prozą. Trzeba wreszcie oddzielić literaturę od polityki, chłopie. – I dodał z naciskiem: – Już na to, kurwa, czas. – Prezentował sobą mieszankę pretensjonalności i chamstwa, ckliwości i prostactwa, czułościowości i arogancji tak częstą wśród moich rodaków, istna plaga i poważne zagrożenie (ciągle zdobywa sobie nowych adeptów, z pisarzami na czele), kiedyś cudzoziemcy uznają to wreszcie za dominującą cechę charakteru narodowego. Odkąd mnie poznał, zwracał się do mnie per „ty”, dla zasady: należał do tych Hiszpanów, którzy formę „pan” rezerwują już tylko dla podwładnych i rzemieślników.

Chciałem cisnąć rękawiczką w tę przylizaną wypomadowaną głowę (jak nic przylepiłaby się do włosów), ale pod ręką miałem tylko serwetkę, a – mimo postępującej bylejakości naszych czasów – to jednak nie to samo, odpowiedziałem zatem, raczej szorstko niż pogardliwie, żeby sobie ulżyć:

– Istnieje taka proza i taka poezja, których styl jest sam w sobie faszystowski, choćby traktowały o słońcu i księżycu i choćby były podpisane przez samozwańczych lewicowców, pełno tego w naszych gazetach i księgarniach. To samo tyczy się umysłów albo charakterów: niektóre same w sobie są faszystowskie, choćby należały do ludzi chętnie wznoszących zaciśniętą pięść i zawsze obecnych na manifestacjach i pochodach, wśród których uwijają się gromady robiących im zdjęcia fotoreporterów. Jeszcze by tego brakowało, żeby rehabilitować sposób myślenia i styl ludzi, którzy nie dość, że byli faszystami, to jeszcze ogłaszali to z dumą na każdym kroku na wypadek, gdyby nie dało się tego wyczytać z ich pisanego, z każdej wydrukowanej strony i każdego donosu złożonego na policji. I bez tego odcisnęli swój ślad wśród dzisiejszych pisarzy, aczkolwiek większość z nich się do tego nie przyznaje i powołuje się na mniej skompromitowanych mentorów, choćby na nieszczęsnego

Queveda, a niektórzy nie są nawet świadomi tej bezpośredniej schedy, którą mają we krwi i która aż w nich kipi.

– Kurwa, chłopie, jak ty możesz mówić takie rzeczy? – zaprotestował De la Garza bardziej ze zdumienia niż z prawdziwego sprzeciwu, na który nie dałem mu czasu. – Skąd możesz wiedzieć, czy jakiś styl jest sam w sobie faszystowski? Albo umysł? Popisujesz się i tyle.

Kusiło mnie, żeby odpowiedzieć, naśladowując jego sposób mówienia: „Jak sam tego nie widzisz po pierwszych czterech akapitach tekstu albo po półgodzinnej znajomości z kimś, to znaczy, że nie masz, kurwa, bladego pojęcia o literaturze ani o ludziach”. Zamiast tego zamyśliłem się na chwilę, zamyśliłem powierzchownie. Tak, faktycznie nie było łatwo wytłumaczyć, skąd to wiem ani nawet na czym polega ten typ umysłowości i stylu o tak wielu różnych obliczach, ja jednak umiałem szybko je rozpoznać, albo tak mi się wówczas zdawało, a może istotnie była to tylko czcza przechwałka. Z pewnością przesadziłem – chociaż tylko w głębi ducha – mówiąc o czterech akapitach i półgodzinnej znajomości, powinienem był powiedzieć lub pomyśleć: „po kilku godzinach znajomości”, a i tak byłaby to przechwałka. Bywa, że trzeba na to dni i tygodni albo miesięcy i lat, czasem widzi się coś jasno w tej pierwszej półgodzinie, by później stracić ostrość widzenia i odzyskać ją dopiero po upływie dziesięciolecia lub połowy życia, a zdarza się, że nie da się jej odzyskać już nigdy. Czasem najlepiej nie godzić się na to, by minęło więcej czasu, nie pozwolić, by nas omotał darowany innym czas i zmylił nas czas nam darowany. Najlepiej nie dać się oslepić, co czas zawsze stara się zrobić, a równocześnie bezustannie mija. Podobnie wcale nie było już łatwo zdefiniować, co jest faszystowskie, to określenie zmienia się w przestarzałe i często używa się go niewłaściwie i oczywiście nieprecyzyjnie, aczkolwiek ja zwykłem używać go w potocznym znaczeniu i niewątpliwie przez analogię, a w tym znaczeniu i użyciu dobrze wiem, co oznacza, i wiem, że używam go właściwie.

Wobec De la Garzy użyłem go jednak głównie po to, żeby mu dokuczyć i umieścić we właściwym miejscu wszystkich tych okropnych pisarzy faszystowskich, których darzył taką estymą, ten facet nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia, wielu takich widziałem, odkąd byłem dzieckiem, oni nie wymierają, wkładają tylko odpowiedni kostium i dostosowują się: są wielkopańscy, próżni i bardzo sympatyczni, uśmiechnięci, a nawet pozornie serdeczni, są ambitni i raczej fałszywi (tak, nie są całkiem fałszywi), starają się robić wrażenie wyrafinowanych, a zarazem udają swoich chłopów czy wręcz plebejuszy (zła to imitacja, nikogo nie nabiorą, szybko ich demaskuje wewnętrzna niechęć do tego, co naśladują), dlatego nadużywają przekleństw w przekonaniu, że to z nich robi prostych ludzi i zaskarbia im zaufanie niezdecydowanych, dlatego łączą w sobie nienaturalne wyrafinowanie z nieco żołdackimi manierami i więziennym żargonem, bardzo im się przydała do tego służba w wojsku, i koniec końców otrzymujemy wyperfumowanego chama. Nie miałem wrażenia, by De la Garza był faszystą, nawet przez analogię. Miał tylko umysłowość pochlebcy, należał do ludzi, którzy nie mogą znieść myśli, że ktoś mógłby ich nie lubić, nawet ktoś, kogo sami nie cierpią, należał do ludzi starających się, by kochali ich nawet ci, których krzywdzą. Tylko wtedy wbijał sztylet z własnej inicjatywy, kiedy musiał zabiegać o czyjeś względy, wkradać się w czyjeś łaski albo gdy otrzymywał takie polecenie i wówczas działał bez skrępułów, bo tacy ludzie mają bardzo elastyczne sumienie.

Odsunąłem jednak te myśli na później, w odpowiedzi pokręciłem tylko głową i uniosłem brwi, jakbym mówił: „Cóż więcej mogę powiedzieć?”, dałem spokój temu tematowi, a i on nie nalegał, skorzystał z mojego milczenia, by zakomunikować, że ma też od groma wiadomości – tym razem z zamiłowania, nie jako ekspert – o światowej literaturze fantastycznej, łącznie ze średniowieczną (tak powiedział, że „od groma” i że „łącznie ze średniowieczną”). Z jego tonu mogłem wywnioskować, że

fantastykę uważa za coś z klasą. Pomyślałem sobie, że pewnego dnia zostanie ministrem kultury albo przynajmniej sekretarzem stanu w tej gałęzi, by użyć starego wyrażenia, aczkolwiek nigdy nie rozumiałem do końca, co znaczy „gałąź” w biurowatycznym, a nie botanicznym sensie.

Owo krótkie polityczno-literackie spięcie nie przeszkodziło attaché, jak już wspomniałem, przykleić się do mnie i w kilka chwil po naszej pierwszej rozmowie znowu deptał mi po piętach, mimo że kilkakrotnie odwracałem się do niego tyłem bez żadnych ceregieli i oddawałem konwersacji z innymi gośćmi w najbardziej wyszukany, afektowany i dla niego odstręczającym angielskim, na jaki było mnie stać. On zaś na przykład krótką rozmowę, którą miałem sposobność przeprowadzić z Tuprą, zakłócił niestosownymi wtrętami po hiszpańsku. Okazja po temu nadarzyła się, gdy obaj z Tuprą piliśmy kawę, stojąc w pobliżu kanap zajętych w owej chwili przez Wheelera, narzeczoną Beryl i piersiastą wdowę po dziekanie katedry w Yorku oraz jeszcze ze dwie albo trzy inne osoby, krążenie bowiem i zmiana miejsca to stałe elementy dramaturgii takich zimnych kolacji bufetowych na stojąco.

Prawdę mówiąc, Wheeler nic nie zrobił, żeby doprowadzić do naszej rozmowy, Tupry i mojej, zacząłem nawet podejrzewać, że jego długi telefoniczny wykład na temat tego gościa, czyli *fellow*, czy też raczej jego imienia i nazwiska, był przypadkowy i nie miał żadnego ukrytego celu, chociaż trudno mi było uwierzyć, by Peter kiedykolwiek poprzestawał na oczywistych i widocznych na pierwszy rzut oka celach, a już na pewno nie mogło być tak, by nie przyświecała mu w ogóle żadna intencja. Zajmował się w równiej mierze wszystkimi niemal gośćmi, wspomagany przez panią Berry (bardziej elegancką niż zazwyczaj), gospodynię odziedziczoną po Tobym Rylandsie, gdy ten zmarł wiele już lat temu, i przez trzech kelnerów zakontraktowanych na ten wieczór wraz z wiktuałami i kończących pracę punktualnie o dwunastej, jak napomknął mi z leciutką obawą w głosie (ufał,

że o tej porze nie zostanie już wielu gości). My dwaj prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, wiedząc, że będzie na to czas następnego dnia: miałem zanocować u niego, jak czasami robiłem, by spędzić razem przedpołudnie i zjeść wspólnie niedzielny obiad. Obserwując go z daleka, widziałem, że jak przystało na dobrego gospodarza, żadnego ze swych gości nie wyróżniał, nie aranżował także konkretnych spotkań, przynajmniej co się tyczy mnie, bo nie wierzyłem, żeby specjalnie wypuścił na mnie De la Garzę, który zadreślał mnie i paraliżował każdą moją rozmowę swoją paplaniną i uwagami zawsze nie na temat; choć De la Garza lepiej rozumiał angielski, niż sam nim mówił, to znaczna ilość alkoholu, którą podlewał swoje monologi – chciał brać udział w rozmowie, nie zadowalało go słuchanie samego siebie – szybko osłabiła jego zdolności intelektualne (jeśli tak to można nazwać) i sprawiła, że komentarze stały się jeszcze bardziej ordynarne.

Kiedy na przykład na samym początku kolacji rozmawiałem przez chwilę z Beryl (rozmawiała niechętnie i z obowiązku, nie wyglądałem jej na zamożnego gościa), krążył wokół nas i pozwalał sobie na niestosowne uwagi na jej temat, na szczęście nikt poza mną go nie rozumiał („Ja pierdołę, widziałeś, jakie ta laska ma długie nogi? Leżysz na nich jak na sankach. Jak obstawiasz? Myślisz, że moglibyśmy ją wyrwać temu cyganowi, z którym tu przyszła? Olewa go totalnie, ale on nie spuszcza z niej oka i gotów nas jeszcze dźgnąć nożem mimo angielskiej flegmy”). A kiedy prowadziłem nudną rozmowę o terroryzmie z irlandzkim historykiem o nazwisku Fahy, jego żoną i laburzystowskim burmistrzem Bóg raczy wiedzieć jakiej nieszczęsnej miejsciny w Oxfordshire, attaché, słysząc padające z moich ust nazwy kilku baskijskich miejscowości, usiłował wtrącić odrobinę folkloru („Słuchaj, powiedz im, że to dzięki nam, mieszkańcom Madrytu, Baskowie mają to swoje pieprzone San Sebastian, bo spędzaliśmy tam wakacje i daliśmy im je w prezencie przewiązane



wstążeczką, inaczej byłoby dziurą zabitą deskami, no już, powiedz im to, bo tyle ślęczą na tych uniwersytetach, a pojęcia o świecie nie mają”. W tym czasie mieszał już sherry z whisky i z trzema różnymi rodzajami wina). Obfite kształty wdowy po dziekanie katedry w Yorku podobały mu się jeszcze bardziej niż narzeczona Beryl, bo kiedy gawędziłem chwilę z wdową, De la Garza powtarzał: „Zajebista, nie ma co, smakowita kobitka”, widocznie brakowało mu słów, by dokonać bardziej wyrafinowanej analizy, ocenić detale, zauważyć subtelności albo cokolwiek dodać (wlał w siebie dodatkowo kieliszek porto). Jego podniecenie było równie szczeniackie jak słowo „zajebista” i bardziej pasowało do kogoś, kto nie miał jeszcze wiele do czynienia z kobietami, niż do starego, doświadczonego rozpustnika. Przyszło mi na myśl, że De la Garzę czeka jeszcze wiele nocy z kobietami, które uzna za godne pożądania tylko w wyniku nadmiaru alkoholu i własnej zachłanności, a następnego ranka będzie się łapał za głowę, widząc, że wieczorem wpakował się do łóżka z olbrzymią kuzynką Oliviera Hardy’ego albo uwodzicielskim sobowtórem Beli Lugosiego. Nie był to przypadek wdowy po dziekanie, rumianej, z miłą twarzą i wydatnym biustem podkreślonym jeszcze przez wielki naszyjnik z czegoś, co wyglądało mi na hessonity albo cyrkonie w kształcie cząstek pomarańczy, ale wdowa mogłaby być matką (prawda, że młodą) swego nieopierzonego wielbiciela o niewyparzonej gębie.

Tupra z filiżanką kawy w ręce zapytał mnie, jaką dziedziną się zajmuję, stosując się tym samym do oksfordzkich reguł, które każą przyjmować za pewnik, że każdy w tym mieście zajmuje się jakąś specyficzną dziedziną, ucząc bądź pracując naukowo, albo przynajmniej czymś, czym chce się pochwalić.

– Nie jestem zanadto stały w swoich zawodowych wyborach – odpowiedziałem – a na uniwersytecie pracowałem tylko chwilowo, właściwie przez przypadek. Wiele lat temu wykładałem tu przez dwa lata

literaturę hiszpańską i teorię tłumaczenia, sir Petera znam z tamtych czasów, chociaż miałem z nim wówczas mało do czynienia, a dużo więcej z profesorem Tobym Rylandsem, u którego jak rozumiem, pan studiował. – Mogłem na tym zakończyć, powiedziałem dostatecznie dużo jak na pierwszą odpowiedź, a nawet ułatwiłem mu zadanie, napomykając o Tobym, którego mógł zacząć teraz wspominać, a ja bym mu w tym z wielką przyjemnością asystował. Minęła jednak sekunda, dwie, a Tupra nie podjął rozmowy, pewnie zrobiłby to w trzeciej, czwartej, a może w piątej sekundzie (jeden, dwa, trzy, cztery; i pięć), ale tego nie jestem pewien, należał do tych rzadko spotykanych ludzi, którzy umieją wytrzymać ciszę, mogą milczeć i milczeć, choć nie z zamiarem wyprowadzenia z równowagi rozmówcy, lecz by okazać mu zaufanie, dać do zrozumienia, że gotowi są nadal słuchać, jeżeli tylko ta druga osoba chce dalej mówić. Taką podatnością na słuchanie i uprzejmym albo przyjacielsko żartobliwym spojrzeniem zapraszał do mówienia. Dałem się zaprosić, może i dlatego, że swoimi lakonicznymi informacjami chciałem zdobyć sobie większe prawo do zadania jemu takiego samego pytania, czyli do zapytania o jego dziedzinę, „jego fach”, jak wyraził się Wheeler, już czas, żebym się dowiedział, i dziwne, że rozważałem w kategorii „prawa” coś tak niewinnego i normalnego, wszyscy wszystkich pytają o to, czym się w życiu zajmują, to jedno z pierwszych pytań. A może to dlatego, że przy Tuprze człowiek czuł się zobowiązany, by mówić, nawet jeżeli on wcale się nie odzywał, jakby był zawsze naszym milczącym wierzycielem. Dodałem zatem: – Potem byłem jakiś czas w Stanach Zjednoczonych, ale po powrocie do kraju prawie nie zajmowałem się nauczaniem, miałem się różnych zajęć, przez pewien czas pracowałem w bardzo wpływowej gazecie, robiłem tłumaczenia, rozkręciłem ze dwa interesy, założyłem też małe wydawnictwo, potem mnie to znużyło i sprzedałem je.

– Mam nadzieję, że z zyskiem – wtrącił z uśmiechem.

– Z wielkim i niezasłużonym zyskiem, prawdę mówiąc. – Teraz ja się uśmiechnąłem. – Aktualnie pracuję dla BBC Radio w Londynie, w programie nadawanym po hiszpańsku, czasem również w programach po angielsku, kiedy poruszane są tematy związane z Hiszpanią albo z Ameryką Łacińską, rzecz jasna. Te same stare sprawy w kółko, jest tylko kilka hiszpańskich tematów budzących zainteresowanie Anglików, w gruncie rzeczy wyłącznie terroryzm i turystyka, mordercza kombinacja. – Zamiast powiedzieć: „te same stare sprawy w kółko”, miałem na końcu języka hiszpańskie wyrażenie „*es siempre sota, caballo y rey*”, ale nie byłem pewien, czy mówi się podobnie po angielsku ani czy w ogóle istnieje takie wyrażenie, a jego dosłowne tłumaczenie, „to zawsze walet, królowa i król”, w ogóle nie miało sensu, toteż przez krótką chwilę poczułem zrozumienie dla De la Garzy i jego tęsknoty za własnym językiem, i sprzeciwu wobec języka obcego, niekiedy obce języki przytłaczają nas i nużą, choćbyśmy do nich przywykli i swobodnie się nimi posługiwali, kiedy indziej znów tęsknimy za obcymi językami, które znamy, lecz prawie nigdy nie mamy okazji ich używać. *Sota, caballo y rey*. To była tylko chwila, bo od razu się zirytowałem, słysząc znowu kretyńsko żenującą wypowiedź De la Garzy skierowaną do mnie, lecz przynależną do jakiegoś jemu tylko znanego wątku:

– *Las mujeres son todas putas y las mas guapas las españolas* – doleciało do moich uszu. „Wszystkie kobiety to dziwki, ale wyglądem żadna nie umywa się do Hiszpanek”. Był już wtedy niewątpliwie zalany, bo spostrzegłem wcześniej, jak wznosi porto dwa albo trzy toasty pod rząd z lordem Rymerem (no to chlup w ten głupi dziób), kiedy ten na kilka krótkich minut zaprosił go, ku mojej uldze, do wspólnego picia. Lord Rymer, przypomniałem sobie, znany był od dawna w Oksfordzie pod złośliwym przezwiskiem *The Flask*, co zachowując podobieństwo fonetyczne oraz intencję, przetłumaczyłbym jako *El Frasco*, Flacha.

– Rozumiem – powiedział Tupra z sympatią, gdy ochłonął ze zdumienia. Na szczęście, jak dowiedziałem się później, znał po hiszpańsku tylko kilka słów, aczkolwiek były wśród nich, jak można się było obawiać i czego też dowiedziałem się później, „*mujeres*”, „*putas*”, „*españolas*” i „*guapas*”, grubianin De la Garza nie zadał sobie nawet trudu, by użyć mniej czytelnego słownictwa. – Teraz każda inna praca wydałaby się panu bardziej atrakcyjna, nieprawdaż? Nie żeby BBC nie było obiektywnie atrakcyjne, ale staje się pewnie troszkę monotonne. Jeżeli lubi się różnorodność i ma się tej pracy po dziurki w nosie, to kto by zważał na obiektywizm, prawda? – Tupra miał dość niski, raczej smutny głos (tu wybrałbym inne słowo z języka, w którym rozmawiałem, może słowo *ailing*), brzmiał jak struna, mam tu na myśli, że odnosiło się wrażenie, jakby powstawał z przeciągania smyczkiem po strunie, jakby z tego przeciągania się rodził lub na nie odpowiadał, zakładając, że wiola da gamba albo wiolonczela mogą emitować uczucia (choć może się myliłem, może nie tyle był smutny, ile poruszający, a słowo „*ailing*” nie pasowało: bo nie on doświadczał tego delikatnego, niemal przyjemnego, kojącego uczucia, lecz słuchająca go osoba). – Proszę mi powiedzieć, panie Deza, iloma językami pan mówi, ile języków pan rozumie? Wspomniał pan, że zajmował się tłumaczeniami. Mam na myśli inne języki poza tymi oczywistymi, pański angielski jest wspaniały, gdybym nie znał pańskiej narodowości nigdy bym nie pomyślał, że jest pan Hiszpanem. Kanadyjczykiem może.

– Dziękuję, to dla mnie komplement.

– I słusznie, taką miałem intencję, proszę mi wierzyć. Pod każdym względem. Akcent wykształconych Kanadyjczyków, głównie tych z Kolumbii Brytyjskiej, jak można wywnioskować z samej nazwy, najbardziej przypomina nasz. Proszę mi powiedzieć, jakie pan zna języki. – Tupry nie rozpraszały meandry rozmowy sprowadzające ją na błędne lub

nieokreślone tory, dopóki starcza sił i czasu, on zawsze wracał tam, gdzie chciał być.

Wypił jednym haustem swoją kawę (te szerokie usta), od razu odstawił z pośpiechem talerzyk z pustą filiżanką na niski stolik przy sofach, jakby coś, co spełniło swoją rolę i nie było więcej przydatne, wzbudzało w nim zniecierpliwienie albo parzyło mu ręce. Schylając się ku stolikowi, obrzucił szybkim spojrzeniem swoją narzeczoną, Beryl: miniaturowa spódniczka ledwie jej przykrywała nogi, które wcale nie były skrzyżowane (pewnie stąd to spojrzenie), z niższej niż nasza perspektywy pewnie było widać... jak by to powiedzieć... trójkącik majtek, jeśli miała je na sobie, zerknąłem na De la Garzę usadowionego na pufie o właściwej wysokości, to nie mógł być przypadek. Beryl śmiała się i rozmawiała z bardzo grubym młodym człowiekiem, który zapadał się głęboko w kanapie – wcześniej przedstawił mi się jako „sędzia Hood” i tyle tylko o nim wiedziałem, że prawdopodobnie był sędzią mimo swej otyłości i młodego wieku – i nadal nie zwracała większej uwagi na Tuprę, jakby był nudnym mężem, mało zabawnym i nieciekawym, ot częścią domu, nie tyle meblem, ile może wiszącym na ścianie portretem, takie portrety, chociaż nie zwraca się na nie uwagi, zawsze na nas patrzą i przyglądają się, co robimy. Tupra wymienił też spojrzenie z Wheelerem, który nie rozmawiając z nikim, zapalał z uporem palące się już cygaro (istne ognisko) bardzo długą zapałką, uduchowiona wdowa z Yorku sprawiała wrażenie sennej i mniej pneumatycznej, pewnie nigdy nie przesiadywała do tak późna albo alkohol zrobił swoje. Nie dostrzegłem gestu ani znaku wymienionego przez Tuprę i Wheelera, lecz ten drugi pozwolił sobie rzucić krótkie spojrzenie ponad płomieniem i dymem i powstrzymując mruganie, utkwic je w Tuprze, wydało mi się, że było to spojrzenie porozumiewawcze i zarazem instrukcja: „W porządku, ale nie zwlekaj już dłużej”, i że instrukcja dotyczyła mnie. Tak jak mnie opowiedział kilka rzeczy o Tuprze, tak jemu

też musiał coś napomknąć na mój temat, nie wiedziałem co ani w jakim celu. Rzeczywiście, Tupra powiedział wcześniej „jeżeli ma się tej pracy po dziurki w nosie”, a ja przecież nie mówiłam, od jak dawna pracuję w BBC ani jak długo jestem na powrót w Anglii – jakże mogłem być na powrót, mój poprzedni pobyt należał do zamierzchłej przeszłości, której nigdy nie można stworzyć na nowo bądź z której nikt nie wraca – musiał się dowiedzieć od Wheelera, to były tylko trzy miesiące. Tak, zaledwie trzy miesiące wcześniej byłem jeszcze w Madrycie, miałem normalny dostęp do swego domu, a raczej do naszego domu, bo jeszcze tam mieszkałem, chociaż oddalanie się Luisy już się rozpoczęło i postępowało w zastraszającym tempie, to oddalanie się było poruszające i zdumiewające, i codzienne – a może następowało z godziny na godzinę – trudno uwierzyć, jak szybko coś, co jest i trwa, nagle przestaje być i unieważnia się, kiedy już przekroczy się ostatnią linię światła i zaczyna się proces wchodzenia w cień i dwuznaczność. Traci się zażyłość z kimś, z kim łączyły nas długie lata rozmów, ta osoba już ci nic nie opowiada ani o nic nie pyta, a nawet nie odpowiada, ty zaś nie masz śmiałości o nic zapytać ani niczego opowiadać, powoli zapada cisza i nadchodzi dzień, w którym druga strona w ogóle przestaje się odzywać, odtąd staje się jasne, bądź zostanie ustalone, że wspólny dom wkrótce przestanie nim być i kto będzie musiał się wyprowadzić, starasz się być w tym domu niezauważalny lub ulec dematerializacji, masz poczucie, że przebywasz tam tylko tymczasowo, dopóki nie znajdziesz sobie innego schronienia, jak nieproszony gość, który widzi i słyszy nie przeznaczone dla niego rzeczy, wyjścia i powroty, bez słowa komentarza wcześniej i słowa późniejszej relacji, tajemnicze i niezrozumiałe dla niego rozmowy telefoniczne, nie różniące się pewnie od tych, których jeszcze niedawno wcale nie słuchałeś ani nawet nie zauważałeś, bo wówczas nie byłeś czujny ani się nad nimi nie zastanawiałeś, ani nie uważałeś, że mogą cię dotyczyć, ani nie wymyślałeś,

czym mogą grozić. Wiesz aż nadto dobrze, że prowadzone teraz rozmowy już cię nie dotyczą, mimo to podrywasz się, ilekroć słyszysz odgłos wybierania numeru czy dźwięk dzwonka. Milczysz jednak albo podnosisz słuchawkę ze strachem i milczysz, aż dochodzisz do takiego momentu, kiedy jedynym pasem transmisyjnym bądź punktem zaczepienia są dzieci, którym często opowiadasz coś tylko po to, żeby ona to usłyszała z drugiego pokoju albo się o tym dowiedziała, albo żeby sobie na coś zasłużyć, choć to nigdy już nie będzie postrzegane jako zasługa, podobnie jak wykluczone są emocje, a poza tym żadne dziecko na świecie nie jest wiarygodnym emisariuszem. A kiedy wreszcie się wyprowadzisz, prócz żalu lub rozpaczyczujesz lekką ulgę – a może to wstyd – ale ta wymieszana z czymś lekka ulga nie trwa długo, znika od razu, gdy zdasz sobie sprawę, że twoja ulga jest niczym w porównaniu z ulgą odczuwaną przez tę drugą stronę, która zostaje, nie wyprowadza się i oddycha pełną piersią, patrząc, jak się oddalasz i przepadasz. Wszystko jest śmieszne i subiektywne, nawet nieznośne skrajności, bo wszystko zawiera w sobie swoją odwrotność: te same osoby w tym samym miejscu kochają się i nie mogą się ścierpieć, coś, co było utartym zwyczajem, powoli lub znienacka – wszystko jedno, nieważne – staje się nie do przyjęcia lub niedopuszczalne, ktoś, kto zbudował dom, ma zakaz wchodzenia do niego, dotyk, otarcie się tak niezauważalne, że niemal nieświadome, stają się zuchwałością lub obelgą, to tak jakby trzeba prosić o pozwolenie, by dotknąć samego siebie, coś, co się podobało i było zabawne, wzbudza odrazę i przyprawia o mdłości, przeklina się i krzyczy, słowa, na które wczoraj czekało się z utęsknieniem, dziś zatrująby powietrze i przyprawiły o mdłości, nie chce się ich słyszeć pod żadnym pozorem i podejmuje się starania, by słowa wypowiedziane milion razy nie miały już żadnego znaczenia (wymazać, zawiesić, odwołać i wcześniej już milczeć, oto pragnienie świata); bywa też na odwrót. Ten z kogo się drwiło, jest teraz traktowany poważnie, wzywa się tego, kto był

odrażający: „Chodź, chodź – mówi się – tak bardzo się wcześniej myliłam”. „Usiądź tu, obok mnie, wcześniej nie umiałam cię zobaczyć takim, jaki jesteś”. Dlatego zawsze trzeba prosić o zwłokę. „Zabij mnie jutro, oszczędź mnie dziś w nocy”, przypomniałem sobie cytat. Jutro możesz chcieć mnie żywą, choćby na pół godziny, a ja nie będę mogła cię zadowolić i twoje pragnienie będzie niczym. Jest niczym albo nic nie jest niczym. Te same rzeczy i te same zdarzenia, i te same istoty są zarazem swoją odwrotnością, dziś i wczoraj, jutro, potem i dawniej. A pomiędzy jest tylko czas, który usilnie stara się nas oślepić, to jego jedyny cel i dążenie, i tym sposobem my, którzy go jeszcze przemierzamy, nie jesteśmy godni zaufania, jesteśmy wszyscy głupi i nieistotni, i niedokończeni, ja głupi, ja nieistotny, ja niedokończony, mnie też nikt pewnie nie ufa... Oczywiście miałem jej po dziurki w nosie, jeszcze nim się rozpoczęła, nigdy mnie nie interesowała ta praca w BBC Radio, była po prostu najrozsądniejszym sposobem na to, by przestać już być nieistotnym, fantasmagorycznym i tak bardzo milczącym, sposobem na wyjście stamtąd i zniknięcie.

– Tylko z angielskiego odważyłem się tłumaczyć i nie robiłem tego długo. Porozumiewam się bez trudu po francusku i włosku, ale nie znam tych języków na tyle dobrze, by porwać się na tłumaczenie literatury. Dość dobrze rozumiem kataloński, ale nie zaryzykowałbym mówienia po katalońsku.

– Kataloński? – zdziwił się Tupra, jakby słyszał tę nazwę pierwszy raz w życiu.

– Tak, to język, którym mówi się w Katalonii, na równi z hiszpańskim albo częściej, dziś znacznie częściej niż po hiszpańsku, niż po kastylijsku, jak często nazywamy język hiszpański na Półwyspie Iberyjskim. Katalonia, Barcelona, Costa Brava, no, wie pan. – Tupra jednak nie zareagował od razu (może coś sobie przypominał), więc dodałem dla lepszej orientacji: – Malarze Dalí, Miró.



– Dorzuć mu jeszcze Montserrat Caballé, śpiewaczkę operową – wtrącił De la Garza, siedząc mi niemal na karku. – Ten dupek na pewno przepada za operą. – Więcej niewątpliwie rozumiał, niż sam potrafił powiedzieć, a nazwy hiszpańskie, kiedy je wyłapał, przyciągały go niczym magnes. Chwilę wcześniej wstał z pufy i znowu mnie zadreślał (Beryl skrzyżowała nogi, taki musiał być prawdziwy powód). Podejrzewam, że chciał znowu nazwać Tuprę „cyganem” (wyobrażałem sobie, że z powodu skręconych w pierścionki ciemnych włosów) i że na skutek nadmiaru wychylonych kieliszków wyszło mu niechcący inne słowo.

– Architekt Gaudí? – podsunąłem, nie zamierzałem zwracać uwagi na De la Garzę, bo dopuściłbym go niejako do rozmowy.

– Tak, tak, oczywiście, George Orwell i cała reszta – powiedział Tupra, rozumiejąc w końcu, co do niego mówię. – Proszę wybaczyć, coś mi się przypomniało... Niewiele pamiętam z moich lektur na temat waszej wojny domowej, takie książki czyta się w młodości, sam pan wie, ta romantyczna wojna fascynuje, jak się ma dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, może ze względu na młodych brytyjskich chłopców, idealistów, którzy pojechali na nią na ochotnika, żeby tam zginąć, było wśród nich kilku poetów, łatwo się z nimi w tym wieku utożsamić. Jak jest dzisiaj, nie wiem, mówię o swoich czasach, chociaż myślę, że nic się nie zmieniło, oczywiście z punktu widzenia młodych, niespokojnych ludzi: czytają nadal Emily Brontë i Salingera, „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem” i o waszej wojnie domowej, te sprawy tak bardzo się nie zmieniły. Pamiętam, że byłem pod wielkim wrażeniem historii Nina, cóż za absurdalne oskarżenie, ten zarzut o szpiegostwo. I farsy odegranej przez niemieckich członków Brygad Międzynarodowych, którzy przebrali się za nazistów, żeby go uwolnić, to dowodzi, że w najbardziej nawet szalone i nieprawdopodobne historie można uwierzyć w odpowiedniej chwili. Czasem ta chwila trwa kilka dni,

a czasem rozciąga się na zawsze. Prawda jest taka, że w pierwszej chwili wierzy się na ogół we wszystko. Bardzo dziwne, ale tak jest.

– Nin? Ten przywódca trockistowski? – spytałem zdumiony. Nie zgadzało mi się, że Tupra nie wiedział, kto to Dalí i Miró, Montserrat Caballé i Gaudí (tak wywnioskowałem z jego milczenia), znał natomiast, na pewno lepiej niż ja, historię Andresa Nina, który padł ofiarą oszczerstwa. Może nie znał się na sztuce i nie przepadał za operą, a jego dziedziną była polityka albo historia.

– A któż by inny? Choć z Trockim ostatecznie zerwał.

– Był też inny Nin, muzyk, jest też okropna pisarka o tym nazwisku – zauważyłem, ale dało mi to do myślenia. Takie książki czyta się w młodości, powiedział. Zdarzenia, które dla mnie nadal były rzeczywiste i bliskie, w innym, nieodległym kraju postrzegano na równi z „Wichrowymi wzgórzami”: czyli jako fikcję literacką, w dodatku romantyczną, którą zaczytują się najbardziej ponurzy i zbuntowani studenci, żeby we własnej wyobraźni poczuć się przegranymi i czystymi, a może i bohaterskimi. Taki jest pewnie los wszystkich okropności i wojen, pomyślałem, ciągle powtarzanie opowieści na ich temat upiększa je i zmienia w coś abstrakcyjnego, a po jakimś czasie służą za pożywkę młodzieńczych i dorosłych fantazji, tym szybciej, im bardziej cudza jest wojna, może hiszpańska wojna domowa jest już dla wielu cudzoziemców równie fikcyjna i odległa jak Rewolucja Francuska i wojny napoleońskie albo kto wie, jak oblężenie Numancji bądź Troi. A przecież mój ojciec omal na tej wojnie nie zginął pod sztandarami Republiki w naszym oblężonym mieście, a pod jej koniec urządzono mu sfingowany proces i skazano na frankistowskie więzienie, mojego siedemnastoletniego wówczas wuja zabiła z zimną krwią w Madrycie druga strona (podzielona na wiele frakcji, co sprzyjało fałszywym oskarżeniom i czystkom), nieumundurowane i pozostające poza wszelką kontrolą milicje, do których każdy mógł

wstąpić; zabili go bez powodu, gdy był w wieku, w którym snuje się fantazje i nie ma się niczego poza marzeniami, a starsza siostra, moja matka, szukała w tym samym obłęzionym mieście jego zwłok i nie znalazła nic prócz maleńkiej urzędowej fotografii jego trupa, którą widziałem i teraz ją przechowuję. A może nie byłem świadom, że i w moim kraju ta wojna zmieniała się w fikcję, wszystko dzieje się coraz szybciej, jest coraz mniej trwałe, wcześniej traci rację bytu i zostaje odesłane do lamusa, a nasza przeszłość staje się coraz gęstsza, pełniejsza i bardziej zatłoczona, ponieważ zadekretowano – a nawet uznano za prawdę – że wczoraj jest już nieważne, przedwczoraj tylko historią, a to co zdarzyło się przed rokiem, zamierzchłe i niepamiętne. (Pewnie to co zdarzyło się przed trzema miesiącami również). Pomyślałem, że nadeszła chwila, by dowiedzieć się wreszcie, co jest „jego fachem”, już sobie na to zasłużyłem, jeśli w ogóle potrzebowałem jakichś zasług. W głębi duszy tak nie myślałem, miałem jednak wrażenie, że tak było. – Jaką dziedziną, jeśli wolno spytać, zajmuje się pan, Mr Tupra? Nie jest to chyba historia mego kraju? – Uświadomiłem sobie, że prosiłem o pozwolenie, by postawić najprostsze i najbardziej niewinne z pytań, jakie ludzie sobie zadają.

– Och, nie, oczywiście, że nie, może pan być pewien – odpowiedział, śmiejąc się ochoczo, naprawdę serdecznie, pokazał w uśmiechu małe, ale bardzo lśniące zęby, długie rzęsy trzepotały. Jego twarz, gdy już się do niej przyzwyczaiłem, stawała się z minuty na minutę bardziej sympatyczna, obiektywizm wobec niego szybko zniknął, rozwiewały się podejrzenia. Od razu rzucało się w oczy, że nie skąpi ci swego zainteresowania, jakby ważną była dla niego tylko osoba rozmówcy, a za naszymi plecami zgasły światła całego świata, który zmieniał się w zwykłe, podkreślające naszą obecność tło. Wiedział, jak przyciągnąć uwagę rozmówcy, w moim przypadku wystarczyła wzmianka o Andresie Ninie, by mnie zaintrygować, nie tyle zdumiał mnie zakres wiedzy Tupry, ile poczułem nagłą ochotę, by rzucić się

na książkę Orwella „W hołdzie Katalonii” i na szkic Hugh’a Thomasa o wojnie domowej i odświeżyć sobie historię niesłusznie oskarżonego bohatera, z której nic już prawie nie pamiętałem. Było też dostrzegalne u Tupry dziwne napięcie albo rodzaj jakiejś odsuniętej w czasie gwałtowności, ale początkowo brało się to za efekt jego naturalnej czujności. Był świetnie ubrany, lecz bez najmniejszej ekstrawagancji, dyskretne materiały i kolory (materiał zawsze znakomitej jakości, elegancki krawat zawsze ze szpilką), tylko grube wełniane kamizelki noszone pod marynarką zdradzały jego próżność – a może była to pozostałość dawnego złego gustu, miał taką na sobie podczas kolacji u Wheelera. – Nie, ja też zajmowałem się różnymi sprawami, podobnie jak pan, ale najzręczniejszy jestem zawsze w negocjowaniu, na rozmaitych polach i w rozmaitych okolicznościach. Również w służbie mojego kraju... jeżeli można, należy to robić, prawda?... nawet jeśli nie jest to służba wprost i chodzi przede wszystkim o własną korzyść.

Wykręcił się od odpowiedzi, to wszystko było bardzo ogólnikowe, nie powiedział nawet, co studiował w Oksfordzie, chociaż jego nauczyciel, Toby Rylands, był profesorem literatury angielskiej. Na tym uniwersytecie nie ma znaczenia, co się studiuje, liczy się sam fakt studiowania, poddanie się metodzie i duchowi, żadne studia, nawet najbardziej ekscentryczne i niepraktyczne nie przeszkadzają oksfordzkim doktorom lub magistrom zajmować się później tym, czym zechcą, nawet jeśli nie ma to związku ze studiami: możesz całymi latami prowadzić studia nad Cervantesem, a ostatecznie pracować w finansach, albo prowadzić badania nad starożytnymi Persami, by później zrobić karierę polityczną lub dyplomatyczną, z pewnością Tupra pracował właśnie w dyplomacji, pomyślałem znowu, tym razem nie tyle wiedziony intuicją lub jego wyglądem, ile z powodu słowa „negocjowanie” i wyrażenia „w służbie mojego kraju”. Miał na swój sposób szczęście, że w języku angielskim nie

ma słowa porównywalnego do jednoznacznego słowa „*patria*”, oznaczającego w moim języku ojczyznę (albo są słowa bardzo wyszukane, na użytek oratorski), że użył słowa „*country*”, które w konkretnym kontekście zastępuje słowo ojczyzna, ale jest mniej nacechowane emocjonalnie i mniej pompatyczne i niemal zawsze powinno być tłumaczone jako „kraj”. Inaczej pomyślałbym może – gdyby użył kastylijskiego słowa „*patria*”, co było niemożliwe, a i bez tego miałem taką mało konkretną myśl – że mógł mieć faszystowską mentalność przez analogię, mimo pozornej solidarności lub sympatii, z jaką napomknął o sprawie Nina, dawnego sekretarza Trockiego, bo w tym potocznym znaczeniu czy przez analogię słowo to pasuje do każdej ideologii, ideologia wyznawana przez konkretnego człowieka nie musi mieć nic do rzeczy, dlatego właśnie dziś stało się tak nieprecyzyjne, wśród oficjalnych przywódców dawnej lewicy, tej, która zdawała się lewicą ponad wszelką wątpliwość, byli ludzie o faszystowskiej w istocie mentalności (i takież mieli styl pisania, jeżeli pisali). W słowach o służbie wyczuwało się jakiś ślad kokieterii i cień przechwałki. Kokieterii człowieka, którego bawi własna tajemniczość, przechwałki kogoś, kto ma się za osobę zawsze wyświadczać przysługi, choćby ojczyźnie. Oto trzeci cudzoziemski Brytyjczyk, trzeci przyszywany Anglik, pomyślałem, jak Toby, wedle krążących na jego temat plotek, i jak Peter, jak on sam mi wyznał przed kilkoma tygodniami, nie miałem jeszcze okazji, by go o to zapytać. Przyszywany co najmniej z powodu nazwiska, dziwnego faktycznie nazwiska Tupra, może nie z powodu miejsca urodzenia w jego przypadku, nowo przybyli oraz ludzie o podejrzanych nazwiskach są zazwyczaj najgorętszymi patriotami, najbardziej gotowymi do świadczenia służby w szlachetnych lub niegodziwych celach, czystej lub brudnej, są wdzięczni i zgłaszają się na ochotnika albo czują się w ten sposób niezbędni krajowi, który kiedyś ich przygarnął i nadal toleruje, co najwyżej toleruje, nawet

jeśli zmienili nazwisko jak ten biedny Hohanness z Anatolii, który w Ameryce stał się Joe Arnessem, albo austriacki bogacz Battenberg, który stał się Mountbattenem na okoliczność swego życia w Anglii. Dziwne, że Tupra zachował swoje nazwisko, może uznał, że to przesada i zbyt ryzykowne i że „dziwne nawet swe własne imię odrzucić”.

– Słuchaj, Deza – znowu usłyszałem przy sobie głos De la Garzy, który kursował niestrudzenie – jak dalej będziesz zabawiał tego cygana, wszystkie laski przejdą nam koło nosa. W tym tempie żadnej nie wyrwiemy, a panna Długonoga zaraz wyjdzie z grubasem, zobacz, jak się ta góra tłuszczu do niej przystawia. Żal patrzeć.

Nawet Wheeler ze swoją dogłębną znajomością literackiego hiszpańskiego nie zrozumiałby tym razem ani słowa. Faktycznie, młody sędzia Hood szeptał coś do ucha Beryl, a ona nagradzała go wybuchami śmiechu, górna warga zaniedbującej swoje obowiązki narzeczonej była od dłuższego czasu niewidoczna; siedzieli bardzo blisko siebie na sofie, sędzia ogromny i rozłożysty. Nic nie odpowiedziałem attaché, jeszcze nie, jakby go nie było, zdawał się chyba zapominać, z kim Długonoga przyszła na kolację. Ale sam Tupra o nim napomknął, pewnie już wcześniej przyglądał mu się spod oka, jak ja, albo domyślił się, o co mu chodzi mimo nieznamości naszego języka, a tym bardziej slangu De la Garzy, ten slang wydawał się wysilony i natrętny, brzmiał jak obelga, jak naigrzanie się. Wypomadowana fryzura De la Garzy straciła fason, włosy miał w nieładzie, w Oksfordzie nikt nigdy nie przetrwał bez uszczerbku picia z Flachą.

– Lepiej niech pan się zajmie swoim rodakiem czy też znajomym – zwrócił się do mnie Tupra z ojcowskim rozbawieniem – denerwuje się z powodu kobiet, a jego angielski nie pomaga mu w tym względzie. Powinien przyjść mu pan z pomocą. Nie sądzę, by coś wskórał z panią Wadman, wdową po dziekanie – użył prawnego określenia na wdowę, a może ironicznego: „*dowager*” – wcześniej powiedziałem jej kilka

komplementów, przez co nie tylko rozkwitła na resztę wieczoru, ale poczuła się... jak by to ująć... nieprzystępna, dziś jest zapewne przekonana, że żaden śmiertelnik nie jest jej godzien, niech pan na nią spojrzy, jest ponad wszelkie ziemskie namiętności, piękna w swej dojrzałości, pełna spokoju na progu nieznannej jeszcze jesieni. Niech lepiej spróbuje z Beryl, chociaż jest w tej chwili bardzo zajęta i zaraz będziemy wychodzić, wracamy samochodem do Londynu. Albo z Harriet Buckley, jest doktorem medycyny i chyba rozwiodła się kilka dni temu, nowa sytuacja życiowa mogłaby ją zachęcić do eksperymentów.

W tych komentarzach był nie tylko humor, było w nich także coś ze szczerzej, niemal książkowej satysfakcji; bawił się i to uwydatniało naturalny i mimowolnie kpiarski wyraz jego oczu, teraz była w nich zamierzona kpina. Właśnie wówczas zrozumiałem, że zdaje sobie sprawę ze swej siły perswazji w stosunku do kobiet i z tego, że umie sprawić, by czuły się bądź jak boginie – może niższej rangi – bądź jak śmieci. A raczej pomyślałem wówczas, że on uważa, że to wie, albo wszystko jest tylko żartem, bo jeszcze nie zdążył się przekonać o sile tej perswazji. Wdowa po dziekanie rozkwitła, ni mniej, ni więcej, jak róża pod wpływem jego komplementów, a co do Beryl, to musiał być bardzo pewien jej uczucia lub bezwarunkowej wierności, skoro mówił o niej tak, jakby była dawną kumpelką czy dawną flamą i teoretycznie miała wolną rękę, by folgować swoim słabościom przy ostatnich drinkach albo chichocząc przed wyjściem.

– Nie wiedziałem, że wdowa po dziekanie katedry w Yorku nazywa się Wadman – zdołałem tylko powiedzieć.

Tupra znowu się roześmiał, kiedy się śmiał, jego usta wydawały się mniej szerokie, nie wyglądały na takie wilgotne.

– No cóż, myślę, że to musi być jej nazwisko, skoro jest wdową i skoro jest z Yorku. – Rozejrzał się wokół siebie, jakby napomknięcie o zbliżającym się wyjściu kazało mu się spieszyć. Spojrzał na zegarek, nosił

go na prawej ręce. – Zechce mi pan teraz wybaczyć, zostawiam pana z pańskim rodakiem. Muszę przed wyjściem zamienić słówko z sędzią Hoodem. Miło mi było, Mr Deza, naprawdę.

– I wzajemnie, Mr Tupra – odpowiedziałem.

Na dowód swojej angielskości nie podał mi ręki na pożegnanie, w Anglii jest rzeczą normalną, że do takiego kontaktu między dwiema poważnymi osobami dochodzi tylko raz, przy wzajemnej prezentacji, a potem już nigdy więcej, choćby następne spotkanie nastąpiło po wielu miesiącach, a nawet wielu latach. Nigdy o tym nie pamiętam, moja wyciągnięta ręka zawisała w próżni.

– I jeszcze jedno, Mr Deza – stanął, kołysząc się na obcasach, zrobiwszy zaledwie jeden krok – mam nadzieję, że nie poczyta pan sobie tego za wtrącanie się w nie swoje sprawy, ale jeżeli rzeczywiście ma pan dosyć BBC i pragnie zmienić otoczenie, moglibyśmy o tym porozmawiać i zobaczyć, co dałoby się zrobić. Z całą pana pożyteczną wiedzą... Proszę porozmawiać z Peterem, spytać o jego opinię, skonsultować to z nim, jeżeli pan zechce. On zawsze wie, gdzie mnie znaleźć. Dobranoc.

Wspominając Wheelera, zerknął przelotnie w jego kierunku, a ja, idąc za jego wzrokiem, zrobiłem to samo. Wheeler palił łąpczywie cygaro i usiłował podtrzymać panią Wadman, wbijając jej łokieć pod żebra dyskretnie, lecz zdecydowanie, bo z powodu senności przechylała się coraz bardziej na jedną stronę i gdyby ktoś nią nie potrząsnął – a zamierzała zapaść w sen sprawiedliwego – jej głowa mogłaby w każdej chwili opaść na ramię gospodarza albo jeszcze gorzej: jedna obfita pierś na drugą, naszyjnik mógł się rozpiąć, a cząstki pomarańczy wpaść za dekolt. Znowu spostrzegłem wzajemność w oczach Petera, chcę powiedzieć, że odwzajemnił spojrzenie Tupry, jakby miał do niego trochę pretensji, tylko odrobinę, bez emfazy, jak wtedy gdy napomyka się o jakiejś popełnionej już nieroztropności, która ostatecznie nie była taka poważna: „Przesadziłeś,



ale cóż. Nie posłuchałeś mnie”, takie wydało mi się przesłanie, jeżeli w ogóle jakieś było. Potem Tupra obszedł sofę, zatrzymał się za nią, pochylił i oparł przedramiona na oparciu, żeby powiedzieć coś szybko – tylko jedno zdanie – sędziemu Hoodowi na ucho, a raczej nad karkiem, przypuszczam, że nie była to żadna tajemnica. Sędzia i Beryl przestali się śmiać, oboje zwrócili się ku niemu, ona machinalnie znowu zerknęła na zegarek jak ktoś, kto od dawna czekał na wybawienie lub na zastępstwo, wyprostowała długie, niemal całkowicie odkryte nogi. Ci troje wyjdą razem, wyjdą równocześnie, pomyślałem. Tupra podwiezie grubasa do Londynu. Albo Beryl, jeśli to ona prowadzi.

– Jedna z tych lasek będzie dziś moja albo nie nazywam się Rafael de la Garza. Nie po to tłułem się aż tutaj, żeby, kurde, wychodzić z pustymi rękami. Muszę którąś przelecieć, choćbym miał skonać.

De la Garza nie odpuszczał ani na chwilę, ledwie zdążyłem się rozstać z Tuprą, a już atakował ponownie. Zainspirowany niewątpliwie jego nazwiskiem, które po hiszpańsku znaczy „czapla”, przypomniałem sobie przysłowie, niezrozumiałe jak niemal wszystkie przysłowia.

– Choć czapla lata wysoko, jastrząb ją zabija – wypaliłem bez chwili zastanowienia.

– Co takiego? Co ty, kurwa, mówisz?

– Nic.

De la Garza wyszedł jednak z pustymi rękami, kurde, a przynajmniej nie towarzyszył mu nikt prócz ponurego burmistrza jakiejś miejsciny w Oxfordshire oraz kobiety, która musiała być tegoż burmistrza żoną i oboje nie wydawali się chętni do żadnych roszad (kobiety wcześniej w ogóle nie zauważyłem, nie była lekarstwem na cierpienia rządzonej przez oboje miejsciny), a już na pewno De la Garzy nie towarzyszył nikt w odpowiednim wieku, attaché zagapił się i teraz przyszło mu podwieźć gdzieś tę parę swoim samochodem, do Eynsham, Bruern, Bloxham, Wroxtton, a może do cieszącego się od czasów elżbietańskich najgorszą sławą Hog's Norton, nie wiem. Nie nadawał się specjalnie do prowadzenia samochodu (a tu jeszcze kierownica po prawej stronie), ale miał pewnie w nosie, że może zarobić mandat, i zaliczał się do zarozumiałców przekonanych, że im nigdy się nie przytrafi wypadek. Myśl ta przyszła jednak do głowy Wheelerowi, który głośno wyraził swoje obawy i zaczął się zastanawiać, czy nie przenocować całej trójki u siebie. Odwiodłem go od tego pomysłu mimo wyraźnego zaniepokojenia laburzystowskiego burmistrza oraz żony laburzystowskiego burmistrza, którzy się zastanawiali, czy nie zamówić taksówki do Ewelme albo Rycote, albo Ascot, nie wiem. Droga nie jest długa, powiedziałem, a De la Garza to młody człowiek, ma na pewno fantastyczny refleks, istny leopard. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłem, było natknięcie się przy śniadaniu na wielbiciela lub znawcę wytwornej światowej średniowiecznej literatury fantastycznej, Władcę Lasek, i nic mnie w gruncie rzeczy nie obchodziło, że się może rozbić gdzieś po drodze.

Razem wyszło również troje gości, których wspólne wyjście przewidziałem wcześniej, pożegnali się jako jedni z pierwszych. Na

szczęście dla sir Petera Wheelera tylko lord Rymer, Flacha, zasiedział się dobrze po północy, choć nie dlatego, że był bardzo towarzyski lub cierpiał na bezsenność, lecz z powodu całkowitej niemożności ruszenia się z miejsca. Nie był to jednak większy problem, jako że mieszkał w Oksfordzie. Pani Berry zadzwoniła po taksówkę, a potem ona i ja wspólnymi siłami skłoniliśmy ociężałego, jak gąbka nasiąkniętego alkoholem Flachę, by wstał z fotela, w którym tkwił od połowy wieczoru, i dyskretnie popychając go z dwóch stron (bardzo trudno było robić to szybko), doprowadziliśmy do drzwi pod nadzorem i przewodnictwem Petera; nie odrzuciliśmy gestu taksówkarza, który pomógł nam wpakować pasażera do samochodu, biedny człowiek, musiał się potem namęczyć, żeby go wytaszczyć u celu podróży. Wynajęci kelnerzy nie wyszli, dopóki nie zebrali pozostałości jedzenia z talerzy i półmisek, potem ja pomogłem pani Berry pozbierać filiżanki, kieliszki i ostatnie popielniczki, wszystko zostało dość dokładnie uprzątnięte, Wheeler bardzo nie lubił natykać się rano na pozostałości wieczornego przyjęcia, nie znosił tego po prostu, ja także. Kiedy gospodyni poszła się położyć, Peter usiadł powoli i ostrożnie u podnóża schodów, trzymając się gałki balustrady, dopóki bezpiecznie nie dotknął stopnia (nie miałem śmiałości zaproponować mu swego ramienia), i wyjął cygarnicę.

– Zamierza pan teraz palić cygaro? – zapytałem zdumiony, wiedząc, że zajmie mu to trochę czasu.

Pomyślałem, że nagły wybór tak nieodpowiedniego dla wysokiego osiemdziesięciolatka miejsca do siedzenia wziął się z chwilowego zmęczenia albo że to zwyczajowa forma krótkiego odpoczynku dla zebrania sił przed wejściem na piętro, gdzie miał sypialnię, może zawsze tu przysiadł i dopiero potem zaczynał się wspinać. Nie miał kłopotów z poruszaniem, w jego wieku nie był jednak wskazany tak długotrwały codzienny wysiłek, tyle zbyt płytkich i odrobinę za wysokich drewnianych

stopni – trzynaście na pierwsze piętro, dwadzieścia pięć na drugie. Laskę położył sobie w poprzek na udach, jak żołnierz kładzie karabin albo lancę podczas postoju, przyjrzałem mu się, gdy szykował sobie cygaro, siedział na trzecim stopniu, stopy w czyściuteńkich pantoflach opierał na pierwszym, środkiem schody przykryte były wełnianą wykładziną, a może był to dywan przymocowany niewidzialnymi klamerkami. Miał młodzieńczą sylwetkę, włosy gęste, chociaż zupełnie siwe, lekko falowane, jakby były z ciasta, uczesane starannie z przedziałkiem po lewej stronie, ten przedziałek pozwalał wyobrazić go sobie jako małego chłopca, już wtedy musiał być w tym samym miejscu, od wczesnego dzieciństwa, na pewno przedziałek był starszy niż nazwisko Wheeler. Wystroił się na swoją kolację bufetową i nie zaliczał się do osób, które dobijają do końca przyjęcia w stanie lekko sfatygowanym, jak lord Rymer albo wdowa Wadman i trochę też jak De la Garza (krawat na koniec poluzowany i przekrzywiony, koszula niezdyscyplinowana w pasie): wszystko było na swoim miejscu, w nienaruszonym porządku, wydawało się nawet, że włosy nadal ma wilgotne od wody, której użył przy czesaniu się kilka godzin wcześniej (wykluczone, by używał brylantyny). Kiedy tak siedział na pozór beztrosko, z łatwością można go było widzieć, wyobrazić sobie jako obiekt kobiecych westchnień w latach trzydziestych, a może czterdziestych, które w Europie były oczywiście dużo trudniejsze, nie z filmu, lecz z prawdziwego życia albo może z reklamy, z jakiegoś plakatu z tamtych czasów, nie było w nim nic nierzeczywistego. Musiał być zadowolony z wydanego przyjęcia i zamiast kończyć już wieczór, chciał wymienić się ze mną wrażeniami, aczkolwiek mieliśmy na to cały następny poranek, prawdopodobnie czuł się bardziej ożywiony, a może tylko nie tak samotny jak podczas większości wieczorów, które kończyły się dla niego wcześniej. Choć to ja przecież miałem być bardzo samotny w Londynie, a nie on w Oksfordzie.

– Ach, tylko połowę albo mniej. Nie czuję się zbyt zmęczony. To nie jest szczególna ekstrawagancja – powiedział. – I co? Jak się bawiłeś?

Zapytał o to odrobinę protekcyjnie i ze szczyptą dumy, uważał najwyraźniej, że wyświadczył mi przysługę swoim pomysłem i zaproszeniem, pozwolił się wyrwać z rzekomego osamotnienia, zobaczyć i poznać ludzi. Skorzystałem z tego przejawu lekkiej arogancji, by zrobić mu wyrzut z powodu jedynej rzeczy, jaką miałem mu do zarzucenia.

– Bardzo dobrze, Peter, dziękuję. Bawiłbym się jednak dużo lepiej, gdyby pan nie zaprosił tej łajzy z ambasady, co też panu przyszło do głowy? Kto to, u diabła, jest? Skąd pan wytrzasnął tego ptaszka? Czeką go wielka przyszłość w polityce, to pewne, a nawet w dyplomacji. Jeśli chodziło o to, że chce pan od niego wyciągnąć fundusze na swoje sympozja, książki i co tam jeszcze, to nic nie mówię, chociaż to niesprawiedliwe, że mnie akurat przypadło być jego tłumaczem, niemal stręczycielem i niańką. Pewnego dnia zostanie ministrem w Hiszpanii, a co najmniej ambasadorem w Waszyngtonie, to wypisz wymaluj jeden z tych pretensjonalnych, pozornie serdecznych arogantów, jakich prawica w moim kraju produkuje na pęczki, a lewica odtwarza i imituje, gdy tylko jest u władzy, jakby zarażała się tą samą chorobą. Kiedy mówię „lewica”, to tylko taki sposób mówienia, wszędzie dziś taki sam. De la Garza to inwestycja pewna, przyznaję, w krótkim czasie zrobi karierę w jakiegokolwiek partii. Problem tylko w tym, że wyszedł nie bardzo zadowolony. Całe szczęście, tym się pocieszam, bo mnie zmarnował połowę wieczoru. – Tak sobie ulżyłem.

Wheeler zapalił cygaro jedną ze swoich długich zapalek, choć bez takiej determinacji jak poprzednio. Uniósł wzrok i utkwiał go we mnie ze szczerym współczuciem, stałem na wprost schodów, niedaleko od niego, oparty o framugę rozsuwanych drzwi prowadzących z głównego salonu do jego gabinetu, zazwyczaj otwartych na oścież (w gabinecie zawsze widać było dwa pulpity, na jednym otwarty słownik języka angielskiego i lupę, na

drugim atlas, czasem Blaeu, innym razem wspaniałego Stielera, również otwarty i drugą lupę), stałem z założonymi rękami i prawą nogą skrzyżowaną przed lewą, opartą tylko czubkiem buta na podłodze. Podczas gdy oczy jego kolegi i przyjaciela, Rylandsa, jak on wykładowcy uniwersyteckiego, były bardziej wodniste i zwracały uwagę odmiennymi kolorami – jedno miało kolor oliwy, drugie jasnego popiołu, jedno było jak okrutne oko orła albo kota, drugie świadczyło o prawości, było okiem psa lub konia – oczy Wheelera miały wygląd minerału i były zanadto symetryczne pod względem wykroju i wielkości, jak dwie kulki do gry, prawie fioletowe w kolorze, nakrapiane plamkami i bardzo świetliste, albo aż fioletoworóżowe, lecz poprzecinane żyłkami i wcale nie matowe, może nawet w kolorze kamienia granatu, może przypominały ametysty bądź morganity, bądź niebieskawą odmianę chalcedonu, zmieniały kolor w zależności od oświetlenia, od tego czy był dzień czy noc, od pory roku i wielkości zachmurzenia, od pory dnia i od humoru ich właściciela, kiedy zaś je mrużył, przypominały czasem dwie pestki granatu, wczesnojesiennego owocu mojego dzieciństwa. Musiały być kiedyś bardzo błyszczące i wzbudzać strach, gdy ciskały gromy lub spoglądały z naganą, teraz zachowały w sobie jedynie żar i ślad rozdrażnienia mimo łagodnego wyglądu, spoglądały zwykle spokojnie i cierpliwie, nie była to ich cecha wrodzona, lecz wyuczona, wypracowana siłą woli przez długi czas; nie wyzbyły się jednak złościwości ani ironii, ani wszechogarniającego trzeźwego sarkazmu, były do niego zdolne w każdej chwili; ani gwarantowanej przenikliwości kogoś, kto całe życie obserwował i porównywał, i w tym co nowe rozpoznawał coś, co już widział wcześniej, łączył, kojarzył, szukał w pamięci i tym sposobem przewidywał coś, co dopiero miał zobaczyć, co jeszcze się nie wydarzyło, i ryzykował formułowanie ocen. A kiedy zdawało się, że patrzą litościwie – a to wcale nie było rzadkie – ten spontaniczny odruch litości natychmiast ustępował

miejsca pełnemu znużenia stwierdzeniu, przekonaniu ukrytemu na dnie źrenic, że koniec końców w jakiejś mierze, choćby nieskończenie małej, jesteśmy sprawcami własnych niedoli, sami je sobie fundujemy, chętnie im ulegamy albo zgadzamy się na nie. „Nieszczęście jest wymysłem”, czasem przytaczam w myślach to zdanie.

– Lewica nigdy i nigdzie nie była niczym innym prócz pewnego sposobu mówienia, wy, Hiszpanie, podobnie jak Włosi, Francuzi i Latynosi, ciągle jeszcze powołujecie się na nią, jakby teraz lub kiedykolwiek wcześniej istniała naprawdę, a nie była wytworem wyobraźni bądź czystej spekulacji. Trzeba było widzieć lewicę w latach trzydziestych albo i wcześniej. Po prostu zbiorowe wyobrażenie. Maski, retoryka, kostiumy, im bardziej surowe, tym bardziej oszukańcze, wszystkie były pompatycznymi postaciami albo formami tego samego, nienawistnego, niesprawiedliwego i odpornego na wszystko. Wolę móc rozpoznać drani od razu po twarzach, człowiek wie przynajmniej, czego się może spodziewać, i nie musi tracić energii na przekonywanie o tym innych. Wszyscy ciemieją, aż się wierzyć nie chce, że ludzie nie wiedzą tego *ab ovo*, i nie ma wielkiego znaczenia, o co walczą, o jaką sprawę, ani jakie względy propagandowe nimi kierują. Oszuści oraz ludzie wiecznie naiwni nazywają te powody historycznymi albo ideologicznymi, ja nigdy bym ich tak nie nazwał, to śmieszne. Nie do wiary, że ludzie nadal wierzą w wyjątki, nie ma żadnych wyjątków, nie na dłuższą metę, nigdy ich nie było. Sam pomyśl. Lewica jako wyjątek? Co za bzdura. Co za marnotrawstwo. – Wypuścił kłęb dymu, jakby stawiał kropkę kończącą tę kwestię, jakby chciał przejść do innej sprawy. Tak też zrobił. – A co do Rafity, jak nazywa go jego biedny ojciec, raczej nie powinieneś się gniewać ani żywić do niego urazy, byłaby to oznaka zawziętości, skoro przed chwilą wysłałeś go na pewną śmierć (może już się zabił) – zrobił ruch, jakby zamierzał zerknąć na zegarek, ale nie podciągnął nawet rękawa – poświęcając przy okazji burmistrza Pennicka i jego oddaną żonę,

przypuszczam, że dla nikogo nie będzie to strata nieodżałowana, ani w sferze publicznej, ani prywatnej. Rafita jest synem starego przyjaciela, znacznie młodszego ode mnie, przynajmniej z dziesięć lat. Jego ojciec był w czasie wojny w Londynie, pomagał w trudnych chwilach. Potem wstąpił do służby dyplomatycznej i starał się o posadę ambasadora, bez powodzenia. Mam na myśli posadę ambasadora tutaj, pół życia spędził na tułaczce po Afryce i Oceanii, aż posłali go na emeryturę. Prosił mnie, żebym się zajął czasem Rafitą, wprowadził go trochę i pomógł w razie potrzeby. Wiesz, to normalne u ojców, nigdy nie uważają, że ich dzieci są dorosłe ani że są złymi ludźmi, a dzieci czasem na takich ludzi wyrastają albo były takie od kołyski, tylko ojcowie nie chcą przyjąć tego do wiadomości. – Ani tego, że dzieci są matołami, pomyślałem, nie przerywając Peterowi. – Możesz pomyśleć, że w dzisiejszych czasach nie jestem najbardziej odpowiednią osobą, żeby się kimś zajmować, służyć mu za przewodnika albo pomagać, ale skoro wydaję kolację... Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że nie przyjdzie. Z tego co wiem, nie brak mu towarzystwa w Londynie. Przykro mi, że to spadło głównie na twoje barki, jak rozumiem współpraca ze strony lorda Rymera była znikoma, miałem nadzieję, że znajdą więcej wspólnych tematów. Oraz wyobrażałem sobie oczywiście, że Rafita mówi lepiej po angielsku, jest tu już dwa lata i przysiągłbym, że w dodatku uczył się angielskiego jako dziecko, jego ojciec mówi bardzo dobrze, chociaż z akcentem, ale bez porównania lepiej niż syn. Poza tym Pablo, czyli ojciec, prawie nie pije, a ten cały Rafita jest jak beczka bez dna, okropność, niczym butelka wielokrotnego użytku. Ojciec jest fantastycznym człowiekiem, ale trafił mu się syn idiota. No cóż, zdarza się, prawda? Bywa też na odwrót równie często lub równie rzadko. Ten idiota zajdzie oczywiście daleko. – Trafił mu się kompletny matoł, pomyślałem znowu, nie mówiąc tego głośno, i zostanie ministrem. Wheeler znowu wypuścił dym, tym razem w formie dwóch, trzech kółeczek, a więc



w odstępach, jakby ta sprawa też nie interesowała go zanadto, przedstawione zaś wyjaśnienia wyczerpały temat. Wyjąłem papierosa, potrząsnął w moim kierunku paczką swoich długich luksusowych zapalek, zachęcając do ich użycia, ja pokazałem mu, że mam zapalniczkę, i zapaliłem sobie papierosa. To, jak następnie zadał mi pytanie, skłoniło mnie do przypuszczenia, że z jakiegoś powodu niecierpliwie chciał mi je zadać i od dłuższej chwili miał je na końcu języka, pytanie nie było przypadkowe ani zadane ot tak, nie wynikało z meandrów rozmowy ani nie było częścią komentarzy, które zwykle przychodzą do głowy lub narzucają się po kolacji czy przyjęciu, kiedy wszyscy już sobie pójdą albo zaraz po pożegnaniu gospodarzy. Tupra, gruby sędzia i Beryl może rozmawiają właśnie na nasz temat, dojeżdżając już do Londynu, albo na temat państwa Fahy i wdowy Wadman. De la Garza i burmistrz Thame albo Bicesteru, albo czegoś tam innego obgadują może teraz nieprzystępne laski, nie zważając, że to niezręczne w obecności żony burmistrza, jeżeli oczywiście jeszcze się wszyscy nie zabili na jakimś zakręcie i jeżeli De la Garza zdołał wydusić z siebie zrozumiałe dwa słowa po angielsku (zawsze mógł się uciec do gestykulacji, a przy okazji puścić kierownicę, od razu szanse by wzrosły). Nawet pani Berry rozpamiętuje kolację, leżąc samotnie w łóżku i nie mogąc zasnąć, ona też przyjmowała kiedyś gości i bywała panią domu, pewnie nie chciała, by wieczór zakończył się już na dobre. – Powiedz, jak ci się podobała Beryl. Co o niej mylisz? Jakie zrobiła na tobie wrażenie?

– Beryl? – zadziwiłem się lekko zbity z tropu, nie spodziewałem się takiego pytania, sądziłem, że zapyta raczej o jej przyjaciela Bertrama, jeżeli rzeczywiście był jej przyjacielem. – Cóż, nie zamieniliśmy ani słowa, nie interesuje się szczególnie innymi ludźmi, nie wyglądała też na osobę, która dobrze się bawi, jakby przyszła z obowiązku. Ale ma świetne nogi, wie o tym i wykorzystuje to. Co do twarzy, to ma zbyt dużą szczękę i zęby, ale

i tak jest dość ładna. Najbardziej pociągający jest jej zapach, to jej główny atut: rzadki, miły i bardzo zmysłowy zapach.

Wheeler patrzył na mnie z mieszaniną nagany i kpiny, oczy miał w każdym razie rozbawione. Potrząsnął lekko laską, ale jej nie podniósł, chwycił tylko za gałkę. Traktował mnie czasem tak, jakbym był jednym z jego studentów, i chociaż nigdy nie byłem, to w jakimś sensie jednak byłem. Byłem uczniem, terminowałem u niego, żeby nauczyć się jego sposobu patrzenia i stylu, podobnie jak swego czasu terminowałem u Toby'ego Rylandsa. Z Wheelerem więcej żartowaliśmy. Albo nie, coś minęło i powraca tylko we wspomnieniach, traci ostrość i ulega pomniejszeniu, żartowałem z oboma, podobnie jak z Cromerem-Blakiem, innym kolegą z moich oksfordzkich czasów, bliższym mi wiekiem i wybitnie inteligentnym, mimo to daleko nie zaszedł, umarł na AIDS cztery miesiące po moim wyjeździe i nikt z oksfordzkiej społeczności (ani wtedy, ani nigdy potem, ci ludzie plotkują o trywialnych sprawach, ale są bardzo dyskretni w sprawach poważnych) nie wspominał, że chodziło o tę właśnie chorobę. Widziałem go chorego, widziałem, jak wraca do zdrowia, a potem znowu pogrąża się w chorobie, lecz nigdy nie zapytałem o przyczynę. Zawsze też dużo żartowałem z Luisą, możliwe, że to był mój główny i niezadowolający sposób okazywania sympatii. Problemy się zaczynają, kiedy chodzi o coś więcej niż sympatia, myślę.

– No tak, wiedziałem, że jesteś zbyt samotny w Londynie. Nie o to pytałem. Prawdę mówiąc, nigdy nie ośmieliłbym się zadać ci pytania, czy podniecają cię kapryśne humory Beryl czy nie, ufam, że zdołasz wybaczyć mi brak zainteresowania tą stroną twojego życia. Pytałem o jej stosunek do Tupry, jakie wrażenie zrobiła na tobie w powiązaniu z nim, w swoim związku z nim. To chciałbym wiedzieć. A nie czy wzbudziły twoją ekscytację jej – urwał na chwilę – kończyny. Nie wiem, za kogo mnie masz.

Po czym wyciągnął rękę i palcem wskazał jakieś mało konkretne miejsce w salonie, dając niewątpliwie do zrozumienia, żebym mu coś podał. Ponieważ sam potrzebowałem popielniczki, by strząsnąć popiół z papierosa, uznałem, że on także jej potrzebuje, poszedłem po jedną dla siebie, a drugą podałem jemu na popiół z cygara, który wypiętrzył się już niebezpiecznie na czubku. Wziął popielniczkę, postawił obok siebie na stopniu, ale nie użył jej od razu, choć byłoby to wskazane, pokręcił przecząco głową i nadal wskazywał palcem, tym razem rozedrganym, w jakimś mało precyzyjnym kierunku. Usta miał zaciśnięte, skleione, jakby nie mógł ich otworzyć. Wyraz twarzy pozostawał jednak niezmienny.

– Kieliszek porto? Ma pan ochotę na kieliszeczek porto przed snem? – próbowałem zgadnąć, w salonie zostało kilka różnych butelek z łańcuszkami i medalami. Znowu zaprzeczył ruchem głowy, jakby uciekło mu właściwe słowo, jakby nastąpiło potknięcie, blokada, jakby może wiek, na który nie wyglądał (wiek oszukany), chwilami dawał o sobie znać. – Cukierek? Trufla? – Odpowiednie tace stały obok. Znowu zaprzeczył, dalej wskazywał przed siebie palcem, machając w górę i w dół. – Mam panu podać fular? Jest panu chłodno? – Nie, nie o to mu chodziło, elegancki krawat ściśle przylegał do szyi. – Poduszka? – Wreszcie potwierdził z ulgą. Dołączył drugi palec do wskazującego, prosił o dwie poduszki.

– Poduszki, do diabła, nie wiem, co się ze mną dzieje, czasem zapominam najprostsze słowa i dopóki sobie nie przypomnę, nie mogę nic powiedzieć, rodzaj chwilowej afazji.

– Rozmawiał pan o tym z lekarzem?

– Nie, fizjologia nie ma tu nic do rzeczy, wiem to na pewno. To trwa tylko chwilę, jakby wola odmawiała mi posłuszeństwa. To jakby zapowiedź lub przedsmak... – przerwał. – Podaj mi je, proszę, moje nerki będą ci wdzięczne.

Wziąłem poduszki z sofy, podałem mu, umieścił je sobie z tyłu na odpowiedniej wysokości, zapytałem go, czy nie wolałby, żebyśmy usiedli w salonie, machnął przecząco ręką z cygarem (na wykładzinę spadł długi słupek popiołu), dając do zrozumienia, że nie warto, że nie zabierze mi dużo czasu (puknął grzbietem dłoni o popielniczkę ustawioną przy obsypanym popiołem stopniu schodów i strzepnął do niej resztki popiołu z cygara), wróciłem na swoje miejsce, ale wziąłem z gabinetu pięcio- czy sześciostopniową drabinę służącą do sięgania po wysoko ustawione na półkach książki, ustawiłem ją sobie przy futrynie i usiadłem, to znaczy pozostałem w tej samej odległości.

Ostatnie zdania Wheeler powiedział po angielsku, częściej porozumiewaliśmy się w tym właśnie języku, bo to był język miejscowy, słyszeliśmy go na co dzień i codziennie używaliśmy w rozmowach z innymi ludźmi, kiedy jednak byliśmy sami, używaliśmy też hiszpańskiego, przechodziliśmy z jednego języka na drugi w zależności od potrzeb, wygody albo kaprysu, wystarczyło czasem wtrącić dwa słowa w jednym języku, byśmy automatycznie zaczęli w nim mówić, jego kastylijski był znakomity, mówił co prawda z akcentem, ale niezbyt silnym, płynnie i dość szybko – aczkolwiek nie tak szybko jak ja, naturalnie, ja zjadałem końcowe głoski, on starał się tego nie robić – był zanadto precyzyjny w doborze słów, rodowity Hiszpan nie jest tak staranny. Użył słowa *prescience*, wyszukanego, lecz nie tak rzadkiego po angielsku, jak rzadkie jest po hiszpańsku słowo *presciencia* na określenie przewidywania, wiedzy uprzedniej, nikt tak w Hiszpanii nie mówi i prawie nikt tak nie pisze, w ogóle mało kto zna to słowo, używamy raczej innych, jak *premonición* albo *presentimiento*, albo *corazonada*, wszystkie wyrażają raczej uczucia, jest też *un palpito* – żeby powiedzieć w języku potocznym, że „coś mnie tknęło” – wyraża raczej emocje niż wiedzę, pewność, żadne z nich nie zawiera w sobie wiedzy o przyszłych sprawach, a to właśnie

oznacza *prescience* i także *presciencia*, znajomość czegoś, co jeszcze nie istnieje i jeszcze się nie wydarzyło (nic zatem nie ma wspólnego z prorocत्वami ani z wróżbami, ani z odgadywaniem, ani z przepowiedniami, a jeszcze mniej z tym, co współcześni szarlatani nazywają „jasnowidztwem”, bo wszystko to nijak się ma do samego pojęcia „wiedza”, czyli *ciencia*.) „To jakby zapowiedź lub przedsmak zaniku woli”, to właśnie powiedziałby Wheeler, gdyby skończył, pomyślałem. A może w myślach był bardziej dosłowny, co by oznaczało: „To jakby zapowiedź albo przedsmak śmierci”. Przypomniałem sobie, co Rylands powiedział kiedyś o Cromerze-Blake’u, gdy obaj niepokoiłiśmy się jego dyskretnie przemilczaną chorobą. „W czyjej władzy jest wola człowieka chorego?”, zastanawiał się nad rzeką Cherwell, tą samą, której szum dobiegał nas teraz z ciemności, starając się wytłumaczyć pewne zachowania naszego chorego kolegi. „Pacjenta? Choroby, lekarzy, lekarstw, niepokoju, bólu, strachu? Dawnych lat, czasu minionego? Osoby, którą już nie jesteśmy... która zabrała naszą wolę ze sobą, odchodząc?” („Dziwne to niczego więcej nie pragnąć – sparafrazowałem w myślach wiersz – a jeszcze dziwniejsze nie pragnąć już więcej pragnąć...” Albo nie – poprawiłem się natychmiast – może to wcale nie jest takie dziwne). Wheeler jednak wcale nie był chory, miał tylko swoje lata, niemal cały jego czas był już miniony i od dawna miał szansę, by nie być tym, kim był wcześniej, ani żadną z możliwych odmian samego siebie, w jakie mógł się wcielać (nawet szybko wyzbył się nazwiska). Nie powiedział nawet „zwiastun”, do tego był przyzwyczajony, do wcześniejszego wyobrażania sobie wszystkich rzeczy i sytuacji oraz rozmów, w jakich miał uczestniczyć, pewnie wyobraził sobie zawczasu, a nawet zaplanował rozmowę, którą prowadziliśmy po przyjęciu, każdy usadowiony na swoim stopniu, kiedy wszyscy już sobie poszli, a pani Berry przewracała się w pościeli w swoim pokoju na górze, nie mogąc, o dziwo, zasnąć, przebiegając w myślach wszystko, co zrobiła, całe przygotowania,

może przejęta jakimś niedopatrzaniem, którego nikt poza nią nie zauważył. Rozmowa ta spełniała prawdopodobnie oczekiwania Wheelera i toczyła się wedle jego planu, niewątpliwie on ją prowadził, a ja nie miałem w zasadzie nic przeciwko temu, intrygowała mnie i bawiła, nigdy nie odmawiałem mu takich przyjemności. Peter użył nieużywanego, dziwnego słowa *prescience*, wywodzącego się od łacińskiego *praescientia*, które dotrwało do naszych czasów w formie niemal niezmienionej, pojęcia niełatwego zatem do zrozumienia.

– Jak zapowiedź czego, Peter? Przedsmak czego? Nie dokończył pan zdania.

Ani on, ani ja nie należeliśmy do osób, które dają się wywieść w pole, pozwalają odwrócić od czegoś swoją uwagę albo tracą z pola widzenia cel, który je interesuje. Nie zwykliśmy pozwalać, by zdobycz wymknęła nam się z rąk. Ja to wiedziałem o nim, a on o mnie, nie uświadamiałem sobie jeszcze do jakiego stopnia, lepiej zrozumiałem to nazajutrz. Może dlatego uśmiechnął się lekko, odgadłszy, ku czemu zmierzam, i tym razem wydmuchał dym między zębami, nie zaznaczając przejścia do nowej kwestii.

– Nie pytaj o to, co dobrze wiesz, Jacobo, to nie w twoim stylu – odpowiedział z uśmiechem na ustach. Nie należał też do osób, które dają się podejść albo schwytać w pułapkę, był człowiekiem, który mówi tylko to, co chce powiedzieć lub wyznać. Należał do osób, które nazywały mnie Jacobo; inni, jak Luisa, mówili do mnie Jaime, to samo imię, ale żadne z nich nie było dokładnie moim imieniem (może dlatego moja żona, świadoma tego stanu rzeczy, niekiedy zwracała się do mnie po nazwisku). Ja sam przedstawiałem się jednym lub drugim albo tym najbardziej prawdziwym, w zależności od osoby, środowiska i okazji, zależnie od tego, w jakim przebywałem kraju i w jakim języku trzeba było mówić. Wheeler lubił wariant najbardziej chyba pretensjonalny albo najsztuczniej

historyczny, dobrze wiedział, że stara hiszpańska tradycja każe tłumaczyć w ten sposób imię brytyjskich Stuartów: James.

– Od jak dawno to się zdarza? Jeśli dobrze pamiętam, nigdy wcześniej nie przytrafiło się panu w mojej obecności.

– Och, zaczęło się pewnie z pół roku temu, może trochę dawniej. Ale zdarza się rzadko, od czasu do czasu, inaczej byłoby groteskowe. Sam widziałeś, to tylko chwilka, nic dziwnego, że wcześniej nie byłeś tego świadkiem, przeciwnie, gdybyś się z tym spotkał, to dopiero byłoby dziwne i pechowe. Ale daj spokój, nie warto na to tracić czasu, nie powiedziałeś, co myślisz o Beryl, wyłączysz jej uda i szczękę: o Beryl i jej relacji z Tuprą, o tym, jakie robią na tobie wrażenie jako para. – Nie wypuszczał zdobyczy z rąk, wymuszał odpowiedź, kiedy chciał ją uzyskać. Nigdy się zresztą nie opierałem takim naleganiom.

Spostrzegłem, że zsunęły mu się trochę skarpetki, a raczej podkolanówki, pewnie z powodu młodzieńczej pozycji, w jakiej rozsiadł się na schodach, nogi miał mocniej zgięte, kolana uniesione wyżej, niż gdyby siedział w fotelu albo na krześle. Skarpetki się zrolowały, nagle zwiotczały, kontrastowały z nieskazitelnie czystymi lakierkami o zanadto nieużywanych podszewkach (murowany poślizg, pani Berry nie popisała się w tej sprawie), gdyby zsunęły się niżej, odsłoniłyby golenie. A wtedy – nawet gdybym miał być jedynym tego świadkiem i jedyną osobą mogącą mu o tym powiedzieć – powinienem pewnie zwrócić mu uwagę, wolałby o tym wiedzieć, zważywszy jego nienaganną zazwyczaj wytworność.

– No cóż, skoro to pana interesuje: nie dałbym pięciu groszy za tę parę, perspektywa nie jest szczególnie obiecująca dla pańskiego przyjaciela Tupry. Ta kobieta wcale nie wygląda na niczyją nową narzeczoną. Raczej przeciwnie, wygląda, jakby była z Tuprą z lenistwa albo z rutyny, albo jakby nie miała na widoku nic lepszego ani nic gorszego, bardzo dziwne nastawienie jak na świeży związek. Na mnie sprawili wrażenie ospałej pary

o długim stażu, jakby ich związek był wygasłym płomieniem. – Powiedziałem „*old flame*”, lepiej przetłumaczyć to na kastylijski jako wypaloną namiętność. – Jakby pozostawali w dobrych stosunkach, ale znali się nawzajem na pamięć i przesycili sobą, mimo że nadal tolerują się i darzą jeszcze szczyptą wzajemnej tęsknoty, bo w gruncie rzeczy tęsknią do siebie nawzajem jako ucieleśnienia swego minionego czasu. Każde swojego. Wydaje się, jakby Tupra, nie wiem, zaprosił ją, żeby nie pojawić się na kolacji bez towarzystwa, taki rodzaj układu, wie pan, o czym mówię. W zasadzie byłoby to jednak dziwne w przypadku kogoś o jego aparycji i nie w jego stylu, wygląda na mężczyznę, który nie musi zabiegać o towarzystwo kobiet, nawet bardzo pięknych. Gdyby zaś miało być inaczej i jeśli to on jej zrobił przysługę, wyciągając ją z domu na przyjęcie, to ta wersja też nie trzyma się kupy, bo jak już mówiłem, Beryl się nudziła, jakby była tu niemal z obowiązku, z powodu jakiejś umowy, sam nie wiem, ale tak, prawie przyciągnięta na siłę. Nie starała się nawet zrobić dobrego wrażenia na jego przyjaciółach, jeżeli to byli jego przyjaciele. W początkowej fazie związku człowiek chce być akceptowany nawet przez kota drugiej osoby, przez jej kanarka, pedikiurzystkę, wkraść się w łaski mleczarza. Stara się bezustannie, żeby przypaść do gustu całemu otoczeniu ukochanej osoby, choćby było to odstręczające środowisko. A jej na tym zupełnie nie zależało. Ani trochę.

Wheeler przysunął do oczu tłący się koniuszek cygara i przyglądał mu się uważnie; metaliczny błysk oczu był jaśniejszy niż żar, Wheeler podsycał ogień, dmuchając, cygaro kiepsko mu się paliło albo tylko tak udawał; nie podnosząc oczu i pozorując obojętność, poprosił, bym mówił dalej, a z pewnością nie było mu to obojętne. Unikał mego wzroku, ja jednak dostrzegłem, że jego siwe gładkie brwi zmarszczyły się z zadowolenia, a w tonie głosu wyczułem powstrzymywaną ekscytację i obawę jak u człowieka, który wystawia kogoś na próbę i w trakcie próby widzi, że



delikwent może z niej wyjść zwycięsko (nadal jednak czeka z zaciśniętymi kciukami, jeszcze nie ośmiela się odtrąbić zwycięstwa).

– Naprawdę – powiedział, nie stawiając znaku zapytania. – Jak wygasły płomień, co? A ona tu przyszła *velis nolis*, tak uważasz. – Faktycznie uwielbiał latynizmy. – Dalej, opowiadaj, co jeszcze widziałeś.

– Nie mam dużo więcej do powiedzenia, Peter, z żadnym z nich dwojga nie rozmawiałem dłużej, poza tym rozmawiałem z nimi oddzielnie, z nią zamieniłem dwa słowa w przelocie, a z nim gawędziłem kilka minut, nie rozmawiałem z obojgiem razem. Dlaczego tak mnie pan wypytuje? Ja też chciałbym zadać panu kilka pytań na temat tego osobnika, nie wyjaśnił mi pan jeszcze, dlaczego tyle mi pan o nim opowiadał wtedy, przez telefon. Wie pan, że zaproponował mi pracę, na wypadek gdybym miał dosyć BBC? Nawet nie wiem, czym on się zajmuje. A przy okazji, zasugerował, żebym z panem o tym porozmawiał. Żebym to z panem skonsultował. Pewnie pan o tym wie. I pewnie powie mi pan, kiedy uzna za stosowne. To sympatyczny człowiek na pierwszy rzut oka. Potrafi – zawahałem się: nie chodziło o uwodzenie, nie chodziło o zastraszenie ani o prozelityzm, choć także do tego wszystkiego był zdolny – dominować, prawda? Co jest „jego fachem”, czym się zajmuje?

– O Tuprze porozmawiamy jutro przy śniadaniu. I możliwe, że o pracy także. – Wheeler nie posunął się do użycia autorytarnego tonu, była to jednak forma nie znosząca sprzeciwu. – Powiedz teraz coś więcej o Beryl, o niej i o Tuprze. Słucham. – I wrócił do tego, na czym powinienem się skupić: – Wygasły płomień, no proszę... *Old flames, well, well...* –

W dalszym ciągu rozmawialiśmy po angielsku, on wyznaczał drogę, jakby mnie naprowadzał (gorąco, gorąco) w zabawie w ciuciubabkę. – Do siebie nawzajem jako ucieleśnienia swego minionego czasu, mówisz. Każde swojego czasu.

Teraz byłem już całkowicie pewien, że Wheeler poddaje mnie próbie, nie miałem jednak pojęcia dlaczego ani na czym próba polega, nie wiedziałem też, czy chcę ją przejść, jakakolwiek jest. Człowiek czując, że jest poddawany egzaminowi, instynktownie stara się ten egzamin zdać, traktuje to jak wyzwanie. Tym bardziej gdy egzaminator jest kimś przez nas podziwianym. Poruszanie się po omacku wywoływało jednak moje obawy. To wszystko musiało być związane z Tuprą i z Beryl, bez cienia wątpliwości, i prawdopodobnie z nieformalną albo hipotetyczną ofertą pracy złożoną mi przez Tuprę przy pożegnaniu, uznałem to za przejaw uprzejmości z jego strony, nic ponadto, lub za chęć przypisania sobie znaczenia, chociaż takie przechwałki nie pasowały do Tupry, chyba ich nie potrzebował, raczej szłyby w parze z kimś takim jak De la Garza. W ustach attaché Rafity – cóż to za łajza, bufon i głupek – byłyby tylko zwykłą megalomanią. Nie rozumiałem zawilości i meandrów zachowania Wheelera, mógł przecież rozmawiać ze mną otwarcie, chyba że chodziło mu o zabawę i zaintrygowanie mnie. Zrozumiałem, że porozmawiamy nazajutrz przy śniadaniu, wszystko w swoim precyzyjnie zaplanowanym czasie, to on zawiadywał rozsypującym się i kurczącym czasem swej starości, ale przecież czas każdego z nas się kurczy. Zrobiłem mu więc przyjemność, pozwoliłem się ciągnąć za język, aczkolwiek naprawdę nie miałem już wiele do dodania. Trochę wymyśliłem na poczekaniu, rozwinąłem i ubarwiłem to, co powiedziałem wcześniej, rozgadałem się, może zanadto dałem się ponieść fantazji. Spostrzegłem, że skarpetki czy też podkolanówki Wheelera (początkowo musiały mu sięgać pod kolano podobnie jak te, których sam używam) opadły troszkę niżej, z mojego miejsca widziałem cienki pasek różowej skóry i jak teraz się nad tym zastanowiłem, jej karnacja i odcień były właściwe raczej dla kogoś z południowej półkuli niż dla Anglika. Trzymał laskę w zaciśniętych dłoniach, teraz faktycznie była lancą, wcześniej odłożył do popielniczki

ledwie tłące się cygaro, gdyby nie wyraz zadowolenia na twarzy, powiedziałbym, że siedzi jak na rozżarzonych węglach, rozżarzonych tylko do pewnego stopnia, bo nie przypieką go zbyt.

– Tak, cóż, sam nie wiem, wydało mi się, że jak na debiutującą parę każde z nich chodzi zanadto swoimi ścieżkami. Nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby byli zaprawionym w bojach małżeństwem o dawno wypalonych uczuciach, takim, które już naprawdę nie istnieje z wyjątkiem chwil, kiedy małżonkowie zostają sam na sam i nie mają nic do roboty, ale nawet wtedy nie bardzo. Tak, nie miał pan czasu, by doświadczyć czegoś podobnego w swoim krótkim i odległym małżeństwie, ale musiał pan to zaobserwować u innych: w niemal każdym małżeństwie nadchodzi taki smutny moment cichej rozpacz, kiedy to wystarczy obecność trzeciej osoby, wszystko jedno kogo, choćby odwróconego plecami taksówkarza, by żona albo mąż nie zwracali już najmniejszej uwagi na swoją drugą połowę. Już w nich nie ma radości, radości z niego w niej albo radości z niej w nim, albo radości z żadnego w żadnym, zależy, czy któreś z nich wcześniej straci zainteresowanie czy też przesyty wystąpi równocześnie u obojga, w końcu niemal zawsze czują go oboje i obojga dotyka, jeżeli pozostają nadal razem, wtedy żadne zanadto nie cierpi, a jeśli już, to tylko na skutek własnego rozczarowania i rezygnacji, ale gdy brak takiej równowagi, wtedy jedno wpada w przygnębienie, a drugie w niewypowiedzianą irytację. To przygnębione nie wie, co robić ani jak się zachować, próbuje tego i tamtego, łamie sobie głowę, jak tu znowu wzbudzić zainteresowanie bądź uzyskać wybaczenie, chociaż nie wie, czym zawiniło, wszystko na nic, jego los jest przesądzony, na nic się nie zda bycie czarującym lub antypatycznym, łagodnym lub szorstkim, pobłażliwym lub krytycznym, kochającym lub agresywnym, czujnym lub otepiałym, schlebiającym lub groźnym, wyrozumiałym lub odpornym na wszelkie argumenty, nic nie wskóra, tylko traci czas. A to zirytowane zdaje sobie czasem sprawę

z własnej stronniczości i niesprawiedliwości. Ale nic nie może na to poradzić, jest wybuchowe i wszystko w tym drugim wyprowadza je z równowagi, to najlepszy dowód, w życiu osobistym i codziennym, że nic nie jest nigdy obiektywne i że wszystko można przekręcić i zniekształcić, że nie ma wartości ani zasług samych w sobie, w oderwaniu od uznania innych, które z kolei najczęściej jest zupełnie arbitralne, że fakty i postawy są zawsze wynikiem przypisywanych im intencji oraz ich interpretacji, a bez tej interpretacji są niczym, nie istnieją, są neutralne albo bez trudu można je zanegować. Zaprzecza się największym oczywistościom, jedno może po chwili zaprzeczyć czemuś, co właśnie się wydarzyło i co oboje widzieli, zaprzecza się temu, co się mówi lub słyszy w danej chwili, nie temu, co się słyszało lub powiedziało wczoraj czy jakiś czas temu albo zaledwie minutę wcześniej. Jakby nic się nie liczyło, nic się nie sumowało ani nie miało żadnej wagi, a równocześnie ulegało zniszczeniu, wszystko obojętne, bez znaczenia, bez wspomnień, po prostu powietrze, ale zatrute powietrze, i dla obojga okazuje się to nieznośne, chociaż dla każdego inaczej i bardziej dla tego przygnębianego. W końcu wszystko się rozpada. Albo i nie, wtedy się ciągnie dalej i wewnątrz się to oswaja, a na zewnątrz wszystko się wycisza i wyhamowuje, albo nie zapomina się i wtedy wszystko bezgłośnie gnije, z dala od ludzkich oczu, jak coś, co zostało pogrzebane. Choć wszystko wygasło, oboje pozostają razem, mniej więcej tak jak w przypadku Tupry i Beryl. Takie miałem wrażenie.

Bez wątpienia Wheeler nie chciał stracić tych dwojga z pola widzenia, wróciłem więc do nich po długiej dygresji, którą zamierzałem jednak kontynuować. Zamiast wykorzystać powrót do tematu, zainteresował się moją przemową, chociaż niosło to ze sobą niebezpieczeństwo ponownego oddalenia się od głównego wątku. Pewnie kierowała nim ciekawość, ponieważ nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

– To właśnie przytrafiło ci się z Luisą? Z tą różnicą, że wy już nie ciągnęliście tego, nie zostaliście razem? – Spojrzał na mnie przez sekundę z tym swoim współczuciem, które szybko tonował lub gasił. Nie żeby przestawał je odczuwać, odrzucał albo się z niego wycofywał, w żadnym razie, tonował tylko pierwszą reakcją, spontaniczną i bardziej szczerą. Nigdy jednak to współczucie nie trwało długo w swoim stanie pierwotnym czy też spontanicznym, jak pewnie sam by to nazwał, gdyby je opisywał.

– Nie, nie dopuściłem albo nie dopuściliśmy, by zaszło to tak daleko. To była inna sprawa, może prostsza, na pewno szybsza. Nie tak sentymentalna. Może czystsza.

– Któregoś dnia musisz mi o tym więcej powiedzieć. Jeżeli zechcesz, ma się rozumieć, i jeżeli potrafisz, czasami się okazuje, że nie da się wytłumaczyć tego co najważniejsze, co nas najbardziej dotknęło, a zachowanie milczenia jest naszym jedynym ratunkiem w złych chwilach, bo tłumaczenia niemal zawsze brzmią trochę głupio wobec wyrządzonej krzywdy lub doznanego bólu. Zazwyczaj nie potrafią zaradzić doznanej lub wyrządzonej krzywdzie i wszystko się wali, prawda? Tego między wami nie rozumiem, chociaż rozumiem, że nie mogę zrozumieć. Bardzo lubiłem was oboje. To absurd, że użyłem czasu przeszłego: bardzo lubię was oboje. Pewnie powiedziałem tak dlatego, że jako małżeństwo wydajecie się bytem przeszłym. Na razie. Bo z taką więzią nigdy nic nie wiadomo, prawda? Bez względu na jej aktualny stan. Więź. – Zamilkł na chwilę, jakby ważył słowa albo przypominał sobie jakąś własną łączącą go z kimś więź. – Chciałem powiedzieć, że lubiłem was razem, a człowiekowi zwykle podobają się bardziej pojedyncze osoby, każda osobno, bez przyległości małżeńskich i rodzinnych. Choć jak teraz się nad tym zastanawiam, nie wiem, czy widziałem kiedyś Luisę bez ciebie, czy kiedykolwiek widziałem ją osobno, może ty pamiętasz? Mam wrażenie, że tak, ale nie jestem do końca pewny.

– Myślę, że nie, Peter, myślę, że nie widział jej pan bez mego towarzystwa. Rozmawialiście przez telefon, to na pewno. – W moim tonie musiała zabrzmieć niechęć wobec tej ostatniej dygresji, tak dla mnie nieoczekiwanej. Nie umknęło jednak mojej uwadze, że skoro Wheeler i Luisa nie widzieli się bez mojej przy tym obecności (nie byłem całkowicie pewien, kołatało mi się po głowie jakieś niezrozumiałe i niewyraźne wspomnienie), to jego wypowiedziane właśnie stwierdzenie znaczyło tyle, że wolał mnie w jej towarzystwie niż samotnego, jakim mnie poznał. Nie poczułem się tym wnioskiem dotknięty: nie miałem wątpliwości, że ona czyniła mnie lepszym, weselszym i łagodniejszym, nie tak skłonny do rozpamiętywania, mniej niebezpiecznym, dużo mniej pogmatwanym. *My dear, my dear*, pomyślałem po angielsku, bo w tym właśnie języku rozmawialiśmy, a poza tym pewne rzeczy są mniej krępujące w obcym języku, nawet jeśli pojawiają się tylko w myślach. Gdybym tylko potrafił zapomnieć, pomyślałem, tym razem po hiszpańsku. Gdybyś tylko mogła mi ofiarować swoje zapomnienie.

Nim jednak wróciliśmy do Tuprów – czy też raczej do Tupry i Beryl – Peter dodał jeszcze coś od siebie do tego komentarza, który on nazwałby z pewnością *excursus*:

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę – powiedział, podtrzymując żarzenie się cygara za pomocą kolejnej zapałki, powiedział to zatem spowity obłokiem dymu godnym lokomotywy – że wszystko co powiedziałeś na temat życia małżeńskiego, życia prywatnego, zachodzi także w niemal każdej dziedzinie życia, w pracy, w sferze publicznej, w polityce. Neguje się wszystko, to kim jesteś i kim byłeś, to co robisz i robiłeś, to o co się starasz i starałeś, powody i intencje, wyznania wiary, poglądy, wierność ideałom, racje... Wszystko może być zniekształcone, unieważnione, wymazane, jeżeli, z twoją wiedzą lub bez niej, wyrok na ciebie został już wydany, a jeżeli nawet o tym nie wiesz, i tak jesteś bezbronny, zgubiony. Tak właśnie jest w przypadku prześladowań, czystek, w okrutnych intrygach i spiskach, nie wiesz, jakie to przerażające, gdy ktoś, kto ma władzę i wpływy, postanawia cię zanegować, albo gdy wiele osób porozumie się w tym względzie, porozumienie może też nie być potrzebne, wystarczy podstępny czyn lub słowo, które szerzy się jak pożar i trafia innym do przekonania, to epidemia. Nie wiesz, jak niebezpieczni są ludzie z darem przekonywania, nigdy z nimi nie zadzieraj, chyba że jesteś gotów być bardziej niegodziwy niż oni i uważasz, że twoja wyobraźnia, nie, twoja zdolność konfabulacji przewyższa ich zdolność w tym względzie i że zarazki cholery, które rozsiewasz, rozprzestrzenia się szybciej i we właściwym kierunku. Nie zapominaj, że większość ludzi to głupcy. Ludzie są głupi, lekkomyślni i łatwowierni, nawet nie wiesz jak bardzo, są stale jak czysta kartka papieru, kartka bez jednego śladu, bez oporu, choćbyś uważał,

że wiesz, to nie możesz wiedzieć jak bardzo, nie przeżyłeś żadnej wojny, mam nadzieję, że nie będziesz musiał. Człowiek o darze perswazji na to liczy, liczy nawet bardziej, niż można, a mimo to nigdy się nie myli, liczy na to ponad miarę i do granic możliwości i to go wyposaża w bezgraniczną zuchwałość. Ale jeśli jest dobry, nigdy nie popełnia błędu. – Zamilkł na chwilę, poczekał, aż opadnie dym, który teraz zdawał się wydobywać z jego białych, jak ulepionych z ciasta włosów, i wówczas spojrzał na mnie bacznie, z wyrazem zaciekawienia połączonego z pewnością, jakby widział mnie po raz pierwszy, a równocześnie rozpoznawał (może jako podmiot domyślny swego ostatniego zdania) albo porównywał mnie z kimś bądź ze sobą, a może jakby mi błogosławił. – Ty też to masz, masz dar przekonywania. Lepiej z tobą nie zadzierać. – Znowu mocniej ciągnął cygaro, z zadowoleniem spoglądał na poróżwiałą żar i widząc, jak czerwienieje, jeszcze raz zaciągnął się z przyjemnością. – Dzisiaj nie używa się często zwrotu „popaść w niełaskę”, prawda? Popaść w niełaskę. Ciekawe, dziwne, że wyszło trochę z obiegu, bo lepiej niż jakikolwiek inny zwrot nazywa coś, co dzieje się bez przerwy, bezustannie i wszędzie i chyba częściej niż kiedykolwiek, aczkolwiek bardziej skrycie albo mniej hałaśliwie niż dawniej, często oznacza zniszczenie tego, kto w niełaskę popada, kto dosłownie staje się już upadły... jak by to powiedzieć... jest już kimś mniej, już nie osobą, ściętym drzewem. Często to widywałem, powiem więcej, kilka razy sam brałem w tym udział, znaczy przyczyniłem się do tego, że ludzie popadli w niełaskę albo w nienawistną niełaskę, z czego nie sposób się wydobyć. Nawet sam to powodowałem. I o tym decydowałem. Albo pomagałem, by dopełnił się wyrok wydany przez innych. By został wykonany.

– Tu? Na uniwersytecie?

– Nie. No cóż, tu też, ale nie tylko. Również na frontach, gdzie taki upadek był dużo boleśniejszy i pociągał za sobą poważniejsze



konsekwencje niż brak zaproszenia na profesorskie kolacje – powiedział *high tables*, to w kolegiach „kolacje na wysokim szczeblu”, czyli uroczyste kolacje w gronie profesorskim, w swoim czasie musiałem wiele takich znieść – albo stanie się obiektem krytyki, albo znalezienie się na towarzyskim lub akademickim marginesie, albo utrata renomy zawodowej. O tym też porozmawiamy jutro, może trochę, tyle, ile trzeba. A może nie, nie będziemy o tym mówić, nie wiem, zobaczymy. Zobaczymy jutro.

Nie wiem, jak na niego spojrzałem, ale wiem, że nie spodobało mu się to spojrzenie. Nie tyle z powodu tego, co wyrażało – mogło to być zaskoczenie, zaciekawienie, lekka nieufność, szczypta niedowierzania, w każdym razie na pewno nie była to przygana ani krytyka, byłem instynktownie niezdolny do takich uczuć wobec niego – ile dlatego, że w ogóle tak na niego spojrzałem. Jakby zwątpił w swoje niedawne stwierdzenie lub porównanie czy uznanie, ponieważ albo w niewłaściwym momencie.

– Rozsiewał pan zarazki cholery? – to było pytanie towarzyszące memu spojrzeniu.

Oparł czubek łaski o podłogę, chwycił się balustrady, w dłoni trzymającej łaskę trzymał też cygaro i chciał się podnieść, ale nie zrobił tego. Pozostał w tej pozycji, z ramionami uniesionymi do góry, jakby zwiślał albo jak ludzie pokazujący, że są niewinni lub nieuzbrojeni: „Mogą mnie przeszukać”. Albo: „To nie ja”.

– Jesteś zbyt inteligentny, Jacobo, bym choć przez chwilę mógł przypuścić, że nie zrozumiałeś tego wyrażenia w znaczeniu metaforycznym. Jasne, że je rozsiewałem. – Po tym drwiącym nawiązaniu do Jamesa i aroganckim potwierdzeniu szybko stonował swoje poprzednie słowa, pomniejszał ich wagę albo rozpoczął mgliste fragmentaryczne wyjaśnianie, jakby i on nie chciał, żeby jego obraz zmącił się w moich oczach bądź zepsuł na skutek nieporozumienia czy niefortunnej metafory.

Nie wiem, jak mógł pomyśleć, że wezmę go za bezdusznego potwora. – To było dawno temu – powiedział. – Nie zapominaj, że urodziłem się w tysiąc dziewięćset trzynastym roku. Tylko pomyśl, nim wybuchła pierwsza wojna. Trudno uwierzyć, że jeszcze żyję, prawda? Sam w to czasem nie wierzę, zdarzają się takie wieczory. W życiu takim jak moje jest czas na zbyt wiele rzeczy. To znaczy na nic nie ma czasu, a równocześnie jest: starcza go na zbyt wiele. Pamięć mam tak przepełnioną, że czasem nie mogę tego znieść. Chciałbym, żeby była gorsza, chciałbym trochę ją opróżnić. A właściwie nie, nieprawda, wolę, żeby jeszcze mnie nie zawodziła. Chciałbym tylko, żeby nie była taka wypełniona. Jak człowiek jest młody, to się spieszy, sam wiesz, boi się, że nie zdoła się życiem nasycić, nie będzie mu dane przeżyć różnorodnych i wspaniałych doświadczeń, niecierpliwi się i jeśli tylko może, przyspiesza bieg wydarzeń, rzuca się w ich wir, gromadzi je, dziwna jest ta gwałtowana potrzeba młodego człowieka, by kolekcjonować blizny i wypracowywać sobie przeszłość. Nikt nie powinien się tego bać, my, starzy, powinniśmy mówić to młodym, chociaż nie wiem jak, dziś nikt nie słucha starych ludzi. Bo na końcu każdego średnio długiego życia, choćby było monotonne, nieciekawe, szare i bez większych zwrotów, zawsze jest zbyt dużo wspomnień i zbyt wiele sprzeczności, za dużo zaniechań i przeoczeń, i zmian, wiele cofania się, wiele wymachiwania sztandarami, a także zbyt wiele wiarołomstwa, to pewne. Niełatwo to wszystko uporządkować nawet po to, żeby opowiedzieć samemu sobie. Zbyt wiele się uzbierało. Za dużo zebranego razem materiału niejednoznacznego, choć równocześnie jakoś rozproszonego, za dużo na jedną opowieść choćby tylko pomyślaną. Nie wspominając już o tych nieskończenie wielu rzeczach, które pojawiają się w ślepych punkcie oka, każde życie pełne jest zdarzeń dosłownie niewidocznych, człowiek nie wie, co się zdarzyło, bo nie widział, nie było takiej możliwości, spora część tego, co na nas wpływa i determinuje nasze działanie, jest ukryta... jak by to powiedzieć... nie

wystawiona na widok, niemożliwa do zobaczenia ze względu na brak właściwego kąta. Nie da się opowiedzieć życia, to niezwykle, że przez wszystkie znane nam stulecia ludzie z uporem starają się opowiedzieć coś, czego opowiedzieć nie można, czy to w formie mitu, poematu epickiego, kronik, annałów, protokołów, legend, poematów rycerskich, ballad i piosenek ludowych, ewangelii, żywotów świętych, historii, biografii, powieści lub mów pogrzebowych, filmu, spowiedzi, pamiętników, reportażu, wszystko jedno. To przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie, może przynieść więcej szkody niż pożytku. Czasem myślę, że byłoby lepiej porzucić ten zwyczaj i pozwolić, żeby sprawy tylko się działy, a potem zostawić je w spokoju. – Zatrzymał się, jakby zdał sobie sprawę, że bardzo się już oddalił od zamierzonego wątku. Znowu jego słowa zabrzmiały arogancko, choć natychmiast złagodził ton: – Jasne, że rozsiewałem zarazki. Cholery, malarii, dżumy. Przypominam ci, że mieliśmy tu długą wojnę z Niemcami sporo lat po moim urodzeniu, byłem zatem dorosły. A wcześniej przejechałem przez waszą wojnę. Wtedy też już byłem dorosły, policz sobie.

W jednej chwili zrobiłem w myślach obliczenia. Wheeler obchodził urodziny 24 października, tak więc w lipcu 1936 roku, kiedy wybuchła hiszpańska wojna domowa, nie miał jeszcze dwudziestu trzech lat, a kiedy się skończyła w kwietniu 1939 roku, miał lat dwadzieścia pięć. To była dla mnie rewelacja, wcześniej nigdy o tym nie wspominał. „A wcześniej przejechałem przez waszą wojnę”, powiedział, brał w niej zatem udział, może walczył albo szpiegował, albo tylko uprawiał propagandę, a może był korespondentem lub pielęgniarem Czerwonego Krzyża, może kierowcą ambulansu. Nie mogłem uwierzyć. Nie tyle w sam fakt, ile w to, że aż do tego wieczoru nic o tym nie wiedziałem mimo wieloletniej znajomości.

– Nigdy mi pan nie powiedział, że był na hiszpańskiej wojnie, jak to możliwe? – Użyłem terminu „*The Spanish War*”, podporządkowując się

nadmiernie językowi mego rozmówcy, bo tak właśnie nazywa się ją potocznie po angielsku. – Nigdy pan o tym nie wspominał. – Naprawdę nie mogłem w to uwierzyć. – Jak to możliwe? Nawet nie dał mi pan tego nigdy do zrozumienia.

– Rzeczywiście. Chyba tego nie zrobiłem – potwierdził Wheeler z powagą, jakby teraz też nie miał zamiaru niczego więcej dodać. I zaraz rozjaśnił się w uśmiechu z nieskrywaną radością, od razu wydał się dużo młodszy, uwielbiał mnie czymś zaintrygować, a potem niczego nie wyjaśniać, przypuszczam, że postępował tak ze wszystkimi, kiedy nadarzała się okazja, w tym także przypominał Toby’ego Rylandsa, który często sugerował istnienie jakichś godnych ubolewania faktów w swojej przeszłości, jakąś dawną na poły konspiracyjną działalność, przebywanie w jakichś zadziwiających i w zasadzie niewłaściwych dla profesora uniwersytetu miejscach, a potem nic na ten temat nie mówił. Dawał do zrozumienia i milczał, rozpałał wyobraźnię, ale nie dorzucał do ognia, a gdy już zaczynał snuć jakąś historię, wydawało się, że siłą sprawczą jest tylko pamięć bez udziału woli – wspomnienia prezentowane na głos, wyartykułowane – i zaraz się mitygował, przerywał i tym sposobem nigdy nie opowiedział do końca niczego o swoich prawdopodobnie ciężkich lub awanturniczych latach, pozwalając tylko na domniemania. On i Wheeler należeli do tej samej szkoły i do tej samej minionej epoki, nic więc dziwnego, że tak długo trwała ich przyjaźń, na pewno temu żyjącemu bardzo brakowało zmarłego przyjaciela, ogromnie. – Ale również tego nie ukrywałem – dodał Wheeler z szerokim uśmiechem, zgniatając wreszcie pionowo cygaro w popielniczkę, silnie, za jednym razem, jakby chodziło o uciążliwego insekta. Koniec końców wypalił je całe. – Gdybyś kiedyś zadał mi pytanie na ten temat... – I coraz bardziej rozbawiony nie odmówił sobie przyjemności, by mi jeszcze wypomnieć: – Nigdy nie wykazałeś

najmniejszego zainteresowania. Wcale nie byłś ciekaw moich przygód na półwyspie.

Ilekcroć widziałem, że prowadzi ze mną taką grę, podejmowałem wyzwanie, podobnie jak zawsze starałem się nie psuć mu przyjemności, jeżeli widziałem, że dobrze się bawi. Powiedziałem zatem to, co chciał ode mnie usłyszeć, mimo że znałem jego odpowiedź, a może właśnie dlatego, żeby mógł jej udzielić:

– Więc teraz je zadaję, Peter, bezzwłocznie. Zapewniam pana, że nic nigdy nie ciekawiło mnie bardziej. Proszę, niech mi pan opowie o swoich nieznanym przygodach podczas drugiej wojny na półwyspie.

– Nie przesadzaj, niestety nie mieliśmy w niej takiego udziału jak w pierwszej. – Nie trzeba dodawać, że zrozumiał mój żart, Anglicy nazywają wojną na półwyspie, *The Peninsular War*, to co dla Hiszpanów było wojną o niepodległość przeciwko Napoleonowi: napisali o tej wojnie mnóstwo książek w odróżnieniu od nas, uważają ją za swoją wojnę. To znaczące, jak nazwy, poczynając od nazw konfliktów, zmieniają się w zależności od punktu widzenia. To co znane jest powszechnie pod nazwą pierwszej wojny światowej albo wojny 1914 roku, a nawet wielkiej wojny, we Włoszech ma oficjalną nazwę *La Guerra del Quindici-Diciotto*, bo Włochy przystąpiły do niej dopiero w 1915 roku. – Dziś już jest zbyt późno – Wheeler, jak było do przewidzenia, nie zrezygnował z zabawy – a jutro nie starczy nam czasu, mamy tyle spraw do omówienia, tyle różnych zagadnień. Powinieneś być wykorzystać inne okazje w przeszłości. O sprawach trzeba myśleć na czas, a nawet z wyprzedzeniem. – Nadal się uśmiechał. Zebrał siły i wstał, podpierając się równocześnie laską i przytrzymując balustrady. Naprawdę był silny jak na swój wiek, podniósł się niemal bez wysiłku i bez trudu, zwinnie, a wtedy skarpetki, czy też podkolanówki, opadły mu zupełnie, widziałem, jak zsuwają się do kostek. Kiedy już obaj staliśmy (ja również wstałem z podręcznej drabiny, nie

potrafiłem pozostać w pozycji siedzącej, gdy on stał, takie staroświeckie wychowanie), oparł się o balustradę i laską trzymaną w lewej ręce machnął w górę, ustawiając ją na sztorc, jakby była bardziej biczem niż lancą, pomyślałem nagle, że przypomina tresera dzikich zwierząt. – Ale nim się pożegnamy – dodał – chcę coś jeszcze dodać na temat Tupry i Beryl: rozumiem z twoich komentarzy, wnioskuję – wymawiał teraz każde słowo bardzo powoli, może bardzo starannie je dobierał, a raczej z szyderczym cynizmem cieszył się każdym pojedynczym słowem – że nie zdążyłem cię widać o czymś uprzedzić: ostatecznie Tupra zapowiedział, że zamiast z nową narzeczoną przyjdzie ze swoją byłą żoną Beryl. Beryl jest jego najnowszą byłą żoną, nie wiedziałeś o tym, prawda? Czyżbym ci nie powiedział? No cóż, to oczywiste.

Teraz i ja się uśmiechnąłem, a może nawet roześmiałem, zapaliłem następnego papierosa, więcej dymu, dym pomaga i dotrzymuje towarzystwa, muszę przyznać, że czasem bawi mnie duży tupet. Zależy oczywiście od osoby, w takich pomniejszych kwestiach trzeba umieć być niesprawiedliwym.

– Dajmy spokój, Peter, wie pan doskonale, że nic mi nie powiedział, w jakim celu miał mi pan zakomunikować zmianę, która w żaden sposób mnie nie dotyczyła, aczkolwiek teraz zaczynam myśleć, że jednak dotyczyła z jakiegoś panu znanego powodu, który dla mnie pozostaje nieznanym. Przypadkowo napomknął pan przez telefon o jego nowej narzeczonej, to wszystko. Proszę powiedzieć, o co panu chodzi, zdaje mi się, że mało tu przypadkowości, mam rację? Jakaś gra, jakiś sprawdzian, zagadka, zakład? – I wtedy uświadomiłem sobie pewien drobny szczegół: to dlatego Wheeler, zawsze tak zwracający uwagę na formy, pozwolił sobie pominąć milczeniem jej nazwisko, kiedy nas sobie wzajemnie przedstawiał. Nie było to zachowanie całkiem niestosowne, jeżeli nosiła nazwisko swego towarzysza i tak też można to było zrozumieć. „Mr Tupra, z którym

przyjaźń sięga jeszcze dalszych czasów. A to Beryl”, powiedział i można było wywnioskować, że „Beryl Tupra”, jeżeli pozostała przy tym nazwisku, jeżeli nie zmieniła go, wychodząc na przykład za kogoś innego. W przypadku nowej narzeczonej Peter byłby sobie zadał trud poznania wcześniej jej pełnego imienia i nazwiska, by właściwie ją przedstawić. Nie był naśladowcą kabotyńskiej mody – *de facto* słyszałem wcześniej, jak rzucał gromy na ten dzisiejszy zwyczaj, rozpowszechniony wśród nastolatków, ale przejęty przez wielu głupich dorosłych – by pozbawiać ludzi nazwisk, gdy przedstawia się ich komuś po raz pierwszy, porównywalnej do rozpowszechnionego w moim języku obyczaju zwracania się do wszystkich per „ty”.

Nie odpowiedział oczywiście na moje pytanie. Było późno, miał swój rozkład zajęć, zaplanował sobie wcześniej, co i kiedy zrobi w sobotę i niedzielę, podążał w kierunku, w jakim chciał i kiedy chciał.

– Ciekawe, godne uwagi, że odkryłeś prawdziwą naturę ich związku, nic o tym wcześniej nie wiedząc i przyglądając się im tylko z daleka – powiedział i zarzucił sobie laskę na ramię, teraz niczym strzelbę trzymaną przez żołnierza na warcie lub podczas defilady, pręt laski jako kolba, to był odruch kontemplacyjny. – Tupra ma w tej chwili poważne wątpliwości, jak mi mówił. Rozstali się wreszcie przed rokiem, po jakiejś wielkiej kłótni i długim kryzysie, potem wystąpili o rozwód bez orzekania o winie, jakieś sześć miesięcy temu. Na dniach rozwód ma być ostatecznie orzeczony, bo technicznie rzecz biorąc, nie są jeszcze rozwiedzeni, tak mi się zdaje. I jak często bywa wobec nieuchronnie zbliżających się rozstrzygnięć, jedno z nich, Beryl, zaproponowało, żeby do siebie wrócić, przerwać cały proces rozwodowy i spróbować raz jeszcze. Tupra mimo nowej narzeczonej (na pewno nic poważnego, zmienia je ostatnio nazbyt często) zaczął mieć wątpliwości. Robi się coraz starszy, zenił się już dwukrotnie i Beryl była dla niego bardzo ważna, dostatecznie ważna, by za tym tęsknić, to znaczy za

tym, że była dla niego ważna, chociaż uważam, że w gruncie rzeczy już nie jest. Z jednej strony kusi go, by do niej wrócić, z drugiej strony nie wierzy w to. Dobrze wie, że ona nie najlepiej sobie radzi, ani uczuciowo, ani finansowo, aczkolwiek nie wyjdzie źle na rozwodzie, zgodził się niemal na wszystko, o co prosiła. Beryl jest jednak przyzwyczajona do beztroskiego życia, przywykła do pozwalania sobie na, powiedzmy, nadprogramowe wydatki, do miłych niespodzianek częstych w zawodzie Tupry, do ekstra premii wypłacanych w naturze. Przywykła też naturalnie do tego, że nie jest samotna. On obawia się, podejrzewa, że chce do niego wrócić powodowana głównie lękiem i niecierpliwością, nie z prawdziwej tęsknoty ani trwającego nadal uczucia, nie dlatego, że coś przemyślała (nie mówmy tu o miłości), lecz dlatego, że w ciągu tego roku jej sytuacja wcale się nie poprawiła prawdopodobnie wbrew temu, czego się spodziewała. Wydaje się, że nawet nie zaczęła, jak to się mówi, nowego życia, a nie jest już taka młodziutka, nie umie już czekać ani zaufać, już zapomniała, bo zaczęło jej się spieszyć, wiesz, że kobiety przestają być młode, kiedy przestają się młodo czuć, nie tyle wiek je postarza, ile własne przekonanie, same spisują się na straty. Tak więc Tupra wystawia ją teraz na próbę, uchylił jej drzwi, nie odtrącił, spotyka się z nią, ocenia jej zachowanie, od czasu do czasu znowu gdzieś razem wychodzą. Chce się przekonać. Obawia się jednak, że Beryl udaje. Zyskuje na czasie i zapewnia sobie chwilowe wsparcie w oczekiwaniu na odpowiedniego następcę, który jeszcze się nie pojawił: takiego, któremu zawróci w głowie albo który się w niej zakocha, a ona równocześnie uzna, że się nadaje.

Zawód Tupry. Znowu nie umknęło to mojej uwadze. Pozostawiłem tę kwestię bez reakcji, nie zdołałem się jednak powstrzymać od cierpkiego komentarza. Cała ta opowieść nie pasowała mi do kogoś takiego jak Mr Tupra, jak sądziłem człowieka, którego przelotnie widziałem. Jednak



wszystko było możliwe. Wiadomo, że osoby, które mają największy wybór, niemal zawsze wybierają źle.

– Musi być bardzo zadurzony – powiedziałem – musi być chyba ślepy, jeżeli tylko się tego obawia. Natychmiast rzuca się w oczy, że bardziej ją interesuje każda możliwa przyszłość niż terażniejszość u boku tego mężczyzny. Nie jestem tu oczywiście od ferowania wyroków, ale sam nie wiem, miałem takie wrażenie, jakby ona przypominała sobie chwilami o konieczności odgrywania wobec, jak pan mówi, męża roli ponownej zdobywczyni jego serca, wtedy przez krótką chwilę dokładała starań, a raczej poświęcała się, żeby mu sprawić przyjemność czy nawet okazać uczucie, przypuszczam. Ale nie wydaje się nawet zdolna do tego, by przez dłuższy czas pamiętać o tym zadaniu, reagować na przypomnienie, pewnie byłoby to sztuczne, nazbyt wydumane, bo takie uczucia muszą być jej kompletnie obce, no cóż, sam pan wie, że nie jest trudno wymyślić coś nieprawdziwego, trudno jest sprawić, żeby ta fikcja trwała, bo sama z siebie rozpada się jak domek z kart. Żeby ją podtrzymać, trzeba nadludzkiego wysiłku. – Zamilkłem, może trochę się zagalopowałem, rozejrzałem się zatem za jakimś solidnym prozaicznym wsparciem: – Nawet De la Garza to zauważył, „*que no le hacia ni puto caso*”, wyraźnie to zobaczył i dobitnie wyraził, nie przebierał w słowach. Nie sądzę, żeby się pomylił, dobrze przyjrzał się Beryl, bo wydała mu się „*pistonuda*”, tak właśnie powiedział. Proszę to mieć na względzie. A może to o wdowie po dziekanie tak powiedział, wszystko jedno: nie spuszczał z niej oka, głównie od talii w dół i od ud w górę.

Przeszedłem na hiszpański, kiedy trzeba było powiedzieć „*que no le hacia ni puto caso*” – że miała go w dupie – i „*pistonuda*” – zajebista. Nie można tego oddać wiernie w tłumaczeniu. Albo nie, wszystko można, to kwestia zastanowienia, lecz nie zamierzałem tego teraz robić. Ponowne

pojawienie się hiszpańskiego sprawiło, że i Wheeler natychmiast przeszedł na mój język.

– *Pistonuda? Pistonuda*, powiedziałaś? – zapytał odrobinę zdeorientowany i znużony, nie lubił się dowiadywać, że czegoś nie wie. – Nie znam tego słowa, aczkolwiek rozumiem je bez trudu, tak myślę. To coś jak „*cojonuda*”?

– Czy ja wiem?... Tak. Prawie tak. Ale proszę się nie martwić, Peter. Teraz nie potrafię panu tego wytłumaczyć, z pewnością pan jednak znakomicie zrozumiał.

Wheeler podrapał się w jeden z baków. Nie były długie ani specjalnie wymodelowane, w żadnym razie, w jego mniemaniu były eleganckie; lecz nie były też całkiem wygolone, co to, to nie, nie należał do tych obscenicznych osobników, którzy nie obrysowują sobie zarostem konturu twarzy, twarzy grubych nawet bez tłuszczu. Okropni ludzie wedle mego doświadczenia (z jednym wielkim wyjątkiem wedle mego doświadczenia, zawsze jest jakiś wyjątek, to niewygodne i dezorientujące, człowiek nie wie, czego się trzymać), niemal tak samo okropni jak ci, którzy zapuszczają hiszpańską bródkę, brodę okalającą podbródek, bródkę muszkę (kozie bródki to inna sprawa).

– Pewnie ma coś wspólnego z *pistones*, tłokami albo kapiszonami, hm – mruknął nagle bardzo zamyślony. – Nie widzę związku, chyba że taki jak przy wyrażeniu „*de traca*”, to znam, nauczyłem się go kilka miesięcy temu. Używasz tego wyrażenia? Może jest bardzo prostackie?

– Raczej z młodzieżowego słownika.

– Tak czy owak, powinienem się wybrać do Hiszpanii. Jeździłem tam tak rzadko w ciągu ostatnich dwudziestu lat, że niedługo nie będę w stanie przeczytać gazety, język potoczny bezustannie się zmienia. W każdym razie nie umniejszaj swoich zasług. Może i Rafia nie jest takim kretynem, jak sądziliśmy, cieszyłbym się przez wzgląd na jego pocziwego ojca. Jego

zdolność postrzegania nie ma jednak nic wspólnego z twoją, tego możesz być pewien, nie oszukuj się.

Nagle wydał mi się zmęczony. Kilka minut wcześniej śmiał się ożywiony, jowialny, teraz wyglądał na wyczerpanego, zatopionego w myślach. Zauważyłem również własne zmęczenie. Dla człowieka w jego wieku taki długi i pracowity dzień musiał być zabójczy, te wszystkie przygotowania, zajęcia, kelnerzy, przyjęcie, dym papierosowy, zręczne riposty, dużo alkoholu i dużo rozmów. Może ostateczne opadnięcie skarpetek oznaczało kres albo było przyczyną.

– Peter – powiedziałem, może powodowany przesądami, a może nieroztropnie – nie wiem, czy pan zauważył, że zsunęły się panu skarpetki.  
– I udało mi się wskazać bojaźliwie palcem na jego kostki u nóg.

Natychmiast się wyprostował, przegonił zmęczenie trzema krótkimi mrugnięciami oczu i zachował tyle przytomności umysłu, żeby nie spojrzeć w dół. Możliwe, że już wcześniej to zauważył, wiedział o tym, nie przeszkadzało mu to. Spojrzenie mu spochmurniało, może zmatowiało, oczy przypominały dwie zgasłe zapałki. Znowu się uśmiechnął, ale leciutko, jakby z ojcowskim politowaniem. I wrócił do angielskiego, kosztuje go mniej wysiłku, podobnie jak mnie hiszpański.

– Kiedy indziej byłbym ci nieskończenie wdzięczny za zwrócenie mi uwagi, Jacobo. Ale teraz to nie ma znaczenia. Zaraz idę do łóżka, a zanim się położę, zamierzam je zdjąć, tego możesz być pewien. Należałoby iść już spać, żebyśmy jutro mieli świeże głowy, mamy wiele rzeczy do zrobienia. W każdym razie dziękuję za informację. I dobranoc. – Zrobił w tył zwrot, żeby wejść po stopniach dzielących go od pierwszego piętra, tam miał sypialnię, a pokój gościnny, który ja miałem zająć i zajmowałem przy okazji poprzednich odwiedzin, znajdował się na drugim, przedostatnim piętrze. Odwracając się, Wheeler potracił niechcący czubkiem buta stojącą tam popielniczkę z niedopałkiem cygara. Potoczyła się, lecz nie stłukła,

upadki z kolejnych stopni amortyzowała wykładzina dywanowa na schodach przyprószona przy okazji popiołem. Schyliłem się, żeby podnieść popielniczkę, gdy jeszcze tańczyła na schodach. Wheeler usłyszał i zidentyfikował hałas, ale nie odwrócił się. Stojąc do mnie tyłem, rzucił obojętnie: – Tylko niczego nie sprzątaj. Pani Berry zaprowadzi tu jutro porządek. Nie toleruje brudu. Dobranoc. – I rozpoczął wchodzenie, wspierając się na lasce i balustradzie, znowu powalony zmęczeniem, jakby zderzył się nagle z ogromną falą, która go zagarnęła i przemoczyła do suchej nitki, jego postać naraz stała się chwiejna, odrobinę zgarbiona mimo słusznych rozmiarów, jakby dygotał, kroki stawiał niepewnie, każdy stopień wymagał wysiłku, jego piękne nowe lakierki zdawały mu się ciężać, a laska służyła teraz tylko za podporę. Nadstawiłem ucha, usłyszałem cichy, niespieszny tęskny szum rzeki. Jakby mówiła spokojnie, obojętnie i niemal omdlewająco, jakby snuła nić. Nić ciągłości, rzeka Cherwell, między zmarłym i żywym tak do siebie podobnymi, między zmarłym Rylandsem i żywym Wheelerem.

– Przepraszam, że jeszcze pana zatrzymuję. Chciałbym zapytać...

– Słucham – powiedział Wheeler i zatrzymał się, nie odwracając.

– Nie sądzę, bym zdołał od razu zasnąć. Przypuszczam, że ma pan tu gdzieś „Hołd dla Katalonii” Orwella i historię wojny domowej Thomasa. Chętnie rzuciłbym na nie okiem, sprawdził coś przed pójściem spać, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu. Jeżeli mi ich pan użyczysz, jeżeli są tu gdzieś mniej więcej pod ręką.

Teraz znowu odwrócił się do mnie przodem. Uniósł laskę i wskazał gdzieś ponad moją głowę, przesuwając laskę odrobinę w lewą stronę, to znaczy w moją prawą stronę, niczym wskaźnik. Mięśnie mu zwiotczały, cera jak kora drzewa albo wilgotna ziemia zdała się nagle bardzo zniszczona.

– Prawie wszystko na temat wojny w Hiszpanii jest tam, w gabinecie, za twoimi plecami. Mówisz: „przypuszczam”. Przypuszczam. Jak mógłbym nie mieć tych książek? Jestem hispanistą, nie zapominaj. Choćbym zajmował się ciekawszymi stuleciami, wiek dwudziesty jest moim stuleciem również, prawda? Stuleciem, które przeżyłem. Twoim także, nawiasem mówiąc. Chociaż wiele cię czeka lat w następnym.

– Tak, przepraszam, Peter, i dziękuję. Zaraz ich poszukam za pana przyzwoleniem. Niech pan śpi dobrze. Dobranoc.

Znowu odwrócił się plecami, zostało mu jeszcze kilka stopni. Wiedział, że nie spuszczę z niego oczu, dopóki nie dotrze cały i zdrowy na górę, obawiałem się o jego śliskie podeszwy. Niewątpliwie dlatego, że to wiedział, nawet nie przekręcił głowy, kiedy po raz ostatni odezwał się do mnie tego wieczoru, miałem nadal przed oczyma jego kark jako mroczne źródło słów. Był taki sam jak kark Rylandsa, siwy i przykryty falowanymi włosami, niczym rzeźbiony kapitel spłowiwały od upływu czasu. Z tyłu byli do siebie jeszcze bardziej podobni, dwaj przyjaciele, byli sobie jeszcze bliżsi. Z tyłu byli jedną i tą samą osobą.

– Jeżeli zamierzasz szukać mnie w indeksie osobowym, żeby się dowiedzieć, co robiłem podczas wojny w Hiszpanii, szkoda czasu, nie warto pozbawiać się snu. Nie sądzę, żeby u Orwella był taki indeks. Przed wszystkim jednak weź pod uwagę, że w Hiszpanii nie nazywałem się Wheeler.

Nie widziałem jego twarzy, ale byłem pewien, że znowu rozjaśniła się w uśmiechu, kiedy to mówił. Zawahałem się, czy odpowiedzieć. Odpowiedziałem.

– Ach tak. W takim razie proszę mi powiedzieć, jak wówczas był pan łaskaw się nazywać.

Zauważyłem, że kusi go, by znowu się odwrócić w moją stronę, lecz każdy obrót wymagał od niego wysiłku, przynajmniej tego wieczoru, o tak

późnej porze.

– Zbyt dużo chcesz wiedzieć, Jacobo. W każdym razie jak na dzisiejszy wieczór. Może innego dnia, zobaczymy. Ale powtarzam ci, nie trać czasu, nigdy nie znajdziesz mnie w żadnym indeksie osobowym. Nie z tamtych czasów.

– Proszę być spokojnym, zastosuję się do pana wskazówek – powiedziałem. – Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzałem tego szukać, słowo daję, nawet mi to przez myśl nie przeszło. Chcę sprawdzić co innego. – Zamilkłem. Stał nieruchomo. Milczał. Nadal milczał. Dodałem zatem, żeby sprawdzić, czy nie poczuł się zlekceważony: – Poddał mi pan jednak świetny pomysł.

Wheeler przebył resztę schodów w milczeniu. Odetchnąłem z ulgą, widząc go już na górze. Znowu zarzucił sobie laskę na ramię, znowu zmienił ją w swoją lancę i kiedy skręcał w lewo, by ostatecznie zniknąć mi z oczu, mruknął mile połechtany, nie patrząc w moim kierunku:

– Świetny pomysł, naprawdę.

Książki mówią nocą jak rzeka, cicho, niechętnie, a może niechęć bierze się z naszego zmęczenia, somnambulizmu i senności, choćbyśmy uważali, że jesteśmy bardzo przytomni. Współpraca z naszej strony jest niewielka albo tak nam się wydaje, mamy wrażenie, że dowiadujemy się różnych rzeczy bez wysiłku i bez specjalnego zaangażowania, słowa prześlizgują się łagodnie i leniwie, nie staje im na drodze czujność czytelnika, jego gwałtowność, przyjmuje się je biernie, niczym podarunek, zdają się czymś nieprzewidywalnym, co nie kosztuje ani nie przynosi pożytku, ich szmer także jest cichy albo niespieszny, albo tęskny, one też stanowią nic ciągłości między żywymi i zmarłymi, gdy czytany autor już nie żyje bądź gdy żyje, lecz opowiada, interpretuje minione zdarzenia, które już nie kipią życiem, a jednak nadal można je zmienić lub zanegować, zinterpretować jako niegodziwość lub czyn bohaterski i dlatego pozostają nadal żywe i wciąż niepokoją, nie dają nam wytchnienia. A w środku nocy, kiedy i my nie mamy w sobie wiele życia, one nie mogą się już bronić przed tym, co się o nich pisze, do jakiej wykorzystuje się je narracji, jakiej poddaje analizie lub w jakim celu się na ich temat spekuluje, tak samo jak bezbronni są umarli, bardziej bezbronni po śmierci niż za życia i w dodatku dużo dłużej, bo krótkie i podłe ludzkie życie trwa nieskończenie krócej niż czas, który przychodzi po nim. Wielu nie starcza życia, by usunąć wszelkie dwuznaczności, odeprzeć oszczerstwa, często nawet nie zdają sobie z nich sprawy, bo są rozpowszechniane za ich plecami. „W najbardziej nawet szalone i nieprawdopodobne historie można uwierzyć w odpowiedniej chwili – powiedział wcześniej Tupra, nie przywiązując do tego zdania większej wagi. – Czasem ta chwila trwa kilka dni, a czasem trwa już zawsze”.

Andresowi Ninowi nie starczyło czasu, by samemu zadać kłam oszczerstwom, nie doczekał też, by kto inny je odparł, jak pisze Hugh Thomas w swoim szkicu, tu przynajmniej były przypisy i indeks osobowy w odróżnieniu od książki Orwella, zadziwiające, że Wheeler pamiętał taki szczegół, a może tylko tak założył, „Hołd dla Katolonii” był książką wydaną w 1938 roku, w środku wojny domowej, nikt wtedy nie przykładał się do nazwisk. Najpierw i na wszelki wypadek poszukałem u Thomasa nazwiska Wheelera, Peter mógł mnie specjalnie oszukać, nic prostszego, i tym sposobem zagwarantować sobie – gdybym uwierzył i nie zadał sobie trudu sprawdzenia – że nigdzie go nie znajdę. Ale powiedział prawdę, nie było go w tej książce, Rylandsa także, sprawdziłem dla świętego spokoju, żadna fatyga. Jakiego nazwiska mógł, u diabła, używać Wheeler w Hiszpanii, zaintrygował mnie, nie ma co. Może jakieś zdarzenie z jego udziałem było opisane w szkicu Thomasa, książce Orwella albo innej z wielu na ten temat, zgromadzonych, jak mogłem się przekonać, na zachodniej ścianie biblioteki w gabinecie (zbyt długo się przy nich zatrzymałem). Jeżeli tak, to byłoby irytujące nie móc się tego dowiedzieć, mimo że samo zdarzenie powszechnie znano. Nazwisko albo pseudonim – wiele osób używało pseudonimów w czasie wojny – nie były znane. Pamiętałem, kim był Nin, nie znałem jednak szczegółów ostatniej części jego życia, do których niewątpliwie nawiązał Tupra. W Rosji był sekretarzem Trockiego i tam głównie spędził lata dwudzieste, do roku 1930. Sporo przetłumaczył z rosyjskiego na kataloński, poczynając od „Nauk Października” i „Permanentnej rewolucji” autorstwa swego ówczesnego protektora i szefa po „Annę Kareninę” Tołstoja, „Dramat na polowaniu” Czechowa oraz zbiór „Wołga wpada do Morza Kaspijskiego” Borysa Pilniaka. Tłumaczył też Dostojewskiego. Już po rozpoczęciu wojny był sekretarzem politycznym tak zwanego POUM-u, czyli Robotniczej Partii Jedności Marksistowskiej źle widzianej przez Moskwę. To pamiętałem,



wiedziałem też, że na wiosnę 37 roku staliniści urządzili polowanie, raczej tragiczne niż dramatyczne, na członków tej partii, głównie w Katalonii, gdzie partia była najsilniejsza. To dlatego Orwell wyjechał w pośpiechu z Hiszpanii, nie chciał, by go inwigilowano, a może i zamordowano, bo przecież w Hiszpanii pozostawał bardzo blisko POUM-u, możliwe nawet, że do niego należał – przebiegałem wzrokiem po stronach, kartkowałem, przerzucałem się z jednej książki na drugą (ułożyłem ich sobie kilka na nieskazitelnie czystym biurku Petera), szukając przede wszystkim informacji o niemieckich członkach brygad międzynarodowych, która wywarła takie wrażenie na Tuprze – walczył w każdym razie w 27. dywizji, sformowanej przez bojowników POUM-u, na froncie aragońskim, gdzie odniósł rany. Podobnie jak w przypadku tylu innych osób, organizacji, a nawet krajów, o partii tej pamięta się głównie z powodu jej brutalnej likwidacji i prześladowań, jakich padła ofiarą przez sam fakt swego istnienia i z powodu swej działalności, bywa, że najbardziej znaczący jest koniec. W czerwcu 37 roku, jak piszą Orwell (szczegółowo i znając te sprawy z pierwszej ręki), Thomas i inni (z większym dystansem i bardziej pobieżnie), rząd republiki zdelegalizował POUM, ulegając naciskom komunistów, nie tyle komunistów hiszpańskich, choć tych także, ile rosyjskich oraz, jak się zdaje, na skutek decyzji lub osobistych nalegań na Hiszpanię Orłowa, szefa NKWD, sowieckiej służby bezpieczeństwa. Żeby usprawiedliwić delegalizację partii i aresztowanie jej przywódców (oprócz Nina zostali także zatrzymani Julián Gorkin, Juan Andrade, wojskowy José Rovira i inni), członków, sympatyków i bojowników, mimo że ci ostatni walczyli wcześniej lojalnie na wojennych frontach, sfabrykowano fałszywe i dość groteskowe dowody, poczynając od rzekomego listu Nina do samego Franco (ni mniej, ni więcej) po kompromitującą partię zawartość pewnej walizki (podbite pieczęcią komitetu wojskowego POUM-u rozmaite poufne dokumenty, z których wynikało, że jest piątą kolumną, zdrajcą i szpiegiem

na usługach Franco, Mussoliniego i Hitlera, opłacanym przez samiuteńkie gestapo) znalezionej przypadkiem przez policję republikańską w księgarni w Geronie, gdzie chwilę wcześniej zostawił ją na przechowanie jakiś dobrze ubrany osobnik. Księgarz, niejaki Roca, był falangistą zdemaskowanym krótko wcześniej przez katalońskich komunistów, podobnie jak niejaki Castilla, domniemany autor listu fałszywki, zdekonspirowany w Madrycie wraz z innymi spiskowcami. Obaj zostali zmuszeni do współpracy i odegrali rolę prowokatorów, żeby nadać pozory prawdopodobieństwa związkowi POUM-u z faszystami. Możliwe, że tym sposobem ocalili życie.

Sprawy te nie interesowały mnie zanadto, wszyscy jednak autorzy o nich pisali, z większym lub mniejszym zainteresowaniem i znajomością rzeczy, z sympatią albo z niechęcią do ofiar czystki: Orwell, Thomas, Sala Larrazábal, Riesenfeld, Payne, Alcofar Nassaes, Linker, Benet, Preston, Jackson, Tello-Trapp, Koestler, Jellinek, Lucas Phillips, Howson, Walsh, biurko Wheelera było już przykryte otwartymi książkami, nie starczało mi palców do przytrzymania stron i papierosów, większość prac zawierała na szczęście indeks osobowy, Nin występował w nim czasami jako Andreu, innym razem jako Andrés. Został zatrzymany w Barcelonie 16 czerwca i wszelki słuch po nim zaginął (czyli został porwany), a ponieważ był bardzo znanym przywódcą, zarówno w Hiszpanii, jak i przede wszystkim za granicą, jego zniknięcie stało się na krótko sensacją, a na dłużej wielką tajemnicą, niewyjaśnioną do dzisiejszego dnia, i nie przypuszczam, by dziś wiele osób starało się ją wyjaśnić, choć pewnego dnia może się pojawić jakiś głupi i nieuczciwy pisarz (jeżeli już się taki nie pojawił, nie jestem na bieżąco), który będzie sobie rościł prawo do jej wyjaśnienia: zorientowałem się z bibliografii kilku książek, że powstał już jakiś angielsko-hiszpański film przedstawiający tamte miesiące i zdarzenia, nie widziałem go, ale wydaje się, że nie jest na szczęście głupi w odróżnieniu od wielu

hiszpańskich gniotów na temat naszej wojny, miałkich, fałszywych, prowincjonalnych i niezdolnie ckliwych, przyjmowanych bez zastrzeżeń przez poprawnie myślących ludzi w moim kraju, uczuciowych z zawodu, a demagogicznych z założenia, przynosi im to zysk.

Niewątpliwie te właśnie tajemnicze okoliczności sprawiły, że historycy, pamiętnikarze czy kronikarze zaczęli się różnić w tej kwestii. Wszyscy zgadzają się co do zdumiewającego faktu, że nawet rząd, na czele z osobami odpowiedzialnymi teoretycznie za porządek – dyrektorem generalnym do spraw bezpieczeństwa Ortegą, ministrem spraw wewnętrznych Zugazagoitią, premierem Negrínem i prezydentem Azañą – nie miał najmniejszego pojęcia, co się stało z Ninem. Gdy ich o to pytano, a oni twierdzili, że nie wiedzą, nikt im nie wierzył, pojawiały się ironiczne komentarze, choć naprawdę nie potrafili udzielić odpowiedzi, wedle Reneta dlatego, że „nic nie wiedzieli o manipulacjach Orłowa i jego chłopców z NKWD”, którzy działali najwyraźniej na własną rękę. Na murach pojawiały się napisy: „Gdzie jest Nin?”, do których staliniści często dopisywali odpowiedź: „W Burgos albo w Berlinie”, dając tym samym do zrozumienia, że przywódca rewolucji uciekł i przeszedł na stronę wroga, czyli na stronę swoich prawdziwych przyjaciół, Franco albo Hitlera. Te oskarżenia były tak niewiarygodne i szyte grubymi nićmi (członków POUM-u nazywano „trockisto-faszystami”, powielając dosłownie płynące z Moskwy instrukcje), że prasa socjalistyczna i republikańska poczuła się zobowiązana przyjść w sukurs gazetom komunistycznym, wesprzeć te oskarżenia i nadać im pozór prawdopodobieństwa: „Trell”, „El Socialista”, „Adelante”, „La Voz”, żaden tytuł nie został w tyle w tej kampanii oszczerstw.

Nie pamiętam, którzy to historycy, autorzy jakiejś zbiorowej pracy, utrzymywali, że Nin został natychmiast przewieziony do Madrytu i poddany przesłuchaniom i że wkrótce potem, mimo nadzoru policyjnego,

„został uprowadzony z hotelu w Alcalá de Henares, miejsca przetrzymywania” przez „grupę uzbrojonych ludzi w mundurach, którzy zabrali go siłą”. Wedle owych historyków podczas rzekomej szamotaniny między pilnującymi więźnia policjantami i tajemniczymi napastnikami w mundurach (nie podano, w jakich mundurach) „na ziemię upadła teczka z dokumentami wystawionymi w języku niemieckim i na niemieckie nazwisko, odznaki nazistowskie i banknoty hiszpańskie z terytorium zajętego przez Franco”. Historia członków brygad międzynarodowych, przytoczona przez Tuprę, była trochę jaśniej opisana u Thomasa i u Beneta (na pewno właśnie monumentalną pracę Thomasa „Spanish Civil War” – nie wiem dlaczego u diabła nazywam ją „szkicem”, ma ponad tysiąc stron – czytał w młodości Tupra). Wedle Thomasa, Nin został przywieziony z Barcelony samochodem do „prywatnego więzienia Orłowa” w Alcalá de Henares, kolebki Cervantesa, w pobliżu Madrytu, w owych czasach „niemal rosyjskiej kolonii”, żeby ten najbardziej przerażający i przebiegły ze wszystkich przedstawicieli Stalina w Hiszpanii mógł go przesłuchać przy zastosowaniu sowieckich metod zwyczajowych w przypadku „zdrajców sprawy”. Zdaje się, że Nin okazał się zadziwiająco odporny na tortury, to znaczy przerażająco odporny, jeżeli zważyć, że wedle Howsona jakiś bliżej niezidentyfikowany raport – miejmy nadzieję, że niewiarygodny – napomyka, iż został żywcem obdarty ze skóry. Prawdą jest, że nie podpisał żadnego dokumentu, w którym uznałby własną lub swoich towarzyszy winę, nie podał też nazwisk mniej znaczących lub całkiem nieznanych trockistów, czego od niego żądali. Wobec jego uporu Orłow stracił panowanie nad sobą i wpadł w szal. Dwaj kamraci Orłowa, Biełow i Carlos Contreras, asystujący mu przy tym bezowocnym przesłuchaniu (Carlos Contreras to był pseudonim Włocha, Vittoria Vidaliego, podobnie jak nazwisko Orłow było pseudonimem Aleksandra Nikolskiego, Gorkin zaś Juliana Gomeza, jak widać wszyscy mieli pseudonimy), bojąc się tak samo

jak Orłow, że ta nieskuteczność wywoła furię Jeżowa, ich przełożonego w Moskwie, a zarazem szefa NKWD, zaproponowali upozorowanie „nazistowskiego napadu w celu odbicia Nina” i pozbycie się w ten malowniczy sposób kłopotliwego więźnia, nazbyt z pewnością udręczonego i zmaltretowanego, żeby puścić go wolno w świetle dnia, pod osłoną mroku, a nawet w ciemności. „Tak więc pewnej ciemnej nocy – opowiadał Thomas, jakby rzeka szemrała i snuła swój wątek – prawdopodobnie z 22 na 23 czerwca, dziesięciu niemieckich członków brygad międzynarodowych wtargnęło do domu w Alcalá, gdzie przetrzymywano Nina. Podczas tej fingowanej napaści ostentacyjnie mówili po niemiecku i zostawili kilka niemieckich biletów kolejowych. Nin został wywieziony i zamordowany, być może w El Pardo, królewskim parku na północ od Madrytu”. Juan Benet zaś pisał – to opowieść jeszcze bardziej płynna, jeszcze bardziej przypominająca szmer rzeki, a może wyraźniej w niej widać tę nić ciągłości, może dlatego, że Benet pisze w moim języku – że Orłow uwięził Nina w piwnicy swojej kwatery w Alcalá de Henares, żeby tam osobiście go przesłuchać. (Można przypuszczać, że w tej piwnicy, domu, koszarach, hotelu albo więzieniu – ciekawe, że historycy się nie zgadzają co do charakteru tego miejsca – przesłuchiowano Nina po rosyjsku, więzień znał niewątpliwie ten język lepiej – Tołstoj, Czechow, Dostojewski – niż osoba przesłuchująca go znała hiszpański). Nin „rozwścieczył Orłowa do takiego stopnia, że ten postanowił go zlikwidować w obawie przed gniewem swego przełożonego w Moskwie, Jeżowa. Jedyne co mu przyszło do głowy, to «odbicie» więźnia przez niemiecki oddział brygad udający nazistów, który zlikwidował potem Nina na przedmieściu Madrytu i pogrzebał jego zwłoki prawdopodobnie na terenie wewnętrznego ogrodu pałacu w El Pardo”. Benet nazywa gorzką ironią losu fakt, że pałac ten stał się później oficjalną rezydencją Franco na trzydzieści sześć lat dyktatury: („Zwróć uwagę, czytelniku, co spotkało jego pogrzebane kości, w wolnych

chwilach przechadzał się po nich inny zaciekły przeciwnik Stalina”). I dodaje: „W następnych tygodniach chłopcy Orłowa padali ofiarą jakiejś kłątwy – milczenia Nina: ich ciała znajdowano w przydrożnych rowach w Madrycie, z przestrzeloną głową albo całym magazynkiem nabojów w brzuchu”. Może tak właśnie zginął Biełow, ale na pewno nie było tak w przypadku Vidaliego albo Contrerasa (w Stanach Zjednoczonych nosił nazwisko Sormenti), który był potem przez długie lata przywódcą komunistów w Trieście, ani samego Orłowa, który nie dalej jak w 38 roku, otrzymawszy wcześniej rozkaz opuszczenia Hiszpanii i powrotu do Moskwy, wolał opuścić Hiszpanię statkiem incognito – nie robił sobie złudzeń co do losu czekającego go w ojczyźnie – potem pojawił się w Kanadzie, a jeszcze później długie lata ukrywał się, wiodąc życie szanowanego obywatela w Stanach Zjednoczonych, gdzie w 1953 roku wydał w końcu książkę „The Secret History of Stalin’s Crimes” (siebie ze zbrodni oczywiście wyłączył) i współpracował z FBI przy szczególnie trudnych przypadkach „szpiegostwa”, takich jak sprawa braci Soble i sprawa Marka Zbrowskiego: ilu nieprzydatnych rzeczy dowiaduje się człowiek podczas nieplanowanej nocnej lektury. Nawiasem mówiąc, fakt ten skłonił jakiegoś mało finezyjnego, fanatycznego i frywolnego egzegetę – nie pamiętam już, kto to był, książki gromadziły się na biurku, poszedłem po cukierki i trufle, nalałem sobie kieliszek, zachodni regał Wheelera był w dużym nieładzie, a jego biurko wyglądało okropnie – do wyciągnięcia wniosku, że major Orłow od początku był amerykańską wtyką, a ludzie, których kazał zabić w Hiszpanii jako szpiegów, byli w większości ideowymi i lojalnymi komunistami, ofiarami Roosevelta, a nie Stalina. Ta manichejska interpretacja sprawdza się w przypadku ideowości i komunizmu Nina, nie do końca zaś w tym, co się tyczy lojalności (jeśli mowa o lojalności wobec Stalina, to na pewno nie był lojalny). Nin nie był aniołem ani świętym, trudno też powiedzieć, że nie wyrządził krzywd

(a kto ich nie wyrządzał na tej wojnie?), ale zbrodnie, której padł ofiarą on i jego towarzysze (jeden historyk liczył na setki, inny na tysiące członków POUM-u i anarchistów z CNT, którzy za sprawą Orłowa i jego hiszpańskich oraz rosyjskich popleczników skończyli w masowych grobach), a także oszczerstwa rozpowszechniane na jego temat i przyjmowane z wiarą przez nazbyt wielu, powtarzane nawet po fizycznej likwidacji partii, były największą podłością wyrządzoną jednej stronie konfliktu przez drugą w tamtej wojnie wedle niemal wszystkich głosów przemawiających do mnie z książek tamtej cichej nocy nad rzeką Cherwell.

„Prawda jest taka, że w pierwszej chwili wierzy się na ogół we wszystko. Bardzo dziwne, ale tak jest”, przypomniałem sobie słowa Tupry, kartkując książki: punktem kulminacyjnym tych oszczerstw była wydana w 1938 roku w Barcelonie książka niejakiego Maksa Riegera (na pewno pseudonim, pewnie Wenceslao Rocesa, którego znałem jako późniejszego tłumacza „Fenomenologii ducha” Hegla), przełożona rzekomo na hiszpański z francuskiego przez Lucienne’a i Artura Perucho (ten drugi był redaktorem naczelnym gazety „Tribuna”, organu komunistów katalońskich), z przedmową José Bergamina, sławnego pisarza, trochę katolika i trochę komunisty – och, co za mieszanka. Książka ta nosiła tytuł „Szpiegostwo w Hiszpanii” i była zbiorem wszystkich inwektyw, fałszerstw i oskarżeń pod adresem Nina i POUM-u, przedstawiając je jako wiarygodne i na nowo legitymizując, obstając przy nich, cytując dokumenty ze sfabrykowanymi dowodami, rozwijając ich treść, rozszerzając ją i dokonując nadinterpretacji. Przypomniałem sobie, że słyszałem kiedyś ojca, jak mówił o tym wstępie Bergamina, usprawiedliwiającym prześladowania i zabójstwa ludzi POUM-u i odmawiającym ich przywódcom prawa do jakiegokolwiek obrony (była to musztarda po obiedzie, bo wcześniej już wielu poddano torturom, uwięziono i wydano na nich wyrok bez sądu), jako o wielkiej niegodziwości, jednej z wielu, jakich dopuściło się wcale liczne grono

hiszpańskich intelektualistów i pisarzy z jednej i drugiej strony barykady w czasie wojny, głównie tych ze zwycięskiego obozu po zwycięstwie. Przeczytałem kilka nieuczciwych i niekompetentnych wypowiedzi w tej debacie – może była to wypowiedź Tella-Trappa, a może kogoś innego, robiłem notatki na luźnych kartkach i dość nieporządnie, gabinet biednego Petera coraz bardziej przypominał pobojuwisko – biorących w obronę Bergamina z powodu osobistej z nim znajomości („fascynująca i uwodzicielska postać”, „człowiek zacności don Kichota, miłośnik prawdy”) i wielkiego upodobania do jego poezji „głębokiej, czystej i romantycznej” oraz „rozświetlającego mrok głosu” – pożarłem cukierka i jedną truflę i pociągnąłem dwa łyki wina, żeby się pokrzepić, zastanawiałem się, jak można produkować podobne brednie, a potem dalej pisać jakby nigdy nic – ale prawdę mówiąc rzeczony wstęp, który znalazłem gdzieś w obszernym przytoczeniu, przemawiał jednoznacznie na niekorzyść swego autora: POUM pojawiał się tam jako „zdradziecka partyjka”, a nawet nie partia, tylko „szpiegowska organizacja kolaborująca z wrogiem; czyli nie organizacja bierna wobec wroga, lecz sam wróg, część składowa faszystowskiej międzynarodówki w Hiszpanii... Podczas hiszpańskiej wojny międzynarodowy trockizm na służbie Franco odsłonił swe prawdziwe oblicze konia trojańskiego...”. Obrońca manipulator nie mógł nie potępić tego wstępu, dodawał jednak, że „nie wiemy, czy autor napisał go pod naciskiem Partii Komunistycznej czy w dobrej wierze”, a przecież wydaje się albo jest niemal oczywiste, że napisał go z pełną swobodą i w najgorszej wierze, jak przytomnie zauważa zawsze rozsądny i obiektywny Thomas: „Niemożliwe, żeby wierzył w to, co pisze”. Tekst tego „miłośnika prawdy” dobrze się komponował z plakatem czy też satyrycznym obrazkiem, na którym POUM zdzierał maskę z sierpem i młotem, odsłaniając oblicze przecięte swastyką, i który wedle Orwella



i innych krążył po Madrycie i Barcelonie wiosną 37 roku. Mój ojciec nie przesadził, nazywając to niegodziwością.

Wtedy w przepastnej bibliotece Wheelera zauważyłem oprawioną w sześć grubych tomów kolekcję zeszytów historycznych wydanych pod wspólnym tytułem „Podwójny dziennik wojny domowej 1936-1939” przez gazetę „Abc” w latach 1978-1980, czyli między trzecim i piątym rokiem po śmierci Franco. Taki zamysł nie miał szans realizacji wcześniej, bo polegał na wydaniu dwukolorowego faksymile stron, kolumn, komentarzy redakcyjnych, wiadomości, wywiadów, ogłoszeń, artykułów, opinii, korespondencji pomieszczonych w dwóch odmiennych edycjach dziennika „Abc” z czasów wojny domowej: w edycji republikańskiej wydawanej w Madrycie i frankistowskiej wydawanej w Sewilli, zgodnie z podziałem kraju między dwie strony konfliktu na początku wojny. Edycja madrycka została wydrukowana na czerwono, a edycja sewilska w kolorze szaroniebieskim, łatwo więc było dostrzec albo prześledzić odmienny sposób widzenia i prezentowania tych samych zdarzeń – prawdę mówiąc, nigdy się nie wydawały tymi samymi zdarzeniami – przez prasę każdej ze stron. Uległem pokusie, żeby sprawdzić numery z wiosny 37 roku, chociaż zdarzenia związane z POUM-em rozegrały się głównie w Barcelonie. W pierwszym podejściu, trochę już zmęczony i w pośpiechu powodowanym późną porą, nie znalazłem wiele. Ale jedna znaleziona wówczas wiadomość kazała mi odłożyć inne grube tomy – jedna książka zawsze prowadzi do drugiej i do następnej, a wszystkie mówią, że ciekawość jest niezdrowa, choć nie z ogólnie znanych powodów, lecz dlatego, że prowadzi do wycieńczenia – i zacząć się zastanawiać intensywnie nad Ianem Flemingiem, twórcą agenta 007, autorem powieści o Jamesie Bondzie. Wspomniana wiadomość pojawiła się w madryckim „Abc” 18 czerwca 1937 roku i nie potraktowano jej niewątpliwie jako ważnej, bo zajmowała jedynie pół kolumny. Tytuł głosił: „Aresztowanie

kilku przywódców POUM-u”. Przeczytałem ją pospiesznie, a potem spychając niedbale kilka książek na ziemię, zrobiłem miejsce na biurku, żeby postawić starą elektryczną maszynę do pisania, którą zauważyłem wcześniej w jakimś kącie gabinetu przykrytą pokrowcem. Przepisałem na maszynie całą notatkę. Starłem się nie myśleć, że Wheeler albo pani Berry mogliby się teraz obudzić, zejść na dół i zobaczyć bałagan, jaki zdołałem zrobić w zazwyczaj uporządkowanym i schludnym gabinecie w czasie tak krótkim, że nie uzasadniał rozmiarów tego pobojuwiska: dziesiątki książek zdjętych z półek, otwartych i rozrzuconych na ziemi, napierających nawet bezceremonialnie na dwa ozdobne pulpity Wheelera z jego słownikiem, atlasem oraz przydzieloną do każdego lupą; pośród tego wszystkiego tace z cukierkami i truflami, okruszki czekolady i jak zauważyłem z konsternacją, plamy po czekoladzie na niektórych stronach; szklanka i butelka whisky oraz puszka coca-coli, którą wziąłem sobie z lodówki, żeby mieszać oba napitki, i naczynie z na pół roztopionymi kostkami lodu, rozchlapaną jedną, dwie albo trzy krople wody, gwarancja śladów po wodzie na drewnie, nie przyszło mi do głowy użyć podstawek; moja popielniczka i popielniczka Petera wypełnione po brzegi, a kto wie, może i żółte ślady po nikotynie zostawione gdzieś w jakimś widocznym miejscu, a może niezauważone przeze mnie przypalenie papierosem jakiejś ważnej strony; walające się po ziemi, zepchnięte trochę w kąt moje papierosy, zapalniczka i pusty nabój atramentowy z mojego pióra, może gdzieś jakaś plama z atramentu zrobiona niechcący przy wymianie naboju; a teraz jeszcze wyciągnięta z futerału maszyna i papiery, i kartki zabazgrane lub zapisane na maszynie, po hiszpańsku bądź po angielsku w zależności od źródła notatek. Czarno widziałem szansę na uporządkowanie tego wszystkiego, przywrócenie gabinetowi jego wcześniejszego wyglądu.

Pierwsza, krótsza część wiadomości brzmiała tak: „Barcelona 17 czerwca, godz. 16. Policja aresztowała przywódców POUM-u. Wśród

zatrzymanych są Jorge Arques, David Pérez, Andrade i Ortiz. Nin, aresztowany wczoraj, został przewieziony do Walencji”. Wiadomość podpisał niejaki Febus, z pewnością jeszcze jeden pseudonim. W drugiej części dodawano: „Barcelona 17 czerwca, godz. 24. Policja dokonała dziś kolejnych aresztowań wśród kierownictwa POUM-u. Jak wiadomo, najbardziej wpływowym politykiem tej partii, Andrés Nin, został zatrzymany kilka dni temu, przewieziony z Delegatury Państwa w Katalonii do Walencji, a stamtąd wysłany do Madrytu. Potem zatrzymano jeszcze około czterech osób, wśród nich redaktora naczelnego dziennika „La Batalla”, organu POUM-u, oraz kilku dziennikarzy tej gazety. Drukarnia, redakcja i dział administracji wspomnianego dziennika zostały zajęte przez władze. W wyniku zeznań złożonych przez aresztowanych wszczęto nowe śledztwa i zatrzymano kolejne pięćdziesiąt osób. Wszyscy zostali przewiezieni do Delegatury Państwa w Katalonii. W ś r ó d z a t r z y m a n y c h j e s t kilka cudzoziemców wyjątkowej urody. Czynności prowadzą funkcjonariusze brygad kryminalnej i społecznej przy wsparciu Szturmowej Gwardii Bezpieczeństwa. Przejęto wszystkie lokale należące do POUM-u w Barcelonie, a znalezione tam dokumenty wnikliwie przeanalizowało dwudziestu pięciu wyspecjalizowanych w tym funkcjonariuszy. Podczas szczegółowej rewizji w domu w San Gervasio, należącym do Beltrana y Musitu, gdzie POUM miał swoją kwaterę, znaleziono tysiące kompletów najnowszego modelu ekwipunku dla żołnierzy”. Pod spodem znowu figurował podpis „Febus”.

Podkreślenie nie pochodziło od ukrywającego się pod pseudonimem autora, nie jest też moje, zrobił je Wheeler, już wcześniej znajdowałem jego podkreślenia w wielu przekartkowanych książkach, także związane zapiski na marginesach, właściwie nie tyle związane, ile najczęściej zaszyfrowane lub skrótowe i tym samym mało zrozumiałe dla mnie i dla każdego czytelnika. Tym razem na prawym marginesie wydrukowanej czerwoną

farbą kolumny napisał pionowo (było mało miejsca), wiecznym piórem, jak miał w zwyczaju, dobrze mi znanym charakterystycznym pismem: „*cf.* «From Russia with Love»”, czyli: „*confer* «Pozdrowienia z Rosji»”, nawet na marginesach używał wyrażeń łacińskich, choć skrót „*cf.*” jest często stosowanym w języku angielskim odsyłaczem znaczącym „porównaj” albo „patrz”. „Pozdrowienia z Rosji”, drugi tom albo drugi odcinek przygód Jamesa Bonda, jeśli dobrze pamiętałem, a może trzeci albo czwarty. Od razu zadałem sobie pytanie, czy chodzi mu o film, który swego czasu oczywiście widziałem (jeszcze z wielkim Seanem Connerym, to na pewno), czy o powieść nieżyjącego Iana Fleminga, której film był ekranizacją. Niepotrzebna albo nieuzasadniona ciekawość (taka właśnie dręczy erudytów) czyni z nas marionetki, wprawia nas w ruch, sprawia, że rzucamy się z jednego miejsca w drugie, osłabia naszą wolę, a co najgorsze, dzieli nas i rozprasza, sprawia, że pragniemy mieć czworo oczu i dwie głowy, każdą z czworgiem oczu i dwiema głowami. Mimo to udało mi się jeszcze przez chwilę skupić uwagę na „Podwójnym dzienniku”, ale nie było tam wiele więcej o kolejach losu Nina i POUM-u, które z drugiej strony – uświadomiłem sobie – nie interesowały mnie dla nich samych, przynajmniej póki nie otworzyłem książek Orwella i Thomasa. (Wszystkiemu był winien Tupra, on mnie zaintrygował, od pierwszej chwili).

W tej samej republikańskiej edycji „*Abc*” z następnego dnia, 19 czerwca 1937 roku, znalazłem stronę w całości poświęconą plenum komitetu Partii Komunistycznej, które rozpoczęło się w Walencji. Na pierwszym posiedzeniu wystąpiła z „referatem” Dolores Ibárruri, bardziej niewątpliwie znana wówczas i dzisiaj, i w przyszłości pod pseudonimem La Pasionaria, która „zawsze wierna Stalinowi” i pewnie „w ataku hysterii”, jak chwilę wcześniej przeczytałem u Beneta, poświęciła kilka wściekłych i bezlitosnych słów odbywającym się właśnie czystkom: „Podczas

uroczystości w Monumental Cinema – powiedziała – wzniesmy wysoko sztandar Frontu Ludowego. Wrogami tego sojuszu są pewne odłamy lewicy i trockiści. Żadne środki użyte w celu ich likwidacji nie będą przesadne”. Poczuję ochotę, by samemu podkreślić to ostatnie zdanie, tak zapraszające do likwidowania, które w rzeczy samej nastąpiło, ale powstrzymałem się, były to ostatecznie książki Petera i nie mogłem oczekiwać, że po tej dziwnej nocy nieplanowanego czuwania jeszcze kiedyś do nich zajrzę.

Zobaczyłem, że frankistowskie wydanie „Abc” z Sewilli wspominało tylko mimochodem o katalońskich czystkach w zwięzłej, beznamiętnej notatce z 25 czerwca, której obojętny ton nie współbrzmiał z powagą zarzutów oskarżających POUM i jej przywódców o wysługiwanie się Franco, Mussoliniemu, Hitlerowi, gestapo, a nawet oddziałom marokańskim. Tytuł brzmiał: „Po stracie Bilbao czerwony rząd rozstrzelał kilku przywódców POUM-u. Sytuacja w Katalonii”. Tekst był następujący: „Salamanca, 24 czerwca. Źródła francuskie podają, że w związku z utratą Bilbao rząd Walencji rozpoczął ofensywę przeciw POUM-owi i innym dysydenckim partiom, by uprzedzić odwrotne działania”. (Nawiasem mówiąc, to mało zrozumiałe zdanie, prawica zawsze była głupsza od lewicy). „Wedle tych doniesień Andrés Nin, Gorkin i trzeci niezidentyfikowany przywódca zostali wywiezieni do Walencji i tam dokonano na nich egzekucji. Wszyscy przywódcy trockistowscy zostali aresztowani na rozkaz konsula sowieckiego, Ossenki, który na polecenie sowieckiego rządu przeprowadza w Katalonii represje podobne do tych, którym w Rosji poddano Tukaczewskiego i jego przyjaciół”.

Wiadomości te były oczywiście niedokładne nie tylko w tym, co się tyczy Nina, bo ponad miesiąc później, 29 lipca 1937 roku, republikański „Abc” z Madrytu przedrukował bez komentarza, i jak zwykle z podpisem „Febus”, krótki komunikat Ministerstwa Sprawiedliwości na temat

„oskarżonych o zdradę stanu”. „Do Trybunału ds. Szpiegostwa i Zdrady Stanu” (takowy powstał istotnie 22 czerwca, jak dowodzi śledztwo nr 1 wszczęte przez ten sąd specjalny przeciwko POUM-owi) „wpłynął materiał” dotyczący jedenastu oskarżonych, dziesięciu z Robotniczej Partii Jedności Marksistowskiej (POUM) i jednego z Hiszpańskiej Falangi. Wśród tych pierwszych znajduje się Juan Andrade i „Julián Gómez Gorkin”. Materiał ten składa się z „licznych dokumentów znalezionych w lokalu POUM-u: szyfrów, kodów telegraficznych, dokumentów dotyczących handlu bronią, przemytu pieniędzy i wartościowych przedmiotów, różnych gazet wydawanych w różnych miastach, głównie w Barcelonie; informacji od elementów zagranicznych dotyczących spotkań przeprowadzonych na terytorium lojalnym i poza nim i udziału elementów zagranicznych w zdarzeniach poprzedzających działalność szpiegowską i wywrotową z zeszłego maja”. Komunikat kończył się wymownym ostrzeżeniem każdego, kto chciałby się wstawić za oskarżonymi: „Jakiegokolwiek działania, poza wynikającymi z bezwzględnego i ścisłego stosowania prawa, będą zatem bezcelowe”. Paus o „różnych gazetach wydawanych w różnych miastach” wydał mi się najbardziej niewybaczalny i zdradziecki; i że w dodatku były „głównie w Barcelonie”, przecież poddany rewizji lokal POUM-u mieścił się właśnie w tym mieście, była to oczywista i niewątpliwa okoliczność obciążająca. Dziesięciu oskarżonych to byli mężczyźni o hiszpańskich nazwiskach, a zatem różne cudzoziemki o wyjątkowej urodzie uszły chyba cało, jak przystało na takie kobiety.

Co do „sowieckiego konsula Ossenki”, jak nazywa go edycja szaroniebieska – naprawdę nazywał się Antonow-Owsiejenko – jeżeli to rzeczywiście on zarządził aresztowania na rozkaz rosyjskiego rządu, musiał to zrobić *in extremis*, a posłuszeństwo nie na wiele mu się zdało, bo już w czerwcu – można przypuszczać, że pod koniec miesiąca, ponieważ wcześniej musiał wydać polecenie i upewnić się, że Nina osądzono – został

wezwany do Moskwy w celu natychmiastowego objęcia stanowiska Ludowego Komisarza Sprawiedliwości: „taki typowy żart Stalina”, czytałem teraz w przypisie u Thomasa, ponieważ towarzysz Antonow-Owsiejenko po powrocie do ojczyzny nigdy tego stanowiska nie objął i przepadł bez śladu na zawsze, nie wiadomo, czy zesłany do dalekiego łagru czy też szybko wysłany na tamten świat. Jego rodak z Madrytu, Orłow, wyciągnął wnioski ze śmiertelnej przygody konsula – weterana ataku na Pałac Zimowy w Petersburgu i bliskiego druha Lenina – kiedy trochę później sam otrzymał wezwanie z pozdrowieniami z Rosji.

Tamta notatka Wheelera: „*Cf. From Russia with Love*” nadal nie dawała mi spokoju. Co powieść albo film o od dawna już zimnych szpiegach mogły mieć, u diabła, wspólnego z Ninem albo z POUM-em, albo z pięknymi cudzoziemkami? Choć „Podwójny dziennik” nadal mnie intrygował z tysiąca innych powodów i nie zamierzałem jeszcze, mimo późnej pory, porzucić lektury – wszystko budziło moją nieuzasadnioną ciekawość, począwszy od niezrozumiałych tytułów, jak ten z 18 lipca 1937 roku, brzmiący *verbatim*: „Toreador Sidney Franklin z Brooklynu obnaża kłamstwa Franco”, po różne artykuły mojego bardzo wówczas młodego ojca, podpisane jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem, Juan Deza, bądź pseudonimem używanym niekiedy w trakcie wojny, na jakie natrafiałem, wertując „Abc” madryckie, a więc wydrukowane na czerwono – to nagle o czymś sobie przypomniałem, odłożyłem na bok wielkie tomy i wstałem niezdecydowany. W pokoiku przylegającym do pokoju gościnnego, który zajmowałem przy poprzednich okazjach, a i tym razem został dla mnie przygotowany, widziałem kiedyś powieści kryminalne czy też powieści z dreszczykiem, których Wheeler, jak wszyscy ludzie o spekulatywnych i nieco filozoficznych skłonnościach, był cichym miłośnikiem (co nie znaczy, że się z tym ukrywał, nie chciał tylko trzymać tej części swojej ogromnej biblioteki w salonie na dole ani w gabinecie, gdzie łatwo mogła wpaść w oko jakiemuś gościowi szyderycy lub plotkarzowi). Kiedyś zastanawiałem się nawet, czy on sam nie pisze pod pseudonimem takich książek, jak inni tuzowie z Oksfordu i z Cambridge. Uważają oni, że tak plebejskie zajęcie nie powinno być kojarzone z nazwiskami wybitnych ludzi, erudytów czy uczonych, prawie zawsze jednak przyznają się w końcu do autorstwa, szczególnie gdy książka –



w ich mniemaniu literatura drugiego sortu, rozrywkowa, bez znaczenia – zbiera pochwały i dobrze się sprzedaje, staje się zatem istotniejszym źródłem dochodów niż prace, które uważają za wartościowe i poważne, ale których nikt nie czyta. Można wymienić wielu takich autorów: profesor poezji w Oksfordzie, Cecil Day-Lewis, był Nicolasem Blakiem dla miłośników kryminałów, anglista Jim Stuart, również z Oksfordu, pisywał jako Michael Innes. Nawet jeden z moich dawnych kolegów, Irlandczyk Aidan Kavanagh, znawca Złotego Wieku, szef Zakładu Języka Hiszpańskiego, gdzie pracowałem, pisał pomysłowe i poczytne powieści grozy, ukrywając się pod pseudonimem Goliath Cherubim, niemożliwe, żeby ktokolwiek nazywał się tak naprawdę.

Swego czasu, podczas którejś z bezsennych nocy spędzonych u Wheelera, szperałem trochę w owym pokoiku i utkwilo mi w pamięci, że widziałem tam wówczas książki klasyków kryminału, Ellery Queen i Agathy Christie, Van Dine'a i Van Gulika, Woolricha, Highsmitha i Dextera, i oczywiście Conan Doyle'a, Simenona i Chestertona, znałem dobrze te nazwiska dzięki ojcu – umysłowi dużo bardziej spekulatywnemu niż mój – ale nie znałem stworzonych przez nich bohaterów literackich (z wyjątkiem Sherlocka Holmesa i Maigreta, wszyscy ich znają). Może mi się poszczęści – jak już raz nas dopadnie ciekawość, to nie popuszcza – i będzie wśród nich Fleming, chociaż nie pisywał kryminałów we właściwym tego słowa znaczeniu, wyobrażam sobie, że wszyscy poprzednio wymienieni musieli mu się przyglądać z szyderczym uśmieszkiem. Ktoś jest zawsze plebsem dla plebsu i pariasem dla pariasów (kompleks wyższości, jak przypuszczam). Stałem kilka sekund niezdecydowany. Wchodząc teraz na drugie piętro, ryzykuję, że obudzę Wheelera albo panią Berry, będę musiał jednak tam wejść, żeby się położyć spać (choć wtedy nie zejść znowu na dół i nie będę wchodził ponownie), zresztą uświadomiłem sobie, że równie dobrze mogłem ich obudzić,

stukając radośnie w klawiaturę starej maszyny do pisania. Zawahałem się, czy wcześniej nie ogarnąć trochę totalnego bałaganu w gabinecie; jednakże chciałem potem jeszcze raz rzucić okiem na „Podwójny dziennik”, tyle w nim było dziwacznych wiadomości, a i nieznanymi mi tekstów mojego młodego, bardzo młodego ojca, napisanych w czasie, kiedy jeszcze nie mógł przypuszczać, że ci drukowani na czerwono przegrają wojnę, ani tego, że po wojnie zadenuncjuje go najlepszy przyjaciel, korzystając z pomocy innego osobnika, który nawet ojca nie znał – może wynajętego do tej roboty, chętnego do złożenia swego podpisu, żeby zaskarbić sobie względy frankistowskich zwycięzców – ani że nie uda się przez to zrealizować planów i pragnień, zająć się pracą naukową i badawczą. Zostawiłem więc cały bałagan w gabinecie w stanie nietkniętym i ostrożnie, powoli ruszyłem schodami na górę jak intruz albo szpieg, albo *burglar* (w moim języku nie ma odpowiedniego słowa na włamywacza), chwyciłem się poręczy podobnie jak Peter, trudno powiedzieć, żebym dobrze trzymał się na nogach, niepostrzeżenie wypilem dość dużo, a znaczy to, że po tych kilku wychylonych w samotności kieliszkach mogłem teraz, jakże nieroztropnie, stawać w szranki z Flachą.

Staralem się sunąć bezszelestnie, ale idąc, zapalałem kolejne światła, byłoby znacznie gorzej, gdybym stawiając chwiejne kroki w ciemności, potknął się i pokoziołkował w dół jeszcze dalej niż popielniczka. Wheeler zgromadził imponującą kolekcję kryminałów, większą niż miałem w pamięci, niewątpliwie był ich wielbicielem, na półkach stali też Stout, Gardner i Dickson, MacDonald (Philip) i Macdonald (Ross), Iles i Tey, i Buchan i Ambler, ostatni dwaj pisali raczej powieści szpiegowskie albo takie miałem wrażenie – wszystkie te nazwiska znałem dzięki ojcu – istniała więc nadzieja, że trafię i na Fleminga, co istotnie nie zajęło mi dużo czasu, wystarczyło tylko zauważyć, że książki stoją autorami w porządku alfabetycznym, a wtedy szybko spostrzegłem grzbiety serii poświęconej

słynnym misjom komandora porucznika Bonda, była tam również biografia jego twórcy. Wziąłem z półki „From Russia with Love”, wyglądało mi to na pierwsze wydanie – pozostałe książki z tej serii również, wszystkie miały mocno zniszczone okładki – i gdy chciałem zerknąć na metryczkę książki, żeby sprawdzić rok wydania, zobaczyłem odręczną dedykację autora dla Wheelera, poznali się więc wcześniej, słowa skreślone przez Fleminga nie sugerowały nic ponadto, że mogli być znajomymi: „*To Peter Wheeler who may know better. Salud! From Ian Fleming 1957*”, rok wydania książki. „*Who may know better*”, krótkie, ale jakże wieloznaczne zdanie – po części właśnie dlatego wieloznaczne – które można przetłumaczyć, a nawet zrozumieć na różne sposoby: „Który może wiedzieć lepiej”, „Który może mieć lepsze rozeznanie”, „Który być może jest lepiej poinformowany”, a nawet „Który może być mądrzejszy” (wtedy rozumiałoby się samo przez się, że w jakiejś konkretnej sprawie). Poza tym otwierał się cały wachlarz mniej literackich interpretacji w zależności od znaczenia, jakie miewa wyrażenie „*to know better*” albo „*to know better than...*”. I wszystkie te możliwe wersje zawierałyby jakąś przestrożę albo wyrzut, nie wiem, jak to powiedzieć: „Dla Petera Wheelera, który zrobiłby lepiej, gdyby nie....” albo: „który może się ustrzec” czegoś, o czym byłaby mowa; albo: „dla którego byłoby lepiej”, albo: „który pewnie wie, co robi”; a nawet „to jego wybór” albo: „niech sobie robi, co chce”, albo inne tego rodzaju aluzje lub sugestie. Przejrzałem pozostałe powieści, poczynając od „Casino Royale” z 1953 r., aż po „Ośmiorniczkę” i „W obliczu śmierci” wydane już pośmiertnie, w 1966 r. Nie miały dedykacji w odróżnieniu od pięciu najwcześniejszych, „From Russia with Love” jako ostatnia z nich, i tylko tam dedykacja była taka wyrazista, nie banalna i lakoniczna jak w pozostałych, „*To Peter Wheeler from Ian Fleming*”, „*This is Peter Wheeler's copy from the Author*” i tym podobne. Możliwe, że Wheeler i Fleming przestali utrzymywać ze sobą kontakty około 1958 roku. Potem

w 1964 roku Fleming umarł – jak przeczytałem na skrzydełku książki – w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, u szczytu powodzenia, a raczej u szczytu powodzenia filmów o Bondzie z Connerym, bo to one dopiero wylansowały jego książki. Co do hiszpańskiego słowa „*Salud!*” to jak mniemałem, nie było w nim nic tajemniczego, wzięło się stąd, że adresat dedykacji był hispanistą. Ta znajomość albo przyjaźń między wybitnym profesorem z Oksfordu i twórcą agenta 007 właściwie wydała mi się dziwna, ale ostatnio nic do siebie nie pasowało. Poza tym w latach pięćdziesiątych – nie mówiąc już o latach trzydziestych, w czasie hiszpańskiej wojny domowej – Wheeler nie był jeszcze tak wybitną postacią jak później (otrzymał tytuł szlachecki, kiedy już się znaliśmy, gdy przedstawiał nas sobie Rylands, jego przedstawił jako profesora Wheelera po prostu).

Męczyło mnie stanie, było mi niewygodnie, zataczałem się trochę, zdecydowałem zatem, że egzemplarz „*From Russia with Love*” wezmę ze sobą na dół i przejrzę go spokojnie w gabinecie – niosłem książkę po schodach niczym skarb i kiedy schodziłem, gasząc po kolei światła zapalone wcześniej, żeby się nie potknąć, dostrzegłem dużą kroplę krwi na podeście schodów na pierwszym piętrze. Chcę powiedzieć, że nie chodziło o małą kropelkę: była to raczej plama niż kropla (na szczęście daleko jej było do kałuży krwi), okrągła, o przekątnej jakichś czterech, pięciu centymetrów, może jednego, półtora cala, widniała na drewnianej części schodów, nie na tej pokrytej wykładziną; nie rozumiałem, skąd się tam wzięła ani wtedy, ani potem. Pierwsze co pomyślałem, gdy w końcu zacząłem myśleć, używając swojej umiejętności myślenia (czego wcześniej nie robiłem), to że krew jest pewnie moja, że to ja bezwiednie krwawiłem, kiedy wchodziłem po schodach; może o coś się uderzyłem, czymś zadrapałem albo zadrasnałem – któż nie doświadczył podobnych przypadków? – zajęty buszowaniem po regałach i w dodatku mało trzeźwy.

Spojrzałem za siebie, w górę, zlustrowałem stopnie powyżej, zapaliwszy ponownie światło, spojrzałem też w dół, nie zauważyłem więcej plam i to było dziwne, bo jak się krwawi, spada zwykle więcej kropli, czyli zostawia się tak zwany krwawy ślad lub krwawą smugę, chyba że krwawiący zorientuje się przy pierwszej kropli i natychmiast przykryje czymś ranę – otwartą ranę, ale wtedy krwi nie da się zatamować – żeby nie robić kolejnych plam. Potem na ogół ściera się plamę z podłogi, oczywiście najpierw zatamowawszy krwawienie, to w pierwszej kolejności. Obmacałem się i obejrzałem, dotknąłem dłoni, ramion, łokci – w trakcie tych oględzin zdjąłem marynarkę, koszulę i podwinąłem rękawy koszuli – nic nie spostrzegłem, nawet na palcach, które krwawią obficie przy najmniejszym ukłuciu, zacięciu lub zadrażnieniu choćby krawędzią papieru, obmacałem kciukiem i palcem wskazującym nos, zdarzają się krwotoki z nosa bez powodu, przypomniał mi się pewien znajomy, który miał swego czasu krwotok z nosa z bardzo konkretnego powodu, mianowicie przez kilka lat brał za dużo kokainy, trochę też sprzedawał, chociaż niewielkie ilości, i kiedyś udało mu się przeszmyglować skromną porcję narkotyku przez włoską kontrolę celną (kokaina spryskana wodą kolońską dla zmylenia psów, to znaczy spryskane wodą kolońską opakowanie) i już kierował się ku wyjściu, gdy z jednej dziurki od nosa powoli wyciekła mu kropla krwi, tak powoli, że nawet jej nie zauważył: to nic nadzwyczajnego, wszędzie może się zdarzyć, byle nie zdarzyło się przy odprawie celnej; celnik spostrzegł kroplę swoim czujnym okiem i to wystarczyło, by mojego znajomego zawrócono i poddano rutynowej rewizji z asystą specjalnie wyszkolonych psów, kropla krwi kosztowała go dłuższy pobyt w więzieniu w Palermo, skąd wyciągnęli go w końcu hiszpańscy dyplomaci, ta akurat ciupa to było istne piekło, gniazdo szerszeni, wiele tam wycierpiał i nabawił się kilku blizn, ale posłużyła mu też do nawiązania nowych kontaktów, zawarcia ważnych sojuszy i pozwoliła przedłużyć na czas nieokreślony –

i jak przypuszczam, rozwinąć – przestępcze życie, ostatnia wiadomość, jaką o nim miałem, była taka, że wiedzie dostatnie i szacowne życie potentata budowlanego w Nowym Jorku i Miami, rozpoczynając pracę w tej branży w Hawanie przy renowacji starych hoteli, chociaż nigdy wcześniej nie miał z tym nic wspólnego. Zadziwiająco, jak jedna kropla krwi, która nawet nie spada na ziemię – zaledwie się pokazała – może człowieka zdradzić i zmienić jego życie tylko dlatego, że pokazała się w takim a nie innym miejscu z tego nie z żadnej innej przyczyny, los jest ślepy.

Przyjrzałem się swojej koszuli, spodniom od góry do dołu, myśl o tym, z ilu miejsc można krwawić, jest przerażająca, pewnie zewsząd, nasza skóra jest taka nieodporna, bezużyteczna, wszystko ją rani, paznokieć może ją zadrapać, nóż może ją przeciąć, a włócznia rozerwać (szarpie też mięso). Grzbietem dłoni dotknąłem nawet warg, a także splunąłem, żeby się przekonać, czy to nie dziąsła krwawią albo coś głębiej i niżej i czy nie wypłułem krwi w trakcie jakiegoś zapomnianego czy zlekceważonego kaszlu, pogładziłem się po szyi i twarzy, czasem zacynam się przy goleniu i takie właśnie cięcie, które miałem za już zasklepiione, mogło się otworzyć. Ale na moim ciele nie było ani śladu krwi, zdawało się zamknięte, bez jednej szczeliny, to nie była moja krew, może zatem była to krew Petera, skręcił w lewo, idąc do łóżka, spojrzałem tam, lecz na krótkim odcinku między schodami i drzwiami jego sypialni nie dostrzegłem innych plam, może to krew kogoś z gości, kto w trakcie bufetowej kolacji udał się samotnie na górę w poszukiwaniu drugiej łazienki lub wszedł tu w towarzystwie w poszukiwaniu przydatnego pokoju. Mogła to być również krew pani Berry, pomyślałem, nieprzeniknionej milczącej osoby, widywałem ją okazjonalnie od lat, zawsze tak dyskretną, że niemal niezauważalną, podobną do zjawy, najpierw na służbie u Toby'ego Rylandsa, potem u Wheelera, który zatrudnił ją lub przejął, nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem, była kimś oczywistym i godnym zaufania,

odkąd pamiętam, świetnie prowadziła domy dwóch emerytowanych samotnych profesorów i dbała o nich, najpierw o jednego, potem o drugiego, ale nic nigdy nie wiedziałem o jej własnych potrzebach, problemach, zdrowiu, troskach, o rodzinie, jaką mogła mieć, o jej pochodzeniu czy przeszłości, o prawdopodobnym i stanowiącym już przeszłość panu Berrym, pierwszy raz myślałem o jakimś panu Berrym, który zmarł, a może się z nim rozwiodła i kto wie, czy utrzymywali kontakty, są takie osoby, o których myślimy, że zawsze wykonywały to, co robią, że się do tego urodziły, podczas gdy nikt nigdy nie rodzi się do niczego konkretnego, nie ma nic takiego jak przeznaczenie ani nic nie jest pewne, nawet w przypadku książąt krwi i największych bogaczy, którzy wszystko mogą stracić, i największych biedaków albo niewolników, którzy wszystko mogą zyskać, choć to drugie zdarza się rzadko i niemal nigdy nie obywa się bez kradzieży, sprzeniewierzenia, bez podstępu lub zdrady, lub oszustwa, bez spiskowania, detronizacji, uzurpacji bądź przelewu krwi. Pomyślałem w każdym razie, że powinienem to sprzątnąć, tę plamę na podeście pierwszego piętra, dziwne – istne przekleństwo – jak człowiek poczuwa się do odpowiedzialności za to, co zastaje albo odkrywa, choćby nie miał z tym nic wspólnego, jak czujemy się w obowiązku, żeby czymś się zająć albo zaradzić czemuś, co istnieje w danej chwili tylko dla nas i tylko my o tym wiemy, choćby to coś wcale nas nie dotyczyło i choćbyśmy nie mieli z tym nic do czynienia: wypadek, uciążliwa sytuacja, niesprawiedliwość, nadużycie, porzucony noworodek, ludzkie zwłoki albo oczywiście coś, co na zwłoki wygląda, ciężko ranny człowiek. Coś w tym rodzaju przytrafiło się temu znajomemu, który handlował trochę narkotykami – to był kolega ze szkoły, nazywał się i nazywa Comendador, jeżeli nie zmienił nazwiska w Ameryce czy gdzie tam pojechał, przez całe długie lata wyczytywali go w szkole przede mną przy sprawdzaniu listy obecności, a jak wrywali go do odpowiedzi albo nie nauczył się lekcji, to

wiedziałem, że ja będę następny, był jak mój herold przez całe dzieciństwo – i on wtedy uciekł i nie uciekł zarazem, było tak: poszedł po towar do dilera, który go zwykle zaopatrywał w narkotyki i zlecał mu różne doraźne zadania jak to, które zaprowadziło go potem do kazamatów w Palermo; kilka razy zadzwonił do drzwi, bez odzewu, zdziwił się, bo przecież się umawiali, wreszcie drzwi się otworzyły, ale faceta nie było w domu, musiał niespodziewanie wyjść, tak przynajmniej mój kolega wywnioskował z niewyraźnego bełkotu kobiety, która otworzyła, dziewczyny dilera, chwilowej dziewczyny, bo zarówno handlarz, jak i sam Comendador zmieniali wówczas panienki jak rękawiczki, nie chcieli, żeby któraś coś wywąchała, czasem wymieniali się dziewczynami, aby... jak by to powiedzieć... w pełni je zamortyzować. Kobieta sprawiała wrażenie półprzytomnej, bełkotała coś, z trudem rozpoznała mego kolegę („Aaaa, tak, widziałam cię w Joyu”), potem chwiejnym krokiem ruszyła w stronę pokoju, gdzie jej chwilowy towarzysz życia zostawił przygotowaną zawczasu paczuszkę, nie informując kobiety o jej zawartości, ale po dwóch sekundach, nim jeszcze doszła do pokoju, wymieniwszy tylko kilka słów bez ładu i składu z Comendadorem („Co ci jest, brałaś coś?” zapytał, „Teraz cię widzę”, odpowiedziała), potknęła się i poleciała całym ciężarem do przodu, zrobiła dwa albo trzy szybkie, chaotyczne kroki i walnęła twarzą w ścianę, solidnie przyładowała („Zadudniło głucho, jakby trzasnęła sucha gałąź”), a potem runęła jak długa na ziemię bez przytomności. Od razu zauważył u niej małe rozcięcie, kobieta miała na sobie tylko długi podkoszulek sięgający jej do pól uda, musiała go włożyć dopiero na natarczywy dźwięk dzwonka i z niejasną świadomością tego, że powinna otworzyć, pod spodem nie miała nic, jak zdołał dostrzec Comendador sekundę po jej upadku, śmierci, omdleniu. Wówczas także zobaczył plamę krwi na podłodze, może podobną do tej, którą sam miałem teraz przed oczyma, tylko świeższą, wyglądało na to, że dziewczyna krwawi, że krew



wypływa spomiędzy jej nóg, może miała miesiączkę i nie zauważyła tego w swoim zamroczeniu, w swoim stanie nieobecności, możliwe, że pod wpływem narkotyków, a może upadając, skaleczyła się czymś spiczastym albo ostrym, czymś, co leżało na podłodze, jakąś drzazgą, choć to było nieprawdopodobne. Nie krew ani nie rana niepokoiły najbardziej, lecz obłąkany, nieobecny wyraz twarzy dziewczyny i jej natychmiastowa utrata przytomności, gdy tylko się uderzyła, chociaż to nie uderzenie lub nie wyłącznie ono było przyczyną omdlenia, dziewczyna musiała coś zażyć chwilę wcześniej bądź zażywać coś od nie wiadomo ilu godzin, równie dobrze mógł to być rezultat pełnego ekscesów ranka w połączeniu z całonocną balangą. Comendador przykucnął i uniósł ją ostrożnie, przelewała się przez ręce, oparł ją plecami o ścianę, sadzając na drewnianej podłodze, próbował zakryć jej pośladki, dolna krawędź podkoszulka poplamiona na czerwono, podjął próbę reanimacji, mówił do niej, uderzał ją dłonią po policzkach, potrząsał za ramiona, widział jej oczy półzamknięte, a raczej półotwarte, jakby oszronione, zamglone, niezdolne do skupienia się na niczym, bez życia, wydawała się martwa i wówczas pomyślał, że naprawdę umarła na jego oczach i nikt poza nim o tym nie wie. Zaniechał prób przywrócenia jej do życia. Uświadomił sobie, że drzwi do mieszkania zostały otwarte, dobiegł go odgłos kroków na klatce schodowej, kiedy kroki ucichły, cofnął się i zamknął drzwi, wrócił do przedpokoju, dostrzegł stamtąd zostawioną przez handlarza paczuszkę, po którą przyszedł, leżała na nocnym stoliku w sypialni obok, tam właśnie kierowała się lunatycznie dziewczyna, nim się potknęła i rozbiła głowę o ścianę. Łóżko w sypialni nie było zasłane, na pościeli także plama krwi, niewielka, może zaczęła jej się miesiączka, kiedy przysypiała lub była już w nieświadomej agonii, nie zauważyła krwawienia, może zabrakło jej woli albo siły, by je zatamować, nie wiem, czy to odpowiednie słowo. Comendador rozważał różne możliwości, ale pobieżnie, szybko, panicznie, tak czy owak lepiej zabrać

paczuszkę, byłoby ostatnim draństwem zostawić ją na widoku i pozwolić, żeby znaleźli ją pielęgniarze albo policja, gdyby jakimś niefortunnym zbiegiem okoliczności pojawili się przed powrotem dilera do domu. Nie zastanawiał się dłużej, dał krok ponad nogami siedzącej na ziemi brudnej dziewczyny, wszedł do sypialni, sięgnął po towar i schował go do kieszeni, znowu przekroczył nogi dziewczyny i skierował się do drzwi wyjściowych, nie patrząc za siebie. Otworzył drzwi, sprawdził, czy nikogo nie ma na klatce, zamknął je za sobą delikatnie i w czterech susach zbiegł po schodach na ulicę.

Uciekł i zarazem nie uciekł, bo to wówczas uświadomił sobie, że nie może już wrócić do mieszkania, nawet gdyby chciał, ani pomóc dziewczynie, nawet gdyby jeszcze żyła, i to wtedy rzucił się pędem do budki telefonicznej i usiłował się dodzwonić do handlarza na komórkę, żeby uprzedzić go o tym, co się wydarzyło, podzielić się z nim swoją wiedzą. Włączyła się poczta głosowa, nagrał króciutką chaotyczną wiadomość, pomyślał, że może zastanie faceta w jego sklepie albo że zastanie tam przynajmniej jego pracowników, którzy coś zrobią, diler prowadził sklep z drogą włoską konfekcją, markową, typ franczyzy czy jak to się tam nazywa, coraz bardziej się w to angażował, każdy chce być powszechnie szanowany, gdy pojawia się po temu okazja, gdy mu się na to pozwoli albo gdy może to uzyskać, zarówno ci, którzy łamią prawo, jak i ci, którzy chcą obalić istniejący porządek, zarówno przestępcy, jak i rewolucjoniści, ci ostatni często tylko za zamkniętymi drzwiami, w zaciszu domowym ukrywają swoje skłonności, gdy zarabiają na życie dzięki zachowywaniu pozorów. Znaliśmy kilku takich, Comendador i ja. Nie miał numeru telefonu do tego sklepu, lecz sklep nie był daleko, więc Comendador puścił się biegiem i gnał ulicami jak nigdy od czasów dzieciństwa, a może od czasów uniwersyteckich i manifestacji ulicznych pod koniec frankizmu, kiedy uciekało się przed żandarmami zawsze

wolniejszymi, bo w pełnym umundurowaniu. Biegając, myślał o tym, co było tak bliską przeszłością, że z trudem przychodziło mu uwierzyć, że nie jest teraźniejszością i że nie można tego zmienić, myślał: „Nie kiwnąłem palcem, nawet nie sprawdziłem co z nią, nie upewniłem się, nie zmierzyłem jej puls, nie zrobiłem oddychania usta-usta ani masażu serca, nigdy wcześniej tego nie robiłem, nie wiem, jak to się robi, mimo że widziałem to na dziesięciu tysiącach filmów, co by szkodziło spróbować, kto wie, może bym ją uratował, a teraz już za późno, z każdą sekundą coraz później, każda upływająca sekunda coraz bardziej nas skazuje, mnie i tę dziewczynę, ale przede wszystkim ją, może jeszcze nie umarła, lecz umrze, kiedy ja będę biegł albo gdy dotrę na miejsce i będę rozmawiał z pracownikami eleganckiego sklepu, i opowiadał im, co się wydarzyło, albo gdy oni będą szukać Cuesty bądź jego wspólnika, Navascuésa, który ma z pewnością klucze do mieszkania i może ich tam wpuścić, nas tam wpuścić, jeżeli ja zdecyduję się wrócić z nimi, lepiej nie, mam przy sobie towar, ale ta głupia dziewczyna może tam umrzeć przeze mnie, bo tracę tu tyle czasu, a raczej już straciłem, powinienem był wykorzystać ten czas na to, żeby nieszczęsnej jakoś pomóc albo zadzwonić po pogotowie, mogłem jej zwilżyć skronie, kark, twarz, podsunąć jej do powąchania trochę koniaku czy innego alkoholu albo wodę kolońską, a przynajmniej obetrzeć jej krew, wiedziałem, że jestem egoistą, nędznikiem i tchórzem, tyle że sama wiedza to nie to samo co przekonanie się o tym w praktyce i świadomość konsekwencji takiego stanu rzeczy”. Wpadł do sklepu niczym koń w galopie, w środku byli wszyscy, diler Cuesta i jego wspólnik Navascués, i pracownicy, Cuesta miał wyłączoną komórkę, obsługiwał klientów, którzy się wystraszyli, nie słyszał wcześniej telefonu, Comendador doskoczył do niego i opowiedział mu bezładnie o wszystkim, Cuesta zabrał go do kantorku z tyłu sklepu, uspokoił, wziął słuchawkę stacjonarnego telefonu i szybko, aczkolwiek bez nadmiernego zdenerwowania wykręcił numer do

swego domu i kilka sekund później Comendador usłyszał, jak rozmawia ze swoją dziewczyną będącą w domu, z którego on wyleciał jak z procy, nie oglądając się za siebie. „Co ci się stało? – usłyszał głos Cuesty. – Comendador mówi, że uderzyłaś się i straciłaś przytomność... Ach tak. Nie dawałaś znaku życia, więc facet nie wiedział, co myśleć. Nie nosisz ich przy sobie? Musisz bardziej uważać, widać nie możesz opuścić ani jednej. Na pewno dobrze się czujesz? Nie chcesz, żebym przyjechał? Na pewno? W porządku. Przemyj sobie ranę alkoholem, przyklej plasterek, na guza nie ma rady, ale ranę lepiej zdezynfekować, zajmij się tym, dobra? Dobrze. Tak, chyba go nieźle wystraszyłaś, przygnał tu pędem, stoi przede mną zdyszany. Tak, powiedział, że zdążyłaś wziąć, zanim cię ścięło, tak, to normalne, że nie pamiętasz. Dobra, powiem mu. Widzimy się potem. Trzymaj się, całuję”. Cuesta wyjaśnił mu pokrótce, że dziewczyna ma cukrzycę, przytrafiały jej się czasem takie stany, gdy wieczorem przesadziła z piciem, a w dodatku zapomniała wziąć na czas lekarstwo, a zwykle obie te rzeczy szły w parze, za często jej się to zdarza, jest niemądra, zupełny dzieciuch. Już jej przeszło, czuje się teraz lepiej, łyknęła pastylkę, chociaż dużo za późno, a rozcięcie to nic strasznego, nabiła sobie guza i poleciało trochę krwi. Że małej jest bardzo przykro, że napędziła Comendadorowi takiego stracha, że go całuje i prosi, żeby jej wybaczył to zamieszanie, że dziękuje, że się tak przejął, że jest kochany, że Comendador jest kochany.

Przypomniałem sobie tamtą historię, schodząc do łazienki na parterze po kawałek papierowego ręcznika i buteleczkę alkoholu i wchodząc znowu na pierwsze piętro, żeby zmyć tę trudno wytłumaczalną plamę, której sam nie zrobiłem, była na szczęście na drewnianej części schodów, nie na wykładzinie. Kiedy Comendador zdawał Cuestie w sklepie pospieszną nerwową relację, nie wspomniał ani słowem o plamach krwi, z pewnością krwi jego dziewczyny, ani o tej na podłodze, ani o tej na pościeli, ani o plamkach na podkoszulku, ona chyba też nic mu o tym nie wspomniała

przez telefon, więc nie było sensu – może byłoby nawet niedyskretne, nietaktowne – żeby on o tym napomykał. Dziewczyna mogła być zawstydzona i wolała udawać, że tych plam nie było, nikt zatem nie mógł ich widzieć: może – nic nie mówiąc – prosiła go o wybaczenie. Tak więc Comendador nigdy nie wiedział na pewno, skąd się wzięły ani co było ich przyczyną, postanowił się zadowolić wyjaśnieniem o niespodziewanej miesiączce albo miesiączce, wobec której z powodu zrozumiałego niedopatrzenia nie podjęto na czas właściwych działań, a gdy upłynęło kilka dni, zaczął nawet wątpić, czy aby naprawdę te plamy widział, czasem tak się dzieje ze sprawami, które negujemy lub przemilczamy, z czymś, co zachowujemy dla siebie albo zapominamy raz na zawsze, to coś rozplywa się bezpowrotnie i w końcu nie wierzymy już, że kiedyś istniało albo się wydarzyło, mamy niewiarygodną skłonność do powątpiewania we własne spostrzeżenia, gdy te należą już do przeszłości i nikt postronny ich nie potwierdza ani nie ratyfikuje, bywa, że wyrzekamy się własnej pamięci i w końcu opowiadamy sobie niedokładnie o tym, czego byliśmy świadkami, nie ufamy samym sobie jako świadkom, wszystko poddajemy procesowi tłumaczenia, robimy przekłady z naszych jasnych jak słońce działań i nie zawsze są to przekłady wierne, bo nasze działania stają się w nich nieczytelne, a w końcu składamy broń i oddajemy się wiecznej interpretacji nawet rzeczy, o których wiemy, że są niepodważalnymi faktami, tak więc wszystko zaczyna się chybotać, staje się mało precyzyjne, nic nigdy nie jest ustalone ani ostateczne i wszystko jest rozedrgane aż do końca naszych dni może dlatego, że w gruncie rzeczy nie potrafimy znieść pewności, nawet takiej, która nam służy i jest dla nas pociechą, nie wspominając już o tej innej, która nas denerwuje, wywołuje nasz niepokój albo nas rani, nikt nie chce w to się zmienić, w swoją własną gorączkę, włóczęgę i ból. „Może się przestraszyłem rozcięcia na czole dziewczyny, upadła, aż gruchnęło, i kto wie, widok cieknącej krwi mógł sprawić, że

wziąłem za plamę krwi jakąś ciemniejszą plamkę na drewnianej podłodze, w przedpokoju było słabe światło”, powiedział Comendador, opowiadając mi kilka dni później o całym zdarzeniu. „A plama na łóżku, a krople krwi?”, dociekałem. „Nie wiem, to mogło być cokolwiek innego, może plamy po winie albo koniaku, może piła coś w przedpokoju i w łóżku prosto z gwinta i w swoim złym stanie, nieobecna, z poczuciem, że umiera, nie zauważyła, że rozlewa dookoła, tak pewnie się czuła, nim zebrała siły, żeby wstać z łóżka i otworzyć mi drzwi”. „Czy chcesz powiedzieć, że jesteś pewien, że widziałeś krew w kilku miejscach, a równocześnie uważasz za zupełnie możliwe, że wcale jej tam nie widziałeś i nawet jej tam nie było, że to tylko wytwór twojej wyobraźni lub strachu?” „Tak, przypuszczam, że tak, przypuszczam, że to możliwe”, odpowiedział speszony Comendador.

Ja usuwałem właśnie za pomocą bawełnianego wacika zwilżonego alkoholem plamę u Wheelera w domu, krew nie była świeża, ale nie była też zupełnie sucha ani zaschnięta i łatwo można ją było sczyścić z porządnie polakierowanej, wypastowanej i wyfroterowanej podłogi, choć trzeba było do tego pewnej staranności i uporu oraz sporo alkoholu i wacików, czego nie przewidziałem, odkładałem te waciki w jedno miejsce, do popielniczki Petera – te już zaplamione krwią – a równocześnie bardzo starałem się nie uszkodzić drewna ani nie zastąpić jednej plamy inną, z alkoholem nigdy nic nie wiadomo. Przy takich plamach albo nawet pojedynczych kropelkach najtrudniej zawsze sczyścić obwód plamy, kolistą linię, obrzeże, nie wiem, dlaczego bardziej niż reszta przywiera do podłogi albo do płytki w ubikacji czy w łazience, gdziekolwiek taka plama się zrobi, w dodatku przywiera natychmiast, nawet gdy plama krwi jest świeża, krew dopiero co pociekła, musi tu działać jakieś nieznanne mi prawo fizyki. Może, pomyślałem, to sposób uczipienia się terażniejszości, opór przed zniknięciem stawiany nie tylko przez istoty ludzkie, ale również przez przedmioty i świat nieożywiony, może rzeczy, wszystkie rzeczy, też próbują

zostawić po sobie ślad i tym samym nie dopuścić do swego zanegowania albo rozplynięcia się, albo do popadnięcia w zapomnienie, to ich sposób mówienia: „Byłem” albo: „Jestem jeszcze, więc na pewno byłem” i niedopuszczenie, by inni powiedzieli: „Nie, tego nie ma, nigdy nie było, nie pojawiło się na świecie, nie dotknęło ziemi, nie istniało i nigdy się nie zdarzyło”. A teraz, kiedy ciągle usuwam plamę i krwawa obwódka zaczyna ustępować i zacierać się, zastanawiam się, czy kiedy wreszcie zmyję ją do końca i nie zostanie po niej żaden ślad, zacznę powątpiewać, że ją kiedykolwiek widziałem, jak w swoim czasie zwątpił Comendador, i że zmywałem ją na kolanach, jak dawniej w Hiszpanii myło się podłogę, tyle że bez podkładki z gąbki, jaką kiedyś kobiety podkładały sobie pod kolana, by nie klęczeć bezpośrednio na twardej podłodze, a i tak biedaczki cierpiały katusze, wiedząc, że mogliśmy podglądać z tyłu ich odsłonięte uda, my, czyli dzieciaki, a co najmniej chłopcy. Kiedy nie zostanie już najmniejszy ślad, wtedy zacznę może powątpiewać, czy ta plama nie była tylko moim przywidzeniem spowodowanym późną porą, długim czytaniem, nadmierną ilością alkoholu, zbyt wieloma sprzecznymi opiniami i leniwym, słabym szmerem rzeki. I zawią rozmowę z Wheelerem. Poczułem chwilową ochotę – a może tylko zabobonny lęk – żeby nie zmywać plamy do końca i na zawsze, żeby resztę już zostawić, żebym mógł ją znowu zobaczyć następnego dnia, zegary wskazywały, że już się rozpoczął, kawałeczek obrysu, maleńkie zakrzywienie, coś, co mi ją przypomni: „Jestem nadal, a więc na pewno byłam: widzisz mnie i widziałeś”. Wytarłem jednak do czysta, drewno odzyskało nieskazitelny wygląd, nikt się nie dowie o krwawej plamie, jeśli ja ją przemilczę i nie będę zadawać pytań Wheelerowi ani pani Berry. Zszedłem znowu na sam dół i nie wyrzuciłem czerwonych albo brązowych zużytych wacików do kubła na śmieci w kuchni, lecz poszedłem do łazienki, żeby odłożyć na miejsce całe ich opakowanie i buteleczkę alkoholu, uniosłem klapę sedesu i opróżniłem

zawartość popielniczki, spuściłem wodę – nadal tak się mówi, choć woda już nie spływa z górnego rezerwuaru – i tym samym pozbyłem się ostatnich dowodów rzeczowych.

„Ty to zawsze masz fart, draniu”, powiedziałem wtedy do Comendadora. Nieszczęsna dziewczyna rozbija sobie głowę, w dodatku do krwi, ty ją zostawiasz bez pomocy przekonany, że nie żyje, wolisz nawet tego nie sprawdzać, a koniec końców wychodzi na to, że to ona cię przeprasza, bo przez nią najadłeś się strachu, i jest ci wdzięczna, że wyszedłeś, nie udzielając jej pomocy. Gdyby mnie się to przytrafiło i gdybym postąpił tak samo, gdyby coś takiego zdarzyło się mnie i gdybym się zachował tak jak ty, to ta moja dziewczyna na pewno by umarła, w dodatku okazałoby się potem, że gdybym nie zmarnował tyle czasu, mogłaby przeżyć. Zawsze miałbym wyrzuty sumienia”. Wtedy Comendador spojrział na mnie z mieszaniną wyższości i pełnej rezygnacji zawiści, od czasów dzieciństwa dobrze znałem to jego spojrzenie, potem przez całe życie widywałem je u wielu innych osób, choć nie było do mnie skierowane: to spojrzenie kogoś, kto nie chciałby być taki, jaki jest – najpewniej bardziej z powodów estetycznych czy też, powiedzmy, narracyjnych niż moralnych – a równocześnie wie, że zawsze wygrywa i spada na cztery łapy właśnie dlatego, że jest taki, jaki jest, a nie taki jak ci, którym zazdrości. „Ale ty nigdy byś tak nie postąpił, Jaime, nigdy nie zachowałbyś się tak jak ja”, odpowiedział. „Ty byś został i wszelkimi sposobami starałbyś się ją ocucić, a gdyby ci się nie udało, wezwałbyś lekarza albo zadzwoniłbyś natychmiast po pogotowie mimo trefnej paczki i kto wie czego jeszcze w domu i w ciele tej dziewczyny. Zrobiłbyś to mimo całego ryzyka. A gdyby ona umarła, toby umarła, bo tak by miało być, a nie z powodu twojej ucieczki albo zaniedbania. Ja mam szczęście, sam wiesz, to szczęście tchórza, tchórz ma zawsze dużo większe szczęście niż osoba odważna lub nieustraszone bez względu na to, co mówią legendy i opowieści z całego świata. Faktycznie



nic się nie stało, nawet Cuesta nie ma do mnie żalu, dziewczyna też nie ma. Cuesta o nic mnie nie podejrzewa, nie czuje się też zawiedziony, co teraz byłoby trochę niebezpieczne. Ale to nie zmienia faktu, że przekonałem się, jaki jest mój prawdziwy charakter. To znaczy wcześniej też o tym wiedziałem, ale teraz tego doświadczyłem, jak to się mówi, na własnej skórze, i podczas gdy dziewczyna i Cuesta szybko zapomną o całej sprawie, jeżeli już nie zapomnieli, ja nigdy o tym nie zapomnę, bo z mojego punktu widzenia to wyglądało tak, że dziewczyna umarła na moich oczach, a ja wziąłem nogi za pas z towarem w garści, nie fatygując się, żeby cokolwiek dla niej zrobić”. „Spokojnie, przecież dałeś znać, pobiegłeś, przynajmniej postarałeś się, żeby inni jej pomogli”, powiedziałem. Comendador nie należał do ludzi, którzy się oszukują, a przynajmniej nie bardzo (może teraz, jako szanowany obywatel Nowego Jorku albo Miami, albo jakiegokolwiek innego miejsca, bardziej sam siebie oszukuje). „Tak, mogło być jeszcze gorzej, wszystko jest możliwe, ale obaj dobrze wiemy, że nie zrobiłem tego, co powinienem był zrobić. I chociaż dziewczyna ma się dobrze i nie przytrafiło jej się z mojej winy albo przez mój egoizm nic złego, to tak czy owak będzie mi to ciążyć na sumieniu”. I dodał z leciutkim uśmiechem, jakby sam sobie zaprzeczał (och, ten leciutki uśmiech stosowany w szkole wobec kolegów i nauczycieli, dzięki niemu zawsze potrafił się wykaraskać z największych tarapatów albo uniknąć najgorszej kary, ten uśmiech zawsze zasiewał wątpliwości i zaprzeczał zarówno temu, co sam przed chwilą twierdził, jak i temu, co przysięgał, że jest prawdą, gdy cofał lekko jedną wargę i go nam posyłał): „Całe szczęście, że moje sumienie potrafi dużo znieść”. Naprawdę miał szczęście, wszystko jedno, czy to było szczęście tchórza czy nie. Koniec końców nie wyszła mu na złe nawet tamta historia z kroplą krwi wyciekającą powoli z nosa przed bardzo czujnym celnikiem w Palermo. Spędził co prawda jakiś czas za kratkami i wyszedł stamtąd dotkliwie poturbowany, ale dzięki temu doświadczeniu

przestał się przejmować drobiazgami i błahymi niebezpieczeństwami i teraz był nadzianym przedsiębiorcą, takie były ostatnie wiadomości, jakie o nim miałem, prawie się do mnie nie odzywał i prawdę mówiąc, nie miałem nic przeciwko temu, byłem zadowolony, że nasze kontakty się rozluźniły i ochłodziły, a może nawet ustały: bywają takie rodzeństwa i kuzyni, bywają tacy przyjaciele z dzieciństwa albo dawne dziewczyny czy dawni chłopcy, z którymi nie ma o czym mówić, jak się jest dorosłym człowiekiem. Może i o mnie ktoś tak myśli, jakaś dawna miłość. Wcale jednak nie byłem pewien, czy na miejscu Comendadora zachowałbym się inaczej niż on. W każdym razie nie mogłem się o tym przekonać, jak to się mówi, na własnej skórze. Kto to może wiedzieć? Nikt nie wie, zanim sam się nie znajdzie w takiej sytuacji, a i wtedy nie zawsze się tego dowiaduje. Ta sama osoba może różnie albo odwrotnie zareagować w zależności od dnia, natężenia strachu i stanu ducha, w zależności od tego, czego utratę ryzykuje lub jaką przykładą wagę do własnego wizerunku albo historii na każdym etapie swego życia, czy zamierza potem opowiedzieć o swoim zachowaniu czy też je przemilczeć bez względu na to, czy będzie szlachetne czy małostkowe, niegodziwe czy wzniosłe, wszystko jedno. Albo w zależności od tego, jak spodziewa się, że będzie potem widziane, jak będzie relacjonowane i opowiadane przez innych, gdy on sam umrze i nie będzie mógł opowiadać. Nikt nie wie, jaki będzie następny raz, choćby był jakiś poprzedni, żaden poprzedni raz do niczego nas nie zobowiązuje, nie skazuje nas na szereg powtórzeń, kto wczoraj był szlachetny i odważny, może się okazać wiarołomny i tchórzliwy jutro, kto dawno temu był tchórzem i zdrajcą, dziś może być lojalny i mężny, i może przyszłość ma większy wpływ i zobowiązuje nas bardziej niż przeszłość, to co jest do poznania bardziej niż to co znane, to co nie dowiedzione bardziej niż to co pewne, to co ma nadejść bardziej niż to co już się stało. A przecież nic co było, nigdy nie zniknie bez śladu, nawet plama krwi starta i zmyta ani jej

obrzeże, po jakimś czasie badacz w laboratorium znajdzie bez wątpienia jakiś mikroskopijny ślad na drewnie, a w głębi naszej pamięci – rzadko się zagląda do tej głębi – jest taki badacz, który czeka w pogotowiu z lupą albo mikroskopem (dlatego zapomnienie nigdy nie jest całkowite, zawsze jest półślepe). A bywa i gorzej, czasem ten badacz jest w pamięci innych ludzi, do której nie mamy dostępu. (Pamięta to, zorientuje się? zastanawiamy się lękliwie. „Nadal go to boli czy może zapomniał? Przypomni mnie sobie czy też popatrzy jak na nieznanego albo obcego? Wie? Może ojciec mu powiedział, może opowiedziała mu matka, rozpozna mnie, uprzedzili go? Może nie ma pojęcia, kim jestem, co znaczę i nie wie nic o niczym? Milcz, milcz, nic nie mów, nawet żeby się uratować. Milcz i w ten sposób się uratuj. Poznam po tym, jak na mnie spojrzy, ale mogę też nie poznać, gdyby chciał mnie wywieść w pole swoim spojrzeniem). Wiele zarówno należy, jak i nie należy do mnie w mojej własnej pamięci, by nie szukać dalej. Kto wiedział, kto wie, nikt nie wie. Z pewnością Nin także nie miał pojęcia, że wytrzyma aż do śmierci, kiedy jego polityczni pobratymcy poddawali go torturom, używając języka, którego się nauczył i któremu dobrze się przysłużył. Tam, właśnie tam, nieopodal Madrytu, miasta, w którym mieszkam. Tam, w jakiejś piwnicy albo w koszarach, albo w więzieniu, hotelu czy w jakimś zwykłym domu w Alcalá de Henares. Tam, w rosyjskiej kolonii, w mieście, w którym urodził się Cervantes.

I tam też w powieści Fleminga był Nin, dosyć blisko początku, nie zajęło mi dużo czasu znalezienie go, Wheeler, dokładny, uważny, a zarazem impulsywny czytelnik, zaznaczył ten ustęp, podobnie jak zaznaczał fragmenty w „Podwójnym dzienniku” i w innych książkach, dodawał na marginesach żartobliwe docinki albo lekceważące komentarze pod adresem autora (nie umknęła mu żadna fałszywa myśl, kłamstwo, ignorancja ani głupstwo, jego osąd był wówczas lapidarny, jednoznaczny, jak „Silly” lub „Foolish”), czasem też komentarze entuzjastyczne, zależnie od konkretnego przypadku, umieszczał tam również adnotacje mające jemu o czymś przypominać, stawiał wykrzykniki bądź znaki zapytania, kiedy nie dawał czemuś wiary albo uznawał coś za niezrozumiałe, a czasem gryzmolił „Złe” (nieuczciwi i niekompetentni pisarze, Tello-Trapp czy ktokolwiek inny, zbierali całkiem sporo takich dopisków) i strzałką zaznaczał zdanie potępiane przez jego przenikliwy umysł i wymagające mineralne oko, albo pisał „Znakomite”, gdy zachwycał się lub wzruszał jakimś zdaniem, „Quite moving”, przeczytałem gdzieś, chyba w „Hołdzie” Orwella. „Quite right” notował też niekiedy z aprobatą, zobaczyłem to u Beneta, i „Quite true” częste u Thomasa, pewnie znali się osobiście, bo Thomas wykładał w pobliżu Oksfordu, na uniwersytecie w Reading, miejscu znanym ze starego więzienia i ballady, którą napisał tam więzień C.3.3, co w tym przypadku nie było pseudonimem.

Ten ustęp znajdował się u Fleminga pod koniec siódmego rozdziału zatytułowanego „The Wizard of Ice”, czyli „Czarnoksiężnik z krainy lodu”, to nieprzetłumaczalna gra słów, która nawiązuje do słynnego czarnoksiężnika z krainy Oz. Przeczytałem po angielsku: „Rosa Klebb miała w sobie oczywiście wielką wolę przeżycia, inaczej nie stałaby się

jedną z najpotężniejszych kobiet w państwie, a na pewno wzbudzającą największy strach. Jej kariera rozpoczęła się, przypominał Kronsteen, podczas hiszpańskiej wojny domowej. Spełniając w owym czasie rolę podwójnej agentki w łonie POUM-u – to znaczy pracując równocześnie dla moskiewskiego OGPU i dla wywiadu komunistycznego w Hiszpanii – była prawą ręką, a mówiono także, że swego rodzaju kochanką swego szefa, słynnego Andreasa Nina. Pracowała z nim między 1935 a 1937 rokiem. Nin został potem zgładzony na rozkaz Moskwy, krążyły plotki, że to ona go zabiła. Jakkolwiek było naprawdę, od tej chwili Rosa Klebb zaczęła się powoli, ale nieprzerwanie wspinać po drabinie władzy, pokonując przeciwności losu, wychodząc cało z wojen, uchodząc z życiem (bo nie poczuwała się do lojalności wobec nikogo ani nie przyłączała się do żadnej frakcji) z wszystkich czystek, aż w 1953 roku, kiedy umarł Beria, jej splamione krwią ręce dosięgły jednego z ostatnich szczebli dzielących ją od samego szczytu, czyli stanowiska szefa Wydziału Operacyjnego „ŚMIERSZ”<sup>1</sup>.

Pomyślałem, że może to zapiszę na maszynie. Skrót OGPU widziałem już w innych książkach, oznacza to samo co NKWD albo późniejsze KGB, czyli sowiecki wywiad. Beria to oczywiście słynny Ławrientij Beria, komisarz spraw wewnętrznych, wieloletni szef tajnej policji aż do śmierci Stalina, najbardziej przebiegły i bezlitosny wykonawca rozkazów Stalina w czasach spisków, wielkich czystek, porachunków z wrogami, przymusowego werbowania, prześladowań, szantażu, kampanii strachu i oszczerstw, przesłuchań, tortur i oczywiście szpiegowania. Co do nieznanego mi akronimu ŚMIERSZ, Fleming wyjaśniał wcześniej w odautorskim przypisie: „ŚMIERSZ, skrót od Smiert’ Spionom – Śmierć Szpiegom – istnieje i w obecnej chwili jest nadal najbardziej utajnioną agendą sowieckiego rządu. W początkach 1956 r., kiedy powstała niniejsza książka, siły ŚMIERSZ liczyły sobie łącznie w kraju i za granicą

czterdzieści tysięcy ludzi, a jego szefem był generał Grubozabojszczikow. Mój opis jego wyglądu odpowiada prawdzie. W obecnej chwili kwatera główna ŚMIERSZ znajduje się tam, gdzie umieściłem ją w czwartym rozdziale: przy ulicy Srietienka 13 w Moskwie...”. Zajrzałem na chwilę do czwartego rozdziału, zatytułowanego „The Moguls of Death” – „Mogołowie śmierci”, który rozpoczynał się od tych samych lub podobnych informacji: „ŚMIERSZ jest oficjalną agendą skrytobójczą rządu sowieckiego. Działa tak w kraju, jak i za granicą, zatrudniając – w roku 1955 – czterdzieści tysięcy mężczyzn i kobiet. ŚMIERSZ to skrót od słów Smiert’ Spionom, co oznacza Śmierć Szpiegom. Nazwy tej używają tylko pracownicy samej organizacji i funkcjonariusze sowieccy. Żadnemu obywatelowi przy zdrowych zmysłach nawet do głowy nie przyjdzie, by na głos wypowiedzieć te słowa...”. Kiedy przechodnie mijali gmach z numerem trzynastym przy szerokiej monotonnej ulicy, ciągnął narrator, opuszczali wzrok ku ziemi, czując dreszcz na karku, a jeżeli zorientowali się na czas i mogli to zrobić w sposób naturalny, przechodzili na drugą stronę ulicy, zanim dotarli do niezwykle dużego szpetnego budynku. No cóż, nie miałem pomysłu, gdzie mógłbym sprawdzić, czy ŚMIERSZ istniał naprawdę czy też wszystko – łącznie z przypisem – było sprytną sztuczką autora, aby potwierdzić i uwiarygodnić fałszywą prawdę.

Wróciłem do Rosy Klebb i do rozdziału siódmego. Nigdy przedtem nie przeczytałem ani jednej linijki twórczości Iana Fleminga, jednakże jak niemal wszyscy widziałem pierwsze filmy z serii o Bondzie. Wydawało mi się, że pamiętam Rosę Klebb w wersji filmowej, kobietę w średnim wieku, z krótkimi gładkimi włosami w kolorze marchewki, bez wdzięku i bez skrupułów, oraz to, że pod koniec stacza walkę z Connerym, niezapomnianą dla chłopca, jakim byłem wówczas, gdy obejrzałem w Madrycie „Pozdrowienia z Rosji” (musałem wślizgnąć się do jakiegoś bardziej liberalnego kina: cenzura frankistowska była tak głupia, że tego rodzaju

filmy kwalifikowała zawsze dla widzów powyżej osiemnastego roku życia): wprawiała w ruch jakiś ukryty mechanizm i z czubków jej butów wysunęły się dwa straszliwe poziome ostrza powleczone śmiertelną trucizną o piorunującym działaniu, wystarczyło jedno niewielkie zadrapanie, by dosięgnięty ostrzami przeciwnik padł na ziemię bez nadziei na ratunek, no więc ta kobieta walczyła z Bondem, czy też z Connerym, wyrzucając przed siebie uzbrojone w ostrza nogi, a on utrzymywał ją na bezpieczną odległość za pomocą krzesła, jak poskramiacz zniedołężniałych lwów lub tygrysów znudzonych dziecinnymi sztuczkami w cyrku. Pamiętałem też, że w postać Rosy Klebb wcieliła się w filmie sławna piosenkarka i aktorka austriacka (rzadko się pojawiała na dużym ekranie), Lotte Lenya, najwspanialsza i najbardziej oryginalna wykonawczyni piosenek i oper Bertolda Brechta oraz Kurta Weilla (w tym najsłynniejszej z nich, „Opery za trzy grosze”) i jeżeli nie zawodziła mnie pamięć, żona Kurta Weilla komponującego dla niej do śmierci, a zmarł znacznie wcześniej, niż powstała wspomniana adaptacja prozy Fleminga. Nawiasem mówiąc, na podstawie tych kilku stron, które przeczytałem w gabinecie Wheelera, Fleming wydał mi się lepszym pisarzem, bardziej utalentowanym i przenikliwym, niżby wynikało z miejsca, jakie raczyła mu przyznać przemądrzała historia literatury. Nie szukając daleko, następujący zaraz potem opis Rosy Klebb zawierał ciekawe i raczej wartościowe spostrzeżenia, przepisałem kilka akapitów: „...poważnym źródłem jej sukcesu była szczególna natura drugiego pod względem ważności instynktu Rosy Klebb – instynktu płciowego. Albowiem Rosa Klebb należała do najrzadszego pod względem upodobań typu. Była biseksualna... Historie o mężczyznach i tak, tak, o kobietach były zbyt dobrze udokumentowane, aby w nie powątpiewać. Może stosunek płciowy sprawiał jej satysfakcję fizyczną, lecz narzędzie nie miało znaczenia. Seks był dla Rosy Klebb wyłącznie zachcianką, a neutralność psychologiczna i fizjologiczna uwalniała ją od brzemienia bardzo wielu

ludzkich emocji, sentymentów i pragnień. Neutralność seksualna jednostki to esencja oziębłości. Urodzić się z czymś takim to rzecz zaiste cudowna. Martwy był w niej również instykt stadny... Pod względem temperamentu należało ją, oczywiście, zaliczyć do natur flegmatycznych – nieporuszonych, odpornych na ból, ospałych. Właśnie lenistwo stanowi jej chroniczną słabość. Rankiem trudno ją zapewne wyciągnąć z ciepłego skotłowanego łóżka. Ma niechlujne, nawet plugawe przyzwyczajenia osobiste. Wgląd w jej życie intymne, pomyślał Kronsteen, kiedy odpoczywa wyłuskana z munduru, nie byłby doświadczeniem przyjemnym... Posługując się datą hiszpańskiej wojny domowej jako punktem odniesienia, oceniał, że Rosa Klebb zbliżała się do pięćdziesiątki... Czort wie, pomyślał Kronsteen, jakie są jej piersi, lecz spoczywająca na blacie stołu wypukłość munduru wyglądała jak nieforemny worek piasku...”. (Worek mąki, worek mięsa, pomyślałem, w nie wbija się bagnet i włócznia). „«Trykociarki» Rewolucji Francuskiej mogły mieć twarze takie same jak ona... I te ich twarze, podsumował Kronsteen, musiały stwarzać takie samo wrażenie bezduszności, okrucieństwa i siły jak oblicze tej – tak, musi sobie pozwolić na słowo nacechowane emocjonalnie – przerażającej kobiety ze ŚMIERSZ-u”.

Wyglądało także na to, że Fleming był bardzo dobrze poinformowany (pomijając ŚMIERSZ; powinienem zapytać Wheelera, on z pewnością będzie wiedział, czy taka organizacja istniała naprawdę), wskazywały na to już wzmianki o POUM-ie i o Andresie Ninie, chociaż temu ostatniemu zmienił imię na Andreama. Wedle jego wersji Nina mogła zabić cudzoziemka – mogła być, kto wie, „wyjątkowej urody” w czasach swej młodości w Hiszpanii – w dodatku, by dopełnić miary zdrady i goryczy, jego współpracowniczką i kochanką. Wheeler w każdym razie skojarzył wzmiankę w „Podwójnym dzienniku” o „kilku cudzoziemkach” zatrzymanych w Barcelonie w czerwcu 37 roku z tą niechlujną, złowrogą



i biseksualną postacią z „Pozdrowień z Rosji” (nigdy nie została zatrzymana), książki, w której zaznaczył dwiema pionowymi kreskami akapit w rozdziale siódmym i napisał obok na marginesie: „*Well well, so many traitors indeed*”, co znaczy: „No tak, istotnie wielu zdrajców”. Tak, wielu ich było w moim kraju w tamtych czasach, a także w innych, trochę później, i oczywiście wszędzie i zawsze w przeszłości, od niepamiętnych czasów, od samego początku czasu. Jak to możliwe, że zdarzyło się tyle zdrad i że mogło do nich dojść, do tylu udanych zdrad, to znaczy takich, których nikt do końca nie podejrzewał ani nie odkrył na czas? Skąd ta dziwna skłonność do ufania ludziom? A może nie tyle chodzi o ufność, ile o to, że nie chcemy widzieć ani wiedzieć, a może jesteśmy skłonni do optymizmu lub do godzenia się na to, by nas oszukiwano, a może to pycha każe nam wierzyć, że nie przytrafi się nam to, co się zdarza i zdarzyło innym, takim samym jak my, że uszanują nas ci, którzy wcześniej – i na naszych oczach – zachowali się niełojalnie wobec innych, jakbyśmy się od tamtych czymś różnili, może to pycha każe nam spodziewać się bez powodu, że nas nie dotkną przeciwności losu, jakich doświadczyli nasi przodkowie, ani rozczarowania, które stają się udziałem nam współczesnych: tych wszystkich, którzy jak przypuszczam, nie są „mną”, którzy nie są ani nie będą, ani nigdy nie byli „mną”? Żyjemy, jak miemam, skrycie ufając, że te zasady ulegną w pewnej chwili zmianie, podobnie jak zwyczajny bieg spraw, obyczaj i historia, i że stanie się to akurat w odniesieniu do nas, do naszego doświadczenia, że to nam właśnie – czyli mnie – przypadnie w udziale to zobaczyć. Zawsze, jak sądzę, aspirujemy do bycia tymi wybranymi, w przeciwnym razie nie bylibyśmy gotowi przeżyć całe życie, które krótkie czy długie, zawsze nas sobie podporządkowuje. W „Podwójnym dzienniku”, który znowu wziąłem do ręki, było kilka artykułów mojego ojca z czasów, kiedy jeszcze ufał mimo wojny: jeden z 2 lipca 1937 roku, z okazji trzechsetlecia pierwszego wydania „Rozprawy

o metodzie” Kartezjusza, co nastąpiło w 1637 roku w Lejdzie; inny z 27 maja, ubolewający z powodu szaleństwa ze zmianą nazw ulic i placów (a nawet miast), jakie zapanowało zarówno „na obszarze zajęтым przez rebeliantów”, jak i „na tym lojalnym” (jego określenia), konkretnie w Madrycie: „To ze wszech miar godne ubolewania”, pisał, „że naśladujemy w tym rebeliantów, bo w niczym nie powinniśmy ich naśladować”. Albo: „Nazwy trzech ulic: Prado, Paseo de Recoletes i Castellana zastąpiono jedną: Aleja Związku Proletariackiego. Jednakże związek taki, niestety, nie istnieje i dużo lepiej byłoby postarać się o to, by powstał, niż umieszczać taką nazwę na skrzyżowaniach ulic... Wydaje się, że nowe tabliczki chcą w pewnym sensie dopełnić dzieła bombardowań przeprowadzonych przez rebeliantów, czyli zdeformować nasze miasto”. Było też kilka artykułów czysto politycznych, raz podpisanych pseudonimem, jakiego ojciec używał w tamtych czasach, innym razem jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem, Juan Deza, dziwnie było napotkać własne nazwisko na tych stronach z przeszłości odtworzonych czerwonym drukiem. Były tam młodzieńcze teksty, niewątpliwie stały się przyczyną wielu oskarżeń, w większości o rzeczy wymyślone, sfabrykowane i fałszywych, jakie sformułowano wobec mego ojca krótko po zakończeniu wojny, kiedy to zdradził go i wydał zwycięskim władzom rebeliantów jego najlepszy ówczesny przyjaciel, niejaki Del Real, kolega ze studiów, łączyły ich wspólne rozmowy, zainteresowania, te same odwiedzane kawiarnie, przyjaźnie i spotkania towarzyskie, i wspólne chodzenie do kina, a także kilka wspólnych pijatyk w czasie studiów, wyobrażam zaś sobie, że i w czasie wojny, podczas oblężenia Madrytu, gdy zbuntowane wojska niszczyły miasto bombardowaniami i ostrzeliwały je z pobliskich wzgórz pociskami z tak zwanych *obuses*, czyli haubic, które celowały w budynek telekomunikacji, a gdy nie trafiały do celu, spadały na pobliski plac nazywany dlatego, z wisielczym humorem, *plaza del gua*, „placem

niespodzianek”, w ciągu niemal trzech lat ich życia, życia wszystkich obłączonych, gdy trzeba było pokonywać biegiem ulice i place o zmieniających się nazwach, przytrzymując dłońmi kapelusze, czapki, berety, spódnice fruujące na wietrze, opadające podarte pończochy (albo chodziło się po prostu bez pończoch), i wyszukiwać ulice wolne od artyleryjskiego ostrzału, żeby dotrzeć nimi, spokojnie lub biegiem, do wejścia do metra albo innego schronienia.

Dwaj przyjaciele razem z trzecim, który wkrótce potem zmarł, wydali nawet wspólnie w 1934 roku książeczkę zawierającą trzy najlepsze w ocenie Towarzystwa Geograficznego dzienniki podróży sporządzone przez studentów uczestniczących w tak zwanym Rejsie Uniwersyteckim po Morzu Śródziemnym, zorganizowanym w lecie 1933 roku przez madrycki wydział filozofii i literatury Republiki, kiedy to w ciągu czterdziestu pięciu pełnych entuzjazmu i optymizmu dni studenci i profesorowie odwiedzili Tunezję i Egipt, Palestynę i Turcję, Grecję i Włochy, i Malte, Krete, Rodos, Majorkę, a któregoś dnia zostali nawet zaszczycony wizytą wielkiego Valle-Inclana, który nie wiem gdzie ani dlaczego, wszedł na pokład, żeby pogawędzić z pasażerami. Płynęli statkiem „Ciudad de Cádiz”, należącym do Kompanii Transśródmorskiej, którego żegludze po morzach kres położył później włoski okręt podwodny „Ferrari”, duma Mussoliniego – jak opowiedział mi ojciec, storpedował i zatopił „Ciudad de Cádiz” na wodach Morza Egejskiego 15 sierpnia 1937 roku, w trakcie wojny domowej, gdy ten wracał z Odessy z ładunkiem żywności i sprzętu wojennego dla Republiki, a może wydarzyło się to 14 sierpnia, gdy statek przepłynął Dardanele, jak chwilę wcześniej przypadkowo przeczytałem u Thomasa podczas tej niekończącej się nocy.

Ów współautor publikacji, towarzysz podróży, kolega z uniwersytetu, a nawet jeszcze dawniejszy, bo ze szkoły średniej (długoletnia przyjaźń, jak Comendadora i moja), rozpoczął polowanie na tego, kto jeszcze nie był

wówczas niczym ojcem, i tym polowaniem pokierował. Rozpętał kampanię oszczerstw, wynalazł „świadków oskarżenia” gotowych poświadczyć oszczerstwa na procesie (procesie sfingowanym, tylko takie odbywały się w zwycięskich czasach) i zdobył cenniejszy od swojego, bo wyżej postawiony podpis na formalnym zawiadomieniu o przestępstwie, które zostało złożone na policji pewnego majowego dnia 39 roku. Był to podpis wykładowcy z tego samego wydziału, niejakiego Santa Olalla, znanego fanatyka, z którym mój ojciec nie miał zajęć ani nawet kontaktu, chociaż naukowiec ten uczestniczył, jak się zdaje, w całkiem pozbawionym fanatyzmu rejsie w 33 roku. Wiele lat później, gdy sam byłem studentem tego samego wydziału (ale już wtedy i jeszcze wtedy całkowicie frankistowskiego), nadal wykładał na nim ów Santa Olalla jako stary już profesor, szef katedry – tytuł uzyskał pewnie szybko i bez problemów – i w moich czasach był, w rzeczywistości i wedle ciągnącej się za nim opinii, zdeklarowanym faszystą w każdym sensie, ideologicznym, politycznym, charakterologicznym, przez analogię, czyli faszystą *sensu stricto*. Rozumiem, że główny donosiciel, Del Real, również uzyskał profesurę na jakimś uniwersytecie na północy (La Coruña, Oviedo, Santander, Santiago, nie wiem) w nagrodę za swe bezzwłoczne i spontaniczne zgłoszenie się w 39 roku na usługi właśnie powstałej i nadpobudliwej policji frankistowskiej. Wydaje się jednak, że ten naukowiec donosiciel udawał „półlewaka” wobec swych zbuntowanych studentów w latach sześćdziesiątych – w gruncie rzeczy nie ma w tym nic niezwykłego – i w owych niepokornych latach kilka nieostrożnych i mało wiedzących o świecie młodych kobiet uważało go za „czarującego”. Tak kręci się świat. („Mów, wydaj, denuncjuj. Przemilcz to potem i tak się ocal”). Mój ojciec usłyszał o nim po raz ostatni mniej więcej bezpośrednio tegoż maja 39 roku, półtora miesiąca po zakończeniu wojny; szalały represje, pokonanych szykanowano, systematycznie przeprowadzano

czystki i wkrótce po dniu świętego Izydora, patrona Madrytu, kiedy to aresztowano ojca i wtrącono go do więzienia, jakiś wspólny znajomy – a może to moja matka podczas odwiedzin w więzieniu, nie była wtedy jeszcze moją matką ani jego żoną – opowiedział mu, że Del Real obnosi się dumnie ze swoim wielkim wyczynem po Madrycie i mówi mniej więcej tak: „Już ja się postaram, żeby wsadzili Dezę na trzydzieści lat, jeśli nie przypadnie mu w udziale coś gorszego”. To „coś gorszego” mogło się w tamtych czasach łatwo przytrafić każdemu zatrzymanemu z wszystko jedno jakiego powodu lub bez powodu, nieważne, czy były jakieś dowody czy nie; jeśli dowodów brakowało, fabrykowano je, a i to nie zawsze było potrzebne, żeby człowieka skazać, wystarczał *de facto* donos dozorca, sąsiada, jakiegoś zawistnika, księdza, kogoś obrażonego, rywala, donosiciela zawodowego albo wolontariusza, odrzuconego zalotnika, odprawionej narzeczonej, kolegi, przyjaciela, każdy donos się przydawał, lepiej było być nadgorliwym, niż zrobić za mało, by doprowadzić do końca ten proces „wyniszczenia” (termin użyty przez Thomasa) rozpoczęty w 36 roku. A to „coś gorszego” nazywało się pluton egzekucyjny.

Juan Deza miał mimo wszystko szczęście w porównaniu z wieloma innymi, kapusiowi nie udało się doprowadzić do jego egzekucji. W czasie wojny ojciec był żołnierzem ludowego wojska, inaczej wojska Republiki, jak wolał je nazywać (kiedy wybuchła wojna, miał już skończone dwadzieścia dwa lata, był kilka miesięcy młodszy od Wheelera), ale początkowo skierowano go do pracy administracyjnej na tyłach wojsk w Madrycie, służył najpierw w intendenturze, potem został tłumaczem wojsk lądowych, w końcu aż do kapitulacji służył pod rozkazami i jako adiutant Juliana Besteiro i tym sposobem nigdy nie trafił na front. Wiedząc, że nie oddał na wojnie ani jednego strzału, był też całkowicie pewien, że nikogo nie zabił, z czego jak sam mówił, ogromnie się cieszył. Pisał artykuły do „Abc” i do kilku innych gazet, w 37 roku prowadził programy

radiowe, gdy na pewien czas został wysłany do Walencji, na polecenie sztabu generalnego przetłumaczył też z języka angielskiego obszerną książkę, której autora nigdy nie pamiętał, pamiętał jednak tytuł: „Spy and Counter-Spy (A History of Modern Espionage)”; książka ta pewnie nigdy nie została wydana w formie, jaką on jej nadał na użytek Ministerstwa Wojny. Oskarżenia tych, którzy na niego donieśli, dotyczyły jednak dużo cięższych „przestępstw” i chociaż były wysrane z palca, wymyślono je w najgorszej wierze tak, żeby kłamstw nie dało się zdemaskować: postawiono mu między innymi zarzut współpracy z moskiewską „Prawdą”, oskarżono, że był w Hiszpanii łącznikiem, tłumaczem i przewodnikiem „tego bandyty dziekana Canterbury” (doktora Hewletta Johnsona, znanego jako Czerwony Dziekan, czyli *The Red Dean*, którego ojciec w życiu nie widział na oczy), że był wtajemniczony w machinacje „czerwonej propagandy” podczas całej wojny, co stanowiło bardzo bezpośrednią zachętę do wydobycia z niego tej wyjątkowej wiedzy każdą dostępną metodą (również tą stosowaną zazwyczaj). Na szczęście do tego nie doszło: znalazło się kilku prawdomównych świadków, nawet wśród świadków oskarżenia; jakimś cudem ojciec trafił podczas przesłuchania na wielkiej uczciwości podporucznika, który nie tylko nie przeinaczał jego odpowiedzi na zarzuty (co było normalne w ówczesnym wymiarze sprawiedliwości), lecz zaproponował ich spisanie dla większej precyzji i w obawie przed następnymi zarzutami, a zanim odesłał ojca z powrotem do celi, powiedział: „Nie podaję panu ręki, bo ktoś to może zobaczyć, ale w duchu jestem po pana stronie” („Antonio Baena”, wspominał ojciec, „nigdy tego nazwiska nie zapomnę”); przydzielono mu na szczęście leniwego sędziego, który zgubił akta sprawy i ostatecznie umorzył całe postępowanie z powodu zamieszania spowodowanego dziwacznym zachowaniem jakiegoś „świadka oskarżenia”. Tak więc Juan Deza, mój ojciec, posiedział w więzieniu, wykorzystując ten czas na uczenie pisania, czytania, dodawania,

odejmowania i mnożenia współwzrostów analfabetów (tych bardziej wykształconych uczył podstaw francuskiego), a potem został zwolniony – nie nauczył ich w końcu dzielenia – aczkolwiek przez wiele następných lat cierpiał szykany, nie mógł pracować naukowo w odróżnieniu od swych utytułowanych oskarżycieli, dostał też absolutny zakaz publikacji w krajowej prasie, drukowanej już w całości niebieską farbą. Jeden ze „świadków oskarżenia”, którzy świetnie spisali się w swojej roli – jeszcze inny kolega z wydziału, którego oskarżony, czyli mój ojciec, odwiedzał podczas bombardowań i przynosił mu książki do czytania, w późniejszych latach dość poczytny pisarz niskich lotów (nazwiskiem Flórez), przekazał taką oto wiadomość przez przyjaciółkę ojca, moją matkę: „Jeżeli Deza zapomni raz na zawsze, że kiedykolwiek studiował, zostawimy go w spokoju; w przeciwnym razie zniszczymy go”. Ale to inna historia. Czasem widziałem, jak ojciec rozpacza po cichu nad swoją nieszczęsną sytuacją, widziałem, jak cierpi. Nigdy jednak nie widziałem go zgorzkniałego, nam, swoim dzieciom, nie zaszczepił poczucia krzywdy, a jeżeli takowe w sobie mamy, to sami je wyrobiliśmy w sobie. Nie słyszałem też, żeby się skarżył ani wspominał głośno nazwiska donosicieli poza kręgiem rodziny i najbliższych przyjaciół, z których część dobrze je znała z pierwszej ręki od dnia świętego Izydora 1939 roku. Mimo kłód rzucanych pod nogi i przeszkód dał sobie radę w życiu, a skoro on nie skarżył się nawet w najtrudniejszych, najbardziej niewdzięcznych latach, to i ja nie powinienem tego robić za niego. A może powinienem. Może powinienem i może jestem też tym jedynym, kto razem z dwoma starszymi braćmi i młodszą siostrą może się podjąć nie przynoszącego nikomu ujmy zadania opłakania wszystkich innych – teraz za moją matkę, a także za niego.

Nigdy nie odmawiałem sobie wymieniania tych nazwisk, ilekroć nadarzyła się sposobność, bo od dziecka znałem je na pamięć, Del Real

i Santa Olalla, Santa Olalla i Del Real, zawsze były to dla mnie nazwiska zdrady, a takich nigdy nie należy ochraniać. Myślałem o tym podczas długiej nocy nad rzeką Cherwell, gdy zacząłem w końcu zbierać książki Wheelera, wyjęte wcześniej z zachodniej części biblioteki i porozrzucane po jego gabinecie czy pracowni, i porządkować wszystko z grubsza, opróżniać i czyścić biurko, wyniosłem tace i butelki, moją szklanę i lód, uciążliwe zadanie dla kogoś tak zmęczonego i pogrążonego w myślach i o tak późnej porze, chociaż wolałem nie wiedzieć jak późnej i nie spojrzałem na żaden zegarek. Jak to możliwe, że ojciec niczego nie podejrzewał ani nie spostrzegł? Był wykształconym, inteligentnym człowiekiem, nie był głupcem, jakkolwiek miał w sobie niepoprawny optymizm, ufając w pierwszym odruchu każdemu. A jednak. Jak to możliwe, że przeżył pół życia obok kolegi, bliskiego przyjaciela – pół dzieciństwa, lat szkolnych i młodości – i nie zorientował się w jego naturze, przynajmniej w jego możliwej naturze? (Ale może każda natura jest możliwa u każdego z nas?) Jak to możliwe, żeby przez dłuższy czas nie widzieć, że ma zamiar nas zdradzić ktoś, kto w końcu nas zdradzi i zdradza? Nie przejrzeć go, nie zdać sobie sprawy z jego spiskowania, intryg, z jego tańca wokół nas, nie wyczuć zapachu jego wrogości, nie wyczuć w oddechu desperacji, nie spostrzec przyczajenia i długiego, tęsknego wyczekiwania i zniecierpliwienia, które nie wiadomo ile już lat musiał w sobie dusić? Jak to możliwe, że nie znam dziś twojej twarzy jutro, twarzy, która już jest lub wykluwa się pod twarzą pokazywaną światu bądź pod nałożoną maską, twarzy, którą pokażesz mi dopiero wtedy, gdy nie będę się tego spodziewał? Tamten człowiek na pewno musiał wiele razy powściągać swój zapal i przygryzać wargi do krwi, i studzić wrzącą już krew, i odwlekać po raz kolejny ostateczny cios. Takie rzeczy się zauważa, spostrzega, chwyta się ich zapach, a czasami nawet wyczuwa namacalnie odurzający, skondensowany pot. A przynajmniej się to przeczuwa.



W gruncie rzeczy się wie albo powinno się wiedzieć. A może gdy coś się wydarza, nie zdajemy sobie sprawy, że wiedzieliśmy, że ma się wydarzyć i że wydarzyło się dokładnie tak, jak miało się wydarzyć? Czy nie jest tak, że w gruncie rzeczy nie dziwimy się aż tak bardzo, jak udajemy wobec innych, a przede wszystkim wobec siebie samych, i że wtedy dostrzegamy całą logikę i rozpoznajemy, i przypominamy sobie zlekceważone ostrzeżenia, których nasza podświadomość w jakiejś swojej warstwie nie zlekceważyła? Może wmawiamy sobie zdumienie, jakbyśmy znajdowali w tym zdumieniu niestosowne pocieszenie i bezużyteczne usprawiedliwienia, które w rzeczywistości na nic się nie zdają: „Ojej, nie wiedziałem, nie mogłem tego przewidzieć, a tym bardziej podejrzewać, to ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewał i nigdy bym na to nie wpadł, dałbym słowo honoru, przysiągłbym, włożyłbym rękę w ogień, dałbym sobie głowę uciąć, postawiłbym cały majątek i zaręczył honorem, co za pomyłka, jaki zawód, cała ta zdrada wydaje się niewiarygodna i nierzeczywista”. Ale prawie nigdy nikt nie jest zdziwiony tak bardzo. Nie w najgłębszej skrytości ducha, bo wiemy to, czego nie ośmielamy się wypowiedzieć ani zrozumieć, ani sobie uświadomić, obawiamy się, że ta wiedza będzie nie do zniesienia, i negujemy ją, ukrywamy przed sobą, odganiamy ją od siebie albo zerkamy na nią tylko kącikiem oka i z zasłoniętą zawsze twarzą. To zdumienie jest, istnieje w najwyższych warstwach naszego ciała, a do nich należą nie tylko te powierzchowne, epidermiczne, lecz w gruncie rzeczy wszystkie, środkowe, dolne i głębokie, a nawet tajemne i ukryte, nasze żyły, warstwy zewnętrzne i wewnętrzne, i te najgłębiej położone, warstwy codziennego zewnętrznego, powierzchownego życia – czubek włóczni – warstwy każdej samotnej chwili, warstwy obecne wśród roześmianego towarzystwa i te na chwilę przed zanurzeniem się w otchłań snu, kiedy w krótkim przeblýsku widzimy siebie jako całość i uświadomiamy sobie, co będzie się o nas opowiadać,

gdy nastąpi nasz kres. Tak, nawet ta warstwa poddania się i udręki, albo przecucia, dopuszcza taką konsternację, takie zaskoczenie. Ale nie ta najgłębsza warstwa, której nigdy niemal nie dosiegamy, która zamieszkuje odwrotną stronę czasu i nie myli się ani nie popełnia błędu, warstwa, którą często bierzemy za strach albo która za strach się przebiera i dlatego nie dajemy jej posłuchu, bo nie chcemy, by to strach nami powodował, by dyktował nam kroki i sprawiał, że ulegniemy w końcu temu, czego się obawiamy albo co sami sprowokujemy. Lekceważymy wskazówki i nie chcemy analizować znaków („Nic nie mów, nic nie mów i wtedy mnie ocal”), odsuwamy je od siebie i umieszczamy w sferze wyobrażeń, przeciwstawiamy je innym znakom, choć w gruncie rzeczy wiemy, że nie są znakami, lecz wyobrażeniami, iluzjami, które kuszą, by im zaufać, popaść w otępienie i senność. (Miej jedno oko otwarte, kiedy zaśniesz, miej je otwarte, powiedziałem do siebie). Bo w rzeczywistości nie moglibyśmy się oszukiwać, gdybyśmy sami tego nie chcieli, daremny byłby to wysiłek, próżny trud. Ale zazwyczaj tego chcemy. Tak, tego właśnie chcemy, ponieważ ochrona i zapobieganie, i czujność, wszystko to nas nudzi, wolimy odrzucić daleko tarczę i stąpać lekko przed siebie, wymachując włócznią jak ozdobą.

Gdy byłem już dorosły, pytałem o to ojca, chociaż nigdy nie chciałem go naciskać. Rodzice opowiedzieli tę historię mnie i memu rodzeństwu, kiedy byliśmy dziećmi i nastolatkami, ale opowiedzieli tylko w ogólnym zarysie, niezbędne minimum, jakby i ojciec, i matka chcieli nam jeszcze oszczędzić tego, co w większym lub mniejszym stopniu czeka wszystkich i *de facto* zaczyna się już w dzieciństwie – donosy, plotki, zdrada, cios w plecy, oszczerstwo, denuncjacja, szkalowanie, oskarżenie – a przecież w tamtych czasach – na różne sposoby – byliśmy nieuchronnie konfrontowani z przykładem założycielskim czy też największym przypadkiem zdrady opisanym w ewangeliach, bo inne, dawniejsze przypadki, historie Jakuba

i Dawida, Absaloma, Adoniasza, przypadek Dalili i Judyty, a nawet przypadek niekochanego Kaina, wszystkie miały jakiś cel i jakąś przyczynę, dlatego te zdrady nie były takie czyste i bezinteresowne, można się ich było bardziej spodziewać, bardziej je zrozumieć, były mniej bezzasadne i nie tak ciężkie (słynne trzydzieści srebrników nie było nigdy przyczyną, lecz jedynie zewnętrzną formą, namacalnym symbolem obrazującym sam akt zdrady). Jednakże Juan Deza nigdy nie lubił o tej sprawie mówić, może bolało go samo jej wspomnienie, a może wolał nie dać się ponieść złości albo nie chciał przydawać wagi – nawet samym opowiadaniem – człowiekowi, który od dnia świętego Izydora 1939 roku, albo nawet trochę wcześniej, zasługiwał tylko na jego pogardę.

„Naprawdę nigdy niczego nie wyczułeś?”, zapytałem kiedyś, korzystając z okazji, że wspominał inne sprawy z tamtych czasów. „Przed aresztowaniem? No cóż, czułem coś naturalnie, docierały do mnie wiadomości o rozpoczętej przez niego kampanii oszczerstw pod moim adresem. Nie bezpośrednio, bo pochodziły z obszarów zajętych przez frankistów, gdzie przedostał się, nic nikomu nie mówiąc, nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak to zrobił ani kiedy (nie było wtedy łatwo wyjechać z Madrytu, właściwie było to niemożliwe bez czyjejś pomocy), i oczywiście dowiedzieliśmy się o tym po czasie, jak już przeszedł na drugą stronę. Nie wiem, dlaczego do nich przeszedł, przypuszczam, że w obliczu nieuchronnej klęski i żeby się dobrze ustawić. Nie chodzi o to, że nie byłem świadom niebezpieczeństwa, jego potencjalnego zasięgu. Darzysz szacunkiem kogoś, kto był twoim długoletnim przyjacielem, i to jest zabójcze, gdy on zwraca się przeciwko tobie. Uważasz, że wie, co robi. A w tamtych czasach nie trzeba było koniecznie być przekonującym. Wystarczała odrobina emfazy i zajadłości, a i to nie było niezbędne”.

„Miałem na myśli wcześniejsze czasy, zanim dowiedziałeś się o jego oszczerstwach. Nigdy nic nie podejrzewałeś? Nie przyszło ci do głowy, że

może cię zaatakować, że wziął cię na cel, że chce cię zgubić?”

Ojciec zamilkł na chwilę, nie jak ktoś, kto się waha albo rozmyśla nad odpowiedzią, żeby była precyzyjna. To było milczenie kogoś, kto chce podkreślić jakąś prawdę, jakąś pewność.

„Nie. Nigdy sobie nic takiego nie wyobrażałem. Kiedy się dowiedziałem, w pierwszej chwili nie uwierzyłem, pomyślałem, że to musi być pomyłka albo nieporozumienie, albo kłamstwo rozpущane przez ludzi z nieznanymi mi przyczyn. Intryga. Spisek. Potem, kiedy wiadomości docierały do mnie ze zbyt wielu źródeł i już nie mogłem ich ignorować, musiałem uwierzyć i z rezygnacją przyjąć je do wiadomości, wydawały mi się niezrozumiałe, niewytłumaczalne”.

„Niezrozumiałe”: zawsze używał tego słowa, to znaczy przy tych nielicznych okazjach, kiedy próbowałem wyciągnąć z niego coś więcej na ten temat.

„W ciągu tylu lat znajomości”, nalegałem „nigdy nie dostrzegłeś żadnej wskazówki, nie miałeś żadnego podejrzenia, nie doświadczyłeś wewnętrznego niepokoju, ukłucia w sercu, przeczucia, czegokolwiek?”

„Nie”, odpowiadał coraz bardziej lakoniczny i zgaszony, ja wtedy zmieniałem temat, żeby go nie dobijać. Przypuszczam, że gorzkie było dla niego wspomnienie własnej prostoduszności i ufności nie dlatego, że kiedyś się zawiódł, lecz dlatego, że nie potrafił ich w sobie zachować. Albo tak było w jego przekonaniu. Naprawdę wcale się ich nie wyzbył, a nawet moim zdaniem był taki nadal aż za bardzo (stały się przyczyną kilku innych przykrości, aczkolwiek nie tak gorzkich i już nie tak zaskakujących), ja jestem bardziej cyniczny i nieufny, jak sądzę, chociaż możliwe, że i tak za mało w czasach tak wiarołomnych jak dzisiejsze. Może tylko mocniej stąkam po ziemi i jestem większym pesymistą, to wszystko, więcej we mnie smutku.

Moja matka zmarła, gdy byłem jeszcze zbyt młody, by zastanawiać się głębiej nad tymi kwestiami, a gdy wreszcie naprawdę dorosłem (to znaczy, stałem się tego w pełni świadomy), o nic już nie mogłem jej zapytać: możliwe, że ona, mocniej stąpająca po ziemi, pokusiłaby się o jakieś wytłumaczenie; nie była tak zaprzyjaźniona ze zdrajcą jak ojciec, ale oczywiście go znała. Bardzo się zaangażowała w wyciągnięcie Juana Dezy z więzienia, mimo że wówczas nie łączyło ich jeszcze narzeczeństwo, byli po prostu nierozłącznymi starymi przyjaciółmi z wydziału. Z tego co wiem, również zrobiła wiele podczas wojny, żeby pomagać i łagodzić konsekwencje konfliktu wszędzie, gdzie mogła. Jakiś czas wcześniej, w trzydziestym szóstym roku, kiedy równoczesny bunt wojskowy i „rewolucja” 18 lipca zmieniły następne dni i tygodnie w kompletny chaos, wykorzystywany przez obie strony (każdą na kontrolowanym przez siebie terytorium) do przeprowadzenia błyskawicznych i nieodwracalnych porachunków oraz do zabicia wszystkich, których chciały się pozbyć, matce, jako najstarszej z ośmiorga rodzeństwa, dzieci i nastolatków, przypadło w udziale zadanie odnalezienia brata, wówczas siedemnasto- albo osiemnastoletniego, który pewnego wieczoru nie wrócił na noc do domu. W tych pierwszych miesiącach po wybuchu wojny domowej, gdy w jakiejś rodzinie wydarzało się coś podobnego, najpierw pojawiała się myśl – wcześniej niż jakakolwiek inna, tak przemożny był strach – że nieobecny mógł zostać samowolnie zatrzymany przez patrol milicji, odstawiony do *cheka*, komunistycznego więzienia, a potem, o zmierzchu lub nocą i bez większych ceregieli, rozstrzelany na pierwszej lepszej drodze albo szosie za miastem. Rankami członkowie Czerwonego Krzyża przeszukiwali przydrożne rowy i zarośla, zbierali znalezione tam zwłoki,

żeby każde sfotografować i pogrzebać, a wcześniej w miarę możliwości zidentyfikować zmarłych i odnotować w dokumentach koniec ich życia i śmierć. Po obu stronach działało się to samo z obłąkańczą, złowieszczą symetrią. W Madrycie od pewnego momentu pracowały trybunały ludowe, ale chociaż zasiadali w nich prawdziwi sędziowie (podlegli „komisarzom politycznym” partii, wyrzuci z wszelkiej niezależności), to sprawność tych trybunałów i stosowany tryb doraźny zanadto przypominały w dalszym ciągu metody poprzedzające ich ustanowienie, niewiele przyczyniając się do powstrzymania tej ślepej furii albo ujęcia jej w jakieś ramy prawne.

Tak więc moja matka wyruszyła w miasto na poszukiwania, chodziła od jednego komisariatu do drugiego i od jednego więzienia do drugiego, wypytyjąc o zaginionego młodszego brata z paradoksalną nadzieją, że nigdzie nie natrafi na jego ślad: nie w tych złowieszczych miejscach, które jednakowoż trzeba było zawsze sprawdzać w pierwszej kolejności po czymś zaginięciu. Los się do niej nie uśmiechnął i znalazła go, a raczej jego niedawne pośmiertne zdjęcie, zdjęcie młodego nieboszczyka, zmarłego brata. Nie wiadomo, dlaczego go aresztowano i zabrano do więzienia przy ulicy Fomento, jego i towarzyszącą mu koleżankę, którą spotkała ta sama ponura gwałtowna śmierć. Może przyczyną był krawat, który nierozsądnie nałożył rano, i członkowie robotniczych milicji (słynne niebieskie kombinezony, które – czytałem u Thomasa, słyszałem od rodziców, widziałem na tysiącach zdjęć – stały się niemal obowiązkowym mundurem cywilnym wszystkich uzbrojonych drapieżników w Madrycie) nie uznali jego wyglądu za dostatecznie rewolucyjny, a może oboje z koleżanką nie pozdrowili ich zaciśniętą w pięść dłonią, a może ona nieroztropnie miała na szyi krzyżyk albo medalik, takie przewiny wystarczały, żeby dostać kulę w łeb lub całą serię w pierś w tamtych dniach wściekłej podejrzliwości służącej jako alibi dla bezsensownych niepotrzebnych mordów, tak samo jak po drugiej stronie dostateczną przewiną było nieuniesienie ramienia

w faszystowskim pozdrowieniu albo wygląd zamierzenie proletariacki, albo czytanie republikańskich gazet, albo sława człowieka omijającego z daleka liczne na półwyspie kościoły, kościoły w ojczyźnie.

Nigdy nie wierzyłem, że to urzędowe zdjęcie w małym formacie, o którym tyle razy słyszałem, istnieje naprawdę. To znaczy, że gdzieś się przechowało, ktoś je zachował albo że ma je moja matka, Elena, której przypadło w udziale odnalezienie go, nie wierzyłem, że prosiła o nie komisarzy politycznych w *cheka* w 36 roku, ani że oni jej to zdjęcie dali, gdy miała dwadzieścia dwa lata, była co prawda najstarsza z ośmiorga rodzeństwa, ale przecież ciągle bardzo młoda. Kiedy przypadkowo, wiele lat po śmierci matki, znalazłem to zdjęcie zawinięte w dziwną satynową szmatkę w trzy paski, dwa czerwone przedzielone jednym czarnym, schowane w metalowym pudełku po migdałach z Alcalá de Henares razem z kilkoma innymi zdjęciami żywego jeszcze brata oraz kartą wstępu do biblioteki wydziału literatury i różnymi papierami z lat trzydziestych starannie złożonymi, by wszystkie się pomieściły (wśród nich był prosty uliczny wierszyk sławiący Madryt, nad którym łopoce republikański sztandar z fioletowym pasem, jakże ryzykowała matka, przechowując ten wierszyk przez cały ciągnący się jak wieczność okres frankizmu), pierwszą moją myślą było, żeby nie patrzeć, nie przyglądać się czemuś, co mignęło mi już plamą krwi przed oczyma i co od razu rozpoznałem, gdy tylko odwinąłem trochę materiału, rozpoznałem go od razu, chociaż nigdy go przecież nie widziałem i w owej chwili byłem jak najdalszy od pamiętania o tamtym odległym śmiertelnym zdarzeniu. W pierwszym odruchu zakryłem zdjęcie ponownie satynową szmatką, jakbym chciał ustrzec oblicze zmarłego przed spojrzeniem żywego albo jakbym uświadomił sobie nagle, że nie ponosi się odpowiedzialności za to, co się widzi, ale jest się odpowiedzialnym za to, na co się patrzy, bo patrzenia zawsze można odmówić – można dokonać wyboru – po pierwszym nieuniknionym

spojrzeniu, po tym spojrzeniu, które jest zdradzieckie, bezwolne, szybkie, nieoczekiwane, potem zawsze można zamknąć oczy albo natychmiast zasłonić je sobie dłonią, albo odwrócić głowę, albo zdecydować się na szybkie przewrócenie kartki („Przewróć ją, przewróć, nie chcę twego strachu ani cierpienia. Przewróć ją i tym sposobem się ocal”).

Z bijącym mocno sercem zacząłem się w końcu zastanawiać i pomyślałem wówczas, że skoro matka wyprosiła to makabryczne zdjęcie, zabrała je i przechowywała całe życie, to z pewnością nie z powodu jakichś niezdrowych skłonności ani nie po to, by pielęgnować w sobie urazę, która w sposób oczywisty nie mogła być skierowana do nikogo konkretnego, nic z tych rzeczy nie pasowało do jej charakteru. Chciała je pewnie mieć jako swego rodzaju potwierdzenie, ilekroć wyda jej się niemożliwe, nierealne jak zły sen, że Alfonso umarł w tak bezsensowny sposób i że nigdy już nie wróci do domu od tamtej nocy, gdy szukała go w mieście, na komisariatach i w *cheka*. Tak, żeby poczucie nierzeczywistości wobec wszystkich trwałych strat nie mogło zawładnąć jej wyobraźnią. A może i dlatego, by nie zostawić tej fotografii w archiwach śmierci podległych administracji, bo to by było niczym zostawienie zwłok na ulicy – nigdy się nie dowiedziała, gdzie spoczęły – niczym odmówienie im pochówku. Dobrze też rozumiem, dlaczego nie zniszczyła zdjęcia później, mimo że – jestem przekonany – nigdy więcej nie spojrzała na nie, zawinęła je w tę czerwono-czarną szmatkę, by uniknąć ryzyka, jakby materiał przestrzegał: „Pamiętaj, że jestem tu. Pamiętaj, że nadal jestem i dlatego na pewno byłem. Pamiętaj, że mogłabyś na mnie spojrzeć i że mnie widziałaś”. Niemal na pewno nikomu nie pokazała tej fotografii, nie sądzę, by to zrobiła. Z pewnością nie pokazała jej swoim rodzicom, swojej delikatnej bojaźliwej matce przytłoczonej dużą gromadką dzieci i ciągłymi wymaganiami męża, który chciał tak bardzo mieć ją tylko dla siebie, że niemal była jego więźniem; nie pokazała swemu tyleż sympatycznemu co autorytarnemu ojcu,



z pochodzenia Francuzowi, za którego przyczyną moje prawdziwe imię nie brzmi Jacobo ani Jaime, ani Santiago, ani Diego, ani Yago – wszystkie są tym samym imieniem – lecz Jacques, choć tylko matka zwracała się tak do mnie za życia, pomijając paryskich przyjaciół, jeżeli o nikim nie zapomniałem. Nie, rodzicom nie pokazałaby tego zdjęcia, choć przypadł jej obowiązek zawiadomienia ich i zdania relacji ze swego znaleziska, nie pokazałaby też braciom i siostram, wszystkim młodszym od niej i bardzo wrażliwym, tylko najstarszy z braci, ten, który urodził się zaraz po niej, był twardszy, ukrywał się gdzieś w mieście, ciągle zmieniając miejsca pobytu w nadziei, że uda mu się w końcu schronić w ambasadzie jakiegoś neutralnego lub niezaangażowanego oficjalnie państwa. Mogła pokazać zdjęcie tylko memu ojcu, nieodłącznemu przyjacielowi, kto wie, czy wtedy już ukochanemu, a może to on znalazł zdjęcie na komisariacie i wstrząśnięty wyjął je z kartoteki, dusząc w gardle przekleństwo, w takiej sytuacji to on musiałby jej pokazać fotografię, choć była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Myślę, że towarzyszył matce całą noc i dzień podczas owej długiej, trwożnej i ostatecznie beznadziejnej wędrówki.

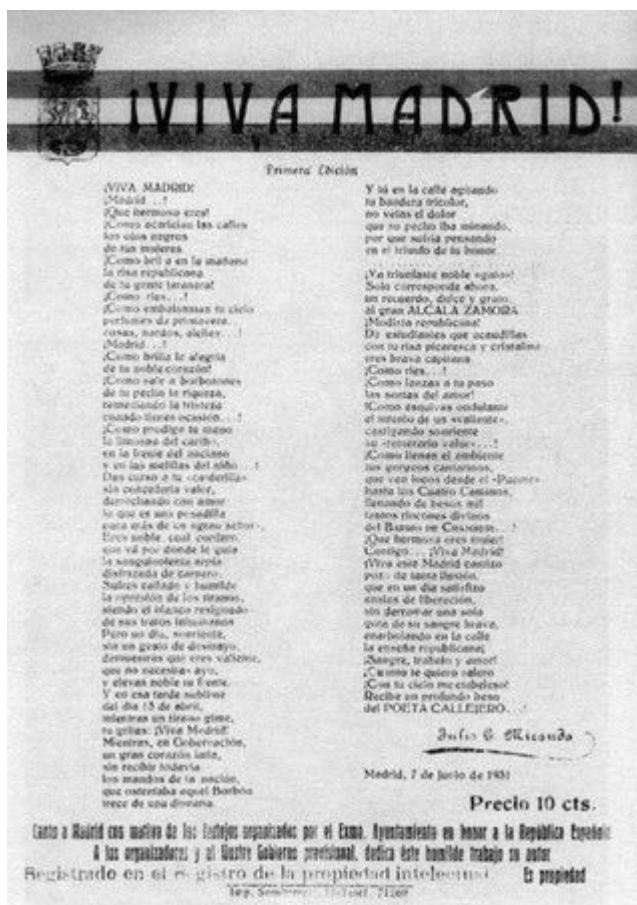
Chyba najgorsze na tej fotografii są numery i karteczki na szyi i piersi chłopca zabitego bez powodu, winy i sądu, tego chłopca, który był i nie był – albo byłby – moim wujem Alfonso. Numer 2, a niżej 3-20, nie wiadomo, co oznaczały te liczby, jakiej to wymyślonej naprędce klasyfikacji używano w przypadku bezimiennych i niepotrzebnych ofiar, tyle ich było przez te wszystkie lata, że do tej pory nikt nie potrafi ich zliczyć ani nazwać, tylu zabitych w całym kraju, na północy, południu, zachodzie i wschodzie. Ale nie, nie to jest najgorsze, jakże mogłoby być, skoro na młodej twarzy są ślady krwi, najwięcej na uchu, można przypuszczać, że stamtąd właśnie pociekła, ale jest też krew na nosie i na policzku, i na czole, i na zamkniętej lewej powiece, jakby się rozprysła, ta twarz niemal nie przypomina twarzy żywego chłopca z innej, nie zawiniętej w gałganek fotografii, chłopca

w krawacie. Najbardziej podobne są widoczne na obu fotografiach odrobinę wystające przednie zęby, także lewe ucho, u zmarłego zakrwawione, wydaje się takie samo jak u żywego. Ktoś opierał przyjaźnie dłoń na ramieniu żywego chłopca, kimkolwiek był (podwinął rękaw koszuli, jak ja porządkując gabinet), pochylił się, by zmieścić się w kadrze, ale mu się nie udało, może był to jeden z braci mojej matki Eleny i mego wuja Alfonso, żywy chłopak miał na fotografii chusteczkę w butonierce i włosy zaczesane do tyłu z przedziałkiem po lewej stronie, wedle ówczesnego zwyczaju, który przetrwał jeszcze do czasów mego dzieciństwa, ja też jako dziecko miałem przedziałek po tej samej stronie, gdy matka czesała mnie i moich dwóch braci na wodę, moją siostrę czesała także, ale o jej włosy, raz krótsze, innym razem dłuższe, bardziej dbała (może to swoją ręką, ręką siostrzaną, czesała też brata, gdy był młodszy). Zawiniętą fotografię – gdy już na nią spojrzałem i nie chciałem jej widzieć, a potem popatrzyłem troszeczkę, bardzo krótko, bo trudno patrzeć, a jeszcze trudniej powstrzymać się od patrzenia – ponownie zawinąłem w satynową szmatkę i schowałem; nigdy nie powinna była mi się pokazać i ja też nie powinienem pokazywać jej nikomu. Są takie obrazy, które zapadają w pamięć, choćby były tylko błyskiem, to właśnie przydarzyło mi się z tą fotografią, potrafiłem nawet narysować ją szczegółowo z pamięci i zrobiłem to nieoczekiwanie, uporządkowawszy biurko Wheelera, wszystko wróciło na swoje miejsce, tym sposobem oszczędzałem przykrego widoku Peterowi i pani Berry, gdy wejdą tu rano, z pewnością wcześniej niż ja: musiało być już strasznie późno, wolałem nie wiedzieć jak bardzo.

Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że ojciec miał po wojnie szczęście, bo wielu zwycięzców myślało wtedy tylko o odwecie, o przypadkach podobnych do tego, jaki przydarzył się memu wujowi, i o dużo gorszych, a także o dawnym strachu i dręczącej frustracji, o okazanej słabości lub uzyskanym współczuciu albo o czymś urojonym, albo nierzadko o niczym

– atmosfera bardzo sprzyjała zemście, uzurpacji, wyrównywaniu rachunków oraz realizacji najbardziej nieprawdopodobnych marzeń wysnutych z mściwości, zawiści i furii – a niektórzy, mądrzejsi, snuli w myślach szersze, dalekosiężne, nie tak impulsywne i bardziej abstrakcyjne plany, których konsekwencje, w przypadku wcielenia ich w życie, miały być równie krwawe: planowali całkowicie wyeliminować wroga, wyeliminować pokonanych, potem wyeliminować każdego, kto jest neutralny i nieokreślony, kto nie jest fanatykiem, każdego, kto nie jest entuzjastą, a wreszcie każdego umiarkowanego i niezdecydowanego, i niemrawego, w każdej zaś sytuacji wszystkich, którzy wydadzą się antypatyczni.





Wracałem zatem do pytań zadawanych ojcu, odczekawszy jakiś czas, starałem się przycisnąć go trochę bardziej, nigdy za bardzo, nie chciałem wpędzić go w zły humor ani w melancholię. Nie pamiętam, jak pojawiał się ten temat, ale zawsze pojawiał się sam z siebie, nigdy nie przychodziło mi do głowy, żeby go forsować. Powiedziałem na przykład do ojca:

„A w sprawie Del Reala naprawdę nic nie wiedziałeś czy tylko nie chciałeś nam tego opowiedzieć?”

Spojrzał na mnie niebieskimi oczyma, których po nim nie odziedziczyłem, ze zwyczajną dla niego zacnością – zacności też mi nie przekazał, a przynajmniej nie tak dużą – i odpowiedział:

„Nie wiedziałem. Wychodząc z więzienia, czułem już do niego takie obrzydzenie, że nie było sensu dowiadywać się więcej. Ani przez osoby trzecie, ani bezpośrednio”.

„Przecież tak naprawdę nic nie stało na przeszkodzie, żebyś go wtedy odnalazł albo zadzwonił do niego i powiedział: Co się dzieje? Odbiło ci? Dlaczego chcesz mnie zabić?”

„To by znaczyło, że przyznaję mu znaczenie, na które nie zasługiwał bez względu na to, jaki podałby mi powód, a najprawdopodobniej nie podałby żadnego, nawet by nie próbował, nie było warto. Zająłem się własnym życiem i starałem się o nim nie myśleć, nawet gdy dotyczyły mnie represje i dostałem za jego sprawą wilczy bilet, wykazał tu dużą inicjatywę. Wykasowałem go ze swego życia. To było najlepsze rozwiązanie, jestem przekonany. Nie tylko ze względu na mój stan ducha, także ze względów praktycznych. Nigdy więcej go nie spotkałem ani nie miałem z nim najmniejszego kontaktu, a kiedy wiele lat później, chyba w latach osiemdziesiątych, nawet dobrze nie pamiętam, dowiedziałem się, że umarł, nic nie poczułem, nie poświęciłem mu ani jednej myśli. W gruncie rzeczy dla mnie był już martwy od kilku dziesięcioleci, od dnia świętego Izydora w trzydziestym dziewiątym roku. Na pewno możesz to zrozumieć”.

„Tak, to akurat dobrze rozumiem”, odpowiedziałem. „Nie rozumiem jednak, nigdy nie rozumiałem, jak mogłeś niczego nie podejrzewać, nie dostrzec, co się święci, będąc z nim tak blisko przez tyle lat, przecież musiało to tkwić w jego charakterze. Ani nie rozumiem, dlaczego on to zrobił, dlaczego ludzie robią takie rzeczy, szczególnie że wcale nie muszą. Musiało się coś między wami wydarzyć, musiały być jakieś pretensje, jakaś sprzeczka, nie wiem, może zalecaliście się do tej samej kobiety, czy ja wiem, może nieświadomie go czymś uraziłeś albo nawet nie uraziłeś, ale on poczuł się urażony. Jestem pewien, że się nad tym zastanawiałeś, rozmyślałeś o tym wielokrotnie, wracałeś myślą wstecz. Nie wierzę, że tego nie robiłeś, przynajmniej w więzieniu, przecież nie wiedziałeś, co cię czeka. Potem... tak, potem wierzę, że nie, że nie zastanawiałeś się więcej nad tym. W to łatwo mi uwierzyć”.

„Nie wiem”, odpowiedział ojciec i przyjrzał mi się z zainteresowaniem, niemal z ciekawością, jakby po części z szacunkiem odwzajemniał zainteresowanie i ciekawość, jakie ja okazywałem jemu. Przyglądał mi się tak czasem, jakby starał się lepiej zrozumieć mężczyznę, którym się stałem, tak różniącego się od niego, jakby usiłował rozpoznać we mnie siebie mimo tych bardziej oczywistych i trochę powierzchownych różnic, niekiedy miałem wrażenie, że mu się to udawało, że rozpoznawał mnie, by tak rzec, „między wierszami”. Po przerwie dodał: „Przypominasz sobie Lissarrague? Zachował się nadzwyczajnie, nieraz wam o tym opowiadałem”. I nim zdążyłem przytaknąć, że pamiętam doskonale, wracał do tej historii (lubił ją wspominać i opowiadać): „To co zeznał, miało decydujące znaczenie. Jego ojciec, wojskowy, został zamordowany, a on sam był związany z Falangą, tak więc z jednego i drugiego powodu cieszył się wtedy poważaniem wśród frankistów. Ludzie, którzy mnie zadenuncjowali, zapytali go, czy znana mu jest moja działalność w czasie wojny, a gdy odpowiedział twierdząco, wezwali go na świadka oskarżenia. Jednakże na sali sądowej nie tylko nie potwierdził żadnego z fałszywych oskarżeń pod moim adresem, lecz na dodatek wypowiedział się bardzo pochlebnie na mój temat. Prokurator w randze kapitana zdenerwował się i zdumiony takim zeznaniem, wypalił: «Chyba pan zapomniał, że został tu wezwany jako świadek oskarżenia?». A Lissarrague na to: «A ja myślałem, że zostałem wezwany, żeby powiedzieć prawdę». Zdumiony takimi zeznaniami sędzia zapytał go wówczas, skąd się wzięły bardzo poważne zarzuty pod moim adresem. A Lissarrague odpowiedział z pełnym przekonaniem i bez chwili namysłu: „«Z zawiści». Widzisz, on i inni tak to rozumieli i więcej się nad tym nie zastanawiali. Ja natomiast nie jestem pewien, czy powód był taki prosty”.

„Dobra nasza”, powiedziałem od razu. „Oto kolejny argument przemawiający za tym, żebyś się zastanowił, prawda? Przecież nie

wystarcza ci najprostsze wytłumaczenie, takie, które przyjmowali wszyscy inni”.

„Nie, nie wystarcza mi”, odparł ojciec z lekką nutą intelektualnej wyższości. „To jednak wcale nie oznacza, że natrafiłem na wyjaśnienie bardziej złożone ani że byłem nim na tyle zainteresowany, by poświęcić czas na jego szukanie albo ponownie nawiązać kontakt z tamtym człowiekiem, nie miałem zamiaru go rozliczać. Motywy, jakimi się kierują niektórzy ludzie, nie są warte naszego oburzenia, choćby popchnęły owych ludzi do popełnienia straszliwych czynów albo właśnie z tego powodu. Wiem, to zupełnie się nie zgadza z panującą teraz tendencją. Dzisiaj każdy jest ciekaw, co sprawia, że seryjny morderca albo masowy zbrodniarz zabija kolejny raz, gwałciciel stara się dodać kolejną ofiarę do swojej kolekcji, terrorysta za nic ma ludzkie życie i usiłuje zabić jak najwięcej ludzi w imię jakiejś prymitywnej sprawy, tyran tyranizuje bez końca, a zadający tortury torturuje bez zahamowań, czy to w imię biurokracji, czy z sadyzmu. Panuje jakaś obsesja, żeby rozumieć to co wstrętne, naprawdę to jakaś niezdrowa fascynacja, wyświadcza się tym ogromną przysługę wszystkim abominalnemu typom. Nie podzielam tej nieskończonej ciekawości dzisiejszych czasów w stosunku do czegoś, co nie ma żadnego usprawiedliwienia, choćby wynajdywać tysiące różnych przyczyn, psychologicznych, socjologicznych, biograficznych, religijnych, historycznych, kulturalnych, patriotycznych, politycznych, charakterologicznych, ekonomicznych, antropologicznych, wszystko jedno. Nie mogę marnować mego czasu na zajmowanie się tym co złe i szkodliwe, w najlepszym razie tylko średnio ciekawe, a często zupełnie nieciekawe, zapewniam cię, niejedno w życiu widziałem. Zło jest na ogół zwyczajne, aczkolwiek czasami nie tak zwyczajne, jeżeli potrafisz dostrzec tę subtelną różnicę. Bywa, że dociekając takich rzeczy, sam się ubrudzisz albo zarazisz, nie otrzymując w zamian nic wartościowego. Ludzie znajdują dziś

upodobanie w wystawianiu się na działanie tego co najniższe i najbardziej niegodziwe, co potworne i zboczone, bo chcą zyskać wgląd w to, co jest poniżej ludzkiej kondycji i godności, albo się o to otrzeć, jakby miało to w sobie jakiś czar, wdzięk bądź większe znaczenie niż sto tysięcy konfliktów, które napierają na nas zewsząd, nie popadając w takie ekstrema. Jest w tym także jakiś element pychy, jeszcze jeden: nurzamy się w anomalii, w ohydzie i małostkowości, jakbyśmy sami reprezentowali sobą jakąś godną szacunku, wielkoduszną i prawą normę, a odstępstwa od niej były zaledwie mikroskopijne: jakby zła wiara i zdrada, nieżyczliwość i wola wyrządzenia krzywdy nie były tej normy częścią, jakby były czymś wyjątkowym i zasługiwały tym samym na naszą najwyższą troskę i uwagę. A to nieprawda. Wszystko to jest normą i nie kryje się za tym żadna tajemnica, nie bardziej niż za dobrą wiarą. Ale dzisiejsze czasy zajmują się głupstwem, oczywistością i tym co powierzchowne, i tak to się toczy. Powinno być raczej na odwrót: zdarzają się tak odrażające, tak nikczemne uczynki, że sam fakt ich popełnienia powinien wykluczać wszelkie zainteresowanie sprawcami tych uczynków, a nie stwarzać, wzbudzać takie zainteresowanie, jak to idiotycznie dzieje się dzisiaj. Tak właśnie było w moim przypadku, mimo że to był mój przypadek, moje życie. Ów dawny przyjaciel zachował się wobec mnie w sposób tak dalece niesprawiedliwiony, było to tak niedopuszczalne i poważne ze względu na naszą przyjaźń, że w jednej chwili straciłem całe zainteresowanie jego osobą: jego teraźniejszością, przyszłością, a także przeszłością, chociaż sam byłem częścią tej przeszłości. Nie potrzebowałem już wiedzieć nic więcej ani nie miałem na to ochoty”.

Zamilkł i znowu przyjrzał mi się uważnie i wyczekująco, jakbym nie był jednym z jego dzieci, lecz dużo młodszym przyjacielem, nowym przyjacielem, który odwiedził go tego ranka w jego jasnym gościnnym



domu w Madrycie. I jakby mógł się po mnie spodziewać jakiejś oryginalnej reakcji na swoje słowa.

„Jesteś lepszy ode mnie”, taki był mój komentarz. „A jeśli nie chodzi tu o bycie lepszym albo gorszym, to jesteś pewnie bardziej przebiegły i bardziej wolny. Nie dam głowy, ale sądzę, że ja szukałbym zemsty: po śmierci Franco, sam nie wiem, wtedy, kiedy byłoby to możliwe”.

Wtedy ojciec się roześmiał i zrobił to po ojcowsku, mniej więcej tak jak w czasach mego dzieciństwa, gdy mnie i rodzeństwu zdarzało się palnąć coś głupiego albo niestosownego przy gościach.

„Możliwe”, powiedział, „ty masz skłonność do fiksowania się na sprawach, Jacobo, trudno ci się z niektórych wyplątać, nie zawsze potrafisz zostawić je za sobą. To jednak oznacza przede wszystkim, że wciąż czujesz się bardzo młody. Ciągłe jeszcze wierzysz, że masz przed sobą wiele czasu, tak wiele, że możesz go trwonić. Może trudno ci to zrozumieć, ale wszelka próba wzięcia na nim odwetu byłaby tylko dodatkową stratą czasu z jego powodu, wystarczyły mi w zupełności miesiące spędzone w więzieniu. Poza tym byłyby to dla niego rodzaj usprawiedliwienia *a posteriori*, pretekst, anachroniczny powód jego działania. Miej na względzie, że w kontekście całego życia chronologia traci z czasem znaczenie, nie pamięta się, co było wcześniej, a co później, co przyczyną, a co skutkiem, nie rozróżnia się decyzji od jej następstw. Mógłby sobie pomyśleć, że koniec końców to ja mu wyrządziłem jakąś krzywdę, nieistotne kiedy, i ze spokojniejszym sumieniem położyć się do grobu. A tak się nie stało, tak nie było. Nigdy nie wyrządziłem mu krzywdy, nigdy nic mu nie zrobiłem, ani wcześniej, ani później, ani oczywiście wówczas. I może tego właśnie nie mógł znieść, może to go uwierało. Niektórzy ludzie nie wybaczą przyzwoitego zachowania, lojalności, stawania w ich obronie albo przyjscia im z pomocą, nie wspominając już o wyświadczeniu przysługi albo wyciągnięciu z jakiegoś kłopotu, to może być wyrok skazujący dla dobroczyńcy, założę

się, że i ty znasz takie przypadki. To tak jakby tacy ludzie czuli się upokorzeni przez okazywane im uczucie i dobre chęci albo jakby myśleli, że to im uwłacza, albo jakby nie znosili myśli, że są coś komuś winni bądź zobowiązani do wdzięczności, nie wiem. Jasne, że tacy ludzie nie chcieliby też czegoś przeciwnego, uchowaj Boże, są bardzo niepewni siebie. Tym bardziej nie wybaczyliby, gdyby ktoś ich źle potraktował, był wobec nich niełojalny, odmówił wyświadczenia przysługi i pozostawił własnemu losowi. Niektórzy ludzie okazują się po prostu niemożliwi, można się tylko od nich odsunąć i trzymać się z daleka, nie pozwalając im się zbliżyć ani na dobre, ani na złe, nie stwarzać im żadnych nadziei, nie istnieć dla takich ludzi nawet po to, żeby ich zwalczać. Rzecz jasna, to jest *desideratum*. Niestety, nie można stać się niewidzialnym na zawołanie ani wedle wyboru. Ale słuchaj, kiedy siedziałem w więzieniu, odwiedziła mnie (tkwiła między nami metalowa krata) nasza przyjaciółka Margarita. Była tak oburzona enuncjacjami naszego wspólnego znajomego donosiciela, zasłyszany mi tu i tam, że swoją zapalczywością zwróciła na siebie uwagę funkcjonariuszy więziennych. Zapytali ją, o kim tak rozprawia, pewnie się obawiali, że o samiuteńkim Franco. Ona wypaliła im prawdę bez ogródek, miała duży temperament, a oni kazali jej wtedy iść ze sobą do domu zdrajcy, żeby się przekonać, czy mówi prawdę. W domu była matka, Margarita dobrze ją znała (wszyscy ją znaliśmy, przyjaźniliśmy się przecież blisko i od dawna), więc skorzystała z okazji i starała się ją przekonać, by przemówiła synowi do rozumu, żeby wycofał swoje niezrozumiałe i niesprawiedliwe oskarżenia. Starsza pani, która bardzo lubiła Margaritę, słuchała jej ze zdumieniem i przykrością. W końcu jednak matczyna wiara przeważała i kobieta powiedziała: «Ojczyzna to ojczyzna», tylko to jej przyszło do głowy na usprawiedliwienie syna. A Margarita jej na to: «Tak, a kłamstwa to kłamstwa»”.

Ojciec znowu zamilkł, tym razem jednak na mnie nie spojrzął, skierował wzrok na oparcie fotela. Nagle wydał mi się zmęczony, a może zajęty myślą o czymś niezwiązanym z naszą rozmową. Nie byłem pewien, czy zanurzył się we wspomnieniach i zaraz zechce coś jeszcze dodać, czy też nie mógł jeszcze powiązać ostatniej opowieści z tym, o czym mówiliśmy wcześniej, i zakończyć jakąś konkluzją. Pomyślałem, że już się nie dowiem, bo do domu przyszła moja siostra (ojciec mógł usłyszeć wjeżdżającą windę) i weszła do salonu, słysząc, jak sądzę, zacytowane przez ojca zdanie Margarity, bo od razu zapytała nas radośnie, z naganą w głosie:

„Proszę, proszę, a co wy tu knujecie?”

Odpowiedziałem:

„Nic takiego, mówiliśmy o przeszłości”.

„O jakiej przeszłości? Byłam już na świecie?”

Ojciec ożywiał się zawsze w obecności mojej siostry, chociaż była mniej podobna do matki niż ja. A właściwie nie: przypominała ją bardziej, bo była kobietą, jakkolwiek to moje, męskie rysy twarzy niepokojąco wiernie oddawały twarz matki. Ojciec odpowiedział jej z ciepłym, nieco ironicznym uśmiechem, harmonijne połączenie, jak miał w zwyczaju:

„Nie, nie było cię jeszcze na świecie, nie istniałaś nawet w embrionalnej fazie zamiaru takiej przypadkowej możliwości”. A potem zwrócił się do mnie, żeby skończyć poprzednią kwestię: „Kłamstwa to kłamstwa i tyle. Tak naprawdę nie ma tu nic więcej do dodania ani nie warto tracić więcej czasu na takie sprawy”.

„Tak, kiedy już się z nich wyszło obronną ręką. To znaczy mniej więcej bez szwanku”, powiedziałem.

„Tak, oczywiście, kiedy już masz je za sobą, wszystko jedno, czy wyszedłeś z nich bez szwanku czy poturbowany, uspokajasz się. Gdybym nie wyszedł z tego obronną ręką, ty i ja nie rozmawialibyśmy dzisiaj, a tym bardziej nie rozmawiałaby z nami ta młoda osoba”.

„Co to za tajemnice?”

Tak odezwała się wówczas moja siostra, dobrze pamiętam, przypominałem sobie to wszystko, kiedy odstawiwszy na miejsce w sąsiednim pokoju egzemplarz „From Russia with Love” z odręczną dedykacją, kładłem się w końcu do słynnego łóżka przygotowanego mi wiele godzin wcześniej przez panią Berry. Miałem wrażenie, że niemal wszystko zostawiłem w porządku, wytarłem nawet dziwną, nie przeze mnie zrobioną ani nie przeze mnie spowodowaną plamę krwi, którą teraz, zmęczony i nietrzeźwy, zaczynałem postrzegać jako nierzeczywistą, wymyśloną, właśnie tak jak przewidziałem wcześniej, nim ją wytarłem, ścierając do czysta obrzeże i ostatni najmniejszy ślad. A może ta plama wzięła się z moich lektur. Niepostrzeżenie wiele przeczytałem tej nocy o dniach, które w moim kraju spłynęły krwią. O krwi Nina, krwi mego wuja nie-wuja, krwi tylu bezimiennych ofiar lub ludzi zmuszonych do wyzbycia się swego imienia i wyjazdu z kraju. I o nieudanej próbie przelania krwi mego ojca (krwi mojej krwi, która się nie polała, nie zbryzgała mnie). „Ojczyzna to ojczyzna”, biedna, schwytana w potrzask matka zdrajcy. Niemożliwe do rozwikłania zdanie, pozbawione znaczenia jak wszystkie tautologie, puste słowo, elementarne pojęcie – ojczyzna, fanatyczne użycie. Nie można ufać tym, którzy go używali lub używają, skąd jednak wiedzieć, w jakim znaczeniu używa słowa „*country*” ktoś mówiący po angielsku, gdzie niemal zawsze słowo to oznacza „kraj”, a tylko czasem „wieś”, co po hiszpańsku jest całkowicie nieszkodliwe? Z wysokości pierwszego piętra jeszcze wyraźniej słyszałem szmer rzeki, spokojny i niespieszny lub obojętny i ospały, coraz głośniejszy, a może taki się zdawał w tej części domu, gdzie leżałem teraz wyciągnięty w końcu w łóżku. Niebo już jaśniało albo takie miałem wrażenie, zmiana była ledwie dostrzegalna, wzrok mógł mnie mylić. Jednakże w Anglii trudno nie odnosić tego wrażenia nawet w środku nocy i w godzinie, która po łacinie nazywała się *conticinio* (język

hiszpański zapomniał już o tym słowie), a to z powodu dziwnego obyczaju angielskiego, którego nigdy nie zaakceptowałem, by spać, nie spuściwszy żaluzji, tam w ogóle nie ma żaluzji, nie montują ich, nawet nie zawsze mają story czy zasłony, często tylko przezroczyste firanki, które nie dają ochrony, nie zasłaniają, nie uspokajają, jakby mieszkańcy tej wielkiej wyspy – na której spędziłem więcej czasu, niż to wskazane, jeżeli zsumować wszystkie przed i po, teraz i przedwczoraj, więcej, niż mogłem przewidzieć – musieli sypiać z jednym okiem otwartym. „A kłamstwa to kłamstwa”, kolejna tautologia bez znaczenia, choć tym razem słowo nie jest puste, ani pojęcie elementarne, ani jego użycie fanatyczne, lecz uniwersalne, swobodne, rutynowe, stałe, niekiedy prawie machinalne i przypadkowe, a im bardziej machinalne i przypadkowe, tym trudniej je rozpoznać, odróżnić, a im prawdziwsze jest kłamstwo, bo przecież kłamstwa zawierają w sobie prawdę, tym bardziej jesteśmy bezbronni. „Kłamstwa to kłamstwa, ale we wszystko można uwierzyć w odpowiednim czasie”. Jakbym ja teraz uwierzył rzece, rozumiejąc jej szmer, i – wierząc, że go rozumiem – powtarzał za nim w chwili zasypiania z jednym okiem otwartym, jak to jest przyjęte w tym kraju będącym dla niektórych ojczyzną, powtarzał powoli i omdlewająco z tym otwartym zarażonym przeze mnie okiem i nieistniejącą jasnością nieba: „Jestem rzeką, jestem rzeką, nicią łączącą żywych i umarłych, jak bajki opowiadane nam wieczorem, upodabnam się do minionych czasów i także do minionych zdarzeń, jestem rzeką. Ale rzeka to rzeka. I nic więcej”.

## **II**

# **Włócznia**

Nigdy do końca nie wiadomo, kiedy zdobywa się czyjeś zaufanie, a tym bardziej nie wiadomo, kiedy się je traci. To znaczy zaufanie kogoś, kto nigdy by na ten temat z tobą nie rozmawiał, nie protestowałby po przyjacielsku, nie robiłby ci wyrzutów ani nigdy nie użyłby takich słów, jak nieufność, przyjaźń, wrogość, zaufanie – a jeśli już, to tylko żartem lub mimochodem, jako echa lub jako cytaty z czasów dawno minionych, które zawsze wydają nam się takie niewinne, również dzień dzisiejszy wyda się taki jutro wszystkim, którzy pragną, by jutro nadeszło, i tylko tacy, którzy dobrze o tym wiedzą, oszczędzają sobie łomotania serca i zadyszki i nie wystawiają na szwank swego układu krążenia. Trudno się jednak zgodzić na coś takiego bądź to przewidzieć, dlatego też serca ciągle łomoczą, usta nadal zasychają i z trudem łapią powietrze, nogi drżą, jakże ja mogłem albo jak mogę – mówią sobie w duchu ludzie – być taki głupi, taki mądry, taki przemądrzały, taki ufny, taki ciamajdowaty, taki sceptyczny. Czy człowiek ufny nie jest siłą rzeczy bardziej naiwny niż człowiek podejrzliwy? Czyż nie jest mniej naiwny cynik niż ktoś bezwarunkowo lojalny, kto oddaje się w nasze ręce i już kładzie szyję pod topór w oczekiwaniu na pierwsze lub ostatnie cięcie, albo wystawia pierś, byśmy mogli w niej zanurzyć ostrze naszej włóczni? Nawet ci najbardziej nieufni i przebiegli, i podstępni okazują się trochę naiwni, gdy są już wyrzuceni poza czas, gdy już przeminęli i wszyscy znają ich historię (jest przekazywana z ust do ust i takim sposobem się tworzy). Może o to właśnie chodzi, o koniec i o wiedzę o tym, jaki ktoś był, co się wydarzyło i na czym stało, kto dał się zaskoczyć, a kto stał się przyczyną zawodu, kto zyskał, kto stracił, kto wyszedł na czysto, kto się nie angażował, więc nie ponosił żadnego ryzyka,

kto – mimo wszystko – okazał się przegranym, bo porwał go ze sobą rwący nurt szerokiej rzeki, gdzie zawsze pełno oszustów, jest ich tylu, że zawsze pociągają za sobą wszystkich pasażerów, nawet tych najbardziej biernych, najbardziej obojętnych, tych, których stosunek jest pogardliwy lub potępiający, tych sprzeciwiających się i tych najbardziej niechętnych, a także mieszkańców obu brzegów rzeki. Nie wydaje się możliwe, żeby dało się trzymać na uboczu, na skraju, zamknąć się w domu i o niczym nie wiedzieć ani niczego nie chcieć – nie chcieć nawet chcieć, to na niewiele się zdaje – nie zaglądać do skrzynki pocztowej ani nigdy nie odbierać telefonu, nie otwierać drzwi, choćby ktoś się bardzo dobijał i choćby miało się wrażenie, że zaraz wyważy drzwi, i nie wydaje się możliwe, by dało się udawać, że nikogo nie ma w domu albo że ktoś, kto mieszkał tu wcześniej, umarł i nie słyszy, być niewidzialnym na zawołanie i kiedy się chce, nie jest możliwe zachowywać milczenie i wstrzymywać ciągle oddech, kiedy jest się żywym, to nie jest nawet do końca możliwe, gdy ma się przeświadczenie, że już nie zamieszkuje się na ziemi i że odrzuciło się nawet własne imię. To po prostu nie jest takie łatwe, nie tak łatwo wszystko wymazać i wymazać samego siebie, żeby nie został najmniejszy ślad, nawet ostatnia krzywizna albo ostatni obrys, nie jest łatwo być niczym plama krwi, którą się zmywa i wyciera, i likwiduje, a wtedy... wtedy pojawiają się wątpliwości, czy kiedykolwiek istniała. Każda pozostałość skrywa w sobie cień jakiejś historii, możliwe, że niekompletnej lub bez wątpienia niekompletnej, pełnej luk, fantasmagorycznej, zagadkowej, trupiej lub cząstkowej, jak kawałki płyt kamiennych albo potrzaskane tympanony z nieczytelnymi inskrypcjami, i czasem nie sposób się nawet dowiedzieć, jak ta historia naprawdę się skończyła, jak w przypadku Nina i mego wuja Alfonso, i jego młodej koleżanki z kulą w głowie i całkiem bezimiennej, i jak w przypadku tylu innych, o których nie wiem i których nikt już nie liczy. Ale czym innym jest forma, a czym innym sam koniec, który zawsze



jest znany: tak samo jak czym innym jest czas, a czym innym jego treść, zawsze niepowtarzalna, nieskończenie zmienna, podczas gdy czas jest jednolity, niezmienny. I właśnie ten znany koniec pozwala nam zarzucać wszystkim naiwność i daremność wysiłków, mądrym i głupim, całkowicie oddanym i śliskim, i robiącym uniki, nieroztropnym, rozważnym, tym, którzy knuli spiski i zastawiali pułapki, ofiarom i katom, i uciekinierom, nieszkodliwym i nikczemnym, w naszym poczuciu fałszywej wyższości – czas położy jej kres, to właśnie czas, czas z niej uleczy – właściwej ludziom, którzy nie doszli jeszcze do swego końca i ciągle idą po omacku ślepi na jedno oko lub stąpają lekko z tarczą i włócznią albo wloką się noga za nogą z wgniecioną tarczą i włócznią o stępionym ostrzu, nawet nie zdajemy sobie sprawy, że wkrótce już będziemy z nimi, z tymi wyrzuconymi poza czas albo z tymi, którzy przeminęli i wtedy... wtedy nawet naszym najostrzejszym, najbardziej pełnym współczucia ocenom zarzuci się, że są daremne i naiwne, dlaczego to zrobiła, powiedzą o tobie, po co tyle zamieszania i przyspieszony puls, po co ten strach i łomotanie serca; a o mnie powiedzą: dlaczego mówił lub nie mówił, dlaczego czekał tak długo i wiernie, po co to zawracanie głowy, tyle wątpliwości i taka męka, dlaczego poczynił te konkretne kroki i dlaczego aż tyle? A o nas obojgu powiedzą: skąd ten cały konflikt i walka, dlaczego walczyli, zamiast po prostu spokojnie patrzeć, dlaczego nie potrafili się spotkać albo nadal się widywać i na co było tyle snów, i marzeń, i tamto zadraśnięcie, mój ból, moje słowo, twoja gorączka i tyle wątpliwości, i tyle męki?

Tak jest i tak będzie zawsze, zasugerował mi przy jakiejś okazji Tupra, a Wheeler powiedział to już wyraźnie nazajutrz rano i potem, w trakcie obiadu. Jeśli Tupra nie powiedział tego równie wyraźnie, to niewątpliwie dlatego, że nigdy by na ten temat nie rozmawiał ani nie użyłby słów takich, jak „nieufność”, „przyjaźń”, „wrogość”, „zaufanie”, albo nie użyłby ich na poważnie, nie w odniesieniu do siebie, jakby żadne z nich nie miało do niego zastosowania, nie dotyczyło go ani nie mieściło się w obrębie jego doświadczenia. „Taki jest świat”, mawiał niekiedy, jakby naprawdę tylko tyle można powiedzieć na ten temat, a cała reszta była tylko dekoracją lub niepotrzebną udręką. Nie oczekiwał niczego, tak myślę, na pewno nie oczekiwał lojalności, ale i nie oczekiwał zdrady, a jeżeli spotykał się z jednym i z drugim, nie sprawiał wrażenia zdumionego ani nie podejmował żadnych innych działań ponad te wskazane z praktycznego punktu widzenia. Nie oczekiwał też uznania ani ciepłych uczuć, ani niezyczliwości albo niechęci, chociaż dobrze wiedział, że świat pełen jest takich emocji, że ludzie często nie mogą ich uniknąć i wcale tego nie chcą, ponieważ emocje są im niezbędne niczym knot i paliwo ich własnego spalania, są siłą napędową i zapłonem. Ludzie wcale nie potrzebują powodu ani celu, nie dociekają intencji ani przyczyny, nie kierują się wdzięcznością ani urazą albo nie zawsze tego potrzebują czy też, jak dosadniej powiedział Wheeler: „Wszystkie te uczucia są jakby uśpione i jest tylko kwestią czasu, pokusy i okoliczności, by nimi zawładnęły”.

Nigdy się zatem nie dowiedziałem, czy kiedykolwiek zaskarbiłem sobie zaufanie Tupry ani czy je utraciłem, a jeśli tak, to kiedy, nie wydarzyło się chyba nic, co mogłoby wywołać jedno albo drugie, a może nie sposób było określić tego zwrotami takimi, jak „zaskarbić sobie coś” albo „coś utracić”.

On o tym nie mówił, w gruncie rzeczy na prawie żaden temat nie wypowiadał się jasno i bezpośrednio, gdyby zatem Wheeler nie udzielił mi wstępnych wyjaśnień tamtej niedzieli w Oksfordzie, możliwe, że nigdy bym się ani nie dowiedział niczego konkretnego o moich zadaniach, ani nawet bym się nie domyślił ich znaczenia bądź celu. Co nie znaczy, że kiedykolwiek się dowiedziałem albo w pełni zrozumiałem: co robiono ze sporządzanymi przeze mnie opiniami, moimi raportami czy spisanyymi odczuciami, dla kogo były ostatecznie przeznaczone czy też czemu dokładnie miały służyć, jakie powodowały konsekwencje, jeśli w ogóle jakieś powodowały, a może wprost przeciwnie, może należały do takich zadań i czynności, które w pewnych organach i instytucjach wykonuje się siłą inercji, bo tak się robiło od dawna, chociaż nikt nie pamięta po co ani się nie zastanawia, czy warto je kontynuować. Czasem myślałem, że moje raporty tylko przechowywano w archiwum, ot tak, na wszelki wypadek. Cóż za dziwna formuła, a jednak wszystko tłumaczy: na wszelki wypadek. Nawet największe absurdy. Dawniej – teraz już to chyba zniesiono – kiedy wjeżdżało się do Stanów Zjednoczonych, każdego podróżnego pytano na granicy, czy ma zamiar dokonać zamachu na prezydenta tego kraju. Łatwo sobie wyobrazić, że nikt nigdy nie odpowiedział twierdząco (składało się takie oświadczenie pod przysięgą), chyba że dla żartu, ale żart zazwyczaj się nie opłacał na tej granicy pozbawionej poczucia humoru, a już na pewno na tak postawione pytanie nie odpowiedziałby twierdząco hipotetyczny zabójca albo inny szakal przybywający w takim właśnie celu lub z taką misją. Niedorzeczne to pytanie zadawano, jak się wydaje, z takiego oto powodu, że gdyby jakiemuś cudzoziemcowi przyszło do głowy targnąć się na Eisenhowera albo Kennedy’ego, Lyndona Johnsona albo Nixona, oskarżono by go dodatkowo o krzywoprzysięstwo, czyli zadawano to pytanie ze złymi intencjami i na wszelki wypadek. Nigdy jednak nie zdołałem zrozumieć, dlaczego owa dodatkowa okoliczność obciążająca

miała być taka ważna w przypadku kogoś oskarżonego o stuknięcie lub usiłowanie stuknięcia najwyższej rangą osobistości w państwie, trudno bowiem o cięższe przestępstwo. Tak właśnie bywa w sprawach wymyślonych na wszelki wypadek. Zakłada się, że może się wydarzyć coś zupełnie niewiarygodnego albo nieprawdopodobnego i odpowiednio do tego się postępuje, niemal zawsze niepotrzebnie, bo to coś prawie nigdy się nie zdarza. Podejmuje się bezowocne albo pozorne działania, które nigdy do niczego nie posłużą ani na nic się nie przydadzą, działania oparte na ewentualnościach, wyobrażeniach i hipotezach, na niczym albo na czymś nieistniejącym, co się nie zdarzy ani wcześniej nie zdarzyło. To jest właśnie działanie na wszelki wypadek.

Początkowo zostałem wezwany trzy razy na przestrzeni raptem dziesięciu dni, żeby służyć za tłumacza, mimo że dysponowali z pewnością kim innym, kogo wynajmowali na godziny, albo mogli skorzystać z kogoś zatrudnionego u siebie na pół etatu, na przykład z Pérez Nuix, młodej kobiety, którą poznałem trochę później. Za pierwszym i za drugim razem prawie na nic się nie przydałem, bo dwaj Chilijczycy i trzech Meksykanie, z którymi Tupra i jego podwładny Mulryan wybrali się na szybki lunch – cała piątka to byli nudziarze, omawiali jakieś nudne sprawy, ni to dyplomatyczne, ni to prawne, ni to parlamentarne – mieli praktyczną znajomość angielskiego na akceptowalnym poziomie, a moja obecność w restauracji posłużyła tylko do tego, by rozstrzygnąć jakieś wątpliwości dotyczące słownictwa i by wstępne ustalenia, do jakich chyba doszli, były jasne dla obu stron i nie stwarzały możliwości późniejszych nieporozumień, zamierzonych i nie. Tak naprawdę potrzebny byłem do sporządzenia notatki streszczającej spotkania. Niewiele zrozumiałem z tych rozmów, często mi się to zdarza, gdy kompletnie mnie nie ciekawi to, co wpada mi do ucha. Chcę przez to powiedzieć, że rozumiałem oczywiście wszystkie słowa oraz

zdania, mogłem je bez kłopotu przetłumaczyć, odtworzyć i przekazać, ale nie rozumiałem omawianych spraw ani ich kontekstu, nie obchodziły mnie.

Za trzecim razem było dziwniej i ciekawiej, zapracowałem też uczciwiej na swoje wynagrodzenie. Zostałem wezwany do gabinetu Tupry i musiałem tłumaczyć rozmowę, która pod każdym względem wyglądała mi na przesłuchanie. Nie przesłuchanie aresztanta bądź więźnia, nawet nie podejrzanego, ale – można by rzec – kogoś, kto miał być wtyką, zdrajcą albo kapusiem, ale Tupra i Mulryan niezupełnie mu jeszcze ufali, obaj zadawali pytania (więcej Mulryan, Tupra się oszczędzał), ja te pytania tłumaczyłem na hiszpański owemu Wenezuelczykowi, wysokiemu postawnemu mężczyźnie w średnim wieku, ubranemu w cywilne ubranie, w którym czuł się trochę niewygodnie albo, powiedzmy, nieswojo, nienaturalnie, jakby pożyczył je od kogoś, miał tylko chwilowo albo dopiero co kupił, jakby czuł się niczym kiepski komediant i niepewnie bez munduru, do którego musiał być nawykły. Miał sztywny wąsik, szeroką spaloną słońcem twarz, ruchliwe brwi przedzielone jakby dwoma maźnięciami miedzianej farby, kawałkiem skóry tak maleńkim jak kępka włosów przeniesiona spod dolnej wargi na czoło, klatka piersiowa wysklepiała mu się doskonale, w sam raz jako miejsce prezentowania orderów, lecz trochę zanadto, by czuć się dobrze w białej koszuli z ciemnym krawatem i jasnej marynarce w kratkę (rzadko widywało się takie marynarki w Londynie, wyglądała na nim, jakby zaraz miała pęknąć, była ciasno zapięta na wszystkie trzy guziki na modłę bluzy wojskowej); mogłem go sobie bez trudu wyobrazić w wojskowej czapce południowoamerykańskiego oficera, prawdę mówiąc, poprzetykane siwizną czarne pazury włosów na czole domagały się na gwałt daszka z przyzwoitej lakierowanej skóry, żeby to on skupiał na sobie uwagę i przykrył zbyt niską, zaborczą linię owłosienia.

Pytania zadawane przy Mulryana oraz nieliczne pytania Tupry były uprzejme, ale bardzo szybkie i bardzo konkretne (obaj robili zawsze wrażenie nadzwyczaj konkretnych, również w poprzednich swoich rozmowach z chilijskimi i meksykańskimi prawnikami czy senatorami, czy dyplomatami, nie byli skłonni poświęcać więcej czasu, niż trzeba, widać było, że są biegli w negocjacjach, wyszkoleni, nie obchodzi ich, że mogą się wydać trochę opryskliwi, i zauważyłem, że tego samego oczekiwali ode mnie jako tłumacza, żebym dokładnie oddawał nie tylko słowa, ale także nagłący i kategoriyczny raczej ton, a gdy dwa razy zawahałem się, bo nie zawsze lubię obywać się bez wstępów i walić prosto z mostu, w obu przypadkach Mulryan zwrócił mi delikatnie, lecz niedwuznacznie uwagę, łącząc dwa palce w geście przynaglenia i dając do zrozumienia, żebym nie wymyślał własnych sformułowań. Wenezuelski wojak nie znał ani słowa po angielsku, słuchał jednak uważnie zarówno głosów zadających mu pytania Brytyjczyków, jak i mojego, umożliwiającego mu zrozumienie pytań, aczkolwiek to na mnie patrzył – choć byłem tylko posłańcem, do mnie się zwracał, udzielając odpowiedzi, bo zdawał sobie świetnie sprawę, że na początek tylko ja go rozumiałem. Jakkolwiek i w jego przypadku nie zorientowałem się bardziej w całości omawianych kwestii czy też nie rozumiałem w pełni kontekstu tych spraw, to byłem niewątpliwie bardziej zaintrygowany niż w trakcie dwóch pierwszych rozmów, naprawdę usypiających i o treści bardziej zawiłej dla laika. Przypominam sobie, że przetłumaczyłem temu przebranemu za cywila i zakłopotanemu wojskowemu pytania o siły, jakimi dysponuje on sam i jego ludzie, kimkolwiek byli, o pewną i prawdopodobną liczebność tych sił, i że on odpowiedział, że w Wenezueli nigdy nic nie jest pewne, że to co zwykle się uważa za pewne, zawsze jest tylko prawdopodobne, a to co zwykle się określać jako prawdopodobne, zawsze jest jedną wielką niewiadomą. Pamiętam, że tamta odpowiedź została przyjęta ze zniecierpliwieniem przez

Mulryana, który starał się być maksymalnie konkretny i precyzyjny, i sprowokowała jedno z wystąpień Tupry, bardziej chyba nawykłego do takich niejasności i wykrętów, zapewne z racji prawdopodobnych w jego przypadku wieloletnich pobytów za granicą i misji realizowanych w terenie, negocjacji z różnymi rebeliantami, tak w każdym razie myślałem, tak właśnie widziałem jego przeszłość od chwili, gdy po raz pierwszy spotkałem go u Wheelera. „Proszę mi wobec tego podać prawdopodobną liczebność tych sił”, tym prostym sposobem poradził sobie z ostrożnością przesłuchiwanego i irytacją Mulryana. Zapytał też o wsparcie logistyczne zagwarantowane „*from abroad*”, co przetłumaczyłem jako „z zagranicy”, ale dodałem: „z zewnątrz, obce”, żeby nie było wątpliwości. Wenezuelczyk zrozumiał to z pewnością tak samo jak ja, wiedząc, że taki eufemizm mógł się odnosić tylko do jednego konkretnego wsparcia – amerykańskiego. Odparł, że to zależy w dużej mierze od rezultatu i powodzenia pierwszej fazy operacji, że „ludzie z zewnątrz” zawsze czekają do ostatniej chwili, nim zaangażują się wyraźnie i wezmą udział „z bronią i taborami” w jakimkolwiek przedsięwzięciu, takiego użył wyrażenia, pewnie bardziej w znaczeniu dosłownym niż przenośnym. Wobec widocznej i narastającej irytacji Mulryana dodał, że „*el Ambásador*” – tak właśnie powiedział, z wymową hiszpańską, ale rzekomo po angielsku, rozwiewając wszelkie wątpliwości co do osoby, jaką miał na myśli – obiecał im natychmiastowe oficjalne uznanie, jeżeli opór będzie minimalny albo od razu zostanie „*emburbujado*” – „otorbiony” – nigdy nie słyszałem tego dziwaczного słowa po hiszpańsku, ale bez trudności uchwyciłem jego znaczenie. Uderzył mnie jego mało wojskowy charakter, bo takiego słowa użyłby raczej jakiś głupi złotousty polityk albo równie głupi dyrektor naczelny, współcześni odpowiednicy sprzedawców maści na porost włosów.

– A czy pana zdaniem jest możliwe, że oporu nie będzie albo ograniczy się do pojedynczych ognisk? – zapytał go Mulryan (przetłumaczyłem jako

„ogniska” absurdalne angielskie słowo „pockets”, „kieszenie”, tu wierne tłumaczenie nie tylko byłoby trudne, lecz dodatkowo ambarasujące). I dodał: – To nie wydaje się szczególnie realne, przywódca tak konfliktowy, uparty i tak w swoim czasie uwielbiany musi mieć jeszcze wielu bezwarunkowych zwolenników, czyż nie? A jeśli opór będzie duży, ludzie z zewnątrz nie kiwną palcem ani nikogo nie uznają, dopóki sytuacja się nie wyklaruje, a to może potrwać. Będą czekali, co się wydarzy, wyobrażam sobie, że to też państwu powiedzieli.

– Tak, możliwe, może tak powinniśmy rozumieć ich radę. Ale jeżeli nie tkniemy szefa, mam na myśli, że nie ucierpi fizycznie, to nie sądzę, żeby wiele osób zaryzykowało życie w obronie jego urzędu ani żeby zrobiło to wielu wenezuelskich obywateli. Na naszą korzyść działałoby to, że ogromna większość ma wszystkiego dosyć, a klasa polityczna poparłaby nas w całości, gdybyśmy tylko zarządzili szybkie wybory. To pewne.

– Chciał pan powiedzieć, że to prawdopodobne – wtrącił Tupra.

– Tak, bardzo prawdopodobne, istotnie – poprawił się wojskowy speszony i bez śladu uśmiechu na ustach, widać było, że jest bardzo skrępowany, napięty i w marnej formie, jakby czuł się winny albo wewnętrznie rozdarty.

Nie umknęło mojej uwagi, że podczas całego przesłuchania i Mulryan, i Tupra ani razu nie użyli formy wołacza, w żaden sposób nie nazwali owego marnie zakamuflowanego cywila, ani razu nie zwrócili się do niego per „panie taki a taki” czy tym bardziej „generale” albo „pułkowniku”, albo „majorze”, albo inaczej zgodnie z jakąkolwiek inną sprawowaną przezeń funkcją. Pomyślałem, że zależy im na tym, bym nie wiedział przynajmniej, z kim rozmawiają, skoro już wiedziałem o czym.

– Upewnijmy się, czy dobrze rozumiem jedną rzecz, która jest ważna, a nawet decydująca – ciągnął Tupra. – W żadnym razie nie zaatakują panowie fizycznie osoby przywódcy, czy tak? Chcą panowie tylko przejąć



urząd, zgodnie z pana słowami. On sam, jego integralność fizyczna nie jest w żadnym razie zagrożona. Czy dobrze pana zrozumiałem?

Mężczyzna dotknął krawatu, jakby zamierzał go rozluźnić, ale był to raczej bezwiedny gest świadczący o tym, że szuka jakiejś ulgi; poprawił się na fotelu, trochę wyciągnął przed siebie nogi, jakby nagle zauważył, że krzywo się układa kant spodni, i naprawdę wyprostował delikatnie nogawki, unosząc po kolei do góry jedną nogę i drugą, i zwróciło wówczas moją uwagę, że ma krótkie buty w ciemnozielonym kolorze, jakby z krokodylej skóry, nie wiem, może sztucznej, nie rozróżniam. Pomyślałem, że zastanawia się i stara zyskać na czasie, że nie jest pewien, co teraz powinien odpowiedzieć. Pomyślałem, że Tupra jest zręczniejszy niż Mulryan i dlatego się oszczędza, nie chce za wcześnie odkryć wszystkich kart, woli zawsze nadzorować z dystansu.

– To byłoby zbyt wielkie kuszenie złego, nie wiem, czy pan mnie rozumie. To byłoby niebezpieczne, mogłoby przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, rozpalic płomień, który nigdy nie powinien się pojawić, nawet wielkości płomienia zapałki. On nie może ucierpieć, wszyscy mamy tego świadomość, białe rękawiczki, proszę się nie martwić, jego nie wolno tknąć. Inaczej zachwiałoby to wsparciem, na jakie liczymy. Nie całym, oczywiście. Ale częściowo.

Przypominam sobie, że Tupra uśmiechnął się z udanym współczuciem i chwilę milczał, a Mulryan nie ośmielił się wrócić do zadawania pytań, dopóki nie zyskał pewności, że przełożony skończył. Dobrze zrobił, bo Tupra istotnie jeszcze nie skończył.

– W takim razie widzę, że są panowie mało zdeterminowani – powiedział. – A w takich przygodach brak determinacji równa się klęsce pewnej, nie prawdopodobnej. Podobnie jak brak nienawiści, powinien pan to wiedzieć, z książek albo z doświadczenia. Przynajmniej moje doświadczenie mi mówi, że trzeba być zawsze gotowym posunąć się dalej

niż to konieczne, choćby ostatecznie, w kluczowym momencie, miało się tego zaniechać. Ale taka gotowość musi być, a nie coś wprost przeciwnego. Nie można z góry wyznaczyć sobie granicy, nastawić się na mniej niż na coś, co łatwo może okazać się konieczne, czyż nie tak? Jeżeli tak się ma sytuacja i nastroje, moim zdaniem nie należy tego zaczynać. Na razie zamierzam odradzać wszelkie finansowanie i wsparcie.

Niby-wojskowy, słuchając mojej hiszpańskiej wersji słów Tupry, zaprzeczył gwałtownie ruchem głowy, być może jak ktoś, kto nie może uwierzyć w to, co słyszy, i desperuje wobec brzemiennej w skutki nieporozumienia, albo może jak ktoś, kto zbyt późno zdał sobie sprawę, że pomylił się w odpowiedzi i tym sposobem spowodował nieuchronną katastrofę, bo cokolwiek teraz powie, każde odwołanie, sprostowanie albo wyjaśnienie, wszystko zabrzmiałoby nieszczerze i interesownie, będzie niczym zwinięcie żagli. Ów fałszywy cywil lub fałszywy żołnierz mógł sobie myśleć: „Niech to szlag, ci faceci chcieli usłyszeć, że zabilibyśmy go bez mrugnięcia okiem, gdyby zaszła taka potrzeba, nie – jak myślałem – że oszczędzimy tego sukinsyna, choćby sam bardzo nam to utrudniał”. Tak, to właśnie mógł myśleć, albo i coś innego, na czego wymyślenie nie starczyło mi wyobraźni ani czasu, bo gdy tylko skończyłem wypowiedź po hiszpańsku, on od razu zaczął protestować:

– Nie, źle mnie panowie zrozumieli – powiedział wzburzony i z większym przejęciem niż dotychczas. A może wcale tak nie powiedział, ale ja tak to pamiętam, słowa i akcenty Ameryki Południowej bardzo się mylą w pamięci i w relacjach. – Oczywiście, że jesteśmy gotowi się go pozbyć, jeżeli nie będzie innego wyjścia. Nie brak nam determinacji, a co do nienawiści, no cóż, nienawiść się wzbudza w okamgnieniu, w każdej chwili, wystarczy mała iskra, kilka odpowiednio dobranych zdań i już się szerzy, ale lepiej nie zaczynać od wzniesienia zbyt dużego pożaru, bo ogień może się wypalić, lepsza zimna głowa niż bezpośrednie starcie,

zgodzi się pan ze mną. Powiedziałem tylko, że uważamy, że targnięcie się na przywódcę może się okazać niepotrzebne, że byłoby bardzo dziwne, ale i lepsze dla wszystkich zainteresowanych, gdybyśmy nie musieli tego robić. Proszę mi jednak wierzyć, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót i trzeba będzie go zabić, żeby opanować sytuację, nie zadrży nam ręka. To szybkie i nietrudne, mamy kilku speców od takiej roboty. Jego zwolennicy podniosą lament, trudno, ale wyzwoliciela już nie będzie. Potem mogą sobie mówić, co chcą, ale nic na to nie poradzą, tyrana już nie będzie, koniec.

To szybkie i nietrudne, pomyślałem. No pewnie, dobrze to znam, zawsze byli spece od takiej roboty. Strzał w skroń, w ucho, w kark, strużka krwi, ale potem się wytrze. Przetłumaczyłem z taką ekspresją, na jaką mnie było stać, Tupra i Mulryan nie patrzyli na mnie, gdy mówiłem, patrzyli na Wenezuelczyka, to zawsze zwracało moją uwagę, bo każdy instynktownie kieruje wzrok na zabierającego głos, choćby ten tylko tłumaczył, tylko wiernie powtarzał, oni natomiast przyglądali się niezmiennie prawdziwemu autorowi słów, choć siłą rzeczy milczał w trakcie ich przekazywania. Nieraz miałem okazję zauważyć, że wprawiało to w stan zdenerwowania rozmówców, bo ci patrzyli na mnie, mimo że to co mówiłem, rozumieli wówczas, tylko się domyślając (co dla nich nie było takie trudne).

Fałszywy cywil albo wojskowy nie stanowił wyjątku w tym względzie (moim zdaniem był modelowym przykładem), jednak bardziej niż wpatrzone w niego uporczywie dwie pary oczu zaniepokoić go mogła natychmiastowa odpowiedź Tupry:

– Przecież panowie wiedzą, że jeśli go zastrzelą, będą zmuszeni zastrzelić także wielu swoich rodaków, z nienawiścią lub bez nienawiści, w walce, a może, kto wie, dokonując egzekucji, które też są szybkie, ale trudniejsze. To na pewno nikomu by się nie spodobało, a już na pewno ludziom z zewnątrz – prawda? – łącznie z nami. Wobec powyższego, ryzykując rzeź i bez pewności, że ostatecznie do czegoś to się przyda,

uwazam, że nie należy tego zaczynać. Obawiam się, że będę musiał na razie odradzić wszelkie finansowanie i wsparcie.

Wenezuelczyk zmarszczył ruchliwe brwi, westchnął głęboko i klatka piersiowa wysklepiła mu się jeszcze bardziej, jak u płaza, sięgnął ręką do krawata, jakby chciał go rozwiązać (nie tylko rozluźnić), schował zielone buty pod fotelem jak ktoś, kto się odsuwa i chroni przed ugryzieniem jakiegoś zwierzęcia lub – bardziej symbolicznie – jak ktoś, kto instynktownie zaczyna się wycofywać, skonsternowany. Pomyślałem, że mógł sobie teraz myśleć: „W co się ze mną bawią te brytyjskie skurwysyny? I tak źle, i tak niedobrze, co niby mam odpowiedzieć tym pieprzonym skurwielom?”.

– Czego właściwie panowie chcą – odezwał się po kilku sekundach jak ktoś znużony już zgadywaniem i zrezygnowany. Jego ton nie był nawet pytający.

Jeszcze raz odpowiedział mu Tupra:

– Żeby nam pan powiedział prawdę, nic więcej. Bez odgadywania naszych oczekiwań. Nie starając się nas zadowolić.

Reakcja wojskowego była natychmiastowa, przetłumaczyłem ją dokładnie, choć wcale nie było łatwo:

– Prawdę, prawdę. Prawdą jest to, co się wydarza, prawda jest wtedy, kiedy się dzieje, jak niby miałbym ją teraz powiedzieć? Nikt jej nie zna, dopóki się nie wydarzy.

Tupra zdawał się nieco zaskoczony i trochę rozbawiony taką ni to filozoficzną, ni to prostą, a może po prostu bezładną odpowiedzią. Nie odstąpił jednak od swoich wymagań. Zamiast tego uśmiechnął się i nie odmówił sobie ostatniej uwagi:

– A i później często nie. Czasami nawet się nie dzieje. Nie wydarza się prawda. Mimo to właśnie ją chcemy usłyszeć, sam pan widzi: w pana przekonaniu prosi się pana o coś niemożliwego. Jeżeli teraz nie potrafi pan

temu sprostać, jeżeli chce się pan porozumieć z towarzyszami i sprawdzić, czy to co niemożliwe, stanie się troszkę możliwe – zawiesił głos – ma pan wolną rękę. Rozumiem, że jeszcze kilka dni pozostanie pan w Londynie. Zadzwonimy przed pana wyjazdem, na wypadek gdyby udał się wielki wyczyn, to co niemożliwe. Mamy pański numer. Mulryan, bądź tak miły i odprowadź pana. – Potem zwrócił się do mnie, nie zmieniając tonu ani nie robiąc żadnej przerwy: – Mr Deza, byłbym wdzięczny, gdyby pan został jeszcze chwilę.

Fałszywy albo autentyczny wojskowy wstał, przygładził krawat, marynarkę, spodnie, wykonał niepotrzebny gest wpychania koszuli do spodni, wziął z podłogi stojącą obok fotela teczkę, której ani razu nie podniósł ani nie otworzył. Nieuważny, zamyślony i nieobecny wymienił uścisk dłoni z Tuprą i ze mną (dłoń miękka, nieco wiotka, może tylko z powodu zamyślenia). Powiedział:

– Zdaje mi się, że nie mam panów numeru.

– Tak, myślę, że pan nie ma – odpowiedział na to Tupra. – Do widzenia.

– *Sir?* – mruknął Mulryan na odchodnym, zamykając z zewnątrz obiema rękami dwuskrzydłowe drzwi bardzo nieurzędowego gabinetu, który przypominał raczej znane mi z dawnych czasów gabinety oksfordzkich tuzów, gabinet Wheelera, Cromera-Blake’a czy Clare Bayes, były w nim regały uginające się od książek, globus, który naprawdę wydawał się stary, wszędzie widać było drewno i papier, nie dostrzegłem materiałów nieszlachetnych ani metalowych, nie zauważyłem kartotek ani komputera. Mruknięcie Mulryana zabrzmiało jak pytanie majordomusa: „Czy coś jeszcze, proszę pana?”, choć wyglądało raczej na odmeldowanie się (choć bez stuknięcia obcasami). Rzuciło się w oczy, że jest bardzo oddany swemu przełożonemu.

Kiedy już zostaliśmy sami, Tupra za swoim szerokim biurkiem i ja siedzący naprzeciw niego, po raz pierwszy zażądał ode mnie czegoś, co

przypominało moje zasadnicze zadanie w czasie, gdy dla niego pracowałem, było też jakoś powiązane z tym, co na poły wyjaśnił mi Wheeler tamtej niedzieli w Oksfordzie, z rana i w trakcie wczesnego obiadu. Tupra potarł jedną ręką oba swoje policzki w kolorze jęczmienia, zawsze starannie ogolone i pachnące płynem po goleniu, jakby zaimpregnował nim skórę albo po kryjomu wcierał go co jakiś czas na nowo, jeszcze raz się uśmiechnął, wyjął papierosa, włożył między groźnie wyglądające wargi, przez chwilę go nie zapalał, ja też nie odważyłem się zapalić swojego.

– Proszę mi powiedzieć, co pan o nim myśli – zwrócił głowę w stronę dwuskrzydłowych drzwi. – Czego się pan dowiedział. – A ponieważ się zawahałem (nie byłem pewien, o co mu chodzi, o nic mnie nie pytał po spotkaniu z Chilijczykami bądź Meksykanami), dodał: – Proszę powiedzieć cokolwiek, co panu przychodzi do głowy, proszę mówić. – Na ogół dobrze znosił milczenie, chyba że było niezgodne z jego wolą i decyzją; wówczas jego ciągła porywczosć lub napięcie zdawały się domagać, by zapełniał cały czas wyraźną, rozpoznawalną albo mierzalną treścią. Co innego gdy milczenie wychodziło od niego.

– No cóż – odrzekłem – nie wiem, czego dokładnie chce od panów ten Wenezuelczyk. Rozumiem, że poparcia i pieniędzy. Przypuszczam, że przygotowuje zamach stanu przeciwko prezydentowi Hugo Chávezowi lub rozważa taką możliwość, tego się mniej więcej dowiedziałem. Był ubrany po cywilnemu, ale równie dobrze może być wojskowym, sądząc po wyglądzie i po tym, co mówił. Albo wyobrażam sobie, że przedstawił się panom jako wojskowy.

– Co jeszcze? To by wywnioskował każdy, Mr Deza, na pana miejscu, w pańskiej roli.

– Co jeszcze na jaki temat, Mr Tupra?

– Co skłania pana do myślenia, że jest wojskowym? Widział pan kiedyś wenezuelskiego oficera?

– Nie. A raczej tak, w telewizji, jak każdy. Sam Chávez jest wojskowym, każe się tytułować *comandante* albo majorem, prawda? Albo podporucznikiem, nie wiem, a może naczelnym spadochroniarzem. Nie jestem jednak pewien, czy ów dżentelmen był wojskowym. Mówię, że tak się panom przedstawił. Tak sobie wyobrażam.

– Potem się tym zajmiemy. Jakie wrażenie robi na panu ten spisek, groźba zamachu stanu wobec przywódcy wybranego w powszechnych wyborach, w dodatku przez aklamację?

– Złe, jak najgorsze. Proszę pamiętać, że mój kraj cierpiał na skutek takiego zamachu stanu przez czterdzieści lat. Trzy lata romantycznej być może wojny (z angielskiej perspektywy), ale potem trzydzieści siedem lat upokorzeń i opresji. Zostawiwszy jednak na boku teorię, czyli zasady, w tym konkretnym przypadku raczej bym się nie przejmował, Chávez swego czasu usiłował dokonać zamachu stanu, jeśli dobrze pamiętam. Spiskował i zbuntował się ze swymi oddziałami przeciw legalnemu cywilnemu rządowi swego kraju. Fakt, rząd mógł być skorumpowany i złodziejski, ale który dziś taki nie jest, wszyscy obracają zbyt wielkimi pieniędzmi i są niczym przedsiębiorstwa, a przedsiębiorcy chcą zysków. Tak więc nie mógłby się skarżyć, gdyby go odsunęli od władzy. Inna sprawa to Wenezuelczycy. Oni by mogli. Ale zdaje się, że już i tak mocno się skarżą z powodu tego, którego wybrali przez aklamację. Wybranie kogoś nie gwarantuje, że ten ktoś nie będzie dyktatorem.

– Widzę, że jest pan dobrze poinformowany.

– Czytam gazety, oglądam telewizję. Nic więcej.

– Proszę powiedzieć więcej. Proszę powiedzieć, czy Wenezuelczyk mówił prawdę.

– Na jaki temat?

– W ogóle. Na przykład na temat tego, czy podniosą rękę na *comandante*, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– W tej kwestii powiedział dwie różne rzeczy.

Wydawało się, że Tupra odrobinę się niecierpliwi, ale tylko odrobinę. Miałem wrażenie, że dobrze się bawi, że odkąd przezwyciężyłem początkowe wahanie i jego pytania pobudziły mnie do mówienia, podoba mu się ten dialog i moja szybkość. Tupra potrafił zadawać pytania, nigdy nie zapominał otrzymanych już odpowiedzi i tym sposobem umiał do nich wrócić w najmniej spodziewanym przez pytanego momencie i kiedy ten już zdążył je zapomnieć, dużo łatwiej zapominamy, to co mówimy, niż to co słyszymy, to co piszemy łatwiej, niż to co czytamy, to co wysyłamy łatwiej, niż to co do nas dociera, dlatego nie bierzemy pod uwagę wyrządzonych przez siebie krzywd, ale pamiętamy te, których sami doznaliśmy, w związku z czym niemal każdy coś komuś pamięta.

– To wiem, Mr Deza. Pytam, czy któraś z nich była prawdą. Pana zdaniem. Proszę.

To „proszę” zabrzmiało mi niepokojąco. Później się przekonałem, że zwykł się posługiwać sformułowaniami w rodzaju „będzie pan taki dobry”, „bardzo pana proszę”, gdy był o krok od pełnej irytacji. Tym razem tylko to wyczułem, pospieszyłem zatem z odpowiedzią, nie zastanawiając się zanadto ani nie zastanowiwszy się nad tym wcześniej.

– Moim zdaniem jedna była absolutnie nieprawdziwa. Druga owszem, ale w kontekście, który też był nieprawdziwy.

– Zechce pan to wytłumaczyć, proszę. – Nadal nie zapalał wetkniętego w usta papierosa, pewnie papieros zdążył już zawilgnąć mimo filtra, znałem tę ekstrawagancką markę, Rameses II, papierosy egipskie z dość ostrego tureckiego tytoniu, czerwone pudełko z faraonem wyglądało na biurku jak rysunek z „Tintina”, musiały być teraz bardzo drogie, pewnie kupował je u Davidoffa albo u Marcovitcha, albo u Smith&Sons (jeżeli te dwie ostatnie



firmy jeszcze istniały), nie przypominałem sobie, żebym widział u Tupry te papierosy na przyjęciu u Wheelera, może palił je tylko w sytuacjach prywatnych. Ja też nie przykładałem zapalniczki do swojego papierosa, zwykłego, który jednak był suchy, moje wargi nie są wilgotne.

Wszystko co powiedziałem, było czystą improwizacją, niczym więcej. Nie miałem nic do stracenia. Wezwali mnie w charakterze tłumacza i wywiązałem się już ze swego zadania. Byłem tam nadal tylko przez grzeczność, choć Tupra nie dawał mi tego odczuć, raczej wprost przeciwnie, należał do tych rzadkich egzemplarzy, co najpierw proszą o udzielenie pożyczki, a potem udaje im się tak wszystkim pokierować, że to pożyczkodawca czuje się dłużnikiem.

– Odniosłem wrażenie, że absolutną nieprawdą jest to, jakoby byli gotowi użyć broni wobec swego Naczelnego Spadochroniarza, nawet gdyby od tego miało zależeć powodzenie całej operacji. Uwierzyłem zatem, kiedy mówił, że nie wyrządzą mu żadnej fizycznej krzywdy, gdyby się okazało, że nie mogą się go pozbyć.

– A jaki był nieprawdziwy kontekst tej prawdy?

– No cóż, tak jak mówię, nie wiem, jak ten dżentelmen się panom przedstawił ani co chce od panów uzyskać...

– Ode mnie nic, od nas nic, nie mamy z tym nic wspólnego – przerwał mi Tupra. – Przysłali nam go, żebyśmy wydali opinię, to znaczy żebyśmy ocenili, na ile jest przekonujący i czy mówi prawdę. Dlatego ciekawi mnie pański osąd, mówią panowie w tym samym języku, a może to już nie ten sam język? Ja nie rozumiem połowy dialogów na niektórych filmach amerykańskich, niedługo będą musieli pokazywać je tutaj z napisami, nie wiem, czy to samo się dzieje z południowoamerykańskim hiszpańskim. Tak czy inaczej, są takie niuanse słowne, wyrażenia, których nie mogę wyłapać ani ocenić w tłumaczeniu. Ale mogę dostrzec inne rzeczy właśnie dlatego, że nie rozumiem, co dana osoba mówi, czasem to bardzo przydatne. Widzi

pan, treść niekiedy rozprasza, a słuchanie tylko melodii, muzyki bywa zasadnicze. A teraz proszę mi powiedzieć, co pan myśli.

Zdołałem się już uzbroić w śmiałość i beztroskę, tak więc odważyłem się dalej improwizować. Nie mogłem już jednak wytrzymać i zapaliłem papierosa, ale nie swojego, spytałem, czy mogę się poczęstować jednym cennym Ramesesem II (zgodził się, oczywiście, bez jednego grymasu, każdy z tych papierosów mógł spokojnie kosztować z pół funta albo coś około tego).

– Mam wrażenie, że nie mają żadnego poważnego planu zamachu stanu. A jeżeli taki istnieje, ten człowiek nie weźmie w nim udziału albo będzie miał niewiele do powiedzenia. Wyobrażam sobie, że sprawdzili panowie jego tożsamość. Jeżeli jest wojskowym na wygnaniu albo usuniętym z wojska, albo już w stanie spoczynku, opozycjonistą z kontaktami w kraju, ale działającym z zagranicy, to najprawdopodobniej zbiera fundusze od zera raczej bez precyzyjnie zdefiniowanych celów i dysponując bardzo wątpliwą informacją. I to co zbierze, wylądowuje ostatecznie w jego kieszeni, nie żąda się na ogół rozliczenia wydatków poniesionych na nieudaną potajemną operację. Jeżeli zaś jest czynnym wojskowym, ma jakąś władzę i mieszka w kraju, a do nas tu przychodzi jako człowiek, który ku swemu wielkiemu ubolewaniu zdradza swego szefa dla dobra ojczyzny, to nie sposób wykluczyć, że wysłał go *comandante* we własnej osobie, żeby wysondować, uprzedzić coś, wybadać, przygotować się zawczasu i gdyby nadarzyła się taka sposobność, zebrać za granicą trochę funduszy, które z pewnością wylądowują ostatecznie w kieszeni samego Cháveza, to byłoby niezłe zagranie. Myślę też, że możliwa jest jakaś trzecia ewentualność, to znaczy, że on nie jest ani nigdy nie był wojskowym. W każdym razie nie sądzę, żeby szykował coś poważnego, coś, co się zdarzy. Jak sam zauważył, prawdą jest to, co się dzieje, to niezdarna forma powiedzenia tego samego. No więc ja bym powiedział, że jego prawda nigdy się nie wydarzy,

z poparciem czy bez poparcia, z finansowaniem czy bez finansowania wewnętrznego, zewnętrznego bądź międzyplanetarnego. – Dałem się zanadto ponieść własnej śmiałości, więc przyhamowałem. Zastanawiałem się, czy Tupra nie puści teraz pary z ust, choćby na temat funkcji, jaką przypisał sobie Wenezuelczyk (powiedziałem wcześniej „do nas tu przychodzi” rozmyślnie, widząc, że jestem już włączony). Jeżeli tego nie zrobi, pomyślałem, należy do ludzi, których nie można omotać i którzy mówią tylko to, co naprawdę chcą powiedzieć, i wiedzą, że mogą bezpiecznie wyjawić. – No cóż, wszystko to oczywiście spekulacje – dodałem. – Wrażenia, przeczucia. Pytał pan o moje wrażenia.

Teraz i on zapalił swojego cennego zaślinionego Ramesesa II. Pewnie trudno mu było wytrzymać, widząc, że ja palę, w dodatku jego papierosa, pół funta idzie z dymem przez obce kontynentalne gardło. Zakasłał odrobinę po pierwszym zaciągnięciu się ostrą egipską mieszanką, może wypalał dwa albo trzy dziennie i nigdy się do nich nie przyzwyczyił.

– Tak, wiem, że nie może pan wiedzieć tego na pewno – powiedział. – Proszę się nie martwić. Ja też nie wiem albo wiem niewiele więcej. Dlaczego pan tak myśli, proszę powiedzieć.

Improvizowałem dalej albo tak mi się zdawało:

– No cóż, mężczyzna ten był niewątpliwie w typie południowoamerykańskiego wojskowego, obawiam się, że nie różnił się zanadto od wojskowych hiszpańskich sprzed dwudziestu albo dwudziestu pięciu lat, wszyscy nosili wąsy i nigdy się nie uśmiechali. Jego wygląd z pewnością domaga się munduru i czapki, i żeby miał odznaczenia na piersi, niczym pas z nabojami, w nadmiarze. Ale niektóre szczegóły mi nie pasowały. Skłoniły mnie do myślenia, że może nie być wojskowym przebrany za cywila, jak zdało mi się w pierwszej chwili, ale cywilem przebrany za wojskowego przebranego za cywila, nie wiem, czy wyrażam się dostatecznie jasno. To nic nieznaczące szczegóły – powiedziałem na

swoje usprawiedliwienie. – Nie miałem też szczególnie dużo do czynienia z wojskowymi, nie jestem żadnym ekspertem. – Tu przerwałem, opuszczała mnie chwilowa odwaga.

– To bez znaczenia. Tak, wyraża się pan jasno. Proszę powiedzieć, co to za szczegóły.

– Kilka drobiazgów, naprawdę maleńkich. Użył paru słów... jak by to powiedzieć... niewłaściwych. Albo żołnierze już nie są tacy jak dawniej i zarazili się śmieszoną pretensjonalnością od polityków i prezenterów telewizyjnych, albo ten osobnik wcale nie jest wojskowym; a może był nim kiedyś, dawno temu, i już nie jest w służbie czynnej. I zbyt spontaniczny był ten ruch, żeby wpuścić koszulę w spodnie, jakby był przyzwyczajony do cywilnego ubrania. Wiem, to głupstwo, wojskowi też noszą od czasu do czasu garnitur i krawat albo chodzą tylko w koszuli, jeśli jest gorąco, a w Wenezueli jest gorąco. Po prostu czułem, że on jednak wojskowym nie jest albo od dawna pozostaje poza armią, nie nosi wojskowej bluzy, został usunięty z sił zbrojnych, nie wiem. Nawet *guayabera* i *liki-liki* czy jak to nazywają, wszystkie takie koszule nosi się wypuszczone na spodnie. Zauważyłem też, że zanadto się przejmował kaniem swoich spodni i w ogóle żeby się nie pogniotły, ale cóż, wszędzie można spotkać eleganckich i zadufanych w sobie oficerów.

– Nawet pan nie wie jak często – powiedział Tupra. – *Liki-liki* – powtórzył, ale nie zadał pytania. – Proszę mówić dalej.

– Nie wiem, czy przyjrzał się pan jego butom. Krótkim butom, do kostki. Z daleka albo przy złym oświetleniu można je było wziąć za czarne, ale one były w butelkowiezielonym kolorze i jakby z krokodylej skóry albo ze skóry kajmana. Nie wyobrażam sobie, żeby oficer włożył podobne buty, nawet w dniu wolnym od służby, na pełnym luzie. Bardziej pasują do handlarza narkotyków albo, czy ja wiem, do pracownika rancza z wizytą w mieście. – Czułem się niczym jakiś oszukańczy Sherlock Holmes. Odsunąłem trochę

krzesło z nagłą nadzieją, że uda mi się zobaczyć stopy Tupry. Wcześniej nie zwróciłem uwagi na jego obuwie, a nagle przyszło mi do głowy, że może równie dobrze nosić podobne buty, a ja niebezpiecznie się zagalopowałem. Był Anglikiem, to zatem nieprawdopodobne, lecz nigdy nie wiadomo, ma dziwne nazwisko. I zawsze nosi kamizelkę, to zły znak. W każdym razie nie udało mi się nic zobaczyć, byłem za blisko, biurko zasłaniało jego stopy. Mówiłem dalej, ale jeśli faktycznie miał na nogach ekscentryczne buty, pewnie pogorszyłem tylko sprawę. – Oczywiście w kraju, gdzie naczelny wódz pojawia się publicznie przebrany za flagę narodową i ma na głowie beret w czerwonym burdelowym kolorze, jak widziałem niedawno w telewizji, nie można wykluczyć, że generałowie albo pułkownicy noszą takie właśnie buty albo saboty, albo baletki, wszystko jest możliwe w tych błazeńskich czasach i gdy taki idzie przykład z góry.

– Saboty? – zapytał Tupra raczej z rozbawieniem niż z braku zrozumienia. „*Sabots?*”, powiedział, bo takiego właśnie słowa ja użyłem: dzięki moim dawnym zajęciom z przekładu w Oksfordzie i okazjonalnej pracy dla różnych wyzyskiwaczy znam najbardziej absurdalne słowa po angielsku.

– Tak, no wie pan, takie drewniaki z zadartym nosem. Takie jak noszą pielęgniarki i Flamandowie, przynajmniej na swoich obrazach. Chyba też gejsze noszą drewniaki, na skarpetki, nie mam racji?

Tupra się roześmiał, ja też. Może wyobraził sobie w takich drewniakach Wenezuelczyka, który właśnie wyszedł. A może samego Cháveza w masywnych sabotach i w białych skarpetkach. W pierwszej chwili i w sytuacji towarzyskiej sprawiał wrażenie sympatycznego człowieka. W drugiej chwili i w swoim gabinecie także, choć tutaj dawał do zrozumienia, że nigdy nie można zapomnieć całkowicie o powadze pracy ani też żyć tylko nią.

– Powiedział pan: przebrany za flagę narodową? Może chciał pan powiedzieć: owinięty we flagę narodową?

– Nie – odrzekłem – koszula albo bluza wojskowa, nie pamiętam dokładnie, co miał na sobie, była we wzorze flagi, z gwiazdami i całą resztą, zapewniam pana.

– Z gwiazdami? Akurat nie przypominam sobie teraz, jak wygląda flaga Wenezueli. Z gwiazdami?

Chyba nie wziął do siebie mojej uwagi o butach, pomyślałem z ulgą.

– Jest pasiasta, dokładnie nie pamiętam. Wydaje mi się, że ma jeden pas czerwony, drugi żółty, a trzeci nie wiem, może niebieski. I kilka gwiazdek zbitych w jednym miejscu. Prezydent pojawił się wystrojony w gwiazdki, tego jestem pewny, w wojskowej bluzie albo koszuli w szerokie poprzeczne pasy w tych albo podobnych kolorach. No i te gwiazdki. Może ubrał się w *liki-liki*, to jest, zdaje się, galowy strój w Kolumbii, a może i w Wenezueli, nie wiem.

– Gwiazdki. Doprawdy. – „*Indeed*”, powiedział, bez znaku zapytania. Znowu się roześmiał, ja także. Śmiech bezinteresownie łączy mężczyzn, a także kobiety, stwarza między kobietami i między mężczyznami jeszcze silniejszą, bardziej zobowiązującą więź, związek głębszy, bardziej złożony i bardziej niebezpieczny, bo trwalszy bądź bardziej nastawiony na trwanie. Takie bezinteresownie trwałe związki stają się po jakimś czasie pełne napięcia, niekiedy brzydkie i trudne do zniesienia, trzeba być na dłuższą metę czyimś dłużnikiem, tylko w ten sposób sprawy się toczą, jedna osoba musi być troszkę bardziej zobowiązana drugiej, oddanie i ofiarność, i szlachetność mogą się okazać pewną drogą do zajęcia pozycji wierzyciela. Tak samo śmialiśmy się przy niezliczonych okazjach z Luisą, krótko i nagle, śmieszyło nas to samo całkiem niezależnie, oboje wybuchaliśmy naraz krótkim śmiechem. Również z innymi kobietami, przede wszystkim z moją siostrą i tylko z kilkoma innymi poza nią. Jakość tego śmiechu, jego

spontaniczność (może jego zsynchronizowanie z moim) sprawiały, że czasami się umawiałem z kobietami, zbliżałem do nich albo przeciwnie, od razu je odprawiałem, niektóre kobiety przejrzałem w ten sposób na wylot, nim je poznałem, nie zamieniwszy z nimi ani słowa, nie będąc widzianym i nie patrząc. Króciutkie opóźnienie natomiast lub podejrzenie o mimetyzm, o uprzejmą odpowiedź na mój bodziec albo wskazówkę, uchwycenie grzecznego uśmiechu lub uśmiechu schlebiającego, takiego, który nie jest do końca bezinteresowny, jest narzucony siłą woli, takiego, który nie tyle się uśmiecha, ile chce się uśmiechać albo się nadarza, albo gorąco pragnie, albo raczy się uśmiechać – od takiego uśmiechu zawsze bardzo szybko się odsuwam bądź przydzielam mu drugorzędne miejsce, miejsce towarzyszące czy nawet miejsce świty w moich okresach słabości. Temu innemu śmiechowi tymczasem, śmiechowi Luisy, który niemal zawsze wyprzedza nasz własny, śmiechowi mojej siostry, który nas spowija, śmiechowi młodej Pérez Nuix, który łączy się z naszym śmiechem i nie ma w sobie nic zamierzonego, prawie zapomina o nas obu (wszystko w nim natomiast jest szczodrością i wdzięcznością, i zrównaniem), temu śmiechowi zwykle przyznaję naczelne miejsce, które później okazuje się trwałe albo nie, niekiedy niebezpieczne, a na dłuższą metę (jeśli zdarza się coś na dłużej) trudne do zniesienia, jeżeli nie pojawia się maleńki dług, symboliczny albo realny. Ale jeszcze bardziej nieznośny jest brak tego uśmiechu lub jego zanikanie, to nieuchronnie zapowiada dzień, w którym jednej z dwóch osób przychodzi zadłużyć się troszkę bardziej. Jakiś czas temu Luisa zabrała mi swój uśmiech albo zaczęła mi uśmiech racjonować, nie mogłem uwierzyć, że przy wszystkich okazjach utraciła zdolność uśmiechania się, pewnie uśmiech fundowała innym, kiedy ktoś zabiera nam swój uśmiech, to znak, że już nic więcej nie da się zrobić. Ten uśmiech rozbraja. Rozbraja kobiety, rozbraja też, choć inaczej, mężczyzn. Pragnąłem bardzo kobiet tylko dla ich uśmiechu, zazwyczaj to widziały. Czasem się orientowałem, co sobą

przedstawia dana osoba, słuchając jedynie jej śmiechu albo nigdy go nie słysząc, krótkiego, nieoczekiwanego wybuchu śmiechu, potrafiłem nawet przewidzieć, co się zdarzy lub co zajdzie między tą osobą i mną, czy to będzie przyjaźń, konflikt, nuda czy po prostu nic, nie popełniam tu większych pomyłek, niekiedy trochę to trwa, ale w końcu się potwierdza, poza tym zawsze człowiek zdąży, dopóki nie umrze albo dopóki nie umrzemy ta osoba i ja. Taki był śmiech Tupry i taki był mój śmiech, tym samym musiałem sobie w jednej chwili zadać pytanie, czy w przyszłości to on zostanie rozbrojony czy ja, a może obaj. – *Liki-lik* – powtórzył. Trudno nie powtórzyć takiego słowa, nie można mu się oprzeć. – Tak, nie można oceniać z zewnątrz obyczajów żadnego kraju, prawda? – dodał z niechętną lub mało poważną powagą.

– Prawda. Prawda – odpowiedziałem, wiedząc, że ta odpowiedź nie jest taka (znaczy nie jest prawdą) dla żadnego z nas.

– Coś jeszcze? – Nie puścił farby ani na temat tożsamości (nie oczekiwałem tego), ani nawet możliwej profesji lub stanowiska Wenezuelczyka, któremu służyłem za tłumacza. Podjąłem próbę:

– Mógłby pan nazwać jakoś tego mężczyznę? Głównie na wypadek, gdybyśmy musieli się odnieść do niego innym razem.

Tupra nie zawahał się ani sekundy. Jakby od dawna miał przygotowaną odpowiedź na tę próbę, której go poddawałem (bo bardziej niż ciekawość była to próba).

– Nie sądzę, by to było możliwe. Dla pana, Mr Deza, będzie się nazywał Bonanza – odrzekł z jeszcze bardziej ironiczną powagą.

– Bonanza? – Musiał zauważyć moje zdumienie, trudno mi było nie wymówić litery „z” tak, jak się ją wymawia w Hiszpanii albo w części Hiszpanii, a na pewno w Madrycie. W jego angielskich uszach musiało to zabrzmieć jak „Bonantha”, podobnie jak Deza musiało brzmieć jak „Detha”, coś w tym guście.



– Tak. Czyżby to nie było hiszpańskie słowo? Podobnie jak Ponderosa, prawda? No więc będzie Bonanza dla pana i dla mnie. Coś jeszcze pan spostrzegł?

– Chcę tylko potwierdzić swoje początkowe wrażenie, Mr Tupra: generał Bonanza nigdy nie dokona zamachu na życie Cháveza. Czy też Mr Bonanza, wszystko jedno, kim naprawdę jest. Może pan być tego pewien, zarówno jeżeli to odpowiada państwa interesom, jak i w przeciwnym wypadku. Zanadto Cháveza podziwiał, nawet jeżeli jest jego wrogiem, a w moim przekonaniu nie jest.

Tupra sięgnął po jaskrawoczerwoną paczkę z faraonami i bogami i zaproponował mi drugiego Ramesesa II, rzecz rzadka na wyspach, niewątpliwie duży wydatek, tytoń turecki, szczypanie w ustach egipskie, poczęstowałem się. Okazało się, że to na drogę, bo częstując mnie papierosem, równocześnie wstał, potem obszedł biurko, by mnie odprowadzić, wskazawszy nieznacznym ruchem ręki drzwi. Skorzystałem z okazji, żeby rzucić okiem na jego buty, to były stateczne brązowe sznurowane półbuty, nie miałem się czym martwić. Zauważył to, wszystko niemal zauważał, bezustannie.

– Coś nie tak z moimi butami? – zapytał.

– Nie, są bardzo ładne. I błyszczące. Wspaniałe, godne pozazdroszczenia – odparłem. Kontrastowały z moimi, czarnymi, również sznurowanymi. W Londynie nie udawało mi się narzucić sobie dyscypliny, żeby codziennie je pucować, to prawda. Człowiek rozleniwia się w pewnych sprawach poza domem, kiedy mieszka za granicą. Ale ja przecież byłem w domu, a przynajmniej nie miałem na razie innego, zbyt często o tym zapomniałem, siłą przyzwyczajenia upierałem się, by czuć to, co czasami jest niemożliwe, co jeszcze mogło wrócić.

– Kiedy indziej powiem panu, gdzie można takie kupić. – Szedł w kierunku drzwi, żeby je otworzyć, ale na kilka sekund zastygł z dłońmi

opartymi na klamkach obu skrzydeł. Odwrócił głowę, popatrzył przez ramię, nie widząc mnie dokładnie, nie mógł mnie widzieć, stałem tuż za nim. Po raz pierwszy od początku spotkania jego aktywne, życzliwe i nawet mimowolnie kpiarskie oczy nie spotykały się z moimi. Widziałem tylko z profilu jego długie rzęsy. Obiekt zazdrości pań, szczególnie z profilu. – Wcześniej powiedział pan: „zostawiwszy na boku zasady”, o ile sobie przypominam. Albo „zostawiwszy na boku teorię”, prawda?

– Tak, sądzę, że powiedziałem coś podobnego.

– Zastanawiałem się – nadal opierał dłonie na klamkach – proszę pozwolić, że zapytam: jak bardzo na boku jest pan gotów zostawić zasady? Mam na myśli, w jakiej mierze robi pan to zazwyczaj? Obywa się pan bez nich, bez teorii, prawda? Wszyscy tak postępujemy od czasu do czasu, bo trudno inaczej żyć: robimy to z wygody, ze strachu, z potrzeby. W imię poświęcenia lub w imię wspaniałomyślności. W jakiej mierze pan zwykł to robić? – powtórzył. – Proszę mnie dobrze zrozumieć.

Upewniłem się, że nie tylko wszystko bezustannie zauważał, on wszystko rejestrował i zachowywał. Nie spodobało mi się słowo „poświęcenie”, wywarło na mnie podobne wrażenie jak owo wyrażenie, którego użył na przyjęciu u Wheelera: „w służbie mojego kraju”. Poza tym zaraz wtedy dodał: „Jeżeli można, należy to robić, prawda?”. Co prawda natychmiast spuścił z tonu: „Nawet jeśli nie jest to służba wprost i chodzi przede wszystkim o własną korzyść”. Ja też wszystko rejestrowałem i zachowywałem, ponad miarę.

– To zależy od okoliczności – odpowiedziałem, w dalszym ciągu wypowiedzi używałem liczby mnogiej (*them*), bo pytał mnie tylko o zasady, tak zrozumiałem. – Mogę odłożyć je w dużej mierze na bok na użytek konwersacji. Trochę mniej, gdy mam wydać sąd. Gdy oceniam przyjaciół, dużo bardziej, jestem stronniczy. W działaniu dużo mniej, tak sądzę.

– Bardzo panu dziękuję za współpracę, Mr Deza. Będziemy z panem w kontakcie, taką mam nadzieję. – Powiedział to pochwalnym albo z lekka serdecznym tonem. Teraz otworzył drzwi, oba skrzydła naraz. Znowu napotkałem jego oczy, bardziej niebieskie niż szare w rannym świetle, zawsze blade, na pozór rozbawione każdym dialogiem czy sytuacją, uważne, zawsze absorbujące, jakby zaszczycały to, no co spoglądają albo nawet nie muszą patrzeć: wszystko co pozostawało w ich polu widzenia. – Ale nie mamy tu interesów, proszę to zrozumieć – dodał bez żadnego przejścia, mimo że nie odnosił się teraz do poprzedniej kwestii. Większość ludzi nie wróciłaby już do tego, nie nawiązałyby to tamtego mego komentarza poczynionego na marginesie („zarówno gdy to odpowiada państwa interesom, jak i w przeciwnym wypadku”), nie do wiary, jak szybko gubią się słowa wypowiedziane lub napisane, nieistotne lub poważne, wszystkie, te bez znaczenia i znaczące, stają się dalekie i zostają w tyle. Dlatego trzeba je powtarzać, wiecznie i bezmyślnie trzeba powtarzać: od pierwszego słowa, od pierwszego ludzkiego gaworzenia, a nawet od pierwszego wskazania na coś palcem bez słów. Raz i drugi, i raz jeszcze na próżno. Nam się nie gubiły tak łatwo, ani jemu, ani mnie, niewątpliwa anomalia, przekleństwo. – Ograniczamy się do przekazania naszej opinii, i to tylko wtedy, gdy się nas prosi, oczywiście. Podobnie jak pan właśnie przekazał uprzejmie swoją opinię na moją prośbę. – I znowu zaśmiał się krótko, błysnął drobnymi zębami. Zabrzmiało mi to jak uśmiech grzecznościowy, a może niecierpliwy, tak więc tym razem nie towarzyszył mu mój uśmiech.

Nigdy otwarcie mi nie powiedziano, czy miałem rację w czymś, co dotyczyło pułkownika Bonanzy z Caracas, a może z emigracji albo z zagranicy, nie informowano mnie o wynikach, a tym bardziej nie robiono tego otwarcie: to nie była moja sprawa, możliwe, że w ogóle niczyja. Czasami pewnie takich rezultatów w ogóle nie było, a opinie czy też raporty były po prostu odkładane do archiwum, na wszelki wypadek. A jeżeli trzeba było podjąć decyzje w jakiejś sprawie (poparcia zamachu stanu i jego finansowania na przykład), pewnie podejmowali je różni odpowiedzialni za takie rzeczy ludzie – to z pewnością oni zlecali każdorazowo raport lub prosili nas o opinię – bez możliwości weryfikacji albo upewnienia się i wyłącznie na własny rachunek i ryzyko, czyli dając wiarę lub nie, przyjmując lub odrzucając to, co Tupra i jego ludzie dostrzegli i zaopiniowali, a może zalecili.

Początkowo założyłem jednak prostodusznie, że w jakiejś sprawie miałem rację, bo nie minęło wiele czasu od owego ranka wypełnionego dwoma tłumaczeniami, jednym języka, a drugim intencji – to drugie nie było dokładne, ale nazwijmy je jednak tłumaczeniem – a zaproponowano mi odejście z BBC Radio i podjęcie pracy wyłącznie (albo głównie) dla Tupry razem z nim, oddanym mu Mulryanem, młodą Pérez Nuix i innymi, z elastycznym teoretycznie czasem pracy i znacznie wyższymi zarobkami, nie mogłem pod tym względem narzekać, wprost przeciwnie, mogłem posyłać więcej pieniędzy do domu. Trudno mi było uwolnić się od wrażenia dobrze zdanego egzaminu oraz świadomości, że zostałem oto przyjęty do jakiejś struktury, czymkolwiek ona była, specjalnie się nad tym nie zastanawiałem ani wówczas, ani potem, ani teraz, dlatego że to chyba zawsze było niejasne (nieokreśloność stanowiła tego czegoś istotę) i dlatego

że co nieco – albo wystarczająco dużo – powiedział mi już sir Peter Wheeler: „Nie wspominają o tym książki, żadna, ani stara, ani współczesna, nawet najbardziej wyczerpujące z tych, które wychodzą dzisiaj, Knightley, Cecil, Dorril, Davies, Stafford, Miller, Bennett, sam nie wiem, tyle ich było, nawet te, które w swoim czasie były i nadal są, najbardziej enigmatyczne, Rowan, Denham, nie zamieszczają nawet enigmatycznej wzmianki. Nie szukaj w tych książkach. Nie znajdziesz najmniejszej aluzji. Stracisz tylko czas i cierpliwość”. Nie mogę powiedzieć, by tamtej niedzieli w Oksfordzie używał zawsze w rozmowie ze mną półsłówek, były to jednak trzy ćwiartki słów, najwyżej trzy ćwiartki, nigdy całe słowa. Możliwe, że i on nie znał całych, możliwe, że nikt ich nie znał, nawet Tupra ani Rylands, kiedy jeszcze żył. Możliwe, że takich słów nie było.

Nie od razu rozpocząłem pracę w pełnym wymiarze, chcę przez to powiedzieć, że po podpisaniu kontraktu zlecano mi pojedyncze zadanie lub o wykonanie takich mnie proszono, potem zlecano stopniowo coraz więcej, lecz częstotliwość rosła dynamicznie, a po upływie miesiąca, może troszkę wcześniej, moja współpraca była już pełnowymiarowa i tak też zacząłem ją odczuwać. Zmieniały się rodzaje zadań, nie zmieniała się jednak, lub niewiele, ich istota, sprowadzała się do słuchania i spostrzegania, interpretowania i opowiadania, do odgadywania zachowań, postaw, charakterów i skrupułów, spraw traktowanych obojętnie i przekonań, egoizmu, ambicji, lojalności, słabych i mocnych punktów, prawd i sprzeczności; wahań. Interpretowałem – w trzech słowach – historie, osoby, żywoty. Często historie, które jeszcze się nie wydarzyły. Osoby nie znające samych siebie, które nie potrafiłyby o sobie powiedzieć ani jednej dziesiątej tego, co ja w nich dostrzegałem, co rzucało mi się w oczy lub cisnęło na usta, taka była moja praca. Żywoty, które mogły się jeszcze nie udać w młodym wieku i nie trwać nawet tyle, by zasłużyć na swoją nazwę, żywoty nieznane i takie, które były do przeżycia. Niekiedy proszono mnie,

żebym był obecny podczas rozmów lub spotkań (były to raczej wstrzemięźliwe przesłuchania, bez uciekania się do gróźb) i pomagał zadawać pytania, jakie mi przyjdą do głowy, choć nie było żadnej trudności w rozumieniu się nawzajem, nie trzeba było tłumaczyć żadnego języka, wszystko toczyło się po angielsku i między Brytyjczykami. Kiedy indziej używano mnie jako tłumacza języka, hiszpańskiego i włoskiego, ale w ogólnej liczbie spotkań i kontroli (to były tak zwane działania milczące), wkrótce stało się to najrzadsze, w każdym razie nigdy już nie ograniczałem się do prostego tłumaczenia słów, wymagano ode mnie mojego zdania w danej sprawie, czasami niemal prognozy, to znaczy, żebym coś konkretnego założył. Przy innych okazjach preferowano moją nieobecność, wtedy śledziłem rozmowy Tupry albo Mulryana, albo młodej Nuix, albo Rendela z ich gośćmi ukryty w czymś w rodzaju kabiny przylegającej do gabinetu tego pierwszego, z której widziało się i słyszało wszystko, co się działo w środku, nie będąc równocześnie widzianym, podobnie jak w komisariatach. Owalne podłużne lustro w gabinecie Tupry odpowiadało w tym pomieszczeniu oknu o identycznych rozmiarach i kształcie: z jednej strony przezroczysta szyba, z drugiej powierzchnia powleczone cienką warstwą metalu, która nie skłaniała do najmniejszych podejrzeń wśród takiej liczby książek i w gabinecie, który bardziej niż urzędowe pomieszczenie przypominał klub albo prywatny salon. Kryjówka ta była starą i używaną w domach odmianą niewidzialnych pomieszczeń, z których ofiary napadu bądź świadkowie zbrodni przyglądają się ustawionym w jednym rzędzie podejrzanym albo przełożeni kontrolują z ukrycia przesłuchania zatrzymanych, żeby policjanci nie nadużywali pięści ani nie okładali ich zanadto mokrym ręcznikiem. Kabina, o której mówię, musiała być jedną z pierwszych, kto wie, może została dostosowana do swych celów albo zbudowana w latach czterdziestych czy nawet trzydziestych: sprawiała wrażenie pomyślanej na wzór przedziału

kolejowego z owych czasów lub wcześniejszego, cała z drewna, z dwiema wąskimi ławkami od ściany do ściany, prostopadłymi do owalnego okna, a między ławkami stolik, żeby można robić notatki i oprzeć łokcie. Prowadziło się więc obserwację w pozycji nieco pochylonej albo bocznej z dojmującym wrażeniem, że spogląda się przez okno wagonu kolejowego w trakcie podróży, a raczej podczas długiego postoju na stacji, dziwnej stacji-gabinecie, sympatyczniejszej niż rzeczywiste stacje, pejzażem jest wnętrze, zawsze to samo, zmieniają się tylko osoby, goście i gospodarze, ci ostatni pojawiają się w ograniczonej liczbie zestawów, na ogół dwójka, najwyżej trójka, Tupra i Mulryan albo oni dwaj i ja (jak to było z majorem Bonanzą), albo Tupra z młodą Nuix i z Rendelem, kiedy trzeba było mówić po niemiecku, rosyjsku, holendersku bądź ukraińsku (Rendel był ponoć Austriakiem, jego nazwisko brzmiało początkowo Rendl albo Randl, albo Redl, albo Reinl, a może nawet Handl, ale zmienił je połowicznie na modłę brytyjską, brzmiałoby bardziej prawdopodobnie w formie Randall albo Rendell, albo Rendall, albo Randell, choć w formie Haendel już nie), albo Mulryan, ja i jeszcze ktoś, kto brał w tym udział mniej regularnie, albo młoda Nuix, Tupra i ja. Tupra i Mulryan (a raczej jeden z nich dwóch) byli zawsze. Zważywszy, że i mnie przypadało czasami siedzenie w kabinie, mogłem tylko podejrzewać, że kiedy siedziałem z drugiej strony, w stacji-gabinecie, w kabinie instalował się ktoś z nieobecnych i nadzorował nas, aczkolwiek początkowo nie miałem całkowitej pewności; mogłem sobie tylko wyobrażać, że przy tamtej pierwszej okazji, z kapitanem Bonanzą, w sekretnym wagonie siedzieli Rendel albo młoda Nuix (pomyślałem: „Oby to była ona!”) i przyglądali się uważnie porucznikowi, ale z pewnością mnie także, i że potem sporządzili swój obiektywny raport na mój temat oprócz raportu na temat sierżanta (ciągle degradował mi się w pamięci tamten mężczyzna), raport kogoś, kto jest niewidoczny, nie ma go, a patrzy swobodnie i bezkarnie, zawsze jest bardziej obiektywny

i beznamiętny, i godny zaufania, zawsze bardziej niż raport kogoś, kto jest równocześnie widziany przez swych rozmówców, bierze udział, zabiera głos i nigdy nie może obserwować zbyt długo w milczeniu, nie powodując wielkich napięć, kłopotliwej sytuacji.

Na tym polega niewątpliwie sukces telewizji, bo w telewizji widzi się ludzi i patrzy się na ludzi tak, jak nigdy nie można tego zrobić w rzeczywistości, chyba że patrzący się schowa, ale wtedy spogląda tylko pod jednym kątem i z tej samej zawsze odległości albo z dwóch, jeżeli używa lornetki, ja czasami biorę lornetkę do kieszeni, wychodząc z domu, a w domu mam ją zawsze pod ręką. Tymczasem ekran telewizyjny stwarza okazję do beztroskiego szpiegowania, można zatem więcej zobaczyć i więcej się dowiedzieć, bo nie zważa się na posyłane nam spojrzenia ani nie wystawia się na osąd innych, nie trzeba też dzielić uwagi między rozmowę, w której się bierze udział (albo jej pozór), i zimne analizowanie czyjejś twarzy, gestów, modulacji głosu, porów skóry, nerwowych tików, zająknięć, przerw, zaschniętych ust, rozgorączkowania, kłamstw. I ocenia się, to nieuniknione, wydaje się od razu jakiś osąd, wszystko jedno jakiego rodzaju (albo się nie wydaje, zachowuje się go dla siebie), potrzeba zaledwie kilku sekund i nie ma na to rady, nawet jeżeli to osąd elementarny i w najmniej wypracowanej formie, czyli sprowadzający się do lubienia i nielubienia (lubienie i nielubienie są już jednak osądami albo ich możliwą antycypacją, są tym, co zazwyczaj sąd poprzedza, choć wiele osób nigdy nie stawia następnego kroku, nie przekracza linii i tym samym nigdy nie wychodzi poza proste i niewytłumaczalne podobanie się lub odrzucenie: nie potrafią tego wytłumaczyć, bo nigdy nie posuwają się krok dalej, poprzestając zawsze na tym co powierzchowne). Człowiek sam się dziwi, kiedy będąc sam na sam z ekranem, mówi prawie mimowolnie: „Podoba mi się”, „Nie mogę znieść tego facia”, „Apetyczna kobitka”, „Ten koleś to żenada”, „Poszłabym za nim w ogień”, „Strzeliłbym ją w tę buźkę”,



„Nadęty bufon”, „Kłamca”, „Tylko udaje współczucie”, „Czeka go ciężkie życie”, „Co za palant”, „To anioł”, „Arogant i pyszałek”, „Ci dwaj to szczyt pretensjonalności”, „Biedaczek”, „Rozstrzelałbym drania bez mrugnięcia okiem, na poczekaniu”, „Żal mi go”, „Działa mi na nerwy”, „Udaje”, „Co za naiwność”, „Ale tupet”, „Jaka inteligentna kobieta”, „Obrzydliwe”, „Zabawne”. Rejestr nie ma końca, jest miejsce na wszystko. Natychmiastowy werdykt jest strzałem w dziesiątkę albo tak to odczuwamy (chwilę potem już nie jesteśmy tacy pewni). Jest się przekonany, choć nie przytacza się żadnego argumentu. Nie podaje się żadnej racji na jego usprawiedliwienie.

Dlatego dostawałem też nagrania wideo. Bywało, że oglądałem je na miejscu, w budynku bez nazwy i zaopatrzonym tylko w numer, bez napisów, szyldu, bez żadnego widocznego przeznaczenia, robiłem to samotnie albo w towarzystwie młodej Nuix, albo Mulryana, albo Rendela; kiedy indziej znów zabierałem je ze sobą do domu, żeby przyjrzeć im się uważniej i lepiej wgłębić się w szczegóły, a potem przedstawić raport, niemal zawsze tylko ustnie, rzadko prosili o pisemne raporty, z czasem coraz rzadziej, myślę, że na początku pisałem ich całkiem sporo.

Na tych taśmach wideo można było znaleźć wszystko, do wyboru do koloru, materiał był bardzo różnorodny, często wymieszany, na niektórych taśmach niemal upchnięty bez ładu i składu, na innych pogrupowany i posegregowany bardziej wnikliwie, zdarzały się też taśmy niemal monograficzne. Były więc fragmenty wyemitowanych programów albo przeglądów wiadomości, nagrane z telewizji, a potem pocięte i zmontowane (bywało, że musiałem przebrnąć przez cały program, całkiem świeży lub stary, a nawet z nieżyjącymi już osobami, jak na przykład z lady Dianą Spencer, która mówiła okropnym i rojącym się od błędów angielskim, i z Grahamem Greene’em, pisarzem o wyśmienitej angielszczyźnie); wystąpienia w parlamencie, przemówienia albo konferencje prasowe

znanych i zapoznanych polityków, brytyjskich i zagranicznych, dyplomatów również; przesłuchania więźniów w pomieszczeniach policyjnych oraz późniejsze zeznania owych więźniów przed dyżurnym sądem, jak również orzeczenia i napomnienia wydawane i udzielane przez ubranych w peruki sędziów, całkiem sporo nagrań surowych sędziów, nie wiem dlaczego; wywiady ze sławnymi osobami, nie zawsze sprawiające wrażenie zrobionych przez dziennikarzy albo przeznaczonych do publicznej prezentacji, niektóre wyglądały na całkiem nieformalne, bardziej lub mniej prywatne rozmowy, może z ciekawskimi albo z kimś podszywającym się pod wielbiciela (przypominam sobie taki niesamowity wywiad z rozpromienionym Eltonem Johnem, piosenkarzem, albo bardzo sympatyczny z Seanem Connerym, aktorem, prawdziwym Jamesem Bondem, którego Rosa Klebb próbowała kopnąć tymi zabójczymi szpikulcami w „Pozdrowieniach z Rosji”, inny, równie zabawny, z byłym piłkarzem i pijakiem, George’em Bestem; przerażający wywiad z przedsiębiorcą Murdochem i dość pompatyczny i komiczny z lordem Archerem, byłym politykiem – wówczas już skazanym za kłamstwa w jakiejś sprawie, nie pamiętam jakiej – i autorem powieści o dość wysiłonych fabułach; kiedy indziej na taśmach pojawiali się ludzie, których twarze wydawały mi się znajome, ale musiały być nie dość sławne, bym potrafił je zidentyfikować, może chodziło o zanadto lokalne znakomitości (nie zawsze na nagraniach pojawiały się napisy z imieniem i nazwiskiem mówiącego, bywało, że zabrakło najmniejszej choćby informacji prócz liter i cyfr na oznaczenie twarzy, obiektu zainteresowania lub przedmiotu interpretacji – A2, BH13, Gm9 i tym podobne – którymi miałem się posługiwać w późniejszych raportach); były też rozmowy i sceny z anonimowymi osobami, myślę, że często filmowane bez ich wiedzy, a zatem i zgody: z kimś, kto szukał pracy albo deklarował chęć podjęcia każdej pracy, zdarzali się ludzie bardzo zdesperowani; z urzędnikiem

o granitowej twarzy (przewracającym oczami), wysłuchującym problemów obywatela prawdopodobnie w biurze władz miejskich lub gabinecie ministerialnym; z kobietą i mężczyzną kłócącymi się w pokoju hotelowym; z osobnikiem proszącym o kredyt na bardzo niekorzystnych warunkach w jakimś banku; z czterema kibicami Chelsea w pubie, jak szykują się na rozgromienie Liverpoolu, wlewając w siebie alkohol i wznosząc bojowe okrzyki; scena ze zorganizowanego przez jakąś firmę biznesowego lunchu z około dwudziestoma uczestnikami (na szczęście nie cały lunch, tylko *highlights* i końcowe przemówienie); upiorny odczyt jakiegoś uniwersyteckiego tuza, sporadycznie zdarzał się jakiś wykład (niestety nie w całości, widziałem jeden bardzo ciekawy na temat nieistniejącej literatury wygłoszony przez profesora z Cambridge); kazanie (w całości, a jakże) anglikańskiego biskupa, który sprawiał wrażenie lekko podchmielonego; wstępne egzaminy ustne na taki czy inny uniwersytet; nagranie lekarza przedstawiającego diagnozę obszernie, szczegółowo i rozwlekłe; dziewczyn odpowiadających na dziwne pytania podczas castingu, nie wiadomo, czy do reklamy czy do czegoś dużo gorszego, wszystko zanadto monosylabiczne, żeby się zorientować. Niekiedy trafiały się nagrania zrobione niewątpliwie w domu albo bardzo osobiste, a w związku z tym bardziej tajemnicze (trudno było się nie zastanawiać, jak trafiały w nasze ręce, a zatem przed moje oczy, chyba że wśród naszych klientów były też osoby prywatne): patriarchalne życzenia bożonarodzeniowe kogoś nieobecnego, kto uważał, że inni za nim tęsknią i odczuwają jego brak; posłanie zamożnego człowieka (można się było domyślić, że pośmiertne i z taką intencją nagrane), który wyjaśnia swoim spadkobiercom i osobom wydziedziczonym, dlaczego z rozmysłem sporządził taki arbitralny, kapryśny, rozczarowujący i niesprawiedliwy testament; wyznanie miłosne człowieka podającego się za chorobliwie nieśmiałego (ale raczej rzekomo) i zapewniającego, że nie jest w stanie znieść „na żywo” odmowy adresatki,

której to odmowy, jak twierdził, nieuchronnie się spodziewa, a równocześnie wcale jej się nie spodziewał, sądząc po pewności siebie, z jaką mówił. Tyle jeżeli chodzi o materiał brytyjski jako główną, naturalnie, treść nagrań. Uświadomiłem sobie, w jak wielu okolicznościach i miejscach ludzie są nagrywani i filmowani albo zachodzi taka możliwość: na początek w każdej niemal sytuacji, gdy – by tak powiedzieć – poddajemy się jakiejś próbie albo egzaminowi i gdy o coś się staramy, czy to będzie praca, pożyczka, szansa, przysługa, zapomoga, rekomendacja czy alibi. No i łaska oczywiście. Zobaczyłem, że ilekroć o coś prosimy, jesteśmy całkowicie zdani, niemal sprzedani na łaskę tego, kto może czegoś udzielić, coś przyznać lub czegoś odmówić. A dzisiaj rejestruje się nas, uwiecznia w chwili największej unizoności, albo jeśli ktoś woli, największego upokorzenia. Ale w każdym miejscu publicznym czy półpublicznym najbardziej szokujące i skandaliczne były pokoje hotelowe, człowiek liczy się już z tym, że zostanie sfilmowany w banku, sklepie, na stacji benzynowej, w kasynie, na terenie sportowym, na parkingu, w budynku rządowym.

Rzadko uprzedzano mnie zawczasu, na co powinienem zwrócić uwagę, na jakie cechy charakteru, czy powinienem ocenić stopień szczerości, czy w przypadku każdej osoby lub twarzy powinienem odgadnąć jakieś konkretne zamiary, to znaczy nie mówiono mi tego zawczasu, kiedy brałem taśmy do domu. Nazajutrz albo po kilku dniach odbywało się poświęcone temu spotkanie z Mulryanem lub Tuprą, lub z oboma naraz, wtedy pytali mnie o wszystko, co ich interesowało, czasami o jeden maleńki szczegół, innym razem bardzo obszernie, nie było reguł, odnosili się do postaci występujących w nagraniach, używając ich nazwisk, jeśli takowe widniały na taśmach lub były bardzo znane, więc oczywiste, albo posługując się przypisanymi postaciom literami i cyframi: „Uważa pan, że Mr Stuart ponownie oszukuje urząd podatkowy mimo wcześniejszej skruchy?”

Złapano go na tym pięć lat temu, zawarto porozumienie, zapłacił więcej, niż wynosiła wymagana kwota, żeby zaoszczędzić sobie problemów. Może uważa, że teraz nikt go nie będzie podejrzewał?"; „Czy sądzi pan, że FH6, ubiegając się u Barclaysa o kredyt, miał zamiar go zwrócić? A może wcale nie miał zamiaru? Trzeba panu wiedzieć, że kredyt mu przyznano, ale o nim wszelki śluch zaginął trzy miesiące temu”. Odpowiadałem wedle własnego przekonania i możliwości i przechodziliśmy do następnego pytania, tak się działo w najkrótszych, najbardziej praktycznych i prozaicznych sprawach. Większość spraw była jednak inna, nieuchwytna i skomplikowana, często zagmatwana, a nawet eteryczna, ryzykowna do interpretacji, podobna bardziej do spraw analizowanych w swoim czasie przez Wheelera, który powiedział, a raczej dał mi do zrozumienia, że i mnie przyjdzie się z takimi wcześniej czy później zmierzyć, choć teraz nie było wojny. Przy tej większości spraw faktycznie potrzebne było coś, co nazwał beztróska – jakby w zamiarze odebrania podniosłego charakteru dwóm na pierwszy rzut oka sprzecznym albo wcale niesprzecznym sformułowaniom – „odwagą, żeby zobaczyć” oraz „nieodpowiedzialnością widzenia”. Przez długi czas znacznie bardziej brakowało mi „nieodpowiedzialności widzenia”, lecz w końcu przywykłem i przestałem się przejmować. A wtedy... Wtedy, to prawda, nadeszła wielka nieodpowiedzialność.

To jednak Wheeler owej niedzieli w Oksfordzie zainicjował ten proces przyzwyczajania się, kiedy to rozmawiał ze mną również o mnie. Albo może był to Toby Rylands, który rozmawiał wcześniej z Wheelerem na mój temat i wskazał na mnie jako kogoś podobnego do siebie, ulepionego z tej samej gliny co oni dwaj. Choć nie, to nie był Rylands, sprawy nie ulegają zmianie na skutek słów wypowiedzianych na czyjś temat bez jego wiedzy – nie zmieniają nic w naszej głowie – lecz na skutek tego, co ktoś nam powie o nas, autorytarnie lub tylko z naciskiem, prosto w twarz, co ten ktoś odkryje i wyjaśni, po czym skłoni nas, byśmy w to uwierzyli. Takie

niebezpieczeństwo czyha na artystów i polityków, na każdego, czyja działalność jest oceniana i interpretowana przez innych. Reżysera filmowego, pisarza, muzyka zaczyna się nazywać geniuszem, znakomitością, odnowicielem, gigantem, nietrudno mu zatem zgodzić się na taką możliwość. Uświadamia sobie własną wartość i opada go strach, że się jej sprzeniewierzy albo – co jeszcze bardziej śmieszne i nonsensowne, ale nie da się tego inaczej powiedzieć – że nie dorówna sobie, to znaczy komuś, kim jak się okazuje, był – teraz mu to mówią, teraz zdaje sobie z tego sprawę – w swym wybitnym poprzednim utworze. „A więc to nie dzieło przypadku ani mojej intuicji, ani nawet mojej wolności”, może sobie myśleć. „W tym co robiłem, była jednak jakaś spójna myśl i zamysł, dowiedzieć się o tym to zaszczyt, ale i przekleństwo. Ponieważ teraz już nie mam wyjścia, muszę się tego trzymać i nigdy już nie schodzić poniżej tego przekłętą poziomu, inaczej stracę we własnych oczach, co za koszmar, jaki straszny wysiłek i w jakiej beznadziejnej sytuacji stawia mnie to na przyszłość”. To samo może spotkać każdego, choćby ani jego praca, ani nazwisko nie były publicznie znane, wystarczy, że raz usłyszy prawdopodobnie brzmiące wytłumaczenie własnych skłonności lub zachowania, posiadający moc zaklęcia opis własnych czynów lub analizę własnego charakteru, ocenę własnej metody – dowie się, że takowa istnieje i jest mu przypisana – a już traci swój błogosławiony zmienny kurs, nieprzewidywalny i niepewny, a wraz z nim swoją wolność. Mamy skłonność do myślenia, że istnieje jakiś ukryty, nieznan nam porządek, a także jakiś układ, do którego chcielibyśmy świadomie należeć, i jeśli mignie nam pojedyncze wydarzenie z tego układu, w którym dostrzegamy miejsce dla siebie albo tak nam się zdaje, jeśli pocujemy, że choćby na chwilę wciąga nas jego tryb, to łatwo może się zdarzyć, że już nigdy nie będziemy potrafili sobie wyobrazić siebie wyłączonych z tego niewyraźnie dostrzeganego, intuicyjnie wyczuwanego układu – dzieła naszej wyobraźni.

Nie ma nic gorszego niż poszukiwanie sensu albo przekonanie, że taki sens istnieje. A gdyby istniał, to jeszcze gorzej: koszmarna jest wiara, że sens czegoś, choćby najmniejszego szczegółu, będzie zależeć od nas albo od naszych działań, od celu, jaki sobie stawiamy, lub od naszej funkcji, wiara, że istnieje coś takiego jak wola, przeznaczenie, a nawet jakaś mozolna kombinacja jednego i drugiego. Nie ma nic gorszego niż wiara, że nie jesteśmy tylko wynikiem najbardziej zmiennego, zapominalskiego, błędzącego to tu, to tam i nieobliczalnego trafu i że można spodziewać się po nas czegoś, co będzie konsekwencją tego, co zrobiliśmy albo powiedzieliśmy wczoraj, albo przedwczoraj. Wiara, że możemy mieć w sobie spójność i zamysł, tak jak artysta wierzy, że są w jego twórczości, a człowiek wpływowy, że są w jego decyzjach, ale tylko wówczas, gdy ktoś ich wcześniej przekona, że istotnie tam są.

Wheeler rozpoczął od początku, jeżeli jest w ogóle jakiś początek. Tak czy owak tamtego niedzielnego poranka, kiedy wstałem później, niż zamierzałem, a na pewno później, niż on się spodziewał, nie wdawał się już w żadne wstępy, w żadną zwłokę ani owijanie w bawełnę, w takiej mierze, ma się rozumieć, w jakiej potrafił zrezygnować z tych stałych charakterystycznych cech swego myślenia i prowadzenia rozmowy. Niekompletne słowa, jakie miał do dyspozycji, żeby opowiedzieć to, co zamierzał, gwarantowały, jak przypuszczam, dostateczną tajemniczość i ograniczenie. Kiedy pojawiłem się na schodach, źle ogolony (jeden szybki ruch maszynką, żeby poprawić wygląd, a przynajmniej nie wyglądać odrażająco) i zaspany, od razu poprosił mnie z naciskiem o zajęcie miejsca naprzeciw siebie i po prawej stronie pani Berry siedzącej u szczytu stołu, przy którym oboje właśnie zjedli śniadanie. Począł, aż pani Berry naleje mi uprzejmie kawy do filiżanki, ale już nie pozwolił mi jej wypić i trochę dojść do siebie. Na pustej części stołu, nie przykrytej obrusem i nie zastawionej talerzami, filiżankami, marmoladami i owocami, leżała otwarta

duża gruba księga, książki na każdym kroku. Wystarczyło, żebym rzucił w jej kierunku ukradkowe spojrzenie (siła przyciągania słowa drukowanego), by Peter powiedział tonem przynaglającym pewnie dlatego, że tak późno wstałem, czego nie wziął w rachubę:

– Na co czekasz, sięgnij. Jest tu dla ciebie.

Przysunąłem do siebie książkę, ale nim zajrzałem do środka, przymknąłem ją – przytrzymując w środku palec – żeby zerknąć na grzbiet i zorientować się, co to jest.

– „Who’s Who”? – spytałem retorycznie, ponieważ książka z intensywnie czerwoną okładką była niewątpliwie „Who’s Who”, spisem najwybitniejszych nazwisk, tegorocznym wydaniem brytyjskim.

– Tak, „Who’s Who”, Jacobo. Nigdy ci z pewnością nie przyszło do głowy, żeby mnie w nim poszukać. Otworzyłem na stronie z moim nazwiskiem. Przeczytaj, co tam napisane, bądź tak miły.

Spojrzałem posłusznie, przebiegłem wzrokiem, było tam kilku Wheelerów, sir Mark i sir Mervyn, niejaki Muir Wheeler i czcigodny sir Patrick oraz wielebny Philip Welsford Richmond Wheeler, między dwoma ostatnimi figurował on, „Wheeler, prof. sir Peter”, a obok, w nawiasie, widniał dopisek, którego w pierwszej chwili nie rozumiałem: „(Edward Lionel Wheeler)”. Po dwóch sekundach przypomniałem sobie, że Peter zwykł podpisywać swoje teksty jako „P. E. Wheeler”, litera E odpowiadała Edwardowi, nawias zatem podawał imiona i nazwisko w ich pełnym oficjalnym brzmieniu.

– Lionel? – zdziwiłem się. Ponownie zadałem pytanie retoryczne, choć niezupełnie. Zaskoczyło mnie to trzecie imię, zawsze uważałem, że pasuje raczej do aktora, na pewno przez wzgląd na Lionela Barrymore’a i na Lionela Atwillę, który grał profesora Moriarty’ego, zaprzysięgłego wroga Sherlocka Holmesa granego przez wielkiego Basila Rathbone’a. I ze względu na Lionela Standerę, prześladowanego w Ameryce przez senatora



McCarthy'ego i zmuszonego do emigracji do Anglii, żeby móc normalnie pracować (i do stania się przyszywanym Anglikiem). Przypomniałem sobie jeszcze Lionela Johnsona, ale ten był poetą zaprzyjaźnionym z Wilde'em i Yeatsem, i przodkiem Johna Gawsortha wedle słów tego ostatniego (pod tym pseudonimem literackim ukrywał się Terence Ian Fytton Armstrong, zakamuflowany pisarz, żebrak i król, na którego punkcie miałem lekką obsesję przed laty, kiedy uczyłem w Oksfordzie: ta chełpliwie przypisywana sobie parantela rozciągała się oczywiście również na przedstawicieli jakobickiej szlachty, czyli na Stuartów, i na Bena Jonsona, dramaturga współczesnego Szekspirowi, oraz na przypuszczalny pierwowzór „*dark lady*”, damy z szekspirowskich sonetów, czyli kurtyzany Mary Fitton). – Lionel? – powtórzyłem z leciutką kpina w głosie, od razu zauważoną przez Wheelera.

– Tak, Lionel. Nigdy tego imienia nie używam. I co z tego? Nie zajmuj się głupstwami, nie o to chodzi, chcę, żebyś zobaczył co innego. Czytaj dalej.

Wróciłem do noty biograficznej, lecz przeczytawszy dane dotyczące jego urodzenia, musiałem przerwać i ponownie uniosłem wzrok. Dane były następujące: „Urodzony 24 października 1913 r. w Christchurch, Nowa Zelandia. Starszy syn Hugo Bernarda Rylandsa i Rity Muriel, z domu Wheeler” – „z domu” było napisane z francuska, „*née*” – „na podstawie aktu notarialnego przyjął oficjalnie nazwisko Wheeler w 1929 r.”.

– Rylands? – tym razem w moim pytaniu nie było nic retorycznego, tylko spontaniczne i szczerze osłupienie. – Rylands? – powtórzyłem. W oczach musiałem mieć niedowierzanie i może też cień wyrzutu. – To pewnie nie jest... nie, to nie może być zbieg okoliczności, prawda?

Spojrzenie Wheelera zawierało w sobie zniecierpliwienie i cierpliwość równocześnie albo sprzeciw i paternalizm, jakby się spodziewał, że zatrzymam się przy tym fakcie, przy niespodziewanym nazwisku ojca,

Rylands, i jakby akceptował lub rozumiał moją reakcję, ale jakby cała ta sprawa go nudziła bądź jakby postrzegał ją jako uciążliwy obowiązek przed przystąpieniem do tematu, który chciał poruszyć. Sądząc po jego minie, wolałby powiedzieć: „Nie o to chodzi, chcę, żebyś zobaczył coś innego, Jacobo. Czytaj dalej”. Właściwie mniej więcej odpowiedział w taki sposób, lecz nie od razu, miał dla mnie trochę poważania. Nie mógł się jednak powstrzymać od podjęcia delikatnej próby uchronienia się przed moimi wyrzutami:

– Och, daj spokój. Chyba mi nie powiesz, że nic nie wiedziałeś.

– Peter!... – W moim tonie zabrzmiało poważne ostrzeżenie i bardzo wyraźna pretensja, takim tonem zwracałem się do dzieci, kiedy uporczywie udawały, że nie wiedzą, o co je proszę.

– No dobrze, już dobrze. Myślałem, że wiesz, przysięgłbym, że wiesz. Prawdę mówiąc, bardzo mnie dziwi, że nie wiedziałeś.

– Bardzo pana proszę, Peter: nikt o tym nie wie, przynajmniej w Oksfordzie. A jeżeli wiedzą, to milczą, zachowali niezwykłą dyskrecję. Uważa pan, że Aidan Kavanagh albo Cromer-Blake, Dewar albo Rook, albo Carr, Crowther-Hunt czy Clare Bayes nic by mi nie powiedzieli, gdyby któreś z nich wiedziało? – Byli to moi przyjaciele lub tylko koledzy z czasów oksfordzkich, wśród nich więksi i mniejsi plotkarze. Clare Bayes była również moją kochanką, dawno jej nie widziałem, nie miałem wiadomości o niej ani o jej synu, Ericu, który musiał już dorosnąć. Może wcale by mi się nie spodobała ta dawna kochanka, gdybym ją teraz zobaczył. Ani ja jej także. Lepiej się nie widzieć, tak lepiej. – Czy pani wiedziała, Mrs Berry?

Pani Berry troszkę się wystraszyła, ale zaraz odpowiedziała bez wahania:

– Tak, wiedziałam. Proszę jednak mieć na względzie, że pracowałam dla obu braci, Jack. Poza tym nie mam w zwyczaju opowiadać. – Ona też, podobnie jak wszyscy Anglicy, dla których kłopotliwa jest wymowa

imienia Jacques, a nie znają hiszpańskiego, by zamienić je na Jaime albo Jacobo, albo Diego, nazywała mnie zawsze Jack (przez fonetyczne podobieństwo), czyli zdrobnieniem od imienia John lub Juan, nie od imienia James. Kiedy Tupra i Mulryan przestali mówić do mnie „Mr Deza” (bardzo szybko), nazywali mnie również Jack. Rendel nie, on nigdy się z nikim nie spoufalał, przynajmniej nie w budynku bez nazwy i widocznej funkcji. A młoda Nuix, podobnie jak Luisa, wybrała Jaime, niekiedy zwracała się do mnie tylko po nazwisku, Deza, i nic więcej, również tak samo jak Luisa.

– Bracia – mruknąłem, a powtarzając, zdołałem tym razem zmienić tonację na pytającą: – Bracia? Dobrze pan wie, Peter, że nic o tym nie wiedziałem. Nie wiedziałem nawet, że jest pan Nowozelandczykiem z pochodzenia, po raz pierwszy napomknął mi pan o tym kilka dni temu przez telefon. – Mówiąc, błyskawicznie przypomniałem sobie Rylandsa, czasami przywołuje się wspomnienia z zastraszającą szybkością. – A więc Toby – przypominałem sobie – mówiono o nim, że urodził się w Południowej Afryce, a kiedy przy jakiejś okazji wspomniał mimochodem, że do siedemnastego roku życia nie opuszczał Afryki, przyjąłem to za pewnik. W tym samym wieku pan tu przyjechał, to właśnie po raz pierwszy powiedział pan mimochodem w trakcie tej niedawnej rozmowy telefonicznej. Teraz się dowiem, że byli panowie bliźniakami, co?

Wheeler znowu popatrzył na mnie w milczeniu, w jego oczach wyczytałem, że nie jest skłonny wysłuchiwać wyrzutów ani cienkiej ironii, nie tego ranka, co innego miał w głowie albo w repertuarze przygotowanym na ten występ.

– No cóż, jeżeli istotnie nie wiedziałeś... Przypuszczam wobec tego, że nigdy sam mnie o to nie spytałeś – rzekł – a nie ja to przed tobą zataiłem. Możliwe, że Toby tak wolał, może on to przed tobą zataił. Ja nie. Z drugiej strony nie widzę powodu, dla którego miałbym być zobowiązany

poinformować cię o tym. – Powiedział to zdanie tym samym tonem usprawiedliwienia, bez żadnej zmiany; ale ja zmianę wychwyciłem, rozpoznałem ją: powiedział to zdanie, żeby mnie zatrzymać. – Nie, nie byliśmy bliźniakami. Byłem o niecały rok starszy. Teraz jestem dużo więcej starszy.

Znałem Wheelera – kiedy był z czegoś niezadowolony albo zaczynał dawać wymijające odpowiedzi, wszelkie naleganie było stratą czasu, możliwe nawet, że wprawiało go w irytację, bo to on zawsze decydował, o czym się mówi.

– Zrobi pan, co zechce, Peter. Jeśli będzie pan tak dobry i zechce mi to wyjaśnić, zamieniam się w słuch, cały jestem jedną wielką ciekawością i jednym wielkim zainteresowaniem. Przypuszczam, że to właśnie miałem przeczytać w „Who’s Who”, ufam więc, że wyjaśni mi pan dlaczego. Mam na myśli, dlaczego właśnie teraz.

– Ach nie, wcale nie – odpowiedział. – Byłem przekonany, że o tym wiesz, zapewniam cię, w przeciwnym razie nie ryzykowałbym, że ugrzęźniemy teraz w tym temacie. Nie. Chcę porozmawiać z tobą o czym innym, choć pośrednio będzie to miało coś wspólnego z Tobym, coś wspólnego będzie miało. Wczoraj wieczorem, jeżeli sobie przypominasz, odłożyłem na dzisiaj porozmawianie o pewnej sprawie. Czytaj dalej, proszę, jeszcze nie skończyłeś, bądź taki miły. – I władczo palcem wskazującym, który ruszał się w górę i w dół, jakby żył własnym życiem (a naraz opadł jak kamień), dotknął grubego tomu, który leżał przede mną otwarty.

– Peter, teraz nie może mnie pan tak zostawić – ośmieliłem się zaprotestować.

– To samo potem wyjdzie, Jacobo, nic się nie martw, dowiesz się. Ale to banalna historia, będziesz rozczarowany. No, czytaj dalej. Na głos, bardzo

cię proszę. Nie chcę, żebyś czytał to nudziarstwo do samego końca. Powiem ci, kiedy skończyć.

Wróciłem do noty biograficznej, zacząłem od następnego punktu: „*Education*”, czyli wykształcenie. Czytałem na głos po angielsku, ale pomijając niezrozumiałe dla siebie skróty i akronimy.

– „*Cheltenham College; Queen’s College, Oxford; Lecturer of St John’s College, 1935-45. Enlisted, 1940*”. – Nie mogłem się przy tym nie zatrzymać, zaraz na początku, mimo że Wheeler nie dał mi jeszcze znaku. – Zaciągnął się pan do wojska w czterdziestym roku, nie wiedziałem. Widzę w dodatku, że nigdzie nie pojawia się rok trzydziesty szósty. Może to wówczas przebywał pan w Hiszpanii? Z Brytyjczyków, którzy tam pojechali, wielu wróciło w połowie trzydziestego siódmego roku, wystraszonych albo rannych, nie dali rady, między innymi George Orwell. – W tej chwili przypomniałem sobie, że w indeksach osobowych przeglądanych nocą książek szukałem też na wszelki wypadek nazwiska Rylands, bez powodzenia, podczas wojny w moim kraju nie mógł się zatem nazywać Peter Wheeler albo nie było to jego prawdziwe nazwisko. A może było, ale niczego ważnego na tej wojnie nie dokonał, nie zasłużył więc na późniejsze wzmianki w książkach historycznych, a ja tylko dla rozrywki wyobraziłem sobie, że było inaczej.

Wheeler odpowiedział na moje niestosowne pytanie, jakby czytał w moich myślach.

– Wielu nigdy nie wyjechało, pozostali tam wystraszeni i ranni. Ciężko ranni, na śmierć – odparł. – Teraz jednak dajmy spokój wojnie w Hiszpanii, nawet jeżeli zanurzyłeś się w niej bardzo głęboko zeszłej nocy, bardzo cię proszę. Prawie nikt nie używał tam własnego imienia i nazwiska, niewielu robiło to też w czasie drugiej wojny światowej. Jak pewnie pamiętasz, Orwell także nie nazywał się George Orwell. – Nie pamiętałem tego, co on od razu spostrzegł i dodał: – Nie? Naprawdę nazywał się Blair, Eric Blair,

znałem go trochę w czasie wojny, pracował w indyjskiej sekcji BBC. Eric Arthur Blair. Urodził się w Bengalu, w młodości mieszkał w Birmie, dobrze znał Wschód. Był dziesięć lat ode mnie starszy. Ja jestem teraz dużo starszy od niego. Zmarł młodo, to wiesz, nie dociągnął nawet do pięćdziesiątki. – Jeszcze jeden, pomyślałem, następny cudzoziemski Brytyjczyk albo przyszywany Anglik. – No dobrze, a teraz czytaj dalej, inaczej nigdy nie porozmawiamy o tym, o czym trzeba porozmawiać.

– Proszę wybaczyć, Peter – odparłem i przeczytałem: – „*Commissioned Intelligence Corps, December 1940; Temporary Lieutenant-Colonel, 1945; specially employed in Caribbean, West Africa and South East Asia, 1942-46. Fellow of Queen’s College, 1946-53...*”.

– Dosyć. – „*That’s enough*” rozległo się po angielsku, w języku, w którym prowadziliśmy rozmowę, żeby nie zachowywać się nieuprzejmie wobec pani Berry, trochę mnie dziwiło, że nie zostawiła nas samych, na ogół wychodziła nawet przy bardziej konwencjonalnych rozmowach, do niczego w każdym razie nie zmierzających, jeszcze nie wiedziałem, do czego ta zmierza. A więc to chciał mi pokazać Wheeler: „Skierowany do Korpusu Informacji w 1940 r.” (dzisiejsi kiepscy tłumacze powiedzieliby: „Korpusu Wywiadu”, wszystko jedno, oba terminy odnoszą się do Tajnej Służby Wywiadu, MI5 i MI6 – litery oznaczają *Military Intelligence*, w opinii niektórych te słowa są wzajemnie sprzeczne – brytyjskiego odpowiednika sowieckich GPU, OGPU, NKWD, MGD, KGB, niezliczone nazwy na przestrzeni lat: MI5 do zadań wewnątrz kraju, MI6 do zadań za granicą, pierwsza skupiona na sprawach krajowych, druga na sprawach międzynarodowych); „Krótka w 1945 r. podpułkownik; zadania specjalne (czyli „misje”) na Karaibach, w Afryce Zachodniej i w Azji Południowo-Wschodniej w latach 1942-1946”. To właśnie przeczytałem. – Reszta, czyli moje zasługi, publikacje, stanowiska, bla, bla, bla, nas teraz nie obchodzi – dorzucił.

– Toby również był w MI5, tak się mówiło, kiedy uczyłem w Oksfordzie – przypominałem sobie. – Prawdę mówiąc, sam mi to kiedyś potwierdził.

– Mówił ci o tym? – zapytał Wheeler. – To dziwne, nawet bardzo, byłeś pewnie jednym z niewielu, z którymi o tym rozmawiał. On pracował raczej w MI6, obaj w nim byliśmy podczas wojny, jak niemal wszyscy z Oksfordu i z Cambridge, to znaczy wszyscy, którzy mieli odpowiednie wykształcenie i odwagę, i znali języki, w dodatku pewnie nie byłoby z nas większego pożytku na froncie, choć niektórych i to doświadczenie nie ominęło. Wkrótce powołanie albo wcielenie do MI6 albo SOE przestało być czymś szczególnym, poza tym zaczęli mianować nas na odpowiedzialne stanowiska i zlecać nam ważne zadania. – Zorientował się, że nie wiem, co znaczy ostatni skrót, wyjaśnił więc: – *Special Operations Executive*, grupa istniała tylko w czasie wojny, między czterdziestym i czterdziestym piątym rokiem. Nie, skłamałem, została rozwiązana w czterdziestym szóstym. Naprawdę i całkowicie, choć nic co istnieje, nie ulega nigdy prawdziwemu i całkowitemu demontażowi, tak przypuszczam. To byli egzekutorzy, w dodatku dosyć brutalni: MI6 zajmował się i zbieraniem informacji, i wywiadem, możesz to nazwać szpiegostwem i rozmyślnym oszustwem; SOE zajmował się sabotażem, dywersją, morderstwami, niszczeniem, terrorem.

– Morderstwami? – Obawiam się, że na dźwięk tego słowa, bardziej nawet niż idącego z nim w parze słowa „terror”, człowiek nigdy nie potrafi się powstrzymać i milczeć.

– Oczywiście. Załatwili na przykład w czterdziestym drugim roku Heydricha, hitlerowskiego protektora Czech i Moraw, to był jeden z ich największych wyczynów, pękali z dumy. Ostrzelali i obrzucili granatami jego samochód dwaj czescy członkowie ruchu oporu, ale cała akcja została zaplanowana i zorganizowana przez pułkownika Spoonera, jednego z szefów SOE. Z małą wyobraźnią, na podstawie złych rachub

i z przeciętnym wykonaniem, to pewne, mogłeś gdzieś słyszeć o tej operacji albo widzieć ją w jakimś filmie, nie wiem, na ile interesujesz się drugą wojną światową. Heydrich nie zginął na miejscu, jak powinno było się stać, Niemcy uważali, że się z tego wyliże, i każdego dnia jego rekonwalescencji (która była agonią, jak się potem okazało) rozstrzeliwali w odwecie stu zakładników o zmierzchu. Umierał tydzień, wyobrażasz sobie, a mówi się, że umarł w końcu od zawartej w kulach trucizny, która powoli, ale skutecznie dokończyła dzieła. To znaczy taka jest niemiecka wersja, że naboje były nasączone jadem kiełbasianym sprowadzonym z Ameryki przez SOE, nie wiem, może to lekarze niemieccy się nie popisali i chcąc ocalić skórę, sami to wymyślili. Ale jeżeli ta historia jest prawdziwa i Frank Spooner rzeczywiście kazał zatruć amunicję, to mogli byli wymyślić coś szybszego i bardziej piorunującego, prawda? Może kurarę, jak Indianie przy zatrąwaniu strzał i dzid, nie myślisz? – Wheeler zaśmiał się krótko, bez radości: jego śmiech po raz pierwszy przypomniał mi śmiech Rylandsa, krótki i suchy, nieco diaboliczny, nie z przydechem (ha, ha, ha), lecz zwarto-wybuchowy, z wyraźną, zwyczajowo dźwiękową po angielsku spółgłoską t: *Ta, ta, ta. Ta, ta, ta.* – Jasne, szybciej czy wolniej, wyszłoby na to samo. Kiedy Heydrich w końcu umarł, naziści wymordowali całą ludność Lidic, miejscowości, w której wylądowali na spadochronach agenci SOE dowodzący całą operacją *in situ*. Nikt nie ocalał, ale to im nie wystarczyło, zamienili to miejsce w kupę gruzów, zrównali je z ziemią, wymazali z mapy, dziwny był ten ich zmysł przestrzenny, coś chorobliwego ta ich niechęć do miejsc, jakby wierzyli w *genius loci*, nienawiść przestrzenna. – Miał to również Franco, pomyślałem; a najbardziej nienawidził mego miasta, Madrytu, bo Madryt go nie chciał ani nie poddał mu się do końca. – Ludzie z SOE byli nieco ograniczeni, często podejmowali działania, nie oceniwszy uprzednio, czy ich skutki kompensują koszty. Niektórzy żołnierze ich nie cierpieli, gardzili nimi.



Kilka miesięcy temu przeczytałem w książce Knightleya, że sir Artur Harris, szef Dowództwa Bombowego, zarzucał im amatorszczyznę, ignorancję, nieodpowiedzialność i zakłamanie. Inni wyrażali się jeszcze gorzej. Pożytek z nich był w gruncie rzeczy psychologiczny, a to nie do pogardzenia: wiedza o ich istnieniu i bohaterских wyczynach (były bardziej legendą niż prawdą) podnosiła morale ludności w krajach okupowanych, przypisywano im tym samym nieistniejące możliwości, dużo większą inteligencję, niezawodność i przebiegłość niż te, jakimi kiedykolwiek się wykazali. Popełniali mnóstwo błędów, nie mam wątpliwości, ale ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, wszyscy to wiemy, i we wszystko można uwierzyć we właściwym czasie. Na czym to stanęliśmy? Dlaczego mówiliśmy na ten temat?

– Opowiadał mi pan o ludziach z Oksfordu i z Cambridge, którzy wstępowali do MI6 albo do SOE. – Wystarczy, że ktoś ci wspomni i wyjaśni nieznaną dotąd nazwę, a już posługujesz się nią ze znanostwem. Wheeler powiedział to samo zdanie co Tupra: „We wszystko można uwierzyć we właściwym czasie”, zastanawiałem się, czy to jakieś znane przez nich obu hasło. Podczas gdy Wheeler mówił, ja rzucałem wzrokiem na dalszy ciąg dotyczącej go noty biograficznej, który już nas nie obchodził: człowiek wyróżniony wieloma zaszczytami i odznaczeniami, hiszpańskimi, portugalskimi, brytyjskimi, amerykańskimi, komandor Orderu Izabeli Katolickiej, Orderu Infante Dom Henrique. Wśród jego publikacji spostrzegłem pracę z 1955 roku zatytułowaną: „The English Intervention in Spain and Portugal in the time of Edward III and Richard II”. Całe życie bada ingerencje swego kraju za granicą, pomyślałem, poczynając od XIV wieku, od Czarnego Księcia, może to praca w MI6 obudziła w nim takie zainteresowania. – Powiedział pan, że Toby pracował w MI6.

– Ach tak. Już wiem. Słyszałeś o naszej szczególnej reputacji: mamy opinię ludzi przygotowanych, z kwalifikacjami do prowadzenia każdej w zasadzie działalności, związanej i nie związanej z naszym wykształceniem czy dyscypliną. Cóż, od tyłu stuleci ten uniwersytet wpływa poprzez swych absolwentów na rządzenie krajem, że nie mogliśmy odmawiać współpracy w chwilach, gdy byliśmy najbardziej potrzebni. Nie mieliśmy zresztą wielkiej możliwości wyboru, czasy były wojenne. Chociaż byli tacy, którzy odmówili. I płacili za to wysoką cenę. Przez całe życie. Byli też podwójni agenci i byli zdrajcy, słyszałeś pewnie o Philbym, Burgessie, Macleanie i Bluncie, o związanej z nimi aferze, która wychodziła na jaw powoli przez całe lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, a i jeszcze w siedemdziesiątych, o Bluncie nic nie wiadano do siedemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to pani Thatcher złamała odziedziczony pakt, podała do wiadomości publicznej to, co Blunt wyznał w tajemnicy piętnaście lat wcześniej, i tym samym ostatecznie go pogrążyła, został pozbawiony wszelkiej własności, poczynając, co żalossne, od szlacheckiego tytułu „sir”. Przy tylu osobach zwerbowanych na naszych uniwersytetach trudno się dziwić, że trafiło się czterech zdrajców, na szczęście wszyscy byli z tej drugiej uczelni, nie z naszej, od pół wieku jest to cichy argument na naszą korzyść. – Tu także, pomyślałem, rywalizacja między miejscami. – No tak, czterech: Czterej Sławni z Koła Pięciu, ale było takich dużo, dużo więcej. – Nie zrozumiałem, co miał na myśli: „*The Four of Fame from the Ring of Five*”, tak właśnie powiedział po angielsku. Tym razem nawet miną nie zdradziłem się ze swoją niewiedzą, nie chciałem, by przerywał ponownie swój wywód. „*Ring*” mogło równie dobrze oznaczać „pierścień”. – Ja wstąpiłem, Toby wstąpił, podobnie jak wielu, wielu innych, to było powszechne nawet po wojnie, zawsze potrzebowali rozmaitych ludzi i szukali ich w najlepszych miejscach, najbardziej do tego wskazanych. Potrzebowali zawsze lingwistów,

specjalistów od łamania szyfrów, ludzi znających języki: nie sądzę, by w Zakładzie Slawistyki był ktoś, kto przy takiej czy innej okazji nie udzielił im pomocy. Nie w terenie, oczywiście, nie chodziło o żadne misje, każdy spec od języków słowiańskich był zanadto naznaczony swoim zawodem, by być użytecznym w terenie, wysłanie kogoś takiego to jak wysłanie szpiega z wielkim napisem na czole: „Szpieg”. Potrzebowali ich jednak do tłumaczeń pisemnych, do tłumaczenia rozmów, łamania szyfrów, ustalania autentyczności nagrań, szlifowania akcentów, do prowadzenia podsłuchów i przesłuchań na Vauxhall Cross albo na Baker Street. Przed upadkiem muru oczywiście, teraz już nie są tak bardzo potrzebni, teraz przyszła kolej na arabistów i znawców islamu, którzy jeszcze nie zdają sobie sprawy, co ich czeka, nie będą mieli chwili spokoju. – Przypomniał mi się wtedy ten uparciuch Rook, wieczny tłumacz Tołstoja, rzekomy i nieprawdopodobny przyjaciel Vladimira Nabokova, i Dewar Rozpruwacz, Rzeźnik, Młot i Inkwizytor (biedny cierpiący na bezsenność Dewar, jakie niesprawiedliwe miał przydomki), był hispanistą, ale jak odkryłem, czytał po rosyjsku Puszkina, na głos lub po cichu, zachwycając się jego strofami jambicznymi. Starzy znajomi z miasta Oksford, gdzie mieszkałem dwa lata, ale zawsze tylko chwilowo, niemal ze wszystkimi zerwałem kontakt po powrocie do Madrytu. Cromer-Blake i Rylands, z którymi najbardziej się zaprzyjaźniłem, nie żyją. Clare Bayes wróciła do męża, Edwarda Bayesa, a może ma nowego kochanka, w każdym razie nie ma już miejsca dla mnie jako przyjaciela, nie ma na to usprawiedliwienia, nasza dawna zażyłość była tajemnicą. Sporadyczny kontakt utrzymywałem z Kavanaghem, szefem mojego zakładu, wesołym człowiekiem i wielkim hipochondrykiem, może dlatego pisał pod pseudonimem swoje powieści grozy, takie dwie różne formy przyjmowało jego uzależnienie od strachu. I Wheeler. Ale w gruncie rzeczy on był znajomym z okresu po moim pobycie w Oksfordzie, swego rodzaju spadkiem po Rylandsie i jego następcą,

zastępcą Rylandsa albo jego zmiennikiem w moim życiu, teraz dowiadywałem się o rodzinnym charakterze tego spadku i sukcesji. Wheeler się zamyślił (może użalał się nad jakimś znajomym arabistą i nieuchronnie gotowaną mu przez MI6 dolą), a potem wrócił do poprzedniej kwestii: – Bardzo dziwne, że Toby poruszył z tobą tę sprawę. Nie lubił tego wspominać, nie chciał, żeby o tym wiedziano. Prawdę mówiąc, ja też nie lubię, nie wyobrażaj sobie, że zacznę ci teraz opowiadać o swoich przygodach na Karaibach, w Afryce Zachodniej albo w Azji Południowo-Wschodniej wedle nieprecyzyjnych sformułowań w „Who’s Who”. Co ci wówczas powiedział? Pamiętasz, jak to było?

Tak, pamiętałem, niemal słowo w słowo, przy żadnej innej okazji Rylands nie mówił do mnie z takim natężeniem, zatopiony we wspomnieniach i niemal nie panując nad potokiem swej wymowy. To pewne: nie lubił się dzielić z nikim swoimi wspomnieniami. Nie chciał, żeby wiedziano.

– Rozmawialiśmy o śmierci – odparłem. „Najgorsza w zbliżaniu się śmierci nie jest sama śmierć i to, co przynosi lub czego nie przynosi, lecz wiedza, że nie będzie już można snuć fantazji na temat tego, co ma nadejść”, powiedział Rylands, siedząc na krześle w swoim ogrodzie nad tą samą niespieszną rzeką, którą teraz mieliśmy przed oczyma, nad rzeką Cherwell o mulistej toni, tyle tylko że dom Rylanda położony był nad dzikszym odcinkiem rzeki, tajemniczym, nawet przyprawiającym jakoś o niepokój. Od czasu do czasu pojawiały się łabędzie, którym Rylands rzucał kawałki chleba.

– O śmierci? To też jest dziwne – powiedział Wheeler. – Dziwne, że mówił o tym Toby, w ogóle dziwne, by człowiek o tym mówił, a już na pewno wtedy, gdy spodziewa się swojej niedalekiej śmierci czy to z powodu choroby, czy też wieku. – Wheeler to ktoś, kto już się liczy ze śmiercią, pomyślałem, ale raczej przez rozum, nie ze względu na wiek.

– Cromer-Blake był już wtedy bardzo chory. Obawialiśmy się tego, co wkrótce się stało. Rozmowa na ten temat i o tym, jak niewiele zostało mu czasu, przywiodła Toby’ego do dokonania bilansu swego życia. – „Miałem, jak to się zwykło mówić, bogate życie, albo tak mi się wydaje”, powiedział Rylands. „Nie miałem żony ani dzieci, lecz było to życie poświęcone wiedzy, bo też wiedza była dla mnie ważna. Zawsze chciałem wiedzieć więcej niż przedtem, gdziekolwiek zechcesz umieścić to «przedtem», choćby dzisiaj, a nawet jutro”.

– I wtedy opowiedział ci, co wcześniej robił? Opowiedział ci o swoich przygodach? – zapytał Wheeler z lekkim, jak mi się zdawało, niepokojem w głosie, jakby mogło chodzić o coś jeszcze innego niż współpraca z MI6, która w Oksfordzie była w gruncie rzeczy czymś normalnym i na porządku dnia.

– Chciał mi powiedzieć, że przeżył w pełni swoje życie, że nie ograniczył się tylko do studiowania, zdobywania wiedzy i nauczania, jak mogłoby się wydawać – odparłem. „Także dlatego przeżyłem w pełni życie, że dużo się w nim działo i było zaskakujące”, powiedział wówczas Rylands. – Potwierdził wtedy krążące na jego temat pogłoski: potwierdził, że był szpiegiem, tego właśnie słowa użył. Wywnioskowałem, że należał do MI5, nie przyszło mi do głowy pomyśleć o MI6, może dlatego, że my, Hiszpanie, mniej o tym drugim wywiadzie wiemy.

– Więc to ci powiedział – w tonie jego głosu nie było pytania. – Tego użył słowa, hm – mruknął Wheeler podobnie jak wiele osób w Oksfordzie, nie wyłączając Rylandsa. – Hm. – Widziałem, że Peter zamyślił się i zaciekawiał, uznałem zatem, że nie po przyjacielsku i egoistycznie z mojej strony byłoby nie opisać mu szerzej kontekstu rozmowy, którą świetnie pamiętałem. Mogłem nawet zacytować *verbatim* słowa jego młodszego brata. – Hm – mruknął znowu.

– „Jak z pewnością słyszałeś”, powiedział, „byłem szpiegiem, podobnie jak wielu z nas. Możliwe, że to należy do naszych obowiązków. Ale nigdy nie byłem gryziopiórkiem, jak na przykład Dewar z twojego zakładu i jak w gruncie rzeczy większość, lecz pracowałem w terenie”. – W spojrzeniu Wheelera widziałem, że dostrzegł zbieżność pewnych słów użytych przez brata z tymi, których sam użył przed chwilą.

– Coś jeszcze powiedział? – spytał.

– Tak, mówił dłuższą chwilę, zupełnie jakby mnie tam nie było. Dodał też kilka rzeczy. Powiedział na przykład: „Byłem w Indii i na Karaibach.

Byłem też w Rosji. Robiłem rzeczy, o których nikomu już nie mogę opowiedzieć, bo dziś wydałyby się śmiechu warte i niewiarygodne. Dobrze wiem, co można opowiedzieć, a czego nie w zależności od konkretnej chwili. Poświęciłem życie na studiowanie tego w literaturze i nauczyłem się to rozpoznawać również w życiu”.

– Toby miał rację, są takie rzeczy, których już nie można opowiedzieć, albo z trudem, choć wydarzyły się naprawdę. Opowieści z wojny brzmią dziecinnie w czasach pokoju, sama oczywistość czegoś, co się wydarzyło, nie wystarcza, żeby o tym opowiadać, sama faktyczność zdarzenia nie gwarantuje, że można w nie uwierzyć. Bywa, że wraz z upływem czasu prawda staje się niewiarygodna, oddala się, zaczyna się wydawać zmyśleniem albo po prostu nie wydaje się już prawdą. Sam mam wrażenie, że różne zdarzenia, które przeżyłem, są czystą fikcją. To były ważne zdarzenia, ale biegnący czas zaczyna podawać je w wątpliwość, może nie tyle czas jednostkowy, nasz własny, ile nowe epoki, to nowe epoki umniejszają to co wcześniejsze, to czego same nie widziały, nie wiem, zupełnie jakby o to, co zdarzyło się wcześniej, były zazdrosne. Często terażniejszość infantylizuje przeszłość, ma tendencję do przemieniania przeszłości w wytwór wyobraźni, w coś błahaego, i tym sposobem odbiera nam ją, psuje. – Przerwał na chwilę i skinął przyzwalająco głową na widok papierosa, którego niepewnie włożyłem do ust po wypiciu kawy (nie wiedziałem, czy nie będzie im przeszkadzał dym o tak wczesnej porze). Spojrzał przez okno na rzekę, na jej odcinek bardziej cywilizowany i harmonijny niż ten obok domu Toby’ego Rylandsa. Wyzbył się na chwilę wszelkiego pośpiechu i całej niecierpliwości, tak bywa, kiedy wspomina się zmarłych. – Kto wie, może po części z tego powodu umieramy, bo zostaje anulowane wszystko, cośmy przeżyli, a wówczas tracą ważność nawet nasze wspomnienia. Najpierw tracą ważność nasze doświadczenia. Potem również wspomnienia.

– We wszystko można również n i e uwierzyć we właściwym momencie, otóż to, prawda?

Wheeler uśmiechnął się leciutko, jakby ze smutkiem. Nie uszło jego uwagi, że odwróciłem wypowiedziane przez niego chwilę wcześniej zdanie, możliwe, że wspólną dewizę jego i Tupry, jeżeli istotnie była to jakaś dewiza, a nie przypadkowa zbieżność myśli, jeszcze jedno podobieństwo między nimi dwoma.

– A mimo wszystko ci opowiedział – mruknął Wheeler, miałem wrażenie, że w jego głosie nie tyle usłyszałem obawę, ile jakiś fatalizm, pogodzenie się z porażką albo rezygnację, krótko mówiąc, kapitulację.

– To nie jest takie pewne, Peter. Opowiedział mi i nie opowiedział. Chociaż chwilami pogrążał się w myślach, nigdy nie stracił całkowicie własnej woli, tak myślę, nigdy nie powiedział nic ponad to, co świadomie chciał powiedzieć. Nawet jeżeli ta świadomość była daleka albo ukryta, albo przytłumiona. Dokładnie tak samo jak pan.

– W takim razie co jeszcze opowiedział i nie opowiedział? – Zlekceważył moją ostatnią uwagę lub zachował ją sobie na później.

– W gruncie rzeczy nie opowiadał, tylko mówił. Powiedział: „Nic z tego nie powinno być opowiadane, ale bywałem w śmiertelnym zagrożeniu i zdradzałem ludzi, z którymi nie łączyło mnie nic osobistego. Jednym uratowałem życie, innych postawiłem przed plutonem egzekucyjnym albo posłałem ich na szubienicę. Mieszkałem w Afryce, w niewiarygodnych miejscach i w innych epokach, i widziałem, jak się zabiła osoba, którą kochałem”.

– Tak powiedział? „Widziałem, jak się zabiła...”? – Nie powtórzył całego zdania. Wielkie było zdumienie, a może nawet irytacja Wheelera. – Tylko tyle? Powiedział kto? W jakich okolicznościach?

– Nie. Pamiętam, że urwał gwałtownie, jakby jego wola albo świadomość dały ostrzeżenie pamięci, żeby nie nadużywała swych



uprawnień. Potem dodał: „I brałem udział w walkach”, dobrze to pamiętam. Potem mówił dalej, ale o swojej terażniejszości. Nie powiedział już nic więcej na temat przeszłości, a jeżeli, to bardzo ogólnie. Ogólnikowo.

– Czy mogę wiedzieć, co to znaczy: ogólnie? – Pytanie Wheelera nie zabrzmiało natarczywie, raczej nieśmiało, jakby prosił o moje pozwolenie; to było niemal błaganie.

– Oczywiście – odparłem i w moim tonie naprawdę nie było rezerwy ani nieszczerowości. – Powiedział, że głowę ma pełną wyraźnych, olśniewających, przerażających i emocjonujących wspomnień i że kto inny na jego miejscu, kto miałby je wszystkie przed oczyma tak jak on, pomyślałby, że niczego więcej mu nie trzeba, że dzięki wspomnianiu tych emocjonujących zdarzeń i osób intensywniej przeżyje dni starości, intensywniej niż wielu innych ludzi przeżywa swą terażniejszość. – Umilkłem na chwilę, żeby miał czas usłyszeć te słowa we własnej głowie. – To był w przybliżeniu poziom tej ogólności. Dodał jeszcze, że tak jednak wcale nie jest, że wcale tak nie jest w jego przypadku. Powiedział, że wciąż chce więcej. Powiedział, że nadal pragnie wszystkiego.

Wydawało się, że Wheeler poczuł ulgę, a równocześnie posmutniał i zaniepokoił się, a może po prostu opanowało go wzruszenie. Na pewno i w jego przypadku tak nie było, choćby miał bardzo dużo wyraźnych i olśniewających wspomnień. Na pewno nic nie wypełniało mu dostatecznie dni starości mimo jego wysiłków i knowań.

– A ty uwierzyłeś mi we wszystko – powiedział.

– Nie miałem powodu, żeby nie uwierzyć. Poza tym mówił szczerze, bywają takie sytuacje, kiedy wie się na pewno, że druga osoba mówi prawdę. Kiedy nie ma się najmniejszej wątpliwości. Nie zdarzają się często, to fakt.

– Przypominasz sobie, kiedy to było, kiedy odbyła się ta rozmowa?

– Tak, w drugim trymestrze w drugim roku mojego pobytu. Gdzieś pod koniec marca.

– Czyli na dwa lata przed jego śmiercią, prawda?

– Mniej więcej, może troszkę wcześniej. Możliwe, że wtedy jeszcze nikt nas sobie nie przedstawił, pana i mnie. Po raz pierwszy musieliśmy się spotkać w trzecim trymestrze tego roku, na krótko przed moim ostatecznym wyjazdem do Madrytu.

– Obaj byliśmy już wtedy starzy, i Toby, i ja. Obaj od wielu lat na emeryturze. Nie spodziewałem się, że będę żył tyle lat dłużej, nie wiem jak on przeżyłby te lata, gdyby padło na niego, nie na mnie. Prawdopodobnie przeżyłby je gorzej niż ja. Lubił narzekać, bo miał w sobie więcej optymizmu, dlatego był bardziej bierny. Nie mam racji, Estelle?

Zdziwiłem się, że nagle zwrócił się po imieniu do pani Berry, nigdy wcześniej nie zrobił tego w mojej obecności, wiele razy tylko ja dotrzymywałem mu towarzystwa, a przecież zawsze nazywał ją „Mrs Berry”. Przyszło mi do głowy, że mógł mieć tu znaczenie charakter naszej rozmowy. Jakby za jej pomocą otwierali mi jakieś drzwi, a może nawet kilkoro drzwi (jeszcze nie wiedziałem ile), wśród nich te do codzienności bez świadków. Ona zawsze zwracała się do niego per „*professor*”, co w Oksfordzie oznacza raczej szefa wydziału, w każdym zakładzie jest tylko jeden „*professor*”, a pozostali są zwykłymi wykładowcami. Tym razem pani Berry odpowiedziała, zwracając się do niego po prostu „Peter”. Pewnie zwracają się tak do siebie, Peter i Estelle, gdy są sami, pomyślałem. Nie sposób się jednak domyślić, czy są na ty, bo dzisiejszy angielski nie wprowadza rozróżnienia między formą „ty” i formą „pan”, jest *only* „*you*”.

– Tak, Peter, ma pan rację. – Postanowiłem przyjąć, że zachowaliby między sobą formę „pan”, „pani”, rozmawiając po hiszpańsku, podobnie jak ja w myślach zwracałem się do Wheelera per pan, mówiąc w jego języku. – Wierzył, że zawsze ludzie przyjdą do niego, a rzeczy pojawią się

same, więc przeżywał większe rozczarowania. Nie wiem, czy miał w sobie więcej optymizmu czy był po prostu bardziej dumny. Ale on nigdy nie gonił za ludźmi ani za rzeczami. Nie szukał ich tak, jak pan to robił. – Pani Berry mówiła swoim zwykłym, spokojnym cichym tonem. Nie dostrzegłem w nim najmniejszej odmiany.

– Jedno drugiego nie wyklucza, Estelle. Mam na myśli dumę i optymizm – odpowiedział jej Wheeler, a w jego głosie dało się usłyszeć nutę mentora. – To on mi o tobie powiedział. – Tym razem spojrzął na mnie, a jego ton wyraźnie się zmienił w porównaniu z tym, jakiego używał wcześniej. Znikła obawa albo irytacja (a może poczucie nieuchronności przeznaczenia), jakby się uspokoił po kilku minutach, przekonawszy się, że pomimo nieoczekiwanych zwierzeń owego marcowego dnia drugiego roku mego pobytu w Oksfordzie nie wiem zbyt wiele o Rylandsie. Że Rylands nie do końca utracił kontrolę nad tym, co wspominał w mojej obecności, a więc pewnie nigdy nie utracił jej także w obecności kogoś innego. Że co prawda dowiedziałem się o jego szpiegowskiej przeszłości i kilku mało konkretnych faktach bez daty, miejsca i nazwy, ale nic ponadto. Poczuł, że po krótkim wahnięciu znowu panuje nad sytuacją, zauważyłem to w jego oczach, zauważyłem w lekko mentorskim tonie jego głosu. Zaniepokoiło go bez wątpienia odkrycie, że nie posiada wszystkich informacji, założywszy, że wcześniej uważał coś odwrotnego, teraz natomiast znowu przyjął za pewnik, że wie o wszystkim, co jest mu potrzebne, i to gwarantuje mu poczucie komfortu. W świetle nie tak wczesnego już poranka jego oczy były przezroczyste, nie tak mineralne jak zwykle, lecz dużo bardziej wodniste, niczym oczy Toby’ego Rylandsa, a co najmniej jak prawe oko Toby’ego, to, które w promieniach słońca stawało się koloru sherry, dominowało i sprawiało, że drugie, gdy ktoś przyglądał mu się z pewnej odległości, wyglądało podobnie: a może po prostu śmieiej doszukujemy się podobieństw między osobami, gdy wiemy, że łączą je więzy krwi. Wheeler

nic mi jeszcze nie powiedział na temat tego pokrewieństwa, o którym wcześniej nie wiedziałem, ale nie kosztowało mnie wiele wprowadzenie w myślach poprawki i niepostrzeżenie ich więcej jako przyjaciół, lecz jako braci. Albo jako zaprzyjaźnionych ze sobą braci, bo tak czy inaczej musieli się przyjaźnić. Oczy Wheelera wydawały mi się teraz niczym dwie wielkie krople różowego wina. – To Toby uprzedził mnie, że możesz być taki jak my. Przypuszczalnie – dodał.

– W jakim sensie taki jak wy? Co miał na myśli?

Wheeler nie odpowiedział wprost. Prawdę mówiąc, bardzo rzadko to robił.

– Takich ludzi już prawie nie ma, Jacobo. Nigdy nie było ich dużo, raczej bardzo mało, dlatego grupa zawsze była niewielka i rozproszona. Ale dzisiaj ich brak jest absolutny, nie będzie banałem ani przesadą stwierdzenie, że jesteśmy na wymarciu. Czasy stały się mdłe, afektowane, doprawdy pełne obłudy. Nikt nie chce widzieć tego, co trzeba widzieć, nikt nawet nie ośmiela się spojrzeć, a tym bardziej pójść o zakład, a już mowy nie ma o wyrokowaniu o czymś z góry, bo to śmiertelny grzech, o tak, to nieludzkie, to narusza godność tego, o kim się wyrokuje, tego, kto wyrokuje, wszystkich. Nikt nie ma już odwagi powiedzieć albo się przyznać, że widzi to, co widzi, co po prostu jest, może dyskretne, lecz wyraźne. Nikt nie chce wiedzieć; a już wiedzieć zawczasu to szczyt wszystkiego, to wzbudza grozę, grozę moralną. Zawsze wymagane są dowody i ich weryfikacja, moda na interpretowanie wątpliwości na korzyść badanego – tak to zostało nazwane – opanowała już wszystkie dziedziny, ani jedna nie umknęła tej kolonizacji, i zostaliśmy w końcu całkowicie sparaliżowani, teoretycznie staliśmy się bezstronni, sumienni i szczerzy, ale w praktyce jesteśmy idiotami, kompletnymi *necios*. – To ostatnie słowo powiedział właśnie tak, po hiszpańsku, bez wątpienia dlatego, że w języku angielskim nie ma słowa podobnego fonetycznie lub etymologicznie: „utter

*necios*”, taka mu wyszła mieszanka dwóch języków. – *Necios* w dokładnym tego słowa znaczeniu, od łacińskiego słowa *nescius*, czyli niewiedzący, nieobeznany z czymś, albo wedle definicji podanej przez słownik Real Academia Española – znasz tę definicję? – „Ignorant, ktoś, kto nie wie tego, co można i należy wiedzieć”, czy to nie wspaniałe? C o m o ż n a i n a l e ż y w i e d z i e ć, czyli chodzi o kogoś, kto świadomie i rozmyślnie nie chce wiedzieć, kto unika dowiedzenia się i czuje odrazę do nauki. Zadowolony kiep. Zadowolony *insipiente*. – Znowu posłużył się hiszpańskim, zarówno cytując definicję, jak i przy okazji tego ostatniego słowa: w językach obcych zawsze zapamiętujemy słowa, które już wyszły z użycia. – I tak właśnie w naszych małodusznych krajach ludzi od dzieciństwa wychowuje się na głupków. To nie kwestia naturalnej ewolucji czy degeneracji, nie dzieje się to przypadkiem, to działanie zamierzone, rozmyślnie, instytucjonalne. Program kształcenia intelektu albo jego unicestwiania (unicestwiania charakteru, *ça va sans dire!*). Dziś ludzie nienawidzą pewności; ta nienawiść zaczęła się jak każda moda, wypadało sprzeciwiać się pewnikom, prostacy wrzucili je do jednego worka z dogmatami i doktrynami, głupki (a byli wśród nich intelektualiści), jakby chodziło o synonimy. Pomysł ten miał jednak wielkie wzięcie, ugruntował się, i to do jakiego stopnia! Ludzie dziś nie znoszą wszystkiego co definitywne i pewne, a zatem niezmiennie w czasie; po części też dlatego nie cierpią przeszłości, chyba że uda się ją skazić naszym niezdecydowaniem albo zarazić nieokreślonością terażniejszości, próby podejmowane są bez ustanku. Dziś ludzie nie tolerują wiedzy o tym, że coś było, jak bez wątplenia było. W gruncie rzeczy już nie tylko nie toleruje się wiedzy o tym, ale też samej przeszłości. Wystarczy, że coś było. Bez naszego udziału, bez naszego namysłu, jak by to powiedzieć... wyjęte spod naszego nieskończonego niezdecydowania i nadzoru. Istniejące też bez tak przez nas ukochanej niepewności jako bezstronnego świadka. Ta epoka jest

tak arogancka, Jacobo, jak żadna inna, odkąd ja żyję na tym świecie (Hitler to pestka). Coraz trudniej przychodzi mi wierzyć, że wcześniej rzekomo bywało gorzej. Miej na względzie, że wstając rano, codziennie muszę podejmować znaczny wysiłek i odwoływać się do pomocy moich młodych przyjaciół, takich jak ty, by zapomnieć, że przechowuję bezpośrednią pamięć pierwszej wojny światowej czy też wojny tysiąc dziewięćset czternastego roku, jak wy ją nazywacie ku największej mojej zgryzocie i niezadowoleniu. Miej na względzie, że jednym z pierwszych słów, jakiego się nauczyłem albo jakie zapamiętałem, bo bezustannie je słyszałem, było słowo „Gallipoli”; nie do wiary, że ta masakra wydarzyła się za mojego życia. Ta epoka jest tak butna, że występuje w niej pewien fenomen, moim zdaniem bez precedensu: terażniejszość żywi urazę do przeszłości, bo przeszłość miała czelność zaistnieć bez naszej w niej obecności, bez naszej rozważnej o niej opinii, naszej pełnej wątpliwości zgody i co jeszcze gorsze, bez żadnego dla nas pożytku. Najlepsze ze wszystkiego jest to, że ten uraz nie wynika, przynajmniej pozornie, z zazdrości o przeszłe splendory, z których byliśmy wyłączeni, ani z awersji do jakiejś doskonałości, której nie byliśmy świadomi i do której się nie przyczyniliśmy, której nie wypróbowaliśmy i którą utraciliśmy, która obyla się bez nas. Pyszałkowatość naszych czasów osiągnęła takie rozmiary, że nie potrafi zaakceptować myśli, nawet cienia, mgiełki, oparu myśli, że kiedyś sprawy może miały się lepiej. Nie, to czysta uraza do wszystkiego, co ośmieliło się wydarzyć poza nami i nic nam nie jest winne, do wszystkiego, co skończyło się raz na zawsze, a więc nam umknęło. Umknęło naszej kontroli, naszej przemyślności i naszym decyzjom, choćby dzisiaj rządzący tysiąc razy prosili o wybaczenie za akty przemocy popełnione przez przodków, a nawet chcieli im zadośćuczynić, oferując obraźliwe pieniądze potomkom poszkodowanych, choćby ci potomkowie przyjmowali te pieniądze z największą ochotą i nawet ich się domagali, bo

też są swoją drogą cwani i bezczelni. Trudno o większą głupotę i większą farsę z obu stron: cyniczni są ci, którzy dają, i cyniczni są ci, którzy biorą. Kolejny akt pychy: jak papież, król czy premier mogą rościć sobie prawo do tego, by swojemu Kościołowi, królestwu czy krajowi, tym dzisiejszym, współczesnym, przypisywać winy poprzedników, winy, których tamci nigdy za winy nie uważali ani nie przyznawali się do nich przed wiekami? Kim sobie wyobrażają, że są, nasi przedstawiciele, nasze rządy, żeby prosić o wybaczenie w imieniu ludzi, którzy chcieli robić to, co zrobili, i już nie żyją? Kim oni są, żeby tamtych zmieniać na lepsze, żeby przeczyć zmarłym? Gdyby to było tylko działanie symboliczne, można by uznać takie postępowanie za głupotę i nic więcej, za pychę i propagandę. Ale tu nie ma mowy o działaniu tylko symbolicznym, skoro są „rekompensaty”, groteskowo retrospektywne i na dobitkę pieniężne. Człowiek jest człowiekiem i nie przedłuża swego istnienia poprzez swych dalekich potomków ani poprzez tych bezpośrednich, którzy często okazują się nielojalni; na nic się nie zdają transakcje i gesty wobec poszkodowanych, prześladowanych i torturowanych, zniewolonych i zamordowanych w ich rzeczywistym i jedynym życiu: oni są już zgubieni na zawsze w nocy dziejów i w pomroce hańby, która to noc nie będzie przez to krótsza. Oferowanie teraz przeprosin i przyjmowanie przeprosin, domaganie się takowych lub ich składanie za zło wyrządzone ludziom, którzy dla nas już nie istnieją, są tylko abstrakcyjni, to nic innego jak okrutna kpina z konkretnych spalonych ciał, ściętych głów, przestrzelonych klatek piersiowych, połamanych kości i poderżniętych gardeł. To kpina z konkretnych i nieznanych z nazwiska ludzi, którzy zostali odarci z człowieczeństwa lub sami się go wyrzekli. Kpina z przeszłości. Tak, przeszłość jest po prostu nie do zniesienia. Nie znosimy tego, że nie mogliśmy na nią wpłynąć, pokierować nią ani jej uniknąć. Tak więc jeżeli to możliwe, wypacza się ją, zmienia albo ingeruje w nią, fałszuje się albo

robi się z przeszłości liturgię, uroczysty obrzęd, emblemat, a w końcu spektakl, albo po prostu przestawia się i zmienia w niej wszystko, żeby się wydawało, że jednak w nią ingerujemy, nawet jeżeli przeszłość jest raz na zawsze ustalona, ten fakt nas kompletnie nie obchodzi. A jeżeli nie, jeżeli to okazuje się niemożliwe, wtedy się przeszłość wymazuje, uchyla, wypędza z kraju, wydała albo się ją grzebie. To się udaje, Jacobo, jedno albo drugie udaje się nazbyt często, bo przeszłość się nie broni, nie ma takiej możliwości. Tym sposobem dziś nikt nie chce się zastanawiać nad tym, co widzi, nad tym, co się dzieje, ani nad tym, co w głębi ducha wie, nad tym, co jak można wnosić, będzie niestabilne i zmienne, co nawet może być niczym albo czego w ogóle może nie być. Dlatego nikt nie jest przygotowany na to, żeby wiedzieć coś na pewno, bo skasowano pewniki, jakby były rozsadnikiem dżumy. I tak to się toczy, tak toczy się świat.

W miarę jak mówił, spojrzenie Wheelera stawało się coraz głębsze i jaśniejsze, jego oczy przypominały mi teraz krople muskatela. Nie chodziło tylko o to, że lubił perorować, jak każdy były wykładowca lub nauczyciel. Natura tych refleksji rozpalała go od środka i odrobinę na zewnątrz, jakby w każdej źrenicy migotała płonąca główka zapalki. Kiedy przerwał, sam zdał sobie sprawę z tego, że jest wzburzony, dlatego nie miałem skrupułów, by ostudzić go swoim pytaniem, a i zaniepokojony wyraz twarzy pani Berry – każdy z nas widział ją tylko z jednej strony – przypomniał mi, że Wheelerowi szkodzi nadmiar ekscytacji.

– Zechce pan wybaczyć, Peter, ale z przykrością muszę panu wyznać, że nie do końca rozumiem pana wypowiedź – wtrąciłem, korzystając z chwilowej przerwy (mógł przecież przerwać tylko w celu zaczerpnięcia powietrza). – Mało dziś spałem i pewnie mam ociężały umysł, bo naprawdę nie bardzo wiem, o czym pan mówi.

– Daj mi papierosa – powiedział. Zazwyczaj nie palił. Podałem mu paczkę. Wziął papierosa, podałem mu ogień, chwycił papierosa niezbyt



zręcznie dwoma palcami, pociągnął dwa razy i od razu zobaczyłam, jak się uspokaja, niekiedy tytoń do tego się przydaje, niech sobie lekarze mówią, co chcą. – Wiem, wiem. Wydaje się, że odbiegam od tematu, ale w rzeczywistości wcale nie odbiegam, Jacobo. Mówiłem ci o tym, o czym rozmawiamy, nie zniechęcaj się, nie popełniaj tego błędu. Nie zapomniałem, o co mnie pytałeś. Co miałem na myśli i do czego nawiązał Toby, mówiąc mi, że ty możesz być taki jak my. Prawda?

– Istotnie, właśnie o to pytałem. I co chciał przez to powiedzieć? Jeszcze mi pan tego nie wyjaśnił.

– Nieprawda, właśnie ci to wyjaśniam. Ale poczekaj. – Popiół narastał na papierosie. Podsunąłem Wheelerowi popielniczkę, ale jeszcze z niej nie skorzystał. – Choć byliśmy przez wiele lat rozdzieleni i nie kontaktowaliśmy się, znałem dobrze Toby'ego, w niektórych sprawach bardzo liczyłem się z jego zdaniem (nie we wszystkich, oczywiście, nie miałem na przykład wielkiego zaufania do jego gustu literackiego). Ale mniej więcej go znałem, zarówno jako małego chłopca, który też był już na świecie, kiedy posłali naszych na rzeź na Gallipoli razem z Australijczykami... wszystkich jak bydło na rzeź, niektórzy mieli tylko bagnety, nie mieli naboju... jak i później, w ostatnich latach jego życia, jako emerytowanego kolegę na uniwersytecie i sąsiada znad tej samej rzeki. Oczywiście byliśmy sąsiadami, kiedy tu przyjeżdżałem. Kiedy bywaliśmy tu jednocześnie. – Przerwał, żeby zrobić krótką dygresję historyczną, pewnie tę, której nie rozwinął, chcąc skończyć poprzednie zdanie: – (Nie wiem, czy wiesz, że nazywali się Anzac. To akronim od *Australian and New Zealand Army Corps*; żołnierze Anzacu, dziś pełna chwały nazwa owych chłopców bezsensownie poświęconych w ofierze, tych, którzy walczyli na Chunuk Bair, tych z zatoki Suvla... Tyle było bezsensownych ofiar w moich czasach i z tego właśnie powodu, że ludzie nie chcieli widzieć tego, co było widoczne gołym okiem, i nie chcieli wiedzieć tego,

co było doskonale wiadome, tak wiele w ciągu jednego życia. Moje życie jest długie, zgoda, ale to tylko jedno życie. Strach pomyśleć, ilu było takich poświęconych w ofierze i ilu nadal będzie poświęcanych tylko dlatego, że nikt nie ma śmiałości i że się nie chce... Wielka strata). Nasze życie potoczyło się zaskakująco równolegle, Toby'ego i moje, jak na braci, którzy rozstali się w dzieciństwie i z których jeden, Toby, zmienił kraj zamieszkania i kontynent. Mam na myśli naszą drogę zawodową, to zabawne, że obaj objęliśmy w końcu katedry na tym samym angielskim uniwersytecie (i to nie byle jakim). Nie przez przypadek obaj znaleźliśmy się natomiast w grupie, chyba ja go zwerbowałem. Historia naszych nazwisk jest banalna, już cię uprzedzałem, żadna wielka tajemnica. Nasi rodzice się rozwiedli, kiedy on miał osiem, a ja dziewięć lat, jakoś tak w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, on był ode mnie o rok młodszy, już ci mówiłem. Zostaliśmy z matką między innymi dlatego, że ojciec pośpiesznie wyjechał, myślę, że nie chciał czekać, aż moja matka wcześniej czy później znajdzie sobie innego mężczyznę, tego był pewien (aczkolwiek dopiero teraz tak sądzę, no, może od jakiegoś czasu). Przeniósł się do Południowej Afryki i wydawało się, że szczególnie za nami nie tęskni. Wrażenie było silne i utrzymywało się przez tak długie lata, że w końcu uznałem to za pewnik, za coś niewątpliwego, i od tego czasu łatwiej mi było radzić sobie z żalem. Nasz dziadek ze strony matki, dziadek Wheeler, postanowił zaopiekować się wnukami, to znaczy łożyć na nas. A ponieważ byliśmy jego jedynymi wnukami i obaj nosiliśmy naturalnie nazwisko Rylands, moja matka, niewątpliwie mało obeznana z psychologią dorastających chłopców, zmieniła swoje i nasze nazwisko, czyli wróciła do swego panieńskiego nazwiska, dając je również nam; wyobrażam sobie, że tym sposobem chciała uwiecznić dziadka, kto wie, może on to na niej wymógł. Tak czy owak zmiany dokonano formalnie i oficjalnie w dwudziestym dziewiątym roku, w drodze aktu notarialnego – po

angielsku „*by deed poll*”, takie wyrażenie widziałem wcześniej w „Who’s Who” – ale praktycznie zaczęliśmy się posługiwać nazwiskiem Wheeler wkrótce po rozwodzie. Pod tym nazwiskiem zostaliśmy zapisani do szkoły, pod nim też znano nas w Christchurch, naszym rodzinnym mieście. Rita, moja biedna matka, prawdopodobnie zrobiła to w dowód wdzięczności albo w nagrodę dla dziadka, swego ojca, a jeszcze bardziej prawdopodobnie w dzieciennym geście odwetu na naszym ojcu, a jej byłym mężu. Niemal z dnia na dzień z Petera i Toby’ego Rylandsów zaczęliśmy się czuć braćmi Wheelerami, bez ojca i bez patronimiku *sensu stricto*. Ale o ile ja nie protestowałem z tego powodu (potem zdałem sobie sprawę z zamieszania, z mankamentów takiego stanu rzeczy, uświadomiłem sobie, jak by to powiedzieć, że zmiana szyldu z tożsamością nie uchodzi bezkarnie), o tyle Toby zbuntował się od pierwszej chwili. Kiedy pytano go, jak się nazywa, nadal odpowiadał, że Toby Rylands, tak też podpisywał się w szkole, nawet na egzaminach. Wreszcie po dwóch albo trzech latach przepychanek, nie wiem, chyba w wieku jedenastu lat, wyraził kategoryczne pragnienie nie tylko zachowania swego pierwotnego nazwiska, lecz także wyjazdu do ojca. Był z nim bardziej związany niż ja, bardziej go szanował, miał z nim lepsze porozumienie i czuł się bardziej od niego uzależniony; na dłuższą metę na pewno źle znosił utratę mnie i matki, bo był sentymentalny, ale nigdy mi tego nie powiedział, rzeczywiście był dumny; bardziej jednak, wprost ogromnie tęsknił za ojcem; ten sam żal, który ja odczuwałem do ojca, u Toby’ego narastał wobec matki. I również wobec dziadka Wheelera, nigdy nie przestał go postrzegać jako rywala ojca albo kogoś, kto zajął jego miejsce, może dziadek nie zachowywał się bardzo po ojcowsku wobec swojej córki. Mnie też nie oszczędził, żadnego Wheelera. Niezadowolenie i wrogość Toby’ego stały się nie do zniesienia i dla niego, i dla nas, w końcu więc matka przystała na jego przeprowadzkę, jeżeli ojciec wyrazi gotowość zabrania go i przejęcia nad nim opieki, co wydawało się

nieprawdopodobne. Fakt, że ojciec zabrał go do siebie wbrew wszelkim przewidywaniom (albo wbrew moim przewidywaniom, które były raczej *desideratum* niż czymkolwiek innym, jak zrozumiałem później), przyczynił się w niemałej mierze do mego pragnienia, by wymazać ojca całkowicie ze świadomości, jakby nigdy nie istniał, a także ze złości, by zatrzeć w sobie wszelkie wspomnienie o bracie, bo wybrał ojca i wyjechał. Sam dobrze wiesz, że takie rzeczy zdarzają nam się w dorosłym wieku, a nawet, zapewniam cię, na starość, ale w dzieciństwie to uczucie porzucenia i rozpacz (i zdrady, właśnie tak, dezercji) jest dla tego, kto zostaje, podczas gdy inni odchodzą i znikają, jeszcze bardziej dojmujące. Również wtedy gdy umierają, przynajmniej w moim przypadku, ja czuję trochę urazy do moich zmarłych. On wyjechał do Południowej Afryki, a ja zostałem w Nowej Zelandii i chociaż Afryka Południowa nie była lepszym miejscem, przecież nie przemawiała za tym żadna obiektywna racja, dla mnie jednak stała się wtedy nieskończenie bardziej atrakcyjna i z niecierpliwością czekałem, kiedy wreszcie dorosnę, żeby móc wyjechać z rodzinnego kraju – posmutniałego i pomniejszonego w moich oczach przez nieobecność ich obu – i przyjechać tutaj. Wyjechałem w końcu w wieku szesnastu lat na pokładzie statku tak powolnego, że wydawało się, jakby nigdy nie miał dotrzeć do celu, i już wtedy oficjalnie nosiłem nazwisko Wheeler. Sam nie pamiętam ani w to nie wierzę, bo naprawdę czuję jakiś długotrwały żal z powodu zmiany nazwiska, zmiany bardziej *de facto* niż *de iure*, ale moja matka twierdziła, że akt notarialny sporządzono dla mojej wygody, a nawet po to, żeby mi sprawić przyjemność. To prawda, w latach dwudziestych i trzydziestych wszystko było łatwiejsze i bardziej naturalne, pod wieloma względami człowiek cieszył się większą wolnością niż teraz: ani państwo, ani wymiar sprawiedliwości nie ingerowały tak bardzo w nasze życie, można było swobodnie oddychać i podróżować; to już się skończyło, nie było wtedy dzisiejszej obsesji opiekuńczości ani nikt by się na nią nie

zgodził. Możliwe więc, że po jakimś czasie i tak stałbym się formalnie Wheelerem, bez żadnych procedur urzędowych, ze względu na *usus* i zwyczaj, podobnie jak Toby przeprowadził się do ojca na podstawie zwykłej umowy między rodzicami i za zgodą mojej matki i o ile wiem, żaden urząd ani sąd nie wtrącały się w tę prywatną sprawę. Tak czy owak, to wówczas zacząłem się nazywać Wheeler, również legalnie i z wielką z mojej strony ochotą. Nie muszę dodawać, że akt notarialny dotyczył wyłącznie mnie, nie Toby'ego (jeszcze tego by brakowało), o którym od czterech już lat prawie nic nie wiedziałem. Nie utrzymywał ze mną bezpośredniego kontaktu, a właściwie ani on, ani ja nie staraliśmy się o taki kontakt. Z rzadka dochodziły mnie jakieś wieści o nim poprzez matkę, która z kolei dowiadywała się czegoś głównie, jak się obawiam, od naszego ojca. On dowiadywał się czegoś o mnie tą samą drogą. Ogólnikowo, zawsze ogólnikowo. Tak więc urodziłem się jako Peter Rylands i pozostałem nim do dziewiątego albo dziesiątego, jeżeli nie do szesnastego roku życia *in partibus*. Bądź jednak pewien, on też przez jakiś czas był Tobym Wheelerem, choć naturalnie wbrew własnej woli: nie wyobrażasz sobie, jaką to było dla niego torturą w szkole, na przykład przy sprawdzaniu listy obecności. Rzadko kiedy tak bywa z nazwiskiem, które dostaje się przy urodzeniu, a w przypadku Toby'ego trzeba jeszcze uczciwie dodać, że nie tylko je dostał, ale też na to nazwisko zapracował. – Wheeler zmienił wyraz twarzy i z nowej miny wywnioskowałem, że zaraz zrobi jakąś ironiczną lub zabawną uwagę. – A przecież nigdy nie był zadowolony ze swojego imienia, tego samego, które nosił dziadek Wheeler, wypadło na niego, pech. Gdyby to imię chciano mu zmienić, zgodziłby się chętnie, jestem pewien. I być może pozostałibyśmy wtedy razem, kto wie. Mówił, że imię kojarzy mu się z tą męczącą postacią z „Wieczoru Trzech Króli”, sir Toby'ego Belcha – w rzeczywistości powiedział „*Twelfth Night*”, nie nazwałby inaczej tego dzieła Szekspira – wiesz, co znaczy po angielsku „*belch*”, prawda?

Potem, już jako dorosły człowiek, trochę się pogodził ze swoim imieniem, przeczytawszy „Tristrama Shandy”, a to za sprawą postaci wujaszka Toby’ego. – Zdawało się, że Wheeler zakończy na tym swoje wyjaśnienia na temat nazwisk Wheeler i Rylands, bo dodał: – Sam widzisz. Mówiłem ci. Banalna historia. Rozwód. Przywiązanie do nazwiska. Do matki. Do ojca. Rozdzielenie. Niechęć do innego nazwiska. Do matki. I do dziadka. Do ojca. – Mieszał dwa subiektywne punkty widzenia, swój i swego brata. – Żadna wielka tajemnica. – Z powolności, z jaką rzucał te słowa, odnosiłem wrażenie, że teraz, kiedy już opowiedział mi tę historię, oczekuje, abym jakoś odparł jego argumenty. Ale jeżeli istotnie tak było, oczekiwał na próżno. Musiał wiedzieć, że historia wcale nie była banalna (jakże drastyczna; Rylands mówiący mi swego czasu: „kiedy po raz pierwszy wyjechałem z Afryki”, jakby tam się urodził, a zatem negując całkowicie swoje pierwsze dziesięć albo jedenaście lat życia w Nowej Zelandii, na innym kontynencie, choć to wyspy) i że była w niej jednak tajemnica, choćby starał się ją opowiedzieć z jak największą naturalnością. I musiał opowiedzieć ją tylko częściowo: o samej tajemnicy nic nie powiedział, skupił się na tym, co ją otaczało, co na nią wskazywało niczym strzałka.

– A potem? – zapytałem. – Kiedy znowu się panowie spotkali?

– Dopiero w Anglii, dużo, dużo później. Wtedy ja już byłem prawdziwym Wheelerem, a on był Rylandsem. Myślę, że byłem już tym, kim jestem, jeżeli jestem tym, za kogo się uważam. Nie spotkaliśmy się, nie w dokładnym tego słowa znaczeniu, ja go odszukałem. Ale to już inna historia.

– Z pewnością – odparłem może mimowolnie odrobinę zniecierpliwiony. Niewyspanie dawało o sobie znać, a kiedy coś nas jakoś dotyczy, nawet przypadkowa uwaga, to bardzo trudno jest czekać. – I wyobrażam sobie, że właśnie w niej skrywa się odpowiedź na moje wcześniejsze i sprowokowane przez pana pytanie: w czym mogłem być taki sam jak wy

obaj, zdaniem Toby'ego. Nie zamierza pan chyba powiedzieć, że to z powodu mojego imienia, które inni często zmieniają; no wie pan: pan i inni zwracają się do mnie Jacobo, ale Luisa i wiele innych osób używa imienia Jaime, są nawet tacy, którzy znają mnie pod imieniem Diego lub Yago. Nie wspominając już o Jacku tu, w Anglii. Zdarza się to całkiem często.

Wheeler spostrzegł moje lekkie zniecierpliwienie, takie rzeczy mu nie umykały. Widziałem, że go to bawi, w żadnej mierze nie czuł się speszony ani przynaglony.

– Ja nazywam pana Jackiem – odezwała się nieśmiało pani Berry. – Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza... Jack – tym razem zawahała się, wymawiając to imię.

– W żadnym razie, Mrs Berry.

– A pod jakim imieniem ty znasz siebie? – zapytał Wheeler, korzystając z okazji.

Nie zastanawiałem się ani sekundy.

– Jacques. Tego imienia się nauczyłem i do niego przywykłem jako dziecko. Mimo że prawie nikt mnie tak nie nazywał oprócz matki. Nawet ojciec.

– A widzisz – powiedział Wheeler takim tonem, jakby to absurdalnie miało o czymś świadczyć. Tylko takie tłumaczenie wyrażenia „*There you are*”, którego użył, przychodzi mi tu do głowy. – Nie, Toby nie do tego się odnosił, ja też nie – dodał od razu. – Sporo mi o tobie opowiadał, zanim jeszcze ty i ja poznaliśmy się. *De facto* poznaliśmy się częściowo z tego powodu, zaciekał mnie. Powiedział, że przypuszczalnie możesz być taki jak my... Najpierw dał mi to do zrozumienia, a potem to jeszcze potwierdził, gdy przy jakiejś okazji rozmawialiśmy o starej grupie. Ale jasne, wówczas ty już tu nie mieszkałeś, trudno było się nawet spodziewać, że kiedyś tu wrócisz na stałe. Nie bój się, nie chcę przez to powiedzieć, że

tym razem zamierzasz zostać tu na stałe, jestem pewny, że wcześniej czy później wrócisz do Madrytu. Wy, Hiszpanie, nie wytrzymujecie zbyt długo poza krajem; mimo, że jesteś madrytczykiem, a ci najmniej ulegają tęsknocie. Przyjechałeś jednak tymczasem na czas nieokreślony, jeśli wybaczysz mi tę względną sprzeczność, a to już jest poważny powrót. Tak więc opinia Toby'ego nabiera nagle i by tak powiedzieć, zza grobu pewnego dodatkowego waloru praktycznego. Przede wszystkim dlatego, że ja mam taką samą opinię (ostatecznie on już nie ma na nic wpływu ani nie mogą go naciskać), odkąd po śmieci Toby'ego zacząłem cię dość często widywać. Oczywiście z przerwami, ale to już jednak wiele lat znajomości. Nie ufałem jego gustom literackim, już ci mówiłem. Wierzyłem jednak, że zna się na ludziach, ufałem jego sądom na temat ludzi, jego interpretacji i widzeniu z wyprzedzeniem, potrafił ludzi przejrzeć czy też, jak wy to potocznie mówicie, *las calaba* – dwa ostatnie słowa powiedział po hiszpańsku. – Rzadko się mylił, był niemal niezawodny. Prawie tak jak ja. – Zaśmiał się krótko, w wystudiowany sposób, żeby przykryć lub złagodzić brak skromności. – Możliwe, że bardziej niezawodny niż nasz przyjaciel Tupra, który jest bardzo dobry, albo jak przypuszczam, niż ta znakomita dziewczyna, która u niego pracuje. Przyszło wam żyć w czasach, które nie wystawiają tak bardzo na próbę; ta dziewczyna też jest Hiszpanką albo półkrwi Hiszpanką, wiele razy mi o niej mówił, ale nie mogę zapamiętać, jak się nazywa, Tupra uważa, że z czasem będzie najlepsza w grupie, jeżeli uda mu się ją zatrzymać dostatecznie długo, to z tym jest najtrudniej: większość się męczy i szybko odchodzi. Toby był niemal tak niezawodny, jak musisz być ty, nawet w tych mniej wymagających czasach. To znaczy jego zdaniem. Uważał, że będziesz bardziej niezawodny, że zdołasz go nawet przewyższyć, o ile najpierw uświadomisz sobie swoje umiejętności, a potem uwolnisz się od tej świadomości, a co najmniej ją odsuniesz w czasie, jak postąpili ci z nas, którzy taką świadomość mieli albo nadal



mają. Na czas nieokreślony na razie, jeśli znowu mi wybaczysz tę sprzeczność dotyczącą odroczenia świadomości. Ale prawdę mówiąc, nie wiem, czy osiągniesz takie wyżyny.

– O jakiej grupie pan mówi, Peter? Wspomniał pan o niej już kilka razy – starałem się zadać inne pytanie. Ale nie czułem już zniecierpliwienia, była to tylko reakcja odruchowa, chwila. Jeżeli poprzednio się spieszył, to z całą pewnością z powodu mego późnego zejścia na dół po przebudzeniu, czego wcześniej nie wziął pod uwagę, niemożność realizacji przygotowanego rozkładu dnia i planów irytowała go i męczyła. Teraz jednak, kiedy miał mnie przed sobą, dobrze się bawił, mogąc mnie intrygować, bawił się moim stanem wyczekiwania; nie zamierzał psuć tego być może wymarzonego przedstawienia, przyspieszając je. Jak można się było spodziewać, nie odpowiedział na nowe pytanie, lecz na poprzednie. Naturalnie tylko półsłówkami, co najwyżej używając trzech czwartych słów. Musiał nie znać, jak już mówiłem, słów w całości. Musiały nie istnieć.

– Toby powiedział mi, że zawsze wzbudzał w nim podziw, ale i obawę twój szczególny dar wychwytywania charakterystycznych, a nawet zasadniczych cech twoich przyjaciół i znajomych, zarówno cech zewnętrznych, jak i wewnętrznych, których oni sami często u siebie nie zauważali albo o których nie wiedzieli. A nawet osób, które zdarzyło ci się widzieć tylko mimochodem albo przelotnie podczas jakiegoś spotkania lub kolacji *high table* czy natknąć się na nie przy paru okazjach na korytarzach bądź schodach Taylorian Institute, nie zamieniwszy z nimi ani słowa. Poza tym zdaje się, że napisałeś dla niego kiedyś, dla zabawy, krótko przed swoim wyjazdem, zwięzłe charakterystyki niektórych naszych kolegów. Prawda?

Miałem na ten temat jakieś mgliste wspomnienie. Upłynęło tyle czasu, że ślady zatarły mi się w głowie. Człowiek dużo łatwiej zapomina, co pisze, niż co czyta na własny temat; co wysyła, niż co otrzymuje; co mówi, niż co

słyszcy; kiedy obraża, niż kiedy sam jest obrażany. I choćby trudno było w to uwierzyć, szybciej wymazuje z pamięci wszystko, co zaszło między nim a osobami już zmarłymi. Może coś skrótowego, kilka zdań, tak, na temat moich oksfordzkich kolegów z tamtych czasów, tych z Zakładu Języka Hiszpańskiego, których Rylands, wówczas od niedawna emerytowany *professor* literatury angielskiej, dobrze znał, aczkolwiek nie tak dobrze jak sam Wheeler, wieloletni i aż do przejścia na emeryturę bezpośredni przełożony większości z nich, szczególnie tych z najdłuższym stażem. Nagle poczułem wstyd, starałem się sobie przypomnieć, to mogły być jakieś żartobliwe portrety, serdeczne, ale doprawione szczyptą złośliwości albo ironii. Dlatego pewnie zaprzeczyłem w pierwszej chwili.

– Nie przypominam sobie – odparłem – nie, nie sędzę, żebym pisał dla niego czyjekolwiek charakterystyki. Może ustne komentarze, to możliwe. Dużo o wszystkich rozmawialiśmy. O wszystkich.

– Zechce pani podać mi aktówkę, Estelle? – zwrócił się Wheeler do pani Berry, a ta wyciągnęła aktówkę i natychmiast mu podała, jakby chodziło o dokumentację, którą pielęgniarka ma przygotowaną dla lekarza. Wheeler włożył teczkę pod pachę, wstał z krzesła i powiedział: – Wyjdźmy na chwilę do ogrodu, przejdźmy się po trawniku. Przyda mi się trochę ruchu, a i pani Berry musi sprzątnąć ze stołu, jeżeli chcemy potem zjeść obiad. Teraz nie jest szczególnie zimno, ale lepiej włóż coś na siebie, ta rzeka jest zdradziecka, nim się człowiek spostrzeże, już przemarza do szpiku kości. – Jego oczy odzyskały znowu swój mineralny błysk; powiedział poważnym tonem, spokojnie (albo może raczej ostrożnie, jakby mnie przytrzymał swymi słowami, ale nie chciał wystraszyć): – Posłuchaj, Jacobo. Tobi uważałem, że posiadasz rzadki dar dostrzegania w ludziach tego, czego oni sami zazwyczaj w sobie nie widzą albo nie są zdolni zobaczyć. A jeżeli zobaczą lub coś błysnie im przed oczyma, natychmiast to zasłaniają; od nagłego błysku ślepną na jedno oko i potem przyglądają się sobie tylko

ślepych okiem. Dziś to wyjątkowy dar, coraz rzadziej spotykany, umiejętność przejrzenia ludzi na wylot, wyraźnie i bez skrupułów, bez dobrej, ale i bez złej woli, bez wysiłku, jak by to powiedzieć, bez wyrachowania i bez krygowania się. W tym właśnie mogłeś być taki jak my, Jacobo, zdaniem Toby'ego, a ja teraz z nim się zgadzam. My obaj tak widzieliśmy, wyraźnie i bez skrupułów, bez dobrej ani złej woli. Mieliśmy umiejętność widzenia i oddaliśmy ją w służbę innym. Ja nadal widzę.

Któregoś wieczoru w Londynie sam sobie napędzałem strachu myślą, że ktoś za mną idzie i może ma złe zamiary. To pewnie deszcz, wytłumaczyłem sobie, gdy ta myśl przyszła mi do głowy, w deszczu kroki po chodniku brzmią jak plusk albo jak glancowanie do połysku przez dawnych czyścibutów; to mógł być także mój płaszcz ocierający się o spodnie podczas żwawego marszu (rozwiązane poły rozpiętego płaszcza łopoczące w gwałtownych podmuchach wiatru); albo cień mego otwartego parasola, który cały czas czułem na plecach niczym postępujący za mną niepokój, trzymałem parasol pod lekkim kątem, właściwie oparty o ramię, tak jak podczas defilad nosi się karabin albo włócznię; a może było to lekkie skrzypienie naprężających się od podmuchów wiatru prętów parasola. Nie opuszczało mnie wrażenie, że ktoś z bliska mnie śledzi, były takie chwile, gdy słyszałem jakby szybki trucht psa, bo psy chodzą, jakby stąpały po rozżarzonych węglach i niemal płynęły w powietrzu, tak leciutko dotykają ziemi osiemnastoma niewidocznymi palcami, jakby zawsze szykowały się właśnie do skoku w górę lub do wzbicia się w powietrze. Tis, tis, tis, taki dźwięk mi towarzyszył, to właśnie ciągle słyszałem i z tego powodu oglądałem się za siebie co kilka kroków, szybki ruch głowy bez zatrzymywania się czy zwalniania, z powodu wiatru parasol spełniał tylko w połowie swoje zadanie, szedłem ze stałą prędkością, chciałem jak najszybciej dojść do domu, wracałem po zbyt długim dniu pracy w budynku bez nazwy, było już późno jak na Londyn, aczkolwiek nie było późno jak na Madryt, wcale nie (ale mnie w Madrycie już nie było); przez cały dzień zjadłem tylko kilka kanapek, minęło wiele godzin i bardzo wiele twarzy, niektóre obserwowałem z przedziału nieruchomego pociągu czy też z wyłożonej drewnianą boazerią kryjówki, większość jednak na taśmach

wideo, słyszałem też ich głosy, a raczej im się przysłuchiwałem, ich różnym tonom, szczeremu albo aroganckiemu, nieśmiałoemu albo fałszywemu, przebiegłemu albo chełpliwemu, niepewnemu albo bezczelnemu. Nigdy nie zmniejszano wobec mnie wymagań dotyczących wychwytywania i precyzyjnego analizowania szczegółów, odnosiłem wrażenie, że wymagania będą coraz większe: oczekiwania rosną w miarę ich spełniania, wymaga się coraz większej przenikliwości i precyzji. I chociaż od samego początku (prawdopodobnie począwszy od kaprała Bonanzy) puszczałem wodze wyobraźni, polegając na swej intuicji, to poziom nieodpowiedzialności i fantazji, do jakiego mnie zmuszali lub nakłaniali teraz Tupra, Mulryan, Rendel i Pérez Nuix, wywoływał we mnie napięcie, czasem prawie niepokój, nie w trakcie wykonywania zadań, nazywanych interpretacjami lub raportami, ale na ogół przedtem bądź potem. Zdawałem sobie sprawę, że z dnia na dzień mam coraz mniej skrupułów czy też, jak powiedział swego czasu sir Peter Wheeler, że coraz bardziej odsuwam w czasie swoją świadomość, a robiąc to na czas nieokreślony, jestem coraz mniej świadom tego, co robię, że zapuszczam się bez towarzystwa mej świadomości coraz dalej i coraz mniej ostrożnie.

Pomyślałem, iż nic dziwnego, że sam napędziłem sobie strachu w ten deszczowy wieczór na opustoszałych niemal ulicach bez jednej wolnej taksówki, zresztą już straciłem na nią nadzieję; że nerwy mam napięte jak postronki i byle co mnie przestrasza, moje głośnie mokre buty, bezładne uderzenia pół płaszcza, okładana wiatrem czasza parasola, asfalt odbijał jej płynący zarys na oświetlonych kawałkach ulicy, gdy mijałem melancholijne już po zmierzchu pomniki, którymi naszpikowane są rozliczne place, metaliczne cykanie świerszczy rozlegające się przy każdym moim ruchu i porywisty nocny wiatr, być może rzeczywiste lekkie stąpanie jakiegoś zabłąkanego psa, którego nie widziałem, a który naprawdę szedł za mną, bo nie miał wyboru – nie spotykałem żywej duszy w obrębie całych kwartałów

ulic – a może i dla niepoznaki, żeby nikt go nie wziął za bezdomnego włóczęgę. Tis, tis, tis. Czułem własny zapach nasiąknięty wodą: zapach mokrego jedwabiu i mokrej skóry, i wilgotnej wełny, a może nawet i własnego potu, po wodzie kolońskiej, którą natarłem się rano, nie został żaden ślad. Tis, tis, tis, odwracałem głowę i nie było nikogo, tylko niepokój na karku i uczucie zagrożenia, a może raczej inwigilacji – one towarzyszyły moim rytmicznym, niezmiennym krokom: jeden, dwa, trzy i cztery, jakbym kroczył do przodu w jakimś nieskończonym przemarszu z parasolem-fuzją albo parasolem-włócznią, choćby ten naprawdę służył jako lichutki obszerny hełm albo jako trzymana na ramieniu chwiejna tarcza, która podskakuje i tańczy. Jestem własnym bólem i własną gorączką, myślałem, kiedy wydawało mi się, że sam napędzam sobie strachu, to muszę być ja.

Nie, to wcale nie było dziwne. Kto całymi dniami wyraża opinie, a nawet stawia diagnozy (nie mówmy na razie o przepowiedniach), wydaje sądy, często nie mając po temu żadnych podstaw, upiera się, że coś zobaczył, chociaż widział niewiele lub zgoła nic, a zdarza się, że wręcz udaje swoją wiedzę, kto dosłuchuje się wahania lub drżenia głosu w czyjejs wypowiedzi, zwraca uwagę na dobór słów – przecież obserwowani dysponują całym ich repertuarem (całkiem często się zdarza, że nie znajdują nawet tego jedyne właściwego słowa i trzeba ich wtedy naprowadzić, i wskazać im to słowo, łatwo wtedy nimi manipulować), kto wyostrza wzrok, by dostrzec niepewne spojrzenia albo nerwowe trzepotanie powieką, cofnięcie wargi, gdy szykuje się kłamstwo, bądź drganie szczęki ambitnego głupka, kto wnikliwie analizuje fizjonomie, aż w końcu nie widzi już żywych twarzy w ruchu, lecz patrzy na nie jak na obrazy albo jak na twarze śpiących lub umarłych, albo jak na przeszłość; kto ma za zadanie nie ufać, ten zaczyna w końcu postrzegać wszystko w tym świetle: podejrzliwie, nieufnie, interpretując, w niezgodzie z tym co widać i z tym co oczywiste i wyraźne. Łatwo wtedy zapomina, że to co na wierzchu albo

zobaczone w pierwszej chwili może być niekiedy wszystkim, bez dyskusji, bez obłudy i bez tajemnicy, bo są ludzie, którzy niczego nie ukrywają, nie wiedzą, jak to robić, albo nawet tego nie potrafią.

Od wielu już miesięcy wypełniałem swoje zadania niemal codziennie, rzadko zwalniano mnie z obowiązku stawienia się osobiście w budynku bez nazwy, przychodziłem choćby tylko po to, żeby poinformować o tym, co analizowałem i wychwyciłem, czyli o tym, co ustaliłem wcześniej w domu. Z wolna nabierałem śmiałości (jeżeli nie było to raczej rozzuchwalenie) i przebyłem w tym całkiem długą drogę. Człowiek na początku mówi często: „nie wiem”, „trudno mi powiedzieć” albo żeby rzeczy zniuansować i zabezpieczyć się maksymalnie: „prawdopodobnie”, „zaryzykowałbym twierdzenie, że...”, „nie mam pewności, ale...”, „to mi się wydaje możliwe”, „może tak”, „chyba nie”, „to nieprawdopodobne”, „być może”, „może”, „nie wiem, czy to nie jest posuwanie się zbyt daleko, ale...”, „to czysta supozycja, jednak...”, „*Perhaps*”, „*It might well be*”, przestarzałe „*Methinks*”, amerykańskie „*I daresay*”, w każdym języku są wszystkie możliwe odcienie. Tak, w swoim języku unikasz zdań twierdzących i wypędzasz z głowy wszelką pewność świadom tego, że pewność pociąga za sobą zdania twierdzące i na odwrót, jest to niemal równoczesne, prawie nie ma różnicy, myśli i słowa nadmiernie się wzajemnie zanieczyszczają. Tak jest na początku. Ale wkrótce stajesz się pewniejszy: czujesz się pochwalony albo skarcony jakimś spojrzeniem rzuconym z ukosa bądź przypadkową uwagą, na pozór bez konkretnego adresata i wypowiedzianą neutralnym tonem, ale ty rozumiesz, że jest skierowana do ciebie, ciebie dotyczy. Zauważasz, że „nie wiem” nie bardzo się podoba, uchylenie się od odpowiedzi nie jest w cenie, brak jednoznaczności przyjmowany jest z rozczarowaniem, a niuanse nie trafiają na podatny grunt; że to co zanadto niepewne i ostrożne nie jest brane w rachubę ani nie wzbudza zainteresowania, wątpliwe nie przekonuje nawet, że mogą być powody do

wątpienia, zastrzeżenia równają się niemal rozczarowaniu; że toleruje się „pewnie” i „być może” przez wzgląd na dobro firmy albo grupy, która mimo całej swej arogancji nie traci instynktu samozachowawczego, nigdy jednak takie określenia nie wzbudzają entuzjazmu ani namiętności, ani nawet aprobaty, poczytuje się je za przejaw bojaźliwości i potulności. I w miarę jak coraz bardziej się ośmielasz, zadaje ci się coraz więcej pytań i przypisuje coraz więcej umiejętności, granice tego co wiadome zatracają się zawsze w okamgnieniu i pewnego dnia okazuje się, że oczekuje się od ciebie, żebyś widział to co niedostrzegalne i wiedział to, czego nie można sprawdzić, żebyś miał odpowiedź na to, co nie tylko jest prawdopodobne, a nawet zaledwie możliwe, lecz także na to co niewiadome i niezgłębione.

Najbardziej uderzające i niebezpieczne jest to, że ty sam zaczynasz z czasem czuć, że potrafisz zobaczyć i zgłębić, dowiedzieć się i wiedzieć, a tym samym zaryzykować odpowiedź. Zuchwałość nigdy się nie uspokaja, przybywa jej lub ubywa, rośnie albo się kurczy, przygasa niepostrzeżenie lub uzależnia, a znika najwyżej po jakimś wielkim niepowodzeniu. Jeżeli jednak jest, to ciągle pozostaje w ruchu, nigdy nie jest stabilna ani spełniona, jest przeciwieństwem niezmienności. Głównie ma tendencję do nieograniczonego wzrostu, chyba że się ją krótko trzyma lub brutalnie hamuje albo metodycznie zmusza do odwrotu. W okresie burzy i naporu postrzeżenie bardzo się zaburza albo staje nadmiernie wyostrome, przestajesz na przykład rozpoznawać stronniczość i jesteś przekonany, że twoje opinie i spostrzeżenia opierają się na solidnych, aczkolwiek subiektywnych kryteriach (mniejsze zło, nie ma rady); i nadchodzi taka chwila, że umiejętność trafnego rozpoznania przestaje mieć większe znaczenie, szczególnie że w mojej pracy rzadko kiedy dawało się to sprawdzić, a jeżeli się dawało, to i tak zazwyczaj mnie o tym nie informowano, taka jest prawda. Ze swojej tam bytności, z faktu, że proszono mnie o świadczenie usług – użyjmy tego urzędowego



i śmiesznego sformułowania – i że mnie nie zwalniano, wnosiłem, że procentowo mój wynik był dobry, zastanawiałem się jednak od czasu do czasu, czy to w ogóle jest sprawdzalne, a gdyby było, to czy ktokolwiek zadawał sobie taki trud. Wydawałem opinie, werdykty, sądy, dawałem upust swoim uprzedzeniom: czytano je albo ich słuchano; zadawano mi konkretne pytania: odpowiadałem, rozszerzając poprzednie wypowiedzi lub dodając do nich komentarz, precyzując i uściślając albo uogólniając, zawsze posuwając się siłą rzeczy zbyt daleko. Nie wiedziałem, co z tym wszystkim robiono potem, czy wywoływało jakieś konsekwencje, czy przydawało się w praktyce, a może zapełniało tylko archiwum, czy komuś faktycznie pomagało albo szkodziło: ani słowa więcej, nikt mnie potem o niczym nie informował, wszystko sprowadzało się – przynajmniej dla mnie – do owego pierwszego etapu, gdzie główną rolę odgrywały moje wypowiedzi, a po nich następowało krótkie przesłuchanie lub rozmowa; a to, że – na ile mogłem ocenić – nie było drugiego etapu ani trzeciego, ani czwartego, powodowało, że wszystko razem (w życiu codziennym, bo tylko takie jest ważne) sprawiało na mnie wrażenie jakiejś głupiej gry albo hipotetycznych zakładów, ćwiczeń z konfabulacji i przenikliwości. Tym sposobem przez długi czas nie miałem poczucia ani świadomości, że mogę komuś wyrządzać krzywdę.

Kiedy miał miejsce zamach stanu przeciwko Hugo Chávezowi w Wenezueli, nie mogłem opędzić się od pytań, czy pośrednio mieliśmy na to jakiś wpływ; najpierw na jego wyraźny początkowy sukces, potem na groteskową klapę (wydaje się, że zabrakło determinacji); a w każdym razie na chaotyczność całego przedsięwzięcia. Uważnie oglądałem telewizję, wypatrując, czy pojawił się gdzieś generał Ponderosa czy jak on się naprawdę nazywał, ale nigdy go nie zobaczyłem, może nie wziął w tym udziału. Może zamach się nie udał, bo Tupra odradził w swoim czasie

wszelką pomoc finansową i wsparcie, kto wie. Nie potrafiłem nie zagadnąć Tupry na ten temat.

– Widział pan, co się dzieje w Wenezueli? – zapytałem go pewnego ranka zaraz po wejściu do jego gabinetu.

– Tak, widziałem – odpowiedział takim samym tonem, jakim kiedyś zgodził się z wenezuelskim wojskowym cywilem, że istotnie nie miał naszego numeru telefonu, choć my mieliśmy jego numer. To był rozstrzygający, a może należałoby powiedzieć: kończący ton głosu. Widząc, że waham się, czy kontynuować, dodał: – Coś jeszcze, Jack?

– Nic więcej, Mr Tupra.

Nie, nie mieli w zwyczaju informować mnie, czy trafiłem w sedno czy pomyliłem się w swoich interpretacjach.

„Może to ryzykowne, ale...”, „Mogę być w błędzie, niemniej...”. To właśnie „ale” i „niemniej” są tymi szczelinami, które w końcu pozwalają otworzyć na oścież wszystkie drzwi, i wkrótce same sformułowania zdradzają już nasze rozzuchwalenie: „Dałbym głowę, że on przejdzie na drugą stronę, gdy tylko pojawi się najmniejsza trudność, a potem znowu wróci i będzie raz tu, raz tam tyle razy, ile będzie trzeba, ale jego największy problem polega na tym, że żadna ze stron nie przyjmie takiego oczywistego tchórza”, mówi się o twarzy urzędnika – lśniąca łysina, brudne okulary – ujrzanej po raz pierwszy pół godziny wcześniej, a obserwowanej teraz przez fikcyjne okno albo fikcyjne owalne lustro z mieszanką poczucia wyższości i bezbronności (bezbronności wynikającej z przekonania, że inni zawsze będą chcieli cię oszukać, poczucia wyższości, bo spogląda się z ukrycia, widzi się wszystko bez ryzyka wystawienia się na spojrzenia innych).

„Ta kobieta rozpaczliwie stara się zwrócić na siebie uwagę, potrafiłaby wymyślić coś najbardziej szalonego, byle tylko ją zauważono, poza tym czuje potrzebę popisywania się przed wszystkim, co się rusza, w każdej

sytuacji, nie tylko przed kimś, przed kim warto się wysilać i co może jej przynieść jakiś pożytek, ale przed swoim fryzjerem, sprzedawcą z warzywniaka, a nawet przed swoim kotem. Nie potrafi nawet dozować zapachu ani dobierać sobie publiczności; już nie potrafi rozróżniać, nikomu nie będzie szczególnie przydatna”, mówi Tupra o sławnej aktorce – z pięknymi długimi włosami, napiętym, twardym jak kamień podbródkiem i bardzo próżnej – przyglądając jej się na wideo, i wszyscy wiemy, że ma rację, że trafił w samo sedno jak niemal zawsze, choć brak jakiegokolwiek wiarygodnego elementu oceny na poparcie jego tez.

„Ten facet ma zasady i jest nieprzekupny, dałbym sobie rękę uciąć. A właściwie to nawet nie są zasady, on po prostu tak niewiele pragnie i w takiej pogardzie ma wszystko, że pochlebstwo ani nagroda nie skłoniłyby go do prezentowania poglądów, które nie byłyby dla niego przekonujące, a co najmniej zabawne. Można go podejść tylko groźbą, bo wygląda na takiego, co się boi, mam na myśli fizyczny strach, nigdy w życiu nie dostał w twarz, powiedzmy, że nigdy, odkąd skończył szkołę. Rozpadłby się na kawałki od najmniejszego bólu. O tak, to by go zupełnie rozstroilo. Poddałby się po pierwszym zadraśnięciu, pierwszym ukłuciu. Mógłby się do czegoś nadać, pod warunkiem że nie zostanie wystawiony na tego rodzaju ryzyko”, mówi Rendel o sympatycznym pisarzu, młodzieńczo wyglądającym pięćdziesięciolatku – ostre chochlikowate rysy twarzy, powolny sposób mówienia, leciutki akcent z Hampshire, według Mulryana, okrągłe okulary, ton wypowiedzi daleki od afektacji – oglądając wywiad z nim nagrany ze zbyt bliskiej odległości, niemal wyłącznie w zbliżeniu, ani razu nie widzieliśmy jego dłoni; i wydaje nam się, że Rendel ma rację, że pisarz istotnie jest człowiekiem odważnym w swoich poglądach i wypowiedziach, ale stchórzyłby skonfrontowany z najdrobniejszym aktem przemocy, bo nie potrafi jej sobie wyobrazić w swojej codziennej rzeczywistości: jest w stanie mówić o przemocy, ale tylko dlatego, że

postrzega ją jako coś abstrakcyjnego. Podobnie jak na taśmie wideo nie miałby ręk, żeby się bronić.

„Z tym osobnikiem nie przeszedłbym na drugą stronę ulicy, w przypiływie irytacji mógłby mnie wepchnąć pod samochód. Jest porywczy i niecierpliwy, trudno zrozumieć, jak ktoś taki może kimkolwiek kierować zza biurka, jak może rozkręcić jakiś interes, w dodatku zyskowny, nie mówiąc już o jego imperium. Jego naturalne predyspozycje kazałyby go raczej widzieć w roli rzezimieszka napadającego na przechodniów o zmierzchu albo wdającego się w bójki, płatnego mordercy demolującego wszystko po drodze. Jest kłębkim nerwów, nie umie czekać, nie interesuje się tym, co do niego mówią, nie wytrzyma nawet pięciu minut w samotności, ale nie towarzystwo mu potrzebne, lecz publiczność. Musi mieć paskudny charakter, pewnie łatwo przechodzi do rękoczynów, nie wspominając już o podnoszeniu głosu, codziennie wrzeszczy na pracowników, na dzieci, na swoje dwie byłe żony i sześć kochanek (a może ma ich siedem, tu pojawiają się wątpliwości). To tajemnica, jak taki człowiek może być przedsiębiorcą albo szefem czegokolwiek poza jakąś spelunką w Soho codziennie zagrożoną plajtą. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, to że musi wzbudzać straszną panikę, a jego hiperaktywność musi być tak wielka, że siłą rzeczy udaje mu się zrealizować niektóre z niezliczonych projektów i szemranych interesów: prawdopodobnie, przez czysty przypadek, te najbardziej opłacalne. Może też mieć dobrego nosa, ale to nie bardzo mi licuje z jego brawurą: dobry nos wymaga wytrwałości i spokoju, a ten gość nie wie nawet, co te słowa znaczą: on po prostu zarzuca wszystko, co mu stawia opór albo wymaga wysiłku, to jego sposób zyskiwania na czasie. Nie mam pojęcia, czego można się po nim spodziewać w polityce, jeżeli faktycznie w nią wejdzie, jak twierdzi. Oczywiście poza potwornym zachowaniem i chamstwem wobec elektoratu, bo nie zawaha się zwymyślać swoich możliwych

wyborców, gdy tylko mu coś wytkną, chwila nieuwagi, a obrzuci ich obelgami”, mówi Mulryan o uśmiechniętym multimilionerze, którego widać na wszystkich niemal ujęciach z wielu imprez sportowych, imprez charytatywnych i z udziałem rodziny królewskiej, jak wsiada do balonu, przechadza się na wyścigach w Ascot i na derbach w Epsom, odpowiednio na te okazje groteskowo wystrojony, podczas podpisywania umowy z jakąś firmą fonograficzną albo z amerykańskim studiem filmowym i z firmą organizującą targi, na uniwersytecie w Oksfordzie podczas jakiejś uroczystości celebrowanej w togach (może zorganizowanej *ad hoc*, nigdy nie widziałem tam nic podobnego), jak wita się z premierem, kilkoma ministrami oraz z pewnym małżonkiem nobilitowanym przez swój związek małżeński, na premierach, wernisażach, koncertach, balach, na spotkaniach arystokracji, jak popiera talenty w lukratywnych dziedzinach sztuki, takich, które zapewniają publiczność, scenę i aplauz; i mimo że zawsze uśmiechnięty i zadowolony w telewizyjnych reportażach lub dokumentach – duże zakola na skroniach, od których jego czoło nie staje się jednak wyższe, przeciwnie, wydaje się niskie i szerokie; mocne długie, właściwie końskie zęby; nienaturalna opalenizna; falbanka ulegających pokusie skrętu włosów nad karkiem, a nawet ciut niżej, jak ślad plebejskości; strój odpowiedni do każdej okazji, ale można by rzec, że niezmiennie wyglądający na przywłaszczony lub nawet wypożyczony; uwięzione krzepkie i wściekłe ciało, jakby niechętnie samemu sobie – wszyscy wierzymy, że Mulryan się nie myli, nietrudno nam sobie wyobrazić tego bogacza, jak bije po twarzy ludzi ze swojej świty (i oczywiście ryczy na swoich podwładnych), kiedy tylko ma pewność, że nie nakręci tego żadna kamera.

„Ta kobieta dużo wie albo dużo widziała i postanowiła o tym nie mówić, jestem pewna. Jej problem albo nawet udręka polega na tym, że ciągle o tym pamięta, o strasznych rzeczach, których była świadkiem albo

o których wie, i o swoim osobistym ślubowaniu, żeby zachować na ich temat milczenie. Nie jest tak, że pewnego dnia podjęła postanowienie, które potem przyniosło jej spokój, choć bardzo wiele ją kosztowało. Nie jest tak, że od tamtej pory może żyć z poczuciem znośnego spokoju, bo przynajmniej wie, co chce, a raczej nie chce, żeby się wydarzyło; że udało jej się ukryć w zakamarkach pamięci te fakty albo tę wiedzę, przytłumić je w sobie, nadać im powoli konsystencję i kształt snu, wiele osób dzięki temu potrafi znieść wspomnienie potworności i utraty złudzeń: chwilami wątpić, że kiedykolwiek do nich doszło; zasnuć je mgłą, spowić w chmurę dymu nagromadzonych później lat i tym sposobem skuteczniej zmniejszyć ich wartość. Ta kobieta wprost przeciwnie, myśli o tym intensywnie bez ustanku, nie tylko o tym, co się stało albo czego się dowiedziała, lecz o tym, że musi albo chce zachować milczenie. Nie żeby ją kusilo, by nie dotrzymać słowa (byłoby to tylko na własny użytek, wobec siebie); nie żeby czuła stale, że podjęta decyzja jest tymczasowa, nie żeby rozważała zmianę decyzji i żeby te rozmyślania nie pozwalały jej w nocy zasnąć. Powiedziałabym, że jej decyzja jest nieodwołalna, a – jeżeli się mnie przyciśnie – może nawet bardziej niż nieodwołalna, bo nie wiąże się z żadnym zobowiązaniem. Ale jest tak, jakby podjęła tę decyzję dopiero wczoraj. Jakby spokój kobiety zakłócało coś, co jest wiecznie świeże i wcale nie przebrzmiewa, gdy tymczasem to wszystko prawdopodobnie jest już dziś bardzo odległe, zarówno samo zdarzenie, jak i jej pierwsza decyzja, by nigdy nie wyszło na jaw, nie za jej przyczyną. Nie mam na myśli wydarzeń związanych z jej życiem zawodowym, lecz z osobistym: fakty, które na nią wpłynęły i codziennie wpływają albo ją ranią, zatruwają i co noc, kiedy kładzie się spać, wpędzają w gorączkę. «Ja tego nie powiem, za moją sprawą nie wyjdzie na jaw», musi sobie ciągle myśleć, jakby te minione doświadczenia podskórnie w niej pulsowały. Jakby ciągle jeszcze były sednem jej egzystencji, tym co wymaga największej uwagi, to o nich

myśli zaraz po przebudzeniu i z myślą o nich zasypia. Dla jasności trzeba jednak dodać, że nie ma w tym nic obsesyjnego, jej życie codzienne jest lekkie i pełne energii; jest bardzo otwarta, nie ma w niej wcale zgorzknienia. Chodzi o coś innego: o jej lojalność wobec tej historii. Taka kobieta byłaby dla wielu ludzi bardzo użyteczna, umie doskonale dochować sekretu, a zatem potrafi też sekretami zarządzać i rozdzielać je, jest w tym względzie całkowicie wiarygodna właśnie dlatego, że cały czas ma się na baczności i wszystko jest dla niej zawsze żywe i obecne. Jakkolwiek odległa w czasie staje się jej tajemnica, ona zawsze widzi ją wyraźnie, podobnie byłoby z każdym powierzonym jej sekretem. Nie umyka jej żaden szczegół. Kiedy już role zostaną rozdane, nigdy nie zapomni, kto o czym wie i kto o czym nie wie. Jestem pewna, że pamięta wszystkie twarze i nazwiska, które przewinęły się przez jej salę sądową”, mówi młoda Pérez Nuix o sędzinie w dojrzałym wieku i miłej, wesołej twarzy, której oboje się przyglądamy z naszej kryjówki, podczas gdy Tupra i Mulryan zadają jej pełne rewerencji pokrętne pytania, damom zawsze proponują herbatę, jeżeli pora jest popołudniowa i jeżeli, ze względu na swą pozycję lub maniery, istotnie są damami, panom nie, chyba że są szychami albo mogą być bardzo wpływowi w jakiejś konkretnej sprawie, im najwyżej papierosa (aczkolwiek nigdy z paczki z faraonami), i od wielkiego dzwonu jakiś aperitif albo piwo, jeśli pora po temu odpowiednia, a sprawa się przeciąga (w regale z książkami jest ukryta małeńka lodówka); i mimo spokoju i jowialnego wyglądu sędziny – ujmujący uśmiech; bardzo jasna, ale zdrowa cera; żywe, bystre, choć bladoniebieskie oczy; stałe podkowy pod oczyma, tak głębokie i twarzowe, że musiały jej się zrobić już w dzieciństwie; szczery zaraźliwy śmiech ze szczyptą uprzejmości, która nie pozbawia go spontaniczności, pozbawia natomiast pochlebczego charakteru, tego nie ma ani śladu; jej radosna świadomość, że mimo niesprzyjającego już wieku wzbudza w Tuprze jakiś rodzaj pożądania

(możliwe, że teoretycznego albo retrospektywnego, albo wyimaginowanego), ponieważ on widzi w niej tę młodą dziewczynę, jaką była, albo potrafi w niej tamtą dziewczynę wyczuć, a to z kolei ją bawi i odmładza – mam wrażenie, że to co dostrzega w niej i opisuje mi młoda Nuix, jest wiarygodne, bo istotnie widzę w sędzinie coś na kształt ekscytacji lub pobudzenia, jakie pociąga za sobą znajomość ważnej tajemnicy i poprzysięgnięcie sobie, że się jej nie wyjawia.

Młoda Nuix nie mówi oczywiście tak płynnie ani tak szczegółowo, kiedy oboje patrzymy i robimy notatki w przedziale (ja to teraz porządkuję i redaguję, wszyscy tak robimy, gdy coś referujemy, uzupełniam ponadto jej późniejszym pisemnym raportem), lecz rzuca mi przez stół pojedyncze komentarze, nas przecież nie widać ani nie słyhać, choć dobrze wiadomo, gdzie jesteśmy, wysłani tu przez samego Tuprę. Słuchając jej, pamiętam – przy każdej okazji pamiętam, nie tylko wtedy, gdy ona interpretuje tę sędzinę, sędzinę Walton – słowa, które Wheeler przypisał tamtej niedzieli Tuprze: „Mówi, że z czasem będzie najlepsza w grupie, jeśli uda mu się ją zatrzymać dostatecznie długo”, i ciągle się zastanawiam, czy już nie jest najlepsza, czy to nie ona jest najbardziej precyzyjna i najbardziej utalentowana, czy nie podejmuje największego ryzyka i nie widzi najgłębiej z naszej piątki, młoda Pérez Nuix, córka Hiszpana i Angielki wychowana w Londynie, ale zżyta z krajem ojca tak samo jak ja (nie na próżno spędza w Hiszpanii wakacje letnie od dwudziestu kilku lat), całkowicie dwujęzyczna w odróżnieniu ode mnie, znającego lepiej ten język, w którym nauczyłem się pierwszych słów, i uważającego za własne imię, z którym od początku się identyfikowałem, Jacques, używane przez osobę, która najczęściej się do mnie zwracała. Uśmiech tej młodej kobiety jest również ujmujący, a śmiech szczery i zaraźliwy, oczy są także żywe i bystre, tym bardziej że mają ciemnobrązowy kolor i nie ciąży im uporczywe, ciągle obecne pod powiekami obrazy. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat, może dwa



lata więcej albo rok mniej, kiedy nasze spojrzenia krzyżują się nad stołem albo w jakiegokolwiek innej sytuacji, czuję, że Luisa i dzieci zaczynają blednąć, podczas gdy zazwyczaj widzę ich aż nazbyt wyraźnie, mimo że pozostają tak daleko, a twarze dzieci podlegają przecież ciągłym zmianom i nigdy nie wyglądają tak samo; zdają sobie sprawę, że utrwala mi się albo dominuje w pamięci ich wygląd z najnowszych fotografii, które zabrałem ze sobą do Anglii, noszę je w portfelu jak każdy dobry lub zły ojciec i w dodatku na nie patrzę. Zauważam też, że mimo różnicy wieku młoda Nuix mnie nie spisuje na straty; albo należałoby to powiedzieć w trybie warunkowym: nie mogę uwolnić się od myśli, że pozostaje albo pozostawała w jakimś seksualnym związku z Tuprą, chociaż nie ma na to niezbitych dowodów, a oni traktują się nawzajem z szacunkiem i humorem oraz z rodzajem jakiegoś wzajemnego paternalizmu, może to jest najistotniejszy dowód. (Ale nie mogę się uwolnić od tej myśli i wiem, że z Tuprą nikt nie ma szans). Widzę w jej oczach, że mnie nie wyklucza, nie wykluczy lub nie wykluczyłyby, podobnie jak od lat dostrzegam to nieomylnie w oczach innych kobiet – w młodości jest się większym krótkowidzem i ma się większy astygmatyzm albo jest się większym dalekowidzem, wszystko naraz – czuję to i słyszę, gdy czy to z nieśmiałości, czy z powodu czającego się wstydu zawsze zbiera w sobie siłę, nim nawiąże ze mną chwilową rozmowę, to znaczy nim zamieni kilka słów więcej niż słowa powitania albo wymieni pojedyncze pytanie i odpowiedź, zupełnie jakby robiła zamach albo brała rozbieg lub jakby przygotowywała sobie w myślach całe pierwsze zdanie (które, o dziwo, nigdy nie jest krótkie), jakby je konstruowała i zapamiętywała w całości, zanim je wypowie na głos. Ludzie często tak postępują, gdy rozmawiają w obcym języku, my jednak, ta młoda kobieta i ja, rozmawiając tylko we dwoje albo na osobności, używamy zawsze języka hiszpańskiego, który jest tyleż moim, co i jej językiem.

Byłem jednak absolutnie pewien, że na jej twarzy nie czaił się rumieniec owego ranka, kiedy najbardziej powinna była się zaczerwienić. Miałem już od jakiegoś czasu klucze do budynku bez nazwy i przekonany, że tego dnia przychodzę pierwszy do pracy na piętro, które zajmowaliśmy (poranna bezsenność kazała mi wyjść wcześniej, żeby naprawdę rozpocząć dzień i dokończyć jakiś raport), a zatem pewny, że to ja otwieram drzwi z klucza (zamykane na noc rygle były zasunięte), usłyszałem ze zdumieniem jakiś hałas i ciche nucenie dobiegające z jednego z gabinetów; otworzyłem drzwi nie gwałtownie, ale zdecydowanie, jednym ruchem, z niejasną myślą, że zaskoczę w środku intruza, szpiega-rannego ptaszka albo potajemnego włamywacza i tym sposobem zdobędę nad nim przewagę przy ewentualnym starciu, choć to nucenie brzmiało bardzo cichutko i spokojnie. I wtedy ją zobaczyłem, młodą Nuix, stała przy biurku naga od pasa w górę i z jednym ramieniem uniesionym do góry, wycierała się pod pachą ręcznikiem trzymanym w drugiej ręce. Miała na sobie jedynie wąską spódnicę, tę z poprzedniego dnia, codziennie zwracałem uwagę na to, jak jest ubrana. Tak mnie ten widok zaskoczył (choć zarazem nie tak bardzo, a może wcale: słyszałem, że to kobiecy głos nucił), że nie zrobiłem tego, co wypadałoby zrobić, nie wybąkałem jakichś pospiesznych przeprosin i nie zamknąłem drzwi, wycofując się naturalnie. To była kwestia kilku sekund, lecz pozwoliłem, by minęły (jedna, druga, trzecia, czwarta), przyglądając jej się z miną, jak sądzę, pytającą, pełną uznania i udawanego przestachu (czyli oczywiście z głupią miną), dopiero potem powiedziałem: „Dzień dobry” tonem całkowicie neutralnym, to znaczy takim, jakby była ubrana od stóp do głów jak ja, albo prawie, bo ja miałem jeszcze na sobie płaszcz. Myślę, że w pewnym sensie zachowałem się obłudnie jakby nigdy nic, jakbym nie widział; ale ona również mi w tym pomogła – chcę tak myśleć – młoda Nuix dorzuciła ze swej strony drugie tyle, jakby nigdy nic. Przez tych kilka sekund, kiedy stałem w otwartych drzwiach, nie tylko nie

zasłoniła się wystraszona albo zawstydzona, a co najmniej zaskoczona (łatwo było zasłonić się ręcznikiem), lecz stała nieruchoma, jak zatrzymany obraz na wideo, dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ją zastałem w gabinecie, spoglądając na mnie z miną pytającą, ale wcale nie głupią, ani udawanie, ani prawdziwie przestraszoną. Przystała tylko nucić i poruszać się; wcześniej się wycierała, teraz już tego nie robiła, ręka z ręcznikiem zatrzymała się. Stojąc tak, nie tylko nie przykryła swej nagości (nie zrobiła tego nawet odruchowo), lecz trzymając nadal uniesione w górę ramię, pozwoliła mi oglądać swoją pachę, a kiedy naga kobieta pozwala widzieć swoją pachę albo obie, to tak jakby dodawała coś jeszcze do swej nagości. Pacha była naturalnie czysta i gładka, właśnie umyta, jak wywnioskowałem, i oczywiście wygolona, bez tych upiornych chaszcz, jakie niektóre kobiety z uporem dziś hodują w dziwacznym geście protestu przeciwko tradycyjnym upodobaniom mężczyzn. „Dzień dobry”, odpowiedziała równie neutralnym tonem. To było tylko kilka sekund (pięć, sześć, siedem, osiem; i dziewięć), ale spokój i naturalność naszego zachowania w tym czasie przypomniały mi inną sytuację, kiedy to moja żona Luisa, wkrótce po narodzinach naszego syna, znieruchomiała do połowy rozebrana (odsłonięty biust, piersi powiększone macierzyństwem, zamierzała położyć się do łóżka) i odpowiedziała na kilka moich absurdalnych pytań dotyczących naszego nowo narodzonego dziecka („Myślisz, że zawsze będzie mieszkał z nami, dopóki będzie dzieckiem albo nastolatkiem?”). Rozbierała się, w jednej ręce trzymała jeszcze zdjęte właśnie rajstopy, w drugiej koszulę nocną, którą zamierzała włożyć („Jasne, a niby z kim? Co za idiotyczne pytanie?”; i dodała: „Jeśli nic nam się nie przytrafi”), podczas gdy młoda Nuix trzymała w jednej ręce ręcznik, którym nie zamierzała się okryć ani się nie okryła, drugą miała wolną i uniesioną niczym jakiś starożytny posąg. Obie kobiety były półnagie („Co masz na myśli?”, zapytałem wtedy Luisę) i jedna nagość nie miała nic

wspólnego z drugą (to znaczy dla mnie nie miała, bo obiektywnie były naturalnie podobne): nagość mojej żony była dla mnie czymś znanym, a nawet zwyczajnym, co nie znaczy w żadnym razie, że nie robiła na mnie wrażenia, przeciwnie, nawet w tym przelotnym, domowym momencie wpatrywałem się w jej powiększone piersi; było jednak czymś normalnym, że nadal prowadziliśmy rozmowę jakby nigdy nic, że z tego powodu jej nie przerwaliśmy („Nic złego”, odpowiedziała ona); nagość mojej młodej koleżanki z pracy odbierałem natomiast jako coś nowego, nieoczekiwanego, nieodkrytego, w żadnej mierze nieprzewidzianego, a nawet niezasłużonego i potajemnego z mego punktu widzenia, jako wynik nieporozumienia i nieostrożności, dlatego patrzyłem na tę nagość inaczej, bez lubieźności i bezwstydu, lecz z jakąś odkrywczą i zarazem zapisującą w pamięci uwagą, patrzyłem pozornie niewidzącymi oczyma naszych czasów, co stanowiło normę w Anglii, gdzie się znajdowaliśmy i gdzie rozwinął się i został doprowadzony do perfekcji ten sposób patrzącego niepatrzenia albo nie patrzącego patrzenia, którego jak spostrzegłem, tylko Tuprze udało się uniknąć lub od niego prawie wyzwolić; a ona pozwoliła, żebym tak patrzył, nie patrząc, nie zrobiła nic, żeby temu zapobiec, ale ani w jej oczach, ani w postawie również nie było bezwstydu ani ekshibicjonizmu, a kiedy dodała coś jeszcze, wyjaśnienie, którego nie oczekiwałem, niepotrzebne i mimo że pierwsze skierowane do mnie tego dnia, najwyraźniej tym razem nie ułożone wcześniej w głowie („Spałam tu, choć to za dużo powiedziane, spędziłam tu całą noc, ślęcząc nad jakimś piekielnym raportem”), jej głos i ton nie różniły się bardzo od tych dobrze mi znanych z życia małżeńskiego. Tak więc kiedy minęły pozostałe sekundy (dziewięć, dziesięć, jedenaście i dwanaście: „Jasne, nie przejmuj się, ja z kolei przyszedłem tak wcześnie, bo chcę dokończyć swój raport”, powiedziałem ze swej strony nie tyle tytułem wyjaśnienia, ile spóźnionych i nie wyrażonych wprost przeprosin), zamknąłem wreszcie drzwi, jednym

zdecydowanym, niemal gwałtownym ruchem (przez cały czas trzymałem rękę na klamce) i wycofałem się do swego gabinetu, który dzieliłem z Rendelem, ona swój dzieliła z Mulryanem. Pomyślałem sobie, że młoda Nuix należy do innego pokolenia; pomyślałem sobie, że pewnie podczas wakacji nigdy nie wkłada stanika, idąc na basen albo na plażę w Hiszpanii, że musi być przyzwyczajona do spojrzeń i do podziwu, jej poczucie wstydu osłabło. Pomyślałem także, że jesteśmy krajanami, a za granicą to równa się niemal pokrewieństwu: wytwarza niezwykle poczucie wspólnoty i solidarności i daje asumpt do bezzasadnego zaufania, a także do nawiązywania znajomości i romansów, które byłyby nie do wyobrażenia, byłyby niemal zboczone we wspólnym kraju pochodzenia (znajomość z De la Garzą, tym piramidalnym kretynem Rafitą). Jednakże ona bardziej była Angielką niż Hiszpanką, z pewnością nie powinienem o tym zapominać. W każdym razie wiem dobrze, że kiedy zaskoczona naga kobieta nie wykonuje żadnego gestu, żeby się zakryć, choćby instynktownie (chyba że jest striptizerką albo kimś w tym rodzaju, z kilkoma się prowadziłem), to znaczy, że nie spisuje na straty tego, kto ją zaskoczył i kto jej się przygląda, ta reguła nadal obowiązuje we wszystkich żyjących pokoleniach, przynajmniej w tych dorosłych. To nie znaczy, że kobieta czuje pociąg do tego kogoś albo na gwałt go pożąda, jestem daleki od wiary w podobne naiwne domniemania. Ona go tylko nie spisuje ma straty, nie eliminuje, nie całkowicie, i bardzo możliwe, że dopiero w tym momencie to do niej dociera albo zdaje sobie z tego sprawę, w momencie kiedy widzi, że ten ktoś na nią patrzy. i postanawia nie zakryć się dla niego, zakładając oczywiście, że wchodzi tu w grę jakieś postanowienie. Uniesione ramię młodej Nuix nie wydało mi się ostatecznie podobne do ramienia jakiegoś posągu, nie w moich wspomnieniach: raczej postrzegałem je, jakby zwisało z drążka w autobusie albo jakby kobieta trzymała się dłonią zwisającego z góry uchwyty w wagonie metra. Nadal się go trzymała, mając ramię

uniesione do góry, kiedy zamknąłem drzwi i straciłem ją z oczu, tak jak jej gładko wygoloną pachę, która podkreślała tylko całą resztę. Pewnie natychmiast opuściła ramię. Wszystko trwało dwanaście sekund. Nie policzyłem ich wtedy, lecz dopiero później, także we wspomnieniach.

Nie wiedziałem wówczas, co miało oznaczać wyrażenie często używane zarówno w pisemnych, jak i w ustnych raportach, a nawet w spontanicznych i na pozór nieistotnych komentarzach wymienianych w trakcie analizowania fotografii, obrazów wideo albo osób z krwi i kości, które zjawiały się na zaproszenie, a niekiedy wezwanie lub nawet, jak miemam, na polecenie Tupry. Jeżeli pracowaliśmy na zlecenie kogoś innego, jeżeli nie mieliśmy własnych interesów i przekazywaliśmy tylko nasz pogląd, nasze stanowisko, naszą opinię, można było założyć, że ci z obserwowanych, którzy mogli „nadawać się” albo „nie nadawać się”, być „bardzo przydatnymi” lub „bezużytecznymi” (sam szybko zacząłem używać tego wyrażenia, przyzwyczałem się do niego, nie rozumiejąc do końca, co znaczy, praktyka zastępuje tyle rzeczy, bez tylu rzeczy obywa się bezmyślne przyzwyczajenie), byli tacy każdorazowo dla zleceniodawców poszczególnych zadań, zależnie od ich konkretnych potrzeb i osobistych dochodzeń albo zmartwień, które ze swej strony musiały być dużo bardziej zróżnicowane, niż wyobrażałem sobie na początku, kiedy Wheeler opowiedział mi o przeszłości albo o prehistorii grupy, jak nazywał, żeby nie nazwać, to coś bez prawdziwej nazwy („Nic na ten temat nie wyczytasz w książkach”, uprzedził mnie; „nie szukaj tam, stracisz tylko czas i cierpliwość”).

Rzadko zdarzało mi się znać pochodzenie czy też źródło konkretnego zlecenia, rzadko coś na ten temat wspomiano, skłonny byłem przypuszczać, że wszystkie albo ogromna większość pochodzą z oficjalnych instytucji brytyjskich – państwowych, rządowych, administracyjnych albo w niektórych przypadkach (mając na względzie odległe lub powtarzające się narodowości poddawanych analizie

osobników) z ich odpowiedników w krajach zaprzyjaźnionych lub sprzymierzonych ze względu na własny interes bądź okoliczności: zaskakiwała duża liczba przewijających się przez nasze ekrany Australijczyków, Nowozelandczyków, Kanadyjczyków, Egipcjan, Saudyjczyków i Amerykanów, szczególnie tych ostatnich. Nie bardzo też rozumiałem, dlaczego poddawano tych ludzi naszej inwigilacji i ocenie (to uczucie narzucało się samo: pilnowaliśmy ich i ocenialiśmy), szczególnie jeśli potem nie zadawano nam pytań odnoszących się do żadnej określonej dziedziny, kwestii czy cechy. Weźmy przykład sędziny Walton. Ani Tupra, ani Mulryan, ani Rendel nie zapytali mnie o nic konkretnego na jej temat po moim dyżurze na warcie (może zapytali młodą Nuix, która tyle miała spostrzeżeń na temat jej charakteru) i trudno mi było wyobrazić sobie, co u diabła chciano zobaczyć, zinterpretować, odszyfrować, zgłębić albo zdemaskować w przypadku tak przyzwoitej, inteligentnej i rzetelnej osoby, jaką zdawała się sędzina. Kiedy indziej natomiast sam rodzaj pytań dawał mi już wyobrażenie o tym, ku czemu zmierzano, co interesuje Tuprę, Mulryana, Rendela, Nuix, a właściwie wyższe lub niższe instancje – klientów, którzy ich wynajmowali i korzystali z nich, czyli z nas i naszego rzekomego daru czy też z naszych domniemanych zdolności, a może chodziło tylko o zuchwalstwo, które rosło, zawsze rosło, zawsze się powiększało.

W miarę jak upływały kolejne tygodnie, a potem miesiące, poszerzało się stopniowo spektrum moich odpowiedzi i wzrastał mój tupet.

– Jak myślisz, czy ta kobieta go zdradza, choć przysięga, że nie zdradza, a dowodów zdrady brak? – Mulryan pytał mnie o elegancko ubraną kobietę z lekko garbatym nosem, która zaprzeczała pytaniom męża w salonie, gdzie oboje siedzieli na sofie przed włączonym telewizorem, filmowani niewątpliwie z ukrytej kamery, możliwe, że zainstalowanej w odbiorniku telewizyjnym przez samego męża (faceta o szerokiej twarzy, skorego do



śmiechu, nawet jak nie było z czego się śmiać, a wtedy nie było z czego), to on pewnie zwrócił się do nas o poradę, bo sam nie potrafił już odróżnić u niej szczerości od kłamstwa, przyzwyczajenie i wspólne życie niwelują niekiedy różnicę, w rozmowach i w odpowiedziach pojawia się jakiś bezwład i nijakość i nadchodzi dzień, w którym ważne i nieważne, prawdziwe i fałszywe, wszystko obdarza się tą samą znikomą dawką emfazy.

– Tak, myślę, że zdradza – odpowiadałem. – Jej zaprzeczenie było zbyt bezczelne, zanadto elokwentne, niemal sarkastyczne. On w istocie nie zaskoczył jej tym pytaniem mimo teatralnych gestów. Ani jej nie dotknął. Od dawna spodziewała się takiego pytania w każdej chwili, dlatego miała przygotowaną, niemal wykutą na pamięć odpowiedź, wyćwiczony ton głosu i gestykulację. Jeśli nie przed lustrem, to przynajmniej w głowie. Wcześniej wyobrażała to sobie tyle razy, że teraz musiała tylko przejść do czynu. Już prawie nie mogła się doczekać tej nieprzyjemnej chwili.

– Tak uważasz. Tak uważasz. Tylko tyle, Jack? Jesteś pewien? – nalegał Mulryan, nie zważając na to, co wszyscy wiemy: nikt nie może być niczego pewien, chyba że sam coś zrobił, brał w czymś udział albo był czegoś świadkiem (a i to nie zawsze: plama krwi).

– Jestem pewien w takiej mierze, w jakiej moja pewność bierze się z tego, co widzę i postrzegam, z tego, co mi przedstawiasz – mówiłem zawile, podejmując ostatnią próbę zabezpieczenia sobie trochę tyłów i niezatrącenia się do końca w zuchwalstwie. – Powiedziała na przykład, że jego podejrzenia wydają jej się „histerycznie zabawne”. Nie użyłaby tego przysłówka, gdyby wcześniej go sobie wymyśliła, nie wybrała, nie zaplanowała. A również gdyby naprawdę wydawały jej się zabawne. Gdyby tak było, nie użyłaby żadnego przysłówka, co najwyżej jakiegoś bardziej potocznego, na przykład „strasznie”, mniej dobitnego, mniej prześmiewczego. Gdyby oskarżenie było nieprawdziwe, nie nazwałaby go

„emocjonującym” ani „rozkosznym” – „*exhilarating*”, powiedziała – nie poniżyłaby się, mówiąc, co ona „biedna” by dała, żeby wzbudzać jeszcze pożądanie u innych mężczyzn. Niewiele kobiet jest stanowczo i szczerze przekonanych o tym, że nie mogą wzbudzać pożądania, wszystko jedno jak wyglądają i w jakim są wieku. Mam na myśli zamożne kobiety, a ta pani wydaje się dość zamożna. Mogą udawać, że tak myślą, mogą uważać się nad sobą na zewnątrz, żeby im zaprzeczano i zapewniano je, że to nieprawda, mogą się nad tym zastanawiać, a nawet zwątpić w to w chwili przygnębienia albo po doznanym odrzuceniu. Rzadko coś więcej. Szybko podnoszą się z tego typu załamania. Szybko przypisują odrzucenie temu, że serce jest już zajęte, wytłumaczenie to traktują zazwyczaj jako godne i możliwe do przyjęcia. – „*Nor Hell a fury, like a woman scorn'd*”, przypomniałem sobie znany cytat: „Nie ma w piekle furii równej złości urażonej kobiety”. I powiedziałem sobie: „Bez przesady”. – A jeżeli kiedyś w końcu tak zaczynają myśleć, nie opowiadają o tym. A już na pewno nie własnemu partnerowi.

– On jednak jej uwierzył – nie dawał się przekonać albo zwracał mi uwagę Mulryan.

– Więc trzeba będzie wybić mu z głowy tę ufność – odpowiadałem z jeszcze większą pewnością siebie. – Zawsze może dokonać wyboru i zignorować nasz werdykt, posłać go w cholerę, jeżeli faktycznie jest dla niego przeznaczony, jeżeli on nam to zlecił. – Wówczas już wiedziałem, że podczas sesji nie przykładano szczególnej wagi do języka. – Ona go zdradza, dam sobie głowę uciąć. – Koniec końców zawsze ryzykowało się głową. Może z powodu podrażnionej dumy, a może naprawdę widziało się coraz wyraźniej w miarę mówienia albo nabierało się większej pewności. Jakże niebezpieczne jest mówienie. Nie chodzi tylko o to, że gdy raz coś się powie, inni nie mogą już nie brać tego pod uwagę. Rzecz w tym, że gdy słowa popłyną, a nie brzmią tylko w twoich myślach, gdzie wszystko

jeszcze można wykluczyć, ty sam czujesz się zobowiązany, by mieć je na względzie. Gdy zostaną usłyszane i staną się częścią wiedzy tych innych, którzy teraz mogą je wykorzystać, przywłaszczyć sobie, a nawet obrócić przeciw nam.

Albo Tupra w swoim gościnnym gabinecie pytał mnie nazajutrz po pełnej sławnych osób kolacji, na którą mnie ściągnął jako gościa – „Mój stary przyjaciel z Hiszpanii i wielki artysta, właśnie przyjechał, nie mogłem zostawić go samego w hotelu”. „Bycie wielkim artystą to dziś świetna przepustka wszędzie”, mawiał zwykle, „w dodatku do niczego specjalnie nie zobowiązuje, bo można być artystą w jakiegokolwiek dziedzinie, w projektowaniu wnętrz, robieniu butów, w transakcjach giełdowych, w układaniu kafelków albo w wypieku ciast” – ponieważ brało w niej udział dwoje moich krajan – on artysta w dziedzinie finansów, ona w dziedzinie teatru – których miałem zabawiać rozmową, a przy okazji wypytać trochę o gospodarza, gdy tymczasem Tupra miał się zająć głównie tymże oraz innymi większymi brytyjskimi szychami.

– Powiedz mi, Jack, jakie sprawił na tobie wrażenie ten błazen, nasz wczorajszy gospodarz, tak, ten żaloszny śpiewak, uważasz, że byłby zdolny zabić? W jakiejś ekstremalnej sytuacji, na przykład gdyby czuł się bardzo zagrożony? A może w ogóle nie potrafiłby tego zrobić, należy do ludzi, którzy raczej będą stali z opuszczonymi rękami i pozwolą się zadźgać, niż sami wymierzą cios? A może wprost przeciwnie, może uważasz, że potrafiłby, w dodatku z zimną krwią?

Zastanawiałem się przez chwilę, nigdy już nie odpowiadałem po prostu: „Nie wiem, skąd miałbym wiedzieć”, nie odpowiadałam tak na żadne, nawet najdziwniejsze, najbardziej zawile, fantastyczne lub szczegółowe pytanie, nawet gdy dotyczyło spraw tak niezgłębionych jak ta, skąd można wiedzieć, czy ktoś potrafi zabić i kiedy, i czy z zimną czy z gorącą, a może z letnią krwią. Zawsze ryzykowałem jakąś opinię, starając się być

szczerym, to znaczy starając się najpierw coś dostrzec, a dopiero potem o tym mówić, czyli nie mówić byle czego, nie mówić tylko dlatego, że ktoś ode mnie oczekuje mówienia. Usiłowałem co najmniej postawić się w sytuacji albo odnaleźć w hipotezie, jakie przełożeni albo koledzy podrzucali mi każdym pytaniem. A najdziwniejsze i najbardziej przerażające było to, że zawsze w końcu coś dostrzegałem albo coś migало mi niewyraźnie przed oczyma (chodzi mi o to, że niczego nie wymyślałem, to nie były wyobrażenia ani zręczne bajeczki), zatem potrafiłem coś zasugerować, niewątpliwie tak właśnie stajemy się coraz zuchwalsi i tak wiele możemy zyskać dzięki praktyce i stawianiu sobie wymagań. Ograniczenie większości ludzi bierze się z braku wytrwałości, z lenistwa lub łatwego ukontentowania, także ze strachu. Większość posuwa się tylko kawałeczek do przodu i wciska hamulec, zatrzymuje się nagle, siada i dochodzi do siebie po strachu albo zasypia i dlatego zadowala się byle czym. Coś komuś przychodzi do głowy i na ogół to wystarcza, ten jeden pomysł, który przyszedł do głowy, ludzie zadowolają się tą pierwszą myślą lub odkryciem i na nich poprzestają, i więcej już nie myślą albo jeżeli piszą, już nie wnikają głębiej, nie wymagają od siebie, by pójść dalej; czują się usatysfakcjonowani tą pierwszą szczeliną, a nawet pierwszym cięciem, przekłuciem pierwszej warstwy ludzi i faktów, intencji i podejrzeń, prawd i oszustw, czasy, w których żyjemy, są wrogiem wewnętrznego braku satysfakcji, a co za tym idzie, stałości, są zorganizowane w taki sposób, by wszystko od razu nużyło, a nasza uwaga przeskakiwała z jednej rzeczy na drugą, rozpraszana nawet przez lecącą muchę, ludzie nie potrafią znieść długotrwałego dochodzenia ani wytrwałości, zajęcia się czymś naprawdę, żeby naprawdę się czegoś dowiedzieć. Długie przypatrywanie się, takie jak w przypadku Tupry, które wywiera w końcu wpływ na obiekt patrzenia, nie jest dozwolone. Spojrzenie, które zatrzymuje się na czymś zbyt długo, jest

obraźliwe, dlatego oczy muszą się chować za zasłoną i za lornetką, i za teleobiektywem, i za oddalaną kamerą i szpiegować z ich tysiąca ekranów.

Pod jednym względem – ale tylko pod jednym – Tupra przypominał mi ojca, który nigdy nam nie pozwalał, mojemu rodzeństwu i mnie, zadowalać się pozorami dialektycznego zwycięstwa w naszych dyskusjach. „I co jeszcze?”, mówił, gdy wyczerpani uznawaliśmy za zakończone jakieś wyjaśnienie lub argumentację. A gdy stwierdzaliśmy: „Nic więcej. To wszystko. Według ciebie to mało?”, on odpowiadał ku naszej momentalnej czarnej rozpacz: „Tak, przecież zaledwie rozpoczęłeś. Kontynuuj, dalej, pospiesz się, wyteż mózgownicę. Mieć pomysł, dostrzec jakąś myśl, to coś, ale kiedy już jest przyswojona, to niemal nic: to jakby dotrzeć do pierwszego, podstawowego poziomu, do którego – zgoda – większość nawet nie dociera. Ale dopiero wytrwałość jest ciekawa i trudna, warta poświęcenia i ciężkiej pracy: dalsze wytrwałe myślenie i wytrwałe spoglądanie dalej niż to konieczne, kiedy ma się uczucie, że nie ma już nad czym się zastanawiać ani na co patrzeć, że sekwencja jest skończona, a kontynuacja będzie stratą czasu. To co naprawdę ważne tkwi w straconym czasie, w tym co niepotrzebne i w tym co wydaje się zbyteczne, poza granicą, w której obrębie czujesz się zadowolony albo czujesz się zmęczony i poddajesz się, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tam gdzie powiedziałbyś, że nie ma już nic więcej. Dlatego powiedz mi, co jeszcze przychodzi ci na myśl, jakie jeszcze możesz przytoczyć argumenty, co jeszcze proponujesz i co jeszcze masz w zanadrzu. Wyteż umysł, szybko, nie zatrzymuj się, dalej, myśl”.

Tupra postępował tak samo, zwracał uwagę na niedostatki w wypowiedzi, robił to od pierwszego razu z żołnierzem Bonanzą, mówiąc: „Co jeszcze?”, „Proszę mi to wyjaśnić”, „Proszę powiedzieć, co pan myśli”, „Dlaczego pan tak uważa”, „Proszę mówić dalej”, „Pomówmy o tych szczegółach”, „Coś jeszcze?”, „Czy to wszystko, co pan zaobserwował?”.

To była spokojna, miarowa nieustępliwość, jednak za jej pomocą wyciągał z człowieka wszystko, co ten pomyślał lub zobaczył, nawet marzenie albo cień myśli bądź obrazów, to co nie było jeszcze sformułowane ani nakreślone, zatem pomyslane lub zobaczone, lecz tylko zarysowane lub przeczute, lub domyślne, jeszcze niemożliwe do rozpoznania i fantasmagoryczne, jak rzeźba zamknięta w bloku marmuru albo jak wiersze zawarte niemal w całości w książkach do gramatyki i słownikach. Sprawiał, że to co iluzoryczne zyskiwało nazwę i przybierało realną postać. Stawało się wyrażalne. Niekiedy odczuwałem to jak akt wiary z jego strony: wiary w moje zdolności, moją przenikliwość, mój rzekomy dar, jakby miał pewność, że przy jego umiejętnym naleganiu ja – wiedziony tym naleganiem, wyćwiczony przez nie – zawsze dam mu w końcu rysunek albo tekst, zgłoszę się z portretem, o który prosił lub którego potrzebował.

Tak, to było mniej więcej tak, jeżeli raport na mój temat, który kiedyś zobaczyłem, był autentyczny, a nie było powodu, żeby taki nie był. Natrafiłem na niego któregoś ranka, szukając jakichś danych w jednej ze starych kartotek. Tam właśnie, a nie w niepewnych i niezabezpieczonych komputerach, musiano chować i przechowywać informacje nie dla każdego oczu przeznaczone. Spostrzegłem swoje nazwisko, „Deza, Jacques”, i niewiele myśląc, wyciągnąłem kartkę. Datowana była dwa miesiące po moim pierwszym występie (albo ja go za taki uważałem), tłumaczeniu rekruta Bonanzy i późniejszym wypytywaniu mnie o moje wrażenia na temat owego osobnika. W gruncie rzeczy nie był to regularny raport, lecz kilka poczynionych naprędce uwag, prawdopodobnie zapisanych ręcznie – możliwe, że przez samego Tuprę – na podstawie nie wiadomo jakich moich działań lub interpretacji, chociaż ktokolwiek poczynił te uwagi, musiał uznać je za godne umieszczenia w archiwum i kazał je przepisać na maszynie lub na komputerze – może zadał sobie trud i zrobił to osobiście. Przeczytałem szybko i odłożyłem na miejsce. Nikt nigdy nie zabronił mi

przeoglądania starej kartoteki, a jednak wyraźnie czułem, że byłoby lepiej, gdyby nikt mnie nie nakrył, jak wężę w poszukiwaniu czegoś, co o mnie napisano i nie pokazano mi tego. Raport był krótki, zawierał luźne uwagi-impresje, nieusystematyzowane i nieuporządkowane, trochę bezładne i sprzeczne, może niezdecydowane. Mówił mniej więcej:

„Jest tak, jakby nie znał zanadto sam siebie. Nie zastanawia się nad tym, choć uważa, że się zastanawia (ale bez większego przekonania). Nie widzi się, nie zna się czy też raczej nie bada ani nie zgłębia samego siebie. Tak, raczej właśnie to: nie tyle nie zna siebie, ile wcale go taka wiedza nie interesuje i dlatego jej nie rozwija. Nie pogłębia jej, uznałby to za stratę czasu. Być może nie interesuje go, bo trzeba by sięgnąć zbyt daleko wstecz, ma niewielką ciekawość siebie. Uważa, że nie ma się nad czym zastanawiać, zakłada, że siebie zna. Ale ludzie się zmieniają. Nie zajmuje się rejestrowaniem ani analizowaniem własnych przemian, nie jest z nimi na bieżąco. Jest introspektywny. A przecież przygląda się temu co na zewnątrz, kiedy najbardziej sprawia wrażenie kogoś patrzącego w głąb siebie. Jego zainteresowanie wzbudza tylko to co na zewnątrz, inni, dlatego widzi tak dobrze. Ale jego zaciekawienie innymi nie wypływa z chęci wtrącania się w ich życie, wpływania na nie, ani nie ma jakiegoś praktycznego celu. Możliwe, że niespecjalnie go obchodzi, co się komu przytrafia. Nie chodzi o to, że konkretne zdarzenia nie wzbudzają w nim żalu lub radości, jest solidarny, nie pozostaje obojętny. Jednak w jakiś abstrakcyjny sposób. A może podchodzi po prostu ze stoickim spokojem do tego, co przytrafia się innym, i do tego, co jemu się przytrafia. Sprawy się dzieją, a on je odnotowuje w głowie bez żadnego konkretnego celu, najczęściej uważa, że wcale go nie dotyczą, a tym bardziej nie jest w nie uwikłany. Może dlatego właśnie tak dużo ich dostrzega. Tak wiele spraw nie umyka jego uwadze, że aż strach wyobrazić sobie, co wie, ile widzi i ile wie. O mnie, o tobie, o niej. Wie o nas więcej niż my sami. Mam na myśli

nasze charaktery. Albo nawet to, co nas ukształtowało. Posiada na ten temat wiedzę, do której my nie mamy dostępu. Najdziwniejsze, że nie robi z tej wiedzy użytku. Jakby żył jakimś równoległym, teoretycznym życiem albo życiem przyszłym, które czeka na swoją kolej w domowej garderobie. Aż nadejdzie jego czas w innej egzystencji. I jakby w tym życiu miały się znaleźć wszystkie odkrycia, spostrzeżenia, informacje i stwierdzenia. Nie w życiu teraźniejszym, efektywnym. Nawet to co oddziałuje na niego, nawet jego własne doświadczenia i przykrości zdają się rozdzielać na dwie części, jedna z nich jest przeznaczona dla tej wiedzy czysto teoretycznej lub przyszłej. Ma ją wzbogacić, zasilić. O dziwo, bez żadnego konkretnego zamysłu. Przynajmniej w tym rzeczywistym życiu, które się toczy. Nie robi użytku ze swej wiedzy, to bardzo dziwne. Ale ją posiada. I jeżeli pewnego dnia zrobi z niej jednak użytek, wówczas należy się go bać. On nie wybacza, tak myślę. Niekiedy wydaje mi się całkowitą zagadką. A czasami uważam, że jest zagadką dla samego siebie. Wówczas znowu myślę, że niezbyt dobrze zna siebie. I że nie zwraca uwagi na siebie, bo dawno już z tego zrezygnował, z próby zrozumienia siebie. Uważa, że to stracona sprawa, więc rozważania na ten temat są bezcelowe. Wie, że nie rozumie i nie zrozumie siebie. Dlatego nie traci czasu na bezowocne próby. Uważam, że nie stanowi zagrożenia. Ale z pewnością trzeba się go bać”.

Prawdę powiedziawszy, ten tekst nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia, jakkolwiek skłonił mnie do przypuszczeń, że gdzieś musi być na mój temat jakiś prawdziwy, regulaminowy raport, z informacjami i datami, potwierdzonymi faktami i szczegółową charakterystyką, z moim konwencjonalnym *curriculum* (albo kto wie, z tym skrywanym) oraz z mniej eterycznymi, za to możliwymi do weryfikacji uwagami i opisami. Musiały istnieć takie raporty na temat każdego z nas, byłoby dziwne, gdyby ich nie sporządzono, obiecałem sobie, że kiedyś poszukam ich spokojnie, mogły mnie zainteresować raporty dotyczące Rendela, młodej Nuix,



niekoniecznie ten na temat Mulryana i oczywiście raport dotyczący Tupry, jeżeli istniał. Nim ostatecznie zamknąłem kartotekę, przesunąłem niespiesznie palcem wskazującym po górnej krawędzi fiszek, z ciekawości odchylałem je na chybił trafił. Znalazłem fiszki o bardzo znanych tytułach: „Bacon, Francis”, „Blunt, Sir Anthony”, „Caine, Sir Michael (Maurice Joseph Micklewith)”, „Clinton, William Jefferson «Bill»”, „Coppola, Francis Ford”, „Le Carré, John (Dawid Cornwell)”, „Richard Keith (The Rolling Stones)”, „Straw, Jack” (brytyjski minister spraw zagranicznych, wcześniej spraw wewnętrznych, kawał drania, ten, który pozwolił wyjechać Pinochetowi, to o nim właśnie szukałem tego ranka informacji, o jego niestosownej przeszłości), „Thatcher, Margaret Hilda, Baroness”. Przy takich właśnie nazwiskach zatrzymywał się mój palec, niektóre należały do nieżyjących już osób. Wiele innych nazwisk nic mi nie mówiło, nie znałem ich, rzuciły mi się w oczy: „Booth, Thomas”, „Dearlove, Richard”, „Marriott, Roger (Alan Dobson)”, „Pirie-Gordon, Sarah Jane”, „Ramsay, Margaret «Meta», Baroness”, „Rennie, Sir John”, „Skelton, Stanyhurst (Mariusz Kociejowski)”, „Truman, Ronald”, „West, Nigel (Rupert Allason)”, ileż to osób nie nazywało się tak, jak się nazywało, mam doskonałą pamięć do nazwisk.

To miłe, że – wzięwszy pod uwagę towarzystwo – zadali sobie trud sporządzenia fiszki na mój temat, że zechcieli mnie zgłębiać, że zwrócili na mnie uwagę. Z pewnością najbardziej zaintrygował mnie ten fragment, w którym piszący lub dokonujący analizy, wszystko jedno kim był, zwracał się otwarcie do kogoś, co oznaczało, że jego wrażenia lub domysły miały konkretnego adresata: „O mnie, o tobie, o niej”, pisał. „Wie o nas więcej, niż my sami”. Drogą eliminacji doszedłem do wniosku, że „ona” to musi być młoda Nuix, choć nie mogłem być tego całkowicie pewien. Ale kim byli owi „ty” i „ja”? Nie mogłem wiedzieć, w grę wchodziły różne możliwości. Nie mogłem sobie zatem wyobrazić, kto uważał, że należy się

mnie obawiać, ten fragment też mnie zdziwił, bo ja tak wówczas nie uważałem. (Chyba że owe „ja”, „ty” i „ona” zostały użyte metaforycznie, hipotetycznie, wymiennie, jakby fragment ten miał znaczyć: „Aż strach wyobrazić sobie, co wie, ile widzi i ile wie. O tym, o tamtym, o jeszcze innym”). Nie trzeba dodawać, że notatki na mój temat, podobnie jak wszystkie inne w kartotece, a przynajmniej w tej szufladzie, nie były podpisane. Wszystkie sprawiały wrażenie sporządzonych pośpiesznie, taki wniosek nasuwał się z pobieżnej lektury, na jaką się odważyłem, zatrzymując przy niektórych palec prawej ręki: uwagi dotyczące mojej osoby były równie nieprecyzyjne i spekulatywne jak te dotyczące byłego prezydenta Clintona albo Mrs Thatcher, rzuciłem na nie okiem.

– Myślę, że tak, że by potrafił – odpowiadałem po chwili namysłu na pytanie Tupry o gospodarza kolacji ze sławami (gospodarz sam był sławnym piosenkarzem, będę go tu nazywać Dickiem Dearlove'em, jak jedno z nieznanych mi i niewiarygodnych nazwisk znalezionych w kartotece, tam, jak mogłem przeczytać, chodziło o wysokiego i bardzo ważnego urzędnika jakiegoś ministerstwa albo czegoś podobnego, przebiegłem wzrokiem tylko dwie linijki, jednakże z takim nazwiskiem zasługiwał na to, by stać się idolem kultury masowej występującym na setkach scen, jak nasz gospodarz piosenkarz i były dentysta). – Oczywiście, że w sytuacji zagrożenia pierwszy zadałby cios, gdyby tylko miał po temu sposobność. Zrobiłby to nawet przed czasem, to znaczy zanim jego życie znalazłoby się w bezpośrednim i pewnym niebezpieczeństwie. Wystarczyłoby, żeby się pojawił ledwie cień poważnego zagrożenia, a on już nie potrafiłby się pohamować, nawet utraciłby nad sobą kontrolę. Myślę, że szybko przeszedłby do czynów. A raczej by je uprzedził: nie wiem, czy mówi się tak po angielsku, ale w hiszpańskim mamy takie powiedzenie, że kto pierwszy daje, dwa razy daje. Ale nie z kalkulacji ani z odwagi, nawet nie ze zdenerwowania ani w wyniku paniki. Jest tak

zadowolony ze swojej biografii i swojej codzienności, tak zdumiony tym, co osiągnął i nadal osiąga (jeszcze nie widać końca), dumny z tego jak paw, jego bajkowe życie układa się tak doskonale, że nie zniósłby, gdyby wszystko miało się rozpaść w kilka sekund, przedwcześnie, przez jeden niewłaściwy krok albo z powodu pecha, przez nieuwagę albo niefortunne spotkanie. Nie zniósłby przede wszystkim takiej myśli. Załóżmy, że do jego domu włamują się gotowi na wszystko złodzieje – użyłem słowa „*burglars*” – albo że ktoś napada na niego na ulicy: nie, on nigdy nie chodzi piechotą. Załóżmy, że psuje mu się samochód w jakiejś niebezpiecznej okolicy, staje nocą na środku jezdni w drodze powrotnej z wiejskiej posiadłości, piosenkarz sam siedzi za kierownicą, towarzyszy mu najwyżej ochroniarz, zawsze ma z pewnością przy sobie choćby jednego ochroniarza, nie zrobi nawet stu jardów bez ochrony. Ledwie wysiedli z samochodu, a już otacza ich banda agresywnych uzbrojonych straceńców, dwóch mężczyzn ma w takiej sytuacji małe szanse, zwłaszcza że jeden z nich nawykł bardziej do pochlebstw i noszenia na rękach niż do radzenia sobie w trudnych i niespodziewanych okolicznościach.

– Natychmiast wezwaliby pomoc przez telefon komórkowy albo zrobili to już wcześniej, z telefonu w samochodzie, zadzwonili po policję albo do kogoś – wtrącił Tupra. Bawiła mnie łatwość, z jaką Tupra przyłączał się do moich fantazji lub zaczynał w nich brać udział. Myślę, że lubił mnie słuchać.

– Załóżmy, że telefon w samochodzie wysiadł razem z samochodem, a pozostałe nie miały zasięgu albo już im zdążyli zabrać komórki, nie zdołali z nich skorzystać. Nie wiem jak w Anglii, ale w Hiszpanii najpierw ci kradną komórkę, nawet zanim zabiorą portfel, i dlatego wszyscy bandyci i złodzieje, nawet złodziejska drobniaczka ze strzykawką w trzęsącej się dłoni, mają zawsze przy sobie telefon komórkowy. W Madrycie każdy kieszonkowiec, ba, prawie każdy żebrak ma swoją komórkę.

– Doprawdy – powiedział Tupra, hamując uśmiech. Traktował ze zrozumieniem moje szarżowanie, w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu.

– Naprawdę. Gwarantuję, wystarczy pojechać, a sam się pan przekona. Tak, w tej sytuacji, gdyby Dearlove miał przy sobie nóż, nie mówiąc już o pistolecie (mógłby mieć pistolet, pozwolenie na broń i wszystko), możliwe, że bez słowa zacząłby strzelać albo machać nożem, i to jeszcze zanimby się upewnił co do powagi zagrożenia, stopnia desperacji i nienawiści napastników, którzy równie dobrze mogliby się okazać jego wielbicielami i wszystko zakończyłoby się rozdaniem autografów, jakby go rozpoznali, tak też mogłoby być, nie można wykluczyć wpływu popularności w tym wypadku. Na przykład w Hiszpanii on też się cieszy wielką popularnością, przede wszystkim w Kraju Basków, nie wiem, czy pan słyszał.

– Mogę sobie wyobrazić. W dzisiejszych czasach byle błazen odnosi światowy sukces – powiedział Tupra. – Mów dalej. – On już wtedy mówił do mnie po imieniu, Jack, ja nadal zwracałem się do niego Mr Tupra.

– Dearlove – Dearlove’a nie nazywałem, rzecz jasna, Dearlove, lecz jego prawdziwym nazwiskiem – nie mógłby znieść, że taki będzie jego koniec, innymi słowy: ta myśl byłaby dla niego trudniejsza do zniesienia niż sam koniec. Przeraziłoby go naturalnie, że ktoś może zniszczyć jego udane życie, a on może umrzeć, każdy by się przeraził, nawet jakby miał życie do kitu; poza tym nie wygląda mi na odważnego, już panu mówiłem, trząsłby się ze strachu. Jednakże Dearlove’a, podobnie jak innych ludzi z show-biznesu (choć sami mogą o tym nie wiedzieć), najbardziej przeraża to, że ich prywatna bajka mogłaby mieć finał, który przykryje to, co było wcześniej, rzuci cień na wszystko, co się wydarzyło i nagromadziło, że to przyćmi; że niemal wymaże i anuluje całą resztę, a na dodatek zyska status jedynej istotnej informacji i będzie jedyną przytaczaną. Gdyby zdolny był

zabić (a myślę, że byłby), to przede wszystkim dlatego, z powodu narracyjnej odrazy, jeżeli mogę się tak wyrazić. Widzi pan, Mr Tupra, gdyby ktoś taki jak on został zabity przez bandę kryminalistów w Clapham albo w Brixton, czy jeszcze lepiej, gdyby zostałby zlinczowany, to taka śmierć stałaby się sensacją, wywarła wszędzie tak piorunujące wrażenie, że zawsze już łączono by z nią jego nazwisko, przy każdej okazji i we wszystkich okolicznościach, choćby mówiono o nim z jakiegokolwiek innego powodu, z powodu jego wkładu do rozwoju muzyki popularnej albo do historii i wzrostu popularności błąznów, ze względu na niebywałą fortunę, jaką zbił na swoim gardle, lub jako o przykładzie niepokojącej kultury masowej. Wszystko jedno, towarzyszyłaby temu niezmienna śpiewka, że facet zginął zlinczowany w Brixton wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności albo pewnej fatalnej nocy stracił życie w Clapham, razem ze swym najlepszym ochroniarzem, napadnięty przez nieludzko okrutnych bandytów ze Streatham. Po pewnym czasie z całego jego życia tylko o tym by pamiętano. Matki ostrzegałyby dzieci przed zapuszczaniem się w niebezpieczniejsze dzielnice miasta albo w inne niepewne rejony, powtarzając stary, dobrze znany refren: „Pamiętaj, jak skończył Dick Dearlove, choć był sławny i miał ochronę”. To może być istne pośmiertne przekleństwo, znaczy dla kogoś takiego jak on.

– „Wspomnij, kochanie, Dicka Dearlove’a, jak go załatwili” – poprawił zdanie Tupra, teraz już śmiejąc się na całego: „*Darling*”, powiedział. „*How they did ‘im in*”, tak zakończył (jeśli dobrze pamiętam) tonem matki, naśladowując akcent cockneya (a może akcent półinteligentów z południowego Londynu, nie potrafię wychwycić różnicy). – Dobrze nieba, na pewno nigdy nie przyszło mu do głowy równie ohydne epitafium dla samego siebie. Nawet w najgorszych podejrzaniach ani w najbardziej dokuczliwych koszmarach sennych. No dobrze, co jeszcze? Mów dalej.

– Cóż, nie wiem, czy ta fobia jest już zarejestrowana ani czy ma inną, mniej uczoną nazwę niż ta, której użyłem. Rzecz jasna Dearlove nie użyłby podobnego określenia. Nie ma nawet świadomości tego, co ja tu opisuję, równie dobrze mógłbym mówić po grecku. Ale nie chodzi o nic innego: to horror narracyjny albo narracyjny wstręt; strach przed tym, że historia jego życia legnie w gruzach z powodu swego zakończenia, zrujnowana na zawsze, zniszczona; strach przed niszczycielską mocą końca, który będzie zanadto spektakularny dla świata, a dla niego nienawistny; strach przed nieodwracalnym zepsuciem bajki, przed plamą tak potężną i zachłanną, że zagarnie retrospektywnie całą resztę. Dearlove potrafiłby zabić, żeby uniknąć takiego losu. Takiej estetycznej, dramaturgicznej, narracyjnej śmierci, jak pan woli. Jestem pewien, że z tego powodu byłby zdolny zabić. Przynajmniej tak myślę. – Kończąc, czasem cofałem się o krok, kuliłem się odrobinę, to na nic się nie zdawało, bo wcześniej już się wypowiedziałem, już wygłosiłem swoją kwestię.

– „Skończycie jak Dick Dearlove, wszyscy tak skończycie”. – Tupra ze śmiechem naśladował dalej matczyzny ton przestrogi, grożąc równocześnie palcem. Potem dodał: – Szkopuł w tym, Jack, że taki typ nigdy nie przejechałby przez Clapham ani przez Brixton samochodem, ani wjeżdżając do miasta, ani wyjeżdżając poza nie.

– W porządku, zgoda, ale mógłby przecież zmylić drogę, zjechać w złym miejscu z autostrady i rozkraczyć się właśnie tam. Takie rzeczy się zdarzają. Widziałem coś podobnego na filmie pod tytułem „Wielki Kanion”. Widział pan ten film?

– Rzadko chodzę do kina, chyba że obowiązki mnie do tego zmuszają. Dawniej chodziłem, kiedy byłem młody. Ale wydaje mi się, że nie zdajesz sobie sprawy z zamożności takich ludzi, Jack. Najprawdopodobniej Dearlove używa najczęściej helikoptera na krótkich dystansach. A w dłuższe podróże wybiera się prywatnym samolotem w otoczeniu świty,

przy której błędnie świta królowej. – Zamilkł na kilka sekund, jakby przypomniał sobie podróż jednym z takich prywatnych samolotów. Tupra demonstrował pogardliwy stosunek do Dearlove'a i jemu podobnych, ale z wieloma utrzymywał kontakty, z ludźmi z telewizji, ze świata mody, z show-biznesu albo ze świata filmu, i o ile mogłem się naocznie przekonać, traktował ich po przyjacielsku, z sympatią i dezynwolturą. Niekiedy się zastanawiałem, czy to góra pomaga mu nawiązywać te znajomości, nieosiągalne dla zwykłych ludzi, ze względu na jego stanowisko i dla ułatwienia mu pracy. Oczywiście nigdy się nie dowiedziałem, jakie dokładnie zajmował stanowisko. Z drugiej strony, nie wyglądało na to, by czuł się nieswojo w towarzystwie nawet najbardziej niepoważnych gwiazd. Mógł być przeszkolony na tę okoliczność, traktować to jako część swojej pracy, co nie musiało oznaczać, że ceni sobie taką kompanię. Prawda, że nie sprawiał wrażenia człowieka czującego się nieswojo w żadnej towarzyskiej sytuacji: ani z ludźmi błyskotliwymi lub poważnymi, ani pretensjonalnymi lub idiotami, ani z ludźmi z marginesu, ani z prostymi ludźmi, niewątpliwie był człowiekiem, który dostosowywał się do tego, czego od niego wymagano. Wrócił do tematu: – Powiedz, czy byłby gotów zabić w innych okolicznościach, nie w sytuacji, w której uważałby, że jego życie nie tylko jest zagrożone, lecz według ciebie... powiedzmy, zakwestionowane? Możliwe, że masz rację, może wpadłby w przerażenie, że koniec tego życia będzie brzydki, niestosowny, uciążliwy, bez wdzięku, upokarzający, sarkastyczny, niespokojny, brudny...

– Nie wiem – odpowiedziałem lekko zawiedziony jego realistyczną dokładnością i od razu pożałowałem użycia tych najbardziej rozczarowujących, najbardziej pogardzanych w tym budynku słów. Szybko przykryłem je innymi. – Ten powód wydaje mi się główny i najbardziej możliwy, przypuszczam jednak, że zagrożenie życia nie byłoby niezbędne, gdyby jak uważam, bardziej mu w jakimś sensie zależało na historii,

opowieści o swoim życiu niż na samym życiu. Chociaż prawdopodobnie nie jest tego świadom. Priorytet ten, jak sądzę, ma mniejszy związek z przyszłymi lub obecnymi biografiami niż z jego potrzebą opowiadania sobie codziennie owej historii, życia z nią. Nie jestem pewien, czy wyrażam się jasno.

– Nie, Jack, z całą pewnością nie. Bądź bardziej konkretny, proszę.

Postaraj się. Daj spokój mętnym rozważaniom.

Mobilizowały mnie takie komentarze, było to z mojej strony trochę infantylne, ale nigdy się od tego nie uwolniłem i z pewnością już nie uwolnię.

– Podoba mu się własny wizerunek, podoba mu się własna historia, w całości, uwzględniając nawet fazę odontologiczną; nigdy nie traci jej z pola widzenia, nigdy nie zapomina – dołożyłem starań. – Zawsze ma w pamięci całą swoją trajektorię: przeszłość, ale i przyszłość. Postrzega samego siebie jak opowieść, o której koniec należy się troszczyć co najmniej tak samo jak o jej bieg. Nie jest tak, że w tej opowieści nie godzi się na żadne niepowodzenia, słabości ani plamy, aż tak naiwny nie jest. Jednakże nie mogą zanadto rzucać się w oczy, wybijać się na pierwszy plan (okropna wypukłość, guz), gdy rano spojrzy na siebie w lustrze i pomyśli o „Dicku Dearlove” jako całości, jako idei, albo jakby był to tytuł powieści lub filmu, w dodatku z klasycznego kanonu. Nie ma to żadnego związku z moralnością ani ze wstydem, nie o to chodzi, przecież niemal wszyscy spoglądają sobie w twarz w lustrze bez najmniejszego problemu, łatwo znaleźć wytłumaczenie dla własnych ekscesów lub je zanegować, w dzisiejszych czasach nie ma już czegoś takiego jak złe sumienie lub bezinteresowna skrucha, co innego mam na myśli. On patrzy na siebie z zewnątrz, przede wszystkim z zewnątrz, łatwo przychodzi mu podziw dla samego siebie. Możliwe, że zaraz po przebudzeniu mówi sobie na dzień dobry: „Dobry Boże, to nie sen: naprawdę jestem Dickiem Dearlove’em



i dane mi jest widzieć codziennie kogoś tak legendarnego i obcować z nim”. W gruncie rzeczy to wcale nie jest takie dziwne bez względu na to, czy pominie się słowo „legendarny” czy nie. Znane są przypadki pisarzy nagrodzonych Noblem, którzy przez resztę swego życia myśleli ciągle: „Jestem laureatem Nagrody Nobla, jestem nim, dostałem Nobla i świetnie wypadłem w Sztokholmie”, niekiedy mówili tak do siebie na głos, czego z zaniepokojeniem słuchali ich bliscy. Ale znam też sporo ludzi nie cieszących się znaczeniem ani sławą, a jednak postrzegających siebie w taki lub podobny sposób, przyglądających się własnemu życiu, jakby siedzieli w teatrze. Teatrze permanentnym oczywiście, powtarzalnym i monotonnym do zrzygania, takim, co nie oszczędzi ani jednego szczegółu i ani sekundy nudy. Osoby te są jednak bardzo przychylnymi i niewybrednymi widzami, nie na próżno każda z nich jest zarazem autorem, aktorem i bohaterem swego utworu dramatycznego (dramatyczny to tylko termin techniczny). Dobrze pan wie, że taki sposób życia i postrzegania siebie upowszechnił się dzięki Internetowi. Są, jak rozumiem, osoby, które w ten sposób zarabiają pieniądze, filmując statyczną kamerą każdą senną i żalną chwilę swojej egzystencji. Zdziwiające, umysłowo chore i niezdrowe jest to, że inni gotowi są to oglądać, w dodatku za opłatą; nie mam tu na myśli samych autorów, aktorów, bohaterów, bo w ich wypadku to nie jest takie nienormalne, daje się wytłumaczyć.

– Daj spokój, Iago, przejdź do rzeczy. Nie nadążam za twoimi dygresjami. Dearlove. Kiedy jeszcze, według ciebie, mógłby kogoś załatwić?

Oczywiście, że Tupra nadążał za moimi dygresjami, on nigdy się nie gubił, choćby mało go interesowało to, czego słuchał, a sądzę, że ze mną się nie nudził, człowiek zauważa takie rzeczy, czy przyciąga uwagę osoby, którą ma przed sobą, nie na darmo dawałem kiedyś lekcje, choć te lekcje coraz bardziej oddalają się ode mnie w czasie. Bywało, że kiedy chciał

mnie zirytować albo zmusić do koncentracji, używał klasycznej formy mego imienia: Iago. Wiedział, że Wheeler zwraca się do mnie per Jacobo, i chyba nie miał śmiałości spróbować to wymówić, tak więc umieszczał moje imię gdzieś w połowie drogi, z szekspirowską poufałością, możliwe, że z lekką prześmiewczą nutą, tego nie można wykluczyć. Oczywiście, że Tupra za mną nadażał, ale niekiedy udawał, że tradycyjna w wykształceniu i duchu angielskim niechęć do wszystkiego co spekulatywne i teoretyczne nie pozwala mu podążać za mną zbyt daleko w moich dygresjach. Nie tylko za wszystkim nadażał, na dodatek wszystko rejestrował, segregował i przechowywał. I z całą pewnością był zdolny to sobie przywłaszczyć.

– Proszę wybaczyć, Mr Tupra, nie miałem zamiaru odchodzić od tematu – odparłem; wtedy zachowywałem się jeszcze powściągliwie. – No cóż, mówią, że Dearlove jest biseksem albo pentaseksem, albo wszechseksem, nie wiem, ale tak czy owak jest bardzo uzależniony od seksu, jest seksoholikiem, w gazetach pełno insynuacji na ten temat. I z całą pewnością wczorajszego wieczoru sprawił na mnie wrażenie nadmiernie pobudzonego, gdy wbił się w zielony fartuch i uparł, że usunie próchnicę Mrs Thompson. Jestem pewien, że miałby większą frajdę, grzebiąc w ustach jej młodego syna. Doktor Dearlove, jak przypuszczam, bardzo żałował, że chłopak nie chciał wyświadczyć mu tej przysługi mimo pełnych słodczy nalegań. Mówi się także, że bardzo go porusza... jak by to powiedzieć... młodzież w okresie pokwitania?

– Tak się mówi, fakt – przytaknął poważnym tonem, ale nie starał się nawet ukryć miną własnego rozbawienia. – I?

– No właśnie, założmy, że jakieś nieletnie dziecko zastawiło na niego pułapkę, nieletni chłopiec albo nieletnia dziewczyna, wszystko jedno. Jeżeli jestem dobrze poinformowany, on nie reaguje na takie plotki, bo są tylko plotkami. Wyobrażam sobie, że to wcale nie jest zły sposób na ich ukrócenie: po prostu nie reagować, nie sankcjonować ich istnienia żadnymi

sprostowaniami, pozwami i zażaleniami. Jak rozumiem, sam nigdy się nie zająknął na temat własnych upodobań seksualnych. Poza tym wszyscy wiedzą, że był dwukrotnie żonaty, choć nie ma dzieci, i on tego się oficjalnie trzyma, prawda?

– Mniej więcej. Nie znam zbyt dobrze tych aspektów jego życia.

– Dobrze, załóżmy, że nieletni chłopiec lub nieletnia dziewczyna wrzuci mu do kieliszka tabletkę nasenną. W pełni akcji, kiedy będą już całkiem nadzy. Załóżmy, że zacznie pstrykać zdjęcia, kiedy on pogrąży się już w nieświadomości, chłopiec lub dziewczyna też będzie w kadrze, jasna sprawa, ustawi samowyzwalacz, a sam zajmie się aranżacją sceny, nasz eksdentysta będzie niczym bezwładna szmaciana lalka w jej lub w jego rękach. Załóżmy jednak, że tabletkę okaże się za słaba jak na tytanicznego doktora Dearlove'a: że jakieś wewnętrzne uczucie trwogi pomoże mu wziąć się w garść. Tak więc nie zapada w głęboki sen albo budzi się przedwcześnie. Jednym półotwartym okiem widzi, co się dzieje. Ćwiartką świadomości orientuje się w sytuacji, albo nawet jedną dziesiątą świadomości. Nie chodzi o to, że w swoich poglądach i wystąpieniach publicznych jest purytański, straciłby przez to adeptów; jest raczej śmiały, w pewnych granicach, popiera legalizację narkotyków, odpowiedzialną eutanazję, takie sprawy, które również nie odstręczają klientów. Ale pojawienie się podobnych zdjęć w prasie należy do innej sfery, tej samej co zadźganie nożem przez zbirów w Brixton, Clapham albo Streatham. Dokładnie do tej samej, nie wiem, czy pan się ze mną zgodzi, aczkolwiek w jednej z tych spraw byłby niktzemnym i obrzydliwym przestępcą, a w drugiej biedną, godną współczucia i opłakiwaną ofiarą. Odległość między tymi dwoma sprawami nie jest wielka z punktu widzenia narracji, obie są wypukłościami. W przypadku pocałunku snu i zdjęć nie chodziłoby o takie a nie inne zakończenie, lecz o pewien epizod, który już na zawsze znalazłby swoje miejsce w jego historii, nigdy nie byłby już pomijany w opowieści

ani w wyobrażeniu o Dicku Dearlove. A biorąc pod uwagę dzisiejsze nastawienie do wykorzystywania nieletnich, mogłoby się to nawet skończyć dla niego więzieniem i kłopotliwym procesem. I choćby został ostatecznie uniewinniony, to samo oskarżenie i jego echa, pokazywane tysiąc razy zdjęcia, skandal i poważne podejrzenie ciążyące na nim przez wiele miesięcy, to wszystko mogłoby ostatecznie dać początek podobnemu ostrzeżeniu powtarzanemu do znudzenia przez matki swoim dorastającym dzieciom: „Uważaj, z kim się zadajesz, żebyś nie trafił na takiego jak Dick Dearlove”. Sam pan wie, to przekleństwo sławy: chwila nieuwagi, a już jesteś bohaterem ballady.

– Widzę, że jesteś świetnie poinformowany w kwestii tego komedianta. Znasz nawet jego poglądy, to imponujące – zauważył cierpko Tupra.

– Mówiłem już panu, że jest niewiarygodną gwiazdą w Hiszpanii, powiedziałbym, że niemal tak samo jak tutaj. Dał w Hiszpanii sporo koncertów. Trudno nic o nim nie wiedzieć.

– A ja myślałem, że Baskowie to bardzo poważni ludzie – dodał z prawdziwym zdziwieniem. Nie umykał mu żaden szczegół, o niczym nie zapominał.

– Poważni? To zależy. Wśród nich też jest wielu błaznów. Wie pan, przywódca nadaje ton. Jak w Lombardii. A właściwie teraz to już w całych Włoszech. Nie wspominając o Wenezueli, proszę sobie przypomnieć naszego przyjaciela Bonanzę.

– Tu akurat jesteśmy coraz bliżej – odparł i trochę mnie tym zaszokował, właściwie bez powodu: nie miałem pewności, dla kogo Tupra pracuje (a właściwie pracujemy), opierałem się wyłącznie na aluzjach Wheelera i własnych nieprzemyślanych wnioskach. – Użyłeś wyrażenia: pocałunek snu?

– Taką nazwę ma ta sztuczka w Hiszpanii, stosuje się ją głównie po to, żeby splądrować dom uspiętej tym sposobem osoby. Tak to nazywają

dziennikarze.

– Pocałunek snu, brzmi nieźle – wyraźnie spodobało mu się wyrażenie. – No i co dalej dzieje się z Dearlove'em? Budzi się z pocałunku, otwiera do połowy tylko jedno oko. I co się dzieje?

– Wszystko jest możliwe, każda potworność. Do tego zmierzałem. Mógłby również zabić za coś takiego, to tylko jeden możliwy przykład, znalazłyby się inne. Horror narracyjny, wstręt. To powoduje, że traci nad sobą kontrolę, działa na oślep, jestem przekonany. Poznałem innych ludzi z taką samą awersją albo typem czujności, przy czym nie byli tacy sławni, sława nie jest tu czynnikiem decydującym, wiele osób doświadcza własnego życia jako materii drobiazgowego raportu, żyją z myślą o jakiejś hipotetycznej lub przyszłej o nim opowieści. Specjalnie się nad tym nie zastanawiają, to tylko sposób doświadczania rzeczy, sposób, by tak rzec, wymagający towarzystwa innych, jakby stale byli widzowie lub bezustannie świadkowie nawet najbardziej banalnych błahostek i najnudniejszych chwil. Może to surogat dawnej idei wszechobecności Boga czuwającego jednym okiem nad każdą sekundą życia każdego człowieka, w gruncie rzeczy to było pochlebne i bardzo pokrzepiające mimo zawierającego się w tym elemencie zagrożenia i kary, i nie wystarczą trzy albo cztery pokolenia, żeby człowiek przyjął do wiadomości, że nikt nie asystuje ani nie przypatruje się nigdy jego pracowitej egzystencji, nikt jej nie ocenia ani nie gani. W istocie zawsze jest ktoś: jakiś słuchacz, jakiś lektor, jakiś widz, jakiś świadek; i mogą zbiec się w czasie z jakimś równoczesnym narratorem i aktorem: ludzie sami relacjonują sobie własną historię, każdy swoją, a oni przyglądają się jej badawczo, oglądają ją i napawają się jej widokiem na co dzień do pewnego stopnia z zewnątrz; albo z jakiegoś fałszywego zewnątrz, z perspektywy powszechnego narcyzmu nazywanego niekiedy „świadomością”. Dlatego tylu ludzi nie znosi kpiny, dokuczania, śmieszności, gwałtownego rumienienia się,

lekceważenia, szczególnie tego ostatniego. Dearlove nie może znieść tego obrzydzenia, tego niepokoju, nie umie poradzić sobie z podobnym zawrotem głowy, a kiedy ich doświadcza, kiedy doznaje ataku, wówczas już nie myśli. Najprawdopodobniej gdyby uniósł lekko powiekę i zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, nie wpadłby nawet na pomysł, żeby spróbować dostać te zdjęcia, zaoferować za nie więcej, niż dałby jakikolwiek tabletid, dojść do jakiegoś porozumienia z chłopcem lub dziewczyną, ułożyć się, przekupić, oszukać, nająć ich na zawsze. Jego majątek, jeżeli ma na własność samolot i helikopter, pozwoliłby mu kupić ich dziesięć tysięcy, sto tysięcy razy, ciałem i duszą, i w niewolę.

– Mówisz, że nie podjąłby takiej próby. Co by zrobił? Twoim zdaniem co wtedy by zrobił?

– Uważam, że to samo co z nożownikami z Brixton. Źle oceniłby sytuację. Pospieszyłby się. Usiłowałby zabić, zabiłby. Zabiłby to nieletnie dziecko, dziewczynę albo chłopaka, zależy kogo zabrałby sobie do domu tamtego wieczoru. Ciężka popielniczka może zabić, rozbija czaszkę. Wazon, przycisk do papieru, nóż do otwierania korespondencji, wszystko może zabić, nie wspominając już o tych mieczach i włóczniach, które służą mu jako dekoracja ściany w salonie, tej najdłuższej ściany w salonie przylegającym do jadalni, gdzie jedliśmy kolację, pewnie zauważył je pan wczoraj.

– Zauważyłem – powiedział Tupra – możliwe, że nie po raz pierwszy tam byłem, nie sądzisz?

– Jasne. Do Dearlove'a pasuje zamiłowanie do średniowiecza, kultury celtyckiej i czarów-marów. Do szykownej literatury fantasy. Widzę to tak: choć jest zamroczony pastylką, albo właśnie dlatego, przeraźliwy strach dodaje mu siłę i na uginających się nogach dochodzi do ściany; tak się czuje, jakby to przeraźliwe narracyjne wybrzuszenie było już faktem dokonanyim i pewnym i jakby zawsze już musiał żyć z tą świadomością za sprawą

owych zrobionych mu zdradziecko zdjęć, i w umysłowym zamgleniu, w jakim się znajduje, to właśnie upoważnia go do złości i nieumiarkowania, pozwala mu na nie. Zdejmuje więc ze ściany jedną z włóczni i przebija nią pierś dziewczyny albo chłopaka, i niszczy ciało, którego wcześniej pożądał, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swego czynu, w każdym razie nie w tej chwili. Tego typu ludzie w takich chwilach nie widzą, nie widzą tego, co w trzy minuty później stanie się dla nich oczywiste: że dużo łatwiej pozbyć się zdjęć niż trupa, mniej wysiłku wymaga zamknięcie komuś ust niż wytarcie litrów jego krwi z podłogi. Mówię panu: znałem takich ludzi, nie byli ważni ani sławni, a jednak bardzo się bali o własną historię, tę, która mogłaby być opowiadana, a więc i oni musieliby ją opowiadać. O swoją splamioną brzydką historię. Upieram się jednak przy tym, że rozstrzygający jest czynnik zewnętrzny: mało to ma wspólnego ze wstydem, żalem, wyrzutem sumienia, pogardą dla samego siebie, choć te mogą się pojawić w jakiejś chwili. Tego typu osobnicy tylko wówczas czują się zobligowani powiedzieć prawdę o swoich czynach i zaniechaniach, o tym, co zrobili dobrego i złego, mężnego i podłego, tchórzliwego lub wielkodusznego, gdy kto inny (a właściwie większość) o tym wie i owe czyny i zaniechania stają się tym samym częścią wiedzy na ich temat, czyli częścią ich oficjalnych portretów. W gruncie rzeczy to nie jest sprawa świadomości, lecz przedstawienia, luster. Szybko można podać w wątpliwość coś, co nie odbija się w lustrach, dojść do wniosku, że było iluzją, spowić to mgłą rozproszonej albo słabej pamięci, a w końcu postanowić, że wcale się nie wydarzyło i nie ma o tym żadnego wspomnienia, bo nie może być wspomnienia o czymś, co się nie wydarzyło. Dlatego nie można się tym zadręczać: niektórzy ludzie mają niewiarygodną umiejętność wmawiania sobie, że nie było tego, co było, istniało natomiast to, co nie istniało. Dla Dicka Dearlove'a najgorszą rzeczą, rzeczą nie do zniesienia, byłoby nie załatwienie jakiegoś ulicznego rzezimieszka albo

podstępного małolata, ale to, że ludzie mogliby się dowiedzieć, że zdarzenie to zostałyby dołączone na zawsze do jego (by tak rzec) akt osobowych. Nawet w swym zamroczeniu umysłowym w chwili popełniania morderstwa pewnie wie, że morderstwo, choć z trudem, można jednak ukryć. Nie można natomiast ukryć własnej śmierci z rąk dzikusów ani anulować zdjęć na golasa z jakimś małolatem albo nimfetką, gdy już raz zostaną wydrukowane i przez wszystkich obejrzone. – Zamilkłem na chwilę. Jak zawsze pod koniec interpretacji lub raportu dopadła mnie myśl, że zanadto się zagalopowałem. I że znowu wdałem się w dygresje. Przyszło mi też do głowy, że pewnie nie mówię Tuprze niczego, czego on by nie wiedział. Niewątpliwie dobrze znał takich osobników, nawet samego Dearlove'a, może z poprzednich odwiedzin, a kto wie, może i ze wspólnych podróży samolotem (Tupra jako członek jego otoczenia, wśród innych gości, promotorów, przekraczających próg dojrzałości chłopców i dziewcząt i agentów ochrony). Może nie tyle słuchał tego, co miałem mu do powiedzenia, ile zastanawiał się nade mną. – Znałem innych takich osobników, Mr Tupra, w różnym wieku, w różnych miejscach – dodałem jakby tytułem usprawiedliwienia. – Jestem pewien, że pan również. Obaj ich znamy.

– Papierosa, Jack? – spytał. I poczęstował mnie swoimi faraonami w jaskrawoczerwonej paczce. To był gest uznania i tak go przyjąłem.

I pomyślałem albo myślałem niezmiennie: „Znałem na przykład Comendadora. Od zawsze”.



Tamtej uparcie deszczowej nocy w Londynie zacząłem przeprowadzać test polegający na nagłym zatrzymaniu się: przystawałem nieoczekiwanie i bez żadnego uprzedzenia, aby w ten sposób się upewnić, czy to ja jestem źródłem owego leciutkiego, niemal uskrzydłonego hałasu, tis, tis, tis, czy to miękkie psie kroki albo taniec płaszczka podczas żwawego marszu, kołysanie się parasola, skradanie się kogoś niepewnego, kto nie zbliżał się do mnie ani nie pozwalał się zobaczyć, ale ciągle szedł za mną – albo towarzyszył mi w odległości kilku jardów – na wypadek gdyby w końcu się zdecydował, miał czas na zastanowienie się, póki nie dotrę do domu, nie otworzę drzwi, nie złożę parasola przed wejściem do środka i nie potrząsnę nim energicznie nad chodnikiem (cztery dodatkowe krople na tworzące się spontanicznie jeziora i maleńkie strumyczki na ulicach miast), i nie zamknę szybko drzwi za sobą, chcąc już wreszcie być na górze, w moim przejściowym miejscu, które staje się coraz lepszym schronieniem i robi coraz bardziej moje, teraz już nawet wejście tam i zamknięcie drzwi mnie uspokajało, i samotne kontemplowanie z mego trzeciego piętra – nie narażony na pytania i odpowiedzi, na mowę – placu, na który mówią tu *square*, drzew pośrodku placu szumiących tak, jakby akompaniowały uspokojeniu lub poprawie nastroju; światła u rodzin i ludzi samotnych (mnie podobnych) z naprzeciwka, eleganckiego hotelu zawsze rozświetlonego i pełnego życia niczym niema scena albo ogólny plan filmu, który nigdy się nie zmienia ani nie kończy, wielkich biur już opustoszałych, pilnowanych przez siedzącego w swojej budce nocnego stróża, który w czapce na czubku głowy i z uniesionym daszkiem ziewa, słuchając radia, i żebraków majaczących w ciemności, którzy kłócą się i grzebią w koszach, z ich pogniecionych ubrań wysypuje się popiół, a może uwalnia

nagromadzony kurz; i rzecz jasna mego sąsiada tancerza (prawdziwa radość na niego patrzeć, ma w nosie cały świat) oraz jego okazjonalnych partnerek do tańca, ostatnio widziałem, jak z wielkim zapałem tańczył sirtaki, mój Boże, wyglądał jak pedał, nie jak gej, inaczej, jak nadmiernie wystrojony elegancik, marionetka, przesłodzony, zadufany w sobie łobuz (określenie to nie ma nic wspólnego z prawdziwymi preferencjami seksualnymi określanej w ten sposób osoby, ja przynajmniej to rozróżniam), w żadnym innym tańcu tańczący w pojedynkę mężczyzna nie wygląda śmieszniej niż w greckim sirtaki, może poza baskijskim aurreescu, na szczęście mój sąsiad chyba go nie znał.

Przeprowadziłem test dwa albo trzy razy, zatrzymałem się nieoczekiwanie, kiedy nic tego nie zapowiadało, i za każdym razem szmer ostrożnych i niemal płynących w powietrzu kroków, ćwierkanie świerszcza, szur-szur czy coś podobnego – jak oszalały trucht starego zegara ściennego, to również przypomina stąpania psa – nie ustawał, nadal go słyszałem, gdy sam już się nie poruszałem i nie mogłem być źródłem żadnego mimowolnego lub niekontrolowanego dźwięku. Przeprowadzając ten eksperyment, nie odwracałem głowy, ani do tyłu, ani na bok, inaczej niż gdy szedłem miarowym krokiem, z parasolem opartym na ramieniu jak z parasolką od słońca na spacerze, jakbym przede wszystkim ochraniał kark, przed wiatrem i deszczem i przed możliwymi spojrzeniami, i przed wyimaginowanymi kulami, które mogłyby go przeszyć (mój kark i parasol), człowiekowi przychodzą do głowy absurdalne myśli, kiedy nocą przemierza samotnie kawał drogi piechotą i ma uczucie, że ktoś za nim idzie, chociaż nikogo za sobą nie widzi. Na końcowym odcinku chwilami szedłem wzdłuż trawnika po lewej i po prawej stronie, była to droga na skróty alejkami czy też raczej ścieżkami małego lokalnego parku, i te niewidzialne kroki mogły stąpać po trawie. Poczekałem, aż wyjdę z kiepsko oświetlonego parku i znajdę się blisko domu. Zostały mi do przejścia dwa

kwartały domów i plac, wtedy zrobiłem jeszcze jeden test i stając, tym razem spojrzałem za siebie i dostrzegłem je, dwie białe sylwetki w odległości, która normalnie nie pozwoliłaby mi usłyszeć sapania ani kroków. Pies był biały, a kobieta, osoba, miała na sobie jasny płaszcz jak ja. Od pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że to musi być kobieta i rzeczywiście tak było, bo po sekundzie albo po pierwszej sekundzie wątpliwości, kiedy popatrzyłem na jej nogi, od razu mi się spodobały, nie zakrywały ich bowiem ciemne spodnie, lecz ich zgrabne łydki podkreślały czarne wysokie botki (na płaskim albo bardzo niewielkim obcasie). Jej twarz zasłaniał otwarty parasol, obie ręce miała zajęte, w drugiej trzymała smycz psa, który, trochę beznadziejnie i pewnie bardzo zmęczony, ciągnął do przodu, nie miał żadnej ochrony przed deszczem, musiał ociekać wodą, deszcz z pewnością mu przeszkadzał, mimo że otrząsał się z niego energicznie w czasie postojów (deszcz wtedy też padał), a właśnie trwał postój, jako że obie sylwetki zatrzymały się z niewielkim i nieuniknionym opóźnieniem w stosunku do mnie. Przez kilka sekund, nie za krótko, przyglądałem im się. Nie wydawało się, by kobiecie to przeszkadzało, mam na myśli, że zawsze przecież mogła być kimś, kto mimo okropnej pogody wyszedł z psem na spacer, i nie musiałyby się z tego tłumaczyć, gdybym poprosił o wyjaśnienie. Wszystko mogło być zbiegiem okoliczności: bywa, że długo idzie się tą samą drogą co inny przechodzień, choćby ta droga nie przebiegała w linii prostej, i czasem człowieka zaczyna to niecierpliwic bez powodu, po prostu pragnie, żeby ustał ten zbieg okoliczności, w którym dopatruje się złej wróżby lub którego ma dość, czasem specjalnie skręca, nadkłada niepotrzebnie drogi, byle tylko się rozdzielić, stracić z widzenia natrętną równoległą istotę.

Było między nami, czyli między nimi i mną, jakieś dwieście jardów albo trochę więcej, musiałbym krzyknąć lub znacznie się cofnąć, gdybym chciał porozmawiać, zapytać o coś ludzką sylwetkę, z pewnością młodą kobietę,

miała botki nieprzemakalne, elastyczne, błyszczące, przylegały do nogi, to nie były byle jakie kalosze, lecz eleganckie, pewnie drogie, świetnie eksponujące nogę, możliwe, że markowe buty. Przyjrzałem się jej otwarcie, nie odsłoniła twarzy, ani na chwilę nie uniosła przykrywającego głowę parasola, nie odwzajemniła zatem mego spojrzenia, ale nie wpadła też w popłoch, że oto jakiś mężczyzna obserwuje ją nocą, w strugach deszczu, zatrzymawszy się w niezbyt dużej odległości. Przykucnęła, poły płaszcza rozchyliły się tak, że dostrzegłem kawałek jej uda, poklepała i pogłaskała po grzbiecie psa, coś do niego pewnie szepnęła, wyprostowała się ponownie, poły zeszły się ze sobą, zakryły uda, stała bez ruchu, przyszło mi wtedy do głowy, że może zgubiła się w nieznannej okolicy albo jest niewidomą z psem przewodnikiem, albo cudzoziemką nie znającą języka, albo kurwą w takiej potrzebie, że nie stać jej na opuszczenie ani jednej nocy łowów, albo waha się, czy poprosić mnie o pieniądze, pomoc, radę, cokolwiek. Nie mnie konkretnie, lecz jedyną istotę równoległą obecną w tym miejscu. Miałem wrażenie, że spotkanie jest niemożliwe, a równocześnie, że szkoda, że go nie będzie, i że lepiej, jeżeli do niego nie dojdzie. Było mi szkoda, nie wiem, czy z własnego czy z jej powodu, na pewno nie z powodu nas obojga, bo przecież jedno z nas straciłoby na tym – pomyślałem – a drugie by zyskało, zwykle tak się dzieje z takimi ulicznymi spotkaniami.

Wiele lat temu, w tym samym kraju, kiedy uczyłem w Oksfordzie, chodził ciągle za mną pewien mężczyzna z psem z trzema łapami, lewa tylna była amputowana, a potem odwiedził mnie bez uprzedzenia w domu, nazywał się Alan Marriott, sam wyraźnie utykał na lewą nogę (ale jej nie stracił) i był miłośnikiem książek. Słyszał kiedyś, jak o swoich książkowych zainteresowaniach, pokrywających się po części z jego upodobaniami, rozmawiałem z właścicielami antykwariatów, do których często zachodziłem. Jego pies był terierem, biedaczek musiał już dawno

zdechnąć, psy nie żyją tyle co my. Pies młodej kobiety wydał mi się na odległość pointerem i miał wszystkie cztery łapy, dziwnie mnie to uradowało, jak mniemam przez porównanie z tamtym kaleką, którego nagle sobie przypomniałem tej nocy niekończącego się deszczu. Ale ja nic od nikogo nie chcę, pomyślałem, ani niczego od nikogo nie oczekuję, chcę tylko jak najszybciej schronić się przed deszczem w domu i zapomnieć o interpretacjach tego ciągnącego się długiego dnia, który nie skończy się, dopóki nie będę już bezpieczny na górze. Niech ona do mnie podejdzie, jeżeli czegoś ode mnie chce albo jeżeli za mną szła. Do diabła z nią. Przecież musiała mieć jakiś powód, zakładając, że mnie śledziła lub nadal to robi, nie zrobiła tego po to, żeby ze mną nie porozmawiać. Odwróciłem się i ruszyłem pospiesznym krokiem w swoją stronę, ale pokonując ostatni kawałek drogi, nie potrafiłem nie nadstawić ucha, przysłuchiwać się, czy nadal słyszę tamto tis, tis, tis, które faktycznie powodował pies swoimi osiemnastoma palcami, a może wysokie botki na tak płaskim obcasie, że ślizgały się po asfalcie.

Doszedłem do drzwi mego domu, włożyłem klucz do zamka, otworzyłem, dopiero wówczas złożyłem parasol i strząsnąłem go na ulicy, żeby jak najmniej zachlapać podłogę, a gdy tylko wszedłem na górę, od razu zaniósłem go do kuchni, zostawiłem tam też płaszcz do wyschnięcia, potem podszedłem niecierpliwie do okna i uważnie przyjrzałem się placowi, nie dostrzegłem tam dziewczyny ani jej pointera, mimo że do samego końca słyszałem za sobą leciutki hałas, towarzyszył mi do samych drzwi na dole albo tak mi się zdawało. Uniosłem wzrok i naprzeciwko poszukałem oczyma tańczącego sąsiada, którego widok tyle razy mnie uspokajał. Był u siebie, tak, można się było spodziewać, że nie wyjdzie z domu przy takiej wstrętnej pogodzie, miał nawet gościa, Murzynkę albo Mulatkę, z którą czasami tańczył: sądząc po ruchach, postawie i rytmie nie miałem wątpliwości, że są pochłonięci jakimś pseudogaelickim tańcem

(szybki ruch stóp w jednym miejscu, uparte tupanie raz za razem w miejscu wielkości cegły albo, żeby nie przesadzać, płyty podłogowej), ręce natomiast są opuszczone, przyklejone do ciała, nieruchome, umyślnie bardzo sztywne, pomyślałem, że słuchają pewnie muzyki z jakiegoś szaleńczego występu Michaela Flatleya, idola Wysp, który stepuje jak nawiedzony, nagrania wideo z jego dawnych popisów były emitowane z dużą częstotliwością, nie wiem, czy już się wycofał czy tylko skrupulatnie dozuje swoją obecność, żeby nadać swym oszalałym skokom po scenie bardziej wyjątkowy charakter. Jakież zadowolenie malowało się zawsze na twarzy mego sąsiada bez względu na to, co tańczył, czy w parze, czy w pojedynkę, kusilo mnie czasem, żeby iść w jego ślady, bo przecież wszyscy możemy to robić, tańczyć w domu, gdy wydaje nam się, że nikt nas nie widzi. Nigdy jednak nie można być pewnym, że nikt nas nie widzi ani nie słyszy, nie zawsze się orientujemy, że jesteśmy obserwowani albo śledzeni.

Ten biedny terier bibliofila Marriotta, pomyślałem, musiał mieć tylko czternaście palców z powodu braku jednej łapy. Przypomniałem sobie o nim być może dlatego, że jego obraz złączył się w mojej pamięci na zawsze z obrazem młodej dziewczyny, która też na ogół nosiła długie buty, kwiaciarki Cyganki rozstawiającej co niedzielę swój stragan dokładnie naprzeciwko mego oksfordzkiego okna, po drugiej stronie długiej ulicy znanej tam jako St Giles'. Kwiaciarka miała na imię Jane, mimo bardzo młodego wieku była już mężatką, najczęściej ubierała się w dzinsy i skórzaną kurtkę, czasem zamieniałem z nią kilka słów, a Alan Marriott zatrzymał się przy jej straganie, żeby kupić dwa kwiatki chwilę przed tym, nim przycisnął dzwonek przy moich drzwiach rankiem lub po południu owego dnia, kiedy złożył mi wizytę, jednej z niedziel „wygnanych z nieskończoności” (zacytowałem w duchu). Marriott i ja skończyliśmy właśnie rozmowę na temat walijskiego pisarza Artura Machena (jednego

z jego ulubionych) i literatury grozy albo strachu, którą Machen uprawiał ku zachwytowi Borgesa i wielu innych, aczkolwiek, jak sobie przypominam, Marriott nigdy nie słyszał o Borgesie. I nagle, żeby zilustrować mi lepiej, na czym polega groza, przedstawił pewną hipotezę, która łączyła jego psa o trzech łapach i bystrym pysku z kwiaciarką w wysokich botkach. „Groza zależy w dużej mierze od połączenia dwóch idei”, powiedział wtedy. „Od połączenia idei. Od umiejętności zestawienia ich”. Mówił krótkimi zdaniami, nie używając spójników, robił niewielkie, ale głębokie, bardzo zaznaczone odstępy, jakby na czas ich trwania wstrzymywał oddech. Jakby utykał też trochę w mówieniu. „Może się zdarzyć, że nigdy nie dostrzeże pan grozy zawartej w skojarzeniu dwóch idei, grozy zawartej w każdej z tych idei, tym sposobem przez całe swoje życie nie zda pan sobie sprawy, jaka w nich tkwi groza. Ale możliwe także, że całe życie będzie pan zanurzony w tej grozie, jeśli nieszczęśliwym trafem dokonuje pan zawsze właściwych skojarzeń. Weźmy na przykład tę dziewczynę sprzedającą kwiaty naprzeciwko pańskiego domu”, powiedział, wskazując okno wyprostowanym palcem; palce takie, nawet gdy są czyste i choćby nie wiedzieć jak często myte przez ich właściciela, sprawiają wrażenie nasiąkniętych tym, czego na co dzień dotykają: widziałem takie palce u węglarzy i rzeźników, u malarzy pokojowych, a nawet u sprzedawców w warzywniaku (u węglarzy widziałem w dzieciństwie); na jego palcach był przyklejający się łatwo kurz z książek, ja z tego powodu wkładałem rękawiczki, szperając w antykwariatach z książkami, natomiast przyklejała mi się do rąk kreda, kiedy prowadziłem lekcje. „Nie ma w sobie nic strasznego, dlatego sama z siebie nie może wzbudzać grozy. Przeciwnie. Sprawia wrażenie atrakcyjnej. Jest sympatyczna i miła. Pogłaskała psa. Kupiłem u niej te goździki”. Wyjął kwiaty z kieszeni płaszcza, gdzie wcześniej wcisnął je beztrąsko, jakby chodziło o ołówki albo chusteczkę. Były prawie zgniecione. „A jednak ta dziewczyna może wzbudzić grozę.

Idea tej dziewczyny skojarzona z inną ideą może wzbudzić grozę. Nie wierzy pan? Nie wiemy jeszcze, jaka jest ta właściwa idea, brakująca, żeby wzbudzić w nas grozę. Jej przerażająca para. Ale z pewnością istnieje. Znajdzie się. To kwestia czasu. Może też nigdy się nie pojawić. Kto wie, może mógłby to być mój pies”. Wycelował pionowo palcem wskazującym w psa, który leżał przy jego nogach, nie padało tamtego dnia, nie było zagrożenia, że pies zabrudzi podłogę w salonie, nie zasłużył sobie na wygnanie do kuchni piętro niżej (palcem wskazującym pokrytym niewidzialnym kurzem). „Dziewczyna i mój pies”, powtórzył i znowu najpierw wskazał palcem okno (jakby kwiaciarka była zjawą i tkwiła tam przyklejona twarzą do szyby, to było okno na drugim piętrze, ten budynek w kształcie piramidy miał trzy piętra, sypialnię miałem na najwyższym, a pracowałem w salonie), potem psa, palec cały czas był wyprostowany i sztywny. „Ta dziewczyna z długimi kasztanowymi włosami i w wysokich botkach na długich zgrabnych nogach i mój pies kuternoga”. Pamiętam, że dotknął wtedy kikuta psiej łapy pieszczotliwie, a może delikatnie, jakby można było łapę jeszcze zranić, zwierzę trochę przysypiało. „To normalne, że pies ze mną chodzi. To konieczne. Możliwe, że to dziwne. Znaczy, że my dwaj chodzimy razem. Ale nie ma w tym grozy. Gdyby pies chodził z nią, to mogłoby wywoływać konsternację. Może byłoby przerażające. Pies nie ma jednej łapy. Tylko ja go pamiętam z czterema łapami. Moja osobista pamięć się nie liczy. Nic nie znaczy wobec tego, co widzą inni ludzie. Wobec tego, co ona widzi. Co pan widzi. Co widzą pozostałe psy. Jest tak, jakby mój pies zawsze nie miał jednej łapy. Gdyby był jej psem, z pewnością nie straciłby tej łapy w głupiej awanturze po meczu”. Marriott już wcześniej opowiedział mi tę historię, sam go o to zagadnąłem: pijani kibice Oxford United, stacja Didcot późną nocą, kulawy mężczyzna pobity kijami i przytrzymany przez kilku z nich, pies, jeszcze nie kulawy, trzymany na torach, żeby przejechał po nim pociąg. Puścili go



przestraszeni, wycofali się w ostatniej chwili, pies zdołał się odwrócić, miał szczęście w nieszczęściu („Żeby pan wiedział, ile stracił krwi”). „To jest wypadek. Ryzyko zawodowe psa, który ma kulawego pana. Ale gdyby był jej psem, mógł być stracić łapę z innego powodu. Nie ma tej łapy. Była zatem inna przyczyna. Coś poważniejszego. To nie był wypadek. Trudno sobie wyobrazić, żeby ta dziewczyna brała udział w bójce. Może pies straciłby łapę z j e j powodu”. Po angielsku brzmiało to „*because of her*”, nie zostawiając wątpliwości, że „z j e j” oznacza „z powodu dziewczyny”. „Gdyby ten pies miał stracić łapę, będąc psem dziewczyny, możliwe, że to ona musiałaby mu ją odciąć. Jakim innym sposobem może stracić łapę pies dobrze chroniony, otoczony opieką i kochany przez równie atrakcyjną i sympatyczną dziewczynę sprzedającą kwiaty? Taki pomysł jest straszny. Straszne jest wyobrażenie sobie tej dziewczyny ucinającej własnymi rękami łapę memu psu, patrzącej na to; uczestniczącej w tym”. W tych ostatnich zdaniach Alana Marriotta zabrzmiało lekkie oburzenie, oburzenie na kwiaciarkę. Przerwał wówczas, jakby zanedo się zasugerował swoją krwiożerczą hipotezą i naprawdę zobaczył przerażającą parę. Jakby zobaczył tę parę przez moje okno – „oczyma swej duszy”, zacytowałem w myślach. Sprawiał wrażenie zmieszanego, jakby przestraszył się samego siebie. „Dajmy temu spokój”, powiedział. I choć nalegałem, żeby kontynuował: – „Nie, proszę mówić, jest pan o krok od wymyślenia jakiejś historii” – nie był skłonny brnąć w to albo dalej sobie wyobrażać. „Nie. Dajmy temu spokój. To nie jest dobry przykład”, zakończył definitywnie. „Jak pan sobie życzy”, odparłem i w ten sposób przeszliśmy do innego tematu. Od razu wiedziałem, że żadną miarą nie uda się go przekonać, by snuł dalej swoją fantazję, skoro już go zaniepokoiła. Może przeraziła. Musiał się przestraszyć własnej wyobraźni.

Pies i dziewczyna w długich botkach. W istocie tamtej nocy po raz pierwszy ujrzałem to połączenie, ten obraz na własne oczy; ale moja pamięć

zapisła go już albo złowieszczo skojarzyła przed wieloma laty w tamtym kraju, który nie był moim krajem, zanim jeszcze ożeniłem się i miałem dzieci. (Ten mój czas przypominał tamten inny: nie było teraz żony ani dzieci, ale miałem i żonę, i dzieci i posyłałem im pieniądze, i tęskniłem też do nich codziennie, każdego dnia). Kwiaciarka Jane nosiła zazwyczaj buty z dżinsami wpuszczonymi do środka, prawie jak muszkieter. Kobieta ukryta pod parasolem miała na sobie spódnice, dostrzegłem jej udo. Niewątpliwie z powodu owego niewidzianego precedensu, z powodu owego wyobrażenia przekazanego mi swego czasu przez kulawego bibliofila, poczułem taką ulgę, widząc, że biały nocny pointer ma wszystkie cztery łapy, policzyłem je jedną po drugiej, mimo że od pierwszego rzutu oka dostrzegłem, że ma wszystkie. Chciałem się jednak upewnić (odruchowy zabobonny strach, uświadomiłem sobie teraz), że pies i jego pani nie tworzą jakiejś przerażającej pary, którą ktoś już kiedyś wysnuł z wyobraźni.

To właśnie robiłem za pieniądze w budynku bez nazwy. Dokonywałem bezustannie skojarzeń, były to bardziej skojarzenia niż interpretacje, rozszyfrowywanie albo analizy, właściwie te ostatnie przychodziły później, jako nieudolna konsekwencja. Wheeler zapowiedział mi to z grubsza owej niedzieli w Oksfordzie, w swoim ogrodzie lub podczas obiadu: Nie ma i nigdy nie było dwóch takich samych osób, to wiemy; ale nie ma też nikogo, kto pod jakimś względem nie byłby związany z kimś innym, kto już wcześniej przemierzył świat, co Wheeler nazwał podobieństwami. Nie ma ani nigdy nie było nikogo bez powiązań, bez jakiejś łączności losu lub charakteru, co sprowadza się do tego samego (parafrazowałem swobodnie Wheelera), może z wyjątkiem pierwszych ludzi, jeżeli istotnie byli jacyś wcześniej niż inni, a nie pojawiło się ich wielu w wielu miejscach równocześnie. Widzisz dwie całkowicie różne osoby, widzisz je ponadto rozdzielone całymi latami twojego życia, pierwsza z tych osób jest już od lat zapomniana, gdy pojawia się przed tobą ta druga osoba, podobnie ja

przechowywałem w pamięci tylko mglisty obraz owej przerażającej pary wymyślonej przez Alana Marriotta. To osoby różniące się wiekiem, płcią, wychowaniem, wiarą, mentalnością, temperamentem, uczuciami; mogą nawet mówić innymi językami, pochodzić z bardzo odmiennych krajów, mieć całkiem odmienne życiorysy i nie dzielić ze sobą żadnego doświadczenia, żadnej równoległej godziny ze swej nieproporcjonalnej przeszłości. Poznajesz bardzo młodą dziewczynę, jej pragnienia są tak niewinne, że nawet trudno stwierdzić, czy je ma czy jest ich pozbawiona, przypominam sobie słowa Wheelera. Nieśmiałość czyni z niej osobę do tego stopnia hermetyczną, że nie wiadomo, czy nie jest tylko pozą, wstydliwą maską. To córka zaprzyjaźnionego hiszpańskiego małżeństwa, wpadasz do nich z wizytą, rodzice każą córce przywitać się z gościem, posiedzieć chwilę, zjeść ze wszystkimi kolację. Dziewczyna nie chce nikogo poznawać, nie chce nawet, żeby ktokolwiek ją widział, zostaje wbrew własnej woli, udaje obojętność i chłód wobec całego świata i chociaż oczekuje, że to świat, który jak sądzi, jest jej coś winien, okaże jej zainteresowanie i będzie zabiegał o jej względy, znajdzie ją i w dodatku zaoferuje zadośćuczynienie, to nudzi ją potwornie przyjaciel rodziców (nie jest dla niej częścią świata: wykluczyła go przez skojarzenie), który uparcie się nią interesuje, przygląda jej się z sympatią, schlebia jej, żeby ją ośmielić. Ma minę obrażonego nieco sfinksa, a może jest bojaźliwa, podatna na zranienie i niepewna, a może jest podstępna oszustką. Nie sposób ją przejrzeć, pragnie, żeby zwracano na nią uwagę, ale postrzega to zarazem jako wtrącanie się, nie znosi tej uwagi, jeżeli okazuje ją ktoś dla niej nieważny, komu robić tego nie wypada wedle jej rozeznania i kryteriów. Nie jest, nie może być antypatyczna albo nie posuwa się tak daleko, nigdy nie jest do końca antypatyczny ktoś, kto oblewa się rumieńcem, ale nie sposób wyobrazić sobie, co skrywa ten pancerz jej skrajnej młodości, jakby miała spuszczoną przyłbicę i zamiast oczu widać

było tylko kilka rzęs. Niedojrzałe i niedokończone, to jest najbardziej niezgłębione, jak cztery kreski nieskończonego i zbyt szybko porzuconego rysunku nie pozwalające nawet na snucie domysłów na temat figury, jaką chciały stworzyć lub ku której zmierzały. A jednak w końcu coś się pojawia, niemal zawsze, mówi Wheeler. Rzadko zdarza się osoba, która jest dla ciebie definitywnie nieprzenikniona, rzadko się zdarza, żeby nie wyłoniła się jakaś figura po pewnym czasie naszych uporczywych wysiłków, choćby była niewyraźna albo delikatna, często zupełnie inna od tej, jakiej można było się spodziewać, często daleka, nieodpowiadająca owym pierwszym kreskom, często niepasująca do nich. Człowiek przyzwyczajają się powoli do ciemności każdej twarzy albo osoby, albo przeszłości, albo historii, albo życia, po wytrwałym i wnikliwym badaniu zaczyna rozróżniać cienie, mrok się unosi i wtedy zaczynasz coś dostrzegać, już rozróżniasz: wtedy słabnie zniechęcenie albo nas atakuje i ogarnia zależnie od tego, czy pragnęliśmy coś zobaczyć czy też nie, zależnie od tego, u kogo odkrywamy te cechy lub podobieństwa albo tylko nasze własne ślady i reminiscencje. Kto jest gotów zobaczyć, niemal zawsze w końcu widzi, nie mówiąc już o tych zawziętych albo o tych, którzy czynią to swoją profesją, jak ty i jak ja, tobie się wydaje, że jeszcze nie rozpoczęłeś, ale rozpoczęłeś już dawno, tylko nikt ci za to nie płaci, teraz jednak będzie, już za chwilę; tak właśnie żyjesz. Nas, którzy mają odwagę i cierpliwość ciągłego patrzenia, jest tak niewielu, że dobrze nam za to płacą („Dalej, szybko, pospiesz się, myśl nadal i nadal patrz, bardziej niż trzeba, również wtedy gdy poczujesz, że nie ma nic więcej, nic więcej do myślenia, wszystko już pomyślane, nic więcej do patrzenia, wszystko już zobaczone”), za przenikanie tego co na pozór gładkie i matowe, i czarne jak pole czerni herbowej, co wydaje się gęstym mrokiem. Ale spostrzegasz nagle jakiś gest, intonację, jakiś błysk, jakieś zawahanie, śmiech, tik, spojrzenie z ukosa, cokolwiek, drobiazg. Coś słyszysz albo widzisz, byle

co, coś, co rozpoznajesz i kojarzysz, słyszałeś lub widziałeś wcześniej u kogoś, myślę, podczas gdy Wheeler tłumaczy. Widzisz u dziewczyny ten wyniosły, okrutny, neurotyczny wyraz twarzy, ten sam, który widziałeś tyle razy u pewnego starszego od siebie mężczyzny, niemal starca, wydawcy gazety, z którym zbyt długo pracowałeś, byłoby za długo pracować z nim nawet jeden dzień. W zasadzie nie mają ze sobą nic wspólnego, nikt by ich ze sobą nie powiązał, nonsens. Nie ma żadnego podobieństwa ani rzecz jasna pokrewieństwa. Tamten mężczyzna miał siwe włosy jak gręplowane, włosy dziewczyny są długie, olśniewające, w głębokim kasztanowym kolorze; jego ciało było obwisłe, z każdym dniem twarz zapadała mu się coraz bardziej, jej ciało jest tak radosne i jędrne, że rodzice sprawiają przy niej wrażenie jednowymiarowych (i ty też, jak się domyślasz, człowiek nie ogląda siebie), jakby tylko ona wypełniała pokój albo tylko ona była widoczna; jego oczy były małe i nieszczerze, chciwe i kąśliwe mimo uśmiechów, w jakich często szczyrzyły się jego zęby rozdzielone dużymi szparami i jakby chropowate lub bez połysku (albo ze startym szklivem, wyglądały jak maleńkie brudne ząbki piły) w nadziei, że całość wyda się serdeczna (zwodził w ten sposób wielu, przez pewien czas mnie także, a może raczej oderwałem wzrok od tego, co widziałem, tak właśnie ciągle zachowuje się świat, a człowiek nie zawsze może oderwać się od świata), a jej oczy są duże i płochliwe, i poważne, i zdaje się, że niczego nie żądają, jej usta nie rozdają uśmiechów tym, którzy z jej oszczędnej perspektywy nie są tego warci, nie przejmują się, że może się wydać arogancka (jeszcze jej nie zależy, by kogokolwiek zwieść), a kiedy z rzadka błysnie ci przed oczyma uźębieniem, jej uśmiech jest jak promienne błogosławieństwo. Nie, nie mają ze sobą nic wspólnego tamten oszukańczy właściciel i wydawca gazety, ów starszy mężczyzna chełpliwy i nie znający współczucia, tak niepewny swoich dokonań i tak świadom swoich kradzieży materialnych i intelektualnych, że gdy tylko mógł, niszczył tych, których okradał; nie, nic

ich nie łączy, jego i tej dziewczyny, dla której, rzekłbyś, kurtyna jeszcze się nie uniosła, która cała jest jeszcze potencjalnością i tajemnicą, płótnem już zagruntowanym, na którym widać tylko pojedyncze maźnięcia pędzla, próbkę kolorów. A jednak. Po chwili, na koniec, gdy twoja wytrwałość już dobiega kresu, widzisz wyraźnie i z bezinteresowną goryczą ten błysk, ten gest albo spojrzenie mężczyzny, do którego nie jest podobna i którego nie zna (wykluczony zatem wszelki mimetyzm). To nie jest, to nie może być nałożenie się na siebie dwóch fizjonomii, tak odmiennych, tak przeciwstawnych, byłaby to wizualna aberracja, wizualny absurd. Nie, to jest skojarzenie, rozpoznanie, uchwycone podobieństwo. (Przerażająca para). To ten sam gest irytacji albo ta sama mina wyrażająca żądanie, niewątpliwie są spowodowane innymi przyczynami lub wynikają z bardzo odmiennych dróg, bo jego droga już zmierza ku końcowi, a jej dopiero się rozpoczyna. A może w obu przypadkach nie ma przyczyny i przebyte drogi niewiele się liczą, wyraz twarzy ani gest nie wynikają z przeciwieństw losu ani z łuta szczęścia, ani z tego, co mogą przynieść wydarzenia. U biznesmena są czymś stałym, na stałe goszczą na jego zaczerwienionej twarzy alkoholika upstrzonej popękanymi naczynekami, podczas gdy u dziewczyny są tylko chwilową pokusą, może mgiełką, czymś pewnie odwracalnym i na dziś bez większego znaczenia. A mimo to już wiesz, zauważywszy to powiązanie. Wiesz, jaka ona jest pod jakimś względem i że w tym kluczowym względzie nie nastąpi żadna zmiana: trudne zadanie przed tymi, którzy jej się sprzeciwią, wcale nie łatwiejsze przed tymi, którzy postarają się ją zadowolić. („Są ludzie, którzy okazują się niemożliwi, jedyna mądra rzecz do zrobienia, to zostawić ich samym sobie i trzymać się od nich z daleka, nie istnieć dla nich”). Ten gest, ta mina wskazują na coś, co było widoczne i zauważalne od pierwszej chwili, tyle że jeszcze bez powiązania z owym starym, bezgranicznie aroganckim złodziejem, zanim zdałem sobie sprawę, że gest jest dla nich obojga

wspólny albo że ona ten gest odtwarza (mężczyzny nawet nie zna, a mimo to tworzy identyczną kopię). Oboje czują, a może sądzą, że świat jest ich dłużnikiem; całe dobro, które ich spotyka, po prostu im się należy; nie czują się zatem zadowoleni ani wdzięczni; nigdy nie uwzględniają wyświadczanych im przysług ani łagodności, z jaką są traktowani; postrzegają te przysługi jako dowód poszanowania, a poszanowanie jako wyraz słabości i strachu ze strony kogoś, kto trzymał już pałkę w dłoni, ale jej nie użył. To ludzie, z którymi nie sposób wytrzymać, nigdy się niczego nie uczą, a już na pewno nie na własnych błędach. Uważają, że zawsze należy im się coś od świata, mimo że przez całe życie świat obrażają i łupią, obrażając i łupiąc każdego, kto przypadkiem wejdzie im w drogę. I jeśli ze względu na swój wiek dziewczyna nie miała jeszcze wielu okazji do działania, byłem pewien, że szybko nadrobi ten nieznośnie długi czas oczekiwania, na jaki leniwie postępujący rozwój fizyczny wystawia ludzi bardzo i przedwcześnie zdeterminowanych. Właśnie wtedy, rozpoznawszy ten próżny i okrutny neurotyczny wyraz twarzy – wróżący zawsze brak opanowania – widząc ten fatalny związek, przestajesz okazywać dziewczynie zainteresowanie, przyglądać jej się z sympatią, schlebiać jej swymi ujmującymi dorosłymi pytaniami. A ona, źle wcześniej znosząc twoje zainteresowanie i gardząc nim dlatego, że pochodziło właśnie od ciebie – przyjaciela rodziców, męczącego, staroświeckiego – znosi jeszcze gorzej zaniechanie tych uprzejmości. Dlatego pospiesznie dojada deser, wstaje od stołu, wychodzi bez pożegnania. Doznała kolejnej zniewagi, dodała ją do posiadanej już kolekcji.

Kiedy indziej bywa na szczęście wprost przeciwnie: widzisz lub identyfikujesz, kojarzysz coś tak bardzo wytęsknionego i kochanego, że natychmiast się uspokajasz, mówi mi Wheeler. Słyszysz tembr głosu i dykcję kobiety, z którą rozmawiasz, zostałeś jej właśnie przedstawiony. Z nostalgiczną przyjemnością albo nawet z jakąś dawną emocją słuchasz jej

żywiłowego śmiechu. Przypomnij sobie, posłuchaj, przypomnij ją sobie: och tak, oczywiście, rozpoznaję tę skłonność do rozrywki, ten zaraźliwie dobry humor, szybkie usunięcie barier, to zaproszenie do dobrej zabawy, tego ducha, co nudzi się własnym smutkiem i robi co w jego mocy, by złagodzić i zmniejszyć ciężary nakładane przez życie na ludzi, na nią też, nie wywinie się. Ale nie poświęca się ani bezbrinnie się nie poddaje, gdy tylko zauważy, że nie padnie pod ciężarem, trochę się wyprostowuje i stara się strząsnąć z siebie ten ciężar, jak najdalej od siebie. Nie po to, żeby pozbyć się bólu, nie chodzi o to, że przestaje się interesować albo umyka, nie chodzi o to, że nieodpowiedzialnie zapomina; ale wie, że zdoła zapanować nad tym smutkiem tylko wtedy, kiedy utrzyma go na dystans, na odległość, może wtedy zdoła go też zrozumieć. I w tej kobiecie w średnim wieku dostrzegasz wyraźne podobieństwo do pewnej młodej kobiety, która będzie młoda na zawsze, do własnej żony – Valerie, Val, nie zostało ci prawie nic prócz wspomnienia imienia, teraz jednak znowu pojawiają się przed tobą żywe lub ożywione jej ślady, w innym głosie, w innej twarzy – która zmarła przedwcześnie i nie mogła nawet marzyć, że dożyje tylu lat, ani rzecz jasna, że wyda na świat dziecko, ani pewnie że będzie fantazjować na jego temat, zbyt młodo zmarła, by wyobrazić sobie macierzyństwo, niemal nie miała czasu, by wyobrazić sobie, że jest żoną Petera Wheelera albo Petera Rylandsa, gdy już za niego wyszła. Miała marzycielskie jasne spojrzenie i bardzo radosne usta, czule ironiczne. Dużo żartowała, nie porzuciła swoich młodzieńczych zwyczajów, nigdy nie miała takiej szansy. Kiedyś powiedziała mi tymi ustami, dlaczego mnie kocha: „Bo lubię patrzeć na ciebie, jak czytasz gazetę, kiedy ja jem śniadanie, przede wszystkim dlatego. Na twojej twarzy widzę, w jakim nastroju obudził się świat i w jakim każdego ranka budzisz się ty, który w moim życiu jesteś głównym przedstawicielem świata. I jak dotąd również najbardziej widocznym”. Te słowa powracają niespodziewanie na dźwięk identycznego



tembru głosu i identycznej dykcji, i na widok podobnego uśmiechu. I od razu wiesz, że tej kobiecie w średnim wieku, której właśnie zostałeś przedstawiony, możesz całkowicie zaufać. Wiesz, że ona nie wyrządzi ci krzywdy, a przynajmniej nie zrobi tego bez uprzedzenia.

„Ta umiejętność albo dar były bardzo pożyteczne podczas wojny, to coś nieocenionego w wojennych czasach, dlatego ludzie sprawujący władzę dołożyli wówczas starań, by ująć tę umiejętność w jakieś ramy organizacyjne, skanalizować ją, sumiennie wytropić, i szybko się okazało, że niewielu posiada tę umiejętność, ten dar, a tym bardziej w owym czasie, wojna niewyobrażalnie zniekształca widzenie, połowa ludzi widzi wszędzie upiory i wiedźmy, a u drugiej połowy wyostrza się zwyczajowa skłonność do tego, by nic nie widzieć, a również by starać się nie widzieć. Ale to wojna wysunęła nas na pierwszy plan, potrzeba jest matką wynalazków, nawet tych najprostszych”, mruknął do mnie w ogrodzie Wheeler, kiedy przechadzaliśmy się wolno wzdłuż rzeki w oczekiwaniu na obiad. „Szkoda, że pomysł nie zrodził się kilka miesięcy wcześniej, kto wie, może wtedy nie umarłaby Val, moja żona, Valerie. Niestety już nie żyła, gdy na to wpadli, nie wiem, czy Menzies czy Ve-Ve Vivian, a może Cowgill albo Hollis, albo nawet Philby (nie sądzę, żeby przyszło to do głowy Jackowi Curry’emu, jego wykluczam), każdy chciał być jak najbardziej pomysłowy, w MI5 i w MI6 pomysłowość zawsze była powodem do chwały, ludzie przyglądali się sobie uważnie, dochodziło do tego, że się nawzajem szpiegowali, na pewno nic się w tym względzie nie zmieniło. Bardzo prawdopodobne, że pomysł przyszedł do głowy samemu Churchillowi, on był najbardziej bystry i odważny, nie obawiał się, jak inni, że wystawi się na pośmiewisko. Zresztą wszystko jedno. Nie sposób dowiedzieć się ojcostwa tego rodzaju pomysłów, nikomu to do niczego niepotrzebne prócz kandydatów do oświetlania drogi do śmierci pochodnią odległych już dni wczorajszych”, Wheeler sparafrazował z gorzką ironią słynny cytat z Szekspira, „każdy opowiada swoją wersję i nikt nikomu nie wierzy ani nie przywiązuje do

niczych słów najmniejszej wagi. Jakkolwiek było, wszystko rozpoczęło się od kampanii przeciw *careless talk*. Słyszałeś kiedyś o tym?”. Obiło mi się o uszy to wyrażenie, w dosłownym tłumaczeniu „nieostrożne mówienie” albo „nierozważne”, „bezmyślne”, albo „niefrasobliwa rozmowa”, trudno znaleźć zadowalające i dokładne tłumaczenie, wiązałem to z czymś, co po hiszpańsku nazywamy „*hablar a la ligera*” (mówienie byle czego), choć niezupełnie o to chodzi, albo „*cotilleo*” (plotkowanie), „*chismorro*” (obmawianie), albo „*habladurias*” (gadanina). Pokręciłem przecząco głową: w każdym razie nie wiedziałem nic na temat kampanii przeciwko czemuś, co tak się nazywało. W owym czasie nie znałem także nazwisk, którymi Wheeler posługiwał się tak swobodnie, z wyjątkiem, rzecz jasna, nazwiska Churchill oraz nazwiska słynnego podwójnego agenta Kima Philby’ego (kolejny cudzoziemski albo przyszywany Anglik, urodzony w Indiach jako syn badacza orientalisty, który z kolei urodził się na Cejlonie i przeszedł na islam w wieku czterdziestu kilku lat), który w dodatku był w Hiszpanii w trakcie naszej wojny domowej jako korespondent „Timesa” po stronie frankistowskiej, jak się wydaje z zadaniem (postawionym przez Sowietów, nie przez Brytyjczyków) wykorzystania owej okoliczności do zabicia Franco (oczywiście nie wypełnił zadania, nawet nie podjął takiej próby, pewnie został za to ukarany). Dopiero później się dowiedziałem, że wszyscy ci ludzie byli bardzo wysoko postawionymi urzędnikami albo szpiegami, minęło też trochę czasu, nim dowiedziałem się na przykład (nie będę udawał, że mam jakąś daną od Boga wiedzę), że to pierwsze wymienione przez Wheelera nazwisko, Menzies, było właśnie takie, a nie inne, bo on wymówił je w dziwny sposób jako „Mingiss”. „Nie słyszałeś? Hm”, ciągnął Wheeler, otwierając teczkę i czegoś w niej szukając. „Została przeprowadzona w czasie wojny, w całym kraju wisiły plakaty z przestrogami, z pouczającymi przykładami, prowadzono ją w radiu i w prasie, za pomocą rysunków Erica Fräsera i wielu innych, Erika

Kenningtona, Wilkinsona, Beggarstaffa (mam tu niektóre z nich, sam zobaczysz), wszyscy wtedy wmawialiśmy sobie i byliśmy przekonani o tym, że w Anglii, Szkocji i Walii wprost roi się od nazistowskich szpiegów, że wielu z nich to Brytyjczycy, jak każdy z nas, z urodzenia, z wychowania i z upodobań, że to ludzie kupieni albo sfanatyzowani, albo rzucono na nich urok, zdradzieccy, chorzy, zainfekowani. Nikomu się nie ufało, szczególnie gdy już rozpoczęła się kampania, a ta, choć jej praktyczne wyniki były nierówne (zwalczała coś niemożliwego do pokonania), okazała się skuteczna w sferze mentalnej i psychologicznej: nie dowierzało się sąsiadowi, krewnemu, nauczycielowi, koledze, sklepikarzowi, lekarzowi, żonie, mężowi, wiele osób wykorzystało tę łatwą i powszechną podejrzliwość, tak zrozumiałą w panującym klimacie, żeby pozbyć się znienawidzonego współmałżonka. Choćby nie można udowodnić, że pozostaje się w związku z niemieckim agentem pod przykryciem lub z agentem zwerbowanym, to sama już nieprzewyciężona wątpliwość w tym względzie zdawała się wystarczającą przeszkodą uniemożliwiającą trwanie u boku rzekomego potwora albo, co wychodzi na to samo, wystarczającym powodem do rozwodu. Czy można noc w noc dzielić łóżko z kimś, komu tak bardzo się nie ufa, z kimś tak groźnym, kto nie zawahałby się nas zabić, gdyby tylko poczuł się zdemaskowany lub zagrożony? Właśnie takie było wyobrażenie o nieprzyjacielskim szpiegu, wszystko jedno, młodym czy starym, kobiecie czy mężczyźnie, Brytyjczyku czy cudzoziemcu, zawsze był to osobnik bezwzględny, pozbawiony wszelkich skrupułów, gotów do wyrządzenia największych szkód, pośrednio lub bezpośrednio, na tyłach albo na pierwszej linii, w zbiorowym morale lub w sprzęcie wojskowym, wśród ludności cywilnej lub wśród wojska, wychodziło na to samo. Wyobrażenie to nie było z pewnością błędne. Ludzie wyolbrzymiali swoje lęki, żeby w gruncie rzeczy nie dawać im do końca wiary, żeby na końcu dojść do wniosku, że

niemożliwa jest aż taka podłość, wszyscy tak z rozmysłem postępujemy, ale bezwiednie myślimy o najgorszym, w sposób paranoiczny, nedorzeczny wyobrażamy sobie największe okrucieństwa, żeby ostatecznie w głębi duszy je wykluczyć: na koniec tego procesu, tej potwornej gimnastyki umysłowej, tak to nazwijmy, zawsze dochodzimy do wniosku: nie, nie będzie tak źle. Cały dowcip albo cała groza polegają na tym, że w rzeczywistości tak właśnie bywa: źle albo jeszcze gorzej. Wedle mego doświadczenia, wedle mojej wiedzy rzeczywistość często się pokrywa z najokrutniejszym przecuciem, a niekiedy nawet je przerasta, to znaczy pokrywa się właśnie z tym, co odrzuciliśmy w apogeum strachu, obaw lub fantazjowania, co uznaliśmy ostatecznie za przesadny, nedorzeczny koszmar. Oczywiście, że liczni na ziemi brytyjskiej agenci nazistowscy nie wahali się zabić każdego, kto im przeszkadzał lub stanowił dla nich najmniejsze nawet zagrożenie, podobnie postępowali nasi agenci na kontynencie, przede wszystkim ci z SOE, choć nie tylko oni. Trudno w czasach pokoju dowiedzieć się albo zrozumieć, czym jest wojna, w gruncie rzeczy nie można wojny pojąć, nie pamięta się nawet wojen już przeżytych, tych, które się wydarzyły, w dodatku w tym samym miejscu, w których brało się nawet udział; podobnie nie pamięta się o pokoju w czasie wojny, nie można go sobie wyobrazić. Ludzie nie są świadomi, do jakiego stopnia jedno neguje drugie, jedno drugie likwiduje, odrzuca, wyklucza to z naszej pamięci i przepędza z naszej wyobraźni i z naszych myśli (podobnie jak ból i przyjemność, kiedy już ich nie ma), a w najlepszym razie zmienia je w coś fikcyjnego, człowiek ma wrażenie, że nigdy nie poznał ani nie doświadczył naprawdę tego, co w danym momencie jest nieobecne: i to nieobecne, zakładając, że wcześniej było, nie działa tak samo, nie jest podobne do przeszłości ani do niczego, co już minęło, lecz do powieści albo filmów. Staje się dla nas nierzeczywiste, staje się kłamstwem. A co się tyczy wojny, całe to marnotrawstwo wydaje nam

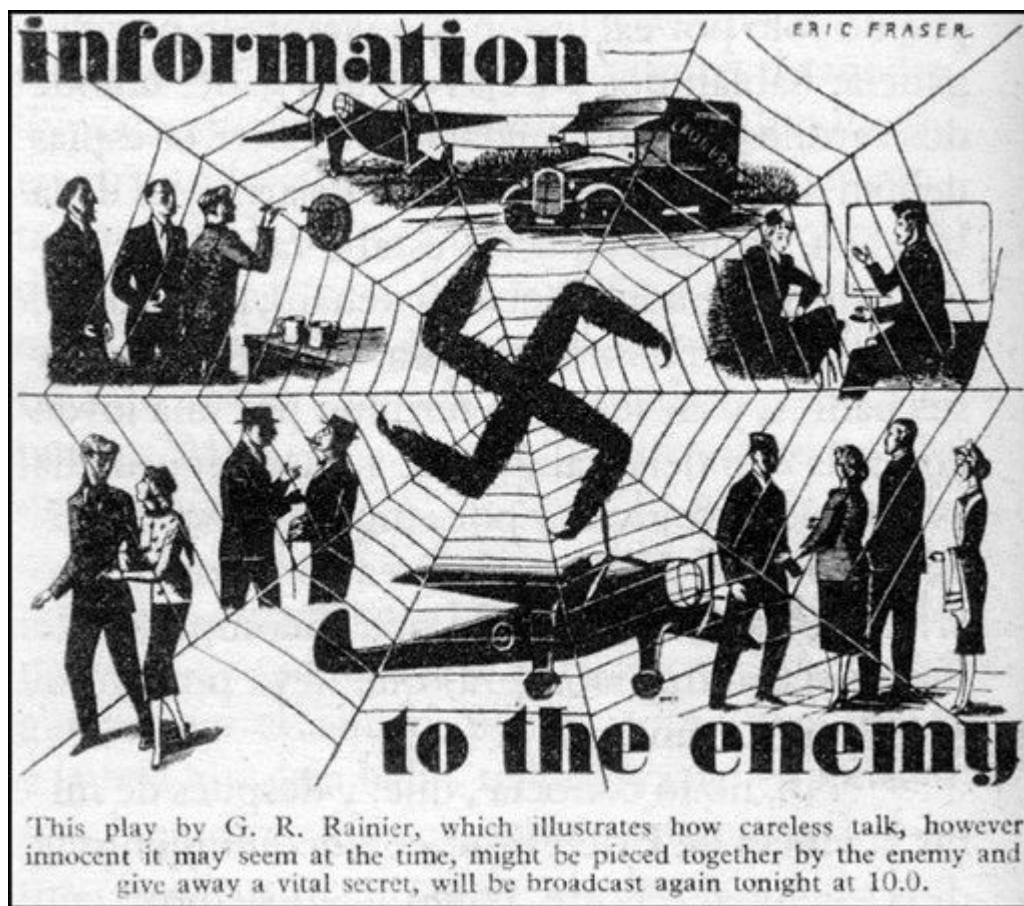
się niewiarygodne”. Kusiło mnie, żeby zapytać Wheelera, czy on także zabijał, w MI6 (worek mięsa, plama krwi), może na Karaibach albo w Afryce Zachodniej, a może w Azji Południowo-Wschodniej; albo wcześniej, w Hiszpanii. On jednak nie pozwolił tej pokusie dojrzeć, bo niemal natychmiast dodał: „Bardzo dużo nas kosztuje uwierzenie w wojnę, kiedy ta już się skończy; gdy tylko zostaniemy pokonani lub odniesiemy zwycięstwo, szczególnie gdy odniesiemy zwycięstwo. To jak wodoszczelne przedziały, stan pokoju i stan wojny. Jakież marnotrawstwo”. I od razu wrócił do tego, co mówił przedtem: „Spójrz. Widziałeś coś takiego wcześniej?”.

Wheeler wyjął z aktówki poźółkły wycinek z gazety z rysunkiem, na którym przede wszystkim rzucały się w oczy włochata niczym pająk swastyka umieszczona pośrodku oraz wysnuta przez nią pajęczyzna, która oplatała lub raczej miała w swojej sieci kilka scenek. „Informowanie wroga”, krzyczały wielkie litery, prawdopodobnie tytuł, sądząc po małym rozmiarze napisu na dole, który brzmiał mniej więcej tak: „Sztuka G.R. Rainiera ukazująca jak nierozważne rozmowy (tak tu przetłumaczymy *careless talk*), choćby sprawiały wrażenie całkiem niewinnych, mogą zostać przez wroga powiązane w całość i tym sposobem wyjawic mu istotne tajemnice, zostanie powtórzona dziś wieczorem punktualnie o dziesiątej”. Scenki były cztery: trzech mężczyzn gawędzą w pubie, zabawiając się rzucaniem lotkami do tarczy, szpiegiem jest pewnie ten stojący z tyłu, bo nosi rzucający się w oczy monokl, ma garbaty nos, długie artystowskie włosy i afektowaną bródkę; w pociągu żołnierz rozmawia z jasnowłosą damą, to niewątpliwie ona jest szpiegiem, wynika to nie tylko z dedukcji, ale i z wytwornego wyglądu kobiety; czworo ludzi rozmawia na ulicy, dwóch mężczyzn i para: kobieta i mężczyzna, szpiegami są zapewne osobnik w muszce i mężczyzna z szalikiem, aczkolwiek w tym przypadku nie jest to takie jasne (na moje oko muszą to być ci, którzy słuchają);

wreszcie powitanie pilota w domu, witającymi są chyba rodzice, i na drugim planie młoda pokojówka w fartuszkach i czepku na głowie: szpieg to na pewno ona, bo jest młoda i zatrudniona jako służąca, zatem obca. Poza tymi scenkami widać jeszcze jeden samolot na dole i jeden na górze, bardzo blisko jakiejś niezrozumiałej furgonetki (coś maskuje?), która ma wymalowany z boku napis „Pralnia”.

„Nie, nie widziałem”, odparłem, przyjrzawszy się uważnie rysunkowi Erika Frasera, zerknąłem też na odwrotną stronę, zawsze tak robię ze starymi wycinkami. „Radio Times”, 2 maja 1941 roku. Była tam część programu z owych dni, przypuszczam, że programu BBC, wówczas wyłącznie radiowej. Pełny tytuł dydaktycznej sztuki owego Mr Rainiera (nazwisko wydawało się raczej niemieckie niż angielskie, a może chodziło o obywatela Monako) brzmiał, jak mogłem zobaczyć: „Fifth Column: Information to the Enemy”. Piąta kolumna, to wyrażenie stworzono w moim mieście, tak myślę, w Madrycie obleganym trzy lata przez Franco i jego wojska, i jego niemieckich lotników, i jego marokańskie oddziały szturmowe, zalany przez jego szpicli, piątą kolumnę, szybko wyeksportowaliśmy to określenie do innych języków i w inne miejsca: wówczas, w maju 41 roku, minęło zaledwie dwadzieścia pięć miesięcy, odkąd jedni ponieśli klęskę, a drudzy odnieśli zwycięstwo, moi rodzice należeli do tych pierwszych i ja także, kiedy przyszedłem na świat (zniszczenia są większe i dłużej to trwa u zwyciężonych). W tym programie radiowym sprzed sześćdziesięciu długich lat zapowiadano, że wystąpi „*Don Felipe and The Cuban Caballeros with Dorothe Morrow*” (człowiek zawsze zatrzymuje się wzrokiem na słowach we własnym języku), informowano, że ich występ potrwa pół godziny, aż do końca programu o jedenastej: „Time, Big Ben. Close down”. Co się z nimi dzisiaj dzieje, z owym Don Felipe i kubańskimi Caballeros oraz z tą Dorą o tak bardzo niestosownym nazwisku Jutro, pewnie wokalistką? Gdzie są, jeżeli żyją, i gdzie, jeżeli

umarli? Kto wie, czy faktycznie wystąpili owego wieczoru, może przeszkodziło w tym jakieś bombardowanie Luftwaffe, zaplanowane i naprowadzane przez ludzi z piątej kolumny oraz donosicieli i szpiegów z naszego terytorium? Nie wiadomo nawet, czy udało im się dożyć tego dnia.



„A to? A to? Popatrz na to i na to”. Wheeler wyciągał coraz to nowe rysunki ze swojej teczki, teraz kolorowe i już nie oryginalne, lecz wycięte z dzisiejszych pism lub może z książek, a może były kartkami pocztowymi i kartami do gry pochodzącymi z Imperial War Museum przy Lambeth Road i z innych instytucji, teraz pewnie sprzedawano te rysunki jako nostalgiczne i po prostu ciekawe pamiątki, umieszczono je nawet na talii kart, dziwne, jak rzeczy użyteczne, a nawet o podstawowym życiowym



znaczeniu stają się dekoracją i zabytkiem podczas życia jednego pokolenia, pomyślałem o życiu Wheelera i pomyślałem, że i ja zobaczę kiedyś w katalogach i na wystawach przedmioty i gazety, i zdjęcia, i książki, których narodzin byłem świadkiem, podziwiałem ich nowatorski kształt, ujęcie, a nawet styl literacki, jeżeli tylko pożyję dostatecznie długo, to nie musi być nawet wiele lat, wszystko tak szybko odchodzi w przeszłość. Imperialne Muzeum Wojny znajdowało się w bliskim sąsiedztwie głównej siedziby MI6, czyli Secret Intelligence Service, inaczej SIS, przy Vauxhall Cross, która to siedziba nie wtapiała się w tło swoją architekturą, wprost przeciwnie, rzucała się w oczy, nie była wcale dyskretna, prawdziwy ziggurat, istna latarnia morska; niedaleko również od budynku bez nazwy, do którego miałem chodzić codziennie przez okres, który zaczął mi się w końcu dłużyć, aczkolwiek wówczas, u Wheelera, nie wiedziałem jeszcze, że miało to być moje kolejne miejsce pracy, kilka już wcześniej miałem.

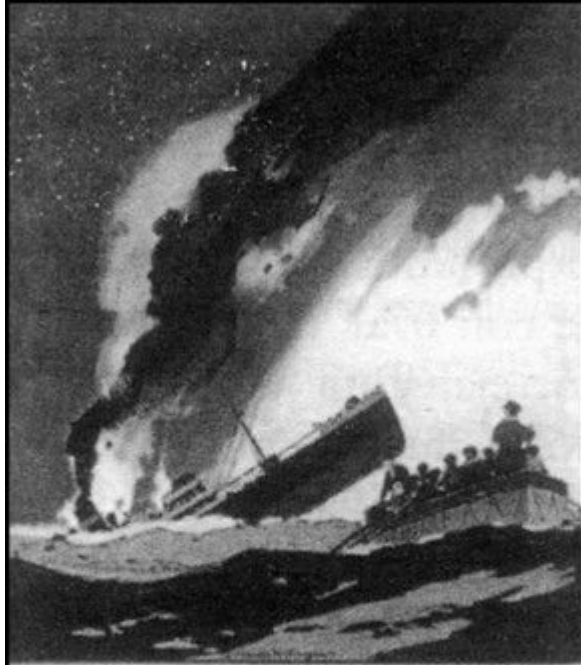
„Czy pan je zbiera, Peter?“, zapytałem, przyglądając się uważnie rysunkom. Usiedliśmy na chwilę na przykrytych nieprzemakalnymi pokrowcami fotelach wokół stolika w ogrodzie Wheelera, wystawiano je wczesną wiosną i stały na zewnątrz do późnej jesieni, dopóki jeszcze grzało słońce, jakkolwiek zależnie od pogody Wheeler albo pani Berry przykrywali je przez większość dni pokrowcami chroniącymi od deszczu, pogoda w Anglii jest bardzo zmienna, nie bez powodu mówi się po angielsku „*as changeable as the weather*“, na przykład w odniesieniu do niestałych osób. Usiedliśmy na pokrowcach w kolorze jasnego beżu, były suche, zrobiliśmy tylko krótki postój, żeby swobodniej pooglądać rysunki, rozłożywszy je na blacie stolika, również przykrytym pokrowcem, wszystkie te meble mogły udawać nowoczesne rzeźby albo przypominały zjawy. Rylands miał w ogrodzie podobne, w swoim ogrodzie położonym nieopodal, nad tą samą rzeką, wspominałem.

„Tak, można tak powiedzieć, niektóre rzeczy chce się pamiętać jak najdokładniej. Ale zbieraniem zajmuje się raczej Mrs Berry, ją też interesują i to ona jeździ częściej do Londynu. Człowiekowi nie przychodzi do głowy, żeby zachować różne drobiazgi, gdy ma z nimi do czynienia w swoim czasie, kiedy ich istnienie jest czymś naturalnym, bo ma wrażenie, że są i zawsze będą pod ręką. Potem, nim się człowiek zorientuje, te drobiazgi zmieniają się w białe kruki, prawdziwe relikwie, wystarczy spojrzeć, jakie bzdety wystawiają dzisiaj na licytacjach tylko dlatego, że nikt ich już nie produkuje i nie można ich nigdzie znaleźć. Są takie kolekcje naklejek z obrazkami sprzed czterdziestu lat, które osiągają zawrotne ceny, zazwyczaj licytują je jak szaleni ci sami ludzie, którzy w dzieciństwie je zbierali, a w młodości wyrzucili na śmietnik albo komuś podarowali, może nawet, kto wie, kupują te same albumy, które zapełniali swego czasu z dziecięcą wytrwałością, a które potem przebyły długą drogę z rąk do rąk. Teraźniejszość jest przekleństwem, nie pozwala nam prawie niczego dostrzec ani docenić. Kto by pomyślał, że będziemy w niej żyli, splatała nam przykrego figla”, zażartował Wheeler, potem wskazał drżącym nieco palcem na rysunki: „Spójrz, od razu widać, do czego nawołują. Niesamowite, co? Zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy, dzisiejsze czasy są takie nienasycone, tak nie wiedzą, co to wstrzemięźliwość. Dziś nie potrafi się nie zadawać pytań ani zachować milczenia”.

Na jednym rysunku widać było okręt wojenny tonący nocą na otwartym morzu, pewnie storpedowany, na niebie błyski i dymy, a na morzu kilku rozbitków w szalupie wiosłuje przed siebie ze wzrokiem zwróconym do tyłu, nie mogą oderwać oczu od katastrofy, z której jeszcze nie do końca uszli cało. „Taki może być skutek kilku nierozważnych słów”, głosił podpis na rysunku, który oryginalnie musiał mieć formę plakatu albo ogłoszenia w ilustrowanej prasie; napis jeszcze mniejszymi literami przestrzegał: „Nierozważne rozmowy wielu kosztowały życie w poprzedniej wojnie.

Bądź czujny! Nie rozmawiaj o ruchach okrętów lub wojsk”. Ta „poprzednia wojna” to była wojna 1914 roku, z której Wheeler zachował bezpośrednio dziecięce wspomnienia, wtedy jeszcze nazywał się Rylands.

Kolejny przedstawiał scenkę towarzyską: atrakcyjna kobieta rozparta w fotelu (naszyjnik, suknia wieczorowa, kwiat wpięty we włosy, długie pomalowane paznokcie) patrzy przed siebie obojętnie i drwiąco, a wokół niej trzech oficerów, z papierosami i kieliszkami w dłoniach, zabiega o jej względy na przyjęciu, można się domyślić, że opowiadają o swoich ostatnich dokonaniach albo bohaterskich czynach, żeby ją olśnić, albo rozmawiają o nich ze sobą, nie zważając na to, że kobieta się przysłuchuje. Na rysunku napis: „Ani słowa” (albo w bardziej potocznej i bliższej oryginałowi wersji: „Buzia na kłódkę”), „ona nie jest taka głupia!” (aczkolwiek mamy tu do czynienia z grą słów, ponieważ „*dumb*” znaczy „głupi”, „dziecinny”, ale również „głuchy”, w dodatku się rymuje). Na dole czerwonymi literami naczelne hasło całej kampanii: „Nierozważne rozmowy kosztują życie”.



A FEW  
CARELESS WORDS  
MAY END IN THIS—

Many lives were lost in the last war through careless talk.  
Be on your guard! Don't discuss movements of ships or troops.



Następny był bardziej dosadny i pouczający i ostrzegał przed łańcuszkiem mimowolnego i niekontrolowanego przekazywania sobie informacji, tutaj szpieg – mężczyzna lub kobieta – nie czai się na początku, czeka na samym końcu. Rysunek składał się z czterech części, dwóch na czerwonym i dwóch na białym tle. W górnej części po lewej stronie marynarz rozmawia z jasnowłosą dziewczyną (swoją narzeczoną, siostrą, może koleżanką), nie ma powodu jej nie ufać, wprost przeciwnie, ona słucha go z bezinteresownym zaciekawieniem (to znaczy, jest bardziej zainteresowana nim aniżeli tym, co ujawnia lub opowiada) i przygląda mu się z szacunkiem, jeśli nie z zachwytem. Pod spodem wielkimi literami słowo: „MÓWIENIE”. Kolejny prostokąt, w prawym górnym rogu, przedstawia tę samą jasnowłosą dziewczynę podczas rozmowy z koleżanką o upiętych wysoko kasztanowych włosach, ta słucha blondynki z wyrazem

zdumienia na twarzy, jej ciekawość nie wydaje się taka bezinteresowna: pewnie już się cieszy, że będzie mogła opowiedzieć innym tę historię; wcale nie musi mieć złych zamiarów, może jest tylko plotkarą, jedną z tych osób, które delectują się przynoszeniem najświeższych nowinek, tym, że są dobrze poinformowane i zaskakują innych swoją dobrą orientacją w każdej sprawie. Pod spodem małymi literami napis: „koleżance może”. W dolnym lewym prostokącie widać, jak kobieta z kasztanowymi włosami opowiada coś na ucho kolejnej koleżance, tym razem brunetce, uczesanej z przedziałką na środku i z włosami upiętymi w węzeł na karku, brunetka ma zimne migdałowe oczy, a na twarzy wyraz bardzo interesownej uwagi, myśli już o swoim przyszłym rozmówcy, któremu przekaże nie zwyczajną wiadomość, lecz cenną informację. Pod spodem znowu napis małymi literami: „oznaczać mówienie”. Wreszcie w prawym dolnym rogu widać brunetkę, jak niemal szepce coś do ucha – oczy przymknięte, zło – jasnowłosemu mężczyźnie o nie budzącym zaufania spojrzeniu i twardych rysach twarzy, na pewno jakimś bezlitosnemu naziście, który z kolei nic nikomu nie powtórzy, lecz przystąpi do działania, przedsięwzięmie środki, które z pewnością spowodują śmierć wielu osób, łącznie z winnym i niewinnym zarazem marynarzem. Pod spodem znowu dużymi literami: „WROGOWI”, tym samym układa się cały napis: „MÓWIENIE koleżance może oznaczać mówienie WROGOWI”, przy czym na zasadnicze hasło składają się słowa pisane dużymi literami na czerwonym tle. Uśmiechając się w duchu, nie mogłem nie zwrócić uwagi na stopniowanie zła za pomocą określonych typów kobiet: „dobra” była blondynką z krótkimi włosami, ze skromną białą wstążką zawiązaną pod szyją; „lekkomyślna” lub „niemądra” miała kasztanowe włosy upięte wysoko i krótki naszyjnik na szyi (większa kokietka); „zła”, kobieta szpieg, była kunsztownie uczesaną brunetką, na szyi miała czarną aksamitkę z połyskującą zielonkawą klamerką na środku i tylko ona nosiła kolczyki (niewątpliwie *femme fatale*). Wiele moich

rodaczek, wśród nich moja matka, pomyślałem, miałyby w Anglii bardzo złą prasę w owych latach.









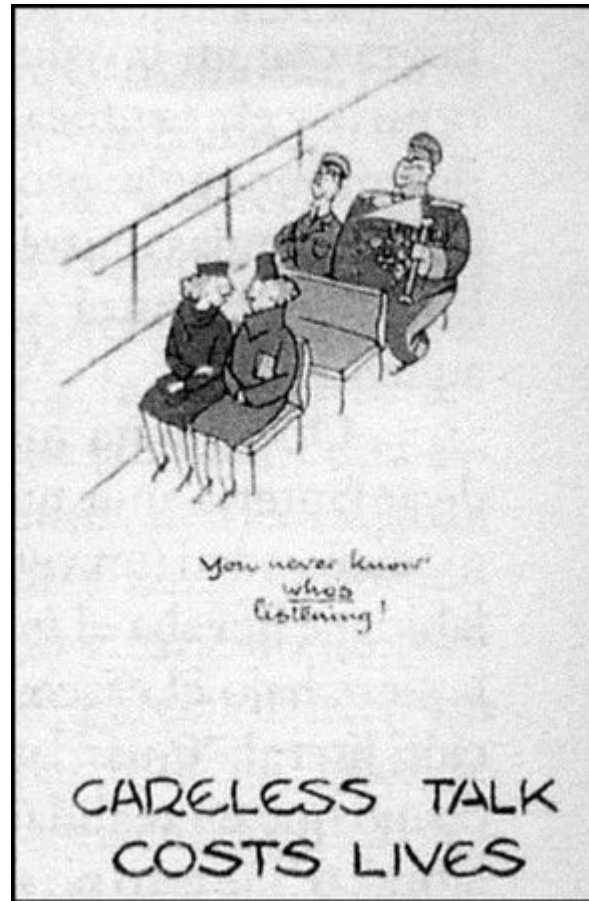
"..... but for heaven's sake  
don't say I told you!"

CARELESS TALK  
COSTS LIVES

*What I know - I keep to myself*



**CARELESS TALK COSTS LIVES**



Kolejny rysunek przedstawiał żołnierza piechoty patrzącego przed siebie: mężczyzna w średnim wieku, z papierosem w ustach, unosząc do skroni palec wskazujący lewej ręki, zalecał w dosłownym tłumaczeniu: „Trzymaj to pod kapeluszem”, ten angielski idiom znaczy w istocie: „O tym ani słowa” albo „Nie puszczaj pary z ust”, albo bardziej staroświecko: „Zachowaj to dla siebie”. A u góry czerwony napis: „Uważaj na szpiegów!”.

„Te rysunki były adresowane głównie do wojska, prawda?”, zwróciłem się do Wheelera.

„A tak, ale nie tylko”, odpowiedział mi z lekkim drżeniem w głosie. „To właśnie jest najciekawsze, że nie żołnierze jako ci, którzy więcej wiedzą i powinni zachowywać większą ostrożność i dyskrecję, byli jedynymi adresatami tej kampanii, lecz była skierowana do wszystkich, do każdego

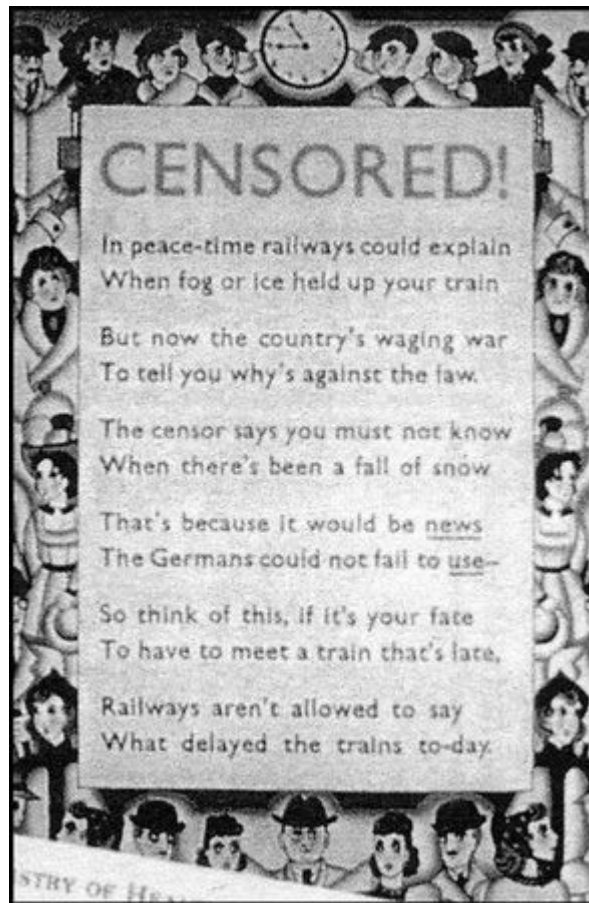
cywila. Popatrz na te”. I wyjął z teczki kilka następnych rysunków, które – faktycznie – nie były adresowane do wojskowych, tylko do całej ludności.

Niektóre były karykaturami. Jedna z tych karykatur przedstawiała mężczyznę rozmawiającego przez telefon z czerwonej budki telefonicznej, takiej, jakie do dzisiaj są w Anglii: „...na miłość boską, tylko nie mów, że ja ci to powiedziałem!”, mówi mężczyzna, a zza ścian i znad sufitu budki wychyla się ze czternaście czy piętnaście małych twarzy, klonów Hitlera. Na innej widniały dwie panie jadące metrem, jedna mówi do drugiej: „Człowiek nigdy nie wie, kto go podsłuchuje”. Dwa rzędy dalej siedzi dwóch bardzo zadowolonych z siebie nazistowskich tuzów w mundurach, jeden chudy, a drugi gruby i obwieszony medalami, ten drugi też przypomina Hitlera. Na jeszcze innym rysunku, zrobionym chyba na podstawie jakiegoś zdjęcia, widać zwyczajnego mężczyznę w krawacie, płaszczu i czapce (może był to *cockney*), który zdaje się puszczać oko do widza i mówi: „Wszystko co wiem, zachowuję dla siebie”. Były też rysunki adresowane do dzieci. Odwoływały się do wzorów godnych naśladowania, żeby wpoić dzieciom przekonanie o stosowności milczenia. („Bądź jak tata, trzymaj język za zębami!”). Były też ostrzeżenia składające się z samego tekstu, bez ilustracji („Tysiące osób straciło życie w poprzedniej wojnie, ponieważ w nierozważnych rozmowach ujawniono wrogowi cenne informacje. Bądźcie czujni!”), wisiały pewnie na tablicach ogłoszeń i tablicach korkowych we wszystkich urzędach, szkołach, pubach i fabrykach, a także na ulicach, na ogrodzeniach, w pociągach i autobusach, na stacjach kolejowych i stacjach metra. Inne tłumaczyły w formie rymowanej, dlaczego cenzurowano całkiem niewinne wiadomości, które w czasach pokoju były podawane bez żadnego problemu, a nawet obowiązkowo, na przykład wiadomość o przyczynach zatrzymania, postoju lub opóźnienia pociągu: „Kolej zapowie w czasach pokoju, / że pociąg

zatrzyma się w szczerym polu, / ale w czas wojny taka przestroga / byłaby tylko prezentem dla wroga”.

Taki był mniej więcej styl tych wierszyków i rymowanek (wyjaśnienie obywatelom, dlaczego nie można niczego wyjaśnić, to przejaw szacunku i obywatelskiej cnoty). Jeszcze inne były adresowane do sił zbrojnych, bo beztroška żołnierzy mogła sprowadzić na wszystkich, również na samych żołnierzy, największe niebezpieczeństwo. Żołnierz w hełmie i z tułowiem w kształcie aparatu telefonicznego ostrzega: „Stój! Zastanów się dwa razy, nim wykręcisz numer zamiejskowy”. Albo mężczyzna i kobieta w mundurach, zza niebieskiego parawanu z wielkim białym napisem „OCENZUROWANO” wystają tylko ich głowy i nogi; młodzi ludzie mają w ustach papierosy i stykają się ich koniuszkami, jedno przypala papierosa drugiemu i tym sposobem ich usta się łączą, choć za pośrednictwem papierosa i ognia (palenie nie było wówczas źle widziane ani zwalczane, w tamtych czasach należały się ludziom jakieś przyjemności), ale obojgu udziela się przestrogi: „Nie wolno wam ujawnić waszych formacji!”. Większość rysunków kładła w każdym razie nacisk na podstawowe przesłanie całej kampanii: „*Careless talk costs lives*”, „Nierozważne rozmowy kosztują życie”. Tłumaczenie: „Inni płacą życiem za twoje nierozważne rozmowy” też nie byłoby całkiem nieprawdziwe.





# CENSORED!

In peace-time railways could explain  
When fog or ice held up your train

But now the country's waging war  
To tell you why's against the law.

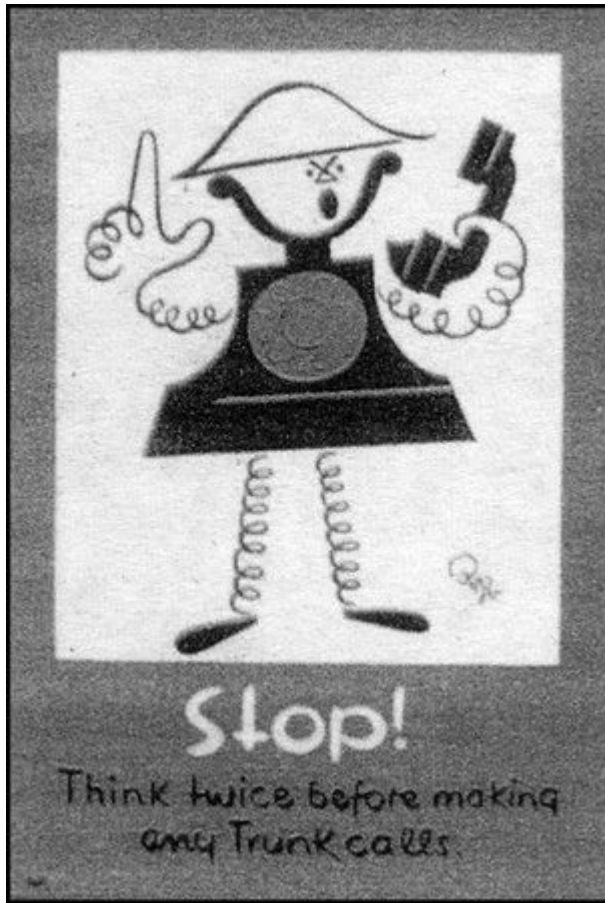
The censor says you must not know  
When there's been a fall of snow

That's because it would be news  
The Germans could not fail to use—

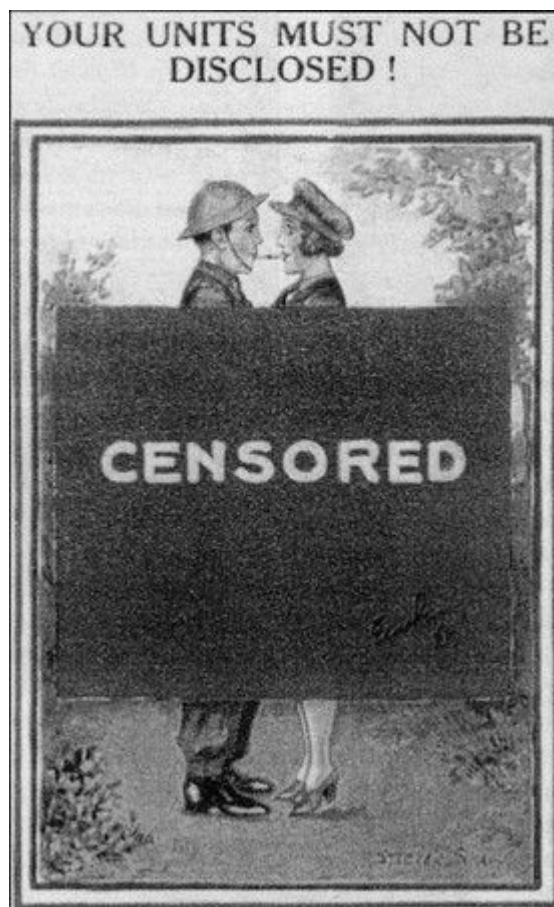
So think of this, if it's your fate  
To have to meet a train that's late.

Railways aren't allowed to say  
What delayed the trains to-day.

STRY OF H...







„Mam jakieś mgliste wspomnienie, że podczas naszej wojny domowej ostrzegano w podobny sposób przed piątą kolumną, ale nie jestem tego pewien. Nie pamięta pan, Peter?”, zapytałem. „Sam nie wiem, chodzi mi po głowie jakieś hasło typu «Wróg ma tysiąc par oczu». Ale może sam to sobie wymyśliłem, nie wiem, z drugiej strony nie zachowałem w pamięci obrazków podobnych do tych, jakie pan mi pokazuje, nie sądzę, bym je gdzieś widział”. Naprawdę tego nie wiedziałem, aczkolwiek nie można wykluczyć, że wyeksportowaliśmy również ten pomysł. A może się myliłem i utkwiał mi tylko w pamięci oszczerzy wobec POUM-u plakat z wiosny 37 roku: twarz ze stemplem swastyki wynurza się spod maski z sierpem i młotem; Nin padł ofiarą w połowie tylko usprawiedliwionej paranoi, która kazała widzieć szpiegów i kolaborantów Franco za każdym rogiem, a może wrogowie Nina wykorzystali raczej tę paranoję, żeby

zarzucić mu zdradę i szpiegostwo. Został oskarżony o to, że przekazywał informacje, wydawał ludzi i tajemnice, a paradoksalnie nie zrobił tego nawet na torturach. Na torturach milczał i nie uratował się, milczał jak zakłęty, trzymał język za zębami, nie puścił pary z ust, właśnie *he kept mum*, wszystko co wiedział, zachował dla siebie albo pod kapeluszem, a może nic nie powiedział, ponieważ wszystkie zarzuty były fałszywe, musiałyby powymyślać najpierw jakieś bujdy, żeby potem móc je ujawnić, uznać swoją winę i przyznać się, że jest „koniem trojańskim”, jak określił go trochę później swoim „rozświetlającym mrok głosem”, głosem oszczercy, pewien „miłośnik prawdy”, człowiek „zacności Don Kichota”, w którym tak bardzo zakochał się Trapp-Tello.

„Wczorajszego wieczoru powiedziałem ci, że przed wojną z Niemcami przejechałem przez waszą wojnę, a zwykłem wyrażać się dość precyzyjnie, Jacobo. Myślę, że jeszcze mi się udaje. Oznacza to, że w Hiszpanii nie byłem długo, wpadłem tam tylko”, odpowiedział mi Wheeler i wyczułem w jego głosie lekkie zniecierpliwienie, jakby drażniło go nieco, że zaczynam mówić o innej wojnie i innych czasach tylko z tego powodu, że pozostają w związku z jego wojną i że obie wojny toczyły się w krótkim odstępie czasu jedna po drugiej. „A zatem, choć nie mogę przysiąc, nie przypominam sobie, bym widział w twoim kraju coś podobnego, słyszał o tym albo czytał. Jeśli mnie pamięć nie myli, były plakaty i kampania przeciwko piątej kolumnie; wzywano mieszkańców Madrytu i Barcelony, a może i Walencji, żeby tropili jej członków, demaskowali, wyciągali z ich brudnych nor i zabijali, to samo działo się po drugiej stronie: wzywano do tego, by tropić i likwidować wywrotowców, dużo ich nie zostało przy życiu po tej pełnej rozmownych spowiedników stronie, ale do tego właśnie zachęcano. Rzecz jasna nawoływano ludzi, by mieli oczy otwarte i pilnowali tyłów, o ile wiem tu i we Francji apelowano nieśmiało o to samo również podczas pierwszej wojny. Nie sądzę jednak, by kiedykolwiek

wcześniej zorganizowano kampanię przeciwko *careless talk*, ostrzegając obywateli przed możliwymi szpiegami i zalecając w dodatku milczenie jako generalną zasadę: zalecając, by nie rozmawiano, nakazując milczenie i prosząc o nie. Ludziom przedstawiono nagle ich własny język jako niewidzialnego wroga wymykającego się kontroli, niespodziewanego i nieprzewidywalnego, jako najgorszego, najbardziej morderczego i przerażającego ze wszystkich wrogów, straszliwą broń, której każdy mógł użyć, ale nigdy nie miał się dowiedzieć, czy wystrzeli z niej nabój ani czy ten nabój nie zmieni się ostatecznie w torpedę, która pośle na dno nasze pancerniki na środku oceanu, tysiące mil od brzegu, albo w bombę zrzuconą przez junkra precyzyjnie na naszą dzielnicę i nasz dom albo na najpilniej strzeżone obiekty wojskowe, te najbardziej tajne, ukryte, te najważniejsze. Nie wiem, czy w pełni zdajesz sobie z tego sprawę, Jacobo: nakazano ludziom nieufność do ich głównego sposobu komunikowania się; kazano traktować podejrzliwie czynność, którą ludzie wykonują i wykonywali w sposób naturalny, bez oporów, wszędzie i zawsze, nie tylko tutaj i wówczas; zasiano wśród ludzi nieufność wobec tego, co najbardziej nas określa i łączy: wobec rozmowy, opowiadania, mówienia, komentowania, szeptania i przekazywania sobie informacji, krytykowania, wymieniania się wiadomościami, plotkowania, mówienia źle o innych i rozpuszczania pogłosek, referowania sobie wypadków i relacjonowania zdarzeń, bycia poinformowanym i przekazywania bieżących informacji i oczywiście również wobec żartów i kłamstw. A to przecież główne koło zamachowe świata, Jacobo, bardziej niż cokolwiek innego: to jest napędzający życie silnik, który nigdy się nie zużywa ani nie zatrzymuje, to prawdziwe tchnienie życia. A tu nagle prosi się ludzi, by ten silnik wyłączyli; by przestali oddychać. Prosi się ich, żeby zrezygnowali z czegoś co najukochańsze i najbardziej niezbędne, dla czego żyją i czym mogą się cieszyć i posługiwać wszyscy bez wyjątku, tak biedni, jak i bogaci,

niewykształceni i wyedukowani, starzy i młodzi, chorzy i zdrowi, żołnierze i cywile. Jeżeli jest coś, co wszyscy robimy bez konkretnej potrzeby fizjologicznej, jeżeli mamy coś naprawdę wspólnego jako istoty obdarzone wolą, to właśnie mówienie, Jacobo. Nieszczęsne mówienie. Przekłętę mówienie. Mówić i mówić bez ustanku, nigdy nikomu nie zabraknie do tego siły. Niewiele znaczy znajomość gramatyki, składni i słownictwa, jeszcze mniej zdolności oratorskie, a już najmniej wymowa, dykcja, akcent, eufonia, rytm. Człowiek bardzo wykształcony wypowiada się w sposób bardziej uporządkowany, właściwy i precyzyjny, może też z większym pożytkiem dla swoich słuchaczy albo tylko dla słuchaczy jemu podobnych lub pragnących się do niego upodobnić. Ale niekoniecznie z większą swobodą niż gospodyni domowa, półanalfabeta, której nie zamykają się usta przez cały dzień, a nocą milczy tylko dlatego, że śpi i przemęczone gardło musi odpocząć. Niestrudzony podróżnik może snuć w nieskończoność miłe i zajmujące opowieści, opowiadać niezliczone anegdoty z przygód w najdziwniejszych, bogatych, egzotycznych i niebezpiecznych krajach. Ale niekoniecznie opowie coś więcej lub z większą swadą niż nieobyty ze światem oberżysta, który całe życie tkwi za barem i zna tylko pięć uliczek i dwa place, które składają się na jego nikomu nieznaną miejscowość. Natchniony poeta albo sprawny pisarz może napisać albo wyrecytować zniecka hipnotyzujący utwór brzmiący jak muzyka takiej urody, że słuchacze nie zwrócą większej uwagi na treść utworu albo uchwycą jej sens bez wysiłku, bez konieczności rozumienia lub kojarzenia, wszystko będzie się dziać równocześnie, jako całość, choćby później, gdy ucichnie muzyka, słuchacze nie potrafili powtórzyć ani streścić, ani nawet nadal rozumieć tego, co jeszcze chwilę temu tak dobrze rozumieli, ukołysani rytmem i zaczarowani muzyką, która tak łatwo zawładnęła ich umysłem i uchem. Ale ten poeta czy pisarz niekoniecznie mówi więcej, lżej i swobodniej niż głupi urzędnik, który klepi w kółko to

samo i tępy uważa sam siebie za pełnego „*donaire*” i „*gracia*”, i występuje nagminnie we wszystkich urzędach na świecie bez względu na szerokość geograficzną i klimat, choćby to były biura tłumaczy i szpiegów...”.

Wheeler przerwał na krótką chwilę, mam wrażenie, że głównie po to, by zaczerpnąć tchu. Powiedział słowa „*donaire*” i „*gracia*” po hiszpańsku, parafrazując chyba słowa Cervantesa pochodzące z innego dzieła niż „*Don Kichot*”, rzadko cytowanego, ale w jego przypadku to było możliwe. Nie oparłem się pokusie, by to sprawdzić, skorzystałem z chwilowej ciszy i wyrecytowałem powoli półgłosem, słowo po słowie, niemal sylaba po sylabie, jak ktoś, kto się waha lub nie do końca się ośmiela:

*Adiós, gracias; adiós, donaires; adios regocijados amigos; quo yo me voy muriendo...*

Żegnaj, dowcipie; żegnajcie, wdzięki, żegnajcie, weseli przyjaciele; bo ja umieram...

Nie dokończyłem. Może Wheelerowi się nie spodobało, że przypomniałem mu to zdanie na głos, często się zdarza, że starzy ludzie nie chcą nawet słuchać o końcu życia, pewnie dlatego, że zaczynają postrzegać ten koniec jako coś realnego albo prawdopodobnego, nie wykoncypowanego lub fikcyjnego. Ale nie, nie sędzę, to znaczy nie jestem pewien, nikt tak chyba nie postrzega własnego końca, nawet wiekowi starcy ani ciężko chorzy, ani ludzie stale zagrożeni, w ciągłym niebezpieczeństwie. To raczej my, cała reszta, zaczynamy ich tak postrzegać. Zignorował moje słowa i mówił dalej. Udał, że nie rozpoznał tego, co wyrecytowałem w swoim języku, nie dowiedziałem się zatem, czy to był tylko zbieg okoliczności czy też istotnie zrobił aluzję do wesołego pożegnania Cervantesa.

„Mówi się czasem o kimś, że nie potrafi bawić innych rozmową. To śmieszne. Ktoś bardzo wykształcony, premier (dobrze, niech będzie bystry), mówi tak o kimś, kto w ogóle nie jest wykształcony, dajmy na to o swoim

fryzjerze. W istocie komunikuje w ten sposób, że nic go nie obchodzi i potwornie nudzi wszystko, co fryzjer ma mu do powiedzenia. Pewnie fryzjera tak samo nudziłaby gadka, z jaką wyskoczyłby premier podczas strzyżenia, to jedna z takich trudnych chwil, które trudno czymś zapełnić, (zupełnie jak czas podróży windą), a już szczególnie wtedy, gdy przerzedzone włosy wymagają nie lada ekwilibrystyki, żeby nadać im jaki taki wygląd, nie przypominający stojącej na sztorc naci marchewki. Ale fryzjer umiałby z pewnością zabawić rozmową, możliwe, że lepiej niż ten ograniczony premier, obsesyjnie myślący o sytuacji kraju w ogóle i o własnej karierze w szczególności. Nie wiem, ludzie, którzy są całkowitymi ignorantami, którzy nigdy, ani przez chwilę, nie zastanawiali się świadomie nad niczym, którym przez głowę nie przemyka żadna własna ani cudza myśl, ci ludzie mówią jednak bez wytchnienia, bez ustanku, bez żadnych zahamowań, bez najmniejszego kompleksu. Nie chodzi tylko o osoby niewychowane i bez wykształcenia – w gruncie rzeczy wychowanie i wykształcenie nie mają tu wiele do rzeczy albo są drugorzędne – zdarzają się przypadki dużo bardziej zdumiewające niż prości wieśniacy: patrzysz na takich durniów albo idiotycznych snobów (Wheeler powiedział po angielsku „*idiotic*”, podoba mi się ten anglicyzm), większość z doktoratami Cambridge albo naszymi, i zastanawiasz się, o czym u diabła mogą ze sobą rozmawiać, gdy minie już pierwsza godzina przeznaczona na powitania, wymianę trzech na krzyż żalosnych nowinek, i tak wszystkim znanych z plotek, wzajemne informowanie się o pięciu bzdurach i czterech draństwach (zawsze się zastanawiałem, co też ludzie mają sobie do powiedzenia na tych wystawnych przyjęciach, na których tak się tłoczą). Myślisz sobie, że często nie pozostaje im pewnie nic innego, jak milczeć i tylko głośno odchrząkiwać co jakiś czas, wytrzymywać długie przerwy, znosić zarówno głupawe komentarze na temat deszczu i chmur, jak i kłopotliwą ciszę charakterystyczną dla traconego, kompletnie martwego,

a nawet poronionego czasu, wzięwszy pod uwagę absolutny brak jakiegokolwiek świeżej myśli, zaskakującego spostrzeżenia, wiedzy i koniecznej do opowiadania inspiracji, pomysłowości, dialogu, a nawet monologu: inteligencji i substancji. A przecież tak nie jest. Nie wiadomo jak ani dlaczego, ani o czym, ale ludzie ci rozmawiają całymi godzinami i całymi dniami, bez końca, istna potworność, długie wieczorki towarzyskie pełne paplaniny, usta nie zamykają się ani na chwilę, wprost przeciwnie, jedni drugim wchodzą w słowo, przerywają sobie. To tajemnica, a równocześnie nie ma w tym żadnej tajemnicy. Mówić dużo więcej, niż myśleć, to powszechna przypadłość (podkreślam, mam na myśli to, co ludzie robią z własnej woli i co nie jest naturalne albo fizjologiczne); to jest i zawsze było wspólne dla złych i dobrych, ofiar i katów, okrutnych i litościwych, szczerych i kłamców, dla nielicznych mądrych i licznych głupich, dla niewolników i panów oraz dla bogów i dla ludzi. Wszyscy cierpią na tę przypadłość, kretyni, chamy, okrutnicy, mordercy, tyrani, dzikusy, prostacy; a nawet szaleńcy. I właśnie dlatego, że wszyscy jesteśmy w tym równi, staramy się od wieków wypracować między sobą niewielkie różnice, w wymowie, dykcji, intonacji, słownictwie, fonetyce lub semantyce, wszystko po to, żeby każda grupa czuła się w posiadaniu jakiegoś nieznanego innym sposobu mówienia, hasła tylko dla wtajemniczonych. Nie jest to tylko przypadek klas dawniej nazywanych wyższymi, chętnych do wynoszenia się i pogardzających całą resztą; również te nazywane niższymi zawsze postępowały tak samo, demonstrowały nie mniejszą pogardę i stworzyły własne żargony, kody porozumiewawcze, swoje sekretne lub zaszyfrowane języki, które pozwalały im rozpoznawać swoich i wykluczać wrogów, czyli ludzi wykształconych, zamożnych i wyrafinowanych, i udaremniać im częściowo zrozumienie tego, co sobie wzajemnie przekazywali ludzie z tych niższych klas, podobnie przestępcy wymyślają własny slang, a ścigani własne znaki.

Celem, całkowicie sztucznym, tego wszystkiego jest stworzenie sytuacji, w której nie jest się rozumianym lub jest się rozumianym tylko częściowo, w obrębie tego samego języka; chodzi o to, by zaciemnić, ukryć, wynajduje się zatem dziwne derywaty i kapryśne warianty, kulawe lub bardzo arbitralne metafory, znaczenia drugorzędne lub nie wprost, tworzy się nawet nowe słowa, zastępcze i niepotrzebne, żeby odebrać wartość temu co powiedziane i zamaskować to co zakomunikowane. A wszystko dlatego, że porozumiewanie się w języku jest dla nas naturalne i zwyczajne. Mowa, język to jedyne, co niektórzy mają i dają innym, i otrzymują: ci najbiedniejsi, najubożsi, wydziedziczeni, niepiśmienni, zniewoleni, nieszczęśliwi, uciemienieni; ci wyrzuceni na margines i garbaci, jak nasz szekspirowski król Ryszard III, który bardzo skorzystał na swoim darze perswazyjnej wymowy. Nie można im zabrać mowy, języka, możliwe, że to jedyne, czego się nauczyli i co znają, czym się posługują, żeby porozumieć się z dziećmi lub ukochanymi, żeby żartować, kochać, bronić się, cierpieć, pocieszać, modlić się, ulżyć sobie, błagać, namawiać, ratować i przekonywać; używają języka, gdy zatruwają czyjeś myśli, podjudzają, nienawidzą, przysięgają, obrażają, przeklinają i zdradzają, deprawują, skazują się i biorą odwet. Niemal wszyscy to mają, zarówno król, jak i jego wasale, kapłan i wierni, marszałek i jego żołnierze. To dlatego istnieje święty język, taki, który nie należy do wszystkich, język nie przeznaczony dla ludzi, lecz dla bóstw. Zapomina się jednak, że – wedle naszych starych i wymierających już wierzeń – tak Bóg, jak i bogowie również mówią i słuchają (czym są modlitwy, jeśli nie przemowami, słowami, sylabami?) i w końcu ten święty język także zostaje rozszyfrowany, a wtedy można się go nauczyć, kiedyś poznaje się wszystkie kody, wcześniej czy później, żadna tajemnica nie jest tajemnicą na zawsze”. Wheeler ponownie przerwał, na krótką chwilę, znowu po to, żeby zaczerpnąć tchu. Odruchowo położył dłoń na rysunkach leżących na stole, jakby chciał je zabezpieczyć



przed podmuchem nieobecnego wiatru, a może pogłaskać. Nie było zimno, leniwe, wyblakłe słońce stało wysoko, czuło się tylko przyjemny chłód. „Język tak bardzo nas łączy i upodabnia do siebie, że możni tego świata zawsze szukali innych niż werbalne znaków, insygniów i symboli, by zyskać posłuch i odróżnić się. Pamiętasz tę scenę u Szekspira, w której król owija się pożyczonym płaszczem i podchodzi do trzech żołnierzy w przededniu bitwy, siada z nimi na polu, udając, że jest jednym z nich, że wsparty na broni tak jak oni nie może spać w środku nocy albo tuż przed świtem? Zwraca się do nich, podaje się za przyjaciela, rozmawia z nimi i w tej rozmowie wszyscy czterej są do siebie podobni, on bardziej logiczny i wykształcony, oni bardziej prostacy i intuicyjni, ale rozumieją się doskonale, znajdują się na tym samym poziomie rozumienia i mowy i nie ma przeszkód, które uniemożliwiłyby im wymianę myśli i wrażeń, a nawet obaw, zaczynają nawet się sprzeczać i biorą do rękoczynów, król, który w owej chwili nie jest królem, i poddani, którzy nie są też poddanymi. Rozmawiają dłuższą chwilę, król wie, że rozmawiając, stają się sobie równi, że dialog ich ze sobą zrównuje. Dlatego kiedy zostaje sam i rozmyślając nad tym, co usłyszał, mówi, na czym polega różnica, szepce w swoim wewnętrznym monologu, co tak naprawdę odróżnia go od nich. Pamiętasz tę scenę, Jacobo?”

Ja też położyłem dłoń na rysunkach, jakbym obawiał się wiatru.

– Nie, Peter. Co to za król?

Ale Wheeler nie odpowiedział na moje pytanie, lecz zaczął głośno recytować z pamięci i tym razem nie miałem wątpliwości, że to cytat, bo niewielu poza Szekspirem napisałoby „*great greatness*” (wielu dzisiejszych profesorów i krytyków w moim kraju ukrzyżowałoby go za to).

„«Iluż rozkoszy musi król się wyrzec, których spokojnie prywatny używa! Co ma król, czego nie ma i prywatny, prócz jednej pompy, zewnętrznego blasku?» Tak mówi król, gdy zostaje sam, a trochę dalej

skarży się na to, co go wyróżnia: «O pompo, pokaż mi twoją cechę!». A potem rzuca wyzwanie: «O wielka wielkości, zaniemóż tylko, a twym ceremoniom nakaz, by dawne zdrowie ci wróciły!». Chce się przekonać, czy coś uzyska. Jeszcze dalej król ośmiela się zazdrościć żalosnemu niewolnikowi, który haruje całymi dniami, ale później śpi głęboko «z pustą myślą, a ciałem napchanym» i który «nie zna strasznej nocy, córki piekła» i «tak przeciąga swoją pracę płodną z dnia na dzień, roku na rok, aż do grobu». I król kończy z obowiązkową dla każdego monologu przesadą, nikt go na scenie nie słucha, słysząc go tylko poza sceną, na widowni: «Gdyby nie pompa, nędzarz ten, któremu dzień na mazołach, noc na śnie upływa, swoją by dolą prześcignął monarchę». Tyle mniej więcej powiedział i zacytował Wheeler, a po chwili dodał: „Starożytni królowie byli bardziej bezwstydni, ale ci u Szekspira przynajmniej nie oszukiwali się całkowicie: wiedzieli, że mają ręce splamione krwią, i nie zapominali, co pomogło im zdobyć koronę, nie licząc zbrodni i zrad, i spisków (nie wiem, czy byli szczególnie ludzcy). Pompa, to jest to, Jacobo. Zmieniająca się, nieograniczona, ogólna pompa. A także sekretność, tajemnica: hermetyczność, cisza. Nigdy mowa, nigdy opowiadanie, nigdy wypowiedane słowa, choćby najwytworniejsze i najbardziej zachwycające. Bo słowa są w zasięgu byle żebraka, byle wyrzutka, byle nieszczęśnika i najgorszego śmiecia. Pod tym względem różnią się oni od króla tylko tak nieistotnym i zawsze podlegającym poprawie elementem jak stopień doskonałości i ranga”.

„*What infinite heart's ease must kings neglect that private men enjoy!*” – w istocie sir Peter Wheeler powiedział to w swoim języku, a raczej wyrecytował, jak sprawdziłem dużo później, odszukując i rozpoznając teksty. Bo inne fragmenty monologu też przytoczył *verbatim*, ten rodzaj pamięci zachował w stanie nietkniętym.

„Ale nie są w zasięgu maleńkich dzieci”, zauważyłem, „ani ludzi niemych, ani tych, którym wyrwano język, ani tych, którym słowa się nie oddaje albo nie udziela, wiele było takich przypadków w historii, są też kraje islamskie, a w nich kobiety nie mają prawa głosu, jak rozumiem. Tak przynajmniej było pod rządami afgańskich talibów, jeżeli dobrze przeczytałem i pamięć mnie nie myli”.

„Nie, nie popełniaj błędu, Jacobo, dzieci po prostu czekają, ich nieumiejętność mówienia jest przejściowa; przypuszczam poza tym, że trenują od pierwszego wrzasku po przyjściu na świat i bardzo wczesnie pozwalają się zrozumieć, bo mówią przy użyciu innych środków. Co do ludzi niemych lub pozbawionych języka czy możliwości zabrania głosu, to mamy tu do czynienia z wyjątkami, anomaliami, karą, podporządkowaniem, krzywdą, ale nigdy z normą, więc nie liczą się jako taka. To wyjątki potwierdzające regułę. Ludzie dotknięci tymi wyjątkami uciekają się ponadto do innych systemów znaków, do kodów niewerbalnych, które bardzo szybko oswajają i za pomocą tych kodów również mówią, bo to nic innego. Opowiadają i komunikują się jak wszyscy; choćby pisaniem, za pomocą migania, bezgłośnie: nadal mówią, choćby robili to w ciszy”. Wheeler zamilkł i spojrzał w niebo, jakby sam w tej chwili chciał się pogрузić w wymownym milczeniu. Bledziutkie apatyczne słońce rozświetliło mu oczy, przypominały teraz jaspis, szklane kulki mieniające się kolorami, wśród których przeważał odcień ciemnej czerwieni. „Wcześniej powiedziałem, że mowa, język są nam wszystkim wspólne, nawet ofiarom i ich katom, panom i ich niewolnikom oraz ludziom i ich bogom, wystarczy, że zajrzesz do Biblii albo do Homera, a w twoim języku, rzecz jasna, do świętej Teresy z Avili i świętego Jana od Krzyża. Są jednak tacy, dla których przestają być czymś wspólnym... jak by to powiedzieć... którzy nie posiadają wspólnej mowy ani języka i nie są to ludzie niemi ani maleńkie dzieci”. Teraz dla odmiany rzucił krótkie

spojrzenie w dół i ciągle jeszcze patrzył na trawę albo dalej, na niewidzialną ziemię pod ziemią, kiedy dodał po krótkiej przerwie: „Jedyni, którzy nie mają wspólnego języka, Jacobo, to żywi i umarli”.

„Mam wrażenie, że czas jest jedynym wymiarem, jaki dzielą i w którym mogą się porozumiewać, jedynym, który jest im wspólny i łączy ich”. Przypomniałem sobie tamte słowa, może je sparafrazowałem, i nie mogłem się powstrzymać, by ich natychmiast nie powiedzieć lub nie wyszeptać.

Wheeler zbliżał się powoli do końca swej dygresji, pomyślałem. W rzeczywistości zawsze wiedział, w jakim punkcie się znajduje, i wszystko co w jego opowieści sprawiało wrażenie przypadkowego lub mimowolnego, co wydawało się skutkiem roztargnienia, zaawansowanego wieku albo nieco chaotycznego postrzegania czasu, było zazwyczaj wykalkulowane, wymierzone i w pełni kontrolowane, stanowiło część intrygi i drogi, które wcześniej zaplanował i przewidział. Pomyślałem sobie, że niebawem powróci do *careless talk* i do rysunków, znowu przyglądał im się uważnie, leżały niczym karty do pasjansa na wodoszczelnym brezencie przykrywającym blat stolika, my też siedzieliśmy na tkaninie ochraniającej fotele, pofałdowana materia nadawała sylwetce starego mężczyzny, i jak przypuszczam – mojej także, jakiś starożytny, rzymski wygląd, być może sprawiała, że obaj staliśmy się odrobinę podobni do rzymskich senatorów zażywających świeżego powietrza, stopy przykrywały nam fałdy długich obszernych tunik. Tak więc nie słuchał mnie i nie zwracał na mnie uwagi albo nie zwróciły jego uwagi wypowiedziane przeze mnie słowa, które nie były moimi słowami, lecz słowami zmarłego wypowiedzianymi, gdy ów jeszcze żył.

„A przecież nie zawsze tak było”, podjął swój wątek. „Przez całe wieki oni również mieli wspólny język, przynajmniej w wyobraźni żywych, czyli w wyobraźni przyszłych zmarłych. Nie chodzi tylko o gadające duchy i elokwentne zjawy, rozmowne upiory i rozgadane widziadła obecne we

wszystkich niemal tradycjach. Ludzie spodziewali się także, że na tamtym świecie będą nadal mogli swobodnie rozmawiać i mówić, i opowiadać. Nie szukając daleko: w tej samej scenie u Szekspira jeden z żołnierzy, z którymi rozmawia król przed swoim monologiem, ostrzega, że ludzie rozliczą władcę, jeżeli wojna nie jest w dobrej sprawie: «...gdy wszystkie nogi i ręce, i głowy wśród bitwy odcięte skleją się znowu w dzień ostatecznego sądu i wszystkie wykrzykną: ‘Polegliśmy w tym a tym miejscu’». Sam widzisz, wierzono w to, że nie tylko zmarli będą mówić, ba, protestować, lecz nawet ich odcięte i porozrzucane głowy i członki, gdy już się z sobą złączą, by godnie stawić się na sąd”.

„*We died at such a place*”. Tak powiedział w swoim języku Wheeler, a wtedy ja też dokończyłem w myślach swój cytat z Cervantesa, którego Wheeler wcześniej nie pozwolił mi dokończyć, a który również był świadectwem takiej wiary: „Żegnaj, dowcipie, żegnajcie, wdzięki, żegnajcie, weseli przyjaciele, bo ja umieram, pragnąc szybko ujrzeć was kontentych w drugim życiu”. Tego oczekiwał Cervantes, pomyślałem, nie utyskiwań ani oskarżeń, nie zarzutów ani rozliczeń, ani zadośćuczynienia za ziemskie przykrości i krzywdy, samemu przyszło mu niejedno wycierpieć. Nie oczekiwał nawet Sądu Ostatecznego, czego zwykle najbardziej brak niewierzącym. Oczekiwał dowcipu i wdzięków, i radości przyjaciół, kontentych również w innym życiu. Tylko z tym się żegna, tylko o tym chciałby nadal rozmawiać przez wieczność, tam gdzie będzie. Kilkakrotnie słyszałem, jak mój ojciec wspominał to pisemne pożegnanie, nie cieszące się należną mu sławą, zapisane w książce, której nikt niemal nie czyta, możliwe jednak, że lepszej od wszystkich innych, nawet od „Don Kichota”. Chętnie przypomniabym Wheelerowi ten cytat w całości, ale nie ośmieliłem się nalegać i sprowadzić go tym samym z wytyczonej drogi. Chciałem towarzyszyć mu w tej drodze, powiedziałem zatem:

„Sama idea Sądu Ostatecznego oznaczała, że wedle powszechnych oczekiwań, ludzie po śmierci mieli głównie robić właśnie to: opowiedzieć swoją historię, potem rozmawiać, relacjonować, opisywać, przytaczać i odpierać argumenty, odwoływać się i na koniec usłyszeć wyrok. Poza tym ten monumentalny sąd odbywa się w ciągu jednego tylko dnia, stają przed nim wszyscy, którzy się przewinęli przez ziemski padół, wszyscy w tym samym czasie, egipscy faraonowie ramię w ramię z naszą kadrą kierowniczą i naszymi taksówkarzami, cesarze rzymscy obok naszych żebraków i naszych gangsterów, i kosmonautów, i toreadorów, sam nie wiem. Niech pan sobie wyobrazi tę wrzawę, Peter, historia całego świata razem ze wszystkimi indywidualnymi przypadkami przemieniona w jeden wielki dom wariatów. Ci najdawniejsi, najstarsi umarli musieliby mieć już dość czekania, liczenia niepoliczalnego czasu dzielącego ich jeszcze od ich sądu, byłiby wściekli z powodu nieskończonej, trudno o lepsze słowo, powolności. Oni, którzy milczeli i znosili samotność przez miliony stuleci, czekając, by umarł ostatni człowiek, by nie było już nikogo żywego. W istocie ta wiara skazywała nas wszystkich na bardzo długie milczenie. To rzeczywiście były *«the whips and scorns of time»*, to rzeczywiście było *«the law's delay»*”, i teraz to ja zacytowałem jego poetę, „pogarda i zniewagi świata”, „odwleczenie prawa”, powiedziałem w jego języku. „Wedle tej wiary pierwszy umarły wszech czasów nadal liczyłby godziny swej niemej samotności, a gdybym to ja nim był, życzyłbym sobie egoistycznie, żeby świat wreszcie się skończył i żeby już niczego nie było”.

Wheeler uśmiechnął się. Rozbawiło go coś w mojej przemowie, może kilka rzeczy.

„Otóż to”, odparł. „Milczenie *sine die*, taki byłby scenariusz w najlepszym przypadku, zakładając, że człowiek niezachwianie wierzył. Ale dodatkowo obciążał wszystko fakt, że wtedy, podczas naszej drugiej wojny, nie wierzono już właściwie, że będą jakieś przemowy czy

usprawiedliwienia, jakaś ostatnia spowiedź każdego człowieka u kresu czasu, trudno było myśleć, że głowy i członki rozrywane noc w noc przez bomby zrzucone na miasta mogłyby kiedyś połączyć się znowu, by potem zawołać: «Polegliśmy w tym a tym miejscu»; kiedy zasadniczym powodem wszelkiego umierania i zabijania stało się wyłącznie przeżycie, twoje albo tych, których kochałeś, nie na wiele zdawało się pocieszenie, że powody były słuszne, jeszcze mniej znaczyło, czy były dobre czy nie. Najprawdopodobniej nie dawano temu wiary już wcześniej, możliwe, że od pierwszej wojny, nie mniej okrutnej dla świata, który na nią patrzył i który jest też moim światem, nie zapominaj, podobnie jak ten dzisiejszy, który toleruje ciebie i mnie albo po prostu wlecze nas ze sobą. Za sprawą okrucieństw ludzie stają się niewierzący w głębi swych sumień i w swoich najgłębszych odczuciach, nawet jeżeli powodowani czymś, co jest mieszanką zabobonu, tradycji i wyczerpania, postanawiają udawać, że jest wprost przeciwnie, i gromadzą się w kościołach, aby śpiewać hymny i czuć większą wspólnotę, i wspierać się w wytrwałości i zgodzie na swój los raczej, niż dodawać sobie odwagi, tak samo żołnierze śpiewali, idąc niemal bezbroni naprzód z bagnetem na broni, głośnym śpiewem chcieli się choć trochę znieczulić, nim dosięgnie ich kula, cios lub nim wylecą w powietrze, chcieli zamroczyć umysł zraniony dużo wcześniej niż ciało i uciszyć hałas śmierci, która krążyła wokół, polując na łatwą zdobycz. Dobrze to wiem, widziałem to na polach bitew. Ale nie chodzi jedynie o akty bestialstwa i okrucieństwa, te, których człowiek doświadcza, i te, do których sam się posuwa powodowany tyleż usprawiedliwioną, co nieusprawiedliwioną chęcią przeżycia. Chodzi także o fakty, które są bezsporne: nikt nigdy nie przemówił do nas po śmierci, jakkolwiek staraliby się o to spirytyści, jasnovidze, cudotwórcy i miłośnicy zjawisk nadprzyrodzonych, a nawet nasi dzisiejsi i wyzbyci wiary wierzący, których wiara jest szczątkowa lub wynika z inercji, mimo że są ich nadal miliony; z biegiem stuleci



przekonaliśmy się, choćby tylko w skrytości ducha i nie wypowiadając tego na głos, że jedynymi, którzy nie posiadają języka i nigdy nie rozmawiają ani nie mówią, ani nic nie opowiadają, są właśnie oni, umarli”. Peter zamilkł i znowu opuścił wzrok, a potem nie podnosząc go, dodał: „A zatem my również, gdy już dołączymy do ich grona. Ale dopiero wtedy, nie wcześniej”.

Zamyślił się ze wzrokiem utkwionym w trawniku. Zdawał się czekać na jakiś mój komentarz, na jakieś moje pytanie. Ja jednak nie wiedziałem, co miałbym powiedzieć, czego oczekiwał lub o co prosił w milczeniu, ani czy rzeczywiście potrzebne mu były moje słowa. Wyszeptałem tylko to, co przyszło mi do głowy, wyszeptałem to w swoim języku, choć nie w tym języku zostało napisane:

„Dziwne to – nie mieszkać już więcej na ziemi. Dziwne nie być już więcej i nawet swe własne imię odrzucić. Dziwne to – niczego więcej nie pragnąć. I żmudne to zadanie być umarłym”.<sup>2</sup>

Szczęśliwie, jak sędzę, Wheeler i tym razem nie zwrócił na to uwagi.

„Mówią do nas tylko w snach, to pewne”, podjął na nowo, jakby moje puszczane mimo uszu niepełne strofy spowodowały jednak jakąś reakcję. „I słyszymy ich tak wyraźnie, ich obecność jest taka namacalna, że dopóki śpimy, zdaje nam się, że to właśnie oni, ci, z którymi po przebudzeniu nie możemy zamienić zdania ani wymienić spojrzenia, ani nawiązać kontaktu, naprawdę coś nam opowiadają i słuchają nas, a nawet radują naszą duszę śmiechem, którego tak bardzo nam brakuje, śmiechem, którym śmiali się za życia: ten śmiech jest taki sam; rozpoznajemy go bez wahania. To dziwne, rzecz jasna, niewytłumaczalne, jeśli wolisz, to jedna z nielicznych niezgłębionych nadal tajemnic. Ale jedno jest pewne, przynajmniej dla racjonalistów takich jak ty i ja, i jak kiedyś Toby, i jak teraz Tupra, że te głosy i ich nowe słowa są w nas, nie gdzie indziej. Są w naszej wyobraźni i w naszej pamięci. Powiedzmy tak: to pracuje wyobraźnia pamięci, tym

razem pamięć nie tylko lub nie wyłącznie wspomina, tym razem jest coś jeszcze. Ci zmarli są obecni w naszych snach; to my ich śnimy, przywołuje ich nasza śpiąca świadomość i nikt poza nami ich nie słyszy. To bardziej podobne do *impersonation* w naszym wykonaniu (Wheeler użył tego angielskiego słowa, które łączy w sobie trzy hiszpańskie znaczenia: wcielenie się w kogoś, przejęcie czyjejś roli, personifikacja) niż do rzekomych odwiedzin lub przestróg zza grobu. Taki mechanizm nie jest nam całkiem nieznanym na jawie. Bywa, że kocha się kogoś tak bardzo, że bez trudu patrzy się na świat jego oczyma i czuje się to, co czuje ten ktoś, o ile można zrozumieć cudze uczucia. Przewidujemy, co zrobi ta osoba, wyprzedzamy ją. Stawiamy się na jej miejscu, dosłownie. Dlatego istnieje takie wyrażenie, nic nie dzieje się w języku bez powodu. A skoro postępujemy tak na jawie, nie dziwne, że dochodzi do podobnych zespożeń albo rozmów, albo zestawień, niemal metamorfoz, gdy śpimy. Znasz ten sonet Milтона? Milton jest już od dawna ślepy, gdy go pisze: pewnej nocy śni mu się Katarzyna, jego zmarła żona, doskonale ją widzi i słyszy w tym wymiarze, w wymiarze snu, który tak dobrze przyjmuje i znosi poetycką narrację. W tym wymiarze odzyskuje wzrok po trzykroć: jako zdolność i zmysł; jako zdolność widzenia niemożliwego obrazu swojej żony, bo przecież nie tylko on, ale nikt w ogóle nie może jej w teraźniejszości zobaczyć, odeszła z ziemskiego padołu; a przede wszystkim jako zdolność widzenia jej twarzy i sylwetki, których nie zachował w pamięci, lecz je sobie wyobrażał, nigdy ich wcześniej nie widząc, była jego drugą żoną, zenił się z nią, będąc już ślepcem, poznawał ją za jej życia umysłem i dotykiem. Gdy w tym śnie ona nachyla się nad nim i chce go objąć, wówczas „*I wak'd, she fled and day brought back my night*”, tak sonet się kończy”. („Ja się drżący przebudzam, ona znika, znika/ Zostałem w mych ciemnościach, choć słońce jaśniało”<sup>3</sup>). „Ze zmarłymi zawsze wraca się w ciemność i nie słyszy się nic poza ciszą, i nigdy nie uzyskuje się żadnej

odpowiedzi. Nie, oni nie mówią, oni jedyni nie mówią: są też w większości, jeżeli policzyć wszystkich, którzy przewinęli się przez ten świat i odeszli z niego. Mimo że wszyscy niewątpliwie mówili w trakcie swojego tu pobytu”. Wheeler znowu dotknął rysunków, stuknął w nie kilka razy mocno palcem wskazującym, jakby były czymś więcej, niż były. „Zdajesz sobie w pełni sprawę, Jacobo, co to oznaczało? Zaaapelowano do obywateli, żeby milczeli, żeby zasznurowali sobie usta, żeby zamknęli dziób na amen, żeby się powstrzymali od wszelkich nierozważnych rozmów, a nawet od rozmów, które wcale się takie nie wydawały. Wszystkim napędzono strachu, nawet dzieciom. Strachu przed samym sobą i przed zdradą, i oczywiście strachu przed innym, nawet tym najbardziej kochanym i najbliższym, i przed tym, komu najbardziej się ufało. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale to było jak proszenie ludzi, żeby nie tylko wyrzekli się powietrza, lecz żeby upodobnili się do zmarłych. W dodatku w czasach, kiedy każdy dzień przynosił wiadomości o kolejnych zabitych na niezliczonych frontach na całym świecie, kiedy tylu zabitych, tyle ofiar nocnych bombardowań widziało się na własne oczy w swojej dzielnicy, na swojej ulicy, kiedy każdy wiedział, że może być następny. Czy nie wystarczali ci zmarli? Czy nie dość było narzuconego im definitywnie i nieodwracalnie milczenia? Żywi musieli naśladować zmarłych i zamilknąć przedwcześnie? Jak można było prosić o coś podobnego cały kraj albo choćby jedną, jedyną osobę? Jeżeli przyjrzesz się tym rysunkom (a było ich wtedy dużo więcej), zobaczysz, że wszyscy byli objęci kampanią, nawet jeśli nie przedstawiali sobą żadnego znaczenia. Co interesującego i niebezpiecznego mogły wiedzieć na przykład te dwie kobiety, które podróżują metrem, gawędząc prawdopodobnie o nowych kapeluszach albo o najzwyklejszych codziennych sprawach? A tak, mogły mieć w wojsku męża albo brata, albo syna, było to istotnie powszechne, i aczkolwiek ich mężczyźni, pouczeni zawczasu, niewiele im opowiadali, to jednak mogły

wiedzieć coś użytecznego, nie wiedząc nawet, że to wiedzą, lub nie wiedząc, że jest użyteczne. Każdy może coś wiedzieć, nawet najbardziej mizantropijny żebrak, z którym nikt też nie rozmawia, wiedzieć nie tylko w czasach wojny, ale zawsze, i choćby większość nie była nawet świadoma swej cennej wiedzy. A im człowiek jest mniej świadomy, tym bardziej staje się niebezpieczny. Brzmi to jak przesada, ale naprawdę nie ma gwarancji, że samo tylko mówienie, niewinne i swobodne, nie spowoduje klęski, nieszczęścia, zbrodni, tragicznych nieporozumień albo odwetu. Nietrudno powiedzieć kilka słów za dużo albo wygadać się z czymś, po hiszpańsku macie na to piękne wyrażenie, *irse de la lengua*, pojemne i precyzyjne, mieści w sobie zarówno intencjonalność, jak i mimowolność tego faktu”. I Wheeler powiedział rzecz jasna w moim języku, *irse de la lengua*, piękne wyrażenie. „Nigdy i w żadnych okolicznościach nikt nie jest przed tym zabezpieczony. Nie zapominaj ponadto, że w odpowiednim czasie można uwierzyć we wszystko, w najbardziej niewiarygodne i najbardziej absurdalne rzeczy”.

Ponownie uniósł wzrok, jakby usłyszał wcześniej niż ja to, co ja usłyszałem po kilku sekundach, ryk motoru i warkot śmigła w powietrzu, na wojnie albo na swoich wojnach Wheeler mógł się nauczyć wyławiać uchem najcichszy dźwięk lub wibrację, nim staną się słyszalne dla innych, przypuszczam, że człowiek uczy się także przeczuwać przecucia. Ponad drzewami ujrzeliśmy nadlatujący helikopter, leciał nisko, dziwny był ten widok na oksfordzkim niebie, a tym bardziej w dzień świąteczny, w jedną z owych wyobcowanych niedziel nieskończoności, może nie wiedzieliśmy, że odbywa się jakaś uroczystość akademicka z udziałem premiera albo innego ważnego polityka, albo jakiejś osobistości z obszernej listy dworskiej (mówi się, że księżę i księżna Kentu mnożą się w sposób nadprzyrodzony), Wheeler od tak dawna był już na emeryturze, że władze uniwersytetu coraz częściej zapomniały o nim, zapraszając gości na swoje

uroczyste jubile. Brytyjscy premierzy tradycyjnie darzyli nasz uniwersytet ciepłymi uczuciami, pamiętałem, że tamtego roku kiedy pracowałem w Oksfordzie, członkowie kongregacji, a wśród nich i ja, sprzeciwili się bez szczególnych dyskusji przyznaniu doktoratu *honoris causa* skromnej Mrs Thatcher (pamiętliwej Margaret Hildzie), kiedy ta była jeszcze po prostu panią, a nie baronesą ani lady. Była kiedyś studentką Oksfordu, a wówczas sprawowała rządy, lecz niewiele jej to pomogło. Miałem tymczasowe prawo głosu i przyłączyłem się, z obawą i z ochotą, do niechętnej większości. Thatcher źle zniosła upokorzenie, a potem, gdy forsowała restrykcje i ustawy niekorzystne dla uniwersytetu, zresztą nie tylko naszego, wydawało się, że bierze za nie odwet, w każdym razie była pierwszym premierem, któremu odmówiono tytułu przyznawanego *de facto* wszystkim jej poprzednikom bez żadnego sprzeciwu, mechanicznie, można powiedzieć gratis.

Hałas śmigła stał się w pewnej chwili nie do zniesienia, Peter zakrył dłońmi uszy i mocno zacisnął powieki, jakby ten warkot – gigantyczna kołatka – uszkadzał mu także wzrok, gdy więc rysunki zaczęły fruwać w podmuchach powietrza, nic nie zrobił. Nawet tego nie widział. Usiłowałem chwycić rysunki, złapałem zaledwie kilka. Helikopter zaczął zataczać koła, jakby to nad nami sprawował nadzór, pewnie pilot tak się zabawiał, widząc wystraszzonego starca i jego towarzysza uganiającego się za kawałkami papieru, które wiatr zdmuchiwał w kierunku rzeki. Padałem jak długi na trawnik (nie raz i nie dwa razy), żeby przytrzymać i schwytać te, które były najbliżej wody, tymczasem helikopter przesunął się nisko nad ziemią w ślad za mną, dostrzegałem w tym jakąś drwinę, ale może niesłusznie. Potem się oddalił i znikł w kilka sekund równie szybko, jak nadleciał. Niektóre rysunki nadal fruwały w powietrzu, szczególnie wycinki z gazet, bo były najlżejsze, bałem się, że „Informowanie wroga” Frasera nie tylko może się zamoczyć, ale i pokruszyć jak papirus (ten

kawałek papieru liczył sobie sześćdziesiąt długich lat). Wciąż uganiałem się za rysunkami, kiedy spostrzegłem, że Wheeler otworzył w końcu oczy, odsłonił uszy – ręce znowu wolne – i podniósł ramię do czoła – a może nadgarstek do skroni – jakby bardzo bolała go głowa albo jakby sprawdzał, czy nie ma gorączki, a może był to tylko gest przerażenia. Drugie ramię wyciągał przed siebie, celując w coś palcem wskazującym tak samo, jak zrobił to poprzedniego wieczoru, gdy nie mógł wydobyć z siebie słowa i musiałem odgadnąć albo pojąć, co chce powiedzieć. Pomyślałbym od razu, że to kolejny moment afazji, gdyby nie helikopter i dobrowolna głuchota i ślepotą Petera, kiedy ogłuszył nas warkot śmigła, Wheeler wyglądał, jak by to powiedzieć, jak ktoś bezbronny i bezradny, może zrezygnowany. Podeszedłem do niego zaniepokojony, zaprzestawszy pogoni za zbuntowanymi jeszcze kawałkami papieru.

„Źle się pan czuje, Peter? Coś panu dolega?”

Zaprzeczył ruchem głowy i z zatrwożoną miną wskazywał uporczywie w kierunku brzegu spokojnej Cherwell; tym razem zrozumiałem w lot: „*The cartoon?*”, spytałem, a on skinął głową, mimo że jak sądzę, użyłem niewłaściwego słowa, martwił się o los autentycznego rysunku ze swojej kolekcji, bo otworzywszy oczy po chwili strachu lub błysku wspomnienia strachu, zdał sobie od razu sprawę, że rysunek jest w niebezpieczeństwie; rzuciłem się znowu biegiem, skoczyłem, upadłem, złapałem rysunek, był nieuszkodzony, chwyciłem go w dwa palce tuż nad spokojnym nurtem rzeki, musiało to wyglądać, jakbym grał w krykieta, tę bardzo angielską i całkiem dla mnie niezrozumiałą grę, podczas której gracze fruwią w powietrzu i rzucają się na trawę, albo jak efektownie interweniujący bramkarz podczas meczu piłki nożnej, innej gry, nie tak bardzo angielskiej i doskonale dla mnie zrozumiałej. Wiatr ustał, podniosłem z ziemi inne dwa albo trzy papierki, wszystkie udało się ocalić, żaden się nie zgubił ani nie zamoczył, niektóre tylko się pogniosły. „Proszę, Peter, myślę, że są

wszystkie, i nic im się chyba nie stało”, powiedziałem, wygładzając niektóre rysunki. Ale Wheelerowi nie wróciła jeszcze mowa, wskazał kilkakrotnie palcem na mnie jako spadkobiercę i adresata, zrozumiałem, że rysunki są dla mnie, dawał mi je. Otworzył aktówkę, a ja je tam włożyłem z wyjątkiem rysunku Frasera, oryginalnego wycinka z gazety, nie reprodukcji, ponieważ Wheeler uniósł palec wskazujący, gdy zamierzałem i ten włożyć z innymi, następnie kciukiem dotknął swojej piersi. „Nie, ten jest dla mnie”, oznaczał ten gest. „Ten chce pan zatrzymać dla siebie?”, pospieszyłem z pomocą. Potwierdził, odłożyłem rysunek na bok. To dziwne, że odjęło mu mowę akurat w chwili, gdy mówił o tych nielicznych lub licznych przypadkach – zależy od punktu widzenia – ludzi w podobnej sytuacji, nie mogących się wypowiedzieć. Poprzedniego wieczoru, zaciąwszy się najpierw na słowie „poduszka”, wyjaśnił mi po odzyskaniu głosu albo swobody wypowiedzi: „Przydarza mi się od czasu do czasu. Trwa tylko chwilę, jakby wola odmawiała mi posłuszeństwa”. Wtedy właśnie użył owego tak wyszukanego i rzadko używanego, nie tyle po angielsku, ile w moim języku, słowa: „To jak zapowiedź albo przedsmak...”, nie kończąc zdania nawet wówczas, gdy chwilę potem namawiałem go, by to zrobił; odpowiedział mi wówczas: „Nie pytaj o to, co dobrze wiesz, Jacobo, to nie w twoim stylu”. Przedsmak to była wiedza o tym, co ma nadejść, albo wiedza wyprzedzająca zdarzenia mające nastąpić z całą pewnością. Nie wiem, czy to możliwe, jednakże czasem nazywa się również coś, czego nie ma, i wtedy rodzi się niepewność. Teraz nie miałem wątpliwości co do końca owego zdania, poprzedniego dnia zastanawiałem się nad nim lub go przeczułem, dzisiaj miałem już pewną odpowiedź, chociaż on mi jej nie podsunął: „To jak zapowiedź albo przedsmak tego, co znaczy nie żyć”. Może mógł być jeszcze dodać: „To nie móc mówić, choćby się chciało. Tylko że w dodatku już się nie chce, już opuściła nas wola. Już nie można chcieć ani nie chcieć, oba te stany

zanikły”. Spojrzałem w kierunku domu, pani Berry stała w otwartym oknie na parterze i machała do nas ręką. Może wyrzała, słysząc agresywny hałas śmigła, i widziała moje bieganie i padanie na trawnik, chociaż nie byliśmy tego świadomi. „Czas na obiad?”, krzyknąłem w jej stronę i podniosłem rękę na wysokość ust w dość absurdalnym geście, jakbym zwijał spaghetti na widelcu. Nie mogła mnie usłyszeć, ale zrozumiała gest. Pomachała przecząco dłonią, wysunęła ją do przodu, jakby chciała powiedzieć: „Nie, jeszcze nie”, a potem wskazała na Petera pełnym niepokoju i niepewności gestem: „Wszystko z nim dobrze?”, pytała. Kilkakrotnie skinąłem twierdząco głową, uspokajając panią Berry. Uniosła do góry ręce jak przed napastnikiem: „Aha, to w porządku”, zamknęła okno i znikła we wnętrzu domu. Wówczas Wheeler odzyskał mowę:

„Tak, ten sobie zatrzymam, mogę dać ci kopię, jeśli chcesz”, powiedział, mając na myśli rysunek Frasera. „Pozostałe możesz wziąć, mam je w kilku egzemplarzach albo w książkach mam ich lepsze reprodukcje; przechowuję też kilka oryginałów. Szczególnie lubię ten ze swastyką-pajakiem. Co za piekielny helikopter”, dodał jednym ciągiem znużony, „nie wiem, czego tu szukał, to tereny zdobywania wiedzy. Mam nadzieję, że nie wróci, żeby znowu potargać nam włosy. Masz może pod ręką grzebień? Ludzie z południa zazwyczaj noszą przy sobie grzebień”. Istotnie włosy Wheelera wyglądały jak spieniony grzbiet fali, czułem, że moje są splątane w supełki. „Czego chciała Mrs Berry?”, to też powiedział jednym tchem. Znowu nazywał ją oficjalnie. Dochodził do siebie i musiał sobie w tym pomóc, a może zwyciężył nawyk udawania. „Już nas wołała na obiad?” Zerknął na zegarek, nie patrząc, która godzina, starał się wyjść z szoku, nie prowokując żadnego komentarza z mojej strony, choć dobrze wiedział, że nie popuszczę bez podjęcia co najmniej jednej próby.

„Nie, nie jest jeszcze gotowy. Przypuszczam, że zaniepokoił ją hałas, nie wiedziała pewnie, co to było”, odpowiedziałem i ja też dodałem jednym



ciągłem: „Znowu uwiązał panu głos w gardle, Peter. Wczoraj powiedział pan, że to się zdarza tylko od czasu do czasu. Ale zdarzyło się już po raz drugi podczas tego weekendu”.

„Ba!”, parsknął wymijająco, „to przypadek, pech, przeklęty helikopter. Robią ogłuszający hałas, a ten ryczał niemal tak głośno jak stary sikorski H-5, na dźwięk jego warkotu ludzie wpadali w panikę. A poza tym długo mówiłem, dużo za dużo mówię, jak tu przyjeżdżasz, i takie są skutki, odzwyczaiłem się od takiego wysiłku. Pozwalasz mi gadać bez opamiętania, robisz zaciekawioną minę, jestem ci za to wdzięczny, ale powinieneś mi częściej przerywać, zmuszać, żebym przechodził do sedna. Tu, w Oksfordzie, jestem trochę osamotniony ostatnimi czasy, a z Mrs Berry wszystko już omówiliśmy, rzecz jasna wszystko, o czym można z nią rozmawiać albo o czym ona chce rozmawiać. Nie odwiedza mnie tu dużo osób. Wiele ludzi już nie żyje, inni wyjechali do Ameryki zaraz po przejściu na emeryturę i wiodą tam żywot pasożytów, ja nie miałem na to ochoty, oni tam nie robią nic prócz czekania, starają się być jak najwięcej na słońcu, pozwalają sobie na bermudy, kibicują w telewizji tamtejszemu futbolowi (same ochraniacze i kaski), bardzo dbają o trawienie i odżywiają się wyłącznie brokułami, snują się po bibliotece i po kampusie, jaki przypadł im w udziale, zgadzają się od czasu do czasu wystąpić w roli eksponatu wystawianego na pokaz przez różne uniwersyteckie wydziały, jako cenne mumie z zagranicy albo pomarszczone trofea z zawitych, heroiczych czasów, nikt tam nie wie, na czym te czasy właściwie polegały. Krótko mówiąc, jako antyki, bardzo to przygnębiające. Naprawdę lubię z tobą rozmawiać. Anglicy stronią od wszystkiego, co nie jest anegdotą, informacją, faktem, uwagą lub ironiczną glosą; nie podoba im się spekulacja, logiczne myślenie mają za coś powierzchownego, a mnie właśnie to bawi najbardziej. Tak, lubię z tobą rozmawiać. Powinieneś tu częściej zaglądać; poza wszystkim jesteś przecież bardzo samotny

w Londynie. Aczkolwiek wkrótce możesz być mniej samotny. Mam dla ciebie pewną propozycję, chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę i ją przyjął, nie zastanawiając się zbyt wiele i nie zadając wielu pytań. Przecież nie możesz tracić czasu, który już uważasz za stracony, należy wypełniać czym się da czas rekonwalescencji uczuciowej, wszystkim co się nadarzy i pomoże popchnąć ten czas do przodu, człowiek jest wtedy mało wymagający, prawda? Potem prawie się nie pamięta takich okresów ani tego, jak się je przetrwało, jakby wszystko było dozwolone, człowiek usprawiedliwia się dezorientacją i cierpieniem; jakby tych okresów nie było, a zamiast nich była pustka. Okresy takie są też wolne od odpowiedzialności, «Nie byłem wtedy sobą». O tak, cierpienie jest zawsze naszym najlepszym alibi, najlepiej usprawiedliwia brak działania. Mam na myśli to, że ludzie, ludzkość, jednostki i narody traktują je jako najlepsze usprawiedliwienie”.

Powiedział to wszystko jakby nigdy nic, ale ja poczułem lekkie wzruszenie i dumę, zawsze myślałem, że dostarczam mu po prostu rozrywki, ma mnie za człowieka sympatycznego, czasem sprawiam mu przyjemność, znosi moją obecność bez wysiłku, lecz nic ponadto. Zawsze miał dużo do opowiedzenia i do porozmawiania, choć to pierwsze dawkował bardzo oszczędnie; rozmowa z nim była dla mnie pouczająca, rozwijająca, podsuwała mi nowe pomysły albo odnawiała te, które już kiedyś miałem, by nie powiedzieć, że była dla mnie zniewalająca. Nie sądziłem, bym mógł mu wiele zaoferować w zamian, a jeżeli coś, to towarzystwo i chęć słuchania, moja zaciekawiona mina nie była udawana. Dostałem go w spadku po Rylandsie, który w dodatku okazał się jego bratem. Może Peter spoglądał na mnie życzliwym i serdecznym okiem, bo mnie postrzegał jako spadek po Tobym, choć nie mógłbym zastąpić mu Toby’ego tak, jak on zastępował mi Rylandsa. Byłem za młody, brakowało mi wspólnej z nim przeszłości, przenikliwości, wiedzy, tajemnicy. Czułem

się trochę zakłopotany, nie wiedziałem, co odpowiedzieć, sięgnąłem zatem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem grzebień człowieka z południa, o który mnie prosił.

„Proszę, Peter”, powiedziałem, „grzebyk”. Spojrzał z konsternacją, zdążył już zapomnieć, że go potrzebował. Potem wziął grzebień ostrożnie, przyjrzał mu się uważnie pod światło (był czysty) i uczesał się najlepiej jak potrafił, a nie jest to takie łatwe bez lusterka i małym grzebieniem. Włosy na czubku głowy przestały sterczeć, ale te po bokach sterczały nadal, lotniczy wicher zwiął je do przodu, napierały buńczucznie na skronie, nadając Wheelerowi jeszcze bardziej rzymski wygląd. „Pozwoli pan”, powiedziałem. Bez słowa oddał mi grzebień, trzema albo czterema szybkimi ruchami przyczesalem mu włosy po bokach. Miałem nadzieję, że pani Berry nie obserwowała nas w tej chwili, bo musiałem wyglądać jak jakiś szalony fryzjer.

„Lepiej i ty się przyczesz”, Wheeler przyjrzał mi się krytycznie albo nawet z przerażoną miną, jakby na czubku głowy siedziała mi papuga. „I pobrudziłeś się trawą, nie wiem, jak to zrobiłeś. Nawet tego nie zauważyłeś”, i wskazał na przód mojej jasnej koszuli, dając tym samym do zrozumienia, że nie kojarzy tych dwóch albo trzech zielonych plam z moją walką o uratowanie jego rysunków. Po wieczornym przyjęciu, nocnych lekturach i dużej ilości wlanego w siebie alkoholu, niewyspany, niedbale ogolony i po tych zabawach na świeżym powietrzu musiałem wyglądać jak ostatni lump albo politowania godny oberwaniec. Marynarkę i spodnie miałem pogniecione od tarzania się po trawniku. „No tak”, dodał Wheeler, „zupełnie jak małe dziecko”. Nabijał się ze mnie, bez dwóch zdań, to go też podkreślało. Przeciągnąłem dwoma palcami po grzebieniu (odruchowo), a potem rozczesalem sobie włosy, na pamięć. Gdy skończyłem, zapytałem go o zdanie: „Teraz dobrze?” i zademonstrowałem teatralnie oba profile.

„Może być”, stwierdził, obrzuciwszy mnie łaskawym spojrzeniem jak oficer, który dokonuje szybkiej lustracji wyglądu swego żołnierza. A następnie wrócił do tego, co mówił tuż przed lotniczym atakiem, nigdy nie tracił wątku, chyba że sam tego chciał. Mimo posuwania się okrężną drogą, kluczenia i ciągłego zapuszczania się na pobocza doprowadzał swoje wędrówki do końca. „I jaki był wynik tej kampanii?”, zapytał retorycznie. „Ogólnie się nie udała, jak Bóg przykazał. Od początku była skazana na klęskę, nieuchronnie. Przyniosła rzecz jasna jakieś rezultaty, pewnie niemałe: ludzie zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie narażało ich mówienie za dużo, wcześniej większości nie przyszło to nawet do głowy. Niewątpliwie odniosła zamierzony skutek wśród żołnierzy, a to było zasadnicze, bo to oni byli przecież najlepiej poinformowani i najbardziej narażeni na konsekwencje słownej beztroski i gadulstwa. No i oczywiście politycy i dowódcy wojskowi nauczyli się wielkiej ostrożności. Zaczęto częściej porozumiewać się szyfrem albo uciekano się do dwuznaczności i przestawień semantycznych za pomocą wymyślanych naprędce domorosłych synekdoch i metaleps, tak zachowywała się spontanicznie cała ludność, każdy na swój sposób i na miarę swoich możliwości. Pojawiło się i ugruntowało przekonanie, że każdy może nas podsłuchiwać w nieprzyjaznym celu. Tak, można powiedzieć, że ludność uświadomiła sobie w pełni i zbiorowo, jakkolwiek nie na długo, coś, co dobrze ilustruje rysunek z dziewczyną i marynarzem i kolejne jego sekwencje: że tracimy wszelką kontrolę nad naszymi słowami, gdy raz już zostaną wypowiedziane. Słowa wymykają się naszej władzy dużo łatwiej niż czyny, które by tak rzec, pozostają w nas, dobre czy złe, nikt inny nie może ich sobie przywłaszczyć, jeśli nie liczyć oczywistych przypadków uzurpacji lub oszustwa, które zawsze, choćby późno, należy ujawniać, przerywać, unicestwiać i demaskować”. Wheeler powiedział oczywiście w moim języku „*desfacier*”, zamiast „unicestwiać”, jakżeby inaczej. W moim języku

powiedział też „*como estaba mandado*”, czyli „jak Bóg przykazał”, i „*de andar por casa*”, czyli „domorosły”, lubił się popisować swoją znajomością potocznego i literackiego języka hiszpańskiego, podobnie jak portugalskiego i francuskiego, przypuszczam, że te trzy języki znał gruntownie, a może i inne, o ile wiem, znał też podstawy języka hindi, niemieckiego i rosyjskiego. „Człowiek niczego nie wyzbywa się tak bardzo i tak całkowicie jak słów. Wypowiadasz je i już ich nie masz, oddajesz je w posiadanie, a właściwie w użytkowanie temu, kto je słyszał. Ten ktoś może się z nimi początkowo zgodzić, co nie jest miłe, bo w pewnym sensie je sobie przywłaszcza; albo może je odrzucić, co też przyjemne nie jest; przede wszystkim jednak może przekazywać je dalej w sposób nieograniczony, cytując źródło lub podając słowa za swoje, jak mu wygodniej, jak mu dyktuje przyzwoitość lub w zależności od swoich zamiarów, od tego, czy chce doprowadzić do naszej zguby i nas zdradzić, to zależy od okoliczności; ale nie tylko, może je także ozdobić, ulepszyć lub zepsuć, przeinaczyć, przekręcić, wyrwać z kontekstu, zmienić tonację, inaczej położyć akcent i tym sposobem nadać im inny sens, nawet przeciwny temu, jaki miały w naszych ustach lub gdy przyszły nam na myśl. I rzecz jasna, może też powtarzać je z absolutną dokładnością, *verbatim*. Tego najbardziej się obawiano podczas wojny, dlatego wiele osób starało się mówić półsłówkami, w sposób metaforyczny i zawołowany, zamierzenie niejasny albo wprost posługując się tajemnym językiem. Wielu nauczyło się mówić, nie mówiąc, i przywykli do tego”.

„Podobnie postępowano w Hiszpanii podczas dyktatury Franco, żeby przechytrzyć cenzurę”, odezwałem się. Wheeler zachęcał mnie dużo częściej, by coś wtrącić. „Wielu ludzi zaczęło mówić i pisać na sposób symboliczny, aluzyjny, paraboliczny albo abstrakcyjny. Wypowiedź musiała być zrozumiała mimo zamierzonego zaciemnienia jej prawdziwego znaczenia. Totalny bezsens: kamuflować się, maskować, a mimo to liczyć

na rozpoznanie i na to, że uchwycony zostanie niejasny, enigmatyczny i nieoczywisty przekaz. Ludzie nie mają cierpliwości, żeby się zajmować rozszyfrowywaniem zagadek. To trwało zbyt długo i w końcu zaczęło sprawiać wrażenie czegoś definitywnego, nie przejściowego. Niektórzy nie potrafili się już od tego odzwyczaić i zamilkli”.

Wheeler mnie słuchał i pomyślałem, że jeżeli zechce się odnieść do tych słów, to może znowu zboczyć ze swej drogi. Teraz jednak wydawał się zdecydowany kontynuować, choć właściwym sobie, miarowym krokiem:

„Wielu nauczyło się mówić, nie mówiąc”, powtórzył, „ale nikt prawie nie nauczył się nie mówić, milczeć, a o to właśnie apelowano i to było właściwe. Nie ma w tym naturalnie nic dziwnego: dla większości zwykłych śmiertelników nauczenie się tego jest niemożliwe, możesz mi wierzyć, to zbyt wielkie wymaganie, to wbrew ludzkiej naturze, dlatego kampania nieuchronnie była skazana na porażkę. Zupełnie jakby powiedzieć ludziom: Nie tylko muszą państwo znieść brak wszystkiego, nędzę, racjonowanie, cierpieć nieprzyjacielskie bombardowania, nie wiedząc, komu przyjdzie nie obudzić się rano ani wieczorem, nawet na dźwięk syren, i zobaczyć swój dom w płomieniach albo zmieniony w jednej chwili w kupę gruzu, i tkwić godzinami w podziemnym schronie, by nie spłonąć żywcem na ulicy, chociaż ulice ciągle jeszcze wydają się takie jak zawsze, i komu przyjdzie utracić męża i dzieci, a w każdym razie martwić się ich nieobecnością albo doświadczać codziennej zabójczej trwogi o to, czy jeszcze żyją, czy nie zginęli, a komu przyjdzie wzbić się w powietrze samolotem i tam się nadziać na ogień nieprzyjaciela, który nie zawaha się przed niczym, by strącić cię podczas powietrznej bitwy, kto pójdzie na dno na pokładzie łodzi podwodnej, niszczyciela i pancernika na dalekim morzu w ogniu, udusi się lub spłonie we wnętrzu czołgu, kto wyskoczy ze spadochronem nad okupowanym terytorium i dostanie się pod ogień baterii przeciwlotniczych albo będzie musiał uciekać przed tropiącymi psami, jeżeli już uda mu się

wylądować na ziemi, kto zostanie rozerwany na strzępy przez pocisk artyleryjski albo granat, kto będzie musiał stawić czoło torturom i katowi, wykonując swe zadanie po cywilnemu i wpadłszy w ręce wroga w niedozwolonym miejscu, kto będzie bił się wręcz na linii frontu z bagnetem na broni, na polach, w lasach, w dżungli, na mokradłach, wśród lodów i na pustyni i strzeli prosto w głowę chłopakowi w nienawistnym mundurze i hełmie, nie wiedząc za dnia ani nocą, czy nie przegra tej wojny i czy wszystko nie było tylko po to, by stał się jednym z wielu trupów albo dożywotnim więźniem, albo niewolnikiem zwycięzców, i będzie cierpieć chłód i głód, pragnienie i upał, nieznośną udrękę i nade wszystko strach, tak, strach, wielki strach, ciągłe przerażenie, do którego koniec końców przywyknie, choćby trwało to wiele lat i trudno było się przyzwyczaić... Tak”, dodał Peter po sekundzie przerwy i zaczerpnięciu głębokiego oddechu, „to zupełnie jakby powiedzieć ludziom: prócz tego wszystkiego powinni państwo jeszcze milczeć. Proszę więcej nie rozmawiać, niczego nie opowiadać, nie żartować, nie zadawać pytań, a tym bardziej nie odpowiadać na pytania, ani żony, ani męża, ani dzieci, ani ojca, ani pod żadnym pozorem matki, ani brata, ani najlepszego przyjaciela. Ani ukochanej osoby... ukochanej osobie nie szepczcie nic nawet na ucho, nie tłumaczcie niczego ani czule, ani kłamliwie, nie żegnajcie się, nie pocieszajcie tonem głosu ani słowami, nie zostawiajcie na pamiątkę nawet ostatnich fałszywych obietnic, które zawsze składamy sobie przy pożegnaniu”. Wheeler zamilkł i nagle pogrążył się w myślach, bębnił kostkami palców w brodę, delikatnymi uderzeniami, pomyślałem, że coś sobie przypominał, coś, co przyszło mu samemu przeżyć, jakby to on odebrał ukochanej najważniejsze słowa, te, które pragnie się usłyszeć i pragnie się powiedzieć, a potem tak łatwo się zapomina i myli z innymi albo powtarza się innym tak samo lekkomyślnie i radośnie, te słowa, które zawsze wydają się niezbędne w chwili pożegnania, choćby były przesadnie

czułe i dlatego nieszczerze, w chwili pożegnania to się zupełnie nie liczy. „Tak to właśnie było albo prawie tak. Nigdy nie zostało to tak ostro sformułowane ani przedstawione. Ale wielu tak właśnie to zrozumiało, tak to zrozumieli i przyjęli najwięksi pesymiści i wszyscy zrozpaczeni, przestraszeni, przygnębieni i załamani, a w czasach wojny to oni stanowią większość. W czasach niepewnej wojny, rzecz jasna, takiej, której wynik nie jest przesądzony i wisi na włosku, dzień po dniu, noc po nocy przez całą wieczność, która toczy się naprawdę na śmierć i życie, której stawką jest całkowite zniszczenie lub wyniszczenie, okryte hańbą przetrwanie. Z pewnością nie zaliczają się do takich wojen te ostatnie, ta w Afganistanie, ani ta w Kosowie, ani ta nad Zatoką, ani, fraszka, ta na Falklandach. Albo na Malwinach, jak wolisz, szkoda, że nie widziałeś, jak patetycznie reagowali tu ludzie, to znaczy przed telewizorami, dla mnie to było żalosne. Te dzisiejsze wojny wzbudzają dużo euforii, ludzie chętnie biorą w nich udział, siedząc w fotelach u siebie w domu. Tryskają euforią. Idioci. I zbrodniarze. Nie wiem. Ale wtedy za dużo oczekiwano od ludzi, nie uważasz? Oczekiwano, że wszystko zniosą i jeszcze nic nie będą mówić o tym wszystkim, co ani na sekundę nie dawało im spokoju. Wystarczyło, że milczały niezliczone zastępy umarłych”.



„**A** pan to zrobił? Zachował pan milczenie? Kampania odniosła skutek w pana przypadku?”

„Oczywiście. W moim przypadku i w przypadku większości. Możesz mi wierzyć, teoretycznie bardzo wiele osób ściśle zastosowało się do jej zaleceń. Taka jest również zbiorowa pamięć na ten temat. Ja twierdzę, że ogólnie się nie udała i że tak musiało być, ale jeżeli zapytasz kogoś innego, kto żył w tamtych czasach albo kto słyszał o tej kampanii z pierwszej ręki, albo poszukasz wzmianek o *careless talk* w jakichś książkach, czy to historycznych, czy socjologicznych, czy też z dziedziny będącej mieszaniną historii i socjologii, którą teraz nazywa się pretensjonalnie mikrohistorią, zobaczysz, że zarówno w przyjętej wersji zdarzeń, jak i w szczerych wspomnieniach osobistych na ten temat pojawia się zgodne przekonanie, że kampania odniosła wielki sukces. I nikt tu nie kłamie świadomie i za ogólną zgodą ani nie ma tu mowy o masowo popełnianym błędzie, chodzi o to, że trudno sprawdzić lub zmierzyć rzeczywisty skutek czegoś takiego (skąd można wiedzieć, ile katastrof spowodował brak należytej rozwagi bądź ile udało się uniknąć dzięki dyskrecji?), a gdy wojny kończą się zwycięstwem (szczególnie takie, w których wszystko się sprzysięgło przeciwko nam), wtedy łatwo, niemal nieuchronnie się myśli, że wszystkie działania były ofiarne i bardzo ważne, i heroiczne, i że każdy z nas przyczynił się do zwycięstwa. Skoro to były takie straszne czasy i tak bardzo zżerała nas niepewność, opowiedzmy sobie przynajmniej coś, co złagodzi ból i wynagrodzi cierpienia. O tak, jestem pewien, że były miliony Brytyjczyków z najlepszymi intencjami, którzy traktowali bardzo poważnie wszelkie ostrzeżenia i nakazy i uważali, że skrupulatnie stosują się do nich na co dzień: byli o tym przekonani w swoim sumieniu, niektórzy naprawdę

się do nich stosowali, szczególnie wojskowi i politycy, i urzędnicy, i dyplomaci, już ci mówiłem. Ja oczywiście również, choć nie ma w tym mojej specjalnej zasługi: pamiętaj, że między czterdziętym drugim a czterdziestym szóstym rokiem moje pobyty w Anglii nigdy nie były długie, przyjeżdżałem przy okazji przepustki albo z jakimś konkretnym poruczeniem, które rzadko zatrzymywało mnie tu na dłużej, główne miejsce mego pobytu znajdowało się daleko, a moje zajęcia zmieniały się nazbyt często. Jak mogłeś przeczytać w «Who's Who», pojawiałem się w owych latach w najróżniejszych miejscach i sprawowałem funkcje, których nieodłączną i konieczną częścią składową była poufność, dyskrecja, ostrożność, udawanie, oszukiwanie, zdrada, jeśli wymagały tego względy służbowe, oraz milczenie rzecz jasna. Byłem w uprzywilejowanej sytuacji, nic mnie nie kosztowało ściśle przestrzeganie tego ostatniego. Więcej, może z powodu zachowywania ciągłej czujności w miejscach, do których mnie oddelegowywano, łatwiej zauważałem, co się dzieje ogólnie z ludźmi tutaj, w domu, na tyłach. Kampania stanowiła też, jak by to powiedzieć, ogromną pokusę dla całej ludności: równie wielką jak niedostrzeżoną, równie nieodpartą jak nieświadomioną, równie nieprzewidzianą jak tajemniczą”.

„Co pan ma na myśli, Peter? Nie rozumiem”.

„Obywatele każdej narodowości, Jacobo, ich ogromna większość, nie mają zazwyczaj do powiedzenia nic, co stanowiłoby dla kogoś jakąś wartość. Jeżeli zaczniesz się zastanawiać wieczorem, czego dowiedziałeś się w ciągu dnia od wielu lub niewielu osób, z którymi rozmawiałeś (bez względu na ich wykształcenie i wiedzę), przekonasz się, że rzadko kiedy zdarza się usłyszeć coś naprawdę ważnego lub interesującego, lub wnikliwego, pomijając szczegóły czy kwestie czysto praktyczne, ale nie wyłączając tego, czego można się dowiedzieć z gazety, telewizji albo radia (co innego, gdy przeczyta się o czymś w książce, choć i to zależy od książki). Niemal wszystko, co mówimy i komunikujemy sobie nawzajem,

to humbug, pustosłowie, to powierzchowne, pospolite, nudne, wymienne i oklepane, choćbyśmy uważali to za bardzo «własne» i choćby ludzie «czuli potrzebę wyrażenia siebie», jak to się teraz bardzo *cursi* mówi. Niewyrażenie tych milionów opinii, odczuć, pomysłów, które są wyrażane każdego dnia, nieopowiedzenie tego miliona faktów i wiadomości niczego by nie zmieniło”. (Nie trzeba dodawać, że Wheeler posłużył się moim językiem przy okazji słowa „*cursi*”, które nie ma swego dokładnego odpowiednika w żadnym języku, a które tu można przetłumaczyć jako „pretensjonalnie”). „*Hablando se entiende la gente*», mówicie często po hiszpańsku. «Rozmowa sprzyja porozumieniu». «Warto rozmawiać», powtarzają ludzie w różnych sytuacjach i kontekstach. Brakowało jeszcze, żeby psycholodzy i im podobni wbili to przekonanie do głowy wszystkim gadatliwym i żeby ci pofolgowali jeszcze bardziej swojej naturalnej skłonności. Ani warto, ani nie warto rozmawiać, a co do porozumiewania się przy okazji rozmowy, no cóż, sama w sobie rozmowa jest tyleż źródłem konfliktów i nieporozumień, co harmonii i porozumienia, niesprawiedliwości i zadośćuczynienia, wojen i rozejmów, zbrodni i zdrad oraz lojalności i miłości, potępienia i wybawienia, obelg i furii oraz pocieszenia i ukojenia. W każdym razie mówienie to prawdopodobnie największa strata czasu dla wszystkich ludzi, bez względu na ich wiek, płeć, klasę, zamożność i wiedzę, to marnotrawstwo *par excellence*. Niemal nikt nie ma do powiedzenia nic, co jego możliwi słuchacze uznałyby za prawdziwie cenne, warte uwagi, nie mówiąc już, że warte kupienia, to znaczy nikt nie płaci za coś, co zawsze jest za darmo poza bardzo nielicznymi sytuacjami, a mimo to czasami jesteś do tego zobowiązany. A jednak i mimo wszystko większość upiera się, o dziwo, żeby mówić bez ustanku, w dodatku codziennie. To zadziwiające, Jacobo, jak się nad tym dobrze zastanowić: mężczyźni i kobiety ciągle coś objaśniają i opowiadają, objaśniają nawet siebie sobie, do znudzenia, w poszukiwaniu kogoś, kto ich

będzie słuchał albo narzucając się ze swoimi przemowami, kiedy tylko mogą, ojciec narzuca się synowi, nauczyciel uczniom, proboszcz swoim parafianom, mąż żonie i żona mężowi, dowódca swojemu wojsku i przełożony swoim podwładnym, polityk swoim stronnikom, a nawet całemu narodowi, telewizje swoim widzom, pisarze czytelnikom i nawet piosenkarze swoim nastoletnim fanom, którzy płacą jeszcze większy haracz, nucąc w dodatku refreny ich piosenek. Również pacjenci narzucają się swoim psychiatrom, tyle tylko że tu akurat rodzaj relacji wszystko tłumaczy, mamy do czynienia z bardzo klarowną transakcją: zarabia ten, kto słucha, płaci ten, kto mówi. Kto mówi więcej, płaci więcej”. (Ostatnie słowa znowu powiedział po hiszpańsku: „*Desembolsa quien raja, se retrata quien larga*”, a ja pomyślałem o mojej znajomej z Madrytu, doktor Garcii Mallo, bardzo mądrej psychoanalityczce: doradzałbym jej podnieść bez najmniejszych wyrzutów sumienia swoje stawki). „To wzorcowa relacja, w gruncie rzeczy taka byłaby zawsze najwłaściwsza. Tych, którzy chętnie słuchają, można policzyć na palcach jednej ręki, nie ma ich zbyt wielu głównie dlatego, że nieskończenie więcej jest takich, którzy aspirują do przeciwnego obozu, czyli sami chcą mówić i być słuchani. W rzeczywistości jeżeli dobrze się przyjrzyysz, ludzie stale i powszechnie spierają się o głos: w każdym odwiedzanym miejscu, prywatnym albo publicznym, rozlegają się dziesiątki, jeśli nie setki niepohamowanych głosów, walcząc ze sobą o lepsze albo starając się przebić inne, a każdy z tych głosów pragnie wznieść się ponad pozostałe i uciszyć je: do tego właśnie dążą w możliwych do przyjęcia granicach. Wszystko jedno, czy na ulicy, na targu czy w parlamencie, jedyna różnica sprowadza się do tego, że w parlamencie przystaje się w końcu na to, że trzeba czekać na swoją kolej, a ci, którzy czekają, zgadzają się udawać zainteresowanie; wszystko jedno, czy w pubie czy podczas herbatki w arystokratycznym domu, różnić się mogą tylko intensywnością i tempem, na herbatce wszystko toczy się

powoli, człowiek chwilę się kryguje, wystarczy jednak, że poczuje się pewniej, a już zaczyna się rozwodzić jak w tawernie, chociaż na niższym diapazynie. Wystarczy, by do stołu zasiadły cztery osoby, a co najmniej dwie z nich zaczną ze sobą rywalizować o prym w rozmowie. Zrobiłem dobrze, zostając nauczycielem: latami bez walki korzystałem z wielkiego przywileju polegającego na tym, że nikt mi nie przerywał, a jeśli już, to za moim wcześniejszym przyzwoleniem. Nadal korzystam z tego przywileju w moich książkach i artykułach. Wszyscy pisarze się łudzą, że ich książki czytane są od deski do deski, z zapartym tchem i z krótkimi tylko przerwami na odpoczynek. Wszyscy się tak łudzą i zawsze łudzili, możesz być pewien, wiem z cudzego, a i z własnego doświadczenia, o ile się nie mylę, ty nie masz jeszcze własnego doświadczenia w tym względzie, nie wyobrażasz sobie, jak dobrze zrobiłeś, nie ulegając pokusie pisania. Takie jest złudne przekonanie owych pisarzy, którzy produkują liczne i opasłe tomy pełne przygód i przesadnych przemyśleń, jak wasz Cervantes, jak Balzac, Tołstoj, Proust albo ten modny nudziarz od kwartetu z Aleksandrii, albo nasz Tolkien z Oksfordu (on naprawdę urodził się w Południowej Afryce, wiesz?), ile razy spotykałem go w Merton College albo widziałem, jak siedzi w The Eagle&Child z Clive'em Lewisem i raczy się czymś o zmierzchu, nie spodziewając się nawet, co się przytrafi jego tak wówczas ekscentrycznej trylogii, jeszcze mniej niż on nie spodziewaliśmy się tego my, jego bardzo sceptyczni koledzy; to również złudzenie poetów, którzy tyle są w stanie pomieścić i zawrzeć w każdej ze swoich zwodniczych strof, mimo że wydają się takie krótkie, poetów takich, jak Rilke i Eliot, a przed nimi Whitman i Milton, a jeszcze wcześniej wasz wielki Manrique; i złudzenie dramatopisarzy, którzy starają się przytrzymać widza w fotelu przez cztery albo więcej godzin, jak sam Szekspir w «Hamlecie» i w «Henryku IV»: oczywiście w jego czasach wszyscy stali w teatrze, swobodnie wchodzili i wychodzili, kiedy przyszła im ochota; to także

złudzenie kronikarzy, autorów dzienników i memuarów takich, jak Saint-Simon, Casanova, wasz Inca Garcilaso, wasz Bernal Díaz albo nasz znamienity Pepys, którzy nigdy nie mają dosyć zaczerniania stron atramentem, maniakalnie; i złudzenie autorów rozpraw i esejów, jak niezrównany Montaigne i jak ja (z zachowaniem wszelkich stosownych proporcji), którzy pisząc, wyobrażamy sobie naiwnie, że znajdzie się ktoś z anielską cierpliwością, kto strawi wszystko, co mu zaserwujemy na temat Henryka Żeglarza, wyobraź sobie tylko, cóż to za szaleństwo, moja ostatnia książka na jego temat liczy prawie pięćset stron, to nieuprzejmość, to nadużycie. A właśnie, już ją przeczytałeś?”

„Jeszcze nie, Peter, niech mi pan wybaczy, przykro mi z całego serca. Ostatnio bardzo trudno mi się skupić na lekturze”, odparłem i nie było to kłamstwo. „Ale jak już się zabiorę, przeczytam ją od a do z, jednym tchem i nie odrywając się ani na chwilę, jestem tego pewien”, dodałem tonem lekko żartobliwym i serdecznym, a on też uśmiechnął się odrobinę, rzucając mi szybkie spojrzenie, jego oczy były młodsze niż sylwetka. Następnie zapytałem: „Co to była za pokusa? Ta spowodowana kampanią przeciw *careless talk*? O tym pan mówił, prawda? A może zamierzał pan powiedzieć?”.

„A tak. To mi się podoba, stosujesz się do moich zaleceń i trzymasz mnie krótko”. W tej odpowiedzi też zabrzmiał lekko kpiarski ton. „Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi, ale pokusa była prosta, w gruncie rzeczy wcale nie zaskakująca: widzisz, tym samym ludziom, którzy normalnie nie mają nic ważnego ani wartościowego do opowiedzenia, zakomunikowano nagle, że język, rozmowy i zwyczajna gadanina mogą być niebezpieczne, i nalegano, żeby bardzo uważali na to, co, gdzie, kiedy i do kogo się mówi; przestrzegano, że każdy może się okazać nazistowskim szpiegiem albo przekupionym donosicielem czatującym na słowa innych, jak przedstawia to rysunek z dwiema paniami domu w metrze albo ten z mężczyznami

grającymi w lotki. Wyobraź sobie, to tak jakby nagle zakomunikować obywatelom: «Sami nie wiecie, kiedy z waszych ust mogą się wymknąć ważne informacje, o zasadniczym znaczeniu, byłoby zatem lepiej nie wypowiadać ich nigdy, w żadnych okolicznościach. Nie zdajecie sobie sprawy, że w potoku głupot, jakie codziennie wylewają wam się z ust, może się znaleźć coś cennego, ogromnie cennego dla wroga. Wbrew temu co dzieje się zazwyczaj, kiedy to inni ludzie nie interesują się na ogół tym, co chcecie im powiedzieć albo wytłumaczyć, teraz jest prawdopodobnie wśród was ktoś, kto nadstawia uszu i z ochotą słucha was najuważniej, a nawet sprytnie wyciąga z was różne rzeczy. A właściwie na pewno jest ktoś taki: wielu niemieckich spadochroniarzy wylądowało ostatnimi czasy na brytyjskiej ziemi, są świetnie przygotowani, specjalnie przeszkoleni, by nas zmylić, znają nasz język, jakby się urodzili w Manchesterze, Cardiff albo w Edynburgu, i znają nasze obyczaje, bo wielu z nich mieszkało tu w przeszłości albo jest w połowie Anglikami, po ojcu lub po matce, aczkolwiek dzisiaj wybrali tę gorszą ze swoich dwóch krwi. Lądują tu albo dobijają do brzegu pozbawieni skrupułów, zaopatrzeni w broń i w fałszywe, perfekcyjnie podrobione dokumenty, a jeśli nie, to szybko dostają je od współników już tu, na Wyspach, wielu z tych współników to nasi prawdziwi rodacy, równie brytyjscy jak nasi dziadkowie, ci zdrajcy także bardzo się interesują waszymi słowami, tylko czekają, żeby coś upolować i przesłać swojemu szefowi do obróbki, żeby coś wymknęło wam się z ust. Dlatego bądźcie ostrożni: od tego, czy będziecie nieodpowiedzialnie paplać czy zachowacie lojalne milczenie, może zależeć los naszego lotnictwa, naszej floty, naszych wojsk lądowych, naszych więźniów i naszych szpiegów. Możliwe, że losy tej wojny, która kosztowała nas już tyle krwi, znoju, łez i potu, nie spoczywają w waszych rękach, zależą jednak od waszego języka»». (Wheeler zacytował we właściwym porządku, nie zapominając o „toil” pomijanym zawsze). „Byłoby niewybaczalne,

gdybyśmy mieli ją przegrać z powodu naszego potknięcia, z powodu zbędnej, dającej się uniknąć nieroztropności, tylko dlatego, że któreś z nas nie potrafiło na czas ugryźć się w język i zamknąć buzi na kłódkę». Tak to właśnie postrzegano, cały kraj pełen nazistowskich agentów z nastawionymi czujnie uszami, podsłuchujących” (Wheeler użył tu trudnego do przetłumaczenia na hiszpański czasownika angielskiego „*to eavesdrop*”) „nie tylko w Londynie i w wielkich miastach, ale i w tych małych, w wioskach i rzecz jasna na wybrzeżach, a nawet na polach. Nieliczni niemieccy i austriaccy antynaziści, którzy schronili się tu wiele lat przed wojną, po dojściu Hitlera do władzy, byli wtedy w okropnym położeniu – wiedziałem na przykład o Wittgensteinie, który pół życia mieszkał w Cambridge, albo o poznanym przeze mnie wielkim aktorze Antonie Walbrookku i pisarzu Pressburgerze, i o badaczach zajmujących się sztuką z Instytutu Warburga: Windzie, Wittkowerze, Gombrichu, Saxlu, Pevsnerze – czuli na sobie nieufne spojrzenia swoich wieloletnich sąsiadów, biedacy, byli przecież brytyjskimi obywatelami, w dodatku najbardziej zainteresowanymi klęską nazizmu. To w tamtych czasach wprowadzono tu po raz pierwszy oficjalny dokument tożsamości, wbrew naszej tradycji i wyborowi, wszystko po to, żeby utrudnić trochę zadanie infiltrującym nas Niemcom. Ludzie jednak gubili te dokumenty, nienawykli do noszenia ich przy sobie, powszechnie traktowano je z taką niechęcią, że koniec końców gdzieś w pięćdziesiątym pierwszym albo pięćdziesiątym drugim roku wycofano je na dobre, żeby uśmierzyć powodowane tym przymusem niezadowolenie. Tupra wspominał mi niedawno, że na górze mówi się teraz o wprowadzeniu na powrót czegoś podobnego oraz o innych inkwizytorskich pomysłach, tym miernotom o zapędach totalitarnych, które nami rządzą, zburzenie Bliźniaczych Wież służy niemal za *carte blanche*. Mam nadzieję, że im się nie uda. Choćby nie wiem jak się upierali, teraz też nie jesteśmy na prawdziwej wojnie, to wojna polegająca na stałej



niepewności i bólu. I choć nas, aktywnych uczestników drugiej wojny światowej, nie pozostało już wielu przy życiu, jest dla nas zniewagą i dotkliwą drwiną to, co w imię bezpieczeństwa, och, jaki to ponadczasowy argument, zamierzają zrobić i narzucić ci małoduszni autorytarni głupcy. Nie po to walczyliśmy przeciwko tym, którzy chcieli kontrolować każdą dziedzinę życia jednostki, żeby teraz nasze wnuki spełniły przewrotnie i do końca chore fantazje pokonanych już wrogów. Nie wiem, będzie jak będzie, tak czy owak długo już tego nie będę oglądał na szczęście”. Mruczając te ostatnie słowa, Wheeler znowu zapatrzył się w trawnik, a może na kilka moich niedopałków ciśniętych na ziemię i przydeptanych butem. Tym razem sam podjął od razu przerwany wątek: „Jaki był skutek powiedzenia tego wszystkiego ówczesnym obywatelom? Znaleźli się w dziwnej, może nawet paradoksalnej sytuacji: mogli posiadać cenne informacje, ale w większości nie wiedzieli, czy jest tak w istocie, a gdyby nawet było, to czego one, u diabła, dotyczą; nie wiedzieli tak samo, dla kogo z ich otoczenia mogą się takimi okazać, dla którego krewnego albo znajomego i czy w ogóle dla kogoś, co w konsekwencji sprawiało, że nigdy nie mogli wykluczyć nikogo z kręgu potencjalnie podejrzanych; wiedzieli, na koniec, że jeżeli wystąpią te dwa elementy albo czynniki, czego nigdy nie można było wiedzieć na pewno, czyli nieświadome posiadanie jakiejś cennej informacji oraz bliskość zamaskowanego wroga, który tę informację wydobędzie albo podsłucha przypadkowo” (i tu pojawił się kolejny czasownik z tej samej serii, bez dokładnego odpowiednika w moim języku, „*to overhear*”), „ich połączenie może odegrać ogromną rolę i stać się przyczyną tragedii. Myśl, że to co człowiek powie, skomentuje, napomknie albo opowie może być ważne i wyrządzić szkodę, i być cenne dla innych, choćby miał to być sam diabeł ze swymi niezliczonymi hufcami, ma dla większości nieodparty powab: tak więc większość ludzi godziła w siebie dwie odmienne, przeciwstawne skłonności: pierwszą, nakazującą zachować

milczenie zawsze, nawet w najbardziej nieistotnych i zwykłych sprawach, żeby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa, a także jakiegokolwiek poczucia winy albo popełnienia straszliwego błędu; drugą, by wszystko opowiadać i rozmawiać o wszystkim przy wszystkich i wszędzie (o wszystkim, co się wie lub usłyszało, najczęściej o biżuterii, rzeczach nieistotnych, bzdurach), i w ten sposób poczuć smak przygody albo jej ducha i doświadczyć ryzyka, a także nowego, nieznanego dotąd dreszczu z powodu własnej ważności. Jaki pożytek z tego, że posiada się coś cennego, skoro nie można z tym paradować, wystawiać na widok publiczny i kłuć ludzi w oczy, jaki pożytek z rzeczy pożądanej, skoro nie wyczuwa się jej pożądania przez innych, albo co najmniej takiej możliwości, ani ryzyka, że mogą cię jej pozbawić, jaki pożytek z posiadania sekretu, jeśli choć raz się go nie opowie i nie zdradzi? Dopiero zdradziwszy sekret, uzyskujesz prawdziwą miarę jego potworności albo znaczenia. Wcześniej czy później człowiek dosyć ma ciągłego myślenia w samotności: «Oj, gdyby oni wiedzieli, och, gdyby on się dowiedział, ach, gdyby ona miała świadomość tego, o czym milczę». I wcześniej czy później nadchodzi chwila wyrzucenia tego z siebie, pozbycia się, przekazania, choćby jeden jedyny raz i tylko jednej osobie, wcześniej czy później przytrafia się to każdemu. Tyle że obywatele nie potrafili rozróżnić (z pewnymi wyjątkami) ziarna od plew, liczni zatem z nadzieją i z przyjemnym dreszczykiem emocji wykładali na ławę albo na stół wszystko, co mieli w zanadrzu, zwabieni perspektywą, że naprzeciwno mógłby się znaleźć jakiś paskudny szpieg, a równocześnie zaciskając kciuki i błagając nieba, żeby go nie było ani też nikogo, kto by to szpiegowi przekazał, mam na myśli te lekkomyślne lub chaotyczne opowieści. Czy może być coś bardziej emocjonującego niż sytuacja, gdy jakiś bardziej odpowiedzialny i nieugięty rodak beszta cię i zwraca ci uwagę, że postępujesz lekkomyślnie, przecież to nieomylny prawie znak, że zapuściłeś się w surowo zakazane rejony o wielkim znaczeniu i wadze,

gdzie wcześniej twoja noga nie stała. Pełne obawy podniecenie, wywołane wystawieniem na niebezpieczeństwo siebie, a przy okazji całego kraju, dobrze ilustruje ten rysunek z mężczyzną dzwoniącym z budki telefonicznej obłożonej przez małych führerków, a także trzecia, bardziej niż druga, sekwencja tej historyjki, która rozpoczyna się rysunkiem marynarza i jego narzeczonej, o, jest tutaj. Większość ludzi, czy są inteligentni czy głupi, godni szacunku czy nieroztropni, jadowici czy dobrotliwi, jest bardzo albo trochę podobna do tej dziewczyny z upiętymi wysoko kasztanowymi włosami: generalnie słuchają ze zdumieniem i z uciechą, nawet jeśli dowiadują się czegoś potwornego, bo tę potworność (właśnie dlatego łaskawie nadstawiają krótko i okazjonalnie ucha, bo oczyma wyobraźni już widzą, jak sami to będą opowiadać) kompensuje im perspektywa przyjemności, z jaką przekażą wiadomość dalej, nawet jeżeli jest wstrętna, przerażająca i przykra i wywoła w innych tę samą reakcję, którą teraz wywołuje w nich. W gruncie rzeczy interesuje nas tylko to, czym możemy się podzielić z innymi, przekazać i nadać dalej, tylko to nas obchodzi. Chcemy czuć się zawsze częścią łańcucha, jesteśmy, jak by to powiedzieć, ofiarami i czynnikami jakiegoś nie mającego granic zakażenia. A powodem największego zakażenia, takiego, na które narażeni są wszyscy, są słowa, plaga mówienia, która i mnie dotknęła, sam widzisz, co się ze mną dzieje, dostaję strasznego przyspieszenia, gdy tylko poluzujesz trochę smycz. Dlatego wielkie uznanie należy się ludziom, którzy nigdy nie ulegli tej powszechnej skłonności. A jeszcze większe należy się tym, którzy nic nie powiedzieli poddawani brutalnemu przesłuchaniu, nie puścili pary z ust. Nawet gdy od tego zależało ich życie i gdy stracili życie”.

Od strony domu dobiegł mnie dźwięk fortepianu, tło muzyczne dla rzeki i drzew, dla ogrodu i głosu Wheelera. To mogła być jakaś sonata Mozarta, albo któregoś z Bachów, Johann Christian, mistrz Mozarta i biedny genialny syn geniusza, mieszkał długi czas w Anglii, gdzie nazywają go

„Bachem z Londynu”, często się go grywa i wspomina, to jeszcze jeden angielski Niemiec, jak ci z Instytutu Warburga i tamten wspaniały aktor z Wiednia, który początkowo nazywał się Adolf Wohlbrück i również pozbył się nazwiska, i jak *commodore* Mountbatten, który oryginalnie nazywał się Battenberg, wszyscy oni to przyszywani Anglicy, nawet Tolkien się tego nie ustrzegł. (Ani mój kolega z pracy, Rendel, on też był Anglikiem austriackim). Pani Berry musiała się już uporać ze swymi obowiązkami i spędzała czas na graniu, czekając, aż nadejdzie pora, by wołać nas na obiad. Umiała grać na fortepianie, Wheeler także; ona grała energicznie, jego rzadko zdarzyło mi się widzieć przy klawiaturze lub słyszeć jego grę, pamiętałem, kiedyś chciałem, żebym posłuchał pieśni zatytułowanej „Lillabullero” albo „Lilliburlero”, albo coś w tym guście, brzmiącej lekko z hiszpańska, fortepian nie stał wówczas w salonie, lecz na górze, w pokoju, gdzie nie było nic innego, można było tylko zasiąść do instrumentu, nic więcej. Wheeler może przez kontrast między dobiegającą nas radosną muzyką i jego pełnymi smutku słowami wydał się nagle bardzo zmęczony, uniósł jedną dłoń do czoła i opierając łokieć o blat stołu przykrytego zwisającym nisko pokrowcem, oparł głowę całym ciężarem na rękę. „I tak mijają wieki”, pomyślałem, czekając, by mówił dalej lub zakończył rozmowę, bałem się, że wybierze to drugie, stał się zanadto świadomy tego, że wygłasza wykład, widziałem, że zamknął oczy, jakby go piekły, choć palce dłoni na czole niemal je zasłaniały. „I tak mijają wieki, i nic nigdy nie ustępuje ani się nie kończy, postępuje infekcja, jedna rzecz zakaża wszystko inne, nie możemy się z tego wyrwać. To «wszystko» zsuwa się nam z ramion jak śnieg, sypki i lekki, tylko że ten śnieg podróżuje w czasie i poza nami i może nigdy nie topnieje”.

„Andreu Nin stracił życie”, odezwałem się w końcu, ciągle jeszcze chodziło mi po głowie to, o czym spontanicznie czytałem podczas mojej długiej nocy. „Andrés Nin”, powtórzyłem, widząc konsternację na twarzy

Wheeler, zauważyłem ją, mimo że nie zmienił pozycji, nadal siedział nieruchomo i jakby opadły z sił. „Nie mówił, nie odpowiadał, nie podał nazwisk, nic nie powiedział, kiedy go torturowali. Stracił przez to życie, choć z pewnością i tak by go w końcu zabili”. Ale Wheeler nadal nie rozumiał albo nie chciał już więcej rozgałęzień.

„Co?”, bąknął, zobaczyłem, że otwiera oczy, dostrzegłem błysk osłupienia, jakby uważał, że oszalałem, co to wszystko ma do rzeczy. Pozostawał myślami zbyt daleko od Madrytu i Barcelony na wiosnę 37 roku, możliwe, że to co przeżył w Hiszpanii, cokolwiek to było, przesłoniły mu trochę późniejsze przeżycia, od późnego lata 39 roku do wiosny 45, a może i później w jego przypadku. Spróbowałem zatem wrócić do kraju, w którym byliśmy, do Oksfordu, do Londynu (zapominałem czasami, że miał osiemdziesiąt kilka lat; a raczej stale o tym zapominałem, pamiętałem tylko od czasu do czasu).

„Czyli kampania przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego”, powiedziałem.

Odsłonił powoli twarz, znowu wyglądał świeżo, podziwu godne, jak szybko potrafił się dźwignąć i dojść do siebie po chwilach upadku na duchu albo zmęczenia, albo kłopotów z mówieniem, zazwyczaj ożywiało go zainteresowanie czymś – jego intrygancki umysł bądź pragnienie powiedzenia lub usłyszenia czegoś więcej. Albo też humor, błysk ironii, dowcip, wdzięk.

„Niezupełnie”, odpowiedział, mrużąc trochę oczy, jakby nadal go piekły. „Takie stwierdzenie byłoby dużym uproszczeniem prócz tego, że byłoby niesprawiedliwe. Bo mało było w ludziach przewrotności, nie o to chodziło, ludzie nie mieli złych intencji, nawet ci najbardziej niedyskretni i bufonowaci, nawet największe jełopy”. To ostatnie słowo wyszło mu po hiszpańsku, „*botarates*”, chwilami dawało się zauważyć, że od lat nie był w moim kraju, tego akurat słowa, ani innych podobnych, dziś się tu nie

słyszcy z oczywistych powodów: kiedy społeczeństwo składa się w przeważającej części z głupków, tępaków, jełopów i pajaców, traci sens używanie wobec siebie takich określeń. „Byli też tacy, którzy milczeli jak grób. Tym razem mam na myśli żywych, nie umarłych: osoby skrupulatne, o silnej woli, skwapliwe, z silnym poczuciem obowiązku, bardzo wytrwałe, które bez wahania zasznurowały sobie usta, choćby nikt nie miał się nigdy dowiedzieć o ich posłuszeństwie ani złożyć im z tego powodu gratulacji. Takich ludzi było wielu, aczkolwiek może nie tak wielu, bo polecenie było trudne do wypełnienia, prawie niedorzeczne, «Nie rozmawiajcie, ani mru-mru, cicho sza, ani słowa, bo wróg może czytać z ruchu ust, zapomnijcie o języku». („Milcz. Nic nie mów i w ten sposób się uratuj”, przemknęło mi przez myśl, pomyślałem też przez sekundę, że nigdy się nie dowiemy, czy mój wuj Alfonso mówiłby czy milczał). „Jeśli uważam, że kampania ogólnie się nie powiodła, to nie dlatego, że ludzie nie byli skłonni stosować się do jej zaleceń, w większości byli skłonni; uważam też, że się przydała, dzięki niej uzyskaliśmy pewną ogólną świadomość tego, że nie jesteśmy sami, lecz w towarzystwie wielu innych ludzi, zupełnie jak aktorzy na scenie; z dala od światła reflektorów, w półmroku, cieniu lub mgle kryje się liczna, ogromnie uważna i pamiętliwa publiczność, mimo że wydaje się niewidzialna i nierozpoznawalna, i rozproszona, publiczność złożona ze szpiegów, podsłuchujących agentów” (znowu to słowo tak trudno przetłumaczone na hiszpański, „*eavesdroppers*”), „członków piątej kolumny, konfidentów i profesjonalnych szyfrantów; mimo że nasze słowo wykorzystane przez nich może się okazać zabójcze dla naszej sprawy, podobnie jak dla nas zasadnicze znaczenie miały słowa wykradzione naszym wrogom. Równocześnie jednak ta kampania – stąd właśnie jej murowana klęska pomimo bezdyskusyjnych korzyści i osiągnięć – sprawiła, że nieuchronnie i w niewiarygodnym tempie namnożyli się tacy, którzy nie potrafią się powstrzymać od gadania, wielkie paple. Jak wiele

osób, rozmawiających wcześniej beztrąsko i naturalnie, nauczyło się zastanowić dwa razy przed podjęciem rozmowy wedle zaleceń jednego z rysunków, tak wiele innych osób, wcześniej milczących, a co najmniej lakonicznych, pełnych zahamowań czy też małowównych nie z wyboru ani z ostrożności, lecz w przekonaniu, że cokolwiek powiedzą lub opowiedzą, będzie nudne, niewarte zainteresowania, a więc bez znaczenia, teraz nie potrafiło oprzeć się pokusie, by poczuć się kimś niebezpiecznym, kto zachowuje się nagannie, jest zagrożeniem, a tym samym zasługuje na uwagę, staje się w pewien sposób najważniejszą postacią w swoim środowisku, choćby w większości wypadków ta przewodnia rola była czymś szalonym, nierealnym, iluzorycznym, fikcyjnym, życzeniowym. Zaczęli gadać jak najęci, to w każdym razie nie ulega wątpliwości; przydawać sobie znaczenia i dawać do zrozumienia, że dużo wiedzą, a człowiek, który robi miny, że dużo wie, w końcu stara się dużo wiedzieć naprawdę w miarę swoich możliwości, a więc staje się nowym, całkowicie darmowym szpiegiem. I niezależnie od tego, czy mu się uda czy nie, ludzie naprawdę zawsze coś wiedzą, nawet wtedy kiedy nie wiedzą, że coś wiedzą ani nie wyobrażają sobie, żeby cokolwiek mogli wiedzieć. Nawet najbardziej nieśmiały i samotny mężczyzna, który tylko burknie coś do swojej gospodyni, jeśli w ogóle natknie się na nią w ciągu dnia, nawet najbardziej lekkomyślna i tępa kobieta o ptasim mózdzku, nawet najmniej ciekawe i nietowarzystkie dziecko, najbardziej zamknięte w sobie w całym kraju, każdy coś o czymś wie, bo słowa, niestrudzona infekcja, rozsiewają się bez żadnej pomocy i pokonują każdą przeszkodę, i szerzą się i przenikają bardziej, dużo bardziej, niewysłowienie bardziej, niż może to sobie wyobrazić człowiek, ktokolwiek. Żeby to coś wychwycić i zrobić z tego użytek, wycisnąć do ostatniej kropli, potrzebne jest jedynie wyczulone ucho detektywa i szybko kojarzący, agresywny umysł. Ludzie odpowiedzialni za kampanię byli tego świadomi, wiedzieli, że każdy z nas

wie o jakichś skutkach i jakichś przyczynach, choćby ze sobą niezwiązanych. Jakież to cenne informacje mogły w gruncie rzeczy mieć dwie panie z metra albo ten prosty i zwyczajny mężczyzna w czapce, który mówi: «Wszystko co wiem... zachowuję dla siebie»? A przecież również do nich kierowano kampanię, do takich jak oni, ich również starano się przekonać, że powinni zapomnieć swój język. Nie sposób przekonać do tego wszystkich, nie sądzisz? Taki wysiłek zawsze idzie raczej na marne, bo częściowy tylko skutek nie jest w tym przypadku rekompensatą”.

Wheeler zamilkł i wskazał na moją paczkę papierosów, prosząc o jednego. Sięgnąłem po paczkę, poczęstowałem go i od razu podałem mu ogień. Pociągnął kilka razy i spojrzał zdumiony na żarzący się koniec w obawie, że się nie pali. Z pewnością nie nawykł do palenia takich słabych i mdłych papierosów, jakie mam zazwyczaj przy sobie.

„A jaka była pana rola w tym wszystkim?”, ośmieliłem się zapytać.

„Żadna. W tym akurat żadna, a raczej byłem jednym z wielu, byłem uprzywilejowany. Już ci mówiłem, że ku moim wyrzutom sumienia, przez dużą część tamtego czasu przebywałem w innych miejscach, nie tak ciężko doświadczanych jak Londyn. Pośrednio jednak miałem swoją rolę w tym, co kampania wkrótce spowodowała: w stworzeniu owej grupy. Kiedy ludzie z MI6 i z MI5 spostrzegli to, co dziś nazwalibyśmy efektem ubocznym kampanii, zbyt częstym i sprzecznym z jej celem, komuś przyszło do głowy, żeby wyciągnąć z tego przynajmniej jakiś profit albo obrócić odrobinę na naszą korzyść, wprząc troszeczkę w naszą służbę. Ktokolwiek to był – Menzies, Vivian, Hollis czy sam Churchill, nieważne – spostrzegł, że wystarczy tylko odpowiednio słuchać i pozwolić mówić ludziom, którzy chętnie mówią i lubią być słuchani (a czasami i to nie było konieczne), i wnikliwie ich obserwować z umiejętnością dedukcji, z analityczną zuchwałością i talentem do skojarzeń, czyli z tym wszystkim, o co podejrzewano wroga i co nawet przypisywano infiltrującym nas



niemieckim specem i skrywanym zwolennikom nazistów, którzy byli u nas od początku, by poznać ludzi dogłębnie, niemal ich istotę, dowiedzieć się, do czego się nadają, a do czego nie, a nawet jak dalece można na nich polegać, co ich charakteryzuje i jakie mają cechy, wady i ograniczenia, czy mają w sobie ducha oporu, czy ich duch jest słaby, czy są przekupni czy nieprzekupni, bojaźliwi czy nieustraszeni, skłonni do zdrady czy lojalni, nieprzemakalni czy podatni na pochlebstwa, egoistyczni czy bezinteresowni, aroganccy czy służalczy, dwulicowi czy szczerzy, zdecydowani czy pełni wątpliwości, kłótniwi czy spokojni, okrutni czy litościwi, wszystko, cokolwiek chcesz, wszystko. Można było także dowiedzieć się zawczasu, kto potrafiłby zabić z zimną krwią, a kto byłby gotów dać się zabić, gdyby zaszła taka potrzeba lub gdyby otrzymał taki rozkaz, aczkolwiek co do tej ostatniej sprawy najtrudniej o pewność; kto by się cofnął, a kto by zawsze wykonał ruch do przodu, nawet najbardziej szalony; kto by wydał, kto by przyszedł z pomocą, kto by zaniemówił, kto by się zakochał, kto by zazdrościł lub czuł zawiść, kto by opuścił nas w potrzebie, a kto zawsze by nas osłaniał. Kto by potrafił nas sprzedać i kto by sprzedał tanio, a kto drogo. Możliwe, że rozmawiające ze sobą osoby z rzadka tylko mówiły coś ważnego albo ciekawego, ale koniec końców mówiły niemal wszystko o sobie, nawet kiedy udawały. To właśnie spostrzegli ludzie z MI5 i MI6. I tak dzieje się do dzisiaj, i to właśnie wiemy”.

„Ale ludzie nie są z jednego kawałka”, odezwałem się na to. „Wszystko zależy od okoliczności, od tego, co im przypadnie w udziale, poza tym zmieniają się, stają się gorsi lub lepsi albo zostają tacy sami. Mój ojciec zwykł mówić, że gdyby nie było wojny domowej, większość ludzi, którzy dopuścili się na niej albo po jej zakończeniu rzeczy nikczemnych, wiodłaby pewnie godne szacunku życie, co najmniej bez większych plam; i nigdy by

nie odkryli, do czego są zdolni, na swoje szczęście i na szczęście swoich ofiar. Mój ojciec był jedną z nich, jak pan wie”.

„Tak, ludzie nie są zrobieni z jednego kawałka, Jacobo, i twój ojciec ma słuszość. Nikt nie jest zawsze taki albo inny, komu z nas nie zdarzyło się dostrzec nagle u kochanej osoby jakiejś niepokojącej lub nieoczekiwanej cechy (wtedy człowiekowi zawala się świat), trzeba zawsze być czujnym i nigdy niczego nie uznawać za definitywne; albo raczej nie wszystko, bo niektóre rzeczy naprawdę są nieodwracalne. A przecież prawdą jest także, że od początku widzimy, w innych i w nas samych, dużo więcej, niż się do tego przyznajemy przed sobą. Już ci mówiłem, że największy problem w tym, że zazwyczaj nie chcemy widzieć, nie mamy śmiałości. Nikt niemal nie odważa się patrzeć naprawdę, a tym bardziej wyznać lub powiedzieć sobie, co naprawdę widzi, bo często wcale nie jest przyjemne to, co się zobaczy lub dostrzeże nie dającym się oszukać spojrzeniem, tym najgłębszym spojrzeniem, które nie zadowala się nigdy przeniknięciem wszystkich warstw, lecz dotarłszy do tej ostatniej, nadal chce widzieć więcej. Na ogół tak jest zarówno w tym, co się tyczy innych, jak i nas, a większość ludzi, żeby nadal żyć z pewną ufnością i spokojem, potrzebuje trochę złudzeń i odrobiny optymizmu, ja nie dość, że to rozumiem, to w ciągu wielu dni mego długiego życia bardzo mi tej ufności i tego spokoju brakowało: trudno i nieprzyjemnie jest żyć z taką wiedzą i niczego więcej nie oczekując. Ale właśnie grupa zaproponowała albo postawiła sobie za cel odkrycie, do czego byliby zdolni ludzie niezależnie od okoliczności i jaka byłaby ich twarz jutro; odkrycie, by przytoczyć tu twoje i twojego ojca słowa, czy przyzwoite życie tych ludzi byłoby przyzwoite tak czy inaczej czy też dostali je na kredyt, czyli nie nadarzyła się żadna sposobność, by to życie zbrukać, żadne prawdziwe niebezpieczeństwo, by pojawiła się na nim nieusuwalna plama”. (Jeszcze go nie zapytałem o plamę, przypomniałem sobie nagle, tę, którą ubiegłej nocy starłem na

samej górze schodów, ale zaraz pomyślałem, że to nie jest dobry moment, poza tym nie miałem już tej plamy tak wyraźnie przed oczyma). „Można się tego dowiedzieć, bo ludzie mają swoje wszystkie potencjalne możliwości we krwi i jest tylko kwestią czasu, pokus i okoliczności, by te możliwości się spełniły. Tak więc można się tego dowiedzieć. Zdarzają się błędy, rzecz jasna, ale w wielu kwestiach trafia się w sedno. W każdym razie dostarcza ci to jakichś podstaw, nad którymi pracujesz, choć w swojej pracy głównie opierasz się na jakimś ryzykownym założeniu”. (Tu ma rację, pomyślałem. Wydaje mi się, że wiem, kto przyszedłby mnie rozstrzelać, gdyby pewnego dnia znowu wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, trzymam kciuki i odpukuję w niemalowane drewno i w żelazo, jak mówią Włosi; albo żeby strzelić mi prosto w skroń, bez zbędnych ceregieli, jak mojemu wujowi Alfonso. Zbyt wielu przyjaciół roztrwonilo moje do nich zaufanie, a kto nie jest wobec ciebie lojalny, nigdy ci nie wybaczy, że zawiódł twoje zaufanie; i – przynajmniej w moim kraju – im większa zdrada, tym większa zniewaga dla zdradzonego i tym większe poczucie krzywdy u zdrajcy. A co do wrogów, chyba tylko na nich nigdy mi nie zbywało, prawie nikomu ich nie brakuje). „Nieoczekiwanie trudne okazało się znalezienie ludzi potrafiących widzieć, interpretować, posługiwać się tym spojrzeniem beznamiętnie i spokojnie, nie błędząc po omacku jak ślepiec albo półślepiec”. (Wheeler coraz częściej używał hiszpańskich wyrażen albo słów, wyraźnie lubił te błyskawiczne wycieczki na obszar mego języka, nie miał wielu okazji, by nim mówić). „Już wówczas był to rzadki dar i szybko się przekonano, że takich osób jest jeszcze mniej, niż można się było spodziewać na początku, kiedy stworzyło się grupę naprędce albo pospiesznie i rzutem na taśmę, jej początkowym i pilnym zadaniem (potem to zboczyło w inną stronę albo uległo poszerzeniu), kiedy jeszcze trwała wojna, było nie tylko demaskowanie szpiegów i ich konfidentów, ale także wynajdywanie potencjalnych szpiegów i informatorów wśród naszych obywateli (mam na

myśli kobiety i mężczyzn, którzy mogliby się do tego nadawać), a także ludzi, którzy łatwo mogliby paść łupem szpiegów, gaduły nie umiejące oprzeć się pokusom, zawsze skłonne do nierozważnych pogawędek; i to zarówno na naszym terytorium, jak i gdziekolwiek na tyłach i w miejscach neutralnych, szpiegzy i konfidenci, i naiwniacy, i paple byli wszędzie, zapewniam cię, nawet w Kingston, mam na myśli Kingston na Jamajce, nie Kingston nad rzeką Hull ani Kingston nad Tamizą. Byli również w Hawanie, rzecz jasna”. (A więc Karaiby oznaczały Kubę i Jamajkę, przemknęło mi przez myśl, nie mogłem nie zarejestrować świadomie tej informacji. W jakim celu wysłali Petera w takie miejsca?). „W tamtym czasie zbyt wielu Brytyjczyków wyrobiło w sobie inkwizytorskie skłonności czy też paranoiczną wizję świata albo obie te rzeczy naraz i w swej podejrzliwości gotowi byli zadenuncjować wszystko, co się rusza, i dostrzec nazistę nawet w lustrze, zanim rozpoznali własne odbicie, więc tacy się w ogóle nie nadawali. Były też wielkie i rozkojarzone masy, które zazwyczaj mało widzą i nigdy się nie przyglądają, a jeszcze mniej dostrzegają, wydaje się, jakby mieli stale zatkane uszy i przepaskę na oczach albo w najlepszym razie maskę ze źle wyciętymi wążutkami otworami na oczy. Byli narwańcy i lekkoduchy, i napaleńcy tak chętni do udziału w czymś pożytecznym i ważnym (niektórzy nie mieli nawet złych intencji, biedacy), że gotowi wypalić bez skrupowania pierwszą lepszą głupotę, jaka przysłała im do głowy, więc opieranie się na ich sądach było jak granie w kości, ich oceny były bezwartościowe i pozbawione podstaw. Było wreszcie dużo takich ludzi, którzy podobnie jak dziś czuli odrazę, ba, paniczny lęk przed możliwym brakiem obiektywizmu i niesprawiedliwością swoich sądów: ci woleli nigdy się nie wypowiadać, przytłoczeni odpowiedzialnością i nie dającym się przewyciężyć strachem przed pomyłką, mając przed sobą jakąś twarz, zastanawiali się z trwogą: «A jeśli ten mężczyzna, którego uważam za godnego zaufania i uczciwego, okaże

się wrogim agentem i wielu rodaków straci życie z mojego powodu, a może i ja sam?»; «A jeśli ta kobieta, tak moim zdaniem podejrzana i dwuznaczna, jest całkiem niegroźna i zgubię ją swoim niewczesnym sądem?». Ci nie potrafili nawet wskazać nam właściwego kierunku. Tak więc choć zabrzmiało to głupio, od razu się okazało, że nie ma wielkiego wyboru, przynajmniej takiego, do jakiego miałyby się minimalne przekonanie. Trzeba było przeczesać szybko cały kraj, żeby zwerbować niewielką grupę, nie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób tutaj, w Anglii, plus jeszcze kilka tam, gdzieśmy byli, a kiedy wracaliśmy, przyłączaliśmy się. Większość wywodziła się z tajnych służb, z wojska, kilku z OIC, nigdy tej nazwy nie słyszałeś”, Wheeler dostrzegł moją skonsternowaną minę, „*Operational Intelligence Centre* marynarki, było ich niewielu, ale byli bardzo dobrzy, chyba najlepsi; i oczywiście z naszych uniwersytetów: zawsze zwracali się do uczonych, do rezydentów, gdy chodziło o wykonanie trudnych i delikatnych zadań. Trudno sobie nawet wyobrazić, jak wiele nam zawdzięczają od czasów wojny, kiedy już na serio zaczęli nas wykorzystywać, a w przypadku Blunta musieli dochować jego nietykalności i zawartego paktu aż do dnia jego śmierci i nawet do dnia Sądu Ostatecznego” („Umarliśmy w takim a takim miejscu”, zacytowałem w duchu), „choćby tylko z wdzięczności i w dowód uznania dla całego gremium. Rzecz jasna wszyscy musieliśmy przywyknąć do tego zajęcia, popracować nad sobą, udoskonalić nasz sposób patrzenia, dostroić słuch, praktyka wyostrza wszystkie zmysły i każdy dar, co sprowadza się do tego samego. Nigdy nie mieliśmy nazwy, nigdy nijak się nie nazywaliśmy, ani w czasie wojny, ani później. Przekonująco można tylko zaprzeczyć istnieniu lub ukryć istnienie czegoś, co nie ma nazwy: dlatego nic nie znajdziesz w książkach, nawet tych najbardziej udokumentowanych, co najwyżej poszlaki, zaklęcia, domysły, jakieś pojedyncze przypadki, urwane tropy. Tak było lepiej: pisaliśmy nawet raporty na temat wiarygodności

szefów takich, jak Guy Liddell, sir David Petrie, a nawet sam sir Stewart Menzies, myślę, że ktoś sporządził też raport na temat Churchilla, nie do końca wiarygodny, bo oparty na kronikach filmowych. W jakimś sensie postawiliśmy się ponad nimi, to były wielkie ćwiczenia w zuchwałości. Oczywiście nigdy się nie dowiedzieli o naszym wyczynie, to było na pół tajne. Z tego względu uważam, że poważnym błędem jest skłonność Tupry, by w prywatnych rozmowach (mam nadzieję, że tylko między nami, ale i tak stanowi to ryzyko) mówić o «interpretatorach osób» albo «tłumaczach życia», albo «przewidywaczach historii» i rzeczach w tym stylu: w dodatku jest w tym pewien tupet, jeśli się zaważy, że to on stoi na czele i zalicza się do grupy. Nazwiska, przezwiska, przydomki, pseudonimy, wszelkie eufemizmy są natychmiast podchwytywane i wchodzi do użycia, nim człowiek zda sobie z tego sprawę, w końcu nazywasz rzeczy i osoby zawsze w taki sam sposób i to szybko staje się nazwą, pod którą te rzeczy lub ludzie są znani. Potem nie można się już tego pozbyć ani zapomnieć” („A jednak odrzucamy nawet własne imię”).

Wheeler zamilkł i spojrzał na zegarek, tym razem przyjrzał się wskazówkom; potem zwrócił wzrok w stronę domu, fortepian pani Berry ciągle nam grał.

„Może pójde i sprawdzę co z obiadem, Peter?”, zaproponowałem. „Może jesteście spóźnieni? To moja wina”.

„Nie, utwór zaraz się skończy, zostało jeszcze króciutkie *minuetto*. Zawoła nas za pięć, teraz jest za dwanaście. Znam ten utwór”.

Kusiło mnie, żeby zapytać, co to jest, wolałem jednak, żeby mi odpowiedział na co innego, bałem się stracić nadarzącą się sposobność:

„Czy mam rozumieć, Peter, że to co nazywa pan grupą, nadal działa i kieruje tym teraz Mr Tupra?”

„Już do tego przechodzimy, chcę, żebyś wyświadczył mi w tym względzie pewną przysługę. Dla ciebie też byłoby to dobre, jestem pewien,

i już pozwoliłem sobie do niego zadzwonić, do Tupry, dzisiejszego ranka, kiedy ty jeszcze spałeś, żeby upewnić go co do twojej niewątpliwej przenikliwości, mam na myśli relację między nim i Beryl. Ale tak, przypuszczam, że można tak powiedzieć, aczkolwiek wszystko tak bardzo się zmieniło, że nic już prawie nie rozpoznaję. Dziś trudno mieć pewność, że cokolwiek albo w tym przypadku ktokolwiek pozostał taki jak kiedyś. O ile wiem, te nie mające nazwy obowiązki i działania przeszły wielką ewolucję i potrzebne są dzisiaj w innych celach. Wyobrażam sobie, że się zdegradowały, jak wszystko: to tylko realistyczne przypuszczenie, nie powoduje mną chęć krytykowania ani obwiniania kogokolwiek. Po prostu nie wiem. Spójrz na mnie: jestem tym, kim byłem wtedy? Czy mogę być na przykład tym samym mężczyzną, który był ożeniony z pewną bardzo młodą dziewczyną, która na zawsze taka została i która nie towarzyszy mi przez ani jeden dzień mego długiego starzenia się? Czy nie wydaje się, że ta możliwość, ten pomysł, ta oczywista prawda totalnie nie pasuje do tego człowieka, jakim stałem się potem? Albo do czynów, których się dopuściłem później, gdy ona już nie mogła być ich świadkiem? A nawet po prostu do mojego dzisiejszego wyglądu? Widzisz, ona była taka młoda. Jak mogę być dzisiaj tym samym człowiekiem?”

Wheeler znowu unióśł rękę do czoła, tym razem nie z powodu nagłego wyczerpania ani dlatego, że się przestraszył, to był odruchowy gest, jakby zaintrygowało go własne pytanie. Wówczas podjąłem próbę uzyskania odpowiedzi na inne pytanie, choć absurdalne mogło być stawianie go właśnie teraz, na kilka minut przed obiadem z panią Berry. Choć gdyby zechciał odpowiedzieć, nie sprawiłoby mu pewnie różnicy, gdyby zrobił to w jej obecności, ona musiała znać tę historię.

„Jak umarła pańska żona, Peter? Nigdy się tego nie dowiedziałem. Nigdy pana o to nie pytałem. Nigdy mi pan o tym nie opowiedział”.

Wheeler zdjął rękę z czoła i spojrzał na mnie zaczerwieniony, nie ze zdumienia ani ze złości, ale czujny.

„Dlaczego mnie o to teraz pytasz?”.

„Cóż”, powiedziałem z uśmiechem, „może dlatego, żeby nie robił mi pan później wyrzutów jak wtedy, gdy po całych wiekach się dowiedziałem, że był pan krótko na naszej wojnie, wyrzucał mi pan, że nigdy się tym nie zainteresowałem ani nigdy o to nie zapytałem. Więc pytam”.

Wheeler powstrzymał uśmiech, natychmiast odrzucając pokusę. Pogładził się po brodzie i mruknął, jak robił zazwyczaj Toby Rylands, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

„Hm”, to było to mruknięcie. „Hm”, mruknięcie z Oksfordu. Potem powiedział: „Czy aby nie dlatego, że niepokoisz się o Luisę i że nagle pomyślałeś o najgorszym, i zobaczyłeś we mnie swoje odbicie? Mam rację? Chyba się nie boisz, że zostaniesz wdowcem, zanim się rozwiedziesz, co? Uważaj na takie lęki. Oddalenie budzi wiele upiorów. Samotność także. A jeszcze więcej niewiedza”.

Wprawiło mnie to w lekką konsternację, to mógł być wybieg Wheelera, by uniknąć odpowiedzi, szybki zwrot. Ale nie zamierzałem pozwolić mu się wymknąć. Mimo wszystko zamyśliłem się na chwilę. Przypadkowo miał trochę racji, uznałem, że nie zaszkodzi, jeśli się o tym dowie, cieszyła go własna przenikliwość:

„Tak, trochę się niepokoję. O dzieci też oczywiście. Odkąd tu jestem, nie mam o nich dużo wiadomości, a jeszcze mniej o Luisie. Jest w tym jakiś brak przejrzystości, choć rozmawiamy względnie często. Nie wiem, kogo widuje, kogo nie widuje, kto przychodzi, kto wychodzi, to proces narastającej niewiedzy o niej, o jej zastępczym, a może wciąż zmieniającym się świecie. To prawda, że już dobrze nie wiem, co się dzieje w moim domu, nie mam już przed oczyma obrazów. Jakby te dawne, które były zawsze, utraciły światło i z każdym dniem bardziej pogrążały się



w ciemności. Ale nie dlatego zadałem panu to pytanie, Peter, lecz dlatego, że pan ją wspomniał. Wspomniał pan Valerie”. Ośmieliłem się wymówić to imię, tak bardzo prywatne, że nigdy wcześniej przed owym rankiem go nie słyszałem. Miałem poczucie, że popełniam nadużycie. „Z jakiego powodu umarła, proszę mi powiedzieć”.

Wtedy Wheeler przestał grać. Napiął i zacisnął szczęki, górne zęby wyrównały się z dolnym, jakby usiłował zebrać się w sobie, żeby głos mu się nie załamał, kiedy zacznie mówić.

„Ach...”, westchnął. „Jeśli pozwolisz, wolałbym opowiedzieć ci to innym razem. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu”. Zabrzmiało to, jakby prosił o przysługę, każde słowo sprawiało mu ból.

Nie zamierzałem nalegać. Przyszło mi do głowy, żeby zagwizdać melodię, którą słyszałem przed chwilą, jeden szczególnie wpadający w ucho fragment, by rozproszyć mrok, w którym nagle Wheeler się pogryzył. Ale musiałem mu wcześniej odpowiedzieć, moją reakcją nie mogła być cisza.

„Jak pan woli”, powiedziałem. „Powie mi pan, kiedy będzie chciał, a jeżeli nie będzie pan chciał, to mi pan nie powie”.

I zaraz potem zacząłem gwizdać. Wiem, że gwizdanie jest zaraźliwe, i takie też okazało się wówczas: Wheeler przyłączył się do mnie, z pewnością niechcący; nie na darmo znał ten utwór na pamięć, najprawdopodobniej sam też go grywał. Nagle jednak przerwał i powiedział:

„W gruncie rzeczy człowiek nie powinien nigdy niczego opowiadać”.

To właśnie powiedział Wheeler już na stojąco, kiedy tylko wstał, a ja wstałem od razu w ślad za nim. Chwycił mnie za łokieć, wsparł się na mnie, żeby stanąć pewnie na nogach. Pani Berry machała do nas z okna. Muzyka już ucichła i kiedy odwróciliśmy się tyłem do rzeki i ruszyliśmy w stronę domu, słychać było tylko nasze gwizdanie, ciche i nierówne.

Ciągle padało, a ja niestrudzenie patrzyłem przez okno na *square*, czyli plac, deszcz był miarowy, uspokajający, tak silny i nieprzerwany, że sam jeden zdawał się rozświetlać noc niczym metaliczne giętkie pręty albo włócznie bez końca, było tak, jakby ten deszcz wykluczył raz na zawsze bezchmurne niebo i odsunął każdą przyszłą pogodę na niebie, i nie pozwalał wyobrazić sobie, by mogło go nie być, podobnie jak nie można sobie wyobrazić braku pokoju, gdy panuje pokój, i braku wojny, gdy wojna jest tym jedynym, co istnieje. Mój tańczący sąsiad z naprzeciwka odtańczył ze swoją partnerką jakieś głupie *country square dances*, nieciekawe figury i miarowe *pas* po maszynowym ogniu gaelickich kroków, na to rozczarowujące zakończenie zabawy oboje wcisnęli sobie na głowy kapelusze kowbojskie, szaleni albo bardzo szczęśliwi. Teraz właśnie zgasili światło, w taki deszcz Mulatka pewnie zostanie na noc, ale żeby usiąść i przez chwilę pomyśleć o niej z sympatią, musiałem się upewnić, przez kilka minut patrzyłem więc na dół i dalej niż drzewa, dalej niż pomnik, obserwowałem plac na wypadek, gdyby ona się pojawiła wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. I wtedy spostrzegłem dwie postaci podchodzące do bramy mego domu, ją i psa, ona przykryta parasolem, a pies nieosłonięty niczym i biegający tu i tam – *tis, tis, tis*. Doszedłszy do fasady budynku, znikli mi prawie zupełnie z pola widzenia, stali przed bramą, niemal bezpośrednio pode mną, więc widziałem jedynie kawałek czaszy otwartego parasola. Rozległ się dzwonek, ten przy bramie. Zanim podszedłem do domofonu, popatrzyłem jeszcze na dół przez uniesione okno, wychylając się na próżno, schylając się (deszcz zmoczył mi kark i plecy): z mojej prostopadłej perspektywy widziałem tylko wybrzuszony kawałek materiału. Podniosłem słuchawkę. „Tak?” powiedziałem po angielsku, to było dokładne tłumaczenie z mojego języka, w którym myślałem i w którym nadeszła też odpowiedź:

„Jaime, to ja”, powiedział kobiecie głos. „Możesz mnie wpuścić? Wiem, że jest trochę późno, ale muszę z tobą porozmawiać. Zajmę ci tylko chwilę”.

Ludzie, którzy dzwoniąc do drzwi albo przez telefon, mówią tylko „to ja” i nie podają swego imienia, nigdy nie pamiętają, że „ja” nie oznacza nikogo, tacy ludzie zawsze mają pewność, że są bardzo lub wystarczająco obecni w myślach osoby, której szukają. Albo nie mają wątpliwości, że zostaną rozpoznani od pierwszego słowa i od pierwszej chwili bez potrzeby mówienia czegoś więcej – któż inny mógłby to być. I jeżeli kobieta z psem tak właśnie myślała, choćby nieświadomie i odruchowo, to miała rację. Bo istotnie rozpoznałem jej głos i nie zadając pytań, otworzyłem jej drzwi z mego mieszkania na górze, by mogła wejść nocą do mego domu, przyjść na górę i porozmawiać ze mną.

*Dla Carmen López M. – oby  
chciała nadal jeszcze mnie słuchać*

*Dla Sir Petera Russela,  
Któremu tą książką nadal spłacam dług  
za jego naprawdę wielki wpływ,  
a autorowi,  
za długoletnią przyjaźń*

**III**  
**Taniec**

Oby nigdy nas o nic nie proszono ani nawet nie pytano, o żadną radę, przysługę ani pożyczkę, nawet o użyczenie uwagi, oby inni nie prosili nas, byśmy słuchali o ich bolesnej udręce albo żalonych problemach takich samych jak nasze czy wysłuchiwali ich niezrozumiałych wątpliwości i błahych opowieści, które ludzie tak często między sobą wymieniają i które zostały już wszystkie spisane (gama tego, o czym można opowiedzieć, nie jest bardzo szeroka), czy też słuchali o ich frasunkach, jak to dawniej mawiano, któż ich nie ma i któż ich nie szuka, „sami wymyślamy nieszczęścia”, ten cytat często przychodzi mi na myśl, jest prawdziwy, gdy chodzi o nieszczęścia, które nas dopadają i obiektywnie rzecz ujmując, nie są nieuniknione; nie są katastrofą, wypadkiem, śmiercią, bankructwem, utratą pracy, plagą, głodem, okrutną opresją wobec kogoś, kto nic złego nie zrobił, historia w takie nieszczęścia obfituje, również nasza prywatna historia, mam na myśli nasz prywatny nie zakończony czas (bywa, że samemu szuka się utraty pracy, bankructwa i śmierci albo się je wymyśla). Oby nikt nigdy nie zbliżył się do nas i nie powiedział „Proszę cię” albo „Słuchaj”, to pierwsze słowa, które poprzedzają prośby, niemal każdą prośbę: „Słuchaj, może wiesz?...”, „Słuchaj, mógłbyś mi powiedzieć?...”, „Słuchaj, może masz?...”, „Słuchaj, chciałbym cię poprosić: o rekomendację, o informację, o twoje zdanie, o pomoc, pieniądze, wstawiennictwo albo o pocieszenie, o łaskę, o zachowanie tajemnicy bądź o to, żebyś zmienił się dla mnie i stał się kimś innym, lub żebyś dla mnie kogoś zdradził i skłamał czy coś przemilczał i tym sposobem mnie ocalił”. Ludzie ciągle o coś proszą, o wszystko, o rzeczy rozsądne i niedorzeczne, słuszne i przesadne, a także o to, co jest mrzonką – o gwiazdkę z nieba,

ludzie zawsze tak mówili i wielu obiecywało ją na każdym kroku, nadal jest obiektem marzeń; proszą bliscy i nieznajomi, ludzie w kłopotach i tacy, którzy sami kłopoty powodują, potrzebujący i opływający w zbytki, nie różnią się od siebie w tym względzie: nikt nigdy nie sprawia wrażenia, że ma czegoś pod dostatkiem, nikt nigdy nie jest zadowolony, nikt nie przestaje prosić, jakby zostało powiedziane: „Proś, niech usta ci się nie zamykają, proś zawsze”. Prawda zaś jest taka, że nigdy się tak nikomu nie mówi.

I wtedy zaczynasz wysłuchiwać, tak dzieje się najczęściej, czasami słuchasz z obawą, czasem czując się wyróżniony, w zasadzie nic tak nie łechce naszej próżności jak sytuacja, w której możemy się na coś zgodzić albo czegoś odmówić, nic – i to też szybko staje się jasne – tak nie kusi i nic nie jest równie przykre: świadomość, myśl o tym, że można powiedzieć „Tak” lub „Nie” albo „Zobaczymy”; i „Być może”, „Zastanowię się”, „Jutro ci odpowiem” albo „Chcę tego i tego w zamian” zgodnie z aktualnym nastrojem i własnym widzimisię, zależnie od tego, czy masz dużo czasu, szeroki gest i czujesz się znudzony czy też wprost przeciwnie, jesteś zagoniony, brak ci cierpliwości i czasu, i od tego, jaki akurat masz humor albo czy chcesz z tego drugiego zrobić swego dłużnika czy przetrzymać go w niepewności bądź czy chcesz się zaangażować, bo godząc się na coś lub czegoś odmawiając – w obu przypadkach, a może już przez sam fakt nadstawienia ucha – stajesz się wmieszany w sprawy proszącego, wikłasz się w nie, a może i zaplątujesz.

Gdy pewnego dnia damy datek miejscowemu żebrakowi, nazajutrz trudniej nam będzie odmówić, bo on będzie go oczekiwał (nic się nie zmieniło, nadal jest równie biedny, ja jeszcze nie zbiedniałem, dlaczego więc dziś nie, skoro wczoraj tak) i w pewnym sensie przyjęliśmy na siebie jakieś względem niego zobowiązanie: pomagając mu dotrzeć do kolejnego dnia, jesteśmy odpowiedzialni za to, by ten dzień nie obrócił się przeciwko

niemu, by nie okazał się dniem jego ostatniego cierpienia albo potępienia, albo śmierci, i powinniśmy podać mu przyjazną dłoń, aby go przetrwał, i tak dzień za dniem, może w nieskończoność, nie ma nic dziwnego ani absurdalnego w obyczaju odkrytym u niektórych pierwotnych – a może raczej bardziej logicznych – plemion, że kto uratuje życie innego człowieka, staje się tego człowieka strażnikiem, przyjmuje na siebie odpowiedzialność (chyba że pewnego dnia uratowany uratuje swego dobroczyńcę, wtedy wyrównują rachunki, każdy może iść wówczas w swoją stronę), jakby uratowany miał prawo mu powiedzieć: „Nadal żyję, bo ty tak chciałeś; to tak, jakbyś kazał mi narodzić się na nowo, musisz zatem mnie chronić, dbać o mnie i opiekować się mną, ponieważ gdyby nie ty, byłbym już poza wszelkim złem i niedosięgly lub prawie bezpieczny w niepewnej i na poły ślepej niepamięci”.

I odwrotnie, jeżeli pierwszego dnia odmówisz jałmużny miejscowemu nędzarzowi, drugiego dnia będziesz miał wrażenie, że jesteś mu coś winien, i to wrażenie może się potęgować trzeciego dnia i czwartego, i piątego, bo skoro żebrak wyprosił coś i przetrwał te dni bez mojego wsparcia, jakże odmówić mu zasługi i nie odwdzińczyć się za to, co już zaoszczędziłem? I każdego kolejnego ranka – po każdej kolejnej nocy, którą on przetrwa – będziemy coraz bardziej przekonani, że powinniśmy coś dorzucić, że teraz nasza kolej. (To, rzecz jasna, dotyczy tylko tych, którzy zauważają łachmaniarzy, większość mija ich obojętnie, omiata niewidzącym spojrzeniem i postrzega jako stertę szmat).

Wysłuchujesz żebraka, który podchodzi do ciebie na ulicy, i już jesteś zaangażowany; wysłuchujesz cudzoziemca albo kogoś, kto się zgubił, kto pyta o drogę, i jeżeli zmierzasz w tym samym kierunku, bywa, że postanawiasz mu towarzyszyć, a wtedy wasze kroki się łączą i jeden staje się wytrwałym bytem równoległym do tego drugiego, co jednak przez żadnego z was nie jest postrzegane jako zła wróżba ani jako dokuczliwość



lub przeszkoda, bo idziecie razem dobrowolnie, mimo że się nie znacie i może nawet nie rozmawiacie, przebywając razem ten kawałek drogi (cudzoziemca lub kogoś zagubionego zawsze można wyprowadzić w inne miejsce, wciągnąć w zasadzkę, zastawić na niego pułapkę, zostawić na bezludziu, złapać w potrzask); wysłuchujesz nieznajomego, który pojawia się w drzwiach twego domu, namawiając cię do czegoś, sprzedając ci coś lub głosząc ewangelię, zawsze stara się być przekonujący i zawsze mówi bardzo szybko, i przez sam fakt otwarcia drzwi już jesteś wplątany; słuchasz przez telefon przyjaciela, który nagłym lub histerycznym albo przymilnym tonem – nie, na pewno ton jest histeryczny – o coś cię błaga, czegoś od ciebie żąda lub nagle zaczyna grozić, i już poprzez sam ten fakt jesteś wplątany; słuchasz swojej żony i dzieci, które już prawie nie potrafią mówić do ciebie inaczej, niż prosząc o coś, to znaczy proszenie o coś jest jedyną formą rozmowy z tobą, jaką teraz znają ze względu na rosnący dystans i brak skupienia, i wtedy powinieneś sięgnąć po nóż lub ostrze, żeby przeciąć tę więź, która w końcu zacznie cię uwierać: ty sprawiłeś, że urodziły się te dzieci, które nie są i nigdy nie będą poza wszelkim złem i niedosięgle, ty również sprawiłeś, że urodziła je ich matka, która wciąż pozostaje jak one, bo teraz jest niewyobrażalna bez dzieci – tworzą jedno jądro, nigdy się wzajemnie nie wykluczają – a one są niepojęte bez tej postaci, która jest im wciąż potrzebna, tak bardzo potrzebna, że jedyne, co ci pozostaje, to ją dla nich chronić, dbać o nią i opiekować się nią – nadal uważasz, że to twoje zadanie – nawet jeśli Luisa nie w pełni ma świadomość tego i jest bardzo oddalona w przestrzeni, a w czasie także się oddala ode mnie z każdym dniem, z każdą następną kartką w kalendarzu. Nawet jeśli każda kolejna noc, którą udaje mi się wyprosić, przeżyć i przetrwać, jest coraz bardziej pochmurna i wciąż nie mogę jej zobaczyć, nie widzę jej.

Luisa nie uwikłała się ani nie zaplątała, ale zaangażowała się kiedyś z powodu pewnej prośby i pewnej jałmużny i mnie również trochę w obie te rzeczy wplątała, to było, zanim się rozstaliśmy i zanim wyjechałem do Anglii, kiedy jeszcze nie przewidywaliśmy postępującego oddalenia ani tego, że odwrócimy się do siebie plecami, ja przynajmniej nie przewidywałem, dopiero później człowiek uświadamia sobie, kiedy przestał ufać albo kiedy inni utracili do niego zaufanie – jeżeli w ogóle można to sobie uświadomić, w co ja w gruncie rzeczy nie wierzę; chcę powiedzieć, że dopiero potem, kiedy terażniejszość jest już przeszłością, stała się zatem tak zmienna i wątpliwa, że można ją opowiedzieć (można opowiedzieć tysiąc razy i nigdy nie będzie tak samo), uświadamiamy sobie, że wiedzieliśmy to również wtedy, gdy terażniejszość była jeszcze terażniejszością, nie była jeszcze zanegowana, jeszcze nie zmętniała ani nie pogrzyżyła się w półmroku, bo inaczej nie moglibyśmy opatrzyć jej datą, a przecież możemy, och tak, zazwyczaj wszystko potem opatrujemy datami z zatrwającą precyzją: „To było w dniu, kiedy...” mówimy lub wspominamy, jak robią ludzie w powieściach (które zawsze zmierzają do konkretnego momentu: wyznacza to ich fabuła, ona to dyktuje; chociaż nie wszystkie powieści znają swoje zakończenie), czasami gdy jesteśmy sami, innym razem w czyimś towarzystwie, dwie osoby przypominają sobie na głos: „To tamte słowa, które rzuciłaś mimochodem w swoje urodziny, obudziły moją czujność albo zapoczątkowały moje oddalenie”. „Twoja reakcja mnie rozczarowała, kazała mi się zastanowić, czy nie myliłam się co do ciebie, ale to by znaczyło, że myliłam się przez długie lata, może się zatem zmieniłeś”. „Nie znosiłem twoich ciągłych pretensji, były takie niesłuszne, że zastanawiałem się, czy nie są dla ciebie tylko pretekstem,

najlepszym sposobem, żeby mnie zmrozić; i rzeczywiście poczułem się zmrożony”. Tak, zazwyczaj wiemy, kiedy coś się rozpada, psuje lub zaczyna nas nużyć. Zawsze jednak mamy nadzieję, że się sklei, naprawi albo nabierze wigoru – czasami samo z siebie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – i że nie potwierdzi się to, co wiemy; albo jeśli widzimy, że sprawa jest dużo prostsza i że nudzi, nie podoba się albo odpycha coś, co mamy w sobie, podejmujemy wówczas dobrowolne próby, żeby się zmienić. Te próby podejmujemy jednak teoretycznie i bez przekonania. W rzeczywistości wiemy, że nam się nie uda, albo że sprawy nie zależą już od tego, co zrobimy i czego nie zrobimy. To samo uczucie mieli starożytni, gdy przywoływali w mowie lub w myśli zdanie zapomniane już, a raczej poniechane w naszych czasach: „Kości zostały rzucone”. I choć to zdanie zostało niemal zanegowane, takie uczucie wciąż się pojawia, znamy je. „Nic już na to nie można poradzić”, tak faktycznie mówię sobie czasami.

Przy wejściu do hipermarketu albo supermarketu, albo pseudomarketu, w którym Luisa robiła zakupy, koczowała przez kilka dni bardzo młoda kobieta, nie tylko była młoda, była też cudzoziemką i matką, i to podwójnie: miała dwoje dzieci, jedno kilkumiesięczne w zdezelowanym wózku i drugie starsze, ale też bardzo małe, dwu- albo trzyletnie (na tyle je oceniała Luisa, zauważyła, że pod krótkimi spodenkami nosiło jeszcze pieluchę), które pilnowało wózka niczym żołnierz, maleńki pretorianin bez broni; i ta młoda kobieta nie tylko była Rumunką czy Bośniaczką, a może Węgierką – choć to akurat najmniej prawdopodobne, nie ma ich dużo w Hiszpanii – lecz przede wszystkim wyglądała na Cygankę. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat i kiedy tam żebrała (nie każdego dnia, a może Luisa nie zawsze się na nią natykała), zawsze towarzyszyły jej dzieci, nie tyle, żeby wzbudzić większe współczucie – jak tłumaczyła sobie Luisa – ile dlatego, że najpewniej nie miała ich z kim zostawić. Dzieci były

jej częścią, tak samo jak ramiona. Stanowiły jej przedłużenie, b y ł y z n i ą, tak samo jak pies b y ł b e z ł a p y wedle wizji Alana Marriotta, kiedy ten zdecydował połączyć w wyobraźni swojego psa i tamtą inną młodą Cygankę i razem objawili mu się jako przerażająca para.

Całymi godzinami Rumunka tkwiła przy wejściu do hipermarketu, chwilami przysiadła na schodkach i siedząc, kołysała stojący na chodniku wózek, a starsze dziecko stało na warcie. Luisa zwróciła na nią uwagę nie z powodu tego *tableau vivant*, obrazu dość w każdym razie skutecznego i powszechnego, mimo że dziś zabrania się udziału dzieci w żebraniu. Luisa nie należy do osób, które nad wszystkimi się litują, ja też nie. A może i należymy, tak czy owak nie do tego stopnia, by zaraz sięgać do torebki, a w moim przypadku do kieszeni, ilekroć napotkamy na swojej drodze biedaka, nie moglibyśmy pozwolić sobie na taki wydatek w Madrycie, za mało się tu zarabia, a nasze nonszalanckie i bezduszne władze przenoszą wciąż do dużego miasta i wypuszczają beztrąsko na ulice kolejne fale nielegalnych imigrantów, którzy nie znają języka, kraju ani jego zwyczajów – ludzi, którzy dostali się tu przez Andaluzję albo Wyspy Kanaryjskie, albo przez Katalonię i Baleary, jeśli pochodzą ze Wschodu, urzędnicy nie wiedzą nawet, dokąd odesłać ich z powrotem – i mają się w nim jakoś urządzać bez papierów i bez pieniędzy, stale powiększającą się liczbę biedaków, w dodatku biedaków zbitych z tropu, dezorientowanych, zagubionych, zabłąkanych, mówiących w niezrozumiałym języku, bezimiennych. Luisa zatem na tę grupkę, jedną z wielu podobnych, zwróciła uwagę nie dlatego, że wzbudziła w niej jakieś szczególne współczucie: dostrzegła każdą osobę oddzielnie, jej uwagę zwróciła piękna młoda Bośniaczka i małeńki wartownik, chcę przez to powiedzieć, że zobaczyła ich jako ich, nie wydali jej się nierozróżnialni ani wymienialni jako obiekty współczucia, zobaczyła ludzi niezależnie od ich kondycji, funkcji i potrzeb, potrzeb oczywiście wielkich i rozpowszechnionych. Nie dostrzegła j a k i e j ś biednej matki

z dziećmi, lecz tamtą konkretną matkę z tamtymi konkretnymi dziećmi, szczególnie z tym starszym.

„Ma bardzo żywą i bystrą twarzyczkę”, powiedziała o malcu. „Najbardziej mnie wzrusza jego gotowość do pomocy, do opiekowania się braciszkiem, do bycia przydatnym. Ten malec nie chce być ciężarem, chociaż nic na to nie może poradzić i musi nim być, sam jeszcze nie potrafi o siebie zadbać. Taki mały, a już chce uczestniczyć, współpracować, jest taki opiekuńczy wobec niemowlęcia i tak uważa na to, co może się zdarzyć, i na to, co się dzieje. Spędza tam wiele godzin, nie ma czym się zająć, chodzi do góry i na dół po schodkach, pohaństa się chwilę na poręczy, stara się kołysać wózek, ale brak mu siły. Takie ma głównie rozrywki. Ale nie oddala się nigdy od matki, nie, nie brak mu żyłki awanturnika (wygląda na bardzo bystrego), ale jakby wiedział, że przysporzyłby jej dodatkowego zmartwienia, a przecież widać, że stara się pomóc matce jak może, jak potrafi, a potrafi niewiele. Czasami gładzi młodą kobietę i braciszka po policzkach. Rozgląda się wokół, na wszystkie strony, jest bardzo czujny, na pewno nic nie umyka jego bystremu spojrzeniu, żaden przechodzień, a niektórych, widzianych raz i drugi, rozpoznaje, na przykład mnie. Przykro mi się robi, jak widzę takie odpowiedzialne zachowanie, taką gorliwość, gotowość pomocy, tę wielką chęć bycia przydatnym. Jeszcze na to za wcześnie”. Umilkła na chwilę, a potem dodała: „Sam popatrz, jakie to absurdalne. Jest na świecie ledwie kilka chwil, a już przepełniają go troski, których nawet nie rozumie. Może dlatego nie czuje ich ciężaru, wygląda na radosnego i matka bardzo go kocha. Ale to pewnie niesprawiedliwe, nie mówiąc już o tym, że absurdalne”. Zamyśliła się na kilka sekund, gładząc się obiema dłońmi po kolanie, wcześniej przysiadła na sofie po mojej prawej stronie, dopiero co wróciła do domu i jeszcze nawet nie zdjęła płaszcza, obok na podłodze stały torby z zakupami, nie poszła wprost do kuchni. Zawsze podobały mi się jej kolana, w rajstopach i bez rajstop, na

szczęście nosiła zazwyczaj spódnice, więc mogłem je oglądać bez przeszkód. Potem powiedziała: „Przypomina mi trochę Guillerma, kiedy był taki malutki. Jego też mi było szkoda, nie chodzi mi o to, że oni są biedni. Kiedy widziałam, jak niecierpliwie chce uczestniczyć w toczącym się życiu, w obowiązkach i zadaniach, jak bardzo chce się dowiedzieć wszystkiego i być pomocnym, jak zdaje sobie sprawę z moich wysiłków i trudności. I chyba bardziej intuicyjnie albo bardziej dedukcyjnie z twoich też, sam pamiętasz, chociaż mniej cię widywał”.

Nie pytała mnie, przypominała mi to tylko albo potwierdzała moje wspomnienia. Ja wciąż pamiętałem, nawet w Londynie, kiedy nie widywałem syna i zaczynałem się o niego niepokoić: był bardzo cierpliwy i opiekuńczy wobec swojej siostry, często się z nią dzielił i zanadto jej ustępował, jak ktoś, kto wie, że to szlachetne i prawe, by silni zawsze ustępowali pozbawionym bezwzględności i agresywności słabszym, dziś to staromodna zasada, bo dziś silni są zazwyczaj bezduszni, a słabi despotyczni; był też opiekuńczy wobec swojej matki, a możliwe, że i wobec mnie teraz, kiedy uważał, że jestem na wygnaniu, daleko i samotny, i w jego mniemaniu lub rozumieniu osierocony, ludzie, którzy spełniają rolę tarczy, bardzo cierpią w życiu, podobnie jak wartownicy, zawsze wyteżony słuch i czujne oko. I ci, którzy chcą za wszelką cenę grać czysto, nawet podczas walki, gdy w niebezpieczeństwie znajduje się ich życie albo życie niezastąpionych najdroższych im osób, bez których nie potrafią lub prawie nie potrafią żyć.

„Guillermo się nie zmienił”, powiedziałem do Luisy. „Chciałbym, żeby zawsze był taki, a przecież czasami mam nadzieję, że się zmieni. W dzisiejszym świecie jest na przegranej pozycji. Sądziłem, że nauczy się bardziej pilnować swego, jak pójdzie do szkoły i tam się przekona, co mu grozi, ale lata mijają i wcale się na to nie zanoszą. Bywa, że się zastanawiam, czy jestem dobrym ojcem, nie ucząc go tego, co przydatne: podstępów,

wykrętów, zastraszania, przebiegłości, narzekania; i większego egoizmu. Powinno się, jak sądzę, przygotować na to własne dzieci. Ale niełatwo jest wpajać to, co przydatne, jeżeli samemu się w tym nie gustuje. Tak że on jest lepszym człowiekiem ode mnie na razie”.

„Na dodatek w jego przypadku to i tak mogło nic nie dać” odparła Luisa. I wstała jakoś w pośpiechu. „Wrócę tam, zanim sobie pójdą”. Dlatego wcześniej nie zdjęła płaszcza ani nie wypakowała zakupów, wiedziała, że nie zostanie jeszcze na dobre. „Zwykle daję tej dziewczynie kilka monet, ma tam kartonowe pudełko, dziś też wrzuciłam. Ale gdy wychodziłam, jak nigdy wcześniej poprosiła o coś jeszcze, odezwała się do mnie w takim dziwnym, kulawym hiszpańskim, trudno rozpoznać akcent, wtrąciła też jakieś słowa po włosku. Poprosiła, żebym kupiła jej chusteczki higieniczne dla dzieci, takie wilgotne, jednorazowe, bardzo wygodne do mycia, wyciąga się po jednej z opakowania. Odmówiłam, powiedziałam, żeby sama je sobie kupiła, przecież już dostała ode mnie pieniądze. A ona na to: «Nie, pieniądze nie, pieniądze nie». W kółko o tym myślę i chyba właśnie zrozumiałam, o co jej chodziło. Pieniądze zbiera pewnie dla męża albo dla braci, albo dla ojca, czy ja wiem, dla swoich mężczyzn. Nie odważyłaby się dotknąć tych pieniędzy bez ich pozwolenia, pewnie sama nie może decydować o najdrobniejszym wydatku, wszystko musi im oddać, a oni potem decydują, co kupić, pewnie pamiętając najpierw o własnych potrzebach. Chusteczki dla dzieci uznałoby za zbyteczne, za kaprys, nie daliby na nie pieniędzy, niech dziewczyna radzi sobie inaczej. A ja wiem przecież, że się przydadzą, te dzieci spędzają tam wiele godzin, będą miały odparzoną skórę, jeśli na czas ich nie umyje. Chyba pójdę i kupię jej te chusteczki. Nie wpadłam wcześniej na to, że ona nie rozporządza zarobionymi pieniędzmi, nie ma dla siebie ani centyma, dlatego poprosiła o konkretną rzecz, nic jej po pieniądzach. Zaraz wracam”.

Kiedy wróciła, zdjęła płaszcz. Zdążyłem do tego czasu rozpakować i porozkładać zakupy.

„I co? Byli jeszcze?”, zapytałem dość już zaniepokojony.

„Tak, pewnie tkwią tam aż do zamknięcia sklepu. Weszłam, kupiłam chusteczki i dałam jej. Nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszyła i jaka była wdzięczna. To znaczy ta dziewczyna zawsze jest wdzięczna, uśmiecha się, ilekroć daję jej drobne. Ale tym razem było inaczej, dostała coś dla siebie, do swojego użytku i dla dzieci, nie chodziło o zwykły datek, wszystkie pieniądze są takie same, jedna moneta nie różni się od drugiej. Ten starszy malec też bardzo się ucieszył, widząc, że mama się cieszy. Miał taką uroczystą minę, choć nie mógł przecież wiele rozumieć. Jest naprawdę pocieszny, a jaki bystry, nic mu nie umyka. Jeżeli życie nie da mu bardzo w kość, będzie z niego wielki optymista. Oby mu się poszczęściło”.

Wiedziałem, że Luisa zaangażowała się z powodu tej prośby, na którą odpowiedziała z opóźnieniem, a więc po namyśle. Nie była uwikłana ani zaplątana, lecz zaangażowana. Ilekroć pójdzie do supermarketu i zobaczy znowu młodą Węgierkę i jej maleńkiego optymistę, zastanowi się, czy jednorazowe chusteczki już się nie skończyły, bo przecież dzieci wciąż się brudzą i jeszcze długo będą ich potrzebować. A jeżeli nie zastanie dziewczyny, zastanowi się, gdzie jest, gdzie są oni wszyscy, nie do tego jednak stopnia, żeby się niepokoić albo rozpytywać (Luisa nie jest ekshibicjonistką, nawet wobec samej siebie, nie wtrąca się także w życie innych ludzi). Ale ja to wiedziałem, bo od tamtej chwili sam kilka razy zastanowiłem się, gdzie mogą być, a przecież nigdy ich nawet nie widziałem i oczekiwałem, że żona mi powie, jeżeli któregoś dnia dowie się czegoś nowego w tej sprawie.

Kilka tygodni później, kiedy wszyscy z lubością oddawali się zakupom przed zbliżającym się wielkimi krokami Bożym Narodzeniem, opowiedziała mi, że rumuńska matka znowu ją o coś poprosiła. „Dzień



dobry, *carina*”, tak odezwała się do niej dziewczyna, co kazało nam przypuszczać, że przed przyjazdem do Hiszpanii musiała się błąkać po Włoszech, skąd została pewnie bezceremonialnie wydalona przez brutalne, ksenofobiczne władze pseudolombardzkie, jeszcze bardziej grubiańskie i prostackie niż nasze pełne pogardy dla ludzi władze pseudomadryckie. „Jeżeli nie chcesz, powiesz nie, ale ja cię proszę jedna rzecz”, taki był jej uprzejmy wstęp, uprzejmość polega po części na stwierdzeniu tego, co oczywiste, to nigdy nie zawadzi, gdy taki nam przyświeca cel. „Mały chce ciasto. Ja nie mogę mu kupić. Ty możesz? Jeżeli chcesz? Jest tam, *detralángolo*”, i wskazała w stronę rogu ulicy, Luisa od razu zrozumiała, który sklep ma na myśli, dobrą i drogą cukiernię, gdzie sama często robiła zakupy. „Jeżeli nie chcesz, nie”, powtórzyła dziewczyna jakby świadoma tego, że chodzi o zwykły kaprys. Warto było jednak poprosić, bo to kaprys synka.

„Tym razem mały na pewno wszystko zrozumiał”, opowiedziała Luisa. „Przekazywała coś, czego pragnął, i on to wiedział. No cóż, niepewność na jego twarzy nie zostawiała cienia wątpliwości, biedak wstrzymał oddech w oczekiwaniu na moje tak lub nie, czy miał jak spodki”. (Jak podsądny w oczekiwaniu na werdykt, pomyślałem, nie przerywając jej. Ale podsądny optymistyczny). „Tak czy inaczej nie wiedziałam, co dokładnie ma na myśli, mówiąc «ciasto», poza tym sprawiali wrażenie, że dobrze wiedzą, o jakie konkretnie im chodzi, i chcą właśnie to, a nie inne, tak więc wszyscy razem, we czwórkę, musieliśmy pójść do cukierni, żeby mi to ciasto pokazali. Weszłam pierwsza, żeby ludzie w cukierni widzieli, że reszta jest ze mną, a i tak wielu klientów instynktownie odsunęło się z obrzydzeniem, rozstąpili się, jakby bali się czymś zarazić, myślę, że ona nie zdała sobie z tego sprawy albo zdążyła się przyzwyczaić i takie rzeczy nie robią już na niej wrażenia w przeciwieństwie do mnie. Chłopiec bardzo podniecony wskazał na ciasto za szybą, niewielki tort urodzinowy, a dziewczyna skinęła

głową na potwierdzenie. Wtedy powiedziałam im, żeby wracali we trójkę na swoje schodki – w cukierni był tłok, a my weszliśmy tam z wózkiem – ja tymczasem zaczekam na swoją kolej, kupię tort, każę sobie zapakować, a potem im przyniosę. W cukierni zeszło mi z piętnaście minut albo coś koło tego, a kiedy wyszłam z za rogu z pakunkiem w ręce, roześmiałam się na widok malca, który z wyrazem potwornego napięcia na twarzy wpatrywał się w narożnik ulicy, jestem pewna, że odkąd wrócił na swoje stanowisko, ani na sekundę nie spuścił tego miejsca z oka w oczekiwaniu na mój powrót ze skarbem: jakby w myślach cały ten czas biegał z czystej niecierpliwości, z niepokoju. Ten jeden raz oddalił się od matki i ruszył mi pędem na spotkanie, mimo że krzyknęła za nim: «Nie, Emil! Wracaj, Emil!». Biegał wokół mnie jak mały psiak”. Luisa wspominała z uśmiechem, rozbawiona tym wspomnieniem. Potem dodała: „I to wszystko”.

„Skoro spełniłaś jej prośbę, nie będzie teraz ciągle cię o coś nagabywać?”, zapytałam.

„Nie, nie wygląda na naciągaczkę. Od czasu chusteczek higienicznych spotkałam ją kilka razy i do dzisiaj o nic konkretnego mnie nie poprosiła. Któregoś dnia widziałam jej mężczyzn, kręcili się tutaj, przypuszczam, że jeden jest jej mężem, chociaż żaden nie zachowywał się jakoś szczególnie wobec niej i dzieci. To mogli być jej bracia albo kuzyni, albo wujowie, rodzina, stali obok niej we czterech czy pięciu i o czymś żywo rozmawiali, ona była z tej rozmowy wyłączona, i zaraz sobie poszli”.

„Pewnie jakaś mafia, przeprowadzają inspekcje, pilnują, żeby inni żebracy nie weszli w ich rewir. Wielu płaci za dobre miejsce, jakby płacili za wynajem, nawet w żebraniu jest konkurencja. A miejsce tej dziewczyny nie jest złe, nie utrzymałaby się tam bez ochrony. Jacy byli ci mężczyźni?”

„Typy spod ciemnej gwiazdy. Obawiam się, że w ich przypadku ja też bym się odsunęła, żeby się czymś nie zarazić. Paskudne mordy.

Naburmuszeni. Apodyktyczni. Aroganccy. Brudni. I wszyscy z telefonami komórkowymi i z sygnetami na palcach. Kilku nosiło kamizelki”.

Aha, pomyślałem, reakcja innych klientów w cukierni naprawdę zrobiła na niej wrażenie, będzie o niej pamiętać, gdy następnym razem zajdzie tam sama albo z naszymi nie znającymi biedy ani żebrania dziećmi: dotknęła ją ta reakcja do żywego. Jest zaangażowana. Ale to nie jest ani nie będzie nic poważnego. Ja także jestem zaangażowany, na pewno.

Przekonałem się o tym w Londynie. Bo nawet tam, z dala od Luisy i od naszych dzieci, nachodziła mnie niekiedy myśl o młodej Bośniaczce i jej dwóch chłopcach, odpowiedzialnym małym optymiście bezpieczeństwa i jego braciszku w zdezelowanym wózku, mimo że sam nigdy ich nie widziałem ani nie słyszałem, znałem ich tylko z opowiadań Luisy. Nie zastanawiałem się, jak im się wiedzie, czy im się poszczęściło, lecz przede wszystkim – może to dziwne, a może nie – zadawałem sobie pytanie, czy są jeszcze na świecie, jakby to był konieczny warunek, żeby poświęcić im krótką, ulotną myśl bez konkretnej treści. A przecież tak nie było: choćby odeszli już z tego świata z powodu jakiegoś nieszczęścia albo okropnej pomyłki, na skutek jakiejś niesprawiedliwości lub wypadku czy morderstwa, to stali się już jedną z historii, które usłyszałem i dołączyłem do swoich, byli jednym z gromadzonych przeze mnie obrazów, mamy nieskończoną zdolność przyswajania takich obrazów (wszystkie się dodaje, żadnego nie odejmuje), prawdziwych i wymyślonych, jak to, co oparte na faktach i co nieprawdziwe, stale narażamy się na nowe historie i na kolejny milion zdarzeń, i na wspomnianie istot, których nigdy nie było, nie postawiły stopy na ziemi ani nie przemierzyły świata, a jeśli nawet przezeń przemknęły, to są już prawie bezpieczne w swej własnej błogosławionej nieważności albo w błogiej o nich niepamięci. Mały Emil przypominał kiedyś Luisie naszego Guillerma z dawnych lat, gdy ten był dwu- albo trzyletnim dzieckiem, teraz natomiast nasz starszy już syn przypominał mi

lub nam – zawsze przecież myślimy o dzieciach – o malutkim nieważnym Węgrze, podczas gdy ten podjął pewnie dalszą drogę i w narzuconym mu życiu nomady wyjechał do innego kraju albo nawet nie istniał już w czasie, wyrzucony wcześniej poza jego nawias na skutek jakiegoś niefortunnego zdarzenia bądź spotkania, jak często przytrafia się ludziom, którym spieszno, by uczestniczyć w świecie, w jego zadaniach, dobrodziejstwach i strapieniach.

Niekiedy więc budziłem się w środku nocy, albo tak sądziłem, zlany potem czasami i niespokojny zawsze, i wciąż we śnie lub wydobywając się ze snu niezdarnie i z opóźnieniem, zadawałem sobie pytanie: czy są jeszcze na świecie? Czy moje dzieci są jeszcze na świecie? Co się z nimi dzieje tej odległej nocy, w tej właśnie chwili, w przestrzeni dawniej mojej, co się z nimi dzieje właśnie teraz? Nie mogę się tego dowiedzieć, nie mogę wejść do ich pokoi, żeby sprawdzić, czy wciąż oddychają, czy pojękują przez sen, czy telefon dzwonił, żeby mnie zawiadomić o czymś złym, czy rozbrzmiał tylko w moim mętym śnie? Czy miał mnie zawiadomić, że już ich nie ma, zostali wyrzuceni poza czas, co mogło się stać? Jak mogę być pewien, że w tej właśnie chwili Luisa nie wybiera mego numeru, by powiedzieć mi o tragedii, którą przeczułem? A może z płaczu nie mogłaby mówić i to ja powiedziałbym do niej: „Cicho, uspokój się, powiedz mi, co się stało, wszystko będzie dobrze”. Ale ona nigdy by się nie uspokoiła ani nie umiałaby mi tego wytłumaczyć, bo są rzeczy, których nie da się wytłumaczyć, ani nie ma na nie rady, są smutki, których nigdy nic nie ukoi. I kiedy sam powoli się uspokajałem – kark uparcie wilgotny od potu – i docierało do mnie, że to wszystko z powodu odległości i lęku, i snu, i przekleństwa niewidzenia – kark nigdy nie widzi, nie widzą też oczy na wygnaniu – wtedy za sprawą skojarzenia pojawiło się to drugie pytanie, niepotrzebne, znośne: czy te rumuńskie dzieci ze schodków przed supermarketem są jeszcze na świecie, czy jest na świecie ich młoda matka

Cyganka? Nie mogę się tego dowiedzieć i w gruncie rzeczy to mnie nie dotyczy. Na pewno nie dowiem się dzisiejszej nocy, a jutro zapomnę spytać o to Luise, jeżeli zadzwoni akurat do mnie albo ja do niej (to nie jest umówiony termin), bo za dnia już nie będzie mnie tak obchodzić, czy ona wie, co się z nimi stało, nie tutaj, w dalekim Londynie, czyli tu, gdzie jestem, tak, teraz sobie przypominam, teraz pojmuję, to okno i to niebo, to falujące gwizdanie wiatru, ten ożywiony szum drzew, który nigdy nie jest apatyczny i ospały jak szum rzeki, to ja wyjechałem do innego kraju, nie tamten maluch (może nadal wędruje po moich ulicach), za kilka godzin pójdę do pracy w tym mieście i Tupra będzie tam na mnie czekał, Bertram Tupra nigdy nie ma dosyć, zawsze czeka nienasycony, uważa, że nic nie przekracza ludzkich możliwości, zawsze chce od nas więcej i więcej, ode mnie, od Mulryana i od Pérez Nuix, i od Rendela, i od każdej z nowych twarzy, które mogą się pojawić u jego boku jutro, łącznie z naszymi, gdy będą już nie do poznania, bo staną się takie zdradzieckie albo takie zużyte.

Proszenie, proszenie, prawie nikt go sobie nie odmawia, prawie wszyscy podejmują próbę, któż tego nie robi: możliwe, że spotkam się z odmową – tak myśli sobie każdy, nawet ten, kto nie myśli – ale jeśli nie poproszę, nic nie dostanę, mam to jak w banku; poproszę, nie mam nic do stracenia, jeżeli tylko nie będę robić sobie zbyt wielkich nadziei. I ja tu jestem w wyniku prośby, początkowo, po części, myślałem w swoim londyńskim półśnie, to Luisa poprosiła, żebym odszedł, ustąpił pola, wyprowadził się z domu i ułatwił jej sytuację, i zostawił wolną drogę komuś, kto będzie mógł przyjść, bo w ten sposób wszystko stanie się bardziej klarowne dla nas obojga, nie będziemy sobie nawzajem przeszkadzać. Spełniłem jej prośbę, dostosowałem się, wysłuchałem jej: odszedłem i wyruszyłem, usunąłem się i szedłem, aż dotarłem tutaj i jeszcze nie wracam. Nawet nie wiem, czy już zakończyłem ten marsz. Może nie wrócę, może nigdy nie wrócę, chyba że pojawi się inna prośba, na przykład taka: „Przyjedź, wcześniej tak bardzo

się myliłam. Zajmij znowu miejsce przy mym boku, nie potrafiłam wcześniej wyraźnie cię zobaczyć. Chodź. Chodź do mnie. Wróć. I zostań na zawsze”. Ale minęła kolejna noc, a ja wciąż takiej prośby nie słyszę.

Młoda Pérez Nuix też chciała o coś poprosić, długo się wcześniej wahając, czy to zrobić. Chciała czegoś, może czegoś, na co nie zasługiwała, wzięwszy pod uwagę, jak długo szła za mną niezdecydowana, czy podejść, w ulewnym wieczornym deszczu, w dodatku ciągnąc przemoczonego i pozbawionego osłony przed deszczem psa albo sama ciągnięta przez niego. Nie musiałem się nad tym zastanawiać, ja to wiedziałem, gdy rozpoznałem jej głos w domofonie i otworzyłem z góry drzwi na dole, żeby mogła wejść i porozmawiać ze mną, tak jak zapowiedziała, „Wiem, że jest trochę późno, ale muszę z tobą porozmawiać, zajmę ci tylko chwilę” (powiedziała to w moim języku i nazwała mnie Jaime: tak samo jak zrobiłaby Luisa, gdyby to ona przyszła). Wiedziałem to, gdy słyszałem, jak wchodzi niespiesznie stopień po stopniu z przemoczonym pointerem i jak pies otrząsa się z wody, nareszcie pod dachem i nareszcie skutecznie (niezrozumiałe w swym uporze niebo już go ponownie nie zmoczy): przystawała na fałszywych podestach czy też maleńkich zakolach moich schodów bez narożników albo stale zaokrąglonych, przykrytych wykładziną dywanową jak niemal wszystkie angielskie schody, dzięki temu wsiąka w nie woda, wszyscy się na nich otrzepujemy, tyle tu deszczowych dni i jeszcze więcej deszczowych nocy; słyszałem też, jak Pérez Nuix przecina powietrze zamkniętym parasolem, parasol już nie skrywał jej twarzy, możliwe, że wykorzystywała każdy krótki przystanek i każde otrząsanie się psa, żeby przejrzeć się szybko w lusterku – oczy, brodę, skórę albo usta – i poprawić włosy, włosy zawsze nasiąkają wilgocią mimo nakrycia głowy (nie widziałem wcześniej, czy przykrywał je kapelusz, chustka, czapka czy przekrzywiony na jedną stronę nudny beret, nigdy chyba nie widziałem jej głowy poza biurem i poza naszym budynkiem bez nazwy). Wiedziałem to

już wówczas, gdy jeszcze nie wiedziałem, że to ona ani kim jest, kiedy była po prostu jakąś kobietą, obcą lub wyrachowaną, zagubioną lub ekscentryczną, bezradną lub niewidomą na pustych ulicach, w płaszczu, w wysokich butach i z tym przyjemnym udem, które mignęło mi w pewnej chwili (a może był to tylko wytwór mojej wyobraźni, niepoprawne *desideratum* całego życia, ugruntowane od wczesnej młodości, które nigdy nie słabnie ani, jak obserwuję, nigdy nie mija), kiedy się nachyliła, by pogłaskać psa i szepnąć mu coś do ucha. Niech to ona do mnie podejdzie, pomyślałem wówczas, zatrzymując się nagle, odwracając i patrząc w jej stronę, jeżeli czegoś ode mnie chce albo jeżeli za mną idzie. To jej problem. Z jakiejś przyczyny za mną szła albo wciąż jeszcze idzie, na pewno nie dlatego, żeby nie porozmawiać. I faktycznie był po temu powód, chciała ze mną porozmawiać i o coś poprosić.

Spojrzałem na zegarek, rozejrzałem się po mieszkaniu, czy nie ma nadmiernego nieporządku, aczkolwiek nigdy nie mieszałem u siebie bałaganu (ale właśnie dlatego my, porządnicy, sprawdzamy porządek, ilekroć ktoś przychodzi do nas z wizytą). Jak na Anglię było rzeczywiście trochę późno, nie było późno jak na Hiszpanię – tam wiele osób dopiero wybiera się na kolację albo zastanawia nad wyborem restauracji, w Madrycie noc dopiero się zaczyna, a Nuix była półkrwi Hiszpanką, może trochę mniej – Luisa mogła właśnie wychodzić z domu, żeby spędzić długą noc ze swoim domniemanym adoratorem bon-vivantem, którego nic nie obchodziły moje dzieci ani nie chciał wejść dalej niż za próg (ani też – szczęśliwie – zająć mego miejsca). To jej problem, pomyślałem sobie wówczas pod niekończącymi się włóczękami deszczu i teraz pomyślałem ponownie, stojąc w otwartych drzwiach w oczekiwaniu na jej nadejście, trochę dyszała, idąc po schodach, miała już za sobą długi spacer, słyszałem, jak dyszeli oboje, ona też, nie tylko pies, kilka chwil wcześniej sam też dyszałem na schodach i potem na górze – dwie minuty na wyrównanie



oddechu – ja również przeszedłem wcześniej kawał drogi przez place i pustymi ulicami, i obok pomników. To jej problem, myślimy błędnie lub połowicznie, to jego problem, gdy ktoś szykuje się, żeby o coś nas poprosić. To także mój problem, powinniśmy zawsze dodać albo, powiedzmy, załączyć. To będzie bez wątpienia mój problem od chwili, kiedy prośba wyjdzie z jej ust, z jej gardła, od chwili, kiedy ja ją usłyszę. Kiedy oboje już ją usłyszymy, bo wtedy proszący wie, że jego prośba poszybowała w powietrzu i nie można jej zignorować, ponieważ znalazłszy się w powietrzu, dotarła do swego przeznaczenia.

Na początku młoda Pérez Nuix mówiła bez ustanku, wypełniła sobą powietrze – to taka forma odwleczenia tego, co naprawdę chce się powiedzieć – równocześnie zdejmowała płaszcz, podała mi parasol, jakby oddawała mi swój miecz, i pytała, co zrobić z psem, który jeszcze strzepywał z siebie pojedyncze krople wody.

– Może zaprowadzę go do kuchni? – zapytała. – Inaczej wszystko ci zamoczy.

Spojrzałem na nieszczęsnego pointera, nie wyglądał na psa, który kiedykolwiek się sprzeciwia.

– Nie, zostaw go. Należy mu się trochę szacunku. Będzie mu różnie z nami. Szybciej wyschnie na wykładzinie, tak czy owak jest już bardzo *batallada*. – Od razu zdałem sobie sprawę, że użyłem dziwaczego wyrażenia, ni to hiszpańskiego, ni to będącego adaptacją jakiegoś wyrażenia angielskiego, możliwe, że oba te języki nie tyle zaczynały mi się mylić, ile zaczynały mnie zawodzić, bo prawie ciągle mówiłem po angielsku, a będąc sam, myślałem po hiszpańsku. Być może traciłem swoje umocowanie i w jednym, i w drugim, nie byłem przecież dwujęzyczny od dzieciństwa jak Pérez Nuix. Dodałem: – Mam na myśli, że jest bardzo *sufrida*. – Wcale nie byłem pewien, czy to właściwe słowo, moja matka używała go w innym znaczeniu, odnosząc je raczej do wyblakłego koloru jakiejś materii, a nie jej zużycia. Matka mówiła świetną hiszpańszczyzną, dużo lepszą niż moja, bardzo zanieczyszczona.

Powiedziałem tylko tyle, gdy tymczasem mój gość przeproszał: wybacz, że przychodzę o tak późnej porze, wybacz, że bez uprzedzenia, wybacz, że jestem cała mokra i w dodatku mam ze sobą jeszcze bardziej mokrego psa, musiałam go wyprowadzić, bądź tak miły i daj mi jakiś ręcznik, spokojnie,

to dla mnie, nie dla psa, czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zdejmę na chwilę botki, są niby nieprzemakalne, ale na taki deszcz nie ma mocnych, przemarzły mi stopy. Powiedziała to w potoku innych słów, lecz nie zdjęła butów – może taka pozostałość oględności – rozpięła w nich tylko suwaki, a po chwili znowu je zapięła, właściwie trochę się nimi bawiła, raz przesuwając je w dół, raz do góry, ze dwa razy w mojej obecności, cały czas siedząc, bo wcześniej zmusiłem ją, by usiadła, gdy sam poszedłem do kuchni, żeby zostawić tam niepotrzebne jej teraz części garderoby obok moich, już wyschniętych, wcześniej spędziłem przecież jakiś czas, wyglądając przez okno, a ona, kiedy już zobaczyła, gdzie mieszkam, długo nie mogła się zdecydować, co zrobić, to znaczy nie mogła się zdecydować, czy nacisnąć dzwonek i dać się rozpoznać bez podawania imienia. Prawdę mówiąc, trudno mi było uwierzyć, że pracując tam, gdzie oboje pracowaliśmy, i mając pod ręką archiwum, nie знаła wcześniej mojego adresu, mogła była poczekać pod domem bez konieczności śledzenia mnie tak długo w ten nieprzyjemny wieczór, a jeszcze wygodniej byłoby poczekać w holu hotelu naprzeciwko, widziałyby stamtąd, że wracam, albo zauważyłyby zapalone światło (jakkolwiek kiedy mnie nie ma, zawsze w mieszkaniu pali się jakieś światło, za dnia i w nocy) i przeszłyby wtedy przez plac, specjalnie nawet nie mokrząc. Zapytałem, czy się czegoś napije, czegoś gorącego, alkoholu, wody, nic na razie nie chciała, zapaliła papierosa, w naszym biurze mimo zakazu paliliśmy wszyscy z wyjątkiem Mulryana, który usiłował rzucić, nadal szybko i dużo mówiła, żeby nie przejść do rzeczy albo do tej jednej sprawy, którą winna mi była powiedzieć, co za wieczór, jakby miało padać do końca świata, nie, tak nie powiedziała, powiedziała coś podobnego, lecz równie trywialnego, jeżeli ktoś udaje, że w jego niezwykłym zachowaniu nie ma nic niezwykłego, może się zdarzyć, że to zachowanie w końcu wcale nie wyda się niezwykłe, ta banalna sztuczka odnosi skutek w przypadku

sennej lub biernej większości, nie ma to jak być bezwstydnie bezczelnym, lecz ani ona, ani ja, ani Tupra, ani Wheeler nie należeliśmy do większości, my nie wypuszczaliśmy zdobyczy z rąk ani nie dawaliśmy się skołować, nigdy nie traciliśmy wątku ani naszych celów z pola widzenia, traciliśmy tylko częściowo albo na pozór. Dopiero po dłuższej chwili założyła nogę na nogę, jakby niezdecydowanie względem suwaków w botkach było możliwe tylko przy nogach ułożonych równolegle i zgiętych pod kątem prostym, nie wytarła nóg ręcznikiem, który szybko jej podałem (miała na sobie przydymione rajstopy, nie ciemne ani nie przezroczyste, dostrzegłem zaciągniętą nitkę, pójdzie od niej oczko, chociaż to były grube zimowe rajstopy), lecz użyła go do twarzy, rąk, szyi, karku, tym razem nie wytarła się z obu boków ani na piersiach, ani pod pachami, żadna z tych części ciała nie była widoczna. Udo było tym samym, które wcześniej dostrzegłem z daleka, gdy na ulicy rozchyliły jej się poły płaszcz, tyle tylko że teraz mogłem widzieć oba uda jako całość, jak widzi się je zazwyczaj, miałem dobry pretekst, spoglądając na leżącego przy jej nogach psa, a jeszcze lepszy, gdy nachylałem się, żeby psa pogłaskać, przypomniało mi się, jak u Wheelera podczas bufetowej kolacji De la Garza skulił się na pufie do rozmiarów krasnoludka, by przyjrzeć się pozbawionym kompleksów udom Beryl Tupry pod minispódniczką (aczkolwiek trudno powiedzieć, że „pod”, raczej „poza” minispódniczką, a może wcale nie na jej uda wtedy czatował). Spódnica Pérez Nuix nie była taka krótka czy też nie bardzo krótka, jakkolwiek trochę albo dość znacznie podjeżdżała w górę przy siadaniu; tak czy owak ja nie posunąłbym się do takich szczeniackich sztuczek, gapienie się nie jest zasadniczo w moim stylu, a przynajmniej nie z jakąś ukrytą intencją, a tu by taka była – być może to resztką oględności z mojej strony.

– Co za wieczór, jakby miało padać do końca świata – powtórzyła to zdanie albo jakiś jego bardziej prozaiczny wariant, co oznaczało, że

wyczerpały jej się wszelkie wstępy i manewry kierujące uwagę w inną stronę, a także obliczone na zwłokę bawienie się suwakami (były podciągnięte, choć nie do końca) i ręcznikiem, ręcznik nadal trzymała w ręce opartej na sofie, ścisła go, jak ścisła się użytą już raz chusteczkę do nosa, która w każdej chwili może znowu okazać się potrzebna, kiedy się kicha raz za razem, nigdy nie wiadomo, czy jeszcze jest jakaś w zapasie. Nogi miała bardzo odsłonięte, musiała być świadoma, jak bardzo, ale jej zachowanie wcale na to nie wskazywało – nie było oczywiste, a gdy coś nie jest oczywiste, zawsze nabieramy wątpliwości, choćby wszystko wydawało się jasne. Jest w tym względzie bardzo inteligentna, pomyślałem. Na tyle inteligentna, że nie może nie być świadoma tego, co pokazuje, a równocześnie jej całkowita naturalność – nie jest nieskromna ani nie jest ekshibicjonistką – przeczy tej świadomości, przeczy nawet temu, by ów szczegół miał jakiegokolwiek znaczenie, podobnie jak owego ranka w gabinecie, gdy niczym się nie przykryła przez kilka sekund – może nie bardzo, lecz wystarczająco długo – a ja wyciągnąłem z tego oczywisty wniosek, że nie spisywała mnie na straty, nie wykluczała: nic ponadto, nie zacząłem snuć planów, nie myślę, żebym był aż tak zarozumiały, jest przepaść między odczuwaniem pożądania a nieodtrąceniem kogoś, między potwierdzeniem a niewiadomą, między gotowością zrobienia czegoś a zwykłym brakiem jakiegokolwiek planu, między „tak” a „może”, między „dobrze” a „zobaczmy” albo nawet mniej niż to, czyli „no cóż” bądź „ach tak” lub czymś, co nawet nie formułuje się jako myśl, jest stanem zawieszenia, przestrzenia, pustką, nigdy tego nie brałem pod uwagę, nie przyszło mi to nawet do głowy, nawet mi przez myśl nie przeszło. Ale w mojej pracy uczę się obawiać wszystkiego, co przechodzi przez myśl, a nawet tego, czego myśl jeszcze nie wie, bo zauważyłem, że niemal zawsze wszystko już gdzieś tam było, nim przyszło na myśl lub przebiegło przez myśl. Uczę się zatem obawiać nie tylko powziętej myśli, lecz również

tego, co ją poprzedza albo jest od niej wcześniejsze i nie jest ani wizją, ani świadomością. I tak oto wszyscy jesteście swoim własnym bólem i gorączką albo możecie być, a wtedy... wtedy, kto wie, pewnego dnia możecie usłyszeć jakieś „tak” w odniesieniu do czegoś lub wypowiedziane przez kogoś, kto nie został jeszcze spisany na straty: zależnie od zagrożenia albo wrażliwości, albo niepewności, albo oczekiwanej przysługi, albo przykrości, albo zaangażowanych interesów, albo rewelacji bywa, że dokonuje się spóźnionych odkryć, czasami po zaskakującym i ciągnącym się długo na wpół lubieżnym śnie bądź na jawie po kilku schlebiających słowach, naprawdę nie trzeba koniecznie samemu być obiektem namiętności, wszystko jest jeszcze bardziej zdradzieckie: ktoś wreszcie wyraża się jasno i skupia na sobie naszą uwagę, toteż widząc tę osobę, jak mówi z taką zapalczywością i uczuciem, zaczynamy zwracać uwagę na usta, z których wypływają te refleksje, argumenty lub opowieść, i rozważamy, czy tych ust nie pocałować, któż nie doświadczył zmysłowości inteligencji, nawet głupcy są na nią podatni i wielu nieoczekiwanie jej ulega, chociaż nie umie tego nazwać ani rozpoznać. Kiedy indziej znowu uświadamiamy sobie, że już nie potrafimy obejść się bez kogoś, kto nam się wydawał jak najbardziej niekonieczny, albo że jesteśmy skłonni podjąć wszystkie kroki, aby dotrzeć do kogoś, w którym kierunku nie wykonaliśmy ani jednego kroku przez połowę życia, bo zawsze to on albo ona brali na siebie pokonanie dystansu i dlatego byli ciągle pod ręką. Aż nagle pewnego dnia męczy ich ten wysiłek lub bierze w nich górę uraza, lub opadają z sił, lub umierają, a wtedy wpadamy w panikę i rzucamy się, żeby ich odnaleźć, miotani niepewnością i porzuciwszy wszelkie pozory czy rezerwę, znienacka stajemy się niewolnikami tych, których sami mieliśmy w niewoli, nie spytawszy ich nigdy o inne pragnienia lub wierząc, że ta niewola była jedynym, czego świadomie pragnęli. „Nigdy nie czuliście do mnie tego, co ja czułam do

was, choć do tego nie dążyłam; trzymaliście mnie na dystans, nie dbając nawet o to, czy kiedykolwiek ponownie się spotkamy, wcale wam tego nie wyrzucam; ale będziecie żałować mego odejścia, będziecie żałować mojej śmierci, bo człowiekowi sprawia przyjemność i kontentuje go świadomość, że jest kochany”. Często cytuję te słowa lub je sobie powtarzam, zastanawiając się, czyjego odejścia będę niespodziewanie żałował albo kto, ku swemu zaskoczeniu, będzie czuł żal po mojej śmierci; cytuję niedokładnie lub bardzo swobodnie, to pożegnalny list napisany dwieście z górą lat temu przez starą ślepą kobietę do człowieka powierzchownego, cudzoziemca, jeszcze młodego i z dobrą prezencją.

Ona mnie nie spisuje na straty, nie wyklucza, ale nic ponadto, pomyślałem. Pokazuje beztrosko nogi, a robiąc to, nie spisuje mnie na straty, nic więcej, tylko tyle, to ja zwracam uwagę i mam to na względzie. W rzeczywistości to nic nie jest.

Wykorzystałem wówczas powtórzenie przez nią tego samego zdania i nagle zamilknięcie, miała świadomość, że się powtarza, i zmieszała się z tego powodu. Do niej należało wyjaśnienie, po co przyszła, lecz gdy nagle umilkła, poczułem się w obowiązku przypomnieć jej o tym.

– O czym miałaś ze mną porozmawiać? O czym chcesz mówić?

Po prostu to odwlekała, być może taka zwłoka jest konieczna, by doszło do jakiegokolwiek transakcji, rzadko kiedy można od razu przejść do rzeczy, nie powodując obrazy ani nie zachowując się przy tym jak jakiś mafioso lub bezceremonialny, pogardliwie traktujący ludzi multimilioner, nawet oni, jak dawni władcy, przestrzegają swoich ceremoniałów (kiedyś zauważył to i podkreślił pewien słynny, pogrążony w rozmyślaniach szekspirowski król), a przynajmniej przestrzegali ich ci ze starej szkoły niezależnie od tego, czy byli Włochami, jakkolwiek z tego, co wiem i miałem okazję zauważyć w Londynie, dzisiejsi już dużo częściej się bez ceremoniałów obywają. Odwlekała wyjaśnienia, w żadnej mierze jednak nie zamierzała

przed nimi uciec, zrobiwszy już tak wiele kroków, nie zamierzała się wycofać, przysłała do mnie bez uprzedzenia, nocą, mimo że widzieliśmy się kilka godzin wcześniej i że za kilka godzin miała mnie zobaczyć znowu w pracy, musiała zatem zostawić swe nieuniknione wątpliwości na ulicy w strugach deszczu, odpędzić je raz na zawsze w chwili, gdy przycisnęła wreszcie mój dzwonek i wymówiła jedno z moich imion, Jaime. Nie wydawało się także, by to leżało w jej charakterze: wahanie owszem, i to długie – a może raczej namysł albo długie osvajanie się z czymś, co nieuchronne, albo z podjętą już decyzją, a może kondensacja zdarzenia tak, żeby naprawdę stało się zdarzeniem, gdy jest już bliskie tego, by się wydarzyć, lecz jeszcze nie jest ani przeszłością, ani zdarzeniem, bo zdarzenia nie ma, dopóki się nie zdarzy; wycofywanie się na pewno nie. Musiała długo się nad tym zastanawiać, idąc z psem i wypatrując z daleka moich pleców, a i wcześniej, rankiem, w naszym budynku bez nazwy, i kto wie w jak wiele innych ranków i przynależnych im wieczorów i nocy.

Uśmiechnęła się ciepło, jak miała w zwyczaju, jakby przy tym moje pytanie, sformułowane w dwóch czasach, uwolniło ją trochę od ciężaru. Zauważyłem, że ilekroć zwracała się do mnie, zbierała w sobie energię przed wypowiedzeniem pierwszego zdania: jakby najpierw w myślach to zdanie tworzyła, budowała, zapamiętywała i jakby brała zamach albo rozpędzała się, żeby nie móc się już zatrzymać ani zmienić czegoś w zdaniu i tym sposobem paść ofiarą przedwczesnych wyrzutów sumienia w chwili, gdy mówiła. I tym razem nie dostrzegłem śladu rumieńca na jej twarzy, może rumieńcem oblała się na ulicy, gdy była sama, i tam go zostawiła. Jej uśmiech był raczej niepewnie rozbawiony, jakby śmiała się po trosze z samej siebie, znalazłszy się w sytuacji, gdy musi oto coś wytłumaczyć, usprawiedliwić się przed spotykanym codziennie kolegą, którego widziała już naturalnie tego dnia w tym samym neutralnym miejscu co zawsze, gdzie nigdy nie trzeba się szukać, żeby się spotkać, inaczej niż teraz, teraz młoda



Pérez Nuix szukała mnie, potrzebowała, szła za mną przez opustoszałe miasto w strugach deszczu. Było jasne, że miejsce naszych codziennych spotkań nie nadawało się do rozmowy o tym, o czym chciała ze mną rozmawiać, możliwe, że najmniej się do tego nadawało, nie było wskazane ani godne zalecenia, zbyt wiele tam uszu i czujnych oczu. Jej uśmiech miał w sobie zatem jakąś szczyptę ironii, prawdopodobnie pod własnym adresem; nie kokietowała nim, raczej chciała zadowolić i uspokoić, ten uśmiech mówił: „Dobra, zaraz powiem, już mówię, nie irytuj się, nie przejmuj się, nie zajmę ci dużo czasu. Wiem, jestem albo robię się męcząca, ale to część przedstawienia, zauważyłeś, widzisz, już zdałeś sobie z tego sprawę, nie jesteś głupi, jesteś tylko nowy”.

– Chcę cię prosić o przysługę – powiedziała. – Dla mnie to duża przysługa, dla ciebie nie tak bardzo.

Ach, więc o coś mnie prosi, pomyślałem. Nie proponuje ani nie oferuje, w jej przypadku byłoby to możliwe, ale tego nie robi. Nie chce sobie ulżyć ani nic wyznać, ani nawet czegoś mi opowiedzieć, aczkolwiek każda prośba mieści w sobie jakąś opowieść. Jeżeli pozwolę jej kontynuować, już będę zaangażowany; potem może uwikłany, a nawet wplątany. Tak jest zawsze, choćbym odmówił jej przysługi i nie był w niczym przydatny, zawsze tworzy się jakaś więź. Skąd wie, że dla mnie to nie taka wielka przysługa? Nikt tego nie może wiedzieć, ani ona, ani ja, dopóki przysługa nie zostanie wyświadczona i nie minie jakiś czas, i nie będą wystawione rachunki albo czas się nie skończy. Ale już tym jednym zdaniem spowodowała moje zaangażowanie, w lot zaszczerpiła mi poczucie obowiązku lub zobowiązania, a przecież nie mam wobec niej obowiązków, nie przypominam sobie, żebym był jej coś winien. Może powinienem odpowiedzieć wprost: „Dlaczego uważasz, że masz prawo prosić mnie o przysługę, jakąkolwiek przysługę? Nie masz prawa, wystarczy, że się nad tym zastanowisz, nikt nie ma prawa nikogo o nic prosić, nawet

odwzajemnienie tysiąca przysług jest wyłącznie gestem dobrej woli, żadne prawo tego nie wymaga, przynajmniej prawo pisane”. Nigdy jednak nie mamy śmiałości tak powiedzieć, nawet nieznanemu, który podchodzi i nie podoba się nam albo wzbudza nasz niepokój. Niby to śmieszne, lecz w pierwszej chwili zazwyczaj nie ma ucieczki, nie ma też ucieczki w przypadku młodej Pérez Nuix: jest moją koleżanką; przyszła do mnie w taki okropny wieczór, że nawet psa nie wypędzisz; jest w połowie moją krajanką; wpuściłem ją; rozmawia ze mną w moim języku; bez namysłu pokazuje mi uda, które są miłe dla oka; uśmiecha się do mnie; i to ja jestem tu bardziej cudzoziemcem niż ona. Tak, jestem nowy.

– Skąd możesz wiedzieć, ile coś będzie kosztowało kogoś innego? – powiedziałem, podjąłem próbę zbuntowania się co najmniej przeciw tej hipotezie, przeciw temu jednemu fragmentowi, swoją odpowiedzią próbowałem odwieść ją od niej delikatnie i grzecznie. Zbyt grzecznie i zbyt delikatnie wobec kogoś, kto usilnie czegoś chce i już zaczął o to prosić. Rozbudziła moją ciekawość (jeszcze niewielką, minimalną, nieuniknioną, lecz dostateczną) i może próżność także; odkrycie, że jest się w stanie komuś pomóc albo coś komuś ofiarować, nie mówiąc już o uratowaniu kogoś, zapowiada zazwyczaj komplikacje, jeśli nie przykrości, mimo że początkowo sprawia satysfakcję. Z powodu tej połączanej próżności już miałem dodać: „Co mogę dla ciebie zrobić?”, ale się powstrzymałem: to by się równało natychmiastowemu anulowaniu mojej delikatnej próby odmowy czy też bojaźliwego buntu. Skoro miałem się poddać, niech nie obędzie się to bez walki, choćbym miał poprzestać na strzałach ostrzegawczych. Amunicji nie zabraknie.

– Masz rację, przepraszam. – Była ostrożna, dobrze to wiedziałem, nie zamierzała kwestionować niczego, co powiem, nim wyjawi swą prośbę, nie zamierzała mi zaprzeczać ani kłócić się ze mną, nie wcześniej, może później to zrobi, żeby mnie przekonać albo przestraszyć, gdybym

zareagował niechętnie lub upierał się przy swoim. – Masz całkowitą rację, to bezpodstawne założenie. Dla mnie to wielka przysługa, dlatego myślę, że prawem kontrastu kogoś innego nie może wiele kosztować. Choć naprawdę jestem przekonana, że nie wymaga od ciebie wielkiego wysiłku. Ale możliwe, że jak się dobrze zastanowić, nie powinnam cię o to prosić. Faktycznie, nigdy nie wiadomo. – Mówiąc to, wyprostowała się na sofie i wyciągnęła szyję jak czujne zwierzę, nic ponadto, jak ktoś, kto daje do zrozumienia, że właśnie zaczął rozważać bardzo teoretyczną możliwość zastanowienia się, czyby ewentualnie nie skierować się w stronę wyjścia. Och, nie, nie zamierzała wyjść, co to, to nie, nie w ten sposób, żadną miarą, już w to włożyła zbyt wiele wysiłku, przemyślała dokładnie całą sprawę, kosztowałem ją za wiele wahań i czasu. Wyjdzie dopiero wówczas, gdy usłyszy „tak” albo „nie”. Pewnie zadowoli się również jakimś: „Zobaczę, co da się zrobić, postaram się” albo: „W zamian chcę tego i tego”, zawsze można coś obiecać, a potem nie dotrzymać słowa, to zdarza się tak często. Ale nie wystarczy jej: „To zależy”.

– Nie, to nie tak. Powiedz, o co chodzi. Mów, śmiało. – Nie zwlekałem dłużej z unieważnieniem podjętej próby buntu, nie zwlekałem dłużej z poddaniem się. Grzeczność to trucizna, przywodzi nas do zguby. Nie chciałem też kłaść się spać o tak późnej porze, niczego nie wyjaśniwszy. Pogłaskałem psa, wyglądał na zmęczonego, woda obciążała jego pływający niemal w powietrzu chód, tis, tis, tis, powoli wysychał. Musiał mieć już swoje lata. Zapadał w drzemkę. Poklepałem go po karku, wyprostował na sekundę szyję, jak wcześniej jego pani, gdy poczuł moją przyjazną dłoń: pozwolił się dotykać z odrobiną wielkopańskiej łaskawości, opuścił głowę i przestał zwracać na mnie uwagę, byłem tylko jakimś przejściowym obcym. Nie zamierzał się zanadto angażować.

– Pojutrze albo za dwa dni, jak sądzę, a najdalej w przyszłym tygodniu – ruszyła wtedy z kopyta Pérez Nuix, dostała w końcu zielone światło i nie

myślała go marnować – poproszą cię o dokonanie interpretacji kogoś, kogo znam, najpewniej w kontakcie bezpośrednim, a może i z nagrań wideo. Chcę cię prosić, żebyś mu nie zaszkodził, nie pozwolił, żeby Bertie spisał go na straty, znaczy, żeby Tupra go wykluczył albo sporządził zły raport końcowy, bo mu nie ufa albo ufa za bardzo. Nie ma powodu, wiem, że mój znajomy nie jest typem oszusta, wiem to, znam go. Ale Bertie potrafi czasami być arbitralny albo gdy coś wydaje mu się zbyt klarowne, postępuje wprost przeciwnie właśnie dlatego, że coś postrzega nazbyt klarownie. To znaczy sama nie wiem, no, tak czy owak. – Spostrzegła, jak bardzo brakowało klarowności jej ostatniemu zdaniu. Zdałem sobie sprawę, że mimo tylu przygotowań Pérez Nuix nie wiedziała jeszcze, w jakim porządku wyłuszczać sprawy, opowiadać, przekonywać, prosić. Mało kto wie, jaki jest właściwy porządek. I prawie każdy chyba. Nawet ci, którzy piszą. Ale ona mówiła dalej, nie zamierzała zaczynać od początku. – Widziałam, jak ktoś wywarł na nim tak absolutnie złe wrażenie, że z miejsca postanowił go poprzeć i dać mu niewiarygodną szansę; i odwrotnie, ktoś wydał mu się tak godny polecenia, że również z miejsca wykluczył branie go pod uwagę i jego udział w jakiegokolwiek sprawie. Nie podoba mu się, jak coś jest nazbyt jasne i proste, pozornie czyste, ponieważ ma pewność, że zawsze zawiera domieszkę czegoś innego, a skoro jej nie widać, to tylko dlatego, że została sprytnie ukryta albo nasza ostrość widzenia chwilowo osłabła. Tak więc gdy nie pojawiają się wątpliwości, sam je sobie stwarza. Kiedy to my nie mamy wątpliwości – Rendel, Mulryan, ty, ja, ci z zewnątrz, Jane Treves, Branshaw czy ktokolwiek inny – on je podsuwa. Przedstawia je, wymyśla dla nas. Jest tak podejrzliwy wobec tego, co niewątpliwe, że zmienia swój werdykt na przekór własnej pewności, nie mówiąc już o naszej. To nie zdarza się często, bo taka całkowita pewność pojawia się rzadko, a on nie włożyłby za nikogo ręki w ogień, Tupra dobrze wie, że nikt nie jest jednowymiarowy, nikt nie

pozostaje w nieskończoność taki sam ani nie jest taki, jaki był, nawet taki, jaki chciałby być, a nigdy nie był. Sam wiesz: „*That's the way of the world*”, tak mówi i robi swoje, niczego się nie spodziewa i nic go nie dziwi. – „Taki jest świat”, istotnie, słyszałem już ze dwa razy, jak to powiedział. – Ale gdy uważa, że może stwierdzić coś z pełnym przekonaniem, wówczas zaprzecza temu stwierdzeniu albo je zawiesza, czyli robi właśnie to, na co nam nie pozwala. Od tego jest tylko on: żeby zgłosić sprzeciw, podejrzenie, żeby zaprzeczyć nam i samemu sobie, i poprawić, co trzeba. Pewność jest w jego przypadku rzadka, choć zdarzała się od czasu do czasu: i jeżeli ktoś wyda mu się całkowicie wiarygodny albo bardzo uczciwy, ponad wszelką wątpliwość, to w praktyce potraktuje go najprawdopodobniej jak czatującego na okazję drania i odradzi osobie, która zleciła zrobienie raportu, by mu zaufać. Odwrotnie jest tak samo: jeśli uzna, że ktoś jest skończenie, powiedzmy, że niemal z natury swej nielojalny, to całkiem możliwe, że poradzi, by raz przynajmniej mu zaufać, wystawić go na próbę. Uczuli jednak klienta: jeden jedyny raz w sprawie niezbyt ważnej i mało ryzykownej.

Młoda Pérez Nuix zaczęła przedstawiać prośbę, od razu jednak zostawiła ją trochę na boku, bez podania konkretów, nie dokończywszy jej, nie skupiając się na niej, a więc znowu ją odwlekała albo dozowała, albo mnie na nią przygotowywała, wcale nie zanosilo się na „chwile”, jak zapowiedziała, stojąc na ulicy. A może to była ta druga przyczyna: nie znała porządku wyłuszczenia spraw i zdania cisnęły jej się na język jedno przez drugie, dlatego oddalała się od tematu i zapuszczała w dygresje, a wtedy mnie przychodziły do głowy pojedyncze wstępne pytania odnoszące się do kilku rzeczy, które jej się wyrzywały mimochodem lub bez świadomości, że ja na ich temat nic nie wiem. Nasza rozmowa byłaby jeszcze dłuższa, gdybym chciał się przy nich wszystkich zatrzymywać.

– Jane... Treves? Branshaw? – takie było moje pierwsze pytanie. Przy tych nazwiskach się zatrzymałem, nie umiałem przejść obojętnie.

– Tak, T-r-e-v-e-s – odpowiedziała dziewczyna, prawdopodobnie wnosząc z mego krótkiego zawahania, że niedokładnie usłyszałem, odruchowo przeliterowała nazwisko po angielsku, po hiszpańsku nie miała takiego zwyczaju: „*ti, ar, i, vi, i, es*”, tak zabrzmiało to dla hiszpańskiego ucha (istotnie wcześniej uważałem, że to nazwisko pisze się Trevis albo Travis). Z racji swej biografii Pérez Nuix była dużo bardziej niż w połowie Angielką. Mówiła w moim języku równie płynnie jak ja, może tylko odrobinę wolniej, posługiwała się bogatym, nawet literackim słownictwem, ale czasami zdarzało jej się wtrącić jakieś dziwne słowo lub wyrażenie albo użyć jakiegoś anglicyzmu czy ześlizgnąć się w angielską wymowę; jej *c* albo *z* było bardziej miękkie niż normalnie, jak u Katalończyków, kiedy mówią po kastylijsku, podobnie jak jej *g* albo *j*; szczęśliwie *t* nie było do końca dźwiękowe ani *k* tak zwarto-wybuchowe jak u Anglików, bo inaczej jej hiszpańska wymowa byłaby bardzo afektowana, niemal irytująca u osoby tak dobrze znającej język. Naprawdę rozbawiło mnie jednak to drugie nazwisko, Branshaw, chociaż nie miałem zamiaru o nie wypytywać ani wyjaśniać, dlaczego mnie interesuje, to nie był odpowiedni moment, w rozmowie zawsze trzeba się pilnować, chwila nieuwagi i zaczyna pomykać w nieskończoność, jak strzała wypuszczona z łuku, która nigdy nie osiągnie celu, będzie tak mknąć aż po kres czasu, nie zwalniając tempa. Nie nalegałem zatem, nie zatrzymałem się przy nim dłużej, należy tego unikać, należy unikać otwierania ciągle nowych tematów i nawiasów, które nigdy nie mają końca, a każdy mieści w sobie jeszcze tysiąc własnych dygresji. – Bertie korzysta z usług tych ludzi, piszą raporty sporadycznie, robią to z zewnątrz, są mniej lub bardziej wyspecjalizowani w pewnych obszarach, w pewnych dziedzinach. Rzeczywiście jeszcze się na nich nie natknąłeś – dodała, jakby dopiero teraz jej to zaświtało i uznała tę kwestię

za zamkniętą, nie chciała poświęcać jej więcej czasu, ja też nie. Wciąż jej się wymykało nazywanie Tupry Bertiem; poprawiała się, lecz za chwilę robiła to samo, niewątpliwie tak właśnie o nim myślała, ta forma przychodziła jej na myśl, chociaż w pracy nazywała go Bertramem, przynajmniej w mojej obecności, po przyjacielsku, ale jednak bardziej oficjalnie, w moim języku odpowiadałoby to zwracaniu się per ty, choć z respektem. Mnie nawet na to nie udzielił jeszcze zezwolenia, to miało przyjść później, z jego inicjatywy, nie z mojej.

– Co znaczy: „osobie, która zleciła zrobienie raportu”? – Takie było moje drugie wstępne pytanie. – Co masz na myśli, mówiąc o „klientie”? Sądziłem, że jest tylko jeden klient, zawsze ten sam, chociaż o rozmaitych obliczach, nie wiem, marynarka wojenna, wojsko, takie czy inne ministerstwo albo taka czy inna ambasada, albo Scotland Yard, albo sąd, albo parlament, czy ja wiem, Bank Anglii, a nawet pałac Buckingham. Mam na myśli rząd – już chciałem powiedzieć „służby specjalne, MI6, MI5”, pomyślałem jednak, że zabrzmiałoby to śmiesznie w moich ustach, zrezygnowałem więc i zastąpiłem w biegu czym innym: – albo królową. Tak czy owak państwo.

Odniosłem wrażenie, że młoda Pérez Nuix na to też nie chciała tracić czasu, wygłosiła pierwszą część swojej przemowy, nie biorąc pod uwagę skutków ubocznych wywołanych moją ciekawością. Może rozmyślnie przedstawiała swoją prośbę etapami – może najpierw mnie z nią oswajała: kilka zdań, żebym się przyzwyczaił do tego pomysłu (jego zasadnicza część już była jasna), do jego natury – chociaż nie chciała, by się zagubiła wśród nieoczekiwanych kwestii proceduralnych, wstępów i długich wyjaśnień.

– No cóż, generalnie tak właśnie jest, o ile dobrze rozumiem, ale bywają wyjątki. Często nie wiemy, kogo dokładnie informujemy, dla kogo są przeznaczone nasze interpretacje, nasze sądy. My na pewno nie wiemy, ale wyobrażam sobie, że Tupra musi to wiedzieć albo się domyśla. A może

i nie, niektóre zlecenia dostaje prawdopodobnie przez pośredników od pośredników, a on nie zadaje pytań, dopóki nie jest pewien, że nie wzbudzą podejrzeń albo nie zaszkodzą. Potrafi bardzo precyzyjnie ocenić, kiedy można to zrobić bezpiecznie: całe życie zastanawia się nad takimi sprawami. Przypuszczam jednak, że zawsze się domyśla, skąd pochodzi zlecenie. Widzi przez ściany. Analizuje źródła. Jest bardzo bystry.

– Czy to ma oznaczać, że czasami pracujemy dla... osób prywatnych, jeśli mogę tak powiedzieć?

Pérez Nuix wykrzywiła usta w grymasie ni to lekkiego zniecierpliwienia, ni to narzucanej sobie cierpliwości, jakby przyjmowała bez sprzeciwu nieprzyjemną konieczność omówienia jeszcze tej kwestii, *velis nolis* albo niewątpliwie *nolis*, zupełnie wbrew własnej chęci. Miałem tę przewagę, że to ja prowadziłem rozmowę, mogłem ją skrócić, przeciągnąć, sprowadzić na inny tor bądź przerwać, dopóki ona swej prośby nie przedstawi do końca, a nawet dłużej, dopóki ja tej prośby nie przyjmę lub jej nie odrzucę. Tak, podczas wiecznego albo odwlekanego w nieskończoność „zobaczymy”; tak, do chwili gdy zostanie wypowiedziane „tak” lub „nie”, jej nie będzie wolno sprzeciwić mi się niemal w niczym. Oto część efemerycznej władzy osoby, która daje lub odmawia, najbardziej bezpośrednio rekompensata za poczucie, że jest się uwikłanym, ale trzeba za to zapłacić rachunek, tylko później. Dlatego często, żeby przedłużyć swoją władzę, odwleka się udzielenie odpowiedzi albo podjęcie decyzji, czasami w ogóle to nie następuje. Pérez Nuix wyprostowała nogi, a potem założyła znowu jedną na drugą, lecz odwrotnie, spostrzegłem, że oczko w rajstopach na udzie trochę już poszło, ona długo jeszcze tego nie zauważy, pomyślałem (nie patrzyła tam gdzie ja), a do tego czasu długość oczka przyprawi ją o rumieniec. Ale nie zamierzałem teraz jej o tym mówić, byłaby to impertynencja z mojej strony albo tak mi się wtedy



wydało. Ten malutki kawałek uda, który już był widoczny, miał przyjemny kolor.

– Czy to takie ważne? – zapytała, lecz nie z pozycji obronnej, tylko tak jakby wcześniej o tym nie myślała i teraz sama się nad tym zastanawiała. – Pracujemy zawsze dla Tupry, prawda? Tak czy owak. On nas zatrudnia, on nam płaci. To jemu zdajemy sprawę i jemu bezpośrednio przekazujemy swoją pracę w przekonaniu, że zrobi z niej najwłaściwszy użytek, to znaczy ja przynajmniej przyjmuję to za pewnik. A może uważam, że nic mi do tego, nie wiem. Pracownikowi fabryki produkującej pojazdy nic do tego, co ostatecznie powstanie ze śrubek, które przykręca, albo z silnika, który składa razem z kolegami: czy to będzie karetka pogotowia, czy czołg, ani w czyje ręce trafi potem ten czołg, jeżeli to czołg.

– Nie sędzę, żeby to były porównywalne sprawy – powiedziałem i nie dodałem nic więcej. Woląłem, żeby to ona nadal przytaczała argumenty, ja kierowałem tą rozmową, tak jak Peter Wheeler moimi rozmowami z nim albo jak Tupra, kiedy mnie poganiał, wypytywał lub kazał mi widzieć więcej, a potem wyciągał ze mnie różne rzeczy.

– Dobrze, jak mnie chcesz, żebym powiedziała? – „*Bueno, cómo me quieres que diga*”, powiedziała po hiszpańsku. Tak, czasami było coś dziwnego albo na poły angielskiego w jej sposobie wyrażania się po hiszpańsku, prawie nigdy nie było to jednak niepoprawne. – Wchodzenie w to głębiej to tak, jakby pisarz nie tylko zaprzętał sobie głowę, jakiemu wydawcy powinien powierzyć swoją powieść, by ten znalazł dla niej jak największą publiczność, lecz także potencjalnymi nabywcami tego, co ten wydawca publikuje pod swoim szyldem. Nie miałby żadnej możliwości dokonać selekcji, skontrolować albo poznać tych nabywców, poza tym autorowi nic do tego. Pisarz pakuje do swojej książki jakieś opowieści, jakąś fabułę, jakieś pomysły. To mogą być złe pomysły, pokusy. Ale co z nich wyniknie, co rozpętają, to już nie jego sprawa ani nie on ponosi za to

odpowiedzialność, prawda? – Zamilkła na chwilę. – A może ty uważasz, że ponosi?

Jej słowa brzmiały szczerze – albo autentycznie – to znaczy wydawało się, że zastanawia się nad tym, co mówi, kiedy to formułuje, z odrobiną niepewności, z wahaniem, z jakąś spontanicznością, a także z wysiłkiem (wysiłkiem prawdziwego myślenia po prostu, lecz ten wysiłek występuje coraz rzadziej w dzisiejszym świecie, jakby cały świat sięgał zawsze po kilka stałych odzywek dostępnych każdemu, nawet największym analfabetom, to rodzaj infekcji przenoszonej drogą powietrzną).

– Znowu nie jestem pewien, czy to trafne porównanie – odparłem i teraz sam dołączyłem do jej wysiłku – bo nasze raporty nie są podawane do wiadomości publicznej, raczej, jak rozumiem, są tajne; w każdym razie nie są przeznaczone dla każdego ani wystawiane na sprzedaż w sklepach; a poza tym traktują o ludziach, o rzeczywistych osobach, których nikt nie wymyślił, więc nikt nie może spowodować, że znikną, ani usunąć ich nagle z kolejnego rozdziału i nie wiem, czy dla tych ludzi ma jakieś większe znaczenie to, co my piszemy, czy to im wyrządza wielką szkodę, czy przynosi wielką korzyść, czy przeszkadza im, czy pomaga w czymś o kluczowym znaczeniu, czy wspiera, czy przekreśla plany dla nich ważne, może najważniejsze. Czy im zapewnia, czy rujnuje przyszłość, co najmniej tę najbliższą (od tej najbliższej zależy ta dalsza, a więc cała reszta). Tak czy inaczej uważam, że informowanie Korony, państwa nie jest tym samym co informowanie jakiejś prywatnej osoby.

– Ach, tak uważasz – powiedziała. Bez ironii (jeszcze nie mogłaby sobie na nią pozwolić), możliwe, że ze zdziwieniem. – A w czym upatrujesz różnicę?

No tak, w czym? Poczułem się nagle naiwny, absurdalnie dużo od niej młodszy albo bardziej niedoświadczony (byłem nowy, tak powiedziała), i odpowiedź stała się nagle trudna, żeby przy okazji nie wyjść na

kompletnego głupka, na naiwniaka. Ale musiałem spróbować, trudna rada; sam wyskoczyłem z tą kwestią, nie mogłem teraz wycofać się przy pierwszej przeszkodzie, nie mogłem po prostu złożyć broni i powiedzieć: „Masz rację. Nie ma różnicy ani ja jej nie widzę”.

– Przynajmniej teoretycznie – odparłem, zabezpieczając się do maksimum – państwo troszczy się o dobro wspólne, o dobro wszystkich obywateli, to jego nadrzędny cel. Przynajmniej teoretycznie – powtórzyłem; nie bardzo wierzyłem w to, co mówię, w miarę jak to wygłaszałem, dlatego mówiłem wolno; to nie umknie jej uwagi – jest tylko pośrednikiem, komentatorem. Części składowe państwa, zawsze okolicznościowe, nie podlegają osobistym, indywidualnym czy prywatnym namiętnościom, ani niskim, ani szlachetnym. Jak by to powiedzieć: są jego przedstawicielami, częścią całości, niczym więcej, można tych przedstawicieli zastąpić innymi, wymienić. Zostali wybrani w zwyczajowych po temu miejscach, jak to się dzieje do pewnego stopnia w obu naszych krajach. Zakłada się, że działają dla dobra ogółu. Tak jak sami to dobro rozumieją, rzecz jasna. Mogą popełnić błąd, zgoda, a nawet udawać, że się mylą, żeby przedstawić jako pomyłkę osobiste, własne korzyści. To oczywiście zdarza się w praktyce, pewnie całkiem często. Możliwe, że stale i wszędzie, w rynsztoku i w pałacu. Trzeba jednak założyć, że teoretycznie działają w dobrej wierze, inaczej nie moglibyśmy spokojnie żyć. Nie ma spokojnego życia bez założenia, że nasze władze są prawomyślne, a nawet prawe, ponieważ takie są nasze państwa. (Można obyć się bez tej iluzji, jeśli wolisz). Pracujesz więc dla nich, bazując na tej teoretycznej dobrej wierze, która dotyczy też ciebie, obejmuje cię lub chroni w twojej misji, pracy albo w twojej zwykłej zgodzie. Na pracowałabyś natomiast dla jakiejś osoby prywatnej, nie dowiedziawszy się wcześniej, kim jest, co zamierza, jakie stawia sobie cele, czy jest przestępcą, czy uczciwym człowiekiem. I do czego posłużą twoje wysiłki.

– Sam to powiedziałaś. Teoretycznie – zgodziła się ze mną Pérez Nuix, postawiła nogę przy nodze i zapaliła papierosa, jednego z moich, wzięła sobie bez pytania, zachowała się jak Hiszpanka czystej krwi. To nie były Ramesesy II, tylko Kareliasy z Peloponezu, niezbyt tanie, ale też nie bardzo drogie, nigdy nie skąpię na papierosy. Pod wpływem ruchu oczko poleciało trochę dalej, ona jednak wciąż go nie widziała albo nie zauważyła. (A może nie dbała o to. A może dawała mi tę minimalną, nieważną, lecz powiększającą się nagość; chociaż nie, nie wierzyłem w to). – Słuchaj, przez te wszystkie lata, odkąd tu jestem, nie widziałam nikogo, kto nie byłby osobą prywatną. – Owo „tu” powinienem był rozumieć jako „w tym”; o ile wiedziałem, mieszkała w kraju swej matki mniej więcej całe życie. – Nawet w wojsku, gdzie bardziej trzeba przestrzegać rozkazów, a dużo mniej podejmować decyzje, mówi się: wojsko jest jak maszyna. Ale to nieprawda, nic takie nie jest. Wszystko jedno, jaką ludzie wykonują pracę albo kogo reprezentują, czy zajmują bardzo odpowiedzialne stanowiska, czy są chłopcami na posyłki, czy zostali wybrani, czy przywiezieni w teczce, czemu zawdzięczają swoją małą czy dużą władzę, czy mają duży zmysł państwowy, czy w ogóle go nie mają, nie ma znaczenia ich lojalność ani sprzedajność, ani ich skłonność do przechodzenia na drugą stronę barykady. Wszystko jedno, czy pieniądze, którymi obracają, należą do skarbu państwa i ani jeden marny grosz nie jest ich własnością. To wszystko nie ma znaczenia, obracają wielkimi kwotami, nie wspominając o kwotach niewielkich, jakby były ich własnością. Nie twierdzę, że je sobie przywłaszczają, nie wszyscy albo niekoniecznie; mówię, że nimi dysponują wedle własnego widzimisię i dla własnego pożytku, a potem znajdują na to jakieś usprawiedliwienie, potem, nigdy przedtem. Przecież wiesz, zawsze znajdują się powody *a posteriori* dla każdego działania, nawet kompletnie pozbawionego podstaw lub niegodziwego, zawsze można je znaleźć, czasami są śmieszne i niewiarygodne, bezzasadne, takie, które nie zwiodą

nikogo albo tylko tego, kto je wymyśla. Ale powód zawsze się znajdzie. Kiedy indziej powody są dobre i przekonujące, bez zarzutu, w istocie łatwiej znaleźć takie powody dla czegoś, co już się zdarzyło, niż dla planów i intencji, dla propozycji, decyzji. To, co już się wydarzyło, jest bardzo mocnym, solidnym punktem wyjścia: jest nieodwracalne, dostarcza wzorca, wskazówki. Jest czymś, czego można się trzymać. A nawet czego można przestrzegać, ponieważ wiązuje i zobowiązuje, i tym sposobem połowa roboty jest już wykonana. Dużo łatwiej podać przyczyny na wytłumaczenie tego, co już było (albo je znaleźć lub – dlaczego nie? – dostarczyć, co sprowadza się do tego samego), niż usprawiedliwić zawczasu coś, co pragniesz, by się zdarzyło, co starasz się spowodować. Wszyscy politycy to wiedzą aż za dobrze i wszyscy dyplomaci. Tak samo jak *wet gamblers* albo przestępcy, kiedy postanawiają pozbyć się kogoś i robią to, wiedząc, że dopiero później zastanowią się i przeanalizują wszystkie za i przeciw, gdy przyjdzie zmierzyć się z konsekwencjami; ale widzisz, delikwenta już nie ma, nikt już tego nie zmieni i niemal zawsze na tym zyskują, więcej zyskują, niż tracą. Wiedzą to także ludzie piastujący jakieś stanowisko, nawet ostatni glina z zapadłej dziury w najbardziej zapomnianym *shire*. – Nie użyła hiszpańskiego słowa *condado*, żeby powiedzieć hrabstwo, pomyślałem, jest dziś rzadko używane w naszym języku. Bo hiszpański był też niewątpliwie jej językiem. Tak samo po angielsku powiedziała *wet gamblers*, nigdy wcześniej nie słyszałem tego wyrażenia ani go nie rozumiałem, może nie miało swego odpowiednika po hiszpańsku, bo i ona nie spróbowała go znaleźć: dosłownie to „*jugadores húmedos*”, „wilgotni gracze”; albo „*tahúres mojados*”, „zmoczeni hazardziści”, od razu stanął mi przed oczyma anachroniczny obraz kamizelek na statkach pływających po Missisipi. – Oni wszyscy to osoby prywatne, zapewniam cię, pod uniformami i poza biurem, i w środku również, kiedy są sami. – Przypomniała mi się Rosa Klebb, bezlitosna morderczyni ŚMIERSZ-

u w „Pozdrowieniach z Rosji”, która wedle tej książki mogła zabić Andrésa Nina; jej charakterystyka czytana przeze mnie w domu Wheelera, tamtej nocy nieoczekiwanej i gorączkowej lektury nad brzegiem rzeki spokojnej ciągłości: „Rankiem trudno ją zapewne wyciągnąć z ciepłego skotłowanego łóżka. Ma niechlujne, nawet plugawe przyzwyczajenia osobiste. Wgląd w jej życie intymne, kiedy odpoczywa wyłuskana z munduru, nie byłby przyjemnym doświadczeniem...”. Starczyło czasu, by taka jeszcze refleksja przeszła mi przez głowę: mało kto jest pociągający, kiedy zrywa się z ciepłego łóżka albo w nim się zapada, kiedy odpoczywa albo się odpręża, albo zmniejsza czujność; ale ja dobrze wiem, że Luisa jest wtedy pociągająca, i pewnie ta dziewczyna też; a może czujność ich obu nigdy się nie zmniejsza pomimo tego oczka w rajstopach, które leci coraz dalej. – W mniejszym czy większym stopniu wszyscy ulegają impulsom, zdają się na swoje sympatie i antypatie, pozwalają, by kierowały nimi lęki, ambicje, kalkulacje i obsesje, upodobania i urazy, osobiste i społeczne. Tak więc ja nie dostrzegam tej różnicy, Jaime. Ale skoro ty ją dostrzegasz, tym lepiej dla mnie, nie będzie cię tyle kosztować ta przysługa, o którą proszę. Bo to zlecenie pochodzi akurat od osób prywatnych, nie od państwa, wiem to. Chcę powiedzieć: od prywatnych prywatnych osób.

Na chwilę pogrążyłem się w myślach, oboje siedzieliśmy w milczeniu. Byłem świadom, że młoda Nuix nadal nie poprosiła mnie o przysługę, nie dokładnie, nie do końca, nie w całości. Dlatego nie weszła ze mną w spór ani w żadnej chwili nie podważyła tego, co mówię, ograniczyła się do przedstawienia punktu widzenia wynikającego z jej osobistego doświadczenia, które okazało się większe, niż mogłoby się wydawać, biorąc pod uwagę jej młodość, ile miała lat, kiedy rozpoczęła, albo w jakim wieku zostawiła za sobą tę młodość, która promieniowała z niej nadal tylko wtedy, gdy milczała albo kiedy się śmiała, na pewno nie wtedy, gdy przedstawiała argumenty lub rozprawiała na jakiś temat, nie wtedy, gdy w budynku bez

nazwy analizowała z takim znanstwem ludzkie charaktery, mnie musiała przejrzeć na wylot, pewnie poznała mnie od podszewki. Chyba że niekiedy wciąż postrzegała mnie jako zagadkę, jak ów ktoś, kto napisał mój raport, ten na mój temat. Albo może uważała mnie – podobnie jak ja sam siebie według owego tekstu – za „stracony przypadek”, o którym wszelkie rozmyślenia są bezcelowe. („Wie, że nie rozumie, i nie zrozumie siebie”, wyrokował na mój temat autor owego tekstu. „Dlatego nie traci czasu na bezowocne próby”).

Zadałem sobie pytanie, do jakiego stopnia teraz przemawia przez nią Tupra, chwilami jej argumenty brzmiały jak jego słowa, a raczej (w gruncie rzeczy nigdy ich nie słyszałem z jego ust) przypominały jego sposób bycia, jakby je milcząco jej wpoił przez długie lata wzajemnej bliskości, może intymności. „Tak więc ja nie dostrzegam tej różnicy, Jaime”, powiedziała na przykład, bez wątpienia żeby mnie nie zniechęcić, zamiast powiedzieć: „Nie zgadzam się z tobą, Jaime” albo: „Mylisz się, Jaime”, albo: „Nie przemyślałeś tego dobrze, spróbuj jeszcze raz”, albo: „Nie masz o tym pojęcia”. Kilka pytań chodziło mi po głowie, lecz gdybym wypowiedział wszystkie, nigdy byśmy nie dobrnęli do końca: „Co ty możesz wiedzieć o przestępcach?” i: „Kim są *wet gamblers*?”, i: „O kim powinienem kłamać albo milczeć, żeby cię zadowolić?”, i: „Jeszcze nie poprosiłaś mnie o tę przysługę, nadal nie wiem, na czym dokładnie miałyby polegać”, i: „Od ilu lat tu pracujesz, w jakim wieku rozpoczęłaś, kim byłaś lub jaka byłaś wcześniej?”, i: „Co to za prywatne prywatne osoby i jak to się stało, że tyle wiesz o tym zleceniu, jego źródle, pochodzeniu?”. W gruncie rzeczy mogłem zapytać o wszystko, zadać jedno pytanie po drugim, ja prowadziłem tę rozmowę, miałem ten przywilej. To już nie mogła być „tylko chwila”, jak wcześniej zapowiedziała, wszystko od razu staje się dłuższe albo zapętlone, albo przylepne, jakby każde działanie niosło ze sobą własne przedłużenie i każde zdanie pozostawiało nitkę kleju fruwającą

w powietrzu, nitkę, której nie można uciąć, żeby się przy okazji nie przykleiła. Często się dziwię, że na wszystko jest odpowiedź lub co najmniej można spróbować na wszystko odpowiedzieć, nie tylko na pytania i na tajemnice, również na stwierdzenia i rzeczy znane, na to, co niezbite i na to, co pewne, a także na wątpliwości, spojrzenia i nawet na gesty. Wszystko trwa i toczy się dalej samo z siebie, choćbyś ty sam postanowił się wycofać. To w żadnym razie nie miało być „tylko chwilą”, nic nie jest krótkie, jeśli się tego nie skróci. Ale z pewnością zależało teraz ode mnie, czy zmieni się w całą noc łącznie ze świtem, czy w pijany słowotok podwójnej bezsenności.

– Właściwie nie poprosiłaś mnie jeszcze o przysługę, nadal nie wiem, na czym dokładnie miałyby polegać. Ani co to za prywatne osoby, co to za prywatne prywatne osoby. – Powtórzona na głos określenie użyte wcześniej przez dziewczynę przypomniało mi Wheelera i jego przemowę o władcach i osobach prywatnych: „Iluż rozkoszy musi król się wyrzec, których spokojnie prywatny używa! Co ma król, czego nie ma i prywatny, prócz jednej pompy, zewnętrznego blasku?”. Bez wysiłku przywołał wtedy z pamięci ten cytat, podczas gdy ja nadal nie wiedziałem, skąd pochodził.

Ostatecznie zadałem jej wówczas tylko te dwa pytania, pozostałe odkładając na później. Jednakże gdy coś odkładamy na później, nigdy nie wiadomo, czy nie rezygnujemy z tego na dobre, bo w każdej chwili – to znaczy zawsze – może już nie być jutra ani żadnego potem, ani żadnego później, to jest możliwe w każdej chwili. Chociaż nie, to nieprawda: zawsze jest jeszcze coś, co ma nadejść, zawsze jest trochę więcej, minuta, włócznia, sekunda, gorączka i następna sekunda, sen – włócznia, gorączka, mój ból i słowo, trucizna, sen – a potem jest też nieskończony czas, który nawet się nie zatrzymuje ani nie zwalnia kroku po naszym ostatecznym końcu, lecz nadal uzupełnia i mówi, szepce i wypytuje, i snuje opowieści, choć my już nie słyszymy ani nie odpowiadamy, choć my już zamilkliśmy. Zamilknać,



milczeń, oto wielkie pragnienie, którego nikt nie realizuje. Nikt, nawet po śmierci. Jakby od samego początku nic nie przestawało rozbrzmiewać, nawet gdy nie umiemy już rozpoznać ani wysledzić żywych, którzy być może nadal żyją, żyjemy w stanie pogotowia i niespokojni z powodu niezliczonych głosów niewiadomego pochodzenia, bo takie są odległe i stłumione, a może zostały tak głęboko zakopane. Może te głosy to nikłe echo nieodnotowanych istnień, których niecierpliwa myśl kipi krzykiem od wczoraj albo od stuleci: „Urodziliśmy się w takim i takim miejscu”, wykrzykują w swoim bezkresnym oczekiwaniu, „i umarliśmy w takim i takim miejscu”. I gorsze rzeczy także.

Czasami wychodziliśmy gdzieś razem we czworo bądź w pięcioro, a zdarzało się, że i w sześcioro lub w siedmioro, gdy Tupra zapraszał dodatkowo Jane Treves albo Branshawa, albo ich oboje, bo bywało, że spotykałem ich, albo nawet, zależnie od sytuacji lub miejsca, jakiegoś innego sporadycznego informatora czy przewodnika z zewnątrz. Były to chwile, gdy – jak sądzę – Tupra czuł się radosny i towarzyski i potrzebował asysty, nie tyle towarzystwa, ile właśnie asysty, eskorty albo świty, a może stada, jakby chciał posmakować uczucia przynależności, przekonać się namacalnie i hałaśliwie, że oto tworzy z nami zespół albo grupę, albo ciało, i móc używać często formy „my”. Podczas kilku takich wieczorów i dni miałem wrażenie, że stanowią raczej część gangu bądź drużyny matadorów na korridzie. Intuicja mi podpowiadała, że Tupra dawał upust temu instynktowi stadnemu w okresach, gdy uciekał od Beryl albo gdy Beryl uciekała od niego, jeśli to faktycznie była ona, zresztą wszystko jedno, kto od kogo uciekał: chodziło o okresy, kiedy żadna konkretna kobieta nie pozwalała mu sobą dostatecznie zawładnąć, co znaczy że nie odwracała jego uwagi – w chwilach wolniejszych, bardziej towarzyskich, w chwilach większej dyplomacji i przygotowań – od zajmujących go spraw i manewrów, albo gdy on sam starał się uniknąć groźby, że jakaś kobieta stanie się dla niego nazbyt konkretna.

To były tylko moje przypuszczenia. Tupra nie miał w zwyczaju dużo mówić o swoim życiu osobistym, przynajmniej nie wprost ani nie w formie narracyjnej (bardzo rzadko snuł opowieści albo opowiadał anegdoty, z wielką ochotą natomiast ich słuchał), a jeżeli już mówił, to uciekając się do mało konkretnych uwag, aluzji, pojedynczych komentarzy nawiązujących na pozór mimochodem do jego przeszłych doświadczeń,

z których lubił wysnuwać prawa i wnioski – metodą dedukcji lub indukcji – oraz możliwe normy postępowania i charakteru, a raczej normy niewzruszone i bezsporne w jego oczach, oczach chłonnych i dowartościowujących, które jednym spojrzeniem ogarniały cały teren czy pomieszczenie pełne ludzi, dyskotekę, kasyno, salę do gry w bilard, elegancki salon bankietowy, hol wspaniałego hotelu, królewskie przyjęcie, operę, pub, ring bokserski, teren wyścigów konnych i powiedziałbym nawet, gdyby nie była to wyraźna przesada, że stadion piłkarski klubu Chelsea, Stamford Bridge. W przypadku sceny tak niewielkiej jak bufetowa kolacja nie dość powiedzieć, że jego blade oczy obejmowały ją swym spojrzeniem, one tę scenę przesywały na wskroś i analizowały, i przenikały (ze mną włącznie) w jednej chwili, dla niego to była dziecinna zabawa.

Takie miałem przeczucia, przypuszczenia, wyobrażenia; on ze swej strony odsłaniał swoje minione życie tylko we fragmentach i pojedynczych błyskach, robił to w formie maksym i sentencji, czasami niezamierzonych aforyzmów, bywało, że wychodziły mu nawet porzekadła własnego pomysłu. Stopniowo zatem wiązało się jedną pojedynczą nitkę z drugą, a te na koniec znowu się rozwiązywały, choćbyś dobrze je uchwycił i zasupłał, jakby w przypadku Tupry obszary cienia się powiększały, ilekroć udało się dostrzec rozjarzony żar jakiegoś wyblakłego albo nieważnego epizodu jego życia lub jakby każde najmniejsze oświetlenie służyło tylko lepszemu zdaniu sobie sprawy z ogromu tego, co nadal pozostawało w mroku, niejasne, mętne, zacienione czy nawet zniekształcone; jego długie rzęsy, obiekt zazdrości kobiet, również sprawiały, że ostateczny zamysł jego rozmyślań, tak długich, że aż nieistotnych, był nieprzenikniony lub nieprzejrzysty, a także prawdziwy sens jego spojrzeń, które były co prawda jasne i pochlebne, i ciepłe, trudne jednak do rozszyfrowania. Nic dziwnego,

że my, mężczyźni, byliśmy trochę podejrzliwi wobec tych tak serdecznych, misternie ozdobionych oczu.

Mogliśmy na przykład przysłuchiwać się występowi jakiejś piosenkarki w jednym z tych wspaniałych, lecz staromodnych nocnych klubów, do jakich lubił nas niekiedy zabierać, aby zafundować ukojenie naszym skołowanym umysłom i chwilę wyciszenia, zanim odeśle nas do domów, siadaliśmy – my, czyli ci, którzy dotrwali, największe nocne marki, albo których on trzymał najbliżej siebie – przy stoliku obok sceny lub parkietu tanecznego. Nagle Tupra zaczynał mrużyć pod nosem, oczy przykryte gęstymi rzęsami utkwione w artystce: „Kobiety, które śpiewają publicznie, bardzo się eksponują i zawsze padają ofiarą tych, którzy kierują ich karierą; ta rozpadłaby się tutaj jak stary worek, gdyby człowiek, który kieruje jej krokami i wprowadza ją każdego wieczoru na scenę, odwrócił się plecami i odszedł, a już na pewno gdyby się zwrócił przeciwko niej. Wystarczyłoby, żeby poczuła jeden jego wrogi oddech, a padłaby jak nieżywa i już nie chciałaby się podnieść”. Przez kilka sekund zastanawiałem się, czy mówi tak w oparciu o jakąś konkretną wiedzę, może słyszał o samobójczym uzależnieniu owej kobiety od kogoś, czyja twarz lub imię były i jemu znane (worek mąki, worek mięsa, tego właśnie się używa, żeby ćwiczyć dżganie bagnetem i włócznią, w jednym jest ból i sen, w drugim nic nie ma). A jeśli ośmielałem się go sondować („Zna ich pan, Mr Tupra, tę kobietę i tego mężczyznę?” A może wtedy mówiłem już do niego Bertram), wyjaśniał wówczas, że nie o to tu chodzi albo niekoniecznie o to, i że on stosuje tylko do terażniejszości lekcje odebrane w przeszłości: „Nie muszę znać ich osobiście”, odpowiadał, nie odrywając oczu przykrytych rzęsami od piosenkarki, to znaczy nie odwracając głowy, nadal zwrócony do mnie profilem i z nutą lekkiego bądź czysto teoretycznego żalu w głosie, „dobrze wiem, jacy są, on i ona, widywałem takich na pęczki wszędzie, od Bethnal Green aż po Kair”.

To podsuwało mi jakiś trop albo kilka, wśród nich te najbardziej oczywiste, że znał całkiem dobrze Bethnal Green, przygnębiającą wschodnią dzielnicę Londynu, i że bywał też w Egipcie, zapewne nie turystycznie. Trudno było również nie zadać sobie pytania, czy pracował kiedyś z jakąś artystką jako jej agent, czyli czy miał na myśli samego siebie i swoją uległą dawną podopieczną. Taką hipotezę wykluczałem jednak od razu, nie wyglądał mi na opiekuńczego, czujnego ani nawet dominującego, czyli na typ człowieka obarczonego stałymi obowiązkami, które każda z tych postaw implikuje. Mógł być świadkiem podobnego dramatu lub układu, myślałem, choćby tylko dwa razy: raz w Bethnal Green i drugi raz w Kairze. Przeczynałem albo wiedziałem (najpierw przeczynałem, potem wiedziałem), że jeśli zapytam go wprost lub spróbuję nakłonić, żeby się skupił na konkretnym zdarzeniu, zignoruje to i wykpi się od odpowiedzi nie tyle po to, żeby wypaść tajemniczo, ile dlatego, że nudziło go wspomnianie, z całą pewnością nie miał zrozumienia dla osób, które uwielbiają opowiadać o tym, co im się przytrafiło, znają te opowieści na pamięć łącznie z zakończeniem, a jeszcze mniej dla zakochanych w sobie autorów memuarów, którzy nie potrafią się uwolnić od minionych już dni i w kółko kwieście o nich rozprawiają.

Nie próbowałem więc brać go na spytki ani domagać się wyjaśnień na temat ogłoszonych wcześniej sądów, to by się na nic nie zdało, jeżeli miało dojść do jakichś wyjaśnień, równie dobrze mogło to nastąpić kilka wieczorów później, mnie pozwalał co najwyżej na małe żarciki: „A kobiety, które publicznie tańczą, Bertram? Tak samo się eksponują?”. Tupra miał poczucie humoru, a co najmniej akceptował moje. Rzucił mi wtedy szybkie spojrzenie, przygryzał wargę, żeby nie pozwolić sobie nawet na cień uśmiechu, i podejmował grę albo tak mi się zdawało, bo nic w nim nie było klarowne, pewne ani oczywiste: „Nie, Jack, tancerki dużo mniej się eksponują, miej na względzie, że ruch chroni, ryzykowny jest dopiero

bezruch, naraża nas bardziej na niebezpieczeństwo. Ci, którzy uciekają albo się ukrywają, często o tym zapominają, pozwalają wykorzystać się strachowi, zamiast samemu wykorzystać strach”. Miał umiejętność łączenia zdań w taki sposób, że drugie odwodziło od pierwszego, a trzecie od drugiego i tak bez końca, dopóki się nie zmęczył bądź nie wybrał chwilowego milczenia. W rozmowie z nim trudno było zatem zagłębić się w jakąś sprawę, chyba że to on zadawał pytania i on chciał sięgnąć głębiej. „Jak się wykorzystuje strach?”, ulegałem pokusie odbicia w bok. „Rozumiem, że miał pan na myśli wykorzystywanie własnego strachu”. A on na to odpowiadał: „Strach to najpotężniejsza siła. Pod warunkiem, że uda ci się do niego przystosować, zadomowić się w nim, żyć z nim w dobrych stosunkach i że nie tracisz energii na walkę, aby go odegnąć. Takiej walki nigdy się do końca nie wygrywa; w chwili pozornego zwycięstwa już przeczuwa się powrót strachu, żyje się w stałym zagrożeniu, co powoduje paraliż i wtedy to strach wykorzystuje ciebie. Jeżeli natomiast godzisz się na strach (to znaczy przystosujesz się, przyzwyczaisz do jego obecności), dysponujesz niezrównaną siłą i możesz ją wykorzystać, użyć jej. Strach oferuje nieskończenie wiele możliwości, więcej niż nienawiść, ambicja, bezwzględność, miłość, żądza zemsty; wszystkie są niewiadomą. Kto oswoił strach, ma go w sobie, ale jako element swego normalnego życia, jako swój strach codzienny, będzie zdolny do nadludzkiego bohaterstwa. Wiedzą to matki z małymi dziećmi, a raczej większość z nich. Podobnie jak każdy, kto był na wojnie. Ale ty nie byłeś, prawda, Jack? Miałeś szczęście. A to oznacza także, że twoje wykształcenie będzie zawsze niepełne. Na pole bitwy należałoby wysyłać matki z dziećmi u boku, blisko, żeby miały te dzieci na widoku, żeby trzymały je za rękę; matki mają w sobie strach permanentny; nikt nie biłby się lepiej niż one”. Gdybym go zapytał, na jakich był wojnach albo w jakich brał udział, z pewnością nic by mi nie powiedział, nie wymieniłby żadnej, a gdybym poprosił, żeby

rozwinął swoją myśl na temat niepełnego wykształcenia lub groźnego charakteru matek z małymi dziećmi u boku, w najlepszym razie mógłbym się spodziewać, że zakończy rozmowę. Zawsze nadchodził taki moment, w którym odbicie w bok nie prowadziło ku żadnej ścieżce, lecz w krzaki albo na pustynię lub na bagna. Mógł nawet położyć na ustach palec wskazujący, a potem skierować go w stronę piosenkarki w geście oczywistego wyrzutu z powodu mojego gadulstwa, jakby apelował o więcej szacunku dla występującej kobiety, chociaż sam jej tego szacunku poskąpił kilka minut wcześniej, odzywając się pierwszy, choćby tylko szeptem i nie odrywając od niej oczu.

Na początku każdego towarzyskiego okresu (trwały na ogół dwa albo trzy tygodnie) zapraszał nas pod jakimś służbowym pretekstem na kolacje w mieście lub na wieczorne rundy po knajpach. „Chcę, żebyście wszyscy poszli ze mną na ważne spotkanie”, mówił czy też wydawał nam polecenie w swój na poły autorytarny sposób. „Zależy mi na tym, żebyśmy sprawili wrażenie bardzo zgranej, niemal przerażającej grupy na ludziach, z którymi muszę dobić interesu”. „Proszę was, żebyście byli szczególnie uprzejmi dla ludzi, z którymi zjemy dziś kolację, zróbcie wszystko, żeby dobrze się czuli i bawili, a przy okazji przyjrzyjcie im się uważnie, bo potem zadam wam na ich temat kilka pytań, im więcej mamy opinii, tym lepiej”. Nie miał w zwyczaju nic więcej wyjaśniać, ani dlaczego zależy mu na sprawieniu takiego wrażenia, ani jakie ma z tymi ludźmi sprawy, ani kim są ludzie, których mamy zabawiać, na ogół Brytyjczycy, tylko okazyjnie trafiali się jacyś pojedynczy obcokrajowcy, chociaż jak się nad tym zastanowię i wliczę Amerykanów, to cudzoziemców trafiało się całkiem sporo. Czasami było oczywiście, kim są, bo wynikało to z przebiegu rozmowy bądź byli ogólnie znanymi osobami, tak znanymi jak Dick Dearlove albo prawie tak samo. Tupra miał niewiarygodnie rozległe i urozmaicone znajomości jak na jednego człowieka, jeżeli istotnie był tylko jeden, bo słyszałem, jak

zwracano się do niego, używając rozmaitych imion czy też raczej rozmaitych nazwisk, w zależności od miejsca, towarzystwa i okoliczności. Za pierwszym razem, gdy *maître* pewnej wyśmienitej restauracji nazwał go „Mr Dundas”, zdał sobie sprawę, że moje zdziwienie może go zdradzić, potem więc zawczasu uprzedzał mnie lub nas, ilekroć nie zamierzał być całkowicie sobą: „Tutaj jestem Mr Dundas”, zapowiadał z góry. „Dziś występuję jako Mr Reresby, miejcie to na względzie”. „Tu, w tej okolicy, zwań mnie Mr Ure”. Musiałem poprosić, żeby przeliterował mi to ostatnie nazwisko, bo po wymowie nie mogłem się zorientować, to znaczy wyobrazić sobie, jak się je pisze, w jego ustach zabrzmiało jak „luah”, nie miałem szans odgadnąć pisowni. Wszystkie te nazwiska przykuwały uwagę, były lekko staromodne, dziwne (może odrobinę arystokratyczne lub na moje ucho podobne do szkockich), jakby Tupra, zrezygnowawszy z własnego nazwiska, nie był skłonny obyć się bez tej osobliwości, która towarzyszyła mu od urodzenia, zakładając, że swoje fińskie, rosyjskie, czeskie, tureckie albo ormiańskie nazwisko Tupra nosił od tak dawna, jak sądził Wheeler. Musiał mierzić go pomysł przyjęcia choćby na chwilę nazwiska banalnego bądź pospolitego, co zrobiłaby w zasadzie większość ludzi, wybierając fałszywą tożsamość, takiego jak, czy ja wiem, Gray, Green, Grant albo Graham, by wykluczyć już tak oklepane jak Brown, Smith i Jones.

Generalnie rzecz biorąc, pozwalał, żebyśmy zachowywali się naturalnie w sytuacjach towarzyskich, jedynie przy specjalnych okazjach zalecał nam coś ponad zwyczajową skrupulatność i przytomność umysłu, kazał na przykład kogoś wysondować albo wypytać o coś konkretnego; w takich jednak przypadkach nie zabierał ze sobą wszystkich czworga lub jeszcze większej liczby, wybierał tylko tych najbardziej nadających się do konkretnego zadania, bywało, że tylko jedną osobę, mnie, Pérez Nuix, Mulryana albo Rendela, ja towarzyszyłem mu w pojedynkę kilka razy,



a nawet w dwóch podróżach za granicę, przypuszczam, że każdemu z nas przypadało to od czasu do czasu w udziale. Jeżeli chciał wykazać szczególną troskę, schlebić komuś konkretnemu lub jeżeli zabiegał o czyjeś względy, wyznaczał Rendela, innym razem mnie, gdy trzeba było nadszkakiwać jakimś wykazującym oznaki znudzenia lub rozzalenia kobietom (uciążliwym żonom albo niestałym kochankom, z takimi Mulryan nie radził sobie dobrze), albo Pérez Nuix lub Jane Treves, kiedy należało poprawić humor i ucieszyć oko jednego z tych facetów, którzy wpadają w przygnębienie, a nawet stroją fochy pod nieobecność kobiet przy stole lub na tanecznym parkiecie (mam na myśli znane im wcześniej kobiety, z którymi są na ty lub w stosunkach odpowiadających po angielsku takiej relacji i przed którymi mogą stroszyć piórka).

Raz przyszło mi towarzyszyć i nadszkakiwać pewnej Włoszce, która rozstawała się ze swoją młodością bardzo opieszale, pośród teatralnych gestów i wielkiej liczby pomniejszych kaprysów, jeżeli miała też większe kaprysy, to szczęśliwie nie mnie przypadło w udziale być ich świadkiem, spełniać je ani się z nich wyłgiwać. Włoszka była żoną rodaka (swojego) o nazwisku Manioia, z którym to Manoią Tupra zagłębił się, o ile mogłem się zorientować, w rozmowę o polityce i finansach. Prawdę rzekłszy, tak mało ciekawiły mnie sprawy, którymi zajmował się mój przejściowy szef, że niemal nigdy nie udawało mi się wykrzesać z siebie zainteresowania, rzadko kiedy przysłuchiwałem się *motu proprio*, a kiedy prosił mnie o uwagę, zazwyczaj uświadamiałem sobie, że jego potencjalne intrygi, zadania, misje rozpoznawcze albo handel wymienny kompletnie mnie nie obchodzą. Pewnie dlatego, że i tak nigdy nie byłem specjalnie na bieżąco, a trudno angażować się w coś, co nadto fragmentaryczne, nieczytelne i w ogóle od nas nie zależy. (Zauważyłem, że młoda Pérez Nuix miała dużo większe baczenie na jego sprawy, śledziła ich meandry i dokładała wielu starań; Mulryan robił to także, ale on nie miał innego wyjścia, bo –

przynajmniej na moje oko – prowadził... jak by to powiedzieć... agendę, rachunki oraz inwentarz spraw niezakończonych, nieokreślonych lub niezakończonych; co do Rendela, to trudno powiedzieć, bo miał tendencję do długotrwałego milczenia, a kiedy indziej, gdy pił, a może palił – w naszym gabinecie czuć było nie tylko moje papierosy – nagle zaczynał wygłaszać dłuższą przemowę albo opowiadać kawały, jeden po drugim, sam się z nich zaśmiewał, potem znowu popadał w niemotę, przy czym obu tym fazom towarzyszyły chmury przykrego czarnego dymu). Owego wieczoru uchwyciłem to i owo tylko dlatego, że angielski włoskiego męża był dużo bardziej makaroniarski, niż mu się wydawało, i Tupra domagał się (szybkie kiwnięcie dwoma palcami albo brwi jak plamy sadzy wzywające pomocy), żebym rzucił mu czasami koło ratunkowe i przetłumaczył kilka zdań lub jakieś kluczowe słowo, kiedy obaj zaplątali się na dłużej i groziło im poważne niebezpieczeństwo, że zrozumieją na opak to, co sobie nawzajem proponowali, do czego się dogadywali albo w czym się zgadzali.

Wydawało mi się – raczej intuicyjnie niż w oparciu o jakąś wiedzę – że nazwisko Manioia pochodzi z południa Włoch, tak samo jak włoska wymowa mężczyzny (spółgłoski bezdźwięczne wymawiał jak dźwięczne, zamiast „*ho copito*” słyhać było „*ho gobido*”), ale swoim wyglądem Manioia przypominał raczej mafiosa rzymskiego – to znaczy watykańskiego – niż sycylijskiego, kalabryjskiego czy neapolitańskiego. Wielkie okulary jak u gwałciciela lub pilnego urzędnika albo jak u obu tych typów, bo się wzajemnie nie wykluczają, ciągle je sobie poprawiał kciukiem na nosie, mimo że wcale się nie zsuwały, i niewidoczne spojrzenie z winy zewnętrznych odblasków oraz nieustającej ruchliwości matowych oczu (miały kolor zbliżony do kawy z mlekiem), jakby trudno mu było zatrzymać wzrok w jednym miejscu na dłużej niż kilka sekund bądź jakby nie mógł ścierpieć, że ludzie w te oczy głębiej zagląдают. Mówił cichym,

lecz niewątpliwie silnym głosem, podniesiony brzmiałby ostro, może dlatego go ściszał, jedną dłoń trzymał na drugiej, ale nie opierał się łokciami o stół, ani jednym, to znaczy łokcie wisały w powietrzu w pozycji, która po kilku minutach musiała stać się niewygodna, chyba że chodziło o chwilowe umartwienie, dobrowolne umartwienie człowieka wiernego swym zasadom, a może żarliwego katolika z najbardziej posępnej frakcji legionistów Chrystusa. W pierwszej chwili wydawał się łagodny i nieszkodliwy, miał tylko trochę zanadto wysuniętą do przodu brodę (nie na tyle jednak, by mówić o przodozgrzyzie), co niewątpliwie sprawiło, że w latach dojrzewania, a może i dzieciństwa, nawet jeżeli to dzieciństwo było tylko trochę introwertyczne i nudne, pielęgnował w sobie uporczywą urazę – to znaczy urazę bez konkretnego adresata; w tym, jak cofał wysuwający się podbródek, przygryzając wewnętrzną stronę policzka, można było dostrzec połączenie zastarzałego i nigdy nie przewyżonego wstydu z generalną skłonnością do wymierzania kar, co pewnie robił, jak przypuszczam, z najbliższego powodu lub pod byle pretekstem, a nawet i bez pretekstu, jak mają w zwyczaju ludzie mściwi, a co najmniej ci najbardziej z nich subiektywni. Mężczyzna popędliwy, aczkolwiek wcale za takiego pewnie nie uchodził, przeciwnie, musiał uchodzić za zrównoważonego, bo prawie nigdy nie dawał po sobie poznać gniewu, pewnie tylko on sam o tym gniewie wiedział i go roztrząsał, jeżeli to właściwy czasownik w odniesieniu do czegoś, co działo się tylko w jego rozgrzanym do czerwoności wnętrzu. Nieliczne okazje, w których ten gniew wydobywał się na zewnątrz, musiały budzić przerażenie i lepiej było nie znajdować się wtedy w pobliżu.

Jego żonie pewnie się to zdarzało, ale nie ona była obiektem owych wybuchów, to jasne, w przeciwnym razie nie pozwalałaby sobie na takie kapryśnienie i swobodę, musiała z góry czuć się całkowicie bezkarna albo wiedziała, że wszystko jej wolno. Mimo to robiła wrażenie osoby tak pełnej

nowych niepewności – wiek zawsze nas zaskakuje, mija trochę czasu, nim się wewnętrznie z nim oswoimy, czyli zanim nas dopadnie – że trudno było nie traktować jej serdecznie, chociaż strasznie dawała popalić, szczególnie mnie, który miałem ją zabawiać albo zostałem wyznaczony, by tego wieczoru służyć jej za zabawkę. Mąż bez wątpienia ją kochał, z pewnością było to jakoś pomocne, aczkolwiek nic dostatecznie nie pomaga na niepowstrzymany upływ czasu lub nieodwołalny regres. Przez całą kolację w Vongu, restauracji tuż obok hotelu Berkeley, zabawiałem ją niezobowiązującą rozmową, a właściwie to ona mnie zabawiała: nie była kobietą nieśmiałą, lubiła mówić, nie musiałem jej do tego zachęcać; od czasu do czasu milkła jednak, splatała ramiona poniżej swego żeglarskiego dekoltu, żeby go uwypuklić – chcę powiedzieć, że miała na sobie bluzkę z dekoltem w łódkę; choć może w tym konkretnym przypadku był to dekolt w statek wikingów albo w kajak – wpatrywała się we mnie z przyjaznym uśmiechem, a potem z teatralną, lecz nie pozbawioną wdzięku gestykulacją – wyrażającą, powiedzmy, uzasadniony wyrzut – dawała wyraz jednej ze swoich ulubionych czy też najbardziej uporczywych próśb: „*Mi dica qualcosa di tenero, va, su, signor Deza*”, mówiła bez zbędnych ceregieli, a trzeba dodać, że w tej egzotycznej restauracji jeszcze nie tańczyliśmy ani nie zwracała się do mnie jeszcze per ty. (Właściwie nazywała mnie „Detsą”, tak wymawiała moje nazwisko). „*Su, signor Deza, non sia così serio, così antipatico, così scontroso, così noioso, mi dica qualcosa di carino*”, przymilanie się trwało dłuższą chwilę. Stawiała mnie w niezręcznej sytuacji przymusu wymyślenia na poczekaniu jakiegoś czułego i miłego komplementu, bez posuwania się jednak do zuchwałości czy grubiaństwa, przed czym dzień wcześniej ostrzegął mnie w swoim gabinecie Tupra, gdy ją opisywał i rozprawiał na jej temat z tą swoją umiejętnością widzenia kobiet wstecz i przerażająco trafnie. Prawie nic mi wtedy nie powiedział o Manoi, a jeśli już, to tylko mimochodem jakoś bardzo ogólnie go

scharakteryzował; długo za to mówił o jego drogiej małżonce Flavii, ponieważ Reresby – tym nazwiskiem posługiwał się Tupra owego wieczoru, może zazwyczaj się nim posługiwał na użytek Włoch lub Watykanu – wiedział, że nie będzie mógł jej zabawiać ani zadbać o jej dobry nastrój.

„Spełnij każdy jej kaprys, Jack, wszystko, co jej przyjdzie do głowy”, przykazał mi zawczasu. „Ale uważaj, żeby nie zrobić fałszywego kroku. Z tego, co wiem i co sam widziałem, ona nie oczekuje nic więcej ponad miłe słówka. W tym okresie swego życia potrzebuje ich w ilościach hurtowych, ale szczodra, zręcznie zaaplikowana dawka wystarczy jej, by położyła się spać w lepszym stanie ducha i spokojniejsza, niż czuła się po przebudzeniu, wszystkie jej wieczory i poranki są podobne; po każdym wieczornym triumfie budzi się zapewne z tym samym lękiem i mówi sobie: «Wczoraj wieczór było dobrze, ale dziś? Dziś jestem o dzień starsza». Gdybyś dotrzymywał jej towarzystwa przez dwa kolejne wieczory (nie denerwuj się, nie przewiduję tego), drugiego wieczoru musiałbyś zacząć ze wszystkimi komplementami i całą harówką od zera, znajduje się bowiem na takim etapie życia, który jest etapem nienasycenia, nie kumulacji, no wiesz, stale się wtedy zapomina o tym, co już zdobyte. Ale jej nienasycenie dotyczy tylko miłych słówek i ciągłych komplementów, musisz to dobrze zrozumieć, jest ich spragniona, żeby podnieść się na duchu, o nic więcej tu nie chodzi. Nawet gdybyś miał wrażenie, że ona czegoś więcej oczekuje, choćbyś uważał, że to jasne jak słońce” („*crystal-clear*”, tak się dosłownie wyraził). „Choćby się tego dopominała spojrzeniem, gestem, dotykiem, tym, jak się do ciebie zwraca, a nawet słowami, nie możesz ulec ani zrobić fałszywego kroku. To małżeństwo... tak, powiedzmy, że to katolickie małżeństwo z pewnością bardzo rygorystyczne pod tym względem, chociaż pod innymi względami wcale nie, założę się, że ignorują inne nakazy, wiem nawet, że z niektórych nic sobie nie robią. Manolia chce, żeby ona była

szczęśliwa, a to, czego on chce, jest ważne, przynajmniej dla mnie jest to jutro bardzo ważne. Mimo pozornego chłodu byłby gotów, jak sędzę, wbić nóż pod żebra każdemu, kto posunie się za daleko, choćby tylko w słowach. Miej się zatem na baczności i bardzo cię proszę, oceń właściwie, gdzie – dla niego, nie dla ciebie – przebiega granica między tym, co wolno, i tym, co jest w złym guście, żebyśmy nie narobili sobie kłopotów w najgłupszy możliwy sposób. Można się co do niej pomylić. Nie pomył się zatem. Nie szczędź jej zainteresowania i miłych gestów, ale gdybyś miał jakąś wątpliwość, to pamiętaj, że zawsze lepiej zrobić mniej, bo można to potem nadrobić, natomiast odwrotnie już nie bardzo. Dlatego właśnie wolę zabrać ze sobą ciebie, nie Rendela, choć on pasowałby lepiej do tak wesołej i lubiącej się bawić kobiety jak Mrs Manolia. Rendel jednak nie potrafi się czasami pohamować”.

Sposób, w jaki Tupra odnosił się do osób, z którymi miał do czynienia, które obserwował, poddawał interpretacji lub rozpracowywał – może nigdy nie ograniczał się do tego pierwszego – zawsze był dla mnie trochę zaskakujący. Było tych osób wiele, przewijały się szybko jedna po drugiej, a przecież dla niego każda była k i m s, nikt nigdy nie wydawał mu się chyba zwyczajny ani wymienialny, nigdy typowy. Nawet gdy nie miał tej osoby więcej spotkać (albo gdy pracowaliśmy z nagraniami wideo, nigdy więc nie widział jej na żywo), nawet gdy już wyrobił sobie sąd i przekazał nam na czyjś temat niepochlebną opinię, nigdy nie patrzył na ludzi schematycznie ani nie uważał, że wszystko o nich wie, jakby zawsze świadom był tego, że nawet wśród banalnych przypadków nie ma dwóch takich samych. Możliwe, że kto inny opisałby Flawię Manoię w taki sposób: „Typowa pięćdziesiątka walcząca z menopauzą, pozwól jej się wygadać, niech wierzy, że faceci dalej tracą dla niej głowę, a ty przede wszystkim, w ten sposób będziemy ją mieć po swojej stronie. Nie musisz się szczególnie gimnastykować, żeby ci uwierzyła, bo faceci z całą pewnością

masowo tracili dla niej głowę kilka lat temu. Zwróć uwagę na jej nogi, wciąż są niezłe i zasłużenie się nimi chwali, od razu zrozumiesz, o co mi chodzi. Niezłe też kręci tyłkiem”, tak może wypowiedziałby się ów mężczyzna, który granicę złego smaku wyznacza sobie bardzo daleko.

Tupra natomiast – a może już był Reresbym, kiedy jechaliśmy do restauracji jego sportowym samochodem marki Aston Martin, który wyciągał przy takich okazjach, gdy zamierzaliśmy wywrzeć na kimś korzystne wrażenie albo zaskarbić sobie czyjeś względy – zagłębił się w skomplikowanych rozważaniach na temat tej kobiety, a może rozważania wykraczały jeszcze dalej, poza nią i jej nieistotny przypadek (w ustach rozważnego Reresby’ego przestawał się wydawać nieistotny). Słuchając takich subtelności, dostrzegałem wpływ Toby’ego Rylandsa, którego Tupra, wedle słów Petera Wheelera, był uczniem, i wówczas znowu widziałem wspólnotę charakteru między nimi trzema, a może ich wspólną zdolność, może wspólny im wszystkim dar, który mnie również przypisywali (w innych sprawach Tupra bardzo się różnił): „Miej na względzie”, odezwał się, gdy stanęliśmy na czerwonym świetle, „że w gruncie rzeczy największe przerażenie budzi w Mrs Manoi nie nieuchronna fizyczna degradacja, przeciwko której podejmuje lepsze czy gorsze środki zaradcze, lecz dręczące przecucie, że jej świat odchodzi w przeszłość, że już się rozpada. W ostatnich latach umarło kilkoro z jej starych przyjaciół, niektórzy bardzo niespodziewanie, ciężko to przeżyła; w kilku przypadkach jej przyjaciele przeszli na emeryturę; w innych przypadkach ludzie z otoczenia chcą, żeby czym prędzej na nią przeszli, na siłę. Już nie tak łatwo o kompanów, z którymi można balować każdej nocy, rzadko zdarzają się przyjęcia z prawdziwego zdarzenia, z gospodarzem i całą resztą, nie ma już takich przyjęć na co dzień, a już na pewno nie w Rzymie, który stał się śmiertelnie nudny przez tego typu spod ciemnej gwiazdy, Berlusconi, cóż to za warchoł”. (Dokładnie rzecz ujmując, użył bardzo literackiego słowa

*maladroit*, które nie oznacza typa spod ciemnej gwiazdy, ale niech już tak zostanie; użył też słowa *killjoy*, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, ale domyśliłem się, że znaczy „warchoł”, może: „awanturnik psujący każdą zabawę”). „Mam na myśli kompanów w tradycyjnym znaczeniu, jak to dawniej bywało. Pojawiają się jacyś młodzi adepti idący w ich ślady, chcą zaskarbić sobie przychyłność Manoi, ponieważ on nie myśli na razie usunąć się na bok w swojej dziedzinie”. Tu raczej rozpoznałem szkołę Petera Wheelera: zwlekał całe wieki, zanim wyjaśnił mi, co w przypadku Tupry oznacza „w jego fachu”, teraz Tupra mówił z pełną nonszalancją o jakiejś „dziedzinie”, żeby w istocie nie puścić pary z ust na temat Manoi. Prawdę rzekłszy, nie obchodziło mnie to specjalnie. „Ale ona czuje się trochę zagubiona wśród takich młodziaków, czuje się weteranką. To najgorsze, co może się przytrafić komuś, kto zbyt długo był młody, bo albo wcześniej rozpoczął dorosłe życie, albo zbyt często paktował z diabłem (chodzi mi tylko o użycie tego klasycznego sformułowania, takie paktowania to kwestia przypadku). Ponadto nie ma własnych dzieci, w domu zatem to ona jest wciąż małą dziewczynką, a to wyrabia w człowieku bardzo złe przyzwyczajenia i płaci się za to wysoką cenę, gdy trzeba w końcu wyjść spod klosza, i w pierwszej lepszej dyskotekce człowiek stwierdza nagle z osłupieniem, że nie jest bez szans w konkursie na najstarszego gościa; takie przechodzenie z jednego do drugiego świata bardzo rani duszę. Lepiej już bywać w kasynach”.

Zdziwiłem się, nie dostrzegłszy śladu ironii, gdy użył słowa „dusza”, co nie znaczyło, że jej tam nie było. Ruszył samochodem spod świateł, lecz mówił dalej. Nie można było rozróżnić, kiedy mówi coś, wiedząc na pewno, w oparciu o jakieś fakty, a kiedy oferuje tylko bardzo osobistą interpretację tego, co widział: czy zna dokładnie bieżącą sytuację państwa Manoi, czy tylko się jej domyśla – albo w jego przypadku czy o niej decyduje – na podstawie poprzednich z nimi spotkań (lub kto wie, jednego



tylko spotkania): „Wyobrażasz sobie świat, w którym prawie nikogo już nie znasz i co najbardziej upokarzające, w którym nikt już nie zna ciebie albo zna tylko ze słyszenia? Ona właśnie zaczyna dostrzegać, że tak się dzieje, jeszcze nie przyznaje się do tego sama przed sobą, rzecz jasna, jeszcze nie ubiera tego w słowa, możliwe, że jeszcze sobie nie uświadamia, że taka jest główna przyczyna jej większego z każdym dniem zgorzknienia i lęku. Ale są chwile, gdy widuję u niej to niepewne, pełne konsternacji spojrzenie, jakie pojawia się w oczach starych ludzi, kiedy wszystko się przeciąga, żyją dłużej, niż przewidywano, przeżywają wszystkich swoich rówieśników, a bywa, że i jakiegoś potomka, takie spojrzenie zdarza się nawet Peterowi Wheelerowi, a przecież on i tak jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma gotowe zastępstwo, to przywilej osób podziwianych przez tych, którzy mają zająć i zajmują ich miejsce, a także wielkich mistrzów. Czego jednak może się spodziewać sympatyczna pani, zgoda, że kiedyś, a nawet wciąż jeszcze bardzo ładna, przepadająca za przyjęciami i fetami, pani, której największą zasługą było umiłanie życia wszystkim dookoła, przynajmniej powierzchownie?” Nigdy się nie przyzwyczailem w samochodach w Anglii do siedzenia na miejscu, które dla mnie było miejscem kierowcy i bez umieszczonej przede mną kierownicy. Nigdy nie mogłem być całkowicie pewien, co jest zamierzone, a co przypadkowe – co znaczące, a co bez znaczenia – w każdym wypowiedzianym przez Tuprę zdaniu: zawsze targała mną wątpliwość, czy powinienem tych zdań po prostu słuchać, czy też zapamiętywać je, wyęzając pamięć, skupiać na nich uwagę, nie roniąc ani słowa i nie traktując ani jednej sylaby jako czegoś oczywistego. Niekiedy skłaniałem się ku tej drugiej metodzie i trwanie w takim ciągłym napięciu było wyczerpujące. „To oczywiście wcale nie jest mało, jeżeli widziało się z bliska różne bardzo nieprzyjemne żywoty”, dodał Tupra albo Reresby i odruchowo zaczął się rozglądać za miejscem do zaparkowania, ale zaraz

sobie przypomniał lub udał, że sobie przypomina: „Przecież personel restauracji zaparkuje nasz samochód”.

Na co każdy może liczyć, kiedy nadchodzi czas znalezienia zastępstwa lub dokonania wymiany? myślałem, gdy obaj wysiadaliśmy z samochodu i Tupra dawał portierowi kluczyki wraz z długą listą szczegółowych, by nie powiedzieć obsesyjnych instrukcji. Mistrzowie podziwiani i nie podziwiani lub odrzuceni z pogardą oraz ich adepci, Tupra i ja albo ta wesoła pani, jakie możemy mieć aspiracje? zastanawiałem się, nie zwracając teraz na Tuprę uwagi, nie kierowałem bowiem swoich słów do mnie. Człowiek zadowala się wszystkim, cokolwiek mu się trafi, a nawet błogosławi, że coś, a przede wszystkim że ktoś mu się trafia, nawet jeżeli to tylko wyblakła wersja tego, czego już nie ma lub zostało przerwane, lub tych, do których tęsknimy; trudno, naprawdę bardzo trudno zastąpić postaci, które znikły z naszego życia, wybiera się kilka albo nie wybiera się żadnej, wypełnienie wolnych miejsc wymaga nie lada wysiłku woli i bardzo trudno pogodzić się z tym, że zmniejsza się obsada, bez której nie potrafimy przetrwać ani nawet znieść samych siebie, a przecież – jeżeli sami nie umrzemy, a przynajmniej nie umrzemy bardzo młodo – ta obsada zawsze się zmniejsza, nie trzeba dożywać późnej starości ani nawet dojrzałego wieku, wystarczy, że zostawiamy za sobą jednego kochanego zmarłego bądź tylko kogoś kochanego, kto już nie jest kochany i stał się jakimś znieawidzonym pominięciem, najwstrętniejszym nam wymazaniem, albo wystarczy, byśmy sami stali się kimś takim dla kogoś, kto zwrócił się przeciw nam i wyrzucił nas ze swego czasu, odsunął od siebie i nagle zaprzeczył wszelkiej z nami znajomości wzruszeniem ramionami na widok naszej twarzy nazajutrz lub na dźwięk naszego imienia, które jeszcze przedwczoraj czule szeptały jego usta. Nie mówiąc tego sobie, nie nadając tej myśli konkretnego kształtu, dostrzegamy, jak ogromnie trudnym zadaniem jest zastępowanie, a równocześnie wszyscy chętnie się

zgłaszamy, żeby zająć w zastępstwie puste miejsca, które przydzielają nam inni, bo rozumiemy ten mechanizm, jesteśmy jego częścią, częścią uniwersalnego ciągłego mechanizmu substytucji albo karuzeli rezygnacji i utraty lub czasami zwykłego kaprysu, mechanizmu, który będąc wszystkich, jest także nasz; i tak godzimy się być nieudolnymi imitacjami siebie i żyć coraz bardziej przez takie nieudolne imitacje otoczeni. Skąd można wiedzieć, kto nas zastępuje i kogo my zastępujemy, wiemy jedynie, że jesteśmy czymś substytutem i że nas ktoś zawsze zastępuje, przy wszystkich okazjach i we wszystkich okolicznościach, i w każdym przedsięwzięciu, i wszędzie, w miłości, w przyjaźni, w pracy i we wpływach, w dominacji i w nienawiści, która też się nami zmęczy jutro albo pojutrze, albo następnego dnia, albo kolejnego. I wy, i my jesteśmy tylko jak śnieg na ramionach, sypki i niewzruszony, a śnieg zawsze topnieje. Ani wy, ani my nie jesteśmy jak kropla krwi, której obrys nie chce zniknąć, wściekle uczepia się porcelany lub podłogi, żeby utrudnić negację siebie bądź zatuszowanie, bądź odejście w zapomnienie; to ich nieudolny, naiwny sposób mówienia: „Byłem” albo: „Jestem jeszcze, więc na pewno byłem”. Nie, nikt z was, nikt z nas nie jest jak krew, a poza tym krew też w końcu przegrywa swoją bitwę czy próbę sił, czy bunt i ostatecznie nie zostawia po sobie śladu. Tyle tylko, że trzeba więcej czasu, aby ją usunąć, i wymaga to większej woli zniszczenia.

I tak w dyskotecie, kiedy pani Manolia zdążyła już się napić umiarkowanie przy kolacji oraz znowu umiarkowanie w czasie, gdy poruszając stopą w rytm muzyki, tęsknie się przyglądała oszalałym tańcom tłumu ludzi – z tym że dwa umiarkowania często dają w sumie nadmiar – już mówiła mi z włoską Jacopo albo Giacomo, z akcentem na pierwszej sylabie, i rzecz jasna zwracała się do mnie per ty oraz żądała, żebym ja tak samo zwracał się do niej, skorzystała z chwilowego uspokojenia czy zmiany rodzaju muzyki na jednym z dwóch tanecznych parkietów i zaczęła usilnie namawiać na zatańczenie wolnych, a może tylko średnio wolnych kawałków najpierw swojego męża, który zdjął okulary, chuchnął na szkła i przetańszy je irchą, rzucił jej krótkowzroczne odmowne spojrzenie, potem Tuprę, który uniósł otwartą dłoń, co miało znaczyć, że nie wywiązał się jeszcze z obowiązków gospodarza i partnera w interesach wobec nieskorego do tańca małżonka (zbyt wielki hałas, żeby rozmawiać, chyba że krzycząc rozmówcy wprost do ucha albo na migi), a w końcu mnie, któremu nie pozostało nic innego, jak zadośćuczynić tej prośbie. Uderzyło mnie, że pomimo łatwego do przewidzenia wyniku tych namów i chociaż głównie ja zajmowałem się nią od początku wspólnego wieczoru, a ona okazywała mi już wówczas tyle serdeczności, ile ja zaczynałem czuć do niej sympatii – uczucia tak przejściowe, że nazajutrz mogliśmy o nich nie pamiętać bez wyrzutów sumienia – to prosząc do tańca, zachowała jednak hierarchię, co wskazywało na głęboko zakorzenione i silne poczucie respektu.

I może właśnie to, że wcześniej dała nam szansę wszystkim trzem we właściwym porządku, kazało jej uznać, że ma pełną swobodę, by spleść się ze swoim obowiązkowym partnerem w najbardziej gwałtowny, a może

i mało skromny sposób, chcę powiedzieć, że naparła na mnie z furją, niemal boleśnie. Nie żeby miała zamiar zrobić mi krzywdę, po prostu nie kontrolowała w pełni rzeczywistej objętości swego ciała (podobnie jak ludzie z plecakami: choćby się bardzo starali, nie czują tak jak reszty ciała owego tobołka albo rzepa przyczepionego na plecach) ani nie zdawała sobie sprawy, jak uderzyły w moją pierś jej dwie piersi, twarde niczym drewniane kłocce i spiczaste jak zaostrzone pale – musiała mieć biust z najtwardszego drewna, a może z granitu. Przesadziła kobieta, zatraciła wszelkie proporcje w swej gorliwości, aby piersi ujędrnić i podeprzeć pewnie w tylu podejściach, że pamięć ją zawodziła co do całkowitej ich liczby oraz daty ostatniego. Piersi wyglądały smakowicie, korzystnie bez wątpienia wyeksponowane przez dekolt w kształcie kajaka albo gondoli, lecz jak się człowiek dobrze zastanowił, to nie było nic szczególnie żeglarskiego w tych wypukłościach. Co mogła sobie tam wpakować moja wesoła pani Manoią, co wstawić, włożyć, wepchnąć, wstrzyknąć albo zbudować w środku: marmur, cytadelę, żelazo, dwa panteony, antracyt, stal, czułem się jak nadziany na dwa grube stalaktyty albo dwa spiczaste żelazka bez płaskiej części, żelazka z dziobem ostrym jak dziób statku, ale całkiem zaokrąglone. Wydało mi się to jakąś zdegenerowaną formą współczesnego obłędu, a także swego rodzaju nadużyciem; zrozumiałem, dlaczego jej mąż unikał napierania na takie bastiony, Tuprze zaś wystarczyło, jak przypuszczałem, jedno spojrzenie byстрыm i lepszym od mojego okiem, by ocenić niebezpieczeństwo, jakie niosło ze sobą takie frontalne zderzenie (mam na myśli zderzenie mężczyzny z takimi horyzontalnymi piramidami, a może gigantycznymi karbunkułami, bo łódkowa bluzka lub koszulka była w kolorze nieco rozwodnionego czerwonego wina, neurotyczne zaś światła dyskotekowe sprawiały, że połyskiwała, a nawet mieniła się wszystkimi kolorami tęczy).

Jednakże nie sposób było gniewać się na Flavię Manoię albo uczynić jej afront, wiedząc, jak o to łatwo: była zbyt serdeczna, rozbawiona i bezbronna, nie trzeba by tych trzech powodów naraz, wystarczyłby każdy z osobna, bym nie potrafił brutalnie jej odepchnąć, a nawet nieznacznie od siebie odsunąć. Wytrzymałem zatem napór tych stożków niczym rogi, ufając, że sama pani Manoią zadba zaraz o odrobinę dystansu, powietrza między nami, aczkolwiek czasownik ufać jest tu nieadekwatny, bo prawda była taka, że rozpaczliwie na to czekałem. Reresby miałyby rację, jak prawie zawsze, zachwalając jej nogi, gdyby był się do tego posunął; należało też przyznać, że potrafiła wybrać idealną dla swej budowy i wzrostu długość spódnicy, trzy palce powyżej kolan; obserwowana z daleka – jej zwinna taneczna zmysłowość, wydatny jędrny biust, zgrabne, raczej twarde łydki i ładnie uformowane, odrobinę wypiętrzone kolana, a także nieźle rozkołysany tyłek, jak powiedziałyby człowiek nie mający czasu na dobry smak – mogła sprawić dokładnie takie wrażenie, jakie chciała sprawiać każdego wieczoru, a przez to zmusić swego męża – spostrzegłem od razu z lekkim zaniepokojeniem – do ponownego założenia czystych już okularów, żeby obserwować kątem oka jej każdy krok i uściski. Diabeł nie zawsze się domaga ostentacji, a przynajmniej nie od wszystkich, i przy zawieraniu paktów stosuje ogromną gradację w tym, co się tyczy pozorów, możliwe, że gra odległościami: niekiedy jest łaskawy dla ciała i twarzy w oddali, w półmroku, by bezlitośnie potraktować je i zniszczyć w pełnym świetle z bliska (zazwyczaj nie zgadza się na odwrotną sytuację). Nie był to dokładnie taki przypadek – rysy twarzy pani Manoi wydały mi się w Vongu bardzo miłe, aczkolwiek nie ponętne, co do tego nie ma wątpliwości, ale widziana w pełnym egzaltacji ruchu i w ramionach mężczyzny była z pewnością bardziej pociągająca, niż siedząc i zajadając raki lub wysysając ich odnóża; wystarczająco w każdym razie pociągająca, by ktoś wsparty na łokciach przy barze, w odległości kilku metrów albo jardów, wyprostował

się i zaczął lustrować i obwąchiwać parkiet, co więcej, by zaczął wymachiwać obiema rękami w teatralnym geście powitania, rozpoznawszy mężczyznę, w którego się wczepiła z wystudiowanym zapamiętaniem, mężczyznę zwanego powszechnie partnerem do tańca.

Nie rozpoznałem go w pierwszej chwili. Pani Manolia zmuszała mnie do takiego wirowania – wykonywała raczej średnio szybki niż średnio wolny taniec, a ja dotrzymywałem jej kroku i spełniałem rozkazy – że nie byłem w stanie patrzeć w jedno miejsce dłużej niż kilka dziesiątych sekundy, gorzej niż na karuzeli. Tak że wziąłem go za czarnoskórego przez to niedokładne widzenie, szybkie przebieranie nogami oraz dlatego, że miał na sobie jaśniuteńką marynarkę kilka numerów za dużą, z mocno watowanymi ramionami, a jak wiedziałem, jedyni ludzie, którzy mają odwagę ubierać się w takie marynarki, obszerne, lecz starannie wykończone, proste, bez wcięcia, to niektórzy przedstawiciele tej właśnie rasy, przede wszystkim potężnie zbudowani nuworysze należący ogólnie rzecz biorąc do kręgów show-biznesu: lekkoatleci, bokserzy, gwiazdy telewizji, dandysowaci raperzy. Myślałem przez chwilę, że to musi być jeden z nich, bo w lewym uchu połyskiwał mu kolczyk, wydał mi się owalny, trochę podłużny i nadmiernie lśniący jak na modę panującą wówczas wśród nowoczesnych nocnych imprezowiczów (jak jest teraz, nie wiem, rzadziej wychodzę), jakby mu go pożyczyła Cyganka albo jakby go ukradł piratowi, jednemu z takich, jakich już nie ma od dwustu lat, przynajmniej na Zachodzie. Na szczęście nie miał kapelusza z szerokim ani z wąskim rondem, ani chustki zamotanej na korsarską modłę i leżącej na karku jak ogon, teraz nazywają takie chustki bandankami (mogło mu to przyjść do głowy, żeby lepiej się wystylizować), włosy miał zaczesane do tyłu, wypomadowane, wygładzone, a raczej tak bardzo przylizane, że w następnej pełnej konfuzji chwili przestraszyłem się, że mógł je przykryć czymś jeszcze gorszym, czy ja wiem, czarną gęstą siatką do włosów, jak te, które mają *majos* na

obrazach Goi, a może nosili je bez żenady ówcześni toreadorzy, ja zaś widziałem to na rycinach i obrazach głównie autorstwa Goi. Jeżeli mówię, że na szczęście, to nie tylko dlatego, że ludzie noszący dziś nakrycia głowy, a już na pewno w pomieszczeniu, robią na mnie wrażenie patetycznych, a co najmniej pozerów (nie tyle pozują na oryginałów w sposobie ubierania, ile na oryginalność biograficzno--artystyczną, tak mężczyźni, jak i kobiety, ale bardziej dotyczy to mężczyzn, nie ma przebaczenia, jakkolwiek kobiety w berecie na głowie, zarówno nałożonym prosto, jak i na bakier, też są do zabicia), lecz dlatego także, że zdawszy sobie w końcu sprawę, kim jest ten czarny albo nie czarny ptaszek, albo kruk, albo sęp przy barze (moja watykańska fryga dała mi chwilę wytchnienia: na jakieś dziesięć sekund przestała wirować, mogłem więc przyjrzeć się postaci machającej ręką), pomyślałem, że nie zniósłbym go w kapeluszu cygańskiego grajka bądź w pirackiej chustce: jego widoku bym nie zniósł, ma się rozumieć, a tym bardziej jego towarzystwa w obecności znających mnie ludzi, nie zdzierzyłbym, gdyby ktokolwiek miał mnie skojarzyć z tym typem nawet tylko jako rodaków: zanegowałbym samego siebie, byle tylko utrzymać go na dystans, na oczekaniu wymyśliłbym sobie jakieś inne nazwisko (wystarczyłoby Ure albo Dundas, tego wieczoru były wolne), udałbym nieznanego i ma się rozumieć, zagrałbym się na śmierć, udając Brytyjczyka czy Kanadyjczyka, odezwałbym się do niego z silnym obcym akcentem: „Moja nie rozumieć. *No Spanish*”. A na prawdopodobne naleganie z jego strony pozbawiłbym go złudzeń: „*No Spanglish either, chłopie*”.

Tak więc rozpoznawszy go i nie dostrzegłszy u niego żadnego przerażającego nakrycia głowy (zawsze coś), poczułem tylko niedowierzanie w umęczonej piersi, to znaczy zdołałem pomyśleć w trakcie szalonego tańca: „Dobre nieba, to niemożliwe. Attaché De la Garza włóczy się po londyńskich dyskotekach ubrany jak dandysowaty czarny raper,



a może jak czarny pełnomocnik równie czarnego boksera. Niewykluczone nawet, że o tej porze sam się ma za czarnego”. I trafiłem w sedno, dodając: „Co za kutas, i w dodatku biały”. Oto miałem przed sobą osobnika, który nie miał czasu na dobry gust albo którego zły gust był w takim natarciu, że przekraczał wszelkie granice, zarówno te wyraźne, jak i nieoczywiste, gorzej, osobnika gotowego zainteresować się lubieżnie każdą istotą rodzaju żeńskiego – było to zainteresowanie raczej świńskie, bliskie czysto wydalniczemu – skoro na kolacji u sir Petera Wheelera był zdolny okazać je, i to całkiem okazałych rozmiarów, leciwiej już wdowie Wadman po wielce czcigodnym dziekanie, kobiecie o wydatnym pulchnym dekolcie i w naszyjniku z kamieni szlachetnych w kształcie cząstek pomarańczy. (Mam na myśli każdą istotę ludzką rodzaju żeńskiego, nie chciałbym insynuować czegoś, o czym nic nie wiem ani co do czego nie mam wskazówek). Flavia Manolia, w podobnym być może wieku, lecz z dużo większym wdziękiem i śladem (śladem dawnej urody, ma się rozumieć), mogła naprawdę odebrać mu rozum po dwóch kieliszkach, które albo już miał za sobą, albo zamierzał w siebie wlać w najbliższych minutach. Natychmiastowa pamięć asocjacyjna kazała mi się rozejrzeć dookoła, całkiem nielogicznie, za nie do końca jeszcze zgrzybiałym lordem Rymerem, złowróżbnym sławetnym Flachą z Oksfordu, z którym De la Garza wznosił wiele wspólnych toastów podczas bufetowej kolacji i który niezawodnie skłaniał do picia na umór każdego, kto znalazł się na odległość rzutu flaszka (czy też *flask*, co wychodzi na to samo). Jednakże jego sława i chwiejny krok ograniczały się już do ściśle oksfordzkiego terytorium, odkąd przeszedł na emeryturę w Izbie Lordów i co za tym idzie, porzucił swoje legendarne intrygi w takich miastach, jak Strasburg, Bruksela, Genewa oraz oczywiście Londyn (może nie był parem dożywoćnim, opowiadano jednak, że coraz bardziej nasączona etanolem mądrość jego wystąpień przed lordami – mądrość zawsze nienasycona – skłoniła go

w końcu do wcześniejszego zrzeczenia się mandatu); przy swoich obfitych kształtach i nogach tak często odmawiających posłuszeństwa nigdy by się nie zapuścił w dziki dyskotekowy świat, nawet niesiony w lektyce przez De la Garzę i jeszcze kogoś.

Miałem nadzieję, że Rafita jest w jedno- bądź kilkusobowym towarzystwie, w każdym razie że jest w jakimś towarzystwie, albo tak sobie z umiarkowaną ulgą (ale znowu, zawsze coś) pomyślałem, gdy zobaczyłem, że macha, a raczej kieruje gesty wzywające do czekania i cierpliwości do grupki czterech czy pięciu osób siedzących przy stoliku niedaleko stolika Tupry i Manoi, wszyscy z tej grupki, a na pewno większość, byli Hiszpanami, poznałem to po ich krzykliwości i po obliczonym na zwracanie uwagi śmiechu (poza tym jeden z tych ludzi – jakiś kretyń – udawał, że wsłuchuje się z wielkim zaangażowaniem w idiotyczną muzykę, robił przy tym absurdalną minę, jakby słuchał najprawdziwszego, pełnego cierpienia flamenco, które na pewno nigdy w tym miejscu nie zabrzmiało nawet w podrobionej i wymodzonej wersji: był to ekskluzywny lokal oferujący wyłącznie wrzawę i ogłuszający hałas, idiotycznie szykowny przebój sezonu wśród ludzi nie bardzo młodych, lecz bardzo zamożnych, możliwe, że wybrany przez Tuprę z myślą o sprawieniu przyjemności Flavii Manoi albo żeby samego Tuprę mógł usłyszeć tylko ktoś z uchem przytkniętym do jego ust).

– Ja pierdołę, Deza, skąd wytrzasnąłeś tę laskę, stary? – Takie były pierwsze odstręczające, a nawet przygnębiające słowa tego kutasa Rafity, gdy już nie mógł dłużej wytrzymać i zaczął się kołysać na parkiecie w jakimś okropnym, nieudolnym naśladowaniu (bo tym to właśnie było) ruchów pewnego siebie czarnego mężczyzny, średnio wolny kawałek jeszcze się nie skończył, a zatem nie skończył się także nasz średnio szybki taniec. – No przedstaw mnie, na co czekasz, draniu, nie bądź egoistą. Przyszła z tobą czy dopiero tu ją wyrwałeś? – Musiał uznać, że pani Manoi

jest Angielką, i ponownie poczuł się bezkarny w swoim języku, prawdopodobnie spędzał całe swoje bezrozumne życie w Londynie z takim właśnie przekonaniem, pewnego dnia wpuści się w potężny kanał i zrobią z niego purée albo siekaninę. Ja nadal wirowałem, a on wirował za mną (znaczy za moimi plecami), przemawiając z wielkim tupetem do mojego karku, co go w ogóle nie dziwiło ani nie peszyło: przypomniałem sobie, że jest specem od wtrącania się w rozmowy innych i wykolejania ich, nie było zatem szczególnie zaskakujące, że wtrącał się również w cudze tańce i również je masakrował. – Zakładam się o pierwsze wydanie Lorki, że wyrwałeś ją jakiemuś debilowi tutaj. Jak my ruszamy na łowy, trzeba uważać.

Tymi kilkoma zdaniem już mnie tak okropnie zirytował – ostatnim raczej infantylnym niż łajdackim, chociaż on uważał, że jest łajdackie; pretensjonalnie erudycyjnym zakładem niedoszłego bibliofila; bezpodstawną butą patriotycznej wulgarności (to jego „my” znaczyło oczywiście „my Hiszpanie”) – że mimo wcześniejszego postanowienia, że odpowiem mu mało zrozumiałym angielskim – z powodów, o których za chwilę – i będę się upierał z nieugiętością jeńca wojennego, że nazywam się Ure albo Dundas, nie wytrzymałem i zdołałem wykrzyczeć mu kilka szybkich słów, przekręcając trochę głowę, bo przecież nie będący w niewoli tułów:

– Pierwszej edycji Lorki to ty nie masz nawet kradzionej, Garza Ladra. – Najpewniej nie chwycił obraźliwej operowej aluzji, ale nie dbałem o to, samo jej zrobienie już było dla mnie dostateczną nagrodą. W każdym razie nawiązał do niej dopiero później, i to w mało rozgarnięty sposób: najpierw dostał żyły afektowanego pieniacza.

– I tu się mylisz, mądralo – powiedział i uniósł jeden absurdalny, pokryty pierścionkami palec: musiał wkładać ten dyskotekowy strój ze wszystkimi jego atrybutami, ilekroć wychodził naprawdę pohulać albo zgrywać się na

czarnego; żadną miarą nie mogłem sobie jednak wytłumaczyć w tym kontekście (to właśnie obiecałem wyjaśnić za chwilę, czyli dlaczego postanowiłem udać wariata, chociaż nie dotrzymałem tego postanowienia) żałobnej siatki na włosy jak spod pędzla Goi, którą niewiarygodne, ale De la Garza faktycznie miał na głowie czy to dla lepszego przyglądzenia włosów, czy z jakiegoś innego kretyńskiego powodu, tym samym moje niewyraźne wrażenie z drugiej pełnej konfuzji chwili okazało się prawdziwe. Teraz jednak nie mogłem w to uwierzyć, mimo że widziałem ostro do bólu. Siateczki nie wypełniały krótko przycięte włosy ani koński ogon, nie miała żadnej zawartości: skoro już zaryzykował takie anachroniczne nakrycie głowy, wybór niespełna rozumu, powinien był wypożyczyć sobie przynajmniej jakiś tupecik, żeby nadać całej operacji sens i wagę, i trochę ją usprawiedliwić w jej abominacyjnym pokręceniu. („Sens” to tylko taki sposób mówienia, podobnie jak „usprawiedliwić” i „rozum”). Pomyślałem, że pierwsze wydanie któregoś Lorki mógł mu równie dobrze sprezentować albo sprzedać dawny dyrektor hiszpańskiej Biblioteki Narodowej, o ile wiem, jego znajomy, który w przeszłości korzystał ponoć w pełni ze swego stanowiska – teraz wykorzystywał inne, wyższe – żeby wymuszać śmiesznie niskie ceny u najwyborniejszych antykwariuszy, ponieważ twierdził, że nabywa kosztowne białe kruki z przeznaczeniem dla owej instytucji publicznej, nawiasem mówiąc, często niedostępnej dla obywateli (apelował, w skrócie rzecz ujmując, do uczuć patriotycznych, czyli podchodził marszandów od najbardziej naiwnej strony), podczas gdy w rzeczywistości wszystkie wędrowały prościutko, bez żadnego postoju w oficjalnej instytucji, do jego prywatnej domowej kolekcji, wciąż szybko się powiększającej.

Nie chciałem się dowiedzieć od razu, dlaczego De la Garza ma mnie za mądrą i dlaczego się myliłem. Zauważyłem, że pani Manóia zaczyna się gniewać. Było nie do przyjęcia, żeby w trakcie tańca, j e j tańca, jakiś

żałosny i trochę już może wstawiony typ niezdarnie przyłączał się do nas na parkiecie, zajmując miejsce za plecami jej partnera i na całe gardło drąc mu się nad głową; ja byłem jeszcze bardziej nieuprzejmy, zdałem sobie sprawę, bo odpowiadałem temu nieodpowiedzialnemu osobnikowi, chociaż było to tylko jedno szorstkie zdanie, zamiast go usadzić w dosłownym słowa znaczeniu, przegonić do baru czy nawet, jakbym się postarał, jeszcze dalej. Mimo wszystko nie miałem pewności, czy jej uraza była spowodowana chwilowym brakiem uwagi z mojej strony, czy zwyczajnie bezprecedensowym wtargnięciem De la Garzy, czy też faktem, że nie zaproponowałem, by natychmiast przerwać taniec, i nie przedstawiłem sobie formalnie tych dwojga. Wydawało mi się, że zaintrygował ją trochę nocny marek Rafita w swoim niepojętym stroju, ale trudno było powiedzieć coś na pewno, to mogło być po prostu zakłopotanie: tańcząc, musiała widzieć przed sobą dwie twarze, jedną przy drugiej, co zapewne zniechęcało ją do napierania mocniej na mój tors, nie pozwalało się skoncentrować ani cieszyć tańcem; spostrzegłem ponadto, że jej spojrzenie wędrowało mimowolnie ku wierzchołkowi głowy osoby za moimi plecami, wpatrywała się, co zrozumiałe, w szczegól ubioru bardziej przystający matadorowi albo osiemnastowiecznemu *majo*, nie mogła pewnie rozpoznać, co to jest, jakie niesie znaczenia czy hermetyczną symbolikę. A może wyczuła już od pierwszej chwili, że mimo tej siatki na zakupy, którą ozdobił sobie włosy, i kolczyka wróżki w uchu ten drugi Hiszpan będzie dla niej pewnym, możliwe, że niewyczerpanym źródłem komplementów. Przyszło mi w każdym razie do głowy w przypływie umysłowej nieodpowiedzialności i egoizmu, że byłoby nieźle, gdyby attaché dołączył do nas na krótką chwilę, zarzuciłby panią wyrazami zachwyty i komplementami (co prawda dla niej niezrozumiałymi), mógłby nawet przyjąć polana lub bale na swą pierś (trudno o celniejsze wyrażenie), gdyby upierała się nadal tańczyć. (Obawiałem się, że ja byłem bardziej

wstrzemięźliwy w swoich zachwytach, niż ode mnie oczekiwano; nie z nadmiaru roztropności, albowiem mówienie miłych słów kobiecie tak żywej i chłonnej, tak mało w istocie wymagającej nie zmuszało mnie do wielkiego wysiłku, mimo że jej ukontentowanie zawsze trwało krótko i ciągle domagała się nowej strawy, lecz dlatego, że nudzą mnie sformułowania w rodzaju *carine* albo *tenere*, a ich monotonna natura szybko wywołuje przesyt, wszystko jedno, czy czytam je w powieści, słyszę w filmie, sam je wypowiadam czy słyszę od kogoś w prawdziwym życiu). Tak czy owak wystarczyły cztery słowa Flavii Manoi, bym doszedł do przekonania, że nie można przeciągać tej sytuacji i że bez dalszej zwłoki należy ich sobie przedstawić. Upewniłem się ostatecznie w tym względzie, dostrzegłszy katem oka, że Manoi, któremu Tupra przedstawiał na ucho jakieś dłuższe wywody albo propozycje, rzucił w stronę parkietu tanecznego ze dwa pytające, jeżeli nie oskarżycielskie spojrzenia, odkąd zaczął nas nękać De la Garza, ktoś zupełnie mu nieznany i wyglądający na natręta, kogo mógł też łatwo uznać za rozpustnika.

– *Mah* – powiedziała najpierw Flavia, a to zawsze jest wysoce dwuznaczne w języku włoskim, może być oznaką zgody, sprzeciwu, lekkiego zainteresowania, lekkiego zniecierpliwienia, niezrozumienia, wątpliwości albo oznaczać tylko koniec jednego tematu i przejście do innego. A potem dodała: – *Chi sarebbe, lui?* – To mi wystarczyło, żeby przerwać taniec i z wielkim taktem oraz delikatnością odsunąć się od ostrokołu, ona wszakże, zanim ich sobie przedstawiłem, zadała jeszcze jedno pytanie: – *E cosa vuol dire* laska? – Na pewno nic nie zrozumiała z potoku słów wylanego z siebie przez to nieszczęście Półwyspu (aczkolwiek dziś jest tych nieszczęść tyle, że niemal stanowią normę, trudno zatem klasyfikować je jako nieszczęście), mogła jednak wyczuć intuicyjnie, że owo wpadające w ucho określenie odnosiło się do niej: że to ona została tak nazwana, i to dość bezczelnym tonem.

– Rafael de la Garza z hiszpańskiej ambasady w Londynie. Pani Flavia Manioia, moja zachwycająca znajoma z Włoch. – Użyłem języka włoskiego, żeby ich sobie przedstawić, skorzystałem z okazji, by wtrącić komplement; potem dodałem już po hiszpańsku, czyli tylko dla Rafity, tytułem ostrzeżenia, na wszelki wypadek lub żeby pohamować jego zapędy (możliwe, że była to naiwna wiara): – Tam siedzi jej mąż, o, tamten, bardzo wpływowy człowiek w Watykanie. – Miałem nadzieję, że zrobi to na nim wrażenie. – Przy jednym stoliku z panem Reresbym, pamiętasz pana Reresby’ego, prawda? Był na kolacji u sir Petera, przypominasz sobie? – Byłem pewien, że nie pamięta, że u Wheelera Tupra nazywał się Tupra.

– Ach, ale taki jest młody ten wasz ambasador – powiedziała w swoim języku, kiedy podali sobie ręce. – Jest też bardzo nowoczesny, bardzo odważny w sposobie ubierania, nie sądzisz? Od razu widać, że wasz kraj zmienił się pod każdym względem. Naprawdę we wszystkim. – I znowu wróciła do tematu laski, zdecydowanie chciała wiedzieć: – Ale powiedz mi, co znaczy „laska”, no słucham.

Równocześnie mówił do mnie De la Garza (każde mówiło do innego ucha i każde w swoim języku), przytrzymując zbyt długo dłoń kobiety w swoich dłoniach, to znaczy, trzymał ją w niewoli, gdy zaczął wyrzucać z siebie długą serię obelżywych sprośnych słów na widok i wspomnienie Reresby’ego, nie byłem w stanie podążać uważnie za tym bluzgiem w całości, uchwyciłem jednak kilka wyrazów, fragmentów zdań oraz ogólnych idei: „skurwysyn”, „kędziory”, „wysokie babsko”, „głupia dziwka”, „pokazywała mi majtki”, „zmyli się”, „kawał słoniny”, „ocierał się o jej cycki”, „zatłuszczona kanapa”, „ty je z niej ściągnąłeś?”, „udawanie”, „pieprzony cygan”, „przekłeta żmija”, „ja pierdołę”, a na koniec pytanie: „Ściągnąłeś jej majty na żywca?”. Po tym potoku słów na chwilę wrócił do terażniejszości:

– Co wcześniej mówiłeś o *ladra*? Miałeś na myśli tę cizję? Ja pierdołę, spójrz tylko, jakie ma groźne armaty. – Jego słownik często brzmiał jak uczniowski i przestarzały, kiedy attaché starał się być najbardziej ordynarny. Zauważył jednak, że każde zbliżenie może być trudne. Z drugiej strony nie wziął pod uwagę ewidentnej sztuczności (dzieło człowieka) jej biustu, nie był wyczulony na subtelne różnice ani nie zajmował się drobiazgowo detalami. Potem na chwilę uderzył w ton przymilny, zwracając się do Flavii, żeby jej się podlizać: – To dla mnie wielka przyjemność, droga pani, a mój zachwyty jest jeszcze większy. – To oczywiście zostało zrozumiane, było *crystal-clear* dla każdego Włocha i Włoszki.

W każdym razie nadal używał wulgarnego języka, a nawet mówił jeszcze gorzej (sprzyjają temu noce wyczerpania, szczególnie zaś noce uciążliwych łowów), jakkolwiek tego o ściąganiu majtów na żywca nigdy wcześniej nie słyszałem (dziwne było to „na żywca”). Wyrażenie było bardzo ordynarne jako eufemizm, ale jednak było tylko eufemizmem, należało to chyba docenić mimo wszystko. Całe szczęście, że żadna z towarzyszących mi osób nie mogła zrozumieć jego brutalnych i chamskich odzywek.

Już zaczynałem wyrzucać sobie własną egoistyczną słabość (powinienem był iść w zaparte, wobec niego albo wobec siebie, albo wobec nas obu, „nigdy się nie spotkaliśmy, nie wiem, kim jesteś, nie znasz mnie, nie rozmawiałeś ze mną ani nie usłyszałeś ode mnie jednego słowa, dla mnie nie masz twarzy ani głosu, ani oddechu, ani imienia, tak jak i ja dla ciebie nie mam nawet karku ani pleców”), gdy Tupra przywołał mnie gestem ręki do stolika, miał Manoi tyle do powiedzenia, że wcześniej czy później musiałem mu być potrzebny jako tłumacz – widać właśnie nadszedł ten moment – żeby pomóc im pokonać jakiś zator. Zawahałem się, czy nie zabrać pani Manoi ze sobą, a zatem i Rafity, który tak szybko nie zamierzał się od nas odczepić, miał tendencję do przyklejania się. Tupra mógłby się



jednak zirytować, pomyślałem, gdybym w trakcie jego *tratative* sprowadził mu na głowę nieprzyzwoitego eksperta od literatury (już go zdążył poznać), w dodatku w klejnotach i z siecią rybacką na głowie; postanowiłem zatem zostawić Flavię pod tymczasową opieką De la Garzy – lekki niepokój był zawsze – widziałem, że pała ochotą, by oświecić ją swymi uczonymi dowcipnymi powiedzonkami albo ogłupić bardziej prymitywnym od mojego tańcem, co zresztą nie zostałyby źle przyjęte. Nim odszedłem, szepnąłem czy też krzyknąłem jej do ucha, nie mogłem pozwolić, by miała do mnie urazę z powodu braku odpowiedzi:

– „Laska” znaczy piękność.

– Ach tak? Coś takiego. Skąd się to wzięło? Dosyć dziwne.

– To sympatyczne potoczne określenie z Madrytu, z grypsery. – To ostatnie dodałem ot tak, sam nie wiem dlaczego, dla ozdoby. – On uważa cię za wielką piękność, jak my wszyscy. – Tak powiedziałem po włosku, mniej więcej *verbatim*. – Właśnie tak cię nazwał.

– Ale ambasador nie był chyba w więzieniu? – spytała z przestrawieniem. W jej głosie nie usłyszałem zgorszenia (musiała się przyzwyczaić, że przyjaciele i znajomi lądują w ciupie), lecz absurdalną litość i zaniepokojenie z powodu kryminalnej przeszłości pokracznego *majo* oraz tego, jak los musiał go już doświadczyć (osobiście zamykałbym go na dłużej, bez sądu i za niewinność). Przejęła się tak bardzo z powodu, jak przypuszczam, jego młodego wieku.

– Nie, nie, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Słowo wzięło się z więziennego slangu, ale słowa idą przecież dalej, podróżują, szybują, rozprzestrzeniają się: są wolne, nieprawdaż? Ani kraty, ani grube mury ich nie zatrzymają. Mają w sobie wielką siłę.

– *Temibile* – wtrącił się De la Garza, który nastawiał ucha i zrozumiał pewnie pojedyncze słowa z mojego przefiltrowanego przez hiszpański włoskiego (zgadywał, niemożliwe, żeby mówił po włosku, znaczy sądząc

po tym, że dodał tylko jeden przymiotnik). W tym był prawdziwym mistrzem, we wtrącaniu się ni w pięć, ni w dziewięć i nie wiedząc, o czym mowa, zawsze nieproszony, czasem nawet stanowczo i bezpardonowo odtrącony.

– Nie trzeba, *quindi*, siedzieć w więzieniu – podjąłem – żeby je znać, mam na myśli słowa, które tam powstają, są tam wymyślane. A przy okazji: on nie jest ambasadorem, jest tylko częścią jego zespołu. Nie mam jednak wątpliwości, że zostanie kiedyś ambasadorem. Myślę nawet, że zajdzie jeszcze wyżej, jeżeli tylko zachowa swój obecny styl, co wydaje się nieuniknione: mianują go sekretarzem stanu, *anzi* ministrem. – Nie ma dokładnego hiszpańskiego odpowiednika dla słów *anzi* i *quindi*.

– Ministrem? A czego ministrem?

– *Beh*. Kultury najprawdopodobniej; to jego dziedzina, jest w niej ekspertem od wszystkiego. – To „*beh*” wyszło mi spontanicznie; „*beh*” również jest dwuznaczne po włosku, może nie chciałem pozostać w tyle w użyciu nieprecyzyjnych potocznych wtrąceń. I dodałem, odsuwając się od niej troszeczkę, tak żeby De la Garza lepiej słyszał i żeby tym razem zrozumiał mniej więcej w całości: – Nikt lepiej od niego nie zna światowej literatury fantastycznej, łącznie ze średniowieczną i paleochrześcijańską. Ma piekielną wiedzę. – Przetłumaczyłem z bezlitosną dokładnością jego własne słowa wypowiedziane podczas kolacji u Wheelera. „*Sa un inferno*”, dorzuciłem bezwstydnie, wiedząc, że nie używa się po włosku tego wyrażenia, więc jest niezrozumiałe. – Która prócz tego, że cenna i pożyteczna, jest też ogromnie szykowna, sama rozumiesz.

– Przerażająco szykowna – dopowiedział Rafita, nie rozumiawszy wiele pomimo mojej starannej artykulacji. Mówił troszkę bełkotliwie, nie za bardzo, mogło mu szybko minąć, gdyby przyhamował trochę z piciem albo gdyby lubieżność przywróciła mu jasność wymowy; tym razem nawet nie spróbował się posłużyć włoskim słowem. Patrzył na panią Manoię

z uporczywą i nieskrywaną żądzą, chcę przez to powiedzieć, że gapił się niemal w otępieniu na jej silikonowe menhiry.

– Doprawdy? *Addirittura*. – To słowo również nie ma swego dokładnego odpowiednika w moim języku.

– A teraz, jeśli pozwolisz, najdroższa i najbardziej zachwycająca Flavio – używałem przynajmniej superlatywów, popularniejszych w jej języku – zostawię cię na kilka minut w najlepszym i najszykowniejszym towarzystwie. Nasi przyjaciele mnie wzywają.

Tam ją zostawiłem, pod kopytami karych koni i w pseudoczarnej paszczy wilka, i na brzegu rzeki pełnej żarłocznych krokodyli, mając nadzieję, że jej mąż i Tupra nie zatrzymają mnie na długo, czułem się odpowiedzialny za jej wieczór, jej dobre samopoczucie i zadowolenie, chciałem, żeby nadal dzwoniło jej dziesięć bransoletek. Idąc do Tupry i Manoi, widziałem, że De la Garza wymówił się chwilowo od tańca, prowadząc ją w zamian do swego stolika, niedaleko od naszego, przy którym siedziało jego hałaśliwe, w większości hiszpańskie towarzystwo, i to mnie częściowo uspokoiło, bo my mogliśmy mieć ich na widoku, a on nie mógł się do niej przystawiać jak podczas tańca we dwoje (w grupie były dwie kobiety, a wiele moich rodaczek źle znosi konkurencję, nawet jak jest całkowicie urojona i nie ma jej ani odrobiny, bo i nie może być: obie musiały być ze dwadzieścia lat młodsze od mojej pani Manoi, która jednak zostawiłaby obie daleko w tyle, gdyby nie było między nimi dwóch dekad różnicy. Luisa taka nie jest, przebiegło mi przez myśl, nie ma zwyczaju z nikim rywalizować, a gdy ktoś rzuca jej wyzwanie, po prostu się usuwa. (Może jest pewna własnej wartości, a może jest zadowolona z siebie takiej, jaka jest. Może i ja nie jestem inny). Zwróciło moją uwagę, że natchniony meloman kabotyn klaskał teraz powoli, obie dłonie tuż przy uchu, powieki zaciśnięte i całkowita świadomość wysilonej pozy, i nawet nucił sobie coś smętnego pod nosem (nic innego jak jakieś do bólu rozdzierające, bo tak nieznośnie głębokie flamenco, na twarzy miał wyraz ekstatycznego uniesienia kogoś dobrowolnie idącego na mękę), zatopiony w muzyce, która wcale nie usprawiedliwiała tak głębokiego żalu, może dzięki niewiarygodnej koncentracji i wytrwałości przysłuchiwał się jakiejś muzyce w swojej głowie, a może faktycznie słuchał czego innego – głuchy na dyskotekowy

jazgot – przez małeńkie ukryte w uszach słuchawki podobne do tych, jakich pewnie używa mój sąsiad z naprzeciwka, tancerz, przy swoich pługach. Jego twarz wydała mi się znajoma, dość pospolite rysy mimo barokowej fryzury z loczkami, która próbowała te rysy wysubtelnić, a nawet im zaprzeczyć, włosy wściekle ufarbowane na obłąkaną czerń; miałem uczucie, że to jakiś bardzo ważny i bardzo znany pisarz, mógł mieć tego wieczoru wystąpienie w Instytucie Cervantesa, sprowadzony specjalnie w tym celu z Półwyspu przez De la Garzę, a mnie to umknęło, jakiś mentorski wykład lub czarującą recytację, ale ze mnie gapa. Wydał mi się kompletnym idiotą, rzecz jasna nie zauważył pojawienia się Flavii przy ich stole, tak był pogrążony w wyklaskiwaniu swego lamentu; pozostali nawet się nie podnieśli, gdy Rafita dokonywał prezentacji, z wyjątkiem jednego mężczyzny, pewnie Brytyjczyka, na co wskazywałby jego wygląd i przestrzeganie pewnych manier, Brytyjczycy nie tak szybko się ich wyzbywają. Apodyktycznym gestem attaché kazał towarzystwu się posunąć i zrobić dla nich miejsce, zobaczyłem, że oboje usiedli raczej ściśnięci (musieli się ocierać nogami, spódnica podciągnęła się odrobinę pani Manoi – znaczy odrobinę za dużo – może to rozochociło jej zalotnika), nim ja uczyniłem to samo, nie uskarżając się na brak miejsca, siadłem na krześle po lewej stronie Reresby’ego, który jeśli to było możliwe, wolał mieć ludzi po swojej lewej, tłumaczyłem to sobie tym, że pewnie słyszy lepiej na lewe ucho albo widzi lepiej prawym okiem.

Od razu zapytał mnie, jak powiedzieć po włosku cztery albo pięć słów, które przewidująco zanotował sobie wcześniej na podkładce pod kieliszek i na których musiał polec ubogi w słownictwo język angielski Manoi. Jednym z tych słów było, o dziwo, „vows”, a właściwie „to take the vows”; drugim „toadstool”, równie rzadkie z zupełnie innej dziedziny; trzecim „nipples”, co nie pomagało niczego wydedukować. Było zupełnie zrozumiałe, że Manoi ich nie znał, nie rozumiałem jednak, dlaczego Tupra

nie sięgnął po coś alternatywnego lub przybliżonego, żeby je wytłumaczyć, w ostateczności mógł nawet pokazać je na migi (może był na to zbyt angielski mimo swego nazwiska). Szczęśliwie słyszałem wcześniej te słowa albo natknąłem się na nie przy lekturze i potrafiłem znaleźć ich odpowiedniki („*pronunciare i voti*”, złożyć śluby zakonne, tu naprowadził mnie hiszpański; „*funghi, piuttosto quelli velenosi*”, muchomor, tu potrzebowałem wyjaśnienia; „*capezzoli*”, sutki, zaryzykowałem akcent na trzeciej sylabie od końca, ale nie byłem pewien, czy mam rację). Szczęśliwie również nie wzbudziły we mnie zaciekawienia. Miałem tylko nadzieję, że sutki, *capezzoli* albo *nipples*, w żadnym razie nie były sutkami pani Manoi, każde napomknięcie o nich uznałbym za krępujące (choćby było natury czysto medycznej lub powiedzmy, patologicznej), mając na względzie, że wcześniej byłem na nie nabity jak na dwa szpikulce i nadal czułem na piersi ich klucie. Zamierzałem już do niej wracać, spełniwszy rolę chodzącego słownika, ale Tupra zatrzymał mnie ruchem ręki, pokazał mi wewnętrzną stronę dłoni, jakby ostrzegał: „Czekaj, możesz być jeszcze potrzebny”. Manoi skorzystał z przerwy na te konsultacje językowe (zareagował tylko przy trzecim słowie, i to bardzo oszczędnie: „*Ah, gabezzoli*”, powtórzył ze swoim bardziej południowym niż rzymskim akcentem), żeby unieść długi niebieskawy podbródek i spojrzeć przez dobrze założone, dociśnięte kciukiem okulary w stronę stolika, który przyjął do swego grona jego żonę z bardzo hiszpańską nonszalancją.

– Co to za ludzie? – zapytał mnie w swoim języku tonem wzgardliwym i nieufnym, a nawet niezadowolonym.

– Hiszpanie; pisarze, dyplomaci – odparłem, uświadamiając sobie, że zasadniczo nie mam o tym pojęcia i nie wiem, jak się nazywają, chociaż nazwisko sławnego i bardzo ważnego autora klaszczącego w dłonie miałem na końcu języka (lecz nie mogłem sobie przypomnieć). – Tamten młody człowiek pracuje w hiszpańskiej ambasadzie, pan Reresby zna go również.

– I zwróciłem się po angielsku do Tupry, żeby uwikłać go jeszcze bardziej i podzielić się z nim odpowiedzialnością na wszelki wypadek. – Przypominasz sobie młodego De la Garzę, prawda? Byliśmy razem na kolacji w Oksfordzie, jest synem Pabla de la Garzy, który dużo tu zrobił dobrego w czasie wojny, a potem długie lata był ambasadorem Hiszpanii w krajach afrykańskich. – Miałem absurdalny pomysł, że informacje na temat rodziny ich uspokoją. – Dobry chłopak, bardzo uprzejmy. – Te ostatnie słowa powtórzyłem po włosku dla Manoi, żeby się przekonać, czy mi wierzy („*Un bravo ragazzo, molto premuroso*”), podczas gdy sam w duchu, trudno, myślałem po hiszpańsku: „Straszny idiota, matoł i zaraza”.

Mimo refleksów w szklach okularów zobaczyłem jego przelotne spojrzenie, bo zatrzymał je dłużej niż zwykle na Raficie i jego bandzie. Dostrzegłem w tym spojrzeniu kpinę, zgryźliwość, a także jakąś złość, jakby rozpoznawał w nich ten rodzaj ludzi, któremu dawno temu poprzysiągł zemstę. Tak, sprawiał wrażenie człowieka zdolnego wpaść w furję nawet niewinnie sprowokowany, a gdy wybuchał, robił to bez ostrzeżenia, nie można było tego przewidzieć, a tym bardziej temu zapobiec. Chłodna wściekłość, którą kontrolował i dozował – mógł ją powstrzymać, nawet gdy już doszło do wybuchu – wprawiająca innych w zakłopotanie. Taki był. To nosił w sobie. Ale Tupra miał z pewnością rację: potrafił także dać tej furii upust.

– A co on ma na głowie? Mantyłkę? – zapytał Manoi już z otwartą pogardą. – Może wybiera się na poranną mszę?

– Och, wie pan przecież, jacy są dzisiaj młodzi ludzie, kiedy wychodzą wieczorem, uwielbiają wkładać dziwne rzeczy, chcą być oryginalni, wyróżniać się. – Była jakaś okrutna ironia w tym, że czułem się w obowiązku usprawiedliwiać jego przebranie i głupotę. – To staromodne, ale bardzo hiszpańskie nakrycie głowy; właśnie, nosili je zazwyczaj

toreadorzy; datuje się z osiemnastego wieku albo z jeszcze wcześniejszej epoki. – Spojrzałem na Rafitę z urazą. Z tej odległości przypominał mi wiszący w Luwrze autoportret Luisa Meléndeza, aczkolwiek wygląd miał cokolwiek bardziej zdegenerowany i rozwiązły; na obrazie malarz ma na głowie co innego: jeśli mnie pamięć nie myli, chustkę zawiązaną na kształt wieńca laurowego albo jakoś podobnie. Rafita mówił z ożywieniem i głośno, perorował na jakiś temat lub opowiadał dowcipy (jedno z dwojga), pani Manioia nie mogła rozumieć nawet połowy, ale on zwracał się również do innych, przede wszystkim do blondynki z niezmiennym wyrazem obrzydzenia na twarzy, to częsta mina wśród na ogół nieatrakcyjnych i niewyraźnych Hiszpanek z bogatych domów, hiszpański mężczyzna powinien mieć zdrowy żołądek, żeby się ożenić z rodaczką tylko dla jej pieniędzy. Zakładałem, że to właśnie jest przeznaczeniem Rafity, aczkolwiek nie było mu do tego spieszo: jeszcze był niecierpliwy, niedoświadczony, pazerny, zapewne chciał jeszcze odwiedzić dużo przerażających łóżek, a w nich żeńskie rozwiązałe sobowtóry niezapomnianego aktora Roberta Morleya bądź rozpustne bliźniaczki Petera Lorre’a, których będzie pożądał w chwilach alkoholowego upojenia w nocy, żeby przerazić się ich i samego siebie w chwili porannego przesytu na kacu. – Krótko mówiąc – dodałem, nie mając już ochoty dalej się patyczkować – to dobry chłopak, ale trochę matoł, *mameluco*. – Chodziło mi po głowie to hiszpańskie słowo, użyłem go na chybił trafił, może mówiło się tak samo po włosku, wszystko jest możliwe w pokrewnych językach, nigdy nie wiadomo.

– *Un po? Eh. Mammalucco totale. Eh. Questo si vede, eh* – poprawił mnie Manioia, a ja uważałem tak samo: był totalnym, bezdennym, kompletnym matołem. To, co wydobyło się z ust Manoi, zabrzmiało co prawda jak „*Mammaluggo dodale*”, wydawał się niezdolny do poprawnej wymowy swoich niewyraźnych, skróconych samogłosek ani niezmiennie



dźwięcznych spółgłosek, ciekawe, czy mówił z takim samym kiepskim akcentem, kiedy rozmawiał z delikatnymi członkami Kurii Rzymskiej, wbiłem sobie do głowy, że tych dwoje mieszka w Watykanie, bo chyba mieszkali tam jacyś ludzie poza kardynałami, biskupami, kapelanami, ministrantami, siostrzeńcami i bratankami papieża. – Poza tym wcale nie jest taki młodziutki jak na podobną głupotę – powiedział, przechodząc teraz na angielski, żeby nie wykluczać z rozmowy Reresby’ego. – Ten błazen musi już mieć trzydziestkę, mam rację, Reresby?

– Trzydzieści jeden – odparł Tupra, jakby to wiedział. I dodał, żeby się odciąć albo uwolnić od tego, co ja wcześniej insynuowałem: – Nigdy z nim nie rozmawiałem, znam go tylko z widzenia, widzieliśmy się przy tamtej okazji w Oksfordzie. Nadmiernie się ekscytuje przy kobietach, to istotnie zauważyłem. – Nie byłem pewien, czy te słowa to ostrzeżenie pod moim adresem, żebym nie tracił czujności, czy kieruje je do pana męża, żeby niezwłocznie ruszył Flavii na odsiecz i nie narażał jej na wybryki tego opóźnionego w rozwoju wyrostka, sprawy często przybierają zły obrót przed świtem.

Następnie Tupra znowu zażądał uwagi Manoi. Zbliżył swoje mięsiste wargi do jego ucha i dalej mu coś wyjaśniał, o czymś go przekonywał, o coś prosił lub do czegoś nakłaniał. Nie chciało mi się tego słuchać, jednym okiem bacznie obserwowałem stolik hiszpański, drugim zerkając na nich, na wypadek gdyby mnie znowu potrzebowali, co jakiś czas, kiedy przycichała muzyka, docierały do mnie fragmenty rozmowy, pojedyncze słowa i jakieś nazwy własne. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Tupra uzyska w końcu od Manoi wszystko, co chce, zobowiązanie się do czegoś, obietnicę pomocy, alians, tajemnicę, kupno, sprzedaż, przywilej, plan, donos, każdą czystą albo brudną robotę. Uważałem go zawsze za człowieka o największej sile perswazji na świecie, w dodatku doświadczyłem jej na samym sobie, a to aż nadto przyczynia się do

utrwalenia naszych przekonań. Ale niezależnie od moich subiektywnych odczuć było jasne, że ta jego odroczone w czasie gwałtowność, jego schlebająca i bezustanna gotowość, inteligencja i serdeczność, jakimi ujmował swoich rozmówców, gdy było mu to na rękę, utwierdzanie ludzi w przekonaniu, że żadne z wypowiedzianych przez nich słów nie umknie jego uwadze ani nie będzie zmarnowane, a zatem zużyte lub wypowiedziane na próżno; jego dziwne napięcie w odwodzie, które nigdy nie utrudniało kontaktu (człowiek czuł się przy nim bardzo swobodnie, bardzo spokojnie), ale zawsze było pod powierzchnią jego małych snobizmów oraz dyskretnej i delikatnej ironii, bardziej jako obietnica intensywności i znaczenia niż groźba konfliktów czy perturbacji; było jasne, że swoją żywiołowością, wstrzymywaną gdzieś w wiecznym oczekiwaniu, może pod ziemią albo w niewoli, potrafi zarazić nawet najbardziej opornych i podejrzliwych i przekonać ich jeśli nie do przejścia na swoją stronę, to do postawienia się w jego sytuacji, patrzenia na sprawy z jego perspektywy, a może z jego poziomu, czyli z poziomu człowieka. Ten poziom jest właściwy i nieunikniony.

Taki właśnie był, szeptał mimo hałasu, minuta po minucie zdobywał ucho swego gościa, tak, był niczym perswazyjny i klarowny Jago, ktoś, czyje dobre słowo pozostanie bezpieczne, dopóki nie opadnie kurtyna, a i później, w echu jego przemów po powrocie do domu (dobre słowo i zła wiara mogą iść ramię w ramię i dają się ze sobą pogodzić, słowo chroni zasoby, a wiara aspiracje albo środki i cel, jeżeli woli się terminy bardziej polityczne); jakby nie były mu szczególnie potrzebne wybiegi i fortele ani nawet zwykłe oszustwa albo podstępne sączenie trucizn i zarazków, żeby zmienić kierunek myśli bądź przejąć ich ster i uzyskać przysięgi, kapitulacje, rezygnacje i niemal bezwarunkowe wsparcie. Tupra nie musiałby nigdy pomyśleć, powiedzieć ani postanowić sobie tego, co zawiera się w okropnych słowach wypowiedzianych przez chorążego

Maura: „Wleję ten zjadliwy podszept w jego ucho”,<sup>4</sup> ponieważ on przekonywał siłą perswazji i rzadko knuł jakąś intrygę, posiłkując się fałszywą informacją albo kłamstwem, chyba że mnie się tak wydawało: jego rozumowanie przekonywało, jego entuzjazm wzbudzał entuzjazm, a perswazje naprawdę perswadowały i niczego więcej nie potrzebował, no może czasami, bardzo rzadko, tylko własnego milczenia nieuchronnie uciszającego tych, przy których milczał. Jednakże, z drugiej strony, może musiał często pomyśleć lub powiedzieć sobie inne niepokojące słowa Jagona: „Nie jestem, czym jestem”. Trudno mi było się dowiedzieć, kim jest, mimo mego rzekomego daru, który z nim dzieliłem, albo mimo niewątpliwego przekleństwa, które mogło ciążyć tylko nade mną. Nie było też wcale łatwo dowiedzieć się, kim nie jest.

„*The Sismi*” to była jedna z nazw własnych, którą słyszałem więcej niż raz z jego ust albo z ust Manoi, a kiedy wypowiadał ją ten ostatni, brzmiało to w kontekście dominującego języka angielskiego jak „*the sea's me*”, czyli „morze to ja”, czyli nazbyt nieprawdopodobnie nawet jak na nazwę statku albo konia wyścigowego (aczkolwiek pamiętałem, jak ja sam, podczas gorączkowej nocy lektur w domu Wheelera nad rzeką Cherwell, pomyślałem, kładąc się spać: „Jestem rzeką”), założyłem zatem, że musi chodzić raczej o skrót literowy, może nazwę jakiejś organizacji albo instytucji, albo zakonu, albo watykańskiej frakcji lub braterstwa (jak na południu 'ndrangheta bądź kamorra). Wychwyciłem też pięć nazwisk, a przynajmniej tyle zapamiętałem, bo powtarzały się w rozmowie i ponieważ mam doskonałą pamięć, która rejestruje wszystkie nazwiska, jakie widzą moje oczy i słyszą uszy: Pollari, Martini, Letta, Saltamerenda, Navarro, przede wszystkim trzy pierwsze. (Pasowały do nazwiska Incompara, owego fałszywego Włocha i na pół fałszywego Brytyjczyka, o którym młoda Pérez Nuix mówiła mi podczas swych deszczowych odwiedzin i chciała, byśmy go osłaniali i działali na jego korzyść,

egoistycznie i niepostrzeżenie). Aby zwalczać w sobie zwyczajową gnuśność i brak wytrwałości w zainteresowaniach, a także dlatego, że to czwarte nazwisko wzbudziło moją wesołość, postanowiłem sobie, że poszukam ich później w najnowszym wydaniu „Who’s Who in Italy”, chociaż w takich kompendiach umieszcza się tylko osoby zasłużone w jakiś sposób w sferze publicznej, jak sir Peter Wheeler w Wielkiej Brytanii, a nie było powodu sądzić, że osobnicy ci byli kimś więcej niż nieznanymi szerszemu ogółowi obywatelami, jak Tupra i jak ja sam; chociaż kto wie. (Było bardziej prawdopodobne, że figurują w starym archiwum w budynku bez nazwy; podobnie jak i Manoią razem ze swoją szanowną małżonką).

Martwiłem się coraz bardziej: De la Garzą zajęтым werbalnym polowaniem na Flavię (miałem nadzieję, że nie ośmieli się na polowanie dotykiem albo palcami) i Flavią bezbronną wobec uszczypliwości, jakimi ten zmanierowany ordynarny bydlak mógł ją częstować; śmiała się na razie (dobry to lub zły znak, zależnie od tego, kto spoglądał), starałem się nie tracić ich z pola widzenia na dłużej niż kilka sekund, kiedy to musiałem się zajmować swoimi towarzyszami przy stoliku i na nich też patrzeć. Tupra miał rację, nie pozwalając mi natychmiast odejść, bo istotnie znowu potrzebowali mojego wsparcia, tym razem na prośbę Manoi, który chciał, bym pomógł mu z angielskim przy kilku słowach i zdaniach, pamiętam, zapytał mnie, jak się mówi po angielsku „*invaghirsi*”, „*sfregio*”, „*bazza*”, ze wszystkimi trzema miałem kłopot. Pierwszego słowa nie znałem, tak więc najpierw grałem na zwłokę, udając, że muszę się upewnić, czy nie powiedział „*invanirsi*”, a potem przetłumaczyłem je intuicyjnie na dwa różne sposoby, jako „*to inebriate*” i „*to swoon*” albo „*faint*”, czyli „upić”, „zemdleć” lub „zasłabnąć” (po części z winy fonetycznej bliskości hiszpańskiego słowa „*vahído*” oznaczającego zawrót głowy), które to czynności, nie będąc oczywiście synonimami, swobodnie mogły nastąpić jedna po drugiej, a zatem w tym porządku się nie wykluczały. Nie

uważałem w każdym razie, by ta moja niedokładność była istotna albo żeby stała się powodem większych dwuznaczności, zauważyłem, że ten dżentelmen ma upodobanie do wyszukanych słów (nawet regionalizmów), a może chciał poddać mnie próbie, żeby mi zaszkodzić. Drugiego słowa również nie znałem, katastrofa, w dodatku z niczym mi się nie kojarzyło; moje wahanie zniecierpliwiło Manoię, poganiał mnie niegrzecznie („*Uno sfregio! Sfregio, dai! Uno sfregio!*”), a równocześnie przesuwiał paznokciem kciuka po policzku z góry na dół; nie wydawało mi się jednak, by słowo to mogło oznaczać „bliznę”, istnieje przecież słowo „*cicatrice*” po włosku, zdecydowałem się niemądrze na coś pośredniego między dźwiękiem i gestem, to znaczy na hiszpańskie „*estrageo*”, zniszczenie, dewastacja, co zamieniłem na angielskie „*damage*”, „*havoc*”. Później, kiedy już sprawdziłem w słowniku, zastanowiłem się, czy Manoię groził, że zrobi taką bliznę jakiemuś swemu bliźniemu nazajutrz, bo gdyby tak, to moje tłumaczenie nie było całkiem chybione, albo czy użył tego słowa przy opisie jakiegoś na przykład mafiosa bądź kardynała, w takim wypadku przeszedłbym samego siebie, zważywszy, że wyraz ten oznaczał mniej więcej „zadrapanie” lub „szramę”. Trzecie słowo sprawiło mi najwięcej kłopotu, bo znałem jego dwa bardzo odmienne znaczenia, przeczytałem to słowo albo usłyszałem je dawno temu, podczas pobytu w Toskanii, i moja dobra pamięć je przechowywała. Znowu się zawahałem obezwładniony, ponieważ jednym z jego znaczeń było „wydłużona broda” albo „końska szczęka”, czyli to, czego Manoię nie mógł w swojej twarzy ukryć i co z pewnością sprawiło, że w dzieciństwie przezywali go we Włoszech „*bazzone*”: słyszałem kiedyś to drwiące zgrubienie w jakimś starym filmie z Alberto Sordim (którego oczywiście zapamiętałem jako *dentone*), a może raczej z wielkim Toto, bo jak się dobrze przyjrzeć, nie było większego *bazzone* niż ten nadzwyczajny komik. To drugie znaczenie, etymologicznie powiązane z hiszpańskim słowem „*baza*”, „lewa” w grze w karty,

odpowiadało „uśmiechowi losu”, „okazji”. Jako że nie brałem udziału w rozmowie, a i sama rozmowa była ledwie słyszalna, to kiedy Manioa zwrócił się do mnie z pytaniem („*Come si dice, bazza?*”, a raczej powiedział: „*Gome si disce?*”, jego niezbywalny akcent zmienił dźwięk *ch* w *sh*), nie miałem bladego pojęcia, o co mu chodzi: nie wiedziałem, czy Manioa nadal opisuje jakiegoś płatnego zabójcę albo prałata – miło by było go zobaczyć, kimkolwiek był, piękna postać ze szramami na policzkach i z końską szczęką – czy też wyraża nadzieję na powodzenie ich wspólnych przedsięwzięć, a może tylko przekonuje Reresby’ego, że cena, jaką trzeba zapłacić za jego usługi albo zgodę, jest prawdziwą okazją. Jeżeli jego „*bazza*” odnosiło się do tej ostatniej możliwości, a ja przetłumaczyłem to tylko jako „wysunięty podbródek”, ryzykowałem, że Manioa weźmie to za nie mającą związku z rozmową szyderczą aluzję do swej najbardziej rzucającej się w oczy cechy, a od początku zrozumiałem, że rozmiar szczęki wpłynął w sposób oczywisty na kształtowanie się jego charakteru, nieufnego w najlepszym razie i mściwego we wcale nie najgorszym razie, bo można się było po nim spodziewać jeszcze gorszych potencjalnych możliwości. Jeżeli natomiast sprawa przedstawiała się odwrotnie, moje tłumaczenie było pozbawione wszelkiego sensu, ale nie obraźliwe, chyba że nieuzycie przeze mnie właściwego słowa przypisałyby obecności przy stoliku tej jego brody, która koniec końców nigdy nie miała cech przodozgryzu, nawet w migotliwych kolorowych światłach dyskoteki, które Manioę zniekształcały i upodabniały trochę do Fagina, postaci z Dickensa. Może przesadziłem w swojej drobiazgowości, zbyt długo się wahałem i to wywołało kolejny wybuch zniecierpliwienia, tym razem większy:

– *Ma gosa suscede, eh. Non gabisci bene l’idaliano?* – Od początku zwracał się do mnie per ty, innej formy nie wziął nawet pod uwagę, i ochoczo nazywał mnie Jackiem, naśladując Tuprę, jakby był ze mną w podobnie zażyłych stosunkach albo przejął taką poufałość w spadku po

Tuprze (przywilej równych sobie lub wydających polecenia). W jego tonie brzmiała groźba kary, mam na myśli, że brzmiało w nim żądanie, którego nie można bezkarnie zignorować. – *Bazza, bazza, gome si disce in inglese bazza, eh? Non lo sai?*

Dlatego bez dalszej zwłoki wybrałem „okazję”, generalnie wydało mi się bardziej prawdopodobne, że w rozmowie na temat polityki albo finansów, albo synekur czy nawet przyjemności mówi się o pieniądzach.

– *A bargain* – powiedziałem. I na wszelki wypadek dodałem jeszcze to o uśmiechu losu: – *Or a stroke of luck.*

Ale nie spodobał mi się wcale ponowny wybuch irytacji tego mężczyzny. Nie żebym czuł się obrażany bądź źle traktowany. Chociaż tak, ale to nie miało znaczenia, nie byłem tym, kim byłem („*I am not what I am*”, powtarzałem sobie niekiedy ten cytat; nie do końca, mówiłem sobie, nie całkiem), gdy wychodziłem do miasta z Reresbym albo z Urem, albo z Dundasem, a nawet gdy towarzyszyłem Tuprze samotnie czy z całą resztą: na swój sposób odgrywałem niższego rangą lub podwładnego – byłem nim w gruncie rzeczy w tych konkretnych okolicznościach i dopóki pracowałem za wynagrodzeniem i pozostawałem na swoim nienazwanym stanowisku – może ochroniarza lub akolity, choć nigdy nie byłem ani jednym, ani drugim – tak więc nie brałem do siebie afrontów, jakich ów ktoś mógł chwilami doświadczać, ponieważ przyjmowałem je – jak by to wyrazić? – w imieniu całej grupy i jako zwykła jej część, ta najnowsza, spóźniona i nieważna; a cała grupa wydawała mi się z kolei fikcyjna, a raczej pochłonięta fikcyjnymi sprawami, tak, może to byłoby najbardziej precyzyjne sformułowanie. Okoliczność zaś, że niemal wszystko toczyło się w obcym języku, uwypuklała jeszcze sztuczny, nierzeczywisty i pozorny charakter słów i czynów: w obcym języku trudno się wyzbyć niejasnego wrażenia, że się gra, a nawet tłumaczy (jakkolwiek dobrze zna się język), jakby wypowiedane i słyszane słowa należały do kogoś nieobecnego,

wszystkie do tego samego autora, który je wymyśla i dyktuje, i nawet już je rozdzielił, a wtedy nic, co jest mówione, nie wywiera na tobie większego wrażenia. O ileż trudniejsze okazuje się natomiast znoszenie wyrzutów i upokorzeń, i zniewag, które dobiegają nas w naszym własnym języku, są bardziej rzeczywiste. (Może tylko takie zniewagi są rzeczywiste naprawdę i dlatego najlepiej byłoby zdusić w zarodku każdą możliwą obelgę ze strony Pérez Nuix; nie dopuścić, by się zrodziła, by mnie zabolala i żebym zachował ją w pamięci. Jak te, których doświadczyłem od Luisy, jeszcze brzmiały mi w uszach, może dlatego, że nie było już prawie nic, co mogłoby je przesłonić albo przykryć, a sama Luisa stawała się coraz bardziej milcząca, kiedy rozmawialiśmy przez telefon).

Poza tym ten wieczór miał się kiedyś skończyć i najprawdopodobniej nigdy już nie miałem spotkać Manoi, tak więc było mi wszystko jedno, czy moje „ja” z owego wieczoru, albo z jakiegokolwiek innego na służbie u Tupry – powiedzmy, moje „ja” jako Jack – czuje się chwilowo i zastępczo skonsternowane. Ani moje wcześniejsze, ani późniejsze „ja” to nie był Jack, lecz Jacques albo Jacobo, albo Jaime; to „ja” było bardziej rygorystyczne, bardziej wyniosłe, a także bardziej mściwe, podczas gdy tamto nie miało wyjścia i musiało patrzeć na wszystkie wydarzenia, przy których asystowało albo w których brało udział, trochę po nic bądź na niby, jakby Jacques’a te wydarzenia nie dotyczyły albo mu się nie przytrafiały, albo jakby był przed nimi zabezpieczony. Nie spodobała mi się reakcja Manoi, bo zaniepokoiła mnie do tego stopnia, że poczułem się nagle wplątany co najmniej jako Jack, niedbały, a możliwe, że i nieudany *chevalier servant*. Zrozumiałem, że jego nieuprzejmość brała się z czego innego, nie z mojej powolności czy niezdecydowania (albo mojej niekompetencji, jeżeli spudłowałem z tym fartem i okazją). Bez wątpienia wiązała się z panią Manoią, i w tej samej chwili zwróciłem wzrok ku stolikowi Hiszpanów po



nie dłuższej niż dwudziestosekundowa przerwie: De la Garzy i Flavii już przy stoliku nie było.

Rozejrzałem się nerwowo dookoła, umknął mi moment, w którym wstali, inni nadal siedzieli przy stoliku, łącznie z pisarzem kuplecistą (teraz jeszcze zacieklej klaskał, wypisz wymaluj artysta flamenco) oraz dziedziczką bez wdzięku (na twarzy niezmiennie mina ofiary skazanej na wdychanie cuchnących wyziewów), nie doszło zatem do żadnego grupowego przeniesienia, nawet do przeniesienia kilku osób w weselsze rejony, brakowało tylko mojej pani i attaché. Dyskoteka była duża, w moim polu widzenia pozostawała zaledwie jej połowa, mogli podejść do któregoś z wielu barów albo pójść zatańczyć na bardziej szalony parkiet taneczny w innej części: ale równie dobrze mogli się ukryć w jakimś ciemnym zakamarku lub – wołałem sobie tego nie wyobrażać – wyjść razem z lokalu z nienaturalną niecierpliwością, bez pożegnania. Nie, to niemożliwe, pomyślałem, jeszcze nie przestraszony na serio; Tupra mówił, że ona pragnie tylko komplementów i miłych słówek i że choćby sprawiała wrażenie bardzo chętnej, by przebyć jakąś drogę do końca, to nigdy nie zrobi na niej pierwszego trującego kroku, a on nie zwykł się mylić. Dziś wieczorem jednak wypła dość sporo, to pewne, wołałem nawet nie myśleć, ile wlał już w siebie De la Garza. Któż nie daje takiego kroku w pewnym momencie swego życia, w towarzystwie jakiegoś idioty albo kryminalisty, albo cudaka, nikt nie jest bezpieczny. Ale Rafita? Z siatką na głowie. W ogromnej jasnej marynarze. Z kolczykiem godnym kubańskiej pieśniarki albo portorykańskiej tancerki. Jakby był Ritą Moreno z „West Side Story”. I ten poroniony czarnoskóry sznyt. Tyle trucizny to samobójstwo, a nikt nie partaczy swojego samobójstwa takim pokazem złego gustu. Moje obawy wzrosły jednak, gdy przypomniałem sobie, że widywałem w swoim życiu, jak ludzie dobierali się w niesłychane pary, oraz że docierały do mnie wiarygodne wieści o dziwacznych chwilowych parach („*one-night stands*”,

tak nazywają się po angielsku, to termin teatralny, oznacza „jednorazowe występy”, wskazuje moim zdaniem na mieszaną narcyzmu i ekshibicjonizmu).

Reresby i Manioa natychmiast zauważyli mój niepokój. Ten drugi rzucił szybkie spojrzenie na puste miejsce po parze, która ulotniła się jak kamfora, nie zmienił się na twarzy ani nie dotknął ręką okularów, ale ja wyczułem, że nagle spochmurniał, uniósł ręce, jak to miał w zwyczaju, w niewygodnej pozycji przywodzącej na myśl nabożne pozy, położył jedną dłoń na drugiej, łokcie i przedramiona zawisły w powietrzu; te ręce wydały mi się groźne, kościste, twarde – palce miał jak poźółkłe klawisze fortepianu – jakby gromadziły siłę, a może spokój; jakby się przygotowywały albo się powstrzymywały, albo wzajemnie podpierały. Tupra natomiast nigdy nie przejawiał takich widocznych oznak religijności lub pobożności, nawet w nieuświadomionych ruchach czy pozycjach ciała, nawet w okrutnej formie, jaką często religijność przyjmuje. Nie miał w sobie nic z pozera ani z komedianta, nigdy taki nie był: jeżeli czasami wydawał się nieprzenikniony bądź zagadkowy, to nie z powodu jakichś nieistniejących póz, lecz dlatego, że nie dawało się rozgryźć wszystkich jego kodów. (Ufałem, że on miał takie same lub podobne odczucia na mój temat: tak byłoby dla mnie lepiej). Tupra aż za dobrze znosił milczenie, swoje własne, znaczy to, które od niego tylko zależało, dobrowolne, a kto nic nie mówi z rozmysłem, sieje spustoszenie wśród niecierpliwych i wśród gadułów, i wśród swoich przeciwników. Dlatego właśnie miałem nadzieję, że teraz od razu zacznie mówić i że mówiąc, będzie trochę udawał (mało i źle i tylko jedną chwilę). Włożył kciuk jednej dłoni do kieszonki kamizelki, żeby sprawiać wrażenie zrelaksowanego: aczkolwiek nie był to gest całkiem mu obcy, przypominał podobny gest Wheelera, może go naśladował, w gruncie rzeczy obaj najczęściej wkładali kciuk jednej ręki pod pachę, jakby był szpicrutą i jakby opierali na nim ciężar całej klatki piersiowej, przynajmniej

takie to sprawiało wrażenie. I wtedy, na pół odwrócony w moją stronę, mruknął do mnie szybko (było dla mnie jasne, że skoro odzywa się w taki sposób, szybko i przez zęby, to nie chce, żeby usłyszał to jego gość):

– Przede wszystkim sprawdź w toaletach, Jack, w damskiej i w męskiej, sprawdź, bardzo proszę, w obu. I w tej dla kalek, zwykle jest pusta. Znajdź ją i przyprowadź, bądź tak dobry. – Użył zwrotów grzecznościowych, których nauczyłem się z jego ust obawiać, były na ogół złą wróżbą, preludium do irytacji albo reprimendy, jeżeli człowiek nie poprawił się od razu lub nie wykonał jego polecenia. Stanowiły jeden z nielicznych u niego możliwych do interpretacji znaków, przynajmniej dla mnie. – Nie ociągaj się i nie zwlekaj. Sprowadź ją. – Myślę, że to właśnie powiedział po angielsku, „*Don't linger or delay*”, a może powiedział coś innego, może powiedział „*loiter*” albo „*dally*”, ale nie sądzę. Jestem natomiast pewien, że nie usłyszałem z jego ust słów „Pospiesz się”. Wiedział, że Manolia mógłby je zrozumieć, nawet rzucone przez zęby i wśród hałasu, i mimo ust ukrytych w ciemności.

O tak, człowiek nigdy nie jest tym, kim jest – nie do końca, nie całkiem – kiedy żyje samotny i mieszka za granicą, i bezustannie mówi w języku, który nie jest jego ojczystym albo pierwszym językiem. Choćby ta absencja była długa, a jej zakończenie nieprzewidywalne, bo koniec nie został wyznaczony od razu albo stał się nieoczywisty i trudno go już przewidzieć, i choćby nie było powodu, by myśleć, że któregoś dnia ten koniec, a zatem i powrót, nastąpi lub zamajaczy na horyzoncie (powrót do tego co wcześniej, co tymczasem na ciebie nie czekało) i tym samym słowo „absencja” będzie tracić sens i głębię, i siłę z każdą godziną, w której pozostaje się daleko (i wówczas utraci sens i głębię także to inne słowo, słowo „daleko”), to ten czas absencji narasta stopniowo jak jakiś dziwny nawias, który w gruncie rzeczy się nie liczy ani nie chroni nas bardziej niż zmienne niematerialne duchy, nie musimy zatem zdawać z niego sprawy nikomu, nawet samym sobie (a przynajmniej nie szczegółowo, nigdy w całości). Do pewnego stopnia człowiek nie czuje się wtedy odpowiedzialny za to, co robi albo czego jest świadkiem, jakby wszystko było częścią jakiejś prowizorycznej egzystencji równoległej, obcej lub pożyczonej, fikcyjnej, nieledwie śnionej – a może teoretycznej, jak całe moje życie, wedle niepodpisanego raportu na mój temat w starym archiwum; jakby wszystko mogło zostać przeniesione do sfery tego, co wyobrażone i niebyłe i oczywiście do sfery tego, co mimowolne, wszystko wrzucone do jednego worka wyobrażeń i podejrzeń, i hipotez, a nawet zwykłych i bezrozumnych snów, co do których, to niezwykle, panowała od zawsze stała i powszechna zgoda, na przestrzeni wszystkich stuleci przechowywanych w pamięci, wszystko jedno, domniemanej, historycznej,

zmyślonej czy bezspornej: sny nie zależą od intencji tego, kto śni, śniący nie ponosi winy za treść swoich snów.

„Co mogę poradzić, ja ich sobie nie wybieram, nie mogę ich też uniknąć”, mówi sobie człowiek po każdym mrocznym śnie, który po przebudzeniu odczuwa jako niewłaściwy albo zakazany, taki, którego byłoby lepiej nie śnić, a przynajmniej nie pamiętać. „Nie, nie chciałem, żeby pojawiło się to nienormalne pragnienie albo bezzasadne wyrzuty sumienia”, myśli, „ta pokusa albo popłoch, to nieznane zagrożenie albo zaskakująca klątwa, ta niechęć albo tęsknota, które teraz spadają co noc ołowiem na moją pierś, to obrzydzenie albo zażenowanie, które we mnie ma swoje źródło, te twarze już umarłe i na zawsze niezmiennie, które zawarły ze mną układ, że nie będzie żadnego jutra (tak, to nasz pakt z tymi, którzy stają się niemi), a teraz przychodzą i szepczą mi przerażające i niespodziewane słowa, słowa może niewłaściwe, a może nie, kiedy jestem pogrążony we śnie i przestałem mieć się na baczności: zostawiłem na murawie swoją tarczę i włócznię”. Pomysł zrodzony ze snu często zostaje z tego właśnie powodu odrzucony lub unieważniony, z powodu swego mrocznego, niepewnego pochodzenia, bo taki pomysł rodzi się w zasłonie dymnej snu, ale nie zawsze znika na jawie, świadomość podejmuje go, a czasami nawet żywi i tym sposobem współżyje również z tym, czego sama nie spłodziła; bierze to wówczas pod swoje skrzydła, żywi, nadaje temu oblicze, a nawet imię i włącza to do kontrolowanego przez siebie świata jawy, nawet jeśli oznacza to przesunięcie do niższej kategorii, traktowanie protekcyjne jako czegoś powszedniego, jakby każdy sen pozostały po nocy przy życiu domagał się ironicznego komentarza, jak ten wygłoszony przez sir Petera Wheelera, gdy w końcu udał się do siebie, schodami w górę i na lewo, w sobotnią noc po bufetowej kolacji: „Co za absurd”, powiedział i dodał, powtarzając drwiącym tonem moje wcześniejsze słowa: „Świetny pomysł, naprawdę”. Ale ten pobłażliwy

stosunek do absurdalnych pomysłów nauczył mnie bać się nie tylko tego, co przechodzi przez myśl, lecz i tego, czego umysł jeszcze nie wie, bo zauważyłem, że niemal zawsze wszystko już tam gdzieś było, nim przyszło na myśl lub przez nią przemknęło. Nauczyłem się zatem bać nie tylko powziętej myśli, ale i tego, co ją poprzedza albo jest od niej wcześniejsze.

Postrzegamy i przeżywamy ten wzięty w nawias czas naszej absencji i wszystko, co w nim zawarte w podobny sposób, jak postrzegamy i przeżywamy zwiady i marzenia senne: nasze bohaterskie czyny albo zbrodnie oraz wszystkie działania własne i działania innych; nie tylko te, które popełniamy albo których doświadczamy, również te, których jesteśmy świadkami lub je wywołujemy, niechcący bądź rozmyślnie; i w tym czasie nic nigdy nie dzieje się na poważnie, a przynajmniej tak uważamy. Jakże trafnie to ujął wielki dramaturg i fałszerz Marlowe, poeta szpieg i bluźnierca, o którego ponurej śmierci mało wiemy prócz tego, że była gwałtowna i stała się legendą, i rekonstruowano ją wielokrotnie z niemożliwą precyzją, a to znaczy, że raczej ją sobie wyobrażano, zwracając spojrzenie ku czarnym plecocom czasu: zginął zasztyletowany w tawernie, nie mając jeszcze trzydziestu lat, niedawno odkryto, że z rąk niejakiego Ingrama Frizera, który okazał się szybszy albo bardziej zawzięty, a może zręczniejszy w posługiwaniu się nożem owego 30 maja ponad czterysta lat temu w Deptford, w pobliżu rzeki Tamizy, pod taką nazwą rzeka Isis od zawsze znana jest wszędzie, tylko nie w Oksfordzie, zagranicznym mieście, które przed wiekami wydawało się lub było moim miastem i w którym tak ją właśnie nazywają, Isis, a więc tak też nazywa ją moja pamięć, Isis. Jakże trafnie to ujął ten wielki poeta zdrajca, tak skory do awantur i nigdy nie stroniący od bitki, wiele podróżował za granicą i przemawiało przez niego własne doświadczenie, gdy jednej z postaci swoich tragedii kazał powiedzieć: „*Thou hast committed fornication: but that was in another country, and besides, the wench is dead*”. Czyli (tu

także słowo „country” bez wątpienia nie znaczy „ojczyzna”): „Popęłnięś cudzołóstwo: ale to było w innym kraju, a poza tym ta niewiasta nie żyje”.

O tak, wszystko, co zdarzyło się w innym kraju, blaknie i zaciera się, gdy wracamy do własnego, a może nawet w tej samej chwili, gdy same zdarzenia się dzieją, jakby nasza dojmująca przemijalność odbierała im wszelką wagę i realność, jakby nie wydarzyły się naprawdę, jakby nie spadły, nie zaciężyły nad światem, nie odcisnęły się na nim albo jedynie na pokrętej zasłonie dymnej snu, z którego potem tak łatwo się wydobyć i tak łatwo się go wyprzeć („Och, nie, to nie ma ze mną nic wspólnego”). A jeżeli w dodatku umarli wszyscy, którzy byli w te zdarzenia zamieszani, wówczas to, co się wydarzyło, staje się jeszcze bardziej błahe i mniej dojmujące, bardziej fantasmagoryczne i bardziej przeszłe, niemal tak bardzo jak to, co czytane w powieściach lub oglądane w filmach, i niekiedy nie potrafimy tych rzeczy oddzielić albo odróżnić ich od tego, czego doświadczamy w przerażających koszmarach sennych bądź w majakach wywołanych gorączką i bólem. Chyba że, rzecz jasna, sami zabiliśmy tych umarłych albo byliśmy sprawcami ich wygnania z ziemi i ostatecznego zamilknięcia, pośrednio lub bezpośrednio, niechcący lub rozmyślnie, aczkolwiek całkiem możliwe, że tak często używane określenie „sprawca niebezpośredni” jest pozbawione wszelkiego sensu albo jest po prostu ogólnie przyjętą sprzecznością słowną.

A potem jest to, co powiedział o snach Wheeler i co temu wszystkiemu całkowicie przeczy: śmiechy i głosy, jakie w snach słyszemy, równie intensywne i pełne życia jak te słyszane na jawie, a niekiedy bardziej, bo ciągną się albo powtarzają i bywa, że trwają całą noc, ich obecność nie traci na wyrazistości, nie słabną – nie mają rywali na jawie i są naprawdę niepowtarzalne, skoro należą do umarłych, którzy tylko w naszym śnie mówią do nas znowu i mają twarz i ciało, jak owa druga żona ślepego owdowiałego poety Johna Milтона: o takich śmiechach i głosach, o nowych

słowach nie wypowiedzianych nigdy wcześniej za życia Wheeler powiedział, że na pewno „są w nas, nie gdzie indziej... Ci zmarli są w naszych snach; to my ich śnimy, przywołuje ich nasza śpiąca świadomość i nikt poza nami ich nie słyszy”. I jeszcze dodał: „To bardziej przypomina wcielenie się w kogoś, przejęcie czyjejś roli, utożsamienie niż rzekome odwiedziny lub przestrogi otrzymane z za grobu”. (To jak nie budząca sprzeciwu uzurpacja, bez żadnego ryzyka, pomyślałem trochę później, skoro ci zmarli zostawili po sobie wolne miejsce i opuścili pole). A zatem jeżeli on miał rację, pomyślałem w idiotycznie szykownej dyskotecie, kiedy to, co miało się zaraz zdarzyć, już się działo, jeżeli on miał rację, wówczas nasza wola albo jej brak nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak fakt, czy coś zdarzyło się niechcący, czy z rozmysłem, nie ma znaczenia, co się stało albo co się nie stało, co zostało pomyślane lub tylko wzbudziło obawę bądź pragnienie, zwyczajne rozmyślanie i zwyczajne pragnienia, tym lepsze, im bardziej niemożliwe, bo możemy się rozkoszować spokojem wynikającym z ich całkowitej niemożliwości; nie ma znaczenia, czy takie myśli nie wyjdą poza sferę lęku lub podejrzeń, zatem bezowocnych albo jałowych, albo nigdy nie wypowiedzianych namów i perswazji, zatem chybionych słów Jagona, które – na przestrzeni życia – każdy z nas miał lub będzie miał w ustach, czy to dla własnego pożytku lub przetrwania, czy też na szkodę i zgubę innych: „to wszystko jest w nas, nigdzie indziej”.

Tak docieramy do obszaru, gdzie najmniej jest ważne, czy coś istnieje, czy nie, bo zawsze można o tym opowiedzieć, podobnie jak można opowiedzieć każdy sen, nawet najbardziej zagmatwany i absurdalny, opowiadamy sny, raz lepiej, raz gorzej, chaotycznie, opowiadamy je co najmniej sobie samym, w myślach, nie zawsze gramatycznie; w tym sensie cokolwiek przeszło nam przez myśl, istniało, cokolwiek tę myśl poprzedziło lub było wcześniejsze, też istniało. Na cóż się zatem zdaje blaknięcie albo zacieranie się tego, co się wydarza i co robimy, gdy



jesteśmy za granicą lub bardzo daleko, w innym mieście, w innym kraju, w tej niespodziewanej egzystencji, która nie wydaje się nam przynależna, w teoretycznym bądź ujętym w nawias życiu, w życiu, które zdajemy się prowadzić i które nawet do pewnego stopnia zachęca nas do myślenia mimowolnego, podskórnego, że nic, co pozostaje w obrębie tego czasu, nie jest nieodwracalne, że wszystko można odwołać, zawrócić, wszystkiemu można zaradzić; że wydarzyło się tylko połowicznie i bez naszej pełnej zgody? Na co to wszystko się zdaje, skoro coś, co nawet sędzia uzna za niebyłe – dajmy na to morderstwo, jeżeli tylko planowaliśmy je popełnić; zdrada, jeżeli tylko nas kusiała; oszczerstwo albo donos, albo intryga, jeśli i one, i ich niszczycielskie skutki pozostały tylko w naszej wyobraźni, nie zostały puszczane w obieg ani wcielone w życie; sędzia rozpatrujący taką sprawę powiedziałby: „Brak przestępstwa, sprawa oddalona” – dla nas się wydarzyło i czujemy, że mieliśmy w tym nasz udział, i jesteśmy za to odpowiedzialni? A jeszcze bardziej, gdy czyjaś praca polega na lekkomyślnym obstawianiu lub przewidywaniu czegoś, patrzeniu i słuchaniu, i interpretowaniu, i uważnym analizowaniu, na zapamiętywaniu i obserwowaniu, i selekcji, na nakłanianiu podstępem, na skojarzeniach, na retuszowaniu różnych rzeczy, na tłumaczeniu, na opowiadaniu historyjek i na podsuwaniu pomysłów, i przekonywaniu do nich innych, na odpowiadaniu i na spełnianiu nienasyconych, męczących żądań, „Co jeszcze, co jeszcze widzisz, co jeszcze zobaczyłeś”, choćby czasami nie było żadnego „jeszcze” i choćby trzeba zobaczyć coś na siłę, a może wymyślić to z pomocą własnej inwencji i pamięci, czyli tej niezawodnej mieszanki, która potrafi ludzi pogrążyć lub uratować i każe nam wypowiadać nasze uprzedzenia albo przesady, a może po prostu nasze p r z e d s ą d y. Dzieje się tak jeszcze bardziej, gdy jest się kimś takim jak ja albo jak Tupra, albo Pérez Nuix, albo Mulryan, albo Rendel, jak sir Peter Wheeler, i kimś takim, jak był kiedyś Toby Rylands, jeśli posiada się ten

dar, który nie jest niczym nadzwyczajnym i tylko inni widzą go u ciebie albo przekonują cię, że go masz, a tym samym nakłaniają, żebyś uwierzył w to, że on istnieje.

Pospieszyłem się, chociaż Tupra nie kazał mi się spieszyć, nie tymi słowami. Wstałem, odstawiłem krzesło odrobinę na bok, żeby wydać się bardzo zdecydowanym. Uznałem, że nie muszę się usprawiedliwiać, przecież Manóia nie będzie za mną tęsknił, nie zwracał na mnie szczególnej uwagi ani nie był zadowolony z mojej pracy; może teraz obdarzy mnie większym zainteresowaniem i spoglądając przez podsunięte do góry, mocno siedzące na nosie okulary, odprowadzi mnie wzrokiem, dopóki nie zniknę mu z pola widzenia, pewnie bez względu na to, czy zrozumiał wcześniej Reresby'ego, teraz wyczuł albo pojął, albo wiedział, że idę na poszukiwanie jego żony i zamierzam ją przyprowadzić; moja wyprawa musiała wzbudzić jego zainteresowanie, a jeszcze bardziej jej wynik, pewnie nawet się niepokoił i niecierpliwił, i zastanawiał, czy minie dużo czasu, zanim wrócę z tego spaceru: *if I did linger* mimo zalecenia Tupry – raczej rozkazu niż zalecenia – czy wbrew jego instrukcjom zabawię zbyt długo albo będę się ociągał, czy udam głupiego, a może zawiodę na całej linii. To wszystko mogło się zdarzyć, gdybym ich szybko nie znalazł, gdyby zaszyli się w jakimś zakamarku dla mnie niewidocznym, ale dobrze znanym De la Garzy, bo wypróbował już to miejsce innego wieczoru z jakąś inną desperatką ciągnącą na resztkę hormonów – powątpiewałem, żeby było w tym klubie jakieś oddzielne pomieszczenie ze zgaszonym światłem, gdzie ludzie mogą się zaszywać incognito – lub jeżeli istotnie zwinnie opuścili lokal – nie, to było nie do pomyślenia – nie przechodząc nawet przez szatnię – nie, to niewyobrażalne, Flavia nie porzuciłaby swego murmańskiego futra – musiałbym w takim przypadku wyjść na ulicę, rozejrzeć się w obie strony, zlustrować chodniki i rzucić się za uciekinierami biegiem, zakładając, że gdzieś bym ich dostrzegł – wołałem

sobie nawet nie wyobrażać, jakie spotkałyby nas konsekwencje, gdybyśmy mieli ich zgubić lub jeżeli już ich zgubiliśmy.

Podniosłem się z uczuciem przygniatającego ciężaru, który jest zwykle wynikiem kombinacji różnych przyczyn: strachu i pośpiechu, niechęci do bezwzględnego odwetu, jaki jesteśmy zmuszeni podjąć, obezwładniającego poczucia bezradności w sytuacji zagrożenia. Naprawdę nie wierzyłem, że wydarzyła się któraś z tych ewentualności, trudno było uwierzyć, by pani Manioia wdała się w wątpliwej natury relacje z De la Garzą, w dodatku tak zuchwale, gdy dwa kroki dalej jej małżonek negocjował z cudzoziemcami. Co do Rafity natomiast, to możliwe były wszelkiego rodzaju podchody, poczynając od chamskich propozycji po najbardziej durne zaloty – pięć palców, obie ręce. Wydawało mi się, że jedynym powodem, dla którego mogli pójść razem do jednej toalety, byłoby matczyne współczucie, to znaczy gdyby attaché poczuł się nagle na granicy zejścia śmiertelnego i zapragnął pozbyć się za jednym zamachem wszystkiego, co wcześniej tą samą drogą był przyjął (pani Manioia podtrzymująca mu czoło targane wstrząsami, czuwająca, by przy tych konwulsjach i odruchach wymiotnych siatka z włosów nie zmieniła się w dławiący go stryczek). Nie, nie wierzyłem w żaden dramatyczny zwrot akcji ani brzemiennie w poważne skutki wydarzenie, nie brałem tego na serio pod uwagę; a przecież poczułem ołów w nogach, kulę w gardle, ciężar na ramionach, jakbym przewidywał (ale to nie była p r e s c i e n c i a), że na skutek tego epizodu coś ma się bardzo źle potoczyć, coś, co na zawsze albo na długo położy się na nas cieniem, i od razu zdałem sobie sprawę, że to przeczucie ma raczej związek z Tuprą, jego maskowaniem się i ukradkowym mówieniem – zanadto pospiesznym jak na jego przeciwny na ogół, niespieszny sposób bycia – niż z Manoią, De la Garzą albo Flavią, albo grupką hałaśliwych Hiszpanów z głęboko przeżywającym muzykę pieśniarzem, albo sytuacją jako taką, która to sytuacja na razie nie wiązała się z jakimś większym

afrontem czy anomalią. Nie miało też związku ze mną, rzecz jasna, chociaż to mnie bez wątpienia opadło takie wrażenie w tamtej chwili, gdy wstałem, żeby rozpocząć poszukiwania. Złe samopoczucie, coś złowieszczonego, ukłucie niepokoju i przewidywanie jakiegoś nieszczęścia, wstrzymany oddech – może to był ukradkowy oddech kogoś, kto szykuje się do zadania ciosu, a może tylko ołów spadający na mą czujną duszę – to wszystko dawało się wyczytać z twarzy Tupry, jakby przekroczył już jakąś granicę lub zaznaczył szybko linię i od razu ją przeskoczył, nie tyle w swojej głowie, ile w duchu, i jakby już podjął decyzję o karze niezależnie od tego, co poczynając od tej chwili miałyby się zdarzyć.

Możliwe, że należał do ludzi, którzy działają bez ostrzeżenia przynajmniej czasami, podejmują decyzje na odległość na podstawie trudnych do określenia przesłanek albo nie czekając, aż pojawi się związek przyczynowo-skutkowy między czynami i decyzjami, nie mówiąc o pojawieniu się dowodu na to, że czyny zostały popełnione. Nie potrzebował żadnych dowodów, kiedy przypadkowo lub zasadnie – kto to może wiedzieć – bez ostrzeżenia ani wcześniejszego sygnału dokonywał pchnięcia; w gruncie rzeczy przy takich okazjach nie było nawet potrzeby, by działania, wydarzenia albo fakty już się dokonały. Może wystarczało mu, że wie, co mogłoby się zdarzyć na świecie, gdyby odstąpiono od przymusu i nie hamowano tego, co on postrzegał jako możliwości człowieka niekwestionowane, jeśli zaś nie ujawnione w całej krasie, to właśnie dlatego, że ktoś – on na przykład – powstrzymywał je albo stawał im na przeszkodzie, bo samym ludziom nie brakło ochoty ani ikry, żeby te możliwości rozwinąć, co uważał za pewnik. Może aby podjąć środki odwetowe, które sam uzna za konieczne, musiał tylko przekonać samego siebie, co by się zdarzyło w każdym konkretnym przypadku, gdyby on albo jakiś inny strażnik – władze lub prawo, instynkt, księżyc, strach, niewidzialni wartownicy – tego nie powstrzymał. „Taki jest świat”, mawiał,

kwitując tym wiele spraw i złożonych sytuacji opisanych lub opowiedzianych, tych, które się wydarzyły, i dających się przewidzieć podczas sesji, kiedy prezentowaliśmy swoje interpretacje i raporty (decyzje należały wyłącznie do niego i zapadały później): tym kwitował zdrady i przykłady lojalności, zgryzoty i przyspieszone bicie serca, nieoczekiwane odmiany losu i zawroty głowy, wątpliwości i męki, zadraśnięcie i ból, i gorączkę, i zaognioną ranę, smutki i te niezliczone kroki, jakie wszyscy podejmujemy w przekonaniu, że kierujemy się własną wolą, a przynajmniej że nasza wola ma w tym jakiś udział. Dla niego to wszystko było normalne, czasami nawet rutynowe, wiedział aż za dobrze, że świat jest pełen namiętności i miłości, i nienawiści, i złej woli i że ludzie często nie mogą uniknąć żadnego z tych uczuć, w gruncie rzeczy wcale nie chcą, ponieważ są knotem i paliwem własnego spalania, są także tego spalania przyczyną i iskrą zapłonową. I że do tego wszystkiego nie potrzebują powodu ani zamiaru, przyczyny ani celu, wdzięczności ani zniewagi, w każdym razie nie zawsze albo, jak powiedział Wheeler, „ludzie mają wszystkie swoje potencjalne możliwości we krwi i jest tylko kwestią czasu, pokus i okoliczności, by te możliwości się ujawniły”. Dla Tupry ta bardzo radykalna postawa – a może po prostu postawa praktyczna, konsekwencja jego jasnych, pewnych i niewzruszonych przekonań – była niewątpliwie jeszcze jednym aspektem t a k i e g o świata, w którym słowa „nieufność”, „przyjaźń”, „wrogość”, „zaufanie” brzmiały po prostu pretensjonalnie i były tylko ozdobnikiem, a może i niepotrzebną męką, przynajmniej w jego przypadku; ta nie poddająca się refleksji stanowcza postawa (a może postawa zrodzona z jednej tylko myśli, tej pierwszej) również była częścią t a k i e g o niezmiennego zawsze i w każdym miejscu świata, nie było zatem powodu, by ją kwestionować, podobnie jak nie należy kwestionować jawy i snu, słuchania i patrzenia ani oddychania i mówienia, ani niczego innego, o czym wiadomo, że „tak jest i zawsze tak będzie”.

Nie chodziło jednak o działania zapobiegawcze, nie całkiem lub nie wyłącznie, lecz raczej, w zależności od konkretnego przypadku i osoby, o wymierzanie kary lub wyrównanie rachunków, bo Tupra patrzył i osądzał na zimno, nie musiał tego robić na gorąco, by posłużyć się tu słowami Don Kichota, gdy oznajmia Sancho Pansie, do jakich szaleństw posunąłby się dla Dulcynei, nawet nie przywiedziony do tego żalem ani zazdrością, nie mówiąc już o tym, co by zrobił, gdyby miał takie powody. A może Tupra rozumiał je – te różne przypadki – nawet gdy były niezapisaną jeszcze kartą, może z tego właśnie powodu kartą czystą na zawsze. „Życia nie da się opowiedzieć”, wyraził się swego czasu Wheeler, „to niezwykle, że przez wszystkie znane nam stulecia ludzie starają się opowiedzieć coś, czego opowiedzieć się nie da... To przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie”, dodał, „i może przynieść więcej szkody niż pożytku. Czasem myślę, że byłoby lepiej porzucić ten zwyczaj i pozwolić, żeby sprawy tylko się działy, a potem zostawić je w spokoju”. Ale czysta kartka jest najlepsza ze wszystkich, wiecznie najbardziej wiarygodna, najwięcej opowiada, bo nigdy się nie kończy i wiecznie jest na niej miejsce na wszystko, nawet na zaprzeczenia; a zatem zawsze będzie można uwierzyć w to, co opowie lub czego nie opowie (bo w świecie niekończącego się mówienia równoczesnego, nakładającego się na siebie, sprzecznego ze sobą, niezmiennego i wyczerpującego, i niewyczerpanego kartka mówi coś, nawet nie mówiąc niczego), w każdej chwili, nie tylko wtedy, gdy przychodzi ten jeden jedyny moment, żeby w coś uwierzyć, bo czasami to tylko mgnienie, jeden dzień albo kilka fatalnych godzin, a innym razem trwa to bardzo długo, jedno stulecie bądź kilka, wtedy nic nie jest fatalne, nie ma bowiem już nikogo, kto mógłby sprawdzić, czy to przekonanie prawdziwe czy fałszywe, a poza tym co to kogo może obchodzić, gdy wszystko jest już zbilansowane. Tak więc ani porzucając ten zwyczaj, jak mówił Wheeler, ani rezygnując całkowicie z opowiadania i nigdy niczego

nie opowiadając, nie możemy się uwolnić od opowiadania zupełnie. Nawet kiedy zostawiamy białą kartę. I nawet jeżeli są rzeczy, o których nikt nie mówi, nawet jeżeli te rzeczy nie wydarzają się naprawdę, nigdy nie udaje im się pozostać w spokoju. To straszne, pomyślałem. Nie ma na to rady. Nawet gdy nikt o nich nie mówi. I nawet gdy wcale się nie wydarzają.

Wstałem zatem, odsunąłem krzesło trochę na bok i nie tłumacząc się Manoi ani jednym gestem czy słowem, ruszyłem lekkim krokiem w stronę toalet, tam należało sprawdzić w pierwszej kolejności, jak polecił mi Tupra. Były daleko i musiałem przejść spory kawałek, żeby do nich dotrzeć, rozglądałem się na prawo i lewo, zerkąłem też przed siebie, a nuż zobaczę gdzieś po drodze parę uciekinierów i od razu wypełnię swoje zadanie, ale szedłem zbyt pospiesznie i nazbyt przejęty – posuwanie się do przodu stało się wkrótce bardzo trudne – by dostrzec jakieś pojedyncze osoby wśród tłumów, przez które starałem się przedrzeć i które zagradzały mi drogę, o tej porze dyskoteka była już pełna szykowanych i mniej szykowanych ludzi, im późniejsza noc, tym bardziej są wymieszani, i faktycznie, nasza część dyskoteki – ta, gdzie siedzieli Hiszpanie i gdzie znajdował się parkiet do średnio szybkich tańców – była wyraźnie mniej zatłoczona, średnio wolna muzyka miała niewielu amatorów (nie będzie zatem długo grana), podczas gdy na drugiej scenie czy parkiecie, czy jakkolwiek to się dziś nazywa, widać było znacznie więcej tańczących, tam taniec był naprawdę frenetyczny, dostrzegłem kątem oka zbity, spocony tłum o kilka metrów, a może jardów ode mnie, minąłem ten parkiet bokiem, nie zanurzając się w ludzką ciżbę, musiałbym się przepychać, a najpilniejsze były teraz toalety, Tupra wiedział, że największe niebezpieczeństwa czyhały na dwójkę zbiegów właśnie tam, tak już jest od wczesnej młodości, kiedy pali się po kryjomu w szkole.

Przed damską toaletą stała krótka kolejka, co zdarza się często, nie wiem, może kobietom zabiera to więcej czasu, bo muszą usiąść i każda zawsze



czyści dokładnie deskę; dwie albo trzy kobiety czekały przed drzwiami, a przed wejściem do męskiej ubikacji nie było nikogo, więc tam wszedłem najpierw, żeby rzucić okiem, a raczej zajrzeć w każdy zakamarek, nie chciałem zawieść pana Reresby'ego, „*Bring her back. Dont't linger or delay*”, w głowie nadal mi brzmiały te wyraźne polecenia. Zobaczyłem stojących trzech facetów, dwóch sikało z poważnymi albo ponurymi minami, jeden obok drugiego, chociaż nie sprawiali wrażenia zaprzyjaźnionych ani rzecz jasna nie rozmawiali ze sobą, dziwne, że stanęli obok siebie, gdy było wolnych sześć innych miejsc, człowiek ma skłonność do separowania się przy takich czynnościach; trzeci stał przed lustrem, czesząc się i coś sobie nucąc. Z sześciu kabin dwie były zajęte, ale w każdej widać było na dole (sporo się nachyliłem, bo odległość była niewielka) parę zrolowanych nogawek, wystawały spod przyciętych od dołu drzwi, nie jestem pewien, z jakiego powodu drzwi kabin w publicznych toaletach prawie nigdy nie sięgają podłogi ani sufitu, podobnie jak drzwi w saloonach na Dzikim Zachodzie, na szczęście nie są wahadłowe ani aż tak krótkie (bardziej jak płaszcze niż jak kamizelki). Sikający spojrzeli na mnie podejrzliwie, odwrócili głowę równo, jak na komendę, ich miny wydały się jeszcze bardziej ponure, otwierałem pozostałe drzwi, sprawdzając, czy nikogo nie ma w kabinach, gdy ktoś stanie na sedesie, nie widać jego stóp w prześwicie pod drzwiami i kabina wydaje się wolna, aczkolwiek dwie osoby stojące równocześnie na sedesie ryzykowałyby, że wpadną do środka, tym bardziej gdyby jedna z tych osób miała groźne sztuczne piersi z litego dębu albo implanty wypełnione ciekłym ołowiem czy cokolwiek to było. Mężczyzna czeszący się przed lustrem nie odwrócił się, z wielką starannością robił sobie na mokro przedziałek i cały czas coś podśpiewywał bardzo zadowolony i obojętny na wszystko („*Nanna naranniaro nannara nanniaro*”, tak to brzmiało), to była irlandzka piosenka „*The Bard of Armagh*” czy też, jeśli ktoś woli, „*The Streets of Laredo*” z amerykańskiego

Dzikiego Zachodu (mają tę samą melodię, lecz inne słowa i akompaniament), słyszałem tę piosenkę setki razy na filmach i z płyt, od razu ją rozpoznałem, bo w tamtej dyskotecie nie uciekano się do tak nachalnych metod jak umieszczanie głośników w ubikacjach, toteż muzyka z zewnątrz docierała tu tylko dalekim echem zza podwójnych drzwi stosowanych w angielskich toaletach, przyłgnęła do mnie natychmiast ta nucona półgłosem ballada, a może kołysanka, znałem mniej więcej słowa jej kowbojskiej wersji, dużo bardziej znanej niż irlandzka, „*I spied a young cowboy all wrapped in white linen, all wrapped in white linen as cold as the clay*” („Dostrzegłem albo podpatrzyłem młodego kowboja zawiniętego w białe płótno, zawiniętego w białe płótno, zimnego jak glina”), to historia opowiadana przez umarłego (choć w rzeczywistości jej zaprzeczenie, nie-historia), który chce ukryć swoją gwałtowną śmierć, a raczej złe życie, które doprowadziło do tej śmierci, przed matką, siostrą i narzeczoną, „*For I'm a poor cowboy and I know I've done wrong*”, to jeden z fragmentów, pojedynczych i niekompletnych, które mi się przypomniały, „Bo jestem biednym kowbojem i wiem, że wyrządziłem krzywdę”, mówi, albo „że postąpiłem źle”, jeżeli ktoś woli. Prawdopodobnie kowboj wcale nie jest martwy, lecz umierający, to nie wynika jasno ze słów tej smętnej piosenki, a może zależy od konkretnej wersji i konkretnego wykonawcy. Ale nie sądzę. Ja zapamiętałem to tak, że nieszczęsny kowboj opowiada już nieżywy.

Wyszedłem z męskiej toalety, nim zrobili to ci trzej albo nim zrobiło to tych pięciu, których zastałem w środku, byłem szybki. Przed damską toaletą nadal czekała jedna kobieta, był duży ruch w obie strony, poszedłem więc do tej dla niepełnosprawnych – na drzwiach miała ekstrawagancko narysowany hak, może znaczek z wózkiem inwalidzkim wydał się zbyt prozaiczny i szpetny jak na takie szykowne miejsce – czyli dla kalek, jak wyraził się Tupra (o mało sam nie skończyłem jako kaleka, gdy

poślizgnąłem się na podjeździe, był morderczy dla tych jeszcze w pełni sprawnych), pewnie nie tyle z braku szacunku, ile dlatego, że właściwe angielskie słowo wydało mu się łatwe do zrozumienia dla Manoi. Rzeczywiście ta toaleta była znacznie większa, naprawdę przestronna i dziwnie pusta. Nie żebym się dziwił, że nie było w niej niepełnosprawnych: ta toaleta to była jedna wielka uprzejmość, oznaka poważania albo pełen obłudy gest, a może tak stanowiły przepisy o dyskotekach w naszych pełnych uporczywej demagogii czasach. W lokalach tego typu nie widuje się na ogół wielu wózków inwalidzkich ani ludzi o kulach, ani nawet haków. Niezwykłe było to, szczególnie z hiszpańskiej perspektywy, której nigdy nie traciłem, że cała reszta ludzi, nawet gdy do innych toalet stały kolejki, nie wpychała się tu z całym *sans-façon* i beztroską i nie korzystała z jakże wygodnego wyposażenia, jakby było także dla niej przeznaczone. W moim kraju nikt nie zważałby na rysunek na drzwiach: nikt by go nawet nie zauważył (nikt, wiem, co mówię, nie jesteśmy cywilizowani). Nie rozumiałem, do czego miały służyć cylindryczne metalowe pręty, które tu i tam wystawały ze ściany, może były to uchwyty dla ludzi o niepewnym kroku albo ledwie chodzących, dotknąłem tych prętów, było ich cztery, wszystkie twarde, lite, zimne, jeden był przymocowany na stałe, a pozostałe trzy poruszały się w poziomie w prawo i w lewo, można je było usunąć ze środka i przysunąć do eleganckich fałszywych kafelków, to nie były wieszaki na ręczniki, bo nie było ręczników, nie miałem tyle czasu, żeby oddawać się dalszym spekulacjom na ten temat lub zawisnąć na którymś z tych prętów na brzuchu (wydaje mi się, że dziwnym zbiegiem okoliczności sprawozdawcy sportowi nazywają taką figurę „odmyk”) jak na drążku gimnastycznym, wypróbować, jaki wytrzymają ciężar: nie były wysoko, na wysokości ramion. Ciągle jeszcze nie znalazłem De la Garzy i Flavii, od początku poruszałem się szybko, ale teraz mój pośpiech powiększał się z każdą

mijającą sekundą, a ja nadal nie wpadałem na ich trop. Rozejrzałem się dobrze po luksusowym miejscu dla inwalidów, zajrzałem na wszelki wypadek w każdy zakamarek i wyszedłem, teraz należało się zachować zdecydowanie, z tupetem i odważnie wkroczyć do toalety dla kobiet, nie było innego wyjścia, zuchwały duet mógł się tam ukryć i oddawać lubieżnym igraszkom (to niemożliwe), nie mogłem ryzykować, że nie nakryję ich z powodu własnej nieśmiałości. *„But please not one word of all this shall you mention, when others should ask for my story to hear”*, nagle przypomniałem sobie dwa inne wersy piosenki, brzęczały mi w głowie jej luźne fragmenty mimo otaczającego mnie teraz huk, „Ale proszę, nie napomknij o tym ani słowem, gdy cię poproszą, żebyś opowiedział im moją historię”. Miałem nadzieję, że nie zobaczę w damskiej toalecie nic przykrego, że nie natknę się na historię, której opowiedzenia ktoś będzie się domagał, ufałem, że nie zastanę tam nic, co mógłbym lub powinienem potem opowiedzieć.

Jedna kobieta, inna niż poprzednio, stała wciąż w kolejce do tej ich obleganej wyłącznie żeńskiej łazienki, a może dzieliły ją z transwestytami (mignęło mi paru w tłumie, nie wiem, do jakiej toalety chodzą w miejscach publicznych). Minąłem ją tak zwawo i zdecydowanie, że zdała sobie sprawę z mojego przestępstwa dopiero, gdy pierwsze drzwi zamykały się już za moimi plecami. *„Hey, you”*, usłyszałem próby protestu, ale za późno i bez przekonania, drugiego słowa prawie nie wymówiła, jakby zabrakło jej prądu – nie był to zatem wykrzyknik – ta kobieta na pewno nie wejdzie za mną do środka. Wypiąłem pierś, nabrałem powietrza w płuca, wyprostowałem się w ramionach i równie swobodnie otworzyłem drugie drzwi, które prowadziły już wprost do łazienki, szybki rzut oka na tłumek pań przed lustrami albo w oczekiwaniu na swoją kolej przed lustrem, albo usiłujących się przejrzeć w lustrze między dwiema innymi fryzurami i przyczesać się na odległość; gwar przycichł, twarze zwróciły się w moim

kierunku, spostrzegłem czyjeś zdumione spojrzenie, czyjeś rozbawione, było też spojrzenie przestraszone i kilka nawet pełnych uznania. Na pewno przez parę sekund mruczałem absurdalnie: „Ochrona. Ochrona” i za każdym razem odchylałem bądź podnosiłem jedną z klap marynarki, jakbym miał tam przypiętą jakąś odznakę, a nie miałem: lecz to bez znaczenia, liczy się sam gest albo wskazanie, choćby nie było co wskazywać, tak jak pokazuje się palcem na niebo i wszyscy spoglądają w górę, na błękit i na chmury, jedno i drugie tak samo bezkresne albo równie spokojne jak chwilę przedtem; nie wiedziałem nawet, czy w takich przypadkach używa się po angielsku powtarzanego przeze mnie słowa „Security”, czy może brzmi ono jeszcze głupiej niż po hiszpańsku, czy takiego właśnie słowa użyłby policjant albo płatny morderca, szukając kogoś lub przeszukując pomieszczenie.

Rozejrzałem się szybko, przyjemne na ogół twarze, jeżeli Rafita i pani Manioa wybrali sobie to miejsce, byli nie tylko głupkami, byli kretykami (on na pewno, ale mimo wszystko nie do tego stopnia, by pakować się do zatłoczonej toalety, gdy obok jest pusta łazienka dla inwalidów); skoro już jednak wszedłem do środka, musiałem się upewnić, stanowczym zatem krokiem inspektora albo płatnego mordercy podszedłem do kabin (wypełnianie rozkazów, robienie czegoś na polecenie innej osoby, nie dla siebie albo nie z własnej inicjatywy, pomaga i zwalnia od odpowiedzialności, świadczenie usług dla kogoś dodaje śmiałości, wyzwala lekceważenie wobec innych, a czasem nawet okrucieństwo); kabin było osiem, wszystkie zajęte, można się było tego domyślić po ciągle stojącej na zewnątrz kolejce. Przebiegłem spojrzeniem prześwity pod przykrótkimi drzwiami, dwie pary zrolowanych spodni i sześć spódnic, chociaż nie – spódnice musiały być w górze, nie wystawały – tylko sześć par nóg i zsunięte na nie rajstopy i majtki (były też jakieś samotne stringi, jedna z kobiet widocznie nie miała rajstop, w Anglii to dziwne nawet latem,

musiała być cudzoziemką, na pewno. Ile to zawracania głowy za każdym razem, pomyślałem, ile drobnych komplikacji, u mężczyzn jest dużo wygodniej), ustawienie żadnej z ośmiu, mam na myśli pary nóg, nie było dziwne, wszystkie zdawały się stać normalnie, to znaczy tak, jak można się było tego spodziewać, zwyczajnie. Zajęło mi to tylko chwilę, jeden rzut oka, najwyżej dwa, ale nieuchronnie przypomniało bajkę, którą w dzieciństwie opowiadała mi matka: dzielny zuch, żeby uwolnić swoją ukochaną – nie pamiętam dokładnie, prostą dziewczynę czy porwaną księżniczkę uwięzioną w zamku – musiał wyjść zwycięsko z siedmiu prób, jedna polegała na rozpoznaniu jej właśnie po nogach, gdy reszta ciała i twarz pozostawały ukryte za parawanem albo za przyciętymi także od dołu drzwiami, podobnie jak ciała i twarze innych sześciu lub trzynastu, a może dwudziestu kobiet ustawionych razem z nią w jednym szeregu, coś jak policyjna procedura okazania w komisariacie, tyle że w bajce służyła oswobodzeniu, a nie oskarżeniu, i sprowadzała się tylko do nóg, wyprostowanych, nie w pozycji siedzącej jak w ubikacji, dzielny zuch widział tylko sześć, trzynaście albo dwadzieścia par łydek i ud, musiał odgadnąć, która para należała do jego pastereczki czy młodej damy; o ile pamiętam, była jakaś sztuczka albo jakiś szczegół – na pewno nie blizna, zbyt to oczywiste nawet jak na wyobraźnię małego dziecka – który pomógł mu zgadnąć i zaliczyć próbę, zresztą tylko po to, żeby stanąć przed kolejną, dużo trudniejszą. Matki nie było już na świecie, nie mogłem jej zapytać, co to był za szczegół, a mój ojciec z pewnością nie pamiętał tej bajki, możliwe, że jako mąż, nie syn, nigdy jej od mojej matki nie słyszał, a może wiedziała to moja siostra lub któryś z dwóch braci, nie, to mało prawdopodobne, na ogół to ja pamiętałem najlepiej zdarzenia z naszego dzieciństwa, a skoro i mnie zawodziła pamięć... Nigdy się tego nie dowiem, pomyślałem, ale to bez znaczenia, ludzie w większości nie zdają sobie sprawy, jak bardzo nie ma znaczenia to, że nie wiemy wszystkiego, bo i tak zawsze wiemy za

dużo, tyle że dużo też zapominamy, niechcący lub specjalnie, bez zmartwienia, bez żalu, chociaż dowiedzenie się tego wymagało od nas wcześniej dużo łez, potu, znoju i krwi.

Przyglądałem się szeregowi, nie miałem wrażenia, że nogi Flavii są wśród szesnastu młodszych nóg, wszystkich niemal w bardzo dobrym obuwiu – to spostrzegłem: buty były wyjściowe – zwróciłem uwagę na eleganckie szpilki tej, która nie nosiła rajstop albo zdjęła je, nim usiadła, podobnie jak majtki – nic nie zwijało jej się wokół kostek, kostki były wolne – był to oczywiście bardzo szybki rzut oka, kobiety przed lustrami nie protestowały ani nie wybiegły na korytarz, wyczuwałem za plecami raczej wyczekiwanie i zaciekawienie niż oburzenie albo niepokój, oportuniści, którzy nami rządzą, napędzili ludziom tyle strachu, że ci szybko stali się posłuszni, szczególnie wobec każdego, kto szermuje przerażającym, obeszładniającym słowem „Ochrona”, które usprawiedliwia wszystko, nawet jego ironiczne nadużywanie i zawoalowane upokorzenia, nie wiem, jak je nazwać, upokorzenia funkcjonalne.

Może nie pomyślałem o tym wtedy, lecz dużo później, kiedy wreszcie położyłem się spać owej nocy, a może już było rano, jednakże załątek tych myśli pojawił się właśnie wtedy, podczas pospiesznych, absurdalnych odwiedzin w damskiej toalecie, niekiedy takie myśli przebiegają nam przez głowę niczym błysk i odsuwamy je na potem, bo w danej chwili nie mamy sposobności się nad nimi zastanowić, po czym wracamy do nich i zagłębiając się w nie w chwili wolnej z fałszywym spokojem; a przecież można powiedzieć, że ten błysk już jest myślą, skoncentrowaną lub w połowie nieznaną (a może to *presciencia*, przedsmak jakiejś zapowiedzi). Ja byłbym rozpoznał nogi Luisy, pomyślałem, wśród szesnastu albo dwudziestu jeden innych par nóg, chociaż teraz od dawna ich już nie widuję, ich obraz zaciera się czasami, a nawet zaczynają mi się mylić z innymi, obecnymi nogami, które na pewno okażą się przejściowe



i zostaną z czasem zapomniane. Może należałoby tu także zaznaczyć nogi Clare Bayes, mojej dawnej kochanki z Oksfordu, chociaż te faktycznie od wieków nie pojawiły się w moim polu widzenia, mogły się zmienić, oszpecić bliznami albo jedna mogła stać się krótsza, jak noga Alana Marriotta, albo mogła spuchnąć, albo w ogóle mogła już zostać tylko jedna, tak jak tylko trzy nogi zostały psu, któremu czwartej łapy nie ucięła Cyganka Jane – muszę sobie ciągle przypominać, że ona tego nie zrobiła, bo w pierwszej chwili zawsze jestem o tym przekonany, taka myśl mi się narzuca, bardziej utkwiała mi w pamięci ta hipoteza, ta wymyślona historyjka, z jej strasliwym zestawieniem dwóch idei i z przerażającą parą, niż prawdziwa historia ze stacją kolejową i pijanymi kibicami Oxford United – młoda kwiaciarka z czasów, kiedy odwiedzała mnie Clare Bayes z torbą wypełnioną kolekcją osobliwych zakupów, ze swoimi koniecznymi fragmentami wieczności albo z ekspansywnym pojęciem czasu, w którym było zawsze coś praktycznego, dziś już mogę to sobie powiedzieć i nie sprawia mi bólu ani to słowo, ani sam fakt, to było w innym kraju i kto wie, kto wiedział, co mogło się stać z tamtą dziewczyną (choć tamten kraj znowu jest tym krajem), wystarczy wypadek samochodowy, a to może się przytrafić każdemu, potem przyszłaby amputacja i wówczas ona musiałaby korzystać ze świecącej pustką przestronnej toalety. Ale trudno mi wyobrazić sobie Clare Bayes bez nogi, bo obie były tak fantastyczne, stopy obute we włoskie pantofle lub bose, zawsze zrzucała buty w pomieszczeniach, dwa kopnięcia i buty szybowały w powietrzu, a potem trzeba ich było szukać, pomyślałem, stojąc przed zamkniętymi kabinami z ośmioma parami butów widocznymi pod drzwiami, a także nim zasnąłem przygnieciony strasliwym niepokojem, który zabrałem ze sobą do łóżka, musiałem przywołać w pamięci scenę z damskiej toalety i przypomnieć sobie spowitą mgłą bajkę, którą opowiadała mi matka, żeby uwolnić myśli od tego wszystkiego, co wydarzyło się później, i uśmierzyć ukłucia

w piersi. Udało mi się jeszcze ostatkiem przytomności pomyśleć: „Nie rozpoznałbym za to nóg Pérez Nuix, jeszcze nie, jeśli słowo «jeszcze» zawiera w ogóle jakąś intencję albo znaczenie”.

To, co powiedziałem, było niepotrzebne, rzucało się w oczy, że tam również nie ma zaginionych, i musiałem się pospieszyć, by poszukać ich gdzie indziej, nadal nie wierzyłem, że wyszli z lokalu, ale nie mogłem ryzykować rozzłoszczenia Tupry, a tym bardziej Manoi. „Nie guzdraj się i nie zwlekaj”, takie było polecenie albo instrukcja, a zadanie było: „Sprowadź ją”. Trochę jednak się guzdrałem, odrobinę. Przypuszczam, że widok ośmiorga drzwi i szesnastu nóg zanadto przykuwał wzrok, bym potrafił się odwrócić, nie zwlekając nawet tych kilku sekund potrzebnych, by dobrze się przyjrzeć i co najmniej zachować ten widok w pamięci jak ktoś, kto zapamiętuje bardzo dla siebie ważny numer telefonu bądź uczy się na pamięć kilku wersów („Dziwne to, niczego więcej nie pragnąc. To osobliwe, wszystko, co było związane, ujrzyć w przestrzeni rozpięchłe. A być umarłym to trud...”<sup>5</sup> Albo takich: „*And indeed there will be time to wonder, ‘Do I dare?’ and, ‘Do I dare?’.* Time to turn back and descend the stair, with a bald spot in the middle of my hair...”; a trochę dalej pojawia się pytanie, którego nikt sobie nie zadaje, nim zacznie działać lub mówić: „*Do I dare disturb the universe?*”, ponieważ wszyscy się na to odważają, na niepokojenie wszechświata i na naprzykrzanie się światu swymi szybkimi języczkami i złośliwymi krokami, „*So how should I presume?*”). Może przykuwał moją uwagę przez wspomnienie z dzieciństwa – z jakiejś przyczyny obraz, który znamy tylko z opowieści, nigdy nie widziany, zapada w nas na całe życie – a może przez swój prozaiczny aspekt związany z wydzielinami i cieciami, jak ujął to sir Peter Wheeler, gdy ja wyraziłem swój zachwyt dla rzadkiego zmysłowego zapachu Beryl oraz świetnych nóg, które wcześniej tak eksponowała, rozdrażniając

i doprowadzając do szaleństwa przekłętego attaché, który teraz mi się wymknął z kobietą powierzoną na ten wieczór mojej nieuważnej uwadze.

Tak więc odezwałem się niepotrzebnie po części dlatego, że nie mogłem się oprzeć mało szkodliwemu i powszechnemu nawykowi robienia sytuacyjnych żartów, i podnosząc głos, jakbym był przedstawicielem jakiejś władzy, porządkowej albo administracyjnej, albo świeckiej, zwróciłem się do ośmiu użytkowniczek kabin, ułożenie ich stóp miało w sobie coś z układu choreograficznego, jakby zatrzymały się na chwilę w trakcie tańca, i gdy tylko dał się słyszeć mój niestosowny w tym miejscu męski głos, siedem par nóg instynktownie i równocześnie złączyło się lub zwarło, znaczy każda para oddzielnie, tylko dwie nogi bez rajstop i z kostkami wolnymi od wszelkich części garderoby nie zmieniły swego ustawienia, ich właścicielka musiała być cudzoziemką, może nawet moją krajanką, nogi miała perfekcyjnie wydepilowane. W powietrzu unosił się lekki, nie przenikliwy zapach wydzielin i cieczy (o dziwo nie był to zapach moczu na szczęście), bez wątpienia zmysłowy i dla mnie niezwyczajny, zmieszany z wonią różnych wód kolońskich i damskich perfum, na ogół kobiety bardziej dbają o czystość niż mężczyźni, aczkolwiek nie zawsze (a wtedy są tak leniwe i niechlujne jak agentka ŚMIERSZ-u Rosa Klebb, całe szczęście, że to postać fikcyjna, dlatego w rzeczywistości nieszczęsny Nin nie mógłby mieć jej za kochankę), w całości zapach wcale nie był nieprzyjemny. Powiedziałem zatem coś, co nie miało żadnego znaczenia dla moich poszukiwań, przyznaję, zrobiłem to żartem i dla zabawy:

– Proszę wybaczyć to nagłe wtargnięcie, drogie panie – miałem wrażenie, że nazwanie ich na wstępie „*my dear ladies*” podziała uspokajająco mimo strachu, jakiego im napędziłem – ale ścigamy bardzo zręcznego kieszonkowca. – „*A very skilful pickpocket*”, to był właśnie ten absurdalny żart, gdy tylko rzuciłem te słowa, od razu zabrzmiały mi bardzo staroświecko, jakby z lat trzydziestych albo jak z Dickensa (*pickpocket*), ale

gdybym wspomniał o maniaku lub terroryście (a co dopiero o ukrytej bombie), wzbudziłbym panikę, możliwe, że kobiety rzuciłyby się do wyjścia, nie podciągając do końca rajstop czy spodni i ochlapując się wodą, nie chciałem stawiać ich w tak upokarzającej sytuacji ani przyprawiać o rumieniec, choćbyśmy mieli być jedynymi tego świadkami, one i ja. – Przypuszczam, że tu go nie ma – dodałem z taką powściągliwością i neutralnością, na jakie potrafiłem się zdobyć, filmy są nieocenioną pomocą dla tych z nas, którzy traktują je instruktażowo już od pierwszej bytności w ciemnej kinowej sali – ale proszę panie o potwierdzenie, że w kabinach rzeczywiście nie ukrywa się żaden mężczyzna. Widzę stąd dwie pary spodni, a nie wszystkie nogi w spodniach... – Tu przerwałem, obawiam się, że chciałem powiedzieć coś w rodzaju: „mają jednoznaczny wygląd”. – Będę bardzo wdzięczny, jeśli będą panie uprzejmie odpowiedzieć mi jedna po drugiej i zaraz potem wyjdę.

Wyobrażam sobie, że prawdziwy policjant zaczekałby, aż wszystkie wyjdą, żeby się upewnić, lecz ja nie byłem przecież policjantem ani nie szukałem żadnego *pickpocket*. Usłyszałem za sobą jeden czy dwa mimowolne chichoty, dobiegły od strony luster, większość kobiet łatwiej dostrzega komizm sytuacji, która ma w sobie coś komicznego, szczególnie gdy można ją potraktować bez troski albo gdy już się zdarzyła i pozostaje tylko ją opowiedzieć, nie ryzykując poważniejszych konsekwencji (dla samego zdarzenia, bo opowieść zawsze powoduje nowe konsekwencje). Po paru sekundach prawdopodobnej konsternacji kobiece głosy zaczęły odpowiadać zza zamkniętych drzwi, raz bardziej, raz mniej posłuszenie, i tylko w jednym głosie brzmiała irytacja; skoro ludzie pozwalają się dzisiaj rewidować bez żadnego dobrego powodu na byle jakim lotnisku albo w byle jakim urzędzie i ściągają buty, a nawet posłuszenie zdejmują z siebie ubranie na polecenie jakiegoś ponurego celnika, to nic dziwnego, że godzą się na nagabywanie, wtrącanie i na impertynenckie pytania nawet wtedy,

gdy zajęci są intymnymi czynnościami. „Nie”, „Oczywiście, że nie”, „Zwariowałaś? Proszę wyjść”, „Nie ma tu nikogo, proszę pana”, takie były odpowiedzi i tylko jeden głos nie dołączył do chóru zaprzeczeń: kobieta bez widocznych rajstop i majtek, ta, co nie złączyła stóp na dźwięk męskiego głosu, pchnęła drzwi, które otwarły się powoli z lekkim skrzypieniem, i odpowiedziała, siedząc na sedesie:

– *You come and see.* – Tak powiedziała. „Niech pan wejdzie i sprawdzi”. Albo: „Chodź i sam zobacz” (musiała mieć na myśli to drugie, chociaż po angielsku brzmi to tak samo).

Zdanie było zbyt krótkie i pozbawione trudnych elementów, żebym potrafił wychwycić jakiś obcy akcent, co najwyżej dźwięk k w „*come*” nie był wymówiony z przydechem i dlatego zabrzmiał z cudzoziemską jak na Anglię, a nawet jak na Commonwealth i wszystkie inne dawne kolonie, ale nie miałem teraz czasu dłużej się nad tym zastanawiać, nie byłem w nastroju do fonetycznych dywagacji, zmieszałem się widokiem kobiety, dlatego ta scena skończyła się niemal tak szybko jak tamto zdanie, sam pospiesznie zamknąłem drzwi do kabiny, aczkolwiek nie tak pospiesznie, jak kiedyś rano otworzyłem drzwi gabinetu Pérez Nuix i Mulryana, zaskakując kobietę w chwili, gdy wycierała sobie nagi tors, nie zamknąłem ich z werwą ani jednym gwałtownym ruchem, raczej w taki sposób, w jaki wtedy zamknąłem kilka sekund później drzwi do gabinetu mojej koleżanki z pracy, jednym zdecydowanym ruchem, lecz nie odwracając wzroku i zapisując w pamięci tamten widok, trwało to dwanaście sekund, policzyłem w pamięci, widok damskiej toalety nie trwał nawet tak długo, zaraz pchnąłem drzwi, mruczając równocześnie, choć na pewno nie na głos, tylko w myślach: „*I can see well enough, thank you very much indeed*”; i faktycznie upewniłem się wystarczająco, że była sama i że siedziała na sedesie, nie krygowała się jak tyle innych kobiet, które starają się nie usiąść na desce i robią siusiu, by tak rzec, zawieszona w powietrzu – tuż nad

deską, ale w powietrzu – bezpośredni kontakt z sedesem w publicznych toaletach napawa je wstrętem albo grozą, bo nie wiedzą, kto mógł siedzieć tam przed nimi, a na świecie jest tyle niedomytych, niechlujnych i brudnych ludzi, nie mówiąc o ludziach obrzydliwych, wszędzie, nawet w najbardziej sztywnym miejscu można się czymś zarazić bądź czymś upaprać. Tamta kobieta najwyraźniej nie należała do przezornych, szczególnie że chyba nie nosiła bielizny: majtki nie zatrzymały się na podwiązkach ani nie pozostały niespuszczone, po prostu ich nie miała, jak się przekonałem albo odkryłem, gdy jej postać ukazała się w całej krasie moim spoglądającym już z wysoka oczom, uda równie wolne od tej części garderoby jak kostki u nóg, wąska spódnica podciągnięta wysoko, na wysokość pośladków i bioder, przez co bardzo zmarszczona (nie miała przesadnie dużo materiału, z pewnością była raczej krótka), biała spódnica tuba, buty na cienkim, lecz bardzo wysokim obcasie tego samego koloru, letnie i w stylu lat pięćdziesiątych, najlepszej dekady mody kobiecej, bardzo ładne, aczkolwiek zaskakujące w Londynie i o tej porze roku, pasowałyby bardziej do innej pory, podobnie jak spódnica, spostrzegłem też wypukłość albo żółtawy cień, poniżej którego nie było stanika, bluzkę z okrągłym dekoltem i rękawami, których zaledwie można się było domyślać – kikuty rękawów, od góry przykrywały nasadę ramienia, a przy ciele, jak wywnioskowałem, zaledwie zasłaniały pachę – niepokojące były krzepkie uda, silne i bardzo odsłonięte – bardzo – nie grube, lecz krępe i zbite niczym wypchane opakowanie, jakby ciało bez grama zbytecznego tłuszczu wypełniało je do granic wytrzymałości, napierało na każdy milimetr opinającej je skóry, rozszerzały się ku górze, ku pośladkom i biodrom i ciemnemu wzgórkowi, który mogłem zobaczyć (spostrzegłem go, wydało mi się, że go widzę), te biodra wydały mi się odrobinę środkowoamerykańskie, może też przywodziły na myśl lata pięćdziesiąte, gdy doceniano wszelkie zaokrąglenia, a może to burza kręconych włosów i ogromne kolczyki – koła o wielkiej średnicy –

nadawały kobiecie jakiś południowy wygląd, możliwe, że zwodniczy mimo złocistego koloru nagiej skóry – w żadnym razie nie wyglądała na Brytyjkę ani na kogoś z któregoś z zakątków Commonwealthu, mogła po prostu zrobić się na Latynoskę, dobrać sobie taki strój na długą noc w dyskotecce, tak samo jak De la Garza, który uważał, że zrobił się na czarnego rapera, tylko że on wyglądał w rzeczywistości jak jakiś alternatywny matador albo absurdalny toreador spod pędzla Goi.

Moje spojrzenie było przelotne, ale nie ukradkowe, nie było spojrzeniem angielskim ani typowym dla dzisiejszej Hiszpanii, jakim na pozór było inne spojrzenie innego ranka, gdy znalazłem się nagle przed Pérez Nuix wycierającą się ręcznikiem, ona stała wtedy naga od pasa w górę, a ta młoda kobieta – dla mnie młoda, oceniłem ją na jakieś trzydzieści pięć lat – była naga od pasa w dół, przez chwilę miałem uczucie, jakbym złożył do końca jakąś układankę, taką na modłę raczej kubistyczną, bo dwie części tej układanki nie dopasowały się dokładnie (kobiety były takie różne), a poza tym pasowały do siebie tylko nagimi połówkami, nie połówkami ubranymi. Moje patrzenie trwało zatem tyle co nic, jednakże w czasie tego tyle co nic było prawdziwym patrzeniem, nie udawałem, że ona stoi i ma opuszczoną spódnicę, a ja nie wiem, czy ma coś pod spodem, czy może nic nie ma. Ona też na mnie patrzyła, wypowiadając swoją kwestię. Nie wyzywająco, nie kokieteryjnie, a już na pewno nie lubieżnie, nie z wyrzutem ani sarkastycznie, lecz z rozbawieniem i bez cienia wstydu, a jakże, jakby nie przeszkadzało jej, że wystawia się na widok w tej mało wytwornej pozycji, skoro dawało to okazję do zrobienia żartu, speszenia mnie bądź wprowadzenia w zakłopotanie (trudno w dodatku przypuszczać, że nie znając nawet mojej twarzy, miała to speszenie w planach, przecież mogłem być chojrakiem, który w odpowiedzi zrobi dwa kroki do przodu), musiała jak nikt uchwycić komiczny idiotyzm mojej wypowiedzi albo pytania, skierowanego równocześnie do ni mniej, ni więcej tylko ośmiu zasłoniętych przede mną

lub ukrytych kobiet, bez wątpienia wszystkie przerwały to, co właśnie robiły, wzdrygając się z niedowierzaniem, byłem pewien, że gdy rozległ się mój głos, wszelki płyn przestał wpadać do ośmiu sedesów, grupowy wstrzymujący odruch warunkowy, zamknięcie otworu, mrugnięcie powieką, skurcz tego samego mięśnia zwierającego, na szczęście nie potrafiła się od tego pohamować także ta kobieta, która wytrzymała w pozycji z rozstawionymi niewzruszenie nogami w pierwszej i w kolejnych chwilach – jedna, dwie, trzy, cztery; i pięć, tyle trwało skrzypnięcie drzwi i jej cztery prowokacyjne słowa „Chodź i sam zobacz” – i także w tych następnych – pięć, sześć, siedem, osiem; i dziewięć; albo dziesięć, tyle musiało trwać moje osłupienie, moje fotograficzne zapamiętywanie tego obrazu, moja uprzejma odpowiedź i mój zdecydowany ruch zamykania drzwi – i w ciągu tych dziesięciu sekund starczyło mi czasu, żeby zobaczyć to, co najbardziej mnie speszyło, czyli kroplę krwi na podłodze w kabinie, a raczej dwie krople, ale ta druga była mniejsza, była plamką wielkości ziarnka soczewicy na jej lewym pantoflu, nic poważnego, buty, chociaż białe, wydawały się lakierowane lub z porcelany, były takie gładziutkie i połyskujące, jeżeli ona tę kroplę zauważy, to zmycie małej plamki z tak gładkiej wypolerowanej powierzchni nie nastęrczy jej kłopotu.

Natychmiast pomyślałem to, co by pomyślał każdy prawie mężczyzna, nic na ogół nie wiemy o menstruacji – zdarzyło nam się widzieć jej ślad na materacu albo na pościeli, ja przynajmniej starałem się go nie zauważać – nie wiemy nawet, czy kropla lub kilka mogą spaść niepostrzeżenie na podłogę, gdy kobieta stoi, ma na sobie spódnice, ale nie ma majtek i nie ma też pod ręką podpaski ani niczego w zastępstwie, waty, chusteczek papierowych, jakiegoś wsiąkliwego papieru, a może bibułki jak ta do atramentu – nie, to śmieszne, głupie, takie bibułki były sztywne i różowe, nie widziałem ich od dzieciństwa, od czasów, gdy matka opowiadała mi



tamtą bajkę – nic o tych sprawach nie wiedziałem, mimo że byłem kiedyś żonaty przez wiele lat, które teraz, gdy moje małżeństwo już się skończyło, nie wydają się tak wieloma, nigdy nie widziałem Luisy, jak siedzi i siusia, czyli w pozycji, w jakiej pokazała mi się chwilę wcześniej nieznajoma, wspólne życie nie usuwa wszystkich barier, a może to kwestia wychowania, przynajmniej mojego, ale i Luisy, wychowania, które wyznacza naturalne i zrozumiałe bez słów granice poufałości i wystrzega się wszelkich form niechłujstwa, i nie pozwala stać się gnuśnym obojętnym świadkiem tego, czego świadkiem być nie należy.

Kiedyś Comandador, mój szkolny kolega, który potem zszedł na złą drogę, pomyślał także o nieoczekiwanej miesiączce, gdy dostrzegł krew na drewnianej podłodze i na pościeli, i na długim podkoszulku, krew chwilowej narzeczonej dilerki narkotyków Cuesty, którą Comandador uznał za martwą, gdy dziewczyna się zachwiała, potknęła i uderzyła głuchko o ścianę – dźwięk był taki, jakby złamała się sucha gałąź – i leżała nieprzytomna albo, jak on pomyślał, martwa, a Comandador od razu zauważył u niej małe rozcięcie na głowie. Potem zwątpił, że cokolwiek widział, a nawet uznał za możliwe, że to, co wziął za krew, było tylko plamą koniaku lub wina, lub nawet jakimś ciemnym słojem drewna na parkiecie. Ja teraz miałem zmartwienie albo uczucie narastającego problemu z powodu innego mężczyzny, tak podobnego do Comandadora, że chwilami obaj wydawali mi się jednym i tym samym, nazywał się Incompara, w dodatku w obydwu nazwiskach było coś, co automatycznie kazało mi myśleć o nich obu, bądź co moje szczególne wyczucie językowe kazało mi ze sobą kojarzyć: Incompara, Comandador; Comandador, Incompara, nie wiem, jakby były tego samego kalibru czy jakoś pokrewne, oba porównywalne i godne polecenia (żeby iść przez życie z pewnością siebie i z werwą, robiąc furorę, dlatego godne polecenia).

Co jednak błysnęło mi nagle w pamięci – ta druga plama krwi, ta, którą dostrzegłem na schodach w domu Wheelera i którą wytarłem rozmyślnie w środku spędzonej tam nocy, właściwie już bladym świtem w niedzielę, chociaż dla mnie to była sobota wieczór, bo jeszcze się wtedy nie położyłem – cały dzień wydłużył mi się bardzo z powodu książek – i w końcu poszedłem spać, uspokoiony i ukołyszany szmerem rzeki, tak późno albo tak wcześnie, że przeczuwałem już jaśniejące niebo. Nadal nie wiedziałem, z czego lub z kogo pociekła tamta krew, nazajutrz podczas obiadu zapytałem o to Petera i panią Berry, bezowocnie: ich odpowiedź tak mnie rozczarowała, że zacząłem wątpić w istnienie owej pokaźnej plamy, której obrys w nocy stawiał mi opór, nie chciał zniknąć ani dać się zmyć (do pewnego stopnia przewidziałem już zawczasu tę przyszłą niepewność: zawsze można zważyć w istnienie czegoś, co ustępuje i nie trwa, a więc we wszystko, bo nic nigdy nie jest bez końca obecne, a raczej tylko gwiazdy i pory roku, ale ja chcę powiedzieć, że nic, co ludzkie); po trosze przytrafiło mi się zatem to samo, co kiedyś Comendadorowi, on też zważył w realność różnych plam, które spanikowany zobaczył wtedy w tamtym mieszkaniu. Ja jednak nie wpadłem w panikę na widok mojej plamy na podeście schodów na pierwszym piętrze u Wheelera, chociaż wcześniej rzeczywiście się napiłem i czułem się trochę rozgorączkowany słowami i długimi godzinami czuwania, łańcuszkiem nocnych lektur i przemieszanych wspomnieniami związanymi z ojcem (bardziej jego niż moimi): „gorliwym współpracownikiem moskiewskiej «Prawdy»; łącznikiem, dobrowolnym towarzyszem, tłumaczem i przewodnikiem w Hiszpanii tego bandyty dziekana Canterbury; wtajemniczonym przez całą wojnę w knowania czerwonej propagandy”, o to wszystko ojciec został oskarżony, oskarżenia wymyślił jego najlepszy przyjaciel, ojciec nie umiał dostrzec jego prawdziwej twarzy, jego twarzy nazajutrz, a jutro nadeszło bardzo szybko, niemal tego samego dnia. Ale teraz to były również moje wspomnienia,

czasami zostaje nam w pamięci coś, co tylko usłyszeliśmy albo odziedziczyliśmy. Jak nogi mojej baśniowej księżniczki ustawione w szeregu wraz z sześcioma albo trzynastoma, albo dwudziestoma innymi parami nóg.

Powinienem był już wyjść z tej zatłoczonej niewłaściwej toalety, która wcale nie była toaletą dla mnie, kolejka na zewnątrz musiała rosnąć, już ze dwie minuty tkwiłem wewnątrz i nikt w tym czasie nie wszedł ani nie wyszedł: kobiety z kabin, bo zajęte, a te za moimi plecami, sprzed luster, bo większość śmiała się już otwarciu z mojej wymiany zdań z siedzącą na sedesie kobietą z Karaibów – Kubanką, Portorykanką, Nikaraguanką albo pochodzącą z jakiegoś kraju jeszcze bardziej na południe, Kolumbijką lub Wenezuelką, lub nawet Brazylijką; albo Hiszpanką, to też było możliwe. Nie potrafiłem nie napomknąć jej o plamie, tej dziewczynie o potężnych udach, wiedziałem, że będę później wracał myślami do tych ud, w inne dni i noce. Dziewczyna miała bardzo migdałowe oczy, to zdążyłem zauważyć, ich koloru nie, dostrzegłem też jej raczej szeroki nos, a może rozwarte nozdrza albo połączenie jednego i drugiego, zrobiła na mnie wrażenie jednej z tych piękności, które wyglądają, jakby właśnie wypuściły nosem powietrze, dziś to częsty widok u wszystkich ras, może na taki właśnie model nosa jest największe zapotrzebowanie wśród kobiet, które go sobie operują, prawie nikt nie jest zadowolony ze swoich rysów w całości. Toteż powiedziałem do niej przez ponownie zamknięte drzwi, trzymając lewą rękę na klamce, żeby znowu nie otworzyły się same (zasuwka była od jej strony, od wewnątrz, nie słyszałem, żeby ją ponownie zaciągnęła) albo żeby ona ich znowu nie otworzyła, nigdy nie wiadomo:

– Poplamiała pani czymś czerwonym jeden biały but. Nie wiem, czy pani zauważyła.

Mogła mi odpowiedzieć, że to głupstwo i to nie mój interes, takim samym tonem jak Wheeler (albo bardziej szorstkim), gdy późnym

wieczorem tamtej soboty, zanim zrobił w tył zwrot i pokonał stopnie dzielące go jeszcze od pierwszego piętra, żeby wreszcie się położyć, zwróciłem mu uwagę na opuszczone skarpetki. Ale kobieta powiedziała tylko „*Thank you*” i znowu nie mogłem rozpoznać jej akcentu. „Czymś czerwonym”, powiedziałem. Nie ośmieliłem się powiedzieć „krwią”. Choć byłem pewien, że kropla na jej bucie i ta druga, na podłodze, to krew, która dopiero co pociekła, dopiero co skapnęła.

Wyszedłem stamtąd równie zdecydowanie, jak wcześniej tam wkroczyłem, mrużąc pod nosem „*No luck. No luck*”, „Bez powodzenia”, jakbym sam to sobie wyjaśniał albo sam się przed sobą tłumaczył, nie spojrzałem nawet na kobiety w środku ani na te na zewnątrz, gdy je mijalem (znowu było ich tam trzy lub cztery), należało znaleźć Flavię i przyprowadzić ją do stolika męża, nie miałem w głowie nic innego ani nie straciłem z pola widzenia powierzonego mi zadania, jakkolwiek pomieszało się ono z kilkoma innymi rzeczami, wierszami, obrazami, odziedziczonymi wspomnieniami, a i z pewną bajką, żadna z tych rzeczy nie pochłaniała mnie całkowicie, bo żadna nie była nagląca, ale wszystkie tkwiły w mojej głowie, może w oczekiwaniu na to, że beczynna myśl – czyli ta najbardziej aktywna – podejmie je później, na koniec dnia, kiedy w końcu położę się do łóżka.

Piosenka z Laredo i z Armagh brzmiała mi wciąż w uszach mimo strasznie głośnej dyskotekowej muzyki, dokuczliwej ponownie, odkąd zamknąłem za sobą podwójne drzwi i znalazłem się w głównej sali, krótko mnie tam nie było, a tłum zgęstniał, sytuacja zmierzała ku swemu apogeum. Kiedy wraca do nas znana wcześniej melodia i utkwii nam w głowie, trudno jej się pozbyć bez pośrednictwa czegoś z zewnątrz, czegoś całkowicie innego rodzaju (może trzeba się czegoś przestraszyć, jak w przypadku czkawki), „*And when Sergeant Death's cold arms shall embrace me*”, to była irlandzka wersja z Armagh, „A kiedy obejmą mnie zimne ramiona sierżanta Śmierci”, w języku angielskim zachowało się jeszcze wyobrażenie śmierci jako postaci lub istoty rodzaju męskiego, mimo że – z wyjątkiem rzeczownika „statek”, jak sądzę – rzeczowniki pospolite nie mają gramatycznego rodzaju, jakkolwiek nie zawsze tak było, a przynajmniej nie

u każdego, pokrewny język niemiecki zachowuje rodzaje i w tym języku nie ma wątpliwości, śmierć jest rodzaju męskiego i przedstawia się ją pod postacią mężczyzny, jak w klasycznym motywie Śmierci i dziewczyny, tyle razy przedstawianym na obrazach i rycinach, śmierć jest rycerzem w hełmie, zbroi i z kopią w ręce, a może z mieczem albo z jednym i drugim, w niejednym średniowiecznym utworze angielskim śmierć nazywano Sir Death, na niektórych rysunkach z czasów nazizmu pojawia się przebrana za lekarza, w białym kitlu, czatuje z latarką na czole i ma szczególne upodobanie do młodych półnagich kobiet, jak Pérez Nuix któregoś dnia i jak kobieta z podciągniętą spódnicą w damskiej toalecie tego wieczoru, w czasach średniowiecza i renesansu ugania się za młódkami po lasach i polach, zrozpaczone nieszczęsnice rwą na sobie ubranie w daremnej ucieczce, jak pokazują zilustrowane na rycinach fantazje. Tymczasem dla nas, narodów łacińskich, których słowa mają niemal obowiązkowo rodzaj gramatyczny, śmierć to istota rodzaju żeńskiego, w dodatku w podeszłym wieku, zgrzybiała starucha z kosą, jak na tylu obrazach i ilustracjach, może dlatego jej ofiarami są częściej mężczyźni niż kobiety, chociaż przychodzi po wszystkich albo poluje na wszystkich, dosłownie ścina nas swoim wiejskim narzędziem pracy, ma sens, że jest staruchą, dawno temu zaczęła swoją robotę na akord i nie ustaje dniem ani nocą, odkąd zadebiutowała z tamtym pierwszym, nieznanym, odległym umarłym, który nadal oczekuje, żeby świat się skończył i żeby nikogo już na świecie nie było, żeby zostać wreszcie osądzonym, opowiedzieć swoją historię i przedstawić swój przypadek, „... gdy wszystkie nogi i ręce, i głowy wśród bitwy odcięte skleją się znowu w dzień ostatecznego sądu i wszystkie wykrzykną: «Polegliśmy w tym i tym miejscu»”<sup>6</sup>. I ma też sens, że w germańskich wyobrażeniach śmierć jest rycerzem w kwiecie wieku, energicznym, silnym wojownikiem gotowym pozbawiać życia bezlitośnie, jest doświadczonym fachowcem

o zimnych ramionach zdyscyplinowanego sierżanta, bo nikt inny nie sprostałby takiemu nieskończonemu zadaniu w owych zamierzchłych czasach: wiele stuleci później przywódcy nazistowscy stanęli przed tym samym problemem i szukali sposobu, jak by tu szybciej i taniej, i bez większego wysiłku dokonać masowej eksterminacji, i uciekli się wówczas do inteligencji ludzi w białych kitlach, fizyków i chemików, i biologów, a także lekarzy z latarką na czole, zabijanie nie jest łatwe i wymaga czasu. No i oczywiście męczy, a nawet wycieńcza.

„*We died at such a place*”, tak powiedział w swoim języku Wheeler, cytując Szekspira, i można było przyjąć, że na owym przewidzianym nieugiętą wiarą tamtych czasów Sądzie Ostatecznym, kiedy cała historia świata jest opowiadana naraz i szczegółowo przez wszystkich, którzy się na tę historię złożyli i stworzyli ją, od potężnego cesarza, który odcisnął na niej swoje piętno, po nowo narodzone niemowlę, które zeszło z tego świata z pierwszym wydanym krzykiem, nie przemierzywszy ziemi ani nie postawiwszy na niej stopy, a jego nieukształtowana do końca twarz nie zachowała się w pamięci nikogo z żywych, można więc było przyjąć, że tego ostatniego dnia, gdy wszystek czas i cała przestrzeń zmienia się w jeden wielki dom wariatów i jedną wielką wrzawę, jak swego czasu zasugerowałem Wheelerowi – może tamten dzień należał już do wieczności i tym samym miał tylko miejsce, ale nie miał trwania – ponownie się spotkają i zbiorą, i znów zobaczą nawzajem swoje twarze skazani i skazujący, zradzeni i zdrajcy, prześladowani i ich prześladowcy, torturowani i zadający tortury, okaleczeni z tymi, którzy ich okaleczyli, zamordowani ze swymi mordercami i ofiary ze swymi katami i z tymi, którzy ich do tego popchnęli albo wydali wykonany potem rozkaz, wszyscy w obliczu Sędziego, któremu się nie kłamie (sędziego pobłażliwego lub gniewnego, nieugiętego lub łaskawego, kto to wie). I wszyscy będą się starali jedni drugich wpędzić w tarapaty, przytaczając argumenty na rzecz

słuszności swojej sprawy, a zatem swojej niewinności, albo na rzecz złagodzenia swej winy, o tym właśnie żołnierze mówili do Henryka V (teraz już wiedziałem, który to był z szekspirowskich królów), gdy owinięty płaszczem dołączył do nich incognito w obozie w przededniu bitwy, jak przypomniał i opowiedział Wheeler, wszyscy byli już gotowi do bitwy; i wtedy jeden z żołnierzy powiedział: „Jeśli sprawa nie jest dobra, sam król zda ciężki rachunek”.

Wszyscy ci umarli obrzucali się będą nawzajem wymówkami i oskarżeniami, i zarzutami: „Zabiłeś mnie, a przecież nic ci nie zrobiłem”; „Zginałem przez ciebie i twoje beztroskie gadanie”; „Poświęciłeś mnie, żeby zniszczyć kogo innego, swojego wroga, nie miałeś pojęcia o moim istnieniu, a mimo to je przerwałeś w bombardowaniu, dla ciebie byłem tylko numerem albo i to nie, po prostu obiektem o takim numerze, utajnionym potem w waszym najtajniejszym archiwum”; „Zginałem z własnej ręki, bo nie mogłem dłużej żyć, mając tylu zabitych na sumieniu; wierzcie mi, że to kolejne zło, które wyrządziłem, zabijając siebie, kosztowało mnie wiele wysiłku i strachu, i wiele kolejnych wyrzutów sumienia, ale nie potrafiłem żyć, udając, że tamto się nie wydarzyło i tamte śmierci nie są moje”; „Zastrzeliliście mnie w rowie przy drodze, której nigdy wcześniej nie widziałem, nie mogła znajdować się daleko, nie zajęło nam dużo czasu dojechanie tam z więzienia przy ulicy Fomento, skąd zabraliście mnie nocą, wtrąciwszy tam wcześniej, rano, po zatrzymaniu na ulicy, bo miałem krawat, powiedzieliście, i legitymację członkowską pewnego klubu, który wam się nie spodobał – «Kręci się tu dużo falangistów», tak powiedzieliście – a do którego wcześniej lekkomyślnie się zapisałem, małpując mojego starszego, ukrywającego się wtedy brata, miałem siedemnaście lat i nawet nie wiedziałem, co ten klub znaczył, nie daliście mi szansy się dowiedzieć ani wrócić do moich komiksów, miłości i namiętności mego życia, o polityce nie miałem pojęcia”, powiedziałaby



mój wuj Alfonso, spotykając ponownie tych roztargnionych bojówkarzy, którzy kiedyś go zabili: oni mieliby kłopot, żeby go sobie przypomnieć, a tym bardziej towarzyszącą mu koleżankę, która podzieliła jego los, dostała strzał w skroń, a może w tył głowy, a może w ucho. „Nie mieliście litości i czułem ból, jakiego nie potrafiliście sobie wyobrazić przez całe swoje życie ani przez całą waszą śmierć w nieskończonym oczekiwaniu na ten ostatni dzień, i rzucaliście na mnie fałszywe oskarżenia z pełną świadomością, że są wyssane z palca, i domagaliście się ode mnie nazwisk i żebym przyznał się do nie popełnionych nigdy zrad, wiedząc, że nie mógłbym tego zrobić”, powiedziałyby Nin do dwóch czy trzech mężczyzn – wszystkich trzech dawnych towarzyszy: do Orłowa na pewno, możliwe, że do Bielowa, możliwe, że do Contrerasa – którzy rozwścieczeni przesłuchiwali go i torturowali w Alcalá de Henares i jak podaje jedno ponure źródło, obdarli go żywcem ze skóry. „Strzeliliście do mnie zatrutymi nabojami, ale za mało daliście na nie trucizny, tego jadu kiełbasianego, który sprowadzili wam z Ameryki i który przeżerał mnie przez siedem dni, nie pozwalając umrzeć ani uśmierzyć cierpienia i wściekłości, gdybyście strzelili celniej, nie trzeba by czekać, aż zadziała trucizna, a ja oszczędziłbym sobie długiego żalosego konania”, powiedziałyby nazista Heydrich do dwóch czeskich bojowników ruchu oporu albo studentów, którzy ostrzelali go w Pradze, gdy jechał samochodem, i obrzucili granatami, wyszkoleni wcześniej i uzbrojeni przez angielski Special Operations Executive, SOE, którego szef, Spooner, zaplanował ten zamach. „Tak, popełniliście straszną i lekkomyślną zbrodnię, nie celując dokładnie i nie upewniając się, że kule i granaty od razu rozerwą nazistę na strzępy, bo każdej nocy jego agonii brali stu naszych i rozstrzeliwali, a on żył jeszcze cały krwawy tydzień”, powiedziałyby do tych chłopców z ruchu oporu i do szefów SOE siedmiuset zakładników rozstrzelanych, zanim niespieszna trucizna pokonała ostatecznie opór i złość Heydricha. „Zginęliśmy 10

czerwca 1942 roku w Lidicach, nie oszczędziliście nikogo z całej wsi, zabiliście nas wszystkich, nie zważając na wiek ani na płeć, mężczyzn od razu, na miejscu, a kobiety zabraliście do obozu Ravensbrück, żeby tam umierały powoli, bo po prostu mieliśmy pecha, że właśnie u nas wylądowali na spadochronach agenci, którzy stali za niespieszną śmiercią hitlerowskiego protektora Czech i Moraw, naszej okupowanej ziemi, nie wystarczyło wam po prostu nienawidzić nas i ukarać niektórych za ich możliwą współpracę, dla was przeprowadzenie dochodzenia albo sprawdzenie szczegółów było stratą czasu, wy po prostu czuliście nienawiść do całej wsi, naszej kolebki, i zrównaliście ją z ziemią, żeby przestała istnieć, żeby nie pozostało po niej żadne wspomnienie, i zabiliście nas wszystkich, żeby nie pozostał nikt, kto pamiętałby to, co przestało istnieć”, powiedziałyby do nazistowskich okupantów stu dziewięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn i sto osiemdziesiąt cztery kobiety z tamtej czeskiej wioski, którzy stali się ofiarami represji w odwecie za ostateczną śmierć Heydricha, wszyscy, do ostatniego starca i niemal do ostatniego dziecka, bo troje dzieci, maleńkich i „o aryjskim wyglądzie”, które uznano za warte germanizacji, z tego właśnie powodu ocalało, nie udało im się jednak ocalić swej pamięci. „Dźgnąłeś mnie, żebym po dwudziestym dziewiątym roku życia nie mógł już nigdy napisać wiersza, ukradłeś mi mój wiek męski, pomyślałem, padając na poplamione winem deski, które nasiąkły moją krwią; nie zachowałem ostrożności, ty byłeś szybszy, ja z tobą postąpiłbym tak samo, twoje życie warte było wtedy tyle ile moje, mimo że ty niczego nie napisałeś, inna sprawa, że ci samolubni ludzie, którzy nastali potem, znienawidzili cię, bo skróciłeś moje dzieło i przez ciebie nie mogli się nim cieszyć w pełnym wymiarze; ale ja, twój umarły, nie skarzę się, za nic cię nie obwiniam”, powiedziałyby dramaturg i poeta Marlowe do Ingrama Frizera, który zasztyletował go w tawernie w Deptford, jeśli to było istotnie imię zabójcy, przez stulecia nieznanne i zmieniające się. „Tyś sprawił, że

dwóch zbirów utopiło mnie, wpychając mą głowę do beczki wstrętnego wina, o, ja biedny Clarence, trzymali mnie za nogi, którymi usiłowałem żałośnie wierzcąc aż do ostatecznego zatrucia mych płuc, zdradzony i upokorzony, i zabity przez czarną, mętną przebiegłość twego niestrudzonego, plugawego języka”, powiedziałyby Jerzy książę Clarence do swego mordercy, angielskiego króla, który był też jednym z szekspirowskich królów.

O tak, tego ostatniego dnia, gdy będą razem wszystkie czasy, może zawieszane i nieruchome, słyhać będzie na okrągło takie słowa, aż wszyscy zmarli dostaną mdłości, nawet ci, którzy mordowali (ale żaden nie wyobraził sobie nigdy ostatecznego rezultatu tego ostatecznego dodawania, a kiedy rzeczy się kończą, mają swój numer), a nawet Sędzia, któremu się nie kłamie, Sędzia poczuje może pokusę, żeby zapomnieć o swojej obietnicy i odwołać raz na zawsze to wieczne morowe zgromadzenie: „Umarłem tu i tu tego i tego dnia w taki a taki sposób, ty mnie zabiłeś albo ustawiłeś na trasie kuli, bomby, granatu, pochodni, kamienia, strzały, miecza albo włóczni, ty kazałeś mi wyjść na spotkanie bagnetu, handzaru, maczety albo siekiery, noża, maczugi, karabinku bądź szabli, ty mnie zabiłeś albo byłeś przyczyną mej śmierci. Niech wszystko przygniecie twą duszę ciężarem i obyś poczuł ukłucie w swej piersi”. A oskarżeni odpowiadali będą zawsze: „Musiałem to zrobić, broniłem mego Boga, mego króla, mojej ojczyzny, kultury, mojej rasy; mego sztandaru, mojej legendy, mego języka, mojej klasy, mojej przestrzeni; mego honoru, moich bliskich, mego sejfu, mojej portmonetki i skarpetek. I krótko mówiąc, bałem się”. (To ostatnie zdanie było strofą wiersza, powtórzyłem ją sobie na głos później, gdy leżałem już w łóżku: „*And in short, I was afraid*”, powtórzyłem kilka razy, bo tamtej nocy miało to zastosowanie do mnie, sam się pod tym podpisywałem: „*And in short, I was afraid*”). Albo będą się uciekali do takiej wymówki: „Musiałem to zrobić, żeby uniknąć

większego zła, a przynajmniej tak mi się zdawało”. Bo nie będą mogli twierdzić przed zniecierpliwionym i czującym już mdłości Sędzią: „Och nie, ja tego nie chciałem, nic nie wiedziałem, to wydarzyło się wbrew mojej woli, jakbym był spowity dymną zasłoną snu, to było częścią mego teoretycznego życia albo życia w nawiasie, które tak naprawdę się nie liczy, działo się tylko połowicznie i bez mojej pełnej zgody”. „Brak przestępstwa, sprawa oddalona”, powinien powiedzieć na to Sędzia. Nie, nie potrafią tak twierdzić w obliczu sędziego, który będzie rozpatrywał ich sprawę, a jednak niektórzy gotowi by to zrobić: są charakterystyczni, poznałem podobnych w swoim życiu. Nigdy takich nie brakuje.

Jakże pokrzepiająca musiała być dla ludzi o nieugiętej wierze ta odległa nadzieja albo odwleczona nagroda, albo odsunięta w czasie sprawiedliwość, ta perspektywa, wizja, ta idea przez wszystkie długie stulecia, kiedy wierzyli w jej prawdziwość i wyobrażali ją sobie, i pielęgowali myśli o niej, jakby stanowiła część wiedzy wspólnej wszystkim, analfabetom i uczonym, bogatym i potrzebującym, i jakby bardziej niż obietnicą lub *desideratum* była zapowiedzią. Jakże kojąca to idea, przede wszystkim dla beznadziejnie uciemiężonych, dla tych, którzy wiedzieli, że przeznaczone im cierpieć przez całe życie – ich całe potulne życie, bez ucieczki i bez wytchnienia – bezkarną niesprawiedliwość i wyzysk, i upokorzenia bez nadziei na zadośćuczynienie za doznane krzywdy ani na wyobrażalną karę dla krzywdzicieli, potężniejszych albo okrutniejszych od nich, albo tylko bardziej zdecydowanych. „Tu się tego nie doczekam”, myśleli sobie zapewne, przygryzając dolną wargę albo język do bólu, a potem, rozwierając zaciśnięte zęby, „nie na tym zawziętym świecie pełnym nierówności, z jego zastygłym, krzywdzącym mnie porządkiem, którego nie umiem zmienić, nie na świecie o zaburzonej harmonii, który już kopie dla mnie grób, żeby się mnie szybko pozbyć; dopiero na tym drugim świecie, kiedy czas dobiegnie końca i spotkamy się, zaproszeni wszyscy bez

wyjątku na wielki bal cierpienia i radości, i kiedy przyzna mi rację i nagrodzi mnie ten Sędzia, któremu się nie kłamię, bo on wie o wszystkim, co się wydarzyło, był wszędzie, wszystko widział i słyszał, nawet sprawy najbardziej banalne i pozbawione znaczenia na świecie jako całości albo w pojedynczym życiu; to, co dziś mnie spotkało, tę okropną zniewagę, o której zapomnę, jeżeli pożyję jeszcze kilka lat i nie doznam jej ponownie, albo jeśli będę doznawać jej tak często, że pomieszają mi się te wszystkie razy, przywyknę do niej dla własnego dobra i już nie będę jej postrzegać jako zbrodni, ten Sędzia o niej nie zapomni, on wszystko zapisuje w pojemnym rejestrze bądź nieskończonym archiwum historii czasu, od pierwszej godziny do dnia ostatniego”. Jakże wielką pociechą dla absolutnej samotności musiała być wiara, że ktoś na nas patrzy, a nawet w każdej chwili naszych nielicznych nędznych dni szpieguje nas z nadludzką przenikliwością i uwagą i odnotowuje lub zapamiętuje z nadprzyrodzoną pieczołowitością każdy odrażający szczegół i każdą pustą myśl; tak właśnie to musiało być, jeżeli istotnie tak było, żaden ludzki umysł by tego nie wytrzymał, takiej wiedzy i pamiętania wszystkiego o wszystkich w każdej epoce, stałej wiedzy bez uronienia żadnego szczegółu o nikim, choćby był to szczegół całkiem nieistotny i niczego nie dodawał ani nie ujmował: prawdziwe potępienie, przekleństwo, udręka, a nawet najprawdziwsza niebiańska wersja piekła, możliwe, że sędzia pożałowałby swojej wszechwiedzy przy takiej ilości spraw, poczułby odrazę do tego nadmiaru nudnych, szczeniackich, idiotycznych i całkiem zbytecznych zdarzeń albo rozpiłby się, żeby stać się bardziej zapominalskim (no to chlup w ten głupi dziób od czasu do czasu), albo zaczęłby nałogowo palić opium (w wolnej chwili fajka na leżąco, żeby opróżnić głowę z wiedzy).

„Wiele osób doświadcza swego życia, jakby stanowiło materię do jakiegoś drobiazgowego raportu”, powiedziałem swego czasu do Tupry,

interpretując charakter Dicka Dearlove'a, „żyją z myślą o jakiejś hipotetycznej lub przyszłej o tym życiu opowieści. Specjalnie się nad tym nie zastanawiają, to tylko sposób doświadczania rzeczy, sposób, by tak rzec, wymagający zawsze widowni albo stałych świadków ich działań i bierności, nawet zupełnych błahostek i nudziarstw. Może to narcystyczne marzenie rozpowszechnione wśród nam współczesnych, nazywane niekiedy «świadomością», nie jest niczym innym jak tylko surogatem dawnej idei wszechobecności Boga, który zawsze obserwował i widział każdą sekundę życia każdego z nas, w gruncie rzeczy to nam bardzo schlebiało, przynosiło ulgę mimo swych niedogodności, to znaczy zawartego w tym elemencie zagrożenia i kary, i przerażającego przekonania, że niczego nigdy nie można ukryć przed wszystkimi i na zawsze; tak czy owak, nie wystarczą trzy albo cztery pokolenia powszechnych wątpliwości i niedowierzania, żeby ludzkość przyjęła na dobre do wiadomości, że nikt nigdy nie asystuje ani nie przypatruje się jej pracowitej nieproszonej egzystencji, nikt się nią nawet nie interesuje, nie osądza jej ani nie gani”.

Możliwe, że nawet największemu ateuszowi trudno się z tym pogodzić, nie zadając sobie racjonalnego gwałtu. Może wstręt albo horror narracyjny, o którym napomknąłem Tuprze – kto wie, czy wszyscy go w jakiejś mierze nie odczuwamy, nie tylko Dearlove'owie tego świata – wziął się także z dawnych czasów nieugiętej wiary, kiedy to całe życie pełne cnoty, dobrych uczynków i przestrzegania reguł mogło pójść na marne z powodu jednego ciężkiego grzechu popełnionego w ostatniej godzinie – nazywano to grzechem śmiertelnym, kwalifikacja bez ogródek w rejestrze uczynków – nie było czasu na skruchę ani na przebaczenie, trudno było dać wiarę postanowieniu poprawy, bo grzesznikowi nie zostawało już wiele czasu, starcy w ostatnich latach życia musieli czuć się tak, jakby stąpali po rozżarzonych węglach, nie wolno im było ulec niewczesnej pokusie lub, co sprowadza się do tego samego, musieli unikać za wszelką cenę jakiegoś

narracyjnego błędu bądź kleksa, który mógłby przesądzić o ich życiu i potępieniu w dniu Sądu. To wydawało się niesprawiedliwym systemem, wszystko jedno, czy boskim, nie wiem, ale z pewnością mało ludzkim, zanadto zależnym od następstwa albo porządku słów, uczynków, zaniechań i myśli, trudno mi nie przypomnieć sobie jednego z powodów, jakie podał mi ojciec, by wyjaśnić, dlaczego nie podjął żadnych działań wobec Del Reala, który go zdradził, dlaczego nie wyrównał z nim rachunków, nie zadbał o spóźnione zadośćuczynienie, gdy mógł go w końcu odszukać po śmierci tyrań, odległego dziś Franco, któremu zdrajca wcześniej zaoferował swe usługi i został za nie później wynagrodzony uniwersytecką synekurą oraz korzystał z ochrony ówczesnego barbarzyńskiego prawa przez trzydzieści sześć i pół roku. Trzydzieści sześć lat bezkarności, od maja 1939 do listopada 1975 roku: kilka lat więcej niż czas, który miał do dyspozycji Marlowe, i dwa razy tyle, ile przeżył mój wuj Alfonso... „Byłby to dla niego rodzaj usprawiedliwienia *a posteriori*, pretekst, anachroniczny powód jego działania”, powiedział ojciec, gdy zapytałem go kiedyś o jego złego przyjaciela. „Miej na względzie, że w kontekście całego życia chronologia traci z czasem znaczenie, nie pamięta się, co było wcześniej, a co później, co przyczyną, a co skutkiem, nie odróżnia się decyzji od jej następstw. Mógłby sobie pomyśleć, że koniec końców to ja mu wyrządziłem jakąś krzywdę, nieistotne kiedy, i ze spokojniejszym sumieniem położyć się do grobu. A tak nie było, tak się nie stało. Nigdy nie wyrządziłem mu krzywdy, nigdy nic mu nie zrobiłem, ani wcześniej, ani później, ani oczywiście wówczas...”

Tak, mój ojciec i Wheeler byli już bardzo starzy i możliwe, że obaj przemierzali ostatnie lata swego życia z poczuciem, że stąpają po rozżarzonych węglach, nie z powodu jakiejś religijnej bojaźni, lecz ze strachu o własną biografię; a może nie, może po prostu bali się, że się osmałą sadzą. Ojciec wydawał się dość zadowolony i spokojny w swojej terażniejszości, miał kilka koleżanek z dawnych czasów, dzieci i wnuki, które go odwiedzały i sprawiały, że opowiadał o przeszłości, osobistej i zbiorowej, a to jest wielka ulga (mnie z nimi nie było, odkąd ponownie wyjechałem do Anglii i popadłem w rozmyślne otępienie, żeby zanadto nie rozmyślać o terażniejszości, która nie przynosiła mi jeszcze ulgi; on nigdy nie robił mi wyrzutów, ale kiedy dzwoniliśmy do siebie albo pisaliśmy listy – listy sprawiały mu przyjemność: „Nie lubię, gdy skrzynka na listy jest zawsze pusta albo są w niej tylko ulotki reklamowe i podobne śmieci” – zauważałem, że do mnie tęskni, przynajmniej troszeczkę); nie przewidywał już zapewne jakichś dramatycznych zmian ani żadnego fatalnego zdarzenia rujnującego na koniec jego historię, której najistotniejszy fragment wydarzył się w czasach dużo trudniejszych niż dzisiejsze i którą sam już sobie opowiedział, jeśli nie z dumą, to na pewno bez wstrętu i bez upiększeń, tak sobie wyobrażałem; było też nieprawdopodobne, by ta historia legła w gruzach w oczach innych ludzi, nawet w wymagających oczach syna, żeby zatem zawiódł moje do niego zaufanie, chyba że pewnego dnia dokonałbym jakiegoś odkrycia i coś skrywanego wyszłoby na jaw. (Ja natomiast wciąż mogłem zawieść jego zaufanie i zaufanie innych, oto niedogodności wynikające z przeżycia dopiero połowy życia; niewątpliwie zawiodłem już w przeszłości kilka osób, na pewno Luisę i moje dzieci).



Co się tyczy Wheelera, może był wystawiony na większe ryzyko, ponieważ był nieprawdziwym starcem i ponieważ jego czcigodny, dobroniosny wygląd skrywał energiczne wciąż jeszcze, niemal akrobatyczne machinacje, a rzekomo niezborne dywagacje maskowały spostrzegawczy, analityczny, przewidujący i wyposażony w zdolności interpretacyjne umysł, który bezustannie oceniał; Wheeler wydawał się gotów nie tylko interweniować w kurczący się, pozostały mu jeszcze czas, w miarę możliwości raczej narzucając jego końcową zawartość, niż pozostawiając to w rękach przypadku, lecz jeszcze chciał uczestniczyć w tej czy tamtej pomniejszej sprawie tego świata i mieć na nią wpływ, choćby tylko poprzez przyjaciół, przeze mnie albo Tuprę, albo przez kogoś, kogo nie znałem ani ja, ani Tupra, skąd można wiedzieć, jak wielu innych ludzi odwiedzało go w domu nad rzeką albo po prostu do niego dzwoniło, albo rozmawiało z panią Berry jako pośredniczką, a może nawet pisało do niego listy. On na początek skontaktował mnie z Tuprą i ze wszystkim, co z tego wynikło, pewnie było to z jego strony posunięcie spontaniczne, interwencja w moje życie i pomocna dłoń wyciągnięta do Bertrama, w każdym razie oferta, tylko on mógł zaproponować wpuszczenie mnie do grupy i do budynku bez nazwy, których częścią teraz byłem, nie zdając sobie nawet sprawy z tej przynależności, trochę bardziej uświadomiłem to sobie pod koniec owego wieczoru. Wheeler nie wyrzekł się intrygowania, manewrowania, manipulowania i reżyserowania i w tym sensie narażał się nie tylko na osmalenie sadzą z tłącego się ognia lub z rozżarzonych węgli, lecz wręcz na spalenie. Nie wydawało się, żeby się tego bał, podobnie jak i mój ojciec, ale każdy z nich miał w sobie inny rodzaj brawury, może nawet były to rodzaje przeciwstawne: możliwe, że Juan Deza miał się za przygotowanego, rzetelnego i gotowego, gdy tymczasem Wheeler czuł, że jest beznadziejny i niedokończony, nawet nazwisko miał podmienione, zamazane, przynajmniej ja to tak widziałem na swój niedoskonały sposób;

byłoby ryzykowne, przesadne, niesprawiedliwe powiedzieć, że ten pierwszy czuł się bezpieczny, a drugi potępiony, choć tylko w sensie narracyjnym, w żadnym razie nie w sensie moralnym. Nie wiem, może Wheeler umiał zastosować do siebie własne przekonanie, że ludzie mają wszystkie swoje potencjalne możliwości we krwi i jest tylko kwestią czasu, pokus i okoliczności, by te możliwości się ujawniły; a własne możliwości dobrze znał, może w przeszłości zawczasu, a teraz już także z doświadczenia; wiedział, że skorzystał obficie z tych trzech rzeczy, przede wszystkim z czasu: żeby być przekonującym, stanowić większe niebezpieczeństwo i stać się bardziej nikczemnym niż jego wrogowie, żeby wyrobić w sobie większą i bardziej śmiertelniejszą niż oni umiejętność konfabulacji; żeby umieć wykorzystywać ludzi, którzy są w większości głupi, lekkomyślni i łatwowierni, nietrudno podrzucić im zapaloną zapałkę i wzniecić pożar, a ten rozprzestrzeni się z kolei jak najgorsza epidemia; żeby sprawić, by inni popadli w najstraszniejszą, najbardziej destrukcyjną niełaskę, z której nigdy się nie wydobędą, i tym sposobem zmienić owych skazańców w straty w ludziach, w nieludzi, w powalone drzewa, z których można tylko odrywać połamane gałęzie; skorzystał z czasu, żeby rozsiewać zarazki cholery i malarii, i dżumy i wielokrotnie uruchamiać proces negacji wszystkiego, tego, kim jesteś i kim byłeś, tego, co robisz i co robiłeś, tego, o co się starasz i starałeś, twoich powodów i intencji, twoich wyznań wiary, poglądów, twojej lojalności, twoich racji... Uważał, że wszystko można zniekształcić, wykrzywić, unieważnić, wymazać. I miał świadomość, że na końcu każdego względnie długiego życia, jakkolwiek byłoby monotonne, miałkie, szare i nieciekawe, zawsze będzie zbyt wiele wspomnień i zbyt wiele sprzeczności, za dużo poświęceń i przeoczeń, i zmian, wiele odwrotów, wiele opuszczonych sztandarów, a także zbyt wiele aktów wiarołomstwa, chyba że to wszystko po prostu białe flagi kapitulacji. „Nielatwo to wszystko uporządkować”, powiedział swego czasu, „nawet po

to, żeby opowiedzieć samemu sobie. Zbyt wiele się uzbierało... Pamięć mam tak przepełnioną, że czasami nie mogę tego znieść. Chciałbym, żeby była gorsza, chciałbym trochę ją opróżnić. A właściwie nie, nieprawda... Chciałbym tylko, żeby nie była taka pełna”. A później dodał kilka słów, które dobrze pamiętałem (od tamtej chwili wracały do mnie jak echo, wcale nie tak rzadko): „Nie da się opowiedzieć życia, to niezwykle, że ludzie podejmują tyle wysiłku, żeby je opowiedzieć... Czasami myślę, że lepiej porzucić ten zwyczaj i pozwolić, by sprawy tylko się działy. A potem zostawić je w spokoju”.

Tak, możliwe, że Wheeler powstrzymałby się od zabrania głosu tego sławetnego ostatniego dnia: nie poniżyłby się do przedstawienia swej sprawy i zadreczania umęczonego sędziego wyczelowanymi argumentami oraz listą znakomitych dokonań albo całą swoją historią, począwszy od narodzin, wzgardziłby oczekiwaniem na sprawiedliwy osąd lub proszeniem o sprawiedliwość albo o obraźliwą w jego mniemaniu łaskę, gdyby przyszło mu żyć i umrzeć w czasach, kiedy większość ludzi wierzyła jeszcze w ów dzień. Może wolałby skorzystać z „formuły Mirandy”, prawa przysługującego aresztowanym w Ameryce (kiedyś mnie tę formułę wyrecytowano, ale niedokładnie), mam na myśli, że wolałby ją stworzyć *avant la lettre* i oczywiście nadać jej inną nazwę w trakcie owego wielkiego balu, tak by wieści o jej zaletach i wadach w żadnym razie nie rozeszły się wśród żywych (aczkolwiek owego dnia, jak sobie uświadomiłem, nie byłoby już nikogo wśród żywych, wszystko odbyłoby się zatem *après la lettre*). Możliwe, że Wheeler zachowałby milczenie i tym sposobem oszczędziłby sędziemu jednego albo dwóch kieliszków, albo pół fajki opium, pozostawiając mu natomiast zadanie polegające na uporządkowaniu i opisie, przecież sędzia już wcześniej wszystko widział i wszystko słyszał, po co kłopotać się opowiadaniem mu swojej historii, skazywać się przy tym na nieunikniony wstyd i wysiłek, to byłaby strata czasu, nawet jeśli nie

byłoby już czasu albo byłyby tylko jakiś absurdalny rodzaj czasu, który miałyby początek, ale nie miałyby końca. Gdyby Wheeler został poddany przesłuchaniu lub gdyby sędzia kazał mu się bronić albo przytaczać jakieś argumenty – „Co ty na to, Peterze Rylandsie, czyli Peterze Wheelerze z Christchurch w Nowej Zelandii?” – nawet nie odpowiedziałby „Nic”, tylko zachowałby milczenie, unikając do samego końca *careless talk* we własnym wydaniu i choćby wszyscy wokół nie robili nic innego, bo to byłby kulminacyjny dzień niefrasobliwego gadania i nieostrożnej rozmowy, gadatliwości i słowotoku, i wyznań bez ogródek, dzień przeznaczony na zarzuty i najpoważniejsze usprawiedliwienia, na oskarżenia i obronę, na wymówki, odwołania, na pełne furii zaprzeczenia i stronnicze zeznania, na jedno czy drugie krzywoprzysięstwo i na wiele donosów („O nie, ja nie chciałem, nie mam z tym nic wspólnego”, „Proszę bardzo, mogą mnie zrewidować”, „To nie ja”, „Zmusili mnie groźbami”, „Przystawili mi pistolet do skroni, musiałem to zrobić”, „To jego wina, jej wina, ich wina, wszystkich, tylko nie moja”): idealny dzień, żeby zrzucić z siebie ciężar wszystkich nieskończonych śmierci i obwinić o nie kogoś innego. Tak, możliwe, że Wheeler zrezygnowałby z udziału w tej ogólnoświatowej wrzawie i postanowiłby nie wykorzystać swoich atutów w tej nierównej partii: „Milcz, nie mów ani słowa, nie mów nawet po to, żeby się uratować. Trzymaj język za zębami, połknij go, choćbyś miał się udławić, jakby ci go kot pożarł. Milcz i wówczas się uratuj”.

Tak właśnie zachował się kiedyś sir Peter Wheeler, zamilkł od razu na wstępie, kiedy tamtej niedzieli, przy obiedzie, a raczej już przy deserach, chwilę przed tym, nim wstałem od stołu, żeby ruszyć na stację, skąd miałem pociąg do Londynu, wreszcie zapytałem go, a i panią Berry, o plamę krwi na podeście schodów.

„A, póki pamiętam”, odezwałem się, korzystając z chwili ciszy w stylu takich, jakie często są wstępem do pożegnania lub je przybliżają, „wczoraj

w nocy, gdy wchodziłem do swego pokoju, wytarłem plamę krwi na podeście schodów na pierwszym piętrze”. I wyciągnąłem palec wskazujący w stronę pierwszych stopni schodów. Naprawdę wytarłem ją, schodząc i trzymając w ręce jak skarb „From Russia with Love”, egzemplarz z dedykacją dla Wheelera od dawnego komandora Fleminga z Wydziału Wywiadu Morskiego („...*who may know better. Salud!*”), ale to nie miało znaczenia i wołałem, żeby Peter nie wziął mnie za skarżypytę czy też *chafadero*, jak to się mówi w kastylijskim używanym w Katalonii. „Nie wiem, skąd się tam wzięła, ale była całkiem spora. Może państwo wiedzą?”

Odpowiedziała mi pani Berry, im dziwniejsze pytanie, tym domaga się pilniejszej odpowiedzi, choćby miała się sprowadzać do powtórzenia tych samych słów.

„Plama krwi?”, powiedziała, a brwi uniosły jej się same z siebie, najwyraźniej bez wcześniejszego zamiaru. I natychmiast dodała z lekką irytacją: „Jak to możliwe, że jej nie zauważyłam, idąc schodami do siebie, skoro w dodatku była całkiem spora?”, w ten sposób wekslowała sprawę na inne tory i zmieniała ją we własne niedopatrzenie. „Mówi pan, Jack, że na podeście schodów? Dziwne”. I rzuciła pełne niechęci spojrzenie ku pierwszym stopniom, na które wcześniej wskazałem, jakby widniało tam jeszcze to, o czym ją informowałem – ale informowałem także, że to coś wcześniej wytarłem – i w tak nieodpowiednim miejscu. „Bardzo mi przykro, Jack, że naraziłam pana na taki kłopot”.

Zerknąłem na Wheelera, który siedział z szeroko otwartymi oczyma i odrobinę rozchylonymi ustami, czyli z wyrazem dostatecznie dużego zdumienia, by uzasadniało sformułowanie: „mowę mu odjęło”. A może ta mina wyrażała częściowe niezrozumienie, jakby ze sporadyczną powolnością swego wieku przetwarzał moje pytanie lub informację skonsternowany i z wysiłkiem; jakby się zastanawiał: „Czy ja dobrze usłyszałem, powiedział: krew? Źle coś wymówił czy faktycznie powiedział:

plama krwi? Choć jest cudzoziemcem, na ogół wymawia poprawnie, nie licząc dziwnych albo rzadkich słów, których pewnie wcześniej nie słyszał, widział je tylko na papierze, w takich jednak przypadkach jest świadomie niepewny, waha się i zawczasu pyta. Pewnie to moja wina, zagapiłem się i nie zrozumiałem, co powiedział”. Wydawało się, że coś takiego sobie myśli, ale nie mógł tak myśleć, bo pani Berry natychmiast powtórzyła: „*A bloodstain?*”, a jej wymowa nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

„Proszę się nie martwić, Mrs Berry, to nie był żaden kłopot, nie byłem jeszcze senny”, odpowiedziałem. „Nie mogę tylko zrozumieć, skąd się tam wzięła. Pomyślałem, że to moja krew, że niepostrzeżenie sam się czymś skaleczyłem, ale obmacałem całe ciało i nic. Państwo zatem też nie wiedzą?”, ponowiłem nieśmiało pytanie.

Pani Berry spojrzała na Wheelera ze zdumieniem, jakby ona także pytała go wzrokiem, przyszło mi na myśl, że w tym spojrzeniu mogła być także prośba o radę, a nawet niepokój o mnie, który twierdziłem, że w środku nocy wytarłem jakąś zupełnie nieprawdopodobną dziwną plamę. Jednakże Peter wciąż milczał, oczy metaliczne, a może o wyglądzie minerału, nadal szeroko otwarte (w tamtym świetle dnia przypominały chalcedon), usta ciągle jeszcze rozchylone (ale już nie tak bardzo, by można powiedzieć, że siedzi „z rozdziawionymi ustami”).

„Nie mamy pojęcia”, odpowiedziała. „Może któryś z gości się skaleczył, widziałam, że w trakcie wieczoru kilka osób wchodziło do łazienki na piętrze... Gdzie dokładnie była ta plama?”

Wstałem, ona wstała także („Pokażę pani”), zaprowadziłem ją do schodów, wszedłem na pierwszy podest, idąc po dwa stopnie, a ona za mną, nie omijając żadnego.

„Tutaj”, wskazałem, gdzie to w przybliżeniu było. Nie mogłem wskazać dokładniej, bo pamięć przestrzenna nie jest precyzyjna, chyba że pozostawiło się jakiś niezmienny punkt odniesienia, a tam nie było ani

śladu, nawet w miejscu, gdzie mocniej tarłem, podłoga wszędzie wyglądała jednakowo, była gładka, specjalnie starałem plamę bardzo starannie, w poprzednim życiu musiałem być dobrym służącym albo obowiązkową pomywaczką, nie wiem, czy znakomitą. „Była mniej więcej taka”, dodałem, „miała z półtora cala średnicy, może dwa. Nie było smugi, co dziwne, tylko ta plama. Jak pojedynczy ślad”.

Pani Berry schyliła się, żeby przyjrzeć się podłodze z bliska. Ja zdążyłem już przykucnąć i stukalem o podest pięcioma palcami ułożonymi jak łapa z pazurami, jakbym pukał w drewno, żeby coś stamtąd wywołać, ale nic nie chciało się pokazać. Wiedziałem, przemknęło mi przez myśl, nie trzeba było wycierać całego obrysu, nie na darmo stawiał taki opór. Peter też wstał już od stołu, chociaż bardziej powściągliwie, i podszedł za nami do podnóża schodów, nie wszedł na górę. Stał z dłońmi wspartymi na lasce, jakby była mieczem wbitym w ziemię podczas krótkiego odpoczynku, spoglądał w górę, patrzył na nas takim spojrzeniem, jakie często widuje się u starych ludzi, nawet gdy ktoś im towarzyszy i gdy prowadzą ożywioną rozmowę, czyli matowym wzrokiem i oczyma z rozszerzoną źrenicą, oczyma zanurzonymi bardzo daleko w przeszłość, jakby naprawdę coś nimi widzieli, mam na myśli wspomnienia, niekiedy spojrzenie takie widuje się nawet u starców już ślepych, jak poeta Milton w swoim śnie, to spojrzenie nie jest nieobecne, lecz skupione na czymś bardzo odległym. Wheeler nadal nic nie mówił.

„Aż taką? Nic tu nie widać”, powiedziała pani Berry. Faktycznie, parkiet był wypolerowany, błyszczący, wypastowany, jakby nic nigdy się nie stało. „A czego pan użył, żeby zetrzeć tę plamę?”

„Wziąłem trochę waty i spirytusu salicylowego z łazienki na dole. Uważałem przy ścieraniu, robiłem to po trochu. Nie chciałem zabrudzić żadnej ścierki, nie chciałem też, żeby został jakiś ślad”.

„I udało się panu, Jack, nie ma co”, zauważyła pani Berry z uznaniem, wpatrując się usilnie w puste miejsce na podłodze, zdało mi się jednak, że uchwyciłem w jej wypowiedzi leciutki ślad ironii. Możliwe, że zaczynała powątpiewać w moje słowa. „Jest pan pewien, że to była krew, Jack? Może kropla rozlanego przez kogoś wina albo likieru? Albo soku z rostbefu, plaster mięsa mógł komuś spaść z talerza? Obawiam się, że nie tylko lord Rymer chodził na przyjęciu chwiejnym krokiem. Mięso było *très saignante*, w dodatku niektórzy wzięli sobie do mięsa sos. Może pan się pomylił i to był sok z mięsa albo sos? To by tłumaczyło, dlaczego nie ma żadnej smugi, jak spada kawałek mięsa, zostaje tylko plama. Nic nie kapie”.

Wtedy pomyślałem: „Uważa, że byłem pijany i miałem zwidy; choć z drugiej strony to prawda, że stek z na pół surowego mięsa po prostu spada na podłogę, pac, ale na przyjęciu nie podawano steków, tylko plastry wołowiny”. I natychmiast przypomniałem sobie, że ubrudzone krwią waciki wyrzuciłem do sedesu, nie do śmieci, i naturalnie spuściłem wodę, więc nie mógłbym ich teraz odszukać i pokazać; byłoby też dosyć dziwne, gdybym się uparł i zaczął teraz grzebać w kubie na śmieci, lepiej, że to niemożliwe, wzięliby mnie za wariata, za jakiegoś maniaka.

„Jeśli o to chodzi, Mrs Berry, to nie próbowałem”, odparłem, w moim głosie musiał brzmieć zawód albo zraniona duma. „Proszę mi wierzyć, wiem, jak wygląda krew. Umiem ją rozpoznać”.

„No cóż, w takim razie to bardzo dziwne”. Tak odpowiedziała pani Berry, jakby kończąc tym samym rozpatrywanie całej sprawy; zabrzmiało to tak, jakby powiedziała do mnie: „Niech pan już da spokój, Jack, czego pan jeszcze oczekuje? Ja nic nie wiem i nie widziałam tej plamy, Peter też nie. Mało prawdopodobne, żeby taka plama umknęła mej uwadze, a już na pewno nie na drodze do mojego pokoju. Nie rozumie pan, że to bardzo trudne?”



Odsunąłem palce od podestu, wyprostowałem się, zwróciłem bardziej w stronę Wheelera, spojrzałem na niego z góry. Od początku nie powiedział ani słowa, ale nie wydawało mi się, żeby tym razem chodziło o blokadę mowy jak ta, która przytrafiła mu się trochę wcześniej w ogrodzie, gdy helikopter przeleciał tuż nad ziemią, i jak tamta wcześniejsza, poprzedniego wieczoru, gdy zostaliśmy już sami, a on nie mógł wydobyć z siebie głupiego słowa „poduszka”. Nie wydawało mi się, żeby chodziło tu o przedsmak czegośkolwiek, swoim starczym spojrzeniem nie patrzył teraz w niepewną, a przez to pustą i gładką jak drewniany parkiet przyszłość, tego byłem pewien, raczej w swym zdumieniu sięgał spojrzeniem poza nasze głowy, zwracał ku nim wzrok, ale go na nich nie zatrzymywał albo nie całkiem, otwarte oczy nadawały jego twarzy wyraz pełen sprzeczności, była jak buzia dziecka, które odkrywa coś lub widzi pierwszy raz w życiu, coś, co nie napawa go lękiem, nie odrzuca ani nie pociąga, lecz wywołuje w nim uczucie wstrząsu bądź powoduje przeblysł jakiejś intuicyjnej wiedzy, a może jakiś rodzaj urzeczenia. Wheeler widział coś o chropowatej fakturze, co – inaczej niż podłoga – miało na sobie jakiś wzór lub figurę, wcale jednak nie było dla mnie jasne, czy zarys tego czegoś był zdecydowany i dostrzegalny, czy raczej to coś należało do przeszłości. Wyglądało to tak, jakby Wheeler zaglądał w głąb czyśćca, tego godnego pozazdroszczenia miejsca, wedle dawnych spekulacji jedyne, które ostatniego dnia miało być wolne od ocen i obrachunków, tam właśnie wycofuje się co jakiś czas Sędzia, żeby zaznać chwili spokoju i odetchnąć od wszystkich potworności i doskonałości, od dziwacznych usprawiedliwień i niepohamowanych aspiracji, a możliwe, że i na małą przekąskę dla dodania sobie sił na czas kolejnych niekończących się sesji, a i po to, żeby pociągnąć ze swojej niebiańskiej fajki, zafundować sobie mały odlocik, reanimować się przed powrotem na wielką salę balową, gdzie

dalej trzeba wysłuchiwać milionów zagmatwanych i zawiłych, żałosnych i poronionych historii.

„Panu też nie przychodzi do głowy, co to mogło być, Peter”. Teraz zwróciłem się tylko do niego, wprost, to było bardziej stwierdzenie niż pytanie, ale również – uświadomiłem sobie – próba wydobywania z niego jakiejś słownej odpowiedzi na temat tamtej krwi czy nie krwi, którą widziałem albo nie, próba wydobywania czegoś, co powiedziałaby własnym głosem, a nie za pośrednictwem pani Berry, która zawłaszczyła wszystkie domysły i wszystkie odpowiedzi. W gruncie rzeczy nie było w tym nic nienormalnego, zasadniczo to właśnie było logiczne, ona była przecież odpowiedzialna za dom, jego schludność i porządek, za usterki i plamy. Była kimś, kto po angielsku nazywa się *housekeeper*, dosłownie zatem osobą, która dogląda domu albo opiekuje się domem.

„Nie”. Wheeler zaprzeczył natychmiast, wcale nie był nieobecny, śledził toczącą się rozmowę. Jego spojrzenie mogło podróżować, ale się nie zgubiło. „To rzeczywiście bardzo dziwne”, rzekł, chociaż nie nadał temu zdaniu kończącej intonacji jak jego gospodyni. „*That’s very odd indeed*”, tak powiedział po angielsku, jakby to był tylko konwencjonalny zwrot, w miarę możliwy do przyjęcia, nieobraźliwy dla mnie sposób pozostawienia tej kwestii w zawieszeniu albo wysłania jej wprost do czyścica, gdzie brak przestępstwa i wszystkie sprawy zostają oddalone, bo nikt się nimi nie zajmuje. Uniósł swój miecz, przez chwilę trzymał go obiema rękami w powietrzu, jakby z zamiarem zadania ciosu oburącz, potem odwrócił się, by wrócić do stołu i dokończyć deser. Dla mnie był to znak, że lepiej będzie, gdy na tym poprzestanę, poddam się, zrezygnuję. Zszedłem po schodach na dół, przepuszczając przed sobą panią Berry, udaliśmy się jego śladem, dodałem tylko jeszcze jedno:

„Musiałem zużyć wiele wacików, żeby usunąć plamę. Już ich niewiele zostało, przydałoby się wkrótce uzupełnić zapas. I spirytusu salicylowego

również”. Tak właśnie powiedziałem. Uznałem, że należy ich uprzedzić, żeby nadal nie myśleli, że i to sobie wyobraziłem albo wymyśliłem.

Teraz widziałem inną możliwość, inna przychodziła mi na myśl teraz, gdy wychodziłem z damskiej toalety, a raczej to było potem, tego samego wieczoru, ale wiele godzin później, kiedy starałem się przywołać sen i nie udawało mi się zasnąć, co najwyżej tkwiłem w jakimś medytacyjnym półśnie i zastanawiałem się nad wszystkim, co mi się rozjaśniło, gdy zdarzenia się działy, a ja odsunąłem to wówczas od siebie. Tak, to musiało być potem, bo wychodząc z toalety, spieszyłem się i uwagę miałem skupioną na tym, co działo się na zewnątrz, aczkolwiek to w damskiej toalecie zrodził się niewątpliwie ten pomysł, który nigdy nie przemknąłby przez głowę Wheelerowi ani pani Berry, mnie w zasadzie też nie przemknął aż do owej chwili, gdy zobaczyłem siedzącą na sedesie kobietę o obfitych udach, nie, obfite brzmi tak, jakby były grube, a nie o tuszę tu chodziło, lecz... jak by tu powiedzieć, o okazałość, ogrom, czystą obecność. O wezwanie. Kobieta nie ma na sobie majtek, pomyślałem, chociaż ma, owszem, pończochy, sprzedają teraz takie do połowy uda, jak dawniej, trzymają się na gumce, pozbawionym wdzięku substytucie staromodnych podwiązek, takie właśnie pończochy nosiła owa rychła już żona dziedzica fortuny, która pewnej nocy została u mnie aż do śniadania i okazało się, że ten, za którego miała wkrótce wyjść albo któremu właśnie przyprawiła rogi, ma obsesję na punkcie jej telefonu komórkowego, a może traktuje ten telefon jak obiekt wojskowy – w każdym razie miała je na sobie wówczas, gdy patrzyłem, jak je zdejmuje czy sam je z niej zdjąłem, nie pamiętam już dokładnie owego zdarzenia. Przypomniałem to sobie i myślałem o tym, leżąc już w łóżku, mało w zasadzie zainteresowany wspomnieniami, było to całkowicie mimowolne. Jakaś kobieta, myślałem, postanawia nie włożyć majtek na bufetową kolację u Wheelera, niektóre wręcz się szczygą, że

obywają się bez tej części garderoby, bo chcą mieć poczucie, że są szalenie awangardowe i radykalne, inne robią to sporadycznie i prowokacyjnie, podejmując ryzyko, że – jeżeli ubiorą się w średniej albo krótkiej długości spódnicę i wokół będzie dużo ludzi (spotkanie, bankiet, premiera, lekcja w przypadku uczennic, a nauczyciel mężczyzna zawsze stoi z przodu) – ktoś to zauważy, albo chcą rozzłościć męża, któremu w drodze na przyjęcie komunikują ów intymny szczegół i który się tym martwi, albo chcą wzbudzić przelotne i elementarne pożądanie u kogoś, kto wcześniej żądy nie czuł ani nie zamierzał poczuć – błysk, iskra – bo tym sposobem pożądanie może się utrwalić i rozwinąć – kondensacja, wzrost – całkiem wiele kobiet nauczyło się tego ze słynnego filmu z aktorką Sharon Stone i tym synem Douglasa, co ma twarz starej wiedźmy.

Owa kobieta wchodzi do łazienki na piętrze, ta na dole jest zajęta, możliwe też, że wchodzi na górę w poszukiwaniu jakiegoś pustego pokoju, w którym już ktoś na nią czeka albo do którego ten ktoś przyjdzie za minutę, albo nie przyjdzie, schadzka skomplikowana i szybka, coś, co obrazowo i wulgarnie nazywa się po hiszpańsku „*un mete y saca*”, a po angielsku „*a quickie*”, szybki numerek albo szybkie rżnięcie (naprawdę bardzo wulgarnie: wszystko jedno, myśli są bardziej wulgarnie niż mowa, a przynajmniej tyczy się to tych z nas, którzy staramy się nie nadużywać wulgarnych słów, by miały sens wtedy, gdy po nie jednak sięgamy), brak majtek przy takich okazjach jest jak dar od losu, aczkolwiek nie stanowią one jakiejś szczególnej przeszkody, wystarczy odsunąć je delikatnie dwoma palcami – uwaga, żeby nigdzie nie uszczypnąć – w odpowiednim miejscu. Wchodzi ta kobieta w spódnicy, jej wysokie obcasy stukają o podłogę albo nie słychać ich na dywanowej wykładzinie i ma ten niefart – a może, kwestia punktu widzenia, większy niefart ma gospodarz lub gość z lepszym od innych wzrokiem – że właśnie wtedy, gdy dochodzi na górę i zatrzymuje się na krótką chwilę, szukając oczyma odpowiednich bądź umówionych

drzwi, zaczyna jej się miesiączka – niewątpliwie wcześniej już przeczuwała, że się zacznie, lecz nie bardzo albo niezbyt silnie – i pojawia się w formie kropli, która skapuje na podłogę, bo nie powstrzymuje tego żaden materiał; ale to dopiero początek i tylko jedna kropla, pierwsza, pojedyncza, nie ma strużki, bo to jeszcze nie jest stały upływ i nie ma natychmiastowego dalszego ciągu, tym sposobem kobieta może nie zdać sobie sprawy z nadejścia okresu, dopiero trochę później, w łazience, gdy już się zorientuje i będzie mogła podłożyć sobie coś prowizorycznego albo kiedy czekający na nią mężczyzna zauważy ten inny, cieplejszy rodzaj wilgoci, już się wcześniej pobrudziwszy; plama na drewnianej podłodze pozostanie niezauważona i dlatego nikt jej nie wytrze aż do późnej nocy, kiedy ja tamtędy idę w poszukiwaniu książki i schodząc już z książką w ręce, odkrywam plamę, widzę ją i myślę, że nie powinienem jej tam zostawić, skoro już wiem, że tam jest: mnie przypada ją wytrzeć, bo inaczej rano mógłby się na niej poślizgnąć Wheeler – chociaż do tego czasu już by pewnie zaschła – a nie można pozwolić, żeby ktoś w jego wieku się przewrócił, lepiej zaoszczędzić mu takiego ryzyka, uchronić go od tego.

Mój dawny kolega Comendador pomyślał o tej menstruacyjnej możliwości szybciej niż ja, ale on, gdy zauważył krew, miał przed sobą młodą dziewczynę, dostrzegł też wcześniej maleńkie czerwone kropeczki na jej podkoszulku i jedną większą kroplę na prześcieradle, jemu łatwiej było na to wpaść, a poza tym i tak nigdy się nie dowiemy – on na pewno, a ja z dużą dozą prawdopodobieństwa – czy to było właściwe wyjaśnienie pochodzenia poszczególnych plam, aczkolwiek z pewnością było w przypadku plam zostawionych na kamiennej posadzce i białym bucie przez tę kobietę w kabinie, która zachowała taki spokój. Chociaż kto tam wie.

Okazało się niespodziewanie, że staram się sobie przypomnieć, które kobiety ubrane były w spódnicę na przyjęciu u Wheelera (to też na pół

mimowolnie, bo może sporządzanie inwentarza, jakiegokolwiek, zawsze sprowadza częściowy sen): na pewno Beryl, i to w spódnicę bardzo przyciągającą spojrzenia, było też całkiem możliwe, że nie miała na sobie tej intymnej części garderoby, jeśli wnosić z ochoty, z jaką De la Garza, usadowiony na bardzo niskim pufie, starał się utrzymać wzrok tuż nad jej długimi nogami („Możesz położyć się na tych udach jak na sankach”, powiedział ten kretyń); pasowałoby też do niej, gdyby takim zuchwałym posunięciem chciała wprawić w zakłopotanie Tuprę (mogła mu to zakomunikować w samochodzie, gdy dojeżdżali już do Oksfordu) albo gdyby usiłowała, mimo pozornego lekceważenia, uwieść go ponownie w taki rudymmentarny, prymitywny sposób, właściwie bez dotykania i utrzymując względny dystans, bez potrzeby jakiegoś osobistego, psychicznego, uczuciowego czy biograficznego zaangażowania, w sposób wyłącznie zwierzęcy, który nie wymaga wysiłku w ogóle. W spódnicy była pani Fahy, żona profesora Fahy’ego, irlandzkiego historyka nudziarza, a także tragiczna (przez małżeństwo) żona laburzystowskiego burmistrza nieszczęsnej miejscowości Eynsham albo Ewelme, albo Bruern, albo Rycote, a może Hog’s Norton, cieszącego się najgorszą sławą w Oxfordshire od odległych czasów poety Marlowe’a: ale obie damy dawno przekroczyły już wiek takich regularnych zdarzeń, podobnie jak i pani Berry, wyraźnie wprawdzie młodsza od Wheelera, nie na tyle jednak, by różnica wynosiła cztery dziesięciolecia ani trzy, ani nawet dwa i pół, prawdę powiedziawszy, poczułem się zawstydzony, że myślę tak o nich lub o niej (przede wszystkim o niej, znałem ją i szanowałem od lat, odkąd pozostawała jeszcze na służbie u Toby’ego Rylandsa) i że w jej wieku wyobrażam ją sobie w podobnych okolicznościach, to znaczy w towarzystwie i bez majtek, z miejsca odrzuciłem taki pomysł, głównie przez jego zuchwały charakter i po części z hipotetycznego współczucia, zgańnięm sam siebie za podobne myśli. Co się tyczy wdowy po dziekanie

Yorku, tej, która wzbudziła tak szczeniacką namiętność De la Garzy („Ja pierdołę, ale zajebista kobitka”, powiedział ten kompletny idiota), wypowiedanie się na temat aktualnego wpływu księżyca na jej ciało wydawało się ryzykowne, wdowieństwo zamazuje wiek i może wywieść w pole, dodaje wieku młodym i odmładza te już podstarzałe; tak czy inaczej ona także miała na sobie spódnicę, powiedziałbym nawet, że i staromodną halkę oraz jeszcze bardziej staromodny gorset, nie sądziłem zatem, by nieprzystępna *dowager* po duchownym rezygnowała kiedykolwiek z podstawowych części ubioru (pewnie nie rezygnowała, nawet będąc sama w łóżku, a co dopiero w obcym domu i w tak liczny towarzystwie). Było kilka kobiet w spodniach, ale nie należała do nich Harriet Buckley, lekarka i świeża rozwódka, która – wedle Tupry – mogła być tego wieczoru bardziej zainteresowana przeprowadzaniem terenowych badań niż Beryl i pani Wadman (to tylko hipotetyczne nazwisko); poza tym, że zostaliśmy sobie przedstawieni, nie zajmowałem się nią ani z nią nie rozmawiałem, chociaż nie brakowało jej swego rodzaju seksapilu, to prawdziwy cud, że nie pękła na niej spódnica, nie z powodu tuszy, lecz dlatego, że była taka wąska, obcisła, dopasowana (ten pozorny nadmiar przymiotników jest potrzebny, by opisać, jak bardzo obcisła), i przez całe przyjęcie nie zdjęła okularów, które nadawały jej odrobinę wyuzdany wygląd, jakby młodej dziarskiej sekretarki z amerykańskiej komedii z lat pięćdziesiątych (postać całkowicie wymyślona); pani doktor bez majątek – to wydało mi się dopuszczalną możliwością, a przynajmniej nie wywołało we mnie niesmaku ani wyrzutów sumienia (tylko odrobinę), podobnie jak goła Beryl albo dziewczyna, która krążyła znudzona po przyjęciu przez cały wieczór i nigdy się nie dowiedziałem, kim była, pewnie studentką, córką kogoś z gości, może nawet tej Buckley: tak czy owak obserwując ją z daleka, oceniłem, że jest kapryśna i zuchwała, i dostrzegłem w jej ustach odrobinę lubieżności (szpara między przednimi zębami; wargi nigdy nie



zamykały się do końca, a przez to nie udawało im się ukryć tych bezwstydných zębów); nie uważałem, bym popełniał nadużycie, wyobrażając ją sobie lżej ubraną, to znaczy pod spódnicą.

Jedna z tych trzech kobiet musiała wejść na piętro w niefortunnej chwili i musiała utracić lub wylać tę kroplę krwi, niczego nie zauważywszy, podobnie jak Latynoska z Ameryki Środkowej, która wcześniej odpowiedziała mi „dziękuję”, co znaczyło, że odkryła kroplę krwi na swoim bucie dopiero wówczas, gdy zwróciłem jej na to uwagę. Jednakże połączenie tych czynników na przyjęciu u Wheelera było mało prawdopodobne, nie wiedziałem nawet, czy taki brak zabezpieczenia i w konsekwencji plama krwi na podłodze były technicznie możliwe (technicznie i fizjologicznie, że tak powiem). Uświadomiłem sobie, że nie mam w Londynie żadnej przyjaciółki ani regularnej kochanki, którą mógłbym na tę okoliczność wypytać, nikogo dostatecznie bliskiego, miałem kogoś takiego w Madrycie, w moim normalnym życiu najpierw skonsultowałbym to z Luisą, była też moja siostra i stare przyjaciółki, i dawne narzeczone, *old flames*, jak Beryl dla Tupry, a może raczej jak Tupra dla Beryl, ona traktowała ich przeszłość z większą obojętnością. „Moje normalne życie”: nie umiałem przywyknąć do tego, że już nie było normalne, zostałem z niego wyrzucony albo już mi tam wykopano głęboki grób; ciągle jeszcze miałem złudne przekonanie, że ten inny kraj to tylko jakiś nawias, że ten drugi pobyt w Anglii jest życiem nie do końca przeżywanym, takim, które niewiele znaczy i za które prawie się nie odpowiada albo odpowiada się tylko na wielkim balu coraz bardziej niewiarygodnym – dziś z pewnością skasowanym, odwołanym do czasu następnego zawiadomienia, a raczej następnej wiary – czasem, który już czasem nie jest, a jeśli jest, to zamrożony i w bezruchu. („*Cuán largo me lo fiáis*”, „Długo przyjdzie mi czekać” – zwykliśmy mówić z ironią wobec takiej perspektywy my, Hiszpanie, parafrazując Don Juana ze strofy

napisanej przez poetę współczesnego Marlowe'owi; dziś rzadziej się to słyszy, ale ciągle jeszcze jest w użyciu, gdy czasy nie napawają strachem i wydaje się, że to, co przepowiedziano, jest tak odległe, że nigdy nie nadejdzie.) Może ten okres w moim życiu okaże się koniec końców tymczasowy, nic nie jest jednak tymczasowe ani nie jest okresem, dopóki się nie zakończy, nie domknie, a dopóki do tego nie dojdzie, nawias pozostaje głównym, zasadniczym zdaniem i kiedy je czytasz, zapominasz nawet, że został otwarty.

Dwa dni później, mimo niestosowności, a nawet ekstrawagancji mego pytania, zadzwoniłem do Luisy. Rozmawianie o takich sprawach z siostrą jest bardziej krępujące: siostra może być naszą pierwszą narzeczoną, ale to dzieje się wtedy, gdy nie było jeszcze krwi, siostra jest tylko naszą dziecięcą żoną. Zadzwoniłem do Luisy i zastałem ją w domu, nie musiałem się denerwować: w jej głosie zabrzmiało lekkie zaskoczenie (to nie był czwartek ani niedziela), lecz nie miałem uczucia, że jest niezadowolona. Rutynowo zapytałem o dzieci, o ich i o jej zdrowie i od razu wytłumaczyłem powód mego telefonu: „Dzwonię, żeby cię o coś zapytać”, powiedziałem. „Pytaj”, odparła dobrze usposobiona. Zapytałem więc, po wstępie i kilku słowach przeprosin, czy to możliwe, żeby kobiecie, która nie ma na sobie dolnej bielizny, a której nieoczekiwanie zaczął się okres, pociekła kropla krwi na podłogę, gdy ta kobieta stoi albo idzie („Tak, albo gdy wchodzi po schodach”, dodałem niepotrzebnie na koniec, żeby dopełnić obrazu). Zapadła chwilowa cisza, a ja się przestraszyłem, że Luisa odłoży bez słowa słuchawkę albo poradzi mi, żebym puknął się czymś w głowę, ale zaraz rozległ się przyjazny wybuch śmiechu, dobrze znałem ten śmiech, wesoły i sympatyczny, nie potrafiła go powstrzymać, gdy coś naprawdę ją bawiło. W tamtej chwili wyraźnie widziałem jej twarz, jaka to była miła twarz (ujrzałem ją oczyma wyobraźni, tam, w Londynie, a raczej oczyma pamięci, gdy wyjrzałem przez okno).

„A cóż to za pytanie?” powiedziała, ciągle jeszcze się śmiejąc. „Piszesz powieść czy co? A może reklamę podpasek? A może zadajesz się teraz z roztrzepanymi? Mam nadzieję, że nie, bo trzeba być nieźle roztrzepaną, żeby przytrafiło się to, co mówisz”. I znowu rozległ się jej radosny śmiech.

Miałem czas się zastanowić, czy wydawała się taka wesoła dlatego, że nie spodziewała się mnie usłyszeć, czy dlatego, że ta postać, która miała mnie zastąpić, przyjęła już konkretny kształt – współczującego pochlebcy, który wślizguje się do środka, nieodpowiedzialnego bon-vivanta, który czeka na zewnątrz, podejrzliwego despoty, który w końcu odseparuje ją od wszystkich; ja wybrałbym tego drugiego, mówiąc zupełnie hipotetycznie, mimo jego ptasiego mózdzku; ale ona nie będzie mnie prosić o zdanie, to pewne. Nigdy jej o takie sprawy nie pytałem, podobnie jak i ona nie wypytywała mnie o moje przygody, raz tylko powiedziała kiedyś: „Mam nadzieję, że tam, w Londynie, nie jesteś bardzo samotny”, i nie było to w istocie pytanie. „Nie bardziej, niż można się było spodziewać”, odpowiedziałem wtedy bez zwłoki, nie mówiąc ani tak, ani nie, w każdym razie traktując lekko całą sprawę. I miałem czas się zastanowić, czy jej niefrasobliwa wzmianka o „roztrzepanych” mogła oznaczać, że chciałaby wiedzieć, czy spotykam się z kobietami w tak intymnych sytuacjach, że one paradują przy mnie bez majtek (choć, rzecz jasna, mogłem być też całkiem nieświadomy takich sztuczek). A to z kolei mogło znaczyć, że albo sprawa nie była jej obojętna i mogła ją trochę zmartwić, albo było jej wszystko jedno i dlatego wspomniała o tych roztrzepanych tak niefrasobliwie, zachęcając może, żebym odwiedzał takie kobiety lub znalazł sobie kilka takich, w jej mniemaniu było ich pod dostatkiem. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jakie teraz żywiła do mnie uczucia, czy zwykłą spokojną sympatię, czy może tliła się w niej jeszcze furia, ani jakie przeznaczała mi miejsce, czy wciąż jeszcze czekała, aż mój zapach ostatecznie się ulotni, a ja stanę się duchem (takim, z którym będzie się

dobrze dogadywać, który nie zatruje jej życia, nie będzie miał wygórowanych żądań i nie będzie się za często pokazywał), czy też cały proces już dobiegł końca, a pościel po mnie została podarta na szmaty i ścierki. Prawda, że prawie nigdy nie wiemy nic o tym, co dotyczy nas najbardziej bezpośrednio, choćbyśmy oddawali się interpretacjom i domniemaniom, a ja robiłem to bez wytchnienia, może marnowałem życie w budynku bez nazwy, uważałem, że w czymś tam pomagam, a może nieświadomie szkodziłem: może pracowałem w jakiejś próżni. A poza tym, krótko mówiąc, bałem się, bałem się Tupry i bałem się go zawieść, nie ufałem też sobie (odkryłem to wszystko zaledwie dwa dni wcześniej, w wieczór spędzony z państwem Manoia). Płacono mi, żebym przewidywał przyszłe zachowania ludzi i oceniał ich możliwości, a nie potrafiłem nawet zobaczyć twarzy – tej dzisiejszej lub jutrzejszej; widziałem tylko tę wczorajszą jednym okiem swojej wyobraźni – osoby, którą znałem najlepiej, przeżyłem z Luisą wiele lat i poprzez dzieci nadal otrzymywałem uzupełniające informacje, one były jej przedłużeniem, a dzieci są przejrzyste, póki wciąż jeszcze są naszymi dziećmi, potem chowają się w pancerzu albo uciekają, albo spowija je ich własna mgła. Teraz nie wiedziałem nawet, jak Luisa się czesze (a sposób uczesania albo obcięcia włosów wiele mówi o kobietach), nie potrafiłem nawet zobaczyć samego siebie, lecz to akurat nie miało większego znaczenia, bo celnie ujęto to w tamtym raporcie na mój temat, który niemal po kryjomu przeczytałem w archiwum: nigdy się tym nie interesowałem ani się nad tym nie zastanawiałem. Niewarta wysiłku zagadka, strata czasu.

Ani nie mogłem się powstrzymać, by nie przyłączyć się do jej śmiechu, ani nie chciałem się powstrzymać, wprost przeciwnie: bardzo mi tego śmiechu brakowało i chętnie skorzystałem z okazji, minęło już dużo czasu, odkąd mi ten śmiech zabrała, a kiedyś zarażaliśmy się śmiechem nawzajem albo wybuchaliśmy śmiechem prawie równocześnie, ten śmiech – gdy ona

się śmiała, bo ja się śmiałem, i gdy ja się śmiałem, bo ona się śmiała – nigdy nie był wysilony, nie wymagał decyzji, nie był kalkulacją, aczkolwiek tym razem ja zaśmiałem się z opóźnieniem, odzwyczaiłem się i nie dostrzegłem wcześniej komizmu swego pytania, przypuszczam, że zanadto byłem skupiony na sobie, szczególnie w tamtych dniach, bezpośrednio po nocy nowego strachu i nie tak nowej nieufności; ją jednak pytanie rozbawiło natychmiast albo po pierwszych kilku sekundach zdumienia, gdy nie mogła uwierzyć, że dzwonię z czymś takim („*Che vanto ridere insieme*”, tak zwykła wołać moja dawna i wcale nie przelotna flama z Włoch w mojej bardzo odległej przeszłości, to jej w dużej mierze zawdzięczałem znajomość włoskiego. Nie wiem, jak to można przetłumaczyć: „Jak rozkosznie śmiać się razem”, a może: „Jaka to frajda”).

„Głuptas z ciebie” odpowiedziałem, „naprawdę jesteś głuptas”, i kiedy to mówiłem, śmialiśmy się razem i poczułem coś podobnego do *vanto*. „Nie jestem jeszcze takim idiotą, żeby zajmować się reklamą albo pisać powieści jak wszyscy. Ale wszystko przede mną, już mi się w życiu zdarzały większe kretynizmy, niczego nie mogę wykluczyć. A ty jesteś głuptas, nie do wiary, lata lecą, a ty ciągle jesteś taki sam głuptas jak zawsze”.

„Tak? No to może mi powiesz, dlaczego zadajesz takie pytanie? No tak, przecież jest zupełnie naturalne, najnormalniejsze na świecie, koledzy w pracy zadają mi je codziennie”. I wciąż się śmiała, śmialiśmy się z przyjemnością oboje, nie ma nic lepszego niż wzajemne nabijanie się z siebie, takie, które nie obraża, a sprawia przyjemność, pozwala okazać sobie uczucie, mam na myśli tamto dawne uczucie, gdy ona i ja byliśmy jeszcze razem i po dwóch albo trzech podobnych zdaniach dotykaliśmy się, całowali i obejmowali, leżąc, bardzo ożywieni. Ale teraz nie chcielibyśmy tego, gdybyśmy widzieli się naprawdę. „O co chodzi? Ktoś ci zniszczył parkiet? Nie mogę uwierzyć”.

W końcu przestałem się śmiać na chwilę.

„Nie, nie chodzi o moją podłogę. To była podłoga Wheelera. Ale długo by opowiadać. Powiedz, to możliwe czy nie? Żeby coś takiego się stało?”

„Podłoga Petera? W jego wieku? Muszę z nim poważnie porozmawiać. Rozumiem, że świat jest pełen pokus, ale to mu może zaszkodzić. Dlaczego pani Berry na to pozwala, dlaczego nie przegoni tych roztrzepanych?” I znowu wybuchła śmiechem, wyraźnie była w świetnym nastroju. Podobało mi się to i nie podobało zarazem, dobry nastrój mógł być z mojego powodu albo z powodu jakiegoś innego mężczyzny, który może właśnie od niej wyszedł lub miał zaraz nadejść, a może to ona właśnie wybierała się na spotkanie z nim bądź on już był w moim domu, słuchając rozmowy i czekając niecierpliwie na jej koniec, słysząc tylko jej część, część Luisy, nie moją. Nie wierzyłem w tę ostatnią ewentualność, mówiła swobodnie, jakby nie było świadków, jakby nic jej nie ograniczało ani nie zagrażało. Ale kto to mógł wiedzieć, nigdy nie wiadomo, przecież ten mężczyzna mógł być cudzoziemcem i nie rozumieć języka, a kiedy ludzie są pewni, że nikt nie zrozumie, wtedy rozmawiają tak, jakby nie było świadków, a czasem rozmawiają tak z rozmysłem, żeby wydać się komuś atrakcyjnym albo kogoś w sobie rozkochać, tak przynajmniej uważają w swoim zadufaniu, żeby pokazać się takimi, jakimi na pozór są, żeby przyglądająca się osoba podziwiała ich zachowanie wobec innych, takie sympatyczne i wesołe, jest w tym źdźbło pretensjonalności i drugie źdźbło ekshibicjonizmu, sam tak robiłem, w czasach słabości oczywiście, zaczynałem myśleć, że teraz jest taki czas. I tamten dom nie był moim domem. Takie znajdujące się w stanie embrionalnym myśli wzmogły mój śmiech i kazały upierać się przy swoim, jeśli nie całkiem poważnym, to jednak przynaglającym tonem:

„Dobra, udzielę im obojgu ostrzeżenia, powiem, że dostaną od ciebie burę i będą się mieli z pyszna. Ale powiedz, czy to możliwe, ta kropla krwi, znaczy taka plama?”

Znała mnie dobrze, nikogo pewnie nie znała lepiej, zrozumiała, że czas odpowiedzieć na dziwaczne pytanie albo je w całości odrzucić, zapomnieć o nim, łatwo mogła to zrobić, nasze stosunki nie były tak zażyłe jak kiedyś, a ona nie była mi nic winna, nawet uprzejmej odpowiedzi. Przynajmniej ja nie czułem, żeby była mi coś dłużna, a w takich sprawach (czy ktoś czuje się wierzycielem, czy dłużnikiem) bardziej się liczy i jest decydujące to, co się czuje, liczy się dużo bardziej niż fakty lub pieniądze albo przysługi czy krzywdy.

„Tak, możliwe. Ale byłoby tego tyle co nic, nie wiem, mała kropelka; to musiały być sam początek, żeby kobieta była tak totalnie nieprzygotowana”.

„Jakieś dwa cale albo półtora, coś takiego? Mam na myśli plamę. Czy to możliwe?”

To ponownie sprowokowało ją do śmiechu, chociaż już nie takiego jak przedtem, gdy śmialiśmy się razem, zwykła resztówka bez wcześniejszej werwy.

„Cale?”, powtórzyła rozbawiona. „Jak to: cale? Przypominam ci, że my tutaj nie mamy cali ani się na nich nie znamy, nie przesadzaj z tą swoją angielskością. Zmierzyłeś tę plamę miarką czy oceniłeś na oko? O co chodzi, zostałeś detektywem? Zapisaleś się do Scotland Yardu? Co cię napadło?” Teraz w jej głosie zabrzmiało zdziwienie. W Hiszpanii nikt nie pamięta, że właściwa nazwa brzmi New Scotland Yard, i to już od dłuższego czasu.

„Przepraszam, miałem na myśli centymetry, cztery albo pięć. Średnica. Człowiek przyzwyczaja się tutaj do angielskich miar”.

„Rozumiem. Ale naprawdę nie mam pojęcia, Jaime. Zazwyczaj nie noszę ze sobą miarki, poza tym nigdy nie przytrafiło mi się nic podobnego. Jestem przezorna i nadal noszę dolną bieliznę, jak to wcześniej nazwałeś, nawiasem mówiąc, całkiem celnie”. I znowu parsknęła żywiołowym

śmiechem. To było tylko jedno parsknięcie, jakby moje określenie ubawiło ją naprawdę, ale nie chciało jej się śmiać w głos.

„Czy kobieta mogła tego nie zauważyć?”

„Mogła. Ale szybko musiała sobie zdać sprawę, jeżeli to oczywiście normalna kobieta, nie jakaś wariatka. Albo pijaczka czy ktoś taki. Na początku mogła jednak nie zauważyć, tak przypuszczam. Powiedz mi, o co tu chodzi, skoro nie o reklamę podpasek i nie o powieść. Zaczynasz mnie niepokoić”.

„I wtedy nie wytarłaby tej plamy, tak?”, zapytałem. „Skoro jej nie widzi, to plama zostaje”. To już nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

Śmiech zamarł, ulotnił się, skończył. Zadałem jedno pytanie za dużo, może dwa, lecz jedno na pewno, to ostatnie, wiedziałem, zanim je zadałem. Ale bardzo trudno nie podjąć próby upewnienia się, czy coś jest możliwe czy nie, a im mniej możliwe, tym trudniej nie zapytać.

„Nie mam pojęcia, to ty chyba wiesz, jak bardzo roztrzępana jest ta kobieta, o której mówisz. A mówiąc poważnie, co to wszystko znaczy? Co się stało?” W jej głosie nie było złości, nie sądzę też, żeby była zazdrość, taki naiwny nie jestem. Była jednak lekka szorstkość, może zabawa już ją zmęczyła i nie zamierzała bawić się dalej.

„Poczekaj, mam jeszcze jedno pytanie, może ty wiesz więcej o tych sprawach, bo ja nie mam pojęcia. Słyszałaś kiedyś o kosmetyku, rodzaju sztucznego wypełniacza albo czymś w tym stylu, który podobno się wstrzykuje, chociaż prawdę mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć, słyszałaś o czymś, co nazywa się botoks?”

Chciałem się tego dowiedzieć, nawet jeżeli informacja była czysto anegdotyczna, tym sposobem mogłem też uniknąć odpowiedzi, ostatnie pytania zadała mi całkiem poważnie („A mówiąc poważnie”, powiedziała i tak właśnie, poważnie, to zabrzmiało), a ja nie zamierzałem jej wszystkiego opowiadać, nie tylko dlatego, że to była długa opowieść i moja



prywatna sprawa, lecz dlatego, że ta opowieść rozczarowałaby ją, a przede wszystkim gdyby ją poznała, już nie czułaby się zaintrygowana. Zauważyłem wcześniej, że była trochę zaintrygowana, bardziej zaintrygowana niż zaniepokojona, chociaż zaniepokojenie byłoby lepsze, bo przez kilka kolejnych dni mógłbym się pojawiać chwilami w jej myślach. Tak, wzbudziłem w niej zaciekawienie i niecierpliwość, co nie było moją intencją, gdy dzwoniłem, ale na to właśnie wyszło. I nagle zainteresowała się moim życiem jak za dawnych czasów. To trwało krótko, tylko minutę (zawsze jest coś więcej, co ma nadejść, zawsze jeszcze coś, minuta, włącznia, sekunda, gorączka i następna sekunda, sen i marzenie, i jeszcze trochę na taniec – włącznia, gorączka, mój ból i słowo, sen i marzenie, i jeszcze trochę więcej na ostatni taniec), zapragnęła dzielić ze mną moje poszukiwania albo to, co mi się przytrafia, nie wiedząc nawet, jakie to poszukiwania i jakie przypadki, jak dawniej. O ja biedny albo biedny ten ktoś, kim wówczas byłem, odczułem to jak zwycięstwo, mimo że trwało tak krótko. Albo jak chwilę chwały, prezent, frajdę, *vanto*. Ona na pewno zagości na kilka dni w moich myślach po tej rozmowie, nie będzie się w nich pojawiać tylko chwilami, zagości na stałe. Nie mogłem jednak wrócić do domu ani o tym myśleć, będzie zatem tych dni niewiele z konieczności i na szczęście. Potrwają do chwili, gdy ulotni się znowu odzyskana raz jeszcze świadomość, że Luisa nie zamierza mi jeszcze powiedzieć: „Przyjedź, wcześniej tak bardzo się myliłam. Zajmij znowu miejsce przy mym boku, tu masz swoją poduszkę, nie został na niej nawet ślad, wcześniej nie umiałam wyraźnie cię zobaczyć. Chodź. Chodź do mnie. Nie ma tu nikogo, wróć, duch już sobie poszedł, możesz zająć jego miejsce i wypędzić jego ciało. On obrócił się w nicość, jego czas już nie biegnie. Nigdy nie było tego, co było. Sądzę, że możesz zostać tu na zawsze”. Tak, i ta noc minie, a ona nadal mi tego nie powie.

Słowo „botoks” usłyszałem od De la Garzy, kiedy razem czekaliśmy na Tuprę w przestronnej toalecie dla niepełnosprawnych, gdzie Tupra kazał mi zabrać attaché, zaprowadzić go tam i poczekać, aż on do nas przyjdzie, gdy już zwróci żonę mężowi, kazał mi zabrać Rafitę do tego pustego pomieszczenia i tam go przytrzymać albo czymś zająć do chwili, kiedy do nas dołączy, wyraźnie sam teraz wolał przejąć nad wszystkim pieczę, pewnie ocenił, że w nagłych wypadkach jestem mało przytomny, powolny i kompletnie niepraktyczny, może też mało brawurowy. Wejście do trzech kolejnych toalet, jednej po drugiej, i wyjście z nich nie zajęło mi, jak sądzę, więcej niż pięć minut, ale to niewątpliwie było za długo dla kogoś, kto wykazywał się nieustępliwością wobec każdej przeszkody.

Wyszedłszy z damskiej toalety, przybliżyłem się do najbardziej zatłoczonego i frenetycznego parkietu tanecznego i wtedy ujrzałem Tuprę albo Reresby’ego, jak idzie od stolika w moim kierunku, torując sobie drogę między nocnymi markami – zręcznie wszystkich omijał, unikając pobrudzenia ich wyperfumowanym potem – musiał zostawić Manoię samego i z pewnością nie był z tego powodu zadowolony, bo musiał też przerwać swoje wywody albo roztaczanie propozycji, miał czujne spojrzenie, podobnie jak ja, kiedy nasze oczy się spotkały, zobaczyłem w jego wzroku błysk nagany zmieszanej z niezrozumieniem („Dlaczego jeszcze ich nie sprowadziłeś? Dlaczego ich nie znalazłeś? Prosiłem, żebyś się pospieszył”, mówiły jego źrenice czasami tak samo blade jak tęczęwki, a może mówił tak swymi gęstymi, połyskującymi rzęsami, które natychmiast stawały się jego dominującą cechą, gdy stał w miejscu raczej ciemnym niż jasnym?); nie było jednak czasu, żeby się nad tym rozwodzić, użyliśmy zatem teraz dwóch par oczu do szukania i to jego oczy pierwsze

ich wypatrzyły, Flavię i De la Garzę, zirytowany wskazał ich palcem jak ktoś, kto namierza cel lufą broni palnej.

Tańczyli szaleńczo na szybkim parkiecie, kwalifikowali się każde do oddzielnego egzorcysty, niektórzy ludzie patrzyli na nich wystraszeni, jak na nie pasujące tam elementy (ona ze względu na wiek, on, bo stwarzał zagrożenie), muzyka nie pozwalała na klasyczny taniec w parze, nawet na taniec blisko siebie, tak więc De la Garza nie był poddany torturze sztywnych stożków lub sterczących poziomo szpikulców do kruszenia lodu, co wcześniej już obaj wypróbowaliśmy, lecz – dlatego Tupra i ja poczuliśmy wielki niepokój i wkroczyliśmy do akcji bez zwłoki i bez ceregieli – chłostał niemal dosłownie panią Manoię, nie, chłostał ją dosłownie, a ona, co najdziwniejsze, nie wykazywała żadnych oznak bólu z powodu tych niezamierzonych smagnień – ja pomyślałem, że są niezamierzone, nie wiem, czy Tupra też – które ten wielki kutas wymierzał jej w tańcu, tak, trzeba być najwyższej rangi kutasem, żeby tańczyć w taki oszalały sposób, w małej odległości, robiąc obroty jak Travolta, raz zwrócony twarzą, raz plecami do partnerki, i kompletnie ignorować fakt, że pusta siatka na włosy, bez warkoczyka, bez kosmyków włosów w środku, bez obciążenia, które by ją przytrzymało albo powstrzymało, zmienia się przy szybkich i gwałtownych ruchach w bicz, w smycz, w bat pozbawiony wszelkiej kontroli: gdyby miała przyczepioną na końcu jakąś metalową ozdóbkę, byłaby po prostu jak *bolas* argentyńskiego gaucha albo knut okrutnego Kozaka, szczęśliwie De la Garza nie posunął się do tego, by ozdobić ją metalową skuwką, kuleczkami, dzwoneczkami, kolcami ani niczym takim, bo inaczej zrobiłby z Flavii siekaninę; a i tak wzdrygnąłem się na ten widok, bo pomysł ze skuwką mógł mu spokojnie przyjść do pustej głowy, byłby zupełnie naturalny w przypadku pacana jego kalibru: przebranego za czarnego rapera i napoleońskiego toreadora, i dziarskiego malarza Meléndeza z autoportretu tegoż w Luwrze, i za cygańską wróżkę

pobrzękującą obowiązkowym kolczykiem mającym się w uchu (za wszystkich naraz, istny chaos). Chętnie dałbym mu w mordę – to była w tamtej chwili moja jedyna myśl, szybka i prosta. Ilekroć robił obrót, przekłeta siatka smagała tę część Flavii, która była akurat na jej wysokość i w jej zasięgu, szczęśliwie najczęściej przelatowała ponad jej włosami, a może sztucznymi treskami, bo De la Garza był wyższy; ale i tak starczyło czasu, byśmy zobaczyli, jak przy dwóch okazjach, gdy attaché pochylił się trochę w oszalałym wirowaniu, siatka smagnęła panią Manoię po twarzy od ucha do ucha. Poczułem pieczenie na sam ten widok, dlatego trudno było pojąć, jak ona mogła na to nie reagować, nawet jeśli miała na sobie kilka warstw makijażu, które amortyzowały uderzenia; przemknęli mi przez myśl bardzo wytrzymali na ciosy bokserzy, którzy nawet nie mrugną, zaliczając pierwszą serię – prawdziwy grad ciosów – chociaż wszystko jest raczej kwestią tego, czy przeciwnik atakuje – a w końcu rozcina – kość policzkową, czy łuk brwiowy.

Nie czekaliśmy, aż skończy się ten wściekły kawałek. Natychmiast wdarliśmy się na parkiet, wprawnie i zdecydowanie chwyciliśmy oboje za ramiona (Tupra podszedł do Flavii, ja do tego kutasa, nie musieliśmy się nawet umawiać), zatrzymaliśmy ich w jednej chwili. Zobaczyliśmy konsternację na ich twarzach, zobaczyliśmy też – będąc już obok – że pani Manioia ma kreskę w poprzek policzka, ślad po uderzeniu powrozem, skórę przeciętą pejczem, nie krwawiła, ale ślad był wyraźny, jak zadrapanie, skojarzył mi się z pręgą, jaka długo pozostaje na szyjach wisielców w westernach (wisielców nie powieszonych na śmierć, poza tym bez przesady, jej zadrapanie szybko zniknie), gdy zobaczy to Manioia, na pewno mu się nie spodoba, z miny Tupry wywnioskowałem, że i on tak myśli, usłyszałem, jak strzelił językiem, ona nic wcześniej nie zauważyła, pewnie przez taneczne uniesienie, nie mogłem tego zrozumieć.

– Zaprowadzę ją do łazienki, zobaczymy, czy można temu zaradzić albo jakoś to zamaskować – powiedział do mnie, wskazując na zadrapanie. Potem zwrócił się do niej: – Zraniłaś się na twarzy, Flavio. – I przesunął palcem po własnym policzku. – Chodźmy do łazienki, poczekam na ciebie na zewnątrz. Przemyj to zadrapanie, może uda się przykryć je makijażem, co? Arturo się zaniepokoi, jak to zobaczy. Czeka na ciebie, chce, żebyś już wróciła. Boli? – Uniosła rękę do twarzy i pokręciła przecząco głową, sprawiała wrażenie zamyślanej, a może była tylko oszołomiona. Potem Tupra znowu zwrócił się do mnie, żeby wydać mi polecenie, mówił szybko, lecz spokojnie: – Jego zaprowadź do łazienki dla kalek i obaj macie tam na mnie czekać, zaraz przyjdę. Zobaczymy, czy uda nam się coś z tym zrobić, nie sądzę, żeby to było rozcięcie, i zaraz odprowadzę ją do męża. Przez ten czas ty przytrzymaj tego piździelca, potrzebuję pięciu minut, może siedmiu. Zatrzymaj go tam do mojego przyjścia. Trzeba tego kretyna zneutralizować, usadzić.

Najpierw nazwał go po angielsku „*cunt*”, a potem „*moron*”, pierwsze słowo znałem wówczas tylko w znaczeniu „*coño*”, czyli „pizda”, wulgarne określenie kobiecego narządu płciowego w mowie albo tylko w myślach, to inne znaczenie tamtego wieczoru wywnioskowałem i potwierdziłem później, sprawdzając w słowniku, oczywiście w słowniku angielskiego slangu. Nie różniło się szczególnie od określenia, jakim sam nazywałem go w myślach, „*capullo*”, czyli kutas, możliwe nawet, że „*cunt*” dokładnie temu określeniu odpowiada, a piździelec nie tak dokładnie, może być bardziej agresywne. Pomyśleć coś albo coś powiedzieć to nie to samo, co usłyszeć to z ust kogoś innego; w przypadku obelgi, która tobie samemu przyjdzie na myśl albo nawet rzucisz ją na głos, wiesz, w jakiej mierze jest na serio, czyli na ogół nie bardzo, wiesz, że ma ci tylko ulżyć i na ogół się nią nie przejmujesz ani nie przywiązujesz do niej wagi, bo wiesz, że niewiele znaczy; panujesz nad własną agresywnością, która ogólnie rzecz

biorąc, może być dosyć sztuczna, jeśli nie całkiem udawana: może być retoryczną przesadą, spektaklem odgrywanym przed samym sobą lub przed innymi, swego rodzaju fanfaronadą. Natomiast obelga wypowiedziana przez kogoś innego zawsze jest niepokojąca, zarówno wtedy, gdy skierowana jest do nas, jak i wtedy, gdy odnosi się do osób trzecich, ponieważ trudno ocenić jej prawdziwą intencję – intencję osoby, która obraża – stopień gniewu, urazy, realną możliwość użycia siły. Dlatego zaniepokoiłem się, słysząc takie słowa z ust Tupry, szczególnie że nigdy wcześniej nie słyszałem, by takich słów używał, a nie lubimy odkrywać u innych tego, co sami nosimy w sobie, naszych najgorszych potencjalnych możliwości, które w nas zdają się możliwe do przyjęcia (nie ma rady), chcemy wierzyć, że są lepsi mężczyźni i lepsze kobiety, chcielibyśmy, by istnieli ludzie bez skazy i żeby w dodatku byli naszymi przyjaciółmi, a przynajmniej żeby byli blisko, nigdy w konflikcie z nami, nigdy przeciw nam. Oczywiście nie używam często słowa *capullo* – by ograniczyć się do tego przykładu – a jednak tej nocy użyłem go w myślach już wiele razy, podobnie jak podczas przyjęcia u Wheelera i potem, gdy byliśmy sami. Ale nie wypowiedziałem tego słowa na głos, nie w jego obecności, bo czym innym jest pomyśleć sobie coś i zachować to dla siebie, myśleć o czymś usilnie i nie mówić o tym, a czym innym wyrzucić to z siebie przy świadkach albo wykrzyknąć osobie, do której jest adresowane, choćby tylko dlatego, że wówczas pozwalamy, by wypowiedziane słowa zostały do nas przypisane, żeby już zawsze były uważane za właśnie nasze albo wiarygodne w naszych ustach („Słyszałem cię, powiedziałeś tak, użyłeś wtedy takiego określenia”). To bowiem oznacza, że zdradzamy zbyt wiele, odkrywamy za dużo kart.

Uznałem polecenie za niemożliwe do wykonania i zapytałem o to Tuprę wprost:

– Jak mam go tam zaprowadzić? Pod jakim pretekstem? I po co? Jaki masz plan?

– Powiedz, że zrobisz mu laskę. – Reresby stracił cierpliwość, ale tylko na sekundę: zdumienie w moich oczach musiało być tak wielkie (i musiał przez nie przebijać gniew nieskrywany, natychmiastowy), że niewątpliwie odczytał to jako potencjalny sprzeciw, a nawet możliwą groźbę. Od razu więc dodał, przykrywając tym poprzednią grubiańską odzywkę (może tylko Reresby miał niewyparzoną gębę, nie Tupra, nie Ure ani Dundas, a może każdego wieczoru był tym, kim był, pod każdym względem i ze wszystkimi tego konsekwencjami): – Zapytaj, czy ma ochotę na działkę koki, towar pierwsza klasa. Poczeka na pewno, z wilgotnym nosem. Nie będzie miał nic przeciwko.

– Skąd wiesz? – zapytałem. Potem pomyślałem, że to w przypadku Tupry pytanie bezprzedmiotowe albo takie, na które odpowiedź byłaby zbyteczna. On głównie zajmował się tym, żeby wiedzieć, przynajmniej takie miałem o tym wyobrażenie, w dodatku żeby wiedzieć z wyprzedzeniem, rozpoznać przyszłe twarze; w odróżnieniu ode mnie, Mulryana i Rendela, może również w odróżnieniu od Jane Treves i sporadycznie od Branshawa (co do Pérez Nuix miałem wątpliwości), nie potrzebował, żeby ktoś nim pokierował, wskazał mu drogę prowadzącą do potrzebnej wiedzy. To on kierował nami, decydował, jakie cechy osób nas interesują bądź dotyczą i przepytывał nas w tak zdefiniowanym zakresie, na przykład czy piosenkarz Dick Dearlove był zdolny zabić, a jeśli tak, to w jakich okolicznościach, albo czy jakiś nieznany nam z nazwiska człowiek miał zamiar zwrócić kredyt, różne rzeczy przy różnych okazjach. Nigdy mnie nie zapytał, czy uważam, że De la Garza mógłby być entuzjastą koki lub kleju, lub opium, prawdę mówiąc, nie przypominałem sobie, żeby kiedyś w ogóle mnie o niego zapytał. Tak więc dopiero teraz zacząłem to rozważać. Jak się dobrze zastanowić, to było całkiem możliwe, że De la Garza miał skłonność

do wszystkich tych substancji: był taki chętny, taki arogancki i lekkomyślny, a także bardzo pobudliwy.

– Po prostu mu to powiedz, sam zobaczysz – odpowiedział Tupra, podając delikatnie ramię pani Manoi i ruszając z nią w kierunku damskiej toalety. Na pewno będzie kolejka. – Widzimy się za siedem minut, mniej więcej. Przyjdę do was. Zajmij go czymś do tego czasu. – I palcem jak krótka lufa wskazał na drzwi z wymalowanym na nich hakiem, na taki widok trudno nie przypomnieć sobie Piotrusia Pana.

Powiedziałem to Raficie, który podobnie jak Flavia pozostawał w chwilowym oszołomieniu. Moje słowa sprawiły, że wrócił do siebie, odżył; wykazał zainteresowanie, a raczej niejaką gorliwość.

– Dobra, chodźmy – rzekł od razu i tam też poszliśmy, wchodząc drzwiami z namalowanym hakiem. Gdy już byliśmy w toalecie dla inwalidów, tak samo wyludnionej jak wcześniej, De la Garza nie mógł ukryć niecierpliwości wobec obiecanej perspektywy, myślał pewnie, że kokaina go trochę otrzeźwi, bo tymczasem zaczął już odczuwać lekkie mdłości, na szczęście nie duże, nie na tyle, żeby zwymiotować, ale podczas krótkiej drogi, na której było wiele ludzkich przeszkód, nogi mu się trochę plątały, złożyłem to po części na karb szaleńczego tańca i oczywiście związanej z nim zadyszki, potem zauważyłem, że miał rozwiązane sznurowadła, w obu butach, mógł wcześniej wywinąć niezłego orła i runąć jak długi na parkiet, falująca tam horda zdeptałaby go na śmierć, a my bylibyśmy sobie zaoszczędzili kilku nieprzyjemnych chwil. – Ty jej nie masz, tak? – chciał się dowiedzieć.

– Nie, ma ją pan Reresby – odpowiedziałem i wtedy przyszło mi do głowy, że równie dobrze Reresby mógł ją mieć, jak i jej nie mieć: ktoś taki jak on mógł z łatwością dysponować kokainą, możliwość częstowania kokainą bywa bardzo użyteczna w naszych czasach, a on umiał poruszać się po każdym terenie. – Powiedział, że zaraz przyjdzie. Chciał sprawdzić, czy



da się coś poradzić na tę szramę, którą sprokurowałeś naszej kiciuni tymi sznurkami, co ci sterczą z głowy, tą swoją pieprzoną kobiałką. – W tej sytuacji nie miałem żadnych zahamowań, żeby dać mu ochrzan, poza tym za granicą człowiek zaczyna traktować rodaków poufale szybko i bez podstaw, ze złym, a najczęściej fatalnym skutkiem, jedyna dobra strona tej sytuacji jest taka, że gdy trzeba, można szybko przejść do sedna. De la Garza sprawiał mi zbyt dużo kłopotów, co gorsza takich, których można było uniknąć. Dostosowałem się natychmiast do zwyczajowej dla niego podróbki slangu (sam nigdy nie użyłbym słowa „kiciunia”), to równało się gigantycznemu skokowi w spoufalaniu się. – Jak można włożyć na głowę coś tak kretyńskiego, a potem smagać tym po twarzy partnerkę w tańcu, przekonasz się, co powie mąż, jak zobaczy u niej tę pręgę. – „*Uno sfregio*”, przerażony przypomniałem sobie nagle słowo, o które mnie pytał; oddamy mu ją z rodzajem *sfregio*, jeśli dobrze zrozumiałem wtedy jego gest, przesunął paznokciem kciuka po policzku; mogą być kłopoty, to mu się ani trochę nie spodoba, chociaż jeszcze gorsze byłoby zadrapanie na *bazza*, czyli brodzie, zamiast tego na *guancia*, czyli policzku, Manolia mógłby to odczytać jako aluzję, drwinę, moją zemstę za jego złe maniery, aczkolwiek biedna Flavia wcale nie miała wysuniętego podbródka, a więc nie miała *bazza* w ścisłym znaczeniu. – Niech cię przenajświętszy chuj strzeli, De la Garza. Uprzedzałem cię przecież, że gostek ma wpływy w Watykanie, co ja mówię, w całych Włoszech łącznie z Sycylią. – Sam siebie zdziwiłem, że użyłem takiego wyrażenia („przenajświętszy chuj”), tak niezwykłego w moich ustach, musiało mi się skojarzyć z Watykanem, gdzie z pewnością jest dużo świętych, myślę, że co najmniej jeden w każdym pokoju. – Poza tym jest piekielnie porywczy, kurewsko szybko diabli go biorą – nadal wyraźnie miałem skojarzenia, dryfowałem też w stronę języka, mieszaniny górnolotności i chamstwa, jakiego używał ten odrażający wyperfumowany prostak – mam nadzieję, że pan Reresby zdoła mu jakoś wytłumaczyć, że to

nie było zamierzone, że nie zdawałeś sobie sprawy. Nie zrobiłeś tego umyślnie, prawda, Rafita? – Wcześniej nigdy, jak sądzę, nie zwróciłem się do niego tak bezpośrednio; miałem w rzeczy samej wrażenie, że zdrobnienie to usłyszałem z ust Petera po tym, jak attaché, nie przeleciawszy nikogo i z pustymi rękami, opuścił jego dom tamtego wieczoru, by usiąść za kierownicą samochodu i roztrzaskać się na drodze razem z burmistrzem i burmistrzową miasta Thame albo Bicester, albo Bloxham, albo Wroxton (ale los nie był łaskawy).

– Jasne, że nie naumyślnie, a co myślisz? Że chcę zostać z fiutem na wierzchu? Żeby szybkie rżnięcie przeszło mi koło nosa? Mam nadzieję, że nie spierdoliliście mi tej okazji na amen, wybiliście mnie z rytmu i całą korridę szlag trafił, jesteście głupie pojeby. Byłem już nieźle napalony. – Tak właśnie powiedział: „z fiutem na wierzchu”, „szybkie rżnięcie”, „korridę szlag trafił”, „wybiliście mnie z rytmu” i „głupie pojeby”, miał prawdziwy talent do tego, by wulgarność zaprawiać biadoleniem, ta nieszczęsna mieszanka jest bardzo typowa dla dzisiejszej hiszpańszczyzny, upodobali ją sobie pisarze, łącznie z wieloma młodymi przygnębiająco staroświeckimi, cuchnącymi stęchlizną, okazuje się, że łatwo przejąć godne pogardy tradycje, trzymają się bardzo mocno. Nie byłem gotów posunąć się tak daleko, dostosować się do tej mody: naśladowanie jego pretensjonalności byłoby jednym ustępstwem za dużo.

– Jakie rżnięcie, co ty gadasz? Masz obsesję na punkcie swojego fiuta, De la Garza. O rżnięciu zapomnij, dobra? Wszystko ci jedno, kto się nawinie. Ona mogłaby być twoją ciotką i mąż jej pilnuje, ostrzegałem cię. Dlaczego po prostu nie pójdziesz na dziwki, przecież cię na to stać. Jej to w ogóle nie przyszło do głowy. A w dodatku smagasz kobietę po twarzy tą kretyńską siatką. Nawet się z tobą nie pożegna.

– Ba! – prychnął lekceważąco – to było niechcący, muszę zdjąć ten grzebień, nie nadaje się do tańca, trochę zawadza. – Przeciągnął z góry na

dół dłonią po siatce, jakby wyżywał mokrą szmatę. – Ona, chłopie, nic a nic nie poczuła, twarz ma przecież napompowaną botoksem. I sam nie wiesz, co mówisz, była już gotowa, tylko brać. Jeszcze troszeczkę bym ją podprowadził i do dzieła: ostateczne pchnięcie, szpada wchodzi po rękojeść, po same kolanka. Uszy i ogon dla mnie, a reszta gównu mnie obchodzi. – Zamarkował ruch matadora wbijającego szpadę w byka. Zaczynał pleść niedorzeczności jedną po drugiej, znak, że dochodził do siebie. Zastanawiałem się, co według niego znaczyły „kolanka”, ale nie zamierzałem go o to pytać.

– Botoks? – wtedy po raz pierwszy usłyszałem ten neologizm. – Co to takiego? A skąd się wzięło to słowo? Botoks. – Powtórzyłem, żeby się przyzwyczaić, zazwyczaj powtarza się nieznane słowa. De la Garza nazwał „*peineta*” zwisające mu z głowy sznurki, w życiu nie widział ozdobnego grzebienia wpinanego we włosy przez tancerki flamenco. Biorąc to pod uwagę oraz jego tajemnicze kolanka, nie należało się spodziewać, by przedstawił mi etymologię nowego słowa. Stale nawiązywał do korridy, gestem i całą resztą, a to z pewnością było typowe dla naszych domorosłych faszystów w potocznym znaczeniu tego słowa albo faszystów przez analogię. Nie gest sam w sobie, rzecz jasna (nawet ja umiem go odegrać, tak samo jak ruchy kapą trzymaną obiema rękami albo tylko prawą ręką; ma się rozumieć, bez świadków), lecz pełne buty porównywanie (tak to nazwijmy) uwodzenia kobiety do walki z bykiem na arenie, przed publicznością. Możliwe, że ostatecznie był jednak w duchu faszystą przez analogię.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? – rzucił tonem infantylnego szyderstwa, jakby moja niewiedza dowodziła jego światowości (wcale mu jej nie odmawiałem, obytych w świecie kretynów można liczyć na pęczki i stale ich przybywa) i zadowolenia w szykownym świecie, który tak mu imponował (jak dla mnie, powinien tam zostać do końca swoich dni, nie

zamierzałem z nim rywalizować ani nawet zapuszczać się na ten teren). – Chcesz powiedzieć, że nie wiesz – powtórzył. Możliwość objaśnienia mnie w jakiejś sprawie, tak to nazwijmy, wprawiała go w zachwyty. – Baby z kasą wstrzykują go sobie bez opamiętania, niektórzy faceci też. Twój kolega na pewno, nie szukając daleko, na mój nos ma tym napakowane policzki, brodę, czoło i skronie, tam gdzie robią się kurze łapki. Ten cały Reresby ma skórę podejrzenie napiętą i bez zmarszczek, pewnie co kilka miesięcy bierze zastrzyki, a Włoszka co kilka tygodni, jeżeli jej pozwalają tak często.

Tupra, jak na możliwy w jego przypadku wiek, miał istotnie niepokojąco świetlistą i gładką skórę w pięknym złocistym kolorze piwa, czasami nawet brzoskwińową, nigdy jednak nie odniosłem wrażenia, żeby zawdzięczał ją jakiejś sztuczce albo terapii, a może nie przychodziło mi do głowy, że mężczyźni mogą się uciekać do podobnych metod, przynajmniej jeszcze nie wtedy. Kto to jednak wie. Stawałem się coraz bardziej zacofany pod pewnymi względami: nie wiedziałem na przykład o istnieniu tego botoksu, a pewno i innych specyfików. To znaczy nadal niewiele o tym wiedziałem, bo Rafita nie był najlepszą osobą, żeby to wyjaśnić.

– Zastrzyki podskórne? Chcesz powiedzieć, że podają to w formie prawdziwych zastrzyków, z igłą i tak dalej? Co to jest? Pewnie jakaś substancja płynna. Przeciw zmarszczkom. – Ostatnie zdanie było stwierdzeniem również po to, żeby się przyzwyczaić do tej informacji. Było dla mnie nie do pojęcia, żeby wbijać sobie igłę w czoło albo w brodę (w skroń zupełnie nie do uwierzenia), jeżeli nie nakazuje tego jakaś pilna konieczność, a poza tym to słowo... Jeżeli mam instynktowne wyczucie czegoś, to języków i pochodzenia słów, przypuszczam, że czujność i dedukcja weszła mi w krew, kiedy wykładałem w Oksfordzie i studenci (na ogół kierujący się wrogimi zamiarami, namolni) bezustannie nagabywali mnie o pochodzenie najbardziej niezwykłych słów, często musiałem improwizować, wymyślać coś na poczekaniu, bo jak w trakcie

zajęć odpowiedzieć na pytanie o pochodzenie słowa „*papirotazo*” czy „*moflete*” albo jaki jest źródłosłów słów takich, jak „*coscorrón*”, „*esgrima*” albo „*vericuetto*”. Teraz nie mogłem uwolnić się od podejrzenia, że botoks jest zbitką (kojącą i mylącą, nie mówiąc o tym, że wygodną i praktyczną) od angielskiej nazwy „*botulin toxin*”, czyli groźnej i budzącej strach toksyny botulinowej, jadu kiełbasianego, który jak opowiedział mi Wheeler, SOE sprowadził specjalnie z Ameryki w czasie wojny, żeby wysmarować nim naboje użyte w zamachu na Heydricha w 1942 roku w Pradze i który ostatecznie spowodował jego śmierć mimo długiej walki: Heydrich nie chciał się poddać. Botoks, pomyślałem, na pewno o to chodzi, zachodzi zbyt duża zbieżność. A jeżeli istotnie tak, to wstrzykiwanie sobie trucizny, żeby się nie starzeć, a właściwie żeby nie wyglądać staro, jest przecież czystym szaleństwem, pewnie podają to w minimalnych, precyzyjnie dobranych dawkach. A *practicante* łatwo przecież może się pomylić przy odmierzaniu dawki. To słowo „*practicante*” brzmi dziś tak staroświecko, a było w normalnym użyciu za mojego dzieciństwa. – Mam nadzieję, że botoks nie jest tym samym co toksyna botulinowa? – zwróciłem się do De la Garzy. Na widok bezrozumnej ignorancji na jego twarzy już wiedziałem, że nie ma pojęcia, jednakże idiotyzm jego odpowiedzi zaskoczył mnie do tego stopnia, że zacząłem się zastanawiać, czy się wygłupia, czy też stan lekkiego zamroczenia alkoholowego i wcześniejsze wygibasy przy piekielnej muzyce rzuciły mu się dodatkowo na głowę. Mimo wszystko nie był aż takim osłem, żeby podobna pomyłka zdarzyła mu się nieumyślnie.

– To, chłopie, nie ma nic wspólnego z bulimią – odpowiedział mi matoł jeden – ani z bulimią, ani z anoreksją. – Oparł się jedną ręką na tych dziwnych cylindrycznych uchwytach zamontowanych w przestronnej, czystej toalecie; na swoje szczęście wybrał taki przytwierdzony na stałe: bez wątplenia pomogło mu to ustać na nogach w trakcie oczekiwania na obiecaną działkę.

– Nie bulimia, człowieku, botulina. Od botulizmu, zatrucia jadem kiełbasianym. – Nadal gapił się na mnie z tępym wyrazem twarzy. – Botulizm to choroba wywołana zjedzeniem pokarmu z toksyną albo źle zrobionych konserw, nie słyszałeś nigdy o jadzie kiełbasianym? – Pochodzenie słowa „botulizm” akurat znałem, więc zdecydowałem się pochwalić, nie twierdząc, że nie z ochoty rewanżu za jego wcześniejsze mądrzenie się. – Toksyna może być w mięsie, rybie, możliwe, że i w owocach, nie wiem dokładnie, ale przede wszystkim w wędlinach, stąd wzięła się jej nazwa: „*botulus*” znaczy po łacinie kiełbasa albo kaszanka.

– Ni chuja nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, więc mnie nie pytaj, co to jest ani skąd to biorą. Na moje oko żadne kiełbasy ani kiszki nie mają tu nic do rzeczy. Chodzi o taką substancję, którą sobie wstrzykują, i jak słyszałem, ta substancja poraża im nerwy, tak że ledwie mogą się skrzywić, i wtedy, dopóki to działa, tych zmarszczek im nie widać ani nie robi im się żadna nowa, to znaczy w miejscu, gdzie sobie to wstrzykną, jasna sprawa. No ale tak właśnie jest, znam kilka kobit, co sobie to zrobiły, znaczy jak któraś ma czoło pomarszczone jak stary pergamin, to sobie robi jeden zastrzyk z boku twarzy i już ma czoło gładkie jak z marmuru, jak posąg. Albo jak z policzków zrobił się takiej akordeon, to przyjmuje jedną dawkę na porażenie i już ma policzki jak nowe. Wic polega na tym, że jak ci porazi nerwy, to cała okolica jest bez czucia, dlatego ta Włoszka nawet nie zauważyła, że dostawała siatkę – pogładził siatkę, jakby to była grzywka – wszystkie mają też dziwaczny, trochę ogłupiały wyraz twarzy. Kompletnie siada im mimika i niby mają młodzieńczą jędrną skórę, ale twarz jest sztywna jak u lalki, wyglądają, jakby były trochę głupie, szurnięte. Widziałeś może tę aktorkę, była żoną tego gostka, co się teraz chajtnął z inną naszą aktorką, wyleciało mi, kurde, z głowy, jak ona się nazywa, wiesz, tę, co z twarzy wygląda na bardzo wysoką, zrobiły jej się takie nieruchome i jakby spiczaste oczy, założę się, że to przez botoks. Nie

myślisz, że ma taki wyraz twarzy, jakby była lekko szurnięta? Pewnie wstrzykuje to sobie litrami w policzki i koło oczu, wygląda, jakby tych oczu nie mogła zamknąć, może śpi z otwartymi. Zupełnie tak samo, kurde, jak ta Flavia. Z którejkolwiek strony na nią spojrzysz, wygląda jak jakiś chochlik.

Stał tam i zabawiał mnie absurdalną rozmową, kontrolując na pozór stan lekkiego wstawienia, ubrany w coś, co w jego zamierzeniu miało być fantastycznym i nowoczesnym strojem, a w rzeczywistości było komiczne, wyglądał jak jeden wielki bohomaz, jak postać z jakiejś farsy, wcześniej zapowiedział, że zdejmie z głowy siatkę, lecz nie wykonał ruchu w tym kierunku, i jeszcze ta gigantyczna marynarka i rozwiązane sznurowadła. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu i poczułem cień współczucia. De la Garza był pod każdym względem nie do wytrzymania, istne skaranie boskie, w dodatku żenada; ale nie był antypatyczny, bo ludzie w jego stylu na ogół nie są antypatyczni, wielu takich widywałem od najmłodszych lat, sprawiają wrażenie wesołych, nawet serdecznych, są chamscy i nieprzyzwoici, bo zawsze myślą tylko o jednym, widać to nawet wtedy, gdy prawią miłe słówka albo są usłużni; ale w głębi ducha nie znoszą, gdy ktoś ich nie lubi, nawet ci, których sami nie cierpią, starają się, żeby lubili ich nawet ludzie, którym wyrządzili krzywdę, i na ogół są przekonani, że to im się udaje, nie mają pojęcia, jak bardzo działają innym na nerwy, nie potrafią spostrzec, że zawadzają swoją obecnością, są nazbyt zarozumiali, żeby to pojąć, żyją w ciągłym zadufaniu, nie chwytają żadnej subtelnej aluzji pod swoim adresem ani też aluzji otwartej i brutalnej, a wszystko to znaczy, że uwolnić się od nich jest bardzo trudno. A przecież ten akordeon i te spiczaste oczy gwiazdy filmowej, i ta przypominająca chochlika twarz pani Manoi (to prawda, jej rysy, jakkolwiek miłe, miały w sobie coś ostrego, jakiś patos), wszystko to wydało mi się zabawne i kazało pomyśleć, że w jego głupocie zdarzają się szczeliny. Trudno o osobę, której nigdy nie zdarza się powiedzieć nic celnego – albo która nie ma jakiejś jej

tylko właściwej cechy – ludziom zawsze przychodzą do głowy zabawne obrazy, wyrażenia albo porównania, w najlepszym i najprzyjemniejszym znaczeniu tych słów, i one wywołują uśmiech lub wybuch śmiechu, nawet jeśli są nietrafione albo grubiańskie, albo niestosowne, mało co jest tak komiczne jak potknięcia i gafy, nawet jeżeli samemu pada się ich ofiarą. Może dlatego wszyscy tyle mówią i tak trudno zachować milczenie, bo w każdej niemal wypowiedzi pojawia się coś zabawnego, nie tylko milczenie jest ratunkiem, niekiedy wprost przeciwnie, i w gruncie rzeczy takie jest powszechne przekonanie, to scheda po „Baśniach z tysiąca i jednej nocy”, przejęta w spadku wiara w to, że nie można pozwolić innym dojść do głosu ani zakończyć opowieści, trzeba gadać bez końca i nigdy nie ustawać, nawet nie po to, żeby opowiedzieć jakąś anegdotę, kogoś do czegoś przekonać lub zasiać niezgodę, to często w ogóle nie jest potrzebne, wystarczy zadbać, by ucho drugiego człowieka było czymś zajęte, jakbyśmy wypełniali je muzyką albo kołysali śpiewem do snu, i tym sposobem nie pozwolić mu odejść. I to może wystarczyć, żeby się uratować.



Nagle poczułem ochotę, żeby jeszcze go posłuchać, posłuchać De la Garzy, więcej paplaniny i nonsensów, i zabawnych porównań (możliwe, że brakowało mi hiszpańskiego bardziej, niż myślałem), mimo że zawsze ujawniał się jego patriotyzm niczym jakieś piętno i niezamierzenie: „z naszą aktorką”, powiedział wcześniej – to przerażające poczucie przynależności. Zastanowiłem się, czy nie budził we mnie podobnych uczuć, jakie ja (zachowując wszelkie proporcje) budziłem w Tuprze: bawiłem Tuprę, czuł się bardzo dobrze podczas naszych wspólnych sesji snucia domysłów i przeprowadzania analiz, podczas naszych rozmów, a może tylko słuchając tego, co mówię („Co jeszcze”, domagał się. „Co jeszcze przychodzi ci do głowy. Powiedz mi, co myślisz i co jeszcze widziałeś”), może brzmiał mu sympatycznie kanadyjski akcent, który mi przypisał tego wieczoru, kiedyśmy się poznali, a właściwie akcent z Kolumbii Brytyjskiej, on zdążył być już wszędzie. Wszystko jest kwestią dostrzeżenia w ludziach ich dowcipnej strony, nawet w kimś, kto cię wyprowadza z równowagi, to też jest możliwe, ale niebezpieczne, to dostrzeżenie u kogoś, kogo się szczerze nie znosi, odrobiny poczucia humoru, o jakie się go wcześniej nie podejrzewało (reakcją większości ludzi – a raczej podejmowanym przez większość środkiem ostrożności – jest nieprzyjmowanie do wiadomości tego spostrzeżenia, udawanie, że jest się ślepym). Tupra bez wątpienia dostrzegał u mnie poczucie humoru, i to niemal od początku; to, że ja odkryłem odrobinę takiego poczucia humoru u Rafity po dwóch wywołujących we mnie furję spotkaniach, było zaskakujące i dużo dziwniejsze, mogło być zatem złudzeniem, które nie potrwa długo.

Co się tyczy botoksu, to zgodnie z tym, co podejrzewałem, musiał być toksyną botulinową, czyli jadem kiełbasianym, bo ta substancja istotnie powoduje paraliż mięśni, atakuje system nerwowy, potem człowiek nie może mówić ani przełykać (ach, choroba likwidująca mówienie), a w końcu nawet oddychać i wreszcie dusi się na śmierć, pamiętałem przestrogi rodzinne na ten temat z czasów mego dzieciństwa, kiedy obawiano się jeszcze każdego wybrzuszenia puszki albo że po otwarciu wydobędą się z niej gazy, albo najłżejszego niewłaściwego zapaszku, jaki wydzielala puszka jeszcze nie otwarta, konserwy nie były już wtedy żadną nowością, ale nie były też bardzo rozpowszechnione, babki miały do nich stosunek podejrzliwy, matki już nie, bądź tylko trochę pod wpływem swoich matek; nigdy w życiu nie słyszałem o nikim, kto zatrąby się jadem kiełbasianym w Hiszpanii (może na jakiejś zapadłej wsi), utkwilo mi wszakże w pamięci jedno zdanie oddające powszechne wówczas obawy, nigdy nie zaciera się w pamięci coś, co wywarło na nas wielkie wrażenie w dzieciństwie, zdanie wypowiedziane, jak sądzę, przez moją babkę ze strony matki, coś, co robi wrażenie na dziecku, pozostaje w pamięci dorosłego na zawsze, po kres jego dni, takie przestrogi przyjmowaliśmy wtedy bardzo dosłownie, byliśmy przerażeni z powodu, jak mówiono, natychmiastowego działania trucizny, olśnieni magią czegoś piorunującego i ostatecznego, co pozwalało snuć nieskończone fantazje z obu pozycji, ofiary i zabójcy: „Pod żadnym pozorem nie wolno wam kosztować zawartości podejrzanej puszki albo konserwy, a większość jest podejrzana”, usłyszeliśmy wszyscy czworo, jak babka zwraca się tymi słowy do służących, „bo jeśli trafi wam się zepsuta, to ma w sobie tak silną truciznę, że czasem wystarczy dotknąć jej tylko koniuszkiem języka, żeby zabiła”.

Wyobrażaliśmy sobie coś tak zwykłego i banalnego jak łyżka, której brzeg albo czubek podnosi do ust kobieta mieszająca strawę, żeby sprawdzić, czy nie trzeba więcej soli, czy potrawa nie jest za zimna, a może

za gorąca, wszystko to robi spokojnie, podśpiewuje coś lub nuci półgłosem, lub nawet pogwizduje (choć wtedy gwizdali tylko mężczyźni albo dziewczyny takie młode, że właściwie były jeszcze dziećmi), może nie patrzy do garnka czy do rondla, wygląda przez okno i zerka na podwórze, gdzie inne panie albo służące wychylają się z okien i trzepią chodniki bądź przypinają szczypankami (zawsze co najmniej jedna w zębach) pranie na sznurku, bądź w głębi mieszkania leniwie ścierają kurze miotełką z piór, bądź stojąc na taborecie, wykręcają przepaloną żarówkę z lampy pod sufitem. Słyszac taką przestrożę, skierowaną również do nas na przyszłość („Lepiej w ogóle nie dotykać podejrzanej zawartości. Dopiero po przegotowaniu”), wyobrażaliśmy sobie tę zatrutą łyżkę, jak dotyka języka albo warg kobiety, która pada bez życia na kuchenną podłogę niczym rażona piorunem lub zastrzelona, gdy tymczasem potrawa nadal się pichci, i baliśmy się o matkę, kiedy to ona gotowała, bo słyszac słowo „śmiertelny”, nigdy nie braliśmy pod uwagę, że mogłoby chodzić o coś odsuniętego w czasie albo powolnego, niezauważalnego zrazu i o skutkach ujawniających się trochę później, byliśmy przekonani, że to rodzaj jakiegoś spektakularnego, zabójczego wyładowania elektrycznego, jakiś błysk, dzieci postrzegają tylko to, co niezwłoczne, co następuje bardzo szybko, jeżeli ma skutek śmiertelny, to musi być już, teraz, nigdy w dłuższej lub średniej perspektywie, musi być jak uderzenie łapą tygrysa lub cięcie rapierem w twarz albo jak strzała posłana przez Maura w nasze serce, bawiliśmy się w takie fantazjowanie, jeżeli jakieś niebezpieczeństwo nie było natychmiastowe, nie było prawdziwym niebezpieczeństwem, „Długo przyjdzie mi czekać”, taką dewizą kieruje się dziecko, gdy coś nie przychodzi od razu albo nie zdarza się dziś ani nawet jutro, bo jutro jest po prostu przedłużeniem dnia dzisiejszego; u dziecka oczywiście nie ma ironii ani nie używa ono tych akurat słów, używa innych, bardziej dziecinnych, żeby powiedzieć: „To nie zdarzy się tak szybko”, najczęściej jest to

powtarzane wiele razy pytanie o coś, na co trzeba czekać albo co się opóźnia: „Dużo jeszcze zostało?”, „Kiedy będzie lato?”, „Dużo jeszcze do Gwiazdki?”, „A do moich urodzin?”, „Dużo jeszcze do filmu?”, „Kiedy będzie jutro?”, a pięć sekund potem z niecierpliwością, która neguje albo połyka czas: „Jest już jutro?”. „Nie, kochanie, jeszcze nie jest jutro, ciągle jest dziś i jeszcze trochę potrwa”. „A dużo jeszcze zostało, zanim wrócę do domu do Madrytu i do dzieci, zanim wrócę do Luisy?” Albo pytanie, które staje się częstsze w dorosłym wieku, pytanie, którym się zadęrczamy, chociaż ono nie przybiera nigdy tak wyraźnej formy: „A śmierć? Dużo mi jeszcze zostało do śmierci?”.

Dlatego dwa dni po tamtym wieczorze z państwem Manóia, Reresbym i z De la Garzą zapytałem Luisę, zanim zirytowana odłożyła słuchawkę, zapytałem ją o botoks, Luisa mogła coś wiedzieć, miała mnóstwo koleżanek i znajomych, niektóre z nich to były baby z kasą, jak wyraził się attaché, aczkolwiek wydawało mi się niewiarygodne i przewrotne, że roztwór albo dawka wzbudzającej kiedyś takie przerażenie trucizny, używanej do zatruwania kul przeznaczonych dla tych nielicznych nazistowskich oprawców, których spróbowano wyeliminować, mogła być teraz stosowana z korzyścią dla ludzi zamożnych, żeby dogodzić ich kaprysowi i potrzebie luksusu, żeby opóźnić pojawianie się zmarszczek bądź na kilka miesięcy je usunąć przy wykorzystaniu tego samego mechanizmu paraliżu mięśni albo znieczulenia i uszkodzenia nerwów – obu tych rzeczy lub jednej jako konsekwencji drugiej, w zależności od życzenia – mechanizmu, który w dawnych czasach powodował zawroty głowy i narastającą niemożność poruszania się, i brak koordynacji, i podwójne widzenie, i ciężkie zaburzenia pracy jelit, a potem afazję i duszność, i paraliż wszystkiego, a na koniec śmierć. Tak, wszystko jest nieznośnie śmieszne i subiektywne i stronnicze, bo wszystko zawiera swoje własne przeciwieństwo, chwila i miejsce, i stopień toksyczności, i dawka całkowicie warunkują to, czy

mamy do czynienia z chorobą, czy ze szczepionką, czy dochodzi do śmierci, czy do upiększenia, podobnie jak każda miłość zawiera znużenie, każde pożądanie przesyt i każde pragnienie nieśmiałość, tak więc te same osoby w tej samej sytuacji i w tym samym miejscu raz się kochają, a innym razem się nienawidzą, w różnych momentach, dzisiaj, jutro; co było długotrwałym zwyczajem, staje się powoli lub nagle – wszystko jedno, to najmniej ważne – niedopuszczalne i nie do przyjęcia, zwykła bliskość, dotyk, wcześniej traktowany jako coś oczywistego, zmienia się w zuchwałość lub zniewagę; co kiedyś jednemu podobało się w drugim i sprawiało mu przyjemność, teraz jest nienawistne, wstrętne, przekłete i udęczające, słowa upragnione wczoraj dziś zatrąłyby powietrze, przyprawiły o mdłości i pod żadnym pozorem nie chce się ich słyszeć, a tym wypowiedzianym wcześniej po tysiącokroć odbiera się ich znaczenie (wymazuje się je, kasuje, odwołuje, udaje, że nigdy nie zostały powiedziane, do tego dąży świat, rozmyślnie czy bezwiednie, świadomie albo nie). I nawet chcąc zadzwonić do domu, musisz mieć jakąś konkretną sprawę.

„Słyszałaś kiedyś o kosmetyku, rodzaju sztucznego wypełniacza albo czymś w tym stylu, który podobno się wstrzykuje, chociaż prawdę mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć, o czymś, co nazywa się botoks?” Tym pytaniem zadany w ostatniej niemal chwili chciałem także odwrócić jej uwagę albo stłumić kiełkującą oschłość, jej nagłą powagę po wcześniejszym śmiechu, jej irytację wywołaną moimi poprzednimi zbyt natarczywymi pytaniami o brak majtek i o plamę krwi, która mogła mi się tylko przyśnić albo której, wytarłszy ją świadomie i do końca, nawet jej przyschnięty już obrys, mogłem powiedzieć w myślach to, co mówi się tylu zdarzeniom i przedmiotom, i tylu zmarłym, choć może nikt nawet nie zadaje sobie trudu, żeby to powiedzieć: „Skoro nie ma po tobie śladu, nie miałaś miejsca, nie zdarzyłaś się. Nie przemierzyłaś świata ani nie

postawiłaś stopy na ziemi, nie istniałaś. Nie widzę cię, więc nigdy cię nie widziałem. Skoro już cię nie ma, nigdy cię nie było”. Możliwe, że to samo mówiła do mnie w myślach Luisa, gdy była sama albo gdy spała; chociaż od czasu do czasu ze mną rozmawiała i chociaż był przecież trwały ślad w postaci naszych dzieci, a ja jeszcze nie umarłem. Przebywałem tylko „*in another country*”, wygnany z jej czasu, z czasu, który obejmuje i zawłaszcza dzieci i różni się już bardzo od mojego, przebywam poza jej czasem, który biegnie teraz beze mnie, nie uczestniczę w nim ani nawet nie jestem jego świadkiem i sam dobrze nie wiem, co mam zrobić ze swoim czasem, który także biegnie beze mnie, albo jeszcze nie wiem, jak się do niego dostać (może już nigdy go nie dogonię), a w nim przecież toczy się to równoległe lub teoretyczne życie w Anglii, które nie będzie się liczyło, jak już się skończy i zostanie zamknięte niczym nawias, temu życiu też będzie można wówczas powiedzieć: „Już nie biegiesz. Jesteś zastygłym obrazem albo zastygłym wspomnieniem, albo zakończonym snem, już cię nawet nie widzę z tej niesprzyjającej odległości. Już cię nie ma, więc nigdy cię nie było”.

Luisa nie od razu mi odpowiedziała, pozostała milcząca, jakby potraktowała tę drugą prośbę o informację jak coś, czym tylko w minimalnym stopniu była dla mnie (manewrem odwracającym uwagę, sposobem na uniknięcie odpowiedzi na jej poważne pytanie), albo jakby wydało jej się, że do mnie nie pasuje, tak jak i pierwsza, jakby zatem przyprawiła ją o jeszcze większe zdumienie lub bardziej zaintrygowała.

„Botoks? Taaak”, odezwała się po kilku sekundach. „Czym ty się właściwie zajmujesz, Jaime? Majtki, menstruacja, a teraz to. Chyba nie zamierzasz zmienić płci? Mam nadzieję. Nie wiem, co by na to powiedziały dzieci, przypuszczam, że by się przestraszyły. Ja w każdym razie już się boję”.

„Bardzo zabawne”, powiedziałem, faktycznie trochę mnie rozśmieszyła, a może byłem po prostu zadowolony, że wrócił jej dobry humor, kiedy Luisa żartowała, znaczyło, że jest w przyjaznym nastroju, poza tym jej żarty nigdy nie były agresywne, co najwyżej zgryźliwe jak ten, żartowała sobie zawsze w sympatyczny i wyraźnie serdeczny sposób, ze śmiechem i nie mając zamiaru nikogo zranić. Rozbawił ją jej własny idiotyczny pomysł, bo usłyszałem, że znowu się śmieje. Nie mogła się oprzeć pokusie, by dalej sobie nie kpić.

„Jak wtedy mielibyśmy się do ciebie zwracać, co? Wszystko by się pokomplikowało. Lepiej jeszcze się zastanów, Jaime, nim podejmiesz taki nieodwołalny, jak sądzę, krok. Pomyśl o wszystkich niedogodnościach i kłopotliwych sytuacjach. Przypomnij sobie tego skarbnika z college’u, o którym opowiadał nam kiedyś Wheeler. Zwracał uwagę na dobre wychowanie, miał nienaganne maniery i nagle jego koledzy stracili pewność, czy zwracać się do niego per «pan», czy per «pani», a najbliżsi jeszcze długo nazywali matronę w spódnicy «Arthurem», bo dla nich wciąż miała twarz «Arthura», jak zawsze, tyle że z pomalowanymi ustami zamiast wąsów i z krótką fryzurką w nieładzie, widać nie potrafiła o nią zadbać, mówiono, że nie nawykła”. Słuchając, jak wspomina tę historię, uświadomiłem sobie, że znowu stoi mi przed oczyma obraz Rosy Klebb, niechlujnej, leniwej i „przeróżającej kobiety ŚMIERSZ-u”, uczennicy bezwzględnej Berii, z jego rozkazu infiltrującej POUM jako prawa ręka i kochanka Nina, którego mogła też zamordować, wszystko to według Fleminga; a może raczej obraz aktorki Lotte Lenyi, która wcieliła się w jej postać: usiłowała kopnąć Connery’ego uzbrojoną w zatrute ostrze nogą, kto wie, może zatrute tą samą trucizną. Nie, to musiało być coś o szybszym działaniu, skoro zamierzała go zabić jednym kopniakiem nogi w morderczym bucie. „Nie będzie łatwo wysubtelnić ci rysy twarzy, nawet jak cię nafaszerują hormonami i tu i ówdzie skrócą. No nie wiem, decyzja

należy do ciebie, ale w dodatku jesteś atletycznej postury i podbródek masz dosyć masywny, byłaby z ciebie imponująca, by nie powiedzieć: zatrważająca kobieta, w kolejce nikt by ci nie podskoczył”. I znowu się roześmiała, wprost wybuchła śmiechem.

Przygryzłem wargę, żeby nie pójść jej śladem, aczkolwiek ten opis mnie jako kobiety trochę przejął mnie grozą; mimo wszystko zdradziło mnie jakieś lekkie parsknięcie.

„Tak, przypominam sobie Veseya *the bursar*”, zdołałem powiedzieć, kiedy już się opanowałem. „Prawdę rzekłszy, znałem go z widzenia, kiedy byłem w Oksfordzie. Rzecz jasna jako Arthura, nie jako Ginewrę. Muszę zapytać Petera, co się z nim albo z nią dzieje. Pewnie ma już swoje lata, a późna starość nie jest tym samym w przypadku mężczyzny, co w przypadku kobiety. Poczynając od pewnego wieku, znowu jesteście górą”. Kiedy śmiech Luisy ucichł, wróciłem do swego pytania: „Czyli wiesz, co to jest botoks. Czy to prawda, co mi powiedzieli o tych zastrzykach?” Znałem to na pamięć, zazwyczaj tak właśnie się działo: kiedy Luisa rozmawiała ze mną i żartowała, odbiegała od tematu. I w odróżnieniu ode mnie, od Wheelera, a także od Tupry, nie miała w zwyczaju wracać do niego sama z siebie.

„Tak, słyszałam kilka razy, jak kobiety o tym rozmawiały. Kiedy pojawił się po raz pierwszy i tutejsze salony urody albo kliniki medycyny estetycznej, czy jak tam się nazywają, nie miały jeszcze w ofercie takich zabiegów, urządzano nawet specjalne przyjęcia, na których można było to sobie wstrzyknąć”.

„Przyjęcia?” Teraz to ja powtórzyłem słowo, które najbardziej zbiło mnie z tropu.

„Tak, słyszałam kiedyś, jak opowiadała o nich María Olmo. Oczywiście dla kobiet z większą kasą; spotykały się na herbatce albo czymś w tym stylu i pojawiała się tam *practicante*, czyli dochodząca pielęgniarka opłacona na



spółkę przez wszystkie, i wstrzykiwała im to po kolei w zależności od potrzeb. Tym, które chciały, ma się rozumieć, i wcześniej, jak przypuszczam, złożyły się na zakup towaru, to był najdroższy element całej zabawy. Nie, pewnie to gospodyni opłacała pielęgniarkę”. Pomyślałem sobie: ona nie jest ode mnie dużo młodsza, pewnie dlatego również używa słowa *practicante*. Ale musiała to być *practicante* wyspecjalizowana w zastrzykach z botoksu, tak mi się wydawało, nie chciałem jednak jej przerywać kolejnym pytaniem. „W tamtym czasie to wzbudzało wielkie zainteresowanie, ludzie mówili, że rezultaty tych zastrzyków są spektakularne, ale nie wiem, czy uważali tak potem. Myślę, że wiele tutejszych ośrodków ma to teraz w ofercie, ale na początku, rok temu albo więcej, sprowadzali to, nie wiem skąd, z zagranicy, na zamówienie. Przypuszczam, że teraz już każda robi to sobie indywidualnie”.

„Z Ameryki”, mruknąłem, myśląc o Heydrichu i o pułkowniku Spoonerze z SOS, organizatorze zamachu. „Pewnie sprowadzali to z Ameryki”.

„Chyba nie, wydaje mi się, że skądś tutaj, z Anglii albo z Niemiec”. Nie mogła wiedzieć, o czym myślę, nie było jej z nami, gdy Wheeler opowiadał mi o Lidicach i o nienawiści przestrzennej, niechęci do miejsc, której ofiarami stały się także Madryt i Londyn podczas bombardowań i blokady; niechęć do Madrytu trwa nadal, bo zarządzający nim, wszyscy bez wyjątku, nie znoszą tego miasta i nigdy nie znosili. Luisa już nie bywała w miejscach, w których byłem ja. Wcześniej bywała, wielokrotnie; dlatego oboje znaleźliśmy tę historię o skarbniku transseksualiście.

„A właściwie dlaczego? Nie był dopuszczony do użycia? Jak melatonina? To na melatoninę był szlaban w Europie, prawda? Botoks też był zakazany?”

„O ile wiem, to nie. Po prostu trochę trwało, nim tu dotarł. Jak ludzie usłyszą o jakiejś nowince, strasznie do niej przebiegają nogami, a jak już ją

zdobędą, to się nadymają, że są w awangardzie. No wiesz, ten rodzaj idiotów, co to są chorzy, jeśli przynajmniej raz na rok nie polecą do Nowego Jorku, a potem w kółko o tym opowiadają, coraz więcej takich wieśniaków, mam po dziurki w nosie opowieści o Nowym Jorku. No i jasne, jak usłyszą, że tam albo w Londynie ludzie wstrzykują sobie jak heroinę coś nowego i odmładzającego, od razu wszyscy lecą kupić igły, żeby już mieć przynajmniej to”.

„Naprawdę robią sobie zastrzyki w czoło, w policzki i w brodę, w skronie?” To wywarło na mnie wrażenie samo w sobie, igła wbijana w takie miejsca i płyn wnikający powoli w głąb, ale jeszcze bardziej – to znaczy bardziej mnie przeraziło – to, że botoks naprawdę był tym, czego się obawiałem. W moim głosie musiało więc zabrzmieć zdumienie i zgorszenie, bo zauważyłem, że swoją odpowiedzią Luisa stara się mnie tonować, aczkolwiek bez pouczenia, to nie było w jej stylu.

„Naprawdę i jak rozumiem, w gorsze miejsca też. W powieki i w worki pod oczami, w szyję, z całą pewnością w usta i oczywiście nad górną wargą, te maleńkie pionowe zmarszczki to zhora wielu moich znajomych. Fakt, to trochę przerażające, ale ja pewnie jestem bardziej przyzwyczajona niż ty do tych wszystkich implantów i wstrzyknięć. I do różnych innych krwawych jatek. Znam coraz więcej kobiet, które systematycznie robią sobie takie sesje cięć i poprawek, zupełnie jakby chodziły do fryzjera. I wiesz, co ci powiem? Wielu facetów też to robi nałogowo, i to nie tylko zachwyceni sobą single albo rozwodnicy w depresji, wielu żonatych również. Znaczą jeśli wierzyć temu, co mi mówią, a nigdy nie powinno się wierzyć”. Powiedziała to tak swobodnie, że zacząłem się zastanawiać: nie przyjdzie jej do głowy, żeby mnie zaliczyć do rozwodników w depresji, całe szczęście, nie wzbudzam w niej współczucia albo jeszcze nie wzbudzam i nie lubię zgrywać nieszczęśnika jak wielu narzeczonych i mężów. Poza tym jeszcze się nie rozwiedliśmy. Ale i do tego dojdzie, jak

sądzę, jeśli ona będzie chciała. Czułem, że to nieprawdopodobne, bym sam wystąpił kiedyś z taką inicjatywą. Ale nigdy nie wiadomo. Nie podzieliłem się z nią swymi myślami. „Na przykład ten pajac Berlusconi musi być już cały z lateksu. Przyjrzałeś mu się? Wygląda jak lalka z wosku. Ten to się powinien zastanowić nad zmianą płci, może by mu wyszło na zdrowie albo zhumanizowało go na nowo, Berlusconi jako babcia”. I znowu zaczęła się śmiać, wiedziałem, że to robi, odkąd usłyszałem w jej ustach słowo „*caricato*”, czyli pajac albo kłown: znaliśmy się zbyt dobrze, żebyśmy kiedyś przestali się znać. Teraz pojawiło się niebezpieczeństwo, że zboczy na dłużej w tę stronę i, że na przykład zacznie sobie wyobrażać innych polityków zamienionych w matrony, musiałem zatem szybko wrócić do tematu:

„A wiesz, czym dokładnie jest ten botoks?”

„Ktoś mi kiedyś mówił, ale nie słuchałam uważnie. Chyba to jakaś toksyna; albo jakaś antytoksyna, prawdę mówiąc, nie pamiętam”.

„Toksyna botulinowa? Może być? Od botulizmu. Nie wiem, czy wiesz, że dawniej używano jej jako trucizny”. I przytoczyłem jej swoją hipotetyczną etymologię tego słowa.

Nie wydała się szczególnie poruszona. Za sprawą swoich znajomych czy jakiejś przelotnej niepewnej koleżanki musiała się już faktycznie oswoić z najbardziej nawet krwawymi i toksycznymi metodami zwalczania starości.

„Nie pamiętam. Może i tak. Wcale bym się nie zdziwiła, połowa tych speców od medycyny estetycznej to ludzie pozbawieni skrupułów, żeby nie powiedzieć, kryminaliści. Maria mi opowiadała, że przestała chodzić do jednego takiego, który aplikował jej drakońską kurację odchudzającą, kiedy pewnego dnia weszła z nim do apteki, facet powiedział, że zostawił bloczek z receptami w domu i jedyne, co mu przyszło do głowy, żeby przekonać farmaceutkę, że jest lekarzem, to było wrócić do samochodu po stetoskop,

który akurat leżał tam sobie luzem na tylnym siedzeniu. Wyobrażasz sobie? «Niech pani spojrzy, mam słuchawki, jestem lekarzem», i potrząsał jej tym stetoskopem przed nosem. María wywnioskowała z tego, że choć facet ma własną klinikę, to nie ma uprawnień ani nie jest lekarzem i po prostu zamarła z przerażenia. Tak że teraz już nic mnie nie dziwi”.

„Mogłabyś się dla mnie dowiedzieć, czy to faktycznie jest toksyna botulinowa?”

„Chyba tak. María na pewno wie, a jak nie, to Isabel Uña, ona też się bawi w takie rzeczy, mogę je zapytać. Ale co ty znowu z tym botoksem? Sam zamierzasz iść w ślady Berlusconiego czy może twoja roztrzepana przyjaciółka? Ty nie musisz, masz twarz bez jednej zmarszczki, nie ma sprawiedliwości na świecie”. Nie zapomniała mego pierwszego pytania o plamę krwi, nadal myślała, że ktoś mógł pobrudzić mi podłogę, ktoś przypadkowy albo i nie taki przypadkowy. Perspektywa, że Luisa miałaby przeprowadzić dla mnie maleńkie dochodzenie, uradowała moje niewinne serce. Po raz pierwszy od dawna połączyło nas coś wspólnego, coś nowego (nie dzieci ani pieniądze, ani kwestie praktyczne), nawet jeżeli miał to być tylko drobiazg. Wkrótce znowu do siebie zadzwonimy, ona do mnie albo ja do niej, żeby mogła przekazać mi zebrane informacje. Mieliśmy jakąś wspólną sprawę do załatwienia i teraz to było nowością.

„Dziękuję, ty też wyglądasz bardzo młodo”, odpowiedziałem tyleż z humorem, co z galanterią, i dodałem: „Nie, to z czystej ciekawości. Słyszałem tu o tym i chciałbym wiedzieć, czy chodzi o tę samą substancję, która swego czasu, w czterdziestym drugim, zabiła pewnego nazistowskiego dygnitarza, Wheeler mi o nim opowiadał. Wiesz, jakie powoduje skutki? Mam na myśli cały proces”.

„Myślę, że powoduje paraliż okolicznych mięśni i tym samym wygładza skórę i ją napina, nie pytaj mnie dlaczego ani jakim sposobem. Podobno ludzie, którzy to sobie wstrzyknęli, mają twarz trochę pozbawioną wyrazu,

ale ja nic takiego nie zauważyłam ani u Marii, ani u Isabel, czyli u tych dwóch, o których wiem, że próbowały. Mogło się rzecz jasna zdarzyć, że nie widziałam ich akurat wtedy, kiedy botoks działał, myślę, że działa kilka miesięcy i po przerwie można go wziąć znowu, te przerwy robią się coraz krótsze. Chociaż jak się teraz nad tym zastanawiam, rzeczywiście twarze miały trochę sztywne, jakby bardziej napięte, nabite... Nie wiem, to dziwaczna obsesja”, teraz jej głos stał się bardziej zamyślony, „już nie dotyczy tylko bogatych ani jak mówiłam, tylko kobiet. Wszyscy do tego dojdziemy. Nie masz pojęcia, co ludzie sobie robią w dzisiejszych czasach, co sobie wstrzykują, wycinają, czemu się poddają. Włosy stanęłyby ci dęba, gdybyś znał szczegóły. Ale zobaczysz, wszyscy do tego dojdziemy, a my nieliczni, którzy nie będziemy chcieli, usłyszymy pełne dezaprobaty słowa: «Jak możesz tak chodzić, z taką obwisłą skórą, z takimi zmarszczkami i workami pod oczyma; z takimi bruzdami, z takim tłuszczem albo z takim sflaczałym ciałem, jak możesz tak o siebie nie dbać». Niektórzy już to porównują z chodzeniem do dentysty. «Przecież idziemy do dentysty, jak nam się ząb ukruszy, a ponieważ brzydko to wygląda, robimy sobie koronkę. No więc z innymi rzeczami jest tak samo». Jakby starzenie się było defektem albo przywarą, zaniedbaniem, na które się godzisz. Jakby miało się wybór i człowiek ponosił winę za swoje starzenie się. Albo jasne, jakby był za biedny, nie miał środków, żeby je zamaskować. Wkrótce stary wygląd będzie znaczyć, że jesteś pariasem, przekonasz się. To będzie kolejny podział, kolejna różnica, jakby nie było ich już dosyć. Jakbyś chodził w wyświechtanym ubraniu. Mam nadzieję, że tego nie dożyjemy”.

Zamilkła, jakby pogrążyła się nagle w rozważaniu swego własnego przypadku. Nigdy nie dostrzegłem u niej najmniejszej skłonności czy pokusy w tym względzie: zazwyczaj wysłuchiwała opowieści znajomych i przyjaciółek bardziej udęczonych przemijającym czasem, śmiała się życzliwie z ich ekstrawaganckich pomysłów i eksperymentów, nie

przypisywała im znaczenia albo uważała, że mają sens, jeśli tylko jej przyjaciółki czuły się szczęśliwsze dzięki swemu pozornie lepszemu wyglądowi, jakkolwiek byłby nienaturalny, sztuczny czy kupiony: jakkolwiek monstrualny niekiedy. Ona sama nigdy na to nie zważała. Ale Luisa nie była już taka młoda, wcześniej nigdy mi nie powiedziała tonem wyrzutu i porównania, że nie mam zmarszczek – takie geny, dorównywałem Tuprze – ani nawet żartobliwie, jak teraz. Może zaczyna się martwić pod wpływem czy na skutek innych, pomyślałem. Na pewno nie ma po temu powodów, sądząc z tego, jak wyglądała, gdy widziałem ją ostatnim razem; aczkolwiek moja opinia nie na wiele jej się zda, jeżeli już sobie wymyśliła powody (nikt nie może się tego ustrzec) albo jeżeli ktoś jej takie powody wbił do głowy (tego też nikt nie może się ustrzec), uważa, że ja spoglądam na nią nazbyt przychylnym okiem.

„Chyba sama tego nie bierzesz pod uwagę, co?“, zapytałem. „Tobie to naprawdę nie jest potrzebne“.

Zaśmiała się, przerywając tym samym krótkie zamyślenie.

„Nawet jeżeli nie jest mi potrzebne dziś, to będzie potrzebne już jutro, nawet nie pojutrze“, powiedziała. „Tak czy owak nie byłoby mnie na to stać, więc będę jednym z pariasów, jednym z obszarpańców“. I znowu się roześmiała, rozbawiły ją własne słowa. „Chociaż przysyłasz dużo pieniędzy, odkąd masz tę pracę, o której nic nie opowiadasz“, dodała. „Chcę ci podziękować, Deza, w tej chwili już niemal pławimy się w luksusie. Nie trzeba nam aż tyle“. Jakby chciała się usprawiedliwić, że to przyjmuje; dlatego nazwała mnie Dezą, nie Jaime, nie chciała nic ode mnie wyciągnąć ani nie była w złym humorze z mojego powodu.

„Dziękujesz mi przecież po każdym kolejnym przelewie. To wcale nie jest za dużo, masz u siebie dzieci, a ja teraz dobrze zarabiam i specjalnie nie wydaję. Zmniejsz przelewy, jak wzrosną mi wydatki“.

„Tak, ale mógłbyś przecież coś odłożyć. Pytają, kiedy przyjedziesz“.

„Nie wiem, chyba nieprędko. Wyjeżdżam w podróż z moim szefem, ale jeszcze nie wiemy kiedy, czy za tydzień, za miesiąc czy jeszcze później, do tego czasu jestem uwiązany. Zobaczą, czy potem uda mi się wyskoczyć na sobotę i niedzielę przy okazji jakiegoś *bank holiday*”. Tak w Anglii nazywają wolne dni, zazwyczaj wypadają w poniedziałki, z wyjątkiem Bożego Narodzenia i Nowego Roku. „I tak odkładam. I kupuję sobie naprawdę dobre książki w antykwariatach, lepsze i droższe niż kiedykolwiek”.

„Cóż, trzymaj się tej pracy. Ciekawe, czy kiedyś mi coś opowiesz, znaczy o tym, co robisz”. Nie sądziłem, żeby naprawdę ją to ciekawiło, chciała po prostu być uprzejma. Wcześniej, w innych rozmowach, nigdy nie wykazała żadnego zainteresowania. A może te wcześniejsze rozmowy były krótsze.

„Nie ma specjalnie o czym”, powiedziałem i tu akurat skłamałem, szczególnie wobec tego, co zdarzyło się dwa wieczory wcześniej. „Tłumaczenia dyplomatyczne i handlowe to mało ekscytujące zajęcie, aczkolwiek zdarza się czasami ktoś ciekawy. Jak mnie ta praca znuży, nie będę się jej trzymał, przecież wiesz”.

Odczekała kilka sekund i odpowiedziała:

„Tak, wiem. A ty wiesz, że z mojego punktu widzenia to w porządku”.

Szeroko otwartymi oczyma wyobraźni widziałem, jak uśmiecha się, mówiąc te słowa. Była w innym mieście, w innym kraju. Ale widziałem ją bardzo wyraźnie z Londynu.

Podziękowałem jej, powiedziałem dobranoc, pożegnaliśmy się, odłożyłem słuchawkę. Ale nie w myślach. Uniosłem wzrok, wstałem z fotela, podszedłem do pionowo otwieranego okna i otworzyłem je jednym ruchem, żeby przewietrzyć pokój, wcześniej, w trakcie rozmowy, paliłem papierosy. Nie padało, wcale nie było zimno albo tak mi się w pierwszej chwili wydało, to mógłby być wiosenny wieczór, gdyby nie to, że jeszcze nie było tak późno, nawet jak na Anglię, a już kilka godzin wcześniej zapadł zmierzch, z okna widziałem blady mrok placu skąpo rozświetlony białymi latarniami, naśladującymi oszczędną zawsze księżycową iluminację, i zapalone światła w eleganckim hotelu trochę dalej, i światła w domach zamieszkałych przez rodziny albo samotnych mężczyzn i kobiety, każde zamknięte w swoim żółtym czworoboku, tak samo jak ja w oczach kogoś, kto by mnie teraz obserwował. Wydało mi także, że słyszę bardzo cichą muzykę, tak cichą, że przykrywał ją lub tłumił najmniejszy mój ruch, znieruchomiałem zatem – z następnym papierosem w dłoni – i starałem się bezowocnie wyłowić jakiś dźwięk albo rozpoznać tę muzykę, dobiegała tak słabiutko, że nie mogłem stwierdzić, jakiego jest rodzaju ani nawet jaki ma rytm. Popatrzyłem wtedy, jak zwykle robić, ponad koronami drzew i dalej, za pomnik i na drugą stronę placu, w poszukiwaniu mego beztroskiego, roztańczonego sąsiada.

Był tam, jak niemal zawsze, a wieczór istotnie musiał być ciepły, bo on także miał otwarte dwa swoje okna, dwa z czterech, i niewykluczone, że muzyka dobiegała z jego salonu, podłużnego i pozbawionego mebli jak wolny od wszelkich przeszkód parkiet taneczny; nie było późno i pewnie sąsiad tym razem obywatel się bez słuchawek albo urządzenia bezprzewodowego i muzyka nie rozbrzmiewała tylko w jego głowie – jak



również, drogą dedukcji, w mojej wyobraźni, gdy przyglądałem się, jak tańczy – lecz w całym mieszkaniu i poza nim, zamierając jak cień lub jak oderwana nitka tu, gdzie stałem w oknie. Nie był sam, ale z dwiema partnerkami, znałem obie kobiety, widywałem je już oddzielnie, jeśli pamięć mnie nie myliła: białą w obcisłych spodniach, która o ile mi wiadomo, nie została na noc (wsiadła na rower i odjechała w ciemność, żwawo pedałując), i czarną albo Mulatkę we fruwej spódnicy, która później nie wyszła chyba z domu. Teraz obie miały na sobie spódnice wąskie i dość krótkie (mniej więcej do połowy uda, pewnie niezbyt wygodne do tańca), żadne z trojga jeszcze nie tańczyło, nie na dobre, wyglądało to raczej tak, jakby coś dogadywali albo dokładnie uzgadniali kroki do wykonania, niewątpliwie w rytm owej muzyki, która prawie do mnie nie docierała, zatem nie potrafiłbym jej rozpoznać.

Sprowadził je razem, pomyślałem, może zaczyna tańczyć zawodowo i chce zrobić z nimi próbę tego, co w Ameryce nazywają *routine*, czyli nie spontanicznych już, lecz uzgodnionych wcześniej, zgranych ze sobą ruchów i kroków, ten kraj i te czasy maniakalnie psują słowa, wszystko pada ofiarą uzurpacji, staje się coraz bardziej nieprecyzyjne, zawoalowane i sztuczne, i często niezrozumiałe, słowa, zwyczaje i reakcje; ale możliwe, że tylko jedna z kobiet jest jego kochanką i nie ma nic dziwnego w tym, że spotykają się, żeby tańczyć we trójkę, możliwe nawet, że żadna nie jest jego kochanką, bo gdyby obie miał za kochanki, wtedy, jak przypuszczam, byłoby to dziwne pomimo całego sztucznego liberalizmu dzisiejszych czasów, w których zdaniem wielu osób nic nie ma szczególnego znaczenia, nawet zachowania brutalne, które tak łatwo się wybacza, albo zawsze znajdują się kretyni, cieszący się kretyńskim autorytetem moralnym, choć może to autorytet mnisi, ludzie gotowi analizować z nieskończoną cierpliwością pozbawione wszelkiej tajemniczości powody brutalnych zachowań, a w każdym razie je rozumieć, jakby stali ponad nimi (mogą

uważać siebie za osoby świeckie, a i tak na końcu języka mają, niczym ciągłą pokusę, stare pytanie zadawane zazwyczaj przez księży: „Dlaczego taki jesteś, mój synu?”), dopóki ktoś wreszcie nie da im po pysku i nie wykopie z ich wieży z kości słoniowej, a wtedy już przestają rozumieć, wiem, że ja sam mógłbym w pewnych okolicznościach, nie tylko w razie konieczności samoobrony, zachować się brutalnie, ale wiem też, że powody tego byłyby nikczemne, nie zawierałyby żadnej tajemnicy, mógłbym się tak zachować z powodu frustracji albo z zazdrości, albo z zemsty, albo powodowany małodusznym strachem, najlepiej więc unikać takich okoliczności: nie potrafiłbym spotkać się z narzeczonym czy kochankiem Luisy, żebyśmy we troje zrobili coś trudnego do wyobrażenia, jeszcze nie teraz, może za kilka lat, kto wie, gdy już nie będzie mnie piekło ani jeden centymetr kwadratowy skóry i gdyby w dodatku on był naprawdę fantastycznym gościem, w co wątpię; ona też by nie potrafiła, tak przypuszczam, spotkać się z jakąś moją narzeczoną albo kochanką, która nieuchronnie pojawi się kiedyś, a przecież Luisa i ja nie jesteśmy teraz dla siebie kochankami ani w ogóle nikim, ciekaw jestem, kim dla siebie będziemy albo kim już się dla siebie stajemy, może tylko przeszłością, jedno przeszłością drugiego, przeszłością tak długą i wytrwałą, że nie sądziliśmy, by kiedyś stała się przeszłością. Luisa nie może być jakoś szczególnie zajęta w tych dniach – chociaż głos miała zadowolony na początku i na końcu naszej rozmowy – skoro ma czas martwić się trochę swoim wyglądem w najbliższej przyszłości, pomyślałem. „Nawet jeżeli nie jest mi potrzebne dziś, to będzie potrzebne już jutro, nawet nie pojutrze”, powiedziała, mając na myśli toksyczne mazidła i chirurgów plastyków w zakrwawionych kitlach, a to niewiele się różni od myśli, jakie nachodzą pewnie Flavię Manoię, gdy co rano budzi się ze swego ostatniego dręczącego snu, już tego snu o świcie wedle Reresby’ego lub Tupry, który mi ją opisał z wyprzedzeniem, podobnie jak i jej męża, wpływając tym

samym umiejętnie na moją późniejszą percepcję obydwójga: „Wczoraj wieczór jeszcze tak. Ale dziś? Dziś jestem o dzień starsza”, myśli pani Manioa, otwierając nieumalowane oczy i wówczas, przez kilka minut, nie chce jej się poddawać próbie kolejnego dnia, i ma ochotę ponownie oczy zamknąć. Jak mi trudno wyobrazić sobie, że Luisa mogłaby odczuwać podobne obawy, przyzwyczailem się, że jest młoda. Choć właściwie wcale nie jest mi tak trudno, jeżeli tylko nie oszukuję sam siebie: te obawy i mnie nie są obce, jak przypuszczam. Nie są tylko sprawą kobiet, lecz prawdopodobnie nas wszystkich, począwszy od chwili, gdy doznajemy jakiegoś późnego niepowodzenia bądź pojawia się pierwsze silne zmęczenie, mnie się wydaje, że co dzień czuję ten lęk lub jego zapowiedź, bardziej nawet w moim zagranicznym czasie tu, w Londynie, w którym pozostaję bez pary i odrobinę samotny, nie bardzo, samotny, jak uważa Wheeler, lecz tylko odrobinę i tylko chwilami; ale kobiety przyznają się do tego lęku, konfrontują się z nim, nie nobilitując go ani nie doszukując się w nim większego znaczenia, gdy tymczasem mężczyźni, większość mężczyzn myśli o nim z zamierzoną, a zatem trochę udawaną szorstkością, myślimy w kategoriach bardziej ostatecznych i ponurych, lecz w zamian udaje nam się nie myśleć o sobie jako o niepoważnych czy bojących się samotności – która jest incydentalna – bądź utraty miłości – co jest zasadnicze, ale zarazem nieistotne. Tak więc pytamy samych siebie, żeby się nie rumieniło: „A jak długo jeszcze do mojej śmierci?”.

Nadstawiłem ucha, bo wydało mi się, że muzyka jest teraz lepiej słyszalna, pewnie nastawili ją głośniejsze, i kiedy spojrzałem znowu – tym razem patrząc naprawdę, a nie pogrążony w myślach – zobaczyłem, że cała trójka w końcu rozpoczęła swój omawiany wcześniej taniec. Był elegancki, nie podskakiwali ani nie pędzili szaleńczo przed siebie, lecz posuwali się naprzód krótkimi krokami – nie wiem, czy nazwać je wijącymi się – i faktycznie w pełnej synchronizacji, te same kroki w tej samej chwili,

poruszały się stopy i biodra oraz głowa akcentująca rytm, ramiona towarzyszyły w niewielkim stopniu i oszczędnie, odrobinę zgięte i trochę rozwarte na boki na wysokości klatki piersiowej, jakby każdy tancerz trzymał w rękach otwartą gazetę. Całe trio posuwało się zwinnie po podłodze, ale oszczędne ruchy tworzyły wrażenie, jakby trwali na swoich pozycjach, jakby przynależne im kawałki albo fragmenty podłogi poruszały się wraz z nimi i jakby każde stąpało zawsze po tych samych deskach; pomyślałem sobie – a może po prostu lepiej już słyszałem z daleka – że muszą tańczyć do jakiegoś kawałka Henry’ego Manciniego, może do słynnego tematu z „Petera Gunna”, nikt już nie pamięta, że ta muzyka została kiedyś napisana do telewizyjnego serialu o detektywach, nie wiem, czy był pokazywany w Hiszpanii, myślę, że powstał jeszcze w latach pięćdziesiątych (czyli należy do prehistorii) i był oczywiście czarno-biały, w każdym razie muzyka z tego serialu wcale się nie zestarzała i stała się klasycznym standardem eleganckiego nowoczesnego tańca, jeżeli umie się zatańczyć do niej elegancko, a tamtych troje wiedziało, jak to robić. Mógł to być także początek ścieżki dźwiękowej „Dotyku zła”, po angielsku „*Touch of evil*”, filmu Orsona Wellesa z tego samego okresu, gdzie jako Meksykanin pojawia się nie kto inny tylko Charlton Heston, zadziwiające, że człowiek mógł uwierzyć, że Heston jest Meksykaninem mimo wielkich wąsów, jakie nosi od pierwszego do ostatniego ujęcia, a przecież się wierzyło. Ta muzyka jest jednak mniej znana, wybrałem zatem temat z „Gunna”. Jest kilka takich niezbędnych muzycznych kawałków, które zabieram ze sobą w podróż, jeżeli jestem przewidujący (nie byłem, wyjeżdżając z Madrytu, niewiele ze sobą zabrałem), albo które szybko kupuję sobie ponownie, jeżeli zostaję na dłużej w jakimś kraju, są wśród nich trzy albo cztery utwory Manciniego, bo prawie niezawodnie rozświetlają każdy ponury dzień, poszukałem zatem i wyjąłem płytę, zaprogramowałem pierwszy kawałek na powtarzanie, tak jak musiało

zrobić wcześniej tych troje z naprzeciwka (trwa ledwie dwie minuty, a oni tańczyli długo), i puściłem tę muzykę u siebie w domu podobnie jak przy innych okazjach, kiedy zdawało mi się, że zgadłem, do czego tańczy mój tancerz, puszczałem inne melodie po części dla własnej rozrywki, po części zaś po to, by on nie wyglądał śmiesznie, podrygując, ruszając się i dając absurdalne susy oglądany przez widza, który nie słyszy tego, co nim powoduje, nic nie słyszy, jakkolwiek tancerzowi było wszystko jedno albo nie wiedział, że ma widza. Powinno się okazywać nawet większy niż należny szacunek temu, kto nie może się tego domagać.

To zainteresowanie Luisy może oznaczać, pomyślałem, że ostatnimi czasy nie wychodzi dużo z domu ani nie przyjmuje podniecających gości; że nie jest zajęta, a to z kolei oznacza – być może – że nikt jeszcze nie zastąpił mnie całkowicie, w przeciwnym razie mogłaby liczyć na jakąś rozrywkę albo pielęgnowałaby codziennie jakąś maleńką mniej więcej nadzieję, choćby polegała tylko na chwili rozmowy telefonicznej z kimś konkretnym pod koniec dnia, gdyby nie było im łatwo się spotykać z jakiegoś powodu, czy ja wiem, jego żony, dzieci albo naszych dzieci. Zdaję sobie sprawę, że to bezpodstawny wniosek, nieuzasadniony. Ale może oznacza przynajmniej tyle, że nikt jeszcze nie wkroczył w jej życie do tego stopnia, by mieć już dostęp do domu, nie codziennie albo nie na tyle często, żeby ona już na niego czekała albo żeby się nie dziwiła, gdy pojawi się bez uprzedzenia, po prostu dzwoniąc z dołu i mówiąc: „Luisa, to ja, jestem tu, otwórz mi”, jakby to „ja” było jego nie pozostawiającym żadnych wątpliwości imieniem, i żeby w dodatku cieszyła się, gdy on postanowi się pojawić z nastaniem nocy lub pod wieczór. Nie, jeszcze nie wkroczył w jej życie pochlebca, mężczyzna zagadkowy, uczynny, a nawet bardzo starający się na początku, taki, który chce pomagać przy kolacji i wynieść śmieci, i położyć dzieci, by stać się – jak by to powiedzieć – domownikiem i zagnieździć się stopniowo, i zostać, ograniczając się jedynie do

wypełnienia sobą pustego miejsca i starając się niczego z zastanych tam rzeczy nie zmieniać. Ani ten drugi gość, lekkoduch i hulaka, niespokojny typ, który z kolei panicznie boi się zostawić za sobą podest schodów i przekroczyć próg, wejść do środka i poznać moje dzieci, a choćby tylko zobaczyć, jak przemykają w piżamach, samemu stojąc przy drzwiach wejściowych i opierając się o futrynę, dopóki Luisa nie da ostatnich wskazówek opiekunce i nie wyruszą wreszcie w miasto, ten, który raczej ma nadzieję zabrać ją stamtąd krok po kroku, odciągać wieczór za wieczorem siłą przyzwyczajenia, lub wyrwać stamtąd, tak żeby potem, niczym niezwiązana, mogła pójść za nim wszędzie i naśladować go we wszystkim. Nie wkroczył też w jej życie ten trzeci, ten udający zadurzenie, słaby tyran w przebraniu, który stopniowo będzie ją raczej izolował od zewnętrznego świata własną przebiegłością i melodramatycznym zachowaniem, żeby ją zamknąć i mieć dla siebie, żeby tylko on był jej ostatecznym horyzontem, ten będzie zgrywał nieszczęśnika i brał ją na litość, żeby potem całkowicie ją pojąć i zdominować, ten zawsze znajdzie uzasadnienie dla swoich głębokich uczuć i wielkiego cierpienia i pod tym względem jest jak niemal wszyscy, tak wielu ludzi jest przekonanych, że gorące uczucia, nie mówiąc już o cierpieniu czy udręce, czynią ich dobrymi i zasłużonymi i że ich do czegoś uprawniają, i że powinni być za te uczucia wynagradzani ciągle i bez końca nawet przez tych, którzy nie wzbudzili owych uczuć ani nie spowodowali cierpienia, ani nie mieli z nimi nic wspólnego, ponieważ w mniemaniu takich ludzi cały świat zawsze jest ich dłużnikiem, nigdy nie przychodzi im do głowy, że człowiek sam wybiera uczucie albo w najgorszym razie godzi się na nie, że uczucie prawie nigdy nie jest człowiekowi narzucone ani że nic tu nie ma do rzeczy przeznaczenie; nie przychodzi im też do głowy, że człowiek jest odpowiedzialny za swoje uczucia tak samo jak za to, w kim je ulokuje, wbrew powszechnemu przekonaniu, które od wieków głosi i niestrudzenie

powtarza stare kłamstwo: „To silniejsze ode mnie, nie jestem w stanie nic na to poradzić”; i że zwykle wydanie z siebie okrzyku: „Ja przecież tak cię kocham” jako wytłumaczenie czyjegoś działania, jako alibi albo usprawiedliwienie, powinno zawsze napotkać odpowiedź, którą tylko niewielu śmiazków wypowiada, nawet jeśli jest jedyną uczciwą odpowiedzią, bo uczucie nie jest odwzajemnione, a pewnie i wtedy, gdy jest: „I co z tego, to twoja sprawa”. I że czasami – tak, to prawda – nawet nieszczęście jest wymysłem. Nie, nikt nie ma obowiązku przejmować się miłością, jaką żywi do niego kto inny, a tym bardziej tego innego udręką albo złością, a przecież domagamy się uwagi, zrozumienia, litości, a nawet bezkarności z powodu czegoś, co dotyczy tylko osoby, która żywi te uczucia, „Trzeba to zrozumieć”, mówimy, „Jest teraz w bardzo złym stanie i dlatego wszystkich zadrecza”; albo też: „Spotkała go krzywda, wojuje z całym światem, bo jest załamany, on naprawdę nie może bez niej żyć”, jakby niekochanie kogoś albo już niekochanie było atakiem na tę osobę, na tego, kto naprawdę kochał i nadal kocha, jakby było intrygowaniem lub odwetem, chęcią wyrządzenia tej osobie krzywdy, czym akurat nigdy nie jest. Tak więc ja nie mogę się skarżyć, naprawdę nie powinienem: kiedy Luisa chciała mnie u swego boku, cieszyłem się jej ponawianymi co dzień względami, ja też ponawiałem swoje podobnej wartości; a kiedy pewnego ranka te względy nie zostały już potwierdzone, nie wchodziło w grę, że rzucę jej to w twarz albo przyjmę jako rozmyślny z jej strony akt wrogości lub nawet niechęci – nic z tego nigdy nie przyszło mi na myśl – miałem raczej poczucie kapitulacji i wielkiego smutku. Nie wchodziło też w grę, że odwołam się do owych nikczemnych współczesnych pojęć, za pomocą których wtrącające się we wszystko prawo chroni te miliony oportunistów, jacy przemierzają dziś i zamieszkują wszystkie ścieżki i obszary życia: do praw nabytych, zainwestowanego czasu, hołubionych planów, siły przyzwyczajenia lub zwyczaju, uzyskanego poziomu życia, przyszłości, na

jaką liczyliśmy, i ogromu ofiarowanej miłości, wszystko staje się wymierne. I rzecz jasna do wspólnych dzieci i podpisanych umów. Albo nie podpisanych, tylko ustnych. Albo tych, które nawet nie były ustne, lecz po prostu rozumiały się same przez się, te skandaliczne umowy rozumiejące się same przez się, które wedle naszego małodusznego świata sporządza i redaguje za naszymi plecami wpływający czas, samowolnie je potem podpisując, jakby czas mógł się kiedykolwiek kumulować, gdy w rzeczywistości zawsze zaczyna się liczyć od zera, każdego świtu i nawet w każdej chwili...

Nagle poczułem się lekki, chyba pierwszy raz, odkąd dwa wieczory wcześniej w dyskotecce wstałem od stolika Manoi i Tupry, by wypełnić polecenie tego ostatniego i udać się na poszukiwanie De la Garzy i Flavii, stanąłem i odsunąłem krzesło z momentalnym uczuciem przytłaczającego mnie ciężaru, niepokoju i czegoś złowieszczonego, z ukłuciem w piersi i przeczuciem jakiegoś nieszczęścia, wszystko to emanowało raczej z Tupry niż ze mnie, jakby wydając polecenie, przekazał mi wstrzymany oddech lub udawany brak tchu kogoś, kto szykuje się do zadania ciosu, albo jakby wylał ołów na mą obudzoną duszę i tym samym pogrążył ją we śnie, od tamtej chwili towarzyszył mi ów przeczuczony wówczas, a potem rzeczywiście odczuwany ciężar, obciążenie, które narastało we mnie z godziny na godzinę do tego stopnia, że przez owych czterdzieści osiem ciągnących się tak powoli godzin (a może nawet nie tyle) wciąż zadawałem sobie pytanie, czy powinienem zrezygnować i wyjść, poddać się, odejść z tej w gruncie rzeczy tak atrakcyjnej i wygodnej pracy w budynku bez nazwy, pracy dla nienazwanej grupy, którą ponad sześćdziesiąt lat wcześniej stworzyli sir Stewart Menzies albo Ve-Ve Vivian, albo Cowgill, albo Hollis, a może słynny zdrajca Kim Philby albo nawet lojalny Winston Churchill we własnej osobie, pewnie już niewiele po nich pozostało i po sile charakteru (po głowie kołacze mi się zwodnicze angielskie słówko



„mettle”), po wizji i harcie ducha, z jakimi to wymyślili; a może owa siła charakteru i hart ducha przetrwały bez uszczerbku i po prostu ta grupa już w chwili swego powstania była tak radykalna i bezlitosna, jak wydawała mi się od przedwczoraj bądź jak to intuicyjnie wyczułem dwa wieczory wcześniej: może oni wszyscy, cała ta oryginalna grupa łącznie z Peterem Wheelerem i jego młodszym bratem Tobym Rylandsem, może wszyscy mieli swoje wszelkie potencjalne możliwości we krwi i było tylko kwestią czasu, pokus i okoliczności, by te możliwości w końcu się ujawniły. Może owe okoliczności i pokusy, może ten niepożądany czas nadeszły teraz, niedawno, gdy większość żyła już tylko w swoich uczniach i spadkobiercach (Tupra był spadkobiercą Rylandsa), może nadeszły w ostatnich pustych latach dezintegracji i apatii albo kompromisu i zamętu, osierocenia i bezczynności, które sprowadziły prywatne prywatne osoby, jak nazwała tych ludzi młoda Pérez Nuix, gdy mi o nich opowiadała i opisywała ich tamtej nocy wiecznego deszczu, gdy przyszła do mnie ze swoim psem, wcześniej podążając moim śladem o wiele za długo. Pojawienie się owych okoliczności i pokus zbiegło się po prostu z moim pojawieniem się na scenie, to wszystko. Albo najzwyczajniej okazały się trwalsze. Czysty przypadek, niczyja wina; na pewno nie moja, w żadnym razie. Może wszystko, co się wydarzyło, wszystko, co zobaczyłem i usłyszałem w dyskotecie i później u Tupry, w rzeczywistości i na ekranie, nie było dostatecznym powodem do tego, bym się wycofał lub odszedł.

Zrozumiałem, że czuję się lekko po części za sprawą muzyki, tego „Petera Gunna”, który jest dobry na wszystko i nigdy nie zawodzi, i zaraz spostrzegłem, że jest tak również nawet bardziej – za sprawą tańca, w który nieświadomie się wdałem, pewnie naśladowując instynktownie, machinalnie tamtą beztroską trójkę z drugiego końca placu: bywa, że nogi same zaczynają się ruszać lub, jak się mówi po hiszpańsku, używając trafnej metafory, *cobran vida*, ożywają, ruszają do tańca, nim zdamy sobie z tego

sprawę. Zacząłem tańczyć, to niewiarygodne, sam, bez pary, u siebie w domu, jakbym nie był sobą, lecz moim zwinnym, atletycznie zbudowanym sąsiadem o kościstych rysach twarzy i wypielegnowanym wąsiku – klarowny przypadek zarażenia poprzez patrzenie i słuchanie, przypadek *mimesis* – zachęcony w gruncie rzeczy własną zadumą. Zorientowałem się (tak się tylko mówi), że po salonie, nie tak przestronnym jak ten naprzeciwko i z meblami, posuwam się krótkimi, szybkimi krokami, nie wiem, czy wijącymi się, stopy i biodra poruszają się szaleńczo, głowa kiwa się do rytmu, ramiona mają w tym tylko niewielki udział, są trochę zgięte i trochę rozwarte na wysokości klatki piersiowej, a w dłoniach trzymam otwartą gazetę, której rzecz jasna nie czytam, chwyciłem ją, żeby mi służyła jako element równowagi w tańcu, tak przypuszczałem. I wtedy nagle się zawstydzilem, ponieważ rzucając kolejne prawdziwe spojrzenie w stronę autentycznych tancerzy, gdy spojrzałem na nich naprawdę, a nie zatopiony w myślach, wywnioskowałem, że musieli wyłowić uchem moją muzykę w trakcie jakiejś króciutkiej przerwy w swojej – okno było otwarte, podobnie jak dwa z ich wielkich okien – i podążając jej śladem, zlokalizowali mnie bez trudu; i rzecz jasna patrząc na mnie, dobrze się bawili (stróż stróżowany, łowca złowiony, szpieg szpiegowany, tancerz obtańcowany); bo teraz nie tylko wszyscy czworo tańczyliśmy absurdalnie i opętańczo do ich choreografii, lecz doszło też do innego zarażenia, tym razem przeskoczyło ode mnie na nich: musieli uznać, że wpadłem na genialny albo fantazyjny pomysł, bo cała trójka trzymała w rękach rozłożone gazety, jakby tańczyli z ich stronami, każdy z gazetą w charakterze partnera.

Natychmiast się zatrzymałem, poczułem, że oblewam się rumieńcem, na szczęście dzięki odległości nie mogli tego dostrzec, na razie nie używali lornetki, co mnie się niekiedy zdarzało, gdy szpiegowałem wewnątrz roztańczonego salonu. Oni też od razu się zatrzymali, wychylili z okien

i zaczęli dawać mi znaki, machali do mnie na powitanie, w istocie dawali mi wyraźnie do zrozumienia, żebym zmienił miejsce pobytu i dołączył do nich, żebym nie tańczył samotnie, lecz przyszedł do nich i żebyśmy tańczyli razem w wesołym kwartecie. Zawstydziłem się jeszcze bardziej: jednym ruchem spuściłem w dół okno jak gilotynę, cofnąłem się, zgasłem światło, ściszyłem muzykę. Stałem się niewidzialny, niesłyszalny. Od tej chwili już nie będę mógł tak spokojnie ich obserwować, a raczej obserwować sąsiada najczęściej tańczącego samotnie, szkoda. Ale cała sytuacja także mnie rozbawiła i dostrzegłem jej zaletę: pomyślałem, że gdybym któregoś dnia albo którejś nocy poczuł się tak smutny, że nawet niezawodne kawałki Manciniego i inne, podobnie na mnie działające, nie mogłyby mnie podnieść na duchu, miałem otwartą drogę, mogłem poszukać towarzystwa i wspólnego tańca po drugiej stronie placu, w przestronnym, wesołym pomieszczeniu, którego mieszkaniem dawał odpór moim zdolnościom dedukcyjnym i domniemaniom, moim umiejętnościom interpretacyjnym, dawał odpór albo im się wymykał, co było takie rzadkie, że przydawało mu aury lekkiej tajemniczości. Ta perspektywa hipotetycznej wizyty, ten możliwy w przyszłości pretekst sprawił, że poczułem się jeszcze lżej. Wziąłem lornetkę z wyścigów końskich i spojrzałem zza framugi okna, schowany w głębi pokoju, ukryty przed ich oczyma, i po tym, jak się teraz poruszali, wydało mi się, że zmienili muzykę (wrócili już wcześniej do tańca po mojej ucieczce w popłochu i po zaciemnieniu), wyjąłem więc płytę z odtwarzacza i chciałem zastąpić ją utworem z „Dotknięcia zła” pod tytułem „Background for Murder”, mimo tytułu – „Tło dla morderstwa” – wcale nie ponurym. Pomyliłem się jednak, nastawiając płytę po ciemku, tylko przy oszczędnym świetle księżycowych latarni, i zamiast tego utworu rozległ się niespodziewanie inny, całkowicie odmienny, już nie jazz, lecz pianola, nazywał się „Tana’s Theme”, potem przeczytałem to na odwrocie płyty, słabo już pamiętałem ten kawałek ze ścieżki dźwiękowej i sam film

(bardziej zapomniałem film, powinienem kupić sobie bezzwłocznie odtwarzacz DVD, niemal przestałem oglądać filmy w Londynie), aczkolwiek powolutku, zza dźwięków przypominających katarynkę, z mgły zaczęła mi się wyłaniać postać Marleny Dietrich z czarnymi włosami, w dojrzałym wieku, ubranej jak wróżka stawiająca karty albo ktoś taki, grającej również rolę Meksykanki – jeszcze trudniej w to uwierzyć, ale i temu dawało się wiarę – a może, sam nie wiem, jakiejś bezpaństwowej Cyganki na granicy meksykańskiej w tytułowym miasteczku Tana.

To była melancholijna melodia, trudna do tańczenia w pojedynkę, muzyka pożegnalna, i nie miała nic wspólnego z podrygami i skokami – naprawdę zupełnie do nich nie pasowała – jakie moi sąsiedzi wykonywali teraz w oddali, aczkolwiek ja ich widziałem z bliska, przez lornetkę. Zostawiłem ten kawałek, zasłuchałem się, katarynka zawsze przypomina mi dzieciństwo, było wtedy dużo katarynek w Madrycie, dziś też można się na jakąś natknąć, ale to już nie to samo, nie jest częścią pejzażu, lecz przynętą dla turystów; gdy słuchałem tej katarynki, nastawionej przez pomyłkę i wybrzmiewającej spokojnie, powoli, raz i drugi (jakby naprawdę to była pianola z klawiaturą poruszającą się samoistnie, niczym muskaną palcami ducha), przed oczyma przesuwwały mi się obrazy ulic z tamtych czasów, ulicy Genova i ulicy Covarrubias, i ulicy Miguel Ángel, obraz czworga dzieci maszerujących tymi ulicami ze starą służącą albo z moją wtedy młodą, jeszcze żyjącą matką (obie też są już duchami), obraz mojego rodzeństwa i mój, trzech chłopców i dziewczynki, ona trzyma mnie za rękę, idzie obok, jest najmłodsza, a ja następny z kolei, licząc od dołu, to bez wątpienia zbliżyło nas do siebie.

Wydaje się dziwne, że chodzi o to samo życie, pomyślałem. Wydaje się dziwne, że jestem jedną i tą samą osobą, tamten chłopiec z trojgiem rodzeństwa i ten siedzący w półmroku mężczyzna, który własne dzieci ma tak daleko i nie widuje ich nigdy, i jest trochę samotny tu, w Londynie. „Jak

mogę być tym samym człowiekiem?”, zastanawiał się na głos Wheeler w ogrodzie swego domu nad brzegiem rzeki tamtej niedzieli chwilę przed obiadem. „Jakże ten starzec”, powiedział do siebie i do mnie, „mógłby być tamtym mężczyzną, mężem bardzo młodej kobiety, która pozostała taka na zawsze, bo tak młodo umarła?” Peter wolał odłożyć opowieść o tym na kiedy indziej, („Jak umarła pańska żona, dlaczego umarła?”, brzmiało moje pytanie), z pewnością na chwilę, która nigdy nie nadejdzie albo nie na tym świecie, lecz przy odrobinie szczęścia na Sądzie Ostatecznym, jeśli ten kiedykolwiek się odbędzie: było oczywiste, że mówienie o żonie wiele go kosztowało albo że nie chciał mówić. Ja natomiast nadal rozpoznawałem siebie w tym mężczyźnie, który ożenił się z Luisą, wróciwszy z pobytu w Anglii, ten pobyt powinienem teraz nazywać pierwszym, ślub odbył się niedługo potem. Minęły lata, ale nie aż tak wiele, i w odróżnieniu od tego, co przytrafiło się Wheelerowi z jego żoną, Val albo Valerie, Luisa towarzyszyła mi przez wszystkie dni mego powolnego starzenia się, tak przynajmniej było do chwili odprawienia mnie i banicji. Zrozumiałem, że bardziej niż muzyce i spontanicznemu tańcowi zawdzięczam swoje poczucie lekkości całej rozmowie z Luisą, a szczególnie jej ostatniej części i mojemu optymistycznemu, może bezpodstawnemu przypuszczeniu, że nikt jeszcze nie wkroczył w jej życie, nie do końca, a zatem nie wprowadził się do mego domu, by położyć głowę na mojej poduszce i zająć wszystkie miejsca należące kiedyś do mnie.

Może powinienem się trzymać tej pracy jeszcze jakiś czas mimo wszystko, mimo Pérez Nuix, mimo Tupry, myślałem, zasypiając w fotelu z lornetką na kolanach, ubrany, siedząc niemal po ciemku, ukołyszany muzyką katarynki, a może pianoli, która grała bez końca swoją pożegnalną melodię (żegnajcie dowcipy; żegnajcie wdzięki; żegnajcie śmiechy i żegnajcie zniewagi), przekonany, że tej nocy będę wreszcie dobrze spał bez przykrych niespodzianek, bez żadnych dręczących koszmarów lub

poczucia, że coś ciężkiego jak ołów zalega na mej duszy. Taką mi dała radę: żebym trzymał się tej pracy, o której sama nic nie wie, naprawdę nic a nic. Nie chodziło jej o moje zarobki, w tej kwestii mówiła poważnie, faktycznie posyłam jej więcej niż trzeba i sama to powiedziała ze zwykłą dla niej uczciwością, nie zmieniała się dlatego, że jest teraz sama. Ale dobrze, że niemal pławią się w luksusie, to też powiedziała, cieszę się, że mogę im to zapewnić, chociaż trochę chyba przesadziła, a wszystko dzięki tej pracy, która jeszcze się nie kończy, zawsze będzie jeszcze coś, jeszcze trochę i dlaczego właściwie jej nie ciągnąć, minutę, włócznie, sekundę, gorączkę i jeszcze jedną sekundę, sen (ale potem zawsze przychodzi ból i miecz, i mijają dni i tygodnie, i miesiące, a może i lata). Zdarzenia przedwczorajszej nocy, to, co wówczas widziałem i słyszałem, dzisiejszego wieczoru zaczynają już tracić ostrość i z pewnością zatrać się z upływem dni dzięki naszej zdolności do wymazywania wszystkiego, mamy wielką umiejętność wymazywania, podobnie jak tymczasowego zaprzeczania i przejściowego zapominania, i możliwe, że z tamtymi zdarzeniami będzie w końcu tak jak z plamą krwi na podeście schodów, nie mogę już przysiąc, że ją tam widziałem, bo wytarłszy plamę do czysta, otworzyłem drzwi zwątpieniu, jakkolwiek jedno zdawało się wykluczać drugie: skoro wiem, że wytarłem plamę, jak mogę wątpić w jej istnienie; a przecież tak się dzieje, człowiek wyciera lub wymazuje i już nie ma tego, co wytarte i wymazane; a skoro nie ma, jak można być pewnym, że kiedyś naprawdę było albo że było kiedykolwiek; gdy coś znika bez śladu, nie zostaje nawet obwódka, gdy ktoś znika i nie ma jego zwłok, można wówczas zwątpić w jego faktyczne istnienie, nawet w to przeszłe i zaświadczone. Można zatem zwątpić w istnienie mego wuja Alfonso, matka znalazła tylko jego fotografię zrobioną po śmierci i teraz ja tę fotografię przechowuję, ale nie znalazła jego ciała. Można zatem zwątpić w istnienie Andrésa Nina, nie wiadomo, gdzie jest pochowany ani czy w ogóle został pochowany (może

w wewnętrznym ogródku pałacu w El Pardo i tam przez trzydzieści sześć lat jego kości wzdrygały się, ilekroć czuły niespieszne kroki swego wroga na anonimowym, a raczej zapoznanym grobie). Można zwątpić w istnienie Valerie Wheeler, dla mnie nie jest ani żywa, ani umarła, skoro nikt mi o jej życiu i śmierci nie opowiedział, jest tylko imieniem, a i to imię może być wymyślone i może lepiej, żeby tak było (i pewnie dlatego wieczny wdowiec przestrzegł mnie: „W gruncie rzeczy nigdy nie powinno się niczego opowiadać”). To, co wydarzyło się przedwczorajszej nocy, w czym wziąłem udział w tym kraju, który kiedyś znowu stanie się dla mnie „innym krajem”, będzie coraz bardziej zamglone, nierzeczywiste, szczególnie jeśli się nie powtórzy, a ja o tym nikomu więcej nie opowiem ani nie będę dalej o tym myślał, wówczas zostanie w pamięci co najwyżej jako zły sen, a po każdym śnie, w którym dzieje się coś odrażającego i gwałtownego, co sami powodujemy albo czemu nie zapobiegamy, zawsze można powiedzieć: „Och, nie, ja nie chciałem, nie miałem takiego zamiaru, nie brałem w tym udziału, nie mam z tym nic wspólnego, to nie był mój wybór, nic na to nie mogę poradzić...”. Tak myśli śniący i wszyscy tak myślimy, któż tak od czasu do czasu nie myślał. Ale póki sen trwa, jesteśmy bezpieczni i wcale nie chodzi o to, żeby kończyć go przed czasem, lepiej pozwolić mu się wyśnić do końca, by można w ten sen uwierzyć.

Nagle – albo nie tak nagle, zajęło mi chwilę, żeby to sobie uświadomić – zobaczyłem, że zgaszone są światła naprzeciwko, te u tancerzy, okna zamknięte. Zakończyli swoją próbę, gdy ja drzemałem bądź przysypiałem przy dźwiękach „Tematu z Tany”, ta pianola nie przestanie grać, dopóki nie zmuszę jej do tego pilotem, inaczej nigdy nie przestanie się żegnać (żegnajcie, weseli przyjaciele; bo ja umieram; więcej was nie zobaczę ani wy nie zobaczycie mnie; i żegnaj żarliwości, żegnajcie wspomnienia). Nie zwracałem wcześniej uwagi na to, co się dzieje na ulicy, nie podszedłem znowu do okna, żeby sprawdzić, kto wychodzi, która z dwóch kobiet, czy

jedna, czy obie, a może żadna, jeszcze mogłem wyrzucić teraz i poszukać wzrokiem zostawionego tam roweru, ale nawet gdyby go nie było, i tak nie miałyby to znaczenia, jego właścicielka równie dobrze mogła nie przyjechać rowerem tego wieczoru, mogła przyjechać autobusem, metrem albo taksówką, co zdarza się raz, nie musi wydarzyć się ponownie, chociaż mamy idiotyczną skłonność, by sądzić, że się wydarzy, szczególnie gdy chodzi o coś, co sprawia nam przyjemność; nie miałyby też znaczenia, gdyby ten rower tam był, mógł przecież należeć do kogokolwiek. W gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodziło, nie zamierzałem wyglądać przez okno, żeby przyjrzeć się placowi, jedyne, co mnie obchodziło, to kto wychodził albo nie wychodził z mojego domu, znaczy z domu Luisy i dzieci w dalekim Madrycie, albo kto do niego wchodził lub nie wchodził i kto w nim zostawał; a tego nie mogłem zobaczyć, nie nadawały się do tego oczy wyobraźni, na to już nie pozwalają. To nie moja sprawa, muszę wreszcie do tego przywyknąć, pomyślałem. Podobnie jak i to, na co wydaje Luisa moje niepotrzebne jej pieniądze, które posyłam w nadmiarze, chociaż mnie o to nie prosi, ona wie, co proszenie za sobą pociąga dla obu stron, teraz więc, gdy nie jesteśmy razem, woli poczekać i oszczędzić sobie tego: nie jest też moją sprawą, czy ulegnie tej samej pokusie co jej znajome i przyjaciółki i postanowi nie ryzykować, że skończy jako parias albo oberwaniec, postanowi nie czekać do jutra ani pojutrze, żeby zrobić sobie taki czy inny zabieg, jeżeli zechce, żeby zrobić sobie cięcia i implanty albo jak pani Manolia napompować się tymi paskudnymi zastrzykami botoksu, jeżeli to jej sprawia przyjemność, aczkolwiek nie wydaje mi się, by chciała iść tą drogą, nie, ta osoba, którą zostawiłem za sobą, osoba, którą znam, nie mogła zmienić się tak bardzo, nie na tyle, żeby zdradzić własną twarz; tak czy inaczej powinienem się trzymać tej pracy, zarabiać nadal tyle, ile zarabiam teraz, a nawet jeszcze więcej, móc zwrócić lub pokryć koszty każdego innego poważnego wydatku lub nagłej potrzeby, pomimo że nie do



mnie już należy troska o to, by ją chronić, ani staranie się o to, żeby była zadowolona: ale czy można się uwolnić od takiej skłonności, od takiego nawyku, jak można przestać o tym myśleć?

Wyłączyłem pilotem katarynkę albo pianolę, już najwyższy czas, przebrałem miarę, wystawiłem się zanadto na ryzyko wspomnień, chociaż słuchanie na okrągło tej samej muzyki nie znudziło mnie. Pomyślałem, że jeśli usnę teraz na dobre w fotelu, ubrany, obudzę się w środku nocy zgębiony ołowianymi snami, zdrętwiały, zziębnięty, z uczuciem, że jestem brudny. Ale nie miałem w sobie dość energii, żeby wstać, przenieść się do sypialni i przynajmniej się położyć. I bez akompaniamentu muzyki, w zupełnej ciszy, teraz już rzeczywiście zrobiło się późno, nie jak na Madryt, lecz jak na Londyn, a tam właśnie byłem, jeszcze jeden mieszkaniec tej wielkiej wyspy, dla niektórych ojczyzny, jak na przykład dla Bertrama Tupry, ale nie dla mnie, dla mnie była tylko innym krajem, w którym nie ma rolet ani nawet zasłon, ani firanek w oknach i przez to do każdego pokoju wciska się księżyc przy bezchmurnym niebie albo światło księżycowych latarni podczas zachmurzenia, jakby zasypiając na tej wyspie, należało mieć jedno oko zawsze otwarte, pomyślałem: muszę się przyzwyczaić do myśli, że nie odgrywam teraz żadnej roli i nic nie znaczę w tamtym domu, w tamtej pościeli, której już nie ma, bo została podarta na szmaty i ścierki, nim jeszcze zrobiła się stara i poprzecierana, na tamtej poduszce. Jestem tylko cieniem, śladem albo nawet nie tyle. Afazyjnym szeptem, zapachem, który się ulotnił, i gorączką, która opadła, zadraśnięciem bez strupka, strupek odpadł dawno temu. Jestem jak ziemia pod trawnikiem albo jeszcze głębiej, jak niewidzialna warstwa pod zapadniętą ziemią, zmarłym, którego nie oplakano, bo nie zostały po nim zwłoki, duchem, którego ciało odpada, i imieniem zaledwie dla tych, którzy nadejdą potem i nie będą wiedzieli, czy imię nie jest zmyślane. Będę obrysem plamy, która na próżno stawia opór, bo ktoś rozmyślnie skrobie

i czyści drewno, i wyciera ją do czysta; albo śladem krwi, który bardzo trudno wytrzeć, ale który w końcu znika i przepada, jakby go nigdy nie było, jakby nie było wylanej krwi. Jestem jak śnieg na ramionach, śliski i uległy, a śnieg zawsze topnieje. Nic więcej. A raczej tak: „Pozwól, by to się stało niczym, pozwól, by było tak, jakby nigdy się nie zdarzyło to, co było”. Tym właśnie będę, tym, co było i już nie jest. To znaczy będę czasem, tym, co nigdy nie widziane i czego nikt nigdy zobaczyć nie może.

**IV**  
**Sen**

„Oprócz tego wydaje mi się, że czas jest jedynym wymiarem, w jakim mogą rozmawiać i komunikować się żywi i umarli, jedynym, który jest im wspólny”, tak właśnie, jak sprawdziłem dużo później w Madrycie, brzmiał dokładnie cytat, który ja wyszeptałem w wersji przybliżonej w obecności Wheelera w jego ogrodzie nad rzeką zaraz po tym, gdy on powiedział: „Mowa, język są nam wszystkim wspólne, nawet ofiarom i ich katom, panom i ich niewolnikom oraz ludziom i ich bogom... Jedyni, którzy nie mają wspólnego języka, Jacobo, to żywi i umarli”. Nigdy tego cytatu dobrze nie rozumiałem, a Wheeler, który mógł go być rozumieć dzięki swej większej wiedzy, nie usłyszał mnie wtedy albo nie chciał zwrócić uwagi, albo wziął owe słowa za moje i zlekceważył je, słowa, które nie były moje, lecz kogo innego, znamienitszego ode mnie, były słowami zmarłego napisanymi za życia, napisał je w 1967 roku, a zmarł w 1993, ale teraz był tak samo nieżywy jak poeta Marlowe, aczkolwiek ten ostatni wyprzedził go swą śmiercią o równo czterysta lat, ten syn szewca urodzony w Canterbury (mieście Hewletta Johnsona, przekłętą dziekana, za którego przyczyną, chociaż pośrednią i idiotyczną, mógł zostać rozstrzelany mój ojciec na długo przed moim urodzeniem) został zasztyletowany w 1593 roku, a studiował w Bene't's College w Cambridge, tym samym, które później nazwano Corpus Christi. Może nierozmawianie zrównuje, może ostateczne zamknięcie zrównuje natychmiast i upodabnia, i spaja silną, nieznaną wcześniej więzią wszystkich, którzy zamilkli od początku czasu, pierwszego z ostatnim, który po chwili staje się już przedostatnim, i czas w całości ulega spłaszczeniu, znikają podziały, rozróżnienia, zanika odległość, ponieważ czas przestaje mieć znaczenie, gdy tylko się skończy –

gdy tylko się skończy własny czas każdego – choćby liczyli go nadal ci, którzy zostają, choćby liczyli czas własny, a także czas pustki po tych, którzy odeszli, jakby pewnego dnia ci ostatni mogli coś poradzić na to swoje odejście i przerwać swą nieobecność. „Mija dwadzieścia sześć lat, odkąd umarła moja matka”, mówimy, albo: „Wkrótce minie rok od śmierci mego syna”.

To właśnie ten, kto napisał te słowa, miał na myśli, kiedy je pisał, był moim rodakiem, nawet więcej, pochodził z tego samego, przez tyłu znienawidzonego miasta i przeżył jego oblężenie, pochodził z Madrytu jak ja. Kiedyś podczas pobytu w Lizbonie zaszedł na pełen zieleni cmentarz Os Prazeres, podążył alejami, wzdłuż których ciągną się rzędy miniaturowych mauzoleów, baśniowy światek dziwnych niskich, szarych domków z ozdobnymi spadzistymi dachami, cichych, schludnych i tajemnych – zarazem zamieszkałych i niezamieszkałych – i zaczął się przyglądać małym salonikom, we wnętrzu wielu grobowców można zobaczyć ich fragmenty przez szklane drzwi, każdy salonik „z kilkoma krzesłami albo dwoma fotelikami obitymi tapicerką, ustawionymi przy nakrytym haftowaną chustą, okrągłym stoliku, na którym leży otwarta jakaś pobożna książka, stoi fotografia nieboszczyka w srebrnej ramce, wazonik z nie wędnącymi nigdy kwiatkami i od czasu do czasu popielniczka”. W jednym z takich saloników, „które starają się być przytulne”, podróżny dostrzegł parę butów, skarpetki i kilka brudnych ubrań wystających spod jednej z trumien; w innym kilka kieliszków do wina; w jeszcze innym karty do gry, jak sądził. „W moim odczuciu”, napisał mój krajan, „celem tej dekoracji nie jest nic innego jak przydanie odwiedzinom u zmarłych rodzinnego charakteru, zwyczajnego i wygodnego, żeby nie różniły się zanadto od odwiedzin u żywych”. To znaczy nie widział związku między tym obyczajem i obyczajem starożytnych Egipcjan, którzy dokładali starań, by zmarłym – przynajmniej tym ważnym – w ich wiecznej, zadekretowanej

i przypieczętowanej izolacji nie zbywało na niczym, czego używali i co cenili za życia, wiązał to raczej „z potrzebą żywych, by doznać w tym miejscu ciepłego przyjęcia, niż z pragnieniem nadania pobytowi tam zmarłego przyjemnej domowej atmosfery”. I dodawał, wyraźnie świadom ironii zawartej w tych słowach: „Człowiek sobie wyobraża, że w tym miejscu to żywi szukają towarzystwa zmarłych, którzy jak zauważył Comte, nie tylko stanowią większość, lecz jest to w dodatku większość bardziej wpływowa i bardziej ożywiona”.

Ale najbardziej wstrząsnęła owym podróźnym „doskonała kompozycja”, jaką wypatrzył „z pewną niedyskrecją” w jednym z tych grobowych pokoi: oprócz dywanika, dwóch krzesełek i okrągłego stolika z rodzinną fotografią, krucyfiksem i sztucznymi kwiatami dostrzegł „budzik, taki, jakie widywało się w kuchniach naszych rodziców, okrągły, z dzwonkiem w kształcie kulistej mycki i na dwóch okrągłych nogach”. Naturalnie wszyscy, on i jego towarzysze, przytknęli uszy do drzwi, żeby posłuchać „tykania tak niezwykłego, że do tykania normalnego miało się jak krzyk do szeptu”. I tamten widok oraz tamto głośne tykanie wywołały refleksję zwieńczoną cytatem, którego nigdy dobrze nie zrozumiałem, dlatego go pamiętam i daje mi do myślenia. „Czy było tak”, zastanawiał się, „że – podobnie jak ludzie pogrzebani żywcem u Edgara Allana Poe’go – ten budzik usiłował przypominać żywym makabryczny akt zapomnienia o człowieku, który pozostawił go w tym miejscu? A może potrzebny był ten donośny głos, by głuchym, którzy go otaczali, uświadomić, że czas jest odmierzany?” A potem podróźny przechodził do sedna sprawy, do prawdziwej kwestii unaocznionej przez ten przestarzały zegar, na pozór najbardziej bezużyteczny i zbędny ze wszystkich budzików: „Cóż on właściwie odmierzał? Zadaję sobie to pytanie”, zastanawiał się ten człowiek z mego miasta; tak, to było zasadnicze pytanie, „czy chodzi o czas, od jakiego nie żyją; czy – liczymy od tyłu, jak teraz jest w zwyczaju – o czas,

jaki pozostał do Sądu Ostatecznego. Czy chodzi o godziny samotności – odmierzał te już przeszłe czy te, które jeszcze miały nadejść? Żaden inny zegar – w dodatku tak zwyczajny – nie wydał mi się nigdy umieszczony w lepszym miejscu i nie był lepszym powodem do rozmyślań. Pomyślałem z niejakim zdumieniem, że religia, która kładzie taki nacisk na ten niepewny czas oczekiwania, nie zatroszczyła się o to – nawet ten, kto postawił ten zegar – by ulżyć duszy, odmierzając jej udrękę; przecież gdy dusza oczekuje zmartwychwstania ciała, czy jest coś, co lepiej niż zegar da jej wyobrażenie nie tyle o czasie oczekiwania, jaki jej jeszcze pozostał, ile o tym, jak długo już czeka?” I tu właśnie pojawiały się albo zostały wstawione te zagadkowe słowa: „Oprócz tego wydaje mi się, że czas jest jedynym wymiarem...”, już je przytoczyłem dosłownie wcześniej. Po tych słowach następowało coś jeszcze, ale nie pomagało ich objaśnić i w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia, często nie można też zrozumieć Szekspira, to znaczy zrozumieć dokładnie, a przecież ilekroć tworzy jakąś niejasną metaforę lub olśniewającą dwuznaczność, odsłania dziesięć różnych ścieżek albo odnóg (odsłania je, jeżeli nadal patrzysz i myślisz głębiej, niż wynika to ze zwykłej konieczności, jak zalecał nam ojciec, i jeśli dotarłszy do miejsca, w którym normalnie powiedziałbyś, że nic więcej już nie ma, dopingujesz sam siebie do wysiłku i mówisz sobie: „I co jeszcze?”); „w tym sensie”, dodawał podróżny, „ten niepokojący budzik niczym *deus ex machina* pozwala w wygodnym, zatęchłym saloniku odprawić misterium dialogu między żywym i umarłym”. I nie było już więcej komentarzy, a raczej był jeden, konieczny po takim przebywaniu w widmowym czasie albo w czasie umarłych: przed postawieniem ostatniej kropki podróżny wrócił na chwilę do czasu żywych i wspomniął, jak to „już przy wyjściu” zadał takie oto dwa pytania jednemu ze swych towarzyszy (*notabene* komuś o imieniu Valdemar, jak postać z Edgara Allana Poeego, ni

mniej, ni więcej): „A co się dzieje, kiedy dzwoni w nocy? Myślisz, że śpiący tu ludzie poruszają się?”.

Można teraz zadać te same pytania w odniesieniu do niego, czyli mego krajana zmarłego dwadzieścia sześć lat po tamtej podróży albo po sporządzeniu tamtych zapisków, mimo że nie został pochowany w małym, pełnym zieleni świecie Os Prazeres, lecz jak sam sobie wcześniej zażyczył, na schludnym cmentarzu La Almudena w naszym rodzinnym mieście, gdzie leży także moja matka od dwudziestu sześciu innych lat, jej lat. I można również zadać to samo pytanie w odniesieniu do nich wszystkich: a co, jeżeli zamiast trwać w milczeniu, rozmawiają ze sobą w czasie oczekiwania i tą silną, nieznaną wcześniej więzią, która ich ze sobą zrównuje i upodabnia jednych do drugich, i spaja, nie jest ostateczne zamilknięcie, ale ciągła rozmowa przez cały nieskończony czas, który uparty zegar odmierza i odmierza swym niesamowitym tykaniem, a jego przesadnie głośny dzwonek nigdy się nie odzywa? Czas aż nadto wystarczający, by opowiedzieli jedni drugim wszystko, co pamiętają ze swego snu – bardziej niż ze swej jawy – co zrobili i co się im przydarzyło, i co powiedzieli, czas wystarczający, by powtórzyli to raz i drugi, aż wszyscy nauczą się na pamięć historii pozostałych, to znaczy aż każdy nauczy się historii wszystkich i wszyscy historii każdego. Czas wystarczający, by każdy mężczyzna, który postawił stopę na ziemi od jej początku, i każda kobieta, która przemierzyła świat, opowiedzieli reszcie całą swoją opowieść, od początku do końca, a końcem jest to, co ich zaprowadziło do grobu albo wyгнаło ze świata żywych, tak że dołączyli do tej innej, bardziej wpływowej i liczniejszej kompanii, bardziej ożywionej, a możliwe, że i obdarzonej większym dowcipem i polotem, na pewno bardziej rozleniwionej i niefrasobliwej, bez większych trosk i obowiązków. Czas, którego starcza nawet na przekazanie informacji i wymyślenie opowieści o istotach, które nigdy nie istniały, i na opowiedzenie czynów, które nigdy



się nie wydarzyły, bajek i fantazji, i gier, którymi można wypełnić to długie oczekiwanie, tak by nigdy nic się nie powtórzyło. I tak oto wrócilibyśmy znowu do naszego normalnego stanu, czyli znowu nie wiedzielibyśmy, co jest prawdą, a raczej co naprawdę się zdarzyło.

I moglibyśmy wtedy zapytać, jak rozmawialiby ci, którzy umarli gwałtowną śmiercią, z tymi umarłymi, którzy ich zabili albo wydali rozkaz, żeby ich zgładzić – możliwe, że nigdy jedni drugich nie widzieli – kiedy już wszyscy będą zrównani i wszyscy sobie podobni, aczkolwiek tylko pod jednym względem, pod tym, że nie żyją – a to w gruncie rzeczy nic nie znaczy – a zatem także zmarli nie gorzej niż żywi potrafiliby się odróżnić. I można by zapytać, jaką wersję by opowiedzieli, nie Sędziemu, któremu się nie kłamię i który jeszcze się nie zjawił i spóźnia się tak bardzo, bo nie ma żadnego Sędziego, nigdy nie było ani nigdy nie będzie, nie przywoła go zbiorowa tęsknota ani zwykłe naleganie (możliwe też, że on sam nie ma śmiałości stanąć twarzą w twarz z takim niezmiernym kwękającym, a może i urażonym lub gorzej, szyderczym tłumem, tak więc sam odwleka do jutra, zawsze do jutra to koszmarnie doświadczenie, do którego się zobowiązał z własnej pychy; odkłada je w nieskończoność powodowany przemożnym strachem albo lenistwem); lecz jaką wersję opowiedzieliby jeden drugiemu i obaj całej reszcie, zamęczony i kat albo podżegacz i ofiara, wiedząc, że czas terażniejszy, jeśli tak mogę go nazwać, a robię to już od dobrej chwili, byłby zbyt długi, zbyt nieznośnie długi, by można uwierzyć, że nie było tego, co było.

Zdążyłem tylko odpowiedzieć mu jednym albo dwoma zdaniem, zdążyłem uśmiechnąć się do siebie i poczuć jakiś cień współczucia oraz lekkie rozbawienie jego uwagami na temat ostrych, nienaturalnych rysów nadawanych przez botoks niektórym twarzom, twarzom diw i zwykłych Ziemiaków, i te uwagi skłoniły mnie do wniosku, że w globalnej głupocie De la Garzy są jednak niespodziewane szczeliny; zdążyłem nawet nabrać ochoty na słuchanie go dłużej, na jeszcze trochę paplaniny i nonsensów, na więcej komicznych porównań, a nawet zdążyłem zastanowić się szybko, czy uczucia, jakie on we mnie wzbudza, są trochę podobne (zachowując wszelkie proporcje) do uczuć, jakie ja wzbudzam w Tuprze: bawiłem go, lubił nasze sesje pełne domysłów i analiz, nasze rozmowy czy też po prostu lubił mnie słuchać („Co jeszcze?”, dopytywał. „Co ci jeszcze przychodzi do głowy? Powiedz mi, co myślisz i co jeszcze zauważyłeś”).

Wszystko to trwało ledwie chwilę, a może zdarzyło się równocześnie i dlatego na wszystko starczyło mi czasu, może odtworzyłem to i przemyślałem na nowo później, podczas przerwy na drzemkę w fotelu albo już w łóżku, nie mogąc się uwolnić od uporczywego niepokoju, gdy już skończył się ten wieczór, taki długi, pełen nieporozumień i przykry. Wcześniej De la Garza na swój sposób mnie oświecił na temat owego niegdyś trującego, a dziś najwyraźniej nieszkodliwego produktu i rzucił kilka komicznych, impertynenckich uwag na temat jego fanatycznych użytkowniczek i entuzjastek o dziwnym wyrazie twarzy, na koniec powiedział tak: „Nie uważasz, że ma taki wyraz twarzy, jakby była lekko szurnięta?”, mając na myśli kogoś, kogo nazwał „byłą żoną tego gościa, co się chajtnął z naszą aktorką” – zrozumiałem go doskonale, to jeden z minusów albo plusów bycia rodakami – wysoką kobietę, która miała

równocześnie twarz kogoś bardzo wysokiego: to już jest większy problem z takim typem twarzy, bez względu na to, czy ktoś jest wysoki czy niski. „Pewnie wstrzykuje to sobie litrami w policzki i koło oczu, wygląda, jakby tych oczu nie mogła zamknąć, może śpi z otwartymi. Zupełnie tak samo, kurde, jak ta Flavia. Z którejkolwiek strony na nią spojrzysz, wygląda jak jakiś chochlik”. Stał tam przebrany jak na karnawał i z rozwiązanymi, w dodatku długimi sznurowadłami, łatwo mogły mu się zamoczyć na podłodze w toalecie, nawet w tak mało uczęszczanej jak ta, w toaletach publicznych podłogi zawsze są mokre. Cudem nie przytrafiło mu się nic złego, szczególnie kiedy płaśał jak opętany w trakcie ostatniego tańca, który przerwaliśmy, żeby ratować panią Manoię od zadawanych pseudotupecikiem razów oraz – jak Tupra powiedział mi później, już u siebie w domu – żeby uratować De la Garzę od czegoś jeszcze gorszego.

– Może wszystkie chochliki śpią z otwartymi oczami. – Tylko taka odpowiedź przyszła mi do głowy jako wstęp do żartu albo złośliwości; chciało mi się śmiać, a nie zamierzałem pozwolić, żeby on wziął mój śmiech za rozgrzeszenie bądź za pochwałę (bardzo był zarozumiały ten attaché), poszukałem więc innego pretekstu, wymyśliłem go na poczekaniu: – Ty ze swoją cholernie dużą wiedzą na temat światowej literatury fantastycznej, łącznie ze średniowieczną, powinieneś to dobrze wiedzieć, Rafael. – I udałem, że śmieję się z własnych słów, podczas gdy naprawdę śmiałem się z jego złośliwych uwag. Wprowadziłem jednak od razu inny wątek, żeby osłabić ewentualny raniący efekt mego sarkazmu (zdążyłem zatem powiedzieć raczej cztery zdania albo pięć): – Masz rozwiązane sznurowadła – i wskazałem palcem na jego stopy.

De la Garza spojrzał na dół, nie zmieniając pozycji: teraz, gdy doszedł już do siebie po mdłościach, szaleńczym tańcu i zawrotach głowy, musiał prawdopodobnie uznać, że jego pozycja jest szykowna – stał ni to oparty, ni to uczepiony dziwnej cylindrycznej barierki z metalu – mimo że

w prozaicznej przestrzeni i bez publiczności (nie przypuszczał, że mógłby zrobić wrażenie na mnie). Przyjrzał się z wysoka swoim butom, z jakimś niewytłumaczalnym współczuciem, jakby nie były jego, lecz kogoś innego – moje – i nie wykonał natychmiastowego ruchu, którego można było oczekiwać, nie schylił się, żeby je zawiązać. Potrafił zaskoczyć, jak każdy większego kalibru krety, potrafił też w jednej sekundzie na nowo zirytować i zgasić natychmiast mój życzliwy uśmiech, mój śmiech wewnętrzny, kiełkującą przychylność i cień współczucia.

– Ty mi je zawiąż, jestem jeszcze za bardzo pijany, żeby kucać, ciekawe kiedy, do kurwy nędzy, przyjdzie wreszcie ten twój jebany koleżka w swojej jebanej kamizelecze i przyniesie tą jebaną działkę koki, coście mi ją obiecali. Zrób może od razu podwójny supelek, na wszelki wypadek. Korona ci z głowy nie spadnie.

Chyba najgorszy był ten ekstrawagancki koniec, to: „Korona ci z głowy nie spadnie”. Rozwścieczyły mnie jego gówniarskie panicznykowane maniery. Sam pomyślał, że mógłbym rzucić się na podłogę ubikacji, choćby była to ubikacja nie wiem jak czysta i luksusowa, by wiązać sznurówki temu kutasowi, który w dodatku popisywał się rozmyślnie swoim niewyparzonym językiem (raz „kurwa” i trzy razy „jebany” w jednym zdaniu to za dużo, zawsze zabrzmie sztucznie) i ciągle pakował mnie beztrąsko w kłopoty; i tylko dlatego, że akurat przyszło mu to do głowy i uznał taki pomysł za całkiem naturalny i wykonalny, nie widząc w nim nic niewłaściwego ani nadzwyczajnego; że rzucił to jak zachciankę albo niemal jak polecenie, a w tym szykownym i idiotycznym miejscu dostałem już całkiem sporo poleceń od kogoś innego, kto mi płacił i mógł mi je wydawać, albo i nie mógł, albo do pewnego stopnia; i wcale nie był niepełnosprawny, nie był kaleką, nic z tych rzeczy, tylko akurat nie chciało mu się schylić... Niektórzy ludzie nie znają miary i zawsze cię zaskakują, choćbyś był nie wiem jak przygotowany, tacy ludzie są po prostu niemożliwi. Nie wiem, co

bym mu odpowiedział ani co bym zrobił lub co bym jemu zrobił, nie wiem, bo na to wszystko nie starczyło mi czasu: chociaż może po kilku pierwszych sekundach osłupienia, kto wie, może byłbym się roześmiał jeszcze bardziej, ubawiony jego niebywałym tupetem. Nie zdążyłem jednak, bo wtedy właśnie wszedł Tupra albo Reresby, jak nazywał się owego wieczoru. Myślę, że kiedy wszedł, mnie błąkała się po głowie co najwyżej jedna krótka i prosta myśl, którą rozważałem już wcześniej, dostrzegłszy biczącą siatkę na włosy na szybkim parkiecie: „Chętnie dałbym mu w mordę”, to pewnie sobie myślałem, kiedy drzwi się otworzyły.

Musiało już minąć zapowiedzianych przez Tuprę siedem minut albo dziesięć, a może dwanaście, zajął się pewnie różnymi sprawami, wyjaśnił wszystko z Flavią i zadbał o jej odpowiedni wygląd, odprowadził ją do męża, jemu przedstawił jakieś wytłumaczenie, poprosił o wybaczenie, że musi znowu się oddalić, i – ponieważ ja byłem zajęty w innym miejscu – zostawić ich dwoje samych, pomyślałem, że może teraz Tupra zostanie z attaché – ale o czym by rozmawiali? – a mnie wyśle do stolika, żebym zajął się Włochami. Od razu jednak spostrzegłem – jego postać pojawiła się w całej okazałości, jakbyśmy mogli równocześnie widzieć go z przodu i z tyłu – że ma płaszcz, nie włożył go na siebie, lecz narzucił na ramiona jak Włoch albo zarozumiały Hiszpan, albo może bogaty Słowianin, i że drugi płaszcz ma przewieszony przez ramię, były dwa płaszcze, jego jasny i drugi ciemny, przyszło mi do głowy, że ten drugi jest pewnie mój, i pomyślałem, że wychodzimy, że zdążył wcześniej je odebrać, przed przyjściem na nasze umówione naprędce i absurdalne spotkanie w tej toalecie dla inwalidów, żebyśmy potem, przy wyjściu, nie tracili czasu na szatnię („*Don't linger or delay*”, możliwe, że to była dewiza Reresby'ego).

– Wychodzimy? – zapytałem go.

Nie odpowiedział od razu, ale też nie zwlekał. Zobaczyłem, że wyjmuje coś z kieszeni – złożoną kilkakrotnie kartkę papieru? drewniany klin? kawałek kartonu? w pierwszej chwili nie mogłem dostrzec, co to jest – blokuje tym drzwi, zrobił to błyskawicznie, jakby nic innego nie robił od urodzenia, tylko blokował drzwi. Tych nikt nie dałby rady otworzyć, dopóki on ich nie odblokuje, widziałem, jak sprawdzał, popychając i ciągnąc mocno do siebie, dwa pewne szybkie ruchy, jeden po drugim, zauważyłem szczególne zdecydowanie i pewność, a nawet oszczędność każdego ruchu, jaki wykonywał.

– Nie, na razie nikt nie wychodzi – powiedział.

Sprawił wrażenie zamyślnego, a raczej jeszcze zajętego, zachowywał się, jakby był w pracy. Przerzucił ciemny płaszcz przez metalową poręcz, jedną z tych zamontowanych nisko, na wysokości naszych bioder, swój natomiast powiesił na poręczy zamontowanej wysoko, zdjął go z siebie jak pelerynę, mimo że nie był szczególnie rozkloszowany, wydał mi się natomiast trochę ciężki i sztywny, jak przetłuszczzone płaszcze żebraków albo jak płaszcze wykrochmalone. Ale nikt już nie używa krochmalu, tym bardziej do płaszcza. Jego był ponadto w sposób oczywisty drogi i nowy, z rodzaju tych płaszczy, które podkreślają szacowność swego właściciela, może wręcz zanadto, bo niemal wzbudzają wątpliwości.

– Najwyższy czas – pozwolił sobie na wyrzut De la Garza. I dodał po angielsku ze swoim przeraźliwym akcentem, zwracając się wprost do Tupry (to, że wcześniej zrobił uwagę na temat jego kamizelki, było prowokacyjne, wręcz podjudzające, biorąc pod uwagę, że sam był niebywale ubrany, to znaczy obraźliwie dla oka): – *It was high time, you know.* – W jego ustach dawały się zrozumieć tylko utarte zwroty właśnie dlatego, że tak znane i utarte, należał też do tych, którzy dodawali do wszystkiego „*you know*”, co od razu zdradza każdego, kto naprawdę nic nie wie; poza tym – miałem wyrobione zdanie na ten temat – nie był w stanie, pacan jeden, prowadzić

rozmowy po angielsku, gubił się, słysząc pierwsze zdanie podrzędnie złożone, jeśli nie wcześniej, a jego nie potrafił zrozumieć nikt, kto nie był jego rodakiem, mój niefart, i to nie tylko w tej kwestii, polegał na tym, że ja nim byłem. Zachowywał się, jakby już zapomniał, dlaczego tam się właściwie znalazł, jakby zapomniał, że zabraliśmy go od Flavii, bo inaczej zrobiłby z jej twarzy święty całun turyński, że jest naszym dłużnikiem i w jakimś sensie nas obraził jako jej towarzyszy i opiekunów: ja sam ich sobie przedstawiłem. Oto właśnie szczęście arogantów: nigdy nie czują się za nic odpowiedzialni ani nie mają wyrzutów sumienia, bo nie mają sumienia i są całkowicie nieodpowiedzialni, zbija ich z tropu i wprawia w zdumienie wszelka kara albo wszelki afront, jakkolwiek wcześniej sami na nie pracują z niestrudzonym zapałem, oni nigdy nie są niczemu winni i często udaje im się przekonać pozostałych, jakby zarażając ich tym swoim radosnym przekonaniem, i tym sposobem uniknąć wszelkich konsekwencji. Nie byłem pewien, czy tak właśnie miało być i tym razem. Pomyślałem, że Tuprze nie spodobał się ten pouczający ton; De la Garza dostał propozycję działki kokainy, nawet nie bezpośrednio, lecz przez osobę trzecią (przez rodaka i właściwie tłumacza), i w swojej radosnej arogancji uznał, że to wystarczy, by siedem albo dziesięć, albo dwanaście minut później domagać się tej działki, zupełnie jakby składał reklamację w sprawie przysługi lub prezentu.

Wcześniejszy ciężar, który poczułem, nagle wstając od stołu i kierując się w stronę toalet, stał się jeszcze większy w tym momencie; uczucie to nie opuszczało mnie ani na chwilę, lecz teraz się nasiliło, stało się bardziej dojmujące, zazwyczaj jest wynikiem kombinacji różnych przyczyn, strachu i pośpiechu, odrazy wobec nagiej siły, której jesteśmy zmuszeni użyć, nie dającej się przezwyciężyć uległości w sytuacji zagrożenia. Ta trzecia kombinacja nie mogła jeszcze występować u Rafity, on nie czuł zagrożenia. Natomiast u mnie teraz występowała raczej ta druga niż pierwsza, nie było

już strachu ani pośpiechu jak wtedy, gdy wstałem i odsunąłem krzesło, by ruszyć na poszukiwanie De la Garzy i Flavii, ale przeczucie (jeszcze nie przedsmak) wiszącego w powietrzu aktu przemocy, niemal nie do uniknięcia, jakby strzała tkwiła już w łuku i jakby cięciwę, aczkolwiek z ociąganiem, już napięło ramię ziewającego łucznika. Wszystko to emanowało z Tupry, chociaż to ja czułem niepokój, coś złowieszczonego, ukłucie w piersi zwiastujące jakieś nieszczęście. Tak, Reresby musiał należeć do ludzi, którzy nie dają znaków ostrzegawczych albo dają je tylko wtedy, gdy już niczemu nie służą, kiedy, jak by to powiedzieć, ostrzeżenie stanowi tylko fragment samej akcji karzącej, która już się dokonuje.

– To ci wynagrodzi czekanie – odezwał się uprzejmie, jeszcze nie wysyłał żadnego ostrzeżenia, przynajmniej nie werbalnie. Nie wiem, czy attaché go zrozumiał, ale to było bez znaczenia, bo Tupra sięgnął równocześnie dwoma palcami do kieszonki na piersi w swojej tak krytykowanej kamizelce i wyjął stamtąd starannie złożoną bibułkę. Tymi samymi dwoma palcami, środkowym i wskazującym, skierował zawiniątko w stronę De la Garzy: a raczej nie, nie zrobił nawet pół kroku, nie wyciągnął też ręki, tylko mu ten pakiecik pokazał, trzymając wysoko między palcami, jak dorosły przetrzymujący sekundę nagrodę wygraną przez dziecko, żeby ten dyplomata wyzuty z dyplomacji podszedł do niego sam i wziął go sobie; i Reresby zachęcił go, by to zrobił: – *Help yourself* – dodał, a to akurat zrozumie każdy niedorajda, który postawił stopę na angielskiej ziemi, „Poczęstuj się”. – Tylko z umiarem. Musi starczyć na całą noc. – Nadal wydawał się zajęty czym innym, jak ktoś, kto dopełnia formalności albo jeszcze oddaje się przygotowaniom. I jakkolwiek język angielski tego nie zdradza, zrozumiałem, że zwraca się do niego per ty.

A więc mówił prawdę, rzeczywiście ma to przy sobie, pomyślałem bez cienia zdziwienia: istotnie, nie było w tym nic szczególnego, że ktoś taki jak on dysponuje bez problemu gramem albo dwoma, a nawet większą



ilością kokainy, równie dobrze mógł ją dostać od policji z jakiejś konfiskaty; nie musiała być nawet przeznaczona na jego użytek, na użytek takich sytuacji jak ta teraz, mógł jej też używać jako przynęty albo symbolicznego wynagrodzenia, oferować za coś w zamian. Swego czasu Comendador używał koki, kiedy rwał laski, przypomniałem sobie ni stąd, ni zowąd, laska wsiadała do jego samochodu albo szła do jego mieszkania i w jednym albo w drugim miejscu często, choć nie zawsze, ją zaliczał, choćby ona tego nie miała w planach, gdy wsiadała do samochodu. To był jego język, „rwać laski”, „zaliczać laski”, pokrywa się po części z językiem tego imbecyla, mimo że obaj tak się od siebie różnią, bywało, że to był też mój język w innych czasach, w młodości, i nadal może bywa niekiedy – nie zapomina się żadnego sposobu mówienia, jestem w stanie odtworzyć wszystkie, które znam – kiedy to kobieta postanawia być po prostu laską, nikim więcej, i nie ma nic przeciwko temu, żebyś ją przeleciał bez wstępnych ceregieli i teatryku uczuć, albo kiedy ona cię przelatuje, wychodzi na to samo, rzadko której kobiecie nie zdarzyła się w życiu taka noc, gdy miała ochotę odegrać po prostu rolę bezrozumnego ciała, być grabieżcą bądź łupem, to bez znaczenia, nawet Luisa przeżyła takie noce w młodości, aczkolwiek nie są mi znane ich szczegóły, a możliwe, że i teraz przeżywa je znowu, podobnie jak mnie się to przytrafia tutaj od czasu do czasu, i kto wie, może i Luisie przytrafia się dzisiejszego wieczoru... Pérez Nuix też musiała znać takie noce, jest w takim wieku, że nie mogła ich jeszcze zaprzestać na dobre, to znaczy chwilowo lub pozornie, bo nic nigdy nie jest definitywnie skończone. Dzięki przynęcie Tuprze udało się sprawić, że przyprowadziłem tego piździelca do toalety dla niepełnosprawnych, a on bez szemrania dał się tu przytrzymać przez dziesięć albo dwanaście minut, niezły wynik. Osiągnął zatem to, co było najpilniejsze, zneutralizował De la Garzę, żeby ten nie skomplikował jeszcze bardziej spraw z panią Manoią i żeby Arturo się nie martwił, a przede wszystkim nie wściekł, to

z pewnością jest najważniejsze. Teraz jednak proponował mi kokainę, zastanawiałem się wobec tego, co jeszcze zamierza uzyskać w zamian, nim mu ją wręczy, może chciał go tą kokainą przekupić (powiedziałby potem: „Dobra, zatrzymaj sobie wszystko”), żeby zniknął, żeby z tej toalety skierował się wprost do drzwi wyjściowych, bez żadnych przystanków po drodze, ale to nie byłoby możliwe, musiałyby przecież zabrać ze sobą albo uprzedzić o swoim wyjściu hałaśliwych znajomych, chyba że ci, widząc jego opętany taniec, sami wcześniej wyszli, nie czekając. Reresby powiedział też do mnie na początku: „Trzeba tego kretyna zneutralizować, usadzić”, co znaczyło, *sensu stricte*, anulować go, a w sensie bardzo zbliżonym, unicestwić.

De la Garza wziął z jego ręki starannie złożony pakuneczek, może jeszcze nie napoczęty, widać było wypukłość. Nie powiedział nawet „*Thank you*”, sprawdził tylko brzegiem ozdobionej pierścionkami dłoni, czy drzwi są zamknięte, czyli dobrze zablokowane, i dopiero wtedy przystąpił do szykowania sobie działki na płaskim kawałku czarnego marmuru wokół zagłębienia umywalki. Zmienił jednak zdanie, gdy tylko wyjął portfel (może mimo wszystko nie dowierzał skuteczności klina Tupry, nie uważał go za dostatecznie pewną kłódkę), i trzymając pakuneczek w ręce, przeniósł się do jednej z kabin; rzecz jasna nie zamknął za sobą drzwi, wiedział, że uznalibyśmy to za obraźliwe lub podyktowane możliwym zamiarem poczęstowania się w nadmiarze. Nie przyjrzałem się tam wszystkiemu dokładnie podczas pierwszej bytności – po prostu rozejrzałem się pospiesznie w poszukiwaniu zbiegów – i nie zauważyłem wtedy, że oprócz poręczy zamontowanych wyżej, na wysokości naszych ramion, są też trzy albo cztery na wysokości bioder; na jednej z tych wyższych leżał przewieszony mój płaszcz, jeżeli istotnie był to mój płaszcz; nie zwróciłem też wcześniej uwagi na przestronność kabin, były co prawda tylko dwie, ale o rozmiarze pokoiów, wszędzie dużo miejsca, żeby ułatwić

niepełnosprawnym poruszanie się i umożliwić manewrowanie wózkiem inwalidzkim (nawet gwałtowne); na oświetleniu też nie oszczędzano, było doskonale, z pewnością po to, żeby nikt się o nic nie potknął, wszystko lśniło nowością i nieskazitelną czystością, nawet zapraszało do środka, nie było żadnych paskudnych elementów często spotykanych w toaletach publicznych. Naprawdę budziło podziw, jak pełnosprawni Brytyjczycy szanują to miejsce, że nie wpadają tam beztrosko, nie niszczą i nie robią w środku błota, co jest normą wśród mężczyzn, a i zdarza się wśród kobiet. Tak czy inaczej byliśmy tam teraz we trzech, wszyscy jeszcze pełnosprawni, i nie tylko wykorzystywaliśmy toaletę w niewłaściwym i na poły przestępczym celu, lecz uniemożliwiliśmy wejście do niej każdemu legalnemu inwalidzie w potrzebie, choć pojawienie się takiej osoby byłoby mało prawdopodobnym zbiegiem okoliczności; ale z naszej trójki intruzów dwóch było Hiszpanami, a z Hiszpanami, przynajmniej z większością nas, wiadomo, jak jest: wystarczy, że ktoś nam czegoś zabroni, a nie ustaniemy, dopóki nie złamiemy zakazu, zalecenia albo tylko prośby. Pomysł spotkania się w tym akurat miejscu i sprofanowania go wyszedł wszakże od jedyne go w naszym trio Anglika, nawet jeśli jego nazwisko brzmiało, nie wiem, jak fińskie, czeskie, tureckie czy rosyjskie; był to prawdziwy Anglik, całkiem możliwe, że patriota, w dodatku w tym akurat miejscu i tego wieczoru występował jako Reresby. Gdy używał zmienionego nazwiska, musiałem się naprawdę starać, żeby o tym nie zapomnieć: zawsze myślałem o nim jako o Tuprze i właśnie to nazwisko cisnęło mi się na język, nawet nie Bertram albo Bertie, gdy już poprosił i nalegał, by zwracać się do niego po imieniu.

De la Garza opuścił klapę sedesu, a pakuneczek i portfel położył na spłuczce za sedesem, ale zawahał się natychmiast, zdał sobie sprawę, że spłuczka jest biała, przełożył więc pakunek na klapę z bakelitu albo z czegoś podobnego, ciemnoniebieską, lśniącą i gładką, a potem ukląkł

przed sedesem, niemal siadając pośladkami na piętach (ach tak, teraz to może klęknąć, palant jeden, pomyślałem dotknięty do żywego; przed chwilą nie mógł się nawet schylić, żeby zawiązać sznurówki, i ja mu miałem wiązać supełki, a teraz może klęknąć, żeby sobie przygotować i wciągnąć kreskę koki. Mam nadzieję, że zapłącze się potem w te sznurówki i wyrżnie o ziemię, chętnie zawiążę mu szyję na supeł). Energicznym ruchem głowy odrzucił do tyłu siatkę – jakby odrzucał burzę włosów – żeby mu nie przeszkadzała, siatka zawisała z boku głowy; wyjął z portfela kartę kredytową, to była, jak zauważyłem, karta platinum, musiał mieć zazwyczaj większą gotówkę na swoich rachunkach bądź dysponował funduszami ambasady podzielonymi między kilka rachunków imiennych, nie każdemu wydają taką Visę Platinum. Ostrożnie i bez wielkiej wprawy rozpakował pakunek, widocznie brał tylko okazjonalnie; nie mając pod ręką nic innego, co mogłoby mu posłużyć jako patena albo taca, czubkiem karty przesypał maleńką ilość koki wprost na klapę sedesu, biały proszek odznaczał się na niej wyraźnie, co nie byłoby możliwe na białej porcelitowej spłuczce. Sztywną plastikową kartą uformował z proszku kreskę, nie chciał wziąć za dużo, nawet odsypał troszkę z powrotem do złożonej na pół, ale nie do końca zamkniętej paczuszki, którą zaraz odsunął na bok w nagłym poczuciu, że stanowi cudzą własność. Nie był szczególnie zręczny w manipulowaniu Visą, mieszał i formował na nowo linię, przyglądałem mu się w osłupieniu, stojąc przy wejściu do kabiny, Tupra został z tyłu, za moimi plecami, albo tak sądziłem, nie patrzyłem na niego, lecz na klęczącego Rafitę (nie miał wprawy, ale to była krótka operacja, taka przynajmniej powinna być). Kreska nie wydawała mi się ani zbyt długa, ani zanadto gruba w porównaniu z tymi robionymi dawniej przez Comendadora i jego kumpli albo przez innych, nie takie znowu nocne marki, na różnych przyjęciach i w jeszcze innej toalecie (głównie pod koniec lat osiemdziesiątych i w dziewięćdziesiątych, ale nie tylko), łącznie

z jednym ministrem, jednym rekinem finansjery, prezydentem pewnego klubu futbolowego, pewnym sędzią o sławie bardzo surowego, a nawet z ich wyelegantowanymi żonami różnej proveniencji, poglądów i w różnym wieku, tak w Anglii, jak i w Hiszpanii, jak również łącznie z dwoma biskupami (każdym oddzielnie, katolickim i anglikańskim, ale oboma po cywilnemu), jedną multimilionerką należącą do Opus Dei bądź do Legionistów Chrystusa, nie pamiętam, i całkiem niedawno z Dickiem Dearlove'em pod koniec jego kolacji z gwiazdami wraz z niektórymi z tych gwiazd, a przy jednej okazji w Stanach Zjednoczonych łącznie z pewnym szefem Pentagonu, chociaż tego akurat nie mogę opowiedzieć, znaczy tego, kto to był, gdzie i w jakich okolicznościach; byłem jednak wtedy obecny zupełnie przypadkowo, a poza tym to stało się później i w tym czasie, o którym tu mówię, jeszcze tego nie zdążyłem zobaczyć (myślę, że uniknąłem aresztowania właśnie dlatego, że go widziałem, albo to unieważniło od razu moje aresztowanie bardziej niż niedokładne wyrecytowanie tak zwanej formuły Mirandy przez detektywa, który zakuł wtedy w kajdanki mnie, szefa Pentagonu, dwie kobiety i jeszcze dwóch innych typów, „Ma pan prawo zachować milczenie...”: faktem jest, że gdybym nie zachował w tej sprawie milczenia, ów bardzo ważny szef z całym swoim wojskiem mógłby się znaleźć w niezłych opałach).

De la Garza obmacał spodnie i swoją gigantyczną marynarkę (zamiatał połamami po podłodze) i spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem, nie odwracając całkowicie głowy; przestraszyłem się, że zaraz poprosi mnie albo Tuprę o banknot, był do tego zdolny. Jak chcesz sobie wsadzić banknot do nosa, wsadź sobie swój, jesteś głupi chuj, pomyślałem z niezamierzonym rymem. W końcu jednak sięgnął do kieszeni, wyjął banknot pięcioletni i migiem go zrolował – tu lepiej sobie radził – żeby zrobić na poczekaniu rurkę do wciągnięcia proszku, który wyglądał jak talk. Właśnie, pomyślałem, trochę tu pachnie talkiem. Z tych niepełnosprawnych

strasznie czyści ludzie, chociaż coraz bardziej byłem pewien, że żaden nie zawitał do tej dyskoteki od dawna, może ta toaleta to całkiem nowe ulepszenie i jeszcze nikt nie zdążył z niej skorzystać. Albo Tupra wcisnął mu talk, a nie kokę, to też przemknęło mi przez myśl. Zobaczyłem, że De la Garza pochyla głowę i wyciąga do przodu szyję, zamierzał wciągnąć przygotowaną kreskę bądź tylko jej połówkę lewą dziurką nosa, prawą zatykał sobie palcem wskazującym. Wygląda jak skazaniec w dawnych czasach, pomyślałem, kładzie bezbronną szyję, nagi kark pod topór albo pod ostrze gilotyny, kłapa sedesu niczym pniak lub drewniany kłoc, gdyby była podniesiona, miska klozetowa służyłaby za kosz, żeby głowa wpadła do środka – tak jak wpadają wymiociny – do niebieskiej wody, a tym samym nie potoczyłaby się po ziemi.

Wtedy usłyszałem rozkazujący głos Tupry:

– Odsuń się, Jack. – Chwytał mnie równocześnie za ramię, silnie, ale nie brutalnie, odciągnął na bok, usunął mnie, znaczy z wejścia do kabiny, która była prawie jak salonik, mogła być tej samej wielkości co tamte maleńkie mauzolea na cmentarzu Os Prazeres, przyozdobione, zapraszające do środka, równocześnie zamieszkane i niezamieszkane. „*Stand clear, Jack*”, takie były jego słowa, a może „*Clear off*” albo „*Step aside*”, albo „*Out of my way, Jack*”, trudno dokładnie zapamiętać coś, co zaraz staje się niczym z powodu całej reszty, która następuje potem, w każdym razie zrozumiałem go, jakkolwiek brzmiało to zdanie, jego sens był właśnie taki, poza tym towarzyszył mu gest, zdecydowane położenie ręki na moim ramieniu, a ramię pozwoliło się pociągnąć, zakładając dobrą wolę, można to było zrozumieć jako: „Odsuń się na bok”, zakładając złą: „Wynoś się, Jack, zejź mi z drogi, nie mieszaj się, nawet nie próbuj mnie powstrzymać”, jednakże ton wskazywał raczej na to pierwsze, był łagodny jak na rozkaz niedopuszczający nieposłuszeństwa ani zwłoki, wahania w zastosowaniu się do niego ani oporu czy wątpliwości albo sprzeciwu, ani nawet okazania przerażenia, bo nie można sprzeciwić się ani przeciwstawić komuś, kto trzyma w ręce miecz i już go uniósł, żeby opuścić w dół, wymierzyć cios, dokonać cięcia, a ty widzisz tę broń po raz pierwszy, nie wiesz, skąd się wzięła, prymitywne ostrze, średniowieczna rękojeść, homerycki uchwyt, archaiczny czubek, najbardziej nieprzydatna biała broń albo najbardziej niepasująca do naszych czasów, nawet bardziej niż strzała i bardziej niż włócznia, anachronizm, kaprys, ekstrawagancja, tak ekstremalna niestosowność, że sam jej widok wywołuje panikę, strach już nie zwierzęcy, lecz atawistyczny, jakby w jednej chwili wróciła pamięć, że to miecz, który

spowodował najwięcej śmierci na przestrzeni wieków – zabijał z bliska i twarzą w twarz z ofiarą, zabójca lub mściciel lub sprawiedliwy nie tracą z nim kontaktu ani nie wypuszczają go z dłoni, dokonując swej rzezi, i wbijają go, i tną nim, i kawałkują, wszystko tym samym żelazem, którego nigdy nie rzucają, ale zachowują i trzymają w garści, przekłuwając z coraz większą siłą, okaleczając, nadziewając na jego ostrze i nawet rozczłonkowując, nigdy worek mąki, lecz zawsze worek mięsa, który ustępuje i otwiera się pod naszą skórą, a ta wcale nie stawia oporu, nie nadaje się, wszystko ją rani, nawet paznokieć ją rozrywa, sztylet przecina i rozdziera włócznia, i miecz ją przebija zwykłym świstem swego cięcia w powietrzu – że to miecz najbardziej niebezpieczny i zawzięty, i wzbudzający największy strach, bo w odróżnieniu od broni, którą się miota, może ponowić cios i kłuć wielokrotnie, raz za razem, i znowu, każde następne pchnięcie gorsze od poprzedniego, bardziej zaciekle, to nie strzała ani nie włócznia, które raz dosięgają celu i nie ma powodu, by miotać następne, również trafiające w cel i wbijające się w to samo ciało, może być jedna strzała albo jedna włócznia i na tym koniec, zrobi jedną jedyną dziurę bądź pojedyncze rozdarcie, które da się wyleczyć, jeżeli grot nie był nasączony trucizną, gdy tymczasem miecz zanurza się i wychodzi, zanurza się i tnie uporczywie, potrafi zabić zdrowego i dobić rannego, i posiekać na nieskończenie wiele kawałków nieboszczyka, aż padnie z wycieńczenia ten, kto go dzierży w dłoni, ale nigdy go nie wypuści ani nie zgubi, dopóki sam nie padnie martwy lub nie wyrwą mu ramienia; i dlatego gest dobycia miecza z pochwy już zobowiązywał i nie był próżnym gestem, najlepiej było dobyć miecz do połowy, na znak ostrzeżenia lub wątpliwości albo czujności, albo jako wizualne przesłanie, że mamy się na baczności, bo gdy raz już wyswobodzono z pochwy czubek i ten rozglądał się wokół, to była pewna zapowiedź, że nieuchronnie poleje się krew.



Nie widziałem, jak Tupra dobywał miecz z pochwy, jeżeli w ogóle była jakaś pochwa, nagle miał już w ręce nagą stal, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ostrze nie bardzo długie, na pewno krótsze niż metr, w każdym razie przerażające i ostre jak brzytwa, rękojeść wcale nie średniowieczna, chociaż w pierwszej chwili wszystkie się takie wydają z wyjątkiem tych z gardą albo jelcem, może była raczej renesansowa, wydał mi się mieczem lancknechta wówczas i potem, gdy przypomiąłem go sobie w swoim półśnie albo bezsenności, już z powrotem w domu, nie żebym znał się na białej broni, ale w czasach gdy uczyłem w Oksfordzie, musiałem przetłumaczyć, wśród licznych pretensjonalnych i staroświeckich tekstów bez żadnego zastosowania praktycznego, tekst autorstwa sir Richarda Francisa Burtona – Kapitana Burtona, jak nazywali go antykwariusze – na temat różnych typów broni siecznej. Tekst w dodatku opatrzony ilustracjami, i ta nazwa wraz z odpowiadającym jej obrazkiem zostały mi w pamięci, podobnie jak niektóre inne (na przykład „Pappenheim”), miecz lancknechtów znany także pod niemiecką nazwą katzbalger albo coś w tym guście, coś, co oznaczało „rozpruwacz kotów”, skromne to było i niezbyt ryzykowne przedsięwzięcie bądź prawdziwie dochodowe, choć poślednie, w końcu lancknechci byli najemnymi żołnierzami piechoty niemieckiej, z których usług mój kraj korzystał szeroko w swych imperialnych regimentach, a może tamto absurdalne tłumaczenie było tłumaczeniem z hiszpańskiego na angielski, nie zaś odwrotnie, „Oblężenie Wiednia przez Karola V”, jeśli nie, dlaczego dźwięczałby mi w głowie ten tytuł nieśmiertelnego Lope de Vegi, skąd, jeśli nie stamtąd, nauczyłem się na pamięć tych wersów (jakkolwiek było też możliwe, że słyszałem, jak recytował je ojciec, tak samo w nich rozkochany jak Wheeler, albo i bardziej, byli niemal równoletkami): „Odchodzę, zwycięski Hiszpanie, synu błyskawicy i ognia, opuszczam cię. Opuszczam cię, słodka kraino, z Hiszpanii odchodzę drżący; ci mężowie pełni furii są

jak błysk bez grzmotu, który rozrywa na kawałki w milczeniu”. Bardzo patriotyczny, butny i udatny kawałek w ustach uciekającego najeźdźcy, aczkolwiek nie doszło do ucieczki podczas tego oblężenia zorganizowanego po to, żeby udaremnić inne, tureckie oblężenie Wiednia pod wodzą Sulejmana Wielkiego, i położyć mu kres, tam „rozpruwacze kotów” musiały się uwijać jak w ukropie w rękach najemnych lancknechtów, raczej bezlitosnych niż wściekłych, można ich zobaczyć na rycinach Dürera i Altdorfera, widać również ich uzbrojenie, ów niezbyt długi miecz, jakieś siedemdziesiąt centymetrów, przytroczony niemal poziomo w poprzek brzucha, niektórzy trzymają piki, raczej podobne do tych z obrazu Velázquez’a o poddaniu Bredy, brakowało tylko, żeby Tupra potrząsał taką piką i napędził nam jeszcze większego strachu, nam, czyli oczywiście mnie, ale przede wszystkim swojej ofierze, De la Garzy, ponad którym uniósł miecz, Reresby trzymał ten miecz jedną ręką, gdy usuwał mnie z przejścia i odciągał na bok, chwycił go jednak oburącz, żeby wznieść do góry i wykonać cięcie. Zobaczyłem, jak kamizelka podnosi mu się ciągnięta przez uniesione w górę ramiona, wziął największy możliwy zamach, pod spodem, tuż nad paskiem, zobaczyłem koszulę w drobniutkie, eleganckie blade paski.

Zaraz go zabije, pomyślałem, odetnie mu głowę, rozplata szyję, nie, to niemożliwe, nie zrobi tego, tak, zaraz go tu zetnie, odrąbie głowę od tułowia i ja nic nie mogę zrobić, bo ostrze zaraz opadnie, jest obosieczne, nie ma możliwości, żeby tylko uderzył płazem, choćby nawet silnie, żeby tylko przestraszyć, surowo ukarać, bo ten miecz ma podwójne ostrze i jeżeli będzie ciął, De la Garza zginie natychmiast i będziemy musieli czekać nieskończenie długo, nim znowu zobaczymy go w całości, w jednym kawałku, czekać do dnia, kiedy z poczucia przyzwoitości te dwie części, w które za chwilę się przemieni, złączą się ze sobą, żeby na Sądzie wyglądać elegancko, a nie jak jakieś monstrum pokazywane na jarmarku,

żeby mieć głowę na karku, a nie pod pachą, jak piłkę lub globus, i żeby tam zakrzyknąć: „Umarłem w Anglii w publicznej toalecie, w łazience dla niepełnosprawnych w starym mieście Londynie. Zabił mnie ten człowiek z mieczem i uczynił ze mnie dwa kawałki, a ten drugi był przy tym, widział to, nie kiwnął palcem. To było w innym kraju, w kraju tego, który mnie zabił, ale dla mnie on był cudzoziemcem, taka byłaby przynajmniej jego kondycja w moim kraju, ten natomiast, który przy tym był i nic nie zrobił, mówił moim językiem i obaj pochodziliśmy z tej samej ziemi, bardziej na południu, nie tak daleko, chociaż oddzielonej morzem. Nadal nie wiem, dlaczego zostałem zamordowany, nie zrobiłem nic strasznego ani nie byłem dla nich zagrożeniem. Miałem jeszcze przed sobą pół życia albo więcej, zostałem prawdopodobnie ministrem lub przynajmniej ambasadorem w Waszyngtonie. Nie widziałem, jak się zbliża, zostałem bez życia, zostałem bez niczego. Byli niczym błyskawica bez grzmotu: jeden pociął, drugi nic nie powiedział”. Jednakże De la Garza nie byłby w stanie mówić w taki sposób nawet ostatniego dnia, bo tego dnia każdy mężczyzna i każda kobieta nadal będą tym, kim byli zawsze, prostak nie stanie się delikatny, a milczek gadułą, zły nie stanie się dobrym, a dzikus pełnym ogłady, okrutnik litościwym ani zdradziecki wiernym. Najprawdopodobniej zatem Rafita poskarży się we właściwy mu pretensjonalny i wulgarny sposób i wykrzyczy Sędziemu taką skargę: „Załatwili mnie w Anglii po chamsku, rozumiesz, przyszedł ten gostek i odrąbał mi głowę na klapie od sedesu w publicznym kiblu dla kalek, masz pojęcie? Ten pieprzony skurwysyn, złamany kutas brytyjski. Dałem się podejść jak dziecko, nic, kurde, nie wyczułem, byłem trochę napity, umordowany tańcem, no i trochę mnie mdliło, ale nic nadzwyczajnego, zajmowałem się sobą i nie rozglądałem dookoła, przysięgam, ja mu nic nie zrobiłem, ale temu psychopacie coś nagle odbiło, tajemnica, coś mu na mózg padło, wyciągnął nie wiem skąd ten pieprzony miecz i ściał mnie, czubek, jednym cięciem, pewnie mu się

wydawało, że jest jakimś pieprzonym Conanem Barbarzyńcą, Cydem albo innym cholernym gladiatorem, skąd mam wiedzieć, to jakiś pojeb w kamizelce, macha, kurwa, tym swoim rapierem i człowiek płaci głową za jego urojenia, no ja pierdolę, bardzo przyjemnie, i tak właśnie, w tym miejscu, zakończyłem życie. A ten drugi stał tam jak posąg, przerażenie na twarzy, tylko się gapił, i to facet z Madrytu, kurde, rodak, swój, masz pojęcie? Nawet nie spróbował chwycić go za rękę, znaczy za obie ręce, bo tamten kutas trzymał ten swój tasak oboma łapskami, żeby mi przywalić z całej siły, wypisz wymaluj literatura średniowieczna i światowa, i powiem ci, że może i lepiej, przynajmniej jedno szybkie cięcie, wyobraź sobie, co by było, jakby mnie ściął w połowie, głowa zwisa, ja jeszcze zipię, więc wszystko widzę i wiem, że zabijają mnie za frajer. Umarłem w Londynie, tam umarłem podczas nocnej imprezy, nawet się nią nie nacieszyłem, nie starczyło mi czasu, bo ci dwaj zastawili na mnie pułapkę. A ostatnia rzecz, jaką zrobiłem, to, wyobraź sobie, ukląknę, niech to szlag. A potem już było po wszystkim”. Tak, nic nie można zrobić, pomyślałem, zaraz go zabije. Najszybszy jest głos, mogę tylko krzyknąć.

– Tupra!

Krzyknąłem jego nazwisko, na nic więcej nie było czasu, nawet żeby dodać: „Co robisz?! Zwariowałaś?!” albo: „Stój!” niczym w staroświeckich powieściach czy komiksach, albo jakiś inny wykrzyknik, który okazałaby się nieskuteczny wobec czegoś, co nie tyle jest nieuniknione, ile już jest w toku, jest wystrzeloną już strzałą. De la Garza odwrócił głowę na ułamek sekundy – potoczyłaby się jak globus – tak samo jak chwilę wcześniej, kiedy wahał się, czy nie poprosić mnie o banknot, żeby go sobie zwinąć w rulonik i włożyć do nosa, to znaczy nie spojrzał dokładnie, nie skupił wzroku, widząc tylko jakiś niewyraźny błysk tego, co miał nad sobą albo co nad nim przelatywało, lecz niewątpliwie musiał dostrzec wiszącą w powietrzu stal z ukosa, kącikiem oka, rozpoznał klingę i ostrze i nie

przyznając się sam sobie, że je rozpoznał, nie dając wiary i dając ją zarazem, bo realne niebezpieczeństwo śmierci dostrzega się zawsze i natychmiast się w nie wierzy, choćby ostatecznie miało się skończyć tylko na śmiertelnym strachu. Podobnie jest we śnie, gdy ma miejsce jakaś niebezpieczna sytuacja grożąca unicestwieniem albo gdy odtwarza się sekwencja pościg i schwytanie, i znowu pościg, i schwytanie, i uśpiona świadomość ulega panice i poddaje się fatalizmowi, i równocześnie wie, że coś jest nie tak, że nieszczęście nie musi się zdarzyć, bo to sen i ten cios, który zaczął spadać już jakiś czas temu, wciąż nie spada: *it delays and lingers and dallies and loiters*, cios, cięcie mieczem, sen, zatrzymuje się i czeka, i wszystko cięży ołowiem na mej duszy, zastyga i zyskuje na czasie, gdy tymczasem świadomość walczy o to, by się zbudzić i nas ocalić, by rozproszyć straszną wizję albo ją zniszczyć i żeby odegnąć bądź powstrzymać tłumiony szloch, który wyrywa się i nie może wybuchnąć.

Zobaczyłem u niego wyraz twarzy kogoś, kto myśli, że umarł, albo wie, że umarł; skoro jednak nadal był żywy, ta mina wyrażała nieskończony strach i szamotaninę, szamotaninę wewnętrzną, może jakieś pragnienie; dziecięcą nieskrywaną trwożę, w ustach musiało mu natychmiast zaschnąć, w jednej chwili twarz mu śmiertelnie pobladła, jakby ktoś maznął ją szybko brudnobiałą, może popielatą farbą albo w jakimś mdłym kolorze lub jakby obsypał ją mąką, a może talkiem, to było raczej tak jak wtedy, gdy szybkie chmury zakrywają cieniem pola, a po pasących się stadach przebiega dreszcz, albo jak dłoń, która rozsiewa dżumę lub zamyka powieki zmarłym. Jego górna warga uniosła się, niemal wywinęła w grymasie, ukazując wyschnięte dziąsło, do którego z braku śliny przyczepiła się wewnętrzna część wargi, już nie będzie mógł jej opuścić, do końca świata zostanie tak wykrzywiona na udręczonej twarzy oddzielonej od tułowia, naprawdę opuścił głowę, gdy tylko dostrzegł niewyraźny błysk metalu w górze, nad sobą i nade mną, wysoko, podwójne ostrze, dwie dłonie, rękojeść, przywarł

głową do klapy, jakby chciał, by ta ustąpiła i znikła, i odruchowo skulił szyję, wtulił głowę w ramiona jak w spazmie bólu, musieli to robić, rozmyślnie lub nieświadomie, wszyscy ścinani gilotyną i toporem na przestrzeni wieków, nawet ci uznający swą winę i ci pogodzeni ze swą niewinnością, musiały to odruchowo robić nawet kury i indyki.

Miecz opadł z wielką szybkością i siłą, to jedno uderzenie wystarczyłoby, żeby wykonać czyste cięcie i jeszcze roztrzaskać albo naciąć klapę sedesu, ale Tupra zatrzymał nagle ostrze dwa lub trzy centymetry od karku, ciała, chrząstek i krwi, miał pełną kontrolę nad swoimi ruchami, umiał je odmierzać, zatrzymał miecz specjalnie. Nie zrobił tego, nie ściął głowy, pomyślałem z ulgą i nie używając tylu słów, lecz nie trwało to nawet chwili, bo natychmiast miecz znowu się uniósł zgodnie z przerażającą naturą broni, którą się nie miota, a więc można jej użyć ponownie, może zatem uderzać raz i drugi, może najpierw napędzić strachu, a potem ciąć albo przeszyć na wylot, chybiecie lub nagły przypływ litości nie są równoznaczne z chwilą oddechu, z chwilowym ułaskawieniem ani krótkotrwałym rozejmem, jakby to było w przypadku rzuconej włóczni, która nie trafia do celu, bądź strzały, która zbacza z kursu i gubi się gdzieś w niebie albo po prostu spada na ziemię, wtedy trzeba kilku sekund, żeby wyciągnąć następną z kołczanu i umieścić ją na cięciwie, uspokoić puls dla lepszej celności i ponownie napiąć wygięty łuk, nie nadwerężając mięśni, podczas takiej króciutkiej przerwy możesz czymś się zasłonić lub zacząć uciekać zygzakiem w nadziei, że łucznik, który cię wypatrzył, już nie ma więcej strzał, trzy, dwie, jedną, żadnej. Każdy ruch Tupry był nadal zdecydowany, nieimprowowany, musiał je wcześniej zaplanować albo wszystkie skalkulować wcześniej, zanim wszedł do tamtej toalety, kiedy jeszcze na parkiecie tanecznym kazał mi zaprowadzić do niej attaché i zaczekać na jego przyjscie z obiecaną działką koki, z tego się wywiązał, przyniósł kokę, jeżeli nie był talkiem ten fruujący teraz w powietrzu proszek strącony

przez umykającą głowę De la Garzy, jakże naiwnie, nie było dokąd uciec ani gdzie się ukryć. O ile jednak Reresby mógł wiedzieć, co zamierza zrobić, o tyle ja nie miałem pojęcia, a tym bardziej De la Garza, tak więc nie wiedziałem, jak mam interpretować półuśmiech – albo nawet nie pół-, lecz ćwierćuśmiech, a może i nie tyle, po prostu kpiarski wyraz twarzy – który, jak mi się wydało, dojrzałem na jego mięsistych wargach, trochę afrykańskich, a raczej hinduskich, a może były słowiańskie, kiedy zatrzymał miecz i uniósł go znowu, jakby zamierzał zabić De la Garzę, teraz nawet bardziej miałem takie wrażenie niż za pierwszym razem, bo kiedy jedna możliwość zostaje już wykorzystana, zostaje jedna mniej, by się uratować, i szanse się zmniejszają. Tak właśnie jest, nigdy na odwrót.

– *Tupra, don't!* – Tym razem miałem czas, żeby dodać jedną sylabę, byłyby cztery w moim języku „*No lo hagas!*”, „Nie rób tego!”, albo wystarczyłoby powiedzieć: „*Tupra, no!*”, uważałem, że jest i nie jest do tego zdolny, obie możliwości dopuszczałem, a to znaczyło, jak dużo później pomyślałem w łóżku, że chociaż tym razem nie zamierzał tego zrobić, miał w sobie dość zimnej krwi, żeby to zrobić – może to z jego strony okrucieństwo, a może po prostu siła charakteru, hart ducha, usposobienie albo obojętność, albo coś ściśle związanego z „jego fachem” – i możliwe, że robił to już wcześniej, w młodości i w odległej przeszłości, albo w wieku dojrzałym i całkiem niedawno, może zaledwie miesiące, tygodnie lub dni wcześniej, a ja nic o tym nie wiedziałem, nawet nie mogłem sobie czegoś podobnego wyobrazić; może w innych krajach i zawsze w służbie swego kraju, choćby przede wszystkim chodziło o własną korzyść; gdzieś daleko, gdzie czasami potrzebne jest zdecydowane cięcie, żeby zdusić albo podsycić wielkie pożary i zatkać albo stworzyć wielkie wyłomy, żeby zażegnać albo wywołać bezprawie prowadzące do wojny, uspokoić albo podburzyć rebeliantów, niezmiennie ich oszukując. I czymże było takie cięcie mieczem w porównaniu z rozprzestrzenianiem zarazków cholery

i malarii, i dżumy, co dawno temu robił, lub twierdził, że robił, Wheeler, albo w porównaniu z jednym tylko aktem zdrady, która zalega się i zaraza, zmienia się w niepowstrzymany trawiący wszystko ogień bądź w epidemię i zagładę wszystkich stojących na drodze czy choćby blisko i nawet na samych krańcach, wszystkich, którzy nie mogą wyjechać ani się schronić, często nie ma dokąd uciekać ani gdzie się skryć, nie ma nawet skrzydła, pod którym mógłbyś schować głowę.

De la Garza uciekł się do obu skrzydeł, dwojga rąk na karku równie nieprzydatnych jak parasolka podczas sztormu na morzu, i zacisnął mocno oczy, drgały albo pulsowały – może źrenice miały się jak oszalałe pod powiekami – musiał zdać sobie sprawę z sytuacji, nawet nie patrząc, miecz opadł wcześniej gwałtownie, ale zatrzymał się, nim sięgnął szyi, a teraz wrócił do góry, może po to, żeby skorygować o milimetr trajektorię spadania i upewnić się co do niej, ustawić ostrze bardziej prostopadle albo celniej wymierzyć, groźba nie tylko nie znikła, lecz była nawet większa (aczkolwiek, gdyby spełniła się za pierwszym razem, już by jej nie było, nie byłoby już niczego). De la Garza wolał nie spoglądać ponownie w żadną stronę, nawet bez wyostrezania wzroku, nawet kącikiem oka, nie chciał zobaczyć kolejnego niewyraźnego błysku ani nic innego, ostatnie, co zobaczył, to sedes z opuszczoną klapą, a one są wszystkie do siebie podobne, na klapie portfel i Visa, której używał jak noża, wiedział, że już jest trupem, i uznał, że jest nim nawet bardziej, było mu dane kilka mgnień świadomości albo życia, żeby przerazić się bardziej i zrozumieć, że naprawdę przytrafia mu się to, co mu się przytrafiało, i że – nieoczekiwanie i bezsensownie – taki jest kres drogi, takie miejsce postoju, koniec. Pomyślałem, że gdyby było mu dane kilka chwil więcej, byłby w stanie nagle usnąć z głową opartą, rozpląszczoną na bakelitowej pokrywie, jakkolwiek płaską i nie zachęcającą stanowiłaby poduszkę, bo czasami to jedyna forma ucieczki przed bólem i wytchnienia w rozpacz, rodzaj



narkolepsji, tak to nazywają, ale któż nie doświadczył takiego nagłego, niewczesnego, niestosownego snu albo kto nie zapadł w sen, albo nie chciał zasnąć w chwili strachu bądź w trakcie szlochów, podobnie jak gdy na fotelu u dentysty lub kiedy wiozą cię na salę operacyjną, próbujesz uprzedzić starania anestezyjologa – nieodparty sen jako ostatnia negacja i ucieczka – w nadziei, że przespanie tego, co się zdarzy, zmieni to w fikcję.

Tupra machnął mieczem z taką werwą, że rozległ się dźwięk jak smagnięcia biczem w powietrzu, i za tym drugim razem również zachował całkowitą kontrolę nad swoim ruchem, zatrzymał miecz, zanim ostrze dotknęło czegokolwiek, żywego czy nieożywionego, materiału czy ciała, skóry czy przedmiotu, wszystko pozostało nietknięte, głowa, kłapa sedesu, porcelana, szyja, jeszcze niczego nie odciął ani nie rozciął, nie pociął na kawałki ani nie przeciął, niczego nie rozłupał. Przez chwilę trzymał ostrze bardzo blisko skulonego karku, jakby chciał, żeby De la Garza dobrze sobie uświadomił jego obecność – oddech stali – a nawet przyzwyczyił się do niej, zanim nastąpi ostateczny cios, podobnie jak po chwili zauważamy za plecami przyspieszony oddech albo utkwione w nas oczy, które życzą nam źle lub dobrze, to nie ma większego znaczenia, skoro są ostre niczym piła czy siekiera, przesywające jak sztylet. Jakby chciał, żeby De la Garza zdał sobie sprawę z tego, że jest żywy i że zaraz będzie martwy, w którejś z następnych chwil – pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej; ale jeszcze nie teraz; więc w piątej – a attaché musiał pewnie pomyśleć, jeżeli jeszcze myślał, a nie śnił głęboko uspiiony: „Nie pozwól mu tego zrobić, proszę, może się namyślać i wahać tak długo, jak długo zechce, byle postanowił tego nie robić, każ mu podnieść ten absurdalny miecz i niech nim więcej nie macha, ma się za jakiegoś saracena, wikinga, wojownika Mau-Mau, a może korsarza, spraw, żeby zabrał ten miecz, żeby schował go do pochwy i odłożył, o co mu chodzi, niech Deza coś zrobi, do kurwy nędzy, niech wreszcie coś zrobi, niech mu to odbierze, powali go na ziemię albo niech

mu wyperswaduje, nie może pozwolić, żeby to się stało, to się nie stanie, to nie może mnie spotkać, nie mnie, wciąż jeszcze myślę, więc jeszcze się nie stało, czas stanął w miejscu, ale ja wciąż myślę, a to znaczy, że mój czas nie zatrzymał się całkowicie”.

Coś podobnego i mnie musiało przyjść do głowy, podobnie może proszącej i oniemiałej – oniemiałej z niedowierzania albo po prostu zmaczonej, chociaż ja byłem tylko świadkiem czy mimowolnym współnikiem – ale czego? niczego jeszcze! – i nie moja szyja leżała na pniu. Tylko głupiec rozważałby na serio próbę wyrwania z ręki miecza komuś, kto tym mieczem grozi, to podwójne ostrze, miecz lancknehta albo „rozpruwacz kotów” mógłby zwrócić się przeciwko mnie, moja głowa mogłaby się znaleźć w niebezpieczeństwie, a w końcu potoczyć po podłodze tej toalety, jakkolwiek u Tupry nie było widać żadnych oznak szaleństwa czy braku panowania nad sobą, był taki jak zawsze, skupiony na tym, co robi, spokojny, czujny, metodyczny, odrobinę drwiący, nawet jakoś sympatyczny, zważywszy, że najwyraźniej zamierzał właśnie kogoś zabić, co jest najgorszym i niewypowiedzianym antypatycznym postępkim. Było nieprawdopodobne, żeby zamachnął się na mnie, byłem z nim, pracowałem z nim, przyszliśmy tam razem i razem mieliśmy wyjść, był przyzwoitym człowiekiem, w toalecie leżał mój płaszcz, to on odebrał go wcześniej z szatni i przyniósł, dlaczego nie da sobie spokoju z tym szaleństwem, dlaczego nie wyjdziemy wreszcie z tego przeklętego miejsca, wcale nie miałem ochoty widzieć krwi ani De la Garzy z obciętą głową, bez szyi, jak kurczaka, co byśmy zrobili z jego ciałem i co by powiedzieli w ambasadzie, pewnie zostałyby wdrożone śledztwo w Hiszpanii, koniec końców to przecież dyplomata mimo swego groteskowego wyglądu, i New Scotland Yard też by wszczął własne śledztwo, widziano nas razem na parkiecie tanecznym, przede wszystkim mnie i panią Manoię. Wtedy nabrałem pewności: Tupra nie zamierzał go zabić, bo przecież nie wciągnąłby tej

kobiety w podobne tarapaty. Chyba że nie będzie ciała, bo je usuniemy. Ale jak?

– *Are you mad or what? Don't do it!* – tym razem miałem dość czasu, żeby powiedzieć coś więcej, nic wielkiego, po prostu: „Oszalałeś? Nie rób tego!”, ten rodzaj zbędnych, nieskutecznych, naiwnych zdań, które cisną się nam na język w obliczu czegoś nieoczekiwanie brutalnego, zwykły kontrpunkt słowny wobec tego, co obywają się całkiem bez słów i jest tylko gwałtownym działaniem, sztyletowaniem, biciem, zabójstwem, morderstwem albo samobójstwem, te będące zaklęciem zdania, zdania jak wykrzykniki, mnie akurat takie się wyrwały, mimo że nie dostrzegłem u Tupry żadnej oznaki szaleństwa, on dobrze wiedział, co robi i czego nie robi, w jego zachowaniu nie widziałem złości ani gniewu, co najwyżej znużenie, niecierpliwość, irytację i niewątpliwie odsuniętą w czasie naganę: to ostatnie po części tyczyło się i mnie, z pewnością, owego wieczoru to ja byłem łącznikiem z De la Garzą; w przeszłości obarczył mnie tą znajomością Wheeler, ale to było innego dnia, a liczy się zawsze tylko to, co dzisiaj. Chodziło raczej o danie nauczki albo odebranie długu, o karę, którą wymierzał lub planował wymierzyć z zimną krwią za pomocą owego niesamowitego miecza, nadal nie wiedziałem, skąd go wziął ani dlaczego używa tak niezwyklej i mało praktycznej broni – zajmuje przecież dużo miejsca, naprawdę jest zawadą – w dzisiejszych czasach zaskakującej. Co do pierwszej kwestii, odpowiedź znalazłem od razu; co do drugiej dopiero później, kiedy już wyszliśmy z dyskoteki.

Tupra podniósł miecz, odsunął od muskanego już karku, to był zły i dobry moment, mógł być wstępem do końcowego śmiertelnego cięcia, ponownym wzięciem zamachu przed zamierzonym już uderzeniem i dekapitacją, mógł też oznaczać rezygnację i odwołanie strachu, decyzję o nierobieniu użytku z miecza i pozostawieniu głowy złączonej z tułowiem, na swoim miejscu. Oparł miecz płaską częścią o prawe ramię, jakby to był

karabin strażnika albo żołnierza podczas defilady. To był gest wyrażający namysł, zastanowienie. Spojrzał pionowo w dół na klęczącego De la Garzę, znieruchomiłego, jeśli nie liczyć mimowolnych, przykrych spazmatycznych drgawek, attaché wstrzymał pewnie oddech, mimo że serce waliło mu jak młotem, na pewno nie chciał żadnym ruchem przechylić szali, najlepiej nie mówić, nie patrzeć, nie istnieć, jak te owady, co w obliczu niebezpieczeństwa nieruchomieją, sądząc, że umkną spojrzeniu, a nawet powonieniu, zmieniają gwałtownie kolor i nie będą się odróżniać od kamienia albo od liścia, na którym zdybał je wróg. Wtedy Tupra opuścił lewą rękę, chwycił dłonią siatkę na włosach De la Garzy i silnie ją pociągnął, attaché nie powinien był nigdy jej zakładać. De la Garza poczuł szarpnięcie i jeszcze mocniej zacisnął oczy, jakby chciał, aby eksplodowały, i jeszcze bardziej skulił szyję, lecz brakowało jej ochronnego pancerza, nie sposób było ją ukryć.

– Czego mam nie robić, Jack? – odezwał się Reresby, nie patrząc na mnie, wciąż jeszcze przyglądał się sylwetce u swoich stóp zdanej na jego łaskę, tkwiącej na kolanach przed sedesem. – Skąd wiesz, co zamierzam, a czego nie zamierzam zrobić? Ja na pewno ci tego nie powiedziałem, Jack. Powiedz, czego właściwie mam nie robić? – Teraz dopiero podniósł wzrok. Spojrzał wprost na mnie, tak jak zazwyczaj patrzył na wszystko, wyostrając wyraźnie spojrzenie i zatrzymując je na właściwej wysokości, czyli na wysokości człowieka. A potem machnął mieczem w dół.

Odciał siatkę jednym cięciem, wystarczyłoby do tego zwykły nóż kuchenny, nożyczki, scyzoryk, ostrze dużo krótsze niż to, jakim toreador obcina sobie warkoczyk, gdy ostatecznie wycofuje się z areny, aczkolwiek wszystko odbyłoby się wolniej i nie zrobiłoby takiego wrażenia na delikwencie ani na świadku, nie zabrzmiałoby jak świst szabli ani jak trzask bicia albo bata w powietrzu, lecz jak delikatny policzek bądź lekkie klaśnięcie w dłoń, a nawet jak odgłos płwociny spadającej na kamienną posadzkę, w każdym razie to cięcie było dostatecznie słyszalne, by De la Garza automatycznie przykrył sobie uszy dłońmi w kolejnym geście iluzorycznej ochrony, na pewno nie przyszło mu na myśl, że skoro mógł wykonać ten gest, znaczyło to, że jest żywy, zajęło mu niewątpliwie jeszcze chwilę, nim zdał sobie sprawę, że przeżył trzecie zbliżenie, podejście czy trzecią rundę w wykonaniu przerażającego ostrza, że miecz nic mu nie odciał ani nie przebił żadnej części jego ciała, a może po prostu De la Garza nie dowierzał – i dobrze, jeśli tak było – i wciąż jeszcze spodziewał się następnego ciosu i kolejnego, i jeszcze jednego tą bronią, która pozostaje w ręce, nie jest bronią miotaną; oczywiście i ja czekałem kilka sekund na kolejny cios, krócej niż on, bo zobaczyłem coś, czego on jeszcze nie widział: Tupra błyskawicznie odszedł kilka kroków, odłożył to, co miał w rękach, i wrócił, De la Garza trwał skamieniały, jak dziwny błagalny posąg, strwożony, a raczej jak ktoś pokonany, pogodzony z koniecznością ofiary, przestraszony, z zaciśniętymi oczyma i zakrytymi uszami, i w takiej pozycji przypominał mi Petera Wheelera – ale wyłącznie pod tym względem – gdy tamten podobnie się osłaniał przed hukiem śmigłowca, który wydał mu się Sikorskim H-5, i przed wznieconym przez samolot podmuchem wiatru owego niedzielnego przedpołudnia u siebie, w ogrodzie

nad rzeką, wtedy gdy opowiedział mi więcej o Tuprze i jego grupie bez nazwy, do której sam w przeszłości należał, a ja należałem do niej teraz, z powodu tej cichej przynależności byłem owego wieczoru w tej dobrze oświetlonej czystej toalecie i miałem swój udział w wywołaniu przerażenia w człowieku.

Ten, który owego wieczoru był Reresbym, odsunął się z mieczem w jednej ręce, a w drugiej z siatką na włosy, nędznym trofeum znacznie mniej imponującym niż skalp, ot, zwykła przepocona szmata; wyszedł z kabiny, puszczając do mnie oko – nie było to jednak mrugnięcie uspokajające, zrozumiałem je, jakby mówił: „Tyle tytułem wstępu” – i podszedł do swego powieszzonego płaszcza, który już nie opadał w dół tak sztywno, i wtedy zdałem sobie sprawę, że od spodu na plecach płaszcz ma wewnętrzną bardzo głęboką kieszeń, a w niej pochwę, bo tam właśnie Reresby schował miecz lancknechta, przy wsuwaniu rozległ się metaliczny dźwięk, gdyby nie było tam pochwy, sztych miecza przebiłby na wylot tę wąską, głęboką kieszeń na ostrze, co najmniej siedemdziesięciocentymetrową, rękojeść mogła wystawać, żeby ułatwić wyciągnięcie, nie widziałem dobrze tej kieszeni, ale to było jedyne możliwe wytłumaczenie. Odetchnąłem z ulgą – a może to było coś więcej – na widok znikającej na chwilę zabójczej stali. Schowanie miecza do pochwy nie musiało koniecznie znaczyć, że został odłożony na dobre – nadal był pod ręką – mogło być podyktowane bardzo typową dla Tupry ostrożnością, by nie zostawiać broni w zasięgu wroga, to nieodpowiednie słowo, nieszczęsny szpaner attaché wcale nie walczył, nawet nie stawiał oporu; ale gdyby Reresby ograniczył się był do odłożenia miecza na rezerwuar albo na podłogę, nie miałyby gwarancji, że De la Garza w przypływie rozpaczy i paniki nie rzuci się i nie chwyci broni, i co wtedy?, sprawy przyjęłyby inny obrót, obosieczny miecz był łatwy w użyciu, nie ważył dużo, a nawet najśłabszy i najbardziej niepozorny człowiek, najbardziej tchórzliwy

i bezwzględnie pokonany zawsze stanowi jakieś zagrożenie, nie wolno ludzi nie doceniać ani dawać im szansy, by doszli do siebie i odzyskali siły, zebrali się na odwagę albo wykrzesali z siebie trochę samobójczej brawury, taka była jedna z nauk Tupry i dlatego dobrze zrozumiał – spodobało mu się i zanotował to sobie w pamięci – hiszpańskie powiedzenie, które tak doskonale nas określa i które mu kiedyś wspomniałem i przetłumaczyłem: „*Quedarse uno tuerto por dejar al otro ciego*”, „Mogę stracić jedno oko, byleby ten drugi ośleplł”, obawiał się takiej postawy jak zarazy. Byłem wdzięczny, że nie przyszło mu do głowy zwrócić się do mnie, żebym to ja mu ten miecz, tego „rozpruwacza kotów” potrzymał, taki pomysł nie wzbudziłby mego entuzjazmu, znaczy, żeby miecz znalazł się w mojej dłoni, jakkolwiek wziąłbym go oczywiście i zamachnął się, gdyby nadarzyła się okazja. A może i mnie nie był pewien, jaki bym ja zrobił z miecza użytek, czy przy jakimś zawirowaniu sytuacji nie zwróciłbym go przeciw niewłaściwej osobie, nigdy się naprawdę nie dowiedziałem, czy mi ufał, w gruncie rzeczy nigdy się tego nie wie w odniesieniu do nikogo. Ani nikt nigdy nie powinien zaskarbić sobie całkowicie naszego zaufania.

Tupra zatem wrócił zaraz do kabiny, założywszy uprzednio rękawiczki wyjęte z płaszcza, z jego zwykłych kieszeni – dobre, czarne rękawiczki ze skóry, całkiem zwyczajne – i znowu przeszedł obok mnie z siatką na włosy jako trofeum w lewej ręce i z prawą ręką wolną, wyglądał nadal jak ktoś zdecydowany, pragmatyczny i beznamiętny, jakby to, co przychodziło mu robić w każdej kolejnej chwili, było zaprogramowane i w dodatku należało do programu już sprawdzonego. Znowu puścił do mnie oko i tym razem nie było to uspokajające, ani jedno, ani drugie mrugnięcie nie zawierało w sobie uśmiechu, były po prostu komunikatem lub ostrzeżeniem na granicy rozkazu albo polecenia, to drugie zrozumiałem jako: „Wracamy do roboty, to nie potrwa długo i zaraz będziemy gotowi”; i dlatego wyrwały mi się takie słowa:

– Tupra, dość już tego, zostaw go w spokoju. Co masz zamiar teraz zrobić? On jest ledwie żywy ze strachu. – Ale w moim głosie nie było tyle trwogi co wówczas, gdy wykrzyknąłem jego imię i mało co więcej, bo i czułem dużo mniejszą trwogę, od kiedy zniknął miecz; poczułem w istocie tak wielką ulgę i tak gwałtownie zmniejszył się mój niepokój, moje przerażenie i uczucie ciężaru, że byłem gotów potraktować jako coś lekkiego, mile widzianego, nieistotnego niemal wszystko, co nastąpi potem. Czy ja wiem, kilka uderzeń w twarz, kilka ciosów pięścią, może jakiś kopniak (nawet w twarz) w porównaniu z tym, czego jeszcze chwilę przedtem byłem pewien, wydawały mi się niemal darem niebios i prawdę mówiąc, nie czułem szczególnej ochoty, żeby im zapobiec. Tak, to było to: czułem się wdzięczny, że Tupra zamierza go uderzyć, bo z rękawiczek na jego dłoniach wnioskowałem, że to właśnie planuje. Uderzyć go i nic więcej. Nie przeciąć go na dwie części, nie posiekać na kawałki ani rozczłonkować, co za szczęście, jaka radość.

– To potrwa tylko minutę. I pamiętaj, kim jestem, to już trzeci raz.

Nie zrozumiałem sensu tego ostatniego zdania, poza tym nie starczyło mi czasu, żeby o tym pomyśleć ani się zastanowić nad swoim niepokojącym, żywionym teraz uczuciem wdzięczności i nienormalnym uczuciem ulgi, by nie nazwać tego zbrodniczą wręcz lekkością, bo Tupra natychmiast wziął się do rzeczy: zabrał pakuneczek z kłapy sedesu, ponownie go zamknął od góry i odłożył na miejsce do kieszonki w swojej kamizelce – z całej bogatej kolekcji kamizelek nigdy nie zapomnę tej konkretnej, w intensywnej zieleni arbuza – potem tymi samymi dwoma palcami chwycił Visę, schował ją do portfela De la Garzy, skąd została wcześniej wyjęta, i włożył portfel do innej kieszeni, tym razem w marynarce, razem z banknotem zwiniętym w rulonik. To, co pozostało z kreski kokainy albo talku, starł jednym ruchem dłoni, proszek wzbił się w powietrze i opadł na ziemię, Rafita nie zdążył go wciągnąć, nie zrobił z tej substancji użytku, mimo że ją sobie



przygotował. Następnie Tupra zarzucił mu siatkę na włosy na szyję i szarpnął do tyłu, w jednej chwili się rozpląnęło moje poczucie ulgi – zaraz go udusi, powiesi, pomyślałem, nie, to niemożliwe, nie zrobi tego – póki nie rozumiałem, że nie taki ma zamiar – nie owinął mu jej na szyi, nie zacisnął ani nie skręcił – że chce go tylko zmusić do podniesienia głowy, attaché tkwił nadal tak przyklejony do klapy sedesu, że mało brakowało, a objąłby muszlę: myślę, że naprawdę by ją objął, gdyby nie zatykał sobie rękami uszu, wybrał niewidzenie i niesłyszenie w płonnej nadziei, że tym sposobem nie dowie się dokładnie, co go czeka, a przecież informację przekazałby mu zmysł dotyku, powiedziałyby mu o tym jego ból i krzywda.

Kiedy Tupra już odciągnął go wystarczająco, podniósł obie części deski klozetowej i raptownie wepchnął mu głowę do środka miski tak gwałtownie, że nawet stopy uniosły się nad ziemią, zobaczyłem fruujące w powietrzu rozwiązane sznurowadła De la Garzy, ani on, ani ja nie zawiązaliśmy ich w końcu. Początkowo nie bałem się, że utopi się w misce, bo miska zwężała się, co normalne, u dołu i nie zmieściłaby się tam jego szeroka jak księżyc w pełni twarz, która teraz obijała się mocno o porcelanowe wnętrze – i trochę się klinowała – ilekroć Tupra, podniósłszy ją najpierw troszeczkę, ponownie wpychał do muszli, pociągnął trzy albo cztery razy pod rząd spłuczki i spuścił wodę, błękitny strumień chlusnął tak silnie i leciał tak długo, że znowu na krótko poczułem zgrozę – utopi go, woda dostanie się do płuc, pomyślałem, nie, to niemożliwe, nie zrobi tego – i przeleciało mi przez głowę, że w każdym razie wystarczy wody na wysokość dwóch palców, jakaś kałuża, żeby zanurzyć w niej usta i nos i uniemożliwić ofierze oddychanie; i że przyływ wody przy każdym kolejnym jej spuszczeniu z pewnością daje De la Garzy uczucie topienia się, a przynajmniej zachłyśnięcia; a byliśmy w toalecie dla niepełnosprawnych: szczęśliwie nie było w niej smrodu odchodów i pewnie nawet nie była dotąd używana.

Nie chcę widzieć Tupry w roli Sir Death, Kawalera Śmierci, pomyślałem, z zimnymi ramionami zdyscyplinowanego sierżanta, zawsze energicznego i zawsze bardzo zajętego; ale tak właśnie zaczynam go postrzegać wobec jego licznych umiejętności i różnorodności gróźb, dekapitacji, duszenia, topienia, już są trzy, ile jeszcze zostaje, którą spełni na koniec, jeśli w ogóle jakąś spełni, którą wybierze, by dokończyć dzieła albo zadania eksperta, która stanie się faktem dokonanym, a nie zwykłą pogroźką lub usiłowaniem. Nie trzymał De la Garzy długo pod wodą, nie taki zatem szykował mu koniec, jak można było wnosić, aczkolwiek w każdej chwili mógł zmienić zdanie, wtedy musiałby tylko pozwolić, by minęło kilka sekund więcej, ach, niewiele tych sekund, biegną tak szybko, że zazwyczaj ich nie zauważamy, kilka okruszków czasu, musiałby tylko pozwolić im minąć, gdy tymczasem twarz mego rodaka tkwiłaby pod wodą – tylko usta i nos, to by wystarczyło – tak więc życie i śmierć zależą często od pogardzanych, trwonionych sekund albo od tak niewielu centymetrów, że wielokrotnie oddajemy je w prezencie bądź ustępujemy rywalowi za nic – od paru centymetrów, których nie chciał pokonać miecz. „Dwóch zbirów zanurzyło mi głowę i utopili mnie w kadzi mdłego wina, o, ja biedny Clarence, trzymany za nogi, co zostały na zewnątrz i żałośnie wierzgały aż do ostatniego pijaństwa mego gardła, zdradzony i poniżony, i zabity przez niezmordowaną chytryść twego czarnego szkaradnego języka”. To jednak nie było mdłe wino stojące w kadzi, lecz niebieskawa woda płynąca strumieniami, a on nie był Jerzym księciem Clarence, lecz upośledzonym idiotą De la Garzą, a my nie byliśmy dwoma zbirami, a tym bardziej zbirami króla mordercy. A może ja właśnie byłem zbirzem Tupry albo Reresby’ego, codziennie otrzymywałem od tego pierwszego drobne polecenia, a polecenia wydane tamtego wieczoru przez tego drugiego były większego kalibru i nieprzewidzianej natury, inne od pracy, za którą mi płacono, wykraczały poza moje normalne zadania lub były pogwałceniem

mego kontraktu, jakkolwiek nic nigdy nie zostało sformułowane na piśmie ani jasno wyszczególnione. A może naprawdę obaj byliśmy zbirami, chociaż ja nic o tym nie wiedziałem, zbirami Państwa, Korony, MI6, wojska, Foreign Office, Home Office albo marynarki, mogłem być na służbie obcego kraju i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy w moim cudzoziemskim śnie, i możliwe, że na warunkach, których nigdy bym nie zaakceptował we własnym kraju. Albo mogliśmy być zbirami Artura Manoi (wedle Pérez Nuix mieliśmy w owym czasie rozmaitych pracodawców) i pastwić się nad Rafitą na jego polecenie po to, żeby wziąć odwet w jego imieniu, nie wiedziałem, jak przyjął powrót do stolika żony z policzkiem przeciętym *sfregio* albo ze szramą, poszła się rozerwać i potaćzyć, a wróciła ze szramą, to się na pewno Manoi nie spodobało. Nie należało ufać makijażowi.

Nagle rozległa się pretensjonalna rachityczna muzyczka, jakby z telefonu komórkowego, na który ktoś dzwoni, chwilę trwało, nim rozpoznałem – a nie było łatwo – zbanalizowane akordy pewnego sławnego i bardzo hiszpańskiego paso doble, wyeksploatowanego do granic „Suspiros de España”, w moim kraju sięga po nie tylu pisarzy i filmowców, żeby wywołać pewną tanią emocję (cenią je na równi lewicowcy z lewicowością wypisaną na czole i kryptofaszyści) zupełnie nie do zniesienia, to właśnie musiał wybrać De la Garza w swojej rasowej pedanterii jako dzwonek w komórce, nieszczęsny De la Garza, jeszcze chwilę temu myślałem: „Chętnie dałbym mu w mordę”, pomyślałem tak na parkiecie do tańca i jeszcze potem, przy okazji sznurowadeł, a może i jeszcze przy jakiejś wcześniejszej okazji; ale tak się po prostu mówi w przenośni, w rzeczywistości rzadko kiedy człowiek chce brać dosłownie to, co mówi, a nawet i to, co akurat myśli (jeżeli myśl jest wystarczająco sformułowana), niemal wszystkie nasze zdania są w gruncie rzeczy metaforyczne same w sobie, język jest tylko przymiarką, próbą, wybiegiem, nawet język

największych ignorantów i analfabetów, a może ten jest właśnie najbardziej metaforyczny, możliwe, że bronią się tylko języki techniczny i naukowy, a i to nie zawsze (geolodzy bardzo koloryzują na przykład). Teraz patrzyłem, jak jest bity – nie dostawał ciosów w twarz, Tupra nie zaatakował go jeszcze bezpośrednio własnymi rękami, nawet po tym, jak włożył rękawiczki, rękawiczki umoczyły się w wodzie, będą do wyrzucenia – patrzyłem bardzo przestraszony i zaszokowany nie tylko dlatego, że nie wiedziałem, jak wielką krzywdę wyrządzi mu Tupra, czy na moich oczach przybierze postać Sir Death, czyli Kawalera Śmierci, czy może poprzestanie na byciu Sir Blow, Kawalerem Ciosem, a może Sir Wound, Kawalerem Raną, albo Sir Thrashing – tak czy owak był już na pewno Sir Punishment, Kawalerem Karą – żadne z tych wcieleń bliskiej nam osoby nie byłoby przyjemnym odkryciem, tym bardziej nie było przyjemne oglądanie takich jej wyczynów; jednakże oglądanie od dawna przemocy na ekranach i to, że każdemu ciosowi pięścią i każdemu kopniakowi towarzyszy wtedy dźwięk jak grzmot bez błyskawicy albo jak wybuch dynamitu, albo jak huk walącego się budynku, kazało nam uwierzyć, że przemoc jest czymś nieistotnym, gdy tymczasem natura przemocy nigdy nie jest nieistotna i asystowanie przemocy na żywo, postrzeganie z bliska jej przejawów, dostrzeganie jej fizycznie, z drżeniem serca, wyczuwanie pojawiającej się woni potu tego, kto wpada w furję i robi użytek z mięśni, i tego, kto się kuli i boi, słuchanie trzasku wyskakującej ze stawu kości i chrzęstu łamanej kości policzkowej, i rozrywanego ciała, patrzenie na bryzgającą krew, wszystko to nie tyle wzbudza przerażenie, ile sprawia, że każdy normalny człowiek czuje się chory, z wyjątkiem sadystów i ludzi do tego nawykłych, którzy żyją z tym na co dzień bądź mają z tym do czynienia w krótkich odstępach czasu, i rzecz jasna tych, którzy zajmują się tym zawodowo. Widząc determinację i wprawę Tupry, jego rutynowe ruchy, musiałem przyjąć, że on należy do tych ostatnich.

O tym mówił mi kiedyś ojciec podczas jednej z naszych rozmów o przeszłości, a raczej o tym, co należało do jego przeszłości, nie mojej, o czasie wojny domowej i późniejszym deptaniu ludzkiej godności w pierwszym okresie frankizmu, tym, który był taki długi, trwał całą wieczność, bo przecież nie wiadano, kiedy się skończył, poza tym co jakiś czas powracał.

„Wasze pokolenie i pokolenia następne”, zwrócił się do mnie w drugiej osobie liczby mnogiej, której często używał, zawsze świadom, że ma nas, swoich dzieci, czworo, i kiedy rozmawiał z jednym z nas, najczęściej było tak, jakby rozmawiał ze wszystkimi lub jakby ufał, że rozmówca, na którego akurat trafił, przekaże potem jego słowa pozostałym, „mieliście to szczęście, że doświadczyliście niewiele rzeczywistej przemocy, że ta przemoc była nieobecna w waszym codziennym życiu, że jeśli już was dotknęła, to w drodze wyjątku i niezbyt mocno, kogoś tam spałowali podczas manifestacji albo kłótni w barze, tego rodzaju rzeczy, którym w naturalny sposób usiłuje się przeciwdziałać, nie pozwala im się wymknąć spod kontroli i które nie mają tendencji do rozprzestrzeniania się; może jakiś napad na ulicy albo rozbój. Na szczęście, i oby trwało to zawsze, nie byliście w sytuacjach, w których przemocy nie dawało się uniknąć, chcę powiedzieć, że wtedy była czymś pewnym, wiedziałeś, że pojawi się w pewnej chwili dnia lub nocy, a jeżeli przypadkowo jej nie było albo nie natykałeś się na nią frontalnie i znałeś się tylko ze słyszenia – od tego nikt nie mógł się uwolnić, od opowieści i od plotek – mogłeś być pewien, że to prezent od losu, który nie powtórzy się następnego dnia, bo rachunek prawdopodobieństwa nie pozwalał na taką dobrą passę. Niebezpieczeństwo było stałe i stale trzeba było mieć się na baczności. Pewnego popołudnia pocisk artyleryjski zburzył mój pokój, uderzył dokładnie w to miejsce, została dziura w ścianie i kompletnie zniszczone wnętrze. Nie było mnie w domu, wyszedłem chwilę wcześniej i miałem zaraz wrócić. Ale równie

dobrze mogło mnie to spotkać gdzie indziej, gdy szedłem ulicą albo jechałem tramwajem, w kawiarni, w biurze, gdy czekałem na waszą matkę pod jej domem, w radiu albo w kinie. Przez pierwsze miesiące wojny na każdym kroku widziałeś aresztowania, szarpanie ludzi i czasem bicie ich kolbami, łapanki po domach, wyprowadzali i zabierali całe rodziny i wszystkich, którzy byli akurat z wizytą, za każdym rogiem mogłeś natknąć się na pościg albo strzelaninę, nocami słyszało się za miastem palbę rozstrzeliwań, tak zwanych *paseos*, albo pojedyncze strzały *pacos* (znaczy snajperów) na dachach, a jeśli wystrzały rozlegały się o świcie, to były strzały z bliska, w skroń albo w potylicę, w przydrożnych rowach, chociaż nie zawsze właśnie tam, czasami nawet można to było zobaczyć, jeżeli się miało bardzo dużego pecha, widziało się wtedy, jak rozbryzguje się albo wypływa mózg klęczącej ofiary, i nie mówię tego w sensie metaforycznym. Najlepiej było po prostu iść dalej, nie patrzeć, szybko się oddalić, nic nie mogłeś poradzić, skoro już to zobaczyłeś, a jeżeli widziałeś tylko kątem oka, mogłeś uważać się za farciarza. Byli tacy, którzy rozpoczynali egzekucje o zmierzchu, jeżeli nie dysponowali samochodem albo oszczędzali benzynę, nie chciało im się chodzić daleko, wybierali więc jakiś mały uczęszczany zaułek i tam przystępowali do dzieła, byli niecierpliwi i nie potrafili odczekać, aż miasto pograży się w półśnie, w ciągu trzech długich lat oblężenia, głodu i chłodu nigdy nie zasypiało całkowicie, później też nie, począwszy od trzydziestego dziewiątego roku policja Franco wpadała do domów w środku nocy, podobnie jak jej pobratymcy, Gestapo, które robiło to w tym samym czasie w reszcie Europy. Inni byli lepiej zorganizowani, wiele egzekucji przeprowadzali wprost na cmentarzach, po ich zamknięciu, albo sami je wcześniej zamykali; tak więc jeszcze długo potem, gdy rzekomo panował już pokój, w niektórych miejscach słychać wciąż było strzały późno w nocy. Nie było tego pokoju zbyt dużo albo był tylko dla ludzi z tamtej strony, ci rzeczywiście spali

spokojnie. Nigdy nie będę w stanie pojąć, jak mogli tak spać przy tym nieustannym mordowaniu. Było wśród nich kilka przyzwoitych osób, ale większość czuła dumę i była bardzo z siebie zadowolona”.

Pamiętam, że ojciec zrobił wtedy przerwę, a raczej później się zorientowałem, że to była przerwa. Pogrążył się w milczeniu, ja zaś zastanawiałem się, czy nie zapomniał, co mi chciał opowiedzieć albo powiedzieć, chyba jednak nie, zazwyczaj podejmował przerwany wątek albo wystarczyło, żebym go trochę naprowadził, i już sam wracał do tematu. Siedział, patrząc przed siebie, nic tam nie widział, jego czyste niebieskie oczy kierowały się ku zdarzeniom z tamtej epoki, z pewnością widział je klarownie, jakby przez jakąś nadnaturalną lornetkę, to bardzo przypominało spojrzenie, które widziałem u Petera Wheelera, konkretnie zaś wtedy, gdy wszedłem na pierwszy podest schodów, żeby pokazać jemu i pani Berry miejsce, gdzie wcześniej znalazłem w nocy plamę krwi, którą mozolnie wytarłem i której pochodzenia żadne z nich nie umiało wytłumaczyć. Takim wzrokiem często spoglądają starzy ludzie, nawet gdy są w towarzystwie i prowadzą ożywioną rozmowę, wyblakłe oczy o rozszerzonych źrenicach sięgają daleko w przeszłość, jakby ich właściciele naprawdę fizycznie nimi widzieli, mam na myśli widzieli wspomnienia. To nie jest spojrzenie nieobecne ani szalone, jest intensywne i skupione, tyle że na czymś, co jest w dużym oddaleniu. Swego czasu dostrzegłem je także w dwukolorowych oczach Toby’ego Rylandsa, brata, który pozostał przy swoim nazwisku. Chcę powiedzieć, że każde oko było w innym kolorze, jedno w kolorze oliwy, drugie bladego popiołu. Jedno przenikliwe i niemal okrutne, oko orła albo kota, drugie jak oko psa albo konia, zamyślane i sprawiedliwe. Kiedy spoglądały w taki sposób, stawały się jednakowe pomimo różnych kolorów.

„Mnie przypadło w udziale widzieć to, co działo się tutaj, w Madrycie”, podjął na nowo ojciec, „aczkolwiek więcej słyszałem, niż widziałem, dużo

więcej. Nie wiem, co jest gorsze, czy usłyszeć opowieść, czy być świadkiem czynu. Możliwe, że to drugie jest w danej chwili trudniejsze do zniesienia i budzi większy strach, ale też łatwiej to wymazać albo zmać i potem oszukiwać samego siebie, wmówić sobie, że nie widziało się tego, co przecież się widziało. Myśleć, że zdołaliśmy antycypować widok zdarzenia, którego się obawialiśmy, a które ostatecznie wcale nie miało miejsca. Opowieść jest natomiast czymś zamkniętym i niezmiennym, a jeżeli została spisana, można do niej wrócić i sprawdzić; jeżeli jest ustna, może być ci opowiedziana ponownie, a nawet jeśli nie, to słowa są bardziej jednoznaczne niż czyny, przynajmniej te słowa, które słyszymy, w porównaniu do czynów, które widzimy. Bywa, że czyny ledwie migną przed oczyma, jak błysk, który trwa tyle co nic, jak oślepiający oczy poblask, i można to potem w pamięci zmanipulować, usunąć niewygodne elementy, pamięć nie pozwala nam natomiast na takie wypaczenia tego, co zasłyszane, co opowiedziane. Oczywiście jest pewną przesadą nazywać relacją coś, co na przykład zdarzyło mi się usłyszeć w tramwaju, dwa niedbale rzucone zdania kilka tygodni po wybuchu wojny, tygodni największej morderczej furii i absolutnego chaosu, wielu ludzi poddało się temu i kipiało złością, jeśli mieli broń, czuli się bezkarni i używali polityki jako pretekstu, żeby załatwiać osobiste porachunki i dokonywać okropnych aktów zemsty. No cóż, sam wiesz. Po obu stronach było tak samo: po naszej trochę to później ukrócono, chociaż niedostatecznie; po tamtej stronie prawie nic z tym nie zrobiono przez trzy lata wojny, a nawet i po wojnie, gdy wróg został już pokonany. Ale byłem tak wstrząśnięty zrelacjonowaną mi przemocą – w zasadzie nie mnie konkretnie, każdemu, kto mógł usłyszeć, to było okropne – że pamiętam nawet, którądy jechał akurat wtedy tramwaj w chwili, gdy to dotarło do moich uszu. Skręcaliśmy z Alcalá w ulicę Velázquezę i kobieta siedząca w rzędzie przede mną wskazała palcem dom, mieszkanie na jednym z górnych pięter,



i powiedziała do drugiej jadącej z nią razem: «Widzisz ten dom? Mieszkali tam jedni bogacze. Wygarnęliśmy wszystkich z mieszkania i rozprawiliśmy się z nimi jak należy. A niemowlaka, którego mieli, wyjęłam z kołyski, chwyciłam za nogi, zakręciłam nim kilka razy i rozwaliłam o ścianę. Nikt nam się nie wymknął, załatwiliśmy całą cholerną rodzinę». Kobieta wyglądała raczej na prymitywną osobę, ale nie bardziej prymitywną niż inne widziane setki razy na targu, w kościele albo w salonie, ubogie i zamożne, źle i dobrze ubrane, brudne i czyste, można je spotkać wszędzie i w każdej klasie społecznej, ja widziałem podobne bestie ludzkie, jak przyjmowały komunię na sumie w San Fermín de los Navarros, w futrach i drogiej biżuterii. Tamta kobieta opowiedziała o swoim bestialstwie takim tonem, jakby mówiła: «Widzisz ten budynek? Pracowałam tam jakiś czas jako służąca, ale po kilku miesiącach rzuciłam to z dnia na dzień, bo nie mogłam z nimi wytrzymać. Zostawiłam ich na lodzie, mieli się z pyszna». Z całkowitą naturalnością. Nie przywiązując do tego nadmiernej wagi. W poczuciu absolutnej bezkarności panującej w owych czasach, nie obchodziło jej, kto usłyszy. A nawet z dumą. Co najmniej z nutą przechwałki. Oczywiście z ogromną pogardą dla swoich ofiar. Byłoby naiwnością oczekiwać choćby odrobiny wyrzutów sumienia, tego rzecz jasna nie było ani krzty. Zamarłem z przerażenia i wstrętu i wysiadłem przy najbliższej okazji, jeden albo dwa przystanki wcześniej, żeby już jej nie widzieć ani nie ryzykować, że usłyszę o innych bohaterskich wyczynach. Nic nie powiedziałem, w tamtych czasach to było niemożliwe, jeśli chciało się ocalić głowę, za byle co można było człowieka zatrzymać i postawić pod murem, nawet jeśli był republikaninem; albo tak jak twojego wuja Alfonso, który był nikim, po prostu młodym chłopcem, i tę dziewczynę, która szła z nim, gdy ich złapali, ona jeszcze bardziej była nikim. Zanim wysiadłem, spojrzałem na nią kątem oka, zwykła kobieta o grubych, lecz niebrzydkich rysach twarzy, młoda, chociaż nie na tyle, by złożyć to

wszystko na karb częstej w młodych latach bezduszności, może miała już dzieci albo urodziła je potem. Jeżeli przeżyła wojnę i nie padła ofiarą represji (nie dotknęłyby jej za to, o czym usłyszałem, to pewne; co najwyżej jeżeli wyróżniła się w innych działaniach, łatwiejszych do wyśledzenia i zrekonstruowania na koniec wojny, albo jeżeli chował do niej urazę ktoś wysoko wtedy postawiony i zadenuncjował ją ot tak bądź wiedziony intuicją; bo wszystkie te wczesne potworności zostały umieszczone w czyścicu), najprawdopodobniej wiodła potem normalne życie, a o tamtym specjalnie nie myślała. Była pewnie podobna do wielu innych kobiet, może lubiła się śmiać, była serdeczna, sympatyczna, dochowała się wnuków i przepadała za nimi, możliwe nawet, że przez wszystkie lata dyktatury była gorliwą frankistką i nic z tych rzeczy nie budziło w niej wątpliwości. Wielu ludzi mających na sumieniu potworne i nieludzkie zbrodnie żyło z tym spokojnie przez długie lata; tu, w Niemczech, we Włoszech, we Francji, sam wiesz, nagle się okazało, że nikt wcześniej nie był nazistą ani faszystą, ani kolaborantem, bo każdy z nich wmawiał sobie świadomie, że tak nigdy nie było, a na dodatek tłumaczył to sobie w ten sposób: «Ach nie, w moim przypadku było inaczej», to jest zazwyczaj kluczowe zdanie. Albo: «Takie były czasy, kto tego nie przeżył, nie zrozumie». Nie jest na ogół trudno wybronić się wobec własnego sumienia, jeżeli tylko za wszelką cenę tego pragniesz albo potrzebujesz, a jeszcze łatwiej, jeśli to kolektywne sumienie, część większej całości, zbiorowe, a nawet masowe, wtedy łatwiej powiedzieć sobie: «Nie byłem jedyny, nie byłem jakimś potworem, nie byłem inny niż wszyscy, nie wyróżniałem się; każdy chciał przeżyć i prawie wszyscy tak postępowali albo tak by postąpili, gdyby byli już wtedy na świecie». To może być wręcz najłatwiejsze dla ludzi religijnych, szczególnie dla katolików, oni mają przecież księży, żeby oczyścić wzniosłe zakamarki swej duszy, najbardziej intymną część swego jestestwa, możesz mi wierzyć, tutejsi księża chętniej niż kiedykolwiek udzielali rozgrzeszeń,

relatywizowali i usprawiedliwiali każdą nikczemność i okrucieństwo swoich protektorów i towarzyszy, mniej na względzie, że księża byli też stroną i zagrzewali tamtych. Tak, to wszystko pomaga, ale nie jest warunkiem koniecznym. Ludzie mają niewiarygodną zdolność chętnego zapominania zadanego przez siebie bólu, wymazywania swojej krwawej przeszłości nie tyle nawet w oczach innych – w tym względzie ich umiejętność jest nieskończona, nieograniczona – ile we własnych. Zdolność przekonywania samych siebie, że sprawy miały się inaczej, niż się miały, oni nie zrobili tego, co oczywiście zrobili, albo że nie wydarzyło się to, co się wydarzyło, i to przy ich nieodzownym udziale. Jesteśmy w większości mistrzami w sztuce upiększania własnych życiorysów, wygładzania ich, to naprawdę zadziwiające, jak łatwo można odegnąć myśli i pogrzebać wspomnienia, i widzieć naszą plugawą albo kryminalną przeszłość jak zwykły sen, od którego intensywnej rzeczywistości uciekamy coraz bardziej z każdą godziną dnia, to znaczy w miarę jak postępuje naprzód nasze życie. Ja jednak, mimo że upłynęło tyle lat, ilekroć mijam róg Alcalá i Velázquez, nie mogę się powstrzymać od spojrzenia w górę, na czwarte piętro domu, który kobieta w tramwaju wskazała palcem tamtego ranka tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, i przypomnienia sobie zabitego niemowlęcia, chociaż dla mnie to dziecko nie ma twarzy ani imienia i chociaż jedyne, co o nim wiem, to te dwa złowrogie zdania, które przypadkiem dotarły do mych uszu”.

Ojciec znowu pogрузył się w milczeniu i miałem tym razem coś do powiedzenia podczas tej przerwy. Niebieski kolor jego oczu zdawał się bardziej intensywny. Powiedziałem to, co w istocie pomyślałem chwilę wcześniej:

„Możliwe, że od tej pory i ja będę spoglądał na te budynki, mijając ten róg, chociaż nie wiem, o który dokładnie dom chodzi. Będę spoglądał teraz, gdy opowiedziałeś mi tę historię”.

Zrobił w powietrzu ruch ręką, a raczej trzema palcami, wskazującym, środkowym i kciukiem – ten ostatni dołączył do dwóch pierwszych z małym opóźnieniem i przez naśladownictwo – jakbym poruszył jakąś bardzo już starą sprawę, dawno omówioną i rozstrzygniętą. Prawie jakby ją odpychał albo skreślał jako coś, na co nie ma rady.

„Tak, wiem, może nie powinno się nigdy niczego opowiadać”, odparł. „To znaczy niczego złego. Kiedy zaczęliście przychodzić na świat, wasza matka i ja zadaliśmy sobie pytanie: jak wam opowiedzieć o tym, co stało się właśnie tutaj, w kraju, w którym mieszkacie, zaledwie piętnaście, dwadzieścia lat przed waszym urodzeniem, trochę więcej w przypadku twojej siostry? To wydawało nam się niemożliwe do opowiedzenia dzieciom, tym bardziej niemożliwe do wytłumaczenia, nawet dla nas, którzy byliśmy tego świadkami od początku do końca. Nie upłynęło dużo czasu z punktu widzenia naszej zdolności zapominania, w dodatku w naszych głowach wszystko było zbyt świeże, reżim generała Franco bardzo o to dbał. Nie przepracowano tego psychologicznie, nigdy nic nie zrobiono, żeby uśmierzyć emocje, ten reżim wykazywał się stałym i całkowicie totalitarnym brakiem wspaniałomyślności, co odczuwało się we wszystkich porządkach i sferach życia, nawet najbardziej

nieuchwytnych. Pozostawiłem to do decyzji waszej matki, bo to ona więcej się wami zajmowała; zawsze byliście bardziej jej niż moi, dlatego tak mi żal, że w końcu poznała was dużo gorzej niż ja, znała was krócej i tylko wtedy, gdy byliście młodzi, jak by to powiedzieć, mniej ukształtowani niż dziś, chociaż jeszcze wam sporo brakuje, tobie przede wszystkim, nie bierz mi tego za złe. I że nie zobaczyła nawet waszych dzieci. Zawsze miałem zaufanie do jej wyborów. Ona uważała, że nigdy nie powinniście czuć się zagrożeni, nosić w sobie niepokoju, bać się, że może wam się przytrafić coś strasznego, żyć w niepewności co do codziennego życia i waszych działań. Mieliście wszyscy czuć się chronieni i bezpieczni. Ale nie uważała równocześnie za rozropne i właściwe, byście nie wiedzieli, jaki jest świat, jakie rzeczy mogą się zdarzyć i już się zdarzyły. Sądziła, że jeżeli dowiecie się stopniowo, bez wchodzenia w makabryczne, brzydkie i niekonieczne szczegóły, i nie czując bezpośredniego niebezpieczeństwa, będziecie uprzedzeni, lepiej przygotowani i łatwiej sobie poradzicie w życiu. Rzecz jasna dużo też zależało od tego, o co pytaliście. Wasza matka nienawidziła kłamstw. W każdej postaci, nie potrafiła się zmusić, żeby powiedzieć wam, że coś nie jest prawdą, jeżeli to prawdą było. Mogła trochę łagodzić, troszkę tę prawdę maskować, ale nigdy jej nie zaprzeczała. Sam nie wiem, dziś jest taka tendencja, by zamykać dzieci w bańce ogłupiającej szczęśliwości i fałszywego błogostanu, nie wystawiać ich na najmniejszy kontakt z tym, co niepokojące, nie dopuszczać, by dowiedziały się, czym jest strach, a nawet ich własne życie, sądzę, że w dzisiejszych czasach można kupić – a niektórzy dają je albo czytają swoim dzieciom – ocenzurowane, zmanipulowane i przesłodzone wersje klasycznych bajek, jak bajki braci Grimm, Perraulta i Andersena, pozbawione wszystkiego, co mroczne i okrutne, groźne i złowrogie, a może nawet wykreśla się z nich wszystko, co smutne i budzące lęk. Kompletna głupota z mojego punktu widzenia. Rodzice, pożałujcie się Boże, i nieodpowiedzialne wychowywanie. Ja

potraktowałbym to jak przestępstwo polegające na odmowie opieki i uchyleniu się od udzielenia pomocy. Ponieważ obserwowanie strachu u innych zapewnia dzieciom ochronę, tym sposobem wyobrażają sobie strach na spokojnie, przyglądając mu się z perspektywy swojej bezpiecznej sytuacji; poprzez innych, szczególnie poprzez bohaterów bajek, mogą doświadczyć strachu pośrednio jako krótkotrwałego zakażenia, które – choć tylko zapożyczone – nie jest udawane. Wyobrażenie sobie czegoś to początek stawiania temu czemuś oporu, ma to także zastosowanie do przeszłości: człowiek lepiej znosi przeciwności losu, jeżeli zdoła je sobie wyobrazić potem, gdy już ich doświadczył. Najczęściej stosowanym przez ludzi zabiegiem jest rzecz jasna opowiadanie o nich. No cóż. Wcale nie uważam, że wszystko można i trzeba opowiadać, w najmniejszym stopniu. Nie można się jednak zgodzić na nadmierne fałszowanie tego świata i produkowanie idiotów i ciamajd, którym nigdy nikt się nie sprzeciwia ani nie pozwala na doświadczenie najmniejszego lęku. Przez całe życie, zanim coś opowiem, staram się ustalić, co można opowiedzieć. I komu, jak i kiedy. Trzeba się zastanowić, w jakim momencie swego życia znajduje się słuchacz, i nie zapominać, że co mu raz opowiesz, będzie już zawsze wiedział. Włączy to do swego zasobu wiedzy, jak ja włączyłem tamtą konkretną masakrę, o której usłyszałem w tramwaju. A przecież była to tylko jedna z wielu historii. Nie mogę się jednak uwolnić od tej wiedzy, sam widzisz, podobnie jak nigdy nie uwolniłem się od innej relacji z wojny, której nigdy nie opowiedziałem na przykład twojej matce, mimo że ona była przyzwyczajona do okropieństw, nie przyszło mi to do głowy, choć wróciłem wtedy wzburzony do domu. Po co jej to opowiadać, pomyślałem, po co niepokoić ją czymś kolejnym, teraz, gdy wojna już się skończyła. I powoli doszedłem do siebie, bo po wszystkim można dojść do siebie. Ale nie zapomniałem, trudno się było tego spodziewać, nie mógłbym. Obdarował mnie nią pewien powszechnie znany pisarz falangista, który

potem przestał być falangistą, jak większość z nich, i w ostatnich latach życia Franco, nawet nie po jego śmierci, ten człowiek miał czelność podawać się za weterana lewicy, wyobrażasz sobie? – ludzie to łykali. I to nie jacyś ignoranci, lecz ludzie prasy i polityki. Tak oto z tą charakterystyczną dla Hiszpanii płytkością etyczną zawsze był celebrowany, pod jednym i pod drugim sztandarem”.

Zamilkł na chwilę, tym razem nie pograżył się ze szczególną intensywnością ani zapalem we wspomnieniach, lecz myślał o czymś albo wahał się, może nawet przygryzał język. Wyraźnie się powstrzymywał przed dalszym mówieniem.

„Nie mogę wyrobić sobie na ten temat zdania”, wtrąciłem, „skoro nie wiem, o kogo chodzi, ani nie opowiadasz mi tej historii. Co to była za relacja? Kto to był?”

„Przed chwilą wyrzuciłeś mi, że opowiedziałem ci tę historię z tramwaju”, odparł i wydał mi się odrobinę urażony. „Nie wiem, czy powinienem dalej mówić”. Zabrzmiało to tak, jakby mnie prosił o pozwolenie. Zabrzmiało dziwnie.

„Niezupełnie. To nie był żaden wyrzut, co za absurd. Jakby można wyrzucać historykom, że opisują to, co ustalili albo o czym się dowiedzieli z pierwszej ręki. Całe życie powiększamy katalog okropieństw, które się wydarzyły, kolejne są odkrywane, wychodzą na światło dzienne bez ustanku. Ta historia usłyszana z twoich ust na pewno nie robi na mnie takiego wrażenia, jakie zrobiła na tobie, gdy usłyszałeś ją z ust tamtej kobiety. Wtedy opowiadała sprawczyni, i to z przechwałką. Poza tym wtedy to było świeże. Takie rzeczy wciąż się działy, tu i wszędzie, to duża różnica. Nie martw się, możesz mi wszystko opowiedzieć, nie będzie to gorsze od tego, o czym czytam albo co widzę codziennie w telewizji. Nie bądź jednym z tych pozał się Boże rodziców, już jestem dużym chłopcem.

Jeszcze by tego brakowało. Musiałbym cię podać do sądu. Oskarżyć o odmowę opieki i jak to nazwałeś, o uchylanie się od udzielenia pomocy”.

Zaśmiał się, rozbawiło go, że rozprawiłem się z jego na poczekaniu wymyślonymi zastrzeżeniami za pomocą tych samych argumentów i sformułowań, których sam chwilę wcześniej użył. Nim jednak podjął przerwany wątek, nie mógł się powstrzymać, by znowu nie zwrócić się do mnie w liczbie mnogiej: włączenie w odpowiedź całej czwórki rodzeństwa było też sposobem na osłabienie reprimendy przeznaczanej tylko dla jednego z nas.

„Czasami naprawdę jesteście głupkami”, powiedział, a potem już znowu zwracał się do mnie w liczbie pojedynczej. „No cóż, nie powiem ci, kto to był, nie podam nazwiska. Nie mogę mieć pewności, że jak już poznasz tę relację, zachowasz ją dla siebie jak ja. Z twojego punktu widzenia nie ma po temu dobrego powodu. Nie czułbyś się zobowiązany nawet moją prośbą, wolę zatem nie ryzykować, Jacobo. Nie robię tego z szacunku dla tego człowieka, odkąd usłyszałem, jak to opowiada, czuję do niego wyłącznie pogardę i urazę. Albo raczej wstręt i straszliwą odrazę. Wydaje mi się, że nie pałam żądzą zemsty głównie dlatego, że niespełnione żądze bardzo człowieka wyczerpują, ja byłem ofiarą represji, a on był zwycięzcą z dużymi wpływami, sam pomyśl. Popatrz jednak, że przez te pięćdziesiąt lat pisał książkę za książką, dostał liczne nagrody, był wychwalany pod niebiosa, bezustannie publikował w prasie i występował w telewizji, a ja chyba przez połowę tego okresu, albo i dłużej, nie przeczytałem żadnej napisanej przez niego linijki, szybko przewracałem stronę każdej gazety, gdzie ukazywał się z nim wywiad albo recenzja jego książki, nie mogłem znieść widoku jego twarzy ani jego nazwiska w druku. Potem to się zmieniło: zaciekawiło mnie, do czego jest zdolny, jak daleko się posunie w swojej wymyślonej biografii, którą publicznie zaczął sobie fabrykować bez cienia wstydu. Przede wszystkim jednak przypadek sprawił, że



poznałem jego żonę. Była wspaniałą osobą, bardzo radosną, bez wątpienia nie znała najbardziej odrażających kart życia swego męża albo najbardziej odrażających czynów popełnionych przez niego w czasie wojny domowej. Była od niego znacznie młodsza, dziesięć, może dwanaście lat, musieli się pobrać około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, on, jak na tamtejsze standardy, był już wtedy dość stary, skończył pewnie trzydzieści pięć lat albo trochę więcej. A ona nie tylko była czarująca i wesoła, i do rzeczy, lecz w dodatku postąpiła kiedyś bardzo przyzwoicie wobec nas, szczególnie wobec waszej matki. Ale to inna historia. Zachowałem dla niej ogromną wdzięczność i zawsze miałem wiele szacunku dla niej, nie dla niego”.

„Żyje? Oboje jeszcze żyją?”, spytałem.

„Nie. On zmarł jakiś czas temu, a ona niedługo po nim”.

„No więc?”. Chciałem powiedzieć: „Po co w takim razie zachowywać szacunek i milczenie?” i ojciec mnie zrozumiał.

„Żyją ich córki, to były dwie śliczne dziewczynki, uosobienie wdzięku, widziałem je raz albo dwa razy. To były także i są nadal jej córki, nie tylko tego ważnego człowieka. Ważnego za życia, póki mógł bronić swej pozycji, a użył po temu wszelkich dostępnych środków. Wystarczyło jednak kilka lat, by prawie przestało się o nim mówić, a popadnie w jeszcze większe zapomnienie, był postacią wyolbrzymioną. Jej córkom nie zrobiłbym jednak takiej przykrości, ona kochała je równie mocno jak swego obmierzłego męża, świata poza nimi wszystkimi nie widziała, szczególnie poza nim, to było jedno z tych niezłomnych uczuć, które nie słabną i nie są podawane w wątpliwość, niezagrożone upływem czasu, a nawet zdradami (mało ważnymi zdradami, bo i on, na swój powierzchowny egoistyczny sposób, bardzo ją kochał i nie dałby sobie bez niej rady; był takim szczęściarzem, że nawet umarł pierwszy). Nie, nie zrobiłbym nigdy takiego wstydu jej dziewczynkom. A choćby i nie było dzieci, nie zrobiłbym pośmiertnie takiego wstydu komuś równie serdecznemu i pełnemu

współczucia jak ona. Mam wrażenie, że dla waszego pokolenia i młodszych nie ma już większego znaczenia dobre imię zmarłych, ale dla naszego ma. Poza tym na pewno ktoś to w końcu kiedyś rozpowie, przecież chodzi o osobę publiczną, a wtedy, kto wie? może nikt się tym nie przejmie i nikt nie uzna tego za podłość ani nawet za plamę na honorze, a jego apologeci po prostu to zignorują, jakby chodziło o mało znaczącą anegdotę: ten kraj jest nie tylko powierzchowny, jest w dodatku arbitralny i bardzo tendencyjny i jak już raz przyzna komuś taryfę ulgową, rzadko kiedy ją odbiera. Jednakże to nie wyjdzie ode mnie, nie dostanie się do wiadomości publicznej z powodu mego braku rozwagi w rozmowie z tobą, nie w wyniku mojej beztroski, nie za moim pośrednictwem. Inni pewnie już w większości umarli, siedzieliśmy tam wtedy w pięciu, kiedy słyszałem, jak opowiada tę historię, i jestem pewien, że nie tylko wtedy relacjonował ją tak swobodnie, sporo osób musiało ją słyszeć poza nami (choć mało kto z nas jeszcze żyje). Nie zdziwiłbym się jednak wcale, gdyby przy tamtej okazji opowiedział ją po raz ostatni i począwszy od tamtego spotkania starał się już o tym nie mówić, a nawet rozpoczął cały proces późniejszego skrupulatnego zacierania śladów. To bardzo prawdopodobne”.

„Jakie to było spotkanie? Co takiego opowiedział”, zapytałem, nie akcentując trybu pytającego. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę chcę to wiedzieć, mimo że na ogół nie wyciągałem od ojca informacji, nawet jeśli byłem czymś zaciekawiony, zostawiałem go w spokoju z jego wspomnieniami, chyba że sam z własnej woli je przywoływał. Aczkolwiek przed chwilą trochę go oszukałem, a zarazem oszukałem trochę i samego siebie: nie było prawdą, że mógł mi powiedzieć wszystko, mam na myśli, powiedzieć bez konsekwencji, że to nie przekładało się na mój stan ducha albo moje przygnębienie, że nawet najbardziej nieprzyjemne rzeczy były z jego ust łatwiejsze do zniesienia lub przyjęcia do wiadomości niż okropieństwa z książek historycznych czy te współczesne, oglądane

w telewizji. Wszystko, co opowiadał, nie tylko było równie rzeczywiste i prawdziwe jak oblężenie Wiednia w 1529 roku albo straszliwy upadek Konstantynopola pod naporem tureckim w 1453 roku; jak masakra rodaków Wheelera w Gallipoli i trzy bitwy albo krwawe jatki w Ypres podczas pierwszej wojny światowej; jak zrównanie z ziemią wioski Lidice i bombardowania Hamburga, Coventry, Kolonii i Londynu podczas drugiej wojny; to na dodatek zdarzyło się tutaj, na tych samych ulicach i w tych samych spokojnych, wesołych miastach, dziś tak kwitnących, w tej samej „słodkiej krainie”, gdzie przeżyłem większość swego życia i niemal całe dzieciństwo; i nie dość, że zdarzyło się tutaj – tak samo jak rozstrzeliwania 3 maja 1808 roku podczas wojny, którą Anglicy nazywają „wojną o Półwysep”, albo jak oblężenie Numancji od 154 do 133 roku przed Chrystusem, i jak tyle innych okrucieństw – to jeszcze zdarzyło się jemu, jego niebieskie oczy zobaczyły to wtedy i teraz widziały ponownie (teraz matowe, z poszerzoną źrenicą), jego bezbronne uszy usłyszały to wtedy i teraz słyszały znowu (ból w żołądku, ucisk w piersi jak podczas mrocznych, niespokojnych snów, wszystko to jak ołów na jego duszy). Jego złe doświadczenia były dla mnie bardziej bolesne niż prawie każde inne nieszczęście albo okrutne zdarzenie z przeszłości, a nawet aktualne, lecz odległe, ponieważ dotyczyły go osobiście i przyprawiły smutkiem jego biografię, biografię kogoś tak bardzo bliskiego, kogo w dodatku wciąż miałem przed sobą, wciąż żywego, wciąż we własnej osobie, kto wie, jak długo jeszcze, i z nadal jasną głową. Nie, nie przyjmujesz, nie chłoniesz tak samo świadectwa z pierwszej ręki od nieznajomej osoby – kronikarza, świadka, spikera, historyka – jak od kogoś, kogo znasz od urodzenia. Widzisz te same oczy, które zobaczyły i ku swej rozpaczycy odnalazły w kartotece fotografię młodego chłopca zabitego strzałem w skroń albo w ucho; i słyszysz ten sam głos, który musiał opowiedzieć siostrze zabitego bądź przemilczeć z przerażeniem albo ze smutkiem, albo z tłumioną złością

to, co uszy mimowolnie usłyszały w tramwaju czy w kawiarni, coś, czego wołałyby nigdy nie usłyszeć („Milcz, milcz i nic nie mów. Trzymaj język na wodzy, ugryź się w niego, schowaj go, połknij, choćby cię parzył, jakby ci go kot pożarł. Milcz i tym sposobem się uratuj”).

„Któregoś dnia poszedłem z rana do wydawnictwa Gómez--Antigüedad”, odpowiedział mi ten głos, „żeby popytać, czy nie dadzą mi czegoś do tłumaczenia, jakkolwiek nie mogłem podpisywać tłumaczeń swoim nazwiskiem, albo jakichś innych dorywczych anonimowych zleceń, recenzji zagranicznych książek czy czegoś podobnego. Wydawnictwem zarządzał już wtedy głównie syn, Pepito, którego znałem przelotnie z wydziału i ze wspólnego rejsu po Morzu Śródziemnym, był jednym z nielicznych ludzi po stronie zwycięzców, którzy, sam wiesz, zachowali się bardzo przyzwoicie i wspaniałomyślnie: przychodził z pomocą różnym prześladowanym, ludziom, których sam uważał za wartościowych, i robił to w początkowych latach, kiedy wszyscy mieliśmy wilczy bilet, najtrudniej było do czterdziestego piątego roku, potem, do roku pięćdziesiątego trzeciego, sytuacja tylko niewiele się poprawiła. Z waszą matką mogliśmy się pobrać dzięki udzielanym przez nią lekcjom francuskiego, niewielkiemu wsparciu jej matki chrzestnej, która miała pieniądze i zdołała je jakimś cudem zachować, i dzięki okazjonalnym zleceniom, jakie dostawałem z «Revista de Occidente»; jednakże żeby jakoś utrzymać się przy życiu, trzeba było ciągle rozglądać się za czymś jeszcze, bez ustanku, bo trzy czwarte podejmowanych prób zawsze kończyło się niepowodzeniem. Albo i więcej. Antigüedad syn przyjął mnie, a ja przedstawiłem mu swoją sytuację”. (Ilekcroć o coś prosimy, bardzo się eksponujemy, jesteśmy bezbronni, pomyślałem, zdani niemal całkowicie na łaskę osoby dającej lub odmawiającej). „Mimo że różniliśmy się w zapatrywaniach politycznych, on uważał, że potraktowano mnie niesprawiedliwie, i dał mi dwie książki do tłumaczenia, jedną z niemieckiego, Schnitzlera, drugą z francuskiego,

Hazarda, dobrze pamiętam. Dla mnie to było wtedy, jakbym wygrał los na loterii. Brało się to, co było, z entuzjazmem, zawsze wam powtarzam, że żadna praca nie jest zła, jeżeli nie ma lepszej. Był bardzo serdeczny i dla uczczenia współpracy zaproponował, żebyśmy poszli się czegoś napić do ówczesnej Café Roma przy ulicy Serrano, wydawnictwo mieściło się tuż obok, przy Ayala”.

„Pamiętam Café Roma”, wtrąciłem, „była tam co najmniej do mojego pierwszego roku na uniwersytecie”.

„Możliwe”, odpowiedział, nie chcąc zatrzymywać się przy tym dłużej. Pomyślałem, że lepiej mu więcej nie przerywać, zaczął już opowiadać coś, co przychodziło mu z trudem, lepiej, żeby znowu nie zaczął się zastanawiać, nie nabrał wątpliwości jak owego dnia, gdy usłyszawszy to samemu, nie opowiedział potem mojej matce, postanowił zachować dla siebie. „Weszliśmy i od razu jacyś jego znajomi albo przyjaciele zawołali nas do swego stolika i zaprosili, żebyśmy się dosiedli. Nie wiem, czy oni mnie znali, to znaczy czy skojarzyli moje nazwisko, kiedy zostałem przedstawiony, ale ja dwóch rozpoznałem, co do dwóch pozostałych, to nie wiedziałem, kim byli. Jednym z mężczyzn był tenże pisarz, wówczas jeszcze płomienny falangista, drugi był monarchistą z tych, co to mieli mnóstwo cierpliwości i nigdzie im się nie spieszyło, czyli – w owych czasach – frankistą w każdym calu. Obaj umoszczeni oczywiście na ciepłych posadkach. Tak naprawdę pisarz dopiero zaczynał być znany jako pisarz: zdążył wydać staroświecki tomik poezji, może dwa tomiki, oba obsypane pochwałami z oczywistych powodów, potem zarzucił poezję i zajął się prozą, sławę zyskał jako autor powieści; napisał też kilka nudnych sztuk i jakiś równie nudny esej. Wydawało się, że ci dwaj spotkali się z pozostałą dwójką po długiej przerwie, ludzie jeszcze sobie wówczas opowiadali, co się z nimi działo w czasie wojny domowej, ile wycierpieli albo jakie cierpienia zadali innym. To był właśnie taki przypadek. Przy

stoliku wymieniano się doświadczeniami i historiami wojennymi, przerzucano się opowieściami o takich czy innych wyczynach, takiej czy innej udreće, takich czy innych okropnościach. Gómez-Antigüedad brał w tym trochę udział, ja nie. I w trakcie tego wszystkiego pisarz wymienił nazwisko dobrze mi znanego i szanowanego przeze mnie mego dawnego kolegi z uniwersytetu. Nie byłem z nim zaprzyjaźniony, studiował rok niżej ode mnie, ale mieliśmy dobre, chociaż sporadyczne kontakty, poza tym był człowiekiem, który dawał się lubić: Emilio Marés, Andaluzyjczyk, bardzo sympatyczny, pomysłowy, trochę próżny, ale w zabawny, świadomie niepoważny sposób udawał anarchystę, z tym że nie celebrował tego, nawet kiedy wygłaszał płomienne przemowy, była w nich zawsze jakaś kpiarska nuta, poza tym nosił się nienagannie, ubrany jak spod igły, z całą pewnością nie przypominał w tym klasycznego powieściowego anarchisty: bardzo miły człowiek, zawsze w dobrym humorze. Wybuch wojny zastał go w rodzinnych stronach, nim nadszedł osiemnasty lipca, wielu studentów spoza Madrytu zdążyło już wyjechać do domu, żeby spędzić wakacje z rodziną, on pochodził z jakiejś wioski koło Malagi albo koło Grenady, nie jestem pewien, jego ojciec był tam burmistrzem, chyba socjalistycznym: ta wioska to była Grazalema, Casares, a może Manilva, gdzieś w tamtych okolicach. W trakcie wojny doszły nas wieści, że Emilia zabili w Maladze frankiści, przypuszczaliśmy, że zginął, kiedy w lutym trzydziestego siódmego roku do miasta wkroczyły włoskie oddziały Czarnych Koszul, ponad dziesięć tysięcy ludzi. Wyobrażaliśmy sobie, że został po prostu rozstrzelany. Represje, akty odwetu były tam szczególnie okrutne, bo miasto wcześniej stawiało opór przez siedem miesięcy i jego mieszkańcy sami mieli na sumieniu wiele bestialskich czynów, egzekucji, plądrowania na masową skalę, palenia kościołów, osobistych porachunków, podobnie jak i tutaj na początku wojny. Opowiadano, że jak już frankiści pod dowództwem księcia Sewilli zdobyli miasto, zaraz wyrównali rachunki

i pozwolili sobie na jeszcze więcej, bo tylko w ciągu pierwszego tygodnia zabili ponad cztery tysiące osób. Może nie aż tyle, ale wychodzi na to samo: z całą pewnością wydali bardzo dużo kawy, takiego właśnie eufemizmu, jak wiesz, używał Franco i jego kohorty, nakazując egzekucje, «*Dadles café*» – «Dajcie im kawy» – mówili, a wtedy więźniów stawiano pod ścianą i rozstrzeliwano. W Maladze wielu z nich zostało zabranych na plażę i tam zabitych. Włosi zaprotestowali wobec tego bestialstwa, czuli się zbryzgani krwią, nawet ich ambasador, Cantalupo, rozmawiał z Franco i przyjechał do Malagi osobiście, żeby powstrzymać egzekucje. Czytałem gdzieś, że oniemiał na widok rozpętanego tam wściekłego okrucieństwa, nawet bogate matrony, wszystkie dobre katoliczki, oddawały się bezczeszczeniu grobów republikańskich, no cóż”. Ojciec zamilkł i przesunął dłonią po czole, a raczej niemal je ścisnął czterema palcami, jakby chciał coś stamtąd wyrwać, może obrazy, może relacje. Miał wtedy ponad osiemdziesiąt lat. Przerwa jednak trwała bardzo krótko, bo od razu podjął opowieść: „Nie pamiętam, jak ten akurat temat pojawił się w rozmowie w starej Café Roma, ale na zawsze utkwiło mi w pamięci to, co dotyczyło Marésa. Któryś z mężczyzn napomknął chyba naburmuszonym tonem, że wielu republikańców, kiedy się poddawali albo podczas zatrzymania, «w dodatku bardzo zadzierało nosa», tak jakoś to ujął. I mniej więcej w tym momencie, zachęcony wzmianką o republikańskim tupecie, pisarz zaczął mówić, jak to dali jednemu takiemu popalić. Powiedział, że któregoś razu w Rondzie (Ronda poddała się dużo wcześniej niż Malaga, we wrześniu albo październiku trzydziestego szóstego roku) wywieźli trzech więźniów za miasto, żeby ich tam rozstrzelać o brzasku, i wedle ówczesnego zwyczaju kazali im wykopać dół (obie strony miały taki zwyczaj i obawiam się, że tak jest na każdej wojnie). Jeden z więźniów, «goguś, który nazywał się Emilio Marés», takich właśnie użył słów, «synalek czerwonego burmistrza z tej okolicy», odmówił i tak

się odezwał do swoich oprawców: «Możecie mnie zabić i wiem, że mnie zabijecie, ale nie będziecie się ze mną bawić jak z bykiem». Nie miał zamiaru odwalać za nich roboty po prostu. Odpowiedź pasowała mi do człowieka, którego znałem, chociaż, rzecz jasna, tamtego dnia nie tryskał dobrym humorem: zuchwała odzywka na koniec, było oczywiste, że nie chciał spędzić ostatnich chwil życia, kopiąc łopatą ziemię, spocony i brudny. «Zauważcie, jak arogancko się postawił», mówił dalej pisarz, «jakby to on tam dyktował warunki. Od razu było widać, że niby taki czerwony, a rączki do pracy nienawykłe, wystrojony jak spod igły, paniczek jeden. W dodatku namawiał swoich koleżków, żeby też odmówili. Nie posłuchali go na swoje szczęście. Za bardzo byli przerażeni i zabrali się do kopania. On chyba sobie myślał, że tak czy inaczej rozstrzelamy potem wszystkich trzech nad wykopanym dołem. Jeden z naszych, który też pochodził z okolic Malagi i miał tamtego na oku już od jakiegoś czasu, przyłożył mu kolbę karabinu w twarz i przewrócił go na ziemię, a potem kazał mu wstać i brać się za łopatę. Ale ten facet znowu odmówił i dalej powtarzać swoje, że możemy go zabić, nawet zatłuc, jeśli wola, nikt jednak nie będzie się z nim drażnił jak z bykiem na arenie. ‘Nie będziecie się bawić moim kosztem, jakem Emilio Marés’, uparł się. Tak się nam postawił, rzucając nam w twarz nazwisko i tak dalej, nie wiem, za kogo się uważał. No i słuchajcie. Powiem wam tylko, że w złą godzinę przyszło mu do głowy użyć tego sformułowania, bo wiecie, cośmy zrobili?» I pisarz zawiesił głos, jakby chciał wzbudzić zainteresowanie i uzyskać większy efekt, jakby naprawdę chciał, żebyśmy powiedzieli: «No, co? Co?», aczkolwiek nie odczekał wystarczająco długo, bo jego pytanie było czysto retoryczne, teatralne. Wtedy energicznie wyciągnął palec wskazujący, nie dotykając nim jednak stołu, jakby coś wskazywał lub chciał podkreślić, jakby odpowiedź napawała go dumą, i wykonując ten ruch palcem, udzielił odpowiedzi, nam jej udzielił: «Zabawiliśmy się z nim jak z bykiem»,



powiedział z przechwałką w głosie, bardzo zadowolony z nauczki, jaką dali tamtemu człowiekowi. Pamiętam, że od razu zapadła pełna osłupienia i niezrozumienia cisza. Myślę, że nikt z nas nie mógł się domyślić, o co mu naprawdę chodzi, bo aż do tej chwili wszyscy uważaliśmy, że on używa jakiejś przenośni, poza tym to było po prostu nie do pojęcia. Wreszcie Antigüedad, zdumiony i coś już rozumiejący, zadał mu pytanie: «Co masz na myśli, mówiąc, żeście się zabawili jak z bykiem?» «Właśnie to. Wzięliśmy go za słowo i zabawiliśmy się jak z bykiem. Urządziliśmy mu korridę», odparł pisarz. «Pomysł wyszedł od tego gościa z Malagi, który już wcześniej był na niego cięty. ‘Mówisz, że nie? No to się przekonasz, na co nas stać’, rzucił, potem wskoczył do ciężarówki, ruszył do miasta i nie minęło pół godziny, a był już z powrotem z całym oprzyrządowaniem. Wbijaliśmy w niego banderille, stojąc na dachu furgonetki i przejeżdżając powolutku tuż obok niego, dźgaliśmy go jak pikadorzy, a potem ostateczny cios zadał mu szpadą ten z Malagi. To był kawał drania, prawdziwy skurwysyn, ale widać było, że zna się na rzeczy, zabił go w wielkim stylu, od pierwszego pchnięcia, prosto w serce. Nie ma co, ten cały Emilio Marés naprawdę się przekonał, na co nas było stać. Dwaj pozostali więźniowie odgrywali rolę publiczności, kazaliśmy im krzyczeć *olé*. Potem, już na zakończenie, rozstrzelaliśmy ich w nagrodę, że wykopali dół. Sami widzieli, czego sobie zaoszczędzili. Ten z Malagi uparł się, żeby zabrać sobie ucho jako trofeum. To była może lekka przesada, ale przecież nie mieliśmy zamiaru mu tego zabronić». To właśnie opowiedział ten słynny i wysławiany pisarz podczas rozmowy przy kieliszku”, dodał mój ojciec i gdy już skończył przywoływać tamto zdarzenie, w jego głosie zabrzmiało przygnębienie: „Jakkolwiek nie opowiadał już tego potem, kiedy naprawdę stał się sławny. Wyprawiono mu po śmierci uroczysty pogrzeb. Jeśli się nie mylę, to nawet pewien bardzo demokratyczny minister pomagał nieść trumnę”.

Teraz rzeczywiście zamilkł na dłużej, miał spojrzenie starca zatopionego we wspomnieniach, jakby naprawdę wrócił do nieistniejącej już Café Roma przy ulicy Serrano albo do Rondy, gdzie nie był, mam na myśli, że nie było go tam we wrześniu 36 roku, kiedy zabawiono się z jego kolegą jak z bykiem na arenie, by potem zabić go ostatecznym pchnięciem szpadą. To było 16 dnia tego miesiąca, sprawdziłem później, gdy „bohaterskie fantastyczne” miasto z wielką przepaścią albo urwiskiem zostało zdobyte, wpadło w obleczone zawsze w białe rękawiczki ręce generała Vareli – a może był wtedy pułkownikiem: opowiadano, że nawet do snu nie odpinał sobie medali – człowieka dużo bardziej okrutnego niż dowódca Czarnych Koszul, Włoch, pułkownik Roatta, który przypuścił szturm na Malagę i używał przydomku „Mancini” – jak mój muzyczny opiekun – zgodnie z normą wyznaczoną przez wielu innych, którzy przeszli przez tę wojnę, odrzucając swoje nazwiska albo je tracąc; ale nie mniej okrutnego niż mężczyzna, który przejął władzę w Maladze i rządził miastem po kapitulacji, mianowicie Franciszek Burbon, jego cokolwiek nieodpowiedni tytuł brzmiał książę Sewilli: aj, ci pazerni Hiszpanie, jedni milczący, inni gadatliwi; aj, „ci mężowie pełni furii”, jak tytuł z nich i tak często.

Rilke, poeta, zatrzymał się w Rondzie na dwa miesiące dwadzieścia cztery lata wcześniej, pod koniec 1912 i na początku 1913 roku, Wheeler jeszcze się wówczas nie urodził na antypodach jako Peter Rylands. Jest tam jego pomnik, pomnik poety, intensywnie czarna postać naturalnych rozmiarów w ogrodzie hotelu, z którego balkonów na piętrze widać rozległe, słodkie pola Hiszpanii, może to na jednym z nich odbyła się tamta korrida z człowiekiem w roli głównej: to mało prawdopodobne, ale przecież nie niemożliwe, bo o brzasku nikt nie wyglądałby przez okno, żeby

kontemplować krajobraz, albo teren hotelu był zajęty przez zwycięskie wojsko, ono zaś nie miałooby nic przeciwko takiej zabawie, zakładając, że dostrzegłby ją któryś z wartowników: może w skład wojska wchodziły oddziały karlistowskie szkolone przez Varełę, gdy objeżdżał wioski w Nawarze przebrany za księdza, posługując się dowcipnym pseudonimem „Tío Pepe”; bez wątpienia byli w nim legionści i Marokańscy, groteskowa zaiste „krucjata” – ulubione określenie Vareli – fanatycznie katolickich ochotników i muzułmańskich najemników wspólnie siejących zniszczenie i zrównujących z ziemią świecki kraj. Hotel, jeśli się nie mylę, nazywa się Reina Victoria, „diabeł musiał podszeptać Anglikom, żeby go tu zbudować”, napisał Rilke, i można w nim oglądać pokój zajmowany kiedyś przez poetę, rodzaj maleńkiego muzeum albo panteoniku ozdobionego portretem, z nielicznymi meblami, kilkoma starymi książkami, notatkami spisanyymi ręcznie po niemiecku, może z jakimś popiersiem (nie jestem pewien, widziałem ten pokój przed wieloma laty). Może właśnie tam zaczął układać te strofy, które zapamiętałem: „Zaprawdę, to osobliwe, nie przebywać już odtąd na ziemi, wyuczone zaledwie porzucić zwyczaje; Nie być już więcej i nawet swe własne imię porzucić. To osobliwe, już nie mieć życzeń. To osobliwe, wszystko, co było związane, ujrzyć w przestrzeni rozpierschłte. A być umarłym to trud...”<sup>2</sup> Kto wie, czy nie tak myślał Emilio Marés, choćby nie tymi słowy.

„I co się stało, co zrobiłeś, jak zareagowałeś?”, zapytałem ojca nie tylko powodowany chęcią wyrwania go z zadumy, zawrócenia z długiej podróży. Intrygowało mnie, co mógł zrobić, co powiedzieć, jeżeli w ogóle cokolwiek. W tamtych czasach mogli go aresztować, ponownie zamknąć w więzieniu pod najbliższym pretekstem i pewnie wyszedłby na tym dużo gorzej, bo wcześniej, w 1939 roku, miał wyjątkowe szczęście, wtedy gdy prawie nikt z pokonanych nie miał go w ogóle.

Z niejakim wysiłkiem wrócił z daleka. Westchnienie. Na czole dłoń z obrączką, której nigdy nie zdjął. Odchrząknął. Potem skupił wzrok. Popatrzył na mnie i odpowiedział. Najpierw powoli, jakby z nagłą ostrożnością, może taką samą, jaką pewnie narzucił sobie wówczas w Café Roma.

„No cóż”, powiedział. „Odkąd usłyszałem nazwisko Marésa, obawiałem się najgorszego i tym bardziej miałem się na baczności. Obrót, jaki przyjmowała rozmowa, nie podobał mi się wcale. Nic jednak nie zrobiłem, dopóki opowiadał. Do głowy mi nie przyszło, żeby mu przerwać. Słuchając go, czułem mdłości i gniew, nie na przemian, raczej i to, i to naraz. Wiele bym dał za to, żeby mnie tam nie było, żebym się nie dowiedział, co w kilku zrobili szanowanemu przeze mnie koledze z wydziału. Wcześniej wiedziałem, że zabito go bez powodu, i to mi wystarczało, już samo to było dostatecznie złą wiadomością, ale nie łączyła mnie z Marésem tak bliska przyjaźń, żebym chwilami nie zapominał o jego śmierci. Z drugiej strony uświadomiłem sobie, że skoro ta przerażająca opowieść już się rozpoczęła, nie można jej zatrzymać. Na pewno bardzo poblądłem albo zrobiłem się bardzo czerwony, nie wiem, było mi zimno i gorąco równocześnie. Bez względu na kolor, jaki przybierała moja twarz, nie zwracało to niczyjej uwagi, nie rzucało na mnie podejrzenia, nie zdradzało mnie, bo i pozostali słuchali oniemiałi, bladzi, mimo że wszyscy czterej byli po stronie frankistów i bez wątpienia widzieli wcześniej inne bestialstwa, a nawet sami się ich dopuszczali”. Zatrzymał się na sekundę, rozejrzał dookoła – byliśmy w salonie jego domu, pod koniec XX, a może na początku XXI wieku, późnym przedpołudniem: wracał do terażniejszości – i kontynuował już swobodniej: „Myślę, że pisarz się przeliczył. Rozpoczął opowiadanie niemal z dumą, chełpliwie, lecz w miarę mówienia musiał zauważyć, że jego historia nie spotyka się z najlepszym przyjęciem, że nas wszystkich przerosła, że to było za dużo. Pośród wściekłości i jazgotu wojny domowej

może by kogoś z nich rozbawiła (jeśli można to tak nazwać), ale teraz już nie. Było coś niestosownego w opowiadaniu takiego zdarzenia przy kawiarnianym stoliku, w słoneczne madryckie przedpołudnie, przy oliwkach i piwie. Cisza, jaka zapadła od chwili, gdy powiedział: «Zabawiliśmy się z nim jak z bykiem» i opuścił na dół palec jak banderillę albo pikę, albo szpadę, trwała już do samego końca opowiadania, a i jeszcze potem, niezmiennie. Kiedy stała się krępująca, a prawdopodobnie właśnie pisarz był w tym gronie najbardziej wpływową osobą, jeden z tych dwóch, których nie znałem, przerwał ją żartem w najgorszym guście, żartem, którego nie był w stanie zatrzymać dla siebie, a może, jako że był głupcem, nie przyszło mu do głowy nic lepszego, żeby podjąć rozmowę i przyklasnąć temu, co usłyszał: «A dlaczego nie wziął jako trofeów obu uszu i ogona, właściwie...?», zapytał, nawiązując do tego typu z Malagi i ucha, które tamten obciął. I pisarz znowu źle rozpoznał sytuację, a może lodowaty nastrój wywołany jego opowieścią sprawił, że... bo ja wiem, poczuł się niewygodnie, nieswojo, a to niemal zawsze prowadzi do pogorszenia sytuacji działaniem obliczonym na jej poprawę, najlepiej wtedy po prostu nic nie robić i milczeć. Roześmiał się więc, jakby dostrzegł swoją szansę. Może desperacko uczepił się przekonania, że jego opowieść wywołała jednak zamierzony efekt, tyle że z lekka opóźniony przez szok, a może uważał tę zbrodnię za bohaterski wyczyn. Nie był szczególnie inteligentny, tylko sprytny. I cyniczny, jak to bywa z ludźmi, którzy wiedzą, że z nieuzasadnionych przyczyn, za sprawą ich własnego tupetu i natarczywości, ceni się ich bardziej, niż na to zasługują. Wszystko w nich jest tak niepewne i nieprawdziwe, że myśl, iż mogliby źle wypaść albo zostać przyłapanymi, letnie przyjęcie albo najmniejsza krytyka doprowadzają ich do rozpadu. Odpowiedział więc ni to z fałszywą skromnością, ni to drwiąco: «No cóż, chciałem coś zostawić domyślności słuchaczy, ale nie mówię, że na koniec nie obciął mu wszystkiego. To był

ostrzy gość, ten nasz kolega. Szkoda, żeście go nie widzieli, jak uchyla swój czerwony beret niczym czapkę toreadora i demonstruje wszystkie trzy trofea». Nie wiem, czy to, co powiedział na koniec, było prawdą, czy też podpuszczony pytaniem drugiego wymyślił to na poczekaniu, żeby się popisać; może miał poczucie, że wcześniej nie spełnił oczekiwań i że stąd się bierze chłód publiczności. Było mi wszystko jedno; może nawet byłoby gorzej, gdyby to sobie wymyślił na poczekaniu, żeby w swoim mniemaniu nam dogodzić albo przyprawić nas o dreszcz. Nie wytrzymałem. Już wcześniej trudno mi było wytrzymać, ale teraz stanął mi nagle przed oczyma niewyraźny obraz okaleczonego po torturach Marésa, obraz trupa wesołego mężczyzny, którego kiedyś znałem, dowcipnego fanfaron, teraz bardziej przywodzącego na myśl zwierzęcą padlinę aniżeli ludzkie szczątki. Wstałem i zwracając się tylko do Gómeza-Antigüedada, mruknąłem: «Muszę iść, już jestem spóźniony. Zapłacę przy barze za tę kolejkę». I podszedłem do baru, żeby poprosić o rachunek. Uznałem, że moje wyjście rozłożone na dwa etapy nie zwróci uwagi i nie będzie takie obcesowe, jak gdybym skierował się wprost do drzwi. Tak naprawdę nie mogłem sobie pozwolić na płacenie za cokolwiek, sam pomyśl, w dodatku kawiarnia należała do bardzo drogich, nie byłem nawet pewien, czy starczy mi pieniędzy, jakie miałem przy sobie; i nie muszę ci mówić, że wstrętem napawało mnie fundowanie tamtym czterem. Ale doszedłem do wniosku, że nie będą to źle wydane pieniądze, skoro tym sposobem natychmiast stracę ich z oczu, nie będę więcej słyszał ich wysiłonego śmiechu ani głosu tego bezczelnego mordercy; i wreszcie wyjdę stamtąd bez większych problemów. Biorąc pod uwagę wszystkie moje zaszłości, brakowało tylko, żeby mnie wtedy aresztowano. Stanąłem niedaleko odwrócony do nich plecami, czekałem przy barze, żeby podszedł do mnie barman albo jakiś kelner, i usłyszałem, że pisarz mówi do Antigüedada: «A temu co się stało, jeśli można wiedzieć? Mówiłeś, że nazywa się Deza, tak? Skąd się

właściwie wziął? I co go ugryzło?». Nigdy nie jest dobrze, jak ktoś zwraca uwagę na twoje nazwisko i je zapamiętuje, wszystko jedno, czy to przedstawiciel władzy czy przestępca, nie mówiąc już o przypadku, gdy u władzy jest przestępca. Pomyślałem, że mi się nie uda, że pisarz nie pozwoli mi spokojnie odejść, że będzie się dopytywał, co mi się stało, a ja wtedy nie zdołam się już powstrzymać, byłem pewien. Gdyby zażądał ode mnie wyjaśnień, byłem gotów rzucić się na niego z pięściami. To by się dla niego źle skończyło, ale jeszcze gorzej dla mnie. Skatowaliby mnie pewnie tej samej nocy w więzieniu, a potem może wytoczyliby mi proces, o cokolwiek. Na szczęście Antigüedad odpowiedział bezzwłocznie i za te słowa też mu byłem wdzięczny do dnia jego śmierci: «Pewnie stało mu się, kurwa, to samo co i mnie. Rzygać mi się chce od tej twojej opowieści», powiedział. Antigüedad nie używał zazwyczaj wulgarnego języka, dobrze jest jednak umieć go użyć stosownie do tego, z kim się rozmawia. Czasami to kwestia autorytetu. A on użył tego autorytetu, żeby zrugać pisarza, niemal udzielić mu reprimendy: «Uważasz, że można ot, tak sobie opowiadać podobne ohydztwa? Naprawdę uważasz, że to zabawne? Trzeba znać miarę, człowieku. Już czas, żeby cała ta zła krew została za nami». Jakkolwiek z nich dwóch to pisarz był lepiej usadowiony we frankistowskim reżimie, Antigüedad pochodził z zamożnej rodziny, od zawsze związanej z prawicą, skończył wojnę w randze kapitana i był poza wszelkim podejrzeniem; w dodatku miał zostać właścicielem wydawnictwa i już wtedy rozdawał w nim karty, a początkujący pisarz zawsze bierze takie rzeczy pod uwagę, bo nie wie, czy kiedyś nie będzie w potrzebie. Tak więc przełknął reprimendę, schowawszy dumę do kieszeni. «Nie ma powodu tak się unosić, Pepito, nie przesadzajmy. Każdy z nas mógłby opowiedzieć jakąś podobną historię. Ale może i masz rację, że ta akurat nie nadaje się na czasy pokoju, przyznaję», powiedział. I Antigüedad od razu złagodniał. Ojcowskim gestem poklepał pisarza po ramieniu i powiedział: «Nic się nie

stało, pogadamy spokojnie przy innej okazji. Do zobaczenia, panowie». Pożegnał się zbiorowo z całą resztą, nie wymieniając z żadnym uścisku dłoni, i podszedł do mnie akurat w chwili, gdy pojawił się obsługujący nas kelner. «Ja płacę, Deza, bo ja zapraszałem», rzekł i wziął od kelnera rachunek, nim ten zdążył mi go podać. Ja liczyłem już w ręku pieniądze, bałem się, że mi zabraknie. Z kawiarni wyszliśmy razem, on odwrócił się jeszcze przy drzwiach i pomachał tamtym czterem na do widzenia. Potem, już na ulicy, przeprosił mnie, chociaż nie był przecież niczemu winien. «Bardzo mi przykro, Deza, nie miałem pojęcia», powiedział. «Kolegowaliście się z Marésem, prawda? Ja znałem go tylko z widzenia». Był jednym z nielicznych po stronie zwycięzców, którzy starali się załagodzić sytuację i nie stosowali się ślepo do zaleceń Franco, żeby pokonanych poddawać ciągłym szykanom i karom. I wiesz, bardzo się uradowałem, gdy potem mogłem odpłacić mu wcale niemałą przysługą: w latach osiemdziesiątych udało mi się sprawić, że nie poszedł do więzienia za jakąś sprawę związaną z księgowością spółki, chyba nielegalny transfer środków, to i tak nie ma teraz znaczenia. Wolałbym oczywiście, żeby nie narobił sobie takich kłopotów, ale dla mnie to było szczęśliwe zrządzenie losu, że mogłem rzucić mu wtedy linę ratunkową i holować go, dopóki nie wydobyłem na powierzchnię. Gdy w prawdziwie złych czasach ktoś przychodzi ci z pomocą, i to bezinteresownie (wy, dzieci, nie doświadczyliście prawdziwie złych czasów), nigdy tego nie zapominasz. Rzecz jasna, jeżeli jesteś przyzwoitym człowiekiem i nie traktujesz tej pomocy jako osobistego upokorzenia albo zniewagi doznanej w obecności świadka”.

Przyszło mi na myśl, że czyniąc tę ostatnią uwagę, myślał o Del Realu, przyjacielu, który go zdradził, a którego przyszłej twarzy, tej z 1939 roku, nie potrafił przewidzieć we wcześniejszych latach.

„Zetknąłeś się jeszcze potem z tym pisarzem osobiście?”, zapytałem.



„Bardzo późno, trzydzieści kilka albo czterdzieści lat później, przy jakichś dwóch publicznych okazjach, kiedy obaj byliśmy zaproszeni. Za pierwszym razem był z żoną, więc podałem mu rękę, żeby nie urazić ani nie zaniepokoić żony, chwilę rozmawialiśmy we troje, wymieniliśmy trzy uprzejme zdania. Za drugim razem był sam, a właściwie nie, towarzyszyła mu jak zwykle świta wielbicieli, ten człowiek nigdzie nie ruszał się bez towarzystwa. Zobaczył mnie i starał się uniknąć spotkania ze mną, unikał mego wzroku. Nie żebym ja parł do spotkania, broń Boże, ale na wszelki wypadek. Człowiek zauważa takie rzeczy. On zawsze wiedział, kim jestem. Chcę powiedzieć, że nie tylko wiedział, czym się zajmuję, ale i że utrzymuję z jego żoną bardzo przyjacielską relację i darzymy się wzajemnym szacunkiem. Zapamiętał moje nazwisko tamtego przedpołudnia w kawiarni i zawsze był świadom, że jego opowieść zapadła mi w pamięć. Setki razy musiał żałować swojej gadatliwości i samozadowolenia podczas tamtego spotkania przy piwie. Dlatego myślę, że pewnie wtedy opowiedział o tym po raz ostatni. O swoim odrażającym wkładzie w historię korridy. Reakcja Antigüedada musiała podzielać jak ostrzeżenie. I cisza, jaka zapadła. Niech cię więc nie dziwi, że nie opowiedziałem tego waszej matce, mimo że bardzo chciałem podzielić się z kimś przygnębieniem, w jakim wróciłem do domu, chociaż tego samego dnia, jak ci wspomniałem, zdobyłem zlecenie na dwa przekłady. Ona również знаła Marésa z uniwersytetu i bardzo go lubiła, jak prawie wszyscy, należał do tych ludzi, którzy rozjaśniają swoją obecnością każde spotkanie, dodając mu sensu i blasku. Po co było wpędzać ją w jeszcze większą rozpacz, po co zaskakiwać czymś, co już się stało, na co nie ma pociechy ani czego, rzecz jasna, nic nie zrekompensuje. W dodatku ona lubiła korridę dużo bardziej, niż mieliście tego świadomość, odziedziczyła to upodobanie po ojcu, ale wolała nie przekazywać go dzieciom. Nie raz i nie dwa mówiliśmy wam, że idziemy do teatru albo do kina, a tak

naprawdę szliśmy na korridę”. I ojciec wesoło zachichotał, przypominając sobie i wyznając to maleńkie, nieszkodliwe oszustwo. „Nie chciałem zniszczyć jej przyjemności oglądania walki byków, a tak na pewno by się stało. Ja za korridę tak nie przepadałem, miałem do niej stosunek bardziej obojętny, mimo to kosztowało mnie dużo czasu i wiele wysiłku, żeby opowieść o śmierci Marésa nie obrzydziła mi jej raz na zawsze: początkowo przypomiąłem sobie o nim za każdym razem i ciemniało mi przed oczyma, jego cień kładł się na wszystkim. Nie wiem. Tak samo jak w przypadku rogu Alcalá i Velázquez: zawsze myślę tam o tej kobiecie, która roztrzaskała o ścianę niemowlę, jak sama powiedziała”. Ojciec się zmęczył, zauważyłem to, gdy znowu zamilkł; zamknął oczy, jakby go bolało patrzenie tak daleko i tak długo w przeszłość. Ale nie nadeszła jeszcze pora obiadu, zerknąłem na zegarek, brakowało dwudziestu minut, by zawołała nas do stołu gotująca obiad kobieta lub aby pojawiła się moja siostra, wcześniej zapowiedziała, że wpadnie, żeby zjeść razem z nami, jeżeli uda jej się załatwić do tego czasu wszystkie sprawy. A on nie podejmował wątku; dopiero po chwili zdecydował się dalej mówić, chociaż zrazu nie otwierając oczu: „Wiele widziałem, widzieliśmy rzeczy może nawet gorsze”, odezwał się, używając nie do końca jasnej liczby mnogiej po oczywistej liczbie pojedynczej. „Wiele śmierci osób znajomych i nieznajomych razem, nagle, na skutek bombardowania, wtedy człowiek nie ma czasu, żeby skupić się na kimkolwiek nawet przez sekundę, na ogół przeważa uczucie, że to koniec wszystkiego, uczucie wszechogarniającego zniechęcenia, dokonującej się zagłady, takie wtedy ma się uczucie, walczą w tobie przeciwstawne pragnienia, chęć przeżycia za wszelką cenę, wydostania się po ciałach zabitych, znalezienia jakiejś kryjówki, ocalenia i chęć zostania z nimi, mam na myśli dołączenia do zmarłych, położenia się obok nich i stania się częścią tej nieruchomej masy, i żeby wszystko się wreszcie skończyło: nawet im zazdrościsz. To dziwne, ale nawet wśród

huku i pośród walących się domów, w chaosie, kiedy sam biegniesz z pomocą komuś rannemu albo w poszukiwaniu schronienia, od razu rozróżniasz tych, którym już pomoc nie można. Już nie stanowiących problemu dla nikogo, bo spokojnych, bez ruchu, zmarłych w okamgnieniu. No cóż, gdybyś uległ drugiemu z tych pragnień, najprawdopodobniej osiągnąłbyś zamierzony efekt pierwszego, bo kolejna bomba niemal nigdy nie spadała w to samo miejsce co poprzednie: oddziały oblegające miasto nie marnowały pocisków, możliwe, że najbezpieczniej było położyć się przy zabitych. Ale zwróć uwagę na jedną rzecz. Opowiedziałem ci teraz o dwóch przypadkach, których nie widziałem na własne oczy, lecz które zostały mi opowiedziane, a raczej usłyszałem je mimochodem, w żadnym z tych dwóch przypadków słowa nie były skierowane bezpośrednio do mnie, do mnie osobiście, przynajmniej nie tylko do mnie; a przecież zapadły mi w pamięć tak samo jak to, cośmy widzieli, a może i bardziej, łatwiej zabronić sobie samemu przywoływania w pamięci trudnego do zniesienia obrazu niż czyjejs opowieści o jakimś zdarzeniu, choćby nie wiem jak było wstrętne, dlatego właśnie, że opowieść zawsze zdaje się łatwiejsza do wytrzymania. I jest taka pod jednym względem: to, co widzisz, właśnie się dzieje; to, czego słuchasz, już się wydarzyło; cokolwiek to było, wiesz, że dobiegło końca, bo gdyby nie, nikt nie mógłby o tym opowiedzieć. Sądzę, że moje tak wyraziste wspomnienie owych historii, tych dwóch zbrodni, bierze się z tego, że usłyszałem, jak opowiedzieli o nich sprawcy. Nie świadek albo ocalały, który uszedł z życiem, ocalały opowiedziałby o tym tonem wyrzutu i usprawiedliwionej skargi, a przez to jego relacja nie byłaby tak niewątpliwie prawdziwa, zawsze można domniemywać przesadę w opisie cierpienia, bo ten, kto go doświadcza, ma tendencję, by przedstawić to jako cnotę lub zasługę, jako szlachetną ofiarę, podczas gdy czasami wcale tak nie jest i chodzi tylko o brak szczęścia. Obie opowiadające osoby mówiły bez wahania

i zadowolone z siebie. Tak, ci ludzie chełpili się tym. Dla mnie jednak jakby sami siebie oskarżali, w dodatku nie mając takiego obowiązku, ten pisarz falangista i ta kobieta z tramwaju. Albo tak to zarejestrowało moje ucho, dla mnie to nie było zabawne, nie czułem podziwu dla relacjonowanego okrucieństwa, tylko przerażenie i odrazę; mój rozum ich potępił, w sposób bierny”. (A język zmilczał, pomyślałem). „To daje ci jakieś wyobrażenie o tym, jak inni ludzie przeżywali przemoc; jak ludzie bardziej prości, bardziej powierzchowni – chociaż niekoniecznie bardziej prymitywni czy mniej wykształceni – przyzwyczajają się do przemocy i nie widzą powodu, by stawiać jej tamę, i w konsekwencji tego nie robią; to daje ci również wyobrażenie o tym, ile tej przemocy było. Tyle i tak oczywistej, że ludzie, którzy dopuścili się najbardziej brutalnych i niczym nieuzasadnionych czynów, wynikających z bezsensownej, bezpodstawnej nienawiści, mogli swobodnie przechwalać się nimi publicznie. Sam powiedz, jaka konieczność nakazywała roztrzaskać o ścianę główkę niemowlęcia; jaka konieczność uzasadniała wbijanie banderilli i pik w skazańca i okaleczenie jego ciała po śmierci. Ale byli też wśród nas inni, którzy nigdy się do tego nie przyzwyczaili, człowiek nie może do tego przywyknąć, jeżeli tylko nie zatracą perspektywy, nie popada w lenistwo umysłowe, które sprowadza się do myślenia: «Właściwie to bez znaczenia...», tak musiał rozumować tamten typ, zadając pisarzowi pytanie o drugie ucho i ogon. Nie przywykasz do tego, jeżeli nie pozwalasz, by konkret stał się dla ciebie abstrakcją, a to dzisiaj norma dla wielu ludzi, poczynając od terrorystów, a kończąc na rządzących: nie zdają sobie sprawy z konkretnego aspektu tego, co uruchamiają i, rzecz jasna, wcale nie chcą sobie zdać sprawy. Nie wiem, mam wrażenie, że w dzisiejszych społeczeństwach większość widziała zbyt wiele przemocy, fikcyjnej albo rzeczywistej, na ekranie. I to miesza ludziom w głowach, biorą przemoc za jakieś mniejsze zło, za nic wielkiego. Lecz ani przemoc fikcyjna, ani rzeczywista, choćby była

najokropniejsza, nie jest prawdziwa na ekranie, to tylko jej płaski obraz. Nawet w wiadomościach. «Och, jakie straszne, to zdarzyło się naprawdę», myślimy, «ale nie tutaj, nie w moim pokoju». Gdyby to się działo u nas w salonie, jakże byłoby inaczej: czuć to, oddychać tym, powąchać, bo zawsze jest zapach, to zawsze ma swoją woń. Wstrząs, panika. Ludzie nie mogliby tego znieść, poczuliby prawdziwy strach, własny lub cudzy, skutek i szok wywołany jednym i drugim są podobne i nic nie jest tak zaraźliwe jak strach. Rzuciliby się przed siebie w poszukiwaniu schronienia. Posłuchaj, wystarczy, że ktoś popchnie gwałtownie kogoś innego w barze albo na ulicy, w metrze, wystarczy, że dwaj skorzy do awantur kierowcy zaczną się poszturchiwać albo się w siebie wczepią, by ludzie znajdujący się w pobliżu zaczęli dygotać, by poczuli niekontrolowany niepokój, fizyczny i psychiczny, tak dzieje się z większością ludzi. Jest jeszcze gorzej, gdy dochodzi do jakiegoś zamieszania w tłumie. A kiedy z całych sił wymierzysz cios, możliwe, że zrobisz komuś dużą krzywdę, ale i twoja pięść ucierpi i przez kilka dni będzie obolała. Po jednym zaledwie ciosie. Nie ma żartów”. (To prawda, pomyślałem, lecz nie powiedziałem tego na głos, żeby go nie martwić; raz mi się to przytrafiło, potem ledwie mogłem ruszać dłońią). „Każdy, kto na jakimś etapie swego życia doświadczył przemocy, nigdy nie będzie z nią igrał ani nie będzie jej lekceważył. Będzie nią rozporządzał nie tylko ostrożnie, z najwyższą ostrożnością, lecz w sposób nadzwyczaj oszczędny. Nie pozwoli sobie na przemoc, ilekroć da się jej uniknąć, a to niemal zawsze jest możliwe, lepiej również ją zniesie, gdyby znowu przyszło mu jej doświadczyć”. Wtedy ojciec ponownie otworzył swoje jasne oczy, znowu były pogodne, wcześniej ciemniały mu od wspomnień. „Z wyjątkiem sytuacji fikcyjnych, to co innego, aczkolwiek powinniśmy mieć tego większą świadomość, niż w istocie mamy. Przesada jest nawet zabawna, kiedy ogląda się przemoc na filmach, to jakby się oglądało akrobacje albo pokaz ogni sztucznych, mnie to nawet rozśmiesza,

te wszystkie wylatujące w górę ciała, bryzgająca wszędzie krew, widać na kilometr, że wylatują, bo są katapultowane, a krew to torebki z keczupem, które eksplodują po przekłuciu. Ludzie zastrzeleni naprawdę nie wyskakują w powietrze, osuwają się na dół i przestają się ruszać. Ten rodzaj przemocy jest nieszkodliwy, a przynajmniej byłby taki, gdyby generalnie nie zmniejszyła się wśród ludzi ostrość widzenia. Starzec taki jak ja dostrzega z zadziwieniem, jak bardzo świat zgłupiał. To niewytłumaczalne. Nie masz pojęcia, jakie to czasy upadku. Nie tyle intelektualnego, ile upadku we wnikliwości osądu. No cóż. Ten rodzaj przemocy nie jest szczególnie odmienny od pojedynków opisywanych w «Don Kichocie» albo bijatyk w «Tomie i Jerry»», które tak lubiliście oglądać jako dzieci, wiadomo w gruncie rzeczy, że nikt naprawdę nie doznaje krzywdy, że po chwili wszyscy wstają cali i zdrowi i w pełnej zgodzie idą razem na kolację. Nie należy też przyjmować postawy świętoszkowatej ani się szczególnie krygować, jak robią ci, którzy sprowadzają klasyczne baśnie do cikliwych, przesłodzonych opowiadań. W przypadku rzeczywistej przemocy nie wolno natomiast ryzykować... Popatrz tylko, jakie zaszły zmiany, również w postawach: kiedy wypowiedziano wojnę Hitlerowi, a możliwe, że żadna inna wojna nie była bardziej konieczna i usprawiedliwiona, nawet Churchill napisał na ten temat, że już sam fakt, że dopuszczono do jej rozpętania, do takiej porażki, czyni odpowiedzialnych za tę decyzję, jakkolwiek szlachetne byłyby ich intencje, winnymi w obliczu Historii. Miał na myśli, jak wiesz, swój rząd i rząd Francji, a zatem i siebie, chociaż Churchill akurat żałował, że owa wina i porażka nie stała się wcześniej ich udziałem, gdy sytuacja nie była jeszcze tak niesprzyjająca i gdy rozpętanie tej wojny nie pociągnęłoby jeszcze za sobą tak krwawych i straszliwych skutków. «To ponura historia chybionych sądów formułowanych przez kompetentnych i kierujących się dobrymi intencjami ludzi...», tak właśnie napisał. A dzisiaj, sam wiesz, ci sami, którzy reagują oburzeniem na przepychanki i bijatyki między Tomem,

Jerrym i spółką, rozpętują nikomu niepotrzebne, na zimno wykalkulowane wojny, bez żadnych szlachetnych intencji, rozpętują je, unikając sięgania po inne środki, a nawet takowe torpedując. I nawet, w odróżnieniu od Churchilla, nie wstydzą się tych wojen. Nawet ich nie żałują. Ani rzecz jasna nie przepraszają za nie, w dzisiejszym świecie taka postawa już nie ma racji bytu... W Hiszpanii to frankiści dali początek takiej właśnie szkole myślenia. Nigdy żaden za nic nie przeprosił, a przecież oni również rozpętali nikomu niepotrzebną wojnę. Najgorszą z możliwych. I z natychmiastową pomocą swoich przeciwników, co do tego nie ma wątpliwości... Cóż to był za absurd...”. Zdałem sobie sprawę, że teraz ojciec raczej głośno myśli, niż rozmawia ze mną, były to z pewnością myśli, które krążyły mu po głowie od 1936 roku, możliwe, że codziennie, zupełnie tak samo jak nie ma dnia i nocy, byśmy nie przywoływali w jakimś momencie wyobrażenia lub obrazu naszych najbliższych zmarłych, choćby minęło już bardzo dużo czasu, odkąd ich pożegnaliśmy albo odkąd oni pożegnali się z nami: „Żegnaj dowcipie, żegnajcie wdzięki, żegnajcie weseli przyjaciele, bo ja umieram, pragnąc szybko ujrzeć was kontentych w innym życiu”. I wypowiadając kolejną myśl, użył słowa, które w odniesieniu do wojen miałem później usłyszeć z ust Wheelera, aczkolwiek Wheeler, jeśli mnie pamięć nie myli, użył angielskiego słowa „waste”. „Cóż za niewiarygodne marnotrawstwo... Nie wiem. Pamiętam i nie mogę uwierzyć. Czasami nie chce mi się wierzyć, że to wszystko przeżyłem. Przede wszystkim nie widzę dobrego powodu, a po latach nawet trudniej dostrzec jakikolwiek powód. Nic, co jawiło się jako poważne, już się takie nie wydaje z upływem czasu. Na pewno nie na tyle, żeby rozpętywać wojnę, pomyśl tylko, z perspektywy czasu wojny wydają się zawsze reakcją niewspółmierną do okoliczności... A ich powody na pewno nie na tyle istotne, żeby zabijać się nawzajem”. (A wówczas nawet nasze najostre, najbardziej współczujące sądy będą okrzyknięte jako

daremne i naiwne, i po co ona to zrobiła, powiedzą o tobie, po co ta cała udręka i przyspieszony puls, po co to drżenie i łomotanie serca? A o mnie powiedzą: dlaczego mówił albo zmilczał, dlaczego zwlekał tak długo i czekał tak wiernie, po co ten zawrót głowy, te wątpliwości i ta cała męka, po co poczynił takie akurat kroki i dlaczego tak wiele? A o nas obojgu powiedzą: po co ta awantura i taki wysiłek, dlaczego walczyli, zamiast patrzeć i trwać spokojnie, dlaczego nie byli w stanie się spotkać albo nadal się widywać, i po co tyle snu, tyle marzeń, i po co ta rana, mój ból, moje słowo, twoja gorączka, taniec i to zwątpienie, i cała ta udręka?)



Piskliwa muzyczka natychmiast przegnała chodzące mi wciąż po głowie apokryficzne wersety „The Streets of Laredo”, tamta melodia towarzyszyła mi właściwie ciągle mimo chwil strachu i paniki, a teraz, gdy patrzyłem, jak De la Garza łyka niebieskawą wodę, przypomniała mi się trzecia, jak sądzę, wersja: ludzie piszą do piosenek słowa wedle własnego widzimisię, usłyszałem więc kiedyś balladę o Laredo i Armagh zmienioną w inną, pod tytułem „Doc Holliday”, przez kaprys jakiegoś zapomnianego piosenkarza, który kazał do tej muzyki opowiadać swoją historię Hollidayowi, towarzyszowi Wyatta Earpa w O.K. Corral podczas słynnego pojedynku, a raczej otwartej bitwy między bandami, karciarzowi alkoholikowi choremu na gruźlicę i zarazem dyplomowanemu lekarzowi (a może był stomatologiem jak Dick Dearlove?) oraz znawcy Szekspira, tak przynajmniej został przedstawiony w najlepszym filmie, jaki widziałem o Earpie i Hollidayu i o strzelaninie w miasteczku Tombstone, nie w Laredo ani tym bardziej w nieznanym nikomu Armagh w Irlandii: „*But here I am now alone and forsaken, with death in my lungs I am dying today*”, i to samo mógł sobie teraz mówić na swój własny, bardziej dosadny i wulgarny sposób, Rafael de la Garza, aczkolwiek on akurat nie umierał na suchoty, przytykając chusteczkę do ust i odkasłując krwawe płwociny, lecz z powodu podtopienia, „Ale jestem tu teraz samotny i opuszczony, ze śmiercią w płucach dziś umieram”.

Rachityczne paso dobre przeszkadzało Reresby’emu, a nawet go zirytowało, i nic dziwnego, bo mnie także wyprowadziło z równowagi.

– *What’s this shit?* – powiedział w tej samej chwili, gdy ja pomyślałem: „Nie, znowu to samo?”.

Uporczywy dźwięk sprawił, że Tupra przerwał bicie i zanurzenie De la Garzy w misce klozetowej. Potem szybko i brutalnie go obmacał w poszukiwaniu natrętnej komórki, a gdy ją znalazł w kieszeni raperskiej marynarki, popatrzył zdumiony i wściekły i rzucił nią z całej siły o ścianę, aparat roztrzaskał się na kawałki i natychmiast ucichła pretensjonalna hiszpańszczyzna. Przynajmniej go teraz nie utopi, pomyślałem, na razie go nie utopi, poza tym uświadomiłem sobie, że w moim przekonaniu nic nie jest równie niebezpieczne i zabójcze jak miecz, może tylko dlatego, że uduszenie albo utopienie wymaga czasu, choćby troszeczkę, i ten czas daje komuś innemu czas na interwencję, tym kimś musiałem być ja, ale jak? nie było tam nikogo innego, nikt też się nie dobijał, pewnie widząc zablokowane drzwi, wszyscy dochodzili do wniosku, że ta toaleta nie jest czynna; tymczasem dekapitacja albo cięcie mieczem w ogóle nie wymaga czasu, gdyby więc za pierwszym razem Tupra nie zatrzymał ostrza, głowa attaché byłaby już odcięta i leżałaby na podłodze, a on sam byłby w dwóch kawałkach bądź wcale by go nie było. Przyglądałem się zatem z niepokojem, co robi Reresby, a równocześnie zerkałem na jego wiszący płaszcz, wiedziałem już, że tam właśnie schował przerażającą broń lancknechtów i że przy byle ataku złości lub gniewu może po nią sięgnąć, wyciągnąć ją z pochwy i znowu zacząć wszystko od nowa.

Tupra chwycił Rafitę za poły, a raczej za przód marynarki i zrobił z nim niemal to samo co z telefonem komórkowym, czyli rzucił nim o ścianę, zobaczyłem, jak jeden z dziwnych cylindrycznych uchwytów wbija się attaché w plecy. Na szczęście pręty nie były ostre, ale i tak uderzenie musiało strasznie zboleć, a furia Tupry nie zelżała. De la Garza zwałił się na podłogę ze stłumionym żalonym skowytym. Koszula wystawała mu ze spodni i spostrzegłem ku swemu osłupieniu – zawstydzeniu i prawie z litością – że dyplomata ma w pępku połyskujący klejnot, coś jak diamencik albo małą perłę, z całą pewnością taniutką imitacją, fałszywkę.

Wielkie nieba, pomyślałem, musi być supermodny za wszelką cenę, nie wystarczy mu cygański kolczyk i siatka na włosy, ciekawe, czy nosi to coś nawet w ambasadzie, czy tylko wtedy, gdy wychodzi poszaleć do miasta? Tupra znowu chwycił go za przód marynarki i postawił na nogi, pchnął do tyłu i tym razem rzucił nim o metalowy drążek dla inwalidów, ten przymocowany na stałe, miałem wrażenie, że drążek wbija się pod łopatki. De la Garza przypominał szmacianą kukłę, worek, był cały mokry i poplamiony na niebiesko, z ranami na brodzie i na czole i z rozcięciem na policzku, *uno sfregio*, ubranie całe w nieładzie i gdzieniegdzie podarte, a jego krzyki były bardzo słabe, jęk, którego nie mógł pohamować, ilekroć uderzał plecami o uchwyt, bo Reresby nie ustawał, rzucał nim stale, raz za razem: podnosił z podłogi, odsuwał trochę od ściany i ciskał o nią, musiał mu co najmniej łamać żebra, jeżeli nie powodować jakieś poważniejsze obrażenia wewnętrzne, z klatki piersiowej attaché dobiegało dudnienie, cały w środku trzeszczał, przy każdym kolejnym uderzeniu jakby tracił oddech. Reresby zrobił to w sumie pięć razy, jakby liczył, cierpliwie i z pełnym wyrachowaniem, jak ktoś, kto realizuje wytyczony plan. De la Garza nie bronił się ani przez chwilę (już nawet nie próbował się kulić ani zakrywać sobie uszu), nie wiem, przypuszczam, że człowiek wyczuwa, kiedy nie może się bronić, bo siła i determinacja tego drugiego – albo przewaga liczebna, bo tych drugich może być kilku, albo broń, jeżeli samemu jest się nieuzbrojonym – są tak wielkie, że można tylko czekać, aż napastnik się zmęczy lub postanowi ostatecznie z tobą skończyć; w trakcie bicia Rafita też myślał pewnie o mieczu z mieszaniną przerażenia i nawet odrobiny nadziei, jak może Emilio Marés na polach Rondy, gdy najpierw zobaczył, jak zbliżają się do niego z banderillami, a potem z piką: „Zrobią to. Te skurwysyny, te dranie naprawdę to zrobią”, pewnie sobie wtedy myślał. „Bawią się ze mną jak z bykiem. Niechby mnie już zabili i nie spaprali

roboty, żeby nie musieli mnie dobijać czymś, co akurat wpadnie im w ręce, bo są gotowi użyć gwoźdza”.

Skończywszy, Tupra odwrócił się do mnie i powiedział:

– Jack, przetłumacz mu to, chcę, żeby dobrze zrozumiał i miał całkowitą jasność. – I zanim przeszedł do rzeczy, zapytał: – Masz może grzebień?

De la Garza leżał na podłodze, sprawiał wrażenie niezdolnego do najmniejszego ruchu, Sir Blow albo Sir Punishment, albo Sir Thrashing nie zamierzał go już siłą stawiać na nogi, przynajmniej nie w mojej obecności, na szczęście nie był to już Kawaler Śmierć. Reresby mówiąc, przejrzał się w lustrze, poprawił sobie trochę koszulę, strzepnął marynarkę, wygładził kamizelkę, poza tym wyglądał jak zwykle, nie był nawet bardzo potargany. Wyprostował krawat, sprawdził, czy jest dobrze zawiązany, już bez mokrych rękawiczek, zostawił je z obrzydzeniem przy umywalce. W rękawiczkach ani razu nie uderzył pięścią ani otwartą dłonią – stopą również nie – wymyślił to tak, że cały ból zadawały De la Garzy przedmioty, kłapa sedesu, cylindryczne pręty, a nawet siatka na włosy i strumień spuszczonej wody, musiał dobrze wiedzieć o czymś, co mój ojciec powiedział mi wiele lat wcześniej: przy bezpośrednim uderzeniu pięścią może się też uszkodzić ten, kto je wymierza. W Hiszpanii znamy od zawsze wszystkie sztuczki i udogodnienia w świadczeniu przemocy: w 1808 roku (taki przykład), podczas wojny na półwyspie albo wojny o niepodległość, Filanghieri, gubernator La Coruñi i, co jeszcze bardziej podejrzane, Włoch z pochodzenia (nie był „Hiszpanem, synem błyskawicy i ognia”), został okrzyknięty przez swoje oddziały zdrajcą, bo zwlekał trochę, nim przyłączył się do walki o niepodległość (*he lingered* wyłącznie, jak twierdził, z rozważagi dyktowanej względami strategicznymi, ale było już za późno); żołnierze wbili bagnety w ziemię ostrzem do góry (zdarzyło się to ponoć w Villafranca del Bierzo, gdzie, nie wiedzieć czemu, akurat się znajdowali), a potem wrzucili na nie kilka razy swego dowódcę, aż

wreszcie ostrza przebiły jakiś niezbędny do życia organ wewnętrzny i dalsze rzucanie nie miało już sensu, tym sposobem buntownicy oszczędzili sobie trudu własnoręcznego wbijania bagnetów i pozwolili, żeby ledwie już żywy Filanghieri sam dokonał żywota. Nie był to, jak się zdaje, pierwszy przykład takiego uchylenia się od roboty, pierwsi byli chyba Kartagińczycy, którzy w podobny sposób użyli włóczni przeciw rzymskiemu wodzowi Atyliuszowi Regulusowi w III wieku przed Chrystusem; a pewien podróżujący po Hiszpanii Anglik zauważył, że pomysłów mordowania występnych, despotycznych, niekompetentnych i znienawidzonych generałów i przywódców, a tacy na ogół sprawowali władzę na półwyspie na przestrzeni historii (dobrzy wasale, źli panowie), jest „pradawnym zwyczajem iberyjskim”. Podkreślał ponadto, że „pomoc z Hiszpanii nadchodzi późno albo nigdy” (człowiek mający zostać później następcą Filanghieriego na urzędzie przybył mu wprawdzie na pomoc, jednakże długo po tym, jak gubernator został poddany próbie odpowiedniej raczej dla fakirów, czyli przybył na próżno), o czym przypomniałem sobie, pochylając się nad De la Garzą, by przyjrzeć się, nie wiedzieć czemu i bez żadnych dla delikwenta następstw, jego zmalretowanej postaci, niewiele zresztą było wtedy do zrobienia, bufon leżał tam zmasakrowany i półprzytomny, może nawet zanosilo się na to, że przez dłuższy czas będzie kaleką, miałem nadzieję, że nie na zawsze, w przeciwnym razie musiałby się przyzwyczać do korzystania z takich toalet. Zastanawiałem się również, czy genealogicznie nazwisko Tupra nie ma swych odległych źródeł w ojczyźnie moich starożytnych, wygodnickich rodaków.

– Grzebień? – odpowiedziałem trochę poirytowany. Pamiętałem, co powiedział Wheeler o ludziach z Południa w swoim ogrodzie nad rzeką po tym, jak ci z helikoptera zabawili się naszym kosztem. Reputacja zadufanych w sobie Południowców. – Skąd ci przyszło do głowy, że mogę mieć przy sobie grzebień?

– Wy, ludzie z Południa, zazwyczaj macie, prawda? Sprawdź, może u niego znajdziesz – i wskazał ruchem głowy leżącego.

Nie, tego już było za wiele, uważałem, że to przesada, żeby Reresby posłużył się na ostatek grzebieniem, który z całą pewnością miał przy sobie De la Garza, o ile wcześniej go nie zgubił podczas nierównego starcia albo jeszcze wcześniej, podczas szaleńczego tańca. Zrobiło mi się wstyd na samą myśl o przeszukaniu tak łatwo złamanego i pobitego. Sięgnąłem po własny grzebień, mimo że tym samym przyznałem rację Tuprze.

– Bardzo sprytnie – powiedziałem, podając mu grzebień. Najwyraźniej to przekonanie o naszych grzebieniach było na Wyspach rozpowszechnione.

Nic mnie nie obchodziło, że go w nim utwierdzam: nagle poczułem nadzwyczajną ulgę, bo to już się skończyło i De la Garza żył nadal, a ja tymczasem zdążyłem go sobie wyobrazić nieżywego. Całkowicie nieżywego, rozczłonkowanego, osobno głowa i tułów, w dwóch oddzielnych częściach. Największe niebezpieczeństwo należało już do przeszłości, tak się zdawało, choć niedawne, to jednak już zażegnane, to fascynujące, a zarazem irytujące, jak brak działania pociąga za sobą rodzaj fałszywego, natychmiastowego unieważnienia tego, co się wydarzyło. „Skoro już się nad nim nie pastwi, to jest niemal tak, jakby w ogóle się nie pastwił”, myślimy w naszym bezmiernym dla terażniejszości uwielbieniu, które jest szaleńcze i stale wzrasta. „Skoro już się nie pali, to prawie tak, jakby wcale się nie paliło. Skoro już nie bombardują, to prawie tak, jakby wcale nie bombardowali. Fakt, widać zabitych i okaleczonych, i spalone, zniszczone domy, ale już się stało, to już przeszłość i nie można tego zmienić ani odwrócić, a teraz już przynajmniej nie zabijają, nie okaleczają, nie niszczą, nie teraz, gdy ja tu jestem i oddycham, i mam tyle rzeczy do zrobienia”. Takie myśli przelatują nam przez głowę, ilekroć toczy się jedna z tych dzisiejszych, mniej lub bardziej pokazywanych w telewizji wojen – wojna w Zatoce, wojna w Kosowie, wojna w Afganistanie, wojna w Iraku,

rozpętana z nieuczciwych powodów i w fałszywym celu, bez absolutnie żadnej potrzeby, jeśli nie liczyć bezbrzeżnej arogancji tych, którzy do niej parli – wojen, które starzy ludzie mają w takiej pogardzie, mój ojciec albo Wheeler, bo byli kiedyś na innych, wcale nie tak błahych. Dopóki walki trwają i dopóki na głowy żołnierzy i cywilów spadają bomby, jesteśmy ogarnięci straszną trwogą, śledzimy co dzień wiadomości ze struchlałym sercem; w dzisiejszych czasach ten etap trwa na ogół krótko, czasami tylko kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy, i nie starcza nam czasu, żeby się przyzwyczaić, a zatem dostatecznie się znieczulić, zaakceptować fakt, że taka jest każda wojna, sprawiedliwa czy niesprawiedliwa, i że można również żyć tak na co dzień, nie przywiązując do tego wielkiej wagi ani nie zamartwiając się w każdej chwili o innych, przede wszystkim o dalekich, nieznanym nam ludzi; nawet o siebie i naszych bliskich znajomych, gdy już rozpocznie się rzeź i wybiła twoja godzina, nic nie poradzisz. Skoro na kuli jest wypisane twoje imię, jak powiedział Diderot – na długo przedtem, nim powiedział to ktokolwiek inny, o ile się nie mylę. Dziś nie starcza nam czasu, żeby przywyknąć do życia w stanie wojny, który to stan, jak zauważył Wheeler, sprawia, że stan pokoju staje się niemożliwy do wyobrażenia. I na odwrót. („Ludzie nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia jedno wyklucza drugie”, powiedział kiedyś, „jak jeden stan znosi, odrzuca, wyklucza ten drugi z naszej pamięci i wygania go z naszej wyobraźni i myśli”). Poczucie wyjątkowości jest bardzo intensywne, bo oglądanie wojennego horroru na ekranie trwa krótko, a kiedy się kończy, nabieramy dziwnego przekonania, że wszystko się skończyło i do pewnego stopnia znikło. „Przynajmniej teraz już się nie dzieje”, myślimy, czasem nawet z westchnieniem; i to „przynajmniej” kryje w sobie wyraźną niesprawiedliwość: co się już zdarzyło, traci swą doniosłość i siłę tylko dlatego, że już się nie dzieje, i wtedy właściwie tracimy zainteresowanie rannymi i zabitymi, których los wpędzał nas w takie przygnębienie i tak nas

poruszał, dopóki to się działo. Teraz są już przeszłością, ktoś już się wszystkim zajmuje, już odbudowują, leczą, grzebią, adoptują, najlepiej ci sami ludzie, którzy wywołali wojnę, tak więc można ich oglądać jako naprawiaczy, szczyt absurdu i kłamstwa. To kolejny przejaw zdziecinnienia świata, zazwyczaj matki tak uspokajały swoje dzieci: „To już minęło, już dobrze, to minęło”, po jakimś koszmarnym śnie albo gdy dzieci się czegoś przestraszyły, albo po jakimś przykrym zdarzeniu, przycięciu palca lub czymś podobnym, zupełnie jakby mówiły: „Czego już nie ma, tego nigdy nie było”, choćby nadal bolało, a potem robił się swędzący strupek bądź palec zsiniał i spuchł, a czasem nawet została na nim blizna, żeby dorosły, później, mógł ją pogłodzić i nadal pamiętać tamtą ranę i tamten dzień.

Doświadczając uczucia ulgi, chociaż wcześniej byłem świadkiem bicia kogoś zastraszonego, zaskoczonego, na pół pijanego i nie miałem odwagi ani nie potrafiłem położyć temu kresu; chociaż wcześniej sądziłem, że mój towarzysz zamierza jednym ciosem obciąć temu komuś głowę, że zamierza go udusić siatką i utopić w wodzie ze spłuczki klozetowej, nie, to wcale nie było rozsądne ani rzecz jasna szlachetne. A jednak tak właśnie było, Tupra przestał i ja poczułem ulgę, uwolniony od dużo większego ciężaru niż ten, którym wcześniej mnie obarczył i który wcale nie należał do małych. De la Garza nie jest już w niebezpieczeństwie, taka była moja główna groteskowa myśl, bo niebezpieczeństwo dopadło go wcześniej z całą brutalnością. Nie stracił życia, to prawda, ale dziwacznie było czuć się usatysfakcjonowanym tym, że on jeszcze żyje, w dodatku cieszyć się z tego, gdy ostatnią przecież rzeczą, jakiej mogłem się spodziewać, prowadząc go do toalety dla niepełnosprawnych, było to, że wyjdzie z niej tak ciężko poturbowany, na pewno z kilkoma co najmniej złamaniami. Jeśli w ogóle z niej wyjdzie, bo Reresby, poprawiając na sobie ubranie i starając się, we własnym mniemaniu, poskromić swoje ciemne włosy, gęstsze i bardziej kręcone aniżeli widuje się zazwyczaj w Królestwie Brytyjskim (z wyjątkiem Walii),



na skroniach skręcone w pierścionki i prawdopodobnie farbowane (przyczesał je albo dotknął grzebieniem ze cztery razy, ale potem ich wygląd nie różnił się bardzo od wcześniejszego), kazał mi znowu tłumaczyć:

– Przetłumacz mu, Jack – powiedział raz jeszcze – nie chcę żadnych nieporozumień, bo to on poniesie ich konsekwencje, nie my, ma to być dla niego jasne, powiedz mu, powiedz mu to, co już powiedziałem. – Tak zrobiłem; zakomunikowałem to De la Garzy w moim języku, to o nieporozumieniach; powieki miał półprzymknięte i nabrzmiałe, lecz bez wątpienia mnie słyszał. – Powiedz mu, że ty i ja wyjdziemy stąd zaraz spokojnie, a on ma zostać tu, gdzie jest, na podłodze, nie ruszać się jeszcze pół godziny, nie, powiedzmy, czterdzieści minut, żeby dać mi większe pole manewru, mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Niech mu nie przyjdzie do głowy wychodzić stąd ani nawet wstać. Niech nie krzyczy ani nie wzywa pomocy. Ma tu przez ten czas zostać, zimna podłoga dobrze mu zrobi i nie zaszkodzi mu poleżeć sobie trochę bez ruchu, aż odzyska oddech. Powiedz mu to. – I to powiedziałem, łącznie z tym o zimnej podłodze. – Tam jest jego płaszcz – ciągnął Reresby i wskazał drugi przyniesiony przez siebie płaszcz, ten ciemny, ten, który powiesił na niskiej poręczy, wtedy zrozumiałem, do jakiego stopnia mój tymczasowy szef wszystko zaplanował: pofatygował się, żeby przed przyjściem do toalety odebrać z szatni płaszcz Rafity, nie mój, musiał mieć w tym szykownym idiotycznym lokalu jakieś układy albo talent do oszukiwania ludzi, na pewno znaleźli płaszcz i oddali mu bez żadnych dodatkowych pytań, a nawet z uszanowaniem. – Jak nałoży go na siebie, nikt nie zauważy, w jakim jest stanie, nie zwróci na siebie uwagi, ani on, ani jego ubranie. Jeżeli będzie szedł z trudnością, wezmą go za wstawionego. Może zresztą udawać wstawionego, chyba że, rzecz jasna, naprawdę jest jeszcze trochę pijany. Jak będzie wychodził, ma pójść prosto do drzwi wyjściowych i pod

żadnym pozorem nie zatrzymywać się w sali głównej, ma wracać prosto do domu. Ma tu nigdy więcej nie przychodzić. No już, przetłumacz mu. – Znowu to zrobiłem, to ja użyłem po hiszpańsku słowa „*mamado*”, wstawiony, Tupra powiedział „*sloshed*”. – Niech mu nie przyjdzie do głowy iść na policję czy montować jakąś rozróbę w ambasadzie, czy składać skargę za jej pośrednictwem: już wie, co mu się może przytrafić. Ma do ciebie nie dzwonić i nie żądać wyjaśnień, ma ci dać spokój, zapomnieć o twoim istnieniu. Niech sobie wbije do głowy, że nie ma czego wyjaśniać, brak powodów, żeby składać oficjalne doniesienia albo protesty. Ma milczeć, o niczym nie opowiadać. Nawet jako o przygodzie. I niech to sobie dobrze zapamięta. – Milcz, milcz i nic nie mów, nawet po to, żeby się uratować. Milcz i tym sposobem się uratuj, pomyślałem kolejny już raz i przekazałem De la Garzy wszystkie instrukcje. Tupra jednak dodał jeszcze kilka innych, mówił szybko, jakby recytował jakąś listę albo jakby chodziło o dobrze znane efekty zrealizowanego planu, następstwa jakiejś kuracji: – Powiedz mu, że pewnie ma złamane trzy, góra cztery żebra. Teraz go bardzo boli, ale to minie, zrosną się. A jeśli stwierdzi u siebie coś poważniejszego, niech i tak dziękuje losowi, bo mógł przecież stracić głowę, niewiele brakowało. A skoro nie stracił, powiedz mu, że wszystko jeszcze może się zdarzyć przy innej okazji, kiedykolwiek, wiemy, gdzie go znaleźć. Niech o tym nie zapomina, powiedz mu, że miecz jest zawsze w pogotowiu. Jeżeli trafi do szpitala, ma opowiedzieć bajeczkę wszystkich pijaczków i dłużników: że zamknęły się na nim drzwi od garażu. Przed wyjściem stąd ma sobie włosy splukać wodą, chociaż ten niebieskawy odcień nie zdziwiłby tu nikogo. Teraz i tak wygląda mniej ekscentrycznie i nie tak śmiesznie jak z tą rybią siatką na głowie. Powiedz mu to i wychodzimy. Upewnij się, że wszystko do niego dotarło. I masz tu swój grzebień, dzięki.

Oddał mi grzebień. W odróżnieniu od Wheelera nie zatroszczył się o to, by przyjrzeć mu się pod światło i sprawdzić, gdy mu go użyczałem, czy jest czysty. Ja natomiast to zrobiłem, kiedy on mi go zwrócił, nie było włosów. Przetłumaczyłem attaché ostatnią partię, ale to o mieczu pomiąłem; znaczy wspomniałem o głowie i że zawsze można ją stracić; o mieczu nie. Nie można wymagać, żeby człowiek literalnie tłumaczył, niczego nie pomijał, nie poddawał osądowi ani nie odrzucał, żeby tłumaczył każde wariactwo, przekleństwo lub zniewagę, każdą nieprzyzwoitość bądź ordynarność. Mimo że tłumacząc, nie mówi się ani nie prowadzi rozmowy samemu, mimo że jest się zwykłym przekaźnikiem albo odtwórcą cudzych słów i zdań, na pewno w dużej mierze one stają się własne w momencie, gdy zmieniamy je w coś, co dla słuchacza robi się zrozumiałe, i powtarzamy, staje się dużo bardziej własne, niż to sobie początkowo mogliśmy wyobrazić. Słyszymy je, rozumiemy, czasami mamy na ich temat własne zdanie, znajdujemy dla nich natychmiastowy odpowiednik, dajemy im nowy kształt i wypowiadamy. Jakbyśmy sami się pod nimi podpisywali. Nie podobało mi się nic, co wydarzyło się w tamtej toalecie. Nic, co zrobił Tupra. A także moja bierność albo konsternacja, a może to było tchórzostwo bądź roztropność, może uniknąłem większych nieszczęść. Jeszcze mniej spodobało mi się to niestosowne użycie liczby mnogiej przez Reresby'ego, to „wiemy, gdzie go znaleźć”, zaniepokoiło mnie i przeszkadzało mi, że mnie w to włączył, mało mnie znając i nie pytając o zgodę. Z pewnością trudno było wymagać, żebym w dodatku sam bardziej w tym uczestniczył i groził tą wzbudzającą atawistyczny strach bronią, bronią, która siała spustoszenie na przestrzeni wieków w bliskim starciu, twarzą w twarz z ofiarą. Bronią, której sam tak strasznie się bałem, gdy była wyciągnięta z pochwy i wzniesiona w górę.

Skończyłem i dodałem od siebie w moim języku:

– De la Garza, zrób lepiej wszystko, co on ci każe. Dobrze zrozumiałeś? Naprawdę myślałem, że nie wyjdiesz z tego żywy. Mam nadzieję, że się wylizesz. Powodzenia.

De la Garza skinął ledwie dostrzegalnym ruchem brody, wzrok miał odwrócony, nie chciał na nas patrzeć. Nie tylko wszystko go bolało, wciąż jeszcze był, jak sędzę, śmiertelnie przerażony, strach nie opuści go, dopóki nie znikniemy mu z oczu, a i wtedy zostanie jakiś ślad. Na pewno wszystkiemu posłusznie się podporządkuje, nie ośmieli się wypytywać, szukać mnie, dzwonić. Może nie zadzwoni nawet do Wheelera, swego rzekomego mentora w Anglii, żeby wypłakać mu się w słuchawkę. Ani do ojca w Hiszpanii, starego przyjaciela Petera. Pamiętałem, że nazywa się Don Pedro i jest znacznie więcej wart niż jego syn.

Tupra zdjął z poręczy swój jasny, bardzo sztywny i porządny płaszcz i zarzucił go sobie na ramiona, nie było już różnicy między nim wychodzącym i tym, który wcześniej tam wszedł. Wziął mokre rękawiczki i wsunął je do jednej z kieszeni płaszcza, uprzednio wyzymając i zawijając w papier toaletowy. Odblokował drzwi i przytrzymał je przede mną.

– Idziemy, Jack – powiedział.

Nie spojrzał na leżącego mężczyznę. De la Garza był właśnie leżącym mężczyzną, który już go nie obchodził, robota została wykonana. Odniosłem wrażenie, że taki miał właśnie stosunek do De la Garzy, prawdopodobnie pozbawiony niechęci albo współczucia. To musiał być jego stosunek do wszystkiego: jak trzeba było coś zrobić, robił to, znajdował środki zaradcze, zażegnywał, wzniecał pożar albo przywracał równowagę („*Don't linger or delay*”); potem te sprawy odchodziły w zapomnienie, były przeszłością, zawsze czekało na niego coś jeszcze, wspominał już o tym wcześniej, miał jeszcze do załatwienia kilka spraw i potrzebował trzydziestu albo czterdziestu minut; przy tych powtarzających się przerwach na pewno nie starczyło mu czasu, żeby uzgodnić łapówki,

wymuszane szantażem przekręty czy dobić wszystkich targów z panem Manoią. Albo sam nie zdążył go namówić lub przekonać, albo zabrakło czasu, żeby to Manoią jego namówił lub przekonał, cokolwiek to miało być. Przechodząc obok leżącego De la Garzy, nie dał mu też na pożegnanie zwyczajowego w takich razach kopniaka. Tupra był bez wątpienia Sir Punishment, ale możliwe, że nie był Sir Cruelty. A może chodziło o to, że nigdy, ale to nigdy nie bił bezpośrednio, nie uderzał żadną częścią swego ciała. Tylko poła płaszcz, która zawirowała niczym peleryna toreadora, musnęła twarz leżącego.

Nim przeszedłem przez drugie drzwi, te prowadzące już wprost do dyskoteki, przypomniał mi się jeszcze jeden wers z „The Streets of Laredo”, uparta melodia stale dźwięczała mi w głowie. Uznałem ten wers za mało fortunny, bo nie miałem pewności, że sam w owej chwili poniekąd się pod nim nie podpisywałem, jak zdarza się zazwyczaj, gdy tłumaczysz albo powtarzasz coś pod przysięgą, ale i nie byłem pewien, czy Tupra nie może uznać tego wersu za swój owej nocy, zważywszy na to, co w jego oczach było moim niezadowolającym od początku do końca zachowaniem: „*We all loved our comrade although he'd done wrong*”, brzmiała ta linijka, co znaczy: „Wszyscy kochaliśmy naszego towarzysza, mimo że postąpił źle”. Rzecz jasna możliwe było także tłumaczenie: „...mimo że wyrządził krzywdę”, i może to była ta właściwsza wersja.

Reresby miał wyczucie czasu, spędziliśmy trzydzieści pięć minut przy stoliku, nim wszyscy czworo wyszliśmy z dyskoteki, państwo Manioia, on i ja. Uprzednio zostawiliśmy tę parę samą na dużo krótszy czas, cała operacja w toalecie dla niepełnosprawnych na pewno nie trwała nawet dziesięciu minut, mam na myśli brutalną interwencję Tupry, który wcześniej troskliwie towarzyszył Flavii najpierw do damskiej toalety, a potem z powrotem do stolika: nie zaniedbał ani jej, ani jego, nie mogli mieć nam szczególnie za złe naszej nieobecności. Manioia zatem nie sprawił na mnie wrażenia specjalnie zniecierpliwionego ani naburmuszonego, a może *lo sfregio* na twarzy żony doprowadziło go wcześniej do takiej furii, że potem rozgorączkowanie mogło tylko zelżeć, względnie się uspokoić, podczas gdy my w tym czasie wymierzaliśmy karę temu kutasowi (teraz sam siebie włączyłem w tę liczbę mnogą), możliwe, że w imieniu Manoi i na jego polecenie.

W każdym razie Tupra nie oddał już swego płaszcza do szatni, usiadł z płaszczem zarzuconym jak peleryna, pozwalając, by swobodnie zwisał z tyłu, zmuszała go do tego obecność broni, wydawał się przyzwyczajony (płaszcz musiał mu się ubrudzić od dołu, bo dolna krawędź dotykała podłogi). Byłem ciekaw, czy Manioia wie, co nosi przy sobie w ukryciu mój szef, to mogłoby mu się wcale nie spodobać. Nie można też było wykluczyć, że Tupra nie miał tego miecza od początku, że nie zawsze go nosił przy sobie, że wręczono mu go w szatni, gdy poszedł tam odebrać płaszcz; że na jego znak włożono mu go do długiej kieszeni-pochwy, że trzymano go w tym lokalu dla niego, by tak powiedzieć, i wydawano, gdy go potrzebował. Pewnie Tupra był tam stałym bywalcem, klientem uprzywilejowanym, pewnie tak samo jak we wszystkich miejscach, do

których chodziliśmy, tak go przynajmniej traktowano, jak kogoś dobrze znanego, komu się schlebia, kogo się szanuje i nawet odczuwa się przed nim lekki strach, w niektórych miejscach występował jako Reresby, w innych jako Ure, a w pozostałych jako Dundas. Skądinąd to mało prawdopodobne, żeby we wszystkich tych miejscach przechowywali dla niego broń i wydawali mu ją w razie potrzeby. Długą, ostrą broń.

Na te trzydzieści albo czterdzieści minut pogrążył się w rozmowie z Manoią, wcześniej, podchodząc do stolika, zrobił w jego kierunku gest, który postanowiłem zrozumieć jak komunikat: „załatwione” albo „rachunki wyrównane”. Albo „już po kłopotcie, przykro mi, że to się zdarzyło”. Usłyszałem, jak znowu wymieniają te same pojedyncze nazwiska: Pollari, Letta, Saltamerenda, Valls, „*the Sismi*”, nie wiedziałem, co to jest. Na mnie Manoia nawet nie spojrzał, musiał wyrobić sobie na mój temat jak najgorszą opinię i wolał unikać ze mną wszelkiego kontaktu, nawet wzrokowego. Ponownie przypadło mi w udziale zabawianie Flavii jakby nigdy nic; ona jednak była markotna, nieledwie przygnębiona, nie miała ochoty na rozmowę, rozglądała się wokół bez wyraźnego celu, ze znużeniem, tylko dla zabicia czasu, jedną stopą wybijała leniwie i dyskretnie takt muzyki, wcześniej starannie poprawiła makijaż na policzku, a mimo to widać było ślad po zadrapaniu, w tańcu się potargała, a w jej przypadku nie wystarczyłby grzebień, własny ani cudzy, żeby właściwie ułożyć skomplikowaną fryzurę z najprawdopodobniej sztucznych, doklejonych kosmyków. Postarzała się o kilka lat, możliwe nawet, że uroniła wcześniej kilka sztucznych, dziecinnych łez, co od razu podkreśla wiek wszystkich, którzy starają się go oszukać lub ukryć (ale tylko udawane łzy, nie te prawdziwe). Dopiero po chwili, gdy jej mąż był bardzo zajęty szeptaniem czegoś Tuprze na ucho, zapytała po włosku:

– A pana przyjaciel? – Nagle znowu zaczęła zwracać się do mnie per „pan”, kolejny znak jej kiepskiego nastroju.

Spojrzałem z ukosa na jej kłujące sutki albo *brutali capezzoli*, komu innemu przyszłoby do głowy, żeby się uzbroić w takie zabawne twarde dzioby? Pośrednio one właśnie były wszystkiemu winne, a już na pewno temu, że zaniedbałem swoje obowiązki.

– Wyszedł – odparłem. – Nudził się. W dodatku robiło się późno, a on musi wstawać bardzo wcześnie. – Obawiam się, że ten drugi komentarz zrobiłem złośliwie, bo sam czułem się bardzo kiepsko i z trudem wytrzymywałem jej obecność.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu grupki hałaśliwych Hiszpanów, z którymi przyszedł De la Garza; nie słyszałem ich, było zatem logiczne, że nie mogłem ich również nigdzie dojrzeć, ich stolik stał pusty. Wyszli już albo się rozeszli, nie czekając na niego ani go nie szukając, pewnie przyjęli za pewnik, że już z kimś kopuluje bądź jest na dobrej do tego drodze, nie należało się przejmować, że mogą ruszyć na pomoc koledze i nie dopuszczają, by zastosował się do kategorycznych poleceń Reresby'ego i wyznaczonych przez niego terminów.

Miałem aż nadto czasu – czasu do zabicia albo do rozmyślań – żeby w końcu się rozzłościć, choć poniewczasie. Jak coś podobnego mogło się zdarzyć? zastanawiałem się i z każdą minutą bardziej miałem wrażenie, że musi tu chodzić o jakiś głupi i niepokojący sen, jeden z takich, co nie odchodzą, zwlekają, czekają. Dlaczego Tupra nie chciał poprzestać na uwolnieniu się od towarzystwa De la Garzy, przecież mogliśmy we czwórkę po prostu wyjść i zadbać o to, żeby nie poszedł za nami? Dlaczego trzeba było kontynuować rozmowę właśnie tam, w takim hałaśliwym, pretensjonalnym miejscu, zamiast przenieść się gdzie indziej, gdzie mogłaby toczyć się bez przeszkód i bez niczyjego wtrącania się? Pełno jest takich miejsc w mieście, nie brakowało ich też w okolicach Knightsbridge, w każdym z nich Tupra czułby się jak w domu; nie potrafiłem też zrozumieć, dlaczego konieczne było to bicie, a tym bardziej miecz.



I dlaczego nie chwyciłem go za rękę? (Kiedy byłem pewien, że zaraz opuści miecz na żywe ciało). Odpowiedź na to ostatnie pytanie przyszła mi do głowy natychmiast, bo i była bardzo prosta: ponieważ mnie również mógł skrócić o głowę albo rozciąć mi pionowo ramię aż do płuca. Jednym cięciem oburącz. („*And in short, I was afraid*”. „I, krótko mówiąc, bałem się”). I pozostając przy tej odpowiedzi oraz przy tym, co wcześniej widziałem, zrobiłem samemu sobie przesłuchanie na temat Tupry, jakby to Tupra zadawał mi pytania podczas jednej z naszych sesji analizowania ludzkich zachowań w budynku bez nazwy, on naprawdę mógł mi zadać podobne pytanie – na które w zasadzie nie można odpowiedzieć, chyba że zdecydujesz się na jazdę bez trzymanki – nazajutrz po jakimś zebraniu lub po wspólnym wyjściu do miasta, po jakimkolwiek spotkaniu i na temat jakiej bądź osoby spośród tych, z którymi wcześniej rozmawialiśmy albo tylko przebywaliśmy, albo które tylko obserwowaliśmy, albośmy ich słuchali:

„Uważasz, że ten człowiek potrafi zabić? Może tylko się tak przechwala, jest jednym z takich, co się bardzo odgrają, ale niewiele robią? Dlaczego wstrzymał miecz, jak sądzisz?”

A ja mógłbym mu wtedy odpowiedzieć:

„Może należałoby się przede wszystkim zastanowić, dlaczego ten miecz wyjął? To było pompatyczne i niepotrzebne i ostatecznie wcale go nie użył, tylko odciął siatkę i napędził śmiertelnego strachu swojej ofierze, a i świadkowi, rzecz jasna. Można by się zastanowić, czy nie szermował nim jedynie po to, żebym ja ten miecz zobaczył i żeby na mnie zrobić wrażenie, co mu się udało. Nie wiem. Żebym uwierzył, że jest zdolny naprawdę zabić, wiele się nie zastanawiając, w bardzo brutalny sposób i właściwie za nic. Albo może wstrzymał miecz, żebym uwierzył w coś wprost przeciwnego, że nie jest zdolny zabić, chociaż ma po temu wszystkie szanse i... jak by to powiedzieć, jest już właściwie w połowie

drogi. A może chciał wystawić mnie na próbę, zobaczyć, jak zareaguję, sprawdzić, czybym temu sekundował albo czy umyłbym ręce, czybym mu się sprzeciwił wobec tak brutalnego działania. No cóż, co do tego ostatniego, to już wie. Wie, że nie, przynajmniej wtedy, gdy nie mam przy sobie broni. Nie jest to jakaś szczególna wiedza, większym dla niego pożytkiem byłoby przekonać się, co bym zrobił, gdybym i ja miał broń”.

„No to co ostatecznie sądzisz? Nie odpowiedziałeś mi, Jack, a skoro zadaję ci pytanie, to znaczy, że interesuje mnie twoja odpowiedź, wszystko jedno, czy trafisz w sedno, czy się pomylisz, bo i tak w większości przypadków nigdy się tego nie dowiemy. Uważasz, że ten Reresby może zabić albo czy kiedykolwiek potrafiłby zabić? Nie ograniczaj się tylko do tej jednej sytuacji, pomyśl szerzej”.

„Tak, myślę, że mógłby”, odpowiedziałbym. „Każdy może, ale niektórzy bardziej, a większość mniej, co się tyczy tej kwestii, to dużo, dużo mniej”. I dodałbym w myślach: „Comendador mógłby, zawsze to wiedziałem. Wheeler mógłby i ja mógłbym, chociaż dowiedziałem się o tym dopiero niedawno; nie mogłaby Luisa, co do Pérez Nuix, to nie wiem, wymyka mi się, natomiast mogłoby Manóia i Rendel, nie mógłby Mulryan ani De la Garza, ani Flavia, a może De la Garza by i mógł, ale niechcący, w panice albo skrycie; również nie mogłoby Beryl ani lord Rymer Flacha – alkohol nie wywołuje w nim agresji, może mogłaby ją spowodować trzeźwość, lecz nikt nigdy nie widział go trzeźwego – mogłaby natomiast pani Berry, podobnie jak Dick Dearlove, choć z zupełnie innych przerażających powodów, nie wiem jakich dokładnie, nie z powodu narracyjnego ani biograficznego strachu, które dotyczą tylko ludzi z show-biznesu. Nie mogłoby mój ojciec, moja siostra ani moi bracia, nie byłaby mogła moja matka, Cromer-Blake też nie ani Toby Rylands, chociaż Toby tak, ale tylko w trakcie bitwy i zabijał wtedy z pewnością. Nie Alan Marriott ze swoim psem na trzech łapach, za to mogłaby Clare Bayes, moja dawna ponętna

kochanka z Oksfordu. Nie mógłby mój syn, a moja córka może i tak, na ile można już powiedzieć, a powiedzieć można mało. Z całą pewnością mógłby Incompara, chociaż sam twierdziłem coś przeciwnego”. I jeszcze bym pomyślał: „Jak się dobrze przyjrzę, poznaję to po wszystkich, których znam, albo jestem blisko poznania, sądzę też, że wiem, kto przyszedłby zabić mnie, kto by mnie wywiózł i wykończył, jak zrobili z Emilio Marésem i z tyloma innymi; gdyby mogli, gdyby wybuchła kolejna wojna domowa w Hiszpanii, gdyby zapanował chaos, gdyby znaleźli wystarczający pretekst i wytłumaczenie dla swojej zbrodni. Lepiej być w Anglii”. A potem analizowałbym nadal Reresby’ego: „On prawdopodobnie już zabijał. Czasami własnymi rękoma i wielokrotnie uciekając się do intryg, podstępów, oszczerstwa, trucizny, wydając lakoniczne i nie budzące cienia wątpliwości rozkazy lub gdy trzeba, milcząc wymownie. Niewątpliwie rozprzestrzeniał zarazki cholery i malarii, i dżumy, a potem udawał albo zaskoczonego, albo mądrą, zależnie od okoliczności i od tego, co wydawało się bardziej dogodne, decydował wtedy, czy pozostać w swojej masce, czy też ją zrzucić. Zrzucić, żeby wzbudzić strach, pozostać w niej, żeby wzbudzić zaufanie. Obie strategie przynoszą wielkie korzyści, nigdy nie zawodzą”.

„A zatem trzeba być wobec niego bardzo ostrożnym”, powiedziała by Tupra o Reresbym. „On jest niebezpieczny i oczywiście należy się go bać”.

Była to niemal konkluzja trochę ogólnikowego raportu na mój temat, który przeczytałem w starej kartotece w budynku bez nazwy, anonimowego raportu, który jednak nawiązywał do konkretnych osób, chociaż ja nie wiedziałem, kim one były (możliwe, że chodziło tylko o typy ludzkie), i miał wyraźnego adresata: „Możliwe, że niespecjalnie go obchodzi, co się komu przytrafia”, twierdzono w tym napisanym po angielsku tekście poświęconym mojej osobie. „Sprawy się dzieją, a on odnotowuje je w głowie, najczęściej nie odnosząc ich do siebie i nie zakładając, że jest

w nie uwikłany. Może dlatego tak dużo dostrzega. Prawie nic nie umyka jego uwadze, aż strach pomyśleć, jak wiele widzi i jak wiele wie. O mnie, o tobie, o niej. Wie o nas więcej niż my sami...” A trochę dalej: „Nie robi użytku ze swojej wiedzy, co bardzo dziwne. Ale ją ma i gdyby pewnego dnia zrobił z niej użytek, wówczas należałoby się go bać”. I na koniec w raporcie podkreślano: „Wie, że nie rozumie i nie zrozumie siebie. Dlatego nie stara się tego zrobić. Uważam, że nie stanowi zagrożenia. Ale z pewnością trzeba się go bać”.

Pierwsze stwierdzenie, że rzadko przywiązuję znaczenie do tego, co się wokół mnie dzieje, mogło być prawdziwe (możliwe, że dlatego nie chwyciłem ręki Reresby’ego z uniesionym lancknechtem). Drugie z mojego punktu widzenia było przesadnym sądem: choćbym uważał, że wiem bardzo dużo, wcale tak dużo nie wiedziałem, zawsze jest ogromna różnica między tymi dwoma stanami, które ciągle mylimy: przekonaniem, że się wie, i wiedzą rzeczywistą. I kto to byli „ja”, „ty” i „ona” w tym raporcie? Czy „ja” to był Tupra? „Ty” to była Pérez Nuix, a może ona to była „ona”? Przyszło mi nagle do głowy, że „ja”, osoba pisząca i oceniająca, osoba, która wcześniej mnie obserwowała, musiała znać mnie dłużej i bardziej dogłębnie niż moi koledzy (aczkolwiek takie spostrzeżenie zakładało chwilowe zapomnienie tego, czym oni się zajmowali, albo czym myśmy się zajmowali, bardzo arbitralnie i z dużą zuchwałością). Czy to był Wheeler czy pani Berry? A może sam Toby Rylands to napisał bądź podyktował i przygotował na wszelki wypadek wiele lat wcześniej, kiedy mieszkałem jeszcze w Oksfordzie, nie byłem nawet żonaty i nie wydawało się prawdopodobne, żebym po zakończeniu kontraktu na uniwersytecie miał jeszcze kiedyś wrócić do Anglii? Więc gromadzili tyle bezużytecznych rzeczy? Naprawdę myśleli aż tak do przodu? To by oznaczało, że owym „ty” był brat, ten Wheeler, którego ledwie wówczas znałem. A kimże mogła być „ona”, jeśli nie Clarą Bayes, która była moją jedyną „oną” w tamtych

czasach? „Wie o nas więcej niż my sami”. Może w taki sposób autor odnosił się do Kongregacji, jak określało samo siebie grono profesorskie uniwersytetu, zgodnie z silną klerykalną tradycją tego miejsca, obaj bracia byli jej członkami. Peter mówił mi, że Toby pierwszy powiedział mu o mnie i o moim rzekomym darze: „*De facto* poznaliśmy się z tego powodu, zaciekawileś mnie. Że przypuszczalnie mogłeś być taki jak my...” To było inne „my”, nie oksfordzkie, nawiązywał do tego, kim wtedy albo jeszcze dawniej byli oni dwaj, interpretatorami ludzkich charakterów albo tłumaczami ludzkich losów. „Najpierw dał mi to do zrozumienia, a potem jeszcze potwierdził, gdy przy jakiejś okazji rozmawialiśmy o starej grupie”. To były jego słowa, wypowiedziane gdy ja jadłem śniadanie, potem sformułował to jeszcze dosadniej: „Toby powiedział mi, że zawsze podziwiał twój szczególny dar wychwytywania charakterystycznych, a nawet zasadniczych cech twoich przyjaciół i znajomych, cech, których oni sami często u siebie nie zauważali albo o których nie wiedzieli...”.

Wszystko było możliwe, nawet to, że był to dobiegający zza grobu głos Rylandsa informujący o mnie Wheelera albo samego Tuprę, który był, koniec końców, jego dawnym uczniem, nie powinienem o tym zapominać. (Człowiek nigdy nie wie, jak bardzo jest w istocie obserwowany przez otaczających go ludzi, tych najbliższych, najbardziej lojalnych sprzymierzeńców, którzy sprawiają takie wrażenie, jakby dawno już porzucili wszelki wobec nas obiektywizm i zawsze uważali nasze zachowanie za oczywiste, dobrze znane, niezmiennie albo niezbywalne, jakby obdarzyli nas swoją bezwarunkową łaską; nie wiemy, jakich milczących i ciągle zmieniających się ocen dokonują nasze żony i nasi mężowie, nasi rodzice i nasze dzieci, nasi najlepsi przyjaciele: uważamy ich za całkowicie i ostatecznie pewnych, jakby mieli tacy pozostać na zawsze, podczas gdy nie ulega wątpliwości, że ich twarze się zmieniają, podobnie jak nasze twarze dla nich, że możemy teraz ich kochać, a ostatecznie

znienawidzić, że teraz mogą stać bezwarunkowo po naszej stronie, a pewnego dnia mogą się zwrócić przeciwko nam i zająć szukaniem sposobów zniszczenia nas, doprowadzenia do zguby, pogrążenia i sprawienia nam bólu. A nawet wygnania nas z pamięci i z czasu, to znaczy unicestwienia).

Trzecie stwierdzenie, że nie stanowią zagrożenia, ale że trzeba się mnie bać, i że w dodatku nie wybaczam (choć to była tylko opinia), wydało mi się jeszcze bardziej przesadzone. Nie jestem rzecz jasna pewien, czy ktokolwiek potrafi powiedzieć, czy trzeba albo nie trzeba się go bać, chyba że dąży do tego, aby się go bano, chyba że nad tym pracuje, narzucając innym swoją wolę i dyktując wzorce lub ton, i traktuje to jako część jakiegoś planu bądź strategii, bądź gdy się głębiej zastanowię, jako dość rozpowszechnioną formę bycia w świecie. W przeciwnym razie... jak by to powiedzieć, człowiek nie postrzega siebie jako kogoś groźnego, bo nigdy nie boi się samego siebie. A wśród tych, którzy bardzo się starają, żeby uchodzić za groźnych i żeby się ich bano, niewielu osiąga ten cel naprawdę. Tupra i Wheeler, każdy na swój sposób, byli w tym względzie ludźmi sukcesu, a jeśli ich dwóch coś łączyło i jeśli to coś łączyło także pierwszego z nich z dawnym nauczycielem lub przyjacielem, a drugiego ze zmarłym bratem, i jeżeli między wszystkimi trzema występowały podobieństwa charakteru, a raczej jeśli wszyscy trzej mieli tę samą zdolność, wspólny im wszystkim dar, który zgodnie z ich przenikliwą oceną ja także miałem, wówczas nie było wykluczone, że i mnie, jakkolwiek wcale o to nie zabiegałem, w istocie należało się bać, i autor tamtego raportu miał rację. Już raz nie byłem szczery z Tuprą: w mojej interpretacji Incomparry. Przychyliłem się do prośby Pérez Nuix i tym sposobem coś przemilczałem lub pominąłem, lub w czymś skłamałem. Możliwe, że już to właśnie sprawiło, że byłem osobą, której trzeba się bać, albo – co sprowadza się do tego samego – osobą, która nie jest godna zaufania, albo – co w końcu

oznacza to samo – będącą zdrajcą. (Proszenie, proszenie, oto największe po opowiadaniu przekleństwo; oby nikt nas nigdy o nic nie prosił, lecz wydawał nam tylko rozkazy).

„Och, tak”, odpowiedziałbym Tuprze na temat Reresby’ego. „Nawet jeśli początkowo nie budzi grozy ani nie skłania, byś miał się na baczności, lecz raczej zachęca, byś się odkrył i zdjął chroniący cię pancerz i tym łatwiej dał się urzec jego ciepłemu, spowijającemu cię zainteresowaniu, temu spojrzeniu, które zagłębia się w przeszłość i sprawia na koniec, że osoba, na której spoczywa, czuje się bardzo ważna; nawet jeśli mimo pochodzenia z Wysp Brytyjskich początkowo wydaje się serdecznym, uśmiechniętym i przyjaznym człowiekiem, którego delikatna, prostoduszna próżność nie tylko nie jest uciążliwa, lecz pozwala traktować go z odrobiną ironii i budzi odruchową niemal sympatię, i tak jest ogromnie niebezpieczny i, jak sądzę, trzeba się go ogromnie bać. Z całą pewnością jest człowiekiem, który bardzo źle znosi, gdy ktoś nie robi tego, co on uważa za uzasadnione, słuszne, właściwe albo dobre, szczególnie gdy to coś jest możliwe do zrobienia”.

Wtedy Tupra zadałby mi najtrudniejsze pytania:

„Myślisz, że mógłby zabić ciebie, Jack, tam, w toalecie dla niepełnosprawnych, gdybyś chwycił go za rękę, gdybyś spróbował powstrzymać go od ścięcia głowy tamtemu bufonowi? Byłeś przekonany, że zaraz go zabije, i to ci się wydawało złe, okropne. Choć nie znosiłeś typu, byłeś przerażony. Dlaczego go nie powstrzymałeś? Pomyślałeś, że skoro jest zdolny zabić jednego człowieka, będzie zdolny zabić dwóch ludzi i że wszyscy wyjdziecie na tym jeszcze gorzej? Dwóch zabitych zamiast jednego, a jeden z nich to ty? Uważasz, że jest zdolny zabić ciebie, nie przyjaciela co prawda, ale jednak kogoś, za kogo jest odpowiedzialny, pracownika, wynajętego człowieka, kolegę z pracy, współnika, kogoś, kto jest po tej samej stronie? Powiedz, co myślisz, powiedz już, teraz,

cokolwiek przychodzi ci do głowy. Bądź dostatecznie nieodpowiedzialny, by widzieć. Człowiek uważa, że takie rzeczy wie”.

A ja uległbym zwyczajowej pokusie z początków mojej pracy, z pierwszych sesji, kiedy to oczekiwał mojej opinii na temat sławnych albo nikomu nieznanym osób oglądanych na taśmie wideo lub na żywo, z fałszywego przedziału kolejowego lub twarzą w twarz, i często zadawał bardzo szczególne pytania o cechy tych ludzi, niewidoczne zazwyczaj na pierwszy rzut oka, a bywa, że i na ostatni, nawet jeśli są to ludzie ci najbliżsi, bo można przeżyć z kimś całe życie, widzieć, jak umiera w naszych ramionach, i w godzinie jego śmierci nadal jeszcze nie wiedzieć, do czego był, a do czego nie był zdolny, nie mieć nawet pewności co do jego prawdziwych pragnień ani czy był względnie zadowolony, wiedząc, że te pragnienia się spełniły, czy też całe swoje życie do ich spełnienia tęsknił, co zdarza się najczęściej, chyba że ktoś nie ma żadnych pragnień, ale to rzadki przypadek, zawsze wślizgnie się jakieś skromne pragnienie. (Tak, możemy być o czymś przekonani, lecz nie wiedzieć tego na pewno).

Chciałbym zatem odpowiedzieć: „Nie wiem” słowami, których nikt nigdy nie chciał słyszeć i które uznawano za niemal nie do przyjęcia w budynku bez nazwy, w nowej grupie, która, o czym coraz dobitniej się przekonywałem, była zdegradowaną spadkobierczynią tej dawnej, słowami nie przyjmowanymi przychylnie, lecz lekceważąco, trafiającymi w pustkę. Nie tylko dla Tupry były nie do przyjęcia, również dla Pérez Nuix, Mulryana i Rendela, prawdopodobnie też dla Branshawa i Jane Treves, którzy mimo że współpracowali tylko sporadycznie, z pewnością nie pozwalali ich używać swoim donosicielom i informatorom niższej rangi. Zgadzano się na „być może” – nie ma rady – ale robiło złe wrażenie, nie było wysoko cenione i w końcu zbywało się je niczym, jakbyś niczego nie wniósł ani niczego nie posunął do przodu, odnosiło taki sam skutek jak nieważny głos albo absencja, można powiedzieć, że niechęć, z jaką to



przyjmowano, nie miała prawie nigdy przełożenia werbalnego, odpowiadała jednak mruknięciu pod nosem: „Bardzo przydatne, nie ma co. Przejdźmy do następnej sprawy”. Byłoby nie do pomyślenia, żebym na tym etapie mego rozzuchwalenia lub rozwiniętej wnikliwości odpowiedział na końcowe pytanie na temat Reresby’ego owej nocy bez końca: „Być może. To nieprawdopodobne. Nie można tego wykluczyć. Kto wie? Nie wiem”. Przyszłoby mi zatem zaryzykować i po krótkim namyśle obstawiłbym wreszcie zakład lub wydałbym sąd, co do którego byłbym najgłębiej przekonany albo, jak ludzie lubią mówić, który płynąłby z głębi serca:

„Myślę, że to nie przyszłoby mu łatwo, że trochę by go kosztowało, że postarałby się nam tego zaoszczędzić, to znaczy dałby mi szansę, nim wymierzyłby cios, szansę na to, by się wycofać. Może wystarczyłaby jakaś rana, skaleczenie, jedno ostrzeżenie albo dwa. Ale tak, myślę, że mógłby mnie zabić, gdyby zobaczył, że powstrzymuję go z determinacją i na serio i że mogę zapobiec postanowionej już przez niego egzekucji. Mógłby mnie zabić za to, że wchodzę mu w drogę i że się upieram. Tyle tylko że, jak mogliśmy się przekonać, nie podjął jeszcze decyzji o egzekucji”.

„Chcesz przez to powiedzieć, że do tego stopnia wyprowadziłbyś go z równowagi, że straciłby kontrolę nad sobą, że ciąłby na oślep w napadzie zniecierpliwienia, wyniosłości, gniewu?”, mógłby chcieć się dowiedzieć Tupra, trochę być może taką opcją urażony.

„Nie, nie o to chodzi”, odparłbym. „To by się stało ze wspomnianego wcześniej powodu, czyli dlatego, że źle znosi, gdy nie robi się tego, co według niego powinno się i można zrobić. Tego, co do czego on już podjął uzasadnioną decyzję, opierającą się na własnych lub cudzych przekonaniach, które czasami wyłaniają mu się po długim namyśle albo są efektem machinacji, a innym razem rodzą się bardzo szybko, w jednym mgnieniu, jakby jego wszytkowidzące oczy popatrzyły od razu na właściwej wysokości i od pierwszego wejrzenia wiedziały już, co ma się

zdarzyć, od pierwszego właściwie wyostrzonego wejrzenia, bez możliwości wycofania się. Nie wiem, jak to wytłumaczyć: mógłby mnie zabić ze względu na dyscyplinę, czyli na to, bez czego świat zawsze się obywat; z determinacji, z pośpiechu albo w ramach jakiegoś planu; z nawyku przewycięzania przeszkód, bo ja przecież stałem się taką nieprzewidzianą, nieuzasadnioną, zbyteczną i nieplanowaną przeszkodą: z jego punktu widzenia bez racji bytu”. Ale potem nie mógłbym się powstrzymać, by nie wyrazić powstałej na koniec, lecz prawdziwej wątpliwości, i dodałbym: „A może nie, może mimo wszystko nie byłby w stanie mnie zabić z jednego tylko powodu: może zanadto mnie lubi i jeszcze się tym nie znużył”.

Kiedy wstaliśmy od stolika i poszliśmy po płaszcze, płaszcze małżonków Manioia i mój, Tupra chciał zajrzeć jeszcze raz do toalety dla inwalidów. Nie powiedział mi tego, ale się zorientowałem. Poinstruował mnie, że mam towarzyszyć Flavii do szatni, dali mi numerki, żebym odebrał płaszcze, i zobaczyłem, jak on i Manioia skręcają w tamtą stronę, przechodzą przez pierwsze drzwi, założyłem, że przez drugie także, lecz nic więcej już nie widziałem. Nie miałem siły, żeby znowu się niepokoić albo złościć: wystarczająco dużo wydarzyło się już wcześniej i, jak zdałem sobie sprawę, fakt, że De la Garza nie umarł, tylko niewiele poprawiał stan rzeczy. Widziałem wyraz jego twarzy, wyglądał jak nieżywy, jak ktoś, kto wie, że zaraz umrze, kto wie, że jest trupem. Trzy albo cztery, pięć razy mogło już być pęknięć mu serce. Możliwe, że Reresby idzie zabić go teraz, pomyślałem z niedowierzaniem, wciąż jeszcze ma miecz na plecach. A może idzie się upewnić, że tamten jest posłuszny. A może chce pokazać swoje dzieło Manioi, dać sobie albo jemu tę satysfakcję. A nuż to Manioia chciał zobaczyć wykonaną robotę, żeby ją zaakceptować albo nie, „*Basta cosi*” albo „*Non mi basta*”? Możliwe też, że ten Sycylijszyk, Kalabryjszyk albo neapolitańczyk nie zamierza niczego sprawdzać, tylko dobić ofiarę własnoręcznie, osobiście. Szybko się uwinęli, weszli i wyszli

błyskawicznie, kiedy dołączyli do nas, nasze płaszcze, pani Manoi i mój, leżały jeszcze na kontuarze. Musiało chodzić o czwartą albo trzecią możliwość, o rozliczenie rachunków albo o zwykłą próżność; wątpiłem w drugą możliwość, Tupra musiał wiedzieć równie dobrze jak ja, że De la Garza nie ruszyłby się ani o cal ze swojego miejsca na podłodze. W tym idiotycznym lokalu nikt za nic nie zapłacił, ja na pewno nie i nie widziałem, żeby kto inny to zrobił. Reresby musiał mieć tu kredyt albo zawsze mu stawiali, a może był współnikiem z udziałem w zyskach. Albo, kto wie, może De la Garza zapłacił wcześniej za wszystko za naszymi plecami, przed swoim ostatnim przerwany tańcem, żeby zdobyć sobie tym gestem Flavię. To jednak do niego nie pasowało, taki kutas jak on nie pomyślałby, że ona jest tego warta.

Wszyscy czworo wsiedliśmy do astona martina używanego w wieczory, gdy chcieliśmy zrobić na kimś dobre wrażenie lub zaskarbić sobie czyjeś względy, tamten wieczór należał do tych pierwszego rodzaju; byliśmy dość ściśnięci, ale nie zamierzaliśmy odesłać tej pary taksówką, byliśmy gospodarzami, poza tym było blisko. Podwieźliśmy ich do hotelu, ni mniej, ni więcej tylko do bogatego Ritza, obok księgarni Hatchard's na Piccadilly, gdzie tak często zachodziłem śladami dawnych znakomitości, Byrona i Wellingtona, Wilde'a i Thackeraya, Shawa i Chestertona; i niedaleko od Heywood Hill, gdzie chadzałem częściej, mieszkając w Oksfordzie, i od sklepów Davidovicha i Foxa na St James's Street, w których prawdopodobnie Tupra kupował swoje Ramesesy II, a ja zaopatrywałem się niekiedy w moje nie aż tak znakomite papierosy Karelia z Peloponezu.

Żegnając się z Flavią, miałem przeczucie – a może przedsmak – że wciąż jeszcze jest rozczarowana bądź rozstrojona incydem i usunięciem kawalera, za chwilę, już w ciemności, gdy ona i jej mąż, milcząc, będą leżeli w swoich łóżkach albo w jednym podwójnym łóżku, przypomni sobie komplementy, jakie jej prawił tamtego wieczoru, i zaśnie spokojniejsza

i bardziej zadowolona, niż pewnie zbudziła się rano, a to znaczyło, że nazajutrz będzie znów mogła pomyśleć: „Wczoraj wieczór było dobrze, ale jak będzie dziś?”. Przynajmniej pod tym jednym względem wywiązałem się zatem z powierzonego mi zadania i ofiarowałem jej, pośrednio i pompatycznie – najlepszy sposób – jeszcze jedno odroczenie. (Byłaby zachwycona, wiedząc, że z jej przyczyny posunięto się do przemocy). Jeszcze jedno odroczenie, zanim nadejdzie ten dzień, gdy jej pierwszą myślą będzie: „Wczoraj wieczór nie było dobrze, więc co będzie dziś?”. Pocałowała Tuprę i mnie na pożegnanie i weszła do środka, nie zwracając uwagi na portiera w liberii, który otworzył i przytrzymał jej drzwi, i nie czekając, aż mąż pożegna się z nami. On jej za to nie zbeszta, a ona pewnie nie może się już doczekać, żeby obejrzeć swoje *sfregio* w powiększającym lusterku i w lepszym świetle i zacząć szybko przypominać sobie wszystkie miłe chwile tego długiego wieczoru, dopóki była jeszcze w tak dobrym humorze, że zwróciła się do mnie z udanym wyrzutem: „*Su, va, signor Deza, non sia così antipatico. Mi dica qualcosa di carino, qualcosa di tenero. Una parolina e sarò contenta. Anzi, mi farà felice*”.

Co się tyczy Manoi, uścisnął rękę Reresby’emu z wylewnością niezwykłą jak na tak spokojnego, watykańskiego, łagodnego człowieka – ta łagodność była oczywiście fałszywa – i nabrałem przekonania, że ci dwaj doszli w końcu do jakiegoś wzajemnie korzystnego porozumienia albo uzyskali jeden od drugiego to, o co jeden drugiego prosił bądź co sobie założyli czy narzucili przy użyciu milczącej groźby.

– Było mi bardzo, bardzo, bardzo miło, Mr Reresby – powiedział w swoim kwiecistym angielskim, prawdopodobnie nie umiał inaczej przetłumaczyć słowa „*grandissimo*”. – Wieczór z drobnymi przygodami, ale i tak bardzo przyjemny. Niech pan będzie tak uprzejmy i informuje mnie na bieżąco. – Wobec mnie był natomiast szalenie oziębły; w istocie moja wyciągnięta do niego ręka zawisła w powietrzu, a on ograniczył się do

szorstkiego skinienia głową jak starej modły dyplomata (skinienie to dużo powiedziane). Nawet na mnie nie spojrzał, a raczej ja nie zdołałem dojrzeć jego matowych, rozbieganych oczu za wielkimi, odbijającymi wszystko okularami. Poprawił je sobie kciukiem na nosie po raz ostatni, mimo że wcale się nie zsunęły, i powiedział: – *Buona notte*.

Potem ruszył śmiesznym truchtem, żeby dogonić żonę, bez wątpienia dużo go kosztowało każde z nią rozstanie. Wyglądał raczej jak pilny urzędnik niż gwałciciel, nie z mafii, kamorry albo z 'ndranghety, ale raczej z Opus Dei lub z Legionistów Chrystusa, a może z Sismi, czymkolwiek to było. Flavii jednak nie widziałem już w holu, przynajmniej z ulicy, z Piccadilly. Pewnie wsiadła do windy, zmierzając do swego pokoju, żeby na chwilę zamknąć się w łazience i opóźnić moment, kiedy będzie musiała wysłuchać wyrzutów męża czynionych bez świadków. Musiała go wcześniej uprzedzić, żeby nie rozmawiał z nią przez zamknięte drzwi łazienki, i z pewnością był jej w takich sprawach posłuszny.

Nawet nie dodał „*E grazie*”. Nie było zresztą szczególnej potrzeby, by to robił, nie wiedział o narastającej we mnie złości i niepokoju. Mógł nawet sądzić, że miałem swój udział w biciu, którego wynik musiał go zadowolić, gdy zajrzał w celach kontrolnych do toalety. Możliwe, że miał mnie za sojusznika, żołnierza mafii, pachołka, oprycha. Prawdę mówiąc, w tamtej chwili naprawdę czułem się jak jego sojusznik i żołnierz mafii, a nawet jak pachołek: wystawiłem Tuprze ofiarę tam, gdzie chciał. Ale nie byłem oprychem – *hug*, *hitman* ani *goon* – bo ja nigdy jeszcze nie podniosłem na nikogo ręki i nie zamierzałem podnosić. Podobnie jak miałem nadzieję, że na mnie nikt jej nie podniesie, z mieczem czy bez miecza, z grzebieniem czy bez grzebienia.

Wszystko, czego się domyślałem albo co wiedziałem o nim, a on o mnie, kazało przypuszczać, że nie można do woli albo bezkarnie, z ukrycia albo będąc niewidocznym, jak ktoś obserwujący z domu albo jak duch, rozszyfrowywać innej osoby, która ze swej strony stale nam się przygląda i rozszyfrowuje nas, kogoś wyposażonego w te same zdolności i uzbrojonego w tę samą lub podobną, a możliwe, że lepszą broń, albo że jedyna możliwa konsekwencja takiej sytuacji to jakiś rodzaj wzajemnej sterylnej neutralizacji, hermetyczności, blokady, anulowania się nawzajem i ślepoty – rodzaj zimnowojennego pokoju i odprężenia – wzajemne rozbrojenie klątw lub darów, sparaliżowanych i bezużytecznych w konfrontacji z innym umysłem, który również z ich powodu cierpi bądź się nimi cieszy, zakładając, że Wheeler i on mieli rację i nie kłamali i że ja rzeczywiście dorastałem do ich przewidywań. Ciągle jeszcze powątpiewałem i właściwie w to nie wierzyłem, pomimo że Wheeler przekonywał mnie – powołując się na Rylandsa, którego autorytetu nic już nie mogło obalić – że naprawdę mam dar, powątpiewałem, chociaż rozzuchwalałem się coraz bardziej z każdym dniem spędzonym na wykonywaniu naszego jednookiego zadania w budynku bez nazwy, prowokowany wiarą wszystkich innych albo ich wymaganiami: „Powiedz, co jeszcze, nie zatrzymuj się, co jeszcze widzisz, powiedz, cokolwiek przychodzi ci na myśl, nie ociągaj się, *don't delay or linger*, przedostatnia rzecz, na jakiej nam zależy, to żebyś się powstrzymywał, miał wątpliwości, ubezpieczał tyły, nie płacimy ci za rozważę i nie dlatego cię zatrudniliśmy, a ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to żebyś nie wiedział albo nie mówił. We wszystko można uwierzyć we właściwym czasie, pamiętaj, i nigdy nie zachowuj milczenia, nawet po to, żeby się uratować, tu nie ma na to

miejsca, nie ma też kota, który mógłby komuś pożreć język, nikomu z naszej piątki, nie możesz też języka połknąć, nawet gdybyś chciał się udusić...”. Albo: „To ledwie początek, kontynuuj, no dalej, wyteż mózgownicę. Dopiero dalsze myślenie jest ciekawe i trudne: dalsze wytrwałe myślenie i wytrwałe spoglądanie, kiedy ma się uczucie, że nie ma już nad czym się zastanawiać ani na co patrzeć, że kontynuacja jest stratą czasu. To, co naprawdę ważne, tkwi w straconym czasie, tam, gdzie powiedziałbyś, że nie może być już nic więcej. Dlatego powiedz mi, co jeszcze, co jeszcze przychodzi ci do głowy, co jeszcze proponujesz i co jeszcze masz w zanadrzu, wyteż umysł, no już, nie zatrzymuj się, dalej, myśl...”. Tak od najwcześniejszych lat mówił do nas ojciec podczas każdej dyskusji.

I ta możliwa sytuacja patowa albo sytuacja remisów i rezygnacji, braku pojedynku, powstrzymywania się równych sobie, mogła występować nie tylko z Tuprą i oczywiście z Wheelerem, lecz także z pozostałą trójką, z młodą Pérez Nuix i Mulryanem, i Rendelem, a kto wie, czy nawet nie z Branshawem i Jane Treves, gdybym się na nich natknął. A może i z panią Berry również.

Kiedy zniknął już Manóia (truchtem), Tupra spojrział na mnie bardzo poważnie, niemal złowieszczo, z chodnika przed świątłami Ritz Hotel, Ritz Restaurant, Ritz Club. Potem uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Podwieźć cię? Mieszkasz na Dorset Square czy przy jakimś pobliskim placu, prawda? Gdzieś w tamtej okolicy.

Wiedziałem na przykład, że wie dokładnie, gdzie mieszkam, i że te wszystkie przybliżenia były zwykłym udawaniem, z pewnością pamiętał piętro i znał na pamięć numer mieszkania, mojego i wszystkich swoich współpracowników. Wiedziałem również, że chce mnie podwieźć nie tylko przez grzeczność. Chciał porozmawiać, omówić trochę to, co wydarzyło się tego wieczoru. Albo chciał mnie przed czymś ostrzec. Albo udzielić mi

rady, a możliwe, że instrukcji na okoliczność podobnych okazji, skoro już przeszedłem chrzest bojowy jako świadek i w obecności miecza. Nie sądziłem, żeby zamierzał się tłumaczyć ani za nic przeproszać, najwyżej wygładzić trochę kanty. Czegoś jednak chciał. Przypuszczałem zatem, że koniec końców i tak mnie podwiezie, *velis nolis*. Jeżeli nie przyjąłbym propozycji, upierałby się przy niej. Gdybym odmówił, nalegałby.

– Nie trzeba, wezmę taksówkę – odparłem, musiał zauważyć, że oburzenie mi nie minęło.

Staliśmy we dwóch na chodniku przed Ritzem, pod zadaszeniem w kształcie arkady; kiedy szybko zegnaliśmy się z katolickim małżeństwem, zostawił otwarte przednie drzwi samochodu, drzwi od strony pasażera, czyli te, przez które ja wysiadłem. Portier w liberii przestępował z nogi na nogę, jakby miał zziębnięte stopy. Rzucił nam ponaglące spojrzenia, w tym miejscu nie wolno było oczywiście parkować ani nawet się zatrzymywać.

– Daj spokój, to żaden kłopot, po tym wszystkim wcale nie jestem senny. Zabierze nam to dziesięć minut, przynajmniej tyle mogę zrobić, zasłużyłeś sobie na to. No, wsiadaj, tarasujemy tu przejście.

Byłbym wziął taksówkę i postawił go przed faktem dokonanym, ale żadna akurat nie przejeżdżała, a postój hotelowy musiał być w bocznej ulicy, nie widziałem go, może zresztą był tam, gdzie staliśmy, lecz pusty. W dodatku rozumiałem teraz jeszcze lepiej, że to on chciał albo nawet miał zamiar mnie podwieźć.

Nie podobała mi się ta perspektywa. Woląłem więcej go tej nocy nie oglądać i nie ryzykować, że się z nim zetnę i zacznę mu robić wyrzuty, i domagać się wyjaśnień, a to wydawało mi się nieuchronne, gdybyśmy mieli jeszcze jechać sami samochodem. Nazajutrz – przyszlibyśmy do pracy późno, taka była normalna kolej rzeczy, gdy zarywaliśmy noc z powodów służbowych, godziny pracy były elastyczne – byłbym,



sądziłem, spokojniejszy, w mniej wojowniczym nastroju. I choć on doskonale wiedział, gdzie mieszkam, nie miałem najmniejszej ochoty, żeby się zbliżał do mojego terytorium, nie za moją wiedzą, nie w moim towarzystwie. Kiedy ktoś cię podrzuca albo cię śledzi, albo kręci się koło ciebie, albo cię szpieguje i widzi, jak wchodzisz do swego domu, gdy zapada noc lub gdy robi się wieczór, to znaczy, że widział dużo więcej, niż się wydaje i niż powinien był widzieć: widział cię, jak by to powiedzieć, w odwrocie, prawdopodobnie zmęczonego, a nawet o krok od tego, by już sobie odpuścić po całym dniu udawania i wysiłku, i fałszywego alarmu; poza tym był świadkiem czegoś, co powtarzamy każdego dnia, możliwe, że naszej najbardziej zewnętrznej codzienności. Ludzie pozwalają bez oporów, żeby im towarzyszyć albo ich podwieźć, bądź oczekują tego i są wdzięczni, jak bardzo często zdarza się to kobietom; a jednak od tej chwili ten ktoś już jakby wiedział, gdzie nas znaleźć – już zobaczył to na własne oczy i zachował sobie ten obraz, a to co innego, niż po prostu coś wiedzieć – i o jakiej mniej więcej porze. (W istocie to pierwsza rzecz, jaką starają się odkryć i zaobserwować złodzieje i porywacze, gwałciciele i mordercy, szpiegowie i policjanci, o której wracasz do domu, kiedy w nim jesteś albo kiedy nikogo w nim nie ma, wszystko zależy od ich intencji i od tego, czy wolą, żebyś tam był, czy żebyś nie wchodził im w drogę). Tak, to wielka różnica, czy ktoś nas widzi na naszym własnym terytorium czy w okolicy, nie wspominając już o chwili, gdy pokonujemy cztery stopnie albo pięć między chodnikiem i bramą naszego domu w Londynie, otwieramy drzwi kluczem, wchodzimy, zamykamy zmęczonym ruchem z mimowolną powolnością. Po paru minutach będzie mógł zidentyfikować światło w naszym mieszkaniu i nasze balkony, patrząc z chodnika na dole albo zza drzew i zza pomnika – chyba że okno od tej strony nie jest balkonowe; wtedy będzie mógł lepiej nas sobie wyobrazić albo nas się domyślić w domowych pieleszach, dowiedzieć się, jaki rodzaj oświetlenia lubimy,

a nawet dostrzec naszą sylwetkę, jeśli podejdziemy do okna, albo przyglądać nam się w chwili intymności, gdy wychylimy się, żeby zapalić papierosa lub podziwiać zmierzch, odetchnąć świeżym powietrzem lub podlać kwiatki, lub sprawdzić, kto dzwoni do drzwi na dole w deszczową noc, szedłszy wcześniej za nami przez dłuższą chwilę, ona i ja z parasolami, ona z białym psem, *tis, tis, tis*, biegł pies, niemal frunąc w powietrzu. I ktoś z placu, z pewnej odległości, albo z jednego z domów naprzeciwko, z domu dumnego tancerza, mógł nas widzieć, jak rozmawialiśmy we dwoje, gdy młoda Pérez Nuix prosiła mnie o kłopotliwą i wcale niełatwą przysługę i wyjaśniała mi, dlaczego teraz naszymi klientami nie jest już zawsze państwo, wojsko, marynarka, ministerstwo czy ambasada, New Scotland Yard, władza sądownicza, parlament, Bank Anglii, tajne służby, MI6, MI5, a nawet pałac Buckingham, Korona; i gdy odpowiadała na moje rozliczne pytania, których niekiedy nawet nie musiałem zadawać, innym razem po ich wysłuchaniu: „Co ty możesz wiedzieć o przestępcach?” i: „Kim są *wet gamblers?*”, i: „Na czyj temat mam kłamać albo milczeć, żeby cię zadowolić?”, i: „Jeszcze nie poprosiłaś mnie o tę przysługę, nadal nie wiem, na czym dokładnie miałyby polegać”, i: „Od jak dawna tu pracujesz, ile miałaś lat, kiedy rozpoczęłaś, kim byłaś i jaka byłaś przedtem?”, i: „Co to za prywatne prywatne osoby i dlaczego tym razem tyle wiesz o tym zleceniu, znasz źródło, pochodzenie?” To już nie mogła być, i nie była, „chwila” zapowiedziana po wcześniejszym „To ja” z dołu, z ulicy. (Wszystko natychmiast wydłuża się i wikła albo robi się przyklepne, jakby każde działanie niosło ze sobą swoje własne przedłużenie i jakby po każdym zdaniu zostawała zwisająca w powietrzu nitka kleju, której nie sposób uciąć tak, by coś jeszcze się do niej nie przyczepiło. Nic nie ustaje, wszystko trwa samo przez się, choćbyś ty postanowił się wycofać).

Ilekoć przyprowadzałem do domu kobietę w czasach kawalerskich albo w tamtym okresie, w Londynie (mam na myśli przyprowadzanie na noc lub

na krócej, żeby poszła ze mną do łóżka), bałem się, że wróci do tego raz już odwiedzonego miejsca, tym razem nie zapraszana ani nie chciana: właśnie dlatego, że już raz tutaj była i widziała tu, w środku, jak mieszkam, i zapamiętała ten obraz. Często się zdarzało, że moje obawy były uzasadnione. A jeżeli któraś pojawia się znowu na tym terytorium z mojej woli i za moim przyzwoleniem, a nawet wezwana i upragniona, to jest takie pomieszczenie, do którego nie należy kobiety wpuszczać nawet wtedy, gdy idziemy zrobić sobie coś orzeźwiającego do picia albo przygotować jakąś przekąskę, jeżeli nie chcemy, żeby się zadomowiła, jeżeli nie jesteśmy gotowi posunąć się tak daleko; i to pomieszczenie nie jest sypialnią, tam można nawet spędzić noc, to bez znaczenia, ani łazienką, łazienki samotnych mężczyzn rzadko kiedy rozpalają wyobraźnię, lecz kuchnią, ponieważ kobieta, gdy raz wejdzie do kuchni, żeby kontynuować rozmowę, kiedy my się tam krzątamy, albo żeby nam pomóc wcale o to nie proszona; gdy raz wejdzie tam za nami z własnej inicjatywy albo niemal instynktownie, jak robią kaczkę, najprawdopodobniej będzie już chciała zostać *sine die* przy naszym boku – w kuchni może sprawdzić albo wyniuchać, jak będzie wyglądało wspólne życie – choćby sama tego jeszcze nie wiedziała i choćby to była jej pierwsza wizyta, a gdyby ktoś ośmielił się jej takie wspólne życie przepowiedzieć, to jeszcze by go wyśmiała. Możliwe, że taka była jedna z trywialnych nauk, jakie zawdzięczałem memu darowi albo przekleństwu, zakładając, że naprawdę przypadł mi w udziale.

Tupra nie był kobietą, nie zamierzał u mnie zostać, a nawet wejść na górę do mego mieszkania, chciał tylko swoim szybkim astonem martinem podjechać na plac i zostawić mnie przed drzwiami mego domu. Ale i tak ten pomysł mi się nie podobał, bo łatwo mogłem sobie Tuprę wyobrazić trochę później bądź innej nocy, przy okazji innego zmierzchu albo innego dnia, albo kiedy indziej, o świcie, jak szpieguje mnie zza drzew lub zza

pomnika, nie spuszcza z oka mojego okna, pilnuje z hotelu naprzeciwko, wypatrując, czy zapalają się światła i podnosi gilotyna okna i czy przysłała do mnie z wizytą jakaś kobieta, niekoniecznie po to, żeby pójść ze mną do łóżka. Jak czeka, kiedy ona wyjdzie. Nie na darmo od początku wydawał mi się typem, który częściej chodzi po ulicach niż po gabinetowych dywanach, rzadziej pracuje w biurze niż poza nim.

Otworzyłem uchylone drzwi samochodu i wsiadłem, nic nie mówiąc. On obszedł samochód i wsiadł z drugiej strony. Podałem mu swój dokładny adres, raczej ironicznie, jak sądzę, jakby był taksówkarzem, nic więcej. Wiedziałem, że przez tych kilka minut, jakie mieliśmy spędzić sami, nie będę w stanie się powstrzymać, nie byłem jednak pewien, jak zacząć, może mimo złości lepiej się nadmiernie nie spieszyć, nie rzucać pierwszego lepszego wyrzutu, jaki mi się nawinie na język, mało istotny szczegół w porównaniu z ciężarem gatunkowym minionych zdarzeń. Nie podjąłem jeszcze decyzji o wycofaniu się z tej pracy na dobre, musiałem się nad tym spokojnie zastanowić i przywyknąć do ewentualności powrotu do BBC Radio z jego źle opłacanym nudziarstwem. Oczekałem kilka długich sekund, samochód już ruszył i przyspieszał, dałem Tuprze szansę, chciałem się przekonać, czy on coś powie i tym samym ułatwi mi zadanie. Nie zrobi tego, pomyślałem, potrafi wytrzymać ciszę, którą sam zarządza. To on miał interes w tym, żeby mnie podwieźć, ale może nie chodziło o reprimendy ani połajanki (to przeze mnie przyczepił się do nas De la Garza), ani o zrobienie mi jakiegoś wyrzutu, lecz o to, żeby usłyszeć, jak to ja wyrzucam z siebie złość na gorąco, jak mawiał Don Kichot, i w ten sposób ocenić, jak bardzo potrafię się rozgniewać. Po chwili cisza stała się milczeniem dwóch osób, które nie chcą ze sobą rozmawiać.

– Ta okolica, w której mieszkasz, nie należy do najtańszych – mruknął wreszcie, wywnioskowałem stąd, że milczenie nie było wynikiem jego decyzji ani woli, a taki typ milczenia gorzej znosił; jego impulsywność albo

stałe napięcie domagały się, by cały czas był wypełniony wyrazistą, słyszalną, rozpoznawalną i wymierną treścią. Teraz, bez zapachowego zakłócania czy też zapachowej konkurencji ze strony Flavii, w całym samochodzie unosił się zapach jego balsamu *after-shave*, jakby miał nim zaimpregnowaną skórę albo jakby ciągle go sobie od nowa aplikował po kryjomu. Nie widziałem, żeby to robił przed lustrem u niepełnosprawnych. Opuściłem trochę szybę w oknie.

– Fakt, nie jest tania, raczej droga – odpowiedziałem niemal niechętny. – Tak wybrałem, uciekam od brudu jak od zarazy. – Nagle zdałem sobie sprawę, że od jakiegoś już czasu Tupra nie ma na sobie płaszcz, ani zarzuconego na ramiona, ani przewieszzonego przez rękę, nie zauważyłem, kiedy go zdjął ani gdzie położył, musiał to zrobić przy wyjściu z dyskoteki albo szybko podmienił płaszcz w szatni, a ja się nie spostrzegłem. Odwróciłem głowę, żeby sprawdzić, czy płaszcz nie leży na półce za tylnym siedzeniem. Nie było go tam. Gdzie zatem mógł być ten przeklęty miecz? – A miecz? – zapytałem.

Tupra – nie był już Reresbym, mimo że noc jeszcze się nie skończyła – wyjął papierosa, zapalił go samochodową zapalniczką, gładkie policzki w kolorze piwa, jakby świeżo ogolone, rozświetliły mu się na chwilę. Tym razem nie poczęstował mnie swoimi egipskimi papierosami. Żeby to podkreślić, wyjąłem sobie jeden z moich peloponeskich i nie zapaliłem od razu.

– Jest w bagażniku.

– Miałem na myśli: po co był ten miecz? Dlaczego nosisz go przy sobie? To było strasznie brutalne, barbarzyńskie, myślałem, że naprawdę zetniesz mu głowę, sam o mało nie umarłem, jesteś stuknięty, co to ma znaczyć, gdzie my jesteśmy, jesteś jakąś bestią, do czego ci to było potrzebne...

Wszystko wyrzuciłem z siebie w pośpiechu, jednym ciągiem, mimo że udzielił mi wcześniej odpowiedzi („Jest w bagażniku”) tym samym

zamykającym lub kończącym tonem jak kiedyś, gdy w swoim gabinecie odpowiedział mi na pytanie („Tak, słyszałem”), czy słyszał o zamachu stanu przeciw Chávezowi w Wenezueli (i dodał: „Coś jeszcze, Jack?”). Mój ton nie był jeszcze wściekły, ale gdybym kontynuował tę moją niezborną listę wyrzutów, zrobiłby się taki z pewnością, człowiek się gorączkuje albo nakręca, wszystko dzieje się w głowie, szczególnie gdy między wydarzeniami a eksplozją dochodzi do przerwy, kondensacji, przymusowego oczekiwania. Nie miałem na razie wrażenia, żeby Tupra się przejął moim gorzkim wybuchem – nie wyglądał na zakłopotanego ani zmieszanego – przerwał mój dopiero co rozpoczęty potok słów spokojnym i niezwiązanym bezpośrednio zdaniem, które zrozumiałem tylko częściowo. Niezrozumienie hamuje najbardziej, a potrzeba zrozumienia jest bardziej nagląca i silniejsza niż wszystkie inne.

– Nauczyłem się tego od Krayów. – „The Krays”, powiedział po angielsku, używając liczby mnogiej, niepotrzebnej po hiszpańsku przy nazwiskach lub nazwach rodzin (sam rodzajnik wskazuje, że chodzi o liczbę mnogą, „*los Manoiá*”), lecz coraz częściej przenoszonej do hiszpańszczyzny przez naszych rodzimych idiotów w ich naśladowczej ignorancji: skończy się na tym, że zaczną mówić „*los Lópezes*”, „*Los Santistébanes*” albo „*los Mercaderes*”. Ale wtedy nie rozumiałem tego słowa ani go sobie nie wyobraziłem z dużej litery, ani nie wiedziałem, że chodzi o nazwisko, a tym bardziej jaką ma pisownię (*crase? craze? kreys? crays? crease?*, a choćby i *krais?* Większości Hiszpanów trudno wychwycić różne rodzaje „s” w angielskim). Dlatego powstrzymałem gwałtowny potok wymowy akurat w chwili, gdy on zatrzymał się na światłach.

– Gdzie?

– Raczej od kogo – odparł. – Od braci Kray, k, r, a, y – przeliterował od razu, jak robi się często z angielskimi nazwami i słowami. – Nie ma powodu, żebyś wiedział, o kim mowa, to byli bliźniacy, Ronnie i Reggie,

dwaj gangsterzy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zaczęli na East Endzie, pochodzili z Bethnal Green albo okolicy; przejęli tereny kontrolowane wcześniej przez Włochów i Maltańczyków, dobrze im się wiodło, poszerzyli kontrolowane przez siebie terytorium, a wreszcie, pod koniec lat sześćdziesiątych, skończyli w więzieniu, jeden umarł ostatecznie za kratkami, a drugi chyba dalej siedzi, dziś musi być już dość stary i z całą pewnością nigdy nie wyjdzie. Byli jednymi z najbardziej agresywnych i wzbudzających największy strach przestępców, brutalni, prawdziwi sadyści, nie panowali nad własnym okrucieństwem i w początkach kariery, gdy po raz pierwszy grozili ludziom albo ich zastraszaali, używali do tego celu szabli. Robili to rzecz jasna z konieczności, nie mieli pieniędzy na droższy rodzaj broni. Tymi szablami siali przerażenie, jednym cięciem rozcinali swoim ofiarom twarze od ucha do ucha albo plecy od góry do dołu i jeszcze niżej. Czasem cięli po raz drugi, a mówi się, że jedną kobietę rozplatali na czworo. Napisano o nich książkę, a może i dwie, powstał też film, myślałem, że jesteś kinomanem. Pewnie nie był wyświetlany w Hiszpanii, historia zbyt lokalna, żeby budzić zainteresowanie w innych krajach, ot, londyńska historyjka. Ale ja ten film widziałem, w jednej albo dwóch scenach widać, jaką wzbudzają panikę tymi szablami. Pamiętam szczególnie jedną scenę, w sali bilardowej. Film nie był zły, dobrze udokumentowany, aktorzy też byli bliźniakami. Nazywają to kinem biograficznym. – Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego określenia. Słyszałem określenie „*biopic*”, ale nigdy „*biographical cinema*”, którego on użył.

Rozbroił mnie, przynajmniej chwilowo. Tak się na ogół działo, gdy zaczynał mówić, przechodził płynnie z jednego zdania w drugie i z każdym kolejnym oddalał się coraz bardziej od tego, co dało początek pierwszemu, od przyczyny rozmowy albo rozważań, jeżeli o to akurat chodziło. W tym przypadku przyczyną była moja złość, moja pretensja do niego, że wplątał

mnie w swoje bestialstwa, zrobił mnie ich świadkiem, na filmach albo w powieściach zabija się ludzi za nic i nikomu nawet nie zadrży z tego powodu powieka, ani autorowi, ani bohaterom, ani widzom, ani czytelnikom, wszystko wydaje się zawsze takie łatwe, zwyczajne, częste. Ale w prawdziwym życiu takie nie jest, nie jest łatwe ani zwyczajne, ani częste, nie w życiu, jakie prowadzi większość, ogromna większość z nas, w prawdziwym życiu to wywołuje niepokój i trwogę, i smutek, jest niewyobrażalne dla kogoś, kto nigdy nie był w coś takiego wplątany. (Chyba już mówiłem wcześniej: człowiek zaczyna się trząść i trzęsie się jeszcze długo potem. Później wpada w przygnębienie i długo nie może się z niego wydobyć). Na szczęście my nie zabiliśmy, jak sądziłem, nikogo wbrew temu, czego można się było spodziewać, kiedy po raz pierwszy pojawił się miecz (miałem niebawem zadzwonić do De la Garzy za plecami Tupry – tak było lepiej – aby się upewnić, że jest nadal żywy, że nie przekreślił się z powodu jakichś obrażeń wewnętrznych). Ostatecznie doszło tylko do kilku uderzeń, szarpnięć i prób podtopienia, czyli nic wielkiego, naprawdę mały pikuś w porównaniu z filmami albo którąś z tych zawsze takich samych powieści amerykańskich dla ociążałych umysłowo o psychopatach wypruwających z ludzi flaki albo seryjnych mordercach o analitycznym ścisłym umyśle, jest takich filmów i powieści na pęczki, ich hiszpańskich imitacji również. A jednak ten błahy – w porównaniu z wymyślanymi historiami – incydent wywołał we mnie rozgorączkowanie i mdłości, i zimne poty, nie trwały długo, ale nie chciały też zupełnie ustąpić, nawracały, ilekroć samochód zatrzymywał się na czerwonym świetle i przez okno nie wpadało powietrze, w jednej chwili robiłem się cały mokry. Tak było podczas jazdy samochodem. Faktycznie trwała krótko, szczególnie nocą jedzie się szybko, zbliżaliśmy się już do mojego placu.



Nie odezwałem się słowem po jego wyjaśnieniach na temat braci Krayów, czułem się skonsternowany, więcej, czułem się równocześnie rozdrażniony i zaciekawiony, musiałem cofnąć się w myślach, żeby odtworzyć sobie przyczynę owych wyjaśnień, przynajmniej w przybliżeniu: chodziło o miecz.

– Co chcesz powiedzieć przez to, że nauczyłeś się od nich? Masz na myśli tę historię z mieczem? Jakim sposobem się nauczyłeś? Z książek, z filmu czy może znałeś ich osobiście?

Tupra urodził się pewnie koło 1950 roku, trochę później albo trochę wcześniej. Mógł mieć z nimi do czynienia jako ich uczeń, akolita, świeży narybek, zanim jeszcze trafili do więzienia, są takie profesje, w których rozpoczyna się w bardzo młodym wieku, niemal jako dziecko. Już przy innych okazjach wspominał Bethnal Green, w epoce wiktoriańskiej najbiedniejszą dzielnicę Londynu, nędza panowała tam dłużej niż ta najdłużej panująca królowa. Przez kilkadziesiąt lat znajdował się tam dom dla obłąkanych, Bethnal House Lunatic Asylum, oraz dystrykt wokół Old Nichol Street, zwany „Jago” – tym imieniem Tupra czasami zwracał się do mnie z ironią – znany z przeraźliwej biedy i dużej przestępczości. Jeżeli pochodził z takiego miejsca – ale również studiował w Oksfordzie, pewnie dzięki swym talentom – to by tłumaczyło, dlaczego tak dobrze odnajdował się zarówno wśród nizin społecznych, jak i w wytwornym towarzystwie: tego drugiego można się nauczyć, pozostaje w zasięgu każdego człowieka, co do tego pierwszego, jedyną sprawdzoną metodą nauki jest tkwienie głęboko w tym środowisku. To nie było wykluczone, mając na uwadze jego wiek. Tupra jednak nie odpowiedział mi wprost, prawdę rzekłszy, nie miał takiego zwyczaju.

– Ten film na pewno można znaleźć na DVD albo na wideo. Jest dość mroczny i odrobinę plugawy. Jeżeli więc uciekasz od brudu i plugastwa jak od zarazy, lepiej go nie oglądaj – powiedział, jakby nie słyszał moich pytań

albo uznał je za zbyt ciężkie; zauważyłem ponadto, że troszkę sobie podkpiwa, interpretując dosłownie moją wzmiankę o niechęci do brudu. – Epizodyczną rolę w tym filmie grał pewien aktor, którego dobrze znam, mój stary kolega, i pewnego wieczoru podczas kręcenia filmu pomogłem mu przygotować scenę, w której występował. Myślę, że dlatego poszedłem potem na film, kolega bardzo wczuł się w mój styl. W tej scenie siedzi w jednej celi wojskowego więzienia z bliźniakami, gdy oni odbywali służbę wojskową, byli wtedy jeszcze bardzo młodzi; przygląda im się oraz pokrótce ich instruuje, co mają robić, jak skończą wojsko i wrócą do cywila. To była bardzo skondensowana lekcja o tym, jak zawsze osiągnąć to, czego się chce, cokolwiek by to miało być. „Wiem, jak się nazywacie, Kray”, powiedział do nich. – Tym razem Tupra wymówił to nazwisko cockneyem, a może był to zwykły akcent człowieka niewykształconego, czyli jakby chodziło o słowo „cry”, co znaczy „krzyk” albo „płacz”, zależnie od sytuacji. Jakby sam chwilowo grał tę rolę, znowu ujawniła się jego prostoduszna, łagodna próżność. Właśnie dojechaliśmy do mego opustoszałego placu, cichego i spokojnego po zmierzchu; zaparkował naprzeciw drzew i od razu wyłączył silnik, ale nie zamierzał pozwolić mi wysiąść, nadal do mnie mówił. I wciąż jeszcze nie wyjawiał przyczyny, dla której nalegał, żeby mnie podwieźć. – „I mówię sobie: George, tak sobie mówię” – kontynuował monolog, jakby pamiętał go od czasu tamtego wieczoru przed laty, gdy ćwiczyli tę scenę z kolegą aktorem – „ci chłopcy są specjaliści, ci chłopcy to inna jakość. Macie to coś... Potrafię to zobaczyć”. – Takie albo podobne zdania były też naszą dewizą w pracy. „Potrafię to zobaczyć, potrafię zobaczyć twoją twarz jutro”. – „Musicie się nauczyć z tego korzystać. Wiecie, tam na zewnątrz są ludzie, dużo ludzi, którzy nie lubią, jak się im wyrządza krzywdę. Ani im, ani ich własności. I słuchajcie, ci ludzie, co to nie lubią, żeby ich krzywdzić, płacą innym ludziom, żeby ich nie krzywdzili. Wiecie, o czym mówię, prawda? Jasne, że

wiecie. Dobra, kiedy stąd wyjdziecie, chłopcy, miejcie oczy szeroko otwarte, czatujcie na ludzi, którzy nie lubią, żeby im robić krzywdę. Bo nawet ja, chłopcy, robię przy was w gacie ze strachu. Coś wspaniałego”. – „*Cos you scare the shit out me, boys. Wonderful*”, tak to powiedział Tupra po angielsku z udawanym akcentem, a może był to jego prawdziwy akcent, w swoim szybkim samochodzie, w księżycowym świetle ulicznych latarni, siedząc po mojej prawej stronie z dłońmi wciąż jeszcze na nieruchomej kierownicy, ściskającymi ją albo zaciskającymi się na niej, już bez rękawiczek, rękawiczki miał w płaszczu, tak jak i miecz, brudne i mokre, i owinięte papierem toaletowym. – To jest właśnie to, Jack. Strach – dodał i tych sześć słów (może w jego języku było ich mniej) zabrzmiało tak, jakby należały jeszcze do tej roli, którą odtwarzał albo ją sobie przywłaszczył, albo którą mu kiedyś ukradziono, w każdym razie do roli, co do której sądził, że to on sam ją odegrał za pośrednictwem kolegi. Ale nie zabrzmiało to w istocie jak coś w jego stylu, nie w stylu Bertrama Tupry, jakiego znałem, raczej jak występ szekspirowskiego aktora, w każdym razie posepnie, może nie plugawo, raczej złowrogo, złowieszczo, nie było zatem wcale dziwne, że przy moich nawracających zimnych potach i uczuciu rozgorączkowania przebiegł mnie w dodatku dreszcz.

Mój zły nastrój jednak mijał, odkąd samochód się zatrzymał. Widziałem światło palące się u mnie w mieszkaniu, często zostawiałem włączone nawet wszystkie lampy, komuś, kto obserwowałby mnie z naprzeciwka albo z ulicy, mogłoby się wydawać, że zawsze jestem w domu z wyjątkiem czasu, gdy śpię, albo gasiłem światło umyślnie, słuchając muzyki.

– To u ciebie się pali? – zapytał Tupra, spoglądając tam, gdzie ja patrzyłem, musiał w tym celu wtargnąć w moją przestrzeń i zbliżyć twarz do otwartego z mojej strony okna, lubił na wszystko sam spojrzeć, zobaczyć wszystko na własne oczy, nigdy nienasycone, niebieskie lub szare w zależności od oświetlenia.

– Tak, nie lubię wracać po nocy do ciemnego domu.

– A może ktoś tam na ciebie czeka? A ja zatrzymuję cię tu tak długo.

– Nie, nikt na mnie nie czeka, Bertram. Wiesz, że mieszkam sam.

– Ktoś mógłby przyjść z wizytą, ktoś znajomy, kto ma klucze. Może jakaś angielska narzeczona? Czy ona zawsze musiałaby być Hiszpanką?

– Nikt nie ma do mnie kluczy, Bertram, a dzisiejsza noc nie nadawała się na późne randki. Ilekroć wychodzimy gdzieś z tobą, nigdy nie wiadomo, o której wrócimy. Dzisiaj akurat nie jest bardzo późno, ale wystarczyłoby, żeby De la Garza się stawiał albo żeby zaczął uciekać, albo żeby nas zabrali na komisariat za wywołanie awantury w miejscu publicznym czy za posiadanie bardzo oryginalnego rodzaju broni, i nie wrócilibyśmy przed świtem, może dopiero jutro rano.

Wróciłem do poprzedniego tonu lekkiej pretensji, to mu prawdopodobnie przypomniało, że i on ze swej strony chciał mi coś zarzucić, żeby przekreślić i unieważnić moje wyrzuty lub dlatego, że chował w zanadrzu jakąś urazę i właśnie aby dać jej upust, upierał się przy podwiezieniu mnie

do domu. Na pewno chodziło o to drugie, nie miał w zwyczaju przechodzić do porządku dziennego nad błędami ani ukrywać niezadowolenia.

– Nie mógłby się rzucić do ucieczki ani nigdy nie stawiałby oporu, sam dobrze wiesz – zwrócił mi uwagę. – Ale skoro nazywasz mnie teraz Bertramem, chcę ci coś powiedzieć. – Rysy twarzy mu stwardniały, musiałem go czymś wcześniej dotknąć do żywego. – Trzy razy, trzy, jeżeli nie cztery, nazwałeś mnie dziś wieczór Tuprą w obecności tego twojego imbecyla. Co to ma znaczyć? Głowy nie masz? – I posunął się do tego, że uderzył mnie lekko w czoło miękką wewnętrzną stroną dłoni, jakby był nauczycielem gimnastyki. – Dziś wieczór jestem Reresbym, Jack, dziś wieczór to moje jedyne nazwisko w każdej sytuacji, wyraźnie ci to zapowiedziałem. Wszyscy świetnie wiecie, że zasada jest niezmienna bez względu na okoliczności. Chyba że sam zarządzę co innego. Jak mogłeś być taki beztrojski? Tamten kretyn słyszał moje nazwisko. Inni mogli je byli usłyszeć. On się nie liczy, jest bez znaczenia, jemu wszystko jedno, jakie mam nazwisko, ostatnia rzecz, jakiej pragnie, to pamiętać o mnie, o tym, jak wyglądam i jak się nazywam. Postara się zapomnieć o całym tym koszmarze, nie będzie szukał zemsty. Ale tylko pomyśl, gdyby wyrwało ci się w obecności Manoi, dla którego jestem Reresbym od zawsze, odkąd się znamy... Całe lata, Jack. Nie możesz ich w jednej chwili wyrzucić na śmietnik tylko dlatego, że wpadasz w histerię i zaczynasz panikować, i zachowywać się, jakbyś wiedział, co zamierzam, a czego nie zamierzam zrobić, nie możesz tego wiedzieć, dopóki nie zobaczysz, że to właśnie robię, a i wtedy nie ma pewności, rozumiesz? Tak czy owak wcale bym tego nie zrobił. Pomijając fakt, że to nie twoja sprawa, co robię, a czego nie robię. Wkrótce, Jack, wyjedziesz ze mną w podróż za granicę, prawdopodobnie dojdzie też do innych wyjazdów, jeżeli pozostaniesz z nami i będziemy kontynuować współpracę. Nigdy więcej się nie wtrącaj, cokolwiek będę robił w twojej obecności. Wolę nawet nie myśleć: całe lata

mozolnego trudu, żeby zdobyć zaufanie Manoi, zaufanie niepewne, kapryśne, a ty w jednej chwili posłałbyś to do diabła. Jaka według ciebie byłaby reakcja kogoś, kto słyszy, że do jego negocjatora albo współnika inni zwracają się nie tym nazwiskiem, pod którym on zna go od zawsze?

Miał rację po części, a nawet w dużej mierze: nie popisałem się. Ale zdarzyło się to w specyficznych okolicznościach, za każdym razem byłem przekonany, że zamierza zabić tego kretyna, trudno to uznać za sytuację normalną. Jednakże zamiast od razu powiedzieć coś na swoją obronę (trzykrotne użycie niewłaściwego nazwiska to dużo razy), skorzystałem z okazji, by spróbować się czegoś dowiedzieć:

– Ach, więc znacie się od dawna, a mimo to on sądzi, że nazywasz się Reresby – powiedziałem. – Nie wiedziałem, nie uprzedziłeś mnie. Co to jest Sismi, jeśli mogę spytać?

Tupra się roześmiał, tym razem tylko on, sucho, jego śmiech zabrzmiał niemal sarkastycznie albo gorzej, protekcyjnie.

– Możesz – odpowiedział – aczkolwiek nie musisz. Prawdopodobnie figuruje nawet w słownikach włosko-angielskich, i w twoim przypadku włosko-hiszpańskich. To włoski wywiad. Wojskowe służby bezpieczeństwa i informacji czy coś w tym guście, skrót literowy po włosku to SISMI, s, i, s, m, i, żadna tajemnica. Przysłuchiwałeś się uważniej, niż mi się zdawało.

– Aha. Mam wnosić, że Manoi dla nich pracuje, jest na służbie u Berlusconiego? Biedni ci włoscy urzędnicy i wojskowi, muszą się wysługiwać takiemu pajacowi i bezguściu. Wygląda jak facet w marynarce z czerwonej satyny z naszytymi cekinami, nawet jak nie ma takiej na sobie. Nie, nie przysłuchiwałem się uważnie, tylko nie znałem tego słowa w żadnym języku.

Nie podjął mego żartu, na pewno nie przez szacunek dla premiera, wiedziałem przecież, że i on ma tamtego za pajaca w satynowej marynarce z cekinami.

– To byłby zbyt daleko posunięty wniosek, Jack, więc nawet nie pytaj. Mówienie o CIA albo o MI5 czy MI6 nie oznacza, że się dla nich pracuje, prawda? Więcej, rzadko kiedy ludzie, którzy faktycznie tam pracują, wspominają te nazwy, tak samo jak wielu mafiosów nigdy nie używa słowa „mafia”, nie tolerują nawet, żeby używali go inni ludzie, cywile. Poza tym nikt ci nie płaci za wyciąganie wniosków ani za zadawanie pytań, więc możesz je sobie darować, bo tak czy owak to robota gratis. Jak się nie będziesz mógł oprzeć pokusie, zachowaj te wnioski dla siebie. Ale mnie nie wkurwiał, nie zwracaj mi głowy.

Nagle zrobił się antypatyczny i impertynencki. „*But don't piss me off, don't pester me*” albo coś podobnego, te słowa zabrzmiały bardzo lekceważąco. Bez szczególnego wysiłku poczułem znowu gniew, w gruncie rzeczy miał mi towarzyszyć długi czas i nigdy miałem nie zapomnieć tamtego poczucia niegodziwości i oburzenia, jakie Tupra we mnie wzbudził, poczucia niemocy i zuchwałości, a nawet analogicznego faszystu. Jeżeli naprawdę był analogiczny: przypomniał mi o bandzie bojówkarzy karlistowskich albo falangistów, którzy zabawili się kosztem pewnego człowieka na polach Rondy we wrześniu albo październiku odległego trzydziestego szóstego roku. Tupra mnie wkurwił, więc odpłaciłem pięknym za nadobne.

– Miałeś mi coś wyjaśnić – powiedziałem – na temat tego pieprzonego miecza, tych Krayów i całej reszty. Czego niby tak ważnego nauczyłeś się od nich? Jak być Zorro? D'Artagnanem, gladiatorem, Conanem Barbarzyńcą, Spartakusem? Może Księciem Walecznym, siedmioma samurajami, Aragornem, Scaramucciem? A może Lordem Vaderem? Który model sobie wybrałeś?

Ponownie oparł dłonie na nieruchomej kierownicy. Odwrócił głowę do mnie, w swoją lewą stronę, w słabym świetle – świetle księżycowym – jego oczy wydawały się czarne i matowe, nigdy wcześniej ich takich nie

widziałem; a może to był cień rzucany przez rzęsy, długie i nazbyt gęste, by nie były powodem zazdrości każdej kobiety i podejrzeń każdego mężczyzny. Choć jestem mężczyzną, moje rzęsy też nie są krótkie ani rzadkie. Zaśmiał się krótko, tym razem bardziej ochoczo, moje natarcie go rozbawiło. Znowu go rozbawiłem, to najlepszy glejt, żeby wyjść cało z każdej opresji (nie wtedy, gdy w grę wchodzi uraza lub zemsta, ale na pewno wtedy, gdy chodzi o gniewne kroki odwetowe albo groźby, a to już dużo).

– Tak, śmieć się teraz, Jagonie – powiedział z kpina, zwracał się do mnie tym imieniem, kiedy chciał mi dokuczyć. Ale dalej mówił już poważnym tonem: – Możesz się teraz śmiać, ale godzinę temu, kiedy miałem w ręku miecz, byłeś tak samo przerażony jak ten cały Garza. – Wymówił to nazwisko na angielską modłę, „gaatsa”. – Gdybym teraz wysiadł z samochodu, poszedł do bagażnika i wyjął miecz, znowu umierałbyś ze strachu; gdybym się na ciebie zamachnął, rzuciłbyś się biegiem do swojej bramy, przeklinając istnienie kluczy, które trzeba wydobyć z kieszeni i włożyć do zamka, wcale niełatwo trafić do dziurki, gdy od tego zależy twoje życie, jesteś zdesperowany i brak ci tchu. Czasu jest zawsze za mało. Dopadłbym cię, nim zdołałbyś otworzyć drzwi. A nawet gdyby ci się udało, a ja zostałbym z mieczem za drzwiami, to wsunąłbym ostrze w szparę i nie pozwolił ci drzwi zamknąć. Nawet sny wiedzą, że prześladowca zazwyczaj nas dopada, i wiedzą to, począwszy od „Iliady”. – Zamilkł na chwilę i spojrzał w stronę bramy mego domu, wskazał na nią palcem, jakbyśmy obaj, wyprostowani, mogli widzieć tę hipotetyczną opisywaną przez niego scenę, mężczyznę w szaleńczym biegu, przeskakującego po kilka stopni na raz i starającego się włożyć klucz do zamka, w kompletnej panice; a za nim innego z obosiecznym „rozpruwaczem kotów”, z uniesionym lancknechtem. Tak, przebiegł mnie dreszcz, starałem się to ukryć. Zbiła mnie z tropu jego wzmianka o „Iliadzie”. – To jest strach, Jack. Strach.



Kiedyś ci powiedziałem, że strach to największa siła pod warunkiem, że potrafisz się do niego przystosować, zadomowić się w nim i żyć z nim w dobrych stosunkach. Wówczas można wyciągnąć z niego korzyść i użyć go dla własnego pożytku, dokonywać bohaterских czynów, o jakich nam się nie śniło w najbardziej nedorzecznych snach, bić się z wielkim męstwem, stawiać opór, a nawet pokonać silniejszego. Jak już mówiłem, matki z dziećmi w ramionach na pierwszej linii byłyby najlepszymi wojownikami w każdej bitwie. Dlatego trzeba być takim ostrożnym, wzbudzając strach, bo strach może się obrócić przeciwko tobie. Strach, który wywołujesz, musi być taki straszny, żeby ta druga osoba nie miała szansy go oswoić, uczynić częścią siebie, przystosować się do niego albo uznać za możliwy do zniesienia, nie może się ustabilizować ani ustać choćby na sekundę, żeby dało się do niego przywyknąć, przyswoić go, zrobić mu miejsce i tym sposobem przerwać na chwilę wyczerpującą walkę z nim. Niezrozumienie, niedowierzanie, zaprzeczenie, walka, to właśnie paraliżuje, wyniszcza i pochłania całą energię drugiego człowieka. A gdy walka (która tak czy owak jest bezcelowa) ustaje, wtedy człowiek czuje w sobie znowu przypływ siły. Nikt nie myśli, że zaraz umrze, nawet w najbardziej niesprzyjającej sytuacji ani w najbardziej beznadziejnych okolicznościach, nawet wobec oczywistej nieuchronności. Tak więc strach, jaki powodujesz albo wzbudzasz, nie może być strachem znanym ani nawet wyobrażalnym. Jeśli jest konwencjonalny, przewidywalny lub... jak by to powiedzieć, oklepany, to ten, kto go doświadcza, potrafi go zrozumieć, zyskać na czasie i dzięki temu przywyknąć do niego, a potem być może zablokować go. Nie przestanie czuć strachu, nie pozbędzie się go, nie o to chodzi: ten strach nie zniknie, będzie nadal dręczący i niepokojący, ale da się z nim dojść częściowo do porozumienia, złapać znowu równowagę i zacząć myśleć; a kiedy jest się we władaniu strachu, myśli się bardzo szybko, wyobraźnia pracuje na wysokich obrotach i pojawiają się

rozwiązania możliwe albo niemożliwe do zastosowania, skazane na porażkę albo nie, w każdym razie pojawia się jednak błysk, umysł staje w stan pogotowia, a wraz z nim cała reszta. Przeskakujesz mur, który kiedy indziej wydałby ci się nie do sforsowania, biegniesz długie godziny, gdy wcześniej nie znajdowałeś w sobie pary, żeby rzucić się w pogoń za odjeżdżającym autobusem. Albo zaczynasz mówić, zadawać pytania, spierać się i przytaczać argumenty, zajmować uwagę osoby, która ci grozi, i sprawdzać, czy jej tego nie wyperswadujesz, podczas gdy całe życie nie miałeś daru wymowy i nie potrafiłeś nawet zwrócić na siebie uwagi kelnera w barze. Ludzie zmieniają się pod wpływem strachu, jeżeli da im się czas, by umiejętność szybkiego znalezienia pomysłu na przeżycie wzięła górę nad zwykłym instynktem.

I Tupra zamilkł, nie był już z całą pewnością Reresbym, zakończył wykład, musiał dobrze znać strach z pierwszej ręki, samemu go doświadczyć i przeżyć, pewnie dlatego, że często w swoim życiu wykorzystywał strach tu i tam, kto wie, podczas swoich misji w różnych krajach i wyjazdów w teren, rebelianci są wszędzie, szczególnie jeżeli pracuje się w służbie starego, zrujnowanego imperium, w dodatku imperium w odwrocie, które pozostawia za sobą tylko kilka silnych placówek, żeby dokonały bilansu i przekazały władzę, i przygotowały nie do końca niehonorowe wyjazdy, przyszłe interesy i spóźnione dementi. Przebiegła mi przez głowę złowroga myśl, że mógł osobiście torturować i widzieć przy tej okazji tak dużo strachu jak Orłow i Biełow, i Contreras, gdy swego czasu torturowali Andreu Nina (pierwszy z nich naprawdę nazywał się Nikolski, a trzeci Vidali, później, w Ameryce, Sormenti: Tupra też miał różne pseudonimy) w piwnicy albo garnizonie, albo, domu, albo, więzieniu, albo, hotelu w Alcalá de Henares, w rosyjskiej kolonii, gdzie dawno temu urodził się Cervantes; jakiś mroczny i nieokreślony z imienia i nazwiska informator sugerował, że ci trzej towarzysze obdarli Nina

żywcem ze skóry. Ja jednak tak bardzo bałem się tej wersji lub koncepcji, że całkowicie ją odrzucałem powodowany wyłącznie strachem, niedowierzaniem i walką z tym strachem, podobnie jak natychmiast odrzuciłem złowrogą myśl na temat Tupry, koniec końców mojego towarzysza, widywałem go przecież codziennie, przynajmniej w dni robocze, przez tamten mój czas w Londynie.

Zamilkł nagle, jakby dostał zadyszki słownej, nie jakby zabrakło mu tchu, dłonie cały czas opierał na kierownicy niczym mały chłopiec, który bawi się samochodem na niby albo prawdziwym samochodem ojca, ze zgaszonym silnikiem. Spojrzenie miał nieobecne, utkwione w jakimś nieokreślonym punkcie w przestrzeni, na pewno nie widział tego, co widziały oczy, bramy mojego domu, placyku, drzew, biur, hotelu, latarni, pomnika albo sceny, którą właśnie wymyślił i w której dopada mnie, żeby zabić – dziwnie wyglądały te zazwyczaj tak spostrzegawcze i nigdy nie bezczynne oczy pogrążone w zadumie – albo świateł palących się również u mego sąsiada tancerza, Tupra nie wiedział o jego istnieniu ani o tym, że tancerz dostarcza mi rozrywki, gdy jestem sam w domu, zmęczony lub przygnębiony, pogrążony w nostalgii, a niekiedy też podnosi mnie na duchu, szczęśliwy beztroski tancerz i jego dwie kobiety, a od czas do czasu jeszcze trzecia na dodatek. Placyk przez niemal cały ten czas był pusty, co najwyżej pojawiał się w odstępach kilku minut pojedynczy samochód lub pojedynczy przechodzień; ponieważ miejsce było ustronne, niemal oaza, kroki przechodniów po chodniku odbijały się głośnym echem. Niektórzy to zauważali i starali się iść ciszej, amortyzować kroki, jakby nagle tęsknili do dywanu pod niedyskretnymi stopami. Samochody natomiast wszędzie zachowują się nietaktownie. Nawet nie zwalniały. My też nie zwolniliśmy, wjeżdżając wcześniej astone m martinem na plac.

– A wracając do rzeczy? – powiedziałem, bo podobnie jak Wheeler i jak sam Tupra, nie wypuszczałem zdobyczy z rąk, jeżeli coś mnie zaciekało.

– Mówiłeś wcześniej o uczeniu się, o mieczu. – Porzuciłem karcący ton, a może był to tylko ton przyjacielskiej drwiny.

Natychmiast ocknął się z zadumy, zapalił kolejnego ramesesa II i tym razem wyciągnął w moim kierunku otwartą faraonową paczkę w dominującym kolorze czerwieni, zrobił to machinalnie, nie zdając sobie, jak sędzę, sprawy, że wcześniej mnie nie poczęstował. Poprzednie papierosy zgasiliśmy już starannie w popielniczce, petów ani zapalek nie wyrzuca się w Londynie przez okno. Zaczął mówić znowu z tym samym wigorem i przekonaniem. Bez wątpienia wcześniej przestudiował i unormował stosowane przez siebie metody, przemyślał je albo jacyś spece przemyśleli je dla niego, a on je zaaprobował po wysłuchaniu wyjaśnień i ze znajomością rzeczy. Prawie nic nie wydarzyło się przypadkiem, nic nie było zwykłym kaprysem czy ekstrawagancją, wnosząc z tego, co powiedział w dalszym ciągu (raz przynajmniej, między jednym zdaniem a drugim, nie zboczył z tematu):

– No właśnie. Jeżeli wyceluję w kogoś z pistoletu albo wyciągnę w jego stronę nóż, z całą pewnością się przestraszy, ale w konwencjonalny, jak już mówiłem, oklepany sposób, może to jest właściwe słowo. Bo taka jest norma w dzisiejszych czasach i już od paru dobrych stuleci, w gruncie rzeczy od dość dawna. Jeżeli ktoś na nas napada albo nas porywa, jeżeli nam grozi, bo chce, żebyśmy coś wyśpiewali albo coś zrobili pod przymusem, lub zamierza dać nam nauczkę, niemal we wszystkich takich przypadkach używa do tego pistoletu albo noża: taką broń najłatwiej zdobyć, w dodatku jest wygodna i praktyczna, mieści się w kieszeni i można ją szybko wyjąć jedną ręką, takiej też broni spodziewamy się u innych, gdy przeczuwamy, że szykuje się coś niedobrego. Kiedy na przykład natykamy się na bandę kiboli albo skinheadów i mamy akurat tyle czasu, żeby pomyśleć, czy nie byłoby lepiej przejść na drugą stronę ulicy, niemal zawsze za późno, to jeżeli oni już nas spostrzegli, zazwyczaj nie

warto tego robić, bo sprawy mogą tylko przybrać gorszy obrót. Albo gdy ktoś za nami idzie w podejrzanym celu. Gdy kobieta przeczuwa, że zamierzają ją zgwałcić, boi się, a równocześnie wyobraża sobie, że przyłożą jej nóż do piersi albo do gardła; mężczyzna, gdy do jego domu włamują się złodzieje, spodziewa się, że przystawią mu do skroni lufę pistoletu, to jest normalne i przewidywalne, i niejako, że tak powiem, jest oswojony z taką możliwością. Bycie oswojonym niespecjalnie pomaga, ale to już coś, bo mimowolnie zaczynasz myśleć o sposobach ucieczki lub zmniejszenia szkód, nawet jeśli w tych konkretnych okolicznościach to czysta fantazja; przynajmniej robisz krok do przodu i co ważniejsze, nie wpadasz w przerażenie ani nie jesteś zaskoczony, najwyżej tylko tym, że to ty sam jesteś w tarapatach, a byłeś przekonany, że akurat ciebie to nigdy nie spotka, że to niemożliwe, nasz optymizm jest niewiarygodny, przecież w zderzeniu z cudzym nieszczęściem, nawet kogoś bardzo bliskiego, nadal jeszcze potrafimy sobie powiedzieć po wszystkich słowach ubolewania i kondolencjach: „To nie ja, nie mnie to spotkało”. Dzisiaj są takie gangi bandytów, musiałeś czytać w prasie, większość z Europy Wschodniej, Albańczycy, Rosjanie, Ukraińcy, typy z Kosowa, Polacy, którzy bez ostrzeżenia wpadają do czyjś domu uzbrojeni w karabiny maszynowe, wyważają drzwi, każą wszystkim kłaść się na ziemi i na dzień dobry walą jeszcze ludzi na odlew kolbami, wszystko bardzo brutalnie: bywa, że posuwają się za daleko i zabijają. To stare metody KGB albo nawet starsze, bo NKWD, które z kolei nie różniły się szczególnie od metod Gestapo. – „Bo nic nie wiedzieli o manipulacjach Orłowa i jego chłopców z NKWD”, przez pamięć przemknęło mi to zdanie przeczytane w domu Wheelera podczas długiej nocy studiów nad tajemniczym zniknięciem Nina. – To już wywołuje większy strach, bo jest zupełnie niespodziewane, a brutalność postrzegana jest od razu jako nieproporcjonalna, zważywszy, że chodzi o zmuszenie do uległości i obrabowanie normalnej, spokojnej rodziny, która

nie zamierza stawiać oporu; ta rodzina zaczyna się wtedy bać, że może zdarzyć się coś jeszcze bardziej nieproporcjonalnego. Myślę, że w Hiszpanii, oprócz tych niewdzięcznych Słowian, podobnie zachowują się Kolumbijczycy i Peruwiańczycy, bardzo im pomaga posługiwanie się tym samym językiem, to ich zachęca, żeby przede wszystkim jechać do was, a skoro porozumiewają się bez kłopotu, to dlaczego mieliby się przenosić gdzie indziej. Tak więc my tutaj jesteśmy jeszcze na razie bezpieczni. My mamy Arabów, Chińczyków, rastafarian i Pakistańczyków, ale oni to co innego. A jednak strach, jaki wzbudza karabin maszynowy, nie jest jeszcze taki potworny, ja bym go nie nazwał potwornym, to znaczy takim, który unieważnia i ogarnia wszystko, nie pozostawiając miejsca na myślenie o niczym innym poza tym przepełniającym cię całym strachem. Bo trudno jest użyć karabinu maszynowego, nikt go nie użyje, jeżeli da się tego uniknąć. Robi dużo hałasu, jest ostentacyjny, cały wibruje i ma taki silny odrzut, że wprawia w dygot i męczy, trudno go też schować podczas ucieczki. Jego funkcja sprowadza się zatem bardziej do wzbudzenia grozy niż do czegoś innego, ofiara to wie albo przeczuwa od samego początku, to ją pokrzepia, pociesza ją myśl, że napastnicy otworzą ogień tylko wtedy, gdy sprawy przybiorą dla nich naprawdę fatalny obrót. – Tupra znowu zrobił przerwę, tym razem króciutką, jakby chciał przejść do kolejnego akapitu, nie do nowego rozdziału. – Co innego miecz – podjął szybko. – Tak, możesz się teraz śmiać, mówić, że jest ekstrawagancki, anachroniczny, a nawet zardzewiały, ale szkoda, że nie widziałeś własnej miny, kiedy dostrzegłeś miecz w moich rękach. Widziałeś tylko minę tamtego makaka i to powinno ci było wystarczyć. – No cóż, tak naprawdę użył słowa „*monkey*”, „małpa”, trudno usłyszeć z ust Anglika słowo „*macaque*” jako obraźliwe przezwisko. – Prawdopodobnie jest to broń, która wzbudza największy strach właśnie dlatego, że zupełnie nie pasuje do naszych czasów, dziś nikt nie walczy wręcz albo tylko w ramach sportów walki.

Dziś rzuca się bomby i wystrzeliwuje pociski z niewyobrażalnych odległości, zupełnie jakby same spadały z nieba, często nie widać nawet samolotów ani ich nie słychać, albo samolot nie ma pilota lub tak się wydaje tym na dole. Ludzie doświadczają strasznych skutków, rzadko jednak widzą, kto je powoduje, taka jest tendencja od czasów wynalezienia kuszy, którą Ryszard Lwie Serce i inni uważali za broń niegodną, bo dawała kusznikowi nadmierną przewagę i narażała go na mniejsze ryzyko, dużo mniejsze niż zwykły łuk, ponieważ łuk wymagał przynajmniej większej zręczności i większego wysiłku, nie był wyposażony w żaden mechanizm i jego zasięg, by tak rzec, był zasięgiem ludzkiego ramienia, łuk nie sięgał dalej ani szybciej, ani dokładniej. Już od stuleci wszystko zmierza ku ukryciu i anonimowości osoby, która zabija, ku hańbie, dlatego miecz wydaje się bronią bardziej na serio niż każda inna. – „*In earnest*”, tak powiedział. – Wydaje się niemożliwe, żeby ktoś chwycił za miecz po nic, żeby chwycił go w celu innym niż natychmiastowe użycie.

Faktycznie zastanowił mnie ten miecz, gdy spostrzegłem go w jego rękach – a może było to później, kiedy dotarłem ostatecznie do domu (nie w trakcie jazdy ani postoju samochodem) i nie mogłem zasnąć (więc to on mógł nadać temu kształt swoją wcześniejszą wypowiedzią w samochodzie, moje myśli byłyby wtedy tylko echem jego słów) – i tak sobie myślałem: skąd to się wzięło, prymitywne ostrze, średniowieczna rękojeść, homerycki uchwyt, archaiczny czubek, najbardziej niepotrzebna biała broń albo najbardziej nie pasująca do naszych czasów, nawet bardziej niż strzała i bardziej niż włócznia, anachronizm, kaprys, ekstrawagancja do tego stopnia nie pasująca do naszych czasów, że sam jej widok wywołuje panikę, strach nie zwierzęcy nawet, lecz atawistyczny, jakby w jednej chwili człowiek sobie przypominał, że to jest miecz, który zabił najwięcej ludzi na przestrzeni wieków – zabił z bliska i w walce wręcz, twarzą w twarz ze swoją ofiarą.

Tupra wcześniej zrobił aluzję do Homera, teraz mówił o drugim królu Plantagenecie i pierwszym z Ryszardów, urodzonym w samiuteńkim Oksfordzie i którego znajomość angielskiego, a choćby umiejętność wydukania czegoś w tym języku wzbudza poważne wątpliwości, podczas swego dziesięcioletniego panowania przebywał w kraju tego języka wszystkiego ledwie kilka miesięcy, przez resztę czasu pochłonięty trzecią wyprawą krzyżową albo wojnami własnej rodziny we Francji, gdzie zginął, oblegając Châlus w 1199 roku, ugodzony – by dodać do rany zniewagę – strzałą wystrzeloną z kuszy, jak przypomniałem sobie później, przeglądając parę książek: jeszcze jeden cudzoziemski Brytyjczyk, kolejny przyszywany Anglik i następny z przydomkami, nie tylko z powszechnie znanym „Coeur de Lion”, także z przydomkiem „Yea and Nay” będącym starą formą „Tak i Nie”, dużo bardziej zapomnianym, co zrozumiałe, przecież Ryszard Tak i Nie brzmi raczej komicznie, chociaż naprawdę tak go zwano, bo nieoczekiwanie i bezustannie zmieniał zdanie i plany, nawet w trakcie bitwy (musiał doprowadzać do rozpaczony ten zaciekły król). Te kulturalne wycieczki w wykonaniu Tupry przyjąłem z nieuchronnym zdumieniem, nie miał zwyczaju nawiązywać do historii ani do literatury w codziennych rozmowach, może dlatego, że w pracy nie było po temu powodu: rozmawialiśmy o innych ludziach, niemal wszyscy żyli i nikt nie był postacią fikcyjną, jakkolwiek większości nie znałem. Może z powodów zawodowych miał dużą wiedzę na temat historii uzbrojenia. Albo ta wiedza wynikała z jego studiów w Oksfordzie, koniec końców był przecież uczniem Toby’ego Rylandsa, wybitnego emerytowanego profesora języka i literatury angielskiej, i odebrał staranniejsze wykształcenie, niż się zdawało. Zawsze jednak zadawałem sobie pytanie, czy Rylands nie sprawował nad nim raczej opieki w grupie bez nazwy, która zapewniała szkolenie praktyczne, niż na sławnym uniwersytecie, z którym wszyscy byliśmy związani. Nawet ja przez dwa odległe w czasie lata, po których



prawie nie został ślad, jak z pewnością przewidziałem wówczas, gdy jeszcze tam mieszkałem, świadom, że jestem tylko przejazdem i że ślad po mnie nie przetrwa. Teraz, w tym innym czasie w Londynie, myślałem niekiedy tak samo, tylko bardziej, mimo że nie miałem jasności, czy wrócę albo dokąd się udam, jeśli wyjadę: „Kiedy stąd wyjadę, kiedy wrócę do Hiszpanii, moje życie podczas tych rzeczywistych dni – a niektóre mijają tak powoli – stanie się życiem «Tak i Nie» albo snem bez znaczenia, nic nie będzie miało znaczenia, ani najpoważniejsze zdarzenia, ani ta pokusa i uczucie paniki, ani uczucia odrazy lub zażenowania, jakie sam powoduję, ani uczucie, że coś leży ołowiem na mej duszy. Do tego czasu pożegnania się już z tymi dniami, możliwe, że w sposób przypominający pożegnanie napisane przez Cervantesa, które chciałem przypomnieć Wheelerowi w jego ogrodzie nad rzeką, ale w końcu się nie ośmieliłem. Może będzie trochę mniej radosne, lecz na pewno z poczuciem większej ulgi. Na przykład: «Żegnaj śmiechu i żegnajcie zniewagi. Więcej was nie ujrzę ani wy nie ujrzycie mnie. I żegnaj żarliwości; żegnajcie wspomnienia»”.

Co studiowałeś w Oksfordzie, Bertram? – zadałem mu nagle pytanie, jakkolwiek nie był to prawdopodobnie najlepszy moment, tym bardziej że nadarzyło się wcześniej (a i miało się jeszcze nadarzyć) tyle innych po temu okazji, podczas naszych sesji i dialogów, i przerw na zastanowienie lub doprecyzowanie, i w chwilach bezczynności. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, dlaczego nigdy wcześniej nie zaciekawilo mnie to tak bardzo, zeby zadać pytanie, przecież w Anglii ten temat porusza się jako jeden z pierwszych, aby przełamać lody między nieznanymi, a nawet między kolegami. Tak było w Oksfordzie, ilekroć spotykałem się z kimś z grona profesorskiego poza zwykłą działalnością uniwersytecką lub administracyjną, przy kawie w Senior Common Room w Taylorian Institute, pomiędzy zajęciami albo w przerwach między wykładem i seminarium, a i w trakcie piekielnych kolacji *high tables*, czyli „wysokich stołów” trzydziestu dziewięciu kolegów (nad wyraz dystygowane i trwające w nieskończoność kolacje), kiedy to mogło ci przypaść w udziale siedzenie, nieruchome i wielogodzinne, przy młodym ekonomiście, który potrafił zamęczać człowieka opowieścią o pewnym dziwnym angielskim podatku nałożonym na cydr między 1760 i 1767 rokiem, o którym to podatku napisał właśnie pracę doktorską (to przykład wzięty z życia, z własnego doświadczenia, ten wspaniały oryginał ekonomista nazywał się Halliwell), a wszystko dlatego, że wcześniej uprzejmie skierowałeś do niego to tyleż fatalne, co rozpoczynające rozmowę zdanie: „*What is your field?*”, w dosłownym tłumaczeniu: „Jaka jest pana dziedzina?”, a tak naprawdę: „W czym się pan specjalizuje?” albo: „Czym się pan zajmuje?”, a w tamtej sytuacji mogło też oznaczać: „Czego pan uczy?”. Żadna z tych

wersji nie była jednak odpowiednia, by przerywać Tuprze w środku jego wykład na temat miecza.

Tak, skoro wciąż jeszcze pamiętam Halliwella, otyłego, z czerwonawą cerą i wojskowym, ale rzadkim wąsikiem, jak mógłbym nie pamiętać wszystkich innych z tamtego okresu: podróżującego w czasie starego portiera Willa o jasnych czystych oczach i Aleca Dewara, Rzeźnika, Rozpruwacza, Inkwizytora albo Młotka – The Butcher, The Ripper, The Inquisitor albo The Hammer – bezinteresownego dickensowskiego nauczyciela ukrytego za fasadą szorstkości i niesprawiedliwych przezwisk; zapijaczanego lorda Rymera spotkanego teraz ponownie i noszącego sprawiedliwe w jego przypadku przezwisko – The Flask, Flacha; plotkarskiego sławisty Rooka, człowieka z wielką głową i wątłym ciałem – krótko mówiąc, jajogłowego – który twierdził, że jest zaprzyjaźniony z Nabokovem i od stu lat bez widocznych rezultatów ślęczał nad przetłumaczeniem „Anny Kareniny” tak, jak powinna być przetłumaczona; i państwa Alabastrów, którzy zazwyczaj szpiegowali mnie z zapartym tchem poprzez system telewizji przemysłowej zainstalowany w swoim antykwariacie, kiedy schodziłem do suteryny, żeby powęszyć wśród kurzu; i szefa mojego zakładu, Aidana Kavanagha, którego widziałem kiedyś w kamizelce, podobnie jak mego obecnego szefa, Tuprę, widuję w niej zawsze, tyle że Kavanagh nie miał pod spodem koszuli albo miał jakąś dziwną, bez rękawów; grubej dziewczyny zwanej Muriel – tak naprawdę nie była gruba – z którą spędziłem noc, tylko jedną, i która powiedziała mi, że mieszka między rzekami Evenlode i Windrush, w miejscu niegdysiejszego lasu Wychwood Forest; cygańskiej kwiaciarki Jane w wysokich butach, Alana Marriotta i jego potulnego trójnogiego psa, który to pies przyszedł do mnie pewnego ranka ze swym panem, podobnie jak wiele lat później, głęboką nocą, biały pointer Pérez Nuix ze swoją panią; mego najlepszego przyjaciela Cromera-Blake’a, który służył mi za

przewodnika po mieście i czasami był mi matką i ojcem, na przemian zdrowego i chorego w czasie mego pobytu, zmarłego cztery miesiące po moim wyjeździe (nadal mam jego dzienniki); i wielki autorytet Toby'ego Rylandsa tak bardzo podobnego do Wheelera, ale jak wówczas sądziłem, bez więzów pokrewieństwa, człowieka, który mógł mnie w to wszystko wpakować poprzez sporządzony wówczas raport, zachowany na wszelki wypadek w archiwum; młodej kobiety o poruszających się rytmicznie stopach, z doskonale uformowanymi kostkami i w dobrych butach, z którą nie ośmieliłem się rozmawiać z takim wzruszeniem, jakie czułem w jej obecności, podczas nocnej jazdy pociągiem ze stacji Didcot; i Clary Bayes, mojej kochanki. Wszyscy ci ludzie zaistnieli w moim życiu wcześniej niż Luisa, którą poznałem dopiero po powrocie. Możliwe, że nie zostawiłem po sobie śladu w Oksfordzie, ale ślad tamtych dni pozostał we mnie. Jak pewnie zostanie ślad po tym okresie mojej londyńskiej samotności, choćby czas ten pewnego dnia zaczął mi się wydawać nigdy nie przeżytym naprawdę marzeniem, pozbawionym następstw, i co dzień rano będę powtarzał trochę zmieniony wers Milтона: „Ja się drżący przebudzam, ten czas znika, znika / i mój dzień mi przywraca jaśniejące słońce”.

Nie, nie było wcale pewne, że to, co działo się teraz, nie liczyło się, kiedy pracowałem w obcym kraju i w budynku bez nazwy dla nie wiadomo kogo – albo wiadomo tylko czasami, jak wyjaśniła mi młoda Pérez Nuix u mnie w domu. W tym samym czasie, gdy w samochodzie zadałem Tuprze pytanie o jego studia w Oksfordzie, spojrzałem w górę, ku memu oświetlonemu oknu, ku mieszkaniu, w którym bardzo już chciałem się znaleźć: okno wyglądało pewnie tak samo, kiedy ona wahała się na ulicy, czy nacisnąć mój dzwonek czy nie, a i potem, kiedy znalazła się już w środku tamtej deszczowej nocy, gdy uporczywie, ulewnie i bez ustanku padało, i prowadziła ze mną rozmowę, a nawet robiła mi wykład i i prosiła o tę kłopotliwą przysługę, którą ostatecznie wyświadczyłem jej po kilku

dniach i która teraz sprawiała, że czułem się cichym dłużnikiem Tupry – a może to był sekretny, dręczący dług – i to mnie jakoś hamowało w moim rozdrażnieniu lub niemal złości, nadal nie mogłem się pogodzić z tym, co Reresby zrobił i czego nie zrobił – a ja myślałem, że zrobi – w tamtej błyszczącej toalecie dla kalek, by użyć jego określenia, gdzie mógł być, kto wie, zostawić kolejną kalekę, a omal w mojej obecności nie zostawił trupa mężczyzny ściętego na moich oczach.

– Wybrałem historię średniowieczną na wydziale historii nowożytnej – odpowiedział mi znanym wyrażeniem: „*I read medieval history*”. – Ale nigdy się nią nie zajmowałem, to znaczy zawodowo. Dlaczego pytasz?

Starczyło mi czasu, żeby pomyśleć, aczkolwiek nie w tak klarownej formie, jak ta poniżej: „Jaka szkoda, że wcześniej nie wiedziałem. Zamiast masakrować De la Garzę, mógł być znaleźć z nim wspólny język, nawet się z nim zakolegować jako wielkim znawcą szykownej średniowiecznej literatury fantastycznej. Przynajmniej miałyby dla niego więcej litości”. Zamiast tego powiedziałem:

– Ach tak, więc ten miecz to sprawa nostalgii. Młodzieńcze fantazje, jak mniemam.

Moja ironia nie przypadła mu w zasadzie do gustu, skrzywił się i usłyszałem niecierpliwe strzelenie językiem o zęby: pewnie sądził, że z powodu potrójnej wpadki z jego nazwiskiem nie powinienem pozwalać sobie na krytykę ani na żarciki pod jego adresem.

– Możliwe, zawsze lubiłem historię średniowiecza, a także historię wojskowości, którą studiowałem później – odpowiedział ze spokojem, mimo wszystko był człowiekiem, który miał wycucie dowcipu. – Ale nigdy nie lekceważ pomysłów zrodzonych z wyobraźni, wymagają długiego namysłu, refleksji, nauki i znacznej śmiałości. Nie są w zasięgu każdego, są dostępne tylko nam, którzy widzimy i nadal się przyglądamy. – „To wyjątkowy dar, coraz rzadziej spotykany”, wyjaśnił mi Wheeler przy

śniadaniu, „umiejętność przejrzenia ludzi na wylot, wyraźnie i bez skrupułów, bez dobrej, ale i bez złej woli, bez wysiłku”. – Jak ty i ja, jak Patricia i Peter. – I Peter dodał wtedy: „W tym właśnie zdaniem Toby’ego mogłeś być taki jak my, Jacobo, a ja teraz z nim się zgadzam. My obaj tak widzieliśmy. Mieliśmy umiejętność widzenia i oddaliśmy ją w służbę innym. Ja nadal widzę”. Patricia, tak właśnie, po imieniu, nazwał Tupra młodą Pérez Nuix, prawdę mówiąc tak się do niej na ogół zwracał albo zdrobniale Pat, Wheelerowi wymykało się też niekiedy Val, gdy wspominał swoją żonę Valerie, o której przedwczesnej śmierci wolał mi nie opowiadać („Jeśli pozwolisz, jeśli nie masz nic przeciwko temu”, powiedział niemal szeptem, jakby prosił mnie o wyświadczenie przysługi, o pozwolenie na zachowanie milczenia). Gdy Tupra albo pani Berry nazywali mnie Jackiem, to nie było to samo, robili tak dla wygody i dlatego, że było to bliższe fonetycznie memu prawdziwemu imieniu, Jacques, bardziej niż Jacobo albo Jaime, choćby nikt go już nie używał. Potem Tupra podjął i doprowadził do końca swoją wypowiedź: – Ten atawistyczny strach jest tak potężny, Jack, że ktoś żyjący dzisiaj, kto ujrzał uniesiony nad swoją głową albo wycelowany w swoją pierś miecz, w momencie gdy miecz znika z jego pola widzenia, bo wraca do pochwy, czuje tak wielką wdzięczność, że wszystko, co spotyka go od tej chwili, uznaje za dobre i akceptuje to bez oporu; nie tylko nie broniąc się, lecz w dodatku w poczuciu ogromnej ulgi, niemal z wdzięcznością, bo wcześniej zdążył się już pogodzić z pierwszym uderzeniem, uznać się za martwego. Zrobi wszystko, czego od niego zażadasz: zdradzi, zadenuncjuje, wyzna prawdę albo wymyśli jakieś kłamstwo, zniweczy, co sam zrobił, odwoła, co powiedział, wyrzeknie się swoich dzieci, poprosi o wybaczenie, zapłaci za wszystko, za co każe mu się zapłacić, pozwoli, by nim poniewierać, i przyjmie bez szemrania każdą karę. Bez sprzeciwu i bez żadnych targów. Bo, jak powiedziałem, ludzie mogą widzieć dziś w mieczu wyłącznie broń, która zostanie użyta, nie coś,

czym się wymachuje na postrach albo żeby inni stali spokojnie. Do takiego celu wystarczy pistolet, a nawet nóż, nikt nie zada sobie trudu, żeby nosić ze sobą coś tak niewygodnego, nieporęcznego, jeśli nie zamierza tego użyć, tak przynajmniej pomyśli sobie każdy, kto zobaczy miecz wzniesiony nad swoją głową. Dlatego ci Krayowie wzbudzali taki strach, od samego początku, a przecież nie mieli wtedy prawdziwej władzy ani siły i byli nowicjuszami na dorobku: wszędzie pojawiali się z szablami i używali ich. Nie czuli oporów, cięli i siekli ludzi w środku Londynu. Panika narastała i została już na zawsze, ten strach, który prowokowali swoją archaiczną brutalnością wziętą z bardziej barbarzyńskich czasów, stał się legendarny. Przyznaj się, Jack, ty też odetchnąłeś, gdy schowałem miecz. I wszystko, co nastąpiło potem, przyjąłeś z ulgą. Było tak czy nie, Jack? Przyznaj się.

Musiałem mu przyznać rację, ale nie zrobiłem tego na głos. Myśl, że w dodatku by się tym chełpił, była nie do zniesienia.

– A o co chodziło tym razem, Bertram? – zapytałem, zamiast odpowiedzieć. – W końcu przecież nie użyłeś tego przekłętogo miecza, na szczęście tylko nim groziłeś, nie wiem, po co ci to było, wyciąganie miecza i terroryzowanie nas ani cała reszta potem. Nie zauważyłem, żebyś chciał De la Garzę o coś wypytać albo coś z niego wyciągnąć, ani żebyś domagał się od niego przeprosin albo zmuszał go do odkręcenia czegoś, co wcześniej zrobił, ani żeby za coś zapłacił. O co ci chodziło, jeśli można wiedzieć? Chciałeś mnie przestraszyć? To było bezsensowne i niepotrzebne. Było potwornym nadużyciem. Nie musiałeś używać obosiecznego miecza lancknechtów. Nie musiałeś prawie utopić człowieka w klozecie. Ani masakrować go o poręczce. Chyba że chodziło tylko o to, żeby go ukarać, bo wszedł ci w drogę. Ten typ to straszny dupek, zgoda – tym razem nawinęło mi się na język angielskie słowo „asshole” – ale jest niegroźny. Nie można, ot tak, bić ludzi, nie można, ot tak, ich zabijać. I w dodatku wplątywać w to mnie.

Tupra znowu wtargnął ze swoimi loczkami na moją stronę samochodu, tylko na chwilę, żeby jeszcze raz spojrzeć przez szybę tam, gdzie ja wcześniej znowu spojrzałem, prawdopodobnie chciał się upewnić, że w moim oświetlonym oknie nie pojawiła się nagle jakaś kobieca sylwetka.

– Nie robię tego – powiedział. – Widzę, że znasz się na białej broni. Tak, to miecz lancknechtów, tak zwany katzbalger, autentyczny – dodał z pedanterią i nutą dumy. – Ale ty mi z kolei powiedz: dlaczego nie można?

Zbił mnie z tropu do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, do czego pije, mimo że sam przed chwilą powiedziałem, czego nie można.

– Dlaczego nie można czego?

– Dlaczego nie można bić i zabijać. Tak powiedziałeś.

– Jak to dlaczego? O co ci chodzi?

Moja konsternacja rosła, niekiedy nie można znaleźć odpowiedzi na najbardziej oczywiste pytania. Uznajemy je za pewnik, bo są takie oczywiste, że przestajemy o nich myśleć, a tym bardziej podawać je w wątpliwość, i tak mijają całe dziesięciolecia, a my nie poświęcamy tym kwestiom ani jednej myśli, nawet najbardziej lichej i niezbornej. Dlaczego moim zdaniem nie można, ot tak, zabijać, to było to idiotyczne pytanie, które zadał mi Tupra. A ja nie miałem odpowiedzi na to idiotyczne pytanie, a raczej miałem tylko odpowiedzi głupie i infantylne, odziedziczone w spadku i nigdy nie przemyślane: dlatego, że to nie w porządku, że to niemoralne, bo prawo tego zabrania, bo można za to iść do więzienia, a gdzie indziej na szafot, bo nie można robić innym tego, co nam niemiłe, bo to zbrodnia, bo to grzech, bo to złe. Byłem pewien, że pyta mnie o coś, co wykracza poza to wszystko. Nie odpowiedział mi od razu. Spozrzegł, że nie wiem, co powiedzieć, przynajmniej nie natychmiast. Wyjął kolejnego ramesesa II, tym razem znowu mnie nie częstując, dwa, jeden po drugim, musiały mu się wydać rozrzutnością, włożył papierosa do ust, jeszcze nie zapalił, przekręcił natomiast kluczyk i uruchomił silnik. Ani przez sekundę



nie sądziłem, że chce poprosić, żebym wysiadł, pożegnać się w końcu i odjechać. On też nie pozwalał wymknąć się zdobyczy, ani dialektycznej, ani żadnej innej.

– Mam nadzieję, że naprawdę nikt na ciebie nie czeka na górze, mam taką nadzieję dla jej dobra – odezwał się i uniósł palec wskazujący ku sufitowi samochodu, a potem zerknął na zegarek; ja w lustrzanym odruchu też spojrzałem na swój: nie, mimo wszystko nie było bardzo późno, nawet jak na Londyn, a noc... każda noc w Madrycie byłaby dopiero na półmetku, balowanie w swoim apogeum – bo nie nadszedł jeszcze czas, żebyś do niej wrócił. Nie jest bardzo późno mimo wszystko, a jutro, jeśli chcesz, możesz nie przychodzić do pracy. Trzeba, żebyśmy jeszcze trochę porozmawiali, widzę, że bardzo to sobie wzięłeś do serca, za bardzo, wytłumaczę ci, dlaczego jednak musiałem. Pojedziemy na chwilę do mnie, nie zajmie nam to więcej niż godzinę, półtorej. Chcę ci pokazać kilka nagrań wideo, które trzymam w domu, nie w biurze, nie są przeznaczone dla każdego. Opowiem ci też parę historii, jedną istotnie z czasów średniowiecza. Opowiem ci na przykład o Konstantynopolu. I może coś o Tangerze z nie tak odległej przeszłości, aczkolwiek sprzed kilku stuleci. A w czasie drogi zastanów się bardziej nad tym, co powiedziałaś, żeby mi wytłumaczyć, dlaczego nie można bić ludzi ani ich zabijać.

Siedziałem w milczeniu, odkąd nie udało mi się znaleźć odpowiedzi na jego idiotyczne pytanie. A może wcale nie było takie idiotyczne i nie istniała łatwa odpowiedź. Nie wydawało mi się, bym mógł odmówić. Poza tym to byłoby bez sensu po wszystkim, co już mieliśmy za sobą tej nocy.

– Wiem, co się wydarzyło w Konstantynopolu w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku – powiedziałem, żeby coś powiedzieć. Wiele lat wcześniej, nim jeszcze przyjechałem do Oksfordu, przeczytałem wspaniałą książkę sir Stevena Runcimana, który nie był z Oksfordu, lecz z Cambridge: „The Fall of Constantinople 1453” o upadku

Konstantynopola. Wcale nie było prawdą, że nadal wiedziałem, co się wydarzyło, nie pamiętałem tego, człowiek czyta, dowiaduje się czegoś, a potem zapomina, jeżeli nie kontynuuje czytania, jeżeli nie kontynuuje myślenia.

– Rozumiem – odparł Tupra, a raczej powiedział: „*I see*” – ale opowiem ci również, co zdarzyło się trochę wcześniej.

Ruszył, okrążył plac, żeby wyjechać z niego w kierunku na północ. Nie wiedziałem, gdzie mieszka. Może w Hampstead, pomyślałem. Odwróciłem się i jeszcze raz popatrzyłem na światło w moich oknach i w oknach ufnego tancerza. Tupra uchwycił kątem oka oba te spojrzenia. Wszystko wciąż było oświetlone, wielkie taneczne okna, moje ciche okno. To moje miało pozostać ciche i będzie ciche, dopóki nie wrócę, z Tuprą nigdy się nie zna godziny powrotu. I jakkolwiek on by się upierał, w domu na szczęście nie było nikogo, nie czekał na mnie nikt, kto mógłby zgasić jakieś światło w trakcie mej nieobecności. Nikt nie miał moich kluczy i nikt na mnie nigdy nie czekał.

*Dla Carmen López M., która była tak miła,  
że wysłuchiwała mnie cierpliwie aż do końca.*

*I memu przyjacielowi, sir Peterowi Russellowi,  
oraz memu ojcu, Juliánowi Maríasowi,  
którzy szczerze użyli mi znacznej części swego życia,  
in memoriam*

**V**  
**Trucizna**

Wprawdzie nie jest to naszym pragnieniem, ale zawsze wolimy, żeby śmierć spotkała tego innego obok nas w trakcie wykonywania jakiejś misji albo na polu bitwy, w lotniczym rajdzie albo wskutek bombardowania, albo w okopie, gdy były jeszcze okopy, albo w ulicznym napadzie lub podczas włamania do sklepu albo porwania turystów, w trzęsieniu ziemi, eksplozji, zamachu, w pożarze, wszystko jedno, czy jest to przyjaciel, brat, ojciec, a nawet nasze dziecko. A także ukochana, tak, ona również, byle nie my. Wszystkie sytuacje, w których ktoś kogoś osłania własnym ciałem albo staje na linii strzału lub ciosu noża, należą do nadzwyczajnych wyjątków, dlatego się o nich mówi, w dodatku w większości są zmyślane, zdarzają się w powieściach i w filmach. Te nieliczne prawdziwe przypadki to bezwiedne odruchy albo zachowania podyktowane resztką poczucia przyzwoitości, reakcją dziś coraz rzadszą; ciągle są ludzie, którzy nie potrafią znieść, że ich dziecko albo ukochana osoba odchodzi z tego świata, pomyślą sobie w ostatniej chwili, że oni nie zapobiegli ich śmierci, nie poświęcili się, nie oddali za nich swego życia, jakby im w głowie tkwiła zakodowana jakaś hierarchia życia, powoli coraz bardziej staroświecka i zanikająca: dzieci bardziej niż kobiety zasługują na to, by żyć, kobiety bardziej niż mężczyźni, a ci z kolei bardziej niż starcy, jakoś tak, tak to było dawniej i ta staromodna rycerskość trwa wśród topniejącej zbiorowości ludzi nadal wierzących w przyzwoitość, co jak się dobrze przyjrzeć, jest dość absurdalne, bo na dobrą sprawę jakie ma znaczenie ostatnia myśl, żal lub rozczarowanie żywione przez kogoś, kto w chwilę później jest już martwy, niezdolny do tego, by coś znowu pomyśleć, przeżyć kolejne rozczarowanie czy żal? To prawda, są jeszcze nieliczni, którzy żywią takie głęboko

utrwalone przekonanie i którym na tym zależy, w gruncie rzeczy działają tak przez wzgląd na tego, kogo ratują jako świadka, chcą dobrze wypaść w jej albo w jego oczach i zaskarbić sobie wieczny podziw i wdzięczność; w tym decydującym momencie nie mają świadomości, albo nie mają jej w pełni, że nigdy nie nacieszą się tym podziwem ani tą wdzięcznością, bo w chwilę później sami będą już martwi.

Podczas gdy on mówił, mnie przyszło na myśl trudne do zrozumienia, a może nawet całkowicie nieprzetłumaczalne wyrażenie, którego nie wypowiedziałem od razu na głos właśnie dlatego, że wyjaśnienie go Tuprze zabrałoby mi dobrą chwilę. My nazywamy to niesławą toreadora, pomyślałem sobie, i zaraz potem: Wiadomo, toreadorzy mają całe mnóstwo świadków, pełne trybuny plus czasem miliony widzów, łatwiej zrozumieć, że mówią sobie: „Prędzej wyniosą mnie stąd z rozszarpaną tętnicą udową, prędzej wyniosą stąd mojego trupa, niż stchórzę na oczach tylu ludzi, by zawsze opowiadali o tym bez końca”. Ci toreadorzy boją się jak ognia horroru narracyjnego, tego ostatniego fałszywego kroku, który ich naznaczy, dla nich naprawdę liczy się to, jak skończą, podobnie jak dla Dicka Dearlove’a i dla każdej, jak sądzę, znanej osoby, której życie śledzą wszyscy na każdym jego etapie lub każdy jego rozdział aż do finalnego rozwiązania, ono bowiem ostatecznie całą tę historię określa albo nadaje jej niesprawiedliwe i nieprawdziwe znaczenie. Potem nie wytrzymałem i powiedziałem to głośno, przerywając na krótko Tuprze. Był to jednak przyczynek do tego, co mówił, i w jakimś sensie sposób na zamarkowanie rozmowy:

– Po hiszpańsku nazywamy to *vergüenza torera*. – Powiedziałem te dwa słowa po hiszpańsku, po czym je przetłumaczyłem: – *Bullfighter’s shame* w dosłownym znaczeniu albo *sense of shame*. Kiedy indziej ci wytłumaczę, na czym to polega, bo nie macie tu toreadorów. – Ale wtedy wcale nie

byłem pewien, czy będzie jakieś kiedy indziej. Jakiś dzień dłużej u jego boku, choćby jeden.

– Dobrze, tylko nie zapomnij. Istotnie, nie mamy tu toreadorów. – Tuprę zawsze bardzo ciekawiły idiomy mojego języka, które od czasu do czasu mu objaśniałem, gdy akurat miały coś do rzeczy albo były szczególnie niezwykle. Teraz jednak to on mi coś wyjaśniał (wiedziałem już, dokąd zmierza, zarówno on, jak i ta obrana przez niego droga wzbudzały moje zaciekawienie, chociaż przewidywałem, że w końcu ogarnie mnie uczucie odrazy), podjął więc na nowo: – Od czegoś takiego do przyzwolenia na czyjąś śmierć, byle tylko samemu się uratować, jest tylko krok, tylko krok do zabiegania o to, by to ten inny umarł zamiast nas, a nawet do tego, by spowodować tę śmierć (sam wiesz, albo on, albo ja), kolejny maleńki krok, i oba te kroki stawia się z łatwością, przede wszystkim ten pierwszy, niemal każdy go stawia w sytuacji ekstremalnej. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że gdy wybucha pożar w teatrze albo dyskotecce, to więcej ludzi jest stratowanych niż spalonych lub zaczadzonych, gdy statek idzie na dno, są tacy, którzy spuszczają szalupę na wodę, nie czekając, aż zapełni się ludźmi, byle tylko im udało się w niej znaleźć bez dodatkowego balastu, albo dlaczego istnieje wyrażenie „Ratuj się kto może” ilustrujące brak jakiegokolwiek względu na innych i przywracające prawo dżungli, które wszyscy jakoś w sposób naturalny i bez chwili namysłu akceptujemy, choćbyśmy wcześniej przeżyli pół życia, wyrzekając się takiego rozumowania i mając swoje odruchy pod kontrolą? Prawda jest taka, że zadajemy sobie gwałt, by tego prawa nie stosować i nie czynić go normą bez względu na okoliczności, a przecież i tak stosujemy je dużo częściej, niż jesteśmy gotowi przyznać, tyle że ukradkiem, maskując to cienką warstwą cywilizowanych manier albo ukrywając pod płaszczykiem innych, bardziej szacownych praw i regulacji, wolniej, nie wprost i rozkładając to na etapy, wszystko jest bardziej pracochłonne, ale w gruncie rzeczy właśnie

prawo dżungli rządzi, ono dzierży władzę. Tak jest, sam się zastanów. W stosunkach między ludźmi i między narodami.

Tupra użył angielskiego odpowiednika zwrotu „Ratuj się kto może” w którym kryje się jeszcze większa bezwzględność: *Every man for himself*, czyli „każdy sobie” albo „każdy sobie rzepekę skrobie”: niech każdy ratuje własną skórę i myśli wyłącznie o sobie, inni zaś, ci słabsi, powolniejsi, bardziej naiwni i głupsi (także poczuwający się do opieki nad innymi, jak mój syn Guillermo), niech przepadną. Wtedy można bezkarnie pozwolić sobie na popychanie i tratowanie innych, na torowanie sobie drogi kopniakami albo na rozłupanie głowy wiosłem biedakowi, który czepia się naszej łodzi, gdy ona już zsuwa się na wodę z nami i z resztą naszych w środku i dla nikogo więcej nie ma miejsca, wcale nie chcemy dzielić się nim z innymi i ryzykować, że łódź się wywróci. Sytuacje mogą być różne, lecz ten władczy głos mówi to, co inne głosy nakazujące strzelać, mordować do woli i rzucać się do bezładnego odwrotu, masowej ucieczki; głos, który każe strzelać na pewniaka, z bliska i w kogo popadnie, do każdego, kogo się zobaczy i wytropi, głos, który nakazuje wbić bagnet albo nóż, nie brać jeńców ani nikogo nie pozostawić przy życiu („Bez litości”, tak brzmi rozkaz, albo jeszcze gorzej: „Zlikwidować”) i wreszcie głos, który nakazuje uciekać w popłochu, bez ładu i składu, *pêle-mêle* mówi się po francusku albo *pell-mell* po angielsku, czyli na łeb na szyję, pospiesznie, w rozproszonym szyku; wszyscy żołnierze uciekają w jednym kierunku, gdy nie ma tylu dróg ucieczki, żeby mogli się rozdzielić, każdy kieruje się tylko instynktem przetrwania obojętny na los swoich towarzyszy, oni już się nie liczą, nie są już w istocie towarzyszami, choćbyśmy wszyscy nadal byli w mundurach i czuli w końcu ten sam strach podczas wspólnej ucieczki.



Przyglądałem się Tuprze w świetle lamp i w blasku ognia, ten ostatni nadawał jego cerze bardziej miedziany koloryt niż zwykle, jakby miał w sobie krew amerykańskich Indian – przyszło mi wtedy do głowy, że ma usta Siuksa – nie tyle była koloru piwa, ile raczej whisky. Nie dotarł jeszcze do celu, dopiero rozpoczął swoją drogę i nie będzie zwlekał, na pewno wcześniej czy później znowu mnie zapyta: „Dlaczego nie można?”, „Dlaczego, jak powiedziałaś, nie można bić ludzi ani ich zabijać?”. A ja nadal nie miałem na to dobrej odpowiedzi, takiej nadającej się dla niego, nadal musiałem zastanawiać się nad czymś, nad czym nigdy się nie zastanawiamy, bo przyjmujemy to za oczywiste, czyli niezmiennie i znane, i pewne. Odpowiedzi chodzące mi po głowie nadawały się dla większości ludzi, każdy mógłby ich udzielić, ale nie nadawały się dla Reresby’ego, wciąż jeszcze mógł być Reresbym albo zawsze nim był i zawsze był wszystkimi naraz, Urem i Dundasem, i Reresbym, i Tuprą, i kto wie iloma jeszcze osobami w swoim burzliwym życiu w tylu różnych miejscach, choć teraz to życie wydawało się ustabilizowane. Z pewnością jego imię jest Legion i nie pamięta ich wszystkich od pierwszego do ostatniego, ludzie, którzy gromadzą tyle doświadczeń, zapominają zazwyczaj, co kiedy zrobili. Nie ma w nich nawet śladu tych, kim byli wtedy, tak jakby nigdy tacy nie byli.

– Są też ludzie, którzy w takich sytuacjach przychodzą z pomocą – wspomniałem niezobowiązująco. – Są tacy, którzy pomagają drugiemu wejść do łodzi albo uratują innego z pożaru, narażając własne życie. Nie każdy ucieka w popłochu, byle tylko ocalić własną skórę. Nie wszyscy zostawiają nieznajomych na łasce losu.

I moje spojrzenie zastygło na płonących szczapach. Kiedy przyjechaliśmy, w kominku tlił się jeszcze żar z poprzedniego ognia i Tupra z łatwością go rozniecił, zauważyłem, że ogrzewanie jest słabe, na pewno rozmyślnie albo dla oszczędności, wielu Anglików w ten sposób ogranicza wydatki, nawet ci nadziani. A zatem Tupra miał służbę lub nie mieszkał zupełnie samotnie w swoim dwupiętrowym domu znajdującym się istotnie w Hampstead, dzielnica była niemal luksusowa, a co najmniej zamożna, może zarabiał dużo więcej, niż sądziłem (co nie znaczy, że wcześniej jakoś specjalnie się nad tym zastanawiałem), był przecież tylko urzędnikiem, chociaż bardzo wysokiego szczebla, powątpiewałem zresztą, czy to wysoki szczebel. Może zatem dom nie należał do niego, lecz do Beryl i zawdzięczał go swemu nie rozwiązanemu jeszcze małżeństwu, a może pierwszemu małżeństwu i zyskownemu rozwodowi. Wheeler napomknął mi swego czasu, że Tupra był dwukrotnie żonaty i że Beryl zamierzała do niego wrócić, bo odkąd przeprowadzili separację, jej sytuacja wcale się nie poprawiła. Albo Tupra, oprócz znanej mi profesji, miał też inne źródła dochodów, może premie uzyskiwane w pracy („częste miłe niespodzianki, świadczenia w naturze”, wedle słów Petera) znacznie przekraczały moje wyobrażenia. Nie chciało mi się wierzyć, żeby odziedziczył taki dom po pierwszym brytyjskim Tuprze, a nawet po drugim z kolei, pierwszy albo drugi musiał być imigrantem z jakiegoś niskiego rangą kraju. Choć kto wie, może dziadek lub ojciec zakrzętnęli się energicznie i szybko zbili fortunę, wszystko możliwe, może na brudnych interesach, na lichwie lub na operacjach bankowych, co wychodzi na to samo, takie fortuny pojawiają się nagle, są jak błyskawica, z tą wszakże różnicą, że pozostają i rosną, a może tamci pierwsi Tuprowie wżenili się w duże pieniądze, mało to prawdopodobne, chyba że już oni wiedzieli, jak postępować z kobietami, by nie mogły im się oprzeć, i tę właśnie wiedzę przekazali w spadku swemu potomkowi.

Znajdowaliśmy się w przestronnym salonie, niejedynym w tym domu (z korytarza widziałem inny, a może był to pokój do gry w bilard, stał w nim stół przykryty zielonym suknem), był gustownie umeblowany, z eleganckimi dywanami, z bardzo drogimi regałami (potrafię to ocenić) dźwigającymi drogocenny księgozbiór (to potrafię dostrzec z daleka i na pierwszy rzut oka), na ścianie dostrzegłem jedno niewątpliwe płótno Stubbsa przedstawiające konie, jeden wielkich rozmiarów obraz ze sceną z dawnego eleganckiego kasyna, w Baden-Baden albo w Monte Carlo, prawdopodobnie pędzla Jeana Bérauda, i drugi, skromniejszych rozmiarów, możliwe, że autorstwa De Nittisa (na tym też się znam), scenę rodzajową w parku z końmi czystej krwi w głębi, nie wyglądały mi na reprodukcje. Ktoś tutaj musiał znać się na malarstwie albo ktoś znał się dawniej, jakiś miłośnik wyścigów konnych lub zakładów w ogóle, a mój gospodarz pasjonował się oczywiście wyścigami, był też kibicem piłkarskim, a przynajmniej kibicował Niebieskim z Chelsea. Nie trzeba mieć na koncie milionów funtów ani euro, żeby sprawić sobie takie obrazy, trzeba jednak dysponować nadwyżką pieniędzy, a przynajmniej mieć pewność ich dalszego napływu po każdym ekstrawaganckim wydatku. Swoim klimatem ten dom pasował bardziej do zamożnego dyplomaty albo wybitnego profesora, który nie żyje jedynie z profesorskiej pensji – jednego z tych, którzy swą pracą nie tyle chcą zarabiać na życie, ile na uznanie – niż do pracownika wojska skierowanego do wykonywania pewnych ciemnych i bliżej nieokreślonych zadań cywilnych, trudno było nie pamiętać, że inicjały MI6 i MI5 oznaczają Military Intelligence; i wtedy przyszło mi na myśl, że Tupra może mieć wysoki stopień wojskowy, pułkownika albo majora, a może komandora jak Ian Fleming i jego bohater Bond, szczególnie jeżeli wywodził się z marynarki, z dawnego OID, Operational Intelligence Centre, które wedle Wheelera wydało najlepszych ludzi, albo z NID, *Naval Intelligence Division*, której to pierwsze jest częścią, powoli

zglębiałem i poznawałem organizację i rozkład owych służb, korzystając z książek, które Tupra trzymał u siebie w gabinecie, a ja od czasu do czasu je kartkowałem, gdy zostawałem do późna w budynku bez nazwy bądź gdy przychodziłem wcześniej rano, chcąc przygotować czy uzupełnić jakiś raport, i bywało, że natykałem się wówczas na młodą Pérez Nuix, jak wyciera sobie piersi ręcznikiem, bo spędziła noc w budynku albo tak mi tylko mówiła.

Utkwiłem zmęczony wzrok w rozpalonym przez Reresby'ego ogniu, który niemało przyczyniał się do tego, że salon stawał się miejscem jak z bajki, miejscem zaczarowanym, pamięć podsunęła mi obraz Londynu bardziej gościnnego, w istocie nie tak często spotykanego, chociaż – jak by tu powiedzieć – niezupełnie nieistniejącego, czyli Londynu z domem rodziców Wendy w disneyowskiej wersji „Piotrusia Pana”, ten dom miał kwadratowe szybki w oknach podzielonych drewnianymi listwami polakierowanymi na biało i białe także regały na książki, oprawy kominków i ciche pokoiki na poddaszu, albo ja tak zapamiętałem to miejsce oglądane w ciemności w dzieciństwie, filmy rysunkowe tak bardzo krzepiące, że chciało się w nich zamieszkać na zawsze. Tak, dom Tupry był wygodny i ciepły, takie domy pomagają zapomnieć o wszystkim i odprężyć się, miał w sobie także coś z domu profesora Higginsa, którego w „My Fair Lady” grał Rex Harrison, chociaż tamten znajdował się przy Marylebone, a dom Wendy chyba w Bloomsbury, Tupra zaś mieszkał w Hampstead, bardziej na północy. Możliwe, że potrzebował takiego spokojnego, kojącego miejsca jako zadośćuczynienia i żeby odgrodzić się od własnych działań, nakładających się jedno na drugie, ciemnych, a nawet gwałtownych, może jego cudzoziemskie pochodzenie niskiego stanu albo z Bethnal Green czy innej przygnębiającej dzielnicy kazało mu zapragnąć otoczenia tak radykalnie odmiennego od brudu i nędzy, o których tyle się czyta w powieściach dla dzieci, jeżeli ich autorem jest Barrie, i dla

dorosłych, jeśli wyszły spod pióra Dickensa, z całą pewnością widział film na podstawie książki tego pierwszego, dramatopisarza, bo widziały go wszystkie dzieci w naszych czasach w każdym kraju naszego świata, ja go widziałem dziesiątki razy w kraju mego dzieciństwa.

Sięgnął po jeden ze swoich egipskich papierosów i poczęstował mnie, był teraz gospodarzem i bądź co bądź o tym pamiętał, zaproponował mi również kieliszek alkoholu, ale na razie odmówiłem, on nalał sobie porto nie ze zwykłej butelki, lecz z takiej z medalionem zawieszonym na szyjce, podobnej do butelek, jakie zgodnie z ruchem wskazówek zegara z gracją podawali sobie biesiadnicy (nigdy tych butelek nie brakło, zawsze było kilka) przy kolacjach *high tables* w porze deserów, w dawnych oksfordzkich czasach bywałem zapraszany przez kolegów na takie kolacje, może jego oksfordzcy koledzy wciąż jeszcze przysyłali mu flaszki wyśmienitego porto wytwarzanego na własne potrzeby, w sklepie się takiego nie uświadczy. Nie śledziłem, ile Tupra pił owego ciągnącego się w nieskończoność wieczoru, który jeszcze nie dobiegł końca, ale przypuszczałem, że nie mniej niż ja, a ja już nie miałem ochoty albo siły wypić ani kropli więcej, wydawało się, że alkohol na niego nie działa lub nie sposób było to zauważyć. Nie z nadmiernej ilości wypitego alkoholu wzięło się jego wcześniejsze sterroryzowanie, sponiewieranie albo pobicie De la Garzy, działał wtedy precyzyjnie i metodycznie. Ale kto wie, może istotnie skutkiem nadmiaru alkoholu była decyzja o zademonstrowaniu De la Garzy rozmaitych wariantów jego śmierci, a potem pozostawienie przy życiu nas obu, De la Garzy i mnie, żebyśmy na zawsze je sobie zapamiętali, rzadko kiedy postanowienie zrobienia czegoś i dokonanie tego zbiegają się w czasie, nawet jeżeli następują natychmiast po sobie i sprawiają wrażenie równoczesnych, może postanowił tak zrobić, gdy umysł miał jeszcze zmacony alkoholem, był w amoku, później w głowie mu się rozjaśniło i uspokoił się w trakcie tych kilku minut, kiedy to ja czekałem na niego

z naszą niczego nie podejrzewającą ofiarą w toalecie dla kalek, zwabiłem tam De la Garzę kłamstwem i fałszywą obietnicą, że dostanie działkę koki, jakkolwiek sam też wówczas nie wiedziałem, po co go zabieram, znaczy ofiarę, tam gdzie Tupra mi każe, i że ta obietnica jest tylko pretekstem. Powinienem być na to wpaść, powinienem był to przewidzieć. Powinienem był odmówić. Przygotowałem delikwenta Tuprze, podałem mu go na tacy, sam miałem w tym wszystkim udział. Teraz chciałem zapytać go z czystej ciekawości: „Czy to, co dałeś wtedy temu nieszczęśnikowi, to naprawdę była koka?”. Ale jak to bywa po długich chwilach ciszy, obaj zaczęliśmy mówić równocześnie, on o ułamek sekundy wcześniej, odpowiadając na moje uprzednie słowa:

– Och tak. Oczywiście – mruknął Reresby jakby z rozleniwieniem. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto samemu sobie przygląda się na scenie, kto jakby widział siebie w trwającym ciągle przedstawieniu. Kto uważa, że będą świadkowie, którzy opowiedzą o jego szlachetnej albo nikczemnej śmierci, i że to właśnie najbardziej się liczy. Albo kto wyobrazi sobie świadków, gdy ich nie ma: oko Boga, scenę światową, cokolwiek. Kto uważa, że świat istnieje tylko w takim stopniu, w jakim jest zrelacjonowany, a fakty tylko wtedy, gdy zostaną opowiedziane, choćby było mało prawdopodobne, że ktoś zada sobie trud ich opowiedzenia albo opowiedzenia tych konkretnych faktów, to znaczy dotyczących każdego z osobna. Ogromna większość rzeczy tylko się wydarza i nie ma ani nigdy nie było ich rejestru, to, o czym się dowiadujemy, to nieskończenie mała część tego, co się wydarzyło. Życie większości ludzi, nie mówiąc już o śmierci, od swego początku jest zapomniane i nie pozostaje po nim najmniejszy ślad albo popada w zapomnienie po krótkim czasie, po kilku latach, dziesięcioleciach, wieku, to w gruncie rzeczy krótki czas, sam wiesz. Weźmy na przykład bitwy, bardzo ważne dla tych, którzy je wydali, a czasem i dla ich rodaków, nazwy wielu z nich nic nam dzisiaj nie mówią,

dzisiaj nie wiemy nawet, do jakiej przynależały wojny, i nic nas to nie obchodzi. Czy coś dziś mówią nazwy takie, jak Ulundi czy Beer Szewa albo Gravelotte i Rezonville, albo Namur, albo Maiwand, Paardeberg i Mafeking, albo Mohacz, albo Nájera? – Tej ostatniej nazwy nie wymówił we właściwy sposób. – Ale wielu się temu sprzeciwia, nie potrafią pogodzić się z tym, że są nieważni albo niewidzialni, znaczy wtedy, gdy już umrą i staną się przeszłością, gdy już ich nie będzie, żeby stanąć w obronie swego istnienia, żeby krzyknąć: „Hej, jestem tu. Mogę interweniować, mam wpływ, mogę zrobić coś dobrego albo wyrządzić krzywdę, ocalić albo zgubić, a nawet zmienić bieg świata, ponieważ jeszcze nie zniknąłem”. – Wciąż jestem, a więc na pewno byłem, pomyślałem bądź przypomniałem sobie, że pomyślałem tak, wycierając czerwoną plamę na schodach u Wheelera i jej obwódkę, która nie chciała zejść (jeżeli w ogóle była tam plama, wątpiłem w to coraz bardziej), jak bardzo rzeczy i ludzie starają się, byśmy nie mogli powiedzieć: „Nie, tego nie ma, nigdy nie było, nie przemierzyło świata, nie postawiło stopy na ziemi, nie istniało i nigdy się nie zdarzyło”. – Ci wspomniani przez ciebie ludzie – ciągnął Reresby, wzięwszy jakiś dziwny zamach, aby wstać – niewiele się różnią od Dicka Dearlove’a wedle twojej interpretacji jego osoby. Cierpią na strach narracyjny lub horror narracyjny, chyba tak to nazwałeś, jeśli dobrze pamiętam. Boją się, że sposób, w jaki zakończą życie, wszystko splami i zdyskredytuje, jakieś późne albo ostatnie zdarzenie rzuci cień na całe wcześniejsze życie, przysłoni je, unieważni: żeby potem nikt nie powiedział, że nie udzieliłem pomocy, że nie naraziłem się dla innych albo nie poświęciłem dla swoich, rozważają najbardziej absurdalne sytuacje, chociaż nikt nie może ich zobaczyć albo ci, którzy ich widzą, czyli zasadniczo oni sami, zaraz umrą. Żeby nie mówiono, że stchórzyłem, zachowałem się bezdusznie, jak jakieś ścierwo, jak morderca, myślą, czując na sobie światło reflektorów, gdy tymczasem nikt nie kieruje na nich

reflektorów ani nie zamierza o nich mówić, bo są mało ważni. Są anonimowi za życia i będą anonimowi po śmierci. Jakby nigdy nie istnieli. – Umilkł na chwilę, pociągnął łyk porto i dodał: – Ty i ja tacy będziemy, nie zostawimy po sobie śladu, cokolwiek byśmy zrobili, nikt nie zada sobie trudu, żeby o tym opowiadać, a nawet żeby się tego dowiedzieć. Nie wiem jak ty, ale ja nie zaliczam się do tego typu osobników, takich jak Dearlove, nawet jeśli nie są osobami sławnymi, jak on, lecz wprost przeciwnie. To o nich mówiłeś. O takich, którzy cierpią na kompleks K-M wedle naszej terminologii, na jakąś jego odmianę. – Przerwał, spojrzął z ukosa na ogień i dodał: – Ja wiem, że jestem niewidzialny i że tym bardziej będę taki po śmierci, gdy stanę się już tylko minioną materią. Niemą materią.

– K-M? – zapytałem, zbywając milczeniem te ostatnie proroctwa albo przepowiednie. – Co to znaczy? Zabijanie-Mordowanie? – Mówiliśmy po angielsku, w języku obowiązkowym w rozmowach z Tuprą, więc powiedziałem „*Killing-Murdering*”, bo zgadzały się inicjały.

– Nie, chociaż mogłoby, nie przyszło mi to wcześniej do głowy – odparł Tupra, uśmiechając się leciutko w obłoku dymu. – To skrót od Kennedy-Mansfield. Przy tym drugim nazwisku uparł się Mulryan, zawsze go fascynowała aktorka Jayne Mansfield, od dzieciństwa była jego idolką, przekonywał nas, że przetrwa w zbiorowej pamięci, i to nie tylko z powodu swej szczególnej śmierci, pomylił się na całej linii. Rzeczywiście marzył o niej każdy chłopak albo podrostek. I każdy kierowca ciężarówki. Pamiętasz ją? Pewnie nie pamiętasz – ciągnął, nie dając mi czasu na odpowiedź – co tym bardziej dowodzi, że nazwanie tego kompleksu literą M było niewłaściwe i nieuzasadnione, i na wyrost. Ale cóż, tak go nazywamy od dłuższego czasu, przyzwyczailiśmy się, przyjęliśmy to określenie niemal wyłącznie na użytek wewnętrzny. Jakkolwiek, choć trudno w to uwierzyć – poprawił się od razu – używają go też różni wysocy rangą urzędnicy, zarazili się od nas, znalazłem je nawet w jakiejś książce.



– Wydaje mi się, że pamiętam Jayne Mansfield – wtrąciłem, korzystając z malutkiej przerwy.

– Ach tak? – zdumiał się Tupra. – Cóż, jesteś w odpowiednim wieku, ale nie byłem pewien, czy w twoim kraju puszczali takie frywolne filmy. To znaczy w czasach dyktatury.

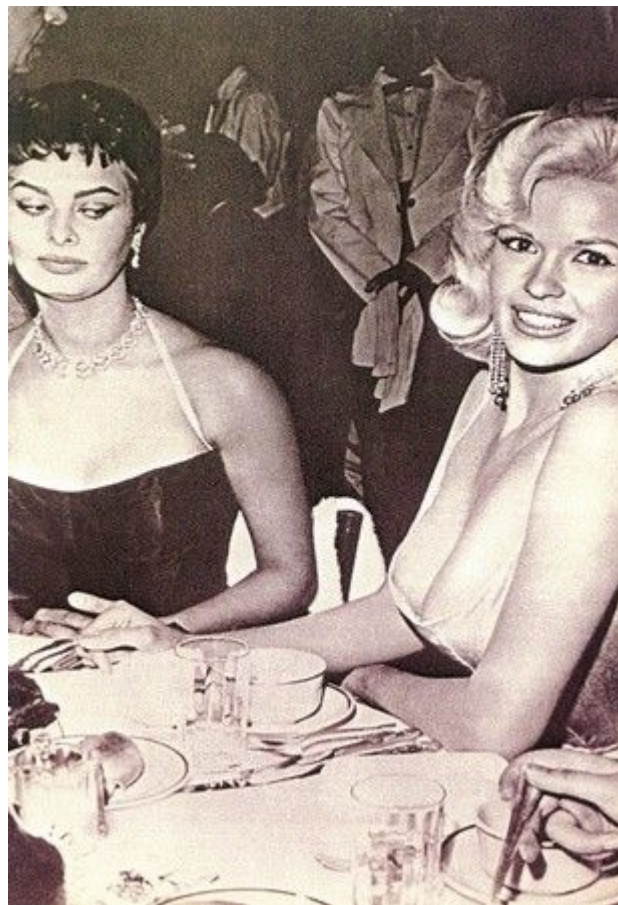
– Tylko od filmów nie byliśmy odcięci. To była jedyna dziedzina. Franco je uwielbiał, w pałacu El Pardo, gdzie mieszkał, miał własną salę kinową. Mogliśmy oglądać niemal wszystkie z wyjątkiem nielicznych, zakazanych stanowczo przez cenzurę (oczywiście nie dla Franco; on, tak samo jak księża, lubił oglądać skandalizujące filmy i dumać nad niegodziwością zewnętrznego świata, przed którą nas ochraniał). Niektóre puszczali w wersji przyciętej albo z dialogami zmienionymi w dubbingu, ale większość wchodziła na ekrany. Tak, zdaje mi się, że przypominam sobie Jayne Mansfield. Nie mam teraz przed oczyma jej twarzy, pamiętam jednak, jak wyglądała w ogólnym zarysie. Platynowa blondynka, zmysłowa, zaokrąglone kształty, mam rację? Grała w komediach w latach pięćdziesiątych, a może sześćdziesiątych. Dosyć cycata.

– Dosyć? Wielkie nieba, wcale jej nie pamiętasz, Jack. Czekał, pokażę ci zabawne zdjęcie, mam je tu, pod ręką. – Znalezienie zdjęcia zajęło tylko chwilę. Tupra wstał, podszedł do regału, poruszył palcami, jakby wstukiwał kombinację otwierającą sejf, i wyjął z półki coś, co wyglądało na opasły tom, a okazało się drewnianą skrzynką, nie metalową, udającą książkę. Położył ją na płask, otworzył i chwilę szperał wśród schowanych tam listów, ciekawe, od kogo były, skoro tak dobrze wiedział, gdzie ich szukać i trzymał je tak pod ręką. W trakcie szukania strząsnął jakby nigdy nic popiół na dywan, stukając palcem wskazującym o ustnik Ramesesa II. Miał w domu służbę, to pewne. Na stałe. W końcu ostrożnie wyjął z koperty pocztówkę, kciukiem i środkowym palcem w charakterze szczypiec, pokazał mi ją z bliska. – Oto i ona. Popatrz. Teraz lepiej ją sobie

przypomnisz, bez cienia niejasności. Ona w jakiś sposób nie daje się zapomnieć, szczególnie jak się ją odkryło w chłopięcym wieku. Można zrozumieć fascynację Mulryana. Nasz przyjaciel musi być bardziej lubieżny, niż na to wygląda. Z pewnością prywatnie. Albo swego czasu taki był – dodał.

Wziąłem czarno-białe zdjęcie tak samo palcami, jak wyjął je Tupra, i rzeczywiście, od razu się roześmiałem, gdy tymczasem Tupra mówił o nim słowami podobnymi do moich myśli. Dwie słynne swego czasu aktorki, po lewej stronie zdjęcia Sofia Loren, a po prawej Jayne Mansfield – jej twarz wynurzyła się z niepamięci, gdy tylko ją ujrzałem – siedzą razem przy stole, jedna obok drugiej, w trakcie kolacji, może przed jej rozpoczęciem albo już przy deserach (trochę zbijają z tropu wielkie filizanki). Włoszka, nigdy przesadnie płaska, a wprost przeciwnie, raczej wybujała – ona też była marzeniem wielu, i to przez długi czas – ma sukienkę z umiarkowanym dekoltem i zerka z ukosa – widać źrenice, nad którymi nie jest w stanie zapanować – jakby z mieszaniną zazdrości, zdumienia i strachu, a może z pełnym niedowierzaniem i niepokojem, na dużo bardziej obfite i bardziej odsłonięte piersi amerykańskiej koleżanki, naprawdę ponętne i przykuwające uwagę (w porównaniu z nimi biust Loren wydaje się skromniutki), tym bardziej w czasach, w których operacyjne ich powiększanie było mało prawdopodobne, a co najmniej nieczęste. Piersi Mansfield, na ile można to ocenić, wyglądają naturalnie, nie są sztywne ani twarde, lecz przyjemnie miękkie, łatwo sobie wyobrazić ich falowanie (Jaka szkoda, że dzisiejszego wieczoru nie trafiły mi się właśnie takie zamiast granitów Flavii, przemknęło mi przez myśl), musiały wywołać poruszenie w owej restauracji, rzymskiej albo amerykańskiej, trudno zgadnąć, kelner widoczny w głębi, między obiema aktorkami, zachowuje godną uznania obojętność, choć widać tylko jego postać, twarz pozostaje w cieniu i można się zastanawiać, czy nie używa swej białej serwetki jak

tarczy lub ekranu. Z lewej strony Mansfield siedzi jakiś mężczyzna, widać jedynie dłoń trzymającą łyżkę, jego oczy musiały zezować w prawą stronę, tak jak oczy Loren zezowały w lewą, z inną zapewne pożądlivością. W odróżnieniu od Loren platynowa blondynka spogląda wprost w obiektyw z serdecznym, trochę sztucznym uśmiechem i jeśli nie bez trosko – dobrze wie, co pokazuje – to z całkowitym spokojem: w Rzymie to o niej się mówi (jeżeli istotnie znajdują się w Rzymie), przyćmiła miejscową gwiazdę, zrobiła z niej świętoszkę. I ja mam wspomnienie z dzieciństwa związane z tą kobietą o ładnych rysach twarzy, z Jayne Mansfield, a łączy się z nim tytuł filmu „Szeryf i blondynka”: wielkie usta i wielkie oczy, cała była wielką pospolitą pięknnością. W każdym razie dla chłopca; dla niejednego dorosłego jak ja także.



Tak mówił Tupra, a i ja tak myślałem podczas jego wyjaśnień. Co chwila wybuchał krótkim śmiechem, bawiło go zdjęcie i ta sytuacja, bo i naprawdę były zabawne.

– Mogę spojrzeć, jaki nosi tytuł? Mogę zerknąć na odwrotną stronę? – zapytałem, nie chciałem patrzeć bez pozwolenia, co napisał na odwrocie ktoś, kto swego czasu mu je przysłał.

– Jasne. Śmiało – odpowiedział z zachęcającym gestem.

Nie było to nic godnego uwagi ani pomysłowego, ani dowcipnego, napis na odwrocie informował jedynie „Loren & Mansfield”, The Ludlow Collection, to w każdym razie dostrzegłem, nie starałem się przeczytać słów nabazgranych flamastrem – dwóch albo trzech zdań podziwu jakiegoś żartownisia – możliwe, że kobiecą ręką, duże raczej okrągłe litery, mój wzrok padł przez sekundę na podpis, zaledwie inicjał: „B”, mógł oznaczać Beryl, a także na słówko „*fear*”, czyli po angielsku „strach”. Kobieta z poczuciem humoru, jeżeli istotnie przysłała mu to kobieta. Właściwie z niecodziennym poczuciem humoru, rzadko spotykanym, ponieważ takie zdjęcie wywołuje rozbawienie wśród mężczyzn, to dlatego roześmiałem się ochoczo na widok bojaźliwego żurawia zapuszczanego przez Sofię Loren, jej obawy i zazdrości wobec zwycięskiego i wzbudzającego popłoch transatlantyckiego dekoltu, śmiałyśmy się z Reresbym unisono, śmiech połączył nas bezinteresownie podobnie jak wtedy u niego w gabinecie, gdy mówiłem o hipotetycznych sabotach pewnego lokalnego tyrana pochodzącego z wyborów, popartego głosami, oraz o jego patriotycznej koszuli w gwiazdy, w której widziałem go w telewizji, i gdy powiedziałem „liki-liki”, komiczne słowo, którego nie można nie powtórzyć, jak się je gdzieś usłyszy albo przeczyta: liki-liki po prostu. Zastanawiałem się wtedy, myśląc o śmiechu, który rozbiera, połączonym śmiechu nas obu, kto w przyszłości zostanie nim rozbrojony: on, ja, a może obaj? Teraz zdałem sobie sprawę, że tym razem rozbrojony zostałem ja.

Ma facet jaja, pomyślałem z irytacją w prymitywnym stylu De la Garzy, dopiął swego: śmieję się beztrosko w jego towarzystwie. A jeszcze przed chwilą byłem na niego wściekły i w zasadzie nadal jestem, tak szybko mi nie przejdzie; chwilę wcześniej byłem świadkiem jego brutalnego zachowania, bałem się, że metodycznie z zimną krwią zabije pewnego nieszczęśnika, że potnie go na plasterki bez istotnej przyczyny, jeśli w ogóle może być jakaś po temu przyczyna; że udusi De la Garzę, posługując się jego własną żalosną siatką na włosy, że go utopi w niebieskiej wodzie; i widziałem z bliska, jak go pobił, a zadając ciosy, ani razu nie użył własnych rąk, mimo że miał na nich groźnie wyglądające rękawiczki. Tupra o tych rękawiczkach nie zapomniał: pierwsze, co zrobił po roznieceniu ognia, to wyjął je z kieszeni płaszcza i cisnął w płomień razem z kawałkami papieru toaletowego, w który były owinięte. Swąd palonej skóry i wełny dało się wreszcie poczuć, ale dominował nad nim zapach palącego się drewna, musiały już znacznie wyschnąć, odkąd wyszliśmy z łazienki dla niepełnosprawnych, „Swąd szybko się ulotni”, powiedział rzucając je niemal machinalnym ruchem, tak jak się odkłada klucze albo monety po powrocie do domu. Trzymał rękawiczki schowane do chwili, kiedy będzie mógł je zniszczyć, nie umknęło to mojej uwadze, w dodatku we własnym domu. Był ostrożny nawet wówczas, gdy nie musiał. A teraz proszę, z całkowitym spokojem pokazuje mi zabawne zdjęcie i wesoło o nim opowiada. (Miecz wciąż jest w płaszczu. Kiedy zamierza go wyjąć? Kiedy go schowa?) I ja jestem spokojny, widząc komizm tej scenki i śmiejąc się razem z nim, o tak, to sympatyczny facet, w pierwszej i w przedostatniej chwili, nic na to nie możemy poradzić, że dobrze się dogadujemy, lubimy się nawzajem. (Nie był taki miły w chwili ostatniej, ale ta na ogół nie następowała, chociaż owego dnia nastąpiła.) Szybko wróciłem myślami wstecz (zawsze coś, chociaż niewiele jak na odzyskane właśnie uczucie złości), żeby uświadomić sobie, dlaczego

pokazał mi tę pocztówkę. Zapomniałem na kilka chwil, co tam robi to zdjęcie, co on i ja tam robimy. To nie była noc do śmiechu, a przecież śmialiśmy się pospołu krótko po jego przemianie w Sir Punishment. Albo w Kawalera Zemstę, może w Sir Revenge. Ale jeśli zmienił się wcześniej w tego ostatniego, to za co się mścił? Zachował się tak skrajnie, tak drastycznie. I dlaczego? Z powodu głupstwa, błahostki.

Zwróciłem mu pocztówkę, stał przy moim fotelu, patrząc mi przez ramię, jak oglądam obie aktorki albo dwa minione symbole seksu – jeden znacznie bardziej miniony niż drugi – dzielając, a raczej obserwując moją nieoczekiwaną wesołość.

– O co chodzi z tą Jayne Mansfield? – spytałem. – Co ona ma wspólnego z Kennedym? Z prezydentem Kennedym, jak rozumiem. Ona też była jego kochanką? Czy to nie o Marilyn Monroe się mówi, że miała z nim romans i jeszcze zaśpiewała mu jakąś zmysłową wersję „Happy Birthday”? Mansfield musiała być jakąś jej podróbką, co?

– O tak, było takich kilka – odparł Tupra, wkładając zdjęcie do koperty, kopertę do pudełka, a pudełko na półkę, wszystko po kolei. – Jedną mieliśmy nawet u siebie, w Anglii, nazywała się Diana Dors. Pewnie jej nie pamiętasz. Była przeznaczona niemal wyłącznie do konsumpcji krajowej. Z wyglądu bardziej zgrzebna, chociaż nie była z niej brzydula ani zła aktorka, miała dość prymitywny wyraz twarzy i zbyt ciemne brwi w stosunku do platynowych blond włosów, nie wiem, dlaczego nie ufarbowała wszystkiego na taki sam kolor. Poznałem ją, gdy była już po czterdziestce; zaglądaliśmy do tych samych lokali w Soho bardzo modnych wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, powoli robiła się z niej matrona, ale zawsze pociągał ją styl życia bohemy, uważała, że ją odmładza, czyni bardziej nowoczesną. Tak, była bardziej zgrzebna niż Mansfield, a też trochę bardziej ponura, nie tak radosna – dodał, jakby przez chwilę to rozważał. – Ale gdyby i ona siedziała przy tym

stole na pocztówce, to nie wiem, kto byłby najbardziej zaskoczony. W młodości Diana Dors miała figurę w kształcie klepsydry. – I wykonał rękami dobrze znany ruch, który dawniej często robili mężczyźni, żeby oddać kobiecie krągłości, myślę, że butelka coca-coli jest imitacją tego ruchu, nie na odwrót. „*She had an hourglass figure*”, powiedział Tupra po angielsku. Dawno już nie widziałem, żeby ktoś kreślił ten kształt w powietrzu, no cóż, gesty, podobnie jak słowa, również wychodzą z użycia, bo niemal zawsze są ich substytutem, dzielą zatem ten sam los: są sposobem na powiedzenie czegoś bez słów, bywa, że czegoś bardzo poważnego, co w przeszłości mogło doprowadzić do pojedynku, a i dzisiaj może sprowokować przemoc i śmierć. Tak więc nawet gdy nic się nie mówi, można nadal mówić i podawać do wiadomości, i opowiadać, prawdziwe przekleństwo; gdybym w obecności Manoi poklepał się ze dwa, trzy razy grzbietem dłoni od spodu w podbródek, on odebrałby to jako włoski gest pogardy lub lekceważenia z mojej strony wobec siebie i dobyłby na mnie swego miecza, zakładając, że on też nosi jakiś przy sobie, w ukryciu, całkiem możliwe, w porównaniu z nim Reresby wydawał się oazą rozsądku i łagodności.

Tak, Tupra zabawiał mnie anegdotami, rozmową – a może była to zwykła gadka szmatka? Nadal byłem wściekły, mimo że chwilami o tym zapomniałem, nadal pragnąłem mu to okazać, zażądać wyjaśnień z powodu jego barbarzyńskiego zachowania, zrobić to jak należy i bardziej serio niż podczas naszego niedoszłego pożegnania na placu przed moim domem, on jednak prowadził mnie od jednej sprawy do kolejnej, nie zatrzymując się dłużej na żadnej, nigdy nie przechodząc do tego, co wcześniej zapowiedział, że usłyszę, wręcz domagał się, żebym tego wysłuchał, powątpiewałem, że kiedykolwiek powie mi coś na temat Konstantynopola albo Tangeru, te właśnie miejsca wspomniał wcześniej, siedząc za kierownicą swego samochodu, wyspecjalizował się w historii

średniowiecznej, kto by przypuszczał, w Oksfordzie i w tej dziedzinie faktycznie mógł być nieformalnym uczniem Toby'ego Rylandsa, który wbrew sobie pozostawał przez pewien czas Tobym Wheelerem w swojej dalekiej i zapomnianej Nowej Zelandii, mógł być także uczniem jego brata Petera. Tupra obiecał pokazać mi także jakieś nagrania wideo przechowywane w domu, nie w biurze, „nie są przeznaczone dla każdego”, powiedział, mnie natomiast chciał je pokazać, co na nich było i dlaczego miałem je obejrzeć? – możliwe, że wolałbym nigdy ich nie oglądać; zawsze mogłem zamknąć oczy, aczkolwiek ilekroć postanawiasz to zrobić, nieuchronnie zamykasz je trochę za późno, za późno, by czegoś nie dostrzec i nie pojąć, jakie straszne rzeczy się dzieją, za późno, żeby nie zrozumieć. Albo kiedy masz oczy mocno zaciśnięte, myślisz sobie, że ten widok lub ta scena już się skończyły, gdy tymczasem wcale tak nie jest – dźwięk jest zwodniczy, a jeszcze bardziej zwodnicza jest cisza – i wtedy otwierasz oczy za wcześnie.



Co się stało z Jayne Mansfield? Co miała wspólnego z Kennedym? – nie dawałem za wygraną. Nie zamierzałem się godzić, by nadal zbaczał z drogi swoimi dygresjami, nie owej przedłużonej na jego żądanie nocy; by przechodził od zasadniczego tematu do pobocznego, a od tego z kolei do nawiasu i od nawiasu do wtrącenia i by – jak czasem czynił – nie powracał już więcej z ciągnących się bez końca bocznych ścieżek, niemal zawsze nadchodził taki moment, kiedy te odgałęzienia traciły kontakt z główną ścieżką, prowadząc ostatecznie w krzaki, na pustynie albo na bagna. Tupra potrafił zabawiać każdego w nieskończoność, wzbudzać zaciekawienie sprawami nieciekawymi i marginalnymi, był jednym z tych rzadkiej klasy osobników, którzy sami są ucieleśnieniem zainteresowania albo potrafią je wywołać... jak by to powiedzieć, przynoszą je ze sobą, ono mieszka w ich ustach. Tacy są najbardziej szczeni, są także najbardziej przekonujący.

Spojrzał na mnie z ironią, wiem, że ustąpił dlatego, że chciał ustąpić, mógłby przecież zamilknąć na dłużej, wytrzymać milczenie tak długo, aż moje dwa pytania rozpląnęłyby się w powietrzu, i tak oto je wykreślić, doprowadzić do tego, że znikną, jakby nikt nigdy ich nie zadał, a zatem, jakby mnie nie było. Ale byłem.

– Nic. To tylko dwoje ludzi naznaczonych przez sposób, w jaki zakończyli życie. Przesadnie naznaczonych, do tego stopnia, że ten koniec ich określa, nadaje im kształt i przez to unieważnia wszystko, co działali wcześniej, choćby dokonali ważnych rzeczy, co akurat nie dotyczy Mansfield. Gdyby ci dwoje wiedzieli, jaki grozi im koniec, mieliby prawo poczuć horror narracyjny, jak się wyraziłeś o Dicku Dearlovie. Zarówno John Kennedy, jak i Jayne Mansfield cierpieliby na własny kompleks, ten nazwany przez nas K-M, gdyby mogli przewidzieć, jak każde z nich umrze,

albo gdyby się takiej śmierci obawiali. Rzecz jasna, takich przypadków byłoby dużo więcej, czy ja wiem, od Jamesa Deana po Abrahama Lincolna, od Keatsa po Jezusa Chrystusa. Z ich życia zapamiętano przede wszystkim jego szokujący, niezwykły, zbyt wczesny albo ekstrawagancki koniec: Dean zginął jako dwudziestoczterolatek w wypadku samochodowym, na początku wielkiej kariery filmowej i kiedy był bożyszczem wszystkich; Lincoln zginął z ręki Johna Wilkesa Bootha bardzo widowiskowo, bo w łożu teatralnej, krótko po zwycięstwie w wojnie secesyjnej i po reelekcji; Keats umarł w Rzymie na gruźlicę w wieku dwudziestu pięciu lat, literatura straciła bezpowrotnie wiele wierszy; Chrystus na krzyżu, wedle standardów swojej epoki jako w pełni dojrzały mężczyzna, co najwyżej trochę powolny w realizacji swego dzieła, ale przecież wciąż młody i przedwcześnie zmarły z punktu widzenia naszych leniwych długowiecznych czasów. Już ci mówiłem, że nazwaliśmy ten kompleks K-M tylko dlatego, że Mulryan się uparł. Każde z tych nazwisk byłoby równie dobre, a i wiele innych, dużo ludzi zawdzięcza największą sławę albo zapomnienie temu, jak bądź kiedy odeszli z tego świata, rzecz by można, gdy nie nadeszła jeszcze ich pora lub niesprawiedliwie. Jakby śmierć znała się na sprawiedliwości albo jakby jej na tym zależało, albo jakby chciała być sprawiedliwa, to przecież absurd. Śmierć co najwyżej jest stronnicza, kapryśna, czyli ustanawia pewien porządek, do którego nie zawsze sama się stosuje, przestrzega go albo odrzuca: bywa, że przychodzi zdecydowana dokonać swego dzieła, zbliża się, przelatuje nad nami, spogląda i nagle postanawia odłożyć to na kiedy indziej. Musi mieć świetną pamięć, żeby pamiętać o każdym żyjącym i żeby nikt jej się nie wymknął. Jej praca nie ma końca, a przecież wykonuje ją od wieków z przykładną skrupulatnością. Cóż za wydajny sługa, nigdy nie próżnuje ani się nie męczy. Ani nie zapomina.

Sposób, w jaki mówił o śmierci, personalizując ją, nasunął mi ponownie myśl, że miał z nią więcej do czynienia, niż miewa się zazwyczaj, że

widział ją wielokrotnie w działaniu, a możliwe, że i sam się w nią wcielał. Tego wieczoru podszedł zdecydowany do De la Garzy, zbliżył się do niego, przefrunął nad nim, wywijając mieczem lancknechta jak helikopter łopatom, co kiedyś tak bardzo przstraszyło Wheelera i mnie w ogrodzie na brzegu rzeki: ostatecznie helikopter tylko potargał nam włosy, a Tupra odciął tylko De la Garzy jego fałszywy koński ogon i zanurzył mu głowę w wodzie, i pobił biedaka, resztę zostawił na kiedy indziej, jakby naprawdę był Sir Death i jakby wszystko działo się w jeden z tych wieczorów, gdy śmierć nie przestrzega ustanowionego przez siebie porządku rzeczy. A może Tupra jako mediewista, chociaż niepraktykujący, przywykł do antropomorficznej wizji śmierci właściwej minionym stuleciom: do zgrzybiałej staruchy z kosą albo do Kawalera Śmierci w pełnej zbroi, z mieczem lub włócznią; ale za czyjego to „wydajnego sługę” uważał śmierć: Boga, Szatana, rodzaju ludzkiego czy życia, które tylko taką metodą toruje sobie drogę?

– Wiem, co się stało, jak skończył prezydent Kennedy, wszyscy to wiedzą – odpowiedziałem mu. – Nie wiem natomiast, co się przytrafiło Jayne Mansfield. Prawdę mówiąc, nic niemal nie wiem o tej wzbudzającej popłoch klepsydrze. – I po tym żartobliwym przywołaniu użytego przez Tuprę słowa dorzuciłem hiszpański komentarz do jego poprzedniej wypowiedzi: – Przypuszczam, że ten kompleks można by też nazwać nazwiskiem Garcii Lorki. Nie byłby tym, kim jest w naszych wspomnieniach, nie pamiętalibyśmy go ani nie czytali tak samo, gdyby nie umarł tak, jak umarł, rozstrzelany i wrzucony do zbiorowej mogiły przez frankistów, nim skończył czterdzieści lat. Mimo że był bez wątpienia dobrym poetą, nie byłby tak opłakiwany ani wychwalany.

– Bez dwóch zdań, to kolejny klarowny przykład śmierci naznaczającej życie, śmierci stale obecnej, która spowija człowieka i pociąga za sobą – odparł Tupra, nie zwracając na mnie większej uwagi; zastanowiłem się, ile

może wiedzieć o okolicznościach śmierci Lorki. – Jayne Mansfield w trakcie swej krótkiej olśniewającej kariery i niezbyt długiego jej schyłku wykorzystwała wszystko, co miała w zasięgu ręki, a na pewno swój biust, żeby przyciągnąć uwagę prasy i zrobić sobie autoreklamę. Gdziekolwiek była, jej drzwi zawsze stały otworem przed reporterami, gdy zatrzymywała się w hotelach także, zapraszała ich do apartamentów hotelowych, a nawet do łazienek; w swojej utrzymanej w stylu hiszpańskim różowej posiadłości na Sunset Boulevard w Beverly Hills, pełnej małych piesków i kotów, uwielbiała się fotografować w prowokacyjnych strojach i szokujących pozach, nic nie było zbyt śmieszne ani nazbyt błahe, wpuszczała każdego, nawet skończonego idiotę i drania z najbardziej szmatławej gazety. Dwa razy pozowała nago dla „Playboya”, wyszła za mąż za muskularnego Węgry, pokazywała z rozkoszą swój basen i swoje łóżko, jedno i drugie w kształcie serca, każdemu prowincjonalnemu pismakowi. Rozwiodła się z siłaczem i z jakimś kolejnym mężem, pojechała do Wietnamu, żeby swoją kokieterią i obcisłymi sweterkami dodawać ducha żołnierzom, a kiedy nie chciano jej już nawet w Las Vegas, jeździła po Europie z tandetnymi występami oraz grała we włoskich filmach o Herkulesie. Zaczęła pić, wszczyniała awantury i ciężko pracowała na kolejne skandale, ale u schyłku kariery przychodziły jej z wielkim trudem, bo nikt się nią szczególnie nie interesował, a poza tym nie była utalentowana. Mówiono, że przystąpiła do Kościoła Szatana, kretynizmu wymyślonego przez niejakiego Antona LaVeya, łysego faceta paradującego z infantylną diaboliczną bródką i sztucznymi rogami na łysej głowie, Najwyższego Kapłana, który opowiadał, że pochodzi rzekomo z Węgry albo z Siedmiogrodu, był nałogowym oszustem i kimś równie spragnionym rozgłosu jak ona: podawał się za autora „Biblii Szatana”, która była jawnym plagiatem czterech czy pięciu rozmaitych pisarzy, wśród nich Johna Dee, słynnego alchemika z czasów renesansu, i pisarza H.G. Wellsa; twierdził także, że

utrzymywał stosunki seksualne z Marilyn Monroe oraz – jakżeby inaczej! – z Jayne Mansfield. To były całkowite konfabulacje, ale sam wiesz, ludzie chętnie wierzą we wszystkie podłe plotki na temat celebrytów, w każdą nikczemność. Szalał za nią, a ona dzwoniła czasem do niego z Beverly Hills otoczona znajomymi, żeby pośmiać się i ponabijać z jego demonicznego zapału, rozpalala go i roznamiętniała na odległość. Później pojawiła się plotka, że spragniony zemsty LaVey rzucił klątwę na jej ówczesnego kochanka, adwokata o nazwisku Brody, i tu właśnie rozpoczyna się legenda o śmierci Jayne Mansfield. Pewnej czerwcowej nocy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, właściwie już nad ranem, jechała samochodem z miejscowości Biloxi w stanie Missisipi – wystąpiła tam w jednym z klubów w zastępstwie swej przyjaciółki i rywalki o bujnych kształtach, Mamie Van Doren – do Nowego Orleanu, gdzie nazajutrz miała udzielić wywiadu miejscowej telewizji, jak widzisz, niczym nie gardziła ani się nie oszczędzała. Buick, którym podróżowała, był pełen ludzi: młody kierowca, wspomniany Brody, ona z trojgiem ze swych pięciorga dzieci, z tymi ze związku z muskularnym Węgrem, oraz cztery pieski chihuahua, nic dziwnego, że doszło do wypadku. Jakieś dwadzieścia mil przed celem podróży samochód z wielką prędkością wbił się w tył ciężarówki, która zahamowała, napotkawszy na swej drodze poruszający się powoli samochód służb miejskich w trakcie spryskiwania nadmorskich mokradeł środkiem przeciw komarom, Mulryan zawsze podkreśla ten wstrętny, związany z bagnem, południowy szczegół. Uderzenie było tak silne, że dach samochodu został ścięty jak nożem. Mansfield i jej kochanek kierowca zginęli na miejscu, ich ciała wypadły na szosę. Troje śpiących na tylnym siedzeniu dzieci wyszło z wypadku bez większego szwanku, nie wiadomo, co się stało z pieskami, pewnie uciekły. – Tupra przerwał, wrzucił coś do ognia, nie widziałem, co to było, może jakaś nitka zdjęta z marynarki albo zapałka, której zapalania nie widziałem, a którą wcześniej

trzymał w palcach. Opowiadał tę historię, jakby przedstawiał z pamięci jakiś zapamiętany raport. Przyszło mi na myśl, że z racji swego zawodu może ich przechowywać w pamięci setki albo tysiące, na temat zdarzeń już zaistniałych i potencjalnych, tego, co dowiedzione i zaledwie wymyślone nie tylko przez niego, ale także przeze mnie, przez Pérez Nuix, Mulryana, Rendela i resztę; oraz przez jeszcze innych ludzi w przeszłości, takich jak Peter Wheeler oraz kto wie, może jego żona Valerie i Toby Rylands, i nawet przez panią Berry. Tupra mógł być chodzącym archiwum. – Pretensjonalna blond peruka Jayne Mansfield spadła na błotnik – podjął na nowo – co dało początek dwóm plotkom, obu równie nieprzyjemnym i pewnie dlatego utrwały się w ludzkiej wyobraźni: wedle pierwszej aktorka została w wypadku oskalpowana, jej skalp zerwany brutalnie jakby przez Indianina z Dzikiego Zachodu, wedle drugiej Jayne uległa dekapitacji, gdy został ścięty dach buicka, a jej głowa potoczyła się po asfalcie i zatrzymała ostatecznie na podmokłym, pełnym komarów terenie na poboczu szosy. Ludowa złośliwość nie potrafiła się oprzeć żadnemu z tych dwóch pomysłów: nie dość, że kobieta, której bujne kształty zdobiły przez dekadę ściany garaży, warsztatów, spelunek, ciężarówek oraz uczniowskich i żołnierskich szafek, zginęła śmiercią tak gwałtowną w wieku trzydziestu czterech lat, gdy mimo szybkiego chylenia się ku upadkowi wciąż jeszcze wzbudzała pożądanie i nadal mogła wykorzystywać swoje naturalne atuty, to w dodatku – i to radowało dużo bardziej – w chwili śmierci stała się łysa i brzydka; albo: jej groteskowo ścięta głowa wpadła w błoto. Ludzie uwielbiają okrutne kary i sarkastyczne figle losu, gdy ktoś, kto wcześniej miał wszystko, nagle zostaje z niczym, nie mówiąc już o niespodziewanej śmierci, która zabiera absolutnie wszystko, a już szczególnie jeśli ta śmierć jest krwawa.

Dlaczego opowiada mi akurat o ściętych głowach? zastanawiałem się. Przecież chwilę temu sam o mało jednej nie ściał na moich oczach.

I pomyślałem, że tą okrutną historią Tupra dokądś mnie prowadzi, gdzieś dużo bliżej niż Nowy Orlean i Biloxi. Nie przerywałem mu jednak pytaniami, ograniczyłem się do zacytowania jego własnych słów, przytoczyłem zdanie, które wypowiedział przy naszym pierwszym spotkaniu:

– A poza tym we wszystko można uwierzyć w odpowiedniej chwili. Czy nie tak właśnie myślisz?

– Nawet nie wiesz, do jakiego stopnia to prawda, Jack – odpowiedział i natychmiast podjął przerwany wątek: – Właśnie wtedy, już po śmierci Mansfield, LaVey zaczął przechwalać się publicznie, że miał z nią romans (sam wiesz, umarli milczą jak zakłęci i nie zgłaszają sprzeciwu), i rozgłaszać w prasie, że ten nietuzinkowy wypadek był skutkiem klątwy rzuconej przez niego na kochankę Mansfield, Brody’ego, klątwy o tak wielkiej mocy, że bezlitośnie zabiła także ją, bo siedziała obok, na miejscu wysokiego ryzyka. Ludzie uwielbiają również konfabulacje i osobiste porachunki, sprawy ezoteryczne i niezwykłe oraz groźby, które się sprawdzają. Większość ludzi neguje istnienie przypadku, czuje do niego odrazę, ludzie są w większości głupi. – Przypomniało mi się, że to samo albo coś bardzo podobnego usłyszałem kiedyś od Wheelera, może chodziło o jedno z założeń, na których zawsze opierała się nasza grupa, podobnie jak każdy rząd. – Skoro Jayne Mansfield dała się uwieść ni mniej, ni więcej tylko Kościołowi Szatana albo z nim flirtowała, to nic dziwnego, że jej wdzięczną główkę spotkał taki właśnie koniec, że leżała w błocie obgryzana przez robaki, dopóki jej stamtąd nie wyciągnięto; albo: że na koniec została łysa, pozbawiona zerwanej z czaszki wspaniałej blond czupryny w odcieniu platynowym, te włosy stanowiły zawsze jej najbardziej rozpoznawalny atrybut obok tego dobrze widocznego na pocztówce, którą ci pokazałem. Motłoch domaga się, by wszystko miało swoje wytłumaczenie – Tupra użył słowa „*rabble*”, dziś tak źle widzianego

– ale chce tłumaczeń absurdalnych, niewiarygodnych, zagmatwanych i spiskowych, im bardziej takie są, tym łatwiej je przyjmuje i przełyka i tym bardziej go satysfakcjonują. Niepojęte, ale taki jest świat. Dano więc posłuch i wiarę temu łysemu pokrace z rogami, i to do tego stopnia, że ludzie, którzy wciąż pamiętają Jayne Mansfield i ją wielbią, nie wspominają jej ról w czterech czy pięciu zabawnych hollywoodzkich komedijkach ani wspaniałych zdjęć na okładce „Playboya”, ani prowokowanych przez nią skandali obyczajowych, ani jej różowej posiadłości przy Sunset Boulevard, ani nawet tego, że jako pierwsza gwiazda naszych czasów ośmieliła się odsłonić piersi w zwyczajnym amerykańskim filmie, lecz mają w pamięci ponurą legendę o jej zdecydowanie upokarzającej jak na symbol seksu śmierci sprowokowanej przez satanistę, zbrojeńca, szamana. Ironia losu polega na tym, że śmierć stała się większą sensacją i przysporzyła Mansfield większej popularności niż to, co sama wymyślała przez całe życie w pogoni za sławą, wyrzekając się na co dzień wszelkiej prywatności, którą większość ludzi nazywa zazwyczaj godnością. Szkoda, że nie mogła cieszyć się setkami poświęconych sobie i wypadkowi artykułów, widzieć całych kolumn opisujących jej przyprawiającą o dreszcz grozy śmierć, zupełnie jak z powieści. Na nic się nie zdało pochowanie ciała w różowej trumnie: jej imię spowiła czerń, czerń śmierci spowodowanej diabelską klątwą i grzesznego życia zwieńczonego karą, czerń posępnej drogi wśród mokradeł i pięknej główki oddzielonej od zmysłowego ciała aż po kres czasu. Gdyby nie umarła w taki sposób, gdyby zabrakło tych najpewniej zmyślonych szczegółów, które rozpalają wyobraźnię motłochu, dziś byłaby prawie zapomniana. O Kennedym by pamiętano, nawet gdyby w Dallas dopadł go tylko zawał, możesz być jednak pewien, że dużo słabiej i nie z takim wzruszeniem, gdyby jego nazwisko nie kojarzyło się od razu z zamachem i z pokrętnymi teoriami spiskowymi, nigdy do końca nie wyjaśnionymi. Na tym polega kompleks Kennedy’ego–Mansfield, to strach,



by nie zostać naznaczonym i na zawsze zniekształconym przez sposób, w jaki się umiera, strach, by całe życie nie okazało się czczą formalnością, pretekstem na drodze do głośnego końca, który określi nas już na wieki. Takie niebezpieczeństwo – uwaga – grozi nam wszystkim, nawet jeżeli nie jesteśmy osobami publicznymi, lecz skrytymi w cieniu, anonimowymi i mało ważnymi postaciami. Każdy jest świadkiem własnej opowieści, Jack. Ty swojej, a ja swojej.

– Ale nie każdy obawia się takiego końca – powiedziałem. – Niektórzy pragną i szukają śmierci teatralnej i widowiskowej, nawet jeżeli robią to środkami tylko werbalnymi z braku innych. Nie masz pojęcia, ilu pisarzy starało się wydać z siebie jakieś pamiętne ostatnie zdanie. Trudno rzecz jasna przewidzieć, które naprawdę będzie tym ostatnim, niejeden się zbłądził nadmiernym pośpiechem i zabranieniem głosu w niewłaściwym czasie. A potem już nic ważnego nie przyszło mu do głowy albo w ostatniej chwili palnął jakiś nonsens.

– Tak, zgoda, ale to i tak wynika ze strachu. Ktoś, kto pragnie widowiskowego końca, boi się, że nie dorasta do reputacji, jaką się cieszy, albo do wielkości z nadania innych lub własnego, wszystko jedno. Ten, kto odczuwa horror narracyjny, by użyć twego określenia, tak jak według ciebie odczuwa go Dick Dearlove, tak samo obawia się zniszczenia swego obrazu albo opowieści, którą snuje na swój temat, jak ten, kto planuje swój znakomity teatralny albo ekscentryczny koniec, to zależy od indywidualnego charakteru i od natury tej plamy, którą część ludzi weźmie za ozdobnik, ale śmierć zawsze jest plamą. Bo to nie to samo zabić kogoś, zostać zabitym i popełnić samobójstwo. Nie to samo być katem, kimś oszalałym z rozpacz i ofiarą, albo być ofiarą bohaterską i głupią. Oczywiście nigdy nie jest dobrze umrzeć przedwcześnie, a jeszcze gorzej jest umrzeć głupio, ale żywa Jayne Mansfield uznałaby za niezłą tę legendę o własnej śmierci, aczkolwiek wolałaby pewnie nie mieć w niej na głowie

peruki podczas owej feralnej podróży. Nie sędzę też, żeby wasz Lorca albo ten obrazoburczy prowokujący włoski reżyser, Pasolini, byli tak do końca niezadowoleni – z estetycznego lub jeśli wolisz, narracyjnego punktu widzenia – z rodzaju tej plamy, jaka im przypadła w udziale. Byli artystami i mieli w sobie pewien ekshibicjonizm, ich niesprawiedliwa i tragiczna, niemal męczeńska śmierć dobrze się przysłużyła pamięci o nich, nie sądzisz? Mam na myśli pamięć kmiotków. Ty i ja wiemy, że ani jeden, ani drugi nie poświęcili się świadomie w imię niczego, po prostu mieli pecha.

Tupra dwukrotnie użył wcześniej słowa „motłoch”, a teraz mówił o „kmiotkach” (już nie pamiętam, czy po angielsku użył słowa „boors” czy „yokels”). Nie poważa zanadto ludzi, pomyślałem, skoro podobne słowa przychodzą mu z taką łatwością i dezynwolturą, i z naturalną beznamietną pogardą. Jakkolwiek do tej drugiej kategorii zalicza i wykształconych, i prostaków, poczynając od biografów po dziennikarzy, socjologów, literatów i historyków, wszystkich, którzy istotnie widzą w tych dwóch zamordowanych znakomitościach, przez te morderstwa jeszcze znakomitszych, męczenników ze względów politycznych, a nawet seksualnych. Reresby nie poważa śmierci, ona nie wydaje mu się niczym niezwykłym; może właśnie dlatego zapytał mnie, dlaczego nie można zabijać, może sądzi, że i śmierć jest kwestią przypadku, a on przecież nie neguje istnienia przypadku ani go nie ma w pogardzie, on, w odróżnieniu od ludzi głupich dopatrujących się wszędzie znaków, następstw i powiązań, nie domaga się, by wszystko miało swoje wytłumaczenie. Możliwe, że z powodu swej bardzo nikłej niechęci do przypadku nie ma nic przeciwko temu, by od czasu do czasu łączyć z nim swe siły i przybierać postać Kawalera Śmierci z mieczem, i być sługą wydajnego sługi. Sam musiał być kiedyś kmiotkiem, możliwe, że przez dłuższy czas.

– Nie poważasz ludzi, prawda? – odezwałem się. – Nie poważasz śmierci. Ludzkiej śmierci.

Tupra zwilżył sobie usta, nie językiem, ale samymi wargami, jakby potarł jedną wargę o drugą i to wystarczyło, żeby stały się wilgotne, ostatecznie były bardzo mięsiste i wydatne i zawsze było na nich trochę śliny. Potem upił trochę ze swego kieliszka, odniosłem niepokojące wrażenie, że się oblizuje. Znowu zaproponował mi alkohol, tym razem się zgodziłem, podniebienie jak z opłatkami komunijszymi lub woalką, nalewał mi porto z butelki, dopóki nie uniosłem dłoni na znak, że już dosyć.

– Teraz wreszcie docierasz – odpowiedział i to znowu nasunęło mi myśl, że mnie dokądś prowadzi, dopóki ja domagałem się wyjaśnień, to on mnie prowadził. Zły podsądny i zły świadek. Zadowolony z siebie popatrzył na mnie niebieskimi albo szarymi oczyma spod rzęs w kształcie półksiężyca lśniących w blasku ognia. – Teraz zaczniesz znowu robić mi wyrzuty, pytać, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, i tak dalej. Jesteś aż do przesady wytworem swoich czasów, Jack, to najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić, nie ma lekko, jeżeli cierpi się z tych samych powodów, z jakich cierpią wszyscy, brak pola do manewru, gdy wszyscy się ze sobą zgadzają i widzą to samo, i przykładają wagę do tych samych spraw, te same wydają im się poważne i te same błahe. W jednomyślności brakuje światła i przestrzeni na oddech, i wentylacji, podobnie jak w miejscu, gdzie znajduje się naraz wiele ludzi. Człowiek musi stamtąd uciec, żeby żyć lepiej, wygodniej. A także prawdziwiej, nie tkwiąc w pułapce czasu, w którym się urodził i w którym umrze, nic tak nie ogranicza, nie zaciemnia bardziej perspektywy niż jego zamię. W dzisiejszych czasach przywiązuje się ogromną wagę do jednostkowej śmierci, robi się wielki dramat z powodu każdej zmarłej osoby, a już szczególnie jeżeli zmarła gwałtownie albo została zamordowana; następujący potem żal albo kara trwają jednak krótko; dziś nikt już nie chodzi w żałobie i z czegoś to wynika, szybko płaczemy, ale jeszcze szybciej zapominamy. Mówię, rzecz jasna, o naszych krajach, gdzie indziej na świecie to wygląda inaczej, ale tam nic innego

ludziom nie pozostaje, bo tam śmierć jest codziennością. Tu jednak jest czymś okropnym, przynajmniej w chwili, gdy się wydarza. Ten i ten umarł, jakie straszne nieszczęście; tylu i tylu zginęło w katastrofie albo rozerwała ich na strzępy jakaś eksplozja, jakie to potworne, jakie niegodziwe. Politycy muszą dwoić się i troić, żeby uczestniczyć w ceremoniach pogrzebowych i pochówkach, żadnego nie pominąć, wielki ból, a może pycha domaga się ich obecności jako ornamentu, ta obecność nie przynosi pociechy, bo nie może jej przynieść, wszystko wynika z nadęcia, pozerstwa, próżności i rangi. Rangi żyjących, napuszonych i przewrażliwionych na własnym punkcie. A przecież jeśli dobrze pomyśleć, jakim prawem tak postępujemy? Jaki ma sens narzekać i robić tragedię z czegoś, co przytrafia się każdemu żywemu stworzeniu, żeby mogło się stać martwym stworzeniem? Co jest straszego w czymś tak całkowicie naturalnym, tak zwyczajnym? Zdarza się w najlepszych rodzinach, sam wiesz, i to od wieków, w tych najgorszych też się zdarza, rzecz jasna, nawet z większą częstotliwością. W dodatku wydarza się stale i dobrze to wiemy, choćbyśmy udawali zdumienie i strach: policz zmarłych, o których mówi się w każdym wiadomościach telewizyjnych, przeczytaj zawiadomienia o zgonach i narodzinach w pierwszej lepszej gazecie w jednym tylko mieście, Madrycie, Londynie, lista jest bardzo długa każdego dnia roku; spójrz na nekrologi, a przecież dają je tylko nieliczni, spójrz na wspomnienia o zmarłych, jeszcze mniej jest takich, którzy na nie zasługują, to nieskończenie mała mniejszość, ale notki pojawiają się każdego ranka. Ilu ludzi ginie w każdą sobotę i niedzielę na drogach, ilu zginęło w niezliczonych bitwach. Nie zawsze na przestrzeni dziejów informowano o stratach, raczej prawie nigdy. Ludzie byli bardziej oswojeni ze śmiercią, bardziej z nią pogodzeni, godzili się na przypadek, na swój los, wiedzieli, że w każdej chwili mogą odczuć jego zmienność; ludzie rodzili się i umierali, to było normalne, bywało, że umierali zaraz po urodzeniu,

przecież jeszcze osiemdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu śmiertelność wśród niemowląt była ogromna, podobnie jak matek przy porodzie, żegnały się z dzieckiem, zaledwie raz ujrząwszy jego twarz, jeśli w ogóle starczyło im na to sił albo czasu. Często wybuchały epidemie i niemal każda choroba mogła zabić, choroba, jakiej dzisiaj nie znamy albo nawet nie zetknęliśmy się z jej nazwą; ludzie umierali z głodu, wojny trwały w nieskończoność, prawdziwe wojny z codziennymi bitwami, nie sporadycznymi potyczkami jak dzisiaj, a generałowie nie przejmowali się stratami w ludziach, żołnierze ginęli i tyle, byli odrębnymi osobami tylko dla siebie, nawet nie dla swoich rodzin, w każdej rodzinie zdarzały się przedwczesne śmierci, były normą. Rządzący robili ponurą minę i zarządzali kolejny pobór, werbowali nowych żołnierzy i posyłali ich na front, żeby tam ginęli, prawie nikt się nie skarżył. Ludzie brali śmierć w rachubę, Jack, nie wzbudzała takiej paniki, nie była niewyobrażalnym nieszczęściem ani straszną niesprawiedliwością; była czymś, co mogło się zdarzyć i często się zdarzało. Zrobiliśmy się bardzo delikatni, mamy bardzo cienką skórę, myślimy, że będziemy trwać wiecznie. Powinniśmy przywyknąć do tego, że wszystko jest tymczasowe, ale nie, my upieramy się, że nie jesteśmy tymczasowi, i dlatego tak łatwo nas przestraszyć, sam widziałeś, wystarczy dobyć miecza. I tak oto nie mamy szans w konfrontacji z ludźmi, którzy wciąż jeszcze postrzegają śmierć, własną i cudzą, jako nieodłączną część swojej pracy, jako coś, co zdarza się na co dzień. W konfrontacji z terrorystami na przykład albo z baronami narkotykowymi, albo z ludźmi z międzynarodowej mafii. Tak to już jest, Jagonie. – Nie lubiłem, gdy zwracał się do mnie imieniem tego intryganta; miało dla mnie haniebnym wydźwięk, nie utożsamiałem się z nim (ja, który z tyłoma się utożsamiam). – Trzeba, by niektórzy z nas nie poważali śmierci. Ludzkiej śmierci, jak powiedziałeś oburzony, zauważyłem to mimo twego neutralnego tonu, dobrze udajesz, ale niewystarczająco dobrze. Ważne, żeby niektórzy wznieśli się ponad

ograniczenia naszej epoki i spojrzeli na to jak w odległych dla nas czasach, minionych i przyszłych (bo takie czasy wróca, zapewniam cię, choć nie wiem, czy ty i ja ich dożyjemy), by nie stało się naszym zbiorowym udziałem coś, o czym pisał pewien francuski poeta: „*Par délicatesse j'ai perdu ma vie*”. – I pofatygował się, by przetłumaczyć mi to zdanie, dostrzegłem w tym jakąś cechę dawnego kmiotka: – „Zmarnowałem życie przez delikatność”.

Spojrzałem na jego stopy, na buty, podobnie jak podczas jednego z naszych pierwszych spotkań, gdy obawiałem się, że może mieć na sobie jakieś okropne zielone buty z cholewkami z krokodylej skóry, takie jak marszałek Bonanza, a nawet saboty. Tak nie było, zawsze nosił eleganckie pantofle, brązowe albo czarne, sznurowane, żadną miarą nie był kmiotkiem, jedyne, co budziło wątpliwość, to jego kamizelki, rzadko z nich rezygnował, dzisiaj wydawały się bardziej staroświeckie i niemodne niż kiedykolwiek, jako pozostałość lat siedemdziesiątych, kiedy to pewnie zaczął życie na poważnie, to znaczy z rzeczywistą świadomością swoich obowiązków i konsekwencji podejmowanych działań albo z właściwą oceną otwierających się przed nim możliwości. Tak czy inaczej, był w nim jakiś dysonans, coś, co nie brzmiało prawdziwie: jego praca, gestykulacja, otoczenie, akcent, nawet jego wygodny i bardzo angielski dom, doskonały jak z podręcznika albo z kosztownego filmu, albo jak na ilustracji do jakiejś bajki. Może bujne loki na pękatej czaszce albo skręcone w pierścionki wyraźnie farbowane kosmyki na skroniach, może pulchne usta jakby pozbawione jędrności, po prostu miękka guma do żucia. Z pewnością wielu ludziom wydawał się atrakcyjny, mimo że miał w sobie coś odpychającego, nigdy nie udało mi się definitywnie ustalić, co to jest, nie zdołałem wyodrębnić tego czegoś dokładnie, wskazać, możliwe, że nie chodziło o jeden tylko element jego rysów twarzy, a raczej o całość. Może tylko ja go tak postrzegałem, kobiety z pewnością tego nie wychwytywały. Nawet

tak przenikliwie jak Pérez Nuix, która nawykła spostrzegać i odgadywać wszystko i z którą na pewno się przespał. To by nas ze sobą łączyło, Tuprę i mnie albo mnie i Reresby'ego. Albo Ure'a lub Dundasa.

– I dlatego dajesz sobie przyzwolenie na to, żeby pobić i śmiertelnie przestraszyć biednego nieszkodliwego idiotę, w dodatku z moją pomocą; zakładając oczywiście, że wiedziałbym, co mu szykujesz. Bez powodu, bo tak ci się spodobało, bo nie trzeba poważać śmierci. Trudno o większą różnicę zdań między nami. A przy okazji, ta przytoczona strofa to Rimbaud – dodałem, żeby wpędzić go w kompleksy, zdobył już zbyt dużo punktów. Zaryzykowałem, wcale nie miałem pewności.

Ale on nie przywiązał do tego wagi; byłem wykształcony, znałem języki, wykładałem kiedyś w Oksfordzie, nie urosłem w jego oczach. Mógł się przecież spodziewać, że rozpoznam cytaty. Zaśmiał się oschle, tylko jeden raz, jakby udawał zgorzknienie.

– Nikt nie jest nieszkodliwy, Jack. Nikt – powiedział. – Zdajesz się nie brać pod uwagę, że to ty byłeś temu winny. Zastanów się przez chwilę.

– Co masz na myśli? Bo przedstawiłem go pani Manoi i przypadli sobie do gustu? Ona chciała, żeby ktoś jej nadszkakiwał, pierwszy lepszy matoł, ktokolwiek. Sięgnij pamięcią trochę dalej. Sam mnie o tym uprzedzałeś. – Słowo *mameluco*, matoł, chodziło mi po głowie, odkąd Manoi potwierdził, że tak samo mówi się po włosku, a słowa nie ulatują, dopóki nie zrobi się z nich kilka razy użytku. Po angielsku brzmi oczywiście dużo bardziej uczenie, *mameluke*, i niestosownie, jego podstawowe znaczenie nie jest takie samo jak po hiszpańsku.

– Nie tylko dlatego. Poprosiłem, żebyś ich znalazł, żebyś przyprowadził z powrotem Flavię, żebyś nie zwlekał i żebyś pozbył się tego Garzy. Nie zrobiłeś tego. Musiałem sam ruszyć na poszukiwanie was i załatwić sprawę. A ty jeszcze narzekasz. Kiedy ich znalazłem, Mrs Manoi już miała szramę na policzku. Gdybym nie wziął sprawy w swoje ręce, wszystko potoczyłoby

się gorzej, nie znasz jej męża, ja go znam. Nie mogłem poprzestać na wyrzuceniu stamtąd tego gównianego Hiszpana. – Pomyślałem, że czasem zapomina o tym, że i ja jestem Hiszpanem, możliwe, że również gównianym. – Manoi by to nie wystarczyło właśnie z powodu śladu, rany na twarzy Flavii. Sam by go znalazł i w najlepszym razie urwałby mu rękę, a w gorszym głowę. Czepiasz się z powodu głupstw bez najmniejszego znaczenia, żyjesz w świecie, którego nie ma, odgradzony bezpiecznie od przemocy, a przemoc od zawsze jest czymś normalnym, i to wszędzie, to tak jakby wziąć interludium za cały występ, nie macie o tym pojęcia wy, ludzie, którzy jesteście więźniami swojej epoki ani nie podróżujecie poza granice naszych krajów, w których do przedwczoraj też jeszcze rządziła przemoc. Nic nie zrobiłem. Wybrałem mniejsze zło. I to z twojej winy.

Mniejsze zło. A więc Tupra należał do tej aż za dobrze znanej kategorii ludzi, jaka istniała od zawsze, ja znam kilku takich ludzi w moich czasach, nigdy ich nie brak. Mówią na swoje usprawiedliwienie: „Musiałem tak postąpić, żeby uniknąć większego zła, albo tak mi się wydawało; inni zrobiliby to samo, tylko z dużo większym okrucieństwem i wyrządzając więcej krzywdy. Zabiłem jednego, żeby nie zabito dziesięciu, i zabiłem dziesięciu, żeby nie zabito stu, nie zasługuję na karę, lecz należy mi się nagroda”. Albo twierdzą: „Musiałem tak postąpić, broniłem Boga, mego króla, ojczyzny, mojej kultury, języka, rasy; mego sztandaru, mojej legendy, języka, klasy, mojej przestrzeni; mego honoru, rodziny, mego sejfów, portmonetki i moich skarpetek. I krótko mówiąc, bałem się”. A strach rozgrzesza tak samo jak miłość, o której tak łatwo powiedzieć z pełnym przekonaniem: „Jest silniejsza ode mnie, nie potrafię przed nią uciec”, albo posłużyć się zdaniem: „Przecież tak bardzo cię kocham” na wytłumaczenie naszego postępowania, służy za alibi, wymówkę i okoliczność łagodzącą. Możliwe, że był też jednym z tych, którzy utrzymują: „Ach, nie, takie to były czasy, kto wtedy nie żył, nie może tego zrozumieć. Ach, nie, takie to



było miejsce, niezdrowe, przygnębiające, kto tam nie był, nie potrafił sobie nawet wyobrazić naszego poczucia wyobcowania, złego czaru, jaki na nas rzuciło”. Z drugiej strony nie należał przynajmniej do ludzi, którzy się wykręcają, on nigdy nie wypowiedziałby takich słów: „Och, nie, ja nie chciałem tego zrobić, nic nie wiedziałem, to wydarzyło się wbrew mej woli, jak za zasłoną dymną snu, to zdarzyło się w moim życiu teoretycznym albo tym w nawiasie, które tak naprawdę się nie liczy, działo się tylko w połowie i bez mojej pełnej zgody”. Nie, Tupra nie posunąłby się do tego typu żalonych wymówek, do jakich mnie zdarzyło się czasem posunąć, żeby usprawiedliwić niektóre zdarzenia w moim życiu. Jednakże wtedy wolałem nie zagłębiać się w te sprawy, odpowiedziałem tylko na ostatnią kwestię, którą do mnie skierował:

– Pracuję dla ciebie, Bertram, ale mam określony zakres obowiązków. Nie prosz mnie o nic ponadto. Mam dokonywać analiz i sporządzać raporty, a nie uganiać się za nawalonymi prymitywami. Do moich obowiązków nie należy również zabawianie kobiet w fazie schyłkowej ani taniec w uścisku tak mocnym, że mostek wbija się w biust.

Tupra nie mógł powstrzymać rozbawienia po tych słowach. Nie mieliśmy wcześniej okazji wymienić uwag na temat tortur, jakich padłem ofiarą, ani z nich się pośmiać, ani on nie miał okazji pożartować z mego pecha i z mojej niedoskonale stoickiej postawy.

– Twarde szpice, co? – I wybuchnął szczerym śmiechem. – Musiałbym zwariować, żeby przyjąć jej zaproszenie do tańca, ma takie bastiony. – Powiedział „*bulwarks*”.

Znowu mu się udało. I mnie się zdarza roześmiać mimo woli. Nie mogłem powstrzymać śmiechu, na chwilę cała złość mi przeszła, uległa odsunięciu w czasie, nie była ważna. Kilka sekund śmialiśmy się razem, równocześnie, bez zostawiania w tyle ani wyrywania się do przodu, śmiechem, który łączy ludzi bezinteresownie, zawiesza lub unieważnia

istniejące między nimi różnice. A to znaczyło, że mimo mojego gniewu i narastającej obawy – a może to był niepokój, awersja, wstręt – nie pozbawiłem go całkowicie mego śmiechu. Możliwe, że chciałem wydzielać ten śmiech skąpymi porcjami, ale się od niego nie powstrzymywałem ani nie odmawiałem go jemu. Nie całkowicie, jeszcze nie.

Tak, zapewne to mieliśmy ze sobą wspólne: obaj spaliśmy kiedyś z Pérez Nuix, miałem niemal pewność, ale nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby jego, a tym bardziej ją o to zapytać, mimo że obudzenie się w jednym łóżku wyznacza arbitralnie granicę między powściągliwością i zaufaniem, między tajemnicą i wyjawieniem, między uprzejmym milczeniem i pytaniami, po których następują odpowiedzi albo – bywa – ich unikanie, jakby wejście na krótko w czyjeś ciało usuwało nie tylko bariery fizyczne, lecz i wszystkie inne: biograficzne, uczuciowe, z pewnością bariery udawania, ostrożności lub rezerwy, to naprawdę absurdalne, że dwie osoby, gdy już raz się ze sobą szczepią, czują, że mają większe prawo lub mogą bardziej bezkarnie wypytywać o życie i myśli tego, kto był nad lub pod albo stał tyłem czy przodem, gdy nie było potrzebne łóżko, albo żeby długo, a nawet bezmyślnie rozwodzić się nad własnym życiem i myślami, są ludzie, którzy pieprzą się z kimś tylko po to, żeby potem gadać bez umiaru, jakby szczepienie się ciał dawało im na to licencję. To mi często przeszkadzało w moich okazjonalnych przygodach na jedną noc, jeden poranek albo wieczór, a przecież wszystkie takie są w pierwszej chwili, dopóki się nie powtórzą, wszystkie takie są z początku i nie wiadomo, czy za chwilę się skończą, albo tylko jedna ze stron wie to od razu i nic nie mówi przez uprzejmość, co staje się powodem nieporozumienia (uprzejmość to trucizna, nasza zguba); ta jedna strona udaje, że zerwanie nie nastąpi od razu, że istotnie coś się otwiera, co nie musi się zamknąć, i wtedy następuje straszne zamieszanie. A czasem to wiesz, zanim jeszcze wejdiesz w nowe ciało, wiesz, że chcesz zrobić to tylko raz, upewnić się, może zaimponować samemu sobie albo na samego siebie się oburzyć, możliwe nawet, że chodzi o odnotowanie pewnego faktu, żeby później go wspominać, a raczej

pamiętać albo jeszcze delikatniej, żeby mieć pewność: „To wydarzyło się w moim życiu”, już zawsze będziesz mógł tak sobie mówić, szczególnie na starość lub w dojrzałym wieku, kiedy przeszłość bardzo atakuje terażniejszość, a terażniejszość, niezainteresowana albo sceptyczna, rzadko już spogląda w przód.

Tak, często mnie męczyło, że potem zaczynały mi opisywać swoje cechy charakteru albo swój świat wewnętrzny, odmalowywać mi własny portret, oczywiście nieprawdziwy, albo że chciały zrobić ze mnie kogoś wyjątkowego („To nigdy mi się nie zdarzyło z żadnym mężczyzną”), po części żeby mi schlebić, a po części żeby ratować własną reputację, której nikt przecież nie podawał w wątpliwość. Irytowało mnie, że począwszy od tej chwili poruszały się po moim domu, jeżeli tam właśnie byliśmy, z nadmierną pewnością siebie lub swobodą i miały skłonność do zawłaszczania go (pytały, dajmy na to, „Gdzie masz kawę?”, wychodząc z założenia, że ja oczywiście mam w domu kawę i że one mogą ją sobie same zrobić; albo oznajmiały „Idę do łazienki”, zamiast spytać, czy mogą z niej skorzystać, jak byłyby zapytały chwilę wcześniej, jeszcze ubrane albo nim się jeszcze na mnie nadziały, ten czasownik to przesada). Oburzało mnie, gdy niektóre postanawiały przespać całą noc w moim łóżku, wcześniej nie spytawszy mnie o zdanie, przyjmując za pewnik, że zostały zaproszone, by zalec w pościeli na dłużej tylko dlatego, że wcześniej leżały przez chwilę na materacu albo opierały się o niego rękami dla zachowania równowagi, stojąc wypięte do mnie tyłem, *more ferarum*, spódnica zadarta, obcasy butów mocno przylegające do podłogi. Złościło mnie, gdy nazajutrz albo dwa dni potem zjawiały się bez uprzedzenia przed moimi drzwiami niby po to, żeby czule i spontanicznie powiedzieć mi „cześć”, a tak naprawdę żeby z rozmysłem zaliczyć powtórkę i zainstalować się na dobre, wiedzione niczym nieusprawiedliwioną pewnością, że wpuszczę je do środka i zajmę się nimi o każdej porze i w każdych okolicznościach bez

względu na to, czy jestem zajęty, czy mam akurat innego gościa, czy jestem zadowolony lub raczej żałuję (choć najprawdopodobniej już o tym zapomniałem), że poprzedniego dnia pozwoliłem im postawić stopę na swoim terytorium. Kiedy pragnę być sam i tęsknię za Luisą. I budziło moją wściekłość, kiedy później dzwoniły do mnie, mówiąc: „Cześć, to ja”, jakby miniona znajomość cielesna nadawała im wyłączność albo wyjątkowość, podkreślała tożsamość albo gwarantowała im nadrzędne miejsce w moich myślach, albo zobowiązywała mnie do rozpoznania głosu tej, która – w najlepszym razie – wydała z siebie tylko jeden jęk bądź – z uprzejmości – kilka.

Jednakże do prawdziwej furii doprowadzało mnie poczucie, że jestem ich dłużnikiem (zupełny absurd w moim wieku), ponieważ się ze mną przespały. Niewątpliwie pozostałość z czasów, w których się urodziłem, gdy jeszcze uważano, że zainteresowanie oraz inicjatywa wychodzi zawsze od mężczyzny i że kobieta ulega albo więcej: przyzwala lub godzi się i to ona czyni cenny podarek albo wielką przysługę. Nie zawsze, lecz nazbyt często uznawałem się za architekta takich zdarzeń bądź osobę ostatecznie odpowiedzialną za to, co wydarzało się między nami, nawet jeśli sam do tego wcześniej nie dążyłem albo tego nie przewidywałem – chociaż w większości przypadków widziałem, co się święci, podejrzewałem to – i zakładałem, że one będą żałować tego, co zaszło, gdy tylko się wycofam albo odsunę, albo gdy już zaczną się ubierać albo wygładzać ubranie i je na sobie poprawiać (była jedna mężatka, która zażądała ode mnie żelazka: jej obcisła spódnica przypominała akordeon, a kobieta wprost ode mnie wybierała się na kolację z kilkoma bardzo akuratnymi małżeństwami, nie mając szansy zajść wcześniej do domu; użyczyłem jej mego dobrego żelazka i wyszła bardzo z siebie zadowolona, w spódnicy milczącej i bez śladu niedawnych przygód), a jeśli nie wtedy, to później, gdy będą już same, zamysłone i pogrążone we wspomnieniach, zerkając na księżyc – na

który ja nie zwróciłbym uwagi – przez okna, które nieoczekiwanie nabrały dla nich weselnego nastroju podczas drzemki nad ranem.

Tak więc często miałem odruch, by im natychmiast odpłacić delikatnością, cierpliwością i gotowością słuchania; interesując się ciepło ich troskami albo dzielnie znosząc ich paplaninę; czuwając nad ich nieznanym snem lub ni stąd, ni zowąd głaszcząc je pieszczotliwie, co z pewnością nie było odruchem serca, ale jakoś się do tego motywowałem; wymyślając zawiłe wymówki, żeby wyjść od nich przed świtem, jak wampir, albo od siebie z domu w środku nocy i tym sposobem dać im do zrozumienia, że nie mogą zostać do rana, że powinny się ubrać i wyjść razem ze mną, i wsiąść do samochodu albo wziąć taksówkę (opłacałem kurs z góry), zamiast wyznać im, że nie chcę ich więcej widywać ani słuchać, ani nawet oddychać we śnie u ich boku. A czasem miałem odruch, żeby je nagrodzić, symbolicznie i absurdalnie, wtedy wymyślałem na poczekaniu jakiś prezent albo serwowałem im pyszne śniadanie, jeżeli godzina była po temu i wciąż jeszcze byliśmy razem, albo spełniałem jakieś pozostające w zasięgu moich możliwości życzenie, które one kierowały wcześniej nie do mnie, lecz ot tak, w powietrze, albo spełniałem jakąś domniemaną lub nie wprost wyrażoną prośbę, tak dawną, że trudno było powiązać obie rzeczy albo tylko wówczas, gdy ktoś bardzo się uparł, żeby złączyć słowo z ciałem. Jeżeli taka prośba została natomiast wypowiedziana wprost i właśnie wtedy, to jej nie spełniałem, bo w takich przypadkach nie mogłem uwolnić się od przykrego wrażenia, że dochodzi do transakcji lub handlu wymiennego, który fałszuje i plugawi wszystko, co było wcześniej, albo w istocie to kasuje, jakby nigdy się nie zdarzyło.

Może dlatego Pérez Nuix poprosiła mnie o przysługę dużo wcześniej, gdy jeszcze nie przyszło mi na myśl, że moglibyśmy zakończyć tamten wieczór tak blisko, a choćby doczekać poranka, nie rozstawszy się na dobre. To znaczy owszem, sam pomysł przyszedł mi do głowy, ale nie jako

możliwa możliwość, lecz jako niemożliwość hipotetyczna (dziwne myśli w tyle głowy, świadomość, że przystałoby się na coś, co żadną miarą się nie zdarzy) po raz pierwszy wtedy, gdy rozpiniała i podciągała suwaki w botkach i wycierała się moim ręcznikiem, i z zaciągniętej nitki poleciało jej duże długie oczko w pończosze, i beztriosko odsłaniała uda, a robiąc to, nie wykluczała mnie. Ona mnie nie spisuje na straty, ale nic ponadto, pomyślałem. Nic więcej, tylko tyle, to ja zwracam uwagę i mam to na względzie. W rzeczywistości to nic nie jest. A także: Jest przepaść między odczuwaniem pożądania a nieodtrącaniem kogoś, między potwierdzeniem a niewiadomą, między gotowością zrobienia czegoś a zwykłym brakiem jakiegokolwiek planu, między „tak” i „może”, między „dobrze” i „zobaczymy” albo nawet jeszcze mniej, czyli „no cóż” bądź „ach tak” lub czymś, co nawet nie formułuje się jako myśl, jest stanem zawieszenia, przestrzenia, pustką, nigdy tego nie brałam pod uwagę, nie przyszło mi to do głowy, nawet mi przez myśl nie przeszło. Nadal byłem dla niej niewidzialny, gdy poprosiła mnie o przysługę, albo byłem taki całą noc, a nawet rano. Może z wyjątkiem krótkiej chwili w nocy, gdy położyła mi rozwarłe dłonie na policzkach, miękkie dłonie, jakby wyznawała mi jakieś uczucie, wtedy już oboje leżeliśmy w moim łóżku gotowi do spania; z wyjątkiem tej krótkiej chwili, gdy popatrzyła mi w oczy i roześmiała się, i delikatnie wzięła w dłonie moją twarz, tak jak czasem robiła Luisa, kiedy jej łóżko było jeszcze moim łóżkiem i gdy jeszcze nie chciało nam się spać albo jeszcze nie na tyle, żeby życzyć sobie dobrej nocy i odwrócić się do siebie plecami aż do rana.

To jednak przyszło dopiero później. I jak to bywa, gdy jednym ciągiem zadaje się więcej niż jedno pytanie, młoda Pérez Nuix zaczęła od odpowiedzi na to ostatnie. „Właściwie nie poprosiłaś mnie jeszcze o przysługę, nadal nie wiem, na czym dokładnie miałyby polegać. Ani co to za prywatne osoby, co to za prywatne prywatne osoby”, takie dwa pytania

zadałem, używając w nich jej sformułowania o „prywatnych prywatnych osobach”.

– Dziś to brzmi dziwnie, Jaime, bo nerwy są teraz napięte jak postronki i ciągle boimy się terroryzmu – powiedziała – ale w przeszłości było kilka takich lat, w dodatku całkiem niedawno, chociaż wydaje się, że przed wiekami, kiedy to MI5 i MI6 nie miały nic specjalnego do roboty. Po upadku Muru Berlińskiego ich obowiązki zmalały na równi z ich obawami, a przydzielane im budżety zostały znacznie okrojone, teraz widać, jakie to było nieroztropne. Na przykład z dziewięciuset milionów funtów przyznanych MI5 w dziewięćdziesiątym czwartym roku zjechało w dziewięćdziesiątym ósmym do mniej niż siedmiuset milionów. Potem środki znowu zaczęły rosnąć, nieśmiało i powolutku, jednak aż do zamachów na Bliźniacze Wieże w dwa tysiące pierwszym, kiedy to włączyły się wszystkie dzwonki alarmowe, trwały palpacje i zwolnienia wśród personelu średniej rangi, było takich siedem albo osiem lat, kiedy to duża część światowych służb wywiadowczych, i ma się rozumieć naszych też, czuła się niepotrzebna i zbędna, jak by to powiedzieć, bez niczego konkretnego do roboty, zbyteczna, bezczynna i co najgorsze, znudzona. Wielu ludzi zajmujących się przez dziesięciolecia Związkiem Sowieckim stwierdziło nagle, że jakkolwiek nadal są zatrudnieni, to jest ich nadmiar w stosunku do potrzeb, i poczuło, że zmarnowali nie tylko czas, ale i kawał swojego życia, które szybko zbliżało się do końca. Nagle poczuli, że należą do przeszłości. Ludzie znający niemiecki, bułgarski, węgierski, polski, czeski przestali być konsultowani tak często jak zwykle, nawet specje od rosyjskiego stracili znaczenie i robotę. Nagle powstało coś w rodzaju nieuznawanego oficjalnie nadmiaru, ni stąd, ni zowąd ludzie o fundamentalnym dotąd znaczeniu stali się niepotrzebni albo wykorzystywano ich do pomniejszych zadań. Było to tak przygnębiające, że nawet szefowie zdali sobie sprawę, jak demoralizująca to sytuacja,



a zapewniam cię, że w służbach, jak w każdej innej pracy i jak wszędzie, najbardziej ślepi na problemy swoich podwładnych są zazwyczaj szefowie. Cóż, prawda jest taka, że zauważyli to jako ostatni, niewiarygodnie późno, i jeśli dobrze pamiętam, w prasie, chyba w „The Independent”, ledwie kilka dni przed jedenastym września ukazała się informacja, że MI5 w osobie swego ówczesnego dyrektora generalnego, sir Stephana Landera, zamierza zaoferować swoje usługi wywiadowcze wielkim krajowym firmom, takim jak British Telecom, Allied Domecq, Cadbury Schweppes i innym, usługi polegające na dostarczaniu użytecznych informacji na temat ich zagranicznych konkurentów. Chyba to wywiad zwrócił się z taką ofertą do koncernów, nie na odwrót, podczas seminarium w siedzibie MI5 w Millbank, na które zostali zaproszeni – jeśli się nie mylę, po raz pierwszy w historii – przedstawiciele przemysłu i świata finansów zarówno z sektora publicznego, jak i prywatnego. Posłużono się pretekstem, że jakoby nie ma zadania bardziej patriotycznego i ważniejszego niż wspomaganie brytyjskiej gospodarki i uczynienie z niej najbardziej konkurencyjnej na świecie, że trzeba chronić nasze wielkie firmy przed obcymi szpiegami, niewątpliwie działającymi naprawdę, że trzeba zabezpieczyć naród przed zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi, politycznymi, militarnymi i terrorystycznymi. A tak naprawdę chodziło o to, żeby skomercjalizować działania SIS – przypomniałem sobie ten skrót, słyszałem go swego czasu od Tupry, a może od Wheelera: Secret Intelligence Service, ona powiedziała go po angielsku: s, i, s albo dla naszego ucha: es, aj, es, mimo że rozmawialiśmy po hiszpańsku – i zdobyć lukratywne kontrakty, co sprowadzało się do częściowej prywatyzacji agencji, wypracować szybko wysokie zyski i uratować od nudy liczną grupę bezczynnych i pogrążonych w depresji ludzi, kierując ich mniej lub bardziej bezpośrednio do pracy w firmach. To rzecz jasna pociągało za sobą oczywiste ryzyko wystąpienia u tych ludzi konfliktu lojalności. Lander kategorycznie zdementował te

informacje prasowe ustami swego rzecznika, który zapewnił, że oferowanie prywatnym firmom płatnych usług szpiegowskich nie leży w kompetencjach MI5 i że taka oferta byłaby sprzeczna z prawem. Rzecznik przyznał równocześnie, że już od pewnego czasu MI5 przygotowywał operację zmierzającą do wykrycia obcych szpiegów w naszych koncernach i doradzał nieodpłatnie, głównie sektorowi przemysłowemu i nowych technologii, przed podpisaniem ważnych kontraktów albo gdy zachodziło podejrzenie oszustwa informatycznego. Stwierdził jednak, że kontrowersyjne wystąpienie Landera podczas tamtego seminarium, zatytułowane „Tajna praca w społeczeństwie otwartym”, dotyczyło jedynie wzrastającego zagrożenia ze strony hakerów i że firmom publicznym i prywatnym zostało zaoferowane, całkowicie nieodpłatnie, doradztwo na temat najlepszych sposobów zabezpieczania się przed hakerami i zwalczania piractwa komputerowego. Kilku obecnych na seminarium gości potwierdziło jednak anonimowo, że Lander złożył inną propozycję i obiecał wspierać ich interesy poprzez stałe przekazywanie uprzywilejowanych informacji na temat firm i osób, „jeżeli zwrócą się do niego z takim zamówieniem”.

Młoda Pérez Nuix zrobiła przerwę i teraz zgodziła się, żebym podał jej coś do picia, musiało jej zasychać w ustach od tego mówienia, miała atrakcyjne, jędrne czerwone wargi, jak Sigrid, ukochana kapitana Trueno, albo jakaś inna postać z komiksów dla dzieci, jeżeli ktoś mówi do ciebie dłuższą chwilę, to zawsze patrzysz na jego usta, uczniowie na usta swoich nauczycieli, słuchacze na usta prelegentów, publiczność na usta aktorów, widzowie na usta prezenterów i polityków (ci ostatni wypadają zawsze tak fatalnie). Wstałem, poszedłem do kuchni i stamtąd (niezbyt daleko, miałem średniej wielkości mieszkanie) poinformowałem ją głośno, co mam w domu do picia, tylko coca-colę, piwo, wino i wodę, kiepski był ze mnie gospodarz, bo w Londynie rzadko nim bywałem, wszystkie odwiedzające

mnie osoby, naprawdę nieliczne, przychodziły wyłącznie w tym jednym celu, żeby chwilę się mną zająć. Zaproponowałem jej także kawę, szklanę mleka albo kawę z mlekiem, gdyby miała ochotę na coś gorącego, odpowiedziała, że prosi o wino, pod warunkiem że jest białe i zimne. Przypomniałem sobie, że mam też sześć nienapoczętych butelek Sangre y Trabajadero przysłanych przez miłego starego przyjaciela z Kadyksu, ale o tej porze nie chciało mi się zabierać do otwierania zabitej gwoździami skrzynki.

– Proszę bardzo. Jak dla mnie jest zimne, nie wiem jak dla ciebie – powiedziałem, stawiając przed jej kolanami na dwóch podkładkach (jestem mężczyzną, który dba o czystość), butelkę ruländera, którą tam na miejscu otworzyłem (słabo się znam na winach) oraz nie całkiem odpowiedni kieliszek, który pozwoliła mi napełnić aż po brzeg. Jeżeli pije, bo jest spragniona, szybko się wstawi, myślałem, widząc, że nie daje mi znaku dłonią, że już dosyć. Oczko w pończosze wciąż się powiększało przy każdym jej ruchu, nawet niewielkim i delikatnym albo gdy zakładała nogę na nogę, a zakładała ją i zdejmowała często, spódnica wciąż podjeżdżała do góry, przy każdym założeniu nogi minimalnie, lecz stale, raz za razem (wreszcie obciągnęła ją sobie jednym ruchem). Wciąż jeszcze nie zauważyła postępującego zniszczenia, mimo że chyba już powinna. Jak na oczka i ich naturę, to akurat nie prezentowało się źle na jej nodze, jakkolwiek niemal na pewno za jego sprawą rajstopy będą nadawać się tylko do wyrzucenia, jeżeli nasza rozmowa potrwa jeszcze jakiś czas, ona tymczasem zapomniała już całkowicie o zapowiedzianej początkowo „tylko chwili”, możliwe, że i ja o tym zapomniałem, częściowo. Zdałem sobie sprawę, że po początkowym zdziwieniu i poczuciu, że wizyta będzie krótka, cieszę się z tych długich odwiedzin, w dodatku z psem leżącym przy nogach, bo jak psy leżą spokojnie, działają uspokajająco, dają poczucie komfortu. Pointer, chyba już w znacznej mierze wysuszony, nadal drzemał

z jednym okiem otwartym obok swojej pani. („*Sleep with one eye open, when you slumber*”, nucę czasem i przywołuję w myślach cytat). Wyglądał łagodnie, pocziwie i dobrodusznie, całkowite przeciwieństwo figlarza i łobuza.

– Ty sobie nie nalejesz? – zapytała mnie Pérez Nuix. – Nie mów, że się ze mną nie napijesz. Głupio tak pić samej. – I natychmiast przewyciężyła te opory, wychylając kieliszek do dna, jak lord Rymer Flacha w jego najbardziej zachłannych latach. Była spragniona, bez dwóch zdań, to całkiem normalne po długim marszu w deszczu, dziwne, że wcześniej nie poprosiła mnie o nic do picia. Ponownie napełniłem jej kieliszek, nie do końca tym razem.

– Później, za kilka minut sobie naleję – odpowiedziałem. – Mów dalej. – I żeby nie zabrzmiało to jak polecenie, schyliłem się i znowu pogłaskałem psa po głowie i po grzbiecie, delikatne kosteczki. Teraz nawet nie wyprostował szyi, pewnie już się do mnie przyzwyczaił i nie zwracał najmniejszej uwagi, bardzo był wyniosły ten pointer. Ludzie uważają, że jak zademonstrują przyjacielskie nastawienie do zwierząt, to wydadzą się sympatyczniejsi, mój manewr też był obliczony na taki efekt. (Jeżeli czegoś nie cierpię, to pisarzy fotografujących się ze swoimi psami albo kotami, są takich setki, chcą ocieplić swój wizerunek, a w rzeczywistości wychodzą na afektowanych i pretensjonalnych). Wykorzystałem tę przyjacielsko pochyloną pozycję, żeby przyjrzeć się z bliska udom młodej Pérez Nuix, nie przeczę, że nadal mnie pociągały. Ona udała, jak przypuszczam, że nie zauważa, nie zakryła ich ani nie odsunęła nawet o milimetr. Teraz naprawdę poczułem, że zachowuję się infantylnie jak De la Garza, ale erotyczny zachwyty poprzedzający seks zawsze jest infantylny, nic na to nie można poradzić.

– Nie wiem, na czym wreszcie stanęło, prawdopodobnie podjęto takie działania, tyle że po kryjomu i z mniejszym rozmachem, niż planowano –

wróciła do przerwanej wątku, wychyliwszy przedtem, również duszkiem, połowę drugiego kieliszka: miałem nadzieję, że nie zacznie jej się plątać język. – Bo wkrótce potem nadszedł jedenasty wrzeźnia i począwszy od tego dnia nikt już nie był zbyt cenny. Ale te działania, szczególnie jeżeli istotnie do nich doszło, nastąpiły za późno i nie wprowadziły nic nowego, jedynie nadały formalny charakter czemuś, co toczyło się już od wielu lat bez udziału i prawie bez wiedzy szefostwa, to znaczy niby o tym wiadano, ale towarzyszyła tej wiedzy bierność i udawanie, że nikt nic nie wie, brak zainteresowania i patrzenie przez palce. Gdy już minął długi okres rozprężenia po upadku Muru, ci agenci, którzy mieli najmniej roboty, zaczęli sobie wynajdywać klientów zewnętrznych, jednorazowych i nie tylko, każdy w ramach swoich możliwości i w swojej specjalizacji. Kilku, którzy poczuli się odstawieni na boczny tor, po prostu zrezygnowało z pracy, mówię o tych, którzy mogli całkiem się wypisać (to nie jest takie łatwe, a bywa, że wręcz niemożliwe, wszystko zależy od zakresu twoich poprzednich obowiązków). Jednakże większość nie mogła albo zwyczajnie nie chciała i pozostając w służbach, zaczęli równocześnie pracować tu i tam, a zatem służyć różnym panom. Oferowali swoje umiejętności temu, kto wylicytował najwyżej, albo przyjmowali najlepiej płatne zlecenia. A kto jest zainteresowany zatrudnianiem agentów, jacy ludzie albo jakie prywatne instytucje? Tak, niektórym przypadła w udziale robota detektywów, zebrać dowody zdrady, wysledzić defraudację albo malwersację, ściągnąć dług; albo robota ochroniarzy sław show-biznesu lub potentatów przemysłowych przy okazjach jakichś wydarzeń publicznych. Inni pomagali trochę albo dużo swoim dawnym kolegom, którzy stali się najemnikami, było takich całkiem sporo, nigdy nie brakuje roboty w Afryce. Krąg zleceń stale się poszerzał, z czasem szeregowi agenci działający w terenie zaczęli je proponować, a potem załatwiać agentom średniego szczebla i wyobrażam sobie, że w okolicach dwa tysiące pierwszego roku ci z kolei zdołali już

przekonać swoich szefów do zalet pracy nie tylko na rzecz państwa. Z całą pewnością przez owych siedem albo osiem lat, gdy trwał ten długi antrakt bez zasadniczego wroga, powstała równoległa siatka rozmaitych klientów, najróżniejszych. Z pewnością nieraz agenci MI5 i MI6, nieświadomie albo świadomie, albo nie chcąc tego wiedzieć, lecz wyczuwając to intuicyjnie, świadczyli usługi przestępcom, a nawet przestępczości zorganizowanej, a możliwe, że na końcu tego łańcuszka, schowane w głębokim cieniu, były obce rządy. To całkiem możliwe, nikt tego nie wie ani nie stara się dowiedzieć, bo dzisiaj nie ma spraw klarownych i wszystko jest pogmatwane. Człowiek przyzwyczajają się nie zadawać pytań tym, którzy mu płacą, a poza tym prawie wszystko załatwia się i omawia przez pośredników i figurantów. Gdyby trzeba przeprowadzać najpierw śledztwo i ustalać, kto się skrywa za każdym poruczeniem, to robota nigdy by się nie zaczęła ani nie skończyła i cały interes by się nie opłacał.

Młoda Pérez Nuix przerwała i dopiła resztę drugiego kieliszka. Zawahałem się, ale – nie dotykając butelki – przez uprzejmość zamarkowałem ruch, jakbym chciał znowu jej nalać. Nie zauważyłem co prawda, by mówiła bełkotliwie albo żeby plątał jej się język, lecz w każdej chwili mogła stać się nieskładna lub senna, pijąc w takim tempie, a ja chciałem wysłuchać wszystkiego do końca. Na razie jednak nie wykazywała takich objawów, musiała być przyzwyczajona do picia wina. Wyrażała się precyzyjnie i jak osoba odcytana i wykształcona, nie umknęło też mojej uwadze, że używała rzadkich słów, takich jak „*arrumbados*”, odstawieni na boczny tor, „*encomienda*”, poruczenie, „*rasos*”, szeregowi. Być może, choć miała hiszpańskiego ojca, należała do tych Anglików, którzy nauczyli się hiszpańskiego raczej z książek, niż posługując się nim na co dzień, i ich hiszpański zawsze brzmi książkowo. Wstałem zatem i nie czekając, aż odpowie „tak” czy „nie” na mój gest markujący pytanie, oznajmiłem:

– Przyniosę sobie kieliszek, teraz już chętnie się napiję. – A potem pozwoliłem sobie na przestrożę albo uwagę: – Nie wiem, czy to mądre pić trzy kieliszki wina jeden po drugim. To picie po angielsku, nie po hiszpańsku. Tak czy owak, przyniosę coś do podgryzania.

Kiedy wracałem, niosąc kieliszek dla siebie, oliwki i chipsy w dwóch oddzielnych miseczkach, przyłapałem ją na uważnym studiowaniu lecącego oczka. Nim wszedłem do pokoju, z głębi korytarza, niewidoczny dla niej – stałem i podpatrywałem ją kilka sekund: jedna, dwie, trzy i cztery – zobaczyłem, jak się przygląda oczku i ostrożnie przesuwając wzdłuż niego palcem wskazującym (może palcem poślinionym, a może z odrobiną lakieru do paznokci, dawny sposób kobiet na to, by oczko nie leciało dalej, może rajstopy wytrzymają przynajmniej do powrotu do domu; chociaż było już za późno, żeby zatrzymać oczko). Gdy znowu przed nią stanąłem, siedziała już ze skrzyżowanymi rękami i z nogą założoną na nogę i co dziwne, nie nawiązała w żaden sposób do tego defektu: byłby to przecież dobry moment, żeby się zdziwić, zmartwić, a nawet gdyby chciała, przeprosić za teoretycznie niechlujny wygląd z powodu dziury w rajstopach, aczkolwiek dla mnie to nie był nieprzyjemny ani krępujący widok, powiedziałbym nawet, że bawiło mnie dyskretne obserwowanie, jak oczko się powiększa. Zastanawiałem się, jak długo zamierza udawać, że nic nie zauważa, i dlaczego to robi, już nie dawało się tego ukryć. I wtedy, pierwszy raz owej nocy i pierwszy raz w ogóle, przyszło mi na myśl, że ona nie tylko nie spisuje mnie na straty, lecz że bez jednego słowa, dotknięcia i spojrzenia – spoglądała na mnie tylko wtedy, gdy do mnie mówiła, jakby to spojrzenie było neutralne, służyło tylko temu, o czym mowa – daje mi do zrozumienia, że może dojść do tego, do czego w końcu doszło, znacznie później i nieoczekiwanie, mimo naszej uporczywej bliskości w moim łóżku, które nie było znowu takie szerokie: rozdzieranie się jedwabiu czy nylonu jako porównanie, obietnica albo zapowiedź; powiększająca się długość

i szerokość tego rozdarcia, fakt, że ona nie starała się temu zaradzić albo przeciwdziałać, nie poszła do łazienki, żeby zdjąć rajstopy albo nawet je zmienić (znam kobiety, które zawsze mają w torebce drugą parę na zmianę, na przykład Luisa), że pozwoliła oczku lecieć coraz dalej i odsłaniać coraz większą powierzchnię uda, a wkrótce pewnie i przedniej strony łydki – nigdy nie wiedziałem, jak się nazywa i czy w ogóle ma jakąś nazwę, może goleń albo piszczel, żadne z tych słów nie wydaje się odpowiednie – aczkolwiek tę część nogi zakrywały botki, które przecież wcześniej, gdy tylko ich właścicielka weszła przemoczona i usiadła, też rozsuwały się na chwilę, suwak w dół i suwak w górę; tak, lecące w rajstopach oczko, jak suwak bez ząbków, prymitywne i niezależne, i nieokiełznane, z dodatkowym łobuzerskim smaczkiem czegoś, co istotnie się rozdziera, tyle tylko że w tym rozdzieraniu nie ma udziału ani moja, ani niczyja inna ręka, materiał rozdziera się samoistnie, a przecież wciąż przylega do nogi, zakrywając i odkrywając ją zarazem i podkreślając kontrast, odkryta powierzchnia ciała zwiększa się w obu kierunkach, na dół i do góry, ku delikatnemu kolanu i ku górnej części uda, a my, mężczyźni, wiemy niemal wszyscy, co się skrywa albo co się rozwiera tam, w górze, gdzie kończy się kobiece udo. (Miałem to coś – ciemny stożek – dostrzec później niechcący w damskiej toalecie w dyskotecie i usłyszeć zuchwałę: „*You come and see*”, czyli „Chodź i sam zobacz”).

Poczułem się lekko zawstydzony, niemal zażenowany, że takie myśli chodzą mi po głowie, że je myślę. Były całkowicie niestosowne, dopadły mnie dość nieoczekiwanie, cały problem w tym, że jak już coś przychodzi na myśl, to nie sposób udawać, że nie przyszło, i bardzo trudno to przegonić i wymazać, cokolwiek to jest: ktoś, kto obmyśla zemstę, najprawdopodobniej postara się jej dokonać, a jeśli z bojaźliwości lub służalczej duszy nie jest do tego zdolny albo musi długo czekać na sprzyjające okoliczności, wtedy najpewniej będzie już żył z tą myślą i ona



swoim nocnym pulsowaniem zatruje mu czujny sen; jeśli ktoś poczuje do kogoś nagłą wrogość, byłoby dziwne, gdyby nie przybrała ona kształtu intryg i obmawiania, i działań w złej wierze, takich, co mają zaszkodzić albo czekają przyczajone na właściwy moment, dysząc nienawiścią aż do chwili, gdy nadejdzie długo wyczekiwane jutro; jeżeli pojawi się pokusa miłosnego podboju, normalne, że zdobywca od razu przystąpi do dzieła i wykaże się, jeśli będzie trzeba, nieskończoną cierpliwością i pomysłowością, albo gdy zabraknie mu śmiałości, normalne, że nie zdoła odłożyć swego planu aż do odległego dnia, w którym znudzi go taka niepewność i owe teoretyczne przyszłe, a zatem pozostające tylko w sferze wyobraźni działania, i ulotni się kondensacja pragnienia uwierającego w mglistych przebudzeniach; jeżeli to, do czego dojrzewamy, to zabicie innej osoby – albo zlecenie morderstwa, tak jest dużo częściej – łatwo sobie wyobrazić, że dowiemy się przynajmniej, ile biorą płatni mordercy, i powiemy sobie, że zawsze można się do nich zwrócić, a jak nie do nich, to do ich następców, i dobić z nimi targu, przewyciężywszy wahania i przedwczesne wyrzuty sumienia; a kiedy zdarza się przypadek nagłego seksualnego pożądania, tak raptownego jak pożądanie eksplodujące w snach i może tak samo mimowolnego, trudno się od niego uwolnić, dopóki pozostaje niezaspokojone i póki mamy przed sobą obiekt pożądania, choćbyśmy nawet nie byli gotowi zrobić najmniejszego kroku w stronę tego zaspokojenia albo nie uważali go za możliwe w pozostałym nam jeszcze życiu. To, które mamy za sobą, nie ma już znaczenia dla naszych pragnień i fantazji, a nawet dla naszej chciwości. Albo naszego żalu. Jakkolwiek ma znaczenie dla naszych rachub.

Przypomniawszy to sobie u Tupry, w jego wygodnym salonie, który zapraszał do ufności graniczącej z wyciszeniem, zadałem sobie pytanie, czy tamtej nocy nie zerkałem na uda Pérez Nuix i na lecące oczko takim samym lęklwym i niedającym się powstrzymać spojrzeniem, jakim Sofia Loren

zezowała w stronę białego biustu Jayne Mansfield unoszącego się nad obrusem w restauracji, tyle że w moim przypadku we wzroku był podziw i pożądliwość, nie zazdrość i niedowierzanie. Jeżeli tak, to ona musiała to zauważyć, i to bardzo szybko (takie spojrzenia wywołują u obserwowanego stan pogotowia). Napeliłem sobie kieliszek, a młoda Pérez Nuix swój posunęła trochę w moją stronę, nie miałem wyjścia, musiałem jej nalać, żeby nie zachować się paternalistycznie ani jakbym skąpił jej wina, obie postawy są bardzo brzydkie; od razu rozpoczęła zatem swój trzeci kieliszek, pociągnęła tylko jeden umiarkowany łyk, tym razem zjadła przynajmniej dwie oliwki i jednego chipsa. Uważałem, że moje myśli są pełne pychy i głupie, a przecież miałem wewnętrzne przekonanie, że trafiają w sedno, bywa, że trafia się w sedno czymś, co jest głupie. Możliwe, myślałem, że pozwala tak lecieć temu oczku, żeby wskazać mi drogę ku nieoczekiwanej żądzy i poprowadzić mnie, ale trzeba mieć się na baczności: zamierza poprosić mnie o przysługę, jeszcze nie poprosiła o nic konkretnego, jesteśmy wciąż na etapie, kiedy jej się nie opłaca mnie rozgniewać i kiedy zaoferowanie mi czegoś, a kto wie, nawet danie mi tego mogłoby wydać jej się wskazane, choćbym ja na nic nie nalegał ani niczego nie insynuował na etapie, który będzie trwał, dopóki ja nie odpowiem „Tak”, albo „Nie”, a nawet „Zobaczę, co da się zrobić, postaram się” albo „W zamian chcę tego i tego”. Nie byłoby dziwne, gdyby ten etap się przeciągnął, potrwał nawet kilka dni, dopóki nie zrobiłbym faktycznie tego, co powiedziałem, że zrobię, dopóki nie nastąpiłyby nieodwołalne słowa lub nieodwracalne czyny, czyli coś więcej niż tylko obietnica albo zapowiedź, albo niepewna możliwość zawarta w jakimś „Pozwól mi się zastanowić” albo „Zobaczmy”, albo „To zależy”. Ale ona wciąż nie przedstawiła mi swojej prośby, nie do końca, a zatem nie nadeszła jeszcze moja kolej, żeby się wypowiedzieć, żeby na coś się zgodzić albo czegoś odmówić, żeby zwlekać, dać się prosić albo udzielać dwuznacznych odpowiedzi.

– Tak czy inaczej – zaczęła znowu dziewczyna, trzymając w ręce kolejny z moich Kareliasów z Peloponezu – gdy raz poszerzy się jakiś obszar, trudno znowu stawiać granicę, tym bardziej gdy w istocie nie ma po temu woli. Co mnie chcesz, żebym powiedziała? – Tak, Pérez Nuix znała bardzo dobrze oba języki, ale od czasu do czasu wymykały jej się jakieś dziwaczne anglicyzmy: na przykład „*Qué me quieres que diga?*” od angielskiego „*What do you want me to say?*”, gdy używała mojego albo naszego wspólnego języka. – Uchyłasz odrobinę drzwi i już nie możesz ich zamknąć, jeśli na zewnątrz hula wichur. Coś, co rośnie, nie ma ochoty się zmniejszać, lecz chce się powiększać, i niemal nikt nie wyrzeka się pieniędzy, jeżeli leżą na wyciągnięcie ręki, zwłaszcza gdy raz już po nie sięgnął i zdążył się przyzwyczaić, że je ma. Agenci działający w terenie byli pionierami w przyjmowaniu zleceń z zewnątrz w czasie tamtego wyhamowania działalności, tak to nazwijmy, chociaż określenie nie jest precyzyjne, nawet dzisiaj, kiedy znowu pracują na pełnych obrotach, wcale nie dostają ogromnych pensji, nie myśl sobie, większość nie zarabia więcej niż ty albo ja, albo takie mają odczucie, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, na jakie czasem się narażają, i czas, jaki muszą poświęcić, żeby zdobyć każdą najmniejszą informację. Wielu ma przecież dzieci, wielu ma długi, często są w podróży i nie zawsze na koszt firmy. Muszą skrupulatnie rozliczać się z wydatków, a to bywa niemożliwe: czy można dostać pokwitowanie od kogoś, komu dajesz w łapę albo płacisz mu za poufną informację, od zdrajcy, donosiciela, kreta, kogoś, kto robi dla ciebie jakąś brudną robotę, kto cię kryje albo ukrywa, nie wspominając o płatnych mordercach, których wynajmuje się doraźnie, żeby samemu ocalić skórę albo usunąć z drogi przeszkody, albo od kogoś, komu płacisz za darowanie ci życia, trzeba mu dać więcej, niż dał mu ten, kto kazał cię zabić, taki rodzaj licytacji. Czy tacy ludzie dają pokwitowanie? Ta cała biurokracja rachunkowa jest nieracjonalna, absurdalna, przynosi skutki

odwrotne do zamierzonych, w niczym nie pomaga, to prawdziwa kula u nogi, wciąż rośnie wśród tych ludzi niezadowolenie, mają poczucie, że robią dużo więcej, niż przyznaje góra, że paprzą się w brudzie i często wiodą pieskie życie, żeby chronić obywateli, którzy nie tylko nic nie wiedzą o ich poświęceniu, bohaterskich wyczynach, a i okrucieństwie czasem, lecz z definicji i z zasady nie znają nawet ich nazwisk. Nie znają ich nawet wtedy, gdy ci ludzie giną na służbie, ujawnianie nazwisk jest zabronione, sam wiesz, choćby od dziesięcioleci wachali już kwiatki od spodu. Ludzie wpadają w depresję i codziennie pytają samych siebie, po co w tym tkwią. Nie działają bezinteresownie albo nie są po prostu patriotami, którym wystarczy, że to, co robią, robią dla swego kraju i nikt inny nie musi o tym wiedzieć, ani ich przyjaciele, ani sąsiedzi, ani – a tak jest najczęściej – rodziny. Taka postawa jest właściwa innym czasom albo czasowi pewnej niewinności, który szybko mija. Możliwe, że niektórzy są tacy na początku, kiedy się zaciągają; zapewniam cię jednak, że taka wewnętrzna satysfakcja nie wystarczy na długo, nadchodzi dzień, w którym każdy pragnie sukcesu i wdzięczności, poklepania po plecach, pochwały, żeby wymieniono jego nazwisko i wspomniano o zasługach, choćby tylko w wewnętrznym komunikacie firmy, dla której pracuje. A skoro tego brak, chcą przynajmniej pieniędzy, odrobiny luksusu, chcą móc się zabawić po pracy, wyposażyć jak najlepiej dzieci, kupić porządne prezenty żonom albo mężom, móc sobie pozwolić na kochanków i ich przy sobie zatrzymać, jak się nie ma zbyt wiele czasu dla innych, trzeba ten brak zrekompensować, a rekompensata to kasa, zabawa kosztuje, robienie przyjemności kosztuje, chwalenie się kimś kosztuje, bycie kochanym kosztuje. Ci ludzie chcą tego co wszyscy w świecie, w którym nie ma już dyscypliny, nie obchodzi ich więc za dużo, od kogo dostają dodatkowe zlecenia. A ponieważ szefowie wcale nie chcą mieć wrogów w agentach, bo od nich zależą, nie przywiązują wagi do tych obcych zleceń, gdy już się o nich dowiadują,

a niektórzy sami przemierzają potem tę samą drogę. Jak ci się wydaje, dlaczego i ty, i ja tak dużo zarabiamy, to znaczy relatywnie dużo? To nie jest dużo dla agenta pracującego w terenie, który długi czas może przebywać poza domem, bywa wystawiony na ciężkie próby, a nawet ryzykuje własne życie i prawdopodobnie, w skrajnych przypadkach, musi decydować o pozbawieniu życia innego człowieka. Jednakże to jest dużo jak na to, co my robimy, jak na to, gdzie i jak to robimy, nie mamy sztywnych godzin pracy, nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, pracujemy dość wygodnie, ukryci za szybą i nie zaharowując się. – Znowu przyszło mi na myśl, że posługuje się bogatym słownictwem w porównaniu z tym używanym powszechnie w Hiszpanii, niewątpliwie jest to słownictwo kogoś, kto czyta literaturę wysokich lotów, nie niskich, jak ta dzisiejsza, byle ignorant może wydać powieść i od razu wychwalają ją pod niebiosa. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Pérez Nuix tyle i tak długo mówiła, jakbym teraz poznawał ją na nowo, to drugie wrażenie było równie zaskakujące jak pierwsze. Przerwała na chwilę, pociągnęła kolejny mały łyżeczek i dokończyła: – Jak ci się wydaje, dlaczego Bertie może żyć na takim wysokim poziomie i tyle mieć? Oczywiście, że wszyscy pracujemy dla prywatnych prywatnych osób, od czasu do czasu, świadomie albo nieświadomie, możliwe, że częściej, niż nam się wydaje, już ci mówiłam, że w gruncie rzeczy to nie nasza sprawa, po prostu dostajemy polecenia. Poza tym dlaczego mielibyśmy nie pracować, nie wykorzystywać swoich umiejętności? Przecież to wszystko jedno, Jaime, od wielu lat tak się dzieje na wszystkich szczeblach i to naprawdę nie ma większego znaczenia. Możesz być pewien, że niczego istotnego to nie zmienia, nie zwiększa też zagrożenia dla bezpieczeństwa obywateli. Wprost przeciwnie. Możliwe, że wprost przeciwnie. Cóż, im więcej jest fortepianów, na których gramy, w im więcej spraw wtrącimy swoje trzy grosze, tym jesteśmy lepiej przygotowani do ochrony obywateli.

Milczałem przez chwilę, nie mogłem się powstrzymać, żeby znowu nie zerknąć z ukosa jak Sofia Loren na powiększające się wciąż oczko. Zdało mi się, że mało brakuje, by rajstopy całkiem się podarły, wtedy trzeba je będzie zdjąć, ciekawe, co się stanie.

– Rozumiem, że James Bond to agent działający w terenie, tak? – powiedziałem nieoczekiwanie, przynajmniej dla niej, bo zaskoczona uśmiechnęła się mimowolnie i odpowiedziała ze śmiechem:

– Oczywiście. Dlaczego?

– Nie wiem, ale facet szasta pieniędzmi na prawo i lewo i nigdy nie miałem wrażenia, żeby robili mu jakieś problemy z kasą.

Młoda Pérez Nuix znowu się roześmiała, może nie tylko przez uprzejmość, może mój prosty żarcik naprawdę ją rozbawił. Czy to z powodu wina, czy dlatego, że czuła się swobodniej i nabierała pewności siebie, jej śmiech, jak zauważyłem, pojawiał się naturalnie, nie skąpiła go, zupełnie tak samo jak Luisa, gdy miała dobry humor albo coś ją zaskoczyło. Nie była to dla mnie nowa strona jej osobowości, zwróciłem już na nią uwagę w budynku bez nazwy i przy okazji jakichś wieczornych wypadów z Tuprą i z innymi, jednakże w pracy wszelkie cechy czy też rysy charakteru ujawniają się w formie stonowanej: powstrzymuje się gniew i odkłada na później wesołość, tam nie ma na nie miejsca ani czasu. Przez ten śmiech postępowano zniszczenie uszkodzonej już części jej garderoby.

– Nie zapominaj – odparła – że żaden prawdziwy agent nie miał nigdy do dyspozycji fortuny Fleminga ani wsparcia rodziny Broccoli. A bez tego wszystko jest trudniejsze, bardziej skąpe i prozaiczne.

Powiedziała to tak, jakbym powinien był wiedzieć, kim jest ta rodzina o nieco komicznym nazwisku, jeżeli to istotnie było nazwisko (tak, *broccoli* po włosku znaczy właśnie to, co się wydaje, czyli brokuły, i wcale nie jest lepiej ze znaczeniem przenośnym, najbliższym odpowiednikiem byłoby chyba słowo „buraki”). Nie miałem pojęcia, kim byli.

– Nie wiem, co to za jedni – wyznałem, nie udając mądrali. Z pewnością w Anglii byli znani mimo ewidentnie włoskiego pochodzenia, ale ja nigdy o nich nie słyszałem.

– Albert Broccoli był przez dziesięciolecia producentem filmów o Bondzie razem z facetem o nazwisku Saltzman. Przy tych najnowszych w ich miejsce pojawiają się Barbara Broccoli i niejaki Tom Pevsner. Przypuszczam, że musi chodzić o córkę Alberta, a on sam chyba już nie

żyje, zdaje mi się, że kilka lat temu widziałam nekrolog. Ta rodzina na pewno dorobiła się fortuny, filmy o Bondzie zaczęły się, chociaż trudno w to uwierzyć, już w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku i wciąż powstają nowe, staram się żadnego nie przegapić.

Muszę zapytać Petera, pomyślałem, zanim mi zemrze, i zdziwiłem się od razu tą swoją obawą i że w ogóle przyszło mi to na myśl: pomimo jego zaawansowanego wieku nie wyobrażałem sobie nigdy świata bez niego albo jego bez świata. Nie należał do tych starców, którzy mają swoje bliskie odejście wypisane na twarzy, zauważalne w sposobie mówienia albo poruszania się. Przeciwnie. Zarówno młodzieniec, jak i mężczyzna w sile wieku, jakim kiedyś był, wciąż w nim trwali i wydawało się niemożliwe, by mieli kiedyś przestać istnieć wszyscy naraz, i to z powodu absurdalnej kumulacji czasu, to naprawdę bez sensu, żeby właśnie czas o wszystkim decydował i wszystkim rządził, gdy powinna decydować wolna wola. Albo jak powiedział wiele lat wcześniej brat Petera, Toby Rylands: „Kiedy się jest chorym, podobnie jak kiedy jest się starym lub stroskanym, różne rzeczy dzieją się w połowie z naszej woli, a w połowie z woli czegoś innego, po równo. Nie zawsze wiadomo, do kogo należy ta część woli, która już nie jest nasza. Do choroby, do lekarzy, do lekarstw, do poczucia niepokoju, do wieku, do minionych czasów? Do tego, kim już nie jesteśmy... kto ją ze sobą zabrał?”. „Do naszej twarzy wczoraj – mogłem wtedy dodać – zachowamy ją dopóty, dopóki będziemy w pamięci innych albo ktoś zaciekawiony będzie przystawał, żeby popatrzeć na nasze fotografie, ale nadejdzie też taki dzień, kiedy wszystkie twarze staną się trupimi czaszkami lub prochem i wtedy to nie będzie miało znaczenia, wszyscy będziemy tacy sami, my i nasi wrogowie, ludzie, których najbardziej kochaliśmy, i ci, których nienawidziliśmy z całych sił”. Tak, powinienem był zapytać Wheelera o tamte książkowe dedykacje Iana Fleminga, szczęściarza i pechowca, który odniósł wielki sukces, ale tylko



kilka lat mógł się nim cieszyć, powinienem był zapytać o to, w jaki sposób się poznali i jak dobrze się znali, „...*who may know better. Salud!*” – tak napisał Fleming w egzemplarzu Wheelera w 1957 roku. Odkąd zacząłem pracować z Tuprą, brakowało mi czasu, żeby jeździć do Petera do Oksfordu, a może wcześniej miałem za dużo czasu i nastrój bardziej ponury, moje odwiedziny u niego zawsze pozwalały czas wypełnić, a nastrój poprawić. Pilnowaliśmy jednak tego, by co najmniej raz na dwa tygodnie uciąć sobie pogawędkę przez telefon. On wtedy pytał, jak mi się układa z nowym szefem i kolegami, i w ogóle w tej nowej niesprecyzowanej pracy, ale nie domagał się szczegółów ani nie wypytywał o bieżące działania grupy, czyli analizowanie osób i interpretowanie ludzkich losów. Może lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak zasadnicza była moja rezerwa, a może nie musiał wypytywać, miał bezpośrednią linię z Tuprą i był na bieżąco z moimi głównymi zadaniami, z moimi postępami i regresami. Czasami jednak miałem wrażenie, że wcale nie chce się wtrącać, ciągnąć mnie za język, a nawet słuchać, gdy sam zaczynałem mówić o czymś związanym z moją pracą, jakby nie chciał wiedzieć albo mi zazdrościł i żałował, że jest poza – to możliwe, skoro wewnątrz był cudzoziemiec, ktoś obcy jak ja – albo jakby czuł się odrobinę rozżalony, że częściowo stracił moje towarzystwo i sam się do tego przyczynił jako pośrednik, poprzez swoje intrygi i wpływy. Nie dostrzegłem nigdy ani odrobiny gniewu, wyrzutów czynionych sobie ani pretensji z powodu mego oddalenia, było to raczej coś, co przypominało zmieszane ze sobą strapienie i dumę lub wstrzymywany żal i tłumioną satysfakcję, jak często zdarza się ludziom wpływowym, gdy emancypują się ich protegowani, albo mistrzom, gdy widzą, że uczniowie przerośli ich odwagą, talentem lub sławą, mimo że obie strony udają, że tak nie jest ani za ich życia nigdy nie będzie.

Przy całym swoim zdystansowaniu wobec owej grupy, do której sam kiedyś należał, w innych odległych czasach, zawsze najbardziej wypytywał

o Pérez Nuix. Nie byłem pewien, czy to dlatego, że Tupra tak często wychwalał jej zalety („Ma u siebie bardzo kompetentną dziewczynę, półkrwi Hiszpankę – tak wyraził się o niej Wheeler, gdy ja jej jeszcze nie znałem – nigdy nie pamiętam, jak się nazywa, Tupra mówi, że z czasem będzie najlepsza ze wszystkich, jeżeli tylko uda mu się ją zatrzymać. – I dodał, jakby znał jeszcze inny podobny przypadek: – To jeden z największych problemów, większość szybko ma dosyć i odchodzi”), czy też Wheeler pomyślał kiedyś, że mógłbym się związać z tą dziewczyną i tym samym położyć kres memu uczuciowemu wyjałowieniu oraz seksualnym harcom, w istocie dużo rzadszym, niż jemu się wydawało, starsi ludzie chętnie uważają za rozwiązłych – to znaczy cieszących się powodzeniem, skutecznych – wszystkich, których widzą jako wciąż jurnych, a zatem młodych. Wheeler widział, że mijały kolejne miesiące, a sytuacja z Luisą nie poprawiała się tak, jak on by sobie tego życzył – nic nawet nie drgnęło, nic się nie poruszyło, choćby drzwi miały zatrzaskać się jeszcze mocniej niż wcześniej, ale dopóki pozostawałyby lekko uchylone, istniałaby przynajmniej lekka niepewność – tak więc gdy w naszych rozmowach pojawiała się imię kobiety, on ze swego oddalenia, po omacku, jeśli nie na oślep, z pewną prostodusznością i pełnym uszanowania paternalizmem podejmował się delikatnie roli swata. A imię Patricii Pérez Nuix pojawiała się siłą rzeczy najczęściej i przez dłuższy czas.

„Dobrze się rozumiecie? Jest między wami jakaś koleżeńska więź? – spytał mnie przy jakiejś okazji. – Wbrew temu, co się sądzi, z osobą przeciwnej płci najlepiej mieć relację koleżeńską, tędy prowadzi najlepsza droga do podbojów, a i dalej też”. Przy innej okazji wypytywał o jej zdolności: „Zaciekawia cię to, co ona mówi, jej punkt widzenia, elementy, na jakie zwraca uwagę? Jest tak dobra, jak twierdzi Tupra? Dobrze się przy niej czujesz?”. A za trzecim razem był nawet bardziej bezpośredni albo

ciekawski: „Ładna z niej dziewczyna? Znaczy poza tym, że jest młoda. Pociąga cię?”.

A ja za każdym razem odpowiadałem, nie wrywnie, lecz grzecznie: „Tak, jakaś więź kiełkuje, znaczy nie jest wykluczona. Ale jeszcze jest wcześnie, jeszcze nie byliśmy w sytuacji, w której jednoznacznie byłaby potrzebna wzajemna pomoc, żeby jedno wyciągnęło drugie z jakiejś opresji albo kłopotu, takie rzeczy tworzą dobrą koleżeńską relację. Albo długotrwałe przyzwyczajenie, niedostrzegalny upływ czasu”. A potem: „Tak, jest dobra, widzi dużo i jest spostrzegawcza; ma wyważone sądy, nie upiększa, nie wymyśla ani się nie popisuje; tak, dobrze się z nią pracuje, nie irytuję się ani nie nudzę, gdy przychodzi mi robić interpretację tej samej osoby co ona, słucham jej zawsze z przyjemnością i ochotą”. I później: „Tak, jest dość ładna, aczkolwiek nie przesadnie. Ale ma poczucie humoru, jest konkretna i chętnie się śmieje, co często jest najbardziej pociągające u kobiet. Nie podoba mi się aż tak bardzo, żebym miał zadawać sobie trud, od którego już się odzwyczaiłem, albo podejmować jakieś kroki w tym kierunku, ale na pewno nie kręciłbym nosem, gdyby okazja nadarzyła się sama”. Pamiętam, że całe to zdanie powiedziałem po hiszpańsku, w innych językach nie ma wyrażenia, które mogłoby się równać z hiszpańskim „*no hacer ascos*”, jakkolwiek „nie kręcić nosem” znaczy właściwie to samo, a potem dodałem: „To tylko hipoteza: nie myślę o tym, nie rozważam takiej możliwości. To byłoby nie na miejscu, ona jest ode mnie dużo młodsza. Teoretycznie nie powinienem do niej startować”.

Na to Wheeler szczerze się zdziwił:

„Ach tak? Od kiedy to wyznaczasz sobie granice? Od kiedy sam sobie nakładasz pęta? Jeśli się nie mylę, jesteś młodszy niż Tupra, a z tego co wiem, on sobie jeszcze granic nie wyznacza, ani na tym polu, ani na żadnym innym”.

Możliwe, że mówił tylko ogólnie, a możliwe, że w odniesieniu do romansu między Tuprą i Pérez Nuix. Podejrzywałem, że kiedyś do takowego doszło i jego słowa tylko wsparły moje podejrzenia.

„Nie wszyscy jesteśmy tacy sami, Peter – odparłem. – A my, mężczyźni, im jesteśmy starsi, tym bardziej się od siebie różnimy, czyż nie tak? Pan powinien to wiedzieć. Tupra i ja jesteśmy bardzo różni. Pewnie zawsze się różniliśmy, od dzieciństwa”.

On jednak nie zwrócił uwagi na moje słowa albo uznał je za żart.

„Och, daj spokój. Nie dam sobie wmówić, że nagle stałeś się nieśmiały, Jacobo. Albo że masz kompleks swego wieku i nabrałeś skrupułów. Jakże ma znaczenie dziesięć albo dwadzieścia lat różnicy? Gdy już raz dorosisz, to jesteś dorosły i tyle, różnice bardzo szybko się wyrównują. Od dorosłości nie ma już odwrotu na szczęście, jakkolwiek są tacy, którzy nigdy nie dorastają, ani pod względem życiowym, ani intelektualnie, jest takich coraz więcej, prawdziwa epidemia, nie cierpię tego typu ludzi, a przecież wszędzie ich pełno: w sklepach, w hotelach, w biurach, a nawet w szpitalach i bankach. I nie bez przyczyny, to skutek postępowania społeczeństw, w których żyjemy. Nie rozumiem, dlaczego chcą produkować nieodpowiedzialnych ludzi. To niepojęte. Zupełnie jakby stawiały sobie za cel produkowanie inwalidów. Ile ma lat ta bystra dziewczyna?”

„Przypuszczam, że nie więcej niż dwadzieścia siedem. Dużo mniej też nie”.

„No, to jest już dorosłą kobietą, pewnie przeszła już conradowską smugę cienia albo zrobi to za chwilę. Wiesz, chodzi o wiek, w którym życie bierze się za ciebie, jeżeli ty wcześniej nie zabrałeś się za życie. O linię, która oddziela to, co już zamknięte, od tego, co otwarte, strony zapisane od białych kartek: tam zaczynają wyczerpywać się szanse, bo już nie można odzyskać tych raz odrzuconych, one są coraz bardziej stracone z każdym

kolejnym dniem. Każda data jest cieniem albo pamięcią, co sprowadza się do tego samego”.

„Tak pewnie było w czasach Conrada, Peter. Teraz większość dwudziestosiedmiolatków uważa, że jeszcze wszystko przed nimi, można powiedzieć, że wszystkie drzwi są otwarte na oścież, a prawdziwe życie jeszcze się nie zaczęło i wiecznie tylko czeka. Tę szkołę dla nieodpowiedzialnych kończy się w dużo późniejszym wieku. I jak sam pan powiedział: jeżeli w ogóle kiedyś się ją kończy”.

„Tak czy owak twój wiek z pewnością jest całkowicie obojętny dla tej dziewczyny, jeżeli się tobą interesuje albo cię polubiła. A jeśli istotnie ma takie bystre oko, jak mówicie, to nie zasnęła podczas dojrzewania ani dzieciństwa, nie tkwi tam do dzisiaj, lecz wkroczyła w prawdziwe życie, pospiesznie wdrapała się na pokład, może zmuszona okolicznościami. A jeśli jest taka przenikliwa, to na pewno nie należy do kobiet, które lubią towarzystwo bardzo młodych mężczyzn. Oni są dla niej przezroczyści, zbyt łatwi do rozszyfrowania, czyta ich historię nawet wtedy, gdy książka jest zamknięta. – Wheeler zrobił długą przerwę, taką, która oznaczała zmęczenie, szybko się męczył, rozmawiając przez telefon, nawet słuchawka ciążył rękę starca, ramię z trudem utrzymuje ją wysoko. Zanim się pożegnaliśmy, dodał: – Tupra i ty tak bardzo się od siebie nie różnicie, Jacobo. Pewne różnice są, zgoda. Ale nie ma ich tak dużo, jak myślisz albo jakbyś chciał. I postaraj się być mniej samotny w Londynie, już ci to mówiłem, mimo że teraz więcej się dzieje i masz więcej zajęć. To nie to samo”.

I oto miałem ją przed sobą, tę bystrą, nieprzesadnie ładną dziewczynę, miałem ją u siebie w domu nocą, na mojej sofie, z psem, oczkiem w rajstopach, pijącą za dużo wina, a wszystko po to, żeby poprosić mnie o przysługę, a za oknem padał deszcz miarowy, uspokajający, tak silny i ciągły, że sam jeden zdawał się rozświetlać noc niczym metaliczne giętkie

pręty albo włócznie bez końca, było tak, jakby ten deszcz wykluczył raz na zawsze bezchmurne niebo i możliwość jakiejś innej pogody, a nawet wszelki pomysł, że mogłoby go nie być, zupełnie tak samo jak uściski, gdy są chętne i czułe, i jak odraza, gdy tylko ona zostaje między dwojgiem ludzi, którzy kiedyś czule się ściskali: uściski najpierw, odraza potem, zwykle taki jest porządek rzeczy, nie na odwrót. Miałem przed sobą młodą Pérez Nuix, prawdopodobnie najlepszą z nas – nie trzeba czekać dłużej, by to przyznać – tę, która była najbardziej spostrzegawcza i utalentowana w naszej grupie bez nazwy, tę, która podejmowała największe ryzyko i była najbardziej przenikliwa z naszej piątki, bardziej niż Tupra i bardziej niż ja i dużo bardziej niż Mulryan i Rendel, zadawałem sobie pytanie, czy ona może odgadnąć albo wiedzieć, jak zareaguję i co odpowiem, gdy w końcu poprosi mnie bez owijania w bawełnę o to, o co chciała prosić, przeszedłszy wcześniej szmat drogi, przemoczona mimo parasola. I pomyślałem, że niewątpliwie wszystko rozważyła, ma swoje rachuby, swoje przewidywania i prognozy, że z pewnością wie to, czego ja sam o sobie nie wiedziałem – może był to rodzaj przedsmaku; muszę się trzy razy zastanowić, nim coś powiem, wymknąć się jej przewidywaniom albo rozmyślnie dowieść, że są błędne, ale to było trudne, bo ja też umiałem przewidzieć, kiedy i do jakiego stopnia rozmyślnie i dalekowzrocznie wymknę się jej przewidzianym przez siebie przewidywaniom. Tym sposobem mogliśmy się nawzajem całkowicie anulować i nasza rozmowa nie miałaby wówczas w sobie nic z prawdy ani z sensu, jak i wszystko inne, co byśmy zrobili. Gdy siły rozkładają się równo, składa się broń: odrzuca się na bok włócznie i opuszcza tarczę, by cisnąć ją na murawę, miecz wbija się w ziemię, a hełm wieszka na rękoności. Lepiej odpocząć i nie starać się uprzedzić samego siebie, a tym bardziej nie działać przeciwko własnym interesom; lepiej nie zachowywać się sztucznie i – pamiętając, że na końcu mogę powiedzieć

„Tak” albo „Nie” – napić się trochę więcej wina spokojnie i beztrąsko i nadal kierować tą rozmową.

– Broccoli, Saltzman, Pevsner, to wszystko obce nazwiska, chcę powiedzieć: niebrytyjskie. Uderzające, prawda? To trochę dziwne, żeby producenci Bonda byli z pochodzenia Niemcami albo Włochami. – Tak się odezwałem, pociągając łyk wina i dając upust swoim zainteresowaniom onomastyczno-geograficznym, nie ponaglając jej, by przeszła do rzeczy. Oni też musieli być fałszywymi Anglikami, członkowie tych zamożnych rodzin. Z jakiejś przyczyny było takich całkiem sporo. – Nawet jeśli mają tutejsze obywatelstwo albo tu się urodzili, na moje ucho to fałszywi Brytyjczycy.

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc, że fałszywi, przecież to najzupełniej normalne. Pokutuje takie mylne przekonanie, że nie ma tu mieszanki rasowej albo że cudzoziemcy mieszkają tu od niedawna, jak ten gość, Abramowicz, który przejął Chelsea, albo Al-Fayed, albo inni arabscy milionerzy. Wielka Brytania jest pełna nieangielskich nazwisk od stuleci. Spójrz na Tuprę, spójrz na mnie, na Rendela i na siebie. Jedyń wśród nas, którego nazwisko nie brzmi obco, to Mulryan, a i tak mogę się założyć, że naprawdę jest Irlandczykiem.

– Ja nie jestem Anglikiem, ja się nie liczę – wtrąciłem. – Jestem pod każdym względem Hiszpanem i mieszkam tu jedynie czasowo. Przynajmniej tak uważam, tak się czuję, choć kto wie, może się okazać, że w końcu zostanę tu na dobre. Ty za to jesteś tylko w połowie, znaczy Brytyjką w połowie, nie mam racji? Twój ojciec jest Hiszpanem. Nuix to, jak przypuszczam, katalońskie nazwisko. – Wymówiłem nazwisko we właściwy sposób, nie na kastylijską modłę, lecz tak, jakby było pisane „Nush”. Zauważyłem wcześniej, że Anglicy wymawiają je „Niux”, czyli jakby po angielsku pisało się „Nukes”.

– On rzeczywiście był Hiszpanem, ale już nie jest – odpowiedziała młoda Nukes. – A ja nie jestem nikim w połowie, jestem Angielką. W równym stopniu jak Michael Portillo, wiesz, ten polityk, o mały włos nie został kandydatem torysów na premiera, jego ojciec był hiszpańskim uchodźcą po wojnie domowej. Następny kandydat torysów, Howard, zmienił sobie nazwisko, ale z pochodzenia był Rumunem. A Irlandia już dawno temu miała prezydenta o wyraźnie hiszpańskim nazwisku De Valera, był takim samym nacjonalistą jak pierwszy lepszy O'Reilly i choć to nie do wiary, wywodził się z Sinn Féin. Potem masz braci Korda, którzy przez dziesięciolecia rządili brytyjskim przemysłem filmowym, malarza Freuda i jeszcze tego muzyka, Finziego, i dyrygenta sir Johna Barbirolliego, i tego filmowca, który zrobił „Goło i wesoło”, nie pamiętam, czy nazywa się Cattaneo, czy Cataldi. Masz Cyrila Tourneura, współczesnego Szekspirowi, i rodzeństwo poetów Dantego i Christinę Rossettich, i doktora Johna Polidoriego, ponurego przyjaciela Byrona, a Joseph Conrad? przecież naprawdę nazywał się Korzeniowski. Gielgud to nazwisko litewskie albo polskie, a przecież nikt nie mówił na scenie lepszym angielskim; Bogarde był Holendrem, potem był jeszcze ten stary aktor Robert Donat, który zagrał pana Chipsa, używał nazwiska, które było, jak sądzę, skróconą wersją od Donatello. Byli też szanowani wydawcy, jak Chatto i Victor Gollancz, i księgarz Rota. Masz lorda Mountbattena, który zaczynał jako Battenberg, a nawet Rothschildów. By nie wspominać dynastii hanowerskiej, która panuje tu od stuleci, jakkolwiek ukrywa się pod nazwiskiem Windsorów, dokonali tej zmiany całkiem niedawno, za panowania Jerzego V. Nie wiem, jest mnóstwo takich przykładów i wszyscy ci ludzie są albo byli równie brytyjscy jak Churchill albo jak Blair, albo jak Thatcher. Albo jak Disraeli, *for that matter*, premier za panowania królowej Wiktorii, a nie powiesz mi, że jego nazwisko jest szczególnie angielskie. – Zamilkła na chwilę. Była lepiej poinformowana i bardziej wykształcona,



niż myślałem, ona też musiała studiować w Oksfordzie jak tyłu innych urzędników służby cywilnej; a może to z powodu swego cudzoziemskiego nazwiska tak dobrze przyswoiła sobie podobne precedensy i z nimi się identyfikowała. Czuła się Angielką w każdym calu, dobrze to wiedzieć, nigdy nie będzie wewnątrz rozdartą; miałem nawet wrażenie, że jej reakcja wskazuje na pewien rodzaj patriotyzmu, a to już było niepokojące, w tym i w każdym innym przypadku. Wypiła do dna trzeci kieliszek; zapaliła kolejnego z moich peloponeskich papierosów i zaciągnęła się dwa razy pod rząd, jakby w końcu zdecydowała się przejść do rzeczy i jakby to były ostatnie przygotowania, odpowiednik rozbiegu, jaki często brała w myślach, gdy w biurze zamierzała powiedzieć do mnie coś więcej poza zwykłym „dzień dobry”, pojedynczym pytaniem lub odpowiedzią: wypicie wina i zapalenie papierosa oznaczało przejście do nowego akapitu. Jej ruchy (żywo gestykulowała, oznajmiając mi swoją brytyjskość i wyjaśniając, że wbrew temu, co myślę lub jakie odnoszę wrażenie, nie jest w połowie moją rodaczką) sprawiły, że oczko w rajstopach poleciało jeszcze bardziej w dół, zbliżało się do botka: u góry osiągnęło rąbek spódnicy, nie będę już widział, jak się powiększa, chyba że spódnica trochę się uniesie albo ona ją sobie podciągnie, tylko dlaczego miałyby to robić? nie można wykluczyć, że robi to przez roztargnienie, a może ja tylko tego pragnąłem. Ale spodziewany nowy akapit okazał się jedynie kropką. – Dziwna rzecz – powiedziała innym, poważniejszym tonem – bo to, o co chcę cię prosić, ma właśnie związek z Anglikami o obco brzmiących nazwiskach, jak również z córką i ojcem, tą córką jestem ja, a ojciec jest moim ojcem, dlatego to wielka przysługa. Rzecz jasna nie jesteśmy tak bogaci jak rodzina Brocollich i część problemu bierze się właśnie z tego. – Przerwała, jakby nie była pewna, czy wypada jej wtrącać żarciki, wahała się między podniosłością a lekkim tonem, prawie każdy, kto o coś prosi, wpada ostatecznie w ton podniosły w obawie, że inaczej prośba straci na swej

mocy. Przesada jest tu obowiązkowa, to od słuchającego zależy, czy złagodzi podniosłość prośby. Kłamanie i konfabulacja nie są tak obowiązkowe, jakkolwiek nie należy ich wykluczać, łatwowierność słuchacza opowieści o jakimś dramatycznym zdarzeniu lub niebezpieczeństwie może łatwo zmienić się w bezbronność. Jakkolwiek więc nie nastawiłem się na nieufność – jestem ufny z natury, dopóki nie usłyszę fałszywej nuty – zamierzałem, i owszem, zwalczać w sobie nadmierną ufność i podawać sprawy w wątpliwość.

– Powiedz mi, o co chodzi. Mów, a ja zobaczę, co mogę zrobić albo czy mogę coś zrobić. Co się przytrafiło panu Pérezowi Nuixowi, obydwie nazwiska są jego, prawda? – I ja nie unikałem protekcyjnego tonu osoby, która komunikuje, że zamierza wysłuchać, rozważyć, zastanowić się, chwilę enigmatycznie pomilczeć, potrzymać w niepewności i w końcu zgodzić się lub odmówić albo dać wykrętną odpowiedź. Człowiek zawsze ma lekkie poczucie własnej ważności, wie, że będzie z siebie równie zadowolony, odpowiadając „Tak”, „Nie” albo „Możliwe” („Jaki ja jestem dobry”, mówi sobie, albo: „Jaki jestem twardy, jaki niewzruszony, nie urodziłem się wczoraj i nikt mnie nie będzie wodził za nos”; albo: „Jeśli jeszcze nie dam odpowiedzi, będę panem niepewności”), i zachęca cierpliwie i wielkodusznie do mówienia: „O co chodzi?” albo „Słucham cię”, albo „Wytłumacz, o co chodzi”, albo groźnie i ponagląco: „Gadaj wreszcie” albo „Masz dwie minuty, nie trać czasu i przejdź do rzeczy” (albo „*Make it short*”, jeżeli mówi po angielsku, czyli „Streszczaj się”), ja owej nocy dawałem dziewczynie tyle czasu, ile chciała, deszcz za oknem nie skłaniał do pośpiechu.

– Tak, moja matka nazywała się z domu Waller. Ojciec oddzielał nazwiska dywizem – odparła, malując w powietrzu kreskę – ja tego nie robię. Jestem jak Conan Doyle. – Uśmiechnęła się, pomyślałem, że to pewnie ostatni raz na dłużej, dopóki nie wyłuszczy swojej sprawy. – Ojciec

ma już swoje lata, jestem późnym dzieckiem, z jego drugiego małżeństwa, mam przyrodnie rodzeństwo, brata i siostrę, oboje są ode mnie dużo starsi, nigdy nie utrzymywaliśmy szczególnych kontaktów. Moja matka, chociaż znacznie młodsza od ojca, umarła sześć lat temu, galopujący rak. Ojciec był już wtedy na emeryturze; to znaczy o ile może przejść na emeryturę ktoś, kto zajmował się zbyt wieloma rzeczami, w większości nieproduktywnymi i mętnymi, których nigdy do końca nie porzucił. Zawsze był kobieciarzem, nadal nim jest w miarę swoich możliwości, ale kiedy zmarła moja matka, był kompletnie zagubiony, może rozstrojony, stracił nawet zainteresowanie kobietami. Było to oczywiście przejściowe, kilka miesięcy w roli niespodziewanego podstarzałego wdowca, ale szybko odzyskał wigor. Jako dziecko przeżył w Hiszpanii straszne rzeczy podczas wojny domowej i po wojnie, aż wreszcie jego ojcu udało się go sprowadzić do siebie do Anglii, mój dziadek wyjechał z Hiszpanii w trzydziestym dziewiątym i nie mógł po niego posłać aż do czterdziestego piątego, czyli dopóki w Anglii nie skończyła się wojna z Niemcami; ojciec przyjechał tu jako piętnastolatek i na zawsze pozostał rozdarty między dwoma krajami, w Barcelonie zostawił starszych braci, którzy gdy pojawiła się możliwość wyjazdu, nie chcieli już wyjeżdżać. W Londynie też mu nie było łatwo na początku, dopóki w końcu nie przetaił sobie drogi. Dobrze się ożenił, i za pierwszym, i za drugim razem; nie musiał się szczególnie wysilać, był czarującym przystojnym mężczyzną. To, że w pierwszych latach życia napotkał na swej drodze tak wiele trudności, było, jak mówił, wielką pomyłką i niesprawiedliwością losu, szybko jednak o tych trudnościach zapomniał i odbił je sobie z nawiązką. Mówił to ze śmiechem. Uważał... uważa, że człowiek przychodzi na świat po to, żeby się dobrze bawić, a kto tego nie rozumie, trafił w niewłaściwe miejsce, tak właśnie mówi. Miał wesołe usposobienie, nadal je ma, należy do osób, które uciekają od smutnych ludzi, a cierpienie je nudzi; nawet jak mają powody, by cierpieć, to szybko

się otrząsają, widzą w cierpieniu bezsensowną stratę czasu, coś jakby okres przymusowej, narzuconej siłą nudy, który przerywa bezustanną zabawę, a nawet może ją zrujnować. Bardzo przeżył śmierć mojej matki, widziałam to, cierpiał naprawdę, chwilami niemal rozpaczał, długo nie mógł się pozbierać, całymi dniami siedział zamknięty w domu, co w jego przypadku było czymś niezwykłym, bo całe życie szukał zawsze towarzystwa ludzi i rozrywki. Nie był jednak w stanie trwać w żałobie dłużej niż kilka miesięcy. Toleruje ból cudzy, a i swój własny, jako chwilową kokieterię, grę obliczoną na słowa pociechy i wyrazy uznania od innych, uważał zapewne, że trwanie w nim ponad miarę to trwanie życia, marnotrawstwo.

To było słowo, którego użył kiedyś Wheeler, a i mój ojciec także, w zupełnie innym kontekście, w odniesieniu do ludzi poległych na wojnach, szczególnie gdy wojny się kończą i widać jak na dłoni, że wszystko pozostało mniej więcej tak jak dawniej i jak mniej więcej toczyłoby się zapewne, gdybyśmy oszczędzili sobie krwawej jatki. Tak właśnie, z nielicznymi wyjątkami, postrzegamy wojny, gdy je od nas dzieli upływ czasu i ludzie nic nie wiedzą nawet o kluczowych bitwach, dzięki którym mogli przyjść na świat. Wedle ojca młodej Nuix marnotrawstwem było również poświęcanie czasu na smutek, na żałobę. Przemknęło mi przez myśl, że to jego przekonanie, choć bardziej kategoryczne, może nie różnić się tak bardzo od tego, co myśleli moi dwaj starcy: nie tylko zmarli są marnotrawstwem, na wojnie czy w czasach pokoju, marnotrawstwem jest także to, że z ich powodu pogrążamy się w smutku, pociągają nas za sobą tak, że nie dajemy sobie zgody na powrót do normalnego życia ani na to, żeby znowu cieszyć się szczęściem. Uciskają kolanem naszą pierś, ciężą ołowiem na naszej duszy.

– Jak miał na imię twój ojciec, jak mu na imię? – zapytałem, poprawiłem się od razu. Zaraziłem się od niej tym wahaniem, gdy idzie o czas, „Uważał, uważa”, „Mówił, mówi”, „Miał, ma”, zakładałem, że wymykały

jej się te niewłaściwe formy czasowników, bo ojciec już się zestarzał i było jej coraz trudniej widzieć w nim tego ojca ze swego dzieciństwa; to przytrafia się nam wszystkim, przyjmujemy, że rodzice z czasów naszego dzieciństwa byli tymi prawdziwymi, podstawowymi i nieomal jedynymi, a potem, choć ich przecież rozpoznamy i szanujemy, a nawet im pomagamy, postrzegamy ich trochę jak oszustów. Możliwe, że oni z kolei tak postrzegają nas, w młodości i w dojrzałym wieku. (Ja byłem nieobecny w dzieciństwie moich dzieci, nie wiadomo, jak długo jeszcze będę; gdyby ta nieobecność miała się bardzo przedłużyć, jedyna korzyść byłaby taka, że potem nie postrzegalibyśmy się nawzajem jak oszuści, oni mnie ani ja ich. Raczej jak wuj i siostrzeńcy, coś takiego, jakoś dziwnie).

– Alberto. Albert. Właściwie Albert. – Drugą formę imienia powiedziała po katalońsku, z akcentem na drugą sylabę, a trzecią po angielsku, z akcentem na pierwszą. Wywnioskowałem, że ostatecznie ojciec używał tej trzeciej formy w kraju, który go adoptował: pewnie tak zwracali się do niego znajomi i przyjaciele, jego druga żona w domu, i takie imię słyszała pewnie mała Pérez-Nuix, zanim jeszcze zrezygnowała z tego pretensjonalnego dywizu. – Dlaczego pytasz?

– Właściwie bez powodu. Kiedy ktoś mi opowiada o osobie, której nie znam, lepiej ją sobie wyobrażam, gdy wiem, jak jej na imię. Imiona czasem bardzo określają człowieka. Na przykład nie jest bez znaczenia, że Tupra ma na imię Bertram. – I w następnych słowach wykorzystałem to, że chwilowo to ja kontroluję rozmowę, to była próba wywołania w dziewczynie niepewności albo przynaglenia jej, mimo że nie było już pośpiechu, zdążyłem się oswoić z sytuacją i z miłą obecnością dziewczyny, mój salon z nią w środku był bez dwóch zdań dużo bardziej przytulny i dużo przyjemniejszy. – Nadal nie wiem, w jakim celu opowiadasz mi o swoim ojcu. Nie żebym nie był ciekaw, nie o to chodzi. Chętnie dowiem się o tobie również tego.

– Nie martw się, nie oddalam się od głównego wątku, a w każdym razie niezupełnie, już przechodzę do rzeczy – odpowiedziała trochę zakłopotana. Moje słowa odniosły zamierzony skutek, bardzo łatwo kogoś zdenerwować, nawet kogoś, kto się nie denerwuje. Ona taka właśnie była, podobnie jak Tupra i Mulryan, i Rendel. I ja sam zapewne, skoro przyjęli mnie do swojej grupy, jakkolwiek nie sądziłem, bym istotnie posiadał tę cnotę, chyba że nieświadomie, często zauważam, że jestem wewnętrznie kłębkim nerwów. Może zatem wszyscy udawaliśmy albo zachowywaliśmy spokój w pracy, ale poza nią nie szło nam tak dobrze. – No więc odkąd umarła moja matka... Od sześciu lat ojciec nie zna umiaru, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej potrzebuje towarzystwa i żeby się coś działo. A począwszy od pewnego wieku, choćby się było bardzo towarzyskim i uroczym człowiekiem, zapewnienie sobie obu tych rzeczy może kosztować; wydawał pieniądze garściami, odkąd matka przestała to kontrolować.

– Znaczy, że wcześniej pozwalał jej zarządzać pieniędzmi?

– Niezupełnie. Po prostu to były głównie jej pieniądze, od jej rodziny, mniej więcej stały i pewny dochód. Nie była bogata, nie posiadała fortuny, ale miała dość pieniędzy, żeby nie cierpieć niedostatku, powiedzmy, żeby przeżyć wygodnie życie albo półtora życia. On zarabiał sporadycznie. Zapalał się i wchodził w różne ryzykowne interesy, w produkcję filmową i telewizyjną, w wydawnictwa, modne bary, w mające powstać domy aukcyjne, które potem nie powstawały. Raz czy drugi mu się udało i sporo zarabiał przez rok albo dwa, ale nigdy dłużej. Inne przedsięwzięcia szły fatalnie albo ktoś go oszukał i on tracił nagle wszystko, co zainwestował. Tak czy inaczej nigdy nie zmieniał swego stylu życia ani nie odmawiał sobie rozrywek i zabaw. Matka starała się go trochę hamować, żeby nie przesadził w rozrzutności i nie zagroził jej stabilności finansowej. Sześć lat temu to się skończyło. Teraz, mniej więcej przed miesiącem, dowiedziałam się, że narobił gigantycznych długów. Zawsze uwielbiał wyścigi

i obstawianie gonitw swoich ukochanych koni; teraz jednak obstawia wszystko, bez różnicy, w dodatku poszerzył pole swego działania o Internet, gdzie możliwości są nieograniczone; często odwiedza domy gry i kasyna, miejsca zawsze pełne życia i ekscytacji, co odkąd pamiętam, pociąga go najbardziej, tak więc bywanie w nich to dla niego podstawowy sposób na zabawę bez końca, bo dla niego świat to ciągle balowanie; w dodatku żeby tam wejść, nie trzeba wkładać się w niczyje łaski ani czekać na zaproszenie, a to wielka zaleta dla człowieka już niemłodego. Potem zaczął znikać z domu na dłuższy czas i nie dawał znaku życia, po czym któregoś wieczoru, gdy w końcu sobie o mnie przypominał, odzywał się nagle z Bath albo Brighton, albo z Paryża, albo z Barcelony, albo z jakiegoś hotelu tutaj, w Londynie, w którym nasza go ochota wynająć sobie pokój, wyobraź sobie, w mieście, gdzie ma własny dom, i to całkiem niezły, a wszystko po to, żeby bardziej czuć się w środku ludzkiego wiru, spacerować po foyer hotelowym i wdawać się w rozmowy w hotelowych salonach, zazwyczaj z absurdalnymi turystami amerykańskimi, najbardziej spragnionymi rozmów z tubylcami. Dowiedziałam się także, że jeszcze kilka miesięcy temu miał od długich dziesięcioleci wynajęty na stałe mały apartament w Basil Street Hotel, zacnym, choć nie luksusowym i trochę staroświeckim hotelu, wyobraź sobie, co to za wydatek, i pomyśl, do czego wykorzystywał ten apartament, a przyjmowanie gości zawsze drogo kosztuje. Ten dług został już przynajmniej spłacony, ludzie z hotelu byli wyrozumiali i doszłam z nimi do porozumienia. Długi hazardowe nie są, rzecz jasna, spłacone, stracił nad nimi kontrolę, to częsty przypadek wśród naiwnych wielbicieli gier, którzy chcą dobrze wypaść przed nowymi znajomymi, a mój ojciec uwielbia poszerzać krąg znajomych. – Młoda Pérez Nuix westchnęła (ale bez ostentacji), zdjęła nogę z nogi i znowu założyła nogę na nogę, ale odwrotnie (ta z dołu na górę, a ta z góry na dół, zdało mi się, że słyszę lecące dalej oczko, miałem na nie baczenie),

i przesunęła swój kieliszek o cal w moją stronę. Wolałem, żeby tyle nie piła, choć wydawało się, że ma mocną głowę. Udałem, że nie zauważam, chciałem poczekać, aż zacznie nalegać albo przesunie go jeszcze bliżej mnie. – Na szczęście nie ma długów rozproszonych po wielu różnych miejscach, przynajmniej tyle. Mimo wszystko zachował resztki rozsądku, brał zawsze pożyczki w tym samym banku, a właściwie u tego samego zaprzyjaźnionego bankiera, na zasadzie półprywatnej, ten bankier był właściwie zaprzyjaźniony z moją matką, a ojca znał tylko pośrednio, dzięki małżeństwu z nią. Jednakże dżentelmen ów, Mr. Vickers, scedował kontakty z moim ojcem na innego człowieka, podstawionego, żeby to tamten, jak rozumiem, firmował pożyczki swoim nazwiskiem i żeby bank Vickersa nie mógł być z nimi nawet luźno kojarzony: podstawiony człowiek prowadził różnorakie interesy, wśród tysiąca innych rzeczy zajmował się loterią i grami hazardowymi, udzielał zatem okazjonalnych pożyczek. W przypadku ojca pieniądze zawsze pochodziły od bankiera, a podstawiony człowiek miał obowiązek przekazywać je, a potem odbierać z procentem, powiedzmy, bankowym. A ponieważ to on odpowiada przed Vickersem, więc gdy nie uda mu się odebrać długu, musi płacić z własnej kieszeni, to chyba zaczynasz rozumieć, w jakie tarapaty wpadł mój ojciec.

– Nie do końca. Mogą go zaskarżyć, tak? Czy co się wtedy robi? Nie możesz dogadać się jakoś z tym Vickersem, skoro był znajomym twojej matki?

– Nie, to nie tak, nie rozumiesz mnie – powiedziała Pérez Nuix i w ostatnich trzech słowach po raz pierwszy dało się zauważyć jakiś ślad desperacji. – Pieniądze pochodzą od niego, ale w praktyce jakby nie pochodziły. Jest tak, jakby Vickers wydał tylko polecenie: „Daj pożyczkę temu dżentelmenowi do takiej i takiej wysokości, ma ci zwrócić pieniądze z takim i takim procentem i w takim terminie. Albo niech ci nie zwraca, wszystko mi jedno: ty w każdym razie masz mi je przynieść”. Oficjalnie on



się tych pieniędzy nie dotyka, nie pożycza ich ani nie ściąga. On nie zajmuje się transakcjami, ma do tego swojego figuranta, który załatwia wszystko od początku do końca, bankier nie sprawuje nad tym kontroli; i o to właśnie mu chodzi; skutek jest taki, że odmawia wszelkiej pomocy, wcale nie chce się w to wtrącać. Nie interesuje go nawet, czy kwota, jaką otrzymuje w wyznaczonym terminie, pochodzi od dłużnika; pieniądze zwraca mu osoba, której on je wcześniej dał, tak jak powinno być. To wszystko. Reszta go nie obchodzi. Tak więc mój ojciec nie ma problemu z Vickersem, lecz z tym drugim człowiekiem, a on nie należy do takich, co idą na komisariat, żeby złożyć formalne doniesienie o przestępstwie, bo nic mu po takim doniesieniu. Nie żyjemy w czasach Dickensa, kiedy ludzie szli do więzienia za najmniejszy dług. Poza tym co by na tym zyskał? Co by zyskał na wysłaniu za kratki siedemdziesięcioletniego mężczyzny? Zakładając, że byłoby to możliwe.

– Nie mogą zająć najpierw jakichś dóbr należących do twego ojca?

– Daj spokój tym długotrwałym legalnym sposobom, Jaime, ten człowiek by ich nie użył, żeby odebrać należny dług, myślę, że Vickers i inni powierzają mu takie sprawy właśnie po to, żeby nikt nie musiał tracić czasu i wszystko kończyło się zawsze zgodnie z planem.

– A ojciec nie może czegoś sprzedać? Domu albo czegoś, co mu zostało?

– Spojrzenie dziewczyny, błysk zniecierpliwienia mimo jej gorszej albo niekorzystnej pozycji (zaczęła mnie już prosić) pozwoliły mi zrozumieć, że takie rozwiązanie nie wchodzi w rachubę, bo albo dom został już sprzedany, albo ona nie jest skłonna się zgodzić, żeby ojciec pozbył się dachu nad głową, jedynej rzeczy, która zapewnia pociechę i spokój starym i chorym, gdy przychodzi się zatrzymać, choćby wcześniej byli w ciągłym ruchu. Nie nalegałem, od razu odbiłem w bok. – No cóż, jeśli chcesz powiedzieć, że mogą go pobić albo pchnąć nożem, to i tym razem nie widzę, co mieliby na tym zyskać ten bankier i jego figurant. Zwłoki starego

człowieka w rzece. – Naoglądałeś się za dużo starych filmów, pomyślałem natychmiast. Zawsze wyobrażam sobie, jak Tamiza oddaje nabrzmiąle, poszarzałe, kołysane wodą ciała.

– Temu pierwszemu zapłaci ten drugi, więc zapomnij o bankierze, jego już w tym nie ma; on tylko to uruchomił i mimo że pieniądze pochodziły od niego, to już nie pochodzą. – Wedle tej teorii, pomyślałem, nie uruchamia niczego ten, kto prosi, tylko ten, kto przystaje na prośbę; lepiej, żebym o tym pamiętał. – Co do podstawionego człowieka, tym razem byłby stratny, ale w innych przypadkach na pewno zarabia i będzie zarabiał nadal. Nie może sobie pozwolić na precedens, na to, żeby ktoś nie dotrzymał słowa i nic go za to nie spotkało. Nic złego, mam na myśli. Rozumiesz? – I znowu ta nuta pojawiła się w jej głosie, może bardziej niż cokolwiek innego było to wstępne stadium irytacji. – Nie chodzi o to, że mieliby wyrządzić mu koniecznie jakąś fizyczną krzywdę, znaczy mojemu ojcu, chociaż tego też nie mogę wykluczyć, w żadnym razie. Tak czy owak dobiorą się do niego, to nie ulega kwestii. Możliwe, że poprzez mnie, jeżeli nie znajdą innego, lepszego sposobu na danie mu nauczki albo z ich punktu widzenia na zastosowanie przyjętych reguł, ukaranie za nieoddanie długu i wymierzenie sprawiedliwości. Nie pozwolą ujść bezkarnie zuchwałemu żeglarzowi, który chce odpłynąć bez zapłaty. Mimo wszystko najbardziej mnie martwi nie to, że sama mogę oberwać, mało prawdopodobne, żeby chcieli posłużyć się mną, wiedzą, że znam wpływowych ludzi, jestem obstawiona z różnych stron i umiem się sama bronić; nie obronię się przed pobiciem albo pchnięciem nożem, rzecz jasna, ale tego by ze mną nie próbowali, staraliby się raczej zdyskredytować mnie, żebym nie mogła dostać pracy w żadnej interesującej mnie dziedzinie, staraliby się zrujnować mi przyszłość, a zrobić to komuś młodemu nie jest wcale łatwo, świat tak bardzo się kręci, że często wszystko się odwraca. Przede wszystkim boję się tego, że to jemu wyrządzą jakąś krzywdę, fizyczną, moralną albo

biograficzną. On tak dumnie kroczy przez życie, że nie zrozumiałby, co mu się przytrafiło. To byłoby najgorsze, jego konsternacja, nie podniósłby się z tego. Nie wiem, mogą zniszczyć mu resztę życia albo mu je skrócić. Pod warunkiem, że mu go nie odbiorą, odpukuję w niemalowane drewno i trzymam za niego kciuki. – I odpukała i zacisnęła kciuki na moich oczach. – Starego człowieka łatwo całkowicie pognębić. Nie mówiąc o tym, że łatwo zabić, co nie daj Boże. – I znowu zacisnęła kciuki. – Wystarczy tylko popchnąć i leży.

Zamilkła na chwilę i zapatrzyła się w swój pusty kieliszek, tym razem jednak nie chciała go do mnie przysunąć albo o tym nie pamiętała. Dwoma palcami chwyciła nóżkę, jakby widziała w tym kieliszku swego wesołego, lekkomyślnego i kruchego ojca, wystarczy przewrócić i rozbije się na kawałki.

– A co ja mogę w tej sprawie zrobić? Gdzie tu jest dla mnie miejsce?

Od razu podniosła wzrok i spojrzała na mnie żywymi bystrymi oczyma, były brązowe i młodzieńcze, i nie obarczone jeszcze uporczywymi obrazami, które nie chcą odejść.

– Osoba, której profil przyjdzie ci sporządzić pojutrze albo popojutrze, a najpóźniej w przyszłym tygodniu – powiedziała, nie pozwalając mi niemal dokończyć drugiego pytania, jak ktoś, kto od dawna wypatruje we mgle latarni i krzyczy, gdy w końcu ją dostrzega – to ten podstawiony człowiek, nasz kłopot, t e n kłopot. Jeszcze jeden Anglik o cudzoziemskim nazwisku. Nazywa się Vanni Incompara.

Vanni albo Vanny Incompara, jak wszyscy go nazywali, powiedziała, choć oficjalnie miał na imię John, bez wątpienia był Anglikiem, nie miała pewności, czy z urodzenia – starała się teraz zgromadzić dane na temat jego przeszłości, ale ciągle natrafiała na niespodziewane luki, był człowiekiem trudnym do zdefiniowania – czy dlatego, że szybko uzyskał obywatelstwo dzięki wpływowym kontaktom albo jakiejś dziwnej sekretnej sztuczce, nie wiedziała zatem, czy był imigrantem w pierwszym pokoleniu czy w drugim, jak ona sama i Tupra, oni oboje urodzili się już w Londynie, jakkolwiek wedle jej wiedzy Tupra mógł w istocie być Anglikiem w trzecim albo czwartym, albo którymś tam pokoleniu, jego rodzina mogła mieszkać na Wyspach od stuleci. Nigdy go o to nie zapytała ani o to, skąd pochodzi jego dziwne nazwisko, nie wiedziała, czy jest fińskie, rosyjskie, czeskie, ormiańskie – może tureckie, jak przypuszczałem, a mnie wcześniej podsunął to Wheeler, gdy po raz pierwszy wspomniał mi, trochę kpiąc sobie z tego nazwiska, o człowieku, który miał się stać moim szefem, a ja wtedy jeszcze go nie znałem – czy jak nagle zasugerowała, indyjskie; prawdę mówiąc, nie miała zielonego pojęcia, któregoś dnia trzeba będzie go zapytać, on nigdy nie mówi o swoim pochodzeniu, nie wspomina o swojej rodzinie żyjącej ani zmarłej, dalekiej ani bliskiej, znaczy o krewnych – uściślając to, musiała pomyśleć o Beryl, ja oczywiście też o niej pomyślałem – jakby został wydany na świat przez jakieś samoistne pokolenie; jakkolwiek z drugiej strony wcale nie miał obowiązku o tym mówić, w Anglii ludzie mają tendencję do wypowiedania się z dużą powściągliwością, by nie powiedzieć: mętnie o swoich sprawach osobistych, on zawsze mówił o sobie bardzo ogólnie, czasem o tym, co przeżył, ale nie umieszczał tych przeżyć w konkretnym czasie ani

przestrzeni, każde przywoływał w oderwaniu od innych i bez kontekstu, jakby pokazywał nam jedynie małe fragmenty rozbitych płyt nagrobkowych.

Możliwe, że ten John Incompara przyjechał do Anglii nie tak dawno, to by tłumaczyło, dlaczego wołał, by nadal zwracać się do niego zdrobniąłą formą jego włoskiego imienia, Vanni jest zdrobnieniem od Giovanni, wytłumaczyła mi uprzejmie i po belfersku, na wypadek gdybym sam na to wcześniej nie wpadł. Tak czy inaczej o jego działalności wiadomo było dopiero od niedawna, z całą pewnością miał głowę na karku: szybko dorobił się pieniędzy – a może przywiózł je ze sobą – i kilku dość ważnych przyjaciół, a jeżeli łamał prawo, co bardzo prawdopodobne, dbał o to, by te nielegalne działania przykryć albo zakamuflować innymi w pełni legalnymi i by na te podejrzane, bardziej drastyczne albo bardziej brutalne nie było nigdy dowodów ani poszlak. Nic na niego nie było albo ona nie miała nic konkretnego, z czym mogłaby zaryzykować na przykład negocjacje w sprawie umorzenia bez większych ceregieli ojcowskiego długu. Tylko ja jej pozostałem. Vanni Incompara miał być poddany analizie, sprawdzeniu, interpretacji przez grupę i to ja miałem się tym zająć wspólnie z Tuprą. O ile wiedziała, chodziło o zlecenie pochodzące od osób trzecich, od jakiejś prywatnej prywatnej osoby, która zastanawiała się prawdopodobnie, czy robić z nim interesy, i chciała się zabezpieczyć, dowiedzieć czegoś więcej, w jakiej mierze zasługuje na zaufanie, a w jakiej może wywieść w pole, do jakiego stopnia jest stały, a do jakiego skrywa w sobie urazę albo jest cierpliwy, albo niebezpieczny, albo zdecydowany, to co zwykle. Przy okazji Incompara, gdyby nadarzyła się sposobność podczas prawdopodobnego spotkania z Tuprą, będzie może chciał zadzierzgnąć z nim znajomość lub nawet przyjaźń, bo wiedział, że Tupra ma znakomite koneksje we wszystkich niemal środowiskach i jest w stanie zapewnić mu dobre dojście do ludzi zamożnych i sławnych. Pérez Nuix nie prosiła mnie o nic

wielkiego, jak powiedziała. To byłaby wielka przysługa dla niej, ale ode mnie nie wymagałaby wielkiego wysiłku, mimo mych wcześniejszych protestów powtórzyła teraz, kiedy mi wszystko dokładnie tłumaczyła. Miałem tylko pomóc Incomparze w miarę swoich możliwości i zdając się na własny rozsądek, zaliczyć mu sprawdzian na dobry albo dostateczny; wydać pozytywną opinię o jego wiarygodności, jego stosunku do współników i sojuszników – że nie jest niebezpieczny ani zawzięty – o jego umiejętności rozwiązywania problemów i przewycięzania trudności, o jego osobistej odwadze; miałem nie zawyżać przesadnie oceny i nie dystansować się nadmiernie od tego, co dostrzeże w nim Tupra albo co ja zauważę, że on dostrzeże (nie miał w zwyczaju obszernie się wypowiadać w naszej obecności, to nam zadawał pytania, naciskał nas i tym sposobem wyczuwaliśmy intuicyjnie, w którą stronę nas prowadzi i sam zmierza), lecz niuansować i cieniować, dla mnie to przecież nic trudnego, wszystko po to, żeby nasz szef nie otrzymał obrazu oświetlonego jednostronnie i w jednym kolorze, w taki bowiem będzie skłonny powątpiewać z zasady przez jego nadmierną klarowność, w żadnym razie miałem Incomparze nie zaszkodzić. A gdybym przypadkiem zauważył jakąś ciekawą nić porozumienia lub sympatii między dwoma mężczyznami, miałem ją potem umacniać i do niej zachęcać, aczkolwiek znowu bez nacisków, dyskretnie, a nawet obojętnie; po prostu ciche echo, szept, szmer. Cichy i cierpliwy albo niespieszny i słaby szmer słów, pomyślałem, które prześlizgują się łagodnie i niemrawo bez przeszkody w postaci czujnego czytelnika albo gwałtowności i dlatego są pochłaniane biernie lub niczym podarunek, wydają się proste i niewyrachowane, nieobliczone na zysk. Jak słowa niesione i zostawiane za sobą przez rzeki w środku rozgorączkowanej nocy, gdy gorączka już opadła; to jeden z tych razów, kiedy można we wszystko uwierzyć, nawet w to najbardziej nieprawdopodobne i szalone, nawet w nieistniejącą plamę krwi, tak jak wierzy się książkom, które wtedy mówią do nas, do naszego

znużenia, somnambulizmu, do naszej gorączki i snów, nawet gdy jesteśmy całkiem przytomni albo za takich się uważamy, i książki potrafią nam wmówić, co tylko chcą, nawet to, że stanowią nić ciągłości między żywymi i umarłymi, one są w nas, a my w nich, i że nas rozumieją. A potem przypomniałem sobie, co w przybliżeniu powiedział Tupra podczas bufetowej kolacji u sir Petera Wheelera nad rzeką Cherwell w Oksfordzie: „Czasem ta chwila trwa kilka dni, a czasem rozciąga się na zawsze”.

– Ale skoro ten typ nie potrafi umorzyć długu staremu bezbronnemu człowiekowi – odezwałem się do Pérez Nuix po wspólnym kilkusekundowym milczeniu, wcześniej, kiedy jej słuchałem, podparłem sobie prawą ręką brodę i teraz nadal ją podpierałem; i uświadomiłem sobie, że ona zrobiła to samo, kiedy do mnie mówiła, oboje w identycznej pozie, jak stare małżeństwo, które mimowolnie naśladuje swoje gesty – skoro uważasz, że jest zdolny do brutalnych zachowań i najbardziej się boisz, że tak właśnie potraktuje twego ojca, i skoro w dodatku nie należy do takich, co udają, jak powiedziałaś przed chwilą („ja to wiem, znam go”, powiedziałaś), to nie wiem, jak miałbym przekonać Tuprę, żeby nie dostrzegł tego, co zobaczy jak na dłoni. Może przypisujesz mi talenty, których nie posiadam, albo nadmierne wpływy lub masz Bertrama za osobę roztrzepaną i żółtodzioba, w co nie wierzę. Jest dużo bardziej doświadczony niż ja, zna się dużo lepiej na rzeczy i jest bardziej spostrzegawczy. Pewnie bardziej niż ty także. Znaczy bardziej doświadczony. – Uściśliłem niepotrzebnie, pamiętając o wysokim zdaniu Tupry o jej umiejętnościach, przynajmniej wedle słów Wheelera, nie chciałem także umniejszać jej wartości. Ona jednak nie podchwyciła tego komplementu wyrażonego nie wprost.

– Nie, nie do końca mnie zrozumiałeś, Jaime – odpowiedziała i w jej tonie znowu dało się słyszeć poprzednią nutę desperacji lub zirytowania, ale natychmiast się pohamowała. – Nie wyraziłam się precyzyjnie, kiedy ci to

powiedziałam. Byłam z Incomparą, tak, spotkałam się z nim już dwa razy, żeby sprawdzić, na co można liczyć, co można zrobić dla ojca, żeby spróbować go ugłaskać i zyskać na czasie, dowiedzieć się, czym jest zainteresowany i czy mam w ręce jakiś atut, o którym nie wiem, i okazuje się, że mam. Jeśli ty mi pomożesz. Faktycznie, nie jest typem, który szczególnie udaje. Chcę powiedzieć, że od razu widać, jak łatwo wyzbędzie się wszelkich skrupułów, jeśli tak mu będzie wygodniej. I że prawdopodobnie jest brutalny. Nie tyle bezpośrednio (nie myślę, żeby własnoręcznie kogoś pobił), ile w wydawanych poleceniach i w podejmowanych decyzjach. Widać, że jest nieprzejednany co do raz zawartych umów, ich rygorystycznego przestrzegania, ma na tym tle swego rodzaju hopla, aczkolwiek to może być przedstawienie odgrywane na mój użytek, żeby uzasadnić nieustępliwość w tej sprawie. Rygorystycznego przestrzegania przez innych, rzecz jasna, nie przez siebie. Nawiasem mówiąc, to dziś rozpowszechniona cecha, nigdy jeszcze tak wielu ludzi nie obnosiło się dumnie z belką tkwiącą w oku. – Nie użyła, mówiąc belka, hiszpańskiego słowa „*viga*”, lecz angielskiego słowa „*beam*”; rzadko, bo rzadko, zdarzała jej się jednak taka podmiana, koniec końców była przecież Angielką, tak mówiła. – Ale w tym wszystkim nie ma nic złego, nic negatywnego ani odpychającego przy ocenie jego przydatności jako współnika. Przeciwnie, właśnie dlatego zwracają się do niego i korzystają z jego usług ludzie tacy jak Mr Vickers, przyzwoity człowiek, który po prostu nie chce zajmować się kłopotliwymi albo nieprzyjemnymi szczegółami ani o nich wiedzieć. Oczywiście, że Bertie zauważy to wszystko u Incompary, a ty nie zaprzeczysz, bo po pierwsze, i ty to zauważysz, a po drugie, nie można zaprzeczać czemuś, co jest oczywiste. Bez wątplenia Incompara jest groźnym typem (w przeciwnym razie moja sytuacja nie byłaby taka trudna) i nie chodzi o to, że on udaje, że tak nie jest: byłoby mu bardzo trudno to ukryć. Tak naprawdę nie proszę cię,



Jaime, żebyś bardzo kłamał, a już na pewno nie wtedy, gdy to nie ma sensu. Kłamstwo jest bez sensu, gdy nie jest wiarygodne. Gdy nikt w nie nie wierzy. Wybacz, że tak nalegam, ale naprawdę proszę cię o niewiele, choć sama mam do zyskania bardzo dużo.

– Co konkretnie byś zyskała?

– Vanni Incompara byłby skłonny umorzyć w zamian cały dług mego ojca.

– A konkretnie w zamian za co? – użyłem ponownie tego samego przysłówka. – Co by satysfakcjonowało tego typu? Co miałyby uzyskać i jaki byłby w tym wszystkim twój udział? Rozumiem, że mu wierzysz.

– Tak, w tym przypadku mu wierzę. Nie zawahałby się dać nauczki memu ojcu, każdemu, kto by nie dotrzymał zawartej umowy, ale jestem przekonana, że woli zaoszczędzić sobie tego kłopotu. Zgodzi się stracić te pieniądze, jeżeli dostanie w zamian coś, na czym mu zależy, kasy ma jak lodu. Wie, że ktoś zlecił naszej grupie sporządzenie jego profilu. To znaczy ktoś to zlecił Bertiemu, bo to on otrzymuje instrukcje z góry oraz większość prywatnych zleceń. Te grube. Nie wiem, kto zlecił ten profil, Incompara mi nie powiedział, ale dla nas to przecież bez znaczenia, prawda? I tak na ogół tego nie wiemy. Ktokolwiek to jest, Incomparze zależy, żeby zdobyć jego przychylność i się z nim dogadać albo zacząć robić z nim interesy, albo brać udział w jego przedsięwzięciach. Jeżeli to się uda, uzna, że spłaciłam dług, to znaczy jeśli nie odrzucą go ci ludzie, którzy go sprawdzają, to mu wystarczy. Uzna, że to dzięki mojej interwencji, mojej współpracy, przynajmniej częściowo, w stopniu wystarczającym, tak mówi, najwidoczniej nie jest siebie stuprocentowo pewien, musi znać swoje słabe strony i niechybnie uważa, że wprawne oko je dostrzeże, wszyscy tak myślimy, gdy wiemy, że ktoś nam się przygląda z lupą. Trzeba będzie poczekać kilka dni, zanim poznamy ostateczny wynik, pewnie z tydzień, tymczasem wszakże... W najgorszym wypadku uzyskałabym odroczenie

dla mego ojca. – Tak, jej hiszpański był zdecydowanie książkowy: nie pamiętała słowa „vigas”, ale bez trudu przychodziły jej takie słowa, jak „przychylność”, „niechybnie”, „wszakże”. Wzięła tę sprawę na siebie, chciała ojca trzymać od niej możliwie daleko, uwolnić go nawet od konieczności pertraktowania, przejęła jego dług i dlatego mówiła: „Uzna, że spłaciłam dług” albo: „moja sytuacja”, „moja sprawa”. Nie mówiła „my” ani „nasz”.

– Dlaczego jesteś taka pewna, że mnie to przypadnie w udziale, znaczy analizowanie tego Incompari? Może padnie na ciebie i wtedy nie będziesz miała problemu, nie będziesz musiała nikogo prosić o przysługę.

– Pracuję z Bertim już kilka lat – odparła. – Na ogół wiem, kto ma być komu przydzielony, pod warunkiem że zadanie nie jest rutynowe i że dowiaduję się o nim z wyprzedzeniem. Gdy w grę wchodzi duże pieniądze albo sprawa jest z jakiegoś powodu szczególnie delikatna. Nie wiem, na przykład gdyby trzeba zrobić profil aktualnej narzeczonej księcia (i to nas czeka wcześniej czy później), zwróciłby się do mnie, żebym mu pomogła, to znaczy przedstawiła drugi raport jako kontrast, bo tą sprawą zająłby się osobiście. Poza tym on stosuje zawiły system rotacyjny związany z naszymi cechami charakteru. Nie jest w tym bardzo konsekwentny, ale zgodnie z tym systemem i moimi rachubami wypada na ciebie. Rzecz jasna bardzo bym chciała, żeby to mnie wybrał do oceny Incompari. Jeżeli się mylę i tak właśnie się stanie, możesz być pewien, że pierwsza się z tego ucieszę, bardziej niż ty i bardziej niż on, bardziej niż ktokolwiek. To by mi ułatwiło sprawę, wolałabym nie być zależna od ciebie. Nie zawracać ci tym głowy, nie mieszać cię do tego. Miałam wiele wątpliwości, czy cię o to poprosić. Miałam je w ostatnich dniach, a i teraz, podczas całej drogi, nie raz i nie dwa chciałam już zawrócić i iść do domu. Na pewno nie mogę sama się zgłosić, okazać, że chcę zająć się kimś konkretnym, to by od razu zastanowiło Bertiego, zacząłby mnie wypytywać, obudziłoby to jego

podejrzenia, on nigdy nie unika ani nie lekceważy podejrzeń, uważa, że można je żywić wobec każdego. Nawet wobec własnej matki, jeżeli ma jeszcze matkę, nigdy nie słyszałam, żeby wspomniał o kimś z rodziny, już ci mówiłam. I jeszcze coś: z tego, co wiem, Incompara prowadzi już interesy na lewo i na prawo. Pomijając wszystko inne, Bertie z pewnością dojdzie do wniosku, że w twoim wypadku jest najmniejsze zagrożenie, że wcześniej ktoś cię odpowiednio, by tak rzec, nastawi, bo od niedawna jesteś w Londynie.

Przyjrzałem się jej i napełniłem po raz czwarty kieliszek, czego wcześniej poskapiłem. Wyglądała na zmęczoną, a może zaczynała odczuwać trudy przekonywania i proszenia, to kosztuje i powoduje napięcie, i wycieńcza, i choćbyśmy przeprowadzili tę ofensywę bardzo energicznie, nadchodzi chwila zwątpienia, czy uda się uzyskać to, o co prosimy, czy odniesiemy sukces. Myślimy wtedy, że wszystko na nic, że ludzie potrafią odmawiać albo cieszą się z odmowy i odmawiają, i zawsze znajdą po temu nieodparty pretekst: „Kiepsko teraz stoję z pieniędzmi”, „Nie chcę być w to zamieszany”, „Prosisz o zbyt wiele, zrozum”, „To się nie uda, na moje oko wygląda fatalnie”, „Mam swoje zobowiązania”, „Nie mogę podjąć takiego ryzyka”, „Gdyby to ode mnie zależało, to tak, ale są w tym inni”, albo nawet zupełnie otwarcie: „A co zyskam w zamian?”. Może młoda Pérez Nuix, straciwszy nagle wszelką nadzieję, już się zastanawiała, ku której z tych formułek ja się skłaniam. Tak, co mogłem na tym zyskać? Nie widziałem w tym żadnej dla siebie korzyści i ona musiała to wiedzieć, bo i takiej korzyści nie było. Nawet nie spróbowała pójść tą drogą, przynajmniej na razie, i nie postarała się wynajdywać żadnych korzyści. Teraz, gdy wydawała się rozkojarzona, niemal zrezygnowana, znowu spojrzałem na lecące oczko w jej rajstopach, na coraz bardziej odsłonięte nogi. Oczekiwałem, że coś zrobi, zanim rajstopy pękną na pół (wtedy dopiero by się przestraszyła) albo zwiotczeją i obwisną (to by było

wstrętne), albo opadną nagle na podłogę (to by było krępujące), żadna z tych trzech możliwości mi się nie podobała, uleciałby cały czar rozdartej, ale wciąż jeszcze naprężonej tkaniny. Wskazałem więc brodą na jej uda i powiedziałem (wyrwało mi się, mimowolnie albo mimowolnie na pozór):

– Ale ci oczko w rajstopach poszło, nie wiem, czy zauważyłaś. Pewnie zaciągnęłaś rajstopy podczas drogi. Albo pies zaczepił.

– Tak – odparła z pełną naturalnością, bez zaskoczenia – zauważyłam już jakiś czas temu, ale nie chciałam ci przerywać. Pójdę do łazienki, lepiej będzie, jak je zdejmę. Co za wstyd. – Wstała (żegnaj, widoku) i wzięła torebkę, pies się podniósł gotów iść za nią, ona zatrzymała go dwoma słowami po angielsku (to był naturalnie pies autochton) i przekonała, żeby dalej leżał, wyszła. „Co za wstyd”, powiedziała to już z korytarza, poza moim polem widzenia. Ale wcale nie wyglądała na zawstydzoną, nie czuła wstydu. Wcale nie jest taka zmęczona ani taka zniechęcona, ani taka przygnębiona, pomyślałem. Przerywać mnie? To nie mogła być pomyłka ani roztargnienie. Nawet z powodu wina. To przecież ona wciąż mówi, ona opowiada, ona tu przyszła i o coś prosi, choć jeszcze nie poprosiła w ścisłym tego słowa znaczeniu, ani tonem głosu, ani odpowiednim doborem słów, ani powtarzaniem czegoś do znudzenia, ani naleganiem. Ale jednak prosi mnie o coś, lecz nie ryzykując, że sprowokuje odmowę, co byłoby skutkiem odwrotnym do zamierzonego. Prosi mnie o coś bez uderzania w górne tony i bez poniżania się, właściwie jakby nie prosiła. Nie jest też wyniosła. Jakby referowała sprawę. Gdy wróciła, nie miała już na sobie rajstop, nie należała zatem do owych przezornych kobiet, które noszą ze sobą drugą parę na zmianę; albo była jedną z nich, lecz postanowiła ich nie wkładać, tylko botki na gołe nogi. W domu nie było zimno. Założyła nogę na nogę jakby nigdy nic (powrócił widok, częściowo lepszy), wzięła dwie oliwki, wzięła chipsa, napiła się mały łyczek, możliwe, że

kontrolowała swoje picie lepiej, niż mi się wydawało. – No więc, Jaime, co ty na to? Mogę liczyć na twoją pomoc? Proszę cię o wielką przysługę.

Zbyt długo już siedziałem. Wstałem i podszedłem do okna, podniosłem je, otworzyłem na kilka sekund, wychyliłem głowę i spojrzałem w niebo, na ulicę, poczułem krople deszczu na policzkach, na karku, pewnie deszcz będzie padał kilka dni i nocy, zanosilo się na to, że na dłuższy czas utknie nad miastem albo nad krajem, który dla niej nazywał się „*country*”, a może również „*ojczyzna*”, niebezpieczny i pusty koncept i niebezpieczne zapalne słowo, słowo, które pozwala matce powiedzieć na usprawiedliwienie syna: „*Ojczyzna to ojczyzna, gdy ona wchodzi w grę, kłamstwa nie są już kłamstwami*”. Biedna złapana w pułapkę matka, matka zdrajcy, który nie ojczyznę zdradził, lecz dawnego przyjaciela, zawsze bezpieczniej zdradzić pojedynczego człowieka, choćby bardzo bliskiego, niż abstrakcyjną nieokreśloną ideę, której reprezentantem może obwołać się każdy, i wtedy na każdym kroku mogłyby nas spotykać oskarżenia ze strony nieznanomych, jej nigdy wcześniej nie widzianych chorążych, którzy poczuliby się zdradzeni naszym działaniem lub brakiem działania; to jest właśnie zła strona idei, ich samozwańczy przedstawiciele rodzą się na kamieniu, wszędzie każdemu wolno wybrać sobie ideę zgodnie z własną potrzebą albo interesem i ogłosić, że będzie się jej bronić wszelkimi dostępnymi sposobami, za pomocą bagnetu i donosu, prześladowań i czołgów, moździerzy i oszczerstw, brutalności i sztyletu, wszystko się nada. Mnie mogło być łatwiej niż Pérez Nuix spróbować zdradzić Tuprę. Dla mnie był pojedynczym człowiekiem, nikim więcej, podczas gdy dla niej mógł w jakiejś mierze reprezentować ojczyznę, a co najmniej ucieleśniać jakąś ideę. Oszustwo wyszłoby od niej, ale za pośrednictwem innej osoby, czyli mnie, tacy pośrednicy ogromnie pomagają rozmyć winę, wtedy wydaje się, że nie masz z tym tak wiele wspólnego, a gdy rzecz już się dokona, wydaje się, że to prawie nic, oczywiście w oczach innych, ale

i we własnych także, dlatego tak chętnie korzysta się z pośredników, figurantów, płatnych zabójców, żołnierzy, oprychów, marionetek, wynajętych morderców i z policji; a nawet z sądów, które często wykorzystuje się jako egzekutora naszych namiętności, jeżeli najpierw zdołamy je w to wciągnąć, a potem przekonać. Pozbycie się kogoś albo doprowadzenie go do ruiny nie wymaga od nas wielkiego wysiłku, jeżeli wydajemy polecenie albo uruchamiamy spisek, albo płacimy pieniądze, albo wiemy, do kogo iść z donosem, albo knujemy intrygę, albo wnosimy formalne oskarżenie i spiskujemy, ale mamy innych, którzy zaprowadzą ofiarę do celu, nie mówiąc o tym, że dokonają jej egzekucji, gdy już przejdzie przez ręce niezliczonych pośredników, wszystkich całkowicie legalnych, którzy podzielą się między sobą winą podczas tej długiej drogi, a nam oddadzą tylko wystygłe resztki, kilka nieistotnych okruchów, i na końcu tego procesu, któremu daliśmy początek, dostajemy tylko lakoniczny komunikat, zwykle zawiadomienie, czasem jedno enigmatyczne zdanie: „Wyrok został wykonany” albo: „Zrobione”, albo: „Problem rozwiązany”, albo: „Nie masz już czym się martwić”, albo: „I po krzyku”, albo: „Możesz spać spokojnie”. A nawet: „Dokonałem tego czynu” albo: „Popełniłem ten czyn” („*I have done the deed*”, wedle słów pewnego żyjącego dawno temu Szkota). To byłoby mniej złowrogie w moim przypadku, sprowadzałoby się do zadzwonienia któregoś dnia do Patricii, a może nawet tylko do szepnięcia jej w biurze, gdy będziemy się mijać lub otrzemy się o siebie: „Dał się nabrać”. Główne miano zdrady brzmiało Del Real, tak brzmiało, Del Real też wystąpił przeciwko mojemu ojcu poprzez podstawione osoby: najpierw zwerbował drugie miano, tamtego profesora Santa Olallę, który użyczył swego podpisu, by poprzeć oskarżenie skierowane przeciwko nieznanemu mu osobie, a potem... To nie ci dwaj po niego przyszli, po Juana Dezę, w dniu świętego Izydora trzydziestego dziewiątego roku, oni wysłali policję Franco, żeby go aresztowała i wtrąciła do więzienia, a potem

wystąpili inni, świadkowie, prokurator, operetkowy adwokat i takież sędzia, prawie nigdy nie robi się niczego wprost albo twarzą w twarz, nie widzimy oblicza tego, kto nas gubi, niemal zawsze jest ktoś jeszcze pośrodku, między tobą i mną albo między mną i umarłym, między nim i nią.

– Dlaczego nie zwróciłaś się z tym bezpośrednio do Tupry? Nie sądzisz, że wykazałby zrozumienie i wyświadczył ci przysługę, gdybyś opowiedziała mu to co mnie o swoim ojcu? Z pewnością zrobiłby dla ciebie wyjątek. Znasz go dużo lepiej niż mnie, mam wrażenie, że jest między wami zażyłość i jakiś rodzaj ironicznej, że tak powiem, sympatii, jakbyście utrzymywali stosunki również poza biurem. – Nie chciałem zapuszczać się dalej w te rejony, nie chciałem insynuować czegoś, co tylko podejrzewałem, że kiedyś między nimi było; nie sądziłem, by było nadal, wyobrażałem to sobie raczej jako sprawę minioną, możliwe, że bardzo przejściową albo tylko na poły dobrowolną. Teraz rozmawiałem z nią z większej odległości niż wcześniej, stojąc tyłem do otwartego okna, przez koszulę czułem chłód wpadającego powietrza, na szczęście deszcz nie zacinał, zamierzałem zamknąć okno, gdy tylko wywietrzy się po papierosie. – Na dobrą sprawę słabo mnie znasz. Dlaczego pomyślałaś, że ja będę bardziej przystępny niż on, bardziej skłonny zgodzić się na to, o co prosisz, bardziej użyteczny? Nie wiem, on czuje wobec ciebie jakąś wdzięczność, choćby tylko za lata współpracy i dobrą pracę. Ja natomiast – zawahałem się na chwilę, dokonałem szybkiej rekapitulacji w myślach, nic nie znalazłem – nie mam za co być ci wdzięczny, o ile wiem albo o ile pamiętam.

– Ty jesteś Hiszpanem – powiedziała – a więc jesteś mniej kategoryczny w kwestii zasad. Pracujesz od niedawna, możliwe, że szybko odejdziesz, i jesteś na etacie. Nie żeby Bertram był szczególnie zasadniczy ani żeby jego zasady należały do najszlachetniejszych w powszechnym rozumieniu; jasne, że potrafi zrobić wyjątek, w tym fachu bez tego się nie obejdzie,

zresztą w większości innych też nie. Ale pewnych zasad się trzyma, a wśród nich tej, by traktować pracę serio. Jeżeli zdarza się pomyłka, akceptuje to, ale nie chce, żeby wynikała z zaniedbania albo była rozmyślna, czyli fałszywa. Akceptuje tylko te nieuniknione, gdy naprawdę się mylimy albo ktoś nas oszuka, albo nie jesteśmy dość przenikliwi, każdemu się zdarza coś przegapić albo czasem się wyłożyć. Nie, on by mi tej przysługi nie wyświadczył, akurat tej nie. Kazałby mi znaleźć inne rozwiązanie, uważałby, że muszą być inne, ja natomiast wiem, że nie ma, zastanawiałam się nad tym setki razy. Gorzej: gdyby wiedział, uznałby to za dodatkową informację na temat Incompary i wykorzystał ją w raporcie, prawdopodobnie na jego niekorzyść, ryzykowałabym, że przeze mnie wszystko wyjdzie odwrotnie, niżbym chciała. Bertie bardzo dba o swój prestiż, szczeni się swoim doświadczeniem. Nie jest przekonany o własnej nieomyślności, uważa jednak, że oddaje wielkie usługi państwu i klientom, do niego nie zwraca się byle kto. Uważa też, że ma dobrego nosa do współpracowników. Nie przyjmuje tu pierwszego lepszego, przecież wiesz. Ty zacząłeś jako tłumacz językowy. Przesunął cię do innych rzeczy, bo uznał, że się nadajesz, i zaskarbiłeś sobie jego zaufanie. Byłeś szybki. Ostatnia rzecz, jakiej by od nas oczekiwał, to że zmanipulujemy jakąś interpretację albo jego poprosimy, żeby to zrobił. Dla ciebie natomiast to bez większej różnicy, jak sądzę. Mam wrażenie, że dla ciebie to praca na przeczekanie, na tymczasowe zarabianie pieniędzy przy czymś, co nie zmusza cię do wielkiego wysiłku, a przy okazji jest bardziej zajmujące niż praca w radiu. Przeczekujesz, bo jeszcze nie wiesz, co będziesz robił albo czekasz na wezwanie z Madrytu, żeby ktoś ci powiedział „wracaj”. Nie bierz tego do siebie, ale uważam, że nie jesteś dumny z tej pracy. Dlatego proszę ciebie, a nie Bertiego. Co ci szkodzi? To naprawdę wielka przysługa.

„Przyjeżdż, wcześniej tak bardzo się myliłam”, pomyślałam. „Zajmij znowu miejsce przy mym boku. Chodź. Chodź do mnie. Wróć. I zostań tu



na zawsze”. Mijały kolejne noce, a ja nadal nie słyszałem takich słów, nic, co byłoby im równe, nawet niewyraźnego szeptu ani fałszywego echa. Pérez Nuix mogła mieć rację, możliwe że tylko czekałem, „*waiting without hope*”, jak powiedział pewien angielski poeta, którego tak wielu później naśladowało. Ale gdyby takie wezwanie nigdy nie nadeszło, przez telefon ani niespodziewanym listem, ani w rozmowie wprost, kiedy odwiedzę w końcu moje dzieci, to przyjdzie dzień, gdy obudzę się z uczuciem, że już nie czekam („Wczoraj wieczór było dobrze, ale dziś? Dziś jestem o dzień starszy, to jedyna różnica, a przecież moje życie się zmieniło. Już nie czekam”). Tego dnia bym sobie uświadomił, że przyzwyczaiałem się do Londynu, do Tupry, do Pérez Nuix, Mulryana i do Rendela, do biura bez nazwy i do mojej codziennej pracy, i okazjonalnych odwiedzin u Wheelera, który znał Luisę i stałby się nagle więzią łączącą mnie z zapomnieniem. Odkryłbym, że całkowicie przywykłem, znaczy na tyle, by nie czuć zdumienia rano po przebudzeniu ani nawet nie myśleć o żadnym z nich. Byliby moją codziennością, moim światem, tym, co nie wymaga przyczyny, by istnieć, moim powietrzem, a za Luisą bym nie tęsknił, ani za moim dawnym miastem, ani za dawnym życiem. Tylko za dziećmi.

Opuściłem okno, poczułem się trochę zziębnięty, a przede wszystkim zauważyłem, że i jej jest chłodno: nie miała na sobie rajstop, widziałem, że miałyby ochotę obciągnąć sobie spódnicę, przykryć uda i tym samym pozbawić mnie miłego dla oka widoku. Pozostałem jednak na swoim miejscu, tyłem do ulicy, do nieba, do deszczu. I pomyślałem: Ta kobieta jest na najlepszej drodze do tego, żeby mnie ostatecznie przekonać, jak to sobie niewątpliwie wcześniej postanowiła. A jednak wciąż jeszcze ode mnie zależy, czy odpowiem „tak”, czy „nie” albo „może”.

– Wcześniej mówiłaś, że prawie nie będę musiał kłamać – odparłem. – Co dokładnie oznaczałoby to „prawie”? Miałbym powiedzieć Tuprze, że co widzę albo czego nie widzę u Incompary, albo co prawdopodobnie zobaczę

lub czego nie zobaczę? Cokolwiek to jest, on też to zobaczy albo tego nie zobaczy, nie myślisz?

Młoda Pérez Nuix prawie już nie piła. Albo zdążyła ugasić gwałtowne pragnienie, albo dobrze wiedziała, jak dużo może wypić i w jakim tempie. Za to wciąż paliła. Zapaliła kolejnego kareliasa, musiał jej odpowiadać ich lekko pikantny smak. Trzymając w ręku zapalniczkę, rozprostowała nogi i nie postawiła ich nazbyt blisko jedna drugiej, a wówczas zdało mi się, że z miejsca, w którym stoję, dostrzegam między nimi biały trójkącik majtek. Staralem się nie utkwic w nim wzroku, od razu by to zauważyła. Pozwalałem sobie jedynie na przelotne spojrzenia.

– Jest kilka takich podstawowych spraw, które wcale nie jest łatwo spostrzec podczas spotkania, w trakcie rozmowy albo na nagraniu wideo, nie wiem, czy Bertie ma jakieś nagranie Incompary, żeby ci pokazać. To mało prawdopodobne, ale kto wie, on ma nagrania wszystkich. Na przykład wcale nie jest łatwo zauważyć, że dana osoba jest tchórzem i zostawi cię na lodzie, gdy robi się naprawdę niebezpiecznie, zwłaszcza gdy pojawi się fizyczne zagrożenie albo czy ja wiem, ryzyko więzienia. Taki właśnie wydał mi się Incompara przy tych paru okazjach, kiedy go widziałam. Mogę się mylić, ale tak czy owak nie jest wskazane, by raport coś na ten temat wspominał, bo to by mu wyrządziło nieodwracalną szkodę. Ludzie, którzy zlecili profil, nie chcieliby mieć z Incomparą do czynienia, gdyby została mu przypisana taka cecha, to pewne. Ona się nikomu nie podoba, sprawia, że człowiek traci poczucie bezpieczeństwa, czuje się narażony na ryzyko. W gruncie rzeczy tego właśnie ludzie boją się najbardziej: że jak sprawy przybiorą nieoczekiwany obrót albo sytuacja zrobi się nieprzyjemna, to osoba, która powinna przyjść nam z pomocą, zwieje, wykręci się sianem, wystawi nas do wiatru albo i gorzej, zwali całą winę na nas, byle tylko ocalić własną skórę. Jeżeli i ty to zauważysz, nie powinieneś wspominać o tym Bertiemu, tu powinieneś skłamać albo zachować to dla

siebie. A jeżeli on zauważy, powinien się postarać go przekonać, ale z wyczuciem, że Incompara wcale taki nie jest, że nie stwarza takiego ryzyka. – Zrobiła króciutką przerwę i jej spojrzenie powędrowało w bok, jakby naprawdę zastanawiała się, namyślała się nad czymś w trakcie mówienia, ludzie rzadko to robią. – To jedna z najtrudniejszych do wychwycenia rzeczy, podobnie jak jej przeciwieństwo. Na tym się najczęściej wykładamy i nawet jak nam się wydaje, że to wiemy, zawsze pozostaje jakiś cień wątpliwości, dopóki nie nadarzy się okazja, żeby to sprawdzić. Nie trzeba zatem szczególnie się wysilać, żeby taką wątpliwość zasiać. To, co ludzie twierdzą albo deklarują w tej kwestii, znaczy w kwestii własnej odwagi lub tchórzostwa, do niczego się prawie nie przydaje. De facto to właśnie najlepiej ukrywają, aczkolwiek nie jest to może najwłaściwsze słowo: najczęściej po prostu tego nie wiedzą, jak rekrut, który nie przeszedł jeszcze chrztu bojowego. Ludzie wyobrażają sobie tylko w oparciu o własne pragnienia albo obawy, jak zareagują, prawie nikt z nas nie ma jednak pewności, jak naprawdę się zachowa w sytuacji zagrożenia. Co najwyżej dowiadujemy się tego, gdy zostajemy wystawieni na próbę, ale w normalnym życiu to nie zdarza się tak często i może nigdy się nie zdarzyć, zazwyczaj nasze dni mijają bez większych niespodzianek i niebezpieczeństw. Nawet kiedy się przekonamy, że w jakiejś konkretnej sytuacji zachowaliśmy się odważnie lub tchórzliwie, to nie mamy żadnej gwarancji, że przy następnej okazji nie postąpimy zupełnie inaczej, a nawet odwrotnie. Nigdy nie mamy gwarancji, a skoro sami dla siebie jesteśmy zagadką, to obserwator, interpretator musiałby się wykazać jakąś nadzwyczajną zdolnością, żeby rozpoznać to u kogoś, to znaczy przewidzieć coś, czego nie wie o sobie nawet sam zainteresowany, bo zainteresowany błądzi trochę na oślep w tej materii. Między innymi dlatego ty jesteś w grupie: masz do tego dobre oko, potrafisz wychwycić tę cechę nawet lepiej niż Rendel, i to nie tylko moje zdanie, słyszałam, jak mówił tak

Bertie, a on nie jest skory do pochwał. W tej kwestii z pewnością na tobie polega bardziej niż na innych, nawet bardziej niż na samym sobie. Tak więc nie sprawiłoby ci dużo trudu zasiać w nim wątpliwość, twoje słowa nie pozostałyby bez echa. W innych sprawach faktycznie byłoby ci trudniej, na przykład w tym, co się tyczy braku skrupułów, surowości Incompary wobec ludzi, których ma w garści, jego brutalności z czyjegoś upoważnienia, już ci o tym mówiłam. Ale w tych sprawach nie musiałbyś kłamać ani nawet niczego przemilczeć; one nie zniechęciłyby zleceniodawców, żeby się z nim dogadać, zaakceptować go czy cokolwiek miałooby to być, z ich punktu widzenia to byłyby jego mocne strony. Ale nie tchórzliwość, z niej nie ma żadnego pożytku. Nikt jej sobie nie życzy. To znaczy u innych, rzecz jasna, nie u siebie. Z własną tchórzliwością potrafimy się pogodzić. – Tu też nie znalazła właściwego wyrażenia po hiszpańsku i powiedziała „*llegar a terminos*”, tłumacząc dosłownie angielskie „*to come to terms with*”, czyli „pogodzić się”, „zaakceptować” albo „osiągnąć kompromis”. A może „dojść do porozumienia”. Możliwe, że była już trochę zmęczona albo – jakkolwiek nie było tego po niej widać – za dużo wypła, bo właśnie wtedy język najczęściej nas zawodzi.

Miała rację, prawie nikt tego nie wie, nawet w chwili próby. Gdyby tamtej nocy ktoś mnie zapytał, jak bym zareagował na widok człowieka, który wyciąga miecz w toalecie publicznej i grozi, że zetnie komuś głowę w mojej obecności, nie miałbym bladego pojęcia albo pomyliłbym się, ryzykując jakąś odpowiedź. To by mi się wydało takie nieprawdopodobne, staroświeckie, niewiarygodne, że może zaryzykowałbym taką odpowiedź z optymizmem, na jaki pozwala wyobrażanie sobie czegoś, co się nie zdarzy albo co jest tylko hipotezą, a zatem jest niemożliwe: „Nie pozwoliłbym na to, chwyciłbym go za ramię i powstrzymał cios, zmusiłbym go, żeby wypuścić miecz, rozbroiłbym go”. Albo zakładając, że taki obraz stanąłby mi jak żywy przed oczyma i przez sekundę dałbym mu

wiarę i uznał go za możliwy, mógłbym odpowiedzieć: „Daj spokój, to jakiś koszmar, groza. Uciekłbym, nie oglądając się za siebie, wziąłbym nogi za pas, żeby nie dosięgło mnie obosieczne ostrze, żebym sam nie został ścięty”. To wydarzyło się niedługo po tamtej deszczowej nocy, a moja reakcja była gdzieś pomiędzy tymi dwoma skrajnościami, powiedziałbym, że utknąłem w połowie drogi. Nie przeciwstawiłem się temu człowiekowi ani nie uciekłem. Nie poruszyłem się ani nie zamknąłem oczu, jak zamknął je De la Garza i jak ja zamknąłem je później, u Tupry w domu, gdy nie tyle groziło mi rzeczywiste albo fizyczne niebezpieczeństwo, ile niebezpieczeństwo w sensie moralnym albo moje sumienie znalazło się w niebezpieczeństwie; wtedy, w toalecie dla niepełnosprawnych, najpierw stałem oniemiały i przerażony, a potem krzychałem na niego, użyłem słów, bo czasem powstrzymują tak samo jak ręka i są szybsze, a bywa, że na nic się nie zdają, nawet nikt ich nie słyszy, patrzyłem też bezsilnie, a może roztropnie, w większym strachu o własną skórę niż o skazaną już ofiarę, której nie mogłem ocalić od jej przeznaczenia. Nie wiem, czy to jest naturalne czy to tchórzostwo. Tak, Pérez Nuix miała rację, rzadko kiedy wiadomo, co to jest i na czym polega, bo ukrywa się pod wieloma maskami i przebraniami, nigdy nie występuje w postaci czystej. Najczęściej nawet się takiej postawy nie rozpoznaje, bo nie sposób wyłuskać jej z całej reszty tego, co składa się na naszą osobowość, oddzielić od jej istoty, wyodrębnić ani określić. Nie rozpoznaje się jej u siebie, natomiast o dziwo, rozpoznaje się ją u innych, gdy się objawia. Wcale nie byłem pewien tego, o czym ona, a zdaje się, że i Tupra byli przekonani, czyli że mam jakiś specjalny talent, by dostrzec taką postawę i przewidzieć u innych ludzi, nim sama się ujawni. Byłem natomiast pewien, że u siebie nie potrafiłem jej dostrzec, podobnie jak nie potrafiłem dostrzec odwagi ani przed jej ujawnieniem się, ani potem. To uciążliwe żyć w poczuciu takiej niewiedzy, gdy w dodatku wiadomo, że nigdy się nie dowiemy, ale tak właśnie żyjemy.

– Myślę – odpowiedziałem jej – że przeceniasz mój wpływ na Tuprę i jego opinie w tej trudnej kwestii i w każdej innej. Nie sądzę, by mój pogląd potrafił go skłonić do porzucenia lub zmiany poglądu, kiedy już sobie jakiś wyrobił, gdy coś już wychwytał, a on zawsze wychwytuje wiele rzeczy. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, zwróciło moją uwagę jego spojrzenie, takie życzliwe, wszechogarniające i dowartościowujące. Oczy schlebujące i zarazem groźne, nie jest im obojętne, co mają przed sobą, są tak bystre, że ma się wrażenie, iż przenikają na wskroś wszystko, na co się kierują, osobę, przedmiot, gest, scenę. Jakby przyswajały i chwytają każdy pojawiający się przed nimi obraz. Słuchaj, choćby tchórzliwość była najbardziej nieuchwytna, jemu nie umknie. I skoro jak twierdzisz, ja ją zauważę u twojego znajomego, Tupra zauważy ją także i wyrobi sobie własny pogląd. I ja tego poglądu nie zmienię, choćbym bardzo chciał. Nawet gdybym go upił.

Młoda Pérez Nuix roześmiała się, miała sympatyczny, lekko matczyzny śmiech, bez kpiny, a jeśli nawet, to z tym rodzajem kpiny, jaką kwituje się naiwną odpowiedzią albo gniewną reakcją dziecka, a ja wykorzystałem jej chwilowo mniejszą czujność, żeby rzucić okiem w miejsce, na które usiłowałem się nie gapić, nie założyła jeszcze ponownie nogi na nogę.

– Przepraszam cię – powiedziała – ale bawi mnie, że nawet taki inteligentny facet jak ty nie jest od tego wolny. Trudno uwierzyć, jak źle postrzegamy siebie, jacy jesteśmy beznadziejni, ważąc i oceniając nasze mocne i słabe strony. Nawet tacy ludzie jak my, obdarzeni specjalnym darem i świetnie wyszkoleni w zgłębianiu i rozszyfrowywaniu zagadek bliźniego, zmieniają się w jednookich idiotów, gdy sami dla siebie są przedmiotem analizy. To pewnie dlatego, że brakuje nam dystansu i że nie możemy obserwować siebie bezwiednie. Kiedy sami dla siebie stajemy się widzami, wtedy najbardziej gramy, udajemy i pilnujemy się. – Zamilkła i przyjrzała mi się z mieszaniną wesołego zdumienia i niezamierzonej

litości. Zakwalifikowała mnie jako „inteligentnego” i rzuciła to całkiem spontanicznie; jeżeli to miało być pochlebstwo, dobrze się kamuflowała. – Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, Jaime, jak bardzo przypadłeś do gustu Bertiemu? Jaki wydałeś mu się inspirujący i zabawny? Że ma dla ciebie tyle sympatii, że chętnie przyjmie twój punkt widzenia, pod warunkiem że nie będzie całkiem niedorzeczny, zgodzi się z tym, co ty powiesz, że widzisz, choćby po to, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że świetnie zrobił, przyjmując cię do pracy, że jesteś bardzo udanym nabytkiem? Poza tym pamiętaj, że nie tylko Wheeler cię rekomendował, polecił cię zza grobu także mistrz Tupry, Rylands. Oczywiście ta sytuacja nie będzie trwała wiecznie; pewnego dnia się tobą zmęczy albo przywyknie do twojej obecności; czasem może cię skrytykować albo potraktować lekceważąco, Bertie wcale nie jest stały w uczuciach, szybko się nudzi i ma zmienne nastroje. Ale teraz jesteś nowością, no i przypadliście sobie do gustu w ten wasz męski, oszczędny w słowach albo milczący sposób, czy jakkolwiek to nazwać, ale ja wiem, o czym mówię. Teraz masz na niego dużo większy wpływ, niż sobie wyobrażasz, i jak mi się zdaje, nawet tego nie spostrzegłeś. Sprawy mają się tak chwilowo i po części, bo Bertie nigdy nie wyzbywa się nieufności do końca i nie można nim manipulować ani – prawie – go podejść czy wyprowadzić w pole. Ale można zasiać w nim wątpliwości w kilku nielicznych sprawach i twoja aktualna pozycja pozwala ci to zrobić. Dobrze to wiem, bo przeszłam ten sam proces, rozpoznaję go. Rozpoznaję przyjemność i życzliwość, widzę, jak przebywanie z tobą bawi go i inspiruje, mniej więcej tak samo ożywił się wcześniej w moim towarzystwie. Ja też mu się spodobałam, przyjaźniliśmy się dłuższy czas. Akurat nie w taki męski sposób jak wy dwaj. I wcale to się nie skończyło, nie twierdzę, że nie darzy mnie estymą, ani nie narzekam na brak uznania z jego strony. Ale już nie jestem dla niego takim codziennym małym świętem jak na początku, a i potem też, naprawdę trwało to dłuższy

czas, wiem, że nie powinnam tego mówić, lecz tak właśnie było, zapytaj Mulryana albo Rendela, albo Jane Treves, ona jako kobieta była bardziej zazdrosna, któregoś dnia ją poznasz, kiedy obie pracowałyśmy z Tuprą, czuła się pomijana. Ty możesz go teraz przekonać, Jaime. Pewnie pojutrze już nie, a i dzisiaj nie w każdej sprawie, tylko w tej, w której sam się zawaha, a ciebie będzie uważał za specę. Jak już mówiłam, to jest właśnie przypadek odwagi i tchórzostwa, on uważa, że jesteś w tej kwestii kompetentny. Zresztą ja także, naprawdę jesteś dobry. Tego bym właśnie chciała, Jaime. Tamten człowiek umorzyłby dług i mój ojciec byłby uratowany. Sam widzisz: to wielka przysługa.

Już kilka razy użyła tego sformułowania, to był sposób, by powiedzieć „proszę” albo „*por favor*”, nie mówiąc tego wprost albo nie tymi słowami oznaczającymi błaganie lub prośbę, szczególnie gdy się je powtarza kilka razy: „proszę, proszę, proszę” albo „*por favor, por favor, por favor*”. Założyła nogę na nogę i straciłem swój widok, zamiast tego mogłem bezkarnie skierować wzrok gdzie indziej, nadal mogłem patrzeć na jej gołe uda, bez rajstop. Pociągnęła mały łyk z kieliszka, włożyła kolejnego kareliasa między czerwone wargi – znowu wspomnienie komiksu z dzieciństwa – i nie zapaliła go. Pies spał na dobre, jakby pogodził się z myślą, że zostanie tu na noc, i gdy tak leżał na podłodze, wydawał się jeszcze bielszy. Spojrzałem przez szybę i odsunąłem się od okna, na zewnątrz nic się nie zmieniło, nadal padały giętkie pręty albo niekończące się włócznie deszczu, coraz bardziej rozpanoszonego, jakby raz na zawsze wykluczył bezchmurne niebo. Zrobiłem kilka kroków i ponownie usiadłem tam gdzie wcześniej. Miałem wrażenie, że ta cisza nie jest tylko chwilową przerwą, lecz że Pérez Nuix skończyła swój wywód; że teraz uważa swą prośbę za wyłuszczoną i skończoną: kilka nieśmiałych prób schlebienia mi, swoje różne argumenty i podjęte ostrożnie próby perswazji. Poczułem, że nadeszła moja kolej, że muszę w końcu udzielić jakiejś odpowiedzi, że ona



nie zamierza już nic więcej dodać. Udzielić odpowiedzi „tak” albo „nie”, albo „może”, albo „zobaczymy”. Albo dać jej trochę więcej nadziei, nie zobowiązując się jednak do niczego: „Zobaczę, co mogę zrobić, postaram się”. Odpowiedź: „To zależy”, nie zakończyłaby oczywiście tej rozmowy ani tej wizyty. Nie byłem taki pewien, czy chcę, żeby pierwsza albo druga dobiegła końca, tak więc jeszcze jej nie odpowiedziałem, lecz zadałem kolejne pytanie:

– Ile dokładnie wynosi ten dług?

Zapaliła papierosa i zdało mi się, jakbym dostrzegł przez chwilę rumieniec, a może to był tylko blask ognia z zapalki albo tłące się jedynie zakłopotanie jak wtedy, gdy w biurze bez nazwy zbierała siły, by nawiązać ze mną rozmowę, to znaczy powiedzieć coś więcej poza zwykłym przywitaniem albo pojedynczym pytaniem, jakby brała zamach lub rozbieg, to nasuwało mi wniosek, że – nieświadomie i wcześniej się nad tym nie zastanowiwszy – nie spisuje mnie na straty. Pomyślałem: Wstydzi się podać mi kwotę. Bo albo jest niska i wtedy się dowiem, że nie stać jej na spłatę takiego długu, albo jest wysoka i wtedy się dowiem, że jej ojciec – a zatem możliwe, że i ona – jest rozrzutny i postępuje głupio.

– Blisko dwieście tysięcy funtów – odpowiedziała po kilku sekundach i uniosła brwi w nieangielskim z pewnością grymasie, jakby dopowiadała: „Sam widzisz, że to nie przelewki”. Powiedziała jednak co innego, jakkolwiek o podobnym znaczeniu: – No i co ty na to?

Szybko policzyłem w myślach. To było około trzystu tysięcy euro, czyli pięćdziesiąt milionów starych peset, nie przyzwyczailem się ponownie do funta i możliwe, że przy dużych kwotach, z jakimi nie ma się na co dzień do czynienia, nigdy tak naprawdę nie przywykłem do liczenia w euro.

– Trzeba powiedzieć, że przy wszystkich swoich wadach ten cały Incompara jest bardzo wielkoduszny – odpowiedziałem. – Albo że ten raport jest dla niego bardzo cenny. – A następnie zadałem kolejne pytanie,

może takie, którego sam najmniej się spodziewałem, nie wiem, czy ona była nim równie zaskoczona, zależy, na ile mnie znała, czy wiedziała o mnie dużo więcej niż ja sam o sobie wiedziałem, jak daleko albo jak głęboko w ciągu tych miesięcy bliskiej współpracy przeanalizowała mnie lub zinterpretowała – by użyć tu terminologii używanej czasem na określenie naszych niesprecyzowanych zadań. To pytanie przyszło mi do głowy jako żarcik i nie widziałem powodu, żeby się powstrzymać. Poza tym zmusiłbym ją tym sposobem do położenia czegoś na stole, do wyceny mojego udziału, do wzięcia pod uwagę mnie i podejmowanego przeze mnie ryzyka, możliwego uszczerbku, jaki poniosę, i mało prawdopodobnego zysku. Łatwo, a nawet wygodnie jest prosić o przysługę, podczas gdy słuchanie prośby i konieczność podjęcia decyzji, czy ją spełnić, jest trudne i wprowadza niepokój. Więcej pracy, rozwagi i rachuby z obu stron zawiera w sobie transakcja. Gdy w grę wchodzi przysługa, tylko jedna strona, ta, która zamierza przysługę wyświadczyć lub odmówić, musi podjąć decyzję i dokonać rachuby, bo nikt nie ma obowiązku odwzajemniać przysług ani nawet być za nie wdzięcznym. Prosisz, czekasz i dostajesz albo nie dostajesz; w każdym zatem przypadku możesz spokojnie odejść, pozbywszy się problemu lub doprowadziwszy do konfliktu. Nie, wyświadczone przysługi nie są wiążące, nie pociągają za sobą umowy ani zobowiązania, chyba jedynie te moralne, a one nic nie znaczą, są jak powietrze, nic praktycznego. Powiedziałem zatem ku własnemu zdumieniu: – A co ja będę z tego miał?

Ale Pérez Nuix nie wpadła w pułapkę, w moją wymyśloną naprędce półświadomą pułapkę. Nie przystąpiła do oferowania mi czegoś od razu, jakiejś nagrody, pieniędzy, procentu, podarunku ani nawet obietnicy swej dozgonnej wdzięczności. Wiedziała z pewnością, że taka wdzięczność nie oznacza nic konkretnego i prawdopodobnie także nic symbolicznego. Ludzie mówią zbyt często: „Możesz liczyć na moją dozgonną wdzięczność”, to jedna z najbardziej bezmyślnych deklaracji, a przecież tak często się ją słyszy i zawsze z tym niezmiennym przymiotnikiem „dozgonna” wskazującym na całkowity brak konkretności, prawdy i nawet znaczenia, a jeszcze czasem dodają: „Jeżeli będę mógł coś dla ciebie zrobić, teraz albo w przyszłości, do końca życia, wystarczy, że poprosisz”, podczas gdy prawda jest taka, że nikt niemal nie prosi natychmiast o coś w zamian, to wyglądałoby jak wykorzystywanie sytuacji – przypadek *do ut des* – a gdy w przyszłości istotnie o coś poprosi, to te nic nie znaczące słowa są już zapomniane, a poza tym na nie nikt się nie powołuje, rzadko się zdarza, by przypomnieć: „Jakiś czas temu powiedziałaś mi...”; a jeśli już ktoś się ośmieli, może spotkać się z odpowiedzią: „Tak powiedziałem? Nie wiem, to dziwne, wątpię, już nie pamiętam” albo: „Nie, proś o wszystko, tylko nie o to, tego jednego nie mogę dla ciebie zrobić, to najgorsze, o co mogłeś poprosić, o to mnie nie proś”, albo: „Tak mi przykro, bardzo chciałbym ci pomóc, ale to nie jest w mojej mocy, gdybyś przyszedł z tym do mnie przed kilkoma laty, teraz jednak wszystko się zmieniło”. Tym sposobem osoba, która oczekuje tylko odwzajemnienia dawnej przysługi, koniec końców prosi o nową, jakby nic się wcześniej nie wydarzyło, i prawie musi błagać („Proszę, proszę, proszę”). Ona była dostatecznie inteligentna, żeby nie

obiecować mi mrzonek ani dziwaczych wynagrodzeń w naturze, nic, czego można by się ucześcić lub nie, ani teraz, ani w przyszłości.

– Nic – powiedziała. – Na razie nic, Jaime. To tylko przysługa i możesz się nie zgodzić, nic z tego nie będziesz miał, nie ma niczego w zamian, aczkolwiek naprawdę nie sędzę, żeby to było dla ciebie takie trudne albo żebyś coś ryzykował. Jeżeli się nie uda i Bertie tego nie kupi, zawsze możesz mu powiedzieć, że się pomyliłeś, każdemu z nas się zdarza, jemu też, on doskonale wie, że nikt nie jest nieomylny. Nie był nieomylny podziwiany przez niego Rylands, Wheeler także nie i bardzo mu to potem ciążyło na sumieniu, tak mówią. Nie byli nieomylni Vivian ani Cowgill, ani Sinclair, ani Menzies, ludzie z innej epoki, a należeli do najlepszych i najbardziej cenionych u nas i gdzie indziej. – Wymówiła ostatnie nazwisko jak na dobrą Angielkę albo dobrego szpiega przystało, powiedziała „Mingiss”. – Nieomylni nie byli Dearlove ani Scarlett, ani Manningham-Buller, ani Remington, każdemu przy jakiejś okazji powinęła się noga w jakiejś sprawie. Ani Ewen Montagu, ani Duff Cooper, ani Churchill. Dlatego powiedziałam wcześniej, że to wielka przysługa dla mnie, a dla ciebie nic szczególnego. Obruszyłeś się, a przecież to prawda. Nie, nie sędzę, żebyś miał coś dostać w zamian, coś zyskać. Ale nic też nie tracisz, nie spotka cię nic złego. Tak czy inaczej, Jaime, to ty decydujesz, czy powiedzieć „tak” czy „nie”. Do niczego nie jesteś zobowiązany. Nie przychodzi mi do głowy, jak mogłabym cię skusić.

– Powiedziałaś: Dearlove? Kto to jest? Richard Dearlove? – Przypomniałem sobie, że było to jedno z tych niewiarygodnych nieznanymi mi nazwisk, na które natrafiłem w zastrzeżonej kartotece przeglądanej kiedyś ukradkiem w biurze. Wówczas pomyślałem, że takie nazwisko pasuje bardziej do idola kultury masowej niż do wysokiego rangą funkcjonariusza państwowego, i dlatego zacząłem go używać w odniesieniu do pewnego sławnego piosenkarza, nazywałem go Dickiem Dearlove'em,

by chronić, choć nadaremno, jego prawdziwą tożsamość. Teraz zwyciężyła moja natychmiastowa ciekawość i kazała odłożyć odpowiedź jeszcze na chwilę. A była też inna sprawa, która wzbudziła moje zaciekawienie, domagała się wyjaśnienia, może nie natychmiast, lecz uporczywie.

– Tak – odpowiedziała. – Sir Richard Dearlove. Przez wiele lat do niedawna był naszym niewidzialnym szefem. Nie wiedziałeś? Szefem MI6, „C” albo „Mr C”. – Tę literę wymówiła po angielsku, czyli powiedziała „Mr Si”. – Jego współczesne zdjęcie nigdy nie było publikowane, to zabronione, nikt go nie widział ani nie wie, jak on wygląda; nawet teraz, gdy nie zajmuje już tego stanowiska. Tak więc nikt z nas nie potrafi go zidentyfikować, nikt nie rozpoznałby go na ulicy. To wielki atut, nie sądzisz? Chciałabym taki mieć.

– Nigdy nie sporządziliśmy raportu na jego temat? Mam na myśli raport na podstawie nagrań wideo, bo wyobrażam sobie, że nikt go raczej nie przyprowadził do gabinetu Tupry, żeby można było przyjrzeć mu się po kryjomu z naszego przedziału kolejowego, z naszej kabiny. – Uświadomiłem sobie od razu, że spontanicznie wyszła mi liczba mnoga, „nie sporządziliśmy”, jakbym już się uważał za członka grupy, i to od czasów wcześniejszych niż moje do niej przybycie. Rozwijało się we mnie dziwaczne poczucie przynależności, zupełnie mimowolnie. Wtedy wolałem się nad tym nie zastanawiać.

– Kto wie – odpowiedziała niechętnie. – Zapytaj Bertiego, on ma nagrania ze wszystkimi, już ci mówiłam. – Odniosłem wrażenie, że niecierpliwi ją coraz bardziej moja zwłoka albo moje zajmowanie się pobocznymi tematami, to się działo, zanim jeszcze usłyszałem rozkaz lub swego rodzaju hasło: „*Don't linger or delay*”, „Nie ociągaj się i nie zwlekaj”, nawiasem mówiąc, nigdy się nim specjalnie nie przejąłem, ani wcześniej, ani później. Na pewno chciała się już dowiedzieć, na co może liczyć, i wyjść. Wyjść przynajmniej wtedy, gdyby moją ostateczną

odpowiedzią było „nie”, nie tracić na mnie więcej czasu tej nocy, pójść sobie, zabierając swego potulnego psa, prawdopodobnie z uczuciem, że się wygłupiła, i z chwilową urazą, a nawet obrażona na dłużej. Gdyby zaś odpowiedź brzmiała „tak”, to może zostałyby jeszcze chwilę, żeby nacieszyć się własną ulgą, pomyślałem, albo żeby wydać mi nowe instrukcje, uzyskawszy już to, po co tu przyszła. Musiało ją irytować, że pytałem teraz o sir Dearlove’a, tego prawdziwego, o kogokolwiek lub o cokolwiek. Że w takiej chwili otwierałem nawias albo popadałem w dygresje. Ale musiała się na to godzić, bo wciąż to ja prowadziłem tę rozmowę i decydowałem o jej przebiegu, ona nie mogła sobie pozwolić na to, żeby mnie zdenerwować, jeszcze nie. Jak się dobrze zastanowić, to jedyne ustępstwo, na jakie musi pójść każdy proszący o przysługę, gdy już wykonał pierwszy krok i poprosił (wcześniej to co innego, trzeba być ostrożniejszym, trzeba ocenić, czy warto i czy należy ujawnić własne braki i ograniczenia): musi być uprzejmy i cierpliwy, a nawet przymilny, stosować się do dyktowanego mu tempa, ważyć każdy krok i słowo, być ostrożnym w naleganiu, dopóki nie osiągnie celu. Chyba że jest tak ważną figurą, że wyświadczenie mu przysługi będzie zaszczytem samym w sobie, przywilejem. Nie był to jednak ten przypadek, więc dziewczyna zmieniła ton i dodała: – Nie, nie sądzę, ale wszystko możliwe. Przypuszczam, że muszą istnieć jakieś jego zdjęcia, dziś można znaleźć zdjęcia każdego; a jeśli mają do nich dostęp nieliczni, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jednym z tych nielicznych był Bertie.

– Dlaczego powiedziałaś, że Wheeler tak bardzo żałował, że nie był nieomylny? Co się stało? Co jemu się stało? Co miałaś na myśli? – To była ta druga sprawa, która wzbudziła moje głębsze i mocniejsze zainteresowanie.

Znowu zauważyłem u niej irytację, podenerwowanie, falujące zmęczenie, które raz wzbierało, innym razem słabło. Najprawdopodobniej miała mnie

dosyć albo doprowadzałem ją do szału. Jednakże po raz kolejny powściągnęła emocje, zapanowała nad sobą, ciągle jeszcze nie upadła na duchu.

– Nie wiem, co mu się stało, Jaime, to było dawno temu, podczas drugiej wojny światowej albo po jej zakończeniu, nie znam go osobiście. Mówią, że pomylił się w ocenie i drogo za to zapłacił. Nie przewidział czegoś i z tego powodu czuł się okropnie winny, beznadziejny albo jak żywy trup, dokładnie nie wiem. Słyszałam kiedyś mimochodem, jak ktoś o tym opowiadał jako o przykładzie wielkiego nieszczęścia, ale nie dopytywałam się, a może nie dostałam odpowiedzi, po upływie sześćdziesięciu lat nasze działania w większości pozostają tajne, a bywa, że dłużej albo na zawsze, przynajmniej oficjalnie. Przecieki przychodzą na ogół z zewnątrz i często to tylko spekulacje, niezbyt wiarygodne. Albo wychodzą od ludzi, którzy chowają urazę, którzy sami odeszli lub zostali wyrzuceni, i potem przekręcają fakty. Trudno dowiedzieć się czegoś z naszej przeszłości dokładnie, szczególnie będąc w środku, bo wszyscy jesteśmy ogromnie dyskretni i bardzo mało wścibscy, jakbyśmy w ogóle nie mieli przeszłości. Świetnie zdajemy sobie sprawę, czego nie można mówić, bo żyjemy z tym na co dzień. Dlatego bardzo mi przykro, ale nie potrafię ci odpowiedzieć. Musiałbyś zapytać samego Wheelera. Przecież dobrze się znacie, był twoim protektorem, twoim ojcem chrzestnym, to on wprowadził cię do grupy.

Ona mówiła „my” i „nasz” bez zastanowienia, naturalnie i często, była częścią grupy znacznie dłużej niż ja i czuła się spadkobierczynią tamtej pierwszej, którą stworzyli do walki z nazistami Menzies, Ve-Ve Vivian, Cowgill czy Hollis, a nawet Philby i sam Churchill. Wheeler przypuszczał, że pomysł wyszedł właśnie od Churchilla, bo był z nich najinteligentniejszy, najbardziej zuchwały i najmniej bał się ośmieszenia.

– Kto o tym opowiadał? Tupra? Pamiętasz, czy to miało związek z jego żoną, znaczy z żoną Wheelera? Nazywała się Valerie. Coś ci mówi to imię?

– Nie wiem, od kogo to słyszałam, Jaime. Możliwe, że od Bertiego, to najbardziej prawdopodobne, albo od Rendela, albo od Mulryana, a może od kogoś innego, gdzie indziej, nie pamiętam. Ale nic więcej nie wiem, tylko tyle, że stało się coś poważnego, że on w czymś zawiódł albo tak uważał i chyba był potem o krok od wycofania się, chciał wszystko rzucić. To stare dzieje.

Nie wiedziałem, czy mówi prawdę, może nie czuła się upoważniona, żeby mi to opowiedzieć, a może chciała położyć kres tym niekończącym się pytaniom, nie zagłębiać się teraz – noc już była późna – w tę dawną i pewnie skomplikowaną sprawę, znaną jej w najlepszym wypadku z drugiej ręki i bez związku z jej bieżącymi problemami, które sprowadziły ją do mnie po głębokim namyśle i po dłuższym spacerze w deszczu: ta sprawa nie miała nic wspólnego z jej ojcem, z owym człowiekiem, Vannim Incomparą, z bankierem Vickersem ani z niebagatelnym długiem w wysokości dwustu tysięcy funtów, naprawdę zadziwia mnie u niektórych ludzi umiejętność gromadzenia pieniędzy, których nie mają, i w pewien sposób im zazdrość – to wielki talent, by nie powiedzieć: dar; na pewno wymaga radosnego usposobienia – jakkolwiek mogła być to jedynie teoretyczna zazdrość, fikcyjna, literacka lub filmowa, bo sytuacja Pérez Nuix, niejako zastępcza, była w owej chwili nie do pozazdroszczenia. Po raz pierwszy zrobiło mi się jej żal, może dlatego, że zmęczona wyglądała trochę jak mała dziewczynka, a może chodziło o skrywany niepokój, który od czasu do czasu wyzierał z jej rzucających szybkie spojrzenia bystrych oczu i błakał się w kącikach ust, gdy siliła się na krótkie trochę przestraszone uśmiechy, żeby mnie zadowolić. Zdecydowałem, że już czas rozwiązać jej wątpliwości: włożyła w to wystarczająco dużo wysiłku, długo szła za mną przez opustoszałe miasto, przemakając do suchej nitki, rozważyła wszystkie za i przeciw, wyłuszczyła swoją sprawę, poświęciła mi



najpierw swoje wahania i swój czas, a potem swoje zdecydowanie i jeszcze więcej czasu.

– W porządku, Patricio – odezwałem się, kończąc tę rundę pytań i odwlekanie odpowiedzi. – Postaram się, aczkolwiek nadal uważam, że Tupra zauważy wszystko, co będzie do zauważenia, zauważy więcej niż ja. Ale zobaczę, co da się zrobić, postaram się.

Co najmniej tyle mogłem obiecać. Mogę nie dać rady i pomylić się, i nie stanąć na wysokości własnych intencji, sama to wcześniej powiedziała i nie będzie mogła mieć żalu, jeśli się nie uda. Ani nawet poczuć zawodu, bo zawczasu ją uprzedziłem. To dawało mi większą swobodę, niż gdybym odpowiedział: „W zamian chcę tego i tego”, bo przede wszystkim nie ryzykowałem teraz, że zacznę oczekiwać albo pragnąć czegoś więcej, niż wcześniej zażądałem, a zatem że zacznę się obawiać porażki. Gdy się nie boisz, wzrastają niewątpliwie szanse na sukces, a wtedy zawsze jeszcze zdążysz podnieść rękę i zażądać jakiejś nagrody, i powiedzieć: „Tego chcę w nagrodę”. Rzecz jasna, mogą nam wówczas odmówić, bez ceregieli, bez wyjaśnień i usprawiedliwień: wtedy nie istnieje nawet obowiązek moralny, nie ma powiązania ani umowy, nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, i takim sposobem szybko może nie być już śladu po wyświadczonej wielkiej przysłudze, jak po plamie krwi i jej obwódce, gdy już raz postarano się je wyczyścić, dokładnie wytrzeć, albo po niewyobrażalnych zbrodniach, które pozostawały w ukryciu od chwili ich popełnienia, i po czynach szlachetnych, których powolnym rozmazywaniem zabawiają się długie stulecia aż do całkowitego tych czynów zatarcia tak, by ich nie było. Jakby wszystko było zawsze niczym śnieg padający na ramiona, śliski i uległy, nawet to, co powoduje wielką wrzawę i rozprzestrzenia ogień. (I z ramion to się ulatnia albo się topi, albo spada na ziemię. I śnieg zawsze przestaje w końcu padać).

Nie ma prawie śladu po tym, co stało się potem, albo jakaś mglista pozostałość w mojej bladej pamięci, może w jej pamięci również, ale nigdy się tego nie dowiemy, mam na myśli ją i mnie stojących twarzą w twarz, nie dowiemy się ze słów, które zamienimy. To stało się tak, jakbyśmy już w chwili, gdy się działo, chcieli udąć, że się nie dzieje, albo nie pokazać po sobie, że to zauważamy, nie zanotować tego i żeby się nie liczyło albo przemilczeć to do tego stopnia, by później dało się temu zaprzeczyć, jedno wobec drugiego i wobec wszystkich innych, gdyby jedno się wygadało lub to drugie rozповідаło i przechwalało się, nawet każde wobec samego siebie, jakbyśmy oboje wiedzieli, że co nie jest pewne ani wyraźnie stwierdzone albo nigdy nie zostało wspomniane, po prostu nie istnieje: co robi się ukradkiem albo by tak rzec, za plecami autorów czynu, albo bez ich całkowitego przyzwolenia, albo przy ich na wpół uśpionej świadomości: co robimy mówiąc sobie, że tego nie robimy, co się wydarza, gdy my przekonujemy samych siebie, że się nie wydarza, to wcale nie takie rzadkie, jak się sądzi, więcej, tak dzieje się ciągle i prawie nie budzi to w nas niepokoju ani wątpliwości co do naszej oceny sytuacji. Przekonujemy samych siebie, że nigdy nie przyszła nam do głowy ta myśl niegodna albo tamta zła myśl, że nie pragnęliśmy tamtej kobiety albo tamtej śmierci – śmierci wroga, męża lub przyjaciela – że nie poczuliśmy ani przez chwilę pogardy albo niechęci do osoby najbardziej przez nas szanowanej bądź której winniśmy wdzięczność, ani że nie poczuliśmy zazdrości wobec naszych uciążliwych dzieci, które będą żyły nadal, gdy nas już nie będzie, i przejmą wszystko na własność, i pospiesznie zajmą nasze miejsce; że nigdy nie intrygowaliśmy, nie zdradziliśmy ani nie knuliśmy, nie dążyliśmy do niczyjej zguby, gdy tymczasem staraliśmy się o to gorliwie w stosunku do kilku osób, że nigdy nie ulegliśmy pokusie zrobienia czegoś, za co musielibyśmy się wstydić; że nie działaliśmy w złej wierze, powtarzając komuś jakieś krzywdzące plotki tak, żeby musiał się bronić – przekonujemy

o tym siebie i od razu stajemy się zacni, miłośnierni – i żeby przestał być taki naiwny, i dowiedział się, z kim ma do czynienia; a także – i to jest jeszcze bardziej niezwykle, ponieważ dotyczy faktów, a nie tylko łatwo dającego się zwieść umysłu – że nie uciekliśmy, gdy w rzeczywistości wzięliśmy nogi za pas od razu, zostawiając cały płacz za sobą, że nie odepchnęliśmy ani nie zdeptaliśmy dziecka, żeby zdobyć dla siebie miejsce w szalupie, gdy tonął statek, że nie schowaliśmy się za plecami kogoś innego, gdy sprawy przybrały najgorszy obrót, by ciosy, ostrze noża albo kule dosięgły właśnie tego kogoś, kto może spodziewał się po nas ochrony: kto wie, może najbliższą nam istotę, kogoś, za kogo – zapewnialiśmy wielokrotnie – bez wahania oddalibyśmy życie, a gdy przychodzi co do czego, to jednak się wahamy i nie oddajemy, ani nie oddaliśmy, ani też nie oddamy, gdyby nadarzyła się taka możliwość po raz drugi; że nie zrzuciliśmy z siebie winy na nikogo ani nikogo fałszywie nie oskarżyliśmy, żeby siebie ocalić, ani że niczego nie zrobiliśmy powodowani potwornym egoizmem i strachem. Szczerze wierzymy, że nie urodziliśmy się w miejscu ani czasie, w których przyszliśmy na świat, że jesteśmy młodszy i pochodzimy z innego, szlachetniejszego i mniej ponurego miejsca, że nasi rodzice nie są tymi, którymi byli, ani nie mieli tak pospolitego nazwiska; że własnym zasługom zawdzięczamy to, co ukradliśmy albo dostaliśmy w prezencie, że sprawiedliwie dziedziczymy każde berło i tron albo zwykłą łaskę i krzesło, bez uciekania się do niecznych sztuczek i nie uzurpując sobie niczego, że jesteśmy autorami zabawnych powiedzonek lub pomysłów przeczytanych bądź zasłyszanych od innych, mądrzejszych od nas czy bardziej myślących, ich napawające nas strachem imiona zawsze przemilczamy i nienawidzimy ich za to, że zostawili nas w tyle, choćbyśmy wiedzieli w głębi duszy, w jakimś najdalszym zakamarku resztki sumienia, że nie można mówić o zostawieniu w tyle, że bez ich obecności na przedzie te pomysły, całkowicie ich własne, tym bardziej nie mogłyby być naszymi albo w ogóle

by ich nie było, zupełnie; wierzymy, że jesteśmy tym, kogo najbardziej podziwiamy, i żeby tak stało się naprawdę, staramy się tego kogoś zniszczyć, wierząc, że możemy zająć jego miejsce i przyćmić go naszymi sukcesami, które w całości jemu zawdzięczamy, i wymazać go z niestałej pamięci świata, i uspokajamy siebie mówiąc, że on był tylko pionierem, którego przerośliśmy, i nosimy go w sobie, i tym sposobem czynimy go zbędnym; przekonujemy siebie, że przeszłość nas nie obciąża, ponieważ nigdy jej nie przemierzyliśmy („To nie ja, to nie zdarzyło się mnie, nie przeżyłem tego, nic nie widziałem, nic nie wiedziałem, to produkt cudzej wyobraźni, cudzej pamięci, która dziwnym sposobem została mi przeszczepiona albo ktoś mnie nią zaraził”), i że nigdy nie powiedzieliśmy tego, co powiedzieliśmy, ani nie ukradliśmy tego, co ukradliśmy, że nigdy nie wiwatowaliśmy na cześć dyktatora ani nie zdradziliśmy najlepszego przyjaciela, który od pierwszego do ostatniego dnia był tak nieznośnie lepszy od nas („Sam się o to prosił, ja nie miałem z tym nic wspólnego, ja milczałem, był nieostrożny, sam szukał guza, wystąpił nie w porę i nie przeszedł we właściwym czasie na drugą stronę barykady, nawet nie chciał przejść”); a nawet że nie nazywamy się tak, jak naprawdę się nazywamy, lecz że nosimy fałszywe nazwisko albo którekolwiek z ciągle zmieniających się nazwisk, które wciąż się pojawiają i są dodawane jedno do drugiego, może być Rylands albo Wheeler, albo Ure, albo Reresby, albo Tupra, albo Dundas, albo Kubuś fatalista, albo Jacobo, albo Jaime.

Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, i dlatego to takie logiczne i łatwe, że we wszystko można uwierzyć we właściwym czasie. Bez cienia wątpliwości: nawet w coś, co jest ewidentnie nieprawdziwe i sprzeczne z tym, co widzimy na własne oczy, tak, nawet w to się wierzy we właściwym czasie, w każde zdarzenie w jego własnej chwili, a w pełni czasu we wszystkie. Każdy jest gotów odwrócić wzrok i nie zwracać uwagi, zanegować, co ma przed sobą, i nie słyszeć krzyku, i utrzymywać, że nie

ma krzyków, lecz wielka kojąca cisza; zmienić fakty i to, co się wydarzyło, o tyle, o ile trzeba – jednonogi nadal potrafi czuć swoją nogę, jednoręki czuć swoją rękę, a ścięty potrafi zrobić jeszcze trzy kroki, jakby nie utracił woli ani świadomości – ale przede wszystkim zmienić własne myślenie, odczuwanie, wspomnienia i przewidywaną przyszłość, co czasem bierze się mylnie za przedsmak. „Tak nie było. To, co ma się zdarzyć, nie zdarzy się albo nie zdarzyło. Tak nie bywa” – oto stała litania wypaczająca przeszłość, przyszłość i terażniejszość, i tak oto nic nigdy nie jest niezmiennie lub niewzruszone, bezpieczne ani pewne. Wszystko, co istnieje, także nie istnieje albo zawiera w sobie własne przeszłe i przyszłe nieistnienie, nie utrzymuje się, nie trwa i nawet najstraszniejsze wydarzenia wystawione są na to samo ryzyko, i w końcu zagoszczą w jednookim zapomnieniu, i będą przemierzać to zapomnienie, które nie jest trwalsze ani bardziej stabilne, ani nie daje lepszego schronienia. To dlatego wszystkie rzeczy zdają się mówić: „Wciąż tu jestem, więc musiałem być tu wcześniej”, gdy wciąż jeszcze trwają i rosną, i nie ustają. Może to ich sposób na zaciekle wczepianie się w terażniejszość, na opór przed zniknięciem stawiany także przez przedmioty i wszystko co nieożywione, nie tylko przez ludzi, którzy kurczowo się trzymają i rozpaczają, i prawie nigdy się nie poddają („Ale to jeszcze nie czas, jeszcze nie”, mamroczą w panice resztką sił), może to próba zostawienia śladu po sobie na wszystkim, utrudnienia zanegowania siebie albo rozpląnięcia się, albo zapomnienia, to ich sposób powiedzenia „Byłem” i powstrzymania innych ludzi, by nie powiedzieli: „Nie, tego tu nie było, nikt tego nie widział ani nie pamięta, ani nigdy tego nie dotknął, po prostu tego nie było, nie przemierzyło świata ani nie postawiło stopy na ziemi, nie istniało i nigdy się nie zdarzyło”.

Nie było niczym poważnym, raczej czymś mało znaczącym jak na czasy, w jakich żyjemy, i przyjemnym także nie było to, co się zdarzyło, nie zdarzając się, między młodą Pérez Nuix i mną owej nocy, zapewne

w porze, którą Rzymianie nazywali *conticinium* i która już właściwie nie nastaje w naszych miastach, bo nie ma w nich takiej pory, gdy zamiera wszelkie życie i zapada cisza. Ona odetchnęła z zadowoleniem albo z ulgą i podziękowała mi za moją obietnicę, która nie była obietnicą, to znaczy za moją deklarację, że postaram się to zrobić, co do niczego wielkiego mnie nie zobowiązywało. Nagle wydała mi się bardzo zmęczona, ale tylko przez chwilę, zaraz energicznie wstała, podeszła do okna i spojrzała z bliska na niestrudzony deszcz. Przeciągnęła się dyskretnie – tylko ręce i nadgarstki, nie ramiona; a także uda, ale nie stając na palcach ani na piętach – i wtedy zapytała, czy może zostać. Nie chciało jej się teraz wracać, po nocy, powiedziała, i żebym się nie martwił, bo zerwie się z samego rana, żeby wyprowadzić psa, wyjdzie odpowiednio wcześniej, by zająć jeszcze do domu, wziąć prysznic i przebrać się (i włożyć nowe rajstopy, pomyślałem od razu), i wcale nie będziemy musieli iść razem do budynku bez nazwy, jak dziwne małżeństwo, które się nie rozdziela, idąc do pracy. Nikt się nie zorientuje, że spotkaliśmy się poza pracą, żeby konspirować, ani że dopiero co się rozstaliśmy. Zgodziłem się, jak mogłem odmówić jej takiego drobiazgu, gdy już zgodziłem się na zasadniczą prośbę (to znaczy zgodziłem się spróbować), aczkolwiek były to prośby dość odmiennej natury; w taką wstrętą noc nie chce się znowu wychodzić i kto wie, ile trzeba by czekać na taksówkę, najpierw musiałbym ją zamówić, jeżeli ktoś w ogóle odebrałby telefon. A poza tym ja też – ze względu na dramaturgiczną delikatność – wolałem, żeby nie wychodziła od razu po uzyskaniu tego, o co jej chodziło (albo takiej deklaracji), jej wizyta stałaby się wówczas wyłącznie interesowna. Była taka, oboje o tym wiedzieliśmy, ale najlepiej byłoby tego nie podkreślać, a i nie byłoby to właściwe, zważywszy, ile jeszcze mieliśmy do zrobienia w następnych dniach, szczególnie ja, który miałem poddać interpretacji, a może i poznać *Incomparę*. Zaproponowałem, że prześlę się na kanapie, a jej odstąpię

łóżko; nie zgodziła się, to ona była intruzem, niespodziewanym gościem, nie zamierzała zabierać mi łóżka ani pościeli.

– Ja będę spała na kanapie – powiedziała. Gdy jednak przyjrzała się meblowi pod tym kątem i zobaczyła, jaki jest niewygodny, może nawet przez nią samą trochę zawilgocony z powodu deszczu, który ze sobą przyniosła, zaproponowała coś, co tylko ona mogła zaproponować z racji wieku i dezynwoltury: – Nie stanie się nic wielkiego, jeżeli oboje prześpimy się w jednym łóżku, pod warunkiem że ty nie masz nic przeciwko temu. Ja nie mam. Szerokie jest?

Jasne, że nie miałem nic przeciwko temu, moja młodość przypadła na czasy, w których człowiek był szczęśliwy, mogąc się przespać w jakimkolwiek łóżku i obok przygodnych znajomych, gdziekolwiek się znalazł po nocy szaleństw albo sprowokowanej ekstazy, albo rzekomej duchowości, albo balowania: lata siedemdziesiąte tak usilnie żywiołowe i tak mało higieniczne, by nie powiedzieć: chwilami jawnie brudne, i część lat osiemdziesiątych, gdy wszystko trwało jeszcze w podobnym stylu. I jasne, że miałem coś przeciwko, nie byłem już tamtym młodym człowiekiem ani nie sypiałem w łóżku innym niż własne i od zbyt wielu lat byłem przyzwyczajony sypiać tylko u boku Luisy, nawet nie u boku mojej przelotnej głupiej kochanki, która zrujnowała wiele z tego, co wcześniej było lub zostało pieczołowicie zbudowane, aczkolwiek Luisa nigdy nie miała pewności co do jej istnienia; a potem, w Londynie, sporadycznie zdarzyło mi sypiać u boku kilku kobiet – trzech, dokładnie rzecz ujmując – z którymi ten niehigieniczny lub jeśli ktoś woli, brudny epizod wydarzył się już wcześniej, nie było zatem zagrożenia, że po raz pierwszy zechcę dotykać ich we śnie albo w półśnie bądź spróbuję się o nie ocierać, wstrzymując oddech i udając, że to się dzieje przypadkowo, ani że zechcę się im przyglądać w ciemności z rozbudzonymi zmysłami i zbędnym napięciem w szeroko otwartych oczach.

W taki oto sposób znalazłem się w łóżku z młodą Pérez Nuix, w takiej gotowości z powodu jej ciepła, jej obecności, że nie mogłem zasnąć, a w dodatku nie pozwalało mi na to tłukące się po głowie pytanie, czy z nią dzieje się to samo, czy wyczekuje, a może się obawia, że przysunę się bliżej, wolno, dyskretnie będę się przybliżał, tak stopniowo, że najpierw by w to powątpiewała – podobnie zbliżali się obmacywacze w autobusie albo tramwaju, albo w metrze, przysuwali się niezauważalnie pod pretekstem tłoku lub kołysania i w końcu ocierali się bądź napierali na ciepłą pierś wybranej kobiety, ale nigdy nie używali rąk, stąd słowo obmacywacz nie do końca jest właściwe, a zatem zawsze mieli wymówkę, że jest to ocieranie się mimowolne, a w każdym razie spowodowane przytłaczającym naporem tłumu, zakrętami i rzucaniem pojazdu. Mówię o tym w czasie przeszłym dlatego, że od dawna już nie byłem świadkiem takiego zawstydzającego spektaklu w żadnym środku komunikacji miejskiej i nie wiem, czy nadal zdarzają się podobne sceny w dzisiejszych czasach, pełnych większego szacunku przynajmniej w tej jednej dziedzinie, w latach mego dzieciństwa i wczesnej młodości często je widywałem, nie wykluczam nawet, że sam wziąłem udział w jakimś nieśmiałym zdarzeniu tego typu, mając trzynaście albo czternaście lat, gdy w umysłach dorastających chłopców wszystko się kręci wokół wyimaginowanego i niespełnionego seksu. Przypuszczam, że skojarzenie tych scen z odległą przeszłością kazało mi napomknąć o tramwajach, które od lat są już tylko duchami przeszłości, podobnie jak sympatyczne piętrowe autobusy madryckie, niedawno wycofane z ruchu na dobre, takie same jak autobusy londyńskie, tyle że niebieskie, nie czerwone, i tak samo z wejściem pozbawionym drzwi – miały tylko pionową poręcz, żeby można było się chwycić i wskoczyć do środka – tyle że po prawej, nie po lewej stronie, zgodnie z zasadą prawostronnego ruchu w moim kraju.

Płeć, ma się rozumieć u kobiet, to też wejście pozbawione drzwi, znaczy gdy nie jest zakryta ubraniem, nie trzeba jej otwierać, by wnikać do



środku. Pozwoliłem, żeby położyła się pierwsza, w pojedynkę, zczekałem chwilę w drugim pokoju, aż się przygotuje i rozbierze na tyle, na ile zechce, gdy więc w końcu po tych kilku minutach wszedłem do sypialni, młoda Pérez Nuix leżała już w pościeli i nie było sposobu, by patrząc na nią, stwierdzić, jakie części garderoby zdjęła do spania. Dałem jej wcześniej swój czysty podkoszulek z krótkimi rękawami, bo ja w takim właśnie sypiam, gdy zapowiada się chłodna noc, nie mam w domu piżam z prawdziwego zdarzenia. „To mi wystarczy, dziękuję”, powiedziała wtedy, więc najprawdopodobniej włożyła tylko podkoszulek i nic od dołu, aczkolwiek najprawdopodobniej nie zdjęła majtek, przez wstydlivość lub z rozwagi albo przez wzgląd na czystość, żeby nie poplamić nieswojego prześcieradła, ja też nie zdjąłem spodenek – bokserek – i włożyłem podkoszulek nie dlatego, że owej nocy było chłodno, lecz aby oszczędzić jej przypadkowego dotknięcia, skóra skóry, ciało ciała, to mogło się zdarzyć jedynie na wysokości nóg, moich owłosionych i jej bardzo gładkich, była bardzo hiszpańska w tym, co się tyczy starannej depilacji. Zanim jednak zgasilem światło – lampkę na stoliku nocnym – które ona zostawiła zapalone, żebym nie musiał wchodzić po omacku, udałem, że porządkuję jej i swoje ubrania, oboje zostawiliśmy je na tym samym fotelu, i wtedy mogłem zobaczyć i policzyć części garderoby, które z siebie zdjęła, był tam nie tylko stanik, jak sobie wyobrażałem, lecz również pozostała bielizna, czego wcale sobie nie wyobrażałem, leżały tam jej białe majtki złożone na pół, były bardzo skąpe, czyli normalne, i od razu pomyślałem, że jestem od niej dużo wyższy, musiała uznać, że podkoszulek jest dostatecznie długi, więc będzie się czuła okryta. Myśl ta jednak mi nie pomogła i gdy tylko pokój pograżył się w ciemności, a ja wsunąłem się pod kołdrę, zdałem sobie sprawę, że przez całą noc nie uda mi się zapomnieć o tym dziwnym zaskakującym szczególe i dlatego niemal na pewno nie zasnę, będę go rozpamiętywał i starał się dociec jego znaczenia: jaki sens krył się

w zdjęciu majtek i pozostawieniu płci, by tak rzec, na wierzchu, tak blisko mnie i mojej, dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów i dwa cienkie materiały albo i nie tyle, materiał moich bokserek z umyślnym rozcięciem i materiał jej pożyczonego ode mnie podkoszulka, zakładając, że się nie podwinął, gdy kładła się do łóżka, a jeśli się podwinął i nie zadbała, żeby go obciągnąć, całkiem możliwe, że teraz jej tyłek – leżała odwrócona do mnie tyłem – był nagi i bardzo blisko mego beznadziejnie sterczącego członka, czysta rozpacz, nie zmrużę oka przez tę fizyczną gotowość i natrętną aktywność umysłu, myśląc w kółko o tym szczególe, o członku, o pośladkach i o tym co niżej, o sąsiedztwie wszystkiego i braku drzwi, a nawet poręczy, i braku materiału, wahając się, czy nie przysunąć się jakby nigdy nic i nie oprzeć się ostrożnie, żeby to wyglądało na coś nieświadomego, zrobionego przez sen, po prostu instynktownego, mimowolnego, niemal zwierzęcego, a przecież cały czas w napiętym i zupełnie przytomnym oczekiwaniu, żeby się przekonać, czy ona od razu mi umknie, czy odsunie się przy pierwszym dotknięciu, czy też na nie przyzwoli i nie poruszy się ani nie ucieknie, nie ustąpi ani mnie nie pozwoli opaść w powietrzu, w próżnię, w pustkę; nie miałem śmiałości posunąć się do tego, by oczekiwać naporu lub zachęty, to wszystko działało się tylko w moich myślach, które w takich okolicznościach szybko stają się obsesyjne, to taki typ wątpliwości albo myśli, które raz powzięte nie znikają ani nie ustępują, a tym bardziej gdy krew się zgromadziła i nie pozwala na uśmierzanie i złapanie oddechu, na uspokojenie albo zapomnienie, albo zawieszenie broni, i wtedy pokusa staje się mocna. Wsłuchiwałem się przez chwilę w jej oddech – nie wydał mi się oddechem osoby śpiącej – powstrzymując własny, niemal go zatrzymawszy, po czym przyszło mi do głowy, że wstanę i przeniosę się na kanapę z kocem, jednakże nie chciałem w gruncie rzeczy wyjść z łóżka ani stracić tej uzyskanej niewiarygodnej bliskości, to był rodzaj obietnicy, która satysfakcjonowała sama przez się

i pozwalała mi trwać w dręczącej i pełnej nadziei niewiedzy, snuć fantazje o tym, co w każdej chwili mogłoby się zdarzyć, gdybyśmy się dotknęli i gdyby żadne z nas nie starało się tego uniknąć ani się nie wystraszyło, dzieliło nas tak niewiele centymetrów, a wszystko jest kwestią czasu i przestrzeni, i zbiegnięcia się w tych dwóch wymiarach, mieliśmy czas i niemal mieliśmy też przestrzeń, potrzebowaliśmy tylko lekkiego poślizgu, żeby wszystko obróciło się na naszą korzyść całkowicie, minimalnego przemieszczenia, to było takie łatwe, że wydawało się niemożliwe, by się nie stało, może najpierw leciutkie dotknięcie i zaraz potem mój członek wślizgnąłby się w jej płeć, i obie, jej i moja, byłyby w tym samym miejscu, jedna wewnątrz drugiej, jakbyśmy nie zdawali sobie z tego sprawy, moglibyśmy nawet udać, że sobie nie zdajemy sprawy i nadal śpimy, mimo że oboje byliśmy zupełnie przytomni, wiedziałem, że ja jestem, a sądziłem, że ona też; byłem o tym przekonany, lecz nie miałem pewności i to właśnie był hamulec albo jeden z hamulców.

Sytuacja seksualnej milczącej bliskości nie była dla mnie nowa, to znaczy była nowa z młodą Pérez Nuix, ale nie w moim życiu, nieraz wydarzyła mi się z Luisą, początkowo w milczeniu i spokojnie, następowało to uprzednie leciutkie dotknięcie i minimalne przemieszczenie, które prowadziło nas do zbieżności w przestrzeni i czasie, to się właśnie liczy i to rozstrzyga przy ważnych wydarzeniach, z tego powodu jest czasem tak istotne, żeby *not to linger or delay*, nie ociągać się ani nie zwlekać, jakkolwiek może nas to również uratować, nigdy nie wiadomo, co by było najlepsze ani co by należało zrobić: jeżeli kula i głowa albo sztylet i pierś, albo ostrze miecza i szyja nie zetkną się w tym samym miejscu i czasie, nikt nie umiera, dlatego żył nadal De la Garza, bo jego szyja i miecz Reresby'ego, jego katzbalger, nie zetknęły się ze sobą dokładnie, mimo że kilka razy były już tuż-tuż. Ale z Luisą jej przyzwolenie było pewne albo prawie pewne i mogłem oczekiwać naporu i zachęty, przecież

każdej nocy kładliśmy się do wspólnego łóżka, ona wcześniej, ja później, jakbym przychodził odwiedzić ją w snach albo był duchem, a cała reszta mieściła się w granicach tego co przewidywalne i prawdopodobne, a przynajmniej możliwe. A jeżeli ktoś odmawiał, ona albo ja, była to odmowa spowodowana okolicznościami, uzasadniona i przejściowa („Jestem dziś wykończona”, „Za bardzo się dziś martwię, myślami jestem gdzie indziej” albo nawet bardziej banalna: „Jutro muszę wstąpić”), nie co do istoty rzeczy, nie totalna, nie w odniesieniu do samego aktu, nie taka, jaka mogłaby mnie spotkać ze strony młodej Pérez Nuix, sformułowana jednoznacznie i miażdżąco: „Co do diabła robisz? Zwariowałaś?” albo delikatniej i bardziej dyplomatycznie: „Nie rób tego, nie radzę, nic tak nie osiągniesz”, albo w bardziej upokarzający sposób: „No nie, miałam cię za bardziej opanowanego, dojrzalszego, a ty jesteś zwykły napalony Hiszpan, hiszpański macho w starym stylu”.

Nie padły takie raniące słowa ani żadne inne, gdy w końcu odważyłem się jej dotknąć i oparłem delikatnie członek na jej pośladkach, i od razu wyczułem, że zamiast podkoszulka napotykam jędrność i ciepło jej ciała, musiała być jedną z tych kobiet zmarzluchów, które oddają całe ciepło i same go nie czują, grzeją jak piecyk każdego, kto znajduje się blisko i dotyka ich, choć same mogą wtedy trząść się z zimna, jak ludzie z gorączką. Nie było słów ani żadnej reakcji, zniechęcającej ani zachęcającej, zbliżenia się ani odsunięcia, wyglądało to tak, jakby ona naprawdę głęboko spała, zastanowiłem się, czy istotnie aż tak głęboko, żeby nie zauważyć kontaktu skóry ze skórą bez niczego pomiędzy, pomyślałem, że to niemożliwe i że musi udawać, ale nigdy nie jest się całkowicie pewnym niczego, prawie niczego w odniesieniu do innych, a możliwe, że i do siebie. Przysunąłem się trochę bardziej, napałem trochę mocniej, wciąż jeszcze tak nieznacznie, że nie byłem pewien, czy faktycznie to zrobiłem, czasem myślisz, że się przesunąłeś albo poruszyłeś,

albo nacisnąłeś, albo pogładziłeś, lecz to przybliżenie się jest tak nieśmiałe i lękliwe, że możesz sam siebie oszukać, a przesunięcie w przód, nawet dotknięcie może się okazać niezauważalne dla drugiej osoby. I na tym etapie właśnie byłem, między tak i nie, między nieznośnym pożądaniem i lękliwą, a może cywilizowaną powściągliwością, napierając tak minimalnie, jakby wcale tego naporu nie było, gdy nagle absurdalnie przyszło mi na myśl: prezerwatywa. Pomyślałem, że nie mogę próbować, nie założę prezerwatywy, ale potrzebuję choćby minimalnego przyzwolenia, akceptacji, zgody. Gdybym teraz wstał, poszedł po prezerwatywę i wrócił do łóżka, utraciłbym tę bliskość, musiałbym zacząć wszystko od początku, ona mogłaby się odsunąć i mógłbym nie znaleźć się znowu u samych bram. I z założoną prezerwatywą nie miałbym już alibi, gdyby mnie zwymyślała i gwałtownie odepchnęła, nie mógłbym powiedzieć: „Ojej, przepraszam, to niechcący, spałem już i nie zdawałem sobie sprawy, że cię dotykam. Nie miałem takiego zamiaru, wybacź, odsunę się na skraj łóżka”, bo ten absurdalny pokrowiec dowodziłby niezbitcie, że jednak miałem taki zamiar, w dodatku zdradziecki.

Myśl ta sprawiła, że natychmiast trochę się odsunąłem, dostatecznie dużo, by stracić kontakt ze skórą, a straciwszy go, utwierdziłem się w swym niepewnym przekonaniu, że był taki sam jak fantasmagoryczny napór z mojej strony, przed którym ona nie uciekała ani go nie odrzucała; i po kilku sekundach zmieniłem pozycję (Przeklęty kondom, myślałem, za mojej młodości mieliśmy je w pogardzie, nawet mi w głowie nie powstało, żeby je kupować, teraz natomiast są zawsze potrzebne), już nie leżałem tuż za nią, w uprzywilejowanym miejscu, lecz położyłem się na plecach, rozmyślając, co mam robić, jak to zrobić albo czy zaprzestać mimo rozbudzonych nadziei i postarać się zasnąć, nic nie robiąc. Włożyłem ramię pod poduszkę, żeby podeprzeć głowę, mimowolny gest medytacyjny, i tym ruchem odkryłem sobie tors, prawie do pasa, a jej odkryłem ramiona. To

wystarczyło – albo posłużyło za pretekst – żeby młoda Pérez Nuix obudziła się lub udała, że się budzi. I właśnie wtedy, po raz pierwszy i jedyny tamtej spędzonej wspólnie nocy, nie byłem dla niej niewidzialny mimo otaczających nas ciemności: odwróciła się i położyła mi na policzkach szeroko rozwarte dłonie, jakby wyznawała mi uczucie, miękkie dłonie; popatrzyła mi w oczy przez kilka sekund (jedna, dwie, trzy, cztery; i pięć; albo sześć, siedem, osiem; i dziewięć; albo dziesięć, jedenaście, dwanaście; i trzynaście) i uśmiechnęła się do mnie, i zaśmiała się, równocześnie chwytając delikatnie lub podtrzymując moją twarz, tak jak robiła to czasem Luisa, gdy jej łóżko było jeszcze moim i jeszcze nie chciało nam się spać albo nie na tyle, byśmy życzyli sobie dobrej nocy i odwrócili się do siebie plecami aż do rana, albo gdy odwiedzałem ją później niczym duch, z którym jest się umówionym i na którego się czeka, i przyjmowała mnie. Tylko wówczas nie byłem niewidzialny dla Pérez Nuix, gdy nie było światła. Moje oczy przywykły widzieć w półmroku mej sypialni bez żaluzji i okiennic, jak niemal wszystkie sypialnie na owej wielkiej wyspie, która zasypia z jednym oknem otwartym; lecz nie widziały w półmroku oczy Pérez Nuix, nie znały bowiem tej przestrzeni. Mimo to spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, i roześmiała, trwało to krótko. Potem znowu przewróciła się na bok, plecami do mnie, przyjęła tę samą pozycję co wcześniej, jakby nie wydarzyło się to popatrzenie na siebie w półmroku i jakby zamierzała dalej spać. Ale przecież się wydarzyło i to był dla mnie znak przyzwolenia, pozwolenia, zgody, wydarzyło się i kazało mi wstać na chwilę z łóżka, i błyskawicznie znaleźć prezerwatywę, i założyć ją, i powrócić dużo bardziej ufnemu i pewnemu siebie do własnej wcześniejszej pozycji, do ocierania się i dotyku, i delikatnego napierania, teraz już nie na pośladki, lecz trochę niżej, ku wilgotności i przesmykowi, ku przejściu, *more ferarum*, na sposób zwierząt, tak to się nazywa po łacinie. Ona się nie poruszyła, albo nie zaraz, z początku mego łatwego teraz wślizgiwania się

(Posuwam ją, pomyślałem, zagłębiając się, nic na to nie mogłem poradzić), poddała się temu, nie uczestniczyła, jeżeli można tak powiedzieć lub to możliwe, w każdym razie nie odzywaliśmy się, nie było innych oznak z niczyjej strony, że dzieje się to, co się działo, jak by to ująć, udawaliśmy, że udajemy pogrążonych we śnie i niczego nie zauważamy, nie przyznajemy się przed sobą, jakby to się działo pod naszą nieobecność albo bez naszej wiedzy, choć chwilami wymykały jej się dźwięki, może mnie także, gdy kończyłem, powstrzymałem je świadomie, według mnie pozwoliłem sobie tylko na głębszy oddech, co najwyżej westchnienie, ale kto wie, człowiek kiepsko słyszy samego siebie, w każdym razie dźwięki, a nawet jęki podczas snu są dozwolone, niektórzy wygłaszają nawet długie przemowy przez sen i nigdy im się nie zarzuca, że nie śpią. Nic nie było słychać, prawie nic nie było widać również, widziałem tylko jej kark w ciemności i nazbyt blisko i pewnie dlatego stanęły mi przed oczyma widoki, te, które niedawno dłuższy czas podziwiałem w pokoju („Zajmę ci tylko chwilkę” – zapowiedziała z ulicy: na ile mogła wiedzieć, że to nieprawda?), rozpinanych i zapinanych suwaków w jej botkach, oczka lecącego w rajstopach, powiększającego się we wszystkie strony, ale przede wszystkim w górę uda, jakby pokazywało mi drogę; i inny widok, dawniejszy, widok odkrytych piersi, wąskiej spódnicy, ręki z ręcznikiem i uniesionego ramienia, które przydawało tej scenie nagości przez bez troskie pokazanie czystej, gładkiej, świeżo umytej pachy, rzecz jasna wygolonej, owego poranka w budynku bez nazwy, kiedy to ona się nie zarumieniła, a mnie przyszło do głowy, że młoda Nuix nie spisuje mnie na straty albo nie wyklucza całkowicie, nawet jeżeli – widząc, że ją widzę, i decydując, że się nie przykryje – nie wydałem jej się pociągający, a może nie było w tym żadnej decyzji. Wszystko było milczące i nieśmiałe, było naprawdę fantasmagoryczne i tak trwało, dopiero po chwili poczułem napór również z jej strony, już nie tylko mój, i żaden nie był maskowany ani

słaby, było tak, jakbyśmy zwarli się w mocnym uścisku, nie używając ramion, ona napierała na mnie, a ja na nią, ale tylko jedną częścią ciała, tą samą, oboje, jakbyśmy tylko nią byli lub z niej się składali, jakby było zabronione zewrzeć się w inny sposób, ramionami, nogami, w talii czy pocałunkiem. Myślę, że nie chwyciliśmy się nawet za ręce.



Tak, niemal na pewno to właśnie mieliśmy ze sobą wspólnego Tupra i ja albo Ure, albo Reresby, albo Dundas, kto wie, iloma jeszcze nazwiskami posługiwał się w innych krajach, i być może nigdy więcej ich nie używał na tym bardziej siedzącym etapie swego życia, dość zadomowiony w Londynie, możliwe, że się tam trochę nudził, mimo że wyjeżdżał od czasu do czasu w krótkie podróże, a może się nie nudził i bardzo go zmęczyło to dawne włóczenie się i rozsiewanie zarazków cholery i malarii, i dżumy, i wzniesienie pożarów w dalekich krajach. Jego dom nie był domem człowieka mającego poczucie tymczasowości lub pośpiechu, domem kogoś, kto wychodzi i wchodzi, i rzuca szybko okiem, i wyjeżdża, i wraca, i wypala papierosa, i nigdy nie zagrzewa długo miejsca. Możliwe jednak, że ta wspólnota była bardzo niewielka: ja przespałem się z Pérez Nuix w ów zanadto milczący i potajemny sposób, nie tylko wobec innych, lecz także względem nas obojga. On natomiast (to było tylko podejrzenie, ale bardzo mocne) pewnie odwiedzał ją intymnie przez długi, a przynajmniej nie tak mało znaczący czas, możliwe, że wtedy, gdy stanowiła dla niego nowość, była osobą, która najbardziej go pobudzała i bawiła, i stwarzała mu poczucie małego, a może dużego codziennego święta. W każdym razie pewnie widzieli swoje twarze, kiedy ze sobą spali, pewnie potem rozmawiali, opowiadali nawzajem coś o sobie i swoich poglądach (choćby Tupra opowiadał na swój fragmentaryczny sposób, to znaczy niewiele) i będąc razem w pokoju, mieli pewność, że działo się to, co się działo, w odróżnieniu ode mnie, który wcale jej nie miałem – albo nawet mniej niż wcale, wzięwszy pod uwagę, że to, co się zdarzyło, natychmiast stało się przeszłością – kiedy wycofałem się z przesmyku, którego nigdy nie przemierza się do końca, i wyszedłem tak samo delikatnie

i ostrożnie, jak wcześniej się tam przybliżyłem i wszedłem; kiedy odsunąłem się kilka centymetrów i przekręciłem na bok, i po raz pierwszy odwróciłem się do dziewczyny plecami, czyli tak jak ona leżała odwrócona do mnie cały niemal czas – z wyjątkiem chwili, gdy na mnie spojrzała i wzięła w dłonie moją twarz – i włożyłem ramię pod poduszkę już nie po to, żeby rozmyślać albo przeklinać, lecz żeby przywołać sen.

Możliwe, że jedynym, co mieliśmy ze sobą wspólnego, Tupra i ja, było blade nieokreślone powinowactwo, o którym mężczyźni na ogół nie wiedzą i którego nie uwzględniają języki, aczkolwiek uwzględniają sentyment i niekiedy uczucie zazdrości, i niekiedy uczucie koleżeństwa; znaczy języki z wyjątkiem staroangielskiego, jak kiedyś przeczytałem w pewnej książce, napisanej zresztą nie przez Anglika, lecz przez mojego rodaka, nie była to książka eseistyczna ani praca z dziedziny lingwistyki, tylko powieść, fikcja, jej narrator przypominał, że w tym dawnym języku istniało słowo nazywające takie powinowactwo lub relację łączącą dwóch albo więcej mężczyzn, którym przyszło leżeć u boku tej samej kobiety bądź z nią spać, obojętne kiedy i obojętne z którą z twarzy właściwych tej kobiecie na przestrzeni jej życia, wczorajszą, dzisiejszą czy jutrzejszą. Zapadło mi w pamięć to dziwne pojęcie, aczkolwiek tamten narrator nie był pewien, czy chodziło o czasownik, którego nieistniejącym współczesnym odpowiednikiem byłby czasownik „współspać” (lub „współjechać” w grubiańskim dzisiejszym żargonie) albo rzeczownik, który oznaczałby „współspiających” (bądź „współjeźdźców”), albo działanie samo w sobie (nazwijmy to „współchędożeniem”). Jedną z możliwych form tego słowa, nie wiem którą, było „*ge-brýd-guma*”, zapamiętałem ją, nie starając się o to i bez wysiłku, i czasem miałem ją na końcu języka albo przychodziła mi na myśl: „Wielkie nieba, teraz jestem, uczyniono mnie gebridgumą tego mężczyzny, co za degradacja, jaka groza, jakie umniejszenie wartości, jakie straszne”, gdy widziałem lub dowiadywałem się, że jakaś moja dawna

kochanka albo narzeczona tworzyła parę lub zbytnio się spoufalala z jakimś podłym wstrętnym typem, z jakimś idiotą lub podczłowiekiem, często tak bywa albo tak nam się wydaje, poza tym zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo i nic na to nie możemy poradzić. (Postanowiłem wymawiać to właśnie tak, „gebridguma”, choć rzecz jasna nie miałem pojęcia, jak powinienem).

Na początku mojej znajomości z Tuprą myślałem albo obawiałem się, że w jakiś karkołomny nierzeczywisty sposób mogę uzyskać z nim takie powinowactwo poprzez Luisę – a raczej cieszyłem się, że ona jest w Madrycie i że nigdy się nie spotkają, a zatem to się nie zdarzy – kiedy zobaczyłem wyraźnie, że żadna niemal kobieta nie potrafi mu się oprzeć i że byłbym na straconej pozycji, gdybym kiedyś stanął z nim na tym polu w szranki, obojętne, czy pojawiłbym się pierwszy, równocześnie z nim czy drugi. A teraz wyglądało na to, że prawdopodobnie uzyskałem to powinowactwo za innym pośrednictwem, niespodziewanym i mniej istotnym, za pośrednictwem, które czyniło ze mnie tego, który przychodzi p ó ż n i e j, a nie tego, który jest albo był w c z e ś n i e j: sytuacja przychodzącego później jest na swój sposób uprzywilejowana, bo można usłyszeć różne rzeczy i wypytać o nie tego pierwszego, ale to on naraża się także na niebezpieczeństwo zarażenia, gdy jest w to wmieszana jakaś choroba, i właśnie ta choroba – jeżeli takowa występuje – jest jedynym namacalnym przejawem owej dziwnej słabej więzi, na którą dziś nikt nie zwraca specjalnej uwagi, mimo że istnieje, choć nie jest nazwana i unosi się niezauważalnie nad relacjami między mężczyznami i między kobietami oraz między mężczyznami i kobietami. Nikt już nie mówi tym średniowiecznym językiem i prawie nikt go nie zna. A jak się dobrze zastanowić, jest coś jeszcze, co osoba pośrednicząca przekazuje niekiedy od tego, który był z nią w c z e ś n i e j, temu, który był p ó ż n i e j, ale co nie jest ani namacalne, ani widzialne: wpływ. Owej nocy w trakcie

rozmowy z młodą Pérez Nuix odnosiłem chwilami wrażenie, jakbym słyszał przemawiającego przez nią Tuprę, lecz mogło to również wynikać z ich kilkuletniej współpracy i stałego kontaktu, niekoniecznie z tego, że byli kiedyś kochankami. Prawda jest taka, że nigdy nie wiemy, od kogo pochodzą kształtujące nas poglądy i przekonania, te, które zapadają w nas głęboko i którymi się kierujemy, zachowujemy je mimowolnie w pamięci i czynimy własnymi. Od jakiegoś pradziadka, dziadka, ojca, niekoniecznie od własnych przodków? Od jakiegoś dawnego, nieznanego nam nauczyciela, który wychował tego nauczyciela, którego znamy? Od jakiejś matki, od jakiejś piastunki, która tamtą niańczyła? Od byłego męża naszej ukochanej, od gebridgumy, którego nigdy nie widzieliśmy na oczy? Z książek, których nie przeczytaliśmy, i z czasów, w których nie żyliśmy? Tak, trudno wprost uwierzyć, ile ludzie rozmawiają, ile mówią i opowiadają, i zapisują, oto męczący świat bezustannej transmisji, i tak oto rodzimy się, gdy dzieło jest już bardzo zaawansowane, lecz od razu skazani na wiedzę, że nic nigdy nie skończy się całkowicie, i niesiemy nagromadzone w nas – niewyraźnie pobrzmiwają nam w głowach – wyczerpujące głosy niezliczonych stuleci, łudząc się naiwnie, że niektóre myśli i historie są nowe, nigdy wcześniej nie słyszane ani nie przeczytane, ale czy to możliwe, skoro ludzie, odkąd posiadli dar mówienia, niezmordowanie i bez końca opowiadają i wcześniej czy później wszystko jest powiedziane, to co ciekawe i co błahe, co osobiste i co publiczne, co głębokie i co zbyteczne, co powinno pozostać ukryte i co zasługuje na rozpowszechnienie, smutki i radości, i pretensje, rzeczy pewne i domniemania, wymysły i fakty, przekonania i podejrzenia, zniewagi i uwielbienie, i plany zemsty, czyny bohaterskie i upokorzenia, to co wbija nas w dumę i to co nas zawstydza, co zdawało się tajemnicą i co usilnie chciało nią być, to co znane i co niewypowiedziane, i co straszne, i co

oczywiste, co istotne – zakochanie się – i co nieważne – zakochanie się. Nie namyślając się dwa razy, idziemy i opowiadamy.

– Mnie też nie przyszłoby to do głowy, nie myśl sobie, gdybym miał wybór – odpowiedziałem Tuprze, kiedy przestaliśmy śmiać się bezinteresownie razem, wbrew mojej woli, z tych *bulwarks*, czyli bastionów, na które mnie wcześniej pchnął. – Ale ty mnie zmusiłeś, jak i do całej reszty dzisiejszego wieczoru, łącznie z tym, że wciąż tu jestem mimo jakiejś niehumanitarnej pory. – To znaczy powiedziałem właściwie „*at an unearthly hour*” w moim książkowym niekiedy angielskim; „o nieziemskiej godzinie” w dokładnym tłumaczeniu. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale cały dzień jedynie wydajesz mi polecenia, większość poza godzinami pracy. Już na mnie pora. Chcę iść spać, jestem zmęczony. – Tym sposobem znowu przeszedłem od zdradzieckiego krótkiego śmiechu do dłuższej powagi, żeby nie powiedzieć: do irytacji. I poruszyłem się, jakbym sugerował, że zamierzam wstać, tylko zamierzam, nic ponadto, bo on by mi na to jeszcze nie pozwolił: chciał porozmawiać ze mną o Konstantynopolu i o Tangerze w minionych stuleciach, zawsze znajdują się jakieś wyczerpujące głosy i historie, których jeszcze nie znamy. Ale tego nie robił i zapewne nie zamierzał robić, o niektórych rzeczach tylko się napomyka, by potem już do nich nie wracać, rzuca się je jak słowną przynętę, a potem zostawia; miał też pokazać mi swoje prywatne taśmy, a może nagrania DVD. Tego też nie robił. – Jeżeli nie powiesz mi szybko, o co chodzi z tym Tangerem i Konstantynopolem, to się zmywam, Bertram. Mam już dość, padam ze zmęczenia. I nie mam nastroju na dalsze rozmowy.

Tupra wydał z siebie jakieś niesprecyzowane parsknięcie, coś pomiędzy oschłym śmiechem i odgłosem tłumionej pogardy. Wstał i powiedział:

– Nie bądź taki niecierpliwy, Jack, tu nie ma miejsca na pośpiech. Zamierzam pokazać ci nagrania wideo, o których wspomniałem, dużo się z nich nauczysz i dobrze ci zrobi, jak je zobaczysz. Nie od razu, nie są

przyjemne i całkiem możliwe, że odechce ci się spać, że odbiorą ci ochotę na sen przez następne kilka godzin, już ci mówiłem, że jutro, a właściwie dziś możesz nie przychodzić do pracy, nie traćmy czasu. – Rzucił bardzo szybkie spojrzenie na zegarek, ja także: jak na Londyn godzina była nieziemska, ale jak na Madryt wcale nie. Dzieci pewnie już spały, lecz kto wie, co robiła Luisa, mogła jeszcze nie spać, być z kimś albo sama. – Ale później dobrze ci zrobi, że je widziałeś. Za kilka dni. I przyda ci się już na zawsze. Możliwe, że już teraz nie przykładasz wagi do spraw nieistotnych, tego właśnie należy uczyć w pierwszej kolejności wszystkich, a przecież nikt się tym nie zajmuje, wprost przeciwnie: ludzi się tak wychowuje, żeby każdy idiota miał prawo zrobić wielki dramat z każdego głupstwa. Wychowuje się ich do cierpienia bez prawdziwego powodu, a jak człowiek cierpi albo zadręcza się z byle powodu, to nic na tym nie zyskuje. To paraliżuje, przytłacza, nie pozwala zrobić kroku. No i sam widzisz, dziś ludzie biją się w piersi nawet za skrzywdzenie roślinki, a jak się skrzywdzi zwierzę, to już zbrodnia i skandal. Ludzie żyją w nierzeczywistym świecie, wydelikacjonym, karykaturalnym, przesłodzonym – *cursi*, czyli pretensjonalnym, pomyślałem, angielskiemu brakuje tego jakże przydatnego słowa o szerokim zastosowaniu. – Ludzkie umysły są stale spowite watą. – I znowu lekkie parsknięcie, które zabrzmiało, jakby chrząknął sarkastycznie. – To znaczy w naszych krajach. I gdy u nas wydarza się coś, co gdzie indziej jest normalne, jest chlebem powszednim, to okazuje się, że jesteśmy bezbronni i bez refleksu, ciepłe kluchy, i reagujemy dopiero po pewnym czasie, i wtedy jest to reakcja nieproporcjonalna i na oślep, która chybia celu. Jest obarczona nadmiernym retrospektywnym strachem, jak po zamachach tutaj i u ciebie, w Madrycie, by nie wspomnieć już o tych w Nowym Jorku i Waszyngtonie.

– W Madrycie tak wiele się nie zmieniło – wtrąciłem. – Jakby tych zamachów wcale nie było.

Ale on nie zwrócił na mnie uwagi, ciągnął swój wątek. Jego głęboki głos stał się zbolący. Zawsze trochę się taki wydawał, jak dźwięk powstający z ruchu smyczka po strunach wiolonczeli. Ale niekiedy ta tonacja zaznaczała się bardziej i wywoływała u słuchacza miłe, niemal przyjemne uczucie łagodzące smutek; przynajmniej we mnie je wywoływała.

– Nie mówię, że nie należy się bać, zrozum mnie dobrze. Po prostu powinniśmy byli bać się już wcześniej, traktować strach jak coś tak oczywistego jak potrzebne do oddychania powietrze, powinniśmy byli go wzbudzać. Wzbudzać strach i czuć strach, ciągle, taki właśnie niezmiennie jest świat, zapomnieliśmy o tym. W innych krajach, bardziej czujnych, to coś naturalnego. Tu jednak nikt sobie tego nie uświadamia i zasypiamy, nie zostawiwszy jednego oka otwartego, dajemy się zaskoczyć i wtedy nie możemy uwierzyć, że stało się to, co się stało. Strach retrospektywny jest bezużyteczny, jeszcze bardziej bezużyteczny niż strach na zapas. Ten zresztą też nie jest jakoś szczególnie przydatny, ale przynajmniej wprawia w stan wyczekiwania, skoro już nie mamy się na baczności. Zawsze jest lepiej strach wzbudzać. Chodź, pokażę ci te nagrania, nie trwają długo. Miejscami będę przewijał.

Nalał mi porto z butelki, nie pytając mnie o zdanie – może pomyślał, że potrzebuję czegoś mocniejszego, żeby skonfrontować się z tymi nieprzyjemnymi, ale pouczającymi scenami – wziął do ręki swój kieliszek, a ja, przynaglony przez niego, wziąłem swój – popędził mnie ruchem głowy i palca i poprowadził do mniejszego pokoju, otwierając go jednym z kluczy, które miał przy sobie. Zastanowiłem się, kto jeszcze mieszka w tym domu, skoro Tupra nie chciał, żeby wchodził do pokoju bez jego pozwolenia lub towarzystwa, możliwe, że służba domowa. Zapalił dwie lampy. Był to rodzaj pracowni, od razu przypomniał mi się gabinet Tupry w budynku bez nazwy, pełno tu było książek równie kosztownych jak te w salonie albo i bardziej – to mogły być jego bibliofilskie skarby; nie było tam natomiast

żadnych obrazów, tylko oprawiony w ramki rysunek przedstawiający wojskowego, tylko twarz i ramiona, lekko podkrecony wąs, może to był jakiś jego idol z MI6 czy jak to się dawniej nazywało, na pierwszy rzut oka wyglądał mi na żołnierza z pierwszej wojny światowej, najdalej z lat dwudziestych; nie sądziłem, żeby był jakimś przodkiem, jakimś Tuprą, miał na sobie mundur brytyjskiego oficera, nie potrafiłem rozpoznać rangi. W pokoju stało biurko, a na nim komputer, za biurkiem fotel na małych kółeczkach – tu pewnie zwykł zasiadać Reresby, gdy pracował w domu – i dwa puffy. Tupra przesunął nogą oba puffy przed niewysoką szafkę, otworzył jej drewniane drzwiczki i w środku ukazał się telewizor, był absurdalnie zakamuflowany, jak minilodówki w niektórych eleganckich hotelach, które wstydzą się, że je mają. Ruchem ręki wskazał mi jeden z pufów, żebym na nim usiadł, i tak też zrobiłem. Podszedł do biurka, okrążył je i z szuflady również otwartej kluczem wyjął płytę DVD, wcześniej szukając jej przez kilka sekund, a więc miał w tej szufladzie kilka płyt albo więcej niż jedną i więcej niż dwie. Włączył telewizor, znajdujący się poniżej odtwarzacz DVD i włożył do odtwarzacza krążek. Usiadł na drugim pufie po mojej lewej stronie, niemal obok, ale troszkę bardziej z tyłu, odrobinę za moimi plecami, obaj byliśmy bardzo blisko niebieskiego jeszcze ekranu, ja bliżej, wziął pilota, musiałem zerknąć z ukosa, aby to zobaczyć, a żeby dostrzec jego minę, musiałem przekreślić głowę. Każdy trzymał w ręce swój kieliszek, on zrobił wszystko, posługując się jedną ręką albo nogą, już mówiłem.

– Co będziemy oglądać, co zamierzasz mi puścić? – zapytałem z niecierpliwością zmieszaną z pewnością siebie. – Chyba nie jakiś film, co? Nie ta pora.

Jeszcze nie czułem strachu, nie pozwalała mi na to irytacja i zmęczenie, wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby coś mogło mnie rozbudzić. Poza tym owej nocy naoglądałem się już pod dostatkiem scen nieprzyjemnych



i mało pouczających, i to nie na wideo, lecz w namacalnej i oddychalnej rzeczywistości, tuż obok mnie, czułem jeszcze w ciele, choć złagodzoną, trwogę wywołaną zawisłym nad szyją tego matoła mieczem, a w mojej głowie wciąż pobrzmiwało echo daremnych myśli, jakie wtedy mnie opadły: „Zaraz go zabije, nie, to niemożliwe, nie zrobi tego, jednak tak, zaraz go tu zetnie, odrąbie głowę od tułowia, ten mąż pełen furii, a ja nie mogę już temu zaradzić, bo ostrze zaraz opadnie, a jest obosieczne, jest jak błysk bez grzmotu, co rozrywa na kawałki w milczeniu, tak czy owak go skosi”. Uważałem, że nie mogę zobaczyć już nic gorszego, poza tym cokolwiek miał mi puścić Tupra, to będzie przeszłość, coś, co już się zdarzyło, jest nie do naprawienia, zostało sfilmowane, moja interwencja nic by nie dała. Nie było już na to rady, przy każdym kolejnym oglądaniu będzie się odtwarzać identycznie. Jednakże musiałem zacząć to czuć, strach, obawę, lęk, przestrasz, odkąd głos Tupry posmutniał bardziej niż zazwyczaj i obudził we mnie cień jakiegoś nieuzasadnionego i nic nieznaczącego niepokoju jak ten, który wywołuje smutna muzyka bez powodu – tak, wystarczy kilka nut na wiolonczeli, skrzypcach albo na violi da gamba, albo czasem na fortepianie – jakby on już wszystko wiedział o tych retrospektywnych nieszczęściach, które mogły być przecież odtwarzane i od nowa stawać się terażniejszością nieskończoną ilość razy, ponieważ były nagrane i zarejestrowane, a ja o nich nic nie wiedziałem, nawet nie podejrzewałem, że istnieją.

– To, co zobaczysz, jest poufne. Nigdy o tym nie mów, nie wspominaj nawet w rozmowie ze mną, gdy już minie ta noc, bo jutro będzie tak, jakbym ci tego nigdy nie pokazał. To są nagrania, które przechowujemy na wypadek, gdyby miały się kiedyś przydać. – Na wszelki wypadek, pomyślałem, to, jak się wydaje, jest naszą dewizą. – Przedstawiają żenujące lub zawstydzające sceny, a także przestępstwa, które nie były zgłoszone ani ścigane, popełnione przez dość ważne osobistości, wobec których nie

podjęto żadnych działań ani nie postawiono im zarzutów, bo się nie opłacało albo nie opłaca, albo jeszcze nie nadszedł właściwy moment, albo mało można by na tym zyskać. Opłaca się znacznie bardziej mieć te nagrania, przechowywać je w przewidywaniu, że pewnego dnia mogą się przydać, za niektóre z nich można by bardzo dużo uzyskać. W zamian za to, że będą tu schowane i nikt ich nigdy nie zobaczy, oprócz nas, ma się rozumieć. Za inne już uzyskaliśmy dużo, dobrze je spożytkowaliśmy, a ponadto ich potencjalna użyteczność nigdy się nie wyczerpie, ponieważ nigdy nie niszczymy ani nie przekazujemy materiału, tylko pokazujemy go czasem osobom, które w nim występują, osobom zainteresowanym, jeżeli nie mają do nas zaufania albo nie wierzą, że istnieją takie nagrania, chcą się upewnić i zobaczyć je. Nie martw się, nie muszą w tym celu przychodzić tutaj (na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy tu byli), teraz łatwo zrobić kopię i pokazać ją choćby w telefonie komórkowym albo wysłać. Tak więc te płyty DVD to prawdziwy skarb: potrafią przemówić do przekonania, odwieść od jakiegoś zamiaru, zdobyć znaczne sumy pieniędzy, nakłonić jakiegoś niezdrowego kandydata, żeby się wycofał, zamknąć usta, skłonić do ustępstwa i ugody, udaremnić podchody i intrygi, odsunąć w czasie lub złagodzić konflikty, spowodować pożary, uratować życie. Nie spodoba ci się ich zawartość, ale nie gardź nimi ani ich nie potępiaj. Miej na względzie, ile są warte i do czego mogą się przydać. I jakie wyświadczają usługi, ile dobrego robią niekiedy dla kraju. – Użył podobnego sformułowania przy naszym pierwszym spotkaniu, na bufetowej kolacji u Wheelera w Oksfordzie, gdy ja go zapytałem, czym się zajmuje, a on odpowiedział wymijająco: „Najrzęczniejszy jestem zawsze w negocjowaniu, na rozmaitych polach i w rozmaitych okolicznościach. Również w służbie mojego kraju, jeżeli można, należy to robić, prawda? Nawet jeśli nie jest to służba wprost i chodzi przede wszystkim o własną korzyść”. Znowu użył teraz słowa *country*, „kraj”, które po hiszpańsku

mogło także znaczyć „ojczyzna”, *patria*, i ze względu na naszą historię i przeszłość stało się u nas słowem nieprzyjemnym i groźnym, mówiącym dużo i tylko źle o tych, którzy go używają; jego angielski odpowiednik jest pozbawiony tej emocjonalnej pompatycznej treści, jest niedoskonałym odpowiednikiem. „Dla kraju”, dla tego kraju, to było dziwne. Tupra znowu zapomniał, że jego kraj i mój kraj nie są jednym i tym samym krajem, że ja nie jestem Brytyjczykiem, lecz Hiszpanem, prawdopodobnie gównianym Hiszpanem. To wtedy byłem najbliższy uwierzenia, że zdobyłem sobie jego zaufanie niepostrzeżenie, znaczy nie dlatego, że on postanowił mnie nim obdarzyć: kiedy tej nocy, późno, w swoim domu, do którego nikt niemal nie przychodził, przed wciąż jeszcze białym ekranem, na chwilę przed pokazaniem mi poufnych nagrań, stracił z pola widzenia fakt, że pracując u niego, to jemu świadczyłem usługi za wynagrodzeniem, lecz nie świadczyłem ich jego *country*. Mojemu *country* też nie, rzecz jasna. A co do niego samego, to nie sposób było zgadnąć, czy istotnie pozostaje w służbie swego kraju, bezpośrednio czy jakoś inaczej, czy raczej kieruje się własnym interesem. Może w jego głowie te dwie rzeczy nie dawały się już rozróżnić. Dodał: – Przygotuj się, zaczynamy. Nikomu ani słowa, zrozumiano?

I wcisnął przycisk „start” na pilocie.

Nie powinno się opowiadać tego, co potem zobaczyłem, ograniczę się zatem do krótkich sekwencji. Częściowo dlatego, że niektóre sceny Tupra przewijał szybciej, jak wcześniej zapowiedział, i na szczęście dostrzegłem z nich tylko piąte przez dziesiąte, a i tak zawsze więcej, niżbym chciał; częściowo zaś z tego powodu, że na kilka chwil – jedna, dwie, trzy, cztery; i pięć – odwracałem głowę albo zaciskałem powieki, a przy jednej albo dwóch okazjach zrobiłem sobie z dłoni daszek na wysokości brwi z palcami w gotowości, żeby móc patrzeć albo nie patrzeć na to, co już oglądałem. Jednakże zobaczyłem lub podejrzałem przez palce wystarczająco dużo

z każdego nagrania lub filmu, bo Reresby nalegał, żebym patrzył przed siebie („Nie odwracaj się, wytrzymaj, patrz, nie po to ci to pokazuję, żebyś zakrywał oczy, nie chowaj się – rozkazywał, kiedy w taki czy inny sposób usiłowałem nie patrzeć – i teraz mi powiedz, czy to, czego byłeś świadkiem wcześniej, było rzeczywiście takie straszne, powiedz, czy faktycznie posunąłem się za daleko, powiedz mi teraz, czy to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie”. Mówiąc „wcześniej”, miał na myśli to, co się wydarzyło albo co on zrobił w toalecie dla kalek, w mojej obecności i w obliczu mojej niemocy, mojej bierności i strachu albo zwykłego tchórzostwa). Częściowo wreszcie dlatego, że nie śmiem tego opowiedzieć albo nie jestem w stanie, nie w pełni.

W miarę jak oglądałem i podglądałem, i patrzyłem, wnikała we mnie trucizna, a jeśli używam słowa „trucizna”, to wcale nie robię tego pochopnie ani tylko metaforycznie, lecz dlatego, że do mojej świadomości przenikło wtedy coś, czego tam nigdy wcześniej nie było, i natychmiast poczułem, że stopniowo pogrążam się w chorobie, poczułem coś obcego memu ciału, memu postrzeganiu i myśleniu, zupełnie jak przy inokulacji, i to ostatnie słowo jest etymologicznie precyzyjne, bo zawiera w sobie łaciński termin „*oculus*”, od którego w istocie pochodzi, i właśnie przez oczy wnikała we mnie moja niespodziewana nowa choroba, przez oczy, które przyswajały, rejestrowały i zatrzymywały obrazy i nigdy już nie miały się ich pozbyć, jak pozbywamy się plamy krwi z podłogi, a tym bardziej uznać, że ich nie widziały. (Może dopiero gdyby moje oczy zostały wyleczone, mógłbym zacząć w te obrazy wątpić: gdyby upłynął czas, dzięki któremu wszystko się wyrównuje i rozplywa, i miesza.) Tak więc wnikało we mnie, powoli jak przez igłę, coś zewnętrznego, czego zupełnie nie znałem, nie przewidziałem ani sobie nie wyobrażałem, coś, co mi się nawet nie przyśniło, to wszystko tak dalece wykraczało poza moje doświadczenie, że nie pomagała mi świadomość czytania wcześniej o podobnych

przypadkach w prasie, tam one wydają się odległe i przesadzone, albo w książkach, albo oglądania ich w kinie, tam nigdy w nie do końca nie wierzymy, bo w głębi duszy wiemy, że to tylko film, choćbyśmy usychali z miłości do bohaterów albo się z nimi bardzo identyfikowali. Jednakże pierwsze sceny pokazane mi przez Tuprę na ekranie miały w sobie, przy zachowaniu wszelkich proporcji, jakiś zwodniczy komizm, dlatego jeszcze bez wysiłku zażartowałem i zadałem pytanie (gdyby rozpoczął od tych następnych, zaniemówiłbym już na początku, na pewno):

– A to co? Pornos?

I to było równoznaczne z udzieleniem Reresby’emu pozwolenia, aby mnie oświecił na tyle, na ile zechce – zawsze niewiele, w sposób zwięzły – w kwestii tego początkowego nagrania, a także wszystkich innych albo większości z nich, bo na temat dwóch czy trzech zachował dziwne całkowite milczenie – choć może to coś znaczyło – jakby nie trzeba było nic mówić.

– Nie taki był zamiar. Rezultat też nie – odpowiedział lodowatym tonem, mój żart wyraźnie go nie rozbawił. – Ta kobieta jest ważną figurą Partii Konserwatywnej, jej najbardziej staromodnej frakcji, obecnie z wielkimi nadziejami na wyższe stanowisko, bo jest kojącą przeciwwagą dla bardziej radykalnego elektoratu torysów; a ponieważ ma w zwyczaju wygłaszać diatryby przeciwko upadkowi moralności i obyczajów, seksualnemu rozpasaniu i tak dalej, ciekawe jest zobaczyć, co robi na tym nagraniu, może się przydać pokazanie jej tego pewnego dnia. Nie ma na nim jej męża.

Nie było żadnych wstępów, chcę powiedzieć, że nagranie zostało prawdopodobnie tak zmontowane, żeby pokazać tylko to co zasadnicze, istotę sprawy, nad czym trochę ubolewałem, bo chętnie bym się dowiedział, skąd się wzięli albo co zaproponowali, albo jak doprowadzili do tej sytuacji dwaj osobnicy, którzy – nagranie zaczęło się, jak powiedziałem, *in medias*

res – uprawiali z kobietą seks w pozycji „na kanapkę”, wszyscy troje spleceni ze sobą na zielonej wykładzinie, trochę wyblakłej albo była to kwestia nagrania, było marnej jakości, jakkolwiek dostatecznie dobrej, bym rozpoznał panią polityk, to znaczy wydało mi się, że widziałem ją wcześniej w telewizji, w parlamencie, a może w wiadomościach. Pamiętałem nawet jej głos jak hulający wiatr albo raczej suszarka do włosów, była jedną z tych osób, które choćby chciały, nie potrafią albo nie wiedzą, jak mówić spokojnie ani jak robić choćby minimalne pauzy, istna nawałnica dla najbliższego otoczenia. Na szczęście nagranie nie miało dźwięku, bo gdyby miało, to – wnosząc z wyrazu dubeltowej ekstazy na jej twarzy wobec ataków przypuszczanych równocześnie przez obu osobników, tego z przodu i tego z tyłu (a może nieregularnie, nie byli najlepiej zsynchronizowani i nie zawsze dobrze dopasowani, wypadali) – jej jęki brzmiałyby dla nas jak wichura albo piła ręczna. Obaj osobnicy wyglądali mi na urzędników, na ile dało się ocenić na podstawie skąpej odzieży, żaden nie był bardzo młody ani bardzo smukły, a jeden – w spodniach z rozpiętym tylko rozporkiem, to raczej oznaka lenistwa niż nagłej potrzeby – miał na nagim torsie bardzo szelkowane szelki, wyglądał w nich osobliwie, jak mieszanka kancelisty i rzeźnika. Co się tyczy kobiety, miała około czterdziestki, a na sobie wciąż jeszcze spódnicę, pomięty pasek zrolowany w talii, nie była szczególnie atrakcyjna mimo odkrytego obfitego biustu, wyraźnie nie powiększanego skalpelem. Mogli się znajdować w pokoju hotelowym albo w jakimś gabinecie, ograniczone pole widzenia nie pomagało tego ustalić, kamera pokazywała wyłącznie spółkujących, tamci dwaj kolesie byli „gebridgumami” na całego, z miejsca i od razu. Nie ma co, to naprawdę wyglądało jak pornos niskobudżetowy albo domowej produkcji i z dublerami. Kto i jak nakręcił te sceny, pozostawało oczywiście niewiadomą, dziś jednak każdy może to zrobić, choćby telefonem komórkowym i nawet zdalnie, nie będąc obecnym, nikt więc nie może mieć

pewności, że nie zostanie sfilmowany w intymnej sytuacji, nawet najbardziej szokującej.

Po minucie albo wcześniej Tupra przyspieszył odtwarzanie, co przyjąłem z wdzięcznością, nie warto było oglądać tylu wysiłków z przewidywalnym finałem. Pod koniec tego numeru „na kanapkę” na twarzy pani polityk wysokiej rangi dostrzegłem wyraz błogiej konsternacji, jakby mówiła: „Ale jazda, jak mogłam się do tego posunąć? Muszę spróbować jeszcze raz, żeby się upewnić, że to takie dobre, jak myślę”. Może po raz pierwszy odważyła się na dubeltowy numer. Mój szef przywrócił normalną prędkość odtwarzania, żeby pokazać następny epizod, tym razem z dźwiękiem, a w nim dwóch znanych aktorów i jakiegoś trzeciego nieznanego mi mężczyznę, jak w jakimś salonie na sofie plotą coś trzy po trzy i zaśmiewają się, wciągając kokainę, na niskim stoliku leżą przygotowane duże, żeby nie powiedzieć: potężne działki koki, a oni je po trochu wciągają, jak pociąga się małymi łyčzkami z kieliszka.

– Nie wiem, co to za jeden – powiedziałem, wskazując na prawą stronę ekranu i dając Tuprze do zrozumienia, że dwóch młodych gwiazdorów rozpoznałem.

– Członek rodziny królewskiej. Na bardzo dalekim miejscu w kolejce do tronu, zupełnie trzeciorzędny. Przydałby się nam ogromnie ktoś bardziej znamienity, ktoś bliżej tronu. – I znowu przyspieszył odtwarzanie, bo scena była monotonna, nic, tylko wariackie wybuchy śmiechu i raczenie się koką.

Ta jego uwaga dała mi przez chwilę do myślenia, zastanowiło mnie, dlaczego miałyby być dla nich takie przydatne (zinterpretowałem to „my” raczej jako MI6 albo całość służb wywiadu, nie jako naszą grupę), żeby ktoś brał narkotyki, cudzołożył, był skorumpowany albo łamał prawo. Raczej powinni się cieszyć, że nikt z najbliższej rodziny królowej nie faszeruje się koką jak tamta trójka.

– Nie pojmuję – dałem wyraz swemu niezrozumieniu. – Dlaczego coś takiego miałyby wam się przydać? – Zechciałem tym samym zaznaczyć, że siebie w to nie włączam.

Tupra zastopował odtwarzanie, żeby mi odpowiedzieć.

– A cóż to za naiwne pytanie, Jack? Chwilami mnie rozczarowujesz. Takie rzeczy zawsze się nam przydają, w odniesieniu do każdego, kto ma jakieś znaczenie, ciężar gatunkowy, zdolność podejmowania decyzji, nazwisko, wpływy. Im więcej brudów i im wyżej, tym dla nas lepiej. Poza tym każdemu się przydaje taka wiedza na temat otoczenia. W twoim interesie jest, żeby twój sąsiad miał wobec ciebie jakiś dług albo żeby wiedział, że nakryłeś go na czymś nagannym i możesz mu zaszkodzić, rozpowiadając o tym, albo wyświadczyć mu przysługę, nie puszczając pary z ust. Gdyby ludzie nie łamali prawa, nie omijali przepisów i nigdy nie zachowywali się podle ani nie popełniali błędów, niczego byśmy nie uzyskali, nie dysponowalibyśmy kartą przetargową i byłoby prawie niemożliwe złamać czyjąś wolę albo kogoś do czegoś przymusić. Musielibyśmy uciekać się do siły albo do gróźb fizycznych, a takie metody wychodzą z użycia, od jakiegoś czasu staramy się ich unikać, nigdy nie wiadomo, czy wyjdzie się z tego obronną ręką czy też w końcu nie podadzą cię do sądu i nie napsują ci krwi. Ludzie dysponujący naprawdę dużą władzą mogą to zrobić, skomplikować ci życie i doprowadzić do zwolnienia, pociągną za odpowiednie sznurki i twoi w końcu cię poświęcą. Nadal używamy siły wobec nic nie znaczących płotek, jak ten twój znajomy, Garza. W ich przypadku stare metody są nadal w użyciu i świetnie się sprawdzają, zaręczam ci. Tacy nawet nie pisną. Ale z innymi to ryzykowne. Z nimi pieniędzmi też niewiele zyskasz, bo sami ich mają dużo. Ale prawie wszyscy potrafią ocenić zyski i straty, uznać argumenty, rozważyć, co im się opłaca. Sam dobrze wiesz, że każdy ma coś do ukrycia, nie znam nikogo, kto nie byłby skłonny do ustępstw, małych albo dużych,



byle o czymś nie mówiono, byle coś nie wyszło na jaw, a przynajmniej byle nie doszło do uszu konkretnej osoby. Jak moglibyśmy nie korzystać z tego, że ludzie są słabi albo podli, albo chciwi, albo tchórzliwi, że ulegają pokusom i zdarzają im się wielkie wpadki, a nawet z tego, że biorą udział w występkach albo je popełniają? To podstawa naszej pracy, jej istota. Nawet więcej: to fundament państwa. Państwu potrzebna jest zdrada, sprzedajność, oszukaństwo, zbrodnia, czyny bezprawne, konspiracja, ciosy poniżej pasa (wyczyny bohaterskie natomiast tylko o tyle o ile i od wielkiego dzwonu, dla kontrastu). Gdyby tego wszystkiego nie było albo gdyby było na zbyt małą skalę, państwo musiałyby to wymyślać, już tak robi. Jak myślisz, dlaczego tworzy się ciągle nowe kategorie przestępstw? Co nie było przestępstwem, już nim jest, żeby nikt nie mógł być czysty. Jak myślisz, dlaczego we wszystko się wtrącamy i wszystko regulujemy, nawet jak nie ma takiej potrzeby i nie powinno nas to obchodzić? Jest nam potrzebne, żeby prawo było gwałcone, żeby było łamane. Na co zdałyby się przepisy, gdyby wszyscy ich przestrzegali? To by nas zaprowadziło donikąd. Stracilibyśmy rację bytu. Państwu potrzebne jest naruszanie prawa, nawet dzieci to wiedzą, aczkolwiek nie wiedzą, że to wiedzą. One pierwsze je naruszają. Jesteśmy tak wychowywani, żeby przyłączyć się do tej gry i współpracować od początku, i stale uczestniczymy w grze, do ostatniego dnia, a nawet po śmierci. Nigdy nie można spłacić długów.

Skrecałem trochę szyję, żeby co jakiś czas spojrzeć na niego kątem oka, ale Tupra, który siedział na pufie trochę za mną, przemawiał głównie do moich pleców. Jego głos rozbrzmiewał blisko i łagodnie, niemal przypominał szept, nie było powodu, żeby mówić głośniej, wokół panowała cisza. To przedostatnie „my” („nie powinno nas to obchodzić”) miało nawet szersze znaczenie niż poprzednie, Tupra czuł się częścią państwa, jego reprezentantem, może strażnikiem, może sługą ojczyzny mimo skłonności do dbania przede wszystkim o własny interes. Wyobraziłem sobie, że on

również byłby zdolny do zdrady, choćby tylko po to, żeby zapewnić dostawy państwu albo zaspokoić jego potrzeby.

– Państwu potrzebna jest zdrada? – zapytałem go nieco zdumiony (tylko tyle, ile trzeba, zaczynałem dostrzegać, dokąd zmierza).

– Oczywiście, Jack. Szczególnie podczas oblężenia, najazdu albo wojny. To się najbardziej wspomina, to najbardziej ludzi łączy, to narody pamiętają przez stulecia. Co byśmy bez zdrady zrobili?

Przyszło mi do głowy, że kiedy go zdradziłem przy okazji interpretacji Incompary, może mu się mimowolnie przysłużyłem jako mężowi stanu, jednakże to mi nie pomogło poczuć, że spłaciłem swój dług. Po części dlatego zapewne okazałem mu tyle tolerancji – zawsze mogłem wyjść – tyle względów, tyle pobłażliwości, albo myślałem, że tak było, właśnie z powodu mego długotrwałego nieczystego sumienia i tamtej umyślnej pomyłki, wciąż jeszcze nie byłem pewien, czy zdał sobie sprawę, jak bardzo była zamierzona. A także dlatego, że lubiliśmy się nawzajem, czego niekiedy żałowałem, on może też, młoda Pérez Nuix była zanadto optymistyczna w tym względzie. Tamtej nocy Tupra wystawił na próbę moją dla niego sympatię i zamierzał nadal to robić, pokazując mi nagrania.

Przestał mówić i natychmiast znowu wcisnął „start”. Poprzednia scena skończyła się od razu, na ekranie pojawiła się nowa i wtedy zaczęła wnikać we mnie trucizna. Dwaj mężczyźni w podkoszulkach, spodniach panterkach i butach do kostki, przypuszczalnie żołnierze, stali nad trzecim, który siedział na stołku, miał kaptur naciągnięty na głowę, a ręce i nogi skute łańcuchem. Był włączony głos, ale słyszałem jedynie nerwowe dyszenie więźnia, jakby przebiegł właśnie pięćset metrów albo miał atak trwogi lub paniki. Bardzo był przygnębiający ten głośny, szybki i jakby niedający się uspokoić oddech, możliwe, że spowodowany strachem, człowiek musi się bać każdej nadchodzącej sekundy, kiedy jest skrepowany i nic nie widzi, mijające sekundy nie przynoszą ulgi. Światło padało z góry, jego źródło pozostawało poza kadrem – prawdopodobnie jakaś lampa z kloszem zwisająca z sufitu – i oświetlało trzech mężczyzn, a raczej oświetlało tych dwóch w panterkach tylko chwilami, cały czas chodzili wokół mężczyzny z kapturem na głowie i chwilami pozostawali w cieniu. Poza kręgiem

światła, z tyłu, były jeszcze dwie albo trzy osoby, siedziały na krzesłach pod ścianą ze splecionymi na piersi rękami, ale w ciemności nie dawało się rozróżnić ich twarzy, tylko z grubsza sylwetki. Żołnierze przestali krążyć i szturchańcami zmusili więźnia, żeby wstał i stanął na stołku, pomogli mu się wspiąć. Widziałem, że mają w rękach sznur, i choć głowa tego w kapturze pozostawała teraz poza kadrem – ujęcie było stałe, kamera statyczna – wszystko skłaniało do przypuszczenia, że założyli mu pętlę na szyję i że sznur był przymocowany do jakiejś belki albo poziomego drążka powyżej, bo jeden z tych w podkoszulkach kopnął nogą stołek i ofiara zawisła, nie mogąc dotknąć ziemi, choć brakowało bardzo niewiele, to była egzekucja przez powieszenie.

Zerwałem się na równe nogi, może niespodziewanie zacząłem dyszeć, odwróciłem się do Tupry i powiedziałem spanikowany:

– Co to ma być?!

Opadając, więzień musiał uderzyć lub potrącić niewidoczną lampę, bo krąg światła przez krótką chwilę zatańczył albo lekko się zakołysał.

– Nie odwracaj się, patrz dalej, jeszcze się nie skończyło – odpowiedział mi rozkazującym tonem Tupra i stuknął mnie w łokieć wyprostowanymi palcami, jakbym był nieposłusznym dzieckiem.

Utkwiwszy ponownie oczy w ekranie, ujrzałem stopy powieszzonego człowieka, wciąż jeszcze wierzgały w powietrzu w poszukiwaniu oparcia, podczas gdy dyszenie ustąpiło jakiemuś gardłowemu charczeniu, dźwiękowi, który nie mógł się wydobyć, wiązał w gardle. Ale stopy szybko znalazły oparcie: jeden z tych w panterkach objął silnie obie nogi więźnia i podsadził go jak mógł najwyżej, a drugi podniósł stołek i podsunął mu pod stopy. Gdy wiszący już złapał równowagę, zdjęli mu sznur i kazali zejść na ziemię. Pchnięciem posadzili go na stołku i obaj żołnierze zaczęli znowu krążyć wokół więźnia, który teraz kasłał, wcześniej musiał się zakrztusić. Buty do kostki robiły przy tym obchodzie więcej hałasu, jakby

ich właściciele zgodnie maszerowali i mocno stawiali stopy z takim właśnie zamiarem, żeby spowodować zatrważający hałas, przypominało to łoskot werbli towarzyszący w cyrku rosnącemu niebezpieczeństwu albo ich odgłos na publicznych placach, gdy zbliża się bardzo wyczekiwana egzekucja. I po jakichś trzydziestu sekundach – a może po dziewięćdziesięciu – żołnierze powtórzyli operację, to znaczy kazali zakapturzonemu wejść na stołek i udali, że go wieszają, albo niezupełnie, tak naprawdę tylko zaczęli go wieszać – wykop, ta sama metoda – i zaraz go złapali. Tym razem więźniowi w trakcie wierzenia spadł jeden but, może trwało to trochę dłużej niż za pierwszym razem. Buty były zwyczajne, znoszone, związane, ale bez sznurowadeł. Nie miał na sobie skarpetek. Postępują jak Tupra w toalecie dla niepełnosprawnych, przemknęło mi przez głowę, kiedy wznosił i opuszczał miecz i znowu wznosił i opuszczał. Nigdy nie wiedziałem, czy zetnie głowę temu kutasowi, a teraz – choć to, co mi pokazuje, już się wydarzyło, poza tym może zatrzymać tę akcję na nagraniu, a nawet odłożyć oglądanie na inny dzień, jakby już było wszystko jedno (ta scena będzie niezmiennie trwała na ekranie) – teraz też nie wiem, czy te typy powieszają w końcu nieszczęśnika w którymś kolejnym podejściu, a chcę to wiedzieć, mimo że nie mam pojęcia, kim on jest i nawet nie widziałem jego twarzy. On też nie może wiedzieć, jak to się skończy, a więc to nie przeszłość. Pewnie nie jest już młodym człowiekiem, ma takie rozdeptane brązowe buty. Włożyli mu na nogę but, nim ponownie posadzili go na stołku, niepojęta potrzeba staranności i porządku. Jeden z żołnierzy pomachał sobie przed nosem ręką z góry na dół, jakby od wieszanego doleciał go nagle jakiś okropny odór. Nadal nic nie mówili, nikt nie mówił, widzowie ukryci w mroku też nie, a to musi wzbudzać jeszcze większy strach u kogoś, kto nic nie widzi i jest unieruchomiony, wzbudza strach bardziej niż szorstkie głosy albo wyzwiska, pod warunkiem że nie są

w obcym języku, myślę, że najbardziej przeraża, gdy nie rozumiesz, co do ciebie mówią w sytuacji życia lub śmierci.

Powtórzyli tę operację jeszcze trzeci raz, wszystko identycznie, głowa więźnia najpierw poza kadrem, potem pojawiająca się w kadrze wraz z napiętym już sznurem, ciało opadające ciężko jak ołów na bardzo małą odległość, żeby nie zdarzyło się nic nieodwracalnego podczas spadania, krąg światła kołyszący się po jakimś potrąceniu, a może wstrząśnięciu, możliwe, że za drugim i za trzecim razem trzymali go powieszzonego kilka sekund krócej, jakkolwiek zwodził mnie mój własny niepokój i wydawało mi się, że trwa to bardzo długo. Więzień pewnie słabł coraz bardziej przy każdym kolejnym okrutnym figlu, mogli mu coś zwichnąć i serce pewnie waliło mu jak oszalałe. Najwyraźniej tchawica mu nie pękła, to byłby koniec, ci w panterkach nie dopuszczali do tego, nie wisiał zbyt długo, byli dobrze wyszkoleni, musieli wiedzieć, kiedy byłoby już za późno, z drugiej strony nie sądzę, żeby stało się coś wielkiego, gdyby się przeliczyli i gdyby facet im zeszywniał, możliwe, że nikt nie wiedział, co się z nim dzieje ani nawet gdzie jest. Wszyscy, oprawcy i świadkowie, wyglądali na względnie spokojnych, pilnych albo uważnych, lecz bez zaciekłości, jakby dokonywali albo przyglądali się jakiejś nieprzyjemnej formalności, ale tylko formalności, nic ponadto.

Tupra zatrzymał na ekranie obraz z opuszczonym już kaszlącym więźniem na miękkich, odmawiających posłuszeństwa nogach, tym razem go nie posadzili. Czarny kaptur wciąż na głowie, otwory tylko na usta i dziurki od nosa (ale usta zaklejone taśmą), nie było otworu na oczy. Wyglądało na to, że zamierzają go gdzieś zabrać, może z powrotem do celi, może do szpitala. Powoli znowu zaczął dyszeć.

– I co? Widziałeś? – zapytał mnie Tupra. W jego tonie uchwyciłem jakąś niemal zabawną ekscytację, niewytłumaczalną dla mnie, ja czułem już truciznę.

– Co robisz? – odpowiedziałem. – Chcę zobaczyć, jak to się kończy, czy załatwią tego biedaka.

– Tu się kończy nagranie, więcej nie ma, zaczyna się następne. No więc, widziałeś go? – „*Did you see him?*”, powiedział, miał zatem na myśli osobę rodzaju męskiego, nie rzecz ani jakiś szczegół, ani scenę samą w sobie, bo w każdym z tych trzech przypadków powiedziałby „*it*”, nie „*him*”.

– Kogo? – „*Whom?*”, spytałem, możliwe, że we wzburzeniu popadając w hiperpoprawność tą formą celownikową, podczas gdy chodziło o biernik, kolejny raz niepojęta potrzeba staranności i porządku.

Tupra strzelił językiem z odruchową pogardą.

– Znowu bardzo wolno kojarzysz, Jack. No już, od czego masz oczy? Oko jest szybkie i wszystko dostrzega. Kiedy indziej szło ci lepiej, może tracisz swoje zdolności, a może jesteś zmęczony. – I cofnął nagranie przyciskiem pilota, poszukał konkretnego miejsca i zatrzymał obraz na ekranie, zrobił to szybko i umiejętnie, miał zapewne dużą wprawę. Obraz przedstawiał jeden z tych momentów, gdy więzień opadał, sznur się napręzał, stołek wykopany w diabły, krąg światła zakołysał się krótko i łagodnie, ledwie-ledwie, za każdym razem mniej, sięgając na coraz mniejszą odległość. Dwa, nie więcej niż trzy minimalne wahnięcia, ale w owej chwili trzech osobnicy w głębi zostali oświetleni, trwało to ułamek sekundy, spojrzałem na nich, nie mogłem dostrzec dokładnie, lecz było tam coś znajomego. – I co? Teraz go widzisz?

– Czekaj – odpowiedziałem wciąż niepewny, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć. – Poczekaj.

Tupra nie poczekał, uruchomił zoom i powiększył twarze w kwadratowej ramce, miał odtwarzacz DVD z funkcjami, których ja nie miałem w swoim urządzeniu w Madrycie, a w Londynie jeszcze sobie żadnego nie kupiłem. Wtedy faktycznie zobaczyłem wyraźnie znaną kwadratową porysowaną brzdami twarz, znaną przez połowę ludzkości, tę oglądającą telewizję

i czytającą prasę, twarz w charakterystycznych okularach, twarz o wyglądzie niemieckiego lekarza albo chemika, a może raczej nazistowskiego lekarza, chemika lub naukowca, ilekroć widywałem tego człowieka na ekranie bądź na zdjęciu, bez wysiłku potrafiłem wyobrazić go sobie ubranego w biały fartuch i w krawacie, mało tego, jego twarz niemal krzykiem dopominała się, żądała tego białego fartucha, nie pasowało do niego, że go na sobie nie ma. Jak wszyscy politycy i przywódcy demokratycznego świata on też zaprzeczył publicznie setki razy, by kiedykolwiek miał wydać rozkazy, zaakceptować podobne praktyki, zgodzić się na nie albo o nich wiedzieć, o tych najmniej brutalnych, jedynie uwłaczających godności, też nie. Nikt z zewnątrz nie wiedział o tym, o czym ja teraz wiedziałem: że nie tylko akceptował, lecz był w dodatku świadkiem, co najmniej raz, trzykrotnej symulacji wieszania skutego łańcuchami człowieka, i że przyglądał się temu z założonymi dosłownie rękami, niewzruszenie, na siedząco, będąc najwyższym przedstawicielem władzy w owym miejscu, byłby nim zresztą także w każdym innym miejscu na ziemi. Tupra powiedział przecież, że te nagrania nie są przeznaczone dla każdego (dziennikarz skakałby w powietrze z radości). I że gromadzą je niczym skarby, bo na każdym jest utrwalony obraz – powtarzalny w nieskończoność – kogoś sławnego, potężnego, bogatego albo cieszącego się prestiżem, albo wpływowego. W okamgnieniu o tym zapomniałem i skupiłem się całkowicie na głównej akcji, przecież nie mogłem inaczej. Możliwe natomiast, że dla Tupry liczyło się tylko ciemne tło albo ta jedna chwila, kiedy zostało oświetlone. Oczywiście on widział tę scenę już wcześniej, nie zaskoczyła go. W każdym razie jego zachowanie utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie poważa śmierci, ale nie jest też sadystą. Przynajmniej nie czerpał przyjemności z cudzego cierpienia, nie ekscytował się kolejnymi odsłonami wieszania, były dla niego koniecznym kontekstem czegoś, co go interesowało.



– Tak, teraz go widzę – powiedziałem. – Ale dlaczego to przechowujesz? On jest Amerykaninem, sprzymierzeńcem, jest jednym z waszych. – Od razu spostrzegłem, że nie powiedziałem „z naszych”, co pewnie wydałoby się Tuprze logiczne i byłoby takie w owej chwili, pomyślałem, że zapuściłem się na grząski teren, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tak, znajdowałem się w środku i wiedziałem to, byłem w istocie po jednej konkretnej stronie, aczkolwiek sam nie czułem, żebym należał do którejkolwiek ze stron. A co jeszcze bardziej zaskakujące i jeszcze rok albo pół roku wcześniej nie do pomyślenia, zobaczyłem coś, co było zakazane dla prawie wszystkich pozostałych oczu na świecie, a właściwie jeszcze nie zobaczyłem wszystkiego do końca.

– Tak. I co z tego? Nigdy nie wiadomo. – Napił się ze swego kieliszka, ja już nie miałem większej ochoty na picie. Wyjął i zapalił ramesesa II. Dopiero później, gdy jego papieros już dymił, zaproponował jednego i mnie, chętnie skorzystałem. – Nie wiadomo nawet, kto jest „jednym z naszych” ani czy nim będzie jutro, lepiej się nad tym specjalnie nie zastanawiać. Nie wiem też tego w stosunku do ciebie ani ty w stosunku do mnie. Oglądajmy dalej.



I nastąpił dalszy ciąg sesji, wstrzykiwanie trucizny, on odzywał się co jakiś czas, jego głos obok mnie, odrobinę z tyłu, żeby poczynić jakąś uwagę albo dodatkowy komentarz, prawie tak jak w czasach, gdy – posługując się rzutnikiem i zawieszonym ekranem – pokazywano slajdy z jakiejś niezwyklej wówczas, na przykład z mojego dzieciństwa, podróży, a podróżnicy, ci, którzy te zdjęcia pokazywali swoim krewnym albo przyjaciom, dodawali do każdego jakiś kontekst, wyjaśniali je: „Tu jesteśmy na samej górze Empire State Building, najwyższego wieżowca świata”, gdy jeszcze był najwyższy. „Można dostać zawrotu głowy, prawda?” Zawrót głowy, tak, przy każdym kolejnym nagraniu czułem właśnie zawrót głowy. Niektóre epizody były niegroźne, jacyś następni ludzie nakryci w trakcie normalnych aktów seksualnych, ale gdy się takie akty upublicznia albo inni na nie patrzą, to zmieniają się, o dziwo, w anomalie, szczególnie gdy biorą w nich udział znane osobistości albo bardzo poważni ludzie, albo ludzie w pewnym wieku, albo cieszący się szacunkiem, zawsze jest coś mozolnego i śmiesznego w seksie

pokazywanym w obiektywie, trudno zrozumieć, dlaczego dziś tyle osób z ochotą się w takich sytuacjach filmuje, żeby rozkoszować się potem lekkim zażenowaniem owymi scenkami. Albo epizody z ludźmi dającymi i przyjmującymi łapówki, czasem w gotówce, kilka znanych mi twarzy, jakiś Hiszpan, a raczej pewna Hiszpanka, obłudna blondynka, Tupra przewijał jednak szybko takie nagrania, a puszczał z normalną prędkością jedynie sceny niezwykłe, pełne gwałtu i przemocy. Niezwykłe dla mnie, ma się rozumieć, dla niego na pewno nie, kto wie, czy niezwykłe dla Pérez Nuix i Mulryana, i Rendela, możliwe, że oni nigdy tych nagrań nie widzieli albo przeciwnie, byli ze wszystkim na bieżąco i dobrze znali każdy ich szczegół; kto wie, czy niezwykłe dla Wheelera, może wcześniej, w swojej młodości, napatrzył się podobnych aż nadto, i to wcale nie na ekranie. Lecz ja nie, ja wcześniej nigdy nie widziałem egzekucji, chyba że w filmie, a ostatnio w telewizji, wiadomości, które tam pokazują, często wydają się równie nierzeczywiste jak filmy: trzech mężczyźni i kobieta na brzegu morza, stoją spokojnie, czekają, ręce niezwiązane, i tak nie ma dla nich ratunku, więc po co ich krępować, światło brzasku, od razu przypomniało mi to obraz z muzeum Prado pędzla Gisberta, takie nazwisko przynajmniej przyszło mi do głowy, rozstrzelanie Torrijosa i jego towarzyszy liberałów w Maladze, jest na tym obrazie piasek i fale morskie, może w głębi jakiś pejzaż oraz liczna grupa skazańców, a gdy nazajutrz rano poszukałem w Internecie, okazało się, że było ich szesnastu, jeżeli wliczyć w to kobietę i trzymane przez jednego z nich na rękach dziecko, kobieta i dziecko pewnie zegnali się tylko ze swoim wkrótce już martwym mężem i ojcem i nie mieli podzielić jego losu, w każdym razie było czternastu skazańców i czterech innych już leżących na ziemi, z opaskami na oczach, a obok nich cylinder, pewnie jeden z nieżywych wytrwale miał go na głowie do chwili, gdy stał się nieżywy, rozstrzeliwanie odbywało się partiami, inaczej nie dało rady, w sumie zginęło tam w 1831 roku ponad

pięćdziesiąt osób („Głęboką nocą Torrijos padł wraz z towarzyszami”, przypomniła mi się romanca starego dobrego Lorki, zacytowałem ją sobie w myślach), sześciu najlepiej ubranych zgrupowanych z prawej strony, inna zbита gromada po lewej stronie, mężczyzna w czapce frygijskiej pełen pogardy i wyniosły (nawet w obliczu wspólnej śmierci ważna jest klasa społeczna), nawet bardziej niż ten w okularach w centrum grupy wytwornie ubranych, Torrijos to pewnie ten z jasnymi włosami („dzielny generał, pan prawy i znamienity”), albo nie, pewnie ten w butach z krótkimi cholewami, który wziął dwóch ze swych druhów za ręce („dostojny, równy książętom, o sercu z czystego srebra”), zdradzony po powrocie do kraju przez gubernatora Malagi („Podstępnie zwabiony zaufał zdrajcom na swoje nieszczęście / Zwabili go kłamstwami, w które uwierzył, na swą zgubę”), on też kilka lat przebywał na wygnaniu w Anglii, powrót do Hiszpanii jest zawsze niebezpieczny, bo z dnia na dzień twarze bardzo się tam zmieniają, choćby się było bohaterem wojny o półwysep albo wojny o niepodległość („Wicehrabia La Barthe, który dowodził milicją, powinien był rękę sobie odciąć przed takim prostactwem”), i byli tam zakonnicy, nigdy ich nie brakło w najbardziej ponurych momentach naszej historii (jak nie zakonnicy, to zawsze byli księża albo zakonnice), jeden czyta albo się modli, a dwóch zawiązuje opaski na oczach, wszyscy trzej wyglądają złowieszczo, z tyłu nieco niewyraźny wyczekujący pluton egzekucyjny („Nad ziemię Mijas ściągnęły ciężkie jak ołów chmury”), możliwe, że jego dowódca machnie białą chustką, którą trzyma w ręce albo ma ją przyczepioną do czubka swej szabli, wykrzykując równocześnie „Ognia!” („Wśród ryku fal rozwścieczonych rozległa się strzelanina i brocząc z trzech ran śmiertelnych... padł martwy na brzegu morza... A śmierć, choć była śmiercią, nie zabrała mu uśmiechu”); i przypomniłem sobie także o ofiarach egzekucji bez sądu albo po procesach farsach zabitych na tych samych plażach Malagi przez tego, kto zdobył miasto sto lat później na

czele frankistowskich i marokańskich zastępów i z Czarnymi Koszulami Roatty albo „Manciniego”: nosił niestosowny tytuł księcia Sewilli, to on usłał trupami brzeg i wodę, i koszary, i więzienia, i hotele, i mury, mówiło się, że było ze cztery tysiące tych trupów, a nawet niechby było mniej; na wprost mężczyzn i kobiety, na których miał być wykonany wyrok, dwaj osobnicy z karabinami maszynowymi albo jakąś podobną bronią, nie znam się na tym, obaj pod krawatem i świeżo przyczesani, na pewno każdy miał w kieszeni grzebień, jak ja, jak ludzie z południa, i kiedy jeden powiedział „*Dai*”, obaj otworzyli niekończący się ogień, strzelali i strzelali seriami, jakby musieli zużyć wszystkie naboje, podczas gdy ciała padały, dołączając do leżących już na ziemi, kobieta i jeden mężczyzna leżeli na plecach, dwaj pozostali na boku, tamci podeszli bliżej, wciąż strzelali, teraz trzymali karabiny niemal pionowo w dół, piasek podskakiwał i wydawało się, że również ciała i skromne ubrania zabitych już po stokroć i broczących krwią z dwudziestu ran podskakują przy każdym strzale. „To porachunki na jakiejś zacisznej plaży w Golfo di Taranto, Zatoce Tarenckiej, prawdopodobnie niedaleko Crotone w Kalabrii, kilka dobrych lat temu – mrucał Reresby, poprawnie akcentując pierwszą sylabę nazwy Tarento, mówił teraz tak przytłumionym głosem, jakby dochodził z wnętrza jakiegoś hełmu. – To ciekawe. Jeden z oprawców zrobił karierę, najpierw w budownictwie, potem w polityce, teraz ma dobrą posadę w aktualnym rządzie. Drugi natomiast nie żyje, załatwili go natychmiast, w odwecie. Teraz to użyteczne nagranie, prawda?” I w tym pytaniu można było wyczuć dumę kolekcjonera, może miał do niej powody.

Nigdy też wcześniej nie widziałem, nawet nie wyobrażałem sobie, umyślnie prowokowanego bestialskiego gwałtu z przyglądającymi się widzami, jakby na przeglądzie młodych byków szykowanych na korridę, niewielka arena, nieledwie placyk pomiędzy zabudowaniami, dobrze ubrani mężczyźni siedzący pod biało-czerwono-zielonym zadaszeniem, piekące

słońce, gęste wąsy i teksańskie sombrero, hawańskie cygara między zębami, z tyłu grała świątecznie kapela dęta, rozbrzmiewały zachęcające okrzyki po hiszpańsku i po angielsku, a na arenie kobieta, koń, kilku *mamporreros* – mężczyźni naprowadzających konia, gdy ma pokryć klacz – i rozrywanie, nie wytrzymałem i zamknąłem oczy, „Nie zamykaj oczu!”, odwróciłem więc wzrok, „Nie odwracaj wzroku!”. Ale ja poza pojedynczymi chwilami patrzyłem w bok, nie mogłem tego znieść, poza tym nie mogłem uwierzyć, nigdy sobie nie wyobrażałem, żeby coś takiego mogło się dzieć na świecie, w dodatku dla rozrywki, to naprawdę była śmiertelna trucizna, wniknęły we mnie te obrazy – to, co zdążyłem z nich zobaczyć, bo szybko uratowały mnie powieki, potem skręt szyi – jak groźny gad, jak wąż, a może jak węgorz albo jak podskórne, by tak rzec, wewnętrzne pijawki, wniknęły we mnie jak jakieś dziwne ciało, które wywołało natychmiastowy ból i uczucie ucisku, i duszności, i gwałtowną potrzebę, żeby się go pozbyć („I zaciągnę łożem na twoją duszę”), ale nie można pozbyć się czegoś, co wnika przez oczy, a i tego co wnika przez uszy też nie, zostaje w środku i nie ma rady, ewentualnie trzeba odczekać jakiś czas, żeby udało się przekonać samego siebie, że się nie widziało lub nie słyszało tego, co się widziało i słyszało – a przecież zawsze zostanie wątpliwość bądź ślad wątpliwości – wmówić sobie, że to wytwór wyobraźni albo nieporozumienie, albo złudzenie, albo halucynacja, albo złośliwa nadinterpretacja, każdy może paść ich ofiarą, kiedy nasze myśli i postrzeganie ulegają skrzywieniu i wszystko widzimy w deformującym złowrogim świetle. „To Ciudad Juárez, no wiesz, w meksykańskim stanie Chihuahua – mruknął Tupra, głos miał coraz bardziej głuchy, ton wcale nie obojętny, lecz pełen smutku, ponury, nie brzmiało to jak udawanie – a to jedna z tysiąca zaginionych tam kobiet, o których tak rozpisywała się prasa. Ale nie to jest dla nas ważne, chociaż ważne oczywiście jest, lecz tamten człowiek, o tam, w drugim rzędzie po prawej stronie, ten ubrany na białą i z czerwonym krawatem”. Jego słowa

zmusiły mnie do błyskawicznego zerknięcia, spojrzałem kątem oka i niechętnie – trudno pokonać chęć rzucenia okiem na coś, co nam pokazują palcem – dostrzegłem wśród publiczności tego mężczyznę, roześmianego grubasa w średnim wieku, z błyszczącą cerą i gęstymi włosami, ale nie udało mi się nie dostrzec równocześnie tej przerażającej nierzeczywistości, następnego rozrywania i widocznej już teraz krwi – jak od miecza albo od włóczni – i znowu odwróciłem głowę w stronę Reresby’ego, miał wzrok utkwiony w ekranie, oczy mocno zmrużone, jakby potrzebował okularów albo jakby też był gotów zaraz oczy zamknąć, może tamta scena, choćby widział ją wcześniej wiele razy i wiedział, czym się skończy, wywoływała w nim uczucie drętwienia, niepokoju, nawet odrazy („splamiony krwią i winny – ocknij się w poczuciu winy”), nikt nie ma takiej wytrzymałości, żeby znieść wszystko, a jak już mówiłem, on nie był żadnym sadystą. „Wtedy, a minęło już kilka lat, był bardzo bogatym przedsiębiorcą, chociaż jeszcze nie krezusem. Teraz już jest krezusem i ubiega się o wybór na burmistrza ważnego miasta w innym rejonie, w innym stanie graniczącym ze Stanami Zjednoczonymi, Coahuila. W dodatku wygra. Przyda się nam, że go tu widać i że tak dobrze się bawi na tym spektaklu”. Źle wymówił nazwę Coahuila, jakby to było angielskie słowo – nie była tak znana jak Chihuahua – coś jak „koh-hu-ti-lah”. Najgorsze, że ta arena nie wydawała się niczym wyjątkowym, nie sprawiała wrażenia zrobionej na tę jedną okazję, kapela dęta, zadaszenia, zwierzę i jego doświadczeni pomocnicy, zaproszenia rozesłane pewnie w zaszyfrowanej formie przez Internet albo esemesami, może w formie szeptanki. Możliwe, że to, co podejrziałem, odbywało się całkiem często, może z jakąś niewielką odmianą, może z innym zwierzęciem, nie chciałem brnąć dalej tą drogą i wyrwałem z korzeniami wszelkie wyobrażenia na ten temat.

– Wymawia się „ko-a-ti-la” – powiedziałem niezdolny powstrzymać się od poprawienia go, znowu ta niepojęta potrzeba porządku i impertynenckiej

staranności, za wszelką cenę. Powiedziałem to, patrząc na niego. Ale on nie patrzył na mnie, wzrok miał utkwiony w telewizorze jeszcze przez kilka sekund, oczy przymknięte, na twarzy wyraz pogardy i wstrętu wobec tego, co oglądał, na pewno nie była to twarz kogoś, kto pozostaje niewzruszony wobec okrucieństwa i czyjejs krzywdy, surowo to oceniał. Potem przyspieszył odtwarzanie, by po chwili je zatrzymać.

– Możesz już patrzeć, jesteś bezpieczny. Zatrzymałem na następnym nagraniu. Ale Jack – dodał z tłumioną irytacją, a więc niemal uprzejmie – nie po to ci to wszystko pokazuję, żebyś nie patrzył, lecz po to, żebyś patrzył. Inaczej to nie ma sensu.

– Nie chcę już więcej oglądać, Bertie – odparłem. – Jeżeli wszystko jest takie jak to, nie chcę już nic widzieć. Chyba wiem, do czego zmierzasz, już mi więcej nie trzeba, a poza tym: dlaczego nie wykorzystujesz tych nagrań, by czemuś zaradzić? Mogłyby się przydać, żeby poprzez tego grubasa, którego ponoć tak dobrze znacie i któremu tak dobrze idzie, wykryć w końcu, co się w tym mieście dzieje, i położyć temu kres. Nie rozumiem waszej bierności. Nie rozumiem was.

– Naprawdę myślisz, że Meksykanie i Amerykanie nie mają u siebie kopii tego nagrania? Skoro oni nie wchodzą do gry, my z naszej strony niewiele możemy zrobić; i nie zawsze jest łatwo coś zrobić, w niektórych krajach takie nagranie nie byłoby uznane za dowód ze względu na sposób jego uzyskania. O co miałyby być oskarżony grubas? O oglądanie nielegalnego przedstawienia? O bierność? O odmowę niesienia pomocy? Ba!... Rozumiem, że oni też to trzymają w oczekiwaniu na lepszą okazję, na wszelki wypadek. I nie mogę im tego wyrzucać, my postępujemy tak samo z większością materiału filmowego, który nas interesuje, czyli pochodzącego z naszego terytorium. Może się okazać, że więcej ludzi uratujesz od śmierci, zmuszając kogoś konkretnego do zrobienia czegoś później, niż rzucając się od razu na płotki. A my zawsze chcemy ratować



ludzkie życie. Zawsze dokonujemy kalkulacji, rozważamy, czy warto pozwolić teraz komuś umrzeć, żeby wielu innych mogło potem żyć. Naszym priorytetem, co zrozumiałe, jest ratowanie życia Brytyjczykom. Jak na wojnie. Musimy wszystko maksymalnie wykorzystać, choćby trzeba poczekać kilka lat. To samo dotyczy wyników naszej codziennej pracy w biurze, bywa, że trzeba poczekać, aż ktoś będzie gotów zrobić coś, co wedle naszych przewidywań jest zdolny zrobić. Dotyczy też tego, co ty przewidujesz, Jack, co ty nam o ludziach mówisz. Liczy się wszystko, co mi mówisz, nic nie ginie. W tym przypadku jest tak samo. – Wyraźnie przyglądał mi się, mówiąc dwa ostatnie zdania, rzęsy, szare w półmroku, już miał od siebie oddalone, szeroko otwarte chłonne oczy, które każdemu, na kogo spoglądały, kazały czuć się godnym uwagi i zastanowienia: i wydało mi się, że tymi słowami chciał nasilić we mnie to uczucie. Wciąż jeszcze nie odwróciłem się w stronę ekranu mimo jego uspokajającej zachęty. – No dobrze, patrz. Jeszcze przynajmniej jedno musisz zobaczyć. Przewinę szybko do przodu, przeskoczę kilka innych, skoro robią na tobie takie wrażenie. – Nie oszczędził mi sarkazmu.

Nie obchodziło mnie to. Uniosłem dwa palce, dając mu do zrozumienia, że jeszcze chwila, że chcę dodatkowego wyjaśnienia. Może potrzebowałem minuty, żeby otrząsnąć się z tego, co już widziałem, i kolejnej, żeby przyzwyczaić się do myśli, że jeszcze mam coś oglądać, z pewnością coś nieprzyjemnego, jeszcze więcej trucizny. Zamaskowałem to jednak pytaniem, jakbym musiał pilnie zaspokoić ciekawość:

– Skąd się biorą? Jak je zdobywacie? Mam na myśli te, które już widziałem. Raczej nie dopuszczały obecności kamer.

– Skądkolwiek, zewsząd i na tysiąc sposobów, dziś trudno wprost nadażyć za podażą. Z jednej strony dysponujemy własnymi tradycyjnymi sposobami: mamy techników, swoje wtyczki i przekupionych ludzi, którzy filmują. Z drugiej strony nagrania można kupić, na rynku jest wciąż coś

nowego i kupujemy interesujące nas rzeczy, wychodzi tanio, kiedy sprzedający nie wie, kim są występujący w nich ludzie, a my to wiemy albo potrafimy ustalić, czy chodzi o zwykłych sługusów albo mało ważne typy od brudnej roboty czy raczej o ludzi o pewnym znaczeniu. To tak jak na rynku dzieł sztuki: jeżeli kupujący zna prawdziwą wartość, a sprzedający jej nie zna, robi się dobry interes. W dzisiejszych czasach pierwszy lepszy idiota ma na własność minikamerę i nosi ją w kieszeni albo ma w komórce. Kiedy turysta natknie się przypadkiem na coś poważnego, choćby na zbrodnię, to bardziej prawdopodobne, że najpierw postara się na tym zarobić, dopiero potem zawiadomi policję. Policja nie płaci, a my płacimy, inni też, poprzez pośredników. Tak samo jak przyłapią kogoś sławnego na pieprzeniu się albo na golasa, idą z tym do tabloidów i plotkarskich stacji telewizyjnych, warto mieć kogoś, kto na bieżąco śledzi ten rynek. Kiedy indziej przysyłają nam nagrania wideo koleżdy z innych krajów, a my się odwdzięczamy materiałami, które im mogą się przydać, dużo nagrywają satelity. Teraz to najprostsza rzecz na świecie, wszystko można nagrać. Ludzie nie mają pojęcia, gdzie są kamery, albo jeszcze nie wierzą, że jest ich tak dużo, najrozsądniej wyjść z założenia, że są wszędzie i zawsze, nawet w pokojach hotelowych i w burdelach, i w saunach, i w publicznych toaletach (choć nie w tych dla kalek, tam się ich na ogół nie instaluje), a nawet w prywatnych mieszkaniach. Dziś nikt nie ma gwarancji, że nie zostanie sfilmowany, cokolwiek robi i w jakiegokolwiek jest sytuacji, a więc gdy popełnia przestępstwo albo oddaje się perwersyjnemu seksowi, to jest możliwe zawsze. Nie zawsze mamy tyle szczęścia, rzecz jasna, i w sumie zdobywamy i oglądamy tylko minimalną część tego, co jest dostępne. Niewiele nadaje się do natychmiastowego użytku, znaczy do użytku legalnego. Ale mamy niezłe archiwum na przyszłość, żeby w razie czego dyskretnie się dogadywać. Ludziom bardzo zależy na swoim wizerunku i są gotowi wycofać się i iść na układ. Zdziwiłbyś się, jak bardzo im zależy,

choćby nie byli sławni, choćby byli ludźmi interesu anonimowymi dla większości, na przykład dla telewidzów i czytelników prasy, bo wiedzą, że natychmiast przestaliby być anonimowi. Bardzo jest rozpowszechniony ten strach, o którym mówiłeś, horror narracyjny albo ten wstręt, jak to nazwałeś, wszyscy są przekonani, że można coś o nich opowiedzieć albo użyć ich jako materiału do jakiejś historii, trzeba tylko, żeby znalazł się chętny i to zrobić. I w rzeczy samej nie ma nic łatwiejszego, niż wydobyć kogoś z anonimowości. Wielu ludzi bardzo się stara i robi co może, żeby samodzielnie się z niej wydobyć, przecież wiesz, pokazują swoje życie codzienne w Internecie dwadzieścia cztery godziny na dobę, wywołują skandale albo robią głośne przekręty, starają się przelecieć kogoś sławnego, choćby był brzydki jak noc, wymyślają jakieś żałosne plotki, byleby dostać zaproszenie do najpodlejszego i najmarniejszego programu emitowanego o kiepskiej godzinie i móc je opowiedzieć, starają się na wszelkie sposoby, by spłynęła na nich jakaś cząstka cudzej sławy, choćby ponurej, albo wszczynają bójki w telewizyjnym studiu, obrzucają się wyzwiskami, starają się zrobić sobie głupie bezsensowne zdjęcia z jakimś aktorem, piłkarzem, piosenkarzem, milionerem, politykiem, członkiem rodziny królewskiej, modelką. Są nawet w stanie kogoś zabić, znajomego albo nieznanego, w bestialski albo wymyślny sposób, szczególnie okrutny, wyzywający albo przyprawiający o dreszcz grozy, dziecko zabija młodsze dziecko, nastolatek swoich rodziców, dziewczynka swoją słabszą koleżankę, dorosły dokonuje krwawej jatki w jakimś miejscu publicznym albo sprząta po cichutku siedem osób jedną po drugiej, w nadziei że zostanie złapany i zadziwi cały świat. Bo każdy potrafi zabić, każdy głupi może to zrobić. Ludzie nie wiedzą, że wystarczyłoby, żeby dalej prowadzili normalne życie i żeby komuś to życie wydało się ciekawe, żeby spojrzeć na nie z odpowiedniej perspektywy i postanowił opowiedzieć ich historię, a przynajmniej się nią zainteresować i poświęcić im uwagę. Żeby ktoś dostrzegł w ich życiu coś

wstydliwego albo skrywanego, jakąś ciemną plamę, jakąś anomalię. W gruncie rzeczy to wcale nie jest takie trudne, Jack, bo w przeszłości każdego z nas jest coś takiego, czasem nawet o tym nie wiemy albo nie potrafimy tego wskazać. Zależymy od cudzego spojrzenia. Najgorsze, co może człowieka spotkać, to że nikt na niego nie spojrzy. Ludzie tego nie wytrzymują i marnieją z tęsknoty za cudzym spojrzeniem. Niektórzy umierają z tego powodu albo zabijają.

Starczyło mi czasu, żeby pomyśleć: Tupra przyswoił sobie moją teorię albo jej skrawki. Jest na tyle delikatny, że nie używa dosłownie moich sformułowań albo się do tego przyznaje, gdy już mu się zdarzy, „jak mówiłeś”, „jak to nazwałeś”, mówi, cytując mnie *verbatim*. Jest tak miły, że przynajmniej przy mnie nie przedstawia jako własnej mojej koncepcji, że ludzie nie znoszą być pomijani albo niezauważani i zawsze wolą, gdy się ich widzi i ocenia, wszystko jedno dobrze czy źle, a nawet fatalnie, wręcz tego potrzebują i usilnie pragną; nie potrafią się jeszcze obyć bez rzekomego oka Boga, które nas obserwowało i pilnowało przez tyle stuleci, bez owego przekonania, że ktoś przygląda nam się w każdej chwili i wie o nas wszystko, i śledzi szczegółowo naszą drogę, jakby śledził historię, której jesteśmy głównym bohaterem; że źle znoszą albo nie godzą się na to, żeby nikt na nich nie patrzył, wszystko jedno, czy ich aprobuje czy odrzuca, nagradza czy karze albo im grozi, żeby nie mieć żadnego widza albo świadka na swoją korzyść ani przeciwko sobie; i w ten sposób wynajdują albo wymyślają substytuty owego już zamkniętego lub zranionego oka, a może oka zmęczonego albo beczynnego, albo znudzonego, albo półślepego, albo takiego, które odwróciło wzrok, jak ja to teraz robię; może dlatego ludziom wcale dziś nie przeszkadza, że ich szpiegują i filmują, niekiedy sami starają się to ułatwić przez swój ekshibicjonizm, mimo że to im może zaszkodzić i mogą ściągnąć na siebie to najbardziej przerażające niebezpieczeństwo: że ich historia legnie w gruzach. To jak podwójna,

wewnętrznie sprzeczna potrzeba: chcę, żeby wiedziano, że jestem i że byłem, i żeby znano moje dokonania, a zarazem budzi to mój lęk, bo mogę zrujnować raz na zawsze swój pieczołowicie tworzony obraz. A więc kiedy mnie przy nim nie będzie, Tupra na pewno zawłaszczy to wszystko bez skrpułów, wszystko, co mu mówiłem o Dicku Dearlovie i przy innych okazjach, i będzie przekonany, że sam to wymyślił (pod tym względem nie różni się zapewne od każdego innego szefa). Może rację miała Pérez Nuix i faktycznie mój wpływ na niego jest większy, niż myślę, może pobudzam go i bawię. Może dlatego czuje do mnie słabość, zaprasza mnie albo ciągnie do swego domu i pokazuje mi tę kolekcję przerażających nagrań, i jest dla mnie taki cierpliwy, i pozwala, żebym tyłu rzeczy nie oglądał, a nawet żebym zasłaniał oczy i odwracał wzrok od tego, co tak wielkodusznie mi pokazuje w akcie wielkiego zaufania, albo żebym patrzył, mając otwarte tylko jedno oko.

**I** pomyślałem również od razu: Ale wszystko ma swój koniec, a czeki się wystawia, dopóki mają pokrycie, nie powinienem być zanadto pewny siebie. Potem powiedziałem:

– No dobra, puść, co tam jeszcze masz do pokazania, i kończmy. Jest strasznie późno i chcę wracać do domu.

– Ach tak, istotnie – odpowiedział z ironią w głosie – to zapalone światło u ciebie. Myślisz, że ona wciąż jeszcze czeka? Jeżeli tak, to nie wykręcisz się tak łatwo, będzie bardzo nalegać. – Spojrzał na zegarek i dodał: – Strasznie ją wystawiłeś do wiatru. Przepraszaj ją w moim imieniu?

Był typem człowieka, który ekscytuje się na myśl o kobietach, kimkolwiek są, na myśl o samej idei i jeszcze bardziej na myśl o kobietach przyjaciół oraz o możliwości przekazania takim nieznanym jakiejś od siebie wiadomości za pośrednictwem ich mężów lub narzeczonych. Tym sposobem, myśli, usłyszą o nim, dowiedzą się przynajmniej o jego istnieniu i może się zainteresują, i będą go sobie wyobrażać, i tak oddaje się jałowemu wyimaginowanemu flirtowi.

– Już ci powiedziałem, że nikt na mnie nie czeka ani nie ma do mnie kluczy, Bertram. – Opróżniłem kieliszek jednym haustem, jakby dając do zrozumienia, że kończymy – No, dawaj. Co mam jeszcze zobaczyć? – I wskazałem ruchem brody telewizor.

Nacisnął znowu start i zaraz potem przewijanie, ale nie na maksymalną, lecz na średnią prędkość, mogłem zatem widzieć dość dokładnie kolejne obrazy, aczkolwiek bez dźwięku, wszystkie były w większym albo mniejszym stopniu nieprzyjemne, przy tych najgorszych nadal wnikała we mnie trucizna, niektóre w najlepszym razie były nudne albo obrzydliwe, dwaj mężczyźni o siwych włosach i różowej cerze rozwaleni na łóżku

w samych slipkach i wciągający kokainę (ile materiału dawały im narkotyki, może dlatego żaden rząd nie chce ich zalegalizować, to by oznaczało, że zmniejszy się liczba możliwych przestępstw), ci dwaj mnie nie interesowali ani nie robili na mnie żadnego wrażenia, powstrzymałem się od zapytania, kim są, pewnie byli znanymi i ważnymi figurami, pewnie Brytyjczykami, a może Kanadyjczykami albo Australijczykami, może oficerami policji, jeden miał na głowie jakąś absurdalną granatową czapkę oficerską przekrzywioną na bok; o mało nie postąpiłem wbrew sobie i nie dałem się ponieść figlarniej ciekawości, gdy na ekranie pojawił się pewien hiszpański polityk, nacjonalista – wszyscy już mamy po dziurki w nosie oglądania go (on by oczywiście zaprotestował przeciwko nazywaniu go politykiem hiszpańskim) – w trakcie pieczołowitego przebierania się za kobietę przed dużym lustrem, a raczej za jakąś staromodną kurwę, okropnie się namęczył, żeby nałożyć prosto pończochy, ciągle się przekrzywiał i marszczył, musiał je zdejmować i wciągać od początku, podarł dwie pary i z żalem wyrzucił, mocował się też z czymś na kształt pasa do pończoch, ten widok był naprawdę komiczno-żałosny, w moim kraju nagranie sprzedałoby się za duże pieniądze, kusiło mnie, ale się powstrzymałem i udało mi się nie poprosić Tupry, żeby mi je puścił z normalną prędkością, chciałem jak najszybciej skończyć; w sali do gry w bilard czterech ponurych typów było jakiegoś nieszczęśnika w starszym wieku i o szacownym wyglądzie, faceci rzucili biedaka na zielone sukno i okładali go bilardowymi kijami, trzymali je za cieńszy koniec, a uderzali tym grubszym, potem przewrócili go na plecy i pierwszym ciosem roztrzaskali mu okulary, i dalej bili po twarzy – kawałki szkła fruwały na boki i na pewno wbijały się w ciało przy każdym kolejnym uderzeniu – później bili po całym ciele, po żebrach i biodrach, i nogach, i po jądrach, tak, po jądrach też bili, dźgali go tam pionowo ustawionym kijem, pewnie pogruhotali mu rzepki w kolanach i kości piszczelowe, mężczyzna nie miał się czym

zakryć, na próżno starał się zasłonić rękami, pewnie połamali mu też ręce, cztery kije to dużo, unoszą się i opadają, i znowu unoszą, i wciąż opadają jak miecze. Tu nie mogłem powstrzymać komentarza:

– Chyba mi nie powiesz, że któryś z tych bydlaków jest teraz kimś ważnym, ma wysokie stanowisko. Trudno by uwierzyć, mają takie zakazane mordy.

Tupra zatrzymał na chwilę odtwarzanie, nie zamierzał pozwolić – nawet przy szybszym przewijaniu – żeby coś z tego bestialstwa mi umknęło. Na znieruchomiałym obrazie widać było nieszczęśnika, gdy jego oprawcy już sobie poszli, leżał bez ruchu na stole bilardowym, krew mu ciekła z nosa i z łuków brwiowych, możliwe, że także z policzków i z innych rozcięć, cały był spuchnięty i poraniony.

– To wcale nie byłoby niemożliwe. Ale nie, bez obawy – odpowiedział za moimi plecami, tym razem nie odwróciłem się, żeby na niego spojrzeć, a już chwilę później pomyślałem, że na całe szczęście. – Tu osobą ważną jest ten stary, czułby się zażenowany, widząc tę scenę. Pamiętaj, że niektórzy ludzie wstydzą się, że są ofiarą, równie mocno albo nawet mocniej niż tego, że są oprawcą. Że zgodziliby się na wiele, byleby nie wyszedł na jaw ten upokarzający i barbarzyński fakt, a zrobiliby jeszcze więcej, byle nikt tego nie zobaczył. Na przykład ich bliscy, którzy przeżyliby to boleśnie i nigdy już nie zdołaliby zapomnieć, wyobraź sobie, że ten człowiek byłby twoim ojcem. Ale on akurat jest ważny z zupełnie innego powodu niż wszyscy pozostali, których widziałeś, to całkiem inna kategoria. Nie ma władzy ani wpływów, przynajmniej nie bezpośrednio. Ale ty przecież nie wiesz, kto to jest. A może wiesz? – I nie czekając nawet na moje „nie”, dopowiedział: – To Mr Pérez Nuix, ojciec naszej Patricii. – Wymówił to dwuczłonowe nazwisko z angielska, zabrzmiało w przybliżeniu jak „Pears-Nukes”.



Właśnie wtedy pomyślałem, jakie to szczęście, że nie widzi mojej twarzy. Na twarzy i szyi, a następnie na całym ciele poczułem gwałtowną falę gorąca, zalała mnie całego, zupełnie jak wtedy, gdy przyłapywali cię na czymś w szkole i nie miałeś czym się wykręcić ani niczego powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Nie dał się oszukać, przyszło mi od razu do głowy, na pewno wie, że próbowałem tego świadomie. Że kłamałem mu na temat Incompary, może zauważył to od pierwszej chwili i rezultat był zerowy, na nic się to kłamanie nie zdało, on nie połknął haczyka, a Incompara nie uzyskał nic z tego, co zamierzał, dług nie został więc spłacony albo odebrali go sobie od tego człowieka, brutalnie go bijąc, kto mógł to sfilmować? Pewnie umówili się z ojcem w tej sali bilardowej, żeby załatwić sprawę, zastawili pułapkę i prawdopodobnie Reresby wiedział o tym z wyprzedzeniem, wiedział, co naprawdę szykują, kazał zainstalować tam ukrytą kamerę albo kogoś wynajął, albo zapłacił piątemu bandycie, niewidocznemu na filmie, bo nie brał udziału w biciu, tylko nim kierował, albo był na miejscu, żeby potem złożyć sprawozdanie z wykonanego zadania, a przy okazji nagrał wszystko komórką lub minikamerką. Myśli kłębiły mi się w głowie, czułem też dotkliwy wstyd, bardzo rozgałęziony, a może to było wiele różnych wstydów, aczkolwiek równoległych. Ale nie mogłem się tak łatwo zdradzić, milczenie wobec tej informacji byłoby nienormalne, bo oznaczałoby przyznanie się, że o wszystkim wiedziałem, a przynajmniej o jakiejś części.

– Ale o co w tym chodzi? – rzuciłem nerwowo. Taka reakcja nie była podejrzana, zdenerwowanie mogło być spowodowane widzianym właśnie okrucieństwem, na szczęście bez dźwięku. – Dlaczego właśnie on? Czym się zajmuje? Co im zrobił?

– Miał duże hazardowe długi, wiesz przecież, co się wtedy ryzykuje. Dużo zależy od tego, komu jesteś winien te pieniądze, ale generalnie takich długów nikt nie odpuszcza.

Odgrywa przedstawienie, pomyślałem, opowiada mi to, jakbym nie wiedział, przecież musi zakładać, że wiem całkiem sporo. Wystawia mnie na próbę. Chce się przekonać, czy pęknię i przyznam się, czy raczej będę udawał niewiniątko i nie puszcę pary z ust. Chce zobaczyć, jak sobie radzę w sytuacji zdemaskowania.

– Z kiedy jest to nagranie? Kiedy to się stało?

– Dość niedawno – odparł. – Ze dwa miesiące temu albo trochę mniej.

– Patricia o tym wie? Mam na myśli, czy to widziała?

Nie powiedziała mi ani słowa, może ze względu na całkowite fiasko mojej przysługi czy też mojego udawania: po co przekazywać mi złe wiadomości, skoro koniec końców i tak mnie nie dotyczyły, po co wzbudzać we mnie poczucie winy, po co jeszcze bardziej mnie w to wciągać? Nie powiedziała też, że było wprost przeciwnie, to znaczy, że wszystko poszło dobrze i udało się pozbyć długu po części dzięki moim staraniom. Ale nigdy mi nie przyszło do głowy, że powinna to zrobić, i sam więcej do tej sprawy nie wracałem, tylko raz poprosiła mnie o przysługę, należało to uszanować; wbrew powszechnemu przekonaniu pierwszy raz nie daje powodu do drugiego, czegokolwiek miałyby dotyczyć.

Tupra zaśmiał się znowu jakby z suchym parsknięciem, co było wyrazem sarkazmu i niedowierzania wobec tego, co słyszał.

– Nie, jak mogłaby wiedzieć, za kogo mnie masz? Wystarczająco się napatrzyła w szpitalu. Jej ojciec leżał tam dłuższy czas, nie wiem, czy nie wyszedł dopiero niedawno, i wcale nie wiadomo, jak to się skończy, wiesz, on ma swoje lata, po czymś takim trudno w pełni dojść do siebie, strasznie biedaka pobili.

Tak, to był on, nieszczęsny ojciec młodej Pérez Nuix, bardzo przez nią kochany, zatrzymany w kadrze przed moimi oczyma w najgorszym momencie, miał półprzymknięte oczy, jeżeli coś dawało się w nich wyczytać, to uczucie zawodu, jakby nigdy nie spodziewał się po świecie

czegoś tak okropnego na własnej skórze, był lekkoduchem nie znajdującym upodobania w cierpieniu, czułem się winny tego, co go spotkało, to był jeden z moich wielu wstydu, może nie wypowiadałem się z dostatecznym przekonaniem na temat Incompar, trudno kłamać, gdy samemu nie daje się wiary własnym kłamstwom, powinienem był bardziej się postarać, bardziej się upierać przy swoim wobec Tupry, wesprzeć słowa myślami i tym sposobem dodać im wiarygodności, a może to nie była moja porażka i on zobaczył to, co zobaczył, i co w dodatku było ewidentne: że ten cały Vanni Incompara nie jest za grosz wart zaufania, że w dodatku to człowiek bezwzględny, Pérez Nuix pewnie to wychwyciła, lecz czuła potrzebę oszukania samej siebie, wszyscy tego potrzebujemy – nawet my, posiadający dar, najhojniej obdarzeni – kiedy to, co widzimy, nas dotyczy i okazuje się nie do zniesienia. Może zadanie było niemożliwe, ten zamiar przekonania o czymś odwrotnym mego szefa, w jakim celu pokazywał mi teraz to nagranie? A może doszło do zwykłego zbiegu okoliczności i nie miał żadnego celu, przecież równie dobrze mogłem nie wygłosić żadnej uwagi, a on wtedy nie zatrzymałby tego kadru na ekranie, przewinąłby dalej, nic nie mówiąc i nie informując mnie, kim była ofiara pobicia. A jednak wygląda to tak, jakby mi mówił: „Przyjrzyj się dobrze, nie oszukałeś mnie, zobacz, na co się zdały twoje starania, Jagonie, twój chytry plan się nie powiódł i nie zwiodły mnie twoje intrygi, nie kupiłem twojego protegowanego, a zatem nie pozwoliłem mu się zbliżyć, a on przez to, że narobiłeś mu wcześniej fałszywych nadziei, wpadł w tym większą wściekłość, byłoby sto razy lepiej, gdybyś tego nie zrobił, może wówczas zachowałby się bardziej wielkodusznie wobec tego wesołego dystyngowanego starca, twojego rodaka, może nasłałby na niego tylko jednego bandziora, a nie czterech, może z krótkimi gumowymi pałkami, a nie z długimi twardymi kijami, albo może załatwiłby sprawę w inny sposób, bez złości i bez użycia siły. Popełniłeś błąd, nie doceniałeś mnie,

myślałeś, że zdołasz mnie oszukać, a dużo ci jeszcze brakuje. Całego życia”. Równie dobrze mógł mi jednak nic nie mówić.

– Jak mogłeś na to pozwolić, wiedząc, że jest ojcem Patricii? – Nadal udawałem głupiego, jak już się wejdzie na jakąś drogę, trzeba nią iść, dopóki nie zagrozi jej morze, pustynia, dżungla, przepaść albo ściana. – Chyba mi nie powiesz, że nic nie wiedziałeś; że ta kamera znalazła się tam przypadkowo, że ty nie miałeś z tym nic wspólnego i kupiłeś to nagranie na rynku. To dopiero byłby zbieg okoliczności, prawda? Pobity ojciec koleżanki.

Ale Tupra nie zmienił się na twarzy, tak przynajmniej przypuszczałem. Nadal siedziałem odwrócony do niego plecami, wołałem nie widzieć, jaką ma minę, i żeby on także nie widział mojej. Jego głos zabrzmiał spokojnie:

– Jasne, że to nie był zbieg okoliczności. Przynieśli nam, zaoferowali to nagranie właśnie dlatego, że dotyczyło koleżanki. Pomyśleli, że mogłoby nas zainteresować, żeby poznać jej słabe punkty albo ukarać napastników. Nie myśl, że w grupie mówimy sobie dużo o naszych osobistych problemach. Pat właściwie nic nie mówi. Gdyby nie to nagranie, prawie nic bym nie wiedział. Powiedziała mi tylko, że jej ojciec miał wypadek i leży w szpitalu. Na ogół nie mieszamy pracy z życiem osobistym, jak zdążyłeś się przekonać.

– Nie ukaraliście ich? I w tym przypadku nic nie zrobiliście? A po co przechowujesz to nagranie?

– Jak już ci mówiłem, tu niczego się nie wyrzuca, nie oddaje ani nie niszczy, a to pobicie jest tu dobrze zabezpieczone, nie jest przeznaczone do pokazywania. Aczkolwiek kto wie, pewnego dnia może okazać się konieczne pokazanie go Pat, żeby ją do czegoś nakłonić, do pozostania, nieodchodzenia od nas, nigdy nie wiadomo. A co do kary, to na razie nie warto, ci czterej to pionki, robią takie rzeczy i sto innych dla stu różnych panów, wiedzą, że wcześniej czy później zostaną złapani, nawet bez

naszego udziału, przywykli do siedzenia w więzieniu. A co do ich mocodawców, to lepiej poczekać, żeby mieć z tego większy profit, często tak robimy, już wspominałem.

– Czy to właśnie chciałeś mi pokazać? – Wiedziałem, że nie, w przeciwnym razie nie przewijałby szybko tego nagrania, ryzykując, że ja się nie odezwę i on nie będzie miał sposobności oświecenia mnie. Chciał mi zaaplikować jeszcze więcej trucizny albo poddać mnie kolejnym torturom.

– Nie, nie to. Dobrze, lecimy dalej.

I znowu zaczęły się przesuwać obrazy, szybko, choć nie zanadto, nadal mogłem zobaczyć, co w nich było najważniejsze, widziałem, jak jeden mężczyzna wrzeszczy na drugiego, siedzącego w samochodzie w garażu, w takim prywatnym garażu, nie publicznym, stał nachylony obok samochodu i krzyczał, jeden łokieć oparł w otwartym oknie, co uniemożliwiało temu drugiemu podniesienie szyby, twarzami byli tak blisko, że musiał tego drugiego opluwać śliną, zobaczyłem, jak wyciąga pistolet z kieszeni marynarki, bardzo szybkim ruchem, i przystawia swemu adwersarzowi albo oponentowi lufę do głowy poniżej małżowiny usznej, zobaczyłem, jak nie namyślając się ani chwili, naciska spust i strzela mu z bliska w głowę, właśnie tam, poniżej ucha. Zakryłem dłonią oczy, żeby widzieć tylko spomiędzy palców, zupełny nonsens, zobaczyłem bryzgającą krew i kawałki kości, ale człowiekowi się wydaje, że tym sposobem zobaczy mniej albo że w każdej chwili może przestać widzieć, mimo że tak się nie dzieje, bo palce nigdy nie są ciasno złączone. Krew obryzgała mordercę, lecz wcale się tym nie przejął, najwidoczniej miał gdzieś blisko prysznic albo koszulę na zmianę, drugi garnitur w swoim samochodzie, a może to był jego garaż, w jego domu, odwrócił się na pięcie i wyszedł z kadru, wkładając pistolet znowu do kieszeni, to była bardzo krótka sekwencja, sądząc po typie spodni – raczej krótkich i wąskich, z szarego połyskującego materiału – powiedziałbym, że morderca był

Amerykaninem, a skoro Tupra przechowywał nagranie, to facet musiał być z CIA albo czegoś podobnego, może był wojskowym, powstrzymałem się od zadawania pytań, może należał do najwyższych rangą oficerów, kto wie, to znaczy Reresby z pewnością wiedział.

Od razu potem zobaczyłem śmierć od uderzeń młotkiem, a przynajmniej wywnioskowałem, że skutek był śmiertelny, narzędzie trzymała w ręce kobieta, trzydziestokilkulatka, miała na sobie spódnicę i buty na obcasach, i sznur pereł na obcisłej bluzce z dekoltem w serek, ubranie i buty w tym samym odcieniu zieleni, sprawiała wrażenie wyjętej żywcem z lat pięćdziesiątych, najdalej początku sześćdziesiątych, wyglądała na sekretarkę, dyrektorkę, pracownicę banku, w każdym razie na urzędniczkę, brutalnym ciosem młotka w czoło powaliła na ziemię mężczyznę zdecydowanie od siebie wyższego, w moim wieku albo w wieku Tupry, ale cięższego i bardziej barczystego niż każdy z nas, najpewniej w jakimś pokoju hotelowym, potężny mężczyzna upadł na plecy, a ona wskoczyła na niego okrzakiem i nadal okładała go młotkiem po głowie, to dlatego uznałem jego śmierć za pewnik, jak strasznie musiała się go bać albo jak potwornie go nienawidziła, naszyjnik kołysał się na boki, spódnica się podwinęła, o dziwo, mimo jesienno ubioru kobieta nie miała na sobie rajstop, pewnie wcześniej je zdjęła, majtki może też, żeby pieprzyć się w ubraniu, albo majtek nie musiała zdejmować, albo on jej ściągnął, żeby ją zgwałcić, i może chciał ją mieć w tej właśnie pozycji, na sobie lub pod sobą, z rozłożonymi nogami, kim byłaby ona wtedy, a kim teraz i kto byłby ofiarą, wytrwałem, żeby nic nie mówić, to nagranie urwało się gwałtownie na widoku kobiety z młotkiem uniesionym do góry jak Tupra ze swoim mieczem, jeszcze nie zakończyła walenia, nieuchronnie przypomniałem sobie tę dziwną aktorkę, Constance Towers, w starym filmie zatytułowanym „The Naked Kiss” – w Hiszpanii nazywał się „Una luz en el hampa”, „Jasność wśród szumowin”, raczej głupawy tytuł – jak robi to

samo w pierwszej scenie filmu, tyle że nie młotkiem, a swoim butem na obcasie, a może telefonem, i jak w trakcie tego morderstwa spadają jej włosy, blond peruka, jak się okazuje, i zostaje kompletnie łysa, możliwe, że to właśnie robiło na widzach największe wrażenie, jak tamte zmyślane opowieści o Jayne Mansfield, i przemknął mi też przez głowę obraz Luisy, okropny obraz, wyobraźnia mi go podsuwała w najczarniejszych chwilach albo w chwilach największej desperacji, Luisy napastowanej przez tego, który mógł zająć moje miejsce, przez tego dewianta, który nie dawałby jej ani chwili oddechu, odseparowałby ją od wszystkich i pewnej deszczowej nocy mógłby zacisnąć na jej szyi swoje wielkie łapska, gdy tymczasem dzieci – moje dzieci – przyglądałyby się temu z kąta pokoju wciśnięte w ścianę, jakby chciały, żeby ustąpiła pod ich naporem i znikła, a wraz z nią ten straszny widok i więznący im w gardle szloch, zły sen, i to przeciągłe rżenie wydobywające się z ust ich konającej matki, oby miała wtedy młotek w ręce, oby to nie ona umarła, lecz ten zboczeniec, ten zaborczy despota, który początkowo i na pierwszych randkach wcale taki nie jest, lecz jest uprzejmy, pełen uszanowania, nawet ostrożny, który jak ja nie zostaje nigdy na noc głuchy na wszystkie błagania, zawsze ubiera się ponownie od stóp do głów mimo późnej pory, wyczerpania i chłodu i wychodząc na ulicę, ponownie nakłada rękawiczki, ten mężczyzna tak bardzo podobny do Tupry.

Możliwe także, że nic nie mówiłem z powodu przygnębienia, z każdym kolejnym nagraniem coraz bardziej zapadałem się w siebie, czułem się bardziej przegrany, zeszywniały („Śnij, śnij, śmierć we śnie ujrzyj i swe zbrodnie”), jakby ukazujące mi się teraz oblicze świata odsuwało wszystkie inne, bardziej znajome, nie tylko te uśmiechnięte i radosne, także te nijakie i neutralne, obojętne, utrwalone, które są – one przede wszystkim – naszym ratunkiem i istotą. Taka jest właściwość trucizny, przenika i zatruwa wszystko. Przygnębienie wynikało z nagromadzenia, bo miałem

równocześnie świadomość, że mimo wszystko obrazy teraz przesuwające mi się przed oczyma nie wywierają na mnie tak szkodliwego wpływu jak to, co wcześniej zobaczyłem na własne oczy, bez pośrednictwa ekranu, w toalecie dla niepełnosprawnych. Przemoc dziejąca się tuż obok, ta, którą się oddycha, która zostawia plamy, nie jest tym samym co przemoc pokazywana na ekranie, nawet jeżeli wiesz, że jest rzeczywista, nie zmyślona, telewizja nas nie obryzguje, jedynie nas straszy. Ciągłe na nowo wracałem myślą do tamtego pytania Tupry, które zadał mi w samochodzie, zanim ruszyliśmy, i po którym postanowił, że pojedziemy do niego do domu, „Dlaczego nie można bić i zabijać? Tak właśnie powiedziałeś”. Co za nonsens, przecież wszyscy to wiedzą, każdy głupi może mu odpowiedzieć. Ale w świetle tego, co mi pokazywał („Niech te widoki przytłoczą twą duszę; i miecz stępiony wypadnie z twojej dłoni i niech potoczy się tarcza; zdejmij hełm i odrzuć włócznie”), nadal znajdowałem tylko głupie infantylne odpowiedzi, odziedziczone w spadku i nigdy nie przemyślane, czcze i sztampowe, wyuczone przez wszystkich, zawsze trzymane w zanadrzu bez poświęcenia im żadnej własnej myśli, najbardziej błahej i ogólnikowej, nigdy nie podane w wątpliwość: dlatego, że to nie w porządku, że to niemoralne, że prawo tego zabrania, że można za to iść do więzienia, a gdzie indziej na szafot, dlatego, że nie można robić innym tego co nam niemiłe, że to zbrodnia, że jest coś takiego jak litość, dlatego, że to grzech, że to złe, że życie jest święte, że nie można tego cofnąć i jak już się stało, to nie ma ratunku. Ale swoim pytaniem Tupra wyraźnie domagał się odpowiedzi wykraczającej poza to wszystko.

Kolejne serie nagrań migały mi przed oczyma, może nie powinienem o nich opowiadać, widziałem je gorzej, były mniej czytelne, pędziły niemal galopem, Reresby przyspieszył przewijanie, on też musiał kiedyś spać, możliwe, że zaczynał być senny, choć jego głos brzmiał bardzo rześko, może w końcu przyłączył się do mego pragnienia, żeby to jak najszybciej



się skończyło, ja chciałem już skończyć z gorączką, bólem, słowem, tańcem, obrazem, trucizną, snem, przynajmniej na tamten dzień albo na tamtą nieskończoną długą noc, ostatecznie rzeczy, które kompromitują lub obciążają człowieka winą, nie są urozmaicone, osobliwy seks, seks z użyciem przemocy, cudzołóstwo albo po prostu seks śmiechu wart, pobicia, narkotyki, jakieś tortury, okrucieństwo i sadyzm, korupcja, łapówki, oszustwa i donosy, i długi, nieudane spiski i odkryte zdrady, nieprzewidziane morderstwa i planowane zabójstwa, i niewiele więcej, niemal wszystko sprowadza się do tego, i jeszcze są rzezie, zobaczyłem kolejną masakrę z użyciem pistoletu maszynowego, tym razem na większą skalę, cywilów w jakimś afrykańskim kraju, jakiejś dwudziestki kobiet, mężczyzn, dzieci i starców, padali jedno po drugim jak kostki domina i w ten sposób to nie wyglądało tak strasznie ani nawet prawdziwie, tej masakry dokonali czarni żołnierze lub strzelcy, ale na rozkaz białego oficera w mundurze, nie wiem, regularnym czy na pół wymyślonym, może wtedy był najemnikiem, który później wcielił się na powrót do swojego wojska, byli tacy Anglicy, obywatele Republiki Południowej Afryki i Belgowie, którzy przebyli drogę tam i z powrotem, Francuzi chyba też. Jeśli to był właśnie taki przypadek, to Tupra miał tego wojskowego Europejczyka w garści, pewnie pozwoli mu spokojnie awansować, zrobić karierę, z całą pewnością nie powiadomił go o istnieniu tego nagrania ani go nie zadenuncjował, poczeka, by tamten doszedł na sam szczyt w swoim kraju, w NATO, i dopiero wtedy poprosi o wyświadczenie wielkiej przysługi, a raczej przymusi do jej wyświadczenia. Siłą obrazu.

W końcu zatrzymał, to znaczy jedną konkretną sekwencję puścił z normalną prędkością oraz z dźwiękiem, musiał trochę cofnąć, żeby trafić na sam początek.

– Jest – powiedział. – Chcę, żebyś jeszcze to zobaczył, zanim pójdziesz do domu. Dobrze się przyjrzyj i kiedy już będziesz w łóżku, pomyśl o mnie

i o tym.

Epizod był krótki, podobnie jak cała reszta, Tupra nie kłamał w tej kwestii, chociaż ta wizyta dłużyła mi się w nieskończoność, prawie wszystkie nagrania były zmontowane na tym jednym krążku DVD, bez większych wstępów, chodziło tylko o pokazanie przemocy, przestępstwa albo farsy, a to, co wcześniej i co później, nie miało znaczenia, to był jedynie materiał przydatny do szantażowania nagranej osoby. Trzej mężczyźni znajdowali się wewnątrz szopy, w głębi dostrzegłem ogon jakiegoś zwierzęcia kołyszący się na boki, prawdopodobnie krowy albo byka, na ziemi była rozrzucona słoma, wyobraziłem sobie, jaki musiał być w środku zapach. Dwóch mężczyzn stało, a trzeci, związany, siedział na wiklinowym krześle, ręce miał skrępowane na plecach, nogi przywiązane do nóg krzesła, naturalnie do tych przednich. Z kasety albo radia dobiegała melodia, którą częściowo rozpoznałem, pamięć muzyczna mnie nie zawiodła: Comendador stał się miłośnikiem lokalnych piosenek, siedząc w więzieniu w Palermo dawno temu, po aresztowaniu przez tamtejszych celników z winy kropli krwi, która pociekła mu z dziurki w nosie w złą, a może w dobrą godzinę i wzbudziła podejrzenia karabiniera o przenikliwym albo czujnym oku, który dosłownie nasłał na niego psy tropiące kokainę. Przysłał mi kiedyś w prezencie dwie płyty CD, jedną Modugna, a drugą niejakiego Zappulli, i byłem niemal pewien, że głos tego drugiego rozbrzmiewał teraz donośnie w oborze, śpiewając jedną z piosenek z mojej płyty, tytuły kilku pamiętałem, to była „I puvireddi” albo „Suspirannu”, albo „Luntanu”, albo „Biduzza”, albo „Moro pe tia”, wszystkie ładne, pełne wdzięku, trochę tandetne w swojej melancholii, słuchałem ich uparcie i z upodobaniem w swoim okresie melancholijnym i nieco tandetnym, ta szopa musiała znajdować się na Sycylii, przyszło mi to na myśl również z powodu lupary, jeden ze strażników miał ją przewieszoną na rzemieniu przez ramię, to strzelba z przyciętymi lufami,

jakiej używano w tamtych stronach na polowaniach, może nadal się jej używa, i jaką wyrównywało się rachunki, może nadal się wyrównuje, drugi mężczyzna miał potężny pistolet w kaburze wystającej spod pachy, marynarkę elegancko zarzuconą na ramiona, podwinięte rękawy koszuli, na przegubie duży kwadratowy zegarek, jedną rękę trzymał na oparciu krzesła więźnia, potężniejszego i starszego niż ci dwaj, młodzi i szczupli, wszyscy trzech poruszali ustami do tekstu piosenki, znali jej słowa na pamięć i nucili razem z Zapullą, i chociaż każdy z nich robił to na swój sposób, by tak powiedzieć, zatopiony w swoich myślach, oddzielny, jakby do środka, a nie w chórze, dziwne było to współbrzmienie, które pozwalało im przez chwilę dzielić się czymś, jakby to nie byli dwaj strażnicy i ich jeniec albo dwaj oprawcy i ich ofiara i jakby ofierze nic złego nie groziło, i wydawało się, że w głębi ogony zwierząt poruszają się do taktu, wszystkie żywe istoty w tym nieuczęszczanym miejscu trwały w dziwnej osobliwej harmonii, mężczyzna z luparą nawet lekko się kołysał, nie odrywając stóp od podłogi, tańczyły tylko nogi i tułów z dwururką do miarowego rytmu „I puvireddi” albo „Moro pe ttia”, co w tamtejszym dialekcie oznacza „Biedaczyska” i „Marzę o tobie”.

Trwało to ledwie kilka sekund, bo zaraz otworzyły się drzwi – mignęła w głębi trawa, jakiś miły krajobraz – i weszło trzech osobników, zamykając drzwi za sobą, ten pierwszy i najważniejszy to był Arturo Manioia. Oto on w swoich okularach gwałciciela lub pilnego urzędnika, które ciągle poprawiał sobie na nosie kciukiem, choć wcale się nie zsuwały, zobaczyłem, że to samo robi tam, stojąc i będąc aktywnym, zajęтым, ze spojrzeniem prawie niewidocznym zza wielkich szkieł i z powodu nadmiernej ruchliwości matowych oczu w kolorze kawy z mlekiem, jakby trudno mu było zatrzymać wzrok w jednym miejscu dłużej niż na kilka sekund albo jakby nie mógł znieść, że ludzie głębiej w te oczy zajrzą. Rozpoznałem go od razu, dopiero co spędziłem z nim cały niezapomniany

wieczór, nawet nie wyglądał młodziej, nagranie musiało być całkiem niedawne albo on był człowiekiem bez wieku i nie zmieniał się w odróżnieniu od swojej żony, oto on ze swoją wysuniętą do przodu zbyt długą brodą, nie na tyle, by można mówić o przodozgrzyzie, wystarczająco jednak, by zasługiwać na określenie *bazzone*. Tak, to on ze swoją ogólną skłonnością do wymierzania kar. Gdy tylko go poznałem, od razu pomyślałem, że pewnie wymierza kary z najbliższego powodu lub pod byle pretekstem, a nawet i bez pretekstu, że jest człowiekiem popędliwym, aczkolwiek uchodzi za zrównoważonego, bo prawie nigdy nie daje po sobie poznać gniewu. Ale pomyślałem też, że w tych nielicznych sytuacjach, kiedy gniew wydobywał się z niego na zewnątrz, musiał budzić przerażenie i lepiej było nie znajdować się wtedy w pobliżu. A teraz, gdy już się z nim pożegnałem i znikł fizycznie z mego pola widzenia, pod koniec owej nocy przyszło mi nieoczekiwanie oglądać jeden z jego ataków furii na ekranie. Odczułem to jak przekleństwo i zrozumiałem to natychmiast, gdy tylko ujrzałem go na ekranie, jak w garniturze i krawacie wchodzi do szopy. Przygotowałem się, postanowiłem, że cokolwiek się zdarzy, nie odwrócę wzroku ani nie zakryję sobie oczu. Chciałem pokazać Tuprze, że w trakcie tej jego nocnej sesji zdążyłem już stwardnieć albo że stworzyłem sobie wewnątrz jakieś antidotum na jego truciznę; a przynajmniej że nabrałem odporności.

Muzyka nie ustała, gdy weszli ci trzej nowi, nawet nie przycichła, dlatego niewiele słyszałem z tego, co Manioa mówił do związanego, a jeszcze mniej rozumiałem, miałem wrażenie, że albo przesadza ze swoim południowym akcentem, albo miesza włoski z lokalnym dialektem. Ale mówił do niego surowo, z oburzeniem, z pogardą tym swoim raniącym głosem teraz gniewnie podniesionym, wymachując rękami i co rusz wymierzając siedzącemu policzki jakby mimochodem, jakby stanowiły tylko element jego gestykulacji, sposób na podkreślenie nagany, ruch

niemal mimowolny i jakby sam ich nie zauważał, to zawsze niezawodny znak, że policzkowany nie ma żadnej wartości i stał się po prostu rzeczą. Tamten odpowiadał jak mógł, on na pewno w dialekcie, bo nie rozumiałem ani słowa, to były szczątkowe zdania przerywane nieustającym szybkim potokiem słów Manoi, nie chciałem przyglądać się więźniowi, im bardziej dostrzegłbym w nim człowieka, tym bardziej przejąłbym się tym, co miało się wydarzyć, a miało go spotkać coś strasznego, to było pewne, sytuacja się tego domagała, a poza tym nagranie znajdowało się na owej płycie DVD z wybranym i zmontowanym materiałem, ze scenami żenującymi albo jawnie okrutnymi, przyjrzałem mu się mimo wszystko, z przyzwyczajenia, to był pulchny mężczyzna z wielką głową i małymi ustami, miał krótkie kręcone włosy w kolorze słomy, wyłupiaste oczy, ogorzałą cerę niezbyt zamożnego gospodarza, który jeszcze przemierza swoje pola na piechotę, był po wiejsku dobrze ubrany i mógł mieć jakieś czterdzieści lat. W końcu potok słów Manoi ustał – choć nie jego złość – albo on zrobił krótką przerwę i zrozumiałem, co powiedział potem: „*Tappategli la bocca*”, rozkazał swoim ludziom, aczkolwiek zabrzmiało to raczej jak „*Dabbadegli la bogga*”, wszystkie bezdźwięczne spółgłoski zamienione na dźwięczne, możliwe, że zrozumiałem to *a posteriori*, widząc, jak ten z pistoletem i ten ze strzelbą pakują jeńcowi do ust ścierki jedna po drugiej, prawie na wcisk, nie wiem, jak się zmieściły, a potem jak zaklejają mu usta szeroką taśmą od jednego ucha do drugiego, nie pozwalając mu swobodnie odkaslnąć, gdy tego potrzebował, twarz mu poczerwieniała i rozpalila się, oczy przez kilka sekund omal nie wyskoczyły z orbit, policzki odęte jak wezbrane ropą, te ścierki były w biało-czerwoną kratkę, może to serwetki z jakiejś trattorii, kawałki materiału wystawały spod taśmy samoprzylepnej na dole i na górze, jakież to straszny lub groźny czyn mógł popełnić, złożył donos jak Del Real, zdradził, stchórzył, zawiódł, uciekł, usnął, nie wyglądał na zwyczajnego wroga, chociaż mógł nim być, może ktoś przez niego zginął,

jakiś agent Sismi, którego kolej jeszcze nie nadeszła, jeżeli Manioa był z Sismi. Wtedy Manioa wyjął jakiś przedmiot z kieszeni marynarki, nie mogłem zobaczyć, co to było, coś krótkiego, jakiś nożyk, łyżeczka, może ostro zakończony metalowy pilniczek, może ołówek. „*Adesso vedrai*”, powiedział, „Teraz zobaczysz”, te słowa usłyszałem wyraźnie mimo rozbrzmiewającej wciąż piosenki. Głowa siedzącego była na wysokości jego piersi, ramion. Podszedł do niego bliżej, wystarczyły dwa kroki i czymkolwiek było to coś, co trzymał w ręce, wykonał tym dwa szybkie ruchy nad jego twarzą, gest staroświeckiego dentysty, który przymierza się do wyrwania zębów za jednym zamachem, najpierw jednego, potem drugiego, i wyrwał, naprawdę to zrobił, wyrwał z korzeniami, ale nie zęby, wydłubał je, jak wydłubuje się deserowym nożykiem pestki z dwóch przekrojonych na pół brzoskwiń albo pestki z arbuza, albo orzechy ze skorupki rozłupanych wreszcie po chwilowej walce, a ja musiałem swoje zamknąć mimo wcześniejszego postanowienia, co mogłem poradzić, postarałem się nie zakryć ich dłonią, żeby Tupra mógł myśleć, że mam je cały czas otwarte, tymczasem Zapulla śpiewał, a ja wychwytywałem tylko pojedyncze słowa co jakiś czas, „*sfortunate*”, „*mangiare*”, „*cerco*”, „*soffro*”, „*senza capire*”, „*malate*”, „nieszczęsne”, „jeść”, „szukam”, „cierpię”, „nie rozumiejąc”, „chore”, za mało, żeby uchwycić sens, mimo że człowiek zawsze potrafi nadać go wszystkiemu, nieszczęsne moje puste oczodoły, muszę jeść serwetki albo ścierki, szukam ratunku i cierpię z okaleczenia, nie rozumiejąc okrucieństwa tych chorych bestii... „*E quando son le feste di Natale*”, to nie pomogło w najmniejszym stopniu, mimo że było najdłuższą frazą, jaką wychwytiło moje ucho, bo przecież nadal słyszałem także to nieludzkie prychnie pełne niedowierzania i rozpacz, i bólu, bo nie krzyki, ich być nie mogło z kraciastymi ścierkami wepchniętymi do ust, ale już nie widziałem, przynajmniej tyle, choć

staralem się przekonać Reresby'ego, że jest wprost przeciwnie, i może nawet mi się udało.

I krótko mówiąc, bałem się („Gdybym zdołał zapomnieć, czym byłem! Lub nie pamiętać, czym teraz być muszę”). Bałem się Manoi i bałem się Tupry, i bałem się także odrobinę samego siebie, bo się z nimi wymieszałem. („Tak, gdybym mógł nie pamiętać tego, czym teraz być muszę”). Tupra zatrzymał obraz, unieruchomił go pilotem, przeprowadził inokulację do ostatniej kropli trucizny, w dodatku poprzez oczy, jak każe etymologia. Wiedziałem, że zatrzymał odtwarzanie, bo przestałem słyszeć dźwięk. Otworzyłem oczy, ośmieliłem się spojrzeć, na szczęście w zastopowanym kadrze Manoi zasłaniał plecami twarz ślepego już mężczyzny.

– Dość już widziałeś – powiedział Tupra – choć to nie koniec nagrania: nasz przyjaciel obrzuca nieszczęśnika kolejnymi wyzwiskami, a następnie podrzyna mu gardło, oszczędzę ci tego widoku, bardzo tam dużo krwi. On ze swej strony mógł być sobie oszczędzić tego, co już widziałeś. Po co skazywać na dodatkowe cierpienia kogoś, kogo i tak zamierza się zabić, i to w kilka sekund później? – W głosie Tupry wyczuwało się szczere zaintrygowanie i jakiś żal, jakby rozważał już tę kwestię wiele razy i nie mógł jej zgłębić. – Nie rozumiem tego, a ty, Jack? Rozumiesz to? Jack?

Siedziałem w milczeniu, przez kilka sekund nie chciałem powiedzieć ani słowa ze strachu, że odzywając się, rozpadnę się na kawałki i głos mi się załamie, nawet mogłem się rozplakać, a to nie powinno się zdarzyć pod żadnym pozorem, zabroniłem sobie płaczu w tamtym miejscu i czasie. Zaciśnąłem szczęki i trzymałem je zaciśnięte, dopóki nie poczułem się wystarczająco pewnie, żeby mu odpowiedzieć tonem, który w moim zamierzeniu miał naśladować sarkazm:

– Trzeba go było spytać. Straciłeś dobrą okazję. Miałeś cały wieczór, żeby się dowiedzieć. – Odniosłem wrażenie, że moje słowa trochę go zbiły

z tropu, najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi. A ja dodałem: – Możliwe, że jeszcze nie wiedział, kiedy mu robił tamto, znaczy nie wiedział, że go zabije. Może to jeszcze nie było postanowione. Bywa, że furia nie ustępuje po pierwszej karze, trzeba posunąć się dalej, by ją zadowolić. Może nie pozostało mu nic innego, jak tylko go zabić. Niektórym i to nie wystarcza i starają się zabić po dwakroć, daremnie zabić już martwego. Okaleczają trupa albo profanują grób i żałują, że już zabili, bo nie mogą zabić ponownie. Często tak było podczas naszej wojny domowej. Teraz się zdarza z ETA, jeden raz im nie wystarcza. – A potem wróciłem do początku: – Dlaczego pytasz mnie? Przecież to twój kolega, trzeba było jego spytać.

Tupra zapalił kolejnego papierosa, usłyszałem trzask zapalniczki, wciąż jeszcze na niego nie patrzyłem. Wyłączył odtwarzacz, wstał, wyjął płytę, stanął przede mną, trzymając płytę delikatnie palcami, i powiedział:

– Och, nie, Manolia nie wie, że mam to nagranie, nie ma o tym pojęcia. Znaczący, pewnie przypuszcza, że mam coś na niego, ale nie wie co. Nawet mu przez myśl nie przejdzie, że mogę mieć właśnie to. W każdym razie sam widzisz, że prawdopodobnie uratowałem życie temu idiocie, temu całemu Garzy. Zamiast się na mnie złościć, powinieneś mi raczej podziękować, że sam wymierzyłem mu karę, by użyć twego sformułowania. Nie ominęłyby go, możesz być pewien.

Już od jakiegoś czasu wiedziałem, dokąd zmierza. „To było konieczne i tym sposobem zapobiegłem większemu złu albo tak sądziłem: zabiłem jednego, by nie zabili dziesięciu, dziesięciu, by nie padło stu, stu, by ocalić tysiąc”, i tak w nieskończoność, to stara wymówka, którą tak wielu przygotowuje sobie i układa przez całe wieki w swoich chrześcijańskich i niechrześcijańskich grobach w oczekiwaniu na sąd, który nie nadchodzi, wielu wciąż wierzy w ten sąd w godzinie swego odejścia, niemal wszyscy zabójcy w całej długiej historii i ci, którzy do zbrodni podlegają. Ja jednak



nie chciałem robić mu teraz wyrzutów, lecz wziąć się w garść, a to przychodziło mi z trudem, jakże chciałem sprawić wrażenie doskonale obojętnego. Spróbowałem, zadając mu prawdziwe pytanie, to znaczy pytając o coś, co i tak chciałbym wiedzieć, nawet gdybym nie wziął się w garść:

– Skoro on przypuszcza, że coś masz, a ty w dodatku masz coś takiego, to dlaczego skakałeś tak wokół niego przez cały wieczór? Wyglądało na to, że chcesz mu się przypodobać, a nie stawiać żądania. Wedle twoich słów te nagrania służą wam do tego, żeby bez problemów i oporów ludzie szli na ustępstwa, służą też do szantażowania, lecz ja odniosłem wrażenie, że nie było ci łatwo go przekonać, cokolwiek sobie zaplanowałeś, ani coś od niego uzyskać, cokolwiek to miało być.

Tupra spojrział na mnie lekko rozbawiony i lekko zirytowany. Wciąż jeszcze nie wstałem z pufy, patrzył więc na mnie z góry.

– Kto ci powiedział, że on nie ma nagrania z nami? W takim przypadku można stracić przewagę albo przewaga zostaje anulowana. – Powiedział „z nami”, nie „ze mną”, pomyślałem, że mogło chodzić o Rendela albo o Mulryana, chociaż Mulryan wydawał mi się bardzo ostrożny, nie potrafiłem wyobrazić sobie Pérez Nuix zachowującej się tak jak Manioa w tamtej oborze. Albo oczywiście o Tuprę, albo o kogoś stojącego wyżej niż oni wszyscy lub niż my wszyscy, ja też należałem do tego „my”. Albo o kompromitujące wideo innego rodzaju, nie równorzędne, nie porównywalne, nie takie bestialskie, lepiej, by takie nie było. To, co widziałem na filmie z Sycylii, było odrażające, podobnie jak na filmie z Ciudad Juárez i z innych miejsc, nigdy nie uda mi się tego zapomnieć ani co byłoby najlepsze, wymazać z pamięci: jakby nigdy nie istniało ani nie postawiło stopy na ziemi, ani nie przemierzyło świata, ani nie przesunęło się przed moimi oczyma.

– To było na Sycylii, prawda? – spytałem wówczas; użyłem rzeczowego tonu, przydaje się najbardziej, gdy człowiek jest na skraju załamania.

– Doskonale, Jack, jesteś coraz lepszy – odparł i zamarkował bicie brawa, nie mógł tego zrobić z płytą w jednej i papierosem w drugiej ręce. – Co cię naprowadziło, piosenka, język czy jedno i drugie?

– Jedno i drugie, i trzecie. Również lupara na ramieniu jednego z tych typów. To nie było takie trudne. – Założyłem, że zna to słowo, mimo że nie znał włoskiego. Byłem w błędzie, zdziwił mnie.

– Co takiego?

– Lupara. – I przeliterowałem po angielsku. – Tak nazywają tam dwururkę.

– No proszę, naprawdę dużo wiesz. – Chyba nie najlepiej znosił to, że udawało mi się sprawiać wrażenie opanowanego: widząc wcześniej, że tylekroć zasłaniałem oczy, był pewnie przekonany, że zupełnie upadnę na duchu, gdy zobaczę, jak człowiek, z którym jadłem kolację i piłem alkohol, którego rękę ściszałem, z którego żoną tańczyłem, wyłupia komuś oczy. Oczywiście byłem kompletnie załamany, cały się wewnątrz trząsałem i chciałem wreszcie wyjść, ale nie zamierzałem pozwolić, żeby Tupra to zauważył, dostatecznie mnie już udręczył owej nocy i nie byłem gotów dać mu na koniec jeszcze większej satysfakcji. Pewnie Flavia nie ma pojęcia o tym okrutnym obliczu swego męża, zadziwiająca, jak mało wiemy o naszych bliskich, o ich dzisiejszej i wczorajszej twarzy, nie mówiąc już o ich twarzy jutro.

– Zastanawiam się, skąd się wzięła kamera w miejscu, które jak sobie wyobrażam, jest starą oborą na jakiejś zapadłej wsi. Dziwne, prawda? – Postarałem się zachować rzeczowy ton głosu, moje wysiłki, by zapanować nad emocjami, odnosiły całkiem dobry skutek.

Tupra ponownie spojrzał na mnie z góry, teraz raczej rozbawiony niż zirytowany.

– Tak, Jack, istotnie byłoby to bardzo dziwne, gdyby ten typ z luparą... zauważ, jak szybko się od ciebie uczę – zabrzmiało to tak, jakby powiedział po angielsku „looparrah”, nie miał szczególnie dobrego ucha – nie ukrył jej tam wcześniej. Gdyby została znaleziona, skończyłby tak samo jak ten na krześle.

Teraz zapytałem o coś, co w gruncie rzeczy nic mnie nie obchodziło; zrobiłem to tym samym rzeczowym tonem i tylko po to, żeby się tym pytaniem podeprzeć w oczekiwaniu na chwilę, gdy będę mógł wyjść.

– Nie powiesz mi chyba, że przy swoim wyglądzie jest Anglikiem? Nie mów, że to nasz agent. – O mało nie powiedziałem „wasz”, ale na czas się poprawiłem albo zmieniłem zamiar, może ironicznie, a może trochę dla własnej wygody.

Było oczywiste, co mi odpowie: „Od czego są pieniądze” albo „Od czego są koneksje”, albo „Od czego jest szantaż”, lecz Tupra na koniec chciał mnie zaintrygować. W gruncie rzeczy robił to z przerwami przez cały wieczór.

– Za dużo chciałbyś wiedzieć, Jack. – Oddalił się kilka kroków, podszedł znowu do szuflady, z której wcześniej wyjął płytę, pieczołowicie schował płytę, zamknął szufladę na klucz, klucz do swoich skarbów. I wtedy znowu zadał mi to pytanie, stojąc za biurkiem, w półmroku. Wypowiedział je swoimi dużymi ustami – miękkimi i mięsistymi, zbyt szerokimi i pozbawionymi jędrności – wypuszczając równocześnie obłok dymu: – Z pewnością miałeś już dość czasu, żeby się zastanowić, odpowiedz mi teraz na to, o co zapytałem w samochodzie. Teraz zobaczyłeś rzeczy, jakich wcześniej nie widziałeś ani nigdy więcej, mam nadzieję, nie zobaczysz. Powiedz mi teraz: dlaczego według ciebie nie można bić i zabijać ludzi? Dopiero co widziałeś, jak często się to robi, wszędzie, czasami z wielką łatwością i beztrasko. Wyłumacz mi zatem, dlaczego nie można.

Żadna z klasycznych odpowiedzi nie nadawała się dla niego, wiedziałem to od pierwszej chwili. Nie spodziewałem się, że Reresby do tego wróci, sam nie wiem dlaczego, przecież on nigdy nie tracił wątku ani nie zapominał żadnej nierozstrzygniętej kwestii, ani nie wypuszczał zdobyczy z rąk, jeżeli sam tego nie chciał, podobnie jak i ja, podobnie jak Wheeler. Rozejrzałem się z głupia frant dookoła, jakbym miał znaleźć odpowiedź na ścianach w pokoju na pół pogrążonym w mroku, z przygaszonym światłem. Zatrzymałem na chwilę wzrok na jedynym obrazie – może chciałem odpocząć od innych, od tych widzianych na przeklętym ekranie i od obrazu Tupry na żywo – na portrecie brytyjskiego oficera w krawacie i z podkreśnionym lekko wąsem oraz z Krzyżem Wojskowym, z wąskim pasmem włosów pomiędzy głębokimi zakolami, krzaczastymi brwiami i posępnym wyrazem oczu, bez wątpienia takim samym jak mój, i w tym pełnym smutku spojrzeniu ujrzałem odbicie własnego przygnębienia, ujrzałem wyraz twarzy, który mógł mnie zdradzić przed Tuprą pomimo rzeczowego tonu, na jaki się siliłem. Z trudem odczytałem podpis „E. Kennington. 17” pod rysunkiem, to nazwisko słyshałem wcześniej z ust Wheelera, gdy opowiadał mi o kampanii przeciw *careless talk* w 1917 roku, w trakcie pierwszej wojny światowej, tej, którą on i mój ojciec przeżyli jako dzieci, trudno uwierzyć, że nie znikli jeszcze ze świata, że nie znaleźli się jeszcze na pół bezpieczni w jednookim niepewnym zapomnieniu, jak przytrafiło się to zapewne temu oficerowi z portretu, chyba że Tupra wiedział, kim jest, na tamtej wojnie zabijano bardziej niż na wszystkich innych, chcę powiedzieć, że zabijano ludzi w najgorszy sposób, stosując nowe techniki, ale również w walce wręcz i na bagnety, liczba poległych na frontach była niezmierna, a może nikt się nie odważył ich policzyć. Chcąc zyskać na czasie, uciekłem się do małego manewru odwracającego uwagę.

– Kim jest ten wojskowy? – Wskazałem na rysunek.

Odpowiedź Reresby'ego była wewnętrznie sprzeczna, jakby chciał po prostu uwolnić się od pytania:

– Nie wiem. Mój dziadek. Podoba mi się jego twarz. – I natychmiast wrócił do tematu: – Powiedz, dlaczego nie można.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, byłem jeszcze bardzo zdenerwowany, skonsternowany i wstrząśnięty. Mimo to powiedziałem coś, niemal mimowolnie, a na pewno bez namysłu, byle tylko nie milczeć:

– Ponieważ wtedy nikt nie mógłby żyć.

Nie zdołałem sprawdzić, jaki skutek odniosły moje słowa, jeżeli w ogóle jakiś odniosły, nie dowiem się już nigdy, czyby się roześmiał czy wyśmiałyby je, czyby odparł jakimś argumentem czy pogardliwie pozostawił bez odpowiedzi, bo właśnie wtedy, gdy tylko je wypowiedziałem, usłyszałem za swoimi plecami kobiecy głos:

– Z kim jesteś, Bertie, i co robisz? Nie pozwalasz mi spać. Wiesz, która jest godzina? Nie kładziesz się?

To był domowy ton głosu. Odwróciłem się. Kobieta zapaliła wcześniej lampę w korytarzu i jej zaciemiona postać na progu rysowała się pod światło, otworzyła drzwi, ale jej twarz pozostawała niewidoczna. Miała na sobie przezroczysty szlafrok do kostek, z muślinu lub czegoś podobnego, z paskiem albo marszczony w talii, lekki i zwiewny, takie sprawiał wrażenie, jej figurę widać było wyraźnie poprzez materiał, jakby stała naga, aczkolwiek to było mało prawdopodobne, skoro usłyszała wcześniej mój głos albo nasze głosy; na nogach miała pantofelki na wysokim cienkim obcasie, jakby była staromodną modelką prezentującą bieliznę, peniuary albo koszule nocne, jakąś pin-up girl z lat pięćdziesiątych albo początku sześćdziesiątych, kobietą z mego dzieciństwa. Wyglądała jak dziewczyna z kalendarza. Ładnie pachniała, ponętny seksowny zapach przeniknął od drzwi w głąb pokoju, stwarzając złudzenie, że przegania nagromadzone w pokoju potworności. Kobieta nie miała kształtów klepsydry ani butelki

coca-coli, ale bardzo zbliżoną, doskonałą i atrakcyjną figurę, gdy patrzyło się pod światło; była wysoka i miała długie nogi, jak sanki, po których można się ześlizgnąć, możliwe zatem, że była to dawna żona Tupry, Beryl, do której taką namiętnością zapałał De la Garza. Przypomniałem sobie o nim, może wciąż jeszcze leżał na podłodze w toalecie dla niepełnosprawnych – już nie tak czystej – pobity i niezdolny się poruszyć. Poczulem wyrzuty sumienia, ale tej nocy ja tam nie pojedę, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie, czulem się zdruzgotany i wycieńczony. Zadzwońię któregoś dnia do ambasady i zapytam, przecież wcześniej czy później ktoś go tam znajdzie i wezwie pogotowie. Za to państwo Manoią śpią już pewnie od jakiegoś czasu w swoich łózkach w hotelu Ritz, spokojni i pogodzeni, a Flavia czuje się pewnie zadowolona i uradowana, że odniosła kolejny wieczorny triumf i sprowokowała incydent, jakkolwiek i tego wieczoru, usypiając, zadała sobie pewnie pytanie: „Dzisiaj wieczór jeszcze tak, ale jutro? Jutro będę o dzień starsza”. Kimkolwiek była stojąca w progu kobieta, jej pojawienie się zmuszało mnie do wyjścia, a raczej w końcu mi na to pozwalało. Nie odniosłem wrażenia, by Tupra zamierzał nas sobie przedstawić.



– Pracowaliśmy do późna z kolegą. Zaraz przyjdę, kochanie – powiedział zza biurka i użył staroświeckiej raczej formy „*my dear*”.

A więc to na niego ktoś czekał, to nie on mieszka sam, a przynajmniej w niektóre noce nie brak mu miłosnego towarzystwa, pomyślałem, wstając. Ma zatem słaby punkt, ma kogoś u swego boku. I podoba mu się stary styl, który niezupełnie jest tym, co on nazywa stylem dzisiejszego świata. Może styl tego dzisiejszego świata widziałem na ekranie i w łazience dla niepełnosprawnych i może tym stylem właśnie mnie zatrzał.

**VI**  
**Cieñ**



Nie spieszyłem się, *I did linger and delay*, albo ociągałem się i zwlekałem, i pozwoliłem, by minęły jakieś dwa miesiące, nim nadszedł wreszcie ten „któryś dzień”, kiedy to postanowiłem w końcu pójść osobiście do ambasady, żeby zobaczyć, jak się miewa De la Garza. Nie twierdzę, że jego los mnie nie obchodził, przeciwnie, często o nim myślałem z niepokojem i smutkiem, a przez kilka dni po owej nieprzyjemnej długiej nocy przeglądałem uważnie londyńskie gazety, sprawdzając, czy nie natrafię na jakąś wzmiankę o incydencie, ale nigdzie nic nie napisali, pewnie dlatego, że Rafita nie zgłosił pobicia na policji. Groźba Tupry albo moja, bo ja przetłumaczyłem jego wypowiedź z dokładnymi instrukcjami, najwyraźniej odniosła zamierzony skutek. Codziennie kupowałem również „El País” i „Abc” (tę drugą gazetę dlatego, że informowała szerzej niż inne o życiu dyplomatów, a także biskupów), lecz i tam w pierwszych kilku dniach nic się nie ukazało. Dopiero po jakichś dziesięciu, w reportażu porównującym poziom bezpieczeństwa w różnych europejskich stolicach, korespondent „El País” w Londynie wspominał mimochodem: „Pewne zaniepokojenie wśród Hiszpanów mieszkających w Londynie wywołała wiadomość sprzed kilku tygodni, że pracownik hiszpańskiej ambasady trafił do szpitala na skutek pobicia bez żadnego wyraźnego powodu przez nieznaną sprawców, nocą i na środku ulicy wedle początkowej wersji poszkodowanego, który później ujawnił jednak, że brutalna napaść (liczne krwiaki i kilka złamanych żeber) miała miejsce w jednej z modnych dyskotek i była konsekwencją pewnej sprzeczki, co uspokoiło nastroje, bo pozwoliło uznać to za przypadkowy

odosobniony incydent, możliwe, że spowodowany przez poszkodowanego, a przynajmniej dotyczący konkretnie tej jednej osoby”.

De la Garza nie mógł z pewnością ukryć swego stanu przed przełożonymi i kolegami z pracy i musiał jakoś wytłumaczyć powody swego zwolnienia lekarskiego, opowiedział zatem, że dał się sprowokować kilku żułom albo że stanął w obronie kobiety (ci, którzy obrażają kobiety, lubią stroić się w piórka ich obrońców; wciąż miałem w pamięci jego słowa: „Wszystkie kobiety to dziwki, ale wyglądem żadna nie umywa się do Hiszpanek”), albo że ktoś obraził przy nim Hiszpanię i nie pozostało mu nic innego, jak napiąć mięśnie i wdać się w bójkę, ciekaw byłem, co konkretnie wymyślił, żeby wyjść z twarzą z całego zdarzenia (z twarzą w jego mniemaniu i tylko w jego relacji, bo przecież było oczywiste, że go stłukli): „Zgoda, dali mi wycisk, ale żebyście widzieli, jaki oni dostali wpierdol, przywaliłem im jak się patrzy”, przechwalał się zapewne, jak zawsze ordynarnie i popisując się zarazem, jak tyłu naszych dawnych i współczesnych pisarzy, istna plaga. Sformułowanie „możliwe, że spowodowany przez poszkodowanego” można było sobie wytłumaczyć jedynie antypatią, jaką musiał wzbudzać w swoim otoczeniu, bo właściwie było zupełnie nie na miejscu, na pewno korespondentowi dostała się reprimenda za brak obiektywizmu. Z rozbawieniem pomyślałem o sobie jako o żulu z kamory, a przynajmniej dowiedziałem się, że Tupra trafił bezbłędnie, zdiagnozował go na miejscu, w toalecie, dwa, trzy złamane żebra, góra cztery, może był jednym z tych, którzy potrafią ocenić skutek każdego uderzenia i każdego cięcia według ich siły i wybranego miejsca, tak jak chirurdzy albo rzeźnicy, może miał doświadczenie i nauczył się odmierzać siłę i głębokość ciosu i ręka nigdy go nie zawodziła, wiedział dokładnie, jakie powoduje obrażenia, i pilnował, by nie posunąć się za daleko, jeżeli – rzecz jasna – nie miał takich planów. Z nim lepiej było nie zadzierać, mam na myśli fizycznie.

Odczekałem zatem, żeby upłynęło trochę czasu, wolałem zadzwonić do De la Garzy albo zajrzeć do niego, gdy już będzie w lepszej formie i pozbędzie się urazy i przerażenia; i oczywiście strachu, czyli tego, co siedzi najgłębiej. Jak mogłem się zorientować, zastosowałem się do naszych poleceń, Tupry i moich, był posłuszny: nie puścił pary z ust nawet do Wheelera ani do swego wpływowego ojca o malejących już wpływach, don Pabla. W owym czasie od dawna już nie odwiedzałem Wheelera, ale nadal rozmawialiśmy regularnie przez telefon, raz na dziesięć dni albo co dwa tygodnie, były to prawie zawsze miłe stymulujące rozmowy, jakkolwiek raczej przewidywalne. Kiedyś wspomniałem beztrósco o Raficie i Wheeler natychmiast wszedł mi w słowo: „Och, nie słyszałeś, co mu się przytrafiło? Coś okropnego, strasznie go pobili, myślę, że wciąż jeszcze leży w szpitalu. Dowiedziałem się nie bezpośrednio od niego, jego stan nie pozwala jeszcze na rozmowy, lecz od ludzi z ambasady i od jego ojca, który przyjechał do Londynu, żeby być na miejscu i zaopiekować się nim w pierwszych dniach, siedział przy nim cały czas, nie mógł nawet przyjechać do Oksfordu, a ponieważ ja nigdzie się już nie ruszam, nie mogliśmy się zobaczyć”. „Dobry Boże! Jak do tego doszło?” – zapytałem obłudnie. „Nie wiem – odpowiedział. – Musiał być pijany i podobno zmieniał swoją wersję wydarzeń kilka razy, zaprzeczał sam sobie, równie dobrze sam może nie być pewien, jak to było, albo nie pamiętać z powodu zamroczenia, sam widziałeś, jaki ma ciąg na flaszkę, pamiętasz, jak wtedy u mnie od razu się zaprzyjaźnił z lordem Rymerem? Przypuszczam, że przesadził ze swoim impertynenckim zachowaniem, z tymi wszystkimi wulgaryzmami, jakich czasem używa, dla mnie to nie do pojęcia, wydaje się, że to jego rodacy, znaczy wasi rodacy wygarbowali mu skórę w łazience jakiejś dyskoteki, jakby się tam umówili na bójkę, zupełnie jak dzieciaki w szkole, pasuje jak ulał. Prawdę mówiąc, skatowali go, to nie była dziecinna zabawa, ma kilka poważnych złamań. I to w łazience dla niepełnosprawnych:

samosprawdzająca się przepowiednia, nie uważasz?” Wheeler niemal we wszystkim dostrzegał jakiś komizm, nie byłby zatem sobą, gdyby nie dodał z nutką złośliwości (łatwo sobie wyobraziłem ten błysk w jego oku): „Podobno jest cały w gipsie. Jacyś pacjenci podejrzeli go z korytarza i byli pewni, że to mumia”. I zaraz przeszedł do innej sprawy, do szczególnego wyrażenia, jakie chwilę wcześniej wtrącił oczywiście po hiszpańsku – „*zurrar la badana a alguien*”, wygarbować komuś skórę: „Mówi się tak jeszcze czy to już zupełnie wyszło z użytku? A przy okazji, nigdy właściwie nie wiedziałem, co znaczy *badana*, a ty wiesz?”. Uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, zawstydził mnie, podobnie jak kiedyś, wiele lat wcześniej, moi studenci w Oksfordzie, musiałem kłamać na zajęciach w odpowiedzi na ich złośliwe pytania i wymyślać na poczekaniu jakieś bzdurne i wysrane z palca etymologie wyrazów, a oni je notowali z absolutną powagą. „Całkiem często zdarza się wam nie znać znaczenia słów używanych w hiszpańskim, częściej niż nam w angielskim albo ludziom w innych językach – ciągnął sir Peter – a mimo to używacie ich z zadufaniem i pewnością siebie: na przykład co u diabła znaczy «*joder la marrana*»? Mam na myśli, co dosłownie znaczy? Albo «*a pie juntillas*» (zauważyłem, że zdarzają się autorzy ignoranci, którzy piszą «*a pies juntillos*», nie wiem, jak teraz, ale kiedyś to było niepoprawne)? Albo «*a pie enjuto*», albo «*a dos velas*», albo «*caérsele los anillos*»? Pierścionki nie spadają, wprost przeciwnie, trzeba się napracować, żeby je ściągnąć. A dlaczego kwartały domów między ulicami nazywacie «*manzanas*», jabłka? Najwyraźniej nikt tego nie wie, wypytywałem nawet członków Real Academia Española, ale wszyscy beztrąsko i bez cienia zakłopotania wzruszali tylko ramionami. Dlaczego akurat «jabłka»? Czy to nie absurd? Przecież nie ma tu żadnego podobieństwa do owocu, nawet z lotu ptaka... A dlaczego robicie ten dziwny gest, który oznacza właśnie «*a dos velas*», to znaczy przykładacie dwa palce do dziurek od nosa i opuszczacie je do górnej wargi, to bardzo

dziwaczne, nie widzę żadnego związku. Dużo mówicie za pomocą ruchów i gestów i większość z nich nie ma sensu, są mało przejrzyste, często nie przystają do znaczenia, jak ten, kiedy opieracie wyprostowane palce na ułożonej pionowo drugiej dłoni, wiesz, o czym mówię? Pokazałbym ci, gdybyś mnie widział, już cię nie widuję, rzadko do mnie zaglądasz, jesteś ofiarą wyzysku Tupry czy może znalazłeś sobie dziewczynę? Chyba ten gest oznacza «Już dość, przestań», a może «Idziemy»...?»

Wheeler był niespożyty we wszystkim, co tyczyło języka i wyrażeń językowych, zatrzymywał się i rozwodził nad nimi, i na chwilę zapominał o bożym świecie, a ja – dobrze to wiedziałem, odkąd po raz pierwszy prowadziłem zajęcia z przekładu i lekcje hiszpańskiego na Oksfordzie – byłem głębokim ignorantem w sprawach mego języka, zresztą to nic wielkiego, bo tę ignorancję dzielą ze mną niemal wszyscy rodacy i nic ich to nie obchodzi. Zaczynałem myśleć, że chwilami Wheeler trochę traci kontakt z rzeczywistością, podobnie jak czasem tracił zdolność mówienia. Nie w taki sam sposób, nie miewał nagle pustki w głowie, w żadnym razie, nie mówił bzdur ani się nie plątał, lecz odbiegał od tematu bardziej niż zazwyczaj i nie słuchał tak skwapliwie ani tak uważnie jak kiedyś, jakby świat zewnętrzny mniej go interesował, a przewagę zyskiwał ten wewnętrzny, własne wywody, rozmyślania, natrętne myśli, jakie często miewają ludzie starzy, może wspomnienia, jakkolwiek on nie był specjalnie skłonny o nich mówić ani się nimi dzielić, możliwe jednak, że chętnie wracał do nich myślami, żeby je sobie uporządkować, zrobić ich przegląd na własny użytek, wytłumaczyć je sobie i oszacować, a może chodziło tylko o to, żeby je odpowiednio ustawić i kontemplować, jak ktoś cofający się kilka kroków, by przyjrzeć się swojej bibliotece albo obrazom, albo ustawionym w szeregach ołowianym żołnierzom, jeżeli takowe zbiera, wszystkiemu, co się zgromadziło i złożyło na przestrzeni całego życia,

prawdopodobnie w jednym jedynym celu – to naprawdę się zdarza – by cofnąć się i na to popatrzeć.

Ów rodzaj gadatliwej introspekcji, jaką zauważałem, rozmawiając z nim przez telefon, nieraz budził we mnie obawę, że nie pozostało już wiele czasu, by zapytać go o wszystko, o co zawsze chciałem pytać, lecz odwlekałem to powodowany dyskrecją, szacunkiem, niechęcią do wyciągania z ludzi tego, co zachowują dla siebie i czego strzegą, do ograbiania ich z prywatności, do wścibstwa, a nawet impertynencji, zawsze miałem naturalną skłonność, by czekać, aż ludzie sami powiedzą mi to, co naprawdę zechcą, a nie to, do czego skłoni ich jakiś szczególny wątek lub obrót rozmowy albo dlatego, że poczują się połechtani w swej próżności bądź przez własną impulsywność – pokusa opowiadania jest tyleż silna, co przejściowa i łatwo znika, napotkawszy opór lub jego brak, tyle tylko, że w tym drugim przypadku nie ma już rady, pozostają jedynie wyrzuty sumienia albo *rimpianto*, jak mówią Włosi, gorzkie żale do samego siebie. Naprawdę chciałem zapytać go o różne rzeczy, nim taka możliwość stanie pod znakiem zapytania albo zniknie, chciałem dowiedzieć się czegoś, choćby skrótowo i anegdotycznie, o jego związkach z hiszpańską wojną domową, która tak zaważyła na życiu moich rodziców, nic o tych związkach do niedawna nie wiedziałem; o jego przygodach z MI6, o jego zadaniach specjalnych na Karaibach, w Afryce Zachodniej i w Azji Południowo-Wschodniej między 1942 i 1946 rokiem, jak było napisane w „Who’s Who”, w Hawanie i w Kingston, i w innych nieznanych miejscach, choćby nadal miał zakazane ujawniać je po sześćdziesięciu latach i na pewno przez te, które jeszcze mu zostały do przeżycia; zabierze swoją historię do grobu, jeżeli ja jej nie wydobędę z tego podpułkownika urodzonego na antypodach jako Rylands; chciałem się dowiedzieć o jego skrywanej relacji z bratem Tobym, którego poznałem pierwszego i darzyłem podziwem, i opłakałem, nie mając pojęcia o ich bliskim

pokrewieństwie; również o jego działalności z grupą, która nie miała nazwy w chwili powstania i nie ma jej teraz, jak nie ma „interpretatorów osób” ani „tłumaczy życia”, ani „przewidywaczy historii”, Wheeler skrytykował kiedyś Tuprę za posługiwanie się w prywatnych rozmowach takimi terminami: „Rzeczowniki pospolite, przezwiska, przydomki, pseudonimy, wszelkie eufemizmy są natychmiast podchwytywane i wchodzą do użycia, nim człowiek zda sobie z tego sprawę – powiedział wówczas – w końcu okazuje się, że nazywasz rzeczy albo osoby zawsze w taki sam sposób i to szybko staje się nazwą, pod którą te rzeczy lub ludzie są znani. Potem nie można się już tego pozbyć ani zapomnieć”; i to była prawda, ja nie mógłbym ich już zapomnieć, ponieważ stanowiłem część owej grupy albo jej zdegradowanej współczesnej spuścizny i takie właśnie nazwy usłyszałem; chciałem też dowiedzieć się czegoś o śmierci Val albo Valerie, młodej żony Wheelera, choć on sam zawsze wolał odkładać to na kiedy indziej, a poza tym w głębi duszy uważał, że nigdy nie powinno się niczego opowiadać.

Wydawało mi się nawet – nie miałem na to dowodów, tylko tak podejrzewałem – że Wheeler mógł rozluźnić uchwyt, jakim dawniej łapał zdobycz i nie pozwalał jej się wymknąć, tak jak wciąż robiliśmy to my, Tupra i ja, i prawdopodobnie młoda Pérez Nuix, każde z nas w rozgorączkowanym jeszcze, a co najmniej czujnym wieku – kiedy naprawdę kończy się wiek prawdziwej zapalczowości? wiek niepokoju i przyspieszonego pulsu, wiek ruchu i nagłych zwrotów, zawrotów głowy, wiek, kiedy dzieje się to wszystko i wiele więcej, wiek tyłu wątpliwości i takiej udręki, kiedy się natężamy i intrygujemy, i walczymy, i mamy ambicję, żeby drasnąć drugiego i uniknąć zadraśnięcia samemu, i obrócić sprawy na swoją korzyść, choćby ta korzyść często skrywała się pod przykrywką szlachetnych celów, i to tak zmyślnie, że zwodziłaby nawet nas samych, twórców tych przebieranek? Chcę powiedzieć, że Wheeler

odsuwał się od swoich machinacji i planów albo takie miałem wrażenie, jakby jego wola i determinacja w końcu osłabły, a może nagle nimi wzgardził albo nie widział w nich żadnej rekompensaty ani zasługi po dziesiątkach lat hartowania ich w sobie, rozwijania i podsywania oraz rzecz jasna, stosowania. Był skoncentrowany na sobie, niewiele więcej go interesowało poza tym. Miał ponad dziewięćdziesiąt lat, trudno się dziwić albo mu to wyrzucać, nadszedł już czas.

I pomimo tych sygnałów, pomimo mojej narastającej obawy, że nie będę już miał z nim tego czasu, który wcześniej zawsze odczuwałem jako nieograniczony, odkładałem wciąż wizyty i pytania i nie zaglądałem do niego. Równie chętnie posłuchałbym też czegoś więcej na temat Tupry, jego przeszłości, historii, zagrożenia, jakie sobą przedstawiał, jego charakteru, „możliwości, jakie ma we krwi” – Wheeler musiał wiedzieć o nich więcej, znał go dłużej niż ja – szczególnie po tamtej nocy z mieczem i nagraniami wideo, jej wspomnienie prześladowało mnie długie tygodnie i miało prześladować w nieskończoność; ale możliwe, że w tej kwestii, skoro postanowiłem nie odchodzić ani nie ulotnić się, nie rezygnować jeszcze ze stanowiska, a wraz z nim z mej działalności, pensji i stanu ogólnego zamętu, unikałem sposobności dowiedzenia się czegoś naprawdę i – gdyby Wheeler spełnił moje oczekiwania i dokładnie rozszyfrował Tuprę – takiej sytuacji, że byłbym zmuszony zakończyć pracę, którą na razie, nie bez zadawania sobie pewnego gwałtu, postanowiłem ciągnąć dalej. Zdawałem sobie sprawę, że doszedłem do punktu, w którym z każdym kolejnym dniem miało mi być trudniej wrzucić wsteczny bieg, nie mówiąc już o rzuceniu wszystkiego i powrocie do Madrytu – gdzie miałbym pracować? jak żyć? jak być blisko Luisy, gdy ona się ode mnie oddalała? – skąd przecież nie wyjechałem też do końca. W znacznej mierze byłem tam wciąż myślami, ale nie ciałem, ciało przyzwyczajało się do wędrówek po Londynie i do oddychania zapachem tego miasta przy



przebudzeniu i przy zasypianiu (zawsze z jednym okiem otwartym przez brak żaluzji lub jak każdy inny mieszkaniec tej wielkiej wyspy), do spędzania części dnia w towarzystwie Tupry i Pérez Nuix, i Mulryana, i Rendela, a czasem i Jane Treves albo Branshawa, do zbawienego początkowo dobrodziejstwa pewnej rutyny, która nagle i niespodziewanie staje się więzieniem jak sieć pająka, nie potrafisz wyobrazić sobie życia innego niż to, jakie prowadzisz, choć nie jest niczym nadzwyczajnym i przypadło ci w udziale niejako zrzędzeniem losu, bez szczególnych zabiegów z twojej strony. Nie, już nie było mi łatwo wyobrazić sobie siebie w innej pracy, mniej wygodnej i gorzej płatnej, nie tak atrakcyjnej i urozmaiconej, bo przecież każdego ranka stawałem wobec nowych twarzy albo pogłębiałem analizę tych już poznanych, rozpracowanie ich było prawdziwym wyzwaniem. Odślanianie skrywanych przez nie możliwości, przewidywanie zachowań było jak pisanie powieści, a co najmniej szkiców biograficznych. A od czasu do czasu zdarzały się jeszcze wyjścia, tłumaczenia w terenie i okazjonalne podróże.

Odkładałem więc również powrót do Madrytu, mam na myśli odwiedzin u dzieci i ojca, u mojego rodzeństwa i przyjaciół, od zbyt wielu miesięcy nie postawiłem nogi w swoim mieście, a zatem nie widziałem też ani nie słyszałem Luisy, a na to właśnie miałem największą ochotę i to napełniało mnie największym lękiem. Gdy zadzwoniłem do niej, żeby wypytać o botoks i kobiece plamy krwi dwa dni po tamtej nocy, powiedziałem, że na razie nie zamierzam przyjechać. „Dzieci pytają, kiedy przyjedziesz”, bardzo się postarała, żeby pytanie nie wyszło od niej, żeby nie włączyć w to pytanie siebie. „Nie wiem, chyba nieprędko”, odpowiedziałem i napomknąłem, że muszę towarzyszyć szefowi w podróży, nie wiadomo jeszcze kiedy, mogła się zdarzyć w każdej chwili, do tego czasu byłem uwiązany. Powiedziałem prawdę, Tupra uprzedził mnie o planowanym wyjeździe, tyle że ostatecznie zabrał mnie ze sobą

w następnym miesiącu w kilka podróży, na krótkie wyjazdy, dwudniowe za każdym razem, trzy w granicach wielkiej wyspy i jeden do Berlina, na kontynent. Do Bath pojechaliśmy razem z Mulryanem, do Edynburga sami, a do Yorku z Jane Treves, która zdaje się, pochodziła z Yorkshire i znała teren, chociaż nie stwierdziłem, żeby poruszanie się po owych miastach na ludzką skalę wymagało specjalnej wiedzy. Nie zabierał ze sobą Pérez Nuix, może chciał ją ukarać za próbę oszukania go w sprawie Incompary i pobitego ojca, mnie musiał uznać za naiwnego i ponoszącego niewielką odpowiedzialność współnika tego oszustwa, a może, chodziło mi po głowie, nie chciał, żebyśmy nocowali w tych samych hotelach, ona i ja: czasem myślałem, że nic się przed nim nie ukryje, że wie wszystko, a jeśli tak, to musiał również wiedzieć, co wydarzyło się w moim mieszkaniu, w moim łóżku, bez słowa i jakby nigdy nic, tamtej nocy bezustannego deszczu.

W każdym miejscu mieliśmy tylko jedno spotkanie, na którym przydawałem się jako tłumacz językowy lub interpretator ludzi, a jeżeli Tupra spotykał się jeszcze z kimś, robił to samodzielnie i mnie nie zapraszał. W Bath zatrzymał się w bardzo eleganckim hotelu (my z Mulryanem w innym, tylko sympatycznym, nasze miejsce w hierarchii było inne), jeśli mnie pamięć nie myli w Royal Crescent, w którym „niemal na stałe”, jak powiedział mój szef, mieszkał pewien meksykański multimilioner – „oficjalnie już na emeryturze, ale nadal bardzo aktywny na odległość i zza kulis” – z którym pragnął poczynić jakieś ustalenia. Ten mężczyzna – w starszym już wieku, o siwych włosach i wąsie, ze śladami dawnej wytworności albo w przededniu jej ostatecznego odejścia w przeszłość, podobny do starego aktora Cesara Romero – nazywał się Esperón Quigley i mówił doskonałym angielskim ze złym akcentem (to częsta przypadłość ludzi z południa Europy i Latynosów), moja obecność przydała się tylko kilkakrotnie, gdy dykcja tego dżentelmena okazywała się tak nieprzenikniona dla czysto angielskiego ucha Tupry i półirlandzkiego

ucha Mulryana, że prawidłowe słowa brzmiały dla nich niezrozumiale w ekstrawaganckiej wymowie Esperóna Quigleya. Swoim zwyczajem nie wgłębiałem się w to, o czym mówili, nic mnie to nie obchodziło, nudziło mnie *a priori* i wolałem nie wiedzieć. Resztę czasu miałem wolną i oddałem się spacerowaniu, kontemplowaniu rzeki Avon, zwiedzaniu łaźni rzymskich, wizytom w antykwariatach i ponownej lekturze książek Jane Austen w mieście, w którym spędziła kilka mało płodnych literacko lat, przeczytałem także parę stroniczek Williama Beckforda, który niechętnie zaszył się tu na dłuższy czas, żył i umarł z dala od ukochanego opactwa Fonthill, które przywiodło go do ruiny. Podczas jednej z wędrówek po mieście natknąłem się nieoczekiwanie na średnich raczej lotów sklep jubilerski, który – chociaż trudno w to uwierzyć – nosił nazwę Tupra. Opodal znajdował się inny, z większymi pretensjami, i jeśli mnie pamięć nie myli, ogłaszał się na wystawie jako sklep zaopatrujący marynarkę wojenną (pomyślałem, że chodzi o zegarki, nie o kamienie szlachetne i szklane paciorki dla armady). Gdy wspomniałem Tuprze o tej zbieżności nazwisk, odpowiedział sucho:

– A tak, wiem. To nie ma nic wspólnego z moją rodziną. Żadnego związku. Najmniejszego. – To mogła być prawda albo nieprawda i zegarmistrz mógł być jego ojcem. Nie ośmieliłem się jednak naciskać.

Mimo to nie mogłem się powstrzymać od prywatnego, jak mówi się po angielsku, żartu:

– W każdym razie byłoby właściwsze, gdyby to sklep jubilerski Tupra zaopatrywał marynarkę wojenną, a nie ten drugi w pobliżu, który twierdzi, że to robi, jak zauważyłem. Choćby ze względu na twoje związki, nasze związki z dawnym OIC, nie sądzisz? – Pamiętałem słowa Wheelera z owej niedzieli przed obiadem w Oksfordzie, gdy mówił mi, jak trudno było zwerbować pierwszych członków grupy zaraz po jej stworzeniu: „Trzeba było przeczesać szybko cały kraj. Większość wywodziła się z tajnych służb,

z wojska, kilku z OIC, nigdy tej nazwy nie słyszałeś, Operational Intelligence Centre marynarki wojennej, było ich niewielu, ale wszyscy bardzo dobrzy, chyba najlepsi; i oczywiście z naszych uniwersytetów”. I dostrzegłem wyraz zdziwienia i lekkiej podejrzliwości na twarzy Tupry (jakby się zastanawiał, co jeszcze wiem i czy mógł nie docenić tego, jak wiele się już nauczyłem) na dźwięk tego starego akronimu w moich ustach, to była zaskakująca wiedza u Hiszpana w dwudziestym pierwszym wieku, a nawet w drugiej połowie dwudziestego.

Zostawił mi też trochę wolnego czasu w trakcie dwóch dni w Edynburgu i tam znowu spacerowałem, i ponownie czytałem dwóch najlepszych synów tego miasta, kilka opowiadań Conana Doyle’a i Stevensona, i wspiąłem się na Calton Hill, by obejrzeć widok, który wywołał taki entuzjazm drugiego z nich, wciąż zachwycający mimo upływu czasu. Zabrałem też ze sobą kilka wierszy Stevensona i jego książeczkę poświęconą miastu z podtytułem „Picturesque Notes” z 1879 roku ni mniej, ni więcej. Píše w niej o Greyfriars i opowiada, jak to obok tego przypominającego ogród cmentarza, w oknie zrujnowanego już wówczas domu, którego położenie wskazał mu grabarz, czuwał zazwyczaj złodziej trupów Burke, który razem ze swoim kompanem Hare’em wyciągał te trupy z grobów, gdy jeszcze były świeże, i sprzedawał je naukowcom i anatomom, a w końcu posunął się nawet do mordowania ludzi, żeby sprawy szły szybciej i interes nie podupadł: „Burke, człowiek od wskrzeszeń – pisał ironicznie Stevenson – okryty niesławą za tak wiele morderstw po pięć szylingów od głowy, siadywał tam z fajką i szklaneczką, by śledzić pogrzeby odbywające się na błoni”. Oto człowiek, pomyślałem, który nie miał cierpliwości czekać, aż ujawnią mu się jutrzejsze twarze, on wolał patrzeć, pykając fajkę, jak przechodzą obok niego takie, jakie były wczoraj i będą zawsze.

W trakcie podróży pociągiem do Edynburga, tylko we dwóch, bez towarzystwa, przeczytałem Tuprze na głos kilka wierszy napisanych przez

Stevensona u schyłku życia nad południowymi morzami, na Abemamie, wierszy pełnych prawdziwej dziwnej nostalgii za „naszym wściekle pochmurnym miastem”: „Wyjący zimowy wiatr, zacinający deszcz, Rzadka i miła cisza śniegów, Marudny poranek, mizerny dzień, i noc, Obłeśny czar tego nocnego miasta, Czy pamiętacie? Ach, czy ktoś mógłby zapomnieć!”, pisał szczerze stęskniony za tak beznadziejnie smutnym widokiem. A dalej dodawał: „Gdy blask lampy z mych gasnących oczu spłynie już i zniknie, Głos miłości odbije się nieważny o me zamykające się uszy, Jaki dźwięk mnie dobiegnie, jeśli nie ten stary jęk wiatru W naszym nie pogodnym, słotnym mieście? Cóż powróci, jeśli nie obraz pustki częściej młodości Pełnej dźwięczących kroków i tego głosu gorzkości, zachwyty i rozpacz?”. W innym wierszu trwał jeszcze w takim samym stanie ducha, pogardzając dalekimi ciepłymi morzami, których wcześniej tak pilnie szukał, i tęskniąc srodze za „nie pogodnym, słotnym” Edynburgiem: „Morze niezmiernie, na wyspie bez latarni, Otacza i więzi swoje tułaczę dziecko Daremnie. Głos martwych pokoleń Wzywa mnie, siedzącego w dali, abym wstał, Liczne moje kroki prędko przemierzył z powrotem I u kresu wszystkich zmian wreszcie się wyciągnął W tym mieście przeznaczonym dla umarłych”. Przeczytałem mu te wiersze, rzecz jasna w jego języku, w języku Tupry i w języku wierszy: „*The belching winter wind, the missile rain, The rare and welcome silence of the snows, The laggard morn, the haggard day, that night...*”.

– Uważasz, że tak dzieje się zawsze, Bertram? – zapytałem, miałem go naprzeciw siebie, on siedział twarzą w kierunku jazdy, ja tyłem. – Wiesz przecież tak dużo o śmierci – dodałem z lekkim przekąsem. – Uważasz, że na koniec wszyscy wracamy do tego pierwszego miejsca, jakkolwiek byłoby skromne, przygnębiające albo ponure, choćby nasze życie zmieniło się, a uczucia doznały odmiany, i bez względu na niewyobrażalne bogactwa i sukcesy zgromadzone podczas przebytej drogi? Myślisz, że na koniec

zawsze spoglądamy znowu ku naszej dawnej biedzie, podupadłej dzielnicy, gdzie dorastaliśmy, albo ku prowincjonalnemu miasteczku, albo umierającej wiosce, z której kiedyś zerkaliśmy ku reszcie świata i z której wyjazd przez tyle lat wydawał się niemożliwy, myślisz, że za tym wszystkim tęsknimy? Powiadają, że starcy pamiętają głównie swoje dzieciństwo i niemal się w nim zamykają mentalnie, i mają wrażenie, że wszystko, co było pośrodku, między tamtym odległym czasem i ich teraźniejszym schyłkiem, ich żądze i namiętności, ich bitwy i porażki, że to wszystko było fałszem, nagromadzeniem nieuwagi i błędów oraz wielkiego zabiegania o rzeczy, które w rzeczywistości nie były ważne; i zadają sobie pytanie, czy wszystko nie było dłużącą się bez końca okrężną drogą, bezużyteczną podróżą, by na koniec wrócić do tego co istotne, do początku, do tego jedyne, co naprawdę się liczy... gdy się dochodzi do kresu. – I wtedy pomyślałem: „Dlaczego zwrócili się przeciw sobie i po co ten cały trud, dlaczego ze sobą walczyli, zamiast patrzeć i nic nie robić, dlaczego nie potrafili się spotkać albo widywać się nadal i po co tyle marzeń i tamto zadrapanie, mój ból, moje słowo, twoja gorączka i tak wiele wątpliwości, i taka męka?”. – Pewnie dużo o tym wiesz, musiałeś być świadkiem wielu śmierci. Sam widzisz, jak to było ze Stevensonem: przejechał pół świata, a na koniec w Polinezji myślał tylko o rodzinnym mieście. Posłuchaj tego, jak się zaczyna: „Znikają tropiki, i oto mam wrażenie, że z Halkerside, z najwyższego Allermuir, ze stromeego Caerketton znów marząc spoglądam...”.

– To wzgórze w pobliżu Edynburga – wtrącił Tupra, jakby opatrywał wiersz przypisem, i zamilkł. Czekałem, aż odpowie na moje pytania, coś doda. Nie przeczytałem mu tych wierszy dla czystej przyjemności ani żeby zapęłnić czas w podróży. Wspomniałem wcześniej o podupadłych dzielnicach i prowincjonalnych miastach w nadziei, że weźmie to do siebie i pomyśli o Bethnal Green, jeżeli faktycznie stamtąd pochodził,

o zegarmistrzu z Bath, jeżeli spędził z nim istotnie część swego dzieciństwa na przykład, i że trochę mi o nich opowie. Ale Tupra odpowiadał tylko na to, na co chciał odpowiedzieć, dobrze to wiedziałem. – O ile sobie przypominam, to Stevenson wyjechał na Samoa głównie ze względów zdrowotnych – powiedział po kilku sekundach – nie gnany chęcią przygód. Poza tym nie był stary. Umarł w wieku czterdziestu czterech lat.

– To bez znaczenia – odparłem. – Kiedy pisał te wiersze, musiał zdawać sobie sprawę, że nie zostało mu już wiele czasu, i potrafił myśleć jedynie z wielką nostalgią o tym niegościnnym miejscu swego dzieciństwa. Zauważ, co mówi w tych strofach: „gdy... głos miłości odbije się nieważny o me zamykające się uszy...”. Widzisz, nawet bliskość żony nie liczy się dla niego albo wyobraża sobie, że tak będzie w jego ostatniej świadomości świata, w jego ostatnich chwilach, liczą się ulotne obrazy z przeszłości, które „rozbłyskują, bledną i gasną”... I zobacz tylko, jak klarownie kończy: „O nich będę pamiętał, aż naraz wszystkie zapomnę”, pisze.

Tupra popadł w krótką zadumę. Wiem z doświadczenia, że nikt nie może się oprzeć analizowaniu wiersza.

– Jak to możliwe? Przeczytaj mi jeszcze raz to o nieważnym głosie miłości.

Przeczytałem ponownie:

– „*Yet when the voice of love shall fall insignificant on my closing ears...*”

– Bzdury – przerwał mi Tupra. „*Nonsense*”, takiego słowa użył w swoim języku. – Stevenson napisał lepsze rzeczy. Z całą pewnością poezja nie była jego mocną stroną. – I znowu zamilkł, jakby chciał podkreślić swój werdykt, a potem dodał ku memu zdziwieniu: – Ale przeczytaj mi jeszcze coś.

Prawie wszyscy lubią, jak im się czyta na głos. Podjąłem zatem na nowo:

– „Daleko położone wśród pól i lasów widzę to miasto Jak pięknie wynurza się z miazgi swego dymu, Urwisty żleb, z iglicami i wieżyczkami, dziewicza forteca Cała we flagach...” – Czytając, rzucałem ukradkowe spojrzenia na Tuprę i widziałem, że słucha z przyjemnością, mimo że nie podobała mu się poezja Stevensona. – „Tam, na słonecznym, przednim zboczu wzgórza, Obok domostwa królów spoczywają zmarli, Moi zmarli, dzielni i biegli, ludzie twardego słowa. Ich dzieła, solą pokryte, trwają; Morze bombarduje wzniesione przez nich wieże; noc Drży przeszywana mocnymi ich lampami. Ludzie rzemiosła, Jeden po drugim, tu w tej zakratowanej celi, Gdzie deszcz ściera wszystko i wszystko zżera rdza, Znaleźli trwałą ciszę...”

Kto wie, może nikt mu nie czytał, odkąd przestał być dzieckiem.



Tam, w Edynburgu, nad Firth of Forth i po przeciwnej stronie Fife, Tupra potrzebował moich usług tylko jednego wieczoru, przy kolejnej kolacji *cum* celebrytami albo *cum* błaznami, która była równocześnie kolacją *cum* Dickiem Dearlove'em albo piosenkarzem globalnym, którego tak właśnie nazwałem. Na szczęście nie kazał mi iść wcześniej na koncert, który Dearlove dawał podczas festiwalu, miałem jednak udawać przed wszystkimi, że wysłuchałem koncertu od pierwszego do ostatniego akordu z nieopisanym entuzjazmem: „Pamiętaj, żeby wspomnieć o bajecznym wykonaniu «Peanuts from Heaven» i cudownym «Bouncing Bowels», te dwie piosenki zawsze śpiewa w nowych dziwnych aranżacjach, za każdym razem brzmią inaczej, mimo że to jego klasyczne kawałki – uprzedził mnie na wypadek, gdyby ktoś zapytał albo gdyby zrobił to sam Dearlove, bo Tupra tak wszystko urządził, żebym siedział w pobliżu piosenkarza. – Pod pretekstem zabawiania tych dwojga twoich rodaków, których teraz wozi w swojej świcie, postaraj się skłonić go do rozmowy, nawet ryzykując, że wyjdiesz na wścibskiego i męczącego typa, najwyżej cię zignoruje albo przesiądzie się i ucieknie od twojego towarzystwa. Rozmawiaj z nim o jego ogromnym powodzeniu w Hiszpanii i za żadne skarby nie zawężaj tego powodzenia do Kraju Basków: nawet jeśli to prawda, mógłby się poczuć urażony, że to sukces lokalny, o ograniczonym zasięgu. Zwróć na siebie jego uwagę, oczaruj go, nakłoń do zwierzeń, wyciągnij z niego, ile się da na temat tego, że rzekomo uchodzi za światowy symbol seksu wszędzie, gdzie się pojawi, przynajmniej jemu się tak wydaje. Niech się czuje mile połączony i skłonny do przechwałek, opowiedz mu bajeczkę o jakichś Hiszpanach, którzy niby mają fioła na jego punkcie i daliby wszystko, byle go pogłaskać po jajach, o jakichś swoich znajomych, żywych ludziach,

których obraz rozpali mu wyobraźnię, o małolatach, o własnych dzieciach, ile one mają lat?... nie, to jeszcze dzieciaki, no to o siostrzeńcach, o byle kim, wybadaj, co można z niego wyciągnąć, po występach jest zawsze wykończony, ale też euforyczny, rozwiązuje mu się język i przestaje się pilnować, to wynik podniecenia i owacji oraz tego, co sobie aplikuje przed koncertem, żeby wytrzymać całą tę jazdę, jestem naprawdę zdumiony, że wciąż jeszcze daje radę, po tylu latach naładowanych do granic spektakli chwały. Mnie zna zbyt dobrze, ale w rozmowie z nieznanym, którego więcej ma nie spotkać (nie sądzę, żeby cię zapamiętał z tamtego razu), z kimś takim jak ty może puścić więcej farby niż w rozmowie ze mną albo z jakimś innym Anglikiem, będzie miał poczucie większej bezkarności, gwiazdy uwielbiają się popisywać, szczególnie przed nowo przybyłymi, potrzebują stale nowej publiczności, na której można zrobić wrażenie. Przy odrobinie szczęścia opowie ci może o jakiejś przygodzie, o jakimś szokującym podboju seksualnym, o jakimś bohaterским wyczynie, tak czy inaczej kieruj się w te rejony, choćbyś uważał, że to impertynenckie, mówię ci, najwyżej się na ciebie wypnie i nie połknie haczyka. Zobaczymy, może uda się zdobyć jakieś potwierdzenie, jakąś większą jasność w kwestii tego, do jakiego stopnia byłby albo jest gotów zaryzykować skazę na własnej biografii, do jakiego stopnia naraziłby się na niebezpieczeństwo tego twojego horroru narracyjnego i powiększyłyby ostatecznie szeregi bractwa Kennedy-Mansfield, skąd nie ma już odwrotu”. Tupra często mówił w taki sposób, szczególnie gdy przekazywał nam instrukcje albo wydawał polecenia, mieszając język potoczny i staromodne wyrażenia albo bardzo osobliwe wyrażenia własne, jakby w tym sposobie mówienia łączył swoje prawdopodobne plebejskie pochodzenie z niewątpliwym oksfordzkim wykształceniem historyka mediewisty pod naukową opieką Toby’ego Rylandsa, o którym coraz rzadziej pamiętałem, a może jego postać zacierała mi się wchłonięta przez postać jego brata Petera, zdarza się, że żywi

anektują albo zagarniają zmarłych, albo biorą górę nad zmarłymi, którzy byli im bliscy, a nawet ich wymazują.

To, o co prosił Tupra, zdawało mi się zadaniem niemożliwym: sprawić, żeby Dick Dearlove rozmawiał ze mną w taki sposób i o takich rzeczach, w dodatku w otoczeniu ludzi, podczas kolacji na dwadzieścia albo i więcej osób, wszystkich wpatrzonych w niego z uwielbieniem. Mimo to spróbowałem; Tupra nie żądał, żeby mi się udało. Usadził mnie prawie naprzeciwko idola i choć osoby siedzące po jego dwóch stronach starały się komplementami zawłasczyć jego uwagę, udało mi się zrobić kilka wtręć, które wzbudziły w nim zaciekawienie, bardziej przez ich swoiście hiszpański charakter, niż żeby była w tym jakaś moja zasługa.

– Jak to możliwe, że Hiszpanie są seksualnie tak permissywni? – zapytał mnie po krótkiej wymianie uwag na temat obyczajów i prawa. – Długi czas mieliśmy w Anglii wprost przeciwne wrażenie.

– I było to prawidłowe wrażenie – odpowiedziałem i żeby wyciągnąć od niego coś więcej, powstrzymałem się od dodania, że wrażenie, jakie miał teraz, również było prawidłowe. Powiedziałem tylko: – Dlaczego uważa pan, że jesteśmy teraz tak permissywni, Mr Dearlove?

– Mów mi Dick – rzucił natychmiast. – Wszyscy mnie tak nazywają i mają po temu dobry powód. – I roześmiał się raczej zużyтым śmiechem, który jego sąsiedzi od razu podchwycili. Domyśliłem się, że rzucał ten żarcik już tysiące razy w swoim życiu noszonego na rękach idola (ale zawsze znajdzie się ktoś, kto jeszcze go nie zna, był świadom tego, że nic nie zużywa się do końca, choćby mocno cisnąć), wykorzystując wulgarną grę słów z jednym ze znaczeń słowa „*dick*”, które tłumaczy się także jako „*chuj*”. Był przecież znany ze swojej hiperseksualności albo panseksualności, albo heptaseksualności czy cokolwiek to było, mimo że publicznie się do niej nie przyznawał, znaczy w prasie. – Nie wiem, jak wygląda twoje życie w kraju, bo coś ważnego cię omija – dodał

paternalistycznym tonem – ale ilekroć jestem tam na tournée, nie starcza mi energii i czasu, żeby obsłużyć niesamowitą podaż. Wygląda na to, że wszyscy są gotowi figlować, kobiety, mężczyźni, nawet dzieci. – I znowu się zaśmiał, tym razem mniej wysłużonym śmiechem. – Może z wyjątkiem Kraju Basków, tam ludzie sprawiają takie wrażenie, jakby nie wiedzieli co to seks albo się ograniczali, albo imitowali seks, bo gdzieś o nim coś słyszeli, we wszystkich innych częściach Hiszpanii musiałem przeprowadzać castingi, żeby wybrać sobie gości do łóżka albo do łazienki, jeśli numer miał być szybki, bo taka była podaż po koncertach, a i przed nimi również: w hotelowych holach ustawiały się kolejki chętnych, żeby dostać się choć na chwilę do mego pokoju, i niemal zawsze opłacało mi się przerwać odpoczynek. Wszyscy bardziej ogniści niż tutaj i dużo łatwiejsi; może zabrzmiało to niewiarygodnie, ale ludzie są bardziej cnotliwi w Wielkiej Brytanii, nie wspominając już o Irlandii, tam to się dopiero krygują, zupełnie jak Baskowie.

Nagle zaczęło mi przeszkadzać, że mówi tak o moich rodakach, z taką pogardą, jakby byli jakąś opętaną seksem hordą. Zaczęła przeszkadzać mi myśl, że ten cieszący się sławą prostak brał sobie młodziutkie dziewczyny i młodziutkich chłopców do wyra – bez żadnej własnej zasługi i bez wysiłku – w Barcelonie, Gijón, Madrycie albo w Sewilli, wszystko jedno, zawsze ilekroć postawił nogę w Hiszpanii, a na przestrzeni lat dał tam przecież sporo koncertów. Nawet ucieszyłem się na wieść, że w San Sebastian i w Bilbao nie szło mu tak łatwo, zawsze coś; zauważywszy u siebie taką infantylną głupawą reakcję, uświadomiłem sobie, że nigdy nie jesteśmy całkowicie wolni od patriotyzmu, że stosownie do okoliczności, do tego, gdzie jesteśmy i kto z nami rozmawia, nagle objawia się jakiś jego ślad, jakaś pozostałość. Sam mogę mówić i myśleć okropne rzeczy o swoim kraju, który mam za spodlony do granic i schamiały pod zbyt wieloma względami; kiedy jednak słyszę takie rzeczy z ust nikczemnego

bezmyślnego cudzoziemca, czuję dziwne, prawie niewytłumaczalne ukłucie w sercu, coś podobnego musiał czuć ten prymityw De la Garza, gdy zobaczył, że ja go nie bronię przed Anglikiem z mieczem w dłoni, który zamierzał ściąć mu głowę, i może pomyślał wtedy, że później naskarzy na mnie Sędziemu, „gdy wszystkie nogi i ręce, i głowy wśród bitwy odcięte skleją się znowu w dzień Ostatecznego Sądu i wszystkie wykrzykną: «Polegliśmy w tym i tym miejscu», na koniec niezliczonych stuleci: «Zabił mnie ten człowiek z mieczem i uczynił ze mnie dwa kawałki, a ten drugi był przy tym, widział to, nie kiwnął palcem; ten, który przy tym był i nic nie zrobił, mówił moim językiem i obaj pochodziliśmy z tej samej ziemi, bardziej na południu, nie tak daleko, chociaż oddzielonej morzem: stał tam jak posąg i tylko się gapił z przerażeniem na twarzy, facet z Madrytu, kurde, rodak, swój, i nawet nie spróbował chwycić tamtego za rękę”. Pochodzenie z tego samego kraju postrzega się w istocie jako dodatkową okoliczność obciążającą, tak to zawsze rozumiałem, gdy ojciec opowiadał mi straszne historie z naszej wojny domowej: krajanami byli żołnierka milicji i niemowlę, którym rzuciła o ścianę w pewnym mieszkaniu na rogu Alcalá i ulicy Velázquez, krajanami byli też Emilio Marés i mężczyźni, którzy zabawili się z nim jak z bykiem w Rondzie, a szczególnie tamten typ z Malagi w czerwonym berecie, który zabił go, zadał mu ostateczne pchnięcie szpadą, a potem nie odmówił sobie wykastrowania ofiary. Byli krajanami zdrajca Del Real i mój ojciec, a także ten drugi, Santa Olalla, profesor uniwersytetu, który przyczynił się do donosu, kładąc pod nim swój mający większy ciężar gatunkowy podpis, i jeszcze pisarz, autor kiczowatych bestsellerów, Darío Flórez, który zeznawał jako świadek oskarżenia i przekazał zdradzonemu człowiekowi tamto złowieszcze ostrzeżenie za pośrednictwem mojej matki, gdy nie była jeszcze moją matką ani matką nikogo innego: „Jeżeli Deza zapomni raz na zawsze, że kiedykolwiek studiował, zostawimy go w spokoju; w przeciwnym razie

zniszczymy go”. Dla mnie zawsze były to nazwiska zdrady, a tych nigdy nie należy chronić, byli zdrajcami, bo wszyscy, mój ojciec i oni, pochodzili z tego samego kraju, bo w dwóch przypadkach na trzy łączyła ich wcześniej przyjaźń, bo ojciec nigdy nie dał im powodów do jej zerwania ani odwołania, lecz wprost przeciwnie.

Odpędziłem piekący ból absurdałnego patriotyzmu. Musiałem się go pozbyć, żeby móc nadal wykonywać polecenie Tupry (poruszyć temat okazało się łatwiej, niż się spodziewałem; widziałem w oddali, u szczytu stołu, szare oczy mego szefa, jak obserwują mnie zaabsorbowane, zaciekawione) oraz dlatego, że nie miało sensu pielęgnować go w sobie. Uwagi takie jak Dearlove mógł równie dobrze wygłosić jakiś mój rodak, nie szukając daleko na przykład De la Garza, gdyby to on jako piosenkarSKI idol chciał się z kimś przespać podczas swego tournée i mógł przebierać wśród dziesiątków dziewczyn, a ja poczułbym się podobnie zde gustowany, słysząc takie aroganckie i pogardliwe słowa. A przecież, przecież... była jakaś dodatkowa gorycz, nie mogłem zaprzeczyć sam przed sobą, było coś irracjonalnego, niepokojącego, przykrego, atawistycznego. Możliwe, że Tupra czuł to samo, kiedy w jego obecności ludzie wyrażali się z pogardą o Wielkiej Brytanii albo o Brytyjczykach, szczególnie jeżeli byli to ludzie z kontynentu albo z za Atlantyku, albo z zielonej wyspy Erin, gdzie taki sposób wyrażania się jest niemal normą. I może właśnie z tego powodu – co byłoby logiczne – nie miał wątpliwości, by zająć się tym, czym się zajmował, z większym, niż mi się wydawało, zaangażowaniem i zapałem i prawdą było to, co mi powiedział wkrótce po naszym poznaniu, aczkolwiek złagodził to szczyptą cynizmu: „Również w służbie mego kraju... jeżeli można, należy to robić, prawda? nawet jeśli nie jest to służba wprost...”. Zrozumiałem, raczej późno, że prawdopodobnie stale pozostawał w służbie swego kraju, gdy nie było to wbrew jego osobistym interesom, i że gdyby pojawiła się konieczność, gdyby nadeszła wojna,

gdyby nadszedł ten dzień, byłbym dla niego jedynie gównianym Hiszpanem, którego nie zawahałby się kazać rozstrzelać, tak jak Dearlove – w trakcie mego przelotnego patriotycznego uniesienia – był dla mnie tylko zarozumiałym angielskim skurwielem, któremu przywaliłbym w pysk bez mrugnięcia okiem.

Jedna z zaproszonych, siedząca blisko mnie ekstrawagancka i leciwa już projektantka mody (ubrana w coś, co było niepojętą mieszaniną halek, piór i łachmanów), niechcący przysłała mi z pomocą, by rozmowa się nie urwała, lecz nadal toczyła w wygodnym dla mnie kierunku:

– Ach tak? – zwróciła się do niego. – Ja myślałam, że nikt w Brytanii nie może ci się oprzeć, Dickie, a słyszę, że to w Hiszpanii masz łóżko i łazienkę zatłoczone do granic. – Naprawdę powiedziała po angielsku „*Britain*”, co jest skróconą formą od Wielkiej Brytanii. Użyła też wyrażenia „*jam-packed*”, wypełniony po brzegi, po hiszpańsku „*de bote en bote*” albo „*a reventar*”.

Bez wątpienia byli przyjaciółmi i dobrze się znali, a może Dick Dearlove (to też wydawało się możliwe) nie czuł skrępowania, by mówić o najbardziej nawet intymnych sprawach przy każdym bez różnicy, w tym przypadku przy mnie; często tak bywa z bardzo sławnymi i ustawicznie chwalonymi ludźmi, zaczynają w końcu wierzyć, że cokolwiek powiedzą albo zrobią, spotka się z dobrym przyjęciem, bo jest częścią ich ciągłego występu, i nadchodzi taki moment, kiedy przestają już odróżniać sferę publiczną od prywatnej (chyba że kręci się obok jakiś fotograf albo dziennikarz, wtedy są bardziej dyskretni lub wprost przeciwnie, ich ekshibicjonizm staje się większy, zależnie od okoliczności): jeśli przyjmowani są z takim aplauzem w pierwszej z tych sfer, są takimi jej pieszczochami, dlaczego miałyby być inaczej w drugiej, skoro to oni są bezspornie głównymi bohaterami ich obu każdego dnia swego życia, aż do końca?

– W naszym wieku, i wiesz to lepiej niż ja, Viva, mimo że jesteś kobietą – odpowiedział Dick Dearlove ni to ironicznie, ni to z żalem – zdarzają się sytuacje, w których nie pozostaje nic innego, jak płacić, gotówką albo w naturze, choćby się było nie wiem jak sławnym, a ja jestem dużo sławniejszy niż ty. Jest taki rodzaj „smacznych kąsków”, za które tu, w Brytanii, muszę płacić prawie zawsze, już bardzo rzadko dostają mi się za darmo, i to od kilku lat, połowa tego narodu stała się strasznie nadęta; a w Hiszpanii, tylko zobacz, nigdy nie musiałem wydać na to ani jednego euro, wygląda na to, że młodzi ludzie w Hiszpanii byli nie tyle zadowoleni z aktu samego w sobie – w moim wieku nie zamierzam przechwalać się dokonaniem, co tu dużo mówić, ciało jest coraz mniej posłuszne wyobraźni, która nadal pracuje niestrudzenie, chciałbym, żeby już trochę zwolniła, och, gdybyż ciało bardziej za nią nadążało, to wszystko jest kiepsko wymyślone, przynajmniej z mojego punktu widzenia – ile z tego, że potem mogli opowiedzieć o wszystkim znajomym, a nawet w jakimś programie w telewizji. To nadzwyczajne, ile rzeczy tam się dzieje nie dlatego, jak się zdaje, że ludzie naprawdę mają na nie ochotę, lecz żeby móc o nich potem opowiadać – prawda? – ten kraj uwielbia plotki i przechwałki – nie mam racji? – to bardzo narracyjny kraj, okropnie bezwstydnym. – Retoryczne zapytania kierował do mnie jako znawcy terenu. – Wszyscy o wszystkim opowiadają i o wszystko wypytują, podczas konferencji prasowych i wywiadów mam niezły ubaw i ciągle robię uniki, są tacy prostacy i bezczelni, nie mają za grosz poczucia wstydu, jak na europejski kraj to niesłychane. Bywało, że pieprząc się z Hiszpanami, wyraźnie widziałem, jak im się strasznie spieszy, żeby już skończyć, i nie dlatego, że nie mieli frajdy – jeszcze nie jestem całkiem do niczego, co to, to nie – lecz z czystej niecierpliwości, żeby wreszcie wyjść i oznajmić tę wiadomość, wyobrażam ich sobie, jak nazajutrz wchodzą bardzo z siebie dumni do baru albo do szkoły: „Założę się, że nie zgadniecie, kto mnie



wczoraj przeleciał, i to na wszystkie możliwe sposoby”. – Przerwał na chwilę i uśmiechnął się z jakimś rozmarzeniem, jakby ta sytuacja tak go bawiła, że umiał ją sobie odtworzyć dokładnie po upływie czasu, w trakcie kolacji po edynburskim koncercie. Także jakby przypominał sobie coś z przeszłości, coś utraconego, co pewnie nigdy już nie wróci. – Nie wiem, czy ci znajomi wierzą im na słowo, równie dobrze mogą nie wierzyć, i wtedy może powstać problem, bo od jakiegoś czasu zdarzają się tacy z kieszonkowym aparatem albo z telefonem komórkowym, na pewno chcą mieć dowód w postaci zdjęcia, choć wszyscy zaklinają się, że po prostu nigdzie się nie ruszają bez aparatu i komórki, no więc trzeba ich przeszukiwać przy wejściu, nie byłoby zabawne, gdyby mi zrobili zdjęcie w pełnej akcji. Wszystko się im rekwiruje, sprawdzam ich takim aparatem, jakich używają na lotniskach, no wiecie, takim rodzajem drażka, i w dodatku jeszcze ich tym instrumentem obmacuję, co uwielbiają i śmieją się przy tym jak szaleni, przekonujesz się wtedy, czego się można spodziewać, na ogół to ludzie hojnie obdarzeni przez naturę. Pozwalają ci na wszystko, potulni jak baranki, byleś wpuścił ich do sypialni. Tu, w Brytanii, są mniej wyrozumiali, a i mniej rozdokazywani także, nie starają się przemycić aparatu, nic z tych rzeczy, i to jest właśnie minus: nie wystarcza im, że potem komuś opowiedzą, będą się przechwalać, pewnie tutaj już się ludziom trochę przejadłem. Pewnie właśnie dlatego czasem muszę płacić, a może rozeszło się, że mam miękkie serce i można ode mnie wyciągnąć kasę. Ale bywa, że nawet jak płacisz, nie dostajesz w zamian nic wielkiego, jesteśmy łatwą zdobyczą – co, Viva? – w naszej ukochanej Anglii i Szkocji, i Walii. Tylko nie wpędzaj mnie w depresję i nie mów, że ty radzisz sobie świetnie.

To ja pogrążałem się w depresji. Dick Dearlove musiał mieć już po pięćdziesiątkę, wciąż cieszył się wielką sławą, ale większą cieszył się wcześniej, u szczytu kariery. Nadal przyciągał tłumy na koncerty i wprawiał

je w ekstazę, ale chyba bardziej nazwiskiem i historią niż swoją dzisiejszą siłą, podobnie jak większość brytyjskich piosenkarzy z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, którzy przetrwali i nadal występują, poczynając od Eltona Johna, a kończąc na Rodzie Stewartcie albo Rolling Stonesach. Nosił patetycznie długie włosy jak na swój wiek, w kolorze jasny blond i bardzo kręcone, jak członek dawnej grupy Led Zeppelin albo King Crimson, albo Emerson, Lake & Palmer, który trzydzieści lat później stara się zachować niezmiennie młodzieńczy wygląd. Z powodu tej mocno skręconej fryzury od tyłu można go było pomylić z Olivią Newton-John z końcowych scen „Grease”, dopiero jak się odwrócił albo pokazał profil, okazywało się, że jego rysy stanowią przeciwieństwo słodkiej twarzy tamtej Australijki albo Nowozelandki czy kim tam była: nos, niezmiennie orli, zrobił się ostrzejszy, choć nie bardziej zakrzywiony; zawsze małe oczy wyglądały teraz na powiększone, ale nienormalnie i trochę odrażająco, jakby zdołał je uwydatnić drastycznym zabiegiem wygolienia rzęs albo chirurgicznego skrócenia powiek, albo innym podobnym barbarzyństwem; a uporczywie z pewnością wysiłki, żeby nie przytyć, spłatały mu złośliwego psikusa, bo ich skutkiem była wychudzona szyja i liczne bruzdy na policzkach, podbródka i czole (może przestała już działać dawka botoksu), nie ustrzegły go od zapuszczenia lekkiego brzuszka mimo wysmukłego skądinąd i szczupłego ciała. Nie było tego widać z daleka, gdy szalał na scenie, ale było widać, kiedy z niej schodził lub na zbliżeniach na gigantycznych ekranach, choć takich nie spotykało się wiele. Odsunął się z krzesłem od stołu i usiadł bokiem, żeby mieć naprzeciw siebie projektantkę Genevieve Seabrook, skrzyżował przed sobą swoje bardzo długie nogi w sposób, który pozwolił mi zauważyć – ze zdumieniem i niesmakiem – że wcześniej zdążył wskoczyć w bambosze, to znaczy, że po drodze do restauracji zdjął charakterystyczne długie buty – nosił je na każdym występie od trzech dziesięcioleci, nawet jak było gorąco – i włożył

na nogi absurdalne czarno-złote kaptcie ze spiczastym zadartym w górę noskiem i bez pięt (pięty miał wytatuowane, zauważyłem z niesmakiem), które nadawały mu jakiś domowy albo niemal letni wygląd, co też przyczyniło się do mojej depresji. Facet robił na mnie wrażenie takiego samego błazna jak za pierwszym razem i był nawet bardziej odpychający, ale poczułem też dla niego lekkie współczucie, ponieważ tak otwarcie przyznawał się do aktualnych trudności w podbojach i do tego, że jest skazany na dopłacanie do swoich przygód przynajmniej w przypadku spotkań z brytyjskimi „smaczными kaskami”. Miałem nadzieję, że w trakcie owej dziwacznej rozmowy nie dowiem się, jak bardzo były „smaczne”, sam z całą pewnością nie zamierzałem go o to pytać, mimo że Tupra zlecił mi takie przygnębiające zadanie. Dokładnie rzecz ujmując, postanowiłem nie zadawać Dearlove’owi żadnych więcej pytań, nic więcej z niego nie wyciągać, to, co już zdążyłem usłyszeć, wystarczało do sporządzenia powierzchownego raportu (ostatecznie okoliczności nie pozwalały na więcej w obecności tak licznych gości pełnych uwielbienia, czołobitnych, a nawet bardzo sławnych samych w sobie), a resztę zawsze mogłem wymyślić, gdyby Ure nalegał albo domagał się więcej (przyszło mi na myśl, że Tupra jest pewnie skłonny przedstawiać się jako Ure w Szkocji albo może wolał używać nazwiska Dundas w Edynburgu).

– Nie, nie zamierzam tak mówić, drogi Dickie – odpowiedziała mu Viva Seabrook z uśmiechem tyleż czułym co szelmowskim, na ile mogłem to ocenić, ponieważ warstwy makijażu, który sobie nałożyła, musiały mieć w sumie grubość pośmiertnej maski egipskiej, znaczy maski faraona. – Musisz mieć jednak na względzie, że bardzo młodzi chłopcy gotowi są na wszystko, byle tylko przelecieć kobietę. Na tym polega mój fart, choć zdarza się, że zakrywają mi twarz pościelą albo moją własną spódnicą, co działa mi na nerwy. Teraz już może mniej, ale za pierwszym razem, gdy jeden taki zasłonił mi twarz poduszką, zagotowałam się z oburzenia

i młokos wolał zmyć się jak niepyszny, niż słuchać moich przekleństw i wyzwisk. Uważam, że raczej dobrze wyglądam, choć naturalnie mogę im się kojarzyć z matką albo ciotką, i rozumiem, że to może trochę dekoncentrować, i ogólnie rzecz biorąc oni są tacy prymitywni, tak autentycznie bezlitośni i brutalni.... Cóż, sam wiesz, o czym mówię.

Zdziwiłem się, że i ona wypowiada się bez najmniejszej żenady w obecności obcych ludzi takich jak ja. Może środowisko i ich własna próżność zachęcały do tego; może nie widzieli ludzi wokół siebie, jakby tylko ci bardzo sławni dostrzegali się nawzajem, a cała reszta była dla nich niczym mgławica o znaczeniu nie większym niż klakierzy albo publiczność, która wiwatuje i bije brawo lub w najgorszym razie zachowuje pełne uszanowania i onieśmienia milczenie i ogranicza się do asystowania przy dialogu sław, jakby pozostawała skryta w ciemności w teatrze. W jakimś sensie zachowywali się, jakby byli sami, tylko oni dwoje. A to, co odpowiedział jej Dearlove, wsparłszy na chwilę swoje łoki na ogromnym dekolcie Seabrook, jakby szukał pociechy lub schronienia na łonie starej przyjaciółki, tylko utwierdziło mnie w tym przekonaniu:

– Ach, Vivo, ile nam jeszcze zostało albo ile mnie jeszcze zostało? Nadejdzie dzień, gdy pozostanę tylko wspomnieniem dla starszych ludzi, i to wspomnienie będzie coraz bledsze, w miarę jak będą wymierać jeden po drugim ci, którzy je przechowują, odliczanie wciąż malejące, nigdy już wzrastające, a przecież przez tyle czasu ta liczba wciąż rosła i tego właśnie nie mogę znieść. Nie chodzi tylko o to, że ja się zestarzeję i zniknę, lecz że powoli znikną też wszyscy, którzy mogą o mnie coś powiedzieć, widzieli mnie i słyszeli, a ci, którzy ze mną spali, choćby byli bardzo wówczas młodzi, staną się starzy i grubi i umrą, jakby nad wszystkimi ciążyła jakaś klątwa. Mało prawdopodobne, że moje piosenki mnie przeżyją i przyszłe pokolenia będą ich nadal słuchać – co się z nimi stanie, gdy już nie będę miał siły ich bronić i powtarzać, gdy nie będę już w stanie wytrzymać

koncertów jak ten dzisiejszy? Nigdy więcej nie zabrzmia. Prawie nic nie skomponowałem w ciągu ostatnich piętnastu lat, żadnych przebojów, które inni mogliby odkryć na nowo i zaśpiewać jutro, choćby i w jakichś okropnych nowych aranżacjach, a dziś brak mi już pary, żeby pisać nowe kawałki. Wątpię, bym napisał jeszcze jakiś szlagier. – I dorzucił zaskakująco: – Skoro nawet McCartneyowi i Lennonowi nic już od wieków nie wychodzi, jak miałyby się udać mnie? Zostanę całkowicie zapomniany, Vivo. Nawet ślad po mnie nie zostanie.

W jego głosie i gestach towarzyszących temu biadoleniu było coś teatralnego, ale wyczuwało się także jakąś prawdziwą nutę. Wyciągnął jeszcze bardziej nogi, a ja wychyliłem się troszeczkę, żeby lepiej przyjrzeć się jego wstrętnym pomazanym tuszem piętom, ciekawiło mnie, jaki to rysunek albo napis ma na nich wytatuowany.

– Przecież Lennon od trzydziestu lat nie żyje – powiedziałem, bo nie mogłem się powstrzymać. – Jak u diabła miałyby coś skomponować?

– To bez znaczenia – odpowiedział szybko Dearlove. – Poza tym wcale nie był taki dobry. Gdyby nie został zastrzelony, ludzie rzygaliby dzisiaj na dźwięk jego piosenek. – Jeszcze jeden z bractwa Kennedy-Mansfield, pomyślałem. – Pretensjonalny mięczak, w dodatku z kiepskim głosem. – A potem spiorunował mnie wzrokiem swoich powiększonych małych oczu o przyciętych powiekach, jakbym był zagorzałym obrońcą Lennona, a nigdy nim nie byłem ani nie będę. Raczej zgadzałem się z diagnozą doktora Dearlove’a, dawnego dentysty, lecz przyznanie mu teraz racji byłoby lizusostwem najgorszego sortu.

Moja nierozważna uwaga miała przynajmniej tę zaletę, że wpędziła go na krótko w zły humor, to znaczy ożywił się i wydobył z melancholii, w jaką wcześniej popadł, przez resztę kolacji znowu był wesołym człowiekiem i sypał impertynenckimi dowcipami, których niestosowność graniczyła z uciążliwością. Siedziałem niemal cały czas w milczeniu, wychylając się

dyskretnie od czasu do czasu i wyciągając szyję, żeby przeczytać, co było napisane na jego piętach, ale bez powodzenia.

Później, znudzony do granic, zdałem raport Uremu albo Dundasowi w możliwie największym skrócie:

– Potwierdzam wszystko, co ci powiedziałem tamtym razem, z jedną tylko poprawką: tak bardzo się martwi, czy przejdzie do potomności, że kto wie, może i byłby zdolny popełnić kiedyś jakąś potworność, żeby choćby z tego powodu nie popaść w zapomnienie. Nie sądzi, że jego muzyka go przeżyje. W chwili rozpaczy mógłby zatem specjalnie splamić swoje życie – jest daleki od uniknięcia tego za wszelką cenę – i tym sposobem rozmyślnie wejść do klubu Kennedy-Mansfield, jak ty to nazywasz. Ale musiałoby to być w chwili głębokiej depresji albo zaćmienia umysłu, coś w tym guście, albo za wiele lat, gdy już się wycofa i nie będzie dawał koncertów, i zabraknie ochronnego uwielbienia tłumów. Jest tak skoncentrowany na sobie, że stopniowe wymieranie swoich wielbicieli i ludzi, którzy go znają, postrzega jako niesprawiedliwą klątwę, jakby to nie dotyczyło i nie było wspólnym losem wszystkich, którzy postawili stopę na ziemi i przemierzali świat. – Zaraz potem dodałem: – Znasz go lepiej niż ja, to może wiesz, co wytatuował sobie na piętach stóp? – Uważałem, że należy doprecyzować to pytanie owym absurdalnym napomknięciem o stopach, bo „*heels*” po angielsku może również oznaczać „*obcasy*”.

Ale Tupra całkowicie mnie zignorował. Nie zadowolili się moim raportem i musiałem przytoczyć mu każde zdanie, jakie padło podczas kolacji z ust Dearlove’a, Vivy Seabrook, mojej rodaczki z show-biznesu siedzącej niedaleko nas przy stole i z ust każdego, kto wtrącił się choćby minimalnie do rozmowy. Konieczność skrupulatnego odtworzenia owych dialogów napełniała mnie odrazą, bo kazała ponownie się w nie zanurzyć. Czuję się jak jeden z owych bezmyślnych autorów memuarów, którzy notują z wielką szczegółowością swoje nędzne życie i w dodatku dają to

później do druku ku znudzeniu pochopnych czytelników, a może czytelników równie małostkowych i bezmyślnych jak oni.

Po co zabrał mnie do Yorku, nie wiedziałem. Zrobiliśmy spacer po strasznie długich otaczających miasto murach, jak dwaj wartownicy albo książęta. Chciał, żebyśmy pojechali samochodem do pobliskiej wioski Coxwold, gdzie znajduje się domostwo, które dwa i pół stulecia wcześniej należało do pisarza Laurence'a Sterne'a, nazwane Shandy Hall na cześć jego najważniejszej powieści, „Tristrama Shandy'ego”. Przypisywałem ten upór wpływowi Toby'ego Rylandsa, który gdy go poznałem, od wielu już lat pracował nad „najlepszą książką, jaką kiedykolwiek napisano”, jak się wyraził, nad innym wielkim dziełem Sterne'a: „A Sentimental Journey”, czyli „Podróżą sentymentalną”; jakby Tupra chciał złożyć tym sposobem hołd swemu dawnemu mistrzowi z Oksfordu albo z MI6, albo i stąd, i stąd, a ja nie miałem nic przeciw temu, raczej wprost przeciwnie, poza tym kimże ja byłem, żeby się sprzeciwiać? Jednakże gdy tylko przybyliśmy na miejsce, odszukał pracownika opiekującego się tym domem-muzeum, mężczyznę młodszego od nas obu, którego przedstawił niewiarygodnym nazwiskiem: Mr Wildgust (w dosłownym tłumaczeniu „Dziki Podmuch”), a potem zamknął się z nim w gabinecie, żeby porozmawiać, zaleciwszy mi wcześniej zwiedzić to miejsce na własną rękę. W każdym pokoju owego miłego spokojnego domostwa był starszy pan albo starsza pani – wolontariusze, zapewne emeryci – którzy, czy tego chciałeś, czy nie, udzielali obszernych informacji na temat życia i obyczajów osiemnastowiecznego właściciela budynku oraz na temat prac restauratorskich, jakim była i jest poddawana posiadłość, tak w czasach Mr Monkmana, czcigodnego założyciela Laurence Sterne Trust, jak i współcześnie (z przyjemnością dorzuciłem swój skromny wkład do tej sprawy). W rozległym ogrodzie popełniłem czyn prawdopodobnie karany przez prawo: wyrwałem maleńką roślinkę, schowałem i trzymałem

w wilgoci przez resztę podróży, a ona później, już w Londynie, prawie bez dodatkowych zabiegów i pielęgnacji z mojej strony zmieniła mi się w inną roślinę, nadzwyczaj bujną i krzepką, aczkolwiek nigdy nie poznałem jej nazwy ani angielskiej, ani hiszpańskiej (bardzo cię cieszyłem, że mogłem zabrać i zachować coś żywego z ogrodu Shandy). Tupra nie pofatygował się, żeby zwiedzić dom, zrobił to już wcześniej, powiedział, i z pewnością była to prawda. Po godzinie wyszedł z Wildgustem, na poły młodzieńcem o uprzejmym, niewinnym i wesołym wyglądzie, w okularach i z jasnawymi raczej długimi włosami, i wróciliśmy do Yorku, gdzie on być może jeszcze się z kimś spotkał, ale ja nie. Nie poprosił mnie o tłumaczenie nikogo ani o moją opinię na żaden temat, nawet na temat Sterne'a, nieskończenie długiego muru ani Shandy Hall.

Nie sposób uwierzyć, by człowiek tak praktyczny jak Tupra miał inne niż zawodowe związki z Coxwold albo z Mr Wildgustem, a równocześnie trudno było sobie wyobrazić cel, w jakim pojechał zobaczyć się z tym człowiekiem, i do czego mógł go potrzebować, zwykłego pracownika prowadzącego najwyraźniej kontemplacyjny tryb życia – Wildgust nie mógł mieć dużo do roboty: kiedy przyjechaliśmy, siedział zatopiony w lekturze jakiejś powieści w kiosku z suwenirami i pocztówkami, bez jednego klienta – człowieka pozostawionego własnemu losowi w wiosce w Yorkshire, do której wysłano swego czasu jako wikariusza wielebnego Sterne'a, światowca i prześmiewcę o niezbyt wielkim powołaniu do zawodu. Niełatwo też pojąć, jakie sprawy łączyły go z pewnym berlińskim szewcem, którego odwiedziliśmy w jego eleganckim sklepiku o nazwie Von T (szyte na miarę obuwie dla panów) podczas wyjazdu na kontynent, wkrótce po owych wcześniejszych podróżach po wielkiej wyspie. Reresby przymierzył i kupił sobie buty, ma się rozumieć, a pan von Truschinsky z Bleibtreustrasse, zachęcony przez Tuprę i posługując się pięknymi, ręcznie robionymi drewnianymi narzędziami, jakich nigdy wcześniej nie



widziałem, wziął dokładną i kompletną miarę moich stóp – długości i szerokości, wysokości w podbiciu oraz nadającej się do tatuazu pięty – w nadziei, jak powiedział skromnie i taktownie w znakomitym angielskim, że będę zadowolony i zechcę pójść w ślady mego szefa, i w przyszłości, z Anglii albo z Hiszpanii, zamówię w berlińskim sklepie kolejne pary butów, bo prawda jest taka, że ja również, mimo wysokich cen, kupiłem sobie dwie pary, ze znakomitym skutkiem, to na pewno, i wyraźnie poprawiając swój wygląd na poziomie ziemi. (I pomyśleć, że kiedyś miałem obawy, że Tupra nosi wysokie buty albo saboty, albo coś gorszego, jeżeli jest coś gorszego). Co dziwne, zarówno moje pary, jak i te, które nabył Reresby, były butami angielskich marek, o których nigdy wcześniej nie słyszałem – może dlatego, że tak znakomitych – Edward Green z Northampton, założonej w 1890 roku, i Grenson, nie wiem skąd, założonej w 1866 roku. Wydało mi się ekstrawagancją jeźdzenie po nie aż do Berlina – Tupra wybrał dwa modele, jeden o nazwie Hythe, drugi o nazwie Elmsley, pierwszy w kolorze *chestnut antique*, drugi w kolorze *burnt pine antique*, ja wybrałem model Windermere w kolorze *black* i drugi, Berkeley, w kolorze *tobacco suede* – zamiast kupować je w naszym kraju, znaczy w kraju Tupry, w którym i ja mieszkałem. Po rytuale brania miary, odprawionym z nadzwyczajną powściągliwością i delikatnością przez właściciela i zarazem jedyne go pracownika, Tupra przeszedł z von Truschinsky na zaplecze sklepu i tam, za zasłoną, ucieli sobie piętnastominutową pogawędkę, gdy ja tymczasem zabawiałem się oglądaniem katalogów wytwornych butów, stąd znam teraz nazwy ich kolorów oraz wiem, że niektóre z butów, które noszę, są dziełem znakomitego Johna Hlustika, co niewiele mi wówczas mówiło, ale wydał mi się kimś ważnym i Czechem. Rozmowa, której szmer dobiegał zza zasłony, nie toczyła się po angielsku, ale nie miałem też wrażenia, by był to niemiecki.

W Berlinie, podobnie jak w Yorku, Tupra nie kazał mi tłumaczyć nikogo ani spotykać się z nikim więcej. Zostawił mi wolny czas, nie zaprosił mnie na kolację z ludźmi z tego miasta. Podczas powrotnego lotu samolotem myślałem, że zapyta mnie przynajmniej o szewca, o moją z konieczności powierzchowną opinię na jego temat, a może i o pana Wildgusta, choć z opóźnieniem, jakkolwiek nie byłem obecny w trakcie zasadniczej części jego rozmów z żadnym z nich. Skoro jednak po pierwszej nieprzyjemnej godzinie spędzonej w powietrzu Tupra nadal rozmawiał ze mną wyłącznie o wyścigach konnych i piłce nożnej (doprowadzało go do furii nienaturalne rosyjskie bogactwo i portugalska antypatyczność Chelsea, piłkarskiej drużyny, której całe życie kibicowałem), nie wytrzymałem i to ja zadałem mu pytanie:

– A tak z ciekawości: w jakim języku rozmawialiście na osobności z Mr von Truschinskym?

Spojrzał na mnie z tak dobrze udanym zdziwieniem, aż pomyślałem, że może być prawdziwe.

– A w jakim mieliśmy rozmawiać? Po angielsku oczywiście. Tak samo jak z tobą. Dlaczego miałbym zmieniać język? Poza tym kiepsko znam niemiecki.

To nie była prawda, nie rozmawiali po angielsku, ale nie chciałem się z nim sprzeczać. Zmieniłem zatem temat, choć może nie tak bardzo.

– Posłuchaj, Bertram. Rozumiem, że kazałeś mi towarzyszyć sobie w Bath i w Edynburgu, mam nadzieję, że byłem ci przydatny. Nie rozumiem jednak, dlaczego chciałeś, żebym pojechał z tobą do Yorku, ani po co właściwie jeździłem do Berlina. Nie wyznaczyłeś mi żadnego zadania, nie rozumiem, do czego byłem potrzebny. Tylko nie mów, że do towarzystwa, bo nie lubisz podróżować samotnie. W Yorku miałeś do towarzystwa Jane, jakkolwiek potem prawie z niej nie korzystaliśmy.

Jane Treves nie wzięła udziału w części wycieczki do Coxwold ani nie odbyła długiego spaceru po średniowiecznych murach. Zjedliśmy z nią tylko kolację. Możliwe, że Tupra spotkał się z nią beze mnie. Możliwe – dlaczego nie? – że jednak z niej skorzystał i że ona spała u niego w pokoju.

– Bardzo była zajęta swoimi kuzynami. Tak naprawdę wzięłem ją w tę podróż, żeby miała okazję się z nimi zobaczyć. Dawno już ich nie odwiedzała. Jestem bardzo zadowolony z jej pracy. Ostatnio nie ma chwili oddechu.

– Mnie natomiast zmuszasz, bym z powodu tych wszystkich eskapad odkładał wciąż podróż do Madrytu. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że nie widziałem od wieków swoich dzieci, chyba ich nie poznam. Ani ojca. Mój ojciec jest już bardzo stary, ledwie rok młodszy od Petera. Czasem się boję, że już go więcej nie zobaczę. – I teraz rzeczywiście się uparłem: – Dlaczego kazałeś mi jechać ze sobą do Berlina? Żeby kupić buty? Żebym odnowił swój zestaw obuwia?

Tupra uśmiechnął się grubymi wargami, które nie robiły się cieńsze nawet wtedy, gdy się rozciągały.

– Chciałem przedstawić cię Clemensowi von T., jest moim starym przyjacielem i świadczy znakomite usługi, można na nim polegać. Na pewno od teraz będziesz nosił dużo lepsze obuwie. I będziesz mógł kontaktować się z nim bezpośrednio. W planach na najbliższy miesiąc nie ma więcej podróży, nie widzę zatem przeszkód, żebyś pojechał na kilka tygodni do Madrytu. Na dwa albo trzy. Jeżeli chcesz.

Taki długi urlop. Zbił mnie z tropu. Podziękowałem mu. Nie było jednak sposobu, żeby zmusić go do odpowiedzi na coś, na co postanowił nie odpowiadać, dobrze to wiedziałem, ani żeby się wytłumaczył z czegoś, z czego nie chciał albo nie powinien się tłumaczyć. Dałem spokój. Domyślałem się, że mówiąc o moim bezpośrednim kontaktowaniu się z Clemensem von T., miał na myśli coś innego niż buty, że w przyszłości

zleci mi załatwienie z nim czegoś, co nie będzie obuwiem. Prawda jest jednak taka, że nawet dzisiaj, gdy minął już czas gorączki i snu, a ja dawno wróciłem do Madrytu, nadal zamawiam piękne trwałe buty w jego sklepiku w Berlinie.

Tupra nie skłamał wtedy w samolocie, przygotowałem zatem podróż do Madrytu na następny miesiąc, na pobyt dwutygodniowy, uświadomiłem sobie, że tyle mi wystarczy, a nawet będzie aż nadto, chcę powiedzieć, że nie wiedziałbym, co dalej robić tam z czasem, zobaczywszy się już ze wszystkimi.

Nostalgia albo tęsknota, tyleż spowodowana nieobecnością co porzuceniem albo śmiercią, jest dziwnym, osobliwym procesem. Najpierw się myśli, że nie można żyć bez kogoś albo w oddaleniu od niego, początkowy żal jest tak dojmujący i stały, że doświadcza się jakby wpadania w otchłań bez granic lub przesywania przez nieskończoną włóczęgę, ponieważ każda minuta braku liczy się i ciąży, jest dotkliwa i dławi nas, tak że czeka się jedynie, by mijały godziny dnia, wiedząc, że ich upływ nie zaprowadzi ku niczemu nowemu, lecz ku kolejnemu czekaniu. Człowiek co rano otwiera oczy – jeżeli skorzystał z dobrodziejstwa snu, który co prawda nie pozwala zapomnieć całkowicie, wprowadza jednak zamęt – z tą samą myślą, która dręczyła go przy ich zamykaniu, „Nie ma jej i już nie wróci” na przykład (do mnie albo z zaświatów), i szykuje się nie do przeżycia w umęczeniu tego dnia, bo nie jest nawet zdolny sięgnąć tak daleko ani odróżnić jednego dnia od drugiego, lecz następnych pięciu minut, a potem w umęczeniu jeszcze pięciu i tak się posuwa od pięciu do pięciu albo od jednej do drugiej, grzęznąc w każdej kolejnej i co najwyżej usiłując oderwać się na dwie albo trzy od własnej świadomości albo paraliżu myśli. Jeżeli to następuje, to nie z jego woli, ale dzięki jakiemuś łaskawemu zrządzeniu losu: ciekawej informacji w wiadomościach telewizyjnych, rozwiązaniu lub rozpoczęciu krzyżówki, irytującemu albo pełnemu troski telefonowi od kogoś, kogo nie cierpimy,

butelce wyślizgującej się z rąk na podłogę, co zmusza nas do sprzątnięcia odłamków szkła, żeby się nie skaleczyć, gdy z lenistwa będziemy chodzić na bosaka, okropnemu serialowi w telewizji, który nas jednak bawi – albo po prostu nagle się do niego przyzwyczajamy, od pierwszego rzutu oka – i z niewytłumaczalną ulgą dajemy mu się wciągnąć aż do końcowych napisów, pragnąc, żeby od razu rozpoczął się następny odcinek i pozwolił nam uczeplić się kurczowo jakiegoś głupiego stałego wątku, do któregośmy przywykli. Takie codzienne zwykłe zdarzenia podtrzymują nas, podtrzymują to, co pozostało z życia, nieszkodliwe głupstwa, które ani nie wzbudzają naszego entuzjazmu, ani nie wymagają od nas zaangażowania czy wysiłku, te wypełniacze pogardzane, gdy wszystko jest w porządku, a my jesteśmy zajęci i nie mamy czasu, żeby za kimś tęsknić, nawet za zmarłymi (wykorzystujemy te okresy, żeby właściwie zrzucić ich sobie z pleców, choćby na krótko, ponieważ zmarli upierają się, by nadal być zmarłymi, i zawsze później wracają ukłuciem w piersi i ołowiem ciężącym nam na duszy).

Mija czas i począwszy od jakiegoś trudnego do określenia dnia, zaczynamy znowu spać bez budzenia się zniemacka i bez pamiętania we śnie, i nie golić się kiedy bądź i o dziwnych porach, lecz z rana; butelki się nie rozbijają ani nie irytują nas telefony, radzimy sobie bez telewizyjnych mydlanych oper, bez krzyżówek, bez kojących zwykłych zdarzeń zsyłanych przez los – teraz przyglądamy im się zdumieni, bo ledwie potrafimy zrozumieć, dlaczego w ogóle były nam potrzebne – a nawet bez tych cierpliwych osób, które wymyślały nam zajęcia i wysłuchiwały nas podczas naszej monotonnej i obsesyjnej żałoby. Podnosimy głowę i znowu rozglądamy się dookoła i choć nie widzimy nic szczególnie obiecującego ani atrakcyjnego, ani nic, co może zastąpić utraconą osobę, za którą tęsknimy, zaczyna być nam trudniej podtrzymać tę tęsknotę i zastanawiamy się, czy naprawdę ponieśliśmy stratę. Pojawia się jakieś retrospektywne

lenistwo w stosunku do czasu, kiedy kochaliśmy albo usychaliśmy z miłości, albo trwaliśmy w zachwycie lub w niepokoju, człowiek czuje, że nie jest w stanie znowu poświęcać komuś tyle uwagi, starać się nieba przychylić, czuwać nad czyimś snem i ukrywać wszystko, co da się ukryć albo co wyrządziłoby krzywdę, i odnajduje wielką ulgę w tym głęboko sięgającym braku czujności. „Zostałem porzucony – myśli sobie – przez kochankę, przyjaciela albo zmarłego, wszystko jedno, wszyscy odeszli, skutek jest ten sam, jestem zdany na samego siebie. Na koniec będą tego żałować, bo miło jest wiedzieć, że jest się kochanym, i zasmuca, że popadło się w zapomnienie, a teraz ja ich zapominam i każdy, kto umiera, również wie mniej więcej, jaki los go czeka. Zrobiłem co w mojej mocy, wytrzymałem niezmiennie, a i tak ode mnie odeszli”. Wtedy przywołuje się w myślach te słowa: „Pamięć jest drżącym palcem”. I dodaje się już od siebie: „I nie zawsze utrafia, gdy chce na nas wskazać”. Odkrywamy, że nasz palec już nie utrafia albo utrafia coraz rzadziej i że ci, którzy dniem i nocą absorbowali nasz umysł, tkwili w nim jak głęboko wbity gwóźdź, stopniowo się odłączają i zaczynają być mniej ważni; ich kontury się zacierają, stają się niewyraźni, aż można zwątpić, czy istnieli, jakby byli wytartą już, zmytą i wyczyszczoną plamą krwi albo taką, po której została tylko obwódka, to, co trzyma się najdłużej, i ta obwódka już znika.

Mija więcej czasu i nadchodzi taki dzień, tuż przedtem nim zniknie ślad, kiedy to myśl o zobaczeniu utraconych osób nagle wydaje nam się ciężarem. Choćbyśmy nie byli szczęśliwi i nadal za nimi tęsknili, choćby ich oddalenie lub utrata wciąż nam doskwierały przy jakichś pojedynczych okazjach – jakiejś nocy spoglądamy z łóżka na nasze samotne buty obok krzesła i wpadamy w przygnębienie na wspomnienie jej pantofli na obcasie, które stały kiedyś tuż obok, rok za rokiem, co podkreślało, że było nas dwoje nawet we śnie, gdy nas nie było – to okazuje się, że ci, których najbardziej kochaliśmy, wciąż kochamy, stali się osobami z innej epoki albo

epoki zgubionej w drodze – w naszej drodze, bo każdy z nas ma własną – niemal istotami z przeszłości, do których nie ma się chęci wracać, bo znamy je aż za dobrze, a nić ciągłości z nimi została zerwana. Zawsze z poczuciem dumnej wyższości patrzymy na przeszłość i na to, co zawierała, choćby nasza terażniejszość była gorsza albo bardziej nieszczęśliwa, albo chora, a przyszłość nie zapowiadała się wcale lepiej. Przeszłość, nawet ta najwspanialsza i szczęśliwa, nam jawi się skażona naiwnością, ignorancją, po części głupotą: w przeszłości nie wiedzieliśmy, co miało zdarzyć się potem, a teraz to wiemy i w tym sensie przeszłość jest gorsza, obiektywnie i praktycznie; dlatego zawiera w sobie jakiś element głupoty, na którą nie ma rady, i dlatego każe nam się wstydzić, że wcześniej bujaliśmy w obłokach, wierzyliśmy w coś, o czym dziś wiemy, że było nieprawdą, a może wtedy nie było, w każdym razie już nie jest prawdą, bo nie sprostało próbie czasu lub nie przetrwało. Miłość, zdawało się niewzruszona, przyjaźń, w którą nie wątpiliśmy, żywy człowiek, który miał żyć zawsze, bo bez niego świat był niepojęty albo trudno było pojąć, że mógłby dalej być światem, nie innym miejscem. Nie możemy nic poradzić, by na najbardziej nam drogiego zmarłego nie spoglądać nieco z góry – spoglądamy tak coraz bardziej w miarę upływu czasu, bo ten mijający osobę tę unieważnia – nie tylko ze smutkiem, lecz ze współczuciem, wiedząc, że on nie wiedział – och, jakże był naiwny – jak wiele zdarzy się po jego odejściu, podczas gdy my jesteśmy na bieżąco. Byliśmy na jego pogrzebie i słyszeliśmy, co tam mówiono, również to, co tylko mamrotano pod nosem, jakby mówiący wciąż się obawiali, że on może ich usłyszeć, i widzieliśmy tych, którzy wyrządzili mu krzywdę, jak podawali się za najbliższych przyjaciół i markowali, że go opłakują. On nic nie widział ani nie słyszał. Umarł pogrążony w złudzeniach, jak wszyscy, nigdy nie wiedząc wystarczająco dużo, i z tego właśnie powodu oni wszyscy budzą nasze współczucie



i uważamy, że byli nieszczęsnymi mężczyznami i nieszczęsnymi kobietami, biednymi dużymi dziećmi, biednymi czortami.

O nas też nic już nie wiedzą ci, których zostawiliśmy za sobą albo którzy od nas odeszli, dla nas pozostali niezmienni i niewzruszeni jak zmarli i sama perspektywa, że znowu ich spotkamy i będziemy musieli im opowiadać i słuchać ich, jest dla nas jak góra do pokonania, po części dlatego, że czujemy, iż oni ani my nie chcielibyśmy nic opowiadać ani niczego słuchać. „Nie chce mi się – myślimy – upłynęło zbyt wiele czasu, odkąd ta osoba była świadkiem mego życia. Wiedziała o mnie prawie wszystko, a przynajmniej te najważniejsze rzeczy, a teraz powstała luka, której nie da się już wypełnić, choćbym opowiedział szczegółowo o wszystkim, co się zdarzyło bez jej natychmiastowej wiedzy. Po co znowu utrzymywać stosunki, usprawiedliwiać się, jakie to przygnębiające rozpoznawać od razu dawne reakcje i dawne przywary, i dawne lęki, i dawny sposób mówienia, mój do niej i jej do mnie; i nawet te same zazdrości i te same namiętności, tylko teraz wyciszone. Nigdy już nie będę potrafił spojrzeć na nią jak na kogoś nowego ani jak na cząstkę mojej codzienności, zawsze będzie mi się wydawać znana na wylot i obca równocześnie. Pójdę do domu spotkać się z Luisą i dziećmi i gdy już pobędę tam czas jakiś i zacznę się na nowo przyzwyczajać, usiądę na krótką chwilę obok niej na kanapie – może zanim wyjdziemy do restauracji na kolację w oczekiwaniu na spóźniającą się opiekunkę do dzieci – na naszej wspólnej przez tyle lat kanapie, gdzie tym razem usiądę jako obcy przychodzący z wizytą, godny zaufania lub wprost przeciwnie, i nie będziemy wiedzieli, jak się zachować. Pojawią się chwile milczenia i odchrząkiwania i zdania całkiem niedorzeczne, gdy siedzi się twarzą w twarz, jak na przykład: „No więc jak ci się wiedzie?” albo: „Naprawdę świetnie wyglądasz”. I wtedy uświadomimy sobie, że nie możemy być razem, nie będąc razem naprawdę, w dodatku że wcale tego nie chcemy.

Nie będzie pełnej naturalności ani całkowitej sztuczności, nie można być powierzchownym z kimś, kogo zna się na wskroś i od zawsze, ani głębokim z kimś, kto zgubił nasz ślad i całkowicie ukrył własne ślady, i o tylu sprawach nie wie. I po upływie pół godziny, może godziny, najwyżej dwóch, przy deserach, uznamy, że już nie ma o czym mówić, a co dziwniejsze, że ten jeden raz wystarczy, a wtedy przez pozostałe trzynaście dni urlopu będę musiał czymś zabić czas. I choćbyśmy, co nie do pomyślenia, padli sobie w ramiona i ona wypowiedziała słowa, które od tak dawna pragnę usłyszeć, „Chodź, chodź, wcześniej tak bardzo się myliłam. Zajmij znowu miejsce przy mym boku. Jeszcze nie przegnałam twego ducha, ta poduszka wciąż jest twoja, wcześniej nie umiałam wyraźnie cię zobaczyć. Chodź i obejmij mnie. Chodź do mnie. Wróć. I zostań tu na zawsze”; choćbym w związku z tym zlikwidował mieszkanie w Londynie i rozstał się z Tuprą i Pérez Nuix, i Mulryanem, i Rendelem, a nawet z Wheelerem, i podjął się szybkiego umieszczenia ich wszystkich w długim nawiasie – nawet te na pozór nieskończenie długie w końcu się zamykają i potem można je przeskakiwać – i choćbym wrócił do Madrytu, żeby być z nią – wcale nie twierdzę, że tak bym nie zrobił, gdyby pojawiła się szansa, gdyby ona mi ją dała – uczyniłbym to wiedząc, że co zostało przerwane, nie może być wznowione, że owa luka zostaje na zawsze, ukryta może, ale trwała, że przedtem i potem nigdy nie dadzą się zespawać.

Mimo więc najszczerzej chęci znalezienia się ponownie w moim mieście i zobaczenia wszystkich swoich, nawet tych, którzy już nie czuli się moimi, skonfrontowania się z ich wczorajszymi twarzami po tym, jak wcześniej wyjechałem z dzisiaj i z ich dzisiaj, oraz znalezienia się, bez przygotowania i bez ostrzeżenia, wobec ich twarzy jutro, nie tylko zaplanowałem pobyt dwutygodniowy zamiast trzech tygodni zaoferowanych mi przez szefa, lecz w dodatku po powrocie z Berlina odłożyłem jeszcze trochę swój wyjazd, żeby dowiedzieć się wcześniej, jak się miewa De la Garza. Pomyślałem, że po prostu zadzwonię i zapytam go o zdrowie, ale przyszło mi na myśl, że gdy się przedstawię, on może nie chcieć podejść nawet do telefonu, a jeżeli podam fałszywe nazwisko i wynajdę jakiś pretekst albo zmyślony problem, potem trudno mi będzie zapytać go o stan zdrowia, tak nagle i bez związku, będąc kimś rzekomo nieznanym. Postanowiłem zatem złożyć mu niezapowiedzianą wizytę, znaczy nie umówioną wcześniej. Z uwagi na to, że w dzisiejszych czasach nikt nie może wejść do żadnego oficjalnego miejsca, nie wyłuszczywszy wcześniej, po co przychodzi, i nie udowodniwszy, że coś tam wcześniej zgubił, zatelefonowałem do starego znajomego z radia BBC, z którym w początkach mego pobytu w Londynie, nim zwerbował mnie Tupra, a raczej Wheeler, pracowaliśmy wspólnie nad różnymi męczącymi programami o terroryzmie i turystyce i który tak samo jak ja zdołał rzucić szybko tę nudną pracę i poprawić bez wątpienia swoją pozycję, obejmując jakąś nieokreśloną, aczkolwiek nie całkiem nieważną posadę w hiszpańskiej ambasadzie przy dworze mego patrona, St Jamesa, czyli świętego Jakuba. Ten wypomadowany fałszywy osobnik, w połowie despota, w połowie lokaj (to często idzie w parze mimo pozornej

sprzecznosci) nazywał się Garralde i był całkowicie pozbawiony skrupułów, gdy w grę wchodził jego interes, zawsze gotów być usłuznym nie tylko wobec potężnych i sławnych, lecz i wobec tych, którzy – wedle jego rachub – mogli pewnego dnia zyskać jakąś władzę lub sławę, choćby minimalną, to przecież wystarczającą, by w przyszłości wyświadczyć mu jakąś drobną przysługę albo stać się adresatem takiej prośby; i odwrotnie – traktował pogardliwie ludzi, którzy na jego oko nigdy nie mieli mu się do niczego przydać, aczkolwiek nie miał też żadnych oporów, by nagle i absolutnie cynicznie stać się wobec nich czarującym, gdy po jakimś czasie odkrył, że wcześniej jednak się pomylił. Miał szeroką twarz, prawie jak księżyc w pełni, małe oczy, bardzo porowatą skórę, jakby była pulpą, i odstępy między zębami nadające mu lubieżny wygląd, co o ile wiedziałem, szło w parze wyłącznie z jego pożądliwą mentalnością – wyglądał, jakby bezustannie wydzielał soki – ale nie z jego działaniami: był typem człowieka, który zaleca się do wszystkich ze śmiechem – prawdopodobnie do kobiet i do mężczyzn, aczkolwiek do mężczyzn nie wprost, tylko... jak by to powiedzieć... pytająco, bardzo się nimi interesując – ale gdy zdarzał się rzadki przypadek, że ktoś z komplementowanych odpłacał mu tym samym, wtedy on wśród żartów wywijał się spłoszony w obawie, że nie stanie na wysokości zadania. Miał bardzo dziwne włosy, przypominały czapkę Davy’ego Crocketta (bez ogona bobra albo szopa pracza czy cokolwiek to było, w tej ambasadzie dostatecznie dużo dyndających końcówek nosił De la Garza, chociaż do pracy ich nie nakładał) i zawsze się zastanawiałem, czy ta fryzura na czapkę traperską nie była naprawdę peruką tak okazałą i gęstą, że właśnie z tego powodu nikt nie ośmielał się podejrzewać, że to peruka. Ilekroć się z nim widziałem, brała mnie chęć, żeby pociągnąć go za włosy, niby w takim męskim geście czułości albo męskim trochę ciężkim żarcie, i sprawdzić,

czy nie zostaną mi w ręku, a przy okazji jakie są w dotyku (były niepokojąco podobne do aksamitu).

Wcześniej na mnie, nędznego radiowego dziennikarzynę, nie zwracał większej uwagi, sam zawsze się uważał za kogoś lepszego, choć wtedy on też był dziennikarzyną – teraz jednak figurowałem w jego katalogu jako ktoś wpływowy i nieco tajemniczy. Nie wiedział dobrze, czym się zajmuję ani dla kogo pracuję, ale obiło mu się o uszy, że bywam w eleganckich dyskotekach, luksusowych restauracjach, na wyścigach konnych, na kolacjach z celebrytami, na Stamford Bridge, a także w przerażających spelunkach, do których nigdy nie zaszedłby żaden Hiszpan (towarzyskie ciągi Tupry trwały czasami tygodniami), i zawsze w towarzystwie miejscowych, o które żadnemu cudzoziemcowi nie jest łatwo w Anglii, nawet dyplomatom. (Teraz w dodatku zauważył u mnie z pewnością nadzwyczajne buty od Hlustika i von Truschinsky’ego, Garralde miał oko do takich rzeczy i obrzydliwą skłonność do papugowania). Wzbudzałem w nim najlepsze, najbardziej stosowne uczucia, jakimi można darzyć znajomego: konsternację i zaintrygowanie. Dzięki temu snuł wyobrażenia na temat moich kontaktów i możliwości, a to oznaczało, że zrobi wszystko, o co go poproszę. Nie wdając się zatem w żadne wyjaśnienia, poprosiłem go o spotkanie w ambasadzie i gdy już znalazłem się przed jego biurkiem, od razu wyłuszczyłem całą sprawę (niezbyt głośno, Garralde dzielił bowiem gabinet z trzema innymi urzędnikami; jeżeli zamierzał zostać w ambasadzie na dobre, musiał się jeszcze napracować, żeby dobrze się ustawić).

– Prawdę mówiąc, nie przyszedłem do ciebie, Garralde. Umówiłem się z tobą, żeby bez problemów wejść do ambasady. Zajmę ci tylko trzy minuty. Kiedy indziej zaproszę cię na obiad, żebyśmy mogli sobie pogadać, wezmę cię do nowego fantastycznego miejsca, spodoba ci się, spotkasz tam mnóstwo ludzi, a wszyscy prosto z łóżka. No wiesz, wstają zbyt późno na śniadanie. – Słowo „ludzie” znaczyło dla niego „ludzie ważni”, tylko tacy

wzbudzali jego zainteresowanie. Używał różnych pretensjonalnych obcojęzycznych wyrażań, jak „śmietanka towarzyska” albo gorzej, „*la crème de la crème*”, „elita” oraz „*jet set*”, wspominał o „*big names*” i „najwyższych półkach”, mówił (rozmawiając oczywiście po hiszpańsku), że podczas weekendów pozostaje „*unplugged*”. Mógł zejść całkiem wysoko z tą swoją kombinacją unizoności i despotyzmu, ale i tak zawsze miał pozostać burakiem. Wykrzykiwał też „*Oro!*”, ilekroć coś wydało mu się wspaniałe albo niezwykle, usłyszał to kiedyś z ust jakiejś znajomej Włoszki i uznał za nadzwyczaj oryginalne. – Jak tu skończymy (to zajmie nam góra dwie minuty), poproszę, żebyś mi wskazał drogę do gabinetu twego kolegi, Rafaela De la Garzy. Naprawdę to z nim chcę się zobaczyć, ale tak, żeby się mnie nie spodziewał.

– A dlaczego nie poprosiłeś go o spotkanie? – zapytał ten niegodziwiec Garralde raczej ze wścibstwa niż żeby stwarzać jakieś problemy. – Na pewno by się zgodził.

– Nie sądzę. Ma do mnie żal z powodu paru głupot. Chcę to załatwić, doszło do nieporozumienia. Ale nie powinien się dowiedzieć, że tu jestem. Wskaż mi jego gabinet, a ja już dam sobie radę.

– Nie byłoby lepiej, żebym cię zapowiedział? On jest ode mnie wyższy rangą.

Zupełnie jakby nie słyszał, co do niego mówię. Potrafił zręcznie manipulować ludźmi, lecz w gruncie rzeczy był mało rozgarnięty. Zirykował mnie, byłem o krok od tego, żeby rzucić się na jego gęstą czuprynę, nie do wiary, jak bardzo przypominała legendarną czapkę Crocketta, króla dzikiego pogranicza (jakkolwiek tym razem wyglądała na bardziej zmierzwioną niż przy innych okazjach, możliwe, że zaczynała przypominać rosyjską czapę). Powstrzymałem się raz jeszcze. Ostatecznie miał mi wyświadczyć drobną przysługę, za którą szybko zażąda rewanzu, nie należał do tych, co długo czekają.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem, Garralde? Jeżeli mnie zapowiesz, nie zechce mnie przyjąć, w dodatku sam możesz oberwać rykoszetem.

Ponieważ był szują, ten ostatni argument trafił mu do przekonania. Za nic w świecie nie chciałby podpaść komuś wyższemu rangą ani mu się sprzeciwić, choćby nie był to jego bezpośredni przełożony. Na chwilę zrobiło mi się go żal: jak można mieć za zwierzchnika kogoś takiego jak Rafita de la Garza? Świat jest źle urządzone, niesprawiedliwy i skorumpowany, skoro pozwala, żeby ludzie byli podwładnymi takiego kutasa. Trudno o coś bardziej żalosego. Równie straszne było, rzecz jasna, że ktoś mógł mieć nad sobą takiego Garralde i musiał go słuchać.

– W porządku, jak sobie życzysz – odpowiedział. – Pozwól mi przynajmniej sprawdzić, czy jest sam. Jeżeli ma akurat jakieś spotkanie, to niewiele zyskasz, wchodząc niespodziewanie do środka. Nie zdołasz wyjaśnić tego nieporozumienia przy świadkach, nie mam racji?

– Idę z tobą. Zaprowadzisz mnie i wskażesz właściwe drzwi. Nie martw się, zanim wejde, chwilę poczekam, żebyś zdążył zniknąć. Nie dowie się, że miałeś coś wspólnego z moją wizytą.

– A co z naszym obiadem? – zapytał, zanim ruszyliśmy przed siebie. Musiał się upewnić, że dostanie zapłatę, przynajmniej tę minimalną, tę natychmiastową. Potem postara się wyciągnąć ode mnie coś lepszego, naliczy sobie odsetki. Ale ja zamierzałem się wypiąć na odsetki, zresztą na wspólny obiad najprawdopodobniej też. Najpierw się pewnie wścieknie, ale na dłuższą metę, widząc, jak lekceważąco traktuję własne zobowiązania, nabierze do mnie większego szacunku, bardziej go zaintryguję. – Bardzo chętnie poznam to miejsce, o którym wspominałeś.

– Co powiesz na sobotę? Potem wyjeżdżam na kilka dni do Madrytu. Zadzwoń jutro i ustalimy godzinę. Zarezerwuję stół.

– *Oro!*

Nie znosiłem tej odzywki. Prawdę mówiąc, wszystko w nim było nie do zniesienia. Takiego wała zarezerwuję stolik, takiego wała zadzwonię, postanowiłem to wtedy nieodwołalnie. Potem się wymyśli jakąś wymówkę.

Poprowadził mnie niezgorszym labiryntem korytarzy wyłożonych dywanami, skręciliśmy co najmniej sześć razy. W końcu zatrzymał się w ostrożnej odległości od uchylonych lub niemal otwartych drzwi, dobiegły nas deklamujące coś głosy, a może tylko jeden głos, nie było dobrze słyszeć, brzmiało to jak recytacja wiersza w dziwnym jednostajnym rytmie, a może to była litania.

– Jest sam? – zapytałem szeptem.

– Nie mam pewności. Całkiem możliwe, mimo że coś mówi. Czekaj, teraz sobie przypominam: jest u niego profesor Rico. Dziś wieczorem ma wygłosić wykład w Instytucie Cervantesa. Może ćwiczą. – Następnie uznał za konieczne oświecić mnie: – Tak, sam profesor Francisco Rico, we własnej osobie. Może nie wiesz, ale to wielka znakomitość, najwyższa półka i bardzo srogi. Mówią, że jak kogoś uzna za kretyna albo natręta, to się nie patyczkuje. Wszyscy się go boją, nie przebiera w słowach i jest zgryźliwy. Trzeba być wariatem, żeby mu przerwać, Deza. On jest członkiem hiszpańskiej Akademii.

– No to lepiej, żeby profesor cię tu nie zobaczył. Ja poczekam, dopóki nie skończą. Ale ty znikaj, jak nie chcesz, żeby cię obsztorcował. Dziękuję za wszystko i nic się nie martw, dam sobie radę.

Garralde chwilę się wahał. Nie ufał mi, i słusznie. Musiał jednak pomyśleć, że cokolwiek ma się zdarzyć i cokolwiek ja zamierzam, lepiej, żeby jego przy tym nie było. Oddalił się korytarzem, odwracając się do mnie co kilka kroków i powtarzając bezgłośnie, dopóki nie znikł mi z oczu (łatwo było czytać z jego ust):

– Nie wchodzi. Pod żadnym pozorem im nie przerywaj. On jest akademikiem.



Nauczyłem się od Tupry albo Rendela poruszać się niemal bezszelestnie, jak również otwierać zamknięte drzwi, jeżeli nie przedstawiały sobą jakichś szczególnych trudności, oraz je blokować, jak tamte drzwi w toalecie dla niepełnosprawnych. Podszedłem zatem do gabinetu De la Garzy, ale trzymając się przeciwnej strony korytarza. Mogłem stamtąd widzieć prawie całe pomieszczenie, w każdym razie widziałem ich obu, tego matoła i Rica, twarz tego ostatniego dobrze znałem z telewizji i z prasy i trudno go było z kimś pomylić, był łysem mężczyzną, który – co dziwne i zuchwałe – nie zachowywał się jak łyśy, miał nieprzyjemne, często nawet znużone spojrzenie, musiał być bardzo zmęczony otaczającą go ignorancją i stale przeklinać fakt, że przyszło mu się urodzić w tak niedouczonej, pogardzanej przez siebie epoce; czytając jego wypowiedzi dla prasy i teksty (kiedyś czytałem jakiś artykuł), miało się wrażenie, że Rico nie zwraca się do przyszlých, lepiej wykształconych czytelników, bo z pewnością wątpił w ich istnienie, lecz do czytelników z przeszłości, dawno już zmarłych, jakby wierzył, że w książkach – po obu stronach książek: bo one mówią w środku nocy tak, jak mówi rzeka, spokojnie i niechętnie, ich szmer również jest spokojny lub cierpliwy, lub omdlewający – bycie żywym albo umarłym jest sprawą drugorzędną i kwestią przypadku. Może uważał, jak jego i mój rodak, że „czas jest jedynym wymiarem, w jakim mogą rozmawiać i komunikować się żywi i umarli, jedynym, który jest im wspólny i łączy ich”, i że dlatego czas jest obojętny i każdy nieuchronnie wspólny (w nim byliśmy i będziemy wszyscy), a fakt, że fizycznie się w nim spotykamy, jest zupełnie marginalny jak to, że przychodzi się późno albo wcześniej na spotkanie.

Dojrzałem jego charakterystyczne duże usta, mocno zarysowane i jakby gąbczaste, podobne trochę do ust Tupry, lecz nie tak wilgotne i dzikie. Były zamknięte, niemal zaciśnięte, to nie z nich wydobywały się prymitywne rytmy, lecz z ust Rafity, który jak widać, nie tylko czuł się czarnym raperem

nocą i w idiotycznych bardzo szykownych lokalach, lecz również hip-hopowcem za dnia i we własnym gabinecie w ambasadzie, aczkolwiek teraz ubrany był zwyczajnie, nie miał na sobie wielkiej sztywnej marynarki ani kolczyka w uchu jak wróżka, ani siatki na włosy udającej siatkę toreadora, ani kapelusza, ani bandany, ani czapki frygijskiej, ani w ogóle nic nie miał na swojej pustej głowie. Zakończył monotonną recytację i powiedział zadowolony, zwracając się do Francisca Rica, człowieka wielkiej wiedzy:

– I co, profesorze? Jak się panu podobało?

Profesor nosił wielkie okulary w grubych oprawkach, możliwe, że ze szkłami z antyrefleksem, a mimo to dostrzegłem lodowate spojrzenie, patrzył ze smutnym osłupieniem, jakby nie tyle się zdenerwował, ile naprawdę nie mógł uwierzyć w pretensjonalność albo arogancję De la Garzy.

– Nie budzi mego entuzjazmu. *Ps. Tah.* W najmniejszym stopniu. – Tak właśnie powiedział, „ps”. Nawet nie tradycyjne w takich razach „pse”, co zastępuje powiedzenie „takie sobie” albo „ni to, ni sio” (albo „*ni fu ni fa*”, Hiszpanie często tak mówią, choć nie wiedzą dokładnie, co to znaczy). „Ps”, szczególnie w połączeniu z „*tah*” było dużo bardziej zniechęcające, głęboko demobilizujące.

– Jeszcze tego kawałka niech pan posłucha, profesorze. Jest bardziej dopracowany, podkreślony na maksa, z jajami.

To był znowu cały on ze swoim dziwacznym młodzieżowo-wulgarnym slangiem, Rafita nigdy się nie zniechęca. Uspokoilem się, widząc, że nie zmienił się nic a nic, odkąd widziałem go po raz ostatni, wtedy leżał na podłodze pobity, dosłownie śmiertelnie przerażony, trzęsący się i w błagalnym milczeniu, oczy miał przyćmione, odwracał spojrzenie, nie ośmielał się nawet spojrzeć na nas: na tego, który wymierzył mu karę, oraz na jego towarzysza, którym byłem ja, współnik. Widziałem, że doszedł do siebie, chyba nie przejął się szczególnie tamtą przygodą, skoro nadal był

gotów naprzykrzać się każdemu i wszędzie. Bez wątpienia należał do ludzi, którzy nigdy się niczego nie uczą, są niereformowalni. Rzecz jasna trudno było oczekiwać, że profesor Rico zamachnie się na niego mieczem albo sztyletem, albo złapie go za kark i kilka razy walnie głową o stół. Mógł co najwyżej ostro go zbesztać albo wygarnąć bezlitośnie, co o nim myśli, miał rację ten niegodziwiec Garralde, że szła za nim fama osobnika zgryźliwego i nieprzyjemnego, który nie zawaha się być impertynencki ani złośliwy, gdy uważa, że ktoś na to zasługuje. Siedział leniwie w fotelu z głową odchyłoną do tyłu jak bezstronny sceptyczny sędzia, z nogą założoną na nogę, prawym przedramieniem na oparciu fotela, w ręce trzymał papierosa, z którego popiół spadał na podłogę po leciutkich puknięciach palcem wskazującym o filtr. Było jasne, że jeśli nikt nie postawi popielniczki dokładnie poniżej papierosa, on nie zada sobie trudu, by jej poszukać. Wypuszczał dym nosem, co w dzisiejszych czasach jest już nieco staroświeckie, lecz nadal eleganckie. Nic sobie oczywiście nie robił z zakazu palenia w urzędach. Był dobrze ubrany i obuty, koszula i garnitur na moje oko były od Zegny, może od Cornelianiego albo jakiejś podobnej marki, lecz butów nie kupił u Hlustika, to na pewno, one też musiały pochodzić z jakiegoś południowego kraju. Rafita stał naprzeciw niego wyraźnie podekscytowany, jakby zależało mu na zdaniu Rica, na które zresztą nie zwracał uwagi, bo jak dotąd nie było pochlebne. Takich ludzi jest wszędzie coraz więcej, słyszą tylko to, co chcą usłyszeć albo co im pochlebia, a całą resztę jakby puszczali mimo uszu. Początkowo była to cecha właściwa politykom i średniej miary artystom spragnionym sukcesu, teraz jednak rozprzestrzeniła się na całe populacje. Widziałem ich dwóch, jakbym patrzył z piątego rzędu w teatrze, a gdy stanąłem dokładnie naprzeciw uchylonych drzwi, obaj znaleźli się w całości w moim polu widzenia.

– Posłuchaj, młody De la Garza – zwrócił się do niego Rico obraźliwie paternalistycznym tonem – widać jak na dłoni, że Pan Bóg poskąpił ci

talentu do prostych nonsensownych wierszyków. Daleko ci do *Struwwelpetera*, a Edwardowi Learowi nawet do pięt nie dorastasz. – Profesor rozmyślnie się wymądrzał, to znaczy dobrze się bawił kosztem Rafity, bo ten nigdy z pewnością nie słyszał o żadnej z tych postaci, ja przypadkiem wiedziałem co nieco o Edwardzie Learze dzięki moim przemądrzałym latom w Oksfordzie, lecz ta druga postać nic mi wówczas nie mówiła, dopiero potem czegoś się na jej temat dowiedziałem. – No cóż, nie sądzę, byś powinien sprzeciwiać się wyrokom bożym, *derr*, przede wszystkim zaoszczędzisz sobie tym sposobem dużo czasu. Talentu do bardziej subtelnej poezji też ci chyba nie dał, nie sięgnąłbyś wyżyn jak *una alta ricca rocca...*, jakkolwiek jesteś sześć długich stuleci do przodu. – Wypowiedział te słowa ze starannym włoskim akcentem, uznałem zatem, że nie były po hiszpańsku, lecz po włosku mimo podobieństwa; może pochodziły z Petrarce, od którego profesor był specjalistą, podobnie jak od wielu innych autorów literatury światowej, a i zapewne od *Struwwelpetera*, wiedzę miał wprost niezmierną. – Bywa, że niektóre rzeczy, *ets*, są po prostu niemożliwe. Tak więc lepiej się nie upieraj, *pf*. – Zwróciło moją uwagę, że będąc członkiem Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, używał tylu niezwykłych w naszym języku i w zasadzie niemożliwych do rozszyfrowania onomatopei, jakkolwiek wszystkie zabrzmiały dla mnie całkiem zrozumiale i klarownie, może miał do nich jakiś szczególny dar, był mistrzem onomatopei, ich wynalazcą, nawet twórcą. „*Derr*” oznaczało najwyraźniej swoisty zakaz. „*Ets*” wydało mi się jakimś poważnym ostrzeżeniem. „*Pf*” zabrzmiało jak przegrana sprawa.

Jednakże Rafita był produktem swoich czasów i nie chciał rozumieć albo naprawdę nie rozumiał, nie wiem, może jak zbyt dużo ludzi dzisiaj. Kontynuował zatem niczym niezrażony:

– Ten kawałek na pewno się panu spodoba, profesorze, padnie pan z wrażenia. Idzie tak... – Wtedy zobaczyłem, jak w politowania godny

sposób zaczyna wymachiwać dłońmi i całymi rękami, zupełnie jak raper (nie chodzi mi o to, że on był wtedy politowania godny, choć oczywiście był, lecz że w ogóle wyglądają tak wszyscy, którzy w ten sposób gestykulują i mamroczą te brednie bez wdzięku i bez sensu, to jakby triumf recytowanych kiedyś chóralnie religijnych rymowanek, dobre nieba, po tylu latach), młócił powietrze falującymi ruchami, które w jego zamierzeniu miały być gniewną gestykulacją Czarnego ze slumsów, choć od czasu do czasu dochodziła do głosu okrutna hiszpańska wena i trzepał palcami jak tandetna tancerka flamenco w wyniosłych podskokach. Był naprawdę żaloszny, podobnie jak te jego okropne rymowanki, nieznośne zawrodożenie, któremu towarzyszyło stałe podrygiwanie, przypuszczalnie w domniemanym rytmie jakiejś kiepskiej i słyszanej tylko przez niego muzyczki: – Będiesz menelem dla mojego ukulele – tak się zaczynało, z takim właśnie rymem – ja mam w sobie smoczy jad, mną nażarty jest ten gad, tobie tę truciznę dam, nie wybronisz się już sam, lepiej nie podskakuj mi, bo wybiję twoje kły, huu-hu, hu-hu. – A potem, nie zaczerpnąwszy nawet oddechu, zaatakował kolejną zwrotką albo ustępem czy jakkolwiek to nazwać: – Moje kule czują głód, wypełnia je straszny brud, a ich celem jest twój mózg, zrobią z niego jeden bluzg, brwi osmala ci na cacy, łeb rozerwą jak na tacy, rzyg wypłynie ci porami, boś w klozecie jest z gównami, huu-hu, hu-hu.

– Dość tego! – Bardzo wybitny profesor Rico przyglądał mu się uważnie („*de hito en hito*”, jeszcze jedno wyrażenie, którego wszyscy używają, ale nikt nie wie, co ono znaczy); a przypuszczam, że i wysłuchał w podobny sposób, również „*de hito en hito*”, jeżeli to możliwe, w co wątpię, ale tak naprawdę to nie wiem. Tak czy owak, cały zbladł, słuchając tych plugawych wycopin, musiałem zblednąć i ja, tak sobie pomyślałem, bo nie było tam lustro, żeby to sprawdzić. Zaraz jednak poczułem falę gorąca na twarzy i musiałem się zaczerwienić z wściekłości i zażenowania

równocześnie: jak śmiał ten patentowany głupek naprzykrzać się godnemu podziwu uczonemu, męczyć go takimi bredniami i głupotami? Skąd mu przyszło do głowy, że te jego wulgarne rymowanki mogą mieć jakąkolwiek wartość poetycką (nie miały żadnej, nawet jako jakiś pseudolimeryk) i jak śmiał spodziewać się pochlebnego werdyktu jednego z najwybitniejszych hiszpańskich autorytetów w dziedzinie literatury, naszego luminarza wizytującego Londyn, może jeszcze utrudzonego podróżą, może potrzebującego czasu, by wprowadzić ostatnie poprawki do swego mistrzowskiego wykładu wieczorem? Poczuję się tak samo oburzony jak wówczas, gdy dostrzegłem De la Garzę na parkiecie do szybkich tańców w dyskotecie, jak chłostał swoją niedorzeczną siatką na włosy nieostrożną Flawię. Wtedy, w dyskotecie, przyszła mi do głowy jedna krótka i prosta myśl, a przecież nie wiedziałem jeszcze, jakie traumatyczne konsekwencje pociągnie za sobą ów incydent: „Chętnie dałbym mu w mordę”. Przypomniałem sobie tamtą myśl dużo później z przykrością, z rodzajem jakichś zastępczych wyrzutów sumienia (głównie moich, ale trochę też w imieniu Tupry, który nie wyglądał, jakby czegoś żałował, co naturalne u kogoś tak zdeterminowanego i świadomego; on nie miał wyrzutów sumienia, przynajmniej nie z powodu pracy) w trakcie bicia i po nim oraz oczywiście przed nim, ilekroć miecz lancknehta w ręku Reresby’ego unosił się i opadał. Jak to możliwe, że De la Garza nie poszedł po rozum do głowy, jak to możliwe, że nie zmądrzał? Jak mógł ułożyć taki tekst, nawet jeśli absurdalny i groteskowy, z tyloma elementami przemocy po bestialskim akcie przemocy, jakiej doświadczył od nas? Jak mógł użyć w nim słowa takiego jak „klozet”, gdy sam wcześniej o mało nie zginął topiony w błękitnej wodzie miski klozetowej? Może właśnie dlatego, pomyślałem sobie, stojąc w korytarzu wciąż niezauważony, niewidoczny *voyeur* i *eavesdropper*. Może tamto zdarzenie go prześladowuje i to jest forma (kretyńska) radzenia sobie z nim i przewyciężenia go, wmawiania sobie,

że sam mógłby być Reresbym (wmawiania na swój niedojrzały głupi sposób) i wpakować w kogoś kilka kulek, a przynajmniej napędzić komuś strachu albo kogoś otruć, albo wybić mu zęby, a może zrobić to wszystko samemu Tuprze, przed którym czuje na pewno paniczny strach i modli się każdego dnia, żeby nigdy go więcej nie spotkać w tym wspólnym im obu mieście? Fantazjowanie nic nie kosztuje, wiemy to od wczesnego dzieciństwa; potem wiemy to nadal, ale uczymy się fantazjować mało, z upływem lat coraz mniej, uświadomiwszy sobie, że to na nic. Zaraz zrobiło mi się go trochę żal i to uczucie złagodziło nieco moje oburzenie, co nie było przypadkiem prześwietnego profesora, on, rzecz jasna, nie dzielił ze mną myśli ani wątpliwości: – Dość tego! – krzyknął, nie podnosząc głosu, wrażenie krzyku tworzył jego kategoryczny ton podobny do tonu kelnerów w madryckich barach, gdy komunikują zamówienie klientów tym w kuchni albo tym przy barze, wznosząc się ponad albo schodząc pod panujący gwar. – Postradałeś rozum, De la Garza? Co w ciebie wstąpiło? Naprawdę myślisz, że mógłbym słuchać z ochotą takiego steku niedorzeczności... – zawahał się na chwilę – ...tych tamtamicznych bredni, które z siebie wyrzucasz? Co za plugastwo. *Reg.* Jakie nudziarstwo. – Używał wielu staroświeckich słów, a może słownictwo używane przez Hiszpanów skurczyło się dziś do takiego minimum, że wszystkie niemal słowa wydają się staroświeckie, sformułowania takie, jak „*qué ventolera te ha dado*”, co w ciebie wstąpiło, albo „*sarta de necedades*”, stek niedorzeczności, albo „*tabarra*”, nudziarstwo, a także wyrażenie „*no estar en sus cabales*”, postradać rozum; z przyjemnością skonstatowałem, że nie ja jeden ich używam, na chwilę utożsamiałem się z Rikiem, co połechtало mą próżność nieoczekiwanie, choć może nie tak bardzo (on naprawdę jest wielką znakomitością). Jego ostatnia onomatopeja, „*reg*”, wydała mi się równie przejrzysta i trafiona jak wszystkie poprzednie, wyrażała obrzydzenie, tak moralne, jak i estetyczne.

Profesor nie poruszył się, nie wstał, potrafił bez wątpienia panować nad własnym ciałem, wystarczyło, że na chwilę spuścił język ze smyczy. Wrzucił tylko peta do stojącego pod ręką kubka z ołówkami i dotknął okularów nad nosem najpierw palcem wskazującym, potem serdecznym, dwa razy, jakby chciał się upewnić, że nie zsunęły mu się podczas wybuchu irytacji. De la Garza stał jak sparaliżowany, nogi miał lekko przygięte w kolanach w mało wdzięcznej pozycji, jakby zamierzał kucnąć. Potem się wyprostował. A ponieważ nie wypił wcześniej nic mocniejszego, możliwe, że poczuł się zaniepokojony.

– Och, proszę mi wybaczyć, panie profesorze, nie wiem, nie rozumiem, gdzie przeczytałem, że interesuje się pan hip-hopem i dostrzega w nim nawiązanie do pewnych archaicznych form poetyckich, pieśni dziadowskich, no wie pan, ludowych piosenek, ballad, tego wszystkiego...

– Mylisz mnie z Villeną – wtrącił Rico, mając na myśli pewnego bardzo znanego hiszpańskiego poetę, bystrego obserwatora (bystrego obserwatora najnowszych trendów). Nie powiedział tego obrażonym, lecz belferskim, wyjaśniającym tonem.

– ...że według pana to brzmi bardzo średniowiecznie.

I wtedy to się stało. De la Garza zamilkł, ponieważ to się stało. Kręcąc głową w jedną i drugą stronę, by wyrazić swoje niezrozumienie i skruchę, przestraszony szczerą lub bezceremonialną reakcją Rica (sam się o nią prosił), zobaczył mnie i w jednej chwili rozpoznał, jakby obawiał się tego spotkania od dawna albo jakby często widywał mnie w snach, albo jakbym w jego koszmarach sennych przygniatał mu pierś. Spoglądając w prawo, dostrzegł mnie na wprost siebie, stojącego po drugiej stronie korytarza niczym kamienny gość, i od razu wiedział, kim jestem. Ja też zobaczyłem natychmiastowy efekt tego zaskoczenia i rozpoznania. De la Garza cały się skulił, odruchowo, jak owad, który zwija się, czując zagrożenie, kurczy się, zmniejsza, usiłuje rozplynać się i zniknąć, by ujść śmierci, nie zostać



zauważonym, dostrzeżonym, przestać istnieć i tym samym zaprzeczyć własnemu istnieniu („Nie, nie jestem tym, kogo widzisz, mnie tu nie ma, nie daj się omamić”), ponieważ jedyny niezawodny sposób na wywinięcie się śmierci to nie być tu i teraz, a jeszcze lepiej w ogóle nie znaleźć się na tym świecie. Przycisnął łokcie do tułowia, ale nie jak bokser, który szykuje się do obrony albo trzyma gardę, lecz jakby poczuł nagle straszliwy chłód i dygot. Skulił też szyję, podobnie jak wtedy w łazience dla kalek, gdy odwrócił głowę i po raz pierwszy dostrzegł w górze niewyraźny błysk metalu, i zobaczył z ukosa, kątem oka, obosieczne ostrze gotowe już na niego opaść: wtulił głowę w ramiona jak w spazmie bólu, tak jak musieli robić rozmyślnie lub nieświadomie wszyscy ścinani gilotyną przez dwieście lat albo toporem przez setki stuleci, jak musiały robić nawet kury i indyki, odkąd pierwszemu człowiekowi z nudów albo z głodu przyszło na myśl odrąbać komuś głowę. Tak samo jak wtedy uniósł górną wargę, niemal wywinął ją w grymasie, ukazując wyschnięte dziąsło, do którego – z braku śliny – przykleiła się wewnętrzna część wargi. W jego oczach zobaczyłem irracjonalny, wszechogarniający, wykluczający wszystko inne strach, jakby sama moja obecność wybiła go z rzeczywistości i jakby w sekundę zapomniał, gdzie się znajduje, w hiszpańskiej ambasadzie przy Dworze Świętego Jakuba albo St. Jamesa, albo San Jaimego, gdzie pracował bądź spędzał codziennie czas w otoczeniu strażników i kolegów, którzy przyszliby mu z pomocą, byli niedaleko; zapomniał o siedzącym naprzeciwko niego znakomitym zirytowanym profesorze Ricu i o tym, że w obecności tegoż niewiele mógłbym mu zrobić. Było to dla mnie tym bardziej przykre, tym bardziej mnie zmieszało i poraziło, że nie chciałem przecież zrobić mu nic złego, wprost przeciwnie, chciałem się przekonać, czy wrócił do siebie, zapytać go o zdrowie, upewnić się, że nie doznał trwałego uszczerbku, a nawet gdyby nadarzyła się sposobność, choć typa nie cierpiałem, powiedzieć, że bardzo żałuję. Żałuję, że nie zrobiłem nic

więcej, że dopuściłem do tego, co się stało, że nie pomogłem mu uciec ani nie stanąłem w jego obronie, że nie umiałem sprawić, by Tupra się opamiętał (aczkolwiek Tupra zawsze miał wszystko dobrze wykalkulowane i nic w jego zachowaniu nie było pospieszne ani bezmyślne). Starabym się nawet przekonać tego kutasa, że mimo wszystko miał szczęście, bo wyszedł z tego cało, i że mój kolega Reresby, jakkolwiek niewiarygodnie brutalny, wyświadczył mu wielką przysługę, uprzedzając żadnego krwi Manoię (widziałem i nie widziałem go w akcji na nagraniu, on naprawdę był Sir Cruelty, zamknąłem oczy, nie chciałem ich zakryć, ale przy takiej scenie trzeba mieć oczy zawiązane), a tym samym uniemożliwiając mu wymierzenie kary na własną rękę. Nie mogłem jednak ani nie powinienem był nic mu tłumaczyć, szczególnie w obecności Rica, który widząc przemianę Rafity, zerknął z pogardliwym zaciekawieniem w moją stronę (wszystko związane z Rafitą musiało budzić w nim pogardę, miał go z pewnością za głupka i pomyłęca).

Tak, odkrycie, że mogłem wzbudzić w kimś strach, było uczuciem bardzo nieprzyjemnym, a nawet więcej: niepojętym. Niewątpliwie budziłem ten strach przez skojarzenie, przez asymilację, bo przecież sam De la Garzy nie tknąłem, prawdopodobnie on wyszedł teraz z założenia, że my dwaj zawsze chodzimy razem, i przeraził się, że zaraz Tupra wychynie zza moich pleców. Ale ja przyszedłem sam, nie informując o tym mego szefa, który nie byłby z tego zadowolony. „Ma do ciebie nie dzwonić i nie żądać wyjaśnień, ma ci dać spokój, zapomnieć o twoim istnieniu”, kazał mi powiedzieć Tupra, przetłumaczyć te słowa leżącemu, zanim zostawił De la Garzę, muskając jego twarz połą uzbrojonego płaszcz przy wyjściu. „Niech sobie wbije do głowy, że nie ma czego wyjaśniać, brak powodów, żeby składać oficjalne doniesienia albo protesty. Ma milczeć, o niczym nie opowiadać. Nawet jako o przygodzie. I niech to sobie dobrze zapamięta”. I Rafita zastosował się do tych poleceń co do joty, wymyślił jakieś

kłamstwo, by wytłumaczyć swoje pobicie przed kolegami. I najwyraźniej dobrze wszystko zapamiętał, co więcej, od tamtej pory to wspomnienie nie opuszczało go ani na chwilę, był kłębkim nerwów za dnia i nocą, na jawie i we śnie, choćby potem ośmielał się rapować przed Rikiem i robić inne niewyobrażalne kretynizmy. Ujrzawszy mnie w korytarzu tak blisko, może – z jego perspektywy – zaczajonego, musiał spanikować i pomyśleć, że to ja nie zostawiam go w spokoju ani o nim nie zapominam. „Mógł stracić głowę, niewiele brakowało” dodał przy tamtej okazji Reresby. „A skoro nie stracił, powiedz mu, że wszystko jeszcze może się zdarzyć przy innej okazji, kiedykolwiek, wiemy, gdzie go znaleźć. Niech o tym nie zapomina, powiedz mu, że miecz jest zawsze w pogotowiu”. Pomiąłem te ostatnie słowa, nie przetłumaczyłem ich, odmówiłem ich żyrowania, ale przetłumaczyłem całą resztę. Wszystko musiało wryć się De la Garzy w pamięć pomimo przytłumionej świadomości po wstrząsie wywołanym widokiem stalowego ostrza i uderzeniach o tępe cylindryczne poręcze: „Wiemy, gdzie cię znaleźć”. Nic pewniejszego, i oto właśnie go znalazłem, i byłem jego postrachem, groźbą.

Wzbudzam w nim nieprzezwyjęzony strach, przemknęło mi przez myśl. Jak to możliwe? Nie sądzę, by wcześniej ktokolwiek mnie się bał, a teraz ten człowiek skamieniał i skulił się ze strachu na mój widok, mimo że jest w swoim gabinecie, na nienaruszalnym terenie ambasady, w towarzystwie członka Hiszpańskiej Akademii, obiektywnie rzecz ujmując, jest bezpieczny, musiałby tylko krzyknąć i jego koledzy dyplomaci oraz jakiś ochroniarz lub strażnik stawiliby się w jednej chwili. On jednak przeczuwa, że przybyliby za późno, gdybym ja miał przy sobie pistolet albo miecz, albo nóż i od razu użył go przeciwko niemu, nie zważając na konsekwencje i bez słowa, to właśnie podpowiada mu intuicja, a może zbyt dobrze jeszcze pamięta, że dostrzegłszy obosieczne ostrze, nic już nie mógł zrobić, żeby się uratować: śmierć nadchodzi w sekundę, żyjesz, a zaraz potem jesteś już

trupem, nie wiesz nawet kiedy, tak czasem bywa, i oczywiście zawsze tak jest na wojnach i podczas lotniczych bombardowań, to rozpowszechniona praktyka, która jakkolwiek zwyczajowa i ogólnie akceptowana, zawsze jest bezprawna i niegodziwa, dużo bardziej niż użycie kuszy w czasach Ryszarda *Yea and Nay* albo Tak i Nie, owego zmiennego *Coeur de Lion*, którego dosięgła strzała z niegodziwej kuszy pod koniec XII wieku: słyszysz huk, a potem już nic więcej nie słyszysz ani nie widzisz i to nie ty, lecz w najlepszym razie ktoś inny, kto pozostanie przy życiu, słyszy świst kuli, która przebija nam głowę. Tak, ten człowiek robi teraz wszystko, co mu każę, nie tylko przez kilka długich minut, ciągnących się w nieskończoność jemu, a i mnie także, doświadczył rzeczywistego uczucia strachu przede mną – albo przed Tuprą, którego jestem przedstawicielem, stronnikiem, symbolem – lecz w dodatku często je ostatnio przeczuwał, we śnie i na jawie: możliwe, że widział we śnie, jak zbliżamy się do niego zdecydowanym krokiem niczym dwaj płatni mordercy, żeby go posiekać na kawałki, może występowaliśmy w jego koszmarach sennych, w których był ścigany i łapany i znowu ścigany i łapany, i może od tamtego czasu ciężymy ołowiem na jego duszy. Ponieważ „nawet sny wiedzą, że prześladowca zazwyczaj nas dopada, i wiedzą to, począwszy od «Iliady»”, jak powiedział do mnie Tupra owej nocy, troszkę później, gdy obaj siedzieliśmy w jego samochodzie przed bramą mego domu, on uważał, że w domu ktoś na mnie czeka, a nikogo tam nie było, tylko zapalone światło i może – naprzeciwno – tancerz.

Zrobiłem trzy szybkie kroki i odezwałem się. Wszedłem do gabinetu i powiedziałem swobodnie, niemal jowialnie:

– Jak się masz, Rafita? Widzę, że odzyskałeś już w pełni siły. – I natychmiast dodałem, chcąc mu pokazać, że zamierzam zachować pozory i nie mam wrogich ani agresywnych zamiarów: – Przepraszam za najście. Nie przedstawisz mnie? – I skierowałem się wprost do profesora Rica, który

nie wykonał najmniejszego ruchu wskazującego na to, że zamierza wstać, ograniczył się do wyciągnięcia w górę ręki, jak dawne damy, i przesunięcia jej jak najbliżej w moją stronę, miał szalenie dystygowaną dłoń i bardzo elegancki mankiet koszuli, co najmniej marki Cuprì albo Sensatini, znakomitych firm, uścisnąłem ją uprzejmie (rękę, nie koszulę). De la Garza nie zareagował, nie powiedział też ani słowa (tylko patrzył na mnie przerażony: tak strasznie się mnie bał, że nie przeszkodził mi podejść do Rica, w gruncie rzeczy nie przeszkodziłby mi teraz w niczym, zrozumiałem, że mogę zrobić wszystko, co chcę), przedstawiłem się zatem sam: – Jacques Deza, Jacobo Deza. Jeśli się nie mylę, mam przyjemność z panem Franciskiem Rikiem, słynnym uczonym. Czyż nie tak?

Sprawiło mu przyjemność, że został rozpoznany, i jak mniemam, tylko dlatego zaszczycił mnie odpowiedzią, bo ogólnie jego postawa nie wskazywała na najmniejsze zainteresowanie moją osobą (kimkolwiek byłem, nosiłem piętno kogoś, kto przychodzi do attaché-rapera).

– Deza, Deza... Czy pan nie jest przyjacielem, znajomym albo uczniem... albo, eee, wszystko jedno... sir Petera Wheelera? Pana nazwisko obięło mi się o uszy.

Obaj mężczyźni byli wielkimi znakomitościami i uczonymi, wiedziałem, że się znają i wzajemnie darzą podziwem.

– Istotnie, jestem jego bliskim przyjacielem, panie profesorze.

– Nazwisko wydało mi się znajome. Rozpoznałem je. Musiał mi kiedyś o panu wspomnieć, aczkolwiek nie mam pojęcia z jakiego powodu. Od razu wydało mi się znajome – powiedział zadowolony ze swej dobrej pamięci.

De la Garza nie słuchał tej zdawkowej rozmowy. Odsunął się trochę dalej ode mnie, stał teraz za swoim biurkiem, jakby uważał, że posłuży mu za ochronę i w razie potrzeby pozwoli uciec.

– Czego ty, kurwa, chcesz? – zapytał nagle. Pomimo przekleństwa jego ton nie był wrogi ani opryskliwy, raczej błagalny, jakby życzył sobie

jedynie, żebym zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (zgiń, przepadnij, maro przeklęta), i pragnął z całych sił usłyszeć odpowiedź: „Już znikam. Nic nie chcę. Nigdy mnie tu nie było”.

– Nic takiego, Rafita, chciałem się tylko upewnić, że doszedłeś do siebie po wypadku, że nie ma żadnych następstw. Przechodziłem obok i przyszło mi na myśl, że zajrzę i zapytam, martwiłem się o ciebie. To przyjacielska wizyta, zaraz sobie pójdę, nie bądź taki niecierpliwy. Nic ci nie jest? Dobrze się już czujesz? Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, zapewniam cię.

– A co się stało? Co to za wypadek? – zapytał dość sceptycznie Rico. – Wobec tego, co tu wcześniej widziałem i słyszałem, cokolwiek go spotkało, to i tak nie dość – mruknął do siebie, ale świetnie było słyszeć.

Jednakże Rafita nie zwrócił uwagi na cierpki komentarz, profesor i jego złość zeszły dla niego na drugi plan, zanadto był zajęty moją osobą, trwał czujny, napięty, jakby się obawiał, że lada chwila mogę skoczyć mu do gardła jak tygrys. Dla mnie to było dziwne uczucie, na początku trochę zabawne, wiedziałem, że nie byłbym zdolny zrobić mu krzywdy i że nie chciałem jej zrobić. Ja to wiedziałem, ale on nie wiedział, a wiedza wbrew temu, co sądzą nauczyciele, nie jest przekazywalna, można tylko przekonywać. Trochę mnie bawiła ta przepaść między jego percepcją i moją wiedzą, a przecież było zarazem smutne, że mogę być postrzegany jako niebezpieczeństwo, jako ktoś groźny i brutalny. De la Garza wprost nie posiadał się ze strachu, jakby siedział na rozżarzonych węglach.

– Uwierz mi, chciałem się tylko dowiedzieć, jak się miewasz – próbowałem go uspokoić, przekonać. – Byłeś bardzo męczący i popełniłeś straszną gafę, dużo większą, niż przypuszczasz, mimo to nie spodziewałem się takiej reakcji mego szefa, naprawdę mi przykro. Była dla mnie kompletnym zaskoczeniem i wydała mi się niewspółmierna. Nie znałem jego zamiarów i nie mogłem im zapobiec.

– Jakiego szefa? Sir Petera? Nic nie rozumiem z tej waszej rozmowy, *élgar*. Wcale się nie dziwię, że sir Peter zachował się nieprzyjemnie, jest za stary, żeby znosić podobne debilizmy – zaatakował ponownie Rico nie tyle z zaciekawienia sprawą, ile z nudów. Wyglądał na jednego z tych osobników, którzy nie znoszą mieć beczynnego mózgu, a jak się czegoś od razu nie zrozumie, to mózg pozostaje beczynny i tylko czeka, to nie do wytrzymania dla ludzi, którzy myślą bez wytchnienia. To „*élgar*” oznaczało potrzebę zrozumienia.

– Idź sobie, wyjdź stąd, już sobie idź – odezwał się infantylnie ten głupek. Nie słuchał, co do niego mówię, nie przysłuchiwał się moim wyjaśnieniom, prawdopodobnie w ogóle mnie nie słyszał. Był całkowicie rozdygotany, popadł w ten stan w jednej krótkiej chwili, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że obaj z Tuprą musieliśmy go często nawiedzać w koszmarach sennych, tam akurat byliśmy pewnie nierozłączni. – Proszę cię, idź sobie, błagam, zostaw mnie, czego jeszcze chcecie, do diabła, nic nie powiedziałem, nikomu nie powiedziałem, jak było naprawdę, dość już tego.

Rico zapalił papierosa, zdał sobie sprawę, że ten ponury konflikt rozgrywa się wyłącznie, i może chorobliwie, między mną i De la Garzą i że on nic więcej z tego nie wyczał. Machnął ręką na znak zniechęcenia, porzucił swoje próby bez żalu i wyartykułował jeszcze jedną ze swoich urozmaiconych onomatopei:

– *Esh* – mruknął. Dla mnie zabrzmiało to jak „A do diabła z tymi dwoma idiotami, zajmę się własnymi myślami, nie mogę tracić na nich więcej czasu”.

Widziałem, jak bardzo Rafita jest roztrzęsiony – zaciśnięte pięści nadal miał przylepione do ciała (nie jak broń, lecz jak tarcza), zmałowany wzrok, przyspieszony oddech nawracający napadowo i za każdym razem niepowstrzymany kaszel – owładnięty jakąś na nowo przeżywaną paniką,

której prawdopodobnie obawiał się od miesięcy. Jeszcze czas jakiś będzie tkwił w tym oparze ciągłego strachu, szybko się nie uwolni. Tamten wieczór musiał być dla niego strasznym doświadczeniem, zawsze dostrzega się od razu rzeczywiste niebezpieczeństwo śmierci, nawet jeśli ostatecznie wszystko się kończy na śmiertelnym strachu. Nie miało sensu nalegać. Zadałem sobie pytanie, jak by się zachował, gdyby zamiast mnie w drzwiach jego gabinetu stanął niespodziewanie Reresby. Pewnie by zemdlał, dostał jakiegoś ataku, rozległego zawału. Poszedłem tam powodowany troską o niego (na ile to było możliwe), nie miało sensu narażać go swoją obecnością na nowe cierpienia. Poza tym mogłem odejść z czystym sumieniem. Fizycznie był w dobrej formie. Może dokuczały mu jeszcze jakieś bóle, jakieś dolegliwości, ale ogólnie wrócił do zdrowia. Czym innym było jego uczucie niepewności, obecne i przyszłe, jeszcze długo miało mu towarzyszyć. Teraz zapewne nie czuł się komfortowo na świecie, doskwierał mu dodatkowy strach i stałe poczucie zagrożenia. Mimo że nie powstrzymało go od wygadywania bzdur, położyło przecież kres głęboko zakorzenionej w nim pyszałkowatości.

– Już wychodzę, nie denerwuj się. Widzę, że masz się dobrze, choć teraz wyglądasz niespecjalnie. Przypuszczam, że to z mojej winy. Kiedy recytowałeś te swoje rymowanki, byłeś w dobrej formie. Jeszcze kiedyś do ciebie wpadnę. – Spostrzegłem, że tym ostatnim niewinnym zdaniem wpędziłem go w jeszcze większy popłoch. Z jego punktu widzenia musiało zabrzmieć jak pogróżka. Trudno, nie wyprowadziłem go z błędu, i tak by się nie udało, poza tym było mi wszystko jedno. W chwili słabości chciałem go odwiedzić i zapłaciłem za własną słabość i winę. – Do widzenia, panie profesorze. Poznanie pana było dla mnie zaszczytem. Żałuję, że nasze spotkanie było takie krótkie i dziwaczne.

– Wszystko, co się tyczy młodego De la Garzy, jest dziwaczne – powiedział z pogardą, bagatelizując całą sprawę, bywał pewnie świadkiem



gorszych; wstał, choć nie po to, żeby uścisnąć mi dłoń, lecz żeby wyjść. Złość mu przeszła, ta sytuacja nie miała z nim nic wspólnego, jego myśl błędziła już w innych rejonach. – Proszę poczekać, ja też wychodzę. Z tobą, Rafita, widzimy się wieczorem na wykładzie. Wiem, że nie mam co liczyć na twoją nieobecność.

Zostawiliśmy De la Garzę, który nadal tkwił za biurkiem jak za barykadą, nie miał śmiałości usiąść. Nie pożegnał się z nami, pewnie nie był jeszcze w stanie wykrztusić z siebie żadnych cywilizowanych słów. Gdy razem z profesorem wolnym krokiem szliśmy labiryntem korytarzy ku wyjściu, nie mogłem się powstrzymać, by nie dorzucić czegoś tytułem usprawiedliwienia:

– Widzi pan, kiedyś się pokłóciliśmy i jemu jeszcze nie przeszło.

– Nie przeszło – przyznał. – Pewnie jest pan z siebie zadowolony: narobił w gacie ze strachu, miał niezłego cykora. Ma pan szczęście, że może go trzymać na dystans. Ja przyjaźnię się trochę z jego ojcem i przez to muszę go tolerować. Szczęśliwie tylko od czasu do czasu, tylko wtedy, gdy przyjeżdżam do Londynu na jedno z tych oficjalnych nudziarstw.

Gdy wyszedłem na ulicę i rozstaliśmy się (nie wcześniej, co dziwne), zauważyłem, że pochlebił mi strach Rafity. Zmuszać do respektu, budzić strach, ujrzeć samego siebie jako zagrożenie, tak, to miało swoje przyjemne strony. Dzięki temu człowiek czuł się pewniejszy, bardziej optymistyczny, silniejszy. Czuł się ważniejszy i... jak by to powiedzieć... pewniejszy siebie. Ale nim złapałem taksówkę, starczyło mi jeszcze czasu, by poczuć odrazę do tej niespodziewanej pychy. Co nie znaczy, że to drugie uczucie przegnało zarozumialstwo, raczej z nim współistniało. Oba trwały pomieszane do chwili, gdy się rozpląnęły, a potem o nich zapomniałem.

Gdy od dawna nie wracało się w dobrze znane miejsce, nawet jeżeli to rodzinne miasto, do którego jest się najbardziej przywiązany, mieszkało się tam najdłużej i nadal tam mieszkają nasze dzieci i ojciec, i rodzeństwo, a nawet nasza miłość tak długo niezłomna (i choćby to miasto było potrzebne jak powietrze), w pewnej chwili jego kontury zaczynają się zacierać, a wspomnienie się mąci, jakby pamięć cierpiała na krótkowzroczność i – by tak rzec – na schorzenie kinematograficzne: rozmaite epoki układają się obok siebie i traci się pewność, jakie miejsce się porzuciło albo z jakiego ostatnio wyjechało, czy z miejsca dzieciństwa, może z miejsca młodości, a może wieku męskiego, wieku dojrzałości, kiedy otoczenie traci wagę i jakkolwiek trudno to przyznać, tak naprawdę wystarcza, że ma się własny kąt właściwie gdziekolwiek na świecie.

Taki właśnie jawił mi się Madryt w trakcie mej przedłużającej się nieobecności: zamazany i niewyraźny, kumulujący, drgający, był sceną, która mało mnie dotyczyła, mimo że wiele w nią zainwestowałem – tyle przeszłości, również tyle teraźniejszości na odległość – i która przede wszystkim świetnie obywatela się beze mnie (ostatecznie przecież mnie odprawiono, wykluczono z tego skromnego przedstawienia). To prawda, że każde miejsce może się bez nas obyć, nigdzie nie jesteśmy nieodzowni, nawet dla tych kilku osób, które utrzymują, że brak im naszej obecności albo że nie mogą bez nas żyć, ponieważ wszyscy szukają zastępców i prędzej czy później ich znajdują albo godzą się w końcu z naszą nieobecnością i wygodnie im z tym uczuciem, i już nie chcą wprowadzać żadnych zmian, nawet po to, żeby pozwolić wrócić komuś utraconemu lub długo opłakiwanemu, żeby nas odzyskać. Nie wiadomo, kto zajmie nasze miejsce, wiadomo tylko, że zawsze ktoś nas zastępuje, przy wszystkich

okazjach i we wszystkich okolicznościach, i w każdej roli – i nie mają znaczenia ta pustka albo ten ślad, jakie w naszym mniemaniu lub faktycznie po sobie zostawiliśmy, nieważne, czy dlatego, żeśmy znikli czy umarli, nieszczęśliwi czy już spełnieni, gwałtownie czy spokojnie – ktoś zastępuje nas w miłości i przyjaźni, w pracy i w oddziaływaniu, w intrygach i strachu, w dominacji, a nawet w samej tęsknocie, w nienawiści, która też się nami w końcu męczy, i w pragnieniu zemsty – które traci na wyrazistości i zmienia swój obiekt, ponieważ ociąga się i zwleka, *it delays and lingers*, czego Tupra kazał mi nie robić – w domach, w których mieszkaliśmy, pokojach, w których dorastaliśmy, i w miastach, które nas tolerują, w korytarzach, po których szaleliśmy jako dzieci, i w oknach, przez które wyglądaliśmy rozmarzeni jako młodzi ludzie, w rozmowach telefonicznych, w których się do czegoś namawia albo słucha cierpliwie i wybucha radosnym śmiechem, albo szepce się coś na zgodę, w pracy i przy zabawie, w sklepach i w biurach, przy kontuarach i za biurkami, podczas partii szachów albo gry w karty, w dziecięcym krajobrazie, który uważaliśmy za wyłącznie nasz, i na ulicach wyczerpanych patrzeniem na przemijanie pokolenia za pokoleniem, na wszystkich zmierzających do tego samego smutnego końca; w restauracjach i na spacerach, i w cudnych parkach, i na słodkich polach, na balkonach i tarasach, z których tyle razy podziwialiśmy księżyc znudzony patrzeniem na nas, i w naszych fotelach, i krzesłach, i w pościeli, aż znika z niej nasz zapach i wszelki ślad po nas, a prześcieradła zostają podarte na szmaty albo na ścierki, nawet przy pocałunkach ktoś nas zastępuje i wtedy ta druga osoba zamyka oczy, żeby nas lepiej zapomnieć (bo poduszka jest nadal ta sama albo żebyśmy nie pojawili się nagle w jakiejś zdradzieckiej, niepowstrzymanej wizji); we wspomnieniach i w myślach, i w marzeniach, i wszędzie, i tak oto wszyscy jesteśmy jak śnieg na ramionach, śliski i uległy, a śnieg zawsze topnieje...

Upłynęło dużo czasu, odkąd nie byłem w Madrycie, ja również ulotniłem się albo stopniałem, nie pozostał po mnie albo zapewne nie pozostał żaden ślad, co najwyżej obwódka, to, co najtrudniej usunąć, a także imię, którego nie porzuciłem, nie osiągnąwszy jeszcze owego stanu dziwności. Nie w domu mego ojca, rzecz jasna, tam nie przestałem istnieć, ale nie ten dom miałem na myśli, lecz inny, który kiedyś był moim domem. A teraz miałem się może dowiedzieć, kto mnie zastąpił, choćby tylko chwilowo i wcale nie na stałe, ostateczne zastępstwo każe na siebie poczekać albo samo czeka cierpliwie na swoją kolej, ten, kto zajmuje nasze miejsce na stałe, nie spieszy się i pozwala, żeby najpierw inni spłonęli na stosie, który Luisa kiedyś podpaliła dla nas i który nadal płonie i obejmuje płomieniem każdego, kto się zbliży, i nie wygasa sam z siebie po naszym obróceniu się w popiół. Ten, który dziś byłby u jej boku, nie musi mnie jeszcze niepokoić albo tylko troszeczkę przez sam fakt, że jednak jest przy niej i przy moich dzieciach.

Postanowiłem nie zawiadamiać ich wcześniej z Londynu, lecz poczekać z tym do przyjazdu do Madrytu, tak bym zaraz po telefonie mógł pójść z taką na pół nieoczekiwaną wizytą. Chciałem się tylko upewnić, że są w domu – znałem rozkład dnia, zawsze jednak może zdarzyć się wyjątek albo coś nagłego – i pojawić się po kilku minutach z szerokim uśmiechem i z prezentami. Zobaczyć wybuch radości dzieci i kątem oka rozbawione, a może chwilami nostalgiczne spojrzenie Luisy, to uznałbym już za jakąś namiastkę sukcesu, za płomyczek złudnej nadziei, może wystarczającej, by podtrzymać mnie na duchu podczas tego sztucznego dwutygodniowego pobytu, który wydał mi się zbyt długi natychmiast po wylądowaniu.

Zatrzymałem się w hotelu, nie u ojca, wiedziałem od rodzeństwa – nie od niego samego, on nigdy nie mówił o swoich problemach – że podupadł na zdrowiu w ciągu minionych dwóch miesięcy, dowiedziawszy się wcześniej od lekarzy, że przebył w przeszłości trzy „zawaliki” – tak je nieoficjalnie

nazwali – o których nic nie wiedział, nie potrafił powiedzieć, kiedy dokładnie mu się przytrafiły; i jakkolwiek często go odwiedzali moi bracia, siostra, niektóre z jego wnuczek oraz moje szwagierki, nie pozostało nic innego, jak wziąć do niego opiekunkę na stałe, dość miłą Kolumbijkę, która spała w pokoju, w którym mógłbym się zatrzymać, i wyręczała też w domowych zajęciach posuniętą już w latach służącą. Nie chciałem zatem zaburzać tej nowej organizacji życia swoją obecnością. Przy mojej ówczesnej pensji mogłem bez problemu pozwolić sobie nawet na hotel Palace, tam też zarezerwowałem obszerny pokój. Łatwiej było mi zamieszkać w hotelu niż w cudzym domu, łącznie z domem ojca i z domami moich najlepszych przyjaciół lub przyjaciółek, bardzo gościnnych kobiet: czułbym się nie tylko jak intruz, lecz jak wygnaniec z własnego domu, gdy tymczasem w hotelu mogłem sam przed sobą udawać cudzoziemca, jeśli już nie turystę, i nie mieć tak dojmującej świadomości odrzucenia, a potem przyjęcia pod czyjś dach.

Porozmawiałem przez telefon z ojcem, rozmowa była krótka jak zwykle, chociaż teraz nie miał wymówki, że dzwonię z Anglii, co uważał za bardzo kosztowne (należał do oszczędnego pokolenia, które korzystało z telefonu jedynie do przekazywania i odbierania wiadomości, aczkolwiek Wheeler taki nie był, możliwe, że chodziło o pokolenie hiszpańskie), umówiłem się, że przyjdę do niego nazajutrz. Jego głos brzmiał normalnie, nie inaczej niż przy poprzednich okazjach, gdy telefonowałem z Londynu, a dzwoniłem co tydzień albo nawet częściej; był troszkę bardziej zmęczony, nic więcej, ojciec nie lubił długo trzymać telefonu przy uchu. Dziwne było to, że nie usłyszałem w jego głosie wylewności ani nic uroczystego, jakbyśmy widzieli się dwa dni wcześniej, jeżeli nie wczoraj, jakby utracił nagle poczucie czasu, jego upływu, i jakby ludzi, których dobrze znał i którzy byli mu bardzo bliscy albo o których zawsze myślał, uważał za stale obecnych, tak bardzo obecnych, że nie odczuwał tęsknoty, to znaczy nie

namacalnie, albo nie zdawał sobie sprawy z ich nieobecności. Ja byłem po prostu mną, jednym z jego dzieci, przez to kimś niezmiennym, miałem tak ustaloną pozycję w jego myślach, że naprawdę nie zauważał mojej fizycznej nieobecności lub oddalenia ani nienormalnie długich przerw między moimi odwiedzinami czy też raczej całkowitego braku tych odwiedzin. On sam prawie już nie wychodził. „Przyjechałem z Londynu, tato – powiedziałem – na jakieś dwa tygodnie”. „To dobrze. I co tam?”, zapytał bez najmniejszego zaskoczenia. „Nic szczególnego. Jutro do ciebie przyjdę, to porozmawiamy. Dziś chcę zobaczyć dzieci, pewnie z trudem je rozpoznam”. „Byli u mnie kilka dni temu ze swoją matką. Ona rzadko mnie odwiedza, ale przychodzi, kiedy może. I dzwoni”. Luisa nie była tak obecna w jego myślach jak ja, pamiętał więc, kiedy do niego przychodziła, a kiedy nie, do pewnego stopnia wciąż była dla niego kimś nowym. „Pewnie jest bardzo zabiegana”, odpowiedziałem, jakby nadal była to moja sprawa i jakbym powinien był ją usprawiedliwić. Wiedziałem, że to niepotrzebne, miała wiele ciepłych uczuć dla mego ojca, poza tym jej ojciec umarł przed kilkoma laty, zastąpiła więc, na ile to możliwe, swego utraconego ojca moim. Skoro nie odwiedzała go częściej, to dlatego, że naprawdę nie mogła. „Ładnie wyglądała?”, zapytałem głupio. „Luisa jest ładna. Nie wiem, dlaczego zadajesz mi takie pytanie, przecież musisz widywać ją częściej niż ja”. Wiedział o naszej separacji, nie ukryliśmy tego przed nim, jak czasem ukrywa się przed starymi ludźmi wiadomości, które mogą ich zasmucić. „Mieszkam teraz w Anglii, tato – przypomniałem mu – już dawno jej nie widziałem”. Zamilkł na chwilę, a potem powiedział: „Przecież wiem, że mieszkasz w Anglii. No cóż, skoro tego właśnie chcesz, synu. Mam nadzieję, że ten pobyt w Oksfordzie jest dla ciebie pożyteczny”. Wiedział oczywiście, że mieszkam w Londynie, lecz chwilami mieszały mu się różne czasy, co tak naprawdę nie jest dziwne, czas jest przecież pewnym *continuum* i zawsze się w nim jest, aż na pozór przestaje się być.

Musiałem zadzwonić do Luisy przed zjawieniem się u niej w domu, nie tylko po to, żeby upewnić się co do obecności dzieci, ale przez szacunek dla niej. Wciąż miałem klucze do domu, a prawdopodobnie nie zmieniła zamków w drzwiach; pewnie mogłem po prostu przyjść bez uprzedzenia, najpierw byłoby zaskoczenie, potem radość; to jednak wydało mi się nadużyciem, ona nie uznałaby tego za zabawne, a poza tym ryzykowałem, że natknę się na mego tymczasowego zastępcę, kimkolwiek był, zakładając, że miał już stały dostęp do domu. To nie zdawało się prawdopodobne, lecz wobec braku pewności należało się powstrzymać: takie spotkanie byłoby bardzo kłopotliwe i dla mnie z pewnością jeszcze mniej zabawne. Sama myśl, że mógłbym zastać jakiegoś nieznanego na kanapie, na moim miejscu, albo szykującego coś w kuchni na szybką kolację, albo oglądającego z dziećmi telewizję, żeby wejść w rolę ojca i zrobić z siebie sympatycznego gościa, albo zakolegować się z Guillermem, przyprawiała mnie o mdłości. Byłem przygotowany na wiadomość, nie na bezpośredni widok, który prześladowałby mnie potem w Londynie i nigdy już nie dałby się zapomnieć.

Wybrałem numer, było popołudnie, dzieci z pewnością wróciły ze szkoły. Ona odebrała telefon, a gdy powiedziałem, że jestem w Madrycie, bardzo się zmieszała, chwilę trwało, nim zareagowała, jakby wobec tego nieoczekiwanego faktu rozważała szybko wszystkie możliwości, a potem: dlaczego mnie nie uprzedziłeś? co to za pomysły, tak się nie robi; chciałem zrobić wam niespodziankę, to znaczy szczególnie dzieciom, nadal chcę, nic im nie mów, że przyjechałem, pozwól, że zjawię się niezapowiedziany, przypuszczam, że nigdzie już dzisiaj nie wychodzą, mogę przyjść teraz?

– Oni nie wychodzą, ale ja tak – odparła pospiesznie i jakoś speszona, aż zastanowiłem się mimowolnie, czy powiedziała prawdę czy raczej teraz to postanowiła, znaczy wyjść z domu, usunąć się, nie być, gdy przyjdę, oszczędzić sobie mego widoku i nie spotkać się ze mną.

– Musisz teraz wychodzić? – Liczyłem na jej obecność, na jej przychylnie spojrzenie, gdy spotkamy się znowu we czwórkę, bez niej jako świadka nie byłoby tak samo.

– Tak, za chwilę, czekam na opiekunkę do dzieci – powiedziała. – Wiesz co? Od razu do niej zadzwonię, nim wyjdzie z domu, żeby uprzedzić ją o twoim przyjściu. Nie zna cię, mogłaby cię nie wpuścić, zabroniłabym jej otwierać obcym, a dla niej byłbyś obcy, przykro mi. Rozłącz się teraz, żebym mogła ją zawiadomić, a ja zaraz oddzwonię. Gdzie jesteś?

Podałem jej numer hotelu i mojego pokoju. Jakoś nadmiernie się spieszyła, w dzisiejszych czasach w każdej chwili można zlokalizować każdą opiekunkę, wszystkie mają komórki. Przyszło mi do głowy, że być może dopiero teraz zamierza do niej zadzwonić i ściągnąć ją czym prędzej wobec powstałej sytuacji – stąd taki pośpiech – i żeby zdążyła przyjść, a Luisa wyjść, zanim ja się pojawię. Jeżeli teraz, napędce, postanowiła wyjść, nie pomyśli przecież, że ja nadal mam klucz, i nie zostawi dzieci samych nawet na chwilę, by na mnie czekały nieświadome tego, że czekają. Odniosłem przykre wrażenie, że stara się uniknąć spotkania ze mną. Nie byłem jednak pewien, możliwe, że przywykłem zanadto do interpretowania zachowania ludzi, wszystkich ludzi, tych w pracy i tych poza pracą, do poddawania analizie każdej modulacji głosu i każdego gestu i dopatrywania się jakichś ukrytych powodów w każdym przejawie pośpiechu lub zwłoki. To nie był właściwy sposób na życie, karmiłem tym jedynie własne wyobrażenia.

Nie oddzwaniała strasznie długo, tak długo, że zacząłem się niecierpliwić, ponownie nabrałem podejrzeń i zapragnąłem usłyszeć, że rezygnuje z wyjścia i tym samym rozwiewa moje podejrzania. Zacząłem też myśleć, że może gra na czas, to znaczy zwleka, żeby opiekunka miała więcej czasu na dojazd, a równocześnie żebym ja opóźnił swoje wyjście w tym samym kierunku, do naszego domu, który już nie był moim domem.



Siedziałem na łóżku bez ruchu, tak się robi, kiedy się czeka na coś, co może się zdarzyć w każdej chwili, przekłete wyrażenie, zmienia każdą sekundę w nieskończoność i pozostawia w zawieszeniu. Czekałem już ponad kwadrans, gdy wreszcie zadzwonił telefon.

– Cześć, to ja – powiedziała Luisa tak samo jak swego czasu powiedziała młoda Pérez Nuix, dzwoniąc do drzwi mego domu nocą podczas silnej nieustającej ulewy, w przypadku Luisy to było bardziej usprawiedliwione, koniec końców ona była dla mnie przez wiele lat tym nie budzącym wątpliwości „ja” (na ogół w małżeństwach przyjmuje się za pewnik, że nie ma więcej takich „ja”) i od dłuższego czasu czekałem na jej telefon. Była też w swoim prawie, by założyć, że rozpoznam ją bez dodatkowych prezentacji (któż inny mógłby to być, kto jeżeli nie ja, nie ona) od pierwszego słowa i od razu, i mogła być niemal pewna, że jej osoba zajmuje wszystkie albo większość moich myśli, aczkolwiek teraz niekoniecznie musiało jej o to chodzić, ona była myślami gdzie indziej albo starała się pogodzić jakoś to inne miejsce z moją niepożądaną obecnością, nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że moja obecność jest dla niej jakąś uciążliwością. – Przepraszam, opiekunka miała cały czas zajęte. Uprzedziłam ją, że przyjdiesz i że ma cię zawczasu nie wydać, nic nie powie dzieciom. Kiedy będziesz?

– Nie wiem, liczę, że dojazd stąd zajmie mi jakieś dwadzieścia minut. Wezmę taksówkę.

– W takim razie bądź tak miły i nie wychodź wcześniej niż za jakieś piętnaście albo dwadzieścia minut, żeby zdążyła się rozebrać i ogarnąć trochę dzieci. Postaraj się nie wybić ich zanadto z codziennego rytmu, inaczej jutro będą nieprzytomni, a mają szkołę. Byłoby dobrze, gdyby położyli się najpóźniej o jedenastej, to i tak późno jak na nich. Przecież jeszcze się zobaczycie. Na jak długo przyjechałeś?

– Na dwa tygodnie – odparłem i znowu odniosłem wrażenie, że to dla niej kolejny nieoczekiwany kłopot, żeby nie powiedzieć: kolejna przeszkoda, coś, z czym będzie musiała się zmagać, zmartwienie.

– Aż tyle? – Nie potrafiła się powstrzymać, usłyszałem raczej niepokój niż radość. – Co się stało?

– Mówiłem ci, że miałem wyjechać z moim szefem. Ostatecznie wyjechaliśmy cztery razy z rzędu. W nagrodę, jak przypuszczam, wysłał mnie samego w dłuższą podróż. – I zaraz dodałem: – To znaczy, że dzisiaj cię nie zobaczę?

– Nie, nie sądzę, wrócę, jak dzieci będą już spały. Opiekunka zostanie z nimi tak długo, jak to będzie konieczne, nic się nie martw; jak tylko położą dzieci spać, możesz spokojnie wyjść, niech ci nie przyjdzie do głowy czekać na mnie. Gdybyś mnie uprzedził, że przyjeżdżasz, urządziłabym to inaczej. Umówimy się na kiedy indziej i spokojnie porozmawiamy.

Miasto, które dzień wcześniej było zamazane i niewyraźne, staje się krystalicznie jasne, gdy tylko znowu postawimy w nim nogę: czas się spręża, znika wczoraj – albo staje się antraktem – i wszystko jest takie, jakby się nigdy nie wyjeżdżało. Nagle znowu wiadomo, w którą ulicę skręcić, w jakiej kolejności, żeby dojść z jednego miejsca w drugie, wszystko jedno skąd dokąd, oraz ile czasu zabierze droga. Liczyłem, że przy tym paskudnym natężeniu ruchu dwadzieścia minut zajmie dojazd taksówką z hotelu Palace do mego domu i było niemal dokładnie tyle. I podczas tej pełnej zawodu jazdy zamiast cieszyć się na spotkanie z dziećmi, z którymi miałem się w końcu zobaczyć po długiej nieobecności, nie mogłem powstrzymać się od rozmyślenia o Luisie. Nie chodzi o to, że oczekiwałem z jej strony wielkiego powitania, spodziewałem się jednak zainteresowania, sympatii, takich, jakie okazywała mi przez telefon, ilekroć rozmawiałem z nią z Londynu, co się zmieniło? dlaczego jest nagle

przeciwko mnie? czy dlatego, że znowu oddycham tym samym powietrzem co ona? Możliwe, że darzyła mnie sympatią i okazywała mi niezobowiązujące zainteresowanie jedynie na odległość, wiedząc, że jestem daleko, że jestem tylko głosem w jej uchu, bez twarzy, ciała, oczu i ramion; wtedy mogła sobie pozwolić na takie uczucia, ale nie tutaj, gdzie żyliśmy razem szczęśliwie, a później wyrządziliśmy sobie trochę krzywdy. Tutaj obywatela się beze mnie, odzwyczaiła się ode mnie i nie bardzo wiedziała, co ze mną począć: nie kręciłem się po okolicy od dłuższego czasu. Nie zająknęła się ani słowem na temat swego wyjścia, tego spotkania, które – byłem tego prawie pewien – wynikło dopiero wtedy, gdy dowiedziała się, że zjawiłem się w pobliżu we własnej osobie. Rzecz jasna nie miała obowiązku mi się opowiadać ani ja nie zadałem pytania, nie nalegałem, żeby odwołała spotkanie, a przecież to łatwe i nic nie kosztuje, i ludzie to robią z bardziej błahego powodu i dla zwykłego widzimisię („Och, tak cię proszę, dziś jest szczególny dzień, tak bardzo bym chciał, żebyśmy spotkali się wszyscy razem, na pewno możesz to odwołać, spróbuj, postaraj się”); jest wszakże przyjętą normą, że wszyscy podają jakieś wytłumaczenie, nawet niepytani, usprawiedliwiają się bez potrzeby i opowiadają o swoim nieciekawym życiu, i rozwodzą się nad nim, i paplają z czystej przyjemności używania języka, żeby przekazać zbyteczną informację albo uniknąć ciszy, żeby wywołać zazdrość lub zawiść bądź żeby nie wzbudzać podejrzeń swoją tajemniczością. „Nieszczęsne mówienie”, powiedział swego czasu Wheeler. „Przeklęte mówienie. Mówić i mówić bez ustanku, nigdy nikomu nie zabraknie do tego siły. To główne koło zamachowe świata, Jacobo, bardziej niż cokolwiek innego: to jest napędzający życie silnik, który nigdy się nie zużywa ani nie zatrzymuje, to prawdziwe tchnienie życia”. Luisa powstrzymała to tchnienie i powiedziała jedynie: „Oni już dziś nie wychodzą, ale ja tak, za chwilę”, nie dodając nawet najmniejszego zwyczajowego w takich przypadkach wytłumaczenia: „Nie

mogę tego odwołać, umówiłam się kilka tygodni temu” albo: „Nie zdążę już odwołać”, albo: „Nie mogę przełożyć spotkania, bo ci ludzie jutro wyjeżdżają z Madrytu”. Nie wyraziła także uprzejmego ubolewania z powodu niefortunnego zbiegu okoliczności, choćby ubolewania fałszywego (zawsze to jakaś pociecha dla odtrąconej osoby, poprawia jej samopoczucie): „Można się wściec, co za niefart, jaka szkoda, tak bym chciała być przy tym, jak dzieci cię zobaczą. Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej. Na pewno nie możesz poczekać do jutra? Minęło tyle czasu”. Milczała jak zaklęta, wyglądało to tak, jakby nie wiedziała, co to za spotkanie ani dokąd idzie, raczej jakby wymyśliła wszystko na poczekaniu, niż chciała coś przede mną ukryć. Tak podejrzewałem, możliwe, że z powodu skrzywienia zawodowego, mojego angielskiego skrzywienia. Tak czy owak, z pewnością ma dokąd pójść, ma gdzie przeczekać kilka godzin, czas, który ja spędzę w jej domu. Ma już pewnie jakiegoś przyjaciela, kochanka, choćby przejściowego. Musi go tylko zlokalizować, a może i to niepotrzebne, jeżeli wcześniej dostała już od niego klucze do domu. Wydaje się, jakby nie chciała mnie widzieć, myślałem w taksówce. Ale zobaczy mnie, i to na pewno. Nie po to przyjechałem aż tutaj, żeby kolejny dzień jej nie widzieć, znowu nie widzieć jej twarzy.

Zrobiłem wielką niespodziankę dzieciom. Marina najpierw przyglądała mi się uważnie i nieufnie, potem się przyzwyczaiła, raczej tak jak małe dzieci przyzwyczajają się do nieznajomych – to kwestia kilku minut, jeżeli dorosły wie, jak obchodzić się z dziećmi – nie jakby mnie dobrze pamiętała, to znaczy szczegółowo. Pomogło też, że brat od razu ją poinstruował („To jest tata, głuptasie, nie poznajesz?”). Prezenty również ułatwiły sprawę oraz pełen aprobaty, niemal błogi uśmiech opiekunki, młodej rozgarniętej dziewczyny, która otworzyła mi drzwi: nie ośmieliłem się użyć swego klucza, na wypadek gdyby nie pasował, nacisnąłem dzwonek jak każdy inny gość. Marina zadawała absurdalne pytania („A gdzie mieszkasz?”,

„Masz psa?”, „Czy tam zawsze pada?”, „Są tam niedźwiedzie?”), podczas gdy Guillermo wziął na siebie te z wyrzutem („Dlaczego cię nie widzimy?”, „Tam ci lepiej niż tutaj?”, „Spotykasz angielskie dzieci?”) oraz przygodowo-książkowe, ciągle oglądał filmy i dużo czytał („Byłeś w szkole Harry’ego Pottera?”, „A w domu Sherlocka Holmesa?”, „Nie boisz się wychodzić wieczorem mimo tej mgły i Kuby Rozpruwacza, a może już nie ma Rozpruwaczy w Londynie?”, „Czy to prawda, że jak prawdziwy człowiek stanie obok swojej figury w Muzeum Figur Woskowych, to nie można poznać kto jest kto?”). Nie byłem w tej szkole, byłem natomiast w domu przy Baker Street 221B, bo mieszkalem tuż obok i często tamtędy przechodziłem; a w Yorku odkryłem ponury zaniedbany grób Dicka Turpina, bandyty w czerwonym zakiecie, masce, trójgraniastym kapeluszu i długich, sięgających uda butach, razem z nim był pogrzebany jego wierny rumak, a właściwie klacz, Black Bess, obejrzałem też miejsce w Tyburn, na przedmieściach, gdzie został powieszony w bardzo eleganckim stroju. Kiedyś w nocy szedł za mną biały pies, tis, tis, tis, ulicami, placami i parkami aż do mego domu, samotny pies w ulewnym deszczu, dla dzieci brzmiało to bardziej tajemniczo, gdy pomiąłem jego właścicielkę; pozwoliłem mu osuszyć się i przespać u mnie i oczywiście zatrzymałbym go, ale poszedł sobie nazajutrz, gdy wziąłem go na spacer, i nigdy więcej już go nie widziałem, może nie zasmakowało mu ludzkie jedzenie, bo nie miałem jedzenia dla psów. Innej nocy widziałem, jak pewien mężczyzna dobył miecza obosiecznego w dyskotecce, wyciągnął go z płaszcza i zamachnął się na ludzi, a oni odsunęli się przerażeni; przeciął nim kilka rzeczy z wielką wprawą i umiejętnością, stół, parę krzeseł, zasłony, rozbił na kawałki kilka butelek i dwóm kobietom przyciął spódnice, nie wyrządzając im najmniejszej krzywdy, miał bardzo dobre oko, był prawdziwym artystą; później schował miecz do pochwy w swoim długim płaszczu, płaszcz włożył – zmuszony był trzymać się bardzo prosto,

jak duch – i spokojnie wyszedł przez nikogo nie zatrzymywany; ja też nie ośmieliłem się go zatrzymać, co też wam przychodzi do głowy, zwariowaliście, w jednej chwili posiekałby mnie na kawałki, był bardzo szybki w posługiwaniu się swoją bronią (był jak błysk bez grzmotu, co rozrywa na kawałki w milczeniu). Już miałem powiedzieć, że zdarzyło mi się zejść do domu Wendy, narzeczonej Piotrusia Pana, ale się powstrzymałem: Marina była taka mała, że mogła w to uwierzyć, Guillermo już nie, ale przede wszystkim nie chciałem przypominać sobie nagrań wideo, które mi tam pokazano, w gruncie rzeczy nie chciałem o nich już pamiętać, ale wciąż pamiętałem („Wiatr porusza morzem i statki odpływają dzięki szybkim wiosłom i rozpiętym żaglom. Pośród szumu morza zabrzmiała salwa karabinowa... Przekłete szlachetne serce, co ufa złym ludziom!... Na statkach płakali wszyscy marynarze i piękne kobiety, wszystkie w żałobie i smutne, oplakują go także w cytrynowym gaju na brzegu”. Romanca o Torrijosie zawsze już będzie mi się kojarzyć z tamtą sekwencją złowrogich scen). I uświadomiłem sobie – zdążyłem już o tym zapomnieć, bo od dawna nie rozmawiałem z Guillermem i z Mariną – że niemal wszystko, co nam się przydarza, może łatwo, niemal bez zmian przeobrazić się w opowieści dla dzieci. Opowieści intrygujące lub mroczne, takie, które je chronią i przygotowują, i pozwalają im radzić sobie w życiu.

Gdy się położyli, miałem po raz pierwszy od wielu miesięcy pewność, że są cali i zdrowi; czas sprężył się albo spłaszczył jeszcze bardziej i przez kilka sekund miałem wrażenie, że nigdy się od nich nie ruszyłem i nigdy nie poznałem Tupry, Pérez Nuix, Mulryana ani Rendela; niedługo potem, gdy wszedłem na palcach do ich pokoi, żeby zgasić światło i utwierdzić się w tym, synkowi zsunęła się bezszelestnie z łóżka książka o Tintinie przeglądana pewnie tuż przed zaśnięciem, a córeczka tuliła misia, który miał spędzić kolejną noc w maleńkim uścisku jej niewinnych snów. Niewiele albo zgoła nic się nie zmieniło podczas mojej nieobecności. Tylko

Luisy tam nie było i chociaż byłem ja, nadal jej nie widziałem. Zamiast niej była dyskretna opiekunka, usunęła się na bok, nie zakłócała swoją obecnością naszego spotkania, pomogła mi tylko przy dzieciach, gdy już nadeszła pora kolacji i położenia ich spać. Powiedziała, że na imię jej Mercedes, chociaż była Polką: może przybrała to imię, żeby szybciej stać się Hiszpanką. Mówiła dobrze po hiszpańsku, nauczyła się w trakcie trzyletniego pobytu, wcześniej nie znała ani słowa, powiedziała, jej chłopak pochodzi z Madrytu, planowała, że za niego wyjdzie i zostanie na stałe (dostrzegłem krzyżyk zawieszony na jej szyi), opowiedziała mi to wszystko, podczas gdy ja się objąłem. „Niech ci nie przyjdzie do głowy czekać na mnie”, upредиła mnie Luisa, zabrzmiało to trochę jak przestroga. Miała prawo nie chcieć, żebym był w domu pod jej nieobecność, mógłbym zacząć myszковать, tropić zmiany i przejrzeć jej pocztę elektroniczną, otwierać szafy i wachać jej ubrania, mógłbym wejść do łazienki, wachać jej szampon i wodę toaletową, sprawdzić, czy nadal ma moją fotografię w sypialni (nieprawdopodobne), kilka rodzinnych zdjęć ze mną, całej naszej czwórki razem, jedno stało nadal w salonie, starała się pewnie, żeby dzieci zupełnie mnie nie zapomniały, przynajmniej twarzy.

– Często przychodzisz? – zapytałem Mercedes. – Mam wrażenie, że dzieci znają cię i słuchają. – Nie było to zupełnie niewinne pytanie.

– Tak, od czasu do czasu. Niezbyt często. Luisa rzadko wychodzi wieczorami. Ostatnio trochę częściej. Raczej po południu. – I wtedy ją wydała, z pewnością niechęć, lecz bez ociągania i bez zwłoki. Wystarczy, że ludzie zaczną mówić, a już mówią za dużo, choćby się wydawało, że nie mówią nic szczególnego; wystarczy, że otworzą usta, a już przekazują informacje, nie zdając sobie sprawy, że to informacje, i w ten sposób, przez nikogo nie proszeni, wydają kogoś bezwiednie albo sami siebie zdradzają, albowiem gdy tylko zaczynają płynąć słowa, jest już za późno: „Och, nie zdawałem sobie sprawy, ale ze mnie głupiec, nie miałem takiego zamiaru”.

– Miała szczęście, że dzisiaj zastała mnie w domu. Zazwyczaj wcześniej mnie zawiadamia, co najmniej z tygodniowym wyprzedzeniem. Mogłam być już umówiona z kim innym, zajmuję się dziećmi w czterech domach. Czterech, nie licząc Luisy.

– No to rzeczywiście miała szczęście. Z jakim wyprzedzeniem cię zawiadomiła?

– Właściwie bez wyprzedzenia. Tyle, żebym zdążyła przyjechać. Muszę wziąć autobus, a potem metro, ale powiedziała, że dziś zapłaci mi za taksówkę. Problem w tym, że w mojej okolicy trudno o taksówkę, dlatego dojazd zajął mi tak długo. „Przyjedź jak najszybciej – powiedziała – bo muszę pilnie wyjść”. Uprzedziła mnie, że pan przyjdzie, żebym pana wpuściła. Ale spojrzełabym przez wizjer i nawet bez tego bym panu otworzyła, znam pana twarz z fotografii. – I wskazała nieśmiało na zdjęcie, jakby było jej wstyd, że mu się przyjrzała.

Moje podejrzenia okazały się trafne, możliwe, że długa praktyka w biurze bez nazwy nie szła na marne. Luisa nie miała w planach wyjścia, wyszła, żeby się ze mną nie zobaczyć. Nie odważyła się kazać mi odłożyć spotkanie z dziećmi, byłoby dużo trudniej wymyślić jakiś wiarygodny pretekst („Tyle czasu”, powiedziała świadoma tego, że naprawdę minęło go dużo). Dokąd mogła pójść? Gdy zapada wieczór, o zmierzchu nie tak łatwo spędzić kilka godzin poza domem, jeżeli nie ma się nic zaplanowanego. Mogła pójść do kina na pierwszy lepszy film albo powąłęsać się po sklepach w centrum, chociaż tego akurat nie lubiła; mogła zaszyć się gdzieś z kochankiem albo zająć do jakiejś przyjaciółki lub do siostry. Musiała gdzieś przeczekać, dopóki ja sobie nie pójdę, dopóki – wedle jej obliczeń – nie wyjdę z domu i droga nie będzie wolna, a z pewnością zdawała sobie sprawę, że trudno mi będzie zebrać się do wyjścia, dobrze się tam czułem, nic prawie się nie zmieniło.



Minęła już jedenasta, najpóźniejsza pora, o jakiej dzieci powinny iść spać przy wyjątkowych okazjach, nie nudziłem się razem, ale widziałem też, że są zmęczone, toteż bez większego trudu przekonałem je, że czas iść do łóżek, a polska opiekunka była tyleż perswazyjna co stanowcza. Luisa pewnie niedługo wróci. Jeżeli wytrzymam jeszcze pół godziny, niemal na pewno się spotkamy. Gdybym mógł przynajmniej się z nią przywitać, pocałować ją w policzek, może przytulić, jeżeli na to pozwoli, usłyszeć jej głos, ale nie w oderwaniu od widoku, spojrzeć, czy bardzo się zmieniła, czy się postarzała czy może jest piękniejsza niż kiedykolwiek, bo ja jestem daleko, a bliżej niej ktoś inny, większy pochlebca; gdybym mógł ujrzeć przynajmniej jej twarz. Nie chciałem więcej, lecz nawet na tak niewiele czekałem z niecierpliwością, niecierpliwością nie do zniesienia. Teraz w dodatku czułem się niepewny, zaintrygowany, trochę dotknięty, a może to była moja urażona duma: ona nie miała w sobie takiego samego najprostszego zainteresowania mną, mimo że przez tyle lat byliśmy dla siebie nawzajem najważniejsi, wydawało mi się jakąś trudną do przełknięcia zniewagą, że nie pozostał żaden ślad, że ona może spokojnie poczekać do jakiegoś innego dnia, niekoniecznie do jutra – nie miałem żadnej gwarancji, że pod różnymi pretekstami nie będzie mnie unikać także jutro i pojutrze, i kolejnego dnia, i przez cały mój pobyt; że nie będzie nalegać, bym przy kolejnych wizytach odbierał dzieci na dole, przy bramie, albo że będzie w domu, gdy zajdę po nie na górę, albo że nie będzie zostawiać dzieci u mego ojca, żeby tam się z nimi spotkał i żeby przy okazji one zobaczyły się z dziadkiem. Tak, było coś obraźliwego w jej braku pośpiechu, żeby mnie rozpoznać w tym zmienionym człowieku, w tym nieobecny mężczyźnie, w tym samotnym mężczyźnie, w tym cudzoziemcu, który wraca; coś obraźliwego w jej braku chęci, by przekonać się jak najszybciej, jaki jestem bez niej albo kim się stałem. („To

nieszczęście znać twoje imię, choć jutro pewnie twej twarzy nie rozpoznam”, przypomniałem sobie albo przywołałem w myślach).

– Nie masz nic przeciwko temu, że zostanę jeszcze chwilę, dopóki nie nadejdzie Luisa? – zapytałem Mercedes. – Chciałbym ją zobaczyć, choćby króciutko. Przypuszczam, że niedługo wróci. – Cóż za bolesna ironia, pomyślałem, proszę młodą polską opiekunkę do dzieci, której nigdy wcześniej nie widziałem, żeby pozwoliła mi zostać jeszcze trochę w moim domu albo w miejscu, które nim było, które wybrałem i wyszykowałem, i umeblowałem, i urządziłem wspólnie z Luisą, w którym długo oboje mieszkaliśmy, wciąż jeszcze pośrednio je opłacam. Człowiek skądś wyjeżdża i nigdy już nie może wrócić, nie tak samo, każde zostawione przezeń miejsce zostaje natychmiast zajęte albo jego rzeczy zostają wyrzucone lub uprzątnięte i gdy zjawia się ponownie, jest już tylko bezcielesnym duchem bez praw, bez klucza, bez pretensji i bez przyszłości. Bez niczego więcej prócz przeszłości i dlatego można nas przepędzić.

– Luisa kazała mi zostać do swego powrotu – odpowiedziała. – Zapłaci mi za taksówkę, jeżeli zrobi się zbyt późno. Żebym nie musiała czekać na *búho*, w tygodniu rzadko jeżdżą. – Słowo *búho* wydało mi się znajome w tym kontekście, chodziło chyba o nocne autobusy albo metro, zapomniałem już o ich istnieniu. – Nie ma sensu, żeby pan zostawał, to zupełnie niepotrzebne – dodała. – Możliwe, że nie wróci tak szybko. Ja zostanę i wszystkim się zajmę, jeżeli dzieci się obudzą albo czegoś im będzie trzeba.

Była dyskretna, ale jej słowa brzmiały zniechęcająco, zdawały się poleceniami. Jakby dostała przez telefon szczegółowe instrukcje od Luisy i jakby w rzeczywistości mówiła: „Nie, lepiej już sobie idź, bo Luisa nie chce się z tobą spotkać. Nie ma też ochoty, żebyś tu siedział pod jej nieobecność, bez żadnej kontroli ani nadzoru, ja się nie liczę, nie mam tu żadnej władzy; ona już ci nie ufa, przestała ufać dawno temu”. A może:

„Wymazała cię, przez te wszystkie miesiące wycierała twoją plamę i teraz zmaga się jeszcze tylko z obwódka, tylko ona wciąż stawia opór. Luisa nie chce, żebyś zostawił nowe plamy, żeby jej wysiłki poszły na marne. Bądź zatem tak miły i idź już sobie albo zostaniesz uznany za intruza”. To te dwie interpretacje jej słów sprawiły, że na dobre postanowiłem zostać.

– Mimo wszystko poczekam – powiedziałem i usiadłem na sofie, wzięwszy wcześniej jakąś książkę z regału. Książki się nie zmieniły, stały ustawione wedle tego samego klucza i w tym samym porządku, w jakim je zostawiłem, to nadal była moja biblioteka, chcę powiedzieć nasza, nie dokonaliśmy podziału, nie miałem dokąd zabrać swojej części, w Anglii wszystko było prowizorką, poza tym brakowało miejsca i nie zamierzałem przenosić rzeczy, skoro nie wiedziałem, gdzie będę mieszkał ani w średniej, ani w dłuższej perspektywie. Mercedes nie ośmieli się zaprotestować, nie ośmieli się mnie wyrzucić, jeżeli usiądę i będę czytał bez słowa, jeżeli nie będę zadawał więcej pytań ani jej niepokoił, ani ciągnął za język. Nie zdawała sobie sprawy, że wcześniej to właśnie robiłem, a może zauważyła, lecz zbyt późno. – Nigdzie mi się nie spieszy – dodałem – dopiero co przyjechałem z Londynu. – Tym sposobem się z nią przywitam. W Madrycie i we własnej osobie.

Czekałem i czekałem, czytając w milczeniu, nasłuchując drobnych hałasów, były znajome albo rozpoznawałem je w jednej chwili: lodówka i jej zmienne humory, od czasu do czasu dalekie odgłosy kroków w mieszkaniu na górze i dźwięk jakby otwieranych i zamykanych szuflad, sąsiedzi z góry najwidoczniej się nie wyprowadzili i zachowali swoje nocne obyczaje; dobiegły mnie także ciche dźwięki wiolonczeli, zazwyczaj ćwiczył na niej chłopiec mieszkający ze swoją matką, wdową, na tym samym piętrze w mieszkaniu naprzeciwko, możliwe, że był już dorastającym młodzieńcem, dokonał dużych postępów w grze na instrumencie, rzadziej zaczynał od początku i rzadziej przerywał, przynajmniej na ile mogłem usłyszeć, a słyszałem niewiele, chłopak starał się nie grać bardzo głośno, był dobrze wychowany, od małego zawsze mówił nam „dzień dobry” w uprzejmy, nie przesłodzony sposób, usiłowałem wyłapać, czy gra coś Purcella czy Dowlanda, nie dało się, akordy brzmiały bardzo cicho, a mojej pamięci muzycznej brakowało treningu, w Londynie słuchałem płyt w domu i z rzadka chodziłem na koncerty, lecz i w domu nie bywałem tak często, nie mogłem w nim liczyć na ten stan ogłuszenia, który podtrzymywał mnie na co dzień i uwalniał od przekleństwa robienia planów. Wiedziałem tylko, że to na pewno nie był Bach.

Polska opiekunka wyjęła komórkę i gdzieś zadzwoniła, wycofała się do kuchni, żeby porozmawiać ze swoim chłopakiem bez świadków, może powodowana wstydlivością, a może żeby nie narzucać mi się cikliwą lub obsceniczną rozmową (nigdy nie wiadomo, choćby była pobożną katoliczką). Pomyślałem, że gdyby nie moja obecność, zadzwoniłaby pewnie ze stacjonarnego telefonu Luisy, by zaoszczędzić i pogawędzić

sobie bardziej beztrosko, choćby z tego powodu musiała być zła, że nie chciałem wyjść wtedy, kiedy powinienem był to zrobić. Wziąłem wcześniej z półki „Henryka V”, ponieważ Wheeler zacytował go u siebie w domu nad rzeką Cherwell i do niego nawiązał, od tamtego czasu miałem go zawsze pod ręką, podczytywałem i kartkowałem w wolnych chwilach, mimo że na przywołane przez Wheelera fragmenty natrafiłem już dużo wcześniej. A raczej wziąłem z półki książkę „King Henry V”, jako że chodziło o angielską wersję Szekspira, egzemplarz starego wydania Arden Edition kupiony w 1977 roku w Madrycie, jak wynikało z mojej własnoręcznej adnotacji na pierwszej stronie, kiedyś zaznaczyłem w nim jakieś fragmenty, nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to było – pewnie zanim jeszcze poznałem Luisę – nie miałem teraz głowy, żeby skupić się nad tekstem ani sobie przypominać, ślizgałem się tylko wzrokiem i zatrzymywałem na podkreśleniach zrobionych przez tamtego młodego czytelnika, jakim byłem, jakiegoś odległego i nie istniejącego dnia, tak dawno już zapomnianego. Moja głowa tylko wyczekiwała jednego dźwięku, dlatego docierały też do mnie wszystkie inne hałasy, ale wyostrzony słuch czekał na ten jeden, o który mi chodziło, na dźwięk wjeżdżającej windy, a potem klucza w zamku. Ten pierwszy dał się słyszeć kilka razy, ale ustał na innych piętrach i raz tylko dotarł do naszego, lecz wtedy nie nastąpił po nim ten drugi, to nie Luisa wracała.

Mercedes weszła znowu do pokoju z bardziej zadowolonym, a może mniej spiętym wyrazem twarzy. To była ładna dziewczyna, tak jednak jasnowłosa, taka blada i zimna, że wcale nie wyglądała na ładną. Zapytała, czy nie będę miał nic przeciwko temu, jeżeli włączy telewizor, powiedziałem, że nie, chociaż to nie była prawda, bo dźwięk telewizora miał zagłuszyć wszystkie inne dźwięki, jednakże ja byłem tam tylko nieoczekiwanym gościem, jeśli nie całkowitym intruzem: stawałem się nim coraz bardziej z każdą kolejną minutą przedłużania swojej obecności.

Dziewczyna użyła pilota, by sprawdzić, co nadają na różnych kanałach, w końcu wybrała film, w którym występowały prawdziwe zwierzęta, od razu rozpoznałem „Babe – świnkę z klasą”, przypomniałem sobie, że kiedyś, przed kilkoma już laty, zabrałem na niego do kina Guillerma, trudno zrozumieć, dlaczego ci idioci od programu telewizyjnego puszczali go o tak późnej porze, kiedy większość dzieci już spała. Oglądałem chwilę z przyjemnością, film był mniej wymagający niż Szekspir, a świnka świetnie spisywała się jako aktor, zastanowiłem się, czy przypadkiem nie była w owym roku nominowana do Oscara, tak czy owak nie sądzę, by go zdobyła; kupię ten film na DVD dla Mariny, bo ona, urodziwszy się później, mogła go jeszcze nie widzieć. Rozmyślałem właśnie nad smutnym losem aktorów – każdy może wykonywać ich robotę, dzieci i psy, słonie, mały i świnię, podczas gdy nikt jeszcze nie słyszał o zwierzęciu, które by komponowało muzykę albo napisało książkę; aczkolwiek wszystko zależy od tego, jak dosłownie rozumie się słowo zwierzę – gdy zobaczyłem, że Mercedes zrywa się na nogi, zbiera w sekundę swoje rzeczy i rzuciwszy mi szybkie „Do widzenia”, rusza do wyjścia. Gdy już tam doszła, ja dopiero usłyszałem zgrzyt klucza w zamku i otwierające się drzwi, jakby ona miała dużo czulsze ucho i uchwyciła nim moment, w którym Luisa wysiadła z samochodu lub taksówki przed domem. Musiało być jej bardzo spieszno do domu, nie chciała zwlekać dłużej niż trzeba, chciała dostać swoje wynagrodzenie i obiecane pieniądze na transport, ten kosztowny, dochodziła już północ, Luisy nie było trochę dłużej niż cztery godziny. Możliwe zresztą, że nie tylko o to chodziło, może chciała natychmiast uprzedzić Luisę, że wbrew temu, czego się spodziewała, nie będzie sama: że ja się uparłem, by na nią zaczekać, zlekceważyłem jej prośbę, a może nie podporządkowałem się poleceniom, jakie pewnie Mercedes otrzymała i powinna była dopilnować, bym się do nich zastosował.

Słyszałem, jak chwilę coś do siebie szepcą, podniosłem się z sofy, nie odważyłem się do nich dołączyć; potem usłyszałem zamykające się drzwi, Polka wyszła. Następnie kroki Luisy w korytarzu – wysokie obcasy, rozpoznałem ich stukot na drewnianej podłodze, zawsze je wkładała, gdy wychodziła – zmierzające w kierunku łazienki i sypialni, nawet do mnie nie zajrzała, pewnie ją przypiliło, pomyślałem, często się zdarza po powrocie do domu; mimo wszystko wydało mi się to normalne, jeżeli wcześniej była w towarzystwie i nie chciała na przykład wstawać od stołu podczas kolacji u kogoś w domu albo w lokalu. Możliwe też, że chciała doprowadzić się do porządku przed naszym spotkaniem, jeżeli wcześniej była z moim przelotnym zastępcą i wracała w stanie, w jakim czasem wracają kobiety z takich długich randek, w pogniecionej albo przekręconej spódnicy, z potarganymi włosami, ze szminką startą z ust od pocałunków, z oczkiem w pończosze i z wyzierającą jeszcze z oczu namiętnością. A może była taka wściekła, że postanowiła położyć się spać, nie przywitawszy się ze mną, zostawić mnie samego w salonie, dopóki się nie zmęcę, dopóki nie zrozumie, że skoro ona powiedziała, że nie możemy zobaczyć się tego wieczoru, to się nie zobaczymy. Możliwe, że postanowiła zamknąć się w sypialni i już nie wyjść, rozebrać się, zgasić światło i położyć się do łóżka, zachować się tak, jakby mnie nie było, jakbym nadal był w Londynie, a w Madrycie jakbym nie istniał albo jakbym naprawdę był duchem. Była do tego zdolna, gdy ktoś starał się jej coś narzucić, a ona się na to nie godziła, i do gorszych rzeczy też, znałem ją. Jednakże raz wyjdzie z sypialni, nim zaśnie, co najmniej raz, wtedy właśnie mógłbym ją dopaść: nie potrafiła położyć się spać, nie zajrzawszy wcześniej do dzieci i nie upewniwszy się, że śpią zdrowo i spokojnie.

Nadal czekałem, nie chciałem działać pospiesznie, a tym bardziej walić w jej drzwi, błagać, żeby do mnie wyszła, zasypywać jej krępującymi pytaniami przez ścianę, domagać się wyjaśnień, których nie miałem prawa

się domagać. To byłby zły początek po tak długim rozstaniu, najlepiej unikać najmniejszego pozoru konfrontacji lub niepotrzebnych absurdalnych wyrzutów, przede wszystkim sam tego nie chciałem. Od tej chwili to ona powinna przejąć inicjatywę, ja już postawiłem ją w niezręcznej sytuacji, odmawiając wyjścia, mimo że nie mogłem tego wytłumaczyć chęcią dłuższego przebywania z dziećmi. Na dźwięk klucza w drzwiach wyłączyłem głos w telewizorze, ale wciąż miałem przed oczyma przygody rywalki De Niro albo Johna Wayne'a – świnki o znakomitych manierach – oraz jej kolegów z obsady: psów, owiec, konia, humorzastego kaczoza, wszyscy byli wspaniałymi aktorami.

Po upływie kilku minut usłyszałem otwierające się drzwi sypialni i kroki, Luisa wciąż miała na nogach wysokie obcasy, nie przebrała się zatem, stąpała delikatnie, starała się nie robić hałasu: zajrzała do pokoju córki, potem do syna, nigdzie nie weszła głębiej do środka, najwyżej na metr, tyle tylko, by się upewnić, że wszystko porządku. Wciąż nie chciałem wyjść jej naprzeciw, wolałem, żeby to ona przyszła do mnie, do pokoju, a gdy w końcu przyszła – kroki miała już bardziej zdecydowane, normalne, wystarczyło, że odetchnęła głębokim snem dzieci, a przestała się bać, że je obudzi – chyba zrozumiałem, mimo jej podjętych chwilę wcześniej starań, aby to zamaskować w łazience, która była też moją łazienką, dlaczego usiłowała uniknąć naszego spotkania: nie dlatego bynajmniej, żeby mnie nie zobaczyć, lecz żebym to ja nie zobaczył jej.

Na pierwszy rzut oka wyglądała znakomicie: dobrze ubrana, w eleganckich butach, fryzura raczej niedbała, ale dobrze jej było w końskim ogonie, wyglądała młodzieńczo i niewinnie, niemal jak młoda dziewczyna nakryta *in flagranti* na późnym powrocie do domu, kimże ja byłem, żeby ją pouczać, a choćby się dziwić. Nim zauważyłem to, co nie było normalne, zdążyła powiedzieć do mnie jedno albo dwa zdania, na twarzy miała wyraz radości na mój widok zmieszanej z irytacją z powodu



spotkania, a także z obawą, że ją przyłapałem, a może ze wstydem walczącym o lepsze z zuchwałością, jakbym przyłapał ją na czymś, co nie mogło mi się spodobać albo miało mi się wydać naganne, ona zaś jakby nie wiedziała, czy opuścić flagę i przyznać, że mam rację, czy też wciągnąć ją na maszt i ruszyć do walki, dziwna rzecz, jak dawne pary, wiele lat po rozstaniu, nadal czują się za siebie wzajemnie odpowiedzialne, jakby dwie osoby nadal były sobie coś winne, choćby opowiedzenie sobie o tym, jak im się wiedzie bez tego drugiego i co każdemu się przydarza, szczególnie gdy przydarza się coś dziwnego albo niedobrego. Mnie przydarzały się rzeczy, o których będąc tak daleko, nic nie powiedziałem: niewątpliwie straciłem grunt pod nogami albo równowagę i umiejętność oceny sytuacji, wykonywałem pracę, nie wiedząc, jakie powoduje konsekwencje, a nawet czy w ogóle jakieś powoduje, w zamian za podejrzenie wysokie wynagrodzenie; zostałem zatruty nieznanymi wcześniej truciznami i przez to prowadziłem życie coraz bardziej urojone, pogrążony w sennym stanie właściwym komuś, kto mieszka w obcym kraju i czasem zaczyna już myśleć nie w swoim języku, bardzo samotny tam, w Londynie, mimo że na co dzień otoczony ludźmi, wszyscy byli kolegami z pracy i z nikim nie nawiązałem prawdziwej przyjaźni, nawet Pérez Nuix nie stała się kimś innym – nie była nawet moją kochanką, skoro nie było powtórki ani śmiechu – po tamtej jedynej nocy, którą spędziliśmy razem cieleśnie, nie dawaliśmy tego po sobie poznać i przesadnie milczeliśmy na ten temat, wobec innych i wobec siebie nawzajem, a gdy się udaje, że coś się nie wydarzyło i nigdy się o tym nie mówi, to w końcu nabiera się przekonania, że tego nie było, choćbyśmy wiedzieli, że jest wprost przeciwnie: co Jorge Manrique napisał w „Elegii na śmierć ojca” przed jakimiś pięciuset trzydziestoma laty i na dwa zaledwie lata przed własną przedwczesną śmiercią, gdy nie miał jeszcze czterdziestu lat i podczas szturmu na jakiś zamek został zraniony strzałem z arkebuza (to jeszcze gorsze, jeszcze mniej

honorowe niż w przypadku Ryszarda *Yea and Nay*, którego dosięgła strzała wypuszczona z kuszy) – „Jeżeli mądrze sądzimy, uznamy, co nie nadeszło, za minione” – jest w równym stopniu prawdą jak przeciwna opinia, a wówczas możemy uznać, że przeszłość, wszystko, czego doświadczyliśmy, całe nasze życie nigdy się nie zdarzyło. A skoro tak, to jakie ma znaczenie, ile w życiu zrobiliśmy albo dlaczego to życie jest dla nas takie ważne?...

– Musiałeś zostać, co, Jaime? – zdążyła zapytać mnie Luisa. – Po prostu musiałeś poczekać, żeby mnie zobaczyć.

Teraz jednak, mając już za sobą pierwszy rzut oka, zauważyłem od razu, co odbiegało od normy, trudno było nie zauważyć, przynajmniej mnie. Usiłowała przykryć to makijażem, ukryć, zasłonić, może tak samo jak niegdyś Flavia starała się daremnie – z trudną do uwierzenia pomocą Tupry w damskiej toalecie – zamaskować ranę na twarzy, ślad po uderzeniu powrozem, zadraśnięcie od uderzenia batem, pręgę od idiotycznych smagnień biczem De la Garzy w trakcie oszalałego wirowania na parkiecie do szybkiego tańca. Na twarzy Luisy nie zobaczyłem tego samego, to nie było *sfregio*, szrama, rozcięcie ani zadrapanie, lecz coś, co w moim języku zawsze nazywano „*ojo morado*” – dosłownie fioletowe oko – a po angielsku czarne oko, „*black eye*”, jakkolwiek skóra już nabierała żółtawego odcienia, znaczy trafienie lub co innego nie nastąpiło niedawno, zawsze pojawiają się po takich uderzeniach mieszane kolory, nigdy jeden, lecz kilka, występują razem w każdej fazie i wciąż się zmieniają, może to właśnie powód owej niezgody między dwoma językami (jakkolwiek hiszpański jest bliski angielskiemu, gdy nazywa takie oko „*un ojo a la funerala*”, co znaczy mniej więcej „żałobne oko”), zazwyczaj długo trwa, nim wszystkie kolory znikną, my mieliśmy pecha, że nie minęło dostatecznie dużo czasu. Zobaczywszy to, nie musiałem już odpowiadać na jej słowa ani się usprawiedliwiać. Co gorsza nie mogłem się z nią także

przywitać ani jej pocałować, ani objąć, czekałem całą wieczność na nasze spotkanie, a teraz nie potrafiłem się nawet uśmiechnąć ani powiedzieć: „Cześć, mała”, jak często ją nazywałem, gdy byliśmy jeszcze razem i w dobrej komitywie. Zaraz do niej podszedłem i pierwsze, co powiedziałem, to:

– Co to jest? Pozwól mi zobaczyć. Co się stało? Kto ci to zrobił?

Wziąłem jej twarz w dłonie ostrożnie, żeby nie dotknąć kontuzjowanego miejsca, bez wątpienia w łazience nałożyła na nie różne smarowidła, choć bez większego powodzenia. Opuchlizna z powieki już zeszła albo prawie zeszła, ale z pewnością wcześniej tam była. Wedle mojej oceny uraz nastąpił jakiś tydzień, może dziesięć dni wcześniej na skutek – nie miałem co do tego wątpliwości – uderzenia pięścią albo tępym narzędziem, takim jak kij bejsbolowy lub skórzana pałka, widywałem oczy, policzki i podbródki w podobnym stanie przed wieloma laty, kiedy w czasach frankistowskich z komisariatu, z głównej komendy sił bezpieczeństwa na Puerta del Sol albo z więzienia Carabanchel wychodzili trzymani tam i bardziej lub mniej pobici studenci, moi koledzy z wydziału, którzy mieli mniej szczęścia, niż miałem zazwyczaj ja podczas spontanicznych i na pół legalnych manifestacji, tak zwanych „saltos”, albo w trakcie nielegalnych, rozpędzanych pałkami zgromadzeń, to były takie dłuższe elastyczne pałki, wyginały się, uderzając, i te uderzenia okropnie bolały, używali ich policjanci albo *grises* szarżujący na koniach, czasem trudno mi uwierzyć, że jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych po zajęciach co kilka dni albo tygodni uciekaliśmy przed końskimi kopytami. Aczkolwiek to wszystko może wrócić, trzeba o tym pamiętać.

Odsunęła twarz, zrobiła unik i dwa kroki do tyłu, by przywrócić dystans między nami, uśmiechnęła się, jakby rozbawiły ją moje pytania, ale ja widziałem, że wcale nie było jej do śmiechu.

– O co ci chodzi? Nikt mi nic nie zrobił. Jakiś tydzień temu uderzyłam o drzwi garażu. Wszystko przez tę cholerną komórkę, zadzwoniła, ja się zagapiłam, źle obliczyłam odległość, kiedy drzwi się opuszczały. Porządnie przyładowałam, są strasznie ciężkie, chyba z kutego żelaza. Teraz jest już lepiej, wyglądało na coś gorszego, niż w istocie było. Nie boli mnie.

– Komórka? Masz telefon komórkowy? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie podałaś mi numeru? – Zadając zaskoczony te pytania, pomyślałem równocześnie, przypomniałem sobie: Reresby kazał mi powiedzieć to samo do De la Garzy, musiałem przetłumaczyć, kiedy tamten leżał nieruchomo na podłodze poturbowany również albo pobity: „Powiedz mu, że jeżeli trafi do szpitala, ma opowiedzieć bajeczkę wszystkich pijaczków i dłużników: że zamknęła się na nim brama do garażu”. Luisa nie stała się ani jednym, ani drugim, ani pijaczką, ani dłużniczką, jak sądzę. Tupra dobrze jednak wiedział, że bramy do garażu to niemal zawsze wymysł. Dzięki niemu nabrałem jeszcze większego przekonania, że Luisa kłamie. Nie była pomysłowa jak nałogowi kłamcy, użyła oklepanego tłumaczenia, zachowała się jak każdy niedoświadczony krętacz, który ucieka od tego co nieprawdopodobne, czemu najłatwiej daje się wiarę we właściwym czasie.

– Mam ją z powodu dzieci – odpowiedziała. – Niezależnie od naszej awersji do tego wynalazku zdałam sobie sprawę, że będzie lepiej, jak w razie czego będzie mnie mogła szybko zlokalizować opiekunka albo moja siostra, albo na przykład szkoła. – Polska opiekunka mogła zatem z kuchni dzwonić wcześniej na jej komórkę, uprzedzić, że nie dała rady usunąć mnie z domu, i dowiedzieć się precyzyjnie, o której dokładnie Luisa wróci. – Szczególnie że ciebie tu nie ma. Kupiłam ją dla własnego spokoju. Teraz dzieci mają tylko mnie, gdy dzieje się coś nieprzewidzianego, jestem z nimi sama. A tobie niby po co ten numer w Londynie? Gdybyśmy chociaż rozmawiali codziennie... – Niestety nie wyczułem wyrzutu w tej ostatniej

uwadze, a przecież tak bardzo bym chciał. Nie mogłem oderwać wzroku od jej podbitego oka, żółtawo-sino-czarnego, białko oka wciąż było odrobinę zaczerwienione, w pierwszych dniach po uderzeniu musiało być pokryte siateczką żyłek. Udawała, że nie zdaje sobie sprawy, ale widziała, że jej się przyglądam, i to ją denerwowało, zauważyłem to szczególnie wtedy, gdy odwróciła twarz w stronę telewizora, ustawiła się do mnie profilem, żeby uciec przed moim badawczym wzrokiem, i podjęła próbę zmiany tematu: – Co oglądałeś? Film o świniach? A to co znowu? To chyba jakaś nowość? – dodała ze swoją nieagresywną ironią, którą tak lubiłem i dobrze znałem. Musiała dostrzec u mnie ślad uśmiechu. – Dzieciom na pewno by się spodobał. Jak je znajdujesz? Urosły? Bardzo się zmieniły?

Miałem chęć porozmawiać z nią o dzieciach, chciałem powiedzieć, jakie zrobiły na mnie wrażenie po tak długim czasie, kiedy ich nie widziałem. Ale nie zamierzałem pozwolić, by tak łatwo wywiodła mnie w pole. Nie tylko sam byłem, jaki byłem, teraz dodatkowo miałem na świeżo w pamięci przykłady Tupry i Wheelera, którzy mimo dygresji, mówienia nie wprost i wykrętów nigdy nie wypuszczali zdobyczy z rąk, jak już chcieli z niej coś wyciągnąć.

– Nie opowiadaj mi bajek, Luiso, ty i ja nie zmieniliśmy się aż tak bardzo. Historyjka z garażem jest już bardzo ograna, drzwi garażowe buntują się i uderzają wszystkich – powiedziałem i raz jeszcze uświadomiłem sobie, że zwracałem się do niej po imieniu tylko wtedy, gdyśmy się kłócili albo byłem na nią zły, ona też nazywała mnie Dezą w mniej więcej podobnych okolicznościach, a też w innych, całkowicie odmiennych. – Powiedz, kto ci to zrobił. Mam nadzieję, że nie facet, z którym się spotykasz, bo będziemy mieli wielką trudność.

– My? To ciekawe. Nawet jeżeli z kimś się spotykam, tobie nic do tego – wtrąciła natychmiast, nie uszczypliwie, lecz stanowczo; i wróciła zaraz do ironicznego tonu, żeby złagodzić swoją ciętą ripostę: – Jeżeli zamierzasz iść

tą drogą, to lepiej oglądaj dalej film o zwierzątkach, ja tymczasem trochę tu ogarnę, a jak film się skończy, pójdziesz sobie, dzieciaki zrywają się skoro świt, zrobiło się późno. Pogadamy kiedy indziej, jak będziemy w lepszej formie, ale nie o tym. Powiedziałam ci już, co się stało, i nie szukaj dziury w całym. A jeżeli w ten sposób próbujesz się dowiedzieć, czy kogoś mam, to również nie twoja sprawa, Deza. Dobra, popatrz sobie jeszcze chwilę na świnkę, a potem wracaj do siebie, musisz być zmęczony podróżą i zabawą z dziećmi. Potrafią człowieka wykończyć, a ty się odzwyczaiłeś.

Zawsze umiała mnie rozbawić i zawsze potrafiła mnie rozbroić, nic na to nie mogłem poradzić. Czuję do niej słabość, nie przeszło mi w Londynie. Niby to nie była żadna nowość – pewnie zawsze już tak będzie – ale bycie z nią teraz tylko mi to potwierdzało albo dobitnie uświadamiało, powinienem mieć się na baczności, żeby niechcący nie ulec czarowi, gdy tymczasem ona krzątała się po domu, nie zwracając na mnie uwagi. Poza naszym małżeńskim życiem albo niezapomnianą miłością dla mnie Luisa zawsze należała do osób, których towarzystwa się szuka, jest się za nie wdzięcznym i ono niemal samo przez się wynagradza wszelkie przykrości, czeka się na nie przez cały dzień, jest dla nas ratunkiem, gdy wiadomo, że wieczorem stanie się naszym udziałem jak nagroda okupiona niewielkim wysiłkiem; należała do osób, z którymi czujesz się dobrze, nawet gdy jest ci źle, i masz poczucie, że gdzie są one, tam jest święto; dlatego tak trudno wyrzec się ich albo zostać wygnanym z ich świata, bo człowiek uważa, że bezustannie coś traci albo – by tak rzec – żyje na poboczu. Myśl, że tacy ludzie mogliby umrzeć, staje się dla nas nie do zniesienia: choćbyśmy byli daleko i nigdy ich nie widywali, wiemy przecież, że wciąż żyją i ich świat istnieje, ten świat, który stwarzają samą swą emanacją lub tchnieniem; że ziemia wciąż udziela im gościny, a zatem trwa ich przestrzeń i ich poczucie czasu, które możemy sobie wyobrażać z oddali: „Tam jest ten dom – myślimy – tam jest ta atmosfera wypełniona jej krokami, rytmem jej dnia,

muzyką jej głosu, zapachem roślin, które ona pielęgnuje, i spokojem jej nocy; ja już nie biorę w tym udziału, ale tam jest ten śmiech, dowcip i wdzięki, i ci weseli przyjaciele, z którymi zegnał się Cervantes na łożu śmierci, «pragnąc szybko ujrzeć ich kontenty w innym życiu». Pomaga wiedza, że wszystko tam jest, że to wspomnienie tylko nasze, niczyje inne, wspomnienie, które dla mnie jest już co prawda przeszłością, lecz naprawdę albo w znaczeniu absolutnym jeszcze nią nie jest – to tylko wypadek albo pech, albo mój błąd, że postrzegam to na co dzień jako przeszłość – że inni przychodzą i wychodzą, i dobrze się bawią, nie zwracając na to miejsce większej uwagi, podobnie jak nie zwracaliśmy jej my, kiedy stanowiliśmy część tej atmosfery i tego rytmu, dowcipu i wdzięków, muzyki tego domu i nawet ciszy jego spokojnej nocy. Że to nie był tylko miły sen ani inne wyimaginowane życie”. Teraz tam byłem, przekonując się o jego trwaniu, i nie chciałem wyjść. Miałem przed oczyma osobę, która dla mnie była uosobieniem święta ze swoim poczuciem humoru i stanowczością, i częstym śmiechem, a nawet na swoich wysokich obcasach. Do pewnego stopnia to wystarczało, świadomość, że ona nie przestała istnieć, że wciąż stąpa po ziemi i przemierza świat, że nie jest już prawie bezpieczna w niepewnej i na poły ślepej niepamięci lub po tej już stronie czasu, gdzie rozmawiają umarli.

A przecież teraz istniało zagrożenie albo co gorsza ktoś już najwidoczniej ją skrzywdził, a następnym razem może skrzywdzić bardziej (nigdy nie wiadomo, kiedy ustanie coś, co już się zaczęło). Dobrze wiedziałem, że nalegając, nic nie wskóram: gdy ona postanowiła o czymś nie mówić albo nie rozmawiać, nie było na nią sposobu, musiałem zasięgnąć języka gdzie indziej, ale u kogo? W pierwszej chwili nie przyszedł mi do głowy nikt z wyjątkiem dzieci, a ich wołałem do tego nie mieszać, i wtedy ku własnemu zaskoczeniu pomyślałem: Zawsze mogę zwrócić się o pomoc do Tupry. Skoro jak przypuszczałem, dowiedział się o nocy spędzonej u mnie

przez Pérez Nuix i umowie, jaką zawarliśmy za jego plecami; skoro zatem na nic się nie zdała moja dla niej przysługa i Incompara nic od Tupry nie uzyskał, ojciec dziewczyny został pobity za niespłacone długi, a ponadto Reresby pokazał mi to bicie (kije bilardowe; z pewnością żeby zawiadomić mnie o mojej porażce i dać mi nauczkę), Tupra bez trudu dowie się, jak nazywa się facet, z którym spotyka się Luisa, mimo że wszystko dzieje się w innym kraju, a dziewczyna na szczęście nadal żyje. Od chwili wyjazdu tego między innymi lękałem się w Londynie, zastanawiając się, kto prędzej czy później zajmie moje miejsce, i wśród różnych możliwości zawsze najbardziej przerażał mnie typ zaborczego despoty, który podporządkowuje i izoluje, i stopniowo narzuca swoje wymagania i zakazy pod maską czułości, słabości, zazdrości, pochlebstw i próśb, typ przewrotny, który odrzuca pierwsze zaproszenia do spania na jednej poduszce, aby nie wydać się intruzem albo człowiekiem zaborczym, i na początku zawsze jest ustępliwy, pełen szacunku, a nawet powściągliwy; aż wreszcie pewnego dnia po jakimś czasie – a może pewnej deszczowej nocy w domu – gdy już obejmie w posiadanie całe obce terytorium i nie da Luisie odetchnąć ani w pełnym słońcu, ani w cieniu, zaciśnie swoje wielkie łapska na jej szyi, gdy tymczasem dzieci – moje dzieci – będą patrzyły z kąta pokoju wciśnięte w ścianę, jakby chciały, żeby ustąpiła i znikła, a wraz z nią ten okropny widok i więznący im w gardle szloch, który pragnie się wydobyć, lecz nie może, zły sen, i to przeciągłe rżenie, które wydobywa się z ust ich umierającej matki. Żeby odegnąć ten koszmar, zawsze sobie wtedy myślałem: „Ale nie, to się nie zdarzy, takie rzeczy się nie zdarzają, nie będę miał tego szczęścia ani tego nieszczęścia (szczęścia, dopóki będzie pozostawało fantasmagorią, nieszczęścia, gdyby miało stać się rzeczywistością)...”. A teraz miałem do czynienia z realnym odwzorowaniem tamtej strasznej fantasmagorii w postaci podbitego oka albo oka w zmieniających się kolorach, z faktem, że w tym obszarze



rzeczywistości nie ma ani odrobiny szczęścia, jest za to całe morze nieszczęścia, które wszystko zatapia i kładzie kres fantasmagoriom, ta sfera już nie istniała, a może nigdy nie współistnieje z realnym niebezpieczeństwem: zbyt wielu jest w Hiszpanii zatrutych tchórzy, którzy każdego roku zabijają swoje żony albo były żony, albo kobiety, które chcieliby mieć za żony, i bywa, że wcześniej zabijają ich dzieci, by zadać im jeszcze większy ból, to plaga, na którą nie pomaga prośba ani groźba, prawo ani najsurowsze kary, ponieważ oni nie zwracają uwagi na świat zewnętrzny i nie panują nad sobą, bo tak je kochają albo tak głęboko ich nienawidzą, że nie mogą bez nich żyć, wiedząc o nich to, co ja wiem o Luisie i cieszę się tym w swoim smutku (znaczy jest to dla mnie pocieszeniem): że one nadal są na świecie i chcą być albo są przeszłością tylko dla nas lub dla tych mężczyzn, lecz nie dla całej reszty. W takim kraju nie mogę ryzykować, pomyślałem. Wobec tego podbitego pięścią oka nie mogę już ryzykować i tylko jej tego zostawić, jej osłabionej prawdopodobnie woli działania, nie mogę się nie wtrącać, wystarczy moja pewność, że ona naraża się na niebezpieczeństwo, a tym samym naraża na nie również dzieci choćby dlatego, że mogą ją stracić, a już doświadczyły połowicznej straty, odkąd ja wyprowadziłem się z domu.

Cofnąłem się więc dwa kroki i postanowiłem o nic więcej nie pytać, dowiem się gdzie indziej, miałem na to dwa tygodnie, powinno wystarczyć, żeby popytać albo ją przekonać, a może któregoś dnia, w trakcie mego pobytu, on znowu ją uderzy i wtedy nie będzie już chciała milczeć i zamykać się na moje słowa („Milcz, milcz i nic nie mów, nawet żeby się uratować. Trzymaj na wodzy język, ukryj go, połknij, choćbyś się dusił, jakby ci go kot pożarł. Milcz i wtedy się uratuj”). Lecz może nie powinniśmy zawsze tak postępować, choćby w najtrudniejszych chwilach bardzo nam to doradzano i na to nalegano).

– W porządku, już wychodzę – powiedziałem. – Nie będę ci zajmował więcej czasu, zrobiło się późno, to prawda, porozmawiamy kiedy indziej, zadzwonię jutro albo pojutrze i umówimy się, kiedy będziesz mogła. A co do świnki, to nastawiła ją twoja polska opiekunka, jakkolwiek trzeba przyznać, że świnka gra fantastycznie, najwyższy poziom zawodowstwa. – I już w drzwiach wyjściowych, do których mnie odprowadziła bardziej uśmiechnięta i promienna, jakby już poczuła ulgę, że zaraz przestanę się jej przyglądać, dorzuciłem: – *Ale ti conosco, mascherina.* – Nauczyłem się tego wyrażenia przed wieloma laty od mojej ówczesnej włoskiej narzeczonej, dzięki której opanowałem mniej więcej włoski; to maskaradowe wyrażenie Luisa też dobrze znała, było równoznaczne z powiedzeniem: „Ale mnie nie oszukasz”.

Nie traciłem czasu. Nazajutrz odwiedziłem ojca, tak jak mu zapowiedziałem: zjadłem z nim obiad, przy deserze zjawiała się moja siostra, która wpadała do niego niemal codziennie i jeszcze nie wiedziała o moim przyjeździe (ojciec zapomniał jej powiedzieć, „Och, sądziłem, że wszyscy już wiecie”), była zaskoczona i uradowana. Kiedy ojciec położył się na chwilę, posłuszny naleganiom swojej opiekunki, i zostawił nas samych, Cecilia opowiedziała mi szczegółowo o jego stanie zdrowia (rokowania nie były optymistyczne, średnio-, a raczej krótkoterminowe), a potem, gdy już opowiedziała też, co słyhać u niej i u jej męża, a ja zrobiłem co w mojej mocy, żeby nie opowiedzieć o sobie nic ponad mało znaczące ogólniki, zdobyłem się na odwagę i zapytałem, czy wie coś o Luisie: co u niej słyhać, czy się widują, czy Luisa znalazła sobie kogoś. Powiedziała, że mało co wie: od czasu do czasu rozmawiały przez telefon, głównie o sprawach praktycznych, związanych z dziećmi, i zdarzało się, że wpadały na siebie u ojca, ale takie spotkania trwały na ogół kilka minut, Luisa zazwyczaj się spieszyła, witała się serdecznie i zostawiała dzieci, żeby pobyły trochę z dziadkiem albo z ciotecznym rodzeństwem, czyli dziećmi mojej siostry lub moich braci, jedni bądź drudzy wpadali tam zwykle w sobotę albo niedzielę; później, po paru godzinach, zachodziła znowu, żeby odebrać Guillerma i Marinę, także w pośpiechu. Siostra sądziła, że niekiedy w tygodniu Luisa odwiedzała też ojca sama, by pogawędzić i dotrzymać teściowi towarzystwa, zawsze byli w bardzo dobrych stosunkach. Możliwe zatem, że to jemu mówiła coś więcej albo o swoich sprawach bardziej osobistych niż komuś innemu z rodziny, nawet jeśli od wielkiego dzwonu. Nie, moja siostra nie miała pojęcia, co Luisa robiła w wolnych chwilach, zresztą nie było ich z pewnością zbyt wiele. Nie

słyszała od niej także, że z kimś się spotyka, ale to akurat nic nie znaczyło, mogła się spotykać albo i nie, nie musiała informować mojej siostry na bieżąco o swoich sprawach, a przynajmniej nie o takich. Któregoś wieczoru, będzie już jakieś dwa albo trzy miesiące temu, jej mąż natknął się na Luisę, jak wychodziła z jakiejś galerii sztuki albo wystawy, dokładnie Cecilia nie wiedziała, w towarzystwie nieznanego mu mężczyzny, co samo w sobie nie jest niczym dziwnym, rzecz jasna, byłoby raczej dziwne, gdyby go znał; ich zachowanie wydało mu się całkowicie normalne, jak pary kolegów albo przyjaciół, to znaczy nie szli pod rękę ani nic takiego. Rzuciło mu się natomiast w oczy, że mężczyzna miał taki artystowski wygląd. W tym momencie przerwałem siostrze (zaczynało mi brakować refleksu w moim własnym języku).

– Znaczy artystyczny? Dlaczego? Powiedział ci, jak wyglądał?

– Nie, artystowski, czyli taki na siłę artystyczny, ekscentryczny. Może być artystą albo nie, to akurat nie ma znaczenia. Tacy ludzie noszą się w specyficzny sposób, to rozmyślny zabieg, żeby zademonstrować innym głębię swej osobowości, no właśnie, swoją artystowską naturę, to może być, czy ja wiem, czarny golf, ozdobna laseczka z gałką w kształcie obrzydliwego charciego pyska albo staromodny, nigdy nie zdejmowany z głowy kapelusz, albo długie falowane włosy jak u muzyka, no wiesz, takie... – I zrobiła nad sobą odpowiedni ruch rękami, mniej więcej jakby sobie myła włosy, nie dotykając głowy. Albo śmieszna siatka na włosy jak z obrazów Goi, przemknęło mi przez myśl. Albo tatuaże wszędzie, szczególnie na piętach. – A kobiety mogą nosić beret albo samonośne pończochy, takie ledwie powyżej kolan, albo czapkę marynarską, albo taką czapkę jak pewna siebie harda czarna dziewczyna, albo jakieś okropne rastafariańskie dredy.

Rozbawiło mnie, że nie znosi tego szczególnego rodzaju pończoch. Nie miałem natomiast pojęcia, co miała na myśli, mówiąc o „czapce jak pewna

siebie harda czarna dziewczyna” i wzbudziło to, ma się rozumieć, moją ciekawość. Ale nie mogłem sobie pozwolić na stratę czasu, potrzeba zaspokojenia innej ciekawości była pilniejsza.

– Tak. A jak się nosił ten facet? A może miał wszystko naraz, golf, laseczkę i kapelusz?

– Nosił kucyk. Federico zwrócił na to uwagę, bo facet nie był młody, w twoim wieku albo jakoś tak. W naszym wieku.

– Tak, teraz to całkiem częsty widok w niektórych kręgach. Dorośli, dojrzały mężczyźni z włosami związanymi w kucyk, mają się pewnie za piratów albo rozbójników; albo z kocią bródką, chcą pewnie wyglądać jak kardynał Richelieu, psychiatra albo uczonek wedle jakiegoś strywializowanego wyobrażenia na ten temat, taki zarost to prawdziwa epidemia wśród profesorów uniwersyteckich; albo z wąsami i z bródką hiszpańską, uważają się wtedy za muszkieterów. Czysta błazenada. – Z siostrą mogłem sobie pozwolić na stroniczość, zręczliwość i przesadę, bo i ona miała do tego skłonność, to była nasza komiczna rodzinna cecha, mieliśmy ją wszyscy z wyjątkiem ojca, który wyraźnie się od nas różnił swoim zrównoważeniem i dobrym charakterem. Ja na przykład nigdy nie ufam ludziom, którzy noszą takie mnisie sandały, wszystkich mam za oszustów i zdrajców; ani nikomu w bermudach albo krótkich spodniach (mam na myśli mężczyzn), co prowadzi do tego, że w dzisiejszych czasach nie ufam latem nikomu, szczególnie w Hiszpanii, prawdziwym rajom żałosnych żenujących strojów. Możliwe, że te intuicje przerobione na reguły, te drastyczne przesady albo powierzchowne, acz determinujące oceny, które zasadzają się wyłącznie na moim ograniczonym doświadczeniu osobistym (jak wszystkie intuicje), pomogły mi jednak z Tuprą w mojej nie tak już nowej pracy, choćby tylko poprzez kategoryczność, z jaką – nauczywszy się pewności siebie potrzebnej do głośnego osądzenia oraz nieodpowiedzialności niezbędnej przy wszelkim

ferowaniu wyroków – wypowiadałem się niekiedy na temat osób stanowiących przedmiot moich interpretacji i domysłów. Mimo wszystko takie uogólnienia na czymś się opierają, choćby to coś przynależało tylko do sfery wyobrażeń: każdy niesie w sobie echa innych osób, nie możemy być na nie głusi, powstają „podobieństwa”, jak to już wcześniej nazwałem, między bardzo różniącymi się, a nawet przeciwstawnymi sobie osobnikami, co niekiedy sprawia, że widzimy lub chwytamy jakiś cień fizycznego między nimi podobieństwa, które na dobrą sprawę wydaje się całkiem niedorzeczne. „Ta piękna kobieta i mój dziadek obiektywnie nie mają ze sobą żadnych cech wspólnych – myślimy – a jednak ona przywodzi go na myśl, przypomina mi go”, i od razu jesteśmy skłonni przypisać owej kobiecie charakter i zachowanie, porywczosć i oportunizm naszego despotycznego przodka. Co zaskakujące, często trafiamy w sedno – gdy mamy czas, by się o tym przekonać – jakby życie było pełne niewytłumaczalnych podobieństw nie biorących się z pokrewieństwa lub jakby każde stworzenie, które istnieje i stąpa po ziemi albo przemierza świat, pozostawiało po sobie w powietrzu niewidzialne nieuchwytnie cząstki swej osobowości i pojedyncze smużki swoich czynów, i słaby odgłos swoich słów, które potem osiadają na chybił trafił w innych, jak śnieg osiada na ramionach, i tym sposobem trwają z pokolenia na pokolenie niczym jakaś klątwa, a może legenda albo cudze bolesne wspomnienie, osiagając tym samym nieskończoną i wyczerpującą wieczną kombinację tych samych elementów. – Co jeszcze powiedział? Jak ten facet wyglądał poza tym, że nosił kucyk? Jak był ubrany? Nie przedstawiła ich sobie? Jak się nazywa? Czym się zajmuje?

– Skąd mam wiedzieć? Nie mam pojęcia. Federico się nie przyjrzał, przecież widział go przez chwilę. Tylko się minęli, powiedzieli sobie z Luisą „dzień dobry” i nic więcej, nie zatrzymywali się. Poza tym Federico i Luisa tak naprawdę się nie znają.

– No tak. Para gołąbków gdzieś się śpieszyła?

– Jacobo, nikt się nie zatrzymał, ani Federico, ani oni. Tylko nie patrz teraz krzywym okiem ani nie nabijaj się z każdego typu z kucykiem. W dodatku kimkolwiek był, mógł dawno ściąć włosy. Nie nazywaj ich także parą gołąbków, bo nie ma po temu żadnego powodu, najmniejszej poszlaki, przecież powiedziałam, jak wyglądało to spotkanie, widzę, że nic ci nie można mówić. Nakręcasz się bez potrzeby.

Wolałem nie wspominać jej o razie pięścią, o tym niedopuszczalnym uderzeniu, o podbitym albo żałobnym oku, lepiej było prowadzić śledztwo nadal na własną rękę i nie straszyć jej, skoro Cecilia wie tylko tyle, ile mi opowiedziała, nie podrzuci mi tu żadnego tropu, nie przeszkadzało mi, że przypisała mój niepokój zazdrości, zazdrość wystarczała, żebym usprawiedliwił swoją namolną ciekawość, która koniec końców była we mnie, prawdopodobnie tak samo jak obawa, że jakiś pozer, jakiś drań z kucykiem czy bez kucyka, wszystko jedno, może źle traktować Luisę: ktoś, kto próbował zająć moje miejsce, ale miało mu się to nie udać, nie nadeszła jego kolej. Mimo to należało się go pozbyć. Skoro był brutalny, skoro był niebezpieczny, skoro podnosił na nią rękę, należało pozbyć się go bezzwłocznie, żeby nie miał okazji się zadomowić, bo bywa, że życie płata niespodzianki, zawsze istnieje ryzyko, że sprawy, które na pozór nie mają przed sobą przyszłości, będą trwały w nieskończoność. A jeżeli jej brakło woli, siły, zdecydowania albo odwagi, tylko ja mogłem się tego podjąć, a przynajmniej tak sobie mówiłem.

Poczekalem, aż ojciec wstanie (a raczej aż pomogą mu wstać i przyprowadzą go do dużego pokoju, do fotela, w którym zawsze czytał przy łagodnym świetle lampy stojącej) i aż pójdzie sobie moja siostra, żeby dalej wypytywać i sondować. Nie spodziewałem się, by dużo wiedział, bardziej prawdopodobne, że nie wie zgoła nic, ale spośród wszystkich osób, jakie miałem na wyciągnięcie ręki, właśnie on, wedle słów Cecylii,

prawdopodobnie najwięcej rozmawiał z Luisą o jej sprawach, nawet jeżeli rzadko i w naturalnych między synową i teściem granicach albo raczej w granicach, w jakich mogą ze sobą rozmawiać dwie osoby tak odległe wiekiem, może jednak czegoś się dowiem, jeśli nie o samym aspirancie do zajęcia mego miejsca – ona nic by mu o nim nie powiedziała i równie dobrze mogło być takich aspirantów kilku – to przynajmniej o tym, co mnie bardzo obchodziło: jak na mnie patrzyła teraz, gdy zszedłem z boiska i sam siebie wygnałem łagodnie z jej życia – nawet z tego praktycznego – i odkomenderowałem się bez protestów z jej czasu i z czasu naszych dzieci. Zapytałem o nią ojca, a on powtórzył, że rzadko go odwiedza, aczkolwiek stopniowo odkrywałem albo przekonywałem się, że teraz źle odmierza obecności lub nieobecności określonych osób, jakby miał wrażenie, że ci najchętniej widziani i najmilsi goście odwiedzają go zawsze zbyt rzadko, a przecież wiedziałem, że niektórzy zachodzili do niego prawie co dzień – tak było z moją siostrą i starszymi siostrzenicami, on zawsze lubił towarzystwo kobiet, a teraz, kiedy był już taki słaby i potrzebował delikatności, lubił jeszcze bardziej. Doszedłem do wniosku, że podobnie postrzega wizyty Luisy, która na pewno nie przychodziła ani w połowie tak często, lecz zważywszy na zażyłość, z jaką o niej mówił, i na kilka znaczących uwag na jej temat, musiała się zjawiać częściej, niż jemu się wydawało. Nalegałem („Ale co mówi, co opowiada? O czym rozmawiacie, kiedy przychodzi? Rozmawia z tobą o mnie czy stara się o mnie nie wspominać? Myślisz, że ma wątpliwości, że może trochę żałować? Czy kiedy mówi o mnie, brzmi to tak, jakby znalazła mi miejsce, którego już nie zmienię, takie zanadto stabilne i spokojne?”), aż wreszcie on, nie odpowiadając, utkwiał we mnie spojrzenie swoich jasnych oczu z czołem wspartym na dłoni, z łokciem na oparciu fotela, w zwykłej dla niego pozycji, gdy zastanawiał się, zanim coś powiedział, miałem czasem wrażenie, że układa w głowie zdania, kilka pierwszych, zanim je wypowie



(następnych już nie układał). Przyglądał mi się z mieszaniną zaciekawienia, lekkiego zniecierpliwienia i odrobiny współczucia, jakbym nie był właściwie jego synem, lecz jakimś zmartwionym młodszym przyjacielem, którego szczerze ceni i u którego dostrzegł dwie dziwne, może rozczarowujące rzeczy: po pierwsze, że tak się przejmuję cudzymi uczuciami i może również cudzymi korzyściami, na co nie ma rady; po drugie, że będąc już całkiem dorosłym mężczyzną, ojcem, w moim wieku i z moim doświadczeniem, jeszcze nie pojąłem nieokiełznanej natury takich strapień, chyba że to zwykły niepokój i idące z nim w parze biadolenie.

– Widzę, że nie pogodziłeś się z sytuacją, Jacobo – odezwał się wreszcie po dłuższej chwili przyglądania mi się – a musisz się pogodzić. Jeżeli ktoś nie chce już z nami być, musimy wziąć na wstrzymanie. Sami z siebie, bez ciągłego obserwowania, jak ta osoba się zmienia, bez wypatrywania znaków i oczekiwania na diametralną odmianę. Jeżeli taka odmiana nastąpi, to nie dlatego, że ty będziesz obserwował, wypytywał mnie albo sondował jeszcze kogoś. Nie można kontrolować, nie można patrzeć przez lupę ani oglądać przez lunetę, ani najmować szpiegów, zadrećzać tego kogoś, ani rzecz jasna samemu się narzucać. Udawanie też nie na wiele się zdaje, nie ma sensu zgrywać obojętnego ani nawet grzecznego, jeżeli nie czujemy w sobie tej grzeczności ani obojętności, a nie sądzę, żebyś ty akurat czuł jedno lub drugie, jeszcze nie. Ona zauważy, że udajesz. Pamiętaj, przejrzystość jest jedną z cech charakterystycznych zakochania i innych pokrewnych stanów w ich różnych przebraniach (miłość często bywa mylona z uporem w fazie pierwszej i w ostatniej, kiedy się myśli, że miłość drugiego jest jeszcze powierzchowna lub już wygasa). Bardzo trudno oszukać kochaną osobę albo kogoś, kto czuje się bądź czuł się kochany (znał taki stan), oczywiście chyba że ta osoba sama woli się oszukiwać, co nie jest takie rzadkie, zgoda. Ale zawsze się wie, kiedy nie jest się już kochanym, pod warunkiem że jest się otwartym na świadomość tego: gdy

wszystko sprowadza się do przyzwyczajenia albo do braku śmiałości, by położyć sprawie kres, albo do pragnienia, by nie wszczynać afery i nie krzywdzić, albo do obawy, jak potoczy się dalsze życie, albo do lęku o środki do życia, albo do zwykłego braku wyobraźni, ludzie w większości nie potrafią wyobrazić sobie, że można żyć inaczej, niż żyją, i choćby dlatego nie zmieniają swego życia, nie robią żadnego ruchu ani go nie biorą pod uwagę; łąatają, odkładają, szukają rozrywek, biorą sobie kochanka, wciągają się w hazard, wmawiają sobie, że ich życie jest znośne, zdają się na upływ czasu; ale nie przyjdzie im nawet na myśl, żeby spróbować czegoś innego. Z uczuciem wygrywa tylko własna korzyść i tylko niekiedy. I analogicznie wie się, kiedy wciąż jest się kochanym, szczególnie gdy się pragnie, by ta miłość przygasła, a najlepiej ustała, na ogół bywa tak z parami w trakcie separacji. Ten, kto o niej zdecydował, jeżeli nie jest egoistą ani sadystą, pragnie, by ta druga osoba odeszła, wyrwała się z pajęczej sieci, przestała kochać i jego dręczyć swoją miłością. Żeby odeszła do kogoś innego albo do nikogo, ale niechby już wreszcie zostawiła go w spokoju. – Ojciec umilkł na chwilę i znowu utkwiał we mnie uważne spojrzenie, jak patrzy się czasem przy pożegnaniach. Odniosłem wrażenie, że wnikliwie bada mnie wzrokiem, co było nieprawdopodobne, bo kiepsko już widział, miał trudności z czytaniem, a nawet z oglądaniem telewizji, program raczej słyszał, niż widział. Tymczasem stało się na odwrót, niebieskie oczy, z wiekiem coraz bardziej wyblakłe, wbite w moją twarz zdawały się widzieć na wskroś, a tym samym wiedzieć o mnie to, czego sam nie wiedziałem. – Myślę, że powinieneś dać Luisie spokój, Jacobo. Jeszcze tego nie zrobiłeś, mimo że elegancko i szarmancko się usunąłeś, wyjechałeś do innego kraju i tak dalej. Jeszcze nie. Nie zostaje ci nic innego, czy tego chcesz czy nie. Pozwól jej odetchnąć pełną piersią, daj jej trochę powietrza, nie narzucaj się. Pozostaw jej całą inicjatywę. Od ciebie już nic nie zależy. Jeżeli pewnego dnia zrozumie, że bez ciebie jej źle, jeżeli

odkryje, że jest nieszczęśliwa z tęsknoty za tobą, na pewno, na ile ją znam, poprosi cię, żebyś wrócił. Umie przyznać się do błędu, nie jest zarozumiała. Dopóki tego nie robi, to znaczy, że nie chce, i nie zmieni tego nic, co ty zrobisz albo jak się zachowasz, tutaj albo na odległość; dla niej jesteś przejrzysty, ona też taka będzie dla ciebie, jeżeli będziesz miał w sobie gotowość, by to naprawdę widzieć i uznać to, co zobaczysz. Inna sprawa, że nie masz w sobie takiej gotowości, i ja to rozumiem. Ale nie zadawaj mi pytań, na które nie mogę znać odpowiedzi, to ty je znasz: ona dla mnie nie jest przejrzysta. – I zaraz dodał: – Masz kogoś w Londynie?

Teraz ja pogрузyłem się na chwilę w myślach, lecz nie dlatego, że nie byłem pewien. Nie, nie miałem nikogo, nic, co choćby w przybliżeniu przypominało stały związek: zdarzały się przelotne relacje bez dalszego ciągu i bez entuzjazmu, głównie w pierwszych kilku miesiącach instalowania się, prowadzenia rozpoznania i wstępnych ocen: z trzech kobiet, które wówczas zostały u mnie na noc, tylko jedna przyszła ponownie za moją zgodą (inna próbowała tego bez powodzenia), ale i ta zgoda szybko wygasła po trzecim albo czwartym razie. W późniejszym czasie przewinęła się przez dom jeszcze jedna kobieta bez dalszych konsekwencji. Jeszcze później młoda Pérez Nuix przewijała się przez chwilę przez moją wyobraźnię, nie zaprzeczam, a po naszej wspólnej nocy jeszcze ją od czasu do czasu zaprzętała, lecz tamta dziwna schadzka nabrała niejasnego zabarwienia przysługi i zapłaty, a takie myśli łatwo tłumią wyobraźnię; i jakkolwiek pobudzają ją myśli o tajemnicy i milczeniu, to nie dość mocno, by zrównoważyć te pierwsze, o większym ciężarze gatunkowym, silniejsze.

– Nie – odparłem. – Tylko przelotne przygody, ale takie rzeczy w moim wieku już nie podniecają ani szczególnie nie bawią. Może tylko ludzi, którym łatwo podbijać bębenka. To akurat nie mój przypadek.

Ojciec się uśmiechnął, czasem bawiło go to, co mówiłem.

– Tak, możliwe, że teraz już nie. Ale inaczej było w przeszłości, kiedy byłeś młody, więc nie bądź taki pewny siebie. To nie jest również przypadek Luisy, bez dwóch zdań. Nie wiem, czy się z kimś spotyka. To naturalne, że nie rozmawia ze mną o takich sprawach, aczkolwiek kiedyś zacznie, jeżeli jeszcze trochę pociągnę. Ma do mnie zaufanie i myślę, że jeśli zdarzy jej się jakiś poważny związek, to mi o tym powie. Natomiast rzeczywiście dostrzegam, że nie wyklucza możliwości takiego związku, a nawet że jej do niego spieszo. Spieszno jej, by znowu stanąć na nogi albo ułożyć sobie od nowa życie czy jak to się teraz mówi. Chcę powiedzieć, że nie sądzę, by zwątpiła już we własną atrakcyjność, co to, to nie, chociaż obydwójce nie jesteście już tacy młodzi. Obawia się raczej zwlekać zbyt długo z rozpoczęciem „definitywnego związku”. Nie ulega wątpliwości, że przez wiele lat tak myślała o tobie i zrozumienie, że tak nie jest, nie kazało jej myśleć, że takie związki nie istnieją, lecz że to wyście się pomylili i że ona straciła dużo cennego czasu. Tak dużo, że teraz powinna się pospieszyć i szybko znaleźć ten związek ostateczny, jeszcze z niego nie zrezygnowała, jeszcze nie zdążyła zmienić swoich oczekiwań, a może swoich złudzeń, chyba wciąż jeszcze trwa w dużym pomieszaniu. – Teraz na jego twarzy wyraźniej zagościło współczucie, podobne pojawia się na twarzach wielu matek, gdy przyglądając się swoim małym dzieciom, widzą, jak te niewiele wiedzą i jak powoli się uczą (a więc jakie są bezbronne). Naiwność najczęściej wzbudza współczucie. Wydaje się, że mój ojciec dostrzegał ją u Luisy, bo o Luisie mówił, możliwe jednak, że widział ją także u mnie, bo wypytywałem go o Luisę, gdy nie mógł mi pomóc. Mógł co najwyżej zająć mnie rozmową i wysłuchać, na tym polega przejęcie się czyimiś problemami. – Trochę to dziecinne, jak sądzę. Jakby od zawsze miała w głowie jakiś model życia i nie porzuciła go mimo tej wielkiej porażki z tobą, przynajmniej jeszcze nie porzuciła, i jakby myślała: „Skoro on nie był takim człowiekiem, jak myślałam, to musi nim być kto inny. Ale

gdzie go szukać? Muszę go znaleźć, muszę go spotkać”. Tyle mogę ci powiedzieć. Ona nie potrzebuje pochlebstw ani, co oczywiste, przelotnych podbojów, żeby poprawić sobie samopoczucie. Ilekroć się z kimś spotyka, jeżeli w ogóle się spotyka, traktuje ten związek jako definitywny, jako związek z przyszłym mężem, i dołoży wszelkich starań, żeby nie spalił na panewce, okaże temu człowiekowi nieskończenie dużo dobrej woli i cierpliwości, chcąc go pokochać, pragnąc go na śmierć i życie. – Przerwał i uniósł wzrok w górę, jakby chciał łatwiej wyobrazić sobie Luisę u boku jakiegoś kretyna na stałe ćwiczącą przy nim cierpliwość. Potem dodał z zalem: – Dobrze na tym nie wyjdzie. Powiedziałbym, że taka postawa odstrasza mężczyzn albo przyciąga tylko małodusznych. Ciebie, Jacobo, na pewno by odstraszyła. Nie należysz do tych, co się żenią, mimo że dość długo byłeś żonaty i teraz do tego tęsknisz. W gruncie rzeczy tęsknisz tylko do niej, nie do małżeństwa. Nigdy nie przestałem się dziwić, że się ożeniłeś. Dziwiłem się również, że to małżeństwo tak długo trwało, nigdy bym nie przypuszczał, że aż tyle potrwa.

Nie chciałem zapuszczać się w te rejony, z pewnością nie byłem ciekaw samego siebie lub zgodnie z tamtym anonimowym raportem znalezionym w kartotece w biurze, uważałem własny charakter za coś oczywistego albo uznałem, że znam się doskonale; a może wprost przeciwnie, uważałem, że jestem beznadziejnym przypadkiem, nad którym nie ma sensu rozmyślać. Tak więc upierałem się, by rozmawiać o kimś, kogo znałem dużo lepiej albo kogo wcale tak dobrze nie znałem, kto wie.

– Uważasz, że przez ten pośpiech mogłaby się związać z nieodpowiednim mężczyzną, z kimś niebezpiecznym?

– Nie, aż tak to nie – odparł. – Luisa jest inteligentna, potrafi stawić czoło rozczarowaniu, nawet jeśli niechętnie i z oporami, i z wysiłkiem... Może z kimś całkiem przeciętnym albo kto tylko po części spełni jej oczekiwania, a nawet ma jakieś nie lubiane przez nią cechy, to możliwe.

Mam jednak wrażenie, że temu potencjalnemu mężowi, jakikolwiek będzie, temu projektowi, mężczyźnie, na którego się zapatrzy, da szans bez liku, bardzo się zaangażuje, postara się być wyrozumiała do granic, jak na pewno starała się z tobą, dopóki jak rozumiem, nie przekroczyłeś pewnej granicy, nigdy was nie pytałem, co się dokładnie stało... Temu mężczyźnie nie będzie wystawiać czeków *in blanco*, ale zanim się z nim rozstanie, zużyje po trochu prawie cały bloczek... Jednakże taki człowiek, o ile wiem, jeszcze się nie pojawił, a przynajmniej nie stał się na tyle ważny, żeby mi o nim opowiedziała albo prosiła mnie o radę. Pamiętaj, że dla Luisy jestem teraz kimś najbliższym ojca i że ona wciąż ma w sobie wiele z dziecka, przez co jest taką wspaniałą osobą i nie waha się prosić starszych o radę. No cóż, ma w sobie wiele z dziecka pod pewnymi względami. Pod innymi, rzecz jasna, wcale nie. Mówiłeś, że kiedy wracasz do Oksfordu?

Widziałem, że jest zmęczony. Podjął wysiłek, tak, wysiłek dokonania analizy bądź interpretacji, jakby to on był mną, a ja jakbym był Tuprą w naszym biurze, i jakby Tupra nalegał, by mówił mu o Luisie, oby jej nigdy nie poddano takiej analizie, nie było po temu żadnego powodu, na samą myśl przeszył mnie dreszcz grozy. Mój biedny ojciec zadośćuczynił mojej prośbie, postarał się mi pomóc, oddał przysługę synowi, powiedział mi, co myśli, jak widzi Luisę, czego w jego przekonaniu można się po niej spodziewać w najbliższej przyszłości. Możliwe, że jego oceny były słuszne i jeżeli ktoś, kogo Luisa miała, posunął się za daleko w jakimś złym momencie jakiegoś bardzo złego dnia, to niewykluczone, że ona starała się go usprawiedliwić albo zmienić, albo zrozumieć, zamiast odsunąć się od niego lub uciec gdzie pieprz rośnie, bo to właśnie należy zrobić, gdy jeszcze nie jest za późno, gdy nie jest się związanym, lecz tylko uwikłanym. Niewykluczone, że chciała o tym nie pamiętać i wymazać to zdarzenie z pamięci, może starała się zepchnąć je do przedziału złych snów albo wrzucić do worka z przywidzeniami, jak robi większość z nas, gdy

pragniemy, żeby tak szybko nie zawiodła nas twarz, która już dziś nas zawodzi, nie mając nawet na tyle przyzwoitości, by poczekać z tym do jutra. Wprost nie da się opisać, ile niejedna kobieta potrafi znieść, szczególnie jeżeli czuje się wybawicielką albo uzdrowicielką, albo odkupicielką, gdy uważa, że uda jej się wyciągnąć z marazmu albo z choroby, albo z nałogu kochanego mężczyznę, albo mężczyznę, którego postanowiła kochać za wszelką cenę. Myśli, że przy niej będzie inny, zmieni się na lepsze, poprawi, odmieni, a zatem ona stanie mu się niezbędna, odnosiłem niekiedy wrażenie, że dla takiej kobiety uratowanie kogoś jest jakąś formą – naiwną i iluzoryczną – upewnienia się o bezwarunkowej miłości tej osoby: „Nie może beze mnie żyć – myśli, wcale tak nie sądząc albo nie wyrażając tej myśli słowami. – Dobrze wie, że beze mnie znowu będzie kupą nieszczęścia, nie da sobie rady, będzie chory, przygnębiony, uzależniony od narkotyków, będzie pijakiem, nieudacznikiem, zwykłym cieniem siebie, człowiekiem skazanym, przegranym. Nigdy mnie nie zostawi, nie narazi naszego związku na niebezpieczeństwo, nie robi mi żadnego skurwysyństwa, nie zaryzykuje, że od niego odejdę. Nie dość, że już zawsze będzie mi wdzięczny, to jeszcze jest świadom, że przy mnie utrzymuje się na powierzchni, a nawet posuwa się do przodu, podczas gdy beze mnie pójdzie na dno i zatonie”. Tak, zdaje się, że tak właśnie myśli niejedna kobieta, gdy napotyka na swej drodze trudnego, fatalnego, beznadziejnego albo agresywnego mężczyznę, widzi w nim wyzwanie, problem, zadanie, kogoś, kogo może sprowadzić na dobrą drogę albo wyrwać z piekła. Trudno uwierzyć, że chociaż od tylu stuleci wiadomo o doświadczeniach innych kobiet i tyle się o tym mówi, one wciąż nie wiedzą, że jak tylko taki mężczyzna otrzeźwieje, odzyska dobre samopoczucie i zdrowie – gdy poczuje się rzeczywistym człowiekiem, już nie widmem – będzie święcie przekonany, że stanął na nogi o własnych siłach i co bardzo prawdopodobne, uzna kobietę za kulę

u nogi, za kogoś, kto nie pozwala mu biec swobodnie albo nadal piąć się w górę. Trudno także uwierzyć, że niejedna kobieta nie zdaje sobie sprawy, że to ona stanie się najbardziej uwikłana albo najsilniej związana i nigdy nie zdobędzie się na to, by porzucić uzależnionego, zagubionego albo porywczego, pełnego przywar mężczyznę, bo z opieki nad nim uczyniła nieledwie swoją misję, a nigdy nie rezygnuje się z misji, gdy jest do wypełnienia (albo gdy tak się sądzi), gdy wreszcie się ją znalazło i wiadomo, że nie została wypełniona do końca, gdy uważa się ją za zadanie na całe życie i za codzienne usprawiedliwienie darowanego istnienia albo niezliczonych kroków postawionych na ziemi i powolnej podróży przez ograniczony świat...

Wstałem i położyłem ojcu dłoń na ramieniu, ostatnimi laty ten gest go uspokajał, kiedy czuł się przestraszony lub słaby albo pomieszany, kiedy otwierał szeroko oczy, jakby po raz pierwszy oglądał świat spojrzeniem równie niezbadanym jak spojrzenie kilkutygodniowego dziecka, obserwującego, jak mniemam, nowe miejsce, gdzie zostało rzucone, i starającego się prawdopodobnie rozszyfrować nasze zwyczaje i ustalić, które z nich staną się jego zwyczajami. Ojciec musiał mieć podobnie ograniczoną zdolność widzenia jak – co czasem się twierdzi – nowo narodzone dzieci, możliwe, że dostrzegał tylko cienie, plamy, znajome światło i niewyraźne kolory, nie sposób było się tego dowiedzieć, on sam zapewniał, że widzi dużo więcej, niż nam się zdaje, możliwe, że przemawiała przez niego swoista duma, która nie pozwalała mu przyznać, że jego stan fizyczny tak się pogorszył. Wiedział, kim jestem, i nadal miał dobry słuch, niewykluczone zatem, że przede wszystkim widział pamięcią. I po części dlatego umiejscawiał mnie w Oksfordzie, gdzie kiedyś rzeczywiście mieszkałem, aczkolwiek wiele lat wcześniej, i skąd w dodatku dawno wróciłem. Nadal natomiast nie wiedziałem, czy wrócę z Londynu (teraz wróciłem, ale nie na stałe). W trakcie tamtego dwutygodniowego



pobytu ilekroć ojca odwiedzałem, zawsze w pewnym momencie tych odwiedzin kładłem dłoń na jego ramieniu: trzymałem ją tam jakiś czas, naciskając leciutko, żeby dobrze poczuł mój dotyk i wiedział, że jestem blisko i w kontakcie, aby go uspokoić i dać mu poczucie bezpieczeństwa. Ojciec schudł od mojego wyjazdu, czułem jego trochę wystające kości, obojczyk, w dotyku sprawiały wrażenie kruchych, nie takich, żeby miały się złamać, lecz takich, że pozornie łatwo mogły się przemieścić od jakiegoś niefortunnego gestu lub wysiłku; gdy zajmowała się nim opiekunka, robiła to z wielką delikatnością. Kiedyś spojrzał z ciekawością na moją spoczywającą na jego ramieniu dłoń bez żadnego sprzeciwu. Przyszło mi na myśl, że może się zdumiał, widząc, iż jest adresatem gestu, którym sam prawdopodobnie obdarzał czasem mnie, gdy byłem dzieckiem, on był wtedy ten duży, a ja rosłem bardzo powoli – pochylony ojciec kładący rękę na ramieniu syna, żeby udzielić mu napomnienia albo wzbudzić w nim zaufanie, albo otoczyć go symboliczną opieką, albo go uspokoić. Wtedy popatrzył na moją dłoń, jak patrzy się na siedzącą na ramieniu nieszkodliwą muchę, a może na coś większego, może na jaszczurkę, która na chwilę nieruchomieje, jakby usłyszała za sobą kroki. „Dlaczego kładziesz mi dłoń na ramieniu?” zapytał z lekkim uśmiechem nieledwie rozbawiony. „Nie lubisz tego?”, zapytałem, a on odparł: „No cóż, jeżeli masz ochotę. Nie przeszkadza mi to”. Jednakże podczas moich pierwszych odwiedzin, jak i w większości przypadków, niespecjalnie to zauważał albo czuł jedynie, nic nie mówiąc, mój delikatnie ukierunkowany uspokajający ucisk. Odpowiedziałem:

– Teraz nie mieszkam w Oksfordzie, tato. Tylko od czasu do czasu tam jeżdżę w odwiedziny do Wheelera, mówiłem ci o nim, nie pamiętasz? Sir Peter Wheeler, ten hispanista. Jesteście prawie w tym samym wieku, on jest o rok starszy. Teraz mieszkam w Londynie. Wracam tam za dwa tygodnie.

Prawdopodobnie odczuwał trudy swojej bystrej interpretacji Luisy, podjął się tego wysiłku dla mnie, a teraz przyszło mu za to płacić. Nagle jakby poczuł się bardzo zmęczony swoją przenikliwością i jakby znowu pomieszały mu się czasy, jak poprzedniego dnia przez telefon. Możliwe, że nie mógł już zbyt długo wytrzymać bycia sobą, to znaczy bycia takim jak zawsze, baczny, intelektualnie wymagającym człowiekiem, który oczekiwał od nas, swoich dzieci, byśmy myśleli dalej i głębiej i mówił do nas: „I co jeszcze?”, gdy my uznawaliśmy za zakończone jakieś rozumowanie lub argumentację, bycia tym, który skłaniał nas do dalszego przyglądania się rzeczom i ludziom, sięgania wzrokiem dalej niż to konieczne, kiedy ma się wrażenie, że nie ma tam już nic więcej do oglądania i że uparte patrzenie nadal jest stratą czasu. „Tam, gdzie wydawałoby się, że nic już być nie może”, to były jego słowa. Tak, w miarę jak robię się coraz starszy, uświadamiam sobie, że to człowieka męczy i wyczerpuje, i zdarza się, że nachodzi mnie ochota, by już więcej nie zwracać uwagi na innych ludzi ani na świat, zastanawiam się, dlaczego miałbym to robić i po jakiego diabła wszyscy to robimy w mniejszym lub większym stopniu, nie mam nawet pewności, czy to nie jest dodatkowe źródło konfliktów, nawet jeżeli spoglądamy przyjaznym okiem. On już skończył dziewięćdziesiąt lat. Nie dziwota, że chciał odpocząć od samego siebie. I od całej reszty też.

– Coś takiego – odparł odrobinę urażony, jakbym oszukiwał go wcześniej celowo i dla własnej zabawy – przedtem mówiłeś zawsze o Oksfordzie. Że zaproponowali ci tam posadę, jakieś wykłady. Był tam człowiek o nazwisku Kavanagh, który pisze horrory i jest mediewistą, prawda? I wiem oczywiście, kim jest twój przyjaciel Wheeler, czytałem nawet jakąś jego książkę. Czy on nie nazywał się jednak Rylands? Ty zawsze nazywałeś go Rylands. – Nic nie powiedziałem, że byli braćmi, bo

zrobiłoby się jeszcze większe zamieszanie. – No więc na jakim uniwersytecie uczysz w tym Londynie?

Tak właśnie działa pamięć starych ludzi. Pamiętał o Aidanie Kavanaghu i jego nazwisku, a nawet o jego poczytnych powieściach pisanych pod pseudonimem, o sympatycznym i celowo niepoważnym człowieku, szefie zakładu albo podwydziału języka hiszpańskiego w czasie, gdy uczyłem na Uniwersytecie Oksfordzkim, też już od niedawna na emeryturze; pamiętał też o Rylandsie, jakkolwiek mylił go z kim innym; nie pamiętał natomiast, że pracowałem w radiu BBC za drugiej mej bytności w Anglii, tak niedawnej, że jeszcze się nie skończyła. Nie miał powodu pamiętać, co zdarzyło się potem: jemu, podobnie jak Luisie, mówiłem mało – tylko kilka bardzo ogólnych, a może wykrętnych wzmianek – o swoim nowym zajęciu. Dziwna rzecz, jak człowiek instynktownie ukrywa albo – to nie to samo – przemilcza coś, co od początku wydaje mu się mętne: nie wspomniałbym na przykład Luisie o poznaniu kobiety, z którą zamieniłem zaledwie kilka słów podczas jakiegoś spotkania albo przyjęcia, z którą do niczego nie mogło dojść albo naprawdę nie doszło, ale która od razu zaczęła mnie pociągać. Prawdopodobnie ani mój ojciec, ani Luisa nie usłyszeli ode mnie nigdy o Tuprze albo napomknąłem coś tylko mimochodem, gdy tymczasem był on niewątpliwie postacią dominującą w moim życiu w Londynie (a za parę dni miałem przekonać się jak bardzo). Nie uważałem, że warto o nim wspominać w tamtej chwili, wyprowadzać ojca z błędu i mówić mu, że nigdzie nie uczę.

– Pójdę już, tato – odparłem. – Jak tylko znajdę wolną chwilę, będę w tych dniach do ciebie zaglądał. Chcesz, żebym uprzedzał cię zawczasu, żebym wcześniej dzwonił?

Długa nieobecność sprawiła, że miałem się poniekąd za intruza, dlatego czułem, że powinienem zadać takie pytanie, może i niestosowne u syna, gdy chodzi o ojcowski dom, który przez wiele lat był też jego domem.

Nadal stałem, wciąż jeszcze z dłonią spoczywającą na jego ramieniu. Ojciec podniósł na mnie wzrok, nie wiem – widząc mnie, domyślając się mnie czy przypominając mnie sobie. Jego spojrzenie było w każdym razie czyste, zdumione, odrobinę bezbronne, jakby nie zrozumiał dobrze, że wychodzę. Ostatnimi czasy jego oczy wydawały się bardzo błękitne, bardziej niż kiedykolwiek, może dlatego, że nie nosił okularów.

– Nie trzeba, synu. Dla mnie wszyscy nadal tu mieszkacie, nawet jeśli dawno już sobie poszliście. – Pogrążył się w milczeniu, potem dodał: – Wasza matka także.

Nie byłem pewien, czy chodzi mu o to, że ona nadal mieszka w domu, czy może wyrzuca jej, że i ona, umarłszy, poszła sobie, i to dawniej niż ktokolwiek inny. Pewnie miał na myśli jedno i drugie.

Nadal nie traciłem czasu, *I did not linger or delay or loiter or dally*. Miałem wielką ochotę znowu zobaczyć dzieci, nie mówiąc już o Luisie, siostrę oraz spotkać się po raz pierwszy z braćmi i z kilkorgiem przyjaciół, pospacerować po mieście jak obcokrajowiec, czułem jednak, że mam coś konkretnego i pilnego do zrobienia, coś do ustalenia i załatwienia albo że muszę czemuś zaradzić. Tego z pewnością nauczyłem się od Tupry, przynajmniej w teorii: Luisa na pewno znajdowała się w niebezpieczeństwie i teraz rozumiałem, że czasem nie ma wyjścia i trzeba zrobić to, co jest do zrobienia, w dodatku od razu, nie czekając ani nie wątpiąc, ani nie zwlekając: należało to zrobić bez zastanowienia, jak człowiek roztargniony lub zajęty, traktując jak pracę do wykonania. Tak, zdarzają się sytuacje, w których wiadomo, co by się stało na świecie, gdyby nie został zastosowany przymus lub gdyby nie pohamowano tego, do czego w naszym przekonaniu ludzie z pewnością są zdolni, i że jeśli trzeba zapobiec ujawnieniu się tych możliwości w całej krasie, potrzebny jest ktoś – na przykład ja, a ktoś by inny w tym wypadku – kto im to wybije z głowy albo do tego nie dopuści. Tuprze, aby przystąpić do wymierzania kary, jaką sam uznał za właściwą i konieczną, wystarczyło przekonać samego siebie, co w każdym konkretnym przypadku mogłoby się zdarzyć, gdyby on albo jakiś inny strażnik – władze lub prawo, instynkt, księżyc, burza, strach, uniesiony w górę miecz, niewidzialni wartownicy – tego nie powstrzymał. „Taki jest świat”, mawiał, kwitując tym wiele spraw i sytuacji: tym kwitował zdrady i przykłady lojalności, lęki i przyspieszone bicie serca, nagłe zwroty akcji i zawroty głowy, wątpliwości i udręki, i niezamierzone krzywdy, zadraśnięcie i ból, i gorączkę, i nieuleczalną ranę, zmartwienia i te niezliczone kroki, jakie wszyscy podejmujemy w przekonaniu, że

kierujemy się własną wolą, a przynajmniej że nasza wola ma w tym jakiś udział. Dla niego to wszystko było normalne, czasem nawet rutynowe – zapobiec albo ukarać, nie narażając się nigdy na zbyt duże ryzyko – wiedział aż nadto dobrze, że świat pełen jest namiętności i afektów, i złej woli, i złośliwości i że ludzie często nie mogą ich uniknąć, a poza tym wcale tego nie chcą, ponieważ one są jak knot i paliwo ich własnego spalania, a także tego spalania przyczyną i iskrą zapłonową. I że nie potrzebują powodu ani zamiaru dla żadnej z tych emocji, celu ani przyczyny, wdzięczności ani urazy, w każdym razie nie zawsze albo jak powiedział Wheeler: „Ludzie mają wszystkie te możliwości we krwi i jest tylko kwestią czasu, pokusy i okoliczności, by one nimi zawładnęły”. Dla Tupry ta radykalna, a czasem bezlitosna postawa – a może po prostu postawa praktyczna – była prawdopodobnie jeszcze jedną cechą charakterystyczną świata takiego, jaki był, z jakim on sam się pogodził albo na jaki przystał; ta niepoddająca się refleksji stanowcza postawa (a może postawa zrodzona z jednej tylko myśli, tej pierwszej) również była częścią takiego niezmiennego zawsze i wszędzie świata, nie było zatem powodu, by ją kwestionować, jak nie należy kwestionować jawy i snu, słuchania i patrzenia ani oddychania i chodzenia, ani mówienia, ani niczego, o czym wiadomo, że „takie jest i zawsze takie będzie”.

Teraz ja czułem się tak jak on, to znaczy jak ktoś, kto działa bez ostrzeżenia, przynajmniej czasem, kto podejmuje decyzję na odległość na podstawie trudnych do określenia przesłanek albo nie czekając, aż pojawi się związek przyczynowo-skutkowy między czynami i przesłankami, nie mówiąc o pojawieniu się dowodów na to, że czyny zostały popełnione. I ja ich nie potrzebowałem przy tej arbitralnie stworzonej lub usprawiedliwionej okazji – kto to mógł wiedzieć i kogo to obchodziło? – ani nie zamierzałem wysłać najmniejszego ostrzeżenia ani zawiadomienia, nim machnę mieczem, nie były mi nawet potrzebne czyny dokonane ani udowodnione,

zdarzenia, fakty ani pewność, bym przystąpił do działania i wyrzucił z życia Luisy owego mężczyznę, z którym nieopatrznie się związała i który jej zagrażał, a zatem zagrażał także moim dzieciom. Najpierw musiałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej, potem go wytropić. Ona nie zamierzała powiedzieć mi o nim ani słowa, tym bardziej teraz, gdy tego typu, dla mnie pozbawionego jeszcze imienia i twarzy, błyskawicznie zacząłem podejrzewać, że ponosi winę za jej pobitą twarz o tysiącu kolorów. Następnym moim krokiem po wysłuchaniu domysłów ojca oraz jego opinii, że moja żona byłaby skłonna dogadzać każdemu, kto by wzbudził w niej teraz nadzieję na coś poważniejszego albo na kim ona skupiłaby uwagę (Tak, wciąż jest *sensu stricto* moją żoną, pomyślałem. Nie rozwiedliśmy się ani nie ma z tym, jak się zdaje, pośpiechu, żadne z nas dwojga nie ma tego w planach; i to utwierdziło mnie w determinacji albo w pierwszej myśli, która nie dopuszczała kolejnej), miało być zatem spotkanie z jej siostrą albo porozmawianie z nią przez telefon; i chociaż ze szwagierką nigdy nie byliśmy szczególnie zaprzyjaźnieni ani nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, chociaż ona nie była szczególnie rodzinna, a ze mną i dziećmi widywała się tylko od wielkiego dzwonu, traktując nas jak zwykły dodatek do Luisy, to jednak z siostrą spotykała się regularnie raz albo dwa razy w miesiącu, Luisa wpadała do niej bez dzieci i zazwyczaj pod nieobecność jej męża albo umawiały się w restauracji na obiad i opowiadały sobie nawzajem, co u nich słychać, nie wiem, jak dalece, ale przypuszczam, że mówiły sobie niemal o wszystkim. Jeżeli ktoś mógł być na bieżąco, jeżeli ktoś mógł wiedzieć, kim jest ten mężczyzna, który na zbyt wiele sobie pozwala, znać jego imię i twarz, to właśnie ona, burkliwa młodsza siostra Luisy, Cristina. I jakkolwiek przede wszystkim czuła się lojalna wobec Luisy, a mnie traktowała jak zbędny do niej dodatek, to jeżeli coś wzbudza jej niepokój – a ten typ był bardzo niepokojący, jeżeli moje

wnioski były właściwe, a jeżeli nie były, to także – z pewnością powie mi o tym i wysłucha chętnie kogoś, kto ma podobne odczucia w tej sprawie.

Zadzwoiłem do niej pod wieczór, była zaskoczona, nie wiedziała nawet, że jestem w Madrycie – nie miała zresztą powodu, by wiedzieć, chyba że rozmawiałaby w ciągu dnia z siostrą, która by jej o tym wspomniała – zapytała, jak mi się wiedzie w Londynie, zdziwiło mnie, że wie, gdzie aktualnie mieszkam, „Dobrze”, odpowiedziałem, nie wdając się w szczegóły, bo pytanie było odruchowe, i od razu poprosiłem ją o jak najszybsze spotkanie. „Nie da rady – odparła – jutro wyjeżdżam, a przedtem mam jeszcze huk roboty”, „Na ile wyjeżdżasz?”, „Na tydzień”, „Jak wrócisz, będzie już trochę za późno, byłoby lepiej przed, jestem tylko piętnaście dni, to znaczy już trochę mniej, o której wyjeżdżasz?”, nalegałem, „Wczesnym popołudniem, ale przedtem mam tysiąc spraw na głowie, nie możesz powiedzieć przez telefon, o co chodzi? O Luisę?”, „Tak, o Luisę”. Zamilkła na kilka sekund, chyba gdzieś się sadowiła. „Co masz mi do powiedzenia? Mów, słucham”, „Teraz?”, „Tak, teraz. Jeżeli chodzi o to, o czym myślę, nie zajmie nam dużo czasu ani nie będzie między nami sporu, jak sądzę, raczej się zgodzimy. Chodzi o Custardoya, prawda?”

– O kogo?

– O Custardoya, tego faceta, z którym się spotyka. A może nic nie wiesz? Oj, Jaime, nie mów, że nie wiedziałeś. – Nie zabrzmiało to tak, jakby się przestraszyła, że palnęła głupstwo, lecz jakby nie dawała wiary, że mogę nie wiedzieć. Pewnie zawsze uważała mnie za mało przytomnego albo gorzej, za głupka.

– Dopiero co przyjechałem, nie znałem jego nazwiska. – Teraz już znałem i wiedziałem, że jest ktoś taki w teraźniejszym życiu Luisy, a więc to już nie były przypuszczenia. Pozostawało jeszcze dowiedzieć się, jak wygląda i gdzie go można znaleźć. Custardoy. Rzadkie nazwisko, dziwne, na pewno mało jest takich w mieście. – Od dawna mnie tu nie ma,



a z samych rozmów telefonicznych trudno się zorientować, co naprawdę się dzieje. Kto to jest? Czym się zajmuje?

– Jest malarzem albo kopistą, albo jednym i drugim. Krążą plotki, że jest też fałszerzem obrazów, tak czy owak obraca się w świecie sztuki. Prawdę mówiąc, cieszę się, że zadzwoniłeś, dosyć się tym wszystkim martwię. Nie wiem co prawda, czy można coś zrobić, w takich sytuacjach rzadko kiedy da się coś zrobić.

– Martwisz się? Dlaczego? W jakich sytuacjach?

– Powiedz mi najpierw, z czym dzwonisz. Co ci powiedziała Luisa?

Zawahałem się, czy nie udać, że wiem coś więcej, niż wiedziałem, ale pomyślałem, że to byłoby nierozsądne, Cristina była burkliwa i gdyby się zorientowała, mogłaby w ogóle przestać ze mną gadać. A to byłoby teraz najgorsze, zależałem całkowicie od jej dobrej woli, już mi dużo powiedziała niechcący, nie musiałem z niej tego wyciągać.

– Szczerze powiedziawszy, bardzo niewiele, właściwie nic – przyznałem ostatecznie. – Według Luisy to już nie moja sprawa, co ona robi, i w zasadzie ma rację. Tyle tylko, że wczoraj wieczór widziałem ją przez chwilę, poszedłem odwiedzić dzieci, ona nie chciała się ze mną spotkać i wyszła, zanim przyszedłem, ale zczekałem do jej powrotu, nie było jej kilka godzin, nie wiem, gdzie była, zostawiła mnie z opiekunką do dzieci, myślę, że starała się uniknąć spotkania, bo twarz miała całą w sińcach i nie chciała, żebym to zobaczył. Powiedziała mi, że uderzyła się o drzwi garażu, ale ma podbite oko i na moje rozeznanie ktoś uderzył ją pięścią w twarz, co mało, że mnie martwi, uważam, że to absolutnie zatrważające i jest moją sprawą, nie może być inaczej. To jakby pobili ciebie albo inną zaprzyjaźnioną osobę. Wiesz coś na ten temat?

– To nie tak samo, jakby mnie pobili, Jaime, ja ciebie nic nie obchodzę – zauważyła najpierw moja szwagierka z właściwą jej cierpkością. Potem

zmieniła ton i powiedziała ni to do mnie, ni to do siebie: – Znowu to samo. Straszne.

– Znowu? Zdarzyło się już wcześniej?

Cristina nie od razu odpowiedziała. Zamilkła, jakby przygryzła wargę i coś rozważała, lecz to wahanie trwało tylko chwilę.

– Ona twierdzi, że nie, że nigdy nic się nie stało, ani to, co ty podejrzewasz, ani to, co ja podejrzewałam. Słuchaj, mówię ci o tym, bo się martwię, teraz, po tym, co mi powiedziałeś, jeszcze bardziej, nic nie wiedziałam, nie widziałyśmy się od dwóch tygodni i ona nie nalegała, żebyśmy się spotkały przed moim wyjazdem, pewnie liczyła, że do mojego powrotu nie będzie już po tym śladu, więc nie będę jej wypytywać. Ale nie sądzę, żeby była zachwycona, że z tobą rozmawiam. Co prawda nie zabroniła mi tego wyraźnie, ale pewnie tylko dlatego, że nie przyszło jej na myśl, że możemy mieć jakiś kontakt. Swoją drogą mnie też to nie przyszło na myśl. Wiedziała, że masz przyjechać?

– Nie, dałem jej znać już z Madrytu, wczoraj. Chciałem zrobić niespodziankę dzieciom.

– Nie miała czasu, żeby się przygotować – mruknęła – ani zadbać, żebyś nie dowiedział się od innych. Pewnie nawet nie chce, żebyś wiedział, że spotyka się z tym facetem.

– Co ty podejrzewałaś?

– No cóż, według niej jakieś dwa miesiące temu poślizgnęła się na ulicy i upadając, uderzyła twarzą w jeden z tych metalowych słupków, które zamontowali w całym mieście, w zasadzie to całkiem możliwe, wszędzie ich pełno, chyba nazywają je *bolardos*, trzeba uważać, żeby idąc, nie rozbić sobie o nie kolana. Nic ci nie wspominała?

– Nie, ani słowem. A rozmawiamy co najmniej raz w tygodniu.

– No widzisz, to dziwne, bo naprawdę brzydko rozcięła sobie twarz, nie głęboko, ale od nosa aż do połowy policzka, bardzo to było widać. – *Uno*

*sfregio*, pomyślałem, od razu nasunęło mi się to świeżo wyuczone słowo, „szrama”. – Miała też otarcie na brodzie. Nie potrafiłam dać wiary jej tłumaczeniu, wyglądało mi to raczej na zadrapanie, ślad po smagnięciu batem albo uderzeniu w twarz, wiem coś o tych sprawach, bo jedna moja znajoma kilka lat temu była regularnie bita przez męża, w końcu ją zabił, wtedy już nie utrzymywałyśmy kontaktów na szczęście, zawsze coś. – Odruchowo odpukałem w niemalowane drewno. – Zapytałam otwarcie, czy Custardoy ją uderzył, czy podniósł na nią rękę. Zaprzeczyła i powiedziała, że zwariowałam, co też mi przychodzi do głowy. Ale równocześnie się zaczerwieniła, a ja umiem poznać, kiedy moja siostra kłamie, zdążyłam się nauczyć od małego. W dodatku potem dowiedziałam się jeszcze innych rzeczy.

– Jakich rzeczy? Znasz tego faceta? – Uświadomiłem sobie, że wolę nie wymieniać jego nazwiska, mimo że mocno utkwilo mi w pamięci, jakby było odkryciem, skarbem. Było cenną informacją.

– Tak, z widzenia. I ze słyszenia. Kilka lat temu można go było często spotkać w eleganckich barach, takich jak Chicote, Cock, El Diego albo w innych, zaglądał tam wieczorami, żeby się napić, typ artysty, nocny podrywacz, chociaż wydaje się, że nie tylko nocny, lecz całodobowy, jeden z tych facetów, co to od razu umieją rozpoznać, kto ma ochotę, żeby go zaczepić, i w jakim celu, albo umieją wytworzyć taką gotowość i taki cel u drugiej osoby, znaczy u kobiety. Tak mi mówiono. Nie wiem, czy ciągle jeszcze chodzi do tych barów, bo ja tam nie chodzę. Całkiem możliwe, że i ty się na niego gdzieś natknąłeś w latach osiemdziesiątych albo dziewięćdziesiątych.

– Jak wygląda? Nosi kucyk? – zapytałem, nie mogłem się powstrzymać. Palilem się z niecierpliwości, żeby to wiedzieć.

– Tak. Skąd wiesz?

– Coś tam wiem. Ale chyba go sobie nie przypominam. A raczej żaden facet z kucykiem nie utkwiał mi szczególnie w pamięci. No cóż, prawda jest taka, że przestałem wychodzić wieczorami, odkąd urodził się Guillermo, a wcześniej facet może nie nosił kucyka. Nazwisko nic mi nie mówi, to na pewno. Jakich rzeczy się dowiedziałaś?

– Jak zobaczyłam u Luisy tę rozciętą twarz, nabrałam złych przeczuc i podpytałam znajomego, Juana Ranza, który zna tego Custardoya od dziecka. Nigdy się nie lubili i od wielu lat prawie się nie widywali, ale ich rodzice się kiedyś przyjaźnili i jak przychodzili do siebie w odwiedziny, to przyprowadzali synów, żeby się razem pobawili i zajęli sobą, więc mój znajomy często był na tamtego skazany. Twierdzi, że Custardoy był jednym z tych szybko dorastających dzieciaków niecierpliwie czekających na moment, kiedy wejdą do świata dorosłych, jakby chcieli wyskoczyć ze swojego jeszcze nie do końca ukształtowanego ciała. Potem, jak Custardoy już był dorosły, robił dla ojca Ranza, który jest ekspertem w dziedzinie sztuki, kopie obrazów (wygląda na to, że jest w tym znakomity i potrafi perfekcyjnie skopiować wszystko, z dowolnej epoki, potem trudno te kopie odróżnić od oryginału, dlatego idzie za nim fama fałszerza), nadal się zatem sporadycznie widywali za sprawą ojca. Juan pracuje jako tłumacz w Narodach Zjednoczonych i, no właśnie, jego żona też ma na imię Luisa.

– Co jeszcze ci powiedział?

– Najbardziej zwraca uwagę albo najbardziej niepokoi, albo najbardziej nas obchodzi fakt, że chociaż ten Custardoy cieszy się wielkim powodzeniem u kobiet, to w tym, jak je traktuje, jest najwyraźniej coś niedobrego, bo Ranz słyszał o kilku, które wyszły przestraszone po spędzeniu z nim nocy, znaczy po uprawianiu z nim seksu (niektóre były prostytutkami i nie miały z nim innych relacji). Potem nie chciały mówić, co tam się stało, jakby starały się jak najszybciej zapomnieć i uwolnić się od tego doświadczenia. Jakby to doświadczenie, a nawet jego wspomnienie

uwierało je dotkliwie i nie nadawało się do opowiedzenia. Nawet jak były z nim równocześnie dwie dziwki (wygląda na to, że gustuje w triach, zawsze z kobietami), tak samo obie wychodziły przestraszone i nie chciały puścić pary z ust. I co łatwe do przewidzenia, jest wiele innych, dziwek albo nie, które czują nieposkromioną ciekawość i chcą się przekonać, co on do diabła robi. Kretynek nie sieją, sam wiesz.

Trudno by usłyszeć coś gorszego. Facet z powodzeniem u kobiet, ale dziwny i robi na kobietach wielkie, chociaż przerażające wrażenie w łóżku. Taki osobnik nie będzie nawet musiał mnie pogrzyźć ani wykopać mi grobu głębszego niż ten, w którym już mnie pogrzebano, pomyślałam, bo pamięć o mnie wymazał za jednym zamachem przy okazji pierwszego strachu i pierwszego błagania, i pierwszej fascynacji, i pierwszego rozkazu, i teraz Luisa może już być pod jego butem.

– Przecież Luisa nie jest kretynką, nigdy nie była – powiedziałem. – Może ten człowiek jest inny wobec tych, które nie są dziwkami. Może zachowuje się inaczej, a nawet całkiem przeciwnie, kiedy ma w perspektywie więcej niż jedną noc, właśnie po to, żeby nie stracić tych kolejnych. Myślisz, że ten niedobry element, to że wszystkie bije? Nie sądzę. Mówiono by o tym, wiedziano by, kobiety ostrzegalyby jedna drugą. Wy, kobiety, mówicie sobie o takich sprawach, prawda? Znaczący o szczegółach. Przynajmniej Hiszpanki. Jak ona o nim mówi? Zakochała się, zadurzyła? Jest zdesperowana, oszalała na jego punkcie, zdenerwowana, może jej to pochlebia? Czy to coś poważnego? Nie może być zakochana. Gdzie go poznała? Skąd on się wziął? – Możliwe, że informacje od tego Ranza zdenerwowały mnie dużo bardziej niż cokolwiek innego, nawet bardziej niż podbite oko Luisy, przybierało już żółtawy odcień. – Co jeszcze ci powiedział ten twój znajomy?

– Nic szczególnie pozytywnego prócz tego, że facet jest dobry w swoim fachu. Jednakże według Ranza to podejrzany typ i pod żadnym pozorem nie

można mu ufać. Nie należy do ludzi, którzy się zakochują, a przynajmniej kiedyś nie należał, tak mi powiedział. Ale kto wie, w tych sprawach ludzie mogą się zmienić. Jak Ranz dowiedział się ode mnie, że moja siostra z nim się spotyka, powiedział: „O-jo-joj”, jakby wieszczył jakieś nieszczęście. Dlatego starałam się bardziej go wypytać, no i z powodu tego rzekomego uderzenia Luisy o metalowy słupek, tej rozciętej twarzy, która mnie tak zaniepokoiła. Właściwie zapytałam go bez ogródek, czy uważa, że Custardoy byłby zdolny uderzyć kobietę. – I Cristina zamilkła, jakby zakończyła jakąś szczególną sekwencję zdań.

– No i co? Co ci odpowiedział?

– Nie był kategoryczny, ale mimo wszystko... Chwilę się zastanowił i powiedział: „Tak przypuszczam. Nic mi nie wiadomo, żeby to kiedyś zrobił, nie słyszałem, żeby o tym mówił, zresztą on by mi o tym nie powiedział. Nikt się takimi rzeczami nie chwali. Ale przypuszczam, że byłby do tego zdolny, bardzo możliwe”. No więc sam widzisz. (To jasne, że Ranz nie lubi faceta, poza tym nie można go też uważać za wyrocznie). To wtedy opowiedział mi o tych dziwkach i tak dalej, to znaczy zrozumiałam, że nie chodziło tylko o dziwki. A teraz dzwonisz ty i mówisz, że Luisa znowu się o coś uderzyła, chociaż mnie nie wspomniała o tym ani słowem. Jakby uderzyła się o drzwi i przez to miała podbite oko, normalnie by mi powiedziała, co prawda nie widziałyśmy się ostatnio, ale rozmawiamy przecież przez telefon. Tobie natomiast nic nie wspomniała o słupku. Sama nie wiem, naprawdę się martwię. Słuchaj, Jaime, Luisa nie jest kretynką, ale ty znałeś ją tylko w sytuacji pewnej stabilności, jak byliście razem. Zgoda, nie licząc ostatnich miesięcy przed twoim wyjazdem, choć i wtedy była jednak jakaś resztką stabilności, dopóki wciąż jeszcze mieszkałeś w domu, było jakieś odroczenie, jakaś inercja. A teraz... od jak dawna cię nie ma? Dziewięć miesięcy, dwanaście, piętnaście? Dla osoby, która zostaje, to dużo czasu, dużo więcej niż dla tej, która wyjeżdża. Nie znamy jej w takiej

sytuacji, ani ty, ani ja, zanim ty nastależ, była bardzo młoda. Ludzie stają się nieprzewidywalni, kiedy z kimś się rozstają. Niektórzy zamykają się w domu i nikogo nie chcą widywać, inni wprost przeciwnie, rzucają się w wir uciech i wskakują do pierwszego łóżka, które się nadarzy. Są też tacy, którzy najpierw robią jedno, a potem drugie, ciekawe, jakie szaleństwa ty wyczyniasz w Londynie, jesteś przecież zupełnie swobodny i bez zobowiązań rodzinnych. Rzecz jasna zdarzają się także przypadki pośrednie. Luisa na pewno nie rzuciła się w wir uciech, bo po pierwsze, ma dzieci. Ale nie zamknęła się też w domu, żeby samotnie wypłakiwać się w poduszkę. Pewnie trochę się niecierpliwi, ma jakieś nadzieje, a przynajmniej ciekawi ją poznanie innego mężczyzny i możliwość sprawdzenia, jak by z nim było, a ciekawość prowadzi do niezliczonych głupstw i do trwania przy nich, dopóki nie przejdzie. Naprawdę niewiele mi powiedziała, znaczy o tym, co czuje albo czego się spodziewa; możliwe, że nie spodziewa się niczego i tylko czeka, aż upłynie trochę czasu, żeby mieć wyraźniejszy ogląd i wiedzieć, czego chce. Albo czy czegoś chce. Z tego, co mówił Ranz i biorąc pod uwagę reputację Custardoya, bardzo mało prawdopodobne, że on na nią naciska, by z nim zamieszkała albo się rozwiodła czy coś podobnego; przecież nie należy do tych, którzy się zakochują. Ja też jej szczególnie nie wypytywałam, przyznaję: wiesz przecież, jaka jestem, słucham o sprawach innych ludzi, jak mi o nich sami opowiadają, ale szczególnie mnie to nie interesuje, chyba że dzieje się coś naprawdę poważnego. Jedyne, co wiem, to że Luisa spotyka się z tym facetem, dobrze się z nim czuje i wyraźnie go lubi. Jak bardzo lubi, tego nie wiem, ale możliwe, że bardzo, tak, niewykluczone, że oszalała na jego punkcie i dlatego jest taka dyskretna i niewiele mówi. Powiedzmy, że nie ukrywa tej znajomości, ale też nie rozwodzi się na jej temat. W każdym razie nie ze mną, wyobrażam sobie, że innym ludziom mówi jeszcze mniej. Nie zakomunikowała mi tego uroczyście ani nie przedstawiła jako czegoś

superważnego. Widziałam ich oboje raptem jeden raz, przez chwilę i w dodatku z samochodu, nie poznałam go osobiście. Wyczuwam u niej jeszcze jakąś rezerwę, niemal wstydlivość, jakby po tylu latach bycia mężatką wstydziła się, że kogoś ma.

– W jakich okolicznościach ich widziałaś? – Nawet jeżeli trwało to tak krótko, jak powiedziała, miało być dla mnie jedynym obrazem, na którym są oboje, jeżeli nie liczyć tamtego niebezpośredniego, mało precyzyjnego obrazu, jaki miałem od szwagra za pośrednictwem mojej siostry. A miałem potrzebę, żeby ich sobie wyobrazić. Dziwne było wyobrażać sobie Luisę u czyjś boku, nie ze mną. Nie tyle wstrętne albo dotkliwe, ile nierzeczywiste, jak przedstawienie albo farsa. Tak, bardziej nierzeczywiste niż bolesne. Takie separacje nie mają sensu, choćby od dawna były czymś normalnym na całym świecie. Całe życie człowieka kręci się przez lata wokół jednej konkretnej osoby, zawsze może na nią liczyć, patrzy na nią codziennie jak na naturalne przedłużenie siebie, jest obecna we wszystkim, co robi i czym się zajmuje, w jego rozmyślaniach, a nawet w snach. Myśli, żeby powiedzieć jej o każdym najdrobniejszym przeżyciu lub zdarzeniu, na przykład o prośbie rumuńskiej matki o wilgotne chusteczki do mycia dla dzieci. Człowiek jest z tą osobą, tak jak tamta węgierska Cyganka była ze swoimi dziećmi albo jak pies Alana Marriotta był bez łapy. Zna na bieżąco jej myśli i zmartwienia i wie, co ona robi, stale i szczegółowo; wie, jaki ona ma rozkład dnia i jakie przyzwyczajenia, kogo widuje i jak często; a kiedy pod wieczór się z nią widzi, oboje opowiadamy sobie, cośmy robili i jak nam minął dzień, podczas którego ani na chwilę nie opuściła nas świadomość istnienia tej drugiej osoby, bywa, że takie wieczorne opowieści są bardzo szczegółowe; potem kładzie się z nią do łóżka i to ostatni obraz, jaki ma tego dnia przed oczyma, i – co jeszcze bardziej niezwykle – wstaje, mając ją obok również, ona nadal jest tam rano, po godzinach snu, jakby była nim samym, kimś, kto nigdy nie wychodzi ani nie znika, kto zawsze



pozostaje w polu widzenia; i tak ciągle, dzień po dniu, przez wiele lat. I nagle – jakkolwiek to wcale nie dzieje się „nagle”, lecz tak się tylko wydaje, gdy cały proces już dobiegnie końca i oddalenie staje się faktem: w gruncie rzeczy wszystko dzieje się „bardzo stopniowo”, poza tym widzimy początek, ale nie chcemy zdać sobie z tego sprawy – przechodzi do stanu, w którym nie ma pojęcia, co ta osoba myśli, czuje i robi na co dzień; mijają całe dni i tygodnie bez żadnej prawie wiadomości, tak że musi zwracać się do osób trzecich – one zwykle mało co wiedzą, w porównaniu z nim po prostu nic – żeby dowiedzieć się najprostszych rzeczy: jak jej się żyje, kogo widuje, jakich zmartwień przysparzają jej dzieci, z kim się spotyka, czy coś ją boli, a może się rozchorowała, czy jest w dobrym humorze czy przygnębiona, czy nadal uważa na swoją cukrzycę i chodzi na zalecane przez lekarzy długie spacerory, czy coś ją zdenerwowało albo ktoś ją skrzywdził, czy czuje się wyczerpana albo udęczona pracą, a może praca dostarcza jej satysfakcji, czy obawia się starzenia, jak widzi przyszłość i jak wspomina przeszłość, jak teraz o mnie myśli; i kogo kocha. To przejście od wszystkiego do prawie niczego nie ma najmniejszego sensu, przecież nigdy nie przestajemy pamiętać i zasadniczo jesteśmy tą samą osobą. Wszystko jest nieznośnie śmieszne i subiektywne, bo wszystko zawiera w sobie swoje przeciwieństwo: te same osoby w tym samym miejscu kochają się i nie mogą się ścierpieć, to, co było utartym zwyczajem, powoli albo znienacka – wszystko jedno, nieważne – staje się niedopuszczalne i niewłaściwe, ten, kto pomógł stworzyć dom, dostaje do niego zakaz wstępu, a dotyk, otarcie się tak oczywiste, że niemal nieświadome, staje się zuchwalstwem albo obelgą, jakby należało pytać o pozwolenie, żeby dotknąć siebie, to, co się lubiło i uważało za miłe, teraz budzi niechęć i odrazę, złorzeczenia i udęczę, słowa zaś wczoraj wyczekiwane z utęsknieniem, dziś zatrąłyby powietrze i przyprawiły o mdłości, nie chce się ich słuchać pod żadnym pozorem, a te wypowiedziane milion razy usiłuje się unieważnić. Wymazać, uchylić,

wycofać się, odwołać i w przeszłości niczego nigdy nie wypowiedzieć, oto do czego świat dąży i tym sposobem nie ma niczego albo nic jest niczym, te same rzeczy i te same fakty, i te same istoty są sobą oraz swoim przeciwieństwem, dziś i wczoraj, jutro, potem i kiedyś dawno temu. A pomiędzy jest tylko czas, który bardzo stara się nas oślepić, to jego jedyny cel i dążenie, i tak oto my, którzy go jeszcze przemierzamy, nie jesteśmy godni zaufania, wszyscy głupi i nieistotni, i niedokończeni, nie wiedząc, do czego będziemy zdolni ani co nas ostatecznie czeka, głupi ja, ja nieistotny, ja niedokończony, mnie też nikt nie powinien ufać...

– To było, jak umówiliśmy się w mieście na lunch – odparła Cristina. – Kilka miesięcy temu, jeszcze przed tą historią ze słupkiem i brzydkim rozcięciem, wtedy nie miałam jeszcze żadnych zastrzeżeń ani obaw, właściwie było mi wszystko jedno, co ona robi i z kim się spotyka, byle miała lepszy nastrój, nie zapominaj, że to moja starsza siostra, nigdy nie musiałam jakoś szczególnie się nią opiekować, ona opiekowała się mną, to normalne. Po lunchu Luisa miała się z nim spotkać, nie wiem, u niego w domu albo w pracowni, nie pamiętam. Zagadałyśmy się, zrobiło się trochę późno i wpadła w panikę, widząc, która godzina, bo umówili się na ulicy przed domem, nie w środku, mieli wejść do środka razem, a może wcześniej szli jeszcze gdzieś, nie wiem, przeraziła się, że on będzie czekał. Podwiozłam ją wobec tego samochodem, ona swojego nie wzięła; powiedziała, że chciała tam dojechać metrem, bo zwykle tak jest najszybciej, ale od wyjścia z metra miała jeszcze kawałek do dojścia, a nie było już czasu, więc zawiozłam ją na miejsce. W tej okolicy nie sposób znaleźć miejsca do zaparkowania, ledwie udało mi się na chwilę zatrzymać, tyle tylko, żeby mogła wysiąść, zostawiłam ją prawie na rogu. No więc nie przedstawiła mi go ani nic z tych rzeczy, ale jak już mówiłam, znałam go z widzenia, widywałam go wcześniej tu i tam po nocy, w różnych barach.

Razem widziałam ich tylko z samochodu, wszystkiego pół minuty, jak stałam na czerwonym świetle na skrzyżowaniu.

– Co to za okolica? Jakie skrzyżowanie?

– Na końcu calle Mayor, zaraz za Bailén, przy wiadukcie. Tuż przy początku Cuesta de la Vega.

– Nie pamiętasz numeru domu?

– Nie zwróciłam uwagi. Dlaczego pytasz?

– Po której stronie?

– Tylko po jednej są domy. Po drugiej stoi to szkaradztwo, nie pamiętasz? Dlaczego pytasz?

Tym „szkaradztwem” była Almudena albo muzeum potworności ekumenicznych, przerażająca nowoczesna katedra, jak się zdaje, dzieło Opus Dei czy coś w tym guście, z pomnikiem polskiego papieża od frontu, *totus tuus*, ale z bardzo wypukłym czołem, niemal godnym Frankensteina, i rozwartymi, uniesionymi do góry ramionami, jakby szykował się do zatańczenia *joty*; i ten pomnik, mimo że straszny, był jeszcze najmniej brzydki, bo między innymi okropieństwami są tam również szkaradne witraże autorstwa niewyobrażalnego artysty o wdzięcznym imieniu Kiko (Kiko jakiś tam), po takim imieniu nie można się spodziewać nic dobrego. Już się zorientowałem, teraz już miałem przed oczyma ten kawałek ulicy.

– Tak sobie. Żeby ich sobie wyobrazić. I co zobaczyłaś?

– A co miałam zobaczyć? Nic takiego. Ona wyskoczyła z samochodu na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu z calle Mayor, strasznie się spieszyła, była jakieś dziesięć minut spóźniona. Zwróciło tylko moją uwagę, że chociaż zaczęło padać, to on zamiast schować się przy drzwiach budynku (wystarczyło cofnąć się dwa kroki), czekał na ulicy, moknąc. Może chciał widzieć, czy Luisa nadchodzi, może się niecierpliwił.

– Albo chciał, żeby miała większe poczucie winy z powodu swego spóźnienia – powiedziałem przewrotnie. – Tym sposobem mógł wywołać

w niej większe wyrzuty sumienia, powiedzieć, że przez nią jest cały mokry, a nawet się przeziębził. Jak ją przywitał? Uścisnęli się, pocałował ją, objął w pasie?

– Chyba nie, myślę, że się nie dotknęli. Jej zachowanie i gesty sprawiały takie wrażenie, jakby się gęsto tłumaczyła, wskazała w stronę mojego samochodu, coś wyjaśniała. Jakie to ma znaczenie?

– Udało ci się zobaczyć, jak wchodzi do budynku?

– Tak, jak już zapalało się zielone światło. Ale skoro już tak wypytyujesz, to może on wyglądał mi na lekko zdenerwowanego, bo wszedł pierwszy, nie przepuścił jej przed sobą, Luisa szła za nim, kładąc mu dłoń na ramieniu, jakby go chciała uspokoić albo sprawić, żeby mu przeszła złość; jakby wciąż jeszcze go przeproszała.

– Tak, typ choleryka, pan artysta, histeryk. W każdym razie na pewno nie dżentelmen.

– Zaraz, nie wyciągałabym tak daleko idących wniosków, widziałam ich tylko przez chwilę. Nie zachowuje się jak dżentelmen, bez dwóch zdań. Dobrze się ubiera, zawsze pod krawatem, bardzo klasycznie. Jednakże jego powodzenie bierze się stąd, jak sądzę, że ma w sobie powab drania, a to pociąga wiele kobiet. Mnie wcale nie pociąga, ale ja jestem dziwna, a może poznałam już w życiu kilku takich i wiem, czym to pachnie. Wtedy, z włosami zaczesanymi do tyłu, zmoknięty, wydał mi się trochę niepokojący. Robił wrażenie napiętego, skupionego, nerwusa, znaczy faceta żyjącego w ciągłym napięciu. Z widzenia zawsze wydawał mi się trochę ponury. Przyjazny i uwodzicielski, ale ponury.

– W jakim jest wieku?

– Nie wiem, myślę, że około pięćdziesiątki. Ale wygląda na młodszego.

– Dziesięć, dwanaście lat starszy od Luisy. To niedobrze, ma u niej autorytet i wywiera na nią wpływ. Wiesz, jak mu na imię?

– Esteban chyba. Czekał, tak, Esteban. Luisa tak go czasami nazywa, chociaż na ogół używa nazwiska, a nie imienia, jakby chciała się zdystansować albo pokazać, że w rzeczywistości nie jest z nim tak blisko. – Ja także nazywam młodą Pérez Nuix jej nazwiskiem, pomyślałem, ale to w żadnym razie nie jest ten sam przypadek. – Tak jak mówiłam, chwilami sprawia wrażenie, jakby się wstydziła, że ma kogoś. Z powodu dzieci i ciebie, i tego wszystkiego.

– Esteban Custardoy. Nie masz pewności, tak? Nie jest znany jako malarz, tak? Znaczą gazety o nim nie piszą, nie pokazuje swoich prac na wystawach i tak dalej?

– O ile wiem, to nie, ale nie zwracam szczególnej uwagi, współczesne malarstwo to ostatnia rzecz, jaka mnie interesuje. Myślę, że on bardziej jest kopistą. Luisa wspomniała, że czasem Prado zleca mu zrobienie kopii obrazów i wtedy on przesiaduje tam całymi godzinami, przyglądając się obrazom i kopiując. Albo dostaje zamówienia na kopie z jakiegoś muzeum za granicą, gdzieś w Europie, i wtedy wyjeżdża na co najmniej kilka dni, żeby się tym malowidłom przyjrzeć. Ranz mówił, że nauczył się fachu od ojca, nazywanego Custardoyem Starszym, który sporządzał kopie dla jego ojca, to znaczy dla ojca Ranza. Początkowo syn był znany jako Custardoy Młodszy. Jak jest teraz, nie wiem.

Milczałem przez chwilę. Zapaliłem kareliasa, przywiozłem ze sobą dziesięć paczek, w Madrycie nie można ich kupić.

– Coś mi nie pasuje, Cristino. Nie mogę uwierzyć, żeby Luisa tolerowała kogoś, kto ją źle traktuje, tym bardziej jeżeli poznała go niedawno, kilka miesięcy temu. Jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, nie uderzył jej raz, lecz dwa razy. Nie rozumiem, dlaczego wciąż się z nim spotyka i chodzi z nim do łóżka jakby nigdy nic, nie rozumiem, że nie zerwała z nim po pierwszym razie, nie mówiąc już o drugim. Nie dalej jak wczoraj zaprzeczyła w rozmowie ze mną, jakoby coś było nie tak; w pewien sposób go kryła

albo kryła siebie, znaczy swój z nim związek, żeby nikt się nie czepiał, nie wtrącał, nie mieszał do nie swoich spraw. Można zrozumieć, że jestem ostatnią osobą, z którą byłaby skłonna mówić o facecie, z którym się spotyka, szczególnie że stwarza problemy, a nawet jakby zagrożenie. Ale dlaczego nie mówi z tobą? Jak sobie tłumaczysz, że to wszystko znosi? W dodatku ona wcale nie jest typem uległej kobiety. – Uświadomiłem sobie, że mówię, a także myślę o tym po raz pierwszy albo wyobrażam to sobie jako coś realnego i zwyczajnego, co trwa: „...i chodzi z nim do łóżka jakby nigdy nic”, te słowa wyszły z moich ust. Tak, oczywiście spali ze sobą, to jeden z uroków stałej relacji, to norma. Jednakże to niekoniecznie coś znaczy, pomyślałem pospiesznie, żeby osłabić te słowa i powstrzymać lotną wyobraźnię; ja też przespałem się z Pérez Nuix i z innymi, a przecież jakby nic się nie zdarzyło. Nie ma ich w moich myślach, nie pamiętam o nich albo tylko okazjonalnie i bez żadnej emocji. Właściwie z Pérez Nuix to co innego, bo codziennie ją widuję, a ilekroć ją widzę, przypominam sobie, a raczej wiem, chociaż pieprzenie jej było bardzo bezosobowe, jak by to powiedzieć, po omacku, niemal anonimowe, milczące. W przeszłości sypiałem też regularnie i na stałe z innymi kobietami, nie szukając daleko, z Clare Bayes w Anglii albo z moją toskańską narzeczoną, której zawdzięczam swój włoski. I co z tego? To tylko dane archiwalne, zarejestrowane fakty, które dawno przestały mnie dotyczyć i na mnie wpływać. Nie, takie sprawy nic wielkiego nie znaczą, gdy już minęły. Tyle tylko, że sprawa Luisy właśnie się dzieje i jeszcze nie minęła, poza tym wyrządza jej krzywdę i jest niebezpieczna dla wszystkich, dla całej czwórki.

Teraz Cristina zamyśliła się na kilka sekund. Usłyszałem, że parska na drugim końcu kabla, może miała już dosyć tej rozmowy albo musiała się zająć przygotowaniami do wyjazdu.

– Skąd mogę wiedzieć, Jaime? A może nie mamy racji i on nic jej nie zrobił? Może uderzyła się o ten słupek i walnęła w drzwi od garażu, nieszczęścia chodzą parami. Problem w tym, że ani ty, ani ja nie dajemy temu wiary. Mam wrażenie, że ona jest zdecydowana ciągnąć tę sprawę dalej, choćby udawała głupią albo zdystansowaną, w takich przypadkach wszystko jest możliwe, jak ktoś chce kochać, nic ani nikt z zewnątrz mu tego nie wyperswaduje. Jedynie ta kochana osoba, jak odrzuci miłość, a i to nie zawsze. Ludzie potrafią znieść dużo więcej, niż nam się wydaje. Jak już się zaangażują, zniosą prawie wszystko, przynajmniej przez jakiś czas, wiem z własnego doświadczenia. Wierzą, że uda im się zmienić to co złe albo że to złe jest przejściowe. A Luisa jest cierpliwa, dużo potrafi wytrzymać, przypomnij sobie, ile trwało, zanim skończyła z tobą. Właściwie nie wiem, dlaczego o tym rozmawiamy. Ona na razie nic nam nie powie ani nie opowie, już zdążyliśmy to sprawdzić. Nawet nie ma jak próbować ją przekonać. Nie widzę, co moglibyśmy zrobić. Muszę zająć się swoimi sprawami, Jaime, jutro wyjeżdżam, a ta rozmowa do niczego nie prowadzi, tylko się nawzajem nakręcamy w niepokoju. – Milczałem, zastanawiałem się nad jej słowami: „Jak już się zaangażują, zniosą prawie wszystko, przynajmniej przez jakiś czas”. Wszystko polega na wciągnięciu w to tego drugiego, podjęciu interwencji, przedstawieniu prośby, żądania, zadaniu pytania. Na rozmówieniu się z nim i wmieszaniu się, myślałem, wciąż milcząc.

– Jaime, jesteś tam?

– Moglibyśmy spróbować jego przekonać – powiedziałem w końcu.

– Jego? Nie znamy go, a już na pewno ty go nie znasz. Co za pomysł! Na mnie nie licz. Poza tym jutro wyjeżdżam. A gdybyś sam poszedł z nim pogadać, równie dobrze zaśmieje ci się w twarz albo da ci w zęby, nie rozumiesz tego? jeśli jest taki agresywny. A może jak jakiś staroświecki ojciec zaproponujesz mu pieniądze, żeby się odwalił? Daj spokój, z tego, co

wiem, pieniędzy nie potrzebuje, pracuje dla nadzianych kolekcjonerów. Potem opowiedziałby wszystko Luisie i ciekawe, jak byś jej wytłumaczył takie wtrącanie się w jej życie, przecież jesteście w separacji. Więcej by się do ciebie nie odezwała, wiesz przecież, prawda? Jesteś tego świadom?

Możliwe jednak, że nic takiego by się nie wydarzyło po mojej próbie perswazji. Puściłem więc mimo uszu jej zastrzeżenia i zapytałem tylko, jakbym jej wcale nie słuchał:

– A oprócz tego, że nosi kucyk, to jak wygląda?



Byłem uczniem Reresby'ego, Urego i Dundasa, a nawet zaraziłem się trochę od Tupry, jeszcze jednak nie stałem się taki jak on ani nie pragnąłem taki być z wyjątkiem jakichś pojedynczych okazji, i właśnie to była ta pojedyncza okazja. Być może nie da się naśladować ludzi tylko od czasu do czasu i wedle własnego uznania, nie da się raz zachować jak wzorzec – jeden jedyny raz – może trzeba wcześniej stać się do niego podobnym w każdej chwili i w każdej sytuacji, a zatem również wtedy, gdy jest się samemu i gdy nie ma takiej potrzeby, a do tego potrzebne są powody silniejsze niż przypadkowe, znaczy takie, które są zewnętrzne i pojawiają się nagle. Trzeba odczuwać głęboką potrzebę, wewnętrzną wolę przemiany, a to nie był mój przypadek. Początkowo zachowałem się tak, jak on by się w moim przekonaniu zachował, ale nadeszła chwila, kiedy nie byłem już pewien albo nie umiałem sobie wyobrazić, jak by się zachował, albo wolałem sobie nie wyobrażać, albo nie wyobrażałem sobie siebie i nabrałem wątpliwości, co jemu nie zdarzało się pewnie nigdy; i tak oto znowu zacząłem myśleć, że on mógłby mi pomóc, a przynajmniej udzielić rady i utwierdzić w decyzji albo przynajmniej nie odwieść. Jeszcze do niego nie zadzwoniłem po kilku dniach pobytu i po pierwszych odwiedzinach u dzieci, po ukradzionym zerknięciu na Luisę, po spotkaniu z siostrą i z ojcem, po rozmowie telefonicznej z moją szwagierką Cristiną Juárez i zrobiwszy już kilka kroków jego wyimaginowanym tropem.

Rozpocząłem od sprawdzenia w książce telefonicznej, ilu jest mężczyzn o rzadkim nazwisku Custardoy. Okazało się, że zabrakło mi wyobraźni, bo nie dość, że było ich niewielu – w całym Madrycie był tylko jeden: mieszkał przy calle de Embajadores i pierwszą literą jego imienia nie było niestety E jak Esteban, lecz przekłete R jak Roberto, Ricardo, Raúl, Ramón

albo Ramiro, wszyscy kompletnie nieprzydatni. Pewnie jego numer figurował przy innym nazwisku, może przy nazwisku właściciela mieszkania, jeżeli je wynajmował, aczkolwiek wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby nie miał na własność apartamentu albo pracowni, skoro był tak dobrze opłacany przez kolekcjonerów, pewnie za te falsyfikaty, które potem wieszano w miejsce oryginałów w źle strzeżonych kościołach albo sprzedawano jako autentyki naiwnym prowincjonalnym muzeom, w głębi duszy już przecież zdecydowałem, że ten człowiek jest oszustem, kanciarzem. Mógł też figurować pod swoim drugim nazwiskiem, niektórzy uciekają się do takiego wybiegu, żeby ich nie nagabywano, pewnie przeszkadzał mu w pracy dzwoniący telefon, tracił przez ten dzwonek konieczną precyzję, dekoncentrował się, mylił w pociągnięciach pędzlem albo dziurawił z nerwów płótno, farba mu się rozlewała, jak to typ artystowski, kto mógł znać jego drugie nazwisko? Prawdopodobnie nie znała go nawet Luisa. Na wszelki wypadek zadzwoniłem do informacji o numerach i zapytałem o Custardoya z calle Mayor, nie mieli takiego w spisie, mieli tylko tamtego z calle de Embajadores. Udałem się zatem na ów krótki odcinek pierwszej z tych ulic, czyli na odcinek między Bailén i początkiem Cuesta de la Vega oraz pobliskim parkiem Atenas – znanym mi tylko z tego, że raz, dużo wcześniej, przejechałem tamtędy samochodem – szczęśliwie dla mnie okazało się, że w tamtejszych budynkach są tylko dwie bramy wejściowe, a ponieważ jedna prowadziła do biur pobliskiego ratusza, doszedłem do wniosku, że musi chodzić o tę drugą, pod numerem osiemdziesiątym pierwszym. Przy domofonie nie było nazwisk, jedynie numery pięter, w sumie czterech i parteru. Była niemal pora lunchu – źle to sobie zaplanowałem – i wielkie ozdobne drzwi wejściowe z drewna były zamknięte, nie mogłem zatem zobaczyć, czy oprócz domofonu jest tam jeszcze jakiś portier z krwi i kości, którego można by zagadnąć. Pomyślałem, że nacisnę ze dwa dzwonki i zapytam o Custardoya, a jeśli

przypadkiem trafię pod właściwy adres i zgłosi się on sam, wściekły z powodu niespodziewanego przerwania mu fałszerskich zajęć, będę musiał wymyślić coś na poczekaniu, powiedzieć, że przynoszę telegram, a potem, gdy mi otworzy, nie wejść na górę, pracownicy poczty tak często są niesolidni i zachowują się niezrozumiale, poczeka na mnie chwilę, mruknie jakieś przekleństwo pod nosem i szybko zapomni, oddając się ponownie swej fałszerskiej sztuce. Nacisnąłem jeden dzwonek na chybił trafił, nikt nie odpowiedział. Nacisnąłem kolejny i po chwili usłyszałem kobiecy głos.

– Czy zastałem pana Estebana Custardoya? – powiedziałem.

– Kogo? – niewątpliwie kobieta miała już swoje lata.

– Cus-tar-do-ya – powtórzyłem powoli i wyraźnie. – Es-te-ba-na.

– Nie, nie ma tu takiego.

– Musiałem pomylić mieszkania. Czy byłaby pani tak miła i powiedziała mi, pod którym numerem mieszka? Mam dla niego telegram.

– Telegram? Do mnie? A od kogo? Nie dostajemy tu telegramów.

– Nie do pani. – Zdałem sobie sprawę, że rozmowa z nią nie ma sensu. – Do pani sąsiada, pana Custardoya. Zechce mi pani powiedzieć, na którym piętrze mieszka?

– Ja? Na drugim po prawej stronie – odpowiedziała. – Ale nie ma tu żadnego Bujaraloz, to jakaś pomyłka. – Przez takie domofony zawsze słyszy się fatalnie, jednakże ta kobieta musiała w dodatku, jak Goya, pochodzić z Aragonii i być głucha, bo całkiem naturalnie i bez najmniejszego wysiłku wyszła jej nazwa nie tak znowu sławnego miasteczka Bujaraloz pod Saragossą. Przeprosiłem, podziękowałem i zostawiłem ją w spokoju.

Odważyłem się spróbować jeszcze z trzecim dzwonkiem i nie było żadnej odpowiedzi, ludzie w Madrycie gremialnie wychodzą na lunch do miasta. Nacisnąłem jeszcze czwarty i zaraz usłyszałem inny kobiecy głos, tym razem młodszy i wzbudzający nadzieję.

– Esteban Buscató? – zdziwiła się. Było to nazwisko dawnego koszykarza, kobieta musi być fanką tego sportu, pomyślałem. – Nie, nie znam go, nie słyszałam, żeby tu mieszkał. – Słysząc było trzaski i szum morza w tle, jakbym miał przytkniętą do ucha wielką muszlę i jakby gdzieś tam szedł na dno statek.

– Custardoy – powtórzyłem. – Cus-tar-doy. Ten pan jest malarzem, czy mogłaby mi pani powiedzieć, na którym piętrze mieszka albo ma swoją pracownię? Jest malarzem. Malarz Custardoy.

– Nie zamawialiśmy żadnego malarza.

– Tak, ja nie jestem malarzem, proszę pani – ciągnąłem bez większego przekonania. – Mam telegram dla pana Custardoya. On jest malarzem. Nie słyszała pani, żeby tu mieszkał jakiś malarz? Malarz, ale nie pokojowy, taki jak Goya, nie słyszała pani?

– Oczywiście, że słyszałam o Goi. To ten od „Mai nagiej”. – W jej głosie zabrzmiała lekka uraza. – Ale jak łatwo sobie wyobrazić, tu nie mieszka. Ani nigdzie indziej, nie wiem, czy pan słyszał, że dość dawno umarł.

Przekląłem w myślach dziwaczne nazwisko fałszerza i dałem spokój. Nie powinienem tkwić tam tak długo, naciskać na wszystkie dzwonki, albo zrobić to innego dnia (za każdym razem tylko dwa dzwonki, nie należy przesadzać), albo wrócić o innej porze, kiedy można zastać portiera, jeżeli takowy tu jest. W każdym razie przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie Custardoy wynajął albo kupił mieszkanie lub pracownię pod fałszywym nazwiskiem, jak przystało na przestępcę, bądź pod prawdziwym nazwiskiem, jeśli nazwisko Custardoy jest jego pseudonimem. W żadnym z tych dwóch przypadków nikt z mieszkańców domu nie zdołał mi powiedzieć, gdzie go znaleźć.

Nie umykało mojej uwagi, że wobec takiej połowicznej kłapy (miałem niemal pewność, że chodziło o ten budynek, a to już było dużo, lecz musiałem się upewnić i poznać piętro oraz numer mieszkania) Tupra nie

miałby żadnych oporów, by czatować wczesnym rankiem w pobliżu mego domu – to znaczy domu Luisy – i czekać, aż Luisa wyjdzie, i śledzić ją, ile razy byłoby trzeba, w przekonaniu, że w końcu skieruje się w tamtą okolicę, okolicę Pałacu Królewskiego i skaradztwa katedralnego, Custa de la Vega i parku Atenas, Ogrodów Sabatiniego i Campo del Moro, Wiaduktu i ogrodów Las Vistillas albo tego, co z nich pozostało – wcześniej czytałem gdzieś, że ratusz na spółkę z Kościołem mają na nie chrapkę i planują dobrze wykorzystać ten teren, stawiając tam biura dla episkopatu, na poły kościelne domy, parking samochodowy albo coś jeszcze – skieruje się w stronę Madrytu Habsburgów, który miesza się z Madrytem Karola II, i stanie wreszcie przed jedną albo drugą bramą. Jednakże ja miałem opory. Nie chodziło tylko o to, że śledzenie Luisy po kryjomu wydawało mi się niewłaściwe, niegodziwe, przede wszystkim bałem się, że ona mnie na tym nakryje, a wtedy wszystkie moje plany wezmą w łeb: Luisa zacznie mieć się na baczności, na pewno się rozżłości i kategorycznie zabroni mi wtrącania się w jakiegokolwiek problemy czy obszary swego życia, nie będę mógł już wtedy rozmówić się z Custardoyem ani na niego wpłynąć, nie ryzykując, że ona mnie właśnie obarczy wynikiem tego albo winą za zmianę, mnie obwini za pożądane przeze mnie zerwanie lub wycofanie się oszusta albo nigdy więcej nie odezwie się do mnie ani słowem, jak przewidziała jej siostra: a jeżeli nie nigdy, to z pewnością przez długi czas. Należało ją uratować, nie wzbudzając podejrzeń, że maczałem w tym palce, a najwyżej niechby to był tylko cień podejżenia. Bo taka myśl zawsze zakiełkuje jej w głowie, wszystko zbiegnie się bowiem z moim pobylem w mieście: jej facet znika jak kamfora właśnie wtedy, gdy ja się pojawiaam albo krótko potem, to zbyt duży zbieg okoliczności, by nie doszła do wniosku, że miałem z tym coś wspólnego. Jednakże jeśli zrobię wszystko jak należy i trzymając się jak najdalej od niej, będą to wnioski nie poparte

dowodami ani nawet poszlakami, a takie szybko tracą na sile i koniec końców trafiają do worka z podejrzeniami i przywidzeniami.

W następnych dniach odwiedzałem dzieci albo brałem je gdzieś jak najczęściej, mijając się okazjonalnie z Luisą, gdy je zabierałem albo odstawiałem z powrotem, ale najczęściej jedynie z polską opiekunką. Unikałem kręcenia się po domu, jak pierwszego wieczoru; unikałem wypytywania Luisy o uderzenie, co najwyżej pozwalałem sobie na luźne neutralne uwagi: „Widzę, że jest coraz lepiej, obyś w przyszłości była ostrożniejsza”. Nie nalegałem również na spotkanie we dwoje, na to, żebyśmy umówili się na kolację i porozmawiali spokojnie, lepiej było mało ją widywać podczas tamtego pobytu, za to wyciągnąć ją z paskudnej relacji, w jaką się wpakowała, nawet jeśli ona sama tak tej relacji nie oceniała lub co gorsza jeśli chętnie w nią brnęła. A gdyby zdziwiła się brakiem nalegania z mojej strony, zawsze mógłbym odpowiedzieć z galanterią: „Ty tu jesteś najbardziej zajęta, ja tylko przejazdem, prawie jak turysta. Uznałem, że najlepiej tobie oddać inicjatywę w tym względzie. Poza tym często odwiedzam ojca, który nie czuje się najlepiej. Przesyła ci pozdrowienia, pyta o ciebie”. Postaram się więc usunąć, nie spotykać się z nią częściej niż naprawdę przypadkiem, nie być nadmiernie widocznym ani nie szukać okazji do spotkań, co mnie kusilo i czego oczywiście bym chciał, gdybym zaraz po przyjeździe do Madrytu nie podjął się owego niespodziewanego konkretnego, pilnego i ważnego zadania. Nie było mi wcale łatwo zachowywać się tak powściągliwie, szczególnie że dni pierwszego tygodnia minęły, a Luisa nie wyglądała na osobę, której przykro, że nie wykorzystuje mego pobytu, wcale też – co jeszcze bardziej bolało – nie zainteresowała się moim życiem w Londynie ani tym, co tam robię, nie chciała się dowiedzieć, z kim tam się zadaję ani czy nie stałem się kimś innym, choćby tylko powierzchownie, nie zapytała o moją pracę, o której tak niewiele powiedziałem jej przez telefon, a nawet wykręcałem

się od odpowiedzi na zadawane przez nią czasem pytania, prawdopodobnie zdawkowo i z czystej uprzejmości, ale jednak zadawane. Teraz nie było żadnych pytań o nic, nie szukała też sposobności, żeby mi je zadać: podczas owego pierwszego tygodnia nie wyszła od niej żadna propozycja – ani żeby się zobaczyć, ani żeby się spotkać, ani żeby pójść razem na lunch, nie zaprosiła mnie, bym został chwilę w domu, na kolacji albo kieliszeczku czegoś w jej towarzystwie, gdy pod wieczór odstawiałem Guillerma i Marinę, zabrawszy ich wcześniej do kina albo do parku Retiro, albo gdziekolwiek indziej. Było tak, jakby nie miała już w głowie miejsca na zajmowanie się niczym innym poza swoją relacją z Custardoyem, albo ja przypuszczałem, że to wypełnia jej głowę, bo o cóż innego mogło chodzić? Wydawała mi się taka czymś pochłonięta, zaaferowana. Ale nie było to zaabsorbowanie biorące się ze zwykłego podniecenia czy z poczucia pełni. Nie brało się także z utrapienia czy udręki, czy niepokoju, było to zaabsorbowanie kogoś, kto usiłuje zrozumieć albo zgłębić jakiś problem.

Rzeczywiście odwiedzałem ojca, spotykałem się z rodzeństwem i z nielicznymi przyjaciółmi, zachodziłem do antykwariatów z książkami i spacerowałem. W jednym z antykwariatów kupiłem prezent dla sir Petera, wielką księgę plakatów propagandowych z naszej wojny domowej, spostrzegłem, że zawiera reprodukcje kilku poświęconych temu, co w jego kraju nazywano „*careless talk*”, czyli „nieostrożne mówienie”, z bardzo podobnymi przestrogami – ja miałem wrażenie, że widziałem kilka takich wcześniej, Peter nie widział – pewnie i jego, i panią Berry zaciekawiały hiszpańskie pierwowzory. Muszę koniecznie go odwiedzić zaraz po powrocie. Wróciłem też w okolice, w której mieszkał Custardoy, i z chodnika po przeciwnej stronie ulicy przyjrzałem się wejściu do budynku przy calle Mayor, gdzie miał mieszkanie lub pracownię. Wejście pozostawało zamknięte, możliwe zatem, że w tym domu nie było portiera albo miał krótki, mało męczący lub nietypowy dzień pracy. W każdym razie

gdybym się na niego wreszcie natknął, postanowiłem o nic go nie wypytywać: lepiej, żeby nikt mnie nie widział ani nie potrafił rozpoznać, a już na pewno żeby nikt mnie nie skojarzył z Custardoyem. Gdybym zaczął osobiście rozpytywać o tego kopistę i fałszerza, ryzykowałbym – w zależności od tego, co potem by się wydarzyło między nim i mną – że znajdę się w kłopotliwej sytuacji, bo nigdy przecież nie wiadomo, do czego może dojść, gdy dwaj mężczyźni spotykają się twarzą w twarz i kłócą się, jeden bowiem usiłuje wydobyć coś z tego drugiego albo czegoś się od niego domaga, albo stara się go do czegoś zmusić, coś mu wyperswadować, od czegoś go odwieść albo przegonić. Stojąc na chodniku przy wstrętnej Almudenie, spojrzałem w górę, w kierunku balkonów, wiedziony dziwną myślą, że a nuż będę miał szczęście i podczas mojej tam bytności Custardoy pojawi się na swoim – rozpoznałbym go po kucyku i z niechętnego opisu Cristiny – a wtedy się dowiem, bez dalszych zabiegów i starań, na którym piętrze pracuje lub mieszka. Balkony były na trzech piętrach, na czwartym zaś jedynie okna, przez co czwarte piętro wydawało się mansardowe. Balkony pierwszego piętra, tego nad wielkimi drewnianymi drzwiami wejściowymi, były z kamienia z kolumnkami, te na dwóch kolejnych piętrach z kutego żelaza z kunsztownym ornamentem, wszystkie okna balkonowe miały okiennice z deszczułek i wszystkie okiennice były otwarte, znak, że wszędzie ktoś mieszka, nie brakuje nikogo ani nikt nie jest w podróży i że Custardoy jest w mieście. Przyjrzałem się każdemu balkonowi i każdemu oknu, usiłując przyswoić sobie raczej niż wyobrazić – bo to wydawało mi się nieprzyjemnym i zbędnym ćwiczeniem – że za jednym z nich spotykają się Luisa i Custardoy i chodzą ze sobą do łóżka, śmieją się i rozmawiają, opowiadają sobie, jak im minął dzień, może się kłócą i on wymierza jej policzek otwartą dłonią albo cios w oko zaciśniętą pięścią. Musiał mieć porywczy charakter, a może nie, możliwe, że był zimny i oba uderzenia były obliczone na to, żeby dać jej ostrzeżenie



i przypomnieć, do czego i na ile jest zdolny. I możliwe, że którejś nocy moja żona wyszła przez te wielkie ozdobne drzwi naprzeciwko, trzęsąc się ze strachu i z podniecenia, równocześnie przerażona i zauroczona. Nie, nie podobał mi się ten typ ani nic z tego, co o nim wiedziałem i co mogłem sobie na jego temat wyobrazić.

Zacząłem też zachodzić do Muzeum Prado rankami, zanim zająłem się czymś innym, zaraz po śniadaniu, musiałem tylko przejść na drugą stronę ulicy z mojego hotelu. Nie robiłem tego tylko dla przyjemności i dlatego, że od dawna tam nie zaglądałem. Miałem w pamięci, co moja szwagierka Cristina powiedziała mi o Custardoyu: „Czasami Prado zleca mu zrobienie kopii obrazów i wtedy przesiaduje tam całymi godzinami, przyglądając się obrazom i kopiując”. Pierwszego zatem dnia, gdy znalazłem się w muzeum, nim jeszcze skierowałem wzrok na jakiś obraz, najpierw przeszedłem wszystkie sale od góry do dołu i z jednego końca w drugi, przyglądając się uważnie wszystkim pracującym wewnątrz kopistom w poszukiwaniu mężczyzny około pięćdziesiątki, z włosami zaczesanymi do tyłu i zebranymi w kitkę, gotowego spędzić całe godziny przed jakimś nie przez siebie wybranym obrazem, dobrym, złym albo nijakim. Nie dość, że nie zobaczyłem nikogo spełniającego te kryteria, to w dodatku kopiowaniem zajmowały się w większości dość młode kobiety, jakkolwiek nie wszystkie tak młode, by być studentkami Akademii Sztuk Pięknych. Możliwe, że po konserwacji zabytków był to kolejny zawód zawłaszczony i dobrze wykonywany przez żeńską część populacji. Drugiego dnia również nie zobaczyłem nikogo, kto odpowiadałby opisowi. Zrobiłem taki sam obchód, aczkolwiek tym razem z mniejszą nadzieją, a może tylko z zabobonnym przecuciem: kopiowanie jest tak powolnym zajęciem, że najprawdopodobniej spotkam te same osoby co poprzedniego dnia, i takie też miałem wrażenie; byłoby naprawdę wielkim zbiegiem okoliczności, gdyby Custardoy zaczął robić jedną ze swoich kopii albo jeden ze swoich

falsyfikatów akurat wtedy, gdy ja tam przez przypadek byłem w pełnej gotowości. Nie przeszkodziło mi to jednak przestrzegać tego zwyczaju podczas następnych wizyt: najpierw szybkim krokiem obchodziłem zawsze kolejno sale, przyglądając się uważnie wszystkim osobom – nie było ich wiele – które zasiadły przed sztalugami, a czasami stojąc przed nimi, oddawały się odtwarzaniu tego, co miały przed oczyma, co już istniało i zostało na ogół lepiej namalowane kilka stuleci wcześniej.

Piątego dnia wstałem stosunkowo późno po dość szalonej nocy w towarzystwie starych madryckich przyjaciół i dlatego pojawiłem się w Prado dopiero około pierwszej po południu, jakieś dwie godziny później niż zazwyczaj. Chciałem obejrzeć kilka sal z malarstwem włoskim, którego od lat nie widziałem, a ponieważ dykcja muzeum ma dziwaczną manię ciągłego przenoszenia wszystkiego z miejsca na miejsce – jakby zarządzała supermarketem – i przypuszczałem, że zabierze mi jakiś czas znalezienie obrazów tam, gdzie teraz są, odpuściłem sobie tym razem wstępny obchód czy też inspekcję kopistów. I właśnie wtedy, przechodząc przez jedną z owych dużych podłużnych sal na parterze, dostrzegłem osobnika z krótkim kucykiem, ni to pirackim, ni toreadorskim, który przed obrazem nie kopiował, lecz notował coś lub szkicował ołówkiem w pokaźnych rozmiarów zeszyte, jakkolwiek nie tak dużym, by nie dało się go trzymać jedną ręką. Mężczyzna stał dość blisko olejnego obrazu, a zatem tyłem do mnie i każdej innej osoby, która nie chciałaby stanąć obok niego albo zasłonić mu sobą widoku. Miałem pełne prawo zrobić jedno i drugie, dziś nie tak rzadko się zdarza, że nieuprzejmi turyści – to niemal tautologia – albo nieuprzejmi miejscowi z wszystko jedno jakiego miasta wchodzą niecierpliwie i nie mając najmniejszego względu na nic, pchają się między obraz i jego widza, a jeszcze tego ostatniego szturchną łokciem, nie kryjąc się z tym specjalnie, żeby się odsunął i ustąpił im swoje bardziej centralne miejsce, taki jest właśnie świat, o jakim mówił Tupra, świat, który stracił

dobrze maniery, a już na pewno w Hiszpanii, jakkolwiek dzisiaj jest to zjawisko niemal ogólnoświatowe. Ja trzymałem się w bezpiecznej odległości nie tylko dlatego, by nie zachować się w taki właśnie sposób. Początkowo obserwowałem go z tyłu, ale o ile z jego prawej strony nie było miejsca, jedynie sznurek i boczna ściana, o tyle po lewej stronie obrazu były wysokie drzwi, a na lewo od nich następny obraz (tylko one dwa wisiały na ścianie w głębi), toteż przesunąłem się przezornie w tamtą stronę, by zobaczyć jak najwyraźniej profil mężczyzny, równocześnie starając się nie wejść, albo tylko minimalnie, w jego pole widzenia. Zaraz zrozumiałem, że nie muszę się martwić, iż mnie zobaczy, bo był całkowicie pochłonięty obrazem i swoim szkicownikiem, przenosił wzrok bardzo szybko z jednego na drugi, nie zwracał uwagi na nic innego, nie rozpraszał go ciągły przepływ turystów z wybitną przewagą Włochów (przyszli podziwiać dawne dzieła swych rodaków), którzy o dziwo, nie cisnęli się akurat tam, gdzie stał on, ani nie chcieli patrzeć na to, na co on patrzył, przeszkadzając mu tym samym, lecz widząc go pochłoniętego pracą, przechodzili obok, nie zatrzymując się przed owym malowidłem, jakby czuli się onieśmieleni jego nieruchomą spiętą postacią i gotowi byli oddać mu chwilowo obraz do wyłącznego użytku. Zobaczyłem, że nosi wąsy i baczki, niezbyt długie, ale dłuższe niż to dziś normalne, a może zwracały uwagę, ponieważ o ile włosy miał proste, jasnawe i bez widocznej siwizny, o tyle baczki były kręcone i o wiele ciemniejsze, prawie czarne i bardziej poprzetykane bielą i szarością, jakby starość rozpoczęła swą pracę z dwóch flanek, zostawiając sobie na później jasną kopułę włosów. Był dość wysoki i szczupły, może z pewnym nagromadzeniem wypitego piwa w pasie, ogólnie sprawiał jednak wrażenie chudego i kościstego osobnika, dodatkowo utwierdziły mnie w tym wrażeniu fragmenty policzków i czoła, które zdołałem dostrzec, podobnie jak jego prawa ręka, ta w ciągłym ruchu

i szybka, z palcami długimi i silnymi jak u zawodowego pianisty: niepokojącymi palcami jak klawisze fortepianu.

Nie mogąc przyjrzeć mu się z przodu, a więc nie widząc jego oczu ani ust, ani zębów, ani wyrazu twarzy (widziałem tylko nos z profilu), miałem trudność, by dokonać jego interpretacji, znaczy w sposób, w jaki w budynku bez nazwy analizowałem tyle sławnych i zupełnie nieznanymi twarzy, słysząc w dodatku, jak mówią, na żywo albo na nagraniach wideo. Z tego, co mogłem dostrzec (głównie lewy profil, gdy udawałem, że oglądam obraz oddzielony od jego obrazu wysokimi drzwiami i ośmielałem się stanąć z nim w jednej linii chroniony dzielącą nas odległością), wszystko mogło się zgadzać albo nic nie stało w sprzeczności z niechętnym, lecz koniec końców precyzyjnym opisem Custardoya w wykonaniu Cristiny. Dopiero na koniec, gdy była już zmęczona i spieszyła się, by zakończyć naszą rozmowę, zapytałem ją, jak on wygląda. „Nie wiem – odpowiedziała mi wtedy. – Jest kościsty, żyłasty, z długim nosem, jak śpiewak flamenco, na przykład ten z Ketamy, wiesz, o którym mówię? – Świtało mi, że Ketama to był jakiś zespół grający coś będącego na poły flamenco. – I z bardzo dziwnymi ciemnymi oczami, nie potrafię ci ich dobrze opisać, ale mają w sobie coś dziwnego, coś szczególnego, co mi się nie podoba. Czasem nosi wąsy, a czasem nie, jakby zazwyczaj je golił, a potem, jak sędzę, zapuszczał przez jakiś czas, widziałam go z wąsami i bez wąsów”. „I co jeszcze? Powiedz jeszcze coś”, naciskałem, tak jak naciskali na mnie zazwyczaj Tupra albo Mulryan, albo Rendel, albo Pérez Nuix, jedno bardziej niż pozostali. „Nic więcej. Nie wiem. Pamiętaj, że znam go tylko z widzenia. Natykałam się na niego to tu, to tam przez kilka lat, wiem, kim jest, i słyszałam o nim to i owo, jak o tylu innych ludziach (to znaczy do czasu tej historii z Luisą, teraz słyszę raczej więcej). Nigdy jednak, o ile pamiętam, nie byliśmy sobie przedstawieni, nigdy nie znaleźliśmy się bardzo blisko siebie ani nie zamieniliśmy ze sobą

słowa”. „Coś jeszcze zwróciło twoją uwagę?”, nalegałem, wiedząc, że jak się ciśnie, to w końcu coś jeszcze się wyciąga. „No cóż, jak już ci mówiłam, zawsze chodzi pod krawatem, jakby chciał zrównoważyć nim ten trochę niedbały wygląd, z kucykami i z tym kilkudniowym zarostem pod nosem, z jakim czasami go widywałam: taki kontrast, coś oryginalnego. Ubiera się bardzo poprawnie, bardzo klasycznie, przypuszczam, że stara się być elegancki, ale nie całkiem mu się udaje. Może nie da się pogodzić elegancji z takim obleśnym wyrazem twarzy jak jego, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale to jedna z takich twarzy, z których emanuje seksualność do przesady, choć może temu właśnie zawdzięcza swoje powodzenie u kobiet, to się wyczuwa. Przynajmniej jak jest się kobietą. Bezczelnie ci się przygląda, taksuje cię wzrokiem. W jednej chwili obcina cię od stóp do głów, bez żenady taksuje twoje piersi i tyłek, a jeżeli siedzisz, to uda. Przed laty wielokrotnie widziałam, jak patrzył tak na kobiety wchodzące do Chicote albo do Cocka; a bywało, że z pewnej odległości obcinał tak i mnie, nie obchodzi go, czy kobieta jest sama czy z kimś. Najwidoczniej nie wydałam mu się wtedy atrakcyjna albo spostrzegł, że nie jest w moim typie, bo nigdy w żadnym lokalu do mnie nie podszedł. Jak mówi Ranz, on od razu wyczuwa, gdzie jest chętna zdobycz, a gdzie nie, a jeszcze szybciej wie, czy chciałby zanurzyć w niej zęby, czy jest mu wszystko jedno”. Ubodła mnie myśl, że w Luisie – wobec łączącej ich relacji – musiał dostrzec od razu chętną zdobycz, jak tylko ją zobaczył. A potem nieuchronnie zadałem sobie pytanie, czy gdyby się spotkali, kiedy ja i ona wciąż jeszcze byliśmy razem, także dostrzegłby w niej chętną zdobycz. I naszała mnie kolejna, znacznie gorsza myśl: nie można wykluczyć, że poznali się, zanim jeszcze wyprowadziłem się z domu i wyjechałem do Londynu, przed naszą separacją. Nie mogłem dłużej znieść takich rozmyślań, dałem spokój.

U osobnika z Prado nie mogłem tego dostrzec, mam na myśli seksualną łapczywość, jakkolwiek bardzo uważnie przyglądał się obrazowi, na którym widniała kobieta, matka. Możliwe, że ją również najpierw otaksował fizycznie, zanim przystąpił do jakiegokolwiek oceny artystycznej, malarskiej czy nawet technicznej obrazu. Być może odstręczała go trójka małych dzieci widocznych na płótnie razem z kobietą; tak jednak nie musiało być, jeżeli był Custardoyem, przecież Luisa podobała mu się niewątpliwie, a była matką dwójki dzieci. (Prawda, że kobieta na obrazie była mało wdzięczną matroną, podczas gdy Luisa zachowała szczupłą sylwetkę i w moich oczach była ładna i młodzieńcza, a czy w oczach innych ludzi, tego nie wiem). Od razu zwróciło moją uwagę, że miał na sobie marynarkę i krawat, a na nogach czarne pantofle. Fakt, że nie od Grensona ani Edwarda Greena, ale proste i w dobrym guście, nie miały grubej ani gumowej podeszwy, tak, jego strój nie wzbudzał zastrzeżeń, może był tylko trochę nazbyt konwencjonalny. Ale kucyk już nie, faktycznie, aczkolwiek widok mężczyzny w każdym wieku z kucykiem od dawna już nie jest rzadkością albo nie tak dużą (wiek nie jest już hamulcem w żadnej sprawie, przegrał na całej linii z modą i próżnością). Nadawał mu wygląd trochę łądacki, takiego przymiotnika użyła, i słusznie, Cristina, jeżeli to naprawdę był on.

Kiedy po raz któryś tam obok niego przechodziłem, zawsze w przezornej odległości, żeby nie zwrócił na mnie uwagi, udało mi się dostrzec, że nie pomyliłem się w pierwszej chwili: szkicował głowy wszystkich czterech postaci z obrazu i robił notatki, obie te czynności bardzo szybko. Jeżeli istotnie był Custardoyem, możliwe, że zamówiono u niego kopię i że sporządzał wstępne studium obrazu. A jeżeli był taki dobry, jak mówiono, wcale nie musiał rozkładać się ze sztalugami i pędzlami przed obrazem na wiele dni i na długie godziny, wystarczało mu obraz naszkicować i zapamiętać (mógł mieć fotograficzną pamięć) i u siebie w pracowni mieć

jego dobrą reprodukcję, naprawdę nie znam się na technikach kopiowania, nie mówiąc o fałszowaniu (tym razem nie mógł szykować się do namalowania falsyfikatu, nikt by nie uwierzył, że obraz w Prado nie jest autentyczny i oryginalny).



Nie chciałem kręcić się stale w pobliżu: im dłużej tkwiłem obok niego jak cień, tym bardziej ryzykowałem, że się odwróci albo odwróci głowę w lewą stronę i mnie zobaczy, jakkolwiek było całkowicie nieprawdopodobne, żeby mnie znał albo rozpoznał ze zdjęć, możliwe, że Luisa mu jakieś pokazała, a może i nie, i nigdy w życiu mnie nie widział. Tak więc oddalałem się trochę i krótką chwilę oglądałem inny obraz, „Micer Marsilio Cassotti y su esposa” pędzla Lorenza Lotta, a potem znowu podchodziłem bliżej, nie chciałem, żeby mi gdzieś nagle znikł, bo wtedy

straciłbym jego ślad; odchodziłem trochę dalej i rzucałem okiem na „Portret szlachcica” Volterry, ale spojrzenie od razu wędrowało ku mężczyźnie z kucykiem, nie odważyłem się spuścić go z oka na dłużej niż kilka sekund; znowu odchodziłem i podziwiałem „Świętą Katarzynę” Yáñeza de la Almedina, całą w czerwieniach i błękitach, opierającą długi miecz na kole swego męczeństwa, ta postać zajęła moją uwagę do tego stopnia, że wpadłem w panikę po pół minucie kontemplacji i wracałem niemal biegiem w pobliże matki i dzieci. W trakcie tego ciągłego podchodzenia, odchodzenia i czekania miałem sposobność przyjrzeć się dobrze temu obrazowi: był średniego rozmiaru, liczyłem, że jakiś metr z kawałkiem na metr; portret rodzinny, wedle informacji w podpisie „Camilla Gonzaga, hrabina San Secondo, i jej synowie” autorstwa Parmigianina, który jak przeczytałem, naprawdę nazywał się Mazzola, tak samo jak sławny piłkarz z czasów mego dzieciństwa, który grywał przeciwko Realowi Madryt z Di Stéfaniem i Gentem, kołatało mi się w głowie, że jako napastnik Interu Mediolan. Z bardzo ciemnego, jakby czarnego tła wyłaniała się krzepka postać hrabiny, dobrze ubrana, nieprzesadnie ozdobiona biżuterią, trzymająca w prawej dłoni złoty inkrustowany puchar, który był całkiem nie na miejscu przy takiej gromadce dzieci; a może to wcale nie był puchar, lecz gruby chwost opasującego ją sznura. Właściwie była pulchna, choć może nie aż tak (w każdym razie była postawną kobietą), miała bardzo nieobecny albo pozbawiony życia wyraz twarzy, jakkolwiek z jej spojrzenia wyzierało jakieś łagodne, niemal obojętne zdecydowanie. Miała trochę cielejące, prawie wyłupiate oczy, przesadnie delikatne brwi, jakby narysowane ołówkiem, nienaturalnie cienkie i zupełnie niepociągające usta, największą jej ozdobą była prawdopodobnie świetlista zaróżowiona cera, skóra bez jednej zmarszczki, tak napięta na policzkach, jakby miała pęknąć. Co budziło największe zdumienie, to całkowity brak zainteresowania kobiety dla synów, Troila, Hipólita i Federica, jak głosił podpis; nie



wyglądało na to, że jest im oddana, nie patrzyła w ich kierunku, nie obdarzała ich czułym gestem, nawet nie wzięła za rękę tego z prawej strony, mimo że miała go bardzo blisko swej nieruchomej lewej ręki. Stała jak posąg w otoczeniu innych posągów, mniejszego rozmiaru, zatopionych w myślach, bo co dziwne, żaden z synów nie zwracał też na nią najmniejszej uwagi, aczkolwiek dwóch trzymało się w zamyśleniu sznura przy jej sukni. Każda postać patrzyła w inną stronę, ale zawsze na zewnątrz, jakby wszystkie i każda z osobna były dużo bardziej zaciekawione osobami albo rzeczami znajdującymi się poza obrazem, malcy bardziej niż swoją matką i braćmi, a postać centralna bardziej niż swoimi dziećmi. Najstarszy chłopiec, ten po lewej stronie hrabiny, miał najmniej wdzięczną powierzchowność i przywodził na myśl dziecko z przytułku, sierotę, po części z powodu brzydkiej bardzo krótkiej fryzurki, po części zaś z powodu markotnej miny; najmłodszy też nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego ani czułego, lecz na bezbronnego, jakby zaraz miał pociągnąć za sznur sukni matki, odruchowo lub tak jak zwykle; ten po prawej stronie hrabiny, najładniejszy i o najbardziej bystrym spojrzeniu, sprawiał wrażenie, że nie zważa na całą resztę, jakby chciał jak najszybciej uwolnić się i od tej grupy, i od wymuszonej cierpliwości swego młodego wieku.



Jedynie za spojrzeniem hrabiny dawało się podążyć albo wyobrazić sobie, dokąd biegnie, mając na względzie, że po lewej stronie, za wysokimi drzwiami muzeum, które oddalały ich od siebie jeszcze bardziej (czysty przypadek wynikający z reorganizacji przypadającej na ten miesiąc), wisiał portret jej męża, ku któremu ona kierowała wcale nie serdeczne oczy, kto wie, może pełne zawodu, a może zranione jakimś wspomnieniem. Zostali sportretowani oddzielnie – pomyślałem – mąż i ojciec z jednej strony, żona i matka z dziećmi z drugiej. Dwa oddzielne płótna, dwie różne odseparowane przestrzenie zamiast jednej wspólnej, rodzinnej: mniej więcej tak jak moje samotne życie w Londynie, gdy tymczasem Luisa jest z Guillermem i Mariną tutaj, w Madrycie, tyle tylko, że ona jest oddana naszym dzieciom, a one jej, przynajmniej dotąd zawsze tak się sprawy miały, byłoby okropnie, gdyby ten Custardoy ich od siebie oddalił,

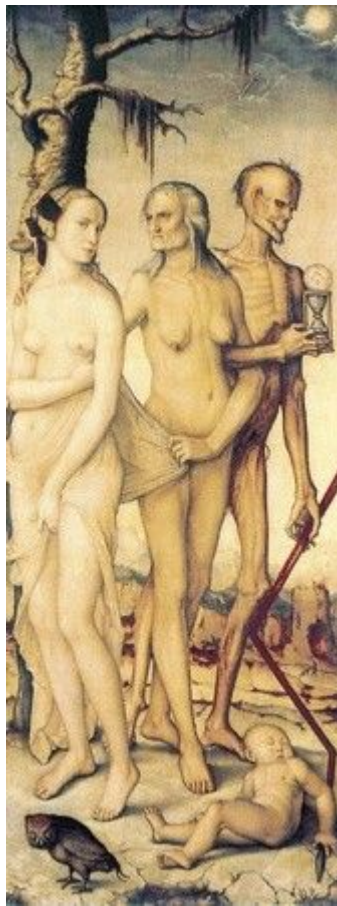
z kobietami tak się czasem dzieje, że nagle zaczynają mieć oczy i głowę tylko dla zdobywanego właśnie nowego mężczyzny albo dla tego dawnego i kochanego, którego tracą, to jedyne, co przedkładają niekiedy nad swoje dzieci, i przez to usuwają je przejściowo na drugi plan, możliwe, że tamta hrabina wpatruje się w odległego żołnierza poza obrazem, a może i poza jej czasem, zaniebując tym samym Troila, Hipólita i Federica, którzy już przywykli, że matka nie zwraca na nich uwagi i obsesyjnie myśli o nieobecny mężu, a dzieci prawdopodobnie postrzega tylko jako uwiązanie i przeszkodę, i zawadę, nie sądzę, żeby kiedykolwiek mogło się tak stać z Luisą, mimo że często w tych dniach spotykałem w domu polską opiekunkę do dzieci, pewnie była albo mogła być jakaś tego przyczyna. I na pewno Luisa nie ma obsesji na moim punkcie, jakkolwiek byłbym nieobecny. Prawdopodobnie sam jej dałem jakiś powód, ale to ona wygnała mnie ze swego czasu i z czasu dzieci.

„Pedro Maria Rossi, hrabia San Secondo. Około 1533–1535 r.”, głosił podpis, a dalej następowała informacja na temat jego osoby: „Pedro Maria Rossi (1504–1547) był znakomitym wojskowym w służbie Franciszka I króla Francji, Kosmy I Medyceusza i Karola V”. (Innymi słowy był po prostu najemnikiem, pomyślałem, na swój sposób i ja nim jestem teraz). „Portret został namalowany, gdy walczył pod flagą cesarstwa, co tłumaczy umieszczenie na nim słowa IMPERIO i wielu klasycznych cytatów”. Szaroniebieskie spojrzenie hrabiego było jeszcze zimniejsze niż spojrzenie jego żony, niemal pogardliwe, niemal stalowe i okrutne, aczkolwiek trudniej było sobie wyobrazić, że on je kieruje na nią, niż że ona swoje kieruje na niego. (On mógłby być Sir Cruelty, pomyślałem). Długa broda i wąsy dodawały mu lat (pozując do portretu, musiał mieć około trzydziestki) i utrudniały stwierdzenie na pierwszy rzut oka, czy jest przystojny czy po prostu elegancki i surowy, przy drugim rzucie oka już było widać, że z pewnością taki właśnie jest (i przystojny, i elegancki,

i surowy). Nos o szlachetnej linii miał dość długi, dłuższy od mojego, ale nie tak długi jak nos Custardoya, który w dodatku był haczykowaty. Miał przy sobie miecz – jak święta Katarzyna i jak Reresby – zawieszony po lewej stronie (był zatem praworęczny), jego miecz tkwił jednak schowany w pochwie, tak że widać było tylko trzon i jelec, nie ostrze. Ubrany był w elegancki strój przybrany futrem, a po lewej stronie obrazu widniała postać młodzieńca w hełmie i również z mieczem, przypuszczalnie boga Marsa. Dłonie hrabiego wyglądały wytwornie, palce były może zbyt delikatne jak na palce wojownika. Najbardziej jednak rzucał się w oczy wyzywający saczek z przeszyciem albo stebnowaniem czy jak to się nazywa (musiał być zrobiony z surowej skóry, nie z rogoży ani z wikliny jak na większości obrazów), wyraźnie obscenicznie uniesiony ku górze – wieczne przypomnienie o erekcji – dużo mniej dyskretny i nie tak skromny jak te, które w tymże Prado można zobaczyć na przykład na Tycjanowskich portretach cesarza Karola V i Filipa II przedstawiających całą postać. Może ten hrabia, żołnierz, mąż nie jest moim odpowiednikiem, pomyślałem, czyli tym, który odchodzi lub już odszedł; jest natomiast odpowiednikiem tego, który nadchodzi albo już przyszedł, w dodatku gwałtownikiem uzbrojonym w miecz; jest odpowiednikiem tego skurwysyna Custardoya. Może spojrzenie kobiety jest w takim razie pełne pokory i strachu i dlatego hrabina wydaje się jakby sparaliżowana i bezwolna, te dwa uczucia są tak dominujące i silne, razem czy oddzielnie, wszystko jedno, że natychmiast potrafią unicestwić każde inne, wszystkie inne, nawet miłość do dzieci. Oby Luisa tak na niego nie patrzyła, oby nie czuła przed nim strachu, a tym bardziej pokory. Ale tego, jak ona na niego patrzy, ja nigdy nie będę wiedział.

Znowu oderwałem wzrok od obrazu i spojrzałem w stronę Custardoya lub mężczyzny, który mógł być Custardoyem, i ujrzałem, że i on równocześnie odwrócił wzrok i spojrzał w moją stronę; przez dwie sekundy byłem przekonany, że nasze oczy się spotkały, ale nastąpiło to tak przelotnie, że istniała możliwość, iż obaj równocześnie zerknęliśmy ku obrazowi tworzącemu parę z tym, który każdy z nas miał przed sobą: ja portret Pedra Marii Rossiego, a on portret Camilli Gonzagi z Troilem, Hipólitem i Federikiem, synami ich dwojga; odkąd go dostrzegłem, Custardoy musiał tam już tkwić dobre siedem minut, gryzmołąc notatki i szkice, a z pewnością był tam już wcześniej, to długo jak na przyglądanie się jednemu obrazowi. Przez te dwie sekundy mogłem po raz pierwszy zobaczyć jego twarz z przodu i od razu pomyślałem, że jest obleśna, gburowata i zimna, z szerokim czołem albo z zakolami, niezbyt gęstymi wąsami (ale ciemnymi, tak jak baczki), nosem nie tak haczykowatym, co logiczne, jak z profilu (faktycznie nagle stanął mi przed oczyma widziany w telewizji długowłosey śpiewak, pewnie ten z grupy Ketama) i bardzo ciemnymi ogromnymi oczami, dość szeroko rozstawionymi i niemal pozbawionymi rzęs, i ten brak oraz rozstawienie musiały czynić nieznośnym, a może nieodpartym obleśne spojrzenie, jakim patrzył na zdobywane przez siebie lub kupowane kobiety, a może i na mężczyzn, z którymi rywalizował. Jego oczy obłapiały, tak jak jego ręce, i którejs nocy albo któregoś dnia spoczęły na twarzy i na ciele Luisy i usidliły ją. („I z bardzo dziwnymi ciemnymi oczami, nie potrafię ci ich dobrze opisać, ale mają w sobie coś dziwnego, coś szczególnego, co mi się nie podoba”, tak mi je opisała z dużą dozą niechęci Cristina). I właśnie żeby nie zdążyły mi się przyjrzeć ani mnie ucapić, oddaliłem się od portretu hrabiego,

cofnąłem kilka kroków i wszedłem do przyległej sali, po lewej stronie i położonej odrobinę wyżej (trzeba było pokonać trzy albo cztery schodki). Mogłem stamtąd wyglądać co jakieś pół minuty, pilnując, żeby Custardoy niepostrzeżenie mi nie uciekł, a równocześnie dużo mniej się narażałem na ponowne wejście w jego pole widzenia. Z tego pierwszego błyskawicznego mignięcia twarzy od frontu przypomniał mi kogoś, kto nie był śpiewakiem, kogoś, kogo znałem osobiście, ale mignięcie było zbyt szybkie, bym zorientował się, o kogo chodzi albo czy mnie pamięć nie myli.



Przylegająca sala była wyraźnie zdominowana przez malarstwo niemieckie. Znajdował się w niej słynny „Autoportret” Dürera, a także jego „Adam” i jego „Ewa”. Ale mój wzrok powędrował od razu ku podłużnemu wąskiemu obrazowi, który znałem od dzieciństwa – zrobił na mnie wtedy,

co normalne, wielkie wrażenie i wywołał jakiś rodzaj lęku zabarwionego ciekawością – „Trzy etapy życia ludzkiego i Śmierć” Hansa Baldunga Griena, i który podobnie jak dwa portrety tworzy parę z innym obrazem tego samego formatu i rozmiarów, wiszącym tuż obok: „Harmonia” albo „Trzy Gracje” Rubensa. Na obrazie Śmierć stojąca po prawej trzyma albo chwyta pod lewą rękę starą kobietę, którą ciągnie łagodnie i niespiesznie, stara kobieta trzyma zaś prawą rękę na ramieniu młodej kobiety, a lewą pociąga za jej skąpy ubiór, jakby również ciągnęła ją łagodnie ku sobie. Śmierć trzyma w prawej ręce klepsydrę („Figura w kształcie klepsydry”, przypomniałem sobie), a w lewej luźnym uchwycem złamaną w dwóch miejscach włócznię (jak błyskawica bez grzmotu), na drugi koniec tej włóczni opada albo spoczywa na nim ręka śpiącego dziecka leżącego u stóp trzech postaci, pewnie musi minąć jeszcze wiele czasu, nim dziecko do nich dołączy, dlatego ich wzajemne relacje są mu całkowicie obce. Po lewej stronie dziecka sowa; w głębi krajobraz ze słońcem, jakkolwiek bardziej przypomina ten księżycowy, ponury, smutny, ze zrujnowaną wieżą w płomieniach, nieuchronny krzyż wisi na niebie. Od małego zawsze zadawałem sobie pytanie, czy młoda kobieta i staruszka to jedna i ta sama osoba w różnym wieku, czy też chodzi o dwie różne osoby, to znaczy czy staruszka zawsze ciągnęła samą siebie z młodości w starość, żeby potem dać się pokonać Śmierci, czy też nie, bo wtedy sprawa byłaby poważniejsza i bardziej kłopotliwa. Prawda jest taka, że wydawały mi się zanadto do siebie podobne: niebieskie oczy, nos, wąskie usta, lekko spiczasta broda, długie faliste włosy, postura, niezbyt wielkie i raczej ustawione odśrodkowo piersi, stopy, miały podobną całą postać, a nawet wyraz twarzy, w każdym razie nie były całkowicie odmienne. Młódka marszczy brew zmartwiona lub z odrazą, ale bez niepokoju ani strachu, które czułaby zapewne, gdyby ciągnęła ją jakaś nieznajoma albo tylko ktoś inny, nawet gdyby to była matka. Nie opiera się, nie staje do walki ani nie usiłuje zrzucić ręki ze

swego ramienia, co najwyżej stara się, by nie do końca ściągnięto z niej skąpe odzienie. Stara kobieta ze swej strony skupia całą uwagę na niej, nie na Śmierci, w jej spojrzeniu widać powagę, zrozumienie, zdecydowanie i żal, ale ani śladu niechęci, jakby mówiła młodej (albo sobie za młodu): „Przykro mi, ale nie ma innej rady” (albo: „Chodźmy, trzeba iść dalej; wiem, bo ja już doszłam”). Na trzymającą ją pod rękę Śmierć nie zwraca żadnej uwagi, ale i ona nie opiera się ani nie wzbrania, spogląda raczej w przeszłość niż ku przyszłości, może wie, że – mimo obietnic zawieszonych w powietrzu krzyża i stojącej w płomieniach wieży piekieł, z wyrwą w murze jak od kuli armatniej – przyszłości ma przed sobą niewiele lub zgoła nie ma jej wcale.

A oto i Sir Death, czyli Kawaler Śmierć, pomyślałem, przedstawiony zgodnie z tradycją niemiecką albo angielską, a generalnie germańską: jest niewątpliwie mężczyzną, Śmierciem, bo jakkolwiek wygląd ma trupa, na poły szkieletu ze skórą tak przyklejoną do kości, że ledwie je przykrywa – można by rzec, że to przebranie, które wypożyczył, by przemierzać świat, szczególnie gdy spojrzeć na oczy, bardziej zapadnięte niż cała reszta – to widać przecież długie kłaki zarostu sterczące z podbródka i inne kosmyki, przypominające macki, raczej macki mątwy albo kalmara niż ośmiornicy, sterczące z miejsca, gdzie powinien być penis i nieistniejące jądra, teraz w miejscu, gdzie niegdyś niewątpliwie sterczał ku górze saczek, jest tylko dziura. Z całą pewnością nie jest natomiast Sierżantem Śmiercią z ballady z Armagh („*And when Sergeant Death's cold arms shall embrace me*”), mężczyzną w sile wieku, energicznym silnym wojownikiem potrafiącym bezlitośnie odbierać życie, wyspecjalizowanym zawodowcem o zimnych, zdyscyplinowanych i zawsze zajętych rękach, w istocie jest najśłabszą i najbardziej wynędzniałą z trzech postaci – albo z czterech – ma połamaną uległą włócznię, nawet dziecko jej dotyka bez lęku. A przecież widać determinację i energię jego mizernej chwytającej ręki, a nade wszystko to



on jest panem czasu, on ma czasomierz i zna godzinę, i widzi, kiedy kończy się piasek albo woda, cokolwiek zawiera jego klepsydra, zaczerwienione oczy mają tylko na to baczenie i tylko to sprawdzają, nie patrzą na starą ani na młodą, on kieruje się tylko godziną, bo tylko to się liczy dla Kawalera Śmierci, tak samo nagiego i zgrzybiałego jak nasza łącińska kostucha z kosą, dla tego Sir Death bez zbroi ni hełmu, ni miecza. I przypomniało mi się „tykanie tak niezwykle” w owym grobowym saloniku na lizbońskim cmentarzu Os Prazeres, które jak podróżny „z pewną niedyskrecją” odkrył i zaobserwował, „miało się do tykania normalnego jak krzyk do szeptu”; wróciła do mnie tamta enigmatyczna refleksja wywołana widokiem tykającego budzika („takiego, jakie widywało się w kuchniach naszych rodziców, okrągłego, z dzwonkiem w kształcie kulistej mycki i na dwóch okrągłych nogach”): „Wydaje mi się, że czas jest jedynym wymiarem, w jakim mogą rozmawiać i komunikować się żywi i umarli, jedynym, który jest im wspólny”. Może gdy cały piasek albo cała woda przeleczą na dół, wyznaczając tym samym kres życia namalowanej przez Baldunga Griena starej kobiety, która była może również młodą kobietą, gdy obie zostaną w końcu wysłane, by dołączyć do „tych najbardziej wpływowych i ożywionych”, trzeba będzie cofnąć zegar albo odwrócić klepsydrę, by rozpoczęły od nowa odmierzenie czasu, co do którego mój krajan podróżnik zadawał sobie pytanie: „Czy chodzi o czas, od którego nie żyją, czy o czas, jaki pozostał do Sądu Ostatecznego. Czy chodzi o godziny samotności – odmierzał te już przeszłe czy te, które jeszcze miały nadejść?”.

Wciąż rzucałem okiem do większej sali z malarstwem włoskim, a potem wracałem, żeby jeszcze popatrzeć na niemiecki obraz, który teraz już nie napawał mnie lękiem, lecz intrygował. Z progu dostrzegłem także „Zwiastowanie” Fra Angelico, odkąd mogłem sięgnąć pamięcią w salonie mego ojca wisiała na poczesnym miejscu wspaniała kopia tego obrazu

w naturalnych wymiarach, ojciec i matka zamówili ją u zaprzyjaźnionego kopisty, swojego Custardoya z lat trzydziestych albo czterdziestych, pamiętam, że nazywał się Daniel Canellada; widok tego obrazu od razu kojarzył mi się z domem. Podczas jednego z krótkich zanurzeń w głąb przyległej sali zatrzymałem się odrobinę dłużej przed Baldungiem Grienem i wróciwszy do sali włoskiej, spostrzegłem, że nie ma już tego mężczyzny przed Parmigianinem, to znaczy przed hrabiną i jej dziećmi. Jednym susem pokonałem wszystkie stopnie i przestraszony rozejrzałem się dookoła, na szczęście od razu go zobaczyłem, szedł z zamkniętym już zeszytem pod pachą ku schodom prowadzącym piętro wyżej, a potem do wyjścia. Tam też zacząłem go śledzić albo tam stałem się bardziej jego cieniem, w inny sposób, niż byłem cieniem Tupry w trakcie naszych podróży, ale w obu tych przypadkach odsuwałem się na drugi plan. Wszedłszy na górę, mężczyzna skierował się do szatni, a ja poczekałem odwrócony tyłem, aż wyjdzie, co trzy sekundy oglądałem się, żeby go znowu nie zgubić, a kiedy wyszedł, spostrzegłem z przerażeniem, że tym, co wcześniej zostawił w szatni, a teraz z niej odebrał, był kapelusz, prawdopodobnie typu fedora (Mężczyzna z kucykiem i w kapeluszu, pomyślałem, prawdopodobnie typu fedora. Wielkie nieba!). Był na tyle dobrze wychowany, że nałożył go dopiero po wyjściu z budynku i wtedy zobaczyłem – bez specjalnej ulgi – że kapelusz ma rondo szersze niż rzeczona fedora, jest bardziej kapeluszem malarza albo dyrygenta, kapeluszem artysty, w kolorze czarnym. Już w nakryciu głowy mężczyzna zaczął schodzić zewnętrznymi schodami na wprost hotelu Ritz, a ja ruszyłem za nim, zawsze trzymając się w pewnej odległości. Przeszedł szybkim krokiem na drugą stronę paseo del Prado i zatrzymał się przed jakąś *brasserie*, przestudiował kartę i przez szybę zerknął do środka, osłaniając oczy dłonią jak daszkiem przed odbiciami w szkle (nie wystarczało mu rondo pozerskiego kapelusza?), jakby rozważał, czyby nie zjeść lunchu w tym lokalu – ale jak na Madryt pora

była zbyt wczesna, jeżeli on nie był zagranicznym turystą; może się myliłem i był jednym z nich, ale chyba nie, widziałem coś niezawodnie hiszpańskiego w całym jego wyglądzie, szczególnie w kroku, a może chodziło o spodnie – i ja skorzystałem z owego przystanku, żeby obejrzeć wystawy pobliskiego sklepu z wyrobami sztuki toledańskiej, sprzedawali tam również miecze, głównie turystom, rzecz jasna, jakkolwiek w dzisiejszych czasach na pewno nie można ich przewieźć samolotem, trzeba by nadać taki miecz na bagaż, a i wtedy z trudnością zmieściłby się w walizce; nie można także podróżować z mieczem koleją, zastanowiłem się, kto u diabła kupuje dziś miecze, skoro nie można ich przewozić, kolekcjoner ozdobnej broni białej, jak Dick Dearlove, musiałby zadbać, żeby zostały mu w nie wiadomo jaki sposób wysłane. Większość musi być zrobiona ze słynnej toledańskiej stali, jest bardzo hiszpańska i bardzo średniowieczna, zwróciło jednak moją uwagę, że wśród mieczy prezentowanych na wystawie było kilka na oko szkockich, na jelcu miały nawet wygrawerowaną nazwę „McLeod” w duchu niecnego schlebiana gustom mas anglosaskich zwariowanych na punkcie kina. Przemknęło mi przez myśl, że powinienem sobie kupić miecz, nie akurat w tej chwili, oczywiście, ale później, czegoś się przecież nauczyłem od Tupry w kwestii wrażenia, jakie wywołuje ta archaiczna broń. Ale niemal wszystkie były dużo dłuższe i większe, na pewno trudniejsze w dobytciu i cięższe niż „rozpruwacz kotów”, czyli miecz lancknehta albo katzbalger, miały gigantyczne klingi. Odrąbałyby rękę jednym cięciem. Pocięłyby na kawałki. Ale nie, pomyślałem znowu, to powinien być miecz, którego nie musiałbym się pozbyć, który mógłby wrócić na swoje miejsce, użyty lub nie, to bez znaczenia, którego nie musiałbym wyrzucić ani gdzieś rozmyślnie zostawić, żeby ktoś go potem znalazł.

Mężczyzna, który teraz już bardzo prawdopodobnie był Custardoyem, szedł dalej carrera de San Jerónimo, minął mój hotel, zerknął na główne

wejście, przeczytał wisząc tam tabliczkę, gdzie jest napisane, że Palace Hotel, w co trudno wprost uwierzyć, został wymyślony, zaprojektowany i wybudowany w rekordowo krótkim czasie piętnastu miesięcy w 1911 i 1912 roku przez firmę budowlaną Léon Monnoyer, francuską albo belgijską, jak przypuszczam, nie wiem, dlaczego dzisiejsze firmy budowlane – ta plaga, ta szarańcza – nie palą się ze wstydu albo z bezwstydu; trochę dalej po lewej stronie, mniej więcej naprzeciwko gmachu parlamentu, przystanął przy pomniku Cervantesa – który też ma miecz schowany w pochwie – było tam zaparkowanych kilka furgonetek policyjnych, pięciu albo sześciu policjantów z automatami stało na ulicy, żeby ochraniać czcigodnych posłów, mimo że żadnego nie było widać, wszyscy musieli siedzieć wewnątrz, a może byli na wycieczce albo w jakimś barze. Mężczyzna z kucykiem i z wąsami musiał z szatni w muzeum odebrać także teczkę bez uszu i zapewne schował do niej zeszyt, niósł teraz teczkę pod pachą i szedł szybko, pewnie, ze wzrokiem podniesionym na wysokość ludzkiej twarzy, rozglądając się swobodnie dookoła i patrząc na osoby, które mijał, kiedy już dochodził do restauracji Lhardy, napędził mi lekkiego stracha, bo zwolnił kroku i odwrócił głowę, by przyrzeć się nogom dziewczyny, z którą wcześniej omal się nie zderzył, ciekawe, czy rozmyślnie. Przestraszyłem się, że mnie zauważy, rozpozna, to znaczy jako tego widzianego wcześniej w Prado. Jego reakcja na widok młodej kobiety była bardzo hiszpańska, niekiedy sam się na takiej łapię, jakkolwiek ilekroć zdarzało mi się tak zachować w Londynie, miałem wrażenie, że jestem jedynym tak reagującym mężczyzną, ale w Madrycie już nie, chociaż jest nas coraz mniej, znaczy mężczyzn, którzy ośmielają się patrzeć, na co chcą, szczególnie gdy nikt ich nie widzi albo osoba oglądana jest do nich zwrócona tyłem, co znaczy, że nikt nikomu się nie naprzykrza ani nikogo nie niepokoi, w naszych coraz bardziej represyjnych czasach purytanie usiłują kontrolować nawet to, co robią, choć często niechcący,

nasze oczy. Custardoy (prawdopodobnie) obrzucił kobietę szybkim, taksującym i bezczelnym spojrzeniem swoich wielkich czarnych okrągłych oczu, natrętnych i dokuczliwych, pozbawionych rzęs i szeroko rozstawionych, mniej więcej odpowiadało to temu, co powiedziała mi Cristina o jego obłapianiu kobiet wzrokiem; ale może to była lekka przesada, mnie też zdarza się czasem tak popatrzeć za jakimś oddalającym się tyłkiem albo nogami, może mniej świdrującym i taksującym spojrzeniem, bardziej ironicznie albo z większym zdumieniem. Jego oczy jakby się śliniły na jej widok.

Jeżeli po dojściu do zdewastowanego placu Puerta del Sol pójdzie dalej prosto, jeżeli nie wejdzie do metra ani nie zboczy z kursu, nie wsiądzie do autobusu ani do taksówki, będziemy na dobrej drodze, to znaczy na drodze w kierunku domu albo pracowni, albo studia Custardoya, a wtedy to bez wątpienia będzie on. Bałem się, że zmieni trasę, gdy na początku calle Mayor przeszedł na drugą stronę jezdni, szybko się jednak uspokoiłem, widząc, że zrobił to, by wejść do robiącej dobre wrażenie księgarni, nazywała się Méndez. Z przeciwległego chodnika przez okno wystawowe widziałem, jak przywitał się serdecznie z właścicielami albo pracownikami (poklepywaniem po plecach; i był na tyle dobrze wychowany, że zdjął kapelusz, zawsze coś) i pewnie powiedział coś śmiesznego, bo oboje roześmiali się ochoczo, długim i spontanicznym śmiechem. Po kilku minutach wyszedł z księgarni z firmową torbą, pewnie coś tam kupił, zastanowiłem się, co też on może czytywać, i znowu przeszedł przez ulicę na moją stronę, ja więc cofnąłem się kilka kroków, odtwarzając odległość dzielącą nas przy wyjściu z muzeum. Ale zaraz musiałem znowu się zatrzymać i żeby zyskać na czasie i nie wyprzedzić go, wyjąć niewielką sumę pieniędzy z bankomatu, on bowiem spotkał znajomą albo przyjaciółkę – dostrzegłem przelotnie jej niebieskie oczy – młodą dziewczynę w spodniach, z krótko przyciętymi włosami, w zamszowym żakiecie

z frędzlami w stylu Daniela Boone'a albo Davy'ego Crocketta, albo generała Custer, kiedy go wbijali na pal. Uśmiechnęła się do niego z sympatią i cmoknęła go dwa razy w policzki, on musiał mieszkać w tej okolicy; rozmawiali przez chwilę z ożywieniem, z pewnością go lubiła (teraz nie zdjął kapelusza, ale przynajmniej na widok dziewczyny dotknął palcami róna w klasycznym geście powitania na ulicy), wybuchła głośnym śmiechem po czymś, co powiedział (Jest typem człowieka, który rozśmiesza ludzi, jak ja, kiedy mnie najdzie ochota, pomyślałem. To może po części tłumaczyć, dlaczego Luisa go lubi. Pech. Złe wieści). Nikt by nie podejrzewał, że bije kobiety albo jedną kobietę, tę, która wciąż była dla mnie najważniejsza.

Pożegnał się i ruszył dalej, szedł bardzo zdecydowanie, chwilami, gdy przyspieszał kroku, niemal drapieźnie, nie zaczepiali go z pewnością kieszonkowcy ani uliczni bandyci, których pełno w okolicach odwiedzanych przez turystów i którzy szczególnie lubią obrabiać Japończyków; możliwe, że żebracy też nie, to był chód kogoś, kto, jakkolwiek bardzo sympatyczny, nie nadaje się na takie numery; obowiązkiem żebraków i złodziei jest od razu to zauważyć, odgadnąć, z kim mają do czynienia. Szedł dalej, mijając po swej lewej stronie targ San Miguel, teraz ulica łagodnie opadała. Na murze jednego z budynków zobaczyłem napis wyryty w kamieniu, oszczędny i bez nadęcia: „Tu mieszkał i umarł Don Pedro Calderón de la Barca”, dramaturg, którym swego czasu zachwycił się Nietzsche, a nawet całe Niemcy; a troszkę dalej po drugiej stronie ulicy bardziej nowoczesna tabliczka informowała: „W tym miejscu znajdował się kościół Zbawiciela, na którego wieży Luis Vélez de Guevara umieścił akcję swej powieści «Diabeł kulawy», 1641”, nigdy, nawet w Oksfordzie, nie przyszło mi do głowy, żeby ją przeczytać, gdy tymczasem Wheeler, Cromer-Blake i Kavanagh znali ją na pewno. Custardoy podszedł do posągu wznoszącego się dokładnie naprzeciwko, na

plaza de la Villa, dziwne, że malarza pociągały tak bardzo trzy wymiary. „Don Álvaro de Bazán”, informował zwięźle napis u podstawy, admirał dowodzący hiszpańską flotą w bitwie pod Lepanto, w której w 1571 roku dwudziestoczteroletni Cervantes odniósł ranę i z jej powodu stracił władzę w lewej ręce, przez co nie bez kozery mówił o sobie jako o „zdrowym jednorękim” w tekście tego samego pożegnania, które zacytowałem Wheelerowi, aczkolwiek on nie zechciał tego zauważyć, pożegnania z dowcipem i wdziękami, i drogimi przyjaciółmi. Tam też znajdowała się Torre de los Luxanes, wieża, w której podobno więziono Franciszka I Francuskiego wziętego do niewoli przez Hiszpanów w bitwie pod Pawią w 1525 roku, ale różne inne miejsca w Hiszpanii też roszczą sobie do tego pretensje, więc na dwoje babka wróżyła: albo w wielu miejscach kłamią, albo cesarz Karol V obwoził króla Francji po kraju i pokazywał go to tu, to tam jak małą albo wojenną zdobycz.

Custardoy nadal podążał dobrą drogą, która powinna prowadzić do jego domu, wciąż przed siebie wzdłuż calle Mayor, a ja za nim niczym daleki lub osobny cień. Już od jakiegoś czasu jestem cieniem, pomyślałem, byłem albo jestem cieniem u boku Tupry, gdy towarzyszę mu podczas podróży i rozmawiam z nim niemal codziennie, gdy jestem zawsze obok jako podwładny, tłumacz, pomocnik, uczeń, sojusznik, niekiedy jako jego oprych („*No doubt, an easy tool, deferential, glad to be of use. Bez wątpienia wygodne narzędzie, zadowolone, że może się przydać*”). Teraz jestem cieniem tego mężczyzny, aczkolwiek wciąż jeszcze nie wiem, czy jest tym, którego szukam, ale dla niego nie jestem nikim takim: dla niego jestem złowrogim karzącym groźnym cieniem, o którego istnieniu jeszcze nie wie, jak to zazwyczaj bywa z cieniami kroczącymi z tyłu i niewidocznymi; byłoby dla niego lepiej, bym nie podążał nadal jego drogą albo by jego droga nie stała się tą, jakiej się spodziewam i jakiej sobie życzę. Zaraz po tych myślach nabrałem przekonania, że ostatecznie mi się

wymknie, bo dotarłszy do Capitanía General, czyli Rady Państwa (teraz żołnierze z automatami stoją przed pierwszą bramą), ponownie przeszedł na drugą stronę ulicy, jakby zamierzał wejść do Instituto Italiano di Cultura, dokładnie naprzeciwko. Tymczasem wszedł w jedną z wąskich bocznych uliczek widocznych dalej, zboczył ze swojej drogi, co mnie zaniepokoiło, niemożliwe, żeby na koniec okazało się, że to nie on i żeby nawet się nie zbliżył do owych historycznych rzeźbionych drzwi, przed którymi sam już stałem dwukrotnie. Zobaczyłem, że znika mi gdzieś po lewej stronie u końca króciutkiej przeznaczonej tylko dla pieszych uliczki, przyspieszyłem kroku, by zobaczyć, co zamierza, i nie zgubić go, i doszedłszy do owego miejsca, o mało nie wpadłem wprost na niego; w zakolu uliczki znajdował się stary bar, El Anciano Rey de los Vinos, on usiadł przy stoliku na zewnątrz, mając po skosie widok na Pałac Królewski; wraz z ociepleniem klimatu w Madrycie pogoda przez sześć miesięcy w roku jest mniej więcej letnia, dlatego stoliki stoją na zewnątrz dużo dłużej i są wystawiane dużo wcześniej przed nastaniem odpowiedniej pory roku. Natychmiast zrobiłem zwrot, by ukryć przed nim twarz, i udałem, że jestem turystą czytającym metalową tabliczkę umieszczoną wysoko również w tym miejscu (rzecz jasna, przeczytałem ją naprawdę): „Po sąsiedzku znajdowały się domy Any de Mendoza y de la Cerda, księżnej Eboli, w których została aresztowana z rozkazu Filipa II w 1579 r.”. Chodziło o jednooką damę, intrygantkę, a może i szpiega, na pewno w swoich czasach rozsiewała zarazki cholery i malarii, i dżumy, podobnie jak robił to, wedle jego własnych słów, Wheeler, a z pewnością i Tupra, a może ten ostatni podpalał lonty, by wzniecać wielkie pożary. (Żadna epoka nie jest wolna od takich zaraz, zawsze znajdują się ludzie z pochodniami, w każdej epoce są ludzie, którzy mówią). Damę tę przedstawiano zawsze z czarną opaską na oku, niewyraźne wspomnienie



jakiegoś obrazu podpowiadało mi, że na prawym, zdawało mi się nawet, że widziałem kiedyś film z grającą tę postać Olivią de Havilland.

Zobaczyłem kątem oka, że Custardoy woła kelnera, i wycofałem się uliczką aż do skrzyżowania z calle Mayor, zastanawiając się, co powinienem zrobić, usunąwszy się tymczasem z jego pola widzenia. Nie mogłem go z tego rogu widzieć, gdybym jednak stanął gdzie indziej, on prawdopodobnie mógłby widzieć mnie. W miejscu tym wznosił się śmieszny posąg, przed którym Custardoy słusznie się nie zatrzymał; było to jedno z „dzieł anonimowych”, jakich pełno w naszych miastach (w imię „demokratyzacji” pomników, sprzeczność sama w sobie), ale postać podejrzanie przypominała Hemingwaya, patrona turystów. Była też następna metalowa tabliczka informująca: „Na tej ulicy wieczorem w Poniedziałek Wielkanocny 31 marca 1578 r. został zabity Juan Escobedo, sekretarz księcia Jana Austriackiego”. Coś mi się obiło o uszy na temat owego zagadkowego zabójstwa; możliwe, że maczała w nim palce sama księżna Eboli, jakkolwiek byłoby z jej strony dużą głupotą kazać zgładzić swego wroga pod własnym domem. (Potem sprawdziłem w książkach i wygląda na to, że jeszcze nie wiadomo, czy był to rozkaz księżnej, samego Filipa II czy może królewskiego sekretarza intryganta, Antonia Péreza, ostatecznie skazanego na banicję; zbrodnia wciąż jeszcze nie została wyjaśniona po czterech z górą stuleciach, zbrodnia dokonana w wąskiej uliczce, która w owych czasach nazywała się Camarín de Nuestra Señora de Almudena. Ale nie wiem, dlaczego powiedziałem „wciąż jeszcze”: w niektórych przypadkach upływ czasu na nic się nie zdaje, tyle jest nieznanego, wypartego i ukrytego nawet w tym, co się tyczy nas i naszych czynów). Iluż to jednookich, jednorękiach i kulawych na tych starych uliczkach, iluż zabitych, pomyślałem ku własnemu zdumieniu. Nie zdziwiono by się jeszcze jednemu takiemu zdarzeniu.

Postanowiłem tak krążyć w pobliżu, by co krótką chwilę zerkać z daleka na Custardoya i kontrolować jego poczynania, nie mogłem przegapić chwili, w której ureguluje rachunek, wstanie i znowu ruszy w drogę, z El Anciano Rey de los Vinos do jego domniemanego domu było blisko, wystarczyło przejść tylko dwie ulice. Oddaliłem się więc trochę, stanąłem przed innym pomnikiem przy Bailén, tym razem przed topornym popiersiem wspaniałego hiszpańskiego pisarza Larry, który popełnił samobójstwo w 1837 roku, nie ukończywszy dwudziestu ośmiu lat, strzelił sobie w głowę przed lustrem (jeszcze jeden z bractwa Kennedy-Mansfield, naprawdę ich dużo), być może z powodu zawodu miłosnego, ale kto to może wiedzieć; a później zatrzymałem się przed jeszcze jednym, trochę groteskowym, niejakiego kapitana Melgara z orderami na piersi i z podkręconym wąsem – przypominał mi nieco przodka Tupry z portretu autorstwa Kenningtona w jego domu. Kapitan, jak głosił napis u dołu, poległ w bitwie pod Barranco del Lobo koło Melilli podczas wojny afrykańskiej 1909 roku; nie tyle samo popiersie było groteskowe, ile inna nieproporcjonalnie mała postać – nie tak mała jak liliput albo Tomcio Paluch, ale z pewnością jak jakiś karzeł – postać żołnierza w mundurze Legii Cudzoziemskiej, który ze strzelbą w ręku usiłował wspiąć się na piedestał albo kolumnę, nie wiadomo, czy żeby wyżej oddać hołd swemu kapitanowi, czy żeby go zaatakować i zabić. Potem pokonałem tę samą drogę w odwrotnym kierunku, tyle że drugą stroną ulicy, tą, gdzie piętrzy się to katolickie okropieństwo, i obserwowałem siedzącego Custardoya. Dostał już piwo i anchois, i *patatas bravas* (Zasiadł na regularną przekąskę, pomyślałem, uważa pewnie, że na nią zapracował, nie spieszy się, chwilę to potrwa), z nogą założoną na nogę czytał rozpostartą gazetę, podnosząc co jakiś czas wielkie oczy i rozglądając się wokół, dlatego musiałem zachować ostrożność i znowu się oddaliłem, tym razem aż na wysokość Pałacu Królewskiego i tylko po to, by oddać się kontemplacji kolejnych okropnych

posągów, niezmiennej cechy charakterystycznej Madrytu: całego szeregu królów wizygockich w pseudorzymskim odzieniu i z mało mówiącymi podpisami, szczególnie dla cudzoziemca, a ja już czułem się trochę cudzoziemcem: „Ataulf, zm. 415” głosił pierwszy z nich i równie skrótowa informacja towarzyszyła królom o imionach Euryk (zm. 484), Leowigild (zm. 585), Swintila (zm. 633), Wamba (zm. 680)... Trochę dalej stał duży pomnik „wzniesiony przez hiszpańskie kobiety ku chwale żołnierza Luisa Novala”, który to żołnierz musiał być bohaterski i naprawdę rozpieszczany przez kobiety, on też nosił mundur Legii Cudzoziemskiej (jak Beau Geste, Beau Sabreur albo Beau Ideal, albo wszyscy trzej razem): „Ojczyzno, nie zapomnij nigdy o tych, co za ciebie oddają życie, MCMXII” (po hiszpańsku w wołaczcu było „*patria*”, po angielsku byłoby „*country*”, słowo użyte przez Tuprę tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, słowo, które kazało mi się wówczas zastanowić, czy może być z ducha faszystowski w sensie analogicznym). Jednakże mój kraj zapomina o wszystkich, zarówno o tych, którzy za niego oddają życie, jak i o tych, którzy tego nie robią, łącznie z owym Novaliem, nikt w Madrycie nie ma na pewno bladego pojęcia, kim on u diabła był ani czym się zasłużył, ani co takiego zrobił. Ilekroć wracałem i wystawione na zewnątrz stoliki baru pojawiały się w moim polu widzenia, typ z kucykiem sprawiał wrażenie coraz bardziej zdomowionego w lokalu, odważyłem się zatem zapuścić w inną stronę i pójść w dół calle Cuesta de la Vega, „Niedaleko stąd znajdowała się od IX wieku Puerta de la Vega, główna brama wjazdowa do muzułmańskiego Madrytu”, albo: „Figurka Najświętszej Marii Panny z Almudeny, ukryta w tym miejscu w 712 r. i cudownie odnaleziona w 1085 r.” (Schowali ją tam w rok po najeździe Maurów, pomyślałem, żeby nic jej się nie stało, jak sądzę). Ale bieluteńki wizerunek Marii Panny w koronie i z dzieciątkiem umieszczony w niszy wcale mi nie wyglądał na pochodzący z VIII wieku ani nawet na kopię tamtego, a zatem musiał być bezczelnym falsyfikatem; Custardoy

miałby tu coś do powiedzenia. Doszedłem aż do parku Atenas, gdzie kolejne banalne popiersie, niemal tajne, bo umieszczone w miejscu tak mało uczęszczanym, przedstawiało ni mniej, ni więcej tylko osobę radosnego Boccheriniego, który przeżył w Madrycie dwadzieścia jeden lat i tu też umarł w nędzy, nie doczekawszy się ze strony niewdzięcznego miasta żadnego uszanowania (nie wiadomo nawet, gdzie leżą jego kości ani czy zostały złożone w jakimś grobie); z tyłu wyryto na kamiennej tablicy następujący cytat z kogoś o nazwisku Cartier: „Gdyby Bóg chciał przemówić do ludzi, posłużyłby się muzyką Haydna; lecz gdyby chciał posłuchać muzyki, wybrałby bez wątpienia muzykę Boccheriniego”. Tak, mnie ona również towarzyszy, tak samo jak muzyka Mancciniego, gdziekolwiek jestem.

Zanadto się oddaliłem, pospiesznie zawróciłem więc do Cuesta de la Vega w obawie, że w końcu, już to przez złą rachubę czasu, już to przez zaniechanie, mogę nie dowiedzieć się tego, co musiałem wiedzieć. Gdy dotarłem ponownie na skrzyżowanie calle Mayor z calle de Bailén – zerknąłem na bramę po prawej stronie, Custardoy nie wchodził do budynku – przyszło mi do głowy, że najlepszy punkt obserwacyjny, z którego niepostrzeżenie można kontrolować sytuację przy wystawionych na zewnątrz stolikach baru lub przy kilku z nich, znajduje się na szczycie krótkich podwójnych schodów prowadzących wprost do figury tańczącego jotę polskiego papieża, toteż wspiąłem się tam i oparłem o balustradę, tyłem do *Totus tuus*, tak, to naprawdę jest najbrzydszy pomnik, i to nie z powodu braku konkurencji, ludzie musieli mnie brać za jakiegoś dewota, stałem tam wśród kilku osób, które robiły sobie zdjęcia przed pomnikiem, naśladując zapraszającą do tańca pozę papieża. Stamtąd widziałem mężczyznę, nie umknie mi, gdy wstanie od stolika. Czekałem. Czekałem. On nadal czytał gazetę, nadal w kapeluszu na głowie (koniec końców siedział na zewnątrz); teczka bez uszu leżała na krześle obok i wydawało się, że facet ma

specjalne anteny wykrywające każdą dobrze wyglądającą kobietę, bo ilekroć jakaś przechodziła albo siadała obok, unosił wzrok znad gazety i obcinał ją od stóp do głów, może miał po prostu dobrego nosa. Luisa źle oceniła sytuację również pod tym względem, pomyślałem. To prawdopodobnie mężczyzna, który nigdy nie poprzestaje na jednej kobiecie. Żałowałem, że nie mam lornetki, mógłbym go lepiej obserwować. Ale i tak mimo odległości odnajdywałem w nim coś – analogię czy podobieństwo – co kogoś mi przypominało, tak samo jak Incompara przywodził mi na pamięć Comendadora, dawnego kolegę z klasy, teraz szanowanego przedsiębiorcę budowlanego w Nowym Jorku albo w Miami czy gdzie tam w końcu wylądował. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, nie potrafiłem zidentyfikować wzorca, to znaczy tego pierwszego kogoś o podobnym wyglądzie, z kim los kiedyś mnie zetknął.

Zobaczyłem, jak wreszcie unosi rękę i przytyka dwa razy palcami, to taki lekceważący sposób przywoływania kelnerów. Mam nadzieję, że nie zamierza zamówić kolejnego piwa, pomyślałem, dwa już wypił. Na szczęście chciał zapłacić; wyjął z kieszeni spodni kilka banknotów (ja też noszę banknoty luzem, bez portfela) i położył jeden na stole, jak zwykliśmy robić my, rodowici madrytczycy, pieniądze nie powinny przechodzić z ręki do ręki, lecz poprzez jakieś neutralne miejsce. Znał kelnera, jego wielkopańskie przytykanie palcami było zatem tym bardziej nieuprzejme: gdy kelner wydawał mu resztę, również kładąc pieniądze na stole, on klepnął go lekko po ramieniu, jak wcześniej poklepał księgarzy, może codziennie wstępował na przekąskę do El Anciano Rey de los Vinos. Na odchodne rzucił jeszcze do kelnera kilka słów i ten roześmiał się ochoczo, podobnie jak tamci w księgarni Méndez i młody generał Custer albo pułkownik Crockett z frędzlami, najwyraźniej facet był dowcipny. Nie wyszedł z ukrytego w zakolu baru uliczką, w której popełniono niewyjaśnione morderstwo, lecz calle de Bailén, to była dobra wróżba. Idąc,

patrzył na wystawę sklepu z instrumentami muzycznymi zajmującego cały narożnik, szybko przeszedł na drugą stronę calle Mayor i zatrzymał się na światłach przy Bailén, dla niego paliło się czerwone. Wtedy straciłem go z oczu i natychmiast zrobiłem kilka kroków do tyłu, by znaleźć się w miejscu, skąd znowu mogłem go widzieć, po lewej stronie od sklepiku obok szkaradnej świątyni położonego na lewo od *Totus* (kto, na Boga, może tam coś kupować?). Stamtąd, zza metalowego ogrodzenia, miałem widok na cały narożnik, stałem dokładnie naprzeciwko bramy wejściowej jego kamienicy, jeżeli istotnie była jego, tyle tylko, że byłem wysoko, nie zauważyłby mnie tam, nie spojrzył tak wysoko, poczułem się jak wampir z Düsseldorfu na czatach. Custardoy miał jeszcze przejść ulicę, gdy zapali się zielone światło, i wejść do kamienicy, w której stronę go popychałem, brama i tym razem była zamknięta. Teraz widziałem go dobrze, w tym kapeluszu trudno go było z kimś pomylić, miałem też widzieć każdy jego krok, gdy już ruszy przed siebie. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... zacząłem liczyć w myślach kroki, gdy światło zmieniło się na zielone, miał małe stopy w stosunku do reszty ciała, ruszył we właściwym kierunku, już nie powinien się zatrzymać... czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem, czterdzieści osiem i czterdzieści dziewięć. Wtedy stanął przed właściwą bramą wejściową, klucz już trzymał w ręce. A ja pomyślałem z niejakim triumfem: Mam cię, i to tu, gdzie chciałem.

Odczekałem jeszcze kilka minut, chciałem sprawdzić, czy nie otworzy się któreś okno, wskazując mi tym samym, na którym piętrze mieszka mężczyzna, i potwierdzając, że jest u siebie w domu. Ale tu akurat mi się nie poszczęściło. Zszedłem na dół, przebyłem dwie ulice, przez które prawdopodobnie nie raz i nie dwa przechodziła Luisa, jeżeli często go odwiedzała, bo nocować u niego nie mogła, zawahałem się, czy nie wziąć taksówki do Palace Hotel, ale nie dostrzegłem żadnej wolnej, ruszyłem więc w drogę powrotną na piechotę. Doszedłszy do Plaza de la Villa,

przystanąłem, żeby przyjrzeć się lepiej oglądanemu przez niego wcześniej posągowi: Don Alvaro de Bazán, czyli markiz De Santa Cruz, chyba był najmniej brzydki ze wszystkich, jakie tego dnia widziałem. Obszedłem posąg dookoła i z tyłu, na piedestale, znalazłem taki oto napis: „Byłem postrachem Turka pod Lepanto, Francuza koło Terceiry, Anglika na wszystkich morzach. Król, któremu służyłem, i kraj, któremu przyniosłem zaszczyt, najlepiej wiedzą, kim jestem, widząc Krzyż w mym nazwisku i krzyżową rękojeść mego miecza”. Hiszpanie to takie samochwały, pomyślałem, czując się wciąż cudzoziemcem, powinienem się od nich uczyć, by uwierzyć, że moi wrogowie uciekają przede mną, mówiąc: „Odchodzę, zwycięski Hiszpanie, synu błyskawicy i ognia, opuszczam cię. Opuszczam cię, słodka kraino, z Hiszpanii odchodzę drżący...”. Hiszpanie zawsze się tak przechwalają, nawet w obliczu rodaka, któremu nie da się tak łatwo napędzić strachu. A ja i Custardoy jesteśmy rodakami. Admirał miał jedno ramię wyciągnięte do przodu i coś trzymał w ręce. Nie bardzo widziałem, co to było, może zrolowana mapa, ale pewnie raczej buława dowódcy. Druga dłoń, lewa, zaciskała się na schowanym w pochwie mieczu, podobnie jak dłoń samotnego hrabiego z portretu. Ileż także mieczy w tych starych uliczkach, pomyślałem.

# **VII**

## **Pożegnanie**



Czasem człowiek wie, co chce zrobić albo co musi zrobić, a nawet co myśli zrobić lub co niemal na pewno zrobi, ale trzeba, by ktoś mu to powiedział bądź potwierdził, bądź przedyskutował to z nim, bądź to zaakceptował, w pewnym sensie to taki manewr, by zdjąć z siebie część odpowiedzialności, rozmyć ją lub z kimś się nią podzielić, choćby tylko na niby, bo to, co robimy, robimy sami bez względu na to, czy ktoś nas do tego przekona, nakłoni, zachęci albo da nam zielone światło, a nawet wyda nam taki rozkaz bądź nam to zleci. Niekiedy wykonujemy ten manewr pod pozorem wątpliwości albo konsternacji, idziemy do kogoś i wycinamy mu numer, prosząc go o zdanie lub poradę – numer polegający na proszeniu bądź pytaniu go o coś – przez co w najgorszym razie osiągamy to, że przy następnej rozmowie ten ktoś nas zagadnie, co się wydarzyło, jak się sprawy potoczyły, co ostatecznie zdecydowaliśmy, czy okazał nam się pomocny czy nie, czy zrobiliśmy, jak radził. Tym sposobem jest już wmieszany, jeżeli nie uwikłany czy nawet wplątany. Zmusiliśmy go do uczestnictwa choćby tylko przez nadstawienie ucha, do rozważenia sytuacji i do zastanowienia się, jak też się potoczyła; zapoznaliśmy go z naszą historią i nigdy już nie będzie mógł jej zapomnieć ani wymazać; daliśmy mu także swego rodzaju prawo do zapytania nas o nią później, a może narzuciliśmy mu swego rodzaju obowiązek: „Co ostatecznie zrobiłeś, jak to rozwiązałeś?”, zagadnie przy tej następnej okazji, wydałoby się nawet dziwne, byłoby brakiem zainteresowania lub uprzejmości z jego strony, gdyby nie wrócił do przedstawionego mu przypadku, na którego temat wypowiedział się swego czasu pod naszym naciskiem albo jeśli odmówił wyrażenia swej opinii i nie powiedział ani słowa, przynajmniej wysłuchał naszych wątpliwości. „Nie

wiem, nie mogę i nie powinienem wypowiadać swego zdania, poza tym nie chcę nic o tym wiedzieć”, tak przecież mógł nam odpowiedzieć, a jednak i tak coś by powiedział: odpowiadając w taki sposób, powiedziałaby, że sprawa mu się nie podoba i wydaje mu się naganna albo mętna, że nie chce maczać w niej palców nawet jako bierny świadek, że woli nic o tym nie wiedzieć i nie podoba mu się żadne z możliwych wyjść, że byłoby lepiej, gdybyśmy nic nie robili i zostawili sprawy ich biegowi albo żebyśmy usunęli się na bok; a w każdym razie żebyśmy oszczędzili mu tej opowieści. Choćby ktoś powiedział: „Nie wiem” albo: „Nie chcę tego słuchać”, już mówi dużo, nie ma łatwej ucieczki, gdy raz usłyszy takie pytanie, nawet uchylenie się od odpowiedzi albo milczenie nie jest ratunkiem, ponieważ milcząc, już się potępia albo odradza, bo milczenie, wbrew znanemu powiedzeniu, nie oznacza zgody. Oby nigdy nas o nic nie proszono ani nawet nie pytano, o żadną radę, przysługę ani pożyczkę, nawet o użyczenie uwagi. Ale tak się nigdy nie zdarza, to płonne marzenie. Zawsze jest jakieś prawie ostatnie pytanie, jakaś spóźniona prośba. Teraz nadeszła moja kolej na zadawanie pytań, teraz miałem zadać swoje pytania, w zasadzie dla każdego adresata zobowiązujące, może z wyjątkiem tego, który miał je usłyszeć. Wiele jeszcze miałem się od niego nauczyć, wzbudzało to mój niepokój i mogło także przywieść mnie do zguby.

Pod wieczór zadzwoniłem z mego pokoju hotelowego do Tupry, bo tylko on mógł mi udzielić rady, przy odrobinie szczęścia poinstruować mnie, zalecić coś i posłużyć mi za przewodnika, ponadto był najwłaściwszą osobą w tego typu sprawach, w których nie wystarczy porozmawiać; był także najbardziej przewidywalny, to znaczy był osobą, która prawdopodobnie utwierdzi mnie w przekonaniu, że powinienem zrobić to, co uważałem za swoją powinność, albo mnie od tego nie odwiedzie. Mimo że w Anglii była godzina wcześniej, liczyłem, że o tej porze powinienem zastać go w domu, pod warunkiem że nie miał akurat jednego z tych swoich stadnych

towarzyskich dni i nie zabrał wszystkich, łącznie z Branshawem i Jane Treves, na jakieś gromadne wyjście. Wybrałem jego bezpośredni numer i odebrała kobieta, z pewnością ta o atrakcyjnej staromodnej sylwetce (figura zbliżona kształtem do klepsydry), widziałem ją owej nocy z nagraniami wideo, stała pod światło w korytarzu, w drzwiach do jego małego gabinetu; jeżeli to była jego żona albo dawna żona, jeżeli to była Beryl, Tupra jeszcze lepiej zrozumie moją prośbę.

– Jak się masz, Jack? Miło z twojej strony, że się odzywasz. A może dzwoniisz, żeby zapytać, co u mnie i u całej reszty? To nawet byłoby jeszcze miłsze, zwłaszcza że jesteś na wakacjach.

W jego tonie wyczuwało się oczywiście lekką ironię, ale zauważyłem też pewną radość, że mnie słyszy, a może to było rozbawienie, ja nadal go bawiłem. Po słowach powitania wolałem nic nie udawać ani go nie zwodzić.

– Mam tu pewną sprawę do załatwienia, Bertie. Chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz albo co według ciebie powinienem zrobić. – Nazwałem go Bertie, by sprawić mu przyjemność, dobrze go usposobić, chociaż wiedziałem, że on zda sobie z tego sprawę, i przedstawiłem mu sytuację bez owijania w bawełnę: – Jest tu pewien facet – powiedziałem. – Myślę, że bije moją żonę albo moją byłą żonę, wszystko jedno, nie mamy jeszcze rozwodu, spotykają się, choć nie wiem od kiedy, prawdopodobnie od kilku miesięcy. Ona zaprzecza, ale teraz właśnie ma podbite oko, ostatnimi czasy nie po raz pierwszy na coś wpada w wyniku niefortunnych zbiegów okoliczności, wedle jej własnych słów rzecz jasna. Wiem to od jej siostry, która ze swej strony doszła do takich samych wniosków jak ja. Nie podoba mi się myśl, że moje dzieci mogłyby w najmniejszym choćby stopniu zostać narażone na utratę matki, nigdy nie wiadomo, jak takie sprawy mogą się skończyć, trzeba uciąć je w zarodku, nie sądzisz? Tak czy inaczej nie zostało mi wiele czasu, żeby się tym zająć. Chciałbym załatwić sprawę,

zanim stąd wyjadę, trudno znieść niepokój, będąc daleko, nie można się skupić na pracy. Nie chciałbym w każdym razie, żeby ona się dowiedziała o mojej interwencji, jakkolwiek ta przybierze formę. Prawdę mówiąc, na pewno będzie miała jakieś podejrzenia, jeżeli cała sytuacja się zmieni, na co mam nadzieję, i jeżeli ta zmiana zbiegnie się z moim pobytem w Madrycie. Porozmawianie z nim o całej sprawie nie ma sensu, po prostu wszystkiemu zaprzeczy. Poza tym on nie sprawia wrażenia kogoś strachliwego, bojaźliwego, raczej wprost przeciwnie: z całą pewnością nie przypomina De la Garzy. Naciskanie na nią, żeby przyznała, że ją bije, też by nic nie dało, znam ją, wiem, jaka jest uparta. A nawet gdybym ją przekonał, sytuacja nie zmieniłaby się w gruncie rzeczy, ona z nim jest bez względu na wszystko. – Urwałem. Ciąg dalszy wywodu kosztował mnie więcej. – Musiała oszaleć na jego punkcie, mimo że nie są razem tak długo, to znaczy nie na tyle długo, żeby naprawdę postradać dla faceta rozum. To nie dzieje się w kilka miesięcy, trzeba czasu, by takie uczucie się ugruntowało. Przypuszczam, że chodzi o nowość, o podniecenie spowodowane byciem z kimś innym, to jej pierwszy facet od naszego rozstania, to uczucie nie będzie długo trwało. Ale wszystko trwa, dopóki trwa, nie wiem, czy mnie rozumiesz. A to teraz właśnie trwa.

Tupra milczał przez kilka sekund. Potem odpowiedział już bez ironii, ale bez zbytnej powagi także, w jego tonie wyczuwało się jakąś niepoważną nutę, jakby mój problem nie wydawał mu się przesadnie poważny albo jakby uważał, że nie tak trudno znaleźć rozwiązanie.

– I pytasz mnie, co powinieneś zrobić? Właściwie jakie mi zadajesz pytanie? Co ja bym zrobił na twoim miejscu? No cóż, przecież dobrze wiesz, Jack, co ja bym zrobił. Przypuszczam, że twoje radzenie się jest czysto retoryczne, chcesz tylko, żebym cię utwierdził w twoim zamiarze. Proszę bardzo, utwierdzam cię. Jeżeli chcesz się pozbyć tego problemu, zrób to.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem, Bertie. Jak już mówiłem, rozmowa z nim do niczego nie prowadzi... – Nie pozwolił mi dokończyć zdania. Możliwe, że się spieszył albo zirytowała go moja powolność (powinien był powiedzieć mi znowu: „*Don't linger or delay, just do it*”). Może mój telefon zastał go w łóżku z Beryl czy kimkolwiek była ta kobieta u jego boku i dlatego to ona odebrała, bo była bardzo blisko, na górze lub na dole, przodem lub tyłem, prawdopodobnie zadzwoniłem, kiedy się pieprzyli, nigdy nie wiemy, co się dzieje z drugiej strony kabla, a raczej co się działo, zanim rozległ się dzwonek. Ciekawe, ile razy było tak, że Luisa właśnie wróciła z randki z Custardoyem w jego pracowni, gdy ja dzwoniłem do niej z Londynu, albo ile razy on był wtedy w jej sypialni, u mnie w domu, i przyglądał się, jak rozmawia ze mną na pół naga, i nie mógł się doczekać, kiedy skończy. Jeżeli ją odwiedzał. Możliwe jednak, że nie odwiedzał jej albo tylko nocą, ze względu na dzieci. Nie pytałem dzieci, ale one też mi o niczym takim nie wspomniały z własnej inicjatywy, prawdę mówiąc, nie wspomniały o nikim nowym ani obcym.

– *Look, Jack, just deal with him* – powiedział Tupra. – *Just make sure he's out of the picture.* – Odezwał się po angielsku i przy tej okazji bardzo pożałowałem, że to nie jest mój język, bo nie wiem, jak te słowa zabrzmiały dla kogoś anglojęzycznego, ale dla mnie były niejasne, nie miałem całkowitej jasności, co chciał powiedzieć: gdyby powiedział: „*Just get rid of him*” albo „*Well, dispose of him*”, wyraziłby się jaśniej, aczkolwiek również nie do końca. „Pozbądź się go”, takie jest tego znaczenie, a koniec końców można się kogoś pozbyć na wiele różnych sposobów, niekoniecznie zabijając go; może gdyby to zdanie brzmiało: „*Just make sure you get him off her back*” albo „*...off your backs*”, wiedziałbym, że mówi: „Upewnij się, że zrzucisz go z jej pleców, czyli że ją od niego uwolnisz” albo „...że oboje się od niego uwolnicie”, aczkolwiek tego wyrażenia też nie potrafiłbym przełożyć na jakieś konkretne jednoznaczne działanie, bo

istnieje wiele sposobów na „zrzucenie kogoś z czyichś pleców”, jak by powiedział Anglik. Jaka szkoda, że nie usłyszałem od niego: „*Just scare him away, scare him to death*”, wtedy uznałbym, że doradza mi jedynie śmiertelnie faceta przestraszyć i w ten sposób przegonić, jak on sam postąpił z De la Garzą, ale nic ponadto, czyli co najwyżej wystąpić jako Sir Punishment i Sir Thrashing, nigdy zaś jako Sir Death ani Sir Cruelty. Jednakże on powiedział raczej: „Zajmij się nim. Upewnij się, że znika z kadru” lub w dosłownym tłumaczeniu: „znika z obrazu”, nie wiem, angielskie słowo „*picture*” można równie dobrze zrozumieć jako „rysunek”, „portret”, „panoramę”, „scenę”, a nawet jako „fotografię” albo „film”, lecz ja zafiksowałem się na pierwszym dosłownym znaczeniu: obraz albo malowidło, Custardoy musiał zniknąć z obrazu, trzeba go było usunąć lub oddzielić, tak jak hrabiego San Secondo, który był oddzielony od swojej rodziny w Prado, odseparowany na wieki wieków, nie mógł już nigdy więcej zbliżyć się do swojej żony ani do dzieci. Gdyby ten krótki dialog miał miejsce w jakimś odcinku „Rodziny Soprano” albo w „Ojcu chrzestnym”, zrozumiałbym znakomicie, że Tupra sugeruje mi albo mnie zachęca, żebym go załatwił. Ale możliwe, że mafiosi na wypadek, gdyby ktoś ich podsłuchiwał, używają jakichś ustalonych wcześniej kodów, które pozwalają im formułować bardzo lakonicznie polecenia, które i tak zostają od razu właściwie zinterpretowane. Poza tym to bynajmniej nie był dialog filmowy, my nie byliśmy mafiosami ani mnie nie wydawano polecenia jak przy innych okazjach z Tuprą albo Reresbym, albo Urem, albo Dundasem, lecz chodziło wyłącznie o drobną wskazówkę, radę, o którą wcześniej poprosiłem. Język jest jednak trudny, gdy człowiek nie wie, czego się trzymać, a musi wiedzieć to precyzyjnie, ponieważ język niemal zawsze jest metaforyczny lub obrazowy. Z pewnością nie ma wielu ludzi, którzy powiedzieliby otwarcie: „*Kill him*” albo po hiszpańsku „*Mátalo*”, „Zabij go”.

Postanowiłem trochę go przycisnąć, choć wiedziałem, że może się zniecierpliwic. A raczej dorzuciłem szybko kolejne pytanie, nim zdążył odłożyć słuchawkę, jego poprzednie dwa zdania zabrzmiały rozstrzygająco, niemal jak pożegnanie, jakby nie miał już nic więcej do dodania. Albo jakby znudziło go moje wypytywanie, moja mała opowieść.

– Mógłbyś mi podpowiedzieć, jak mam to zrobić, Bertie? – powiedziałem. – Nie nawykłem tak jak ty do straszenia ludzi.

Najpierw usłyszałem jego paternalistyczny śmiech, suchy, lekko pogardliwy, to nie był rodzaj śmiechu, którym moglibyśmy zaśmiać się razem, nie taki, który bezinteresownie łączy mężczyzn albo kobiety lub tworzy między kobietami i mężczyznami jeszcze silniejszą, bliższą więź, związek głębszy, bardziej złożony i bardziej niebezpieczny, bo długotrwały, a przynajmniej aspirujący do trwałości, może Luisę i Custardoya łączył spontaniczny nieoczekiwany równoczesny śmiech, bo Custardoy, jak się wydawało, z łatwością wszystkich rozbawiał. Śmiech Tupry, jak zauważyłem przy wielu wcześniejszych okazjach, zawsze pobrzmiwał lekkim rozczarowaniem, zniecierpliwieniem, błyskały w nim drobne zęby.

– Jeżeli naprawdę nie wiesz jak, Jack, to znaczy, że nie możesz tego zrobić. Lepiej, żebyś nie próbował, niech sprawy same się toczą. Zostaw je własnemu biegowi, nie staraj się niczego zmieniać, pozwól żonie je poukładać, to ostatecznie jej sprawa, niech zrobi, co zechce. Ja jednak myślę, że dobrze wiesz, jak to zrobić. Wszyscy zawsze to wiemy, choćbyśmy nie przywykli do tej myśli. Inna sprawa, że nie potrafimy sobie wyobrazić, że to robimy. To kwestia wyobraźni. Teraz muszę już kończyć. Powodzenia. – I zakończył rozmowę, którą nieznacznie udało mi się przeciągnąć.

Nie odważyłem się zadzwonić do niego ponownie, musiałem radzić sobie z tym, co miałem. „Pozwól żonie je poukładać, to ostatecznie jej sprawa, niech zrobi, co zechce”, to mi zabrzmiało jak wyrzut albo jak ukryta

przygana, jakby naprawdę mówił: „Chcesz zostawić ją własnemu losowi, może pozwolić, żeby pewnego dnia zginęła i osierociła dzieci”. Ostatnie jego słowa: „To kwestia wyobraźni” też zabrzmiały dwuznacznie. Prawdopodobnie chciał przez to powiedzieć, że jedynym sposobem na wyobrażenie sobie, że robisz coś, co nigdy nie powstało w twojej wyobraźni, jest zrobienie tego, a wtedy nie będziesz miał problemu, żeby to sobie wyobrazić.

Następnie zadzwoniłem do starego przyjaciela, to znaczy do przyjaciela na madrycką modłę, czyli kogoś, z kim lata wcześniej utrzymywało się miłą, ale powierzchowną znajomość i z kim od tamtego czasu nie miało się już kontaktu: jeżeli z kimś takim nigdy nie doszło do spięcia ani sprzeczki, ani kłótni, nominalnie nadal jest naszym przyjacielem, choćbyśmy nigdy nie odbyli rozmowy sam na sam, zawsze tylko w ramach dużej zróżnicowanej grupy ludzi otaczających nas w owych coraz bardziej zamierzchłych czasach. Był jednym z wielbionych przez fanatycznych naśladowców toreadorów, którzy wycofują się z korridy, by po kilku latach wrócić na arenę i potem znowu się wycofać – pewnie zbliżał się dzień, kiedy definitywnie obetnie warkoczyk toreadora – spotykaliśmy się kiedyś, w czasach Comendadora i trochę później (Comendador nas ze sobą poznał, on miał znajomych we wszystkich środowiskach), przy okazji nocnych, często przeciągających się do bladego świtu gier w karty, na które maestro zapraszał do siebie członków swojej toreadorskiej drużyny, dziwnych znajomków i wszelkiego rodzaju pieczeniarczy, między innymi mnie; bywają tacy toreadorzy, którzy ani minuty nie są sami i w dodatku podejmują u siebie każdego, kto przychodzi z polecenia kogoś zaufanego, choćby nie bezpośrednio: przyjaciela kogoś, z kim naprawdę się przyjaźnią, nie tylko na madrycką modłę. Był bardzo serdecznym życzliwym człowiekiem, sentymentalnym wobec wszystkiego, co wiązało się z jego przeszłością, i kiedy poprosiłem go o spotkanie po dziesięciu albo więcej



latach zupełnego braku kontaktów, nie tylko nie zgłosił żadnych obiekcji ani nie wykazał najmniejszej podejrzliwości, lecz nalegał, byśmy zobaczyli się jak najszybciej.

– Wpadaj dzisiaj, chłopie. Poza tym dziś wieczorem gramy.

– A co byś powiedział na jutro rano? – zapytałem. – Przyjechałem na kilka dni, mieszkam teraz w Londynie, i dzisiaj powinienem odwiedzić ojca, który nie najlepiej się czuje, jest w zaawansowanym wieku.

– Jasne, nie ma o czym mówić. A więc jutro. Ale przyjdź koło pierwszej, napijemy się po jednym przed lunchem. Dziś będziemy pewnie grali do późna.

– Chcę cię prosić o przysługę – wolałem go uprzedzić. – Potrzebuję pożyczki, ale nie chodzi o pieniądze, radzę sobie dobrze, nie martw się.

– A to dobre, mówi, że mam się nie martwić – zaśmiał się w odpowiedzi. – Ty nigdy nie dasz mi powodu do zmartwienia, Jacobito. – Był jedną z tych osób, które nazywały mnie Jacobo, nie pamiętam dlaczego. – Dobra, proś, o co chcesz. Pod warunkiem, że to nie będzie mój galowy strój na korridę, synku. – Nie śledziłem na bieżąco wiadomości o walkach byków, szczególnie mieszkając w Londynie, ale wywnioskowałem z tego, że teraz akurat mój przyjaciel jest aktywny. Przed spotkaniem powinienem zorientować się trochę, co się w tej dziedzinie dzieje, żeby nie sprawić mu przykrości swoją niewiedzą.

– Ciepło, ciepło – odparłem. – Jutro ci wszystko wyjaśnię.

– Przyjdiesz, rozejrzysz się i weźmiesz sobie, co zechcesz, synku. – Nie powiedział tego tak sobie, był naprawdę wielkodusznym człowiekiem. Nazywał się Miguel Yanes Troyano, ale wołali na niego „Miguelín”, był synem banderillera.

Nazajutrz, dowiedziawszy się już z Internetu o jego ostatnich sukcesach i z prezentem pod pachą, zjawiłem się w jego ogromnym mieszkaniu w części miasta znanej za mego dzieciństwa jako Costa Fleming, bliżej

Chamartín, stadionu Realu Madryt (wolę go nazywać jego starą nazwą) niż Las Ventas, areny walki byków, skąd nie raz i nie dwa bywał wynoszony na rękach jak bohater główną bramą. Wołałem porozmawiać z nim bez świadków, ale to było niemożliwe, zawsze ktoś mu towarzyszył. Wiedząc wszakże, że zamierzam prosić go o przysługę i o pożyczkę, miał dość taktu, by nie kłopotać mnie obecnością zbyt wielu osób. Siedział jednak u niego mężczyzna w jego wieku, który przez całe życie był jego menedżerem, małomówny i bardzo dyskretny, znałem go trochę, ale z dawnych czasów.

– Nie wiem, czy naszą rozmową nie zanudzimy pana Cazorli, maestro – powiedziałem na wszelki wypadek, sondując sytuację.

– Ależ skąd – odpowiedział Miguelín, machając ręką na znak, że odrzuca taki pomysł; wcześniej mocno mnie uścisnął i pocałował w policzek, jakbym był jego krewnym. – Eulogio nigdy się nie nudzi, a jeśli się nudzi, to rozmyśla, prawda, Eulogio? Przy nim możesz swobodnie mówić o wszystkim, Jacobito, on niczego nie rozpowiada ani nie ocenia. Mów, w czym ci mogę pomóc.

Trudno mi było zacząć, bo wstydziłem się trochę swojej prośby. Jednakże trzeba było powiedzieć, z czym przychodzę, i mieć to już za sobą. Wszystko jest bardziej kłopotliwe przed niż po, a nawet niż w trakcie.

– Chciałbym wiedzieć, czy mógłbyś mi pożyczyć jedną ze swoich szpad. Na jakieś dwa dni, jak sądzę.

Zobaczyłem, że tego się nie spodziewał i że Cazorla lekko się wzdrygnął, obciągnął sobie jeden rękaw. Był ubrany w garnitur z kamizelką w kolorze zanadto jasnoszarym, z górnej kieszonki marynarki wystawał róg chusteczki, kwiatek w butonierce, stara szkoła. Nie odezwałyby się jednak, póki nie poprosiłby go o to Miguelín. Ten zaś dobrze zamaskował zdziwienie i od razu odpowiedział:

– Jedną i dwie, i trzy, ile tylko zechcesz, Jacobito. Pójdziemy i obejrzymy je od razu, wybierzesz sobie, którą zechcesz, oczywiście nie różnią się

specjalnie między sobą. No dobrze, a teraz, jeśli pozwolisz: gdybyś poprosił mnie o pieniądze, nie przyszłoby mi do głowy zapytać, na co ci potrzebne, ale spada to jednak coś dziwnego. Po co ci ona? Na bal przebierańców?

Mogłem mu wtedy coś nakłamać, aczkolwiek sama spada to nie jest wielkie przebranie. Mogłem wymyślić jakiś inny absurdalny powód, na przykład że wybieram się na urządzaną prywatnie walkę byków, lecz uznałem, że to nie w porządku oszukiwać kogoś tak dobrego, poza tym wcale nie jestem pewien, czyby mi się udało. Założyłem, że zrozumie moją motywację i że on także nie będzie mnie oceniał.

– Nie, Miguelín. Chcę komuś napędzić strachu. Sprawa ma związek z moją żoną. To znaczy z moją byłą żoną, dawno już jesteśmy w separacji, jakkolwiek nie wzięliśmy rozwodu. – Zdałem sobie sprawę, że zawsze z uporem to uściślam, jakby miało to jakieś znaczenie. – Dlatego wyjechałem do Londynu, żeby nie kręcić się tutaj, gdy ona stopniowo się ode mnie oddala. Nie wiem, czy to był dobry pomysł w świetle tego, co tu teraz zastałem. Mamy dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, nie chcę narażać ich na niebezpieczeństwo. Dla nikogo z nich ten facet nie jest odpowiedni, a już najmniej dla niej.

Miguelín rozumiał, wystarczyło mu to, co powiedziałem, spostrzegłem to po sposobie, w jaki mnie słuchał, jakby przytakiwał. Nie zadał mi żadnego pytania, przyjaciele to przyjaciele, każdy może robić, co uważa za stosowne. Potem zachichotał trochę rozbawiony, chętnie i często się śmiał, nie zmieniły tego mijające lata.

– A co ty zamierzasz zrobić tą spadą? – zapytał. – Słyszałeś, Eulogio, po co mu spada? Czekał chwilę, Jacobo: zamierzasz tej spadą użyć czy nie? Wbijesz mu ją głęboko czy tylko sam czubek? A może tylko nią przed nim pomachasz, a on od razu zleje się ze strachu?

– Mam nadzieję, że nie będę musiał jej użyć – odparłem. Tak naprawdę nie wiedziałem, co właściwie chcę zrobić, pamiętając wcześniejsze

rozważania Tupry, myślałem tylko o wrazeniu, jakie wywołam, wyciągając taką broń.

– Jacobo, musisz mieć na względzie dwie rzeczy. Po pierwsze, rani się szpadą, wbijając jej czubek, w tym celu trzeba wziąć zamach, jeżeli chcesz, żeby weszła naprawdę głęboko; szpada nie ma właściwie ostrza, nie nada się do cięcia. Po drugie, skoro taka szpada przebija byka ważącego ponad pół tony i wbija się w niego po rękojeść, jeżeli oczywiście nie trafi na kość, to wyobraź sobie, co może zrobić człowiekowi: jeden fałszywy ruch i kładziesz go trupem. Chcesz podjąć takie ryzyko? Nie, chłopie, od napędzania strachu jest pistolet. Najlepiej czysty, tak na wszelki wypadek.

Nie przyszło mi do głowy powiązać jednego z drugim, dopóki nie usłyszałem słów Miguelína o tym, co można zrobić człowiekowi szpadą, ale kiedy zdałem sobie sprawę, przebiegł mnie dreszcz odrazy, jakkolwiek nie była to, o dziwo, osobliwie, odraza do siebie, najwidoczniej jeszcze nie łączyłem siebie z tym, co planowałem, albo wciąż jeszcze ten plan nie miał dla mnie konkretnej zawartości, a może nigdy nie odczuwa się szczerzej odrazy do samego siebie i dlatego jesteśmy zdolni zrobić niemal wszystko, po trochu, w miarę jak przyzwyczajamy się do pomysłów, które powstają nam w głowie lub w nas zapadają, albo jak godzimy się z faktem, że naprawdę mamy zamiar zrobić to, co zrobimy. Byłbym jak tamten drań z Malagi, ta kanalia, ten skurwysyn, pomyślałem, ten, który zabił Emilia Marésa na przedmieściach Rondy przed jakimiś siedemdziesięcioma laty, wspierany i zachęcany przez swoich towarzyszy, przebił go pchnięciem szpady i odciął Marésowi uszy i ogon, i uniósł je w ręce wysoko, a drugą ręką uchylił lekko czerwony beret niczym czapkę toreadora, tam na tych słodkich polach. Jak ten, który bestialsko zamordował dawnego kolegę mego ojca z uniwersytetu, człowieka trochę próżnego, ale w zabawny, świadomie niepoważny sposób, bardzo sympatycznego, zawsze tryskającego dobrym humorem, człowieka, którego mój ojciec bardzo lubił

i który odmówił wykopania własnego grobu przed rozstrzelaniem, a wtedy jego kaci zabawili się z nim jak z bykiem i zabili go. Urządzili mu dosłownie korridę z użyciem banderilli, pik i szpady. Całe szczęście, że Miguelín zupełnie niechcący uświadomił mi ten związek.

– Czysty? – zapytałem. Nie zrozumiałem tego określenia.

– Taki, o którym nikt nie wie, nie jest zarejestrowany, a przede wszystkim nie został wcześniej użyty do popełnienia przestępstwa. Dobrze ci radzę, tak na wszelki wypadek. – Miguelín, jak pewnie wszyscy toreadorzy, zawsze miał wzgląd na możliwe wypadki.

– Na wypadek czego, Miguelín?

– A jak ci się wydaje, synku? Słyszałeś go, Eulogio? – I znowu zachichotał, musiał mieć mnie za kompletnego naiwniaka, byłem nim w tych sprawach. – Bo jak bierzesz do kieszeni pistolet, zawsze może się zdarzyć, że w końcu z niego strzelisz. Chcesz tylko kogoś nastraszyć, zgoda, ale nigdy nie wiadomo, jak ten ktoś zareaguje. Może wcale się nie przestraszy i co wtedy zrobisz?

– Tak. A skąd mam wziąć taki pistolet? – Wiedziałem, że maestro ma różne rodzaje broni, broń myśliwską na pewno, używał jej, gdy jeździł do swej posiadłości w Cáceres, spędzał tam dużo czasu. Może miał też inną, jak niemal wszyscy, którzy dorobili się znacznego majątku, znaczy broń krótką, która nie służy do polowania. Ale na wszystkie rodzaje miał na pewno pozwolenie, a zatem żadna sztuka nie była czysta.

– Ja ci go pożyczę, tak samo jak pożyczylbym ci szpadę czy co tam byś chciał. Ale gdzieś ty zamierzał schować szpadę, chłopie, no naprawdę, co za pomysł. Pistolet można włożyć do kieszeni. – O tym też wcześniej nie pomyślałem, nie miałem przecież płaszcza z pochwą na plecach ani nawet prochowca. I pogoda nie była odpowiednia na płaszcze. Miguelín dodał: – Już ci go daję. Eulogio, zechciałbyś przynieść llamę mojego ojca? A przy okazji i rewolwer.

– Gdzie je teraz trzymasz? – zapytał Cazorla.

– W bibliotece, schowane za „Baśniami z tysiąca i jednej nocy”, troszkę bardziej na lewo, za kilkoma tomami z brązowym grzbietem. No idź, poszukaj i przynieś je tutaj.

Menedżer wyszedł z pokoju (zastanowiło mnie, jaką to bibliotekę mógł mieć maestro, z całą pewnością nigdy żadnej nie widziałem podczas karcianych nocy w dawnych czasach; był jednak, jak niejeden toreador, dość odcytany) i po krótkiej chwili wrócił, niosąc dwa pudełka albo zawiniątka, które położył przed Miguelínem na stoliku do kawy.

– Czy możesz być tak miły i przynieść dla Jacoba rękawiczki, Eulogio? Lepiej, żebyś nie zostawił odcisków palców, skoro masz jednego z nich użyć – zwrócił się do mnie. – Mógłbyś potem zapomnieć je wytrzeć, bo nie masz tego nawyku.

Cazorla nadal był tak samo usłużny, jak pamiętałem z dawnych czasów, jego podziw dla maestra nie miał granic, był bliski uwielbienia. Wyszedł znowu i zaraz wrócił z parą białych rękawiczek, jak rękawiczki kelnera albo sztukmistrza. Były z cienkiego materiału, włożyłem je, a wtedy Miguelín odwinął oba pakunki ostrożnie, niemal z nabożeństwem, nie dlatego zapewne, że w środku była broń, lecz że kiedyś należała do jego ojca. Wielu ojców, którzy przeżyli wojnę domową, wciąż przechowuje u siebie jakąś broń, regulaminową albo nie, mój ojciec także, wiedziałem, że ma jakiegoś stara albo astrę, z tych produkowanych w Éibarze. Nigdy jednak żadnego nie widziałem i nie miałem zamiaru ojca teraz o nie wypytywać ani przeszukiwać jego mieszkania. Musiał wiele ryzykować po wojnie, pomyślałem, zachowując sobie broń, nie zdając jej. Przecież należał do pokonanych. I posiedział w więzieniu. Ojciec Miguelína, z oczywistych względów starszy niż mój, mógł należeć do zwycięzców, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy, to już nie miało znaczenia. W ogóle nie rozmawialiśmy

nigdy na żaden poważny ani osobisty temat. Madryckie przyjaźnie naprawdę są jedyne w swoim rodzaju, często niewytłumaczalne.

– Mogę je teraz wziąć do ręki? – zapytałem. Były ładne, rewolwer miał drewnianą rękojeść, lufa i rękojeść pistoletu tworzyły niemal kąt prosty.

– Poczekaj chwilę – odpowiedział. – Oba należały kiedyś do mego ojca, te złodzieje, dzisiejsze urzędaszy, nie zdołały ich namierzyć. Gdyby je u mnie znaleźli, dawno by je sprzedali. Myślę, że rewolwer jest sprzed wojny. Angielski, enfield. Ojciec dostał go od angielskiego pisarza, który przez jakiś czas pasjonował się korridą i ojciec przekonał jednego z matadorów ze swojej drużyny, żeby pisarz mógł z nimi podróżować. Tamten chciał zebrać doświadczenia z pierwszej ręki do jakiejś książki, którą właśnie pisał; główny bohater tej książki nazywał się Biggles i był chyba pilotem, chodziło o jakąś serię, w jednej z części ten pilot miał mieć przygody w Hiszpanii. Ojciec opowiadał mi o tym z dumą, bo podobno ten cały Biggles był bardzo sławny w swojej ojczyźnie. – Oto pojawiło się słowo „ojczyzna”; może bez szczególnego znaczenia, Miguelín nie położył na nie żadnego nacisku pewnie dlatego, że nie odnosił się do naszej ojczyzny. – Pistolet, hiszpańska automatyczna llama, pochodzi z późniejszych lat. Rewolwer jest na sześć naboń, pistolet na dziesięć. W zasadzie to dla ciebie bez znaczenia, skoro i tak nie zamierzasz strzelać. Ale jeśli nie będziesz miał innego wyjścia, to starczy ci aż nadto; jeżeli nie starczy, znaczy, że już po tobie. Powinien wystarczyć jeden magazynek do pistoletu. Tu masz amunicję. Oba są dobrze utrzymane, naoliwione, wszystko działa, tak nauczył mnie ojciec. Pistolet może się oczywiście zaciąć, jak każdy pistolet. Za to rewolwer jest bardzo duży, sam zobacz, jaki ma bębenek i jaką długą lufę. Myślę, że llama będzie dla ciebie lepsza. Zgadzasz się ze mną, Eulogio, że pistolet jest lepszy do napędzenia strachu? – Miguelín zręcznie obracał w dłoniach broń.

– Jak uważasz, Miguel. Ty znasz się na tym lepiej – odpowiedział krótko Cazorla, wzruszając ramionami.

– Umiesz się nim posługiwać? – zapytał mnie wtedy Miguelín. – Wiesz, jak to działa? Miałeś kiedyś w ręku pistolet?

– Jak odbywałem służbę wojskową – odparłem – potem już nigdy więcej. – I pomyślałem, jakie to dziwne albo jakie nowe. W wielu minionych epokach było czymś niezwykłym, gdy mieszczuch nie miał w domu broni, nie trzymał jej pod ręką.

– Pierwsze, o czym musisz pamiętać, Jacobo, to że nigdy nie należy kłaść palca na spuście, dopóki nie jesteś pewien, że będziesz strzelał. Zawsze trzymaj go na kabłąku, dobrze? Nawet jak pistolet nie jest gotów do strzału. I choćby nie był nabity.

Użył staromodnego nieznanego mi słowa „*guardamonte*”, żeby powiedzieć „kabłąk”, bo sam Miguelín stawał się coraz bardziej staromodny, prawdziwy relikw, podobnie jak jego szczodrość. Ale nie musiałem o nic pytać, bo od razu wszystko mi zademonstrował i zobaczyłem, gdzie kładzie palec wskazujący. Potem wręczył mi broń, żebym ja zrobił to samo, czyli powtórzył jego gest. Nie pamiętałem już, że pistolet tyle waży, na filmach wymachują nim jak sztyletem. Trzeba wysiłku, żeby go unieść, a jeszcze większego, by trzymać go nieruchomo, mierząc do celu.

I wtedy maestro nauczył mnie, jak się nim posługiwać.



Nie wiem, myślę, że w owym czasie pewnie już przyswoiłem sobie opinię Wheelera, że ludzie mają wszystkie swoje możliwości we krwi i tak dalej, i byłem mniej więcej przekonany, że wiem, jak stosować ją do siebie; uważałem, że dobrze znam własne możliwości, aczkolwiek nie tak może dobrze, jak on z pewnością znał swoje, w czym pomogło mu dużo większe doświadczenie: miał wcześniej więcej czasu niż ja, więcej pokus i bardziej różnorodnych sytuacji, by te możliwości ujawniły się w praktyce; przeżył wojny i brał w nich udział, a właśnie podczas wojen człowiek może być bardziej przekonujący i bardziej niebezpieczny i stać się bardziej nikczemny niż jego wrogowie; podczas wojen można najbardziej wykorzystywać ludzi, którzy zdaniem Wheelera są w większości głupi i lekkomyślni, i łatwowierni, i nietrudno podrzucić im zapaloną zapałkę i wzniecić pożar; podczas wojny łatwiej i z większą bezkarnością można wpędzić innych w najstraszniejsze i najbardziej niszczycielskie nieszczęście, z którego nigdy się nie podniosą, i tak skazanych zmienić w straty w ludziach, w nieludzi, w powalone drzewa, z których można obrywać połamane gałęzie; wojna jest też najdogodniejszym czasem na rozsiewanie zarazków cholery i malarii, i dżumy i na uruchamianie procesu negowania wszystkiego, tego, kim jesteś i kim byłeś, co robisz i co zrobiłeś, czego chcesz i czego chciałeś, twoich motywacji i zamiarów, twoich wyznań wiary, poglądów, twojej lojalności, twoich racji...

O tak, człowiek nigdy nie jest tym, kim jest – nie do końca, nie całkiem – kiedy żyje samotnie i mieszka za granicą, i ciągle mówi w języku, który nie jest jego ojczystym czy też pierwszym językiem; ale i we własnym kraju nim nie jest, gdy walczy na wojnie lub gdy owładnie nim złość, zaciętość i strach: człowiek czuje, że do pewnego stopnia nie ponosi

odpowiedzialności za to, co zrobi albo czego będzie świadkiem, jakby wszystko było częścią jakiejś prowizorycznej egzystencji, równoległej, obcej lub zapożyczzonej, fikcyjnej, nieledwie śnionej – a może teoretycznej, jak całe moje życie wedle niepodpisanego raportu na mój temat w starym archiwum; jakby dało się wszystko wypchnąć do sfery tego, co jest tylko fantasmagorią i nigdy się nie zdarzyło, i co oczywiście mimowolne, wszystko wrzucone do jednego worka wyobrażeń i podejrzeń, i hipotez, a nawet zwykłych bezrozumnych snów, o których po przebudzeniu można tylko powiedzieć: „Nie, nie chciałem, żeby pojawiło się takie nienormalne pragnienie albo taka mordercza nienawiść, albo takie bezzasadne wyrzuty sumienia, albo taka pokusa, albo taki popłoch, albo taka żądza wymierzenia kary, takie nieznanne zagrożenie albo zaskakująca klątwa, taka niechęć albo taka tęsknota, które teraz ciążą co noc ołowiem na mej duszy, takie obrzydzenie albo taka przemoc, których sam jestem sprawcą, takie twarze już umarłe i na zawsze niezmiennie, które zawarły ze mną układ, że nie będzie żadnego jutra (tak, to nasz pakt z tymi, którzy stają się niemi i są usunięci: mają nic więcej nie robić ani nie mówić, mają zniknąć i już się nie zmieniać), a teraz przychodzą i szepczą mi przerażające niespodziewane słowa, kto wie, może nawet dla nich niestosowne, kiedy jestem pogrążony we śnie i nie mam się na baczności: zostawiłem na murawie swoją tarczę i włócznie”. Poza tym można powtarzać sobie w nieskończoność niepokojące słowa Jagona już nie tylko po tym, co się zrobiło, lecz i w trakcie tego, co się robi: „*I am not what I am*. Nie jestem tym, kim jestem”. Tak samo ostrzega ktoś, kto zleca zbrodnię lub grozi, że ją popełni, albo kto ujawnia własne niegodziwe czyny, narażając się na szantaż, albo kto kupuje coś na lewo – kołnierz zawsze podniesiony, twarz w cieniu, nigdy nie zapalaj papierosa – mówiąc wynajętemu zabójcy albo osobie w niebezpieczeństwie, albo potencjalnemu szantażyście, albo kolejnej kobiecie, dawno zapomnianej namiętności, której i tak się wstydzimy:

„Pamiętaj, nigdy się nie spotkaliśmy, od dzisiaj nie wiesz, kim jestem, nie znamy się, nigdy nie zamieniliśmy ani słowa, nie mam twarzy ani głosu, ani oddechu, ani imienia, nie mam nawet karku ani pleców. Ta rozmowa ani to spotkanie nigdy się nie odbyły, to, czego jesteś teraz naocznym świadkiem, nigdy się nie wydarzyło, tego nie ma, nie było też tych słów, bo ich nigdy nie wypowiedziałem. Nawet jeżeli teraz je słyszysz, ja ich nie wypowiadam”; tak samo jak można powiedzieć sobie: „Nie jestem tym, kim jestem, ani tym, kto robi to, co widzę. Co więcej, ja nawet tego nie robię”.

Przyswoiłem sobie natomiast gorzej albo po prostu tego nie wiedziałem, że to, co się robi albo czego się nie robi, może być wynikiem nie tylko chwili, pokus i sytuacji, lecz także głupich żenujących powodów, przypadkowych zbędnych myśli, wątpliwości albo kaprysu, albo jakiegoś niemądrego porywu, niewczesnych skojarzeń i na pół ślepego zapomnienia albo kapryśnych wspomnień, słów, które cię potępiają, lub gestu, który cię ocala.

I oto nazajutrz – dzień groził deszczem – szedłem sobie z pożyczonym pistoletem w kieszeni prochowca, gotów zrobić coś ostatecznego i wiedząc tylko w przybliżeniu, niedokładnie, co miałoby to być i co chcę załatwić: trzeba było pozbyć się Custardoya albo uwolnić się od niego, albo usunąć go z kadru, nie tyle z mojego, bo moje życie było wówczas ledwie kleksem, a może mało precyzyjnym szkicem – „Jesteś bardzo samotny tam, w Londynie”, jak mawiał Wheeler – ile sprzed oczu Luisy i dzieci, bo to w ich życie wciskał się ów groźny typ i możliwe, że był już o krok od tego, aby zadomowić się w nim na długo, a w każdym razie na dostatecznie długo, by sprowadzić na nich chorobę lub niebezpieczeństwo. Właściwie już sprowadził, zbyt długo już się czaił albo krążył wokół i starał się dostać na wspólne zdjęcie czy do wspólnego kadru, podniósł rękę na Luisę i podbił jej oko, i rozciął jej twarz albo zrobił szramę, o rozcięciu mi opowiadano,

podbite oko sam widziałem, i nic go nie powstrzyma przed zaciśnięciem wielkich łapsk na jej szyi – tych jego palców jak u pianisty, a może raczej jak klawisze fortepianu – pewnej deszczowej nocy, kiedyś, gdy będą w domu, gdy już ją ujarzmi i odseparuje, i zdąży narzucić jej po trochu swoje wymagania i zakazy pod maską czułości, słabości, zazdrości, pochlebstw i próśb, toksyczny despota, dewiant. Teraz widziałem wyraźnie, że nie chcę mieć tego szczęścia ani nieszczęścia (szczęścia, dopóki będzie pozostawało fantasmagorią, nieszczęścia, gdyby miało stać się rzeczywistością), żeby Luisa umarła albo żeby ją zabito, że nie mogę na to pozwolić, bo gdy raz wydarzy się prawdziwe nieszczęście, nie ma już powrotu i nie można odwrócić biegu spraw, i w przeciwieństwie do tego, co sądzi większość ludzi, nie można tego nawet wynagrodzić (i nie ma oczywiście sposobu, by wynagrodzić to zmarłemu, a może i tym, których pozostawił przy życiu, a przecież dzisiaj ci pozostali przy życiu tak często proszą o pieniądze, wyznaczając tym samym cenę na ludzi, którzy już nie stąpają po ziemi ani nie przemierzają świata).

Idąc, nie mogłem się powstrzymać, by nie dotykać pistoletu, a nawet go chwytalem, jakby przyzywała mnie kolba albo jakbym chciał przywyknąć do ciężaru i dotyku broni, i do trzymania jej w ręku, chwilami unosiłem go trochę ku górze, cały czas w kieszeni, a ilekroć brałem go w dłoń, bardzo uważałem, by trzymać palec na osłonie spustu, nie na języczku, zgodnie z tym, co radził Miguelín, nawet gdy broń nie będzie nabita. Jak już ma się taki pistolet, myślałem, zrobienie z niego użytku musi być bardzo łatwe. A raczej pewnie trudno go nie użyć choćby po to, żeby wycelować i napędzić strachu, i żeby się z nim pokazać. Strzelić byłoby dużo trudniej, to pewne, ale z drugiej strony aż się prosi, żeby nim pomachać, i chyba trudno nie ulec pokusie. Prawdopodobnie kobiety bardziej potrafiłyby się jej oprzeć, ale dla mężczyzny to taka pociągająca zabawka, nigdy nie powinno się dawać broni mężczyznom, a przecież ta produkowana,

dziedziczona albo istniejąca w większości trafi w nasze ręce, bardzo rzadko w ręce dużo ostrożniejszych kobiet. Miałem też pełne pychy poczucie swego rodzaju niezniszczalności, a przynajmniej myślałem sobie, mijając ludzi na ulicy: „Jestem teraz bardziej niebezpieczny niż oni i nawet tego nie wiedzą, gdyby ktoś zaczął mnie nagabywać albo spróbował napaść, mógłby się najeść strachu na widok pistoletu, pewnie od razu położyłby uszy po sobie albo odrzucił nóż i wziął nogi za pas”, i przypomniała mi się moja chwilowa pycha, gdy uświadomiłem sobie, że niechcący napędziłem strachu De la Garzy u niego w gabinecie („Pewnie jest pan z siebie zadowolony: narobił w gacie ze strachu”, powiedział do mnie potem profesor Rico bez krygowania się i bez onomatopei). I przypomniałem sobie, że zaraz potem poczułem odrazę, że coś takiego mogło mi pochlebić, uznałem, że to nie jest mnie godne, mnie takiego, jaki wtedy i wcześniej byłem, mojej teraźniejszej i przeszłej twarzy, obie pewnie zmieniały się wraz z nadchodzącym jutrem, które już nadeszło. „*Presume not that I am the thing I was*. Nie myśl, że jestem, kim niedawno byłem”, idąc, przywołałem w duchu ten cytat. „*I have turn'd away my former self*”. Pożegnałem się z moim dawnym ja albo odwróciłem się do niego plecami, albo wyrzekłem się go. „Kiedy usłyszysz, że jestem, kim byłem, Powrócisz do mnie i będziesz, kim byłeś, Rozpusty mojej stróżem, karmicielem; Lecz dziś pod karą śmierci cię wyganiam”. Tak mówił król Henryk V krótko po koronacji, na wiele lat przed tym, nim przyłączył się incognito do swych żołnierzy pewnej nocy, w przeddzień bitwy pod Azincourt, mając wszystko przeciw sobie i ryzykując, że zostanie źle osądzony albo jak mówi jeden z żołnierzy, nie wiedząc, że zwraca się do swego króla, że będzie musiał zdać ciężki rachunek, jeśli jego wojna nie jest dobrą sprawą. Tamte słowa zabrzmiały zaskakująco w ustach człowieka, który jeszcze chwilę wcześniej był księciem Halem, rozpustnikiem, hulaką i złym synem, szczególnie że zwracał się do niedawnego kompana swych hulank, starego już Falstaffa,

i tym razem zaprzeczał: „*I know thee not, old man*. Nie znam cię, starcze”, bo wystarczy tych kilka słów, żeby wyrzec się wszystkiego, co wcześniej stanowiło życie, ekscesów, braku skrupułów, skandalicznego zachowania i awantur, burdeli i pijatyk, i nieodłącznych przyjaciół, choćby zwracali się do nas błagalnie, jak zwracał się Falstaff do swego ukochanego księcia Hala, który dopiero co porzucił to imię, by bezpowrotnie stać się surowym królem Henrykiem: „*My sweet boy*. Słodkie moje chłopię”. Ale słowa, jak tamte, nie służą tylko poprawie i porzuceniu życia rozpustnego czy też życia *roué avant la lettre*, życia birbanta albo swawolnika, lecz równie dobrze mogą zapowiadać inne ścieżki, inne zwroty lub metamorfozy: ja też mogłem powiedzieć w myślach Luisie i Custardoyowi, i sobie, idąc: „Nie myśl, że jestem, kim byłem. Pożegnałem się z moim dawnym ja. Mam przy sobie pistolet i przedstawiam sobą niebezpieczeństwo, już nie jestem tym, kto nigdy świadomie nie wzbudzał w nikim strachu; jak Jagon nie jestem już tym, kim jestem, albo zaczynam nim nie być”.

Wróciłem na swój posterunek, tam, gdzie stałem dwa dni wcześniej, na szczycie krótkich podwójnych schodów prowadzących do potwornej katedry, tyłem do papieskiego pomnika, jakby zawsze gotowego ruszyć w tany, i krążyłem między owym miejscem i innym, pobliskim, przy metalowym ogrodzeniu i na lewo od sklepu, w którym z niezrozumiałych przyczyn sprzedawano jako *souvenirs* miniatury tego szkaradzieństwa, miejsca były od siebie oddalone o kilka kroków, z jednego i drugiego miałem widok na cztery narożniki skrzyżowania calle Mayor i calle de Bailén, a także na drewnianą zdobioną bramę wejściową kamienicy znajdującą się dokładnie na wprost tego drugiego punktu obserwacyjnego, aczkolwiek trochę poniżej, Custardoy musiał pojawić się w moim polu widzenia niezależnie od kierunku, z jakiego miał nadejść, ale byłem przekonany, że nadejdzie tą samą drogą co wtedy, gdy go śledziłem, szczególnie jeżeli znowu był w Prado, bardzo możliwe, że nie skończył

notatek i szkiców czterech twarzy z obrazu Parmigianina, każdej spoglądającej w innym kierunku, albo możliwe, że przy kolejnej wizycie studiował twarz męża i ojca, twarz hrabiego oddzielonego od rodziny i odosobnionego, jak ja, albo że musiał obejrzeć inne obrazy z powodu jakichś innych zleceń lub projektów. A jeżeli owego ranka nie wyszedł z domu, to przed obiadem zajdzie prawdopodobnie do El Anciano Rey de los Vinos na piwo i *patatas bravas* (nic dziwnego, że pożegnał się ze szczupłą sylwetką w pasie), tam też bym go dostrzegł przy stoliku, gdyby znowu usiadł. Tak czy inaczej widziałbym go, jak wchodzi do domu i jak wychodzi z domu, i starczyłoby mi czasu, by zejść po schodach, przejść na drugą stronę ulicy – mały był ruch na tym odcinku – i dopaść go przy wejściu, przy otwieraniu bramy. Początkowo zdziwiłem się, widząc, że brama po raz pierwszy jest otwarta, wywnioskowałem, że musi tam być jednak portier, a to znaczyło, że mogłem natknąć się na problem, czyli na świadka. Po kilku wszakże minutach z bramy wyszedł jakiś mężczyzna i zamknął ją (najwidoczniej jadał obiad o wczesnej porze), co mnie uspokoiło, bo tych kilka sekund, których będzie potrzebował Custardoy, żeby włożyć klucz do zamka, przekręcić go i popchnąć albo pociągnąć bramę, a potem popchnąć ją ręką już od wewnątrz albo pociągnąć za sobą z zewnątrz, mogło się okazać bardzo dla mnie ważnych, mój zamysł bowiem sprowadzał się do tego, by nie udało mu się doprowadzić do końca żadnego z tych działań. Ufałem, że nie nadejdzie ani nie będzie wychodził w towarzystwie, szczególnie w towarzystwie Luisy. Więcej jej nie zobaczysz, pomyślałem, chyba że dzisiaj już jesteście razem, to ciekawe, że zwracamy się w myślach do ludzi, którym źle życzymy albo którym zamierzamy zrobić krzywdę, i zawsze per ty, jakby to, co chcemy im zrobić, nie szło w parze z szacunkiem albo jakby wszelki szacunek wydawał nam się czystą hipokryzją w świetle naszych planów.

Czekałem. Czekałem. Czekałem. Chodziłem tam i z powrotem, chodziłem do schodów albo do ogrodzenia, omiatałem wzrokiem cztery narożniki i osiem chodników, Custardoy mógł nadejść od strony wiaduktu albo przejść poniżej mnie, tuż przy katedrze albo tuż przy murze, mógł nadejść od strony Instituto Italiano albo wejść pod górę calle Cuesta de la Vega od strony parku Atenas, zaciskałem dłoń na pistolecie ukrytym głęboko w kieszeni i chwilami czułem, jak ogarnia mnie zdenerwowanie, miałem dobry widok na całą okolicę, ale było za wiele frontów i nieustannie musiałem zmieniać punkt obserwacyjny, zauważyłem, że jacyś nabożnisie zaczęli przyglądać mi się zaintrygowani – nie wyglądali na Hiszpanów, może byli Litwinami, a prawdopodobnie Polakami jak ich dawny szef – i co gorsza naśladować moje krążenie z jednego miejsca w drugie, jakby się bali, że coś im przejdzie koło nosa, jeśli tego nie zrobią, mimetyzm wśród ludzi to dziś istna międzynarodowa plaga, poczułem się trochę osaczony i pomyślałem, że najchętniej bym stamtąd czmychnął. Wtedy go dostrzegłem, zobaczyłem, jak Custardoy nadchodzi calle Mayor po stronie, gdzie mieści się Capitanía General i Rada Państwa, to znaczy po swojej stronie, tej, gdzie znajdował się jego dom, warsztat albo pracownia. Wytrzymałem jeszcze, jeszcze się nie ruszyłem, czekałem, aż dojdzie do światła na skrzyżowaniu, na wypadek gdyby miał przejść na drugą stronę i zrobić sobie przystanek w ogródku baru, chociaż dzień był pochmurny i nie zapraszał do siedzenia na świeżym powietrzu. On także miał na sobie prochowiec, dobrej jakości, czarny i bardzo długi, niemal jak długi fartuch, i ten płaszcz w połączeniu z innym tego dnia kapeluszem, w typie stetsona, ale z szerszym rondem i w kolorze kremowym albo białym, podobnym do noszonych przez Toma Mixa na starych niemych filmach (facet naprawdę musiał być walnięty), sprawiały, że wyglądał trochę jak postać z Dzikiego Zachodu, pasowałoby dziś do siebie on i jego przyjaciółka, żeńskie wydanie Daniela Boone’a albo Jima Bowiego. Na szczęście był sam, siedł swoim



energicznym krokiem, tnąc powietrze połami płaszcza, a pewnie i swoim kucykiem, ten krok nie był mniej zdecydowany niż mój chwilę wcześniej, ale ja miałem przy sobie llamę. Nie będzie łatwo rzucić go na kolana, pomyślałem, nie będzie łatwo go złamać ani nawet go zabić. Poza tym musi mieć w sobie siłę biorącą się z czystej energii i z niecierpliwości, i z ochoty, żeby się rozdzielić, jest pewnie przyzwyczajony do spędzania długich godzin sam na sam ze swymi pędzlami, skoncentrowany i wyciszony, skupiony na małych szczegółach i ze wzrokiem utkwionym w płótnie, które kopiuje na inne płótno tak, by sprawiało wrażenie oryginalnego, a kiedy wreszcie wstaje od pracy albo otwiera drzwi i wychodzi z domu, musi mieć w sobie wielkie napięcie i być jak wulkan. Tak, on z pewnością nie będzie o nic zebrał, lecz zacznie walczyć, to nie jest potulny ani strachliwy typ, pewne jedynie jest to, że muszę napędzić mu strachu większego, niż on postara się napędzić mnie, on nie zastygnie jak sparaliżowany z szyją wciśniętą w ramiona i zaciśniętymi oczyma jak De la Garza, a ja też nie jestem Tuprą, który wygląda na takiego, co potrafi napędzić strachu każdemu i kiedy tylko zechce, nie jestem też oczywiście żadnym z braci Krayów, o których Tupra mi opowiedział, a sam nauczył się od nich, na czym polega siła rażenia miecza, tych samych braci Krayów, którym wedle Reresby'ego współwięzień z celi udzielił nadzwyczaj skondensowanej porady na temat tego, jak w życiu osiągnąć wszystko, co się chce: „Wiecie, tam na zewnątrz są ludzie, dużo ludzi, którzy nie lubią, jak się im wyrządza krzywdę. Ani im, ani ich własności. I słuchajcie, ci ludzie, co to nie lubią, żeby ich krzywdzić, płacą innym ludziom, żeby ich nie krzywdzili. Wiecie, o czym mówię, prawda? Jasne, że wiecie. Dobra, kiedy stąd wyjdziecie, chłopcy, miejcie oczy szeroko otwarte, czatujcie na ludzi, którzy nie lubią, żeby im robić krzywdę. Bo nawet ja, chłopcy, robię przy was w gacie ze strachu. Coś wspaniałego”. „*Cos you scare the shit out of me, boys. Wonderful*”, tak po angielsku powiedział te ostatnie słowa Tupra, myślałem

nadal, przypominałem sobie, powiedział z udawanym akcentem, a może był to jego prawdziwy akcent, w swoim zaparkowanym szybkim samochodzie, w księżycowym świetle ulicznych latarni, siedząc po mojej prawej stronie z dłońmi wciąż jeszcze na nieruchomej kierownicy, ściskającymi ją albo zaciskającymi się na niej, już bez rękawiczek, ja natomiast mam je od chwili, gdy wyszedłem z hotelu, i nie zamierzam ich zdjąć, dopóki tam nie wrócę, wcześniej pozbywszy się Custardoya z kadru albo dokonawszy czynu. „To jest właśnie to, Jack. Strach”, dodał Tupra, nim zaczął nalegać, bym pojechał z nim do niego do domu i obejrzał kilka nagrań, które nie są przeznaczone dla każdego, a pokazawszy mi te nagrania, ponownie zapytał: „Powiedz mi teraz: dlaczego według ciebie nie można bić i zabijać ludzi? Dopiero co widziałeś, jak często się to robi, wszędzie, czasem z wielką łatwością i beztrosko. Wy tłumacz mi zatem, dlaczego nie można?”. A ja tak długo zwlekałem, nim odpowiedziałem, nim powiedziałem coś, co w ogóle nie było żadną odpowiedzią.

Pospiesznie zszedłem po schodach, o mało nie zderzyłem się z jakąś nabożną kobietą, a raczej o mało jej nie zdeptałem, Custardoy nie kierował się do baru, lecz do swojej pracowni, poszedł na wprost i zatrzymał się na światłach przy calle de Bailén, a ja już wiedziałem, że kiedy zapali mu się zielone, będzie miał do zrobienia tylko czterdzieści dziewięć kroków, by dojść do bramy wejściowej swojej kamienicy, i tam właśnie powinniśmy się spotkać, nie wcześniej, a przede wszystkim nie potem, bo potem brama się zamknie, on będzie wewnątrz, a ja na zewnątrz. Zaryzykowałem i przebiegłem przez ulicę, korzystając z tego, że nic nie jedzie; byłem już po jego stronie, zobaczyłem, jak rusza przed siebie, gdy zatrzymały się samochody, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć (kroków), przystanąłem na chwilę, kryjąc się za drzewem, choć nie było grube, mając nadzieję, że nie zobaczy mnie przed włożeniem klucza do zamka, w każdym razie byłoby to kilka sekund, lepiej, żeby nie widział mnie także w chwili, gdy będzie klucz

wkładał, lepiej, bym trzymał się z tyłu jak najdłużej i żeby on przestraszył się jeszcze bardziej, nie wiedząc, kto go atakuje, nie widząc twarzy tego kogoś, czyli nie widząc mojej twarzy, żeby mógł zadawać sobie pytanie, czy chodzi o szybki napad w bramie wejściowej czy raczej o trwające dłużej obrabowanie całego mieszkania, czy może o błyskawiczne i zawsze ciągnące się w nieskończoność porwanie w stylu meksykańskim, czy jestem sam czy jest nas wielu, czy jesteśmy biali, miedziani czy czarni (mimo że nasi Czarni rzadko napadają), czy może chodzi o niespodziewane porachunki, późną zemstę kogoś, kogo nawet nie pamięta, w pewnym sensie to był właśnie mój przypadek, pewnie nie pamiętał nawet, że Luisa ma albo miała męża, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć i w chwili, gdy włożył klucz i drzwi się otworzyły, przystawiłem mu do pleców pistolet, nie wyjmując go z kieszeni (w ten sposób nie będzie wiedział, czy jest odbezpieczony, nawet jeśli się nagle odwróci, nie, nie zrobił tego, jasne, że pistolet nie był odbezpieczony, a palec spoczywał na osłonie spustu, zachowywałem ostrożność), lecz mocno naciskając lufą na kręgosłup, żeby nie miał żadnych wątpliwości co to za broń i żeby dobrze ją poczuł.

– Do środka i ani słowa – szepnąłem mu w kark z tym zwisającym głupim pretensjonalnym kucykiem, zanadto się zbliżyłem i wydał mi się wstrętny.

Drzwi były już uchylone, wszedł, weszliśmy obaj przyklejeni do siebie, pchnąłem drzwi za sobą wolną ręką, żeby się zamknęły. Teraz już wiedział, że jestem sam.

– Co to za wygłupy? – powiedział. – To jakiś żart? – Jeszcze się nie przestraszył, może nie starczyło mu czasu, a może taki miał charakter. Ton głosu miał lekko bezczelny, a przynajmniej zuchwały, na pewno bez cienia niepokoju. Nie tak łatwo go przekonać, żeby mnie wziął na serio, nie jest strachliwy, przeleciało mi przez głowę. Niedobry początek.

– Żaden żart i masz się zamknąć. Idziemy na górę, do ciebie, schodami. Powolutku i spokojnie, ale bez zatrzymywania się. Jeśli pojawi się jakiś sąsiad, jesteśmy razem. Zdejmij kapelusz i trzymaj go obiema rękami. I niech ci nie wypadną klucze, możesz trzymać jedno i drugie. – Tego dnia nie miał ze sobą teczki, może nie wracał z Prado. Wciąż mówiłem wprost w jego kark, możliwe, że Luisa go tam całowała, czułem zapach jego włosów, czymś pachniały, to nie był przykry zapach, pewnie mył je codziennie. Zrobił, co kazałem, zdjął ten śmieszny kapelusz. Teraz już musiał wiedzieć, że jestem tutejszy, nie z Europy Wschodniej, nie z Maghrebu ani z Ameryki Południowej, nie miałem albańskiego ani ukraińskiego akcentu, ani arabskiego, kolumbijskiego czy ekwadorskiego, nie przyszło mi do głowy, żeby udąć inny akcent albo ukryć własny, powiedziałem już dostatecznie dużo, żeby bez pudła rozpoznał we mnie Hiszpana, wiedział zatem, że jestem biały, jak krótko daje się coś ukryć, nie pomyślałem też, żeby odezwać się do niego na przykład po angielsku, w języku, w którym przyzwyczailem się mówić. – Nie chcesz chyba, żebym ci umieścił kulkę w kręgosłupie? Idziemy. – Teraz dowiedział się w dodatku, że jestem w miarę wyedukowaną osobą. Nie każdy użyłby słowa „umieszczać”.

– Chwileczkę, jeżeli chodzi o kasę, można porozmawiać i dojść do porozumienia. Nie trzeba wchodzić na górę i nie musi pan przystawiać mi cały czas tej lufy. Ani mówić do mnie takim tonem.

Teraz jego ton nie był już taki wyniosły, ale nie było też w nim strachu. Zwracał się do mnie „pan”, ale w tym wypadku nie chodziło o grzeczność, lecz o zachowanie dystansu. Ja mówiłem do niego „ty”, on do mnie nie, starając się tym zmanifestować swoją wyższość mimo sytuacji ewidentnej niższości, to ja miałem pistolet, ja miałem czasomierz jak Śmierć na obrazie. Nie ciągnąłem go, jak robił półszkielet Kawalera Śmierci, który uchwycił starą kobietę pod ramię, znajdowałem się jednak za nim

i popychałem go, co spowodowało się do tego samego, to ja byłem panem czasu i kierowałem go na górę, on, rozmawiając ze mną, starał się zatrzymać piasek albo wodę w klepsydrze, wielu próbuje uzyskać odroczenie i tak się uratować, zamiast siedzieć cicho. Nie porzucił jeszcze do końca swej wyniosłości, na co wskazywało ostatnie zdanie, zanim mu przerwałem: „Ani mówić do mnie takim tonem”. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Proszę nie podnosić na mnie głosu”, tylko że to nie miałyby sensu, bo przecież mówiłem do niego szeptem.

Wtedy wyjąłem na chwilę broń z kieszeni i szturchnąłem go mocno w prawy bok łufą llamy, jakbym wymierzał mu policzek, tyle że uderzyłem w żebra i pistoletem, nie w twarz ani nie dłonią, tak było dużo ciszej, poza tym uderzyłem przez płaszcz. Zachwiał się lekko, ale nie upadł. Nie wypuścił z rąk kapelusza, lecz upuścił klucze.

– Cicho bądź, ile razy mam powtarzać? Podnieś klucze i idź dalej. – Powiedziałem to tym samym spokojnym szeptem, który wzbudza większy strach niż krzyk, tak uważam. Zdziwiłem się, że bez problemu go uderzyłem i że nie bałem się zrobić tego nabitą bronią, kto nie jest przyzwyczajony używać broni, zawsze się boi, że ta zniecka wypali, choćby obchodził się z nią bardzo ostrożnie. W moim przypadku przeważyło, jak sądzę, przekonanie, że muszę go nastraszyć, albo zirytowało mnie jego ostatnie zdanie, albo wcześniejsze słowo „wygłupy”, albo przypomniałem sobie oko Luisy w tysiącu powoli zmieniających się kolorów, co chwilę przywoływałem w pamięci ten obraz, był mi potrzebny, uzbierał mnie w argumenty i wywoływał zimną furję, umacniał w postanowieniu. Nie zaszkodzi, żeby Custardoy poczuł ból, trochę bólu, teraz instynktownie dotknął dłonią boku i potarł go, ale ja natychmiast powiedziałem: – Ręce na kapeluszu. – Któż nie odczuwa przyjemności, wydając polecenia, które muszą zostać wykonane? Z tego również zdałem sobie sprawę. Części mego umysłu wcale się nie podobało, że to mi sprawia

przyjemność, ale nie miałem wtedy głowy, żeby się tym przejmować, reszta umysłu była już bardzo zajęta, miałem sprawę do załatwienia, nie można było zostawić jej niedokończonych, tym bardziej że już rozpocząłem.

Ruszyliśmy dalej, jeden stopień za drugim dziarskim krokiem, ja niemal przyklejony do niego i chwytając go za kucyk przy nawrotach, żeby nie mógł wykorzystać tej sekundy, gdy nie celuję w niego na wprost, i nie rzucił się biegiem do góry i zamknął w swoim mieszkaniu, zakładając, że poszłoby mu szybko z kluczem (nie dałby rady, nie ma mowy, wołałem jednak, żeby nawet nie próbował), to chwytanie za włosy musiał odczuwać jako upokorzenie, nie ciągnąłem go jednak za ten kucyk, chociaż mogłem to robić. Mieliśmy szczęście, to znaczy ja miałem, a on nie, bo weszliśmy na trzecie piętro, nie natknąwszy się po drodze na nikogo, to było jedno z tych pięter z balkonami.

– To tu – powiedział, zatrzymując się przed swoimi drzwiami. – Co teraz?

– Otwieraj. – Tak też zrobił, miał dwa klucze, jeden otwierał zasuwę, drugi, krótszy, zamek na dole. – Do dużego pokoju, idź przodem. Tylko żadnych dziwnych ruchów. Pamiętaj o kręgosłupie. – Czułem, jak lufa pistoletu napiera centralnie na jego kości, po wejściu do środka przystawiłem ją wyżej, na wysokości pierwszego kręgu szyjnego, pistolet wyjąłem już z kieszeni, zamykając za sobą drzwi.

Krótkim korytarzem przeszliśmy do przestronnego salonu albo pracowni z dobrym oświetleniem mimo pochmurnego nieba. (Tu bywa Luisa, pomyślałem od razu, dobrze musi znać tę przestrzeń). Potem zobaczyłem obrazy na podłodze odwrócone przodem do ściany, stojące ciasno jeden za drugim, jakby w szeregach po trzy albo cztery, możliwe, że niektóre płótna nie były jeszcze namalowane, były czyste. Albo dostawał dużo zamówień na obrazy, albo sporządzał wiele kopii, nim namalował wreszcie tę ostateczną; bo na pewno był wziętym kopistą i dużo sprzedawał, w pokoju,

wśród ogólnego rozgardiaszu, widać było dobre meble i zamożność, a nawet luksus, poczułem ukłucie zazdrości na widok kominka. Kilka obrazów wisiało na ścianach, te oczywiście przodem, z pewnością nie wyszły spod jego pędzla, chociaż kto wie, skoro sporządzał tak znakomite kopie, na pierwszy rzut oka miałem wrażenie, że rozpoznaję małego Meissoniera, mężczyznę palącego fajkę, i większy portret Mané Katza albo kogoś w tym stylu, jakiegoś Rosjanina albo Ukraińca bywałego w Paryżu (jeśli były oryginalne, musiały słono kosztować, aczkolwiek nie tak dużo jak obrazy w domu Tupry). Zauważyłem sztalugi, płótno na nich również stało odwrócone tyłem, możliwe, że gdy Custardoy robił sobie przerwę, usuwał z pola widzenia to, nad czym aktualnie pracował, żeby nie musieć przyglądać się temu w chwilach odpoczynku, może był to portret hrabiny i jej czterech synów, za którego kopiowanie już się zabrał. Gdybym chciał, mógłbym obejrzeć ten obraz, byłem panem czasu i wszystkiego. Ale nie obejrzałem, byłem zajęty.

Nadszedł czas, żeby się odwrócić, a zatem żeby ujrzeć moją twarz. Nie wiedziałem, czy się zorientuje, że gdzieś już mnie wcześniej widział, w Prado, podczas wspólnej drogi, na zdjęciach, które mogła mu pokazać Luisa, ludzie są bardzo skorzy do pokazywania starych fotografii, jakby chcieli, by znało się ich wcześniej, niż się ich poznaje, tak dzieje się szczególnie między kochankami, „To byłem ja – zdaje się mówić jedno do drugiego – takiego też byś mnie kochała? A jeżeli tak, to gdzie wtedy byłaś?”. Zanim pozwoliłem mu się odwrócić i kazałem usiąść, poczułem lekką konsternację. Co ja tu robię z tym pistoletem w ręku? pomyślałem i do razu sobie odpowiedziałem: Nie, to wcale nie powinno mnie dziwić. Jest po temu dobry powód, a może i konieczność: zamierzam ocalić Luisę przed nieszczęściem, przed zagrożeniem i przed złym życiem w przyszłości, zamierzam doprowadzić do tego, by mogła spokojnie odetchnąć i nocą sypiać bez lęku, zamierzam nie dopuścić, by moje dzieci

cierpiały i działa im się krzywda, żeby ktoś jej zadawał ból, a raczej krzywdził ją jeszcze bardziej albo ją zabił; i gdy sobie to mówiłem, przyszedł mi na myśl inny cytat, słowa wypowiedane przez ducha kobiety, lady Anny, co tyle wycierpiała w „pełnej smutku łóżnicy” swego drugiego męża, okrutnego Ryszarda III, który zasztyletował jej pierwszego męża w Tewkesbury, „*in my angry mood*”, jak kiedyś powiedział morderca, czyli „w szale wściekłości i gniewu”; Anna po śmierci rzuciła na niego przekleństwo na polu pod Bosworth o świcie, gdy było już zbyt późno, by uniknąć bitwy, przysłała do niego we śnie i wyszeptwała: „Twa żona Anna, żona twa nieszczęsna, co chwili z tobą nie spała spokojnie, powraca dzisiaj, by sen twój zakłócić. Jutro w czas bitwy o mnie myśl, Ryszardzie, i niech miecz stępiony wypadnie z twej ręki! Rozpaczaj i giń!”. Nie mogłem dopuścić, by przydarzyło się to Luisie, by nigdy nie spała spokojnie z Custardoyem, jeżeli to on zajmie kiedyś moją poduszkę i moje jeszcze ciepłe albo już wystygłe miejsce w łóżku, ja byłem pierwszym mężem, ale mnie nikt nie miał zasztyletować w szale wściekłości i gniewu ani wykopać mi jeszcze głębszego grobu niż ten, w którym już byłem pogrzebany, pamięć o mnie została wymazana wraz z pierwszym przerażeniem i pierwszym błaganiem, i pierwszym rozkazem, cały ja zmieniony w zatruty cień, który żegna się powoli, gdy ja się rozpląwam i trwam przemieniony w Londynie, wygnany z jej czasu i z czasu dzieci (ja głupi, ja nieistotny, ja głupi i lekkomyślny, i łatwowierny). Nie, ani ona nie jest jeszcze wdową, ani ja godnym żałoby nieboszczykiem, pomyślałem, a skoro nim nie jestem, nie można mnie tak szybko zastąpić, podobnie jak nie znikają od razu plamy krwi i trzeba je trzeć i czyścić uporczywie i umyślnie, a i tak się zdaje, że nigdy nie zniknie ich obwódka, to, co najtrudniej zmyć albo co najdłużej nie schodzi – szept, gorączka, zadraśnięcie. Ona z pewnością nie pragnie ani nie ma zamiaru tego zrobić, ale poczuje się zmuszona powiedzieć swemu obecnemu albo przyszłemu kochankowi, albo sobie:



„Jeszcze nie, kochany, czekaj, zaczekaj, jeszcze nie nadeszła twoja chwila, nie zepsuj wszystkiego, daj mi trochę czasu i daj go trochę zmarłemu, daj mu jego czas, który już nie biegnie, daj mu go trochę, niech się rozpułynie, pozwól, żeby stał się duchem, nim zajmiesz jego miejsce i wygnasz jego ciało, pozwól mu obrócić się w nicość i zaczekaj, aż jego zapach ulotni się z pościeli i z mego ciała, zaczekaj, żeby nie było już tego, co było”. Ale ja wciąż jestem, a zatem to pewne, że byłem i w stosunku do mnie nikt jeszcze nie może powiedzieć: „Nie, tego nie ma, nigdy nie było, nie przemierzyło świata, nie postawiło stopy na ziemi, nie istniało i nigdy się nie zdarzyło”. Poza tym to ja mogę teraz zabić tego drugiego męża w szale wściekłości i gniewu, w rękawiczkach. W dłoni trzymam pistolet, jest naładowany, musiałbym go tylko odbezpieczyć i nacisnąć spust, a ten mężczyzna wciąż jeszcze stoi do mnie tyłem, nie zobaczyłby nawet mojej twarzy ani dziś, ani jutro, ani nigdy, aż dopiero na Sądzie Ostatecznym, jeżeli w ogóle takowy będzie.

Prawdę mówiąc, nie miało znaczenia, czy zobaczy moją twarz czy nie, bo tak czy inaczej zamierzałem rozmawiać z nim o Luisie, więc i tak od razu rozpozna, kim jestem, bez cienia wątpliwości, a ponadto ona prawdopodobnie wspomniała mu o moim niespodziewanym pojawieniu się w mieście po tylu miesiącach, do tej pory już mu najpewniej przyszło do głowy, że na muszce musi go trzymać ten przeklęty mąż idiota, co za nudziarz z tego męża, jakiś kretyn i pomyleniec, po co się pakuje tam, gdzie go nie proszą. Chyba że to mnie nie wyjdzie na zdrowie, gdy zobaczę jego twarz i oczy, jego spojrzenie, pomyślałem, gdy zamienię z nim więcej słów niż te, które padły przy bramie wejściowej, tamte były obojętne i nie osobiste, to były zwykłe bezosobowe polecenia. Mówi się, że zbir od brudnej roboty unika patrzenia swoim ofiarom w oczy, że tylko takie spojrzenie może obudzić w nim wątpliwości i nie pozwolić mu na podejrzenie gardła albo strzał, a przynajmniej może to odwlec i dać tej drugiej stronie czas na powiedzenie czegoś albo podjęcie próby obrony, tylko to może udaremnić jego zamiar i spowodować, że chybi celu, może najlepiej zakończyć to od razu, idąc za radą Tupry, nie ociągać się ani nie zwlekać, niczego nie tłumaczyć ani niczego nie być ciekawym, tak jak Reresby niczego nie tłumaczył De la Garzy, nie czekać nawet, żeby się odwrócił, kulka w łeb i po wszystkim, żegnaj, Custardoy, won z kadru, raz, a dobrze, nieodwołalnie, co się stało, to się nie odstanie jak w przypadku każdego dokonanego już czynu, jeżeli zacznę z nim rozmawiać i spojrzę mu w twarz, będzie mi trudniej i zacznę go poznawać, i dla mnie też stanie się kimś, tak jak stał się dla Luisy, dla niej jest kimś ważnym, pewnie boi się go i jest mu oddana równocześnie, może powinienem go zobaczyć i posłuchać, żeby mieć o tym jakieś wyobrażenie, nie mogę mieć większych aspiracji,

bo nigdy się przecież nie dowiem, jak ona na niego patrzy, to moje wieczne przekleństwo...

W gruncie rzeczy nie wiedziałem jednak, co wypadało mi zrobić, żeby się upewnić, *to just deal with him* i *make sure he was out of the picture*, jak mi poradził pogardliwy Tupra, śmiejąc się paternalistycznie, szkoda, że nie wyraził się jaśniej, albo szkoda, że nie jestem dwujęzyczny i nie zrozumiałem go z absolutną dokładnością, prawdopodobnie takie niemożliwe do rozstrzygnięcia dwuznaczności występują we wszystkich językach. „Jeżeli naprawdę nie wiesz jak, Jack, to znaczy, że nie możesz tego zrobić”. Nie wiedziałem jak, faktycznie, ale już tkwiłem w tym po uszy. Nie mogłem ot, tak strzelić Custardoyowi w plecy i położyć go trupem, nie, jeśli nie pogrążę się wcześniej w szale wściekłości i gniewu i nie nabiorę większej pewności, Luisa zaprzeczyła w rozmowie ze mną i ze swoją siostrą, jakoby to on ją uderzył, ja nie widziałem samego czynu, lecz jedynie jego skutki, a to nie wystarczyłoby przed sądem, by dowieść jego winy. Ale nie jestem w sądzie, pomyślałem, nie o to chodzi, ludzie tacy jak Tupra i Incompara, jak Manolia i wielu innych i jak ci, których widziałem na nagraniach, jak ta kobieta z podwiniętą spódnicą, gdy trzymanym w rękę młotkiem roztrzaskuje komuś czaszkę, kto wie, może nawet jak Pérez Nuix i Wheeler, i Rylands, nikt z nich nie idzie do sądu ani nie zbiera dowodów, wszyscy rozwiązują problemy albo wyrywają je z korzeniami, albo nie dopuszczają, by kiedykolwiek powstały, albo pozbywają się ich, im wystarczy, że wiedzą to, co wiedzą, bo od razu to dostrzegli dzięki swemu darowi albo swemu przekleństwu, mieli odwagę spojrzeć głęboko i dokonać analizy, i sięgnąć myślą dalej niż to konieczne („I co jeszcze? Przecież zaledwie rozpoczęłeś. Kontynuuj, dalej, pospiesz się, wyteż mózgownicę”, tak mówił ojciec do mnie i mego rodzeństwa, gdy byliśmy dziećmi, gdy byliśmy młodzi), i odgadnąć to, co się zdarzy, jeżeli nie podejmą interwencji; dla nich wiedza nie jest czymś nienawistnym jak dla

większości bojaźliwych ludzi w naszych czasach, konfrontują się z nią, antycypują ją i przyswajają, należą zatem do tych, którzy działają bez ostrzeżenia, przynajmniej czasem, podejmują decyzję na odległość na podstawie przesłanek trudnych do określenia dla tego, kto doświadcza skutków tych decyzji, lub dla przypadkowego świadka albo nie czekając, aż pojawi się związek przyczynowo-skutkowy między czynami i przesłankami, a tym bardziej dowód na to, że czyny zostały popełnione. Ci mężczyźni i te kobiety nie potrzebują dowodów, kiedy przypadkowo lub zasadnie, bez ostrzeżenia ani wcześniejszego sygnału dobywają miecza, wtedy nie potrzebują nawet, by czyny, wydarzenia albo fakty już się dokonały. Może wystarcza im, że wiedzą, co mogłoby się zdarzyć, gdyby na świecie nie stosowano przymusu i nie hamowano tego, co oni postrzegają jako niewątpliwe możliwości człowieka, jeśli zaś nieujawnione w całej krasie, to właśnie dlatego, że ktoś – na przykład ja – wybija mu to z głowy albo staje tym możliwościom na przeszkodzie, bo człowiekowi nie braknie do tego ochoty ani ikry, oni to wszystko uważają za pewnik. Może aby przystąpić do wymierzania kary, którą sami uznają za stosowną, muszą tylko przekonać siebie, co zdarzyłoby się w każdym konkretnym przypadku, gdyby oni albo jakiś inny strażnik – władze lub prawo, instynkt, księżyc, strach, niewidzialni wartownicy – tego nie powstrzymał. To oni znają i przyjmują, i czynią własną – niczym drugą skórą – tę nie poddającą się refleksji stanowczą postawę (a może postawę zrodzoną z jednej tylko myśli, tej pierwszej), która również jest częścią takiego świata, niezmiennego zawsze i wszędzie, nie ma więc powodu, by ją podawać w wątpliwość, podobnie jak nie należy podawać w wątpliwość jawy i snu, słuchania i patrzenia ani oddychania i mówienia, ani niczego, o czym wiadomo, że „takie jest i zawsze takie będzie”.

Wydawało się, że jestem taki jak oni, że jestem jednym z nich, że potrafię tak samo przeniknąć i zinterpretować ludzki charakter, zobaczyć, jaka

będzie jutrzejsza twarz człowieka, i opisać to, co jeszcze się nie wydarzyło, i Custardoya przejrzałem na wylot, a nawet bardziej, nie miałem dowodów, ale wiedziałem, że mam rację: był typem niebezpiecznym, uwodzicielskim, agresywnym i potrafił omotać, był nawet zdolny wyrobić w innej osobie uzależnienie od popełnianych przez siebie okropieństw, a nawet od swego braku skrupułów, despotyzmu i lekceważenia, nie mogłem zostawić mu żadnej furtki, dać mu szansy na wytłumaczenie się, zaprzeczenie ani odparcie zarzutów, ani dowodzenie swoich racji, ani przekonywanie mnie, ani nawet mówienie do mnie. Tupra miał rację: „Ja jednak myślę, że dobrze wiesz, jak to zrobić”, powiedział, nim odłożył słuchawkę. „Wszyscy zawsze to wiemy, choćbyśmy nie przywykli do tej myśli. Inna sprawa, że nie potrafimy sobie wyobrazić, że to robimy. To kwestia wyobraźni”. Może polegało to tylko na tym, żebym po raz pierwszy wyobraził sobie siebie jako Kawalera Śmierć, przecież miałem już w ręce pistolet, to była moja klepsydra z piaskiem albo wodą, miałem też nałożone rękawiczki, trzeba było tylko pociągnąć za spust, przenieść palec wskazujący z kabłąka na języczek, a potem nacisnąć, wszystko pozostawało o krok i taka niewielka fizyczna różnica była między jednym i drugim, między zrobieniem i niezrobieniem tego, tak niewielka odległość w przestrzeni... Nie, nie będę potrzebował pewności ani dowodów, jeśli potrafię przekonać siebie, że przynajmniej owego dnia jestem całkowicie i bez reszty wychowankiem szkoły Tupry, ona odpowiada stylowi działania tak wielu ludzi, a może i stylowi świata, ponieważ działanie Tupry nie jest działaniem zapobiegawczym, nie całkiem lub nie wyłącznie, to raczej – w zależności od konkretnego przypadku i osoby – wymierzanie kary lub wyrównywanie rachunków, bo Tupra patrzy i osądza na zimno, nie musi tego robić na gorąco, by posłużyć się tu słowami Don Kichota, gdy ten obwieszcza Sancho Pansie, do jakich szaleństw gotów jest posunąć się dla Dulcyniei, nawet nie przywiedziony do tego żalem ani zazdrością, nie mówiąc już

o tym, co by zrobił, gdyby miał takie powody. A może Tupra rozumie je – te różne przypadki – nawet gdy są niezapisaną jeszcze kartą, może właśnie dlatego kartą czystą na zawsze. Ale jeśli strzelę, moja karta już nie będzie czysta, pomyślałem, a jeśli nie strzelę, też nie będzie całkiem czysta po tym wszystkim i po tym, jak zastanawiałem się, czy strzelić, i jak mierzyłem do niego z pistoletu. Nigdy się nie wyzwalamy od tego, cośmy powiedzieli, nawet kiedy wierzymy, że nasza karta pozostała czysta. A wtedy te sprawy, nawet jeśli nikt o nich nie mówi ani nawet się nie dzieją, nigdy nie mogą pozostać w spokoju. To straszne, pomyślałem. Nie ma na to rady. Nawet jak się o nich nie mówi. I nawet gdy tak naprawdę się nie dzieją. Przyjrzałem się staremu pistoletowi Llama na końcu mej ręki, jak Śmierć na obrazie Baldunga Griena spoglądała uważnie na swoją klepsydrę, na to jedyne, czym się kierowała, nie żywymi ludźmi obok siebie, po co miałyby się nimi kierować, skoro już mogła widzieć ich jutrzejsze twarze? Jakie ma zatem znaczenie, myślałem, że się wydarzą? „Ty i ja tacy będziemy, nie zostawimy po sobie śladu – powiedział do mnie kiedyś Tupra – cokolwiek byśmy zrobili, nikt nie zada sobie trudu, żeby o tym opowiadać ani nawet się tego dowiedzieć”. A poza tym, mówiłem sobie dalej, nadejdzie dzień, kiedy wszystko zostanie zrównane i życia nieodwołalnie nie da się opowiedzieć, dzień, kiedy nikomu nie będzie zależeć na niczym. Ten dzień jeszcze jednak nie nadszedł i byłem ciekaw, i czułem lęk – „*And in short, I was afraid*” – i przede wszystkim miałem czas, by się zastanowić, jak w owym znajomym wierszu, który zapewniał, że taki czas na pewno nadejdzie: „*And indeed there will be time to wonder, Do I dare? and Do I dare? Time to turn back and descend the stair...*”. Czas, żebym pomyślał: „Czy ja się ośmielę? Czy ja się ośmielę?”, wiedząc, że będzie też czas, by się odwrócić i zejść ze schodów, a nawet by zadać sobie to pytanie, które pojawia się trochę dalej w wierszu – „*Do I dare disturb the universe?*” – i którego nikt sobie nie zadaje przed działaniem ani nawet przed

mówieniem, bo wszyscy ośmielają się to robić, ośmielają się niepokoić wszechświat i kłopotać świat swoimi szybkimi języczkami i nędznymi krokami, „*So how should I presume?*”. To właśnie zatrzymało jeszcze mój palec na kabłąku, a rękę powstrzymało przed pociągnięciem za spust, właśnie to się stało, a poza tym wiedziałem, że zawsze będzie czas, żeby palec położyć na spuście i strzelić, odbezpieczywszy wcześniej pistolet jednym ruchem, jak nauczył mnie Miguelín.

– Odwróć się i siadaj tam – powiedziałem do Custardoya i wskazałem mu wolną ręką sofę, na pewno siedzieli na niej z Luisą nie raz i nie dwa, może nawet na niej leżeli. – Ręce połóż na stole, mam je widzieć. – Przed sofą stał niski stolik jak we wszystkich niemal salonach na świecie. – Rozstaw szeroko palce i nie wąż się ruszać.

Custardoy odwrócił się, jak kazałem, i w końcu zobaczyłem jego twarz przed sobą i bez przeszkód, tak jak i on moją. Miał na ustach lekki uśmiech, co wywołało moją irytację, ten długozęby uśmiech rozjaśniał jego ostrą twarz i nadawał jej niemal serdeczny wygląd. Facet robił wrażenie spokojnego, a nawet jakby rozbawionego mimo uderzenia w bok, musiało go to uderzenie zabołec i przestraszyć. Ale wtedy wiedział już prawdopodobnie, kim jestem, choćby intuicyjnie i drogą eliminacji, i może miał własną umiejętność interpretowania wystarczająco dobrą, by mieć pewność, że mąż Luisy do niego nie strzeli, a przynajmniej jeszcze nie, zanim nie porozmawiają. (Ale nikt prawie nie jest na serio przekonany, że do niego strzelą, nawet jak ma przed sobą lufę). Jego wielkie szeroko rozstawione czarne oczy pozbawione niemal rzęs były naprawdę nieprzyjemne, od razu zauważyłem ich łapczywość, gdy otaksowały mnie szybkim spojrzeniem z jakimś – jak by to powiedzieć – zamiarem wzbudzenia we mnie strachu, bardzo dziwnym i niezwykłym w tych okolicznościach. Jego półuśmiech był natomiast absolutnie uprzejmy, jakby Custardoy potrafił być dwoma osobami naraz. Nie rozumiałem, jak może

się podobać Luisie, jakkolwiek miał w sobie jakąś zuchwałość i pospolitość – obsceniczność, szorstkość i chłód – co wiele kobiet pociąga, wiem to i nieraz to widziałem. Nim usiadł, przesunął ręką po wąsach, poprawił sobie kucyk niezawodnie kobiecym gestem, rzucił kapelusz na sofę i zapytał:

– Mogę zapalić papierosa? Jak zapalę, i tak będziesz widział moje ręce, prawda? – Następnie usiadł, starając się nie przygnieść połów płaszcza. Zaczął mówić mi „ty”, co utwierdziło mnie w podejrzeniu, że mnie rozpoznał.

– Dam ci ze swoich – odpowiedziałem, nie chcąc, żeby sięgał ręką do kieszeni. Poczęstowałem go kareliasem, wyjąłem też dla siebie. Zapaliłem je od jednego płomienia i obaj zaciągnęliśmy się równocześnie, przez chwilę sprawialiśmy wrażenie dwóch przyjaciół wciągających pierwszy dymek w milczeniu. Obaj mieliśmy za sobą chwilę strachu, papieros dobrze nam robił. Strach jednak nie minął, jego musiał być naturalnie większy niż mój, koniec końców ja widząc, co robię, przestraszyłem się tylko siebie, a to zawsze kontrolowany i mniejszy strach i można sobie z nim poradzić. Rozmowa, która potem nastąpiła, przebiegała bardzo szybko.

– No dobra, o co ci, kurwa, chodzi? – powiedział Custardoy. – Ty jesteś Jaime, tak? – Użycie przekleństwa wskazywało na pewność siebie i swego rodzaju brak szacunku, chyba że to był jego normalny sposób mówienia (nie miał powodu żywić do mnie szacunku, raczej miał aż nadto powodów, żeby być na mnie zły); wszystko jedno, udawana czy prawdziwa, pomyślałem, że w każdym razie jeszcze go dostatecznie nie nastraszyłem, nie tak, jak mogłem. Usiadłem obok na poręczy fotela, w ten sposób nie tylko miałem go przed sobą, ale siedziałem wyżej niż on.

– Kto ci powiedział, że masz się odzywać? Bo ja nie. Pozwoliłem ci tylko zapalić. No więc pal i siedź, kurwa, cicho – rzuciłem przekleństwem, żeby nie być od niego gorszym, i machnąłem llamą. Miałem nadzieję, że nie nawykł do posługiwania się bronią palną, bo inaczej mógł zauważyć, że



to ja nie nawykłem. Wcale nie jest łatwo kogoś przestraszyć, jeżeli nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Wiedziałem, że potrafię to zrobić (zdarzyło mi się przy kilku okazjach w przeszłości), podobnie jak wiedziałem albo przypuszczałem, że jestem zdolny kogoś zabić, a przynajmniej że nie jestem do tego niezdolny; ale w obu przypadkach powinienem być – chyba – całkowicie wyprowadzony z równowagi, rozjuszony i wściekły albo opanowany długotrwałą żądzą zemsty, a w owej chwili tak się nie czułem lub niedostatecznie mocno, może odprężyłem się, wykonawszy niemal bez przeszkód pierwszą część mego mało zaplanowanego planu, tę polegającą na przechwyceniu Custardoya, wejściu na górę i zamknięciu się z nim w jego mieszkaniu. Brakowało mi nienawiści. Brakowało mi wiedzy. Byłem zanadto letni. Brakowało mi ognia. I w odróżnieniu od Tupry nie byłem też dostatecznie zimny.

– W porządku. To może ty coś powiesz? Nie zamierzam tracić całego dnia na głupoty jakiegoś wariata. Dlaczego machasz mi przed nosem spluwą? O co chodzi, chłopcze? – I znowu wysilił się na uśmiech, pokazując długie lśniące uzębienie, co nadawało mu niemal sympatyczny wygląd i łagodziło ostrość profilu. Wciąż mi kogoś przypominał, ale nie miałem teraz czasu zastanowić się kogo.

Custardoy był waleczny albo nadmiernie zadufany. Albo starał się nie upadać na duchu mimo szaleńca celującego do niego z broni, albo był przekonany, że i tak nie zrobię z tej broni użytku. To, co powiedział, było pogardliwe, jakby chciał nas tymi słowami umniejszyć, mnie i moją broń. Posunął się do nazwania mnie „chłopcem” (nienawidzę ludzi, którzy mówią „chłopcze”), starał się mnie zdeprecjonować, żebym wymachując staroświeckim pistoletem, poczuł się jak jakiś żaloszny dzieciak. Skoro był taki zadufany w sobie, to co powinienem zrobić – zadałem sobie w duchu pytanie – żeby wyzbył się swojej arogancji? Wcześniej już go uderzyłem, zadałem mu trochę bólu, powinno mu to było uświadomić, że skoro jestem

do tego zdolny, mogę być zdolny i do gorszych rzeczy. Jeżeli dalej będzie się tak zachowywał, jest na dobrej drodze, żeby mnie rozwścieczyć albo jak pewnie by powiedział, żeby mnie wkurwić. W takim razie było mi to na rękę. A może nie, może chciał, żebym sam sobie wydał się w tej sytuacji infantylny i groteskowy.

– Słuchaj mnie teraz dobrze – powiedziałem. – Od dzisiaj przestaniesz się spotykać z Luisą Juárez. To koniec. Nie ma więcej bicia ani kaleczenia, ani podbijania oczu. Więcej jej nie dotkniesz.

Pomyślałem, że zaraz wszystkiemu zaprzeczy i powie coś w rodzaju „nie wiem, o czym mówisz”. Ale nie to mi odpowiedział, nie do tego przywiązał największą wagę.

– Naprawdę? Bo co? Bo ty mi tak każesz? Widzieliście go, jaki ma tupet. To dopiero wymagania. – Sposób, w jaki to powiedział, był irytujący, jakby nie zwracał się do mnie, lecz do jakiegoś niewidzialnej trzeciej osoby, do jakiegoś wyimaginowanego świadka, z którym robił sobie żarciki na mój temat. – Chyba to do nas należy decyzja, do mnie i do niej, nie wydaje ci się?

Tak, jasne, że mi się tak wydawało. Nie miałem prawa się wtrącać i tak dalej, Luisa była wolna, była dorosła, możliwe nawet, że było jej z nim bardzo dobrze, nie prosiła mnie o zdanie ani o opiekę, nawet mnie nie zaszczyciła informacją o swoim obecnym życiu, życiu, które nie było już moją sprawą; oczywiście, że przyznawałem mu rację. Ale teraz to już nie miało znaczenia, już podjąłem decyzję, że się wtrączę i użyję siły i strachu, a wtedy trzeba odłożyć na bok argumenty i zasady, szacunek i zastrzeżenia moralne, i skrupuły, bo już się postanowiło zrobić to, co się chce zrobić, oraz narzucić swoją wolę, dopiąć swego celu bez dalszej zwłoki, a wtedy, jak w każdej raz rozpoczętej wojnie, nie ma już miejsca na rozsądek, rozsądek się nie liczy. Gdy raz przekroczy się czerwoną linię, wszystko jedno, czy ma się rację czy nie, chodzi tylko o to, by postawić na swoim,

wygrać i podporządkować sobie drugą stronę, i być górą. On ją bił, a musiał przestać, to wszystko. „*Just make sure he's out of the picture*”, powtórzyłem sobie w duchu. Przed wyjściem stamtąd musiałem się upewnić, że Custardoy został wykasowany i usunięty jak plama krwi, to wszystko. I moja determinacja wzrosła.

– Tak – przytaknąłem – powinna należeć do ciebie i do niej. Ale tak nie będzie. To ty o tym zdecydujesz. Dzisiaj zostawisz Luisę. Ona albo życie, wybieraj, co wolisz stracić. Ale wiesz chyba, że Luisę stracisz tak czy inaczej.

Po raz pierwszy zobaczyłem, że ma wątpliwości, może nawet się boi. Zdał sobie sprawę, pomyślałem, że to nic trudnego wpakować mu kulkę, wystarczy nie być przez dwie sekundy sobą, a może być tym, kim się nie jest – nie jest się mordercą, aż nagle już się nim jest i będzie się na wieczność – uświadomił sobie, że każdego, kto ma broń w ręku, może nagle najść ochota, dość, by na jedną krótką chwilę zapomniał o doniosłości tego gestu, jednego prostego gestu, a raczej dwóch, odbezpieczenia broni i pociągnięcia za spust, mogą być wykonane niemal równocześnie, jak odciążenie kurka i naciśnięcie cyngla na filmach o Dzikim Zachodzie, ten tu, a ten tam, jeden i drugi, w górę i do siebie, i gotowe, każdemu może się zdarzyć, człowiek nie zapanuje nad dłonią albo palcem, nad dłonią, która jednym ruchem wprowadzi nabój do lufy albo do komory, i nad palcem wskazującym, który się cofnie, to ciężki pistolet i trudno go utrzymać, ale ręka i palec same się wyrywają, jakby naprawdę nikt nimi nie kierował, żadna świadomość ani wola, same głaszczą i ślizgają się, i prawie się ześlizgują, nie trzeba nawet się wysilać jak z mieczem, miecz trzeba najpierw unieść, później opuścić i oba te ruchy wymagają użycia całej siły ramienia, a bywa, że i dwojga ramion, i dlatego mieczem nie mogą władać dzieci i wiele kobiet ani słabowici mężczyźni, pistolet natomiast jest w zasięgu największego cherlaka i tchórza, największego głupka

i niedorajdy – dużo bardziej niż niegodna kusza pistolet demokratyzuje zabijanie – i każdy może za jego pomocą wyrządzić nieodwracalną krzywdę, trzeba tylko dać się ponieść. I jeśli teraz odbezpieczę broń, Custardoy się przerazi.

I gdy tylko tak pomyślałem, mimo przestrogi Miguelína odbezpieczyłem pistolet. To była tylko próba i tylko chwila, żeby zobaczyć, jak w jego czarnych dziwnych oczach pojawia się błysk paniki, tylko jeden błysk, ale ja już go dostrzegłem. Zaraz potem położyłem kciuk na kurku i zwolniłem go, i wyjąłem nabój, który wcześniej wprowadziłem do lufy albo do komory czy jak to się nazywa, i schowałem go, zabezpieczyłem llamę. Jednakże on zdał sobie sprawę, jak szybko odbezpiecza się ten pistolet, a wtedy broń może wystrzelić, wystarczy jeden gest, a potem następny i następny – wprost w jego głowę albo w pierś, w ramię albo w nogę, wprost w jego saczek, z którego wtedy zostałyby tylko kilka pojedynczych kosmyków, jak u tej Śmierci na obrazie, albo gdziekolwiek zechciałbym wycelować. O tak, dziwne to uczucie, pomyślałem, mieć na swojej łasce człowieka. Decydować, czy będzie żył czy zginie, a nawet nie jest to kwestia decyzji.

Ale Custardoy trzymał fason, a może chodziło o to, że chciał mieć rację, albo skoro nie miał broni, starał się wyperswadować mi mój zamiar albo mnie zastraszyć, albo upokorzyć, albo wykopać mi jeszcze głębszy grób swoimi okropnymi słowami i głosem. Jego głos nie brzmiał czysto, był trochę chrapliwy, jakby w gardle tkwiły małe kolce podobne do wypustek na metalowym cylindrze pozytywki, które zaczepiają o zęby metalowego grzebienia i tworzą albo wybijają jedną powtarzającą się melodię. To, co Custardoy powiedział, wydobyło się z niego powoli, jakby te szpikulce spowolniły artykulację. W każdym razie dłonie trzymał nadal na stole. Skończył już palić, ale nie zapomniał stosować się do mego poprzedniego polecenia, to był dobry znak.

– Posłuchaj, Jaime. – Trudno wprost powiedzieć, jak mnie zirytował użyciem mojego imienia, to znaczy tego, którym zwracała się do mnie Luisa i które niewątpliwie usłyszał z jej ust (jakie to krępujące), gdy mu o mnie mówiła. – To jakaś totalna głupota i za chwilę, jak już stąd wyjdiesz, sam to zobaczysz. Co ci tak strasznie przeszkadza? Bo chyba nie to, że co jakiś czas ją dymam o przyzwoitych porach. Na pewno sam tak robisz w Londynie z każdą, na którą masz ochotę, musisz się do tego przyzwyczaić, nie wierzę, że jeszcze się, do kurwy nędzy, nie pogodziłeś, że cokolwiek było między wami, już tego nie ma. Zwyczajna rzecz, zdarza się. Naprawdę w to nie wierzę. – Zamilkł i zaśmiał się krótko (wcale nie widział niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa w mojej osobie), zaśmiał się tym swoim śmiechem, który sprawiał, że był sympatyczniejszy i bardziej atrakcyjny. – Naprawdę to komiczne, taka scena to ostatnia rzecz, jakiej mogłem się spodziewać, słowo daję. To, kurwa, scena jak z operetki! – To ostatnie znowu powiedział tak, jakby rozmawiał z kimś trzecim, z jakimś obecnym w pokoju duchem, nie ze mną, co mnie doprowadzało do szału. Prawdopodobnie już się cieszył na myśl, że potem opowie o wszystkim jakiemuś koledze („Wiesz, co mnie dziś spotkało? No niezła masakra, nie uwierzysz”), a kto wie, może i samej Luisie („Założę się, że nie zgadniesz, kto mi dzisiaj złożył wizytę, w dodatku wymachując spluwą. Musiałaś upaść na głowę, żeby wyjść kiedyś za tego czubka. Wcale go, kurwa, nie znasz. On nie ma nic wspólnego z tym gościem, o którym mi opowiadałaś, to kompletny pojeb”). Ale Luisy miał już nigdy więcej nie zobaczyć, on tego nie wiedział, ale ja wiedziałem. Powątpiewałem, żeby zwracając się do niej, miał taką niewyparzoną gębę, aczkolwiek pod jej nieobecność tak właśnie się wyrażał, wulgarny język był dla niego czymś naturalnym, na pewno dużo bardziej niż dla mnie; nie miałem oporów, żeby przeklinać, gdy sytuacja tego wymagała, brakło mi jednak swobody w tym

szczególnym rejestrze, był mi dobrze znany, jak niemal każdemu, ale rzadko się tam zapuszczałem.

– Dobrze wiesz, co mi przeszkadza. Dobrze wiesz, skurwielu, na co ci nie pozwolę. Już ci powiedziałem: od dzisiaj nie tkniesz jej nawet palcem.

Wciąż jeszcze był bojowy. Szedł na całość. Ryzykował, że podgrzeje moją letniość – pewnie ją zauważył – że ręka i palec wymkną mi się spod kontroli. Może uważał, że warto, może chciał nie tylko mieć rację, ale i pozbawić jej mnie, sprawić, że przejrzę na oczy, pozbyć się głupiego niespodziewanego problemu i dalej robić swoje, i tak skłonić mnie do rezygnacji.

– Niby na co? A, no tak, siniaki – powiedział i każde słowo wlokło się jak muzyka z pozytywki, wszystkie wydobywały się powoli i jakby zahaczając o coś, drapiąc, może w tym jego sposobie mówienia było też coś z dawnej madryckiej buńczuczności. Potem dodał coś banalnego, co mnie jednak zaboląło, gdy zrozumiałem, do czego pije: zajęło mi to kilka sekund, bo nie potrafiłem zrozumieć albo nie chciałem, albo musiałem się z tym pogodzić: – Coś ci powiem, chłopcze... – Znowu to nienawistne słowo, którym mnie umniejszał. – Każdy ma swoje upodobania seksualne, z jednymi partnerami je ujawnia w pełni, z innymi nie. Z tobą ich nie ujawniała? No cóż, chłopcze, rozumiem, nic na to nie poradzę, nie wiedziałem. Ze mną nie miała tego problemu, a każdemu trzeba dać to, co lubi. Nie mam racji? Słuchaj, nie zrobiłem jej nic, czego by sama nie chciała. Rozumiemy się? No, to przestań mnie wreszcie oskarżać o coś, co nie jest moją winą. Ciekawe, kiedy to, kurwa, zrozumiesz.

Tak, zajęło mi to kilka sekund. Co on wygaduje? myślałem. Mówi mi, że Luisa ma frajdę, jak się ją tłucze, mnie to mówi. Niemożliwe. To kłamstwo, myślałem. Byliśmy blisko przez wiele lat, chociaż teraz już od jakiegoś czasu nie jesteśmy, i nigdy nie widziałem u niej najmniejszej skłonności, przecież bym zauważył, choćby minimalną, jakiś znak, coś nieoczywistego,

jakiś przebłysk, ten facet usiłuje się wykić, usiłuje się usprawiedliwić, rzucić z siebie odpowiedzialność, zrozumiał, dlaczego tu jestem i że sprawa jest naprawdę poważna, i od dobrej chwili przygotowuje swoje kłamliwe wyjaśnienie, dobrze wie, że nie zapytam Luisy, i korzysta z tego, żeby mi wmówić, że robi krzywdę tylko tym, które same go o to proszą, coś w tym stylu, ale Cristina opowiadała mi przecież o przerażeniu kobiet, które z nim poszły do łóżka, i o ich późniejszym milczeniu albo ukrywaniu tego, co się stało, dlaczego nic nie mówiły? Gdyby był brutalem, coś by powiedziały, jedna ostrzegłaby drugą, podejmowałyby środki ostrożności, na przykład te prostytutki, z którymi się umawia, czasami nawet z dwiema naraz. Nie, to nie może być prawda, stwierdziłem, otrząsając się z takich myśli. To okropne, że coś człowiekowi mówią, wszystko jedno co, okropne, że wbijają mu różne pomysły do głowy, choćby nieprawdopodobne i niedorzeczne i choćby nie trzymały się kupy i brzmiały niewiarygodnie (ale we wszystko można uwierzyć we właściwym czasie), każda zapisana przez mózg informacja zostaje w nim aż do chwili, gdy dosięgnie jej zapomnienie, a zapomnienie zawsze jest na pół ślepe, każda opowieść albo komunikat, a nawet każda najmniejsza możliwość zapada w pamięć i choćby się ją nie wiem jak usuwało i tarło, i wycierało, jej obrys nigdy do końca nie znika; tak, to rozumiałe, że ludzie nie cierpią wiedzieć i zaprzeczają temu, co mają przed oczyma, i nie chcą się niczego dowiedzieć, i wypierają fakty, to prawda, że unikają inokulacji i trucizny i odsuwają ją od siebie, gdy tylko ją dostrzegą lub poczują jej bliskość, najlepiej nie ryzykować, tak, to rozumiałe, że niemal nikt nie zwraca uwagi na to, co widzi i przewiduje, i antycypuje, i wyczuwa, rozumiałe, że wszyscy wrzucamy do worka z przywidzeniami to, co przez krótką chwilę widzimy jasno, zanim zdoła zapaść nam głęboko w umysł i na zawsze zburzyć nasz spokój, nie dziw zatem, że nie jesteśmy gotowi poznać żadnej twarzy, ani dziś, ani jutro, ani wczoraj. Jaka jest moja twarz teraz? zadałem

sobie pytanie. Jaka jest twarz Luisy? Sądziłem, że jej twarz nie ma przede mną tajemnic, że znam ją na wylot, od przeszłej aż po przyszłą i od jutrzejszej do wczorajszej, a ten skurwiel zaczyna mi teraz opowiadać o upodobaniach seksualnych i mówić, że Luisa chce, żeby on traktował ją brutalnie w łóżku, wolne żarty, nie powinienem mu wierzyć ani nawet się nad tym zastanawiać, ale ludzie się zmieniają i przede wszystkim odkrywają nowe rzeczy, ich przekłete odkrycia tych ludzi nam odbierają i zabierają daleko, z młodą Pérez Nuix odkryłem przyjemność udawania, że nie robi się tego, co się robi, albo symulowania, że nie dzieje się to, co się dzieje, myślę jednak, że to nie to samo, tamto zachowanie było pewnym układem, taktyczną grą, ale to właśnie powiedziała mi ten skurwiel, że wszystko jest grą, zabawą erotyczną, niech szlag trafi tego chuja, wszystko jest możliwe, ale to nie może być prawdą. Podbite oko Luisy to nie była zabawa, gównem, a nie zabawa, a jednak Custardoy powiedział przed chwilą: „Niby na co? A, no tak, siniaki”, dlaczego użył liczby mnogiej, skoro ja mogłem zobaczyć ślad tylko po jednym, może ma ich więcej na ciele, pod ubraniem, podczas tego pobytu nie widziałem Luisy nagiej ani nie zobaczę, pewnie już nigdy więcej nie zobaczę jej nagiej, a ten skurwiel i owszem, chyba że do tego nie dopuszczę i teraz wyrzucę go z kadru raz na zawsze, bezapelacyjnie i bez dalszej zwłoki, *don't ever linger or delay*, żeby odbezpieczyć znowu broń i pociągnąć za spust, trzeba tylko przesunąć dłońią po zamku i ruszyć jednym palcem, raz i dwa, w przód i w tył, i kulka w łeb, i koniec, mam przecież włożone rękawiczki, na zawsze poza kadrem i koniec z siniakami, koniec z łóżkiem, koniec z dowcipami i z wdziękami, wszystko jest w moich rękach, nawet nie muszę go dłużej słuchać ani dalej z nim rozmawiać.

I tak zrobiłem: odbezpieczyłem broń i po raz pierwszy przesunąłem palec wskazujący z kabłąka na jęczyczek spustowy, pamiętając o przestrodze Miguelína i uważając, żeby się stosować do jego zaleceń, „nigdy nie należy



kłaść palca na spuście, dopóki nie jesteś pewien, że będziesz strzelał”. Byłem pewien, byłem, byłem przez kilka sekund – jedna, dwie, trzy, cztery, pięć; i sześć – a potem już nie. Nie wiem, co tym razem Custardoya uratowało, bo nie było to milczenie, może kilka rzeczy naraz – myśli, wspomnienia i rozpoznanie – wszystkie stłoczone razem w sześciu sekundach, a może w siedmiu, możliwe też, że niektóre z tych rzeczy przysły mi do głowy później i tym sposobem było więcej czasu na ich pomyślenie albo przypomnienie sobie już po powrocie do hotelu. Jaką teraz mam twarz? pomyślałem znowu. Dołącza do twarzy tak wielu mężczyzn i nie tak wielu kobiet, którzy mieli życie innej osoby w swoich rękach, a zaraz może dołączyć do twarzy tych, którzy je odebrali. Nie do twarzy Reresby’ego, on ostatecznie nie odebrał życia De la Garzy, a jeżeli położył kres innym, nie zrobił tego w mojej przytomności, podobnie jak Wheeler ze swoimi zarazkami cholery i malarii, i dżumy. Ale dołączyłaby do twarzy tego drania z Malagi, który zabił Marésa, wcześniej drażniąc się z nim jak z bykiem, i do twarzy tamtej kobiety z Madrytu, która chwaliła się w tramwaju, że roztrzaskała dziecko o ścianę, i do twarzy tamtych ochotników z robotniczych milicji, którzy zastrzelili w przydrożnym rowie mojego wuja Alfonsa, bardzo podówczas młodego, a nawet do twarzy Orłowa i Biełowa, i Carlosa Contrerasa, którzy torturowali, a może i żywcem obdarli ze skóry Andreu Nina w Alcalá; dołączyłaby do twarzy wicehrabiego de la Barthe, który kazał rozstrzelać na plaży Torrijosa i wedle obrazu, siedemnastu jego zwolenników, jak tylko stanęli na lądzie, ale w rzeczywistości, jak mówi historia, mogło być tych zabitych wielu więcej; do twarzy czeskich bojowników ruchu oporu albo studentów, którzy dokonali zamachu na nazistowskiego protektora Heydricha, używając do tego naboju nasączonych botuliną, i do twarzy Spoonera, szefa angielskiego Special Operations Executive, SOE, który to wszystko zaplanował; do twarzy niemieckich okupantów, którzy w odwecie i kierując się nienawiścią

do miejsca, zrównali z ziemią wioskę Lidice i zabili szybko albo powoli stu dziewięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn i sto osiemdziesiąt cztery kobiety w dniu 10 czerwca 1942 roku; do twarzy płatnych morderców, którzy zastrzelili seriami z pistoletu maszynowego czwórkę nieszczęśników na innej zacisznej plaży, tym razem w Kalabrii, niedaleko Crotone w Zatoce Tarenckiej, trzech mężczyzn i kobietę, w dodatku widziałem to morderstwo; do twarzy mężczyzny, który wrzeszczał na innego w garażu z twarzą tak przybliżoną do twarzy tamtego, że opryskiwał go śliną, a potem z bardzo bliska wpakował mu kulę poniżej małżowiny usznej, jak i ja mogłem wpakować ją teraz Custardoyowi, nie ryzykując, że ktoś krzyknie do mnie „*Don't!*”, jak ja krzyknąłem do Reresby'ego i możliwe, że go wtedy powstrzymałem, mogłem przystawić Custardoyowi lufę dokładnie w tym samym miejscu i po krzyku, rozbryzgnęłyby się krew i kawałki kości; do twarzy tej kobiety na zielono i w butach na obcasach, w podciągniętej spódnicy, swetrze i naszyjniku z pereł, która roztrzaskała młotkiem czaszkę jakiemuś mężczyźnie, usiadła na nim okrakiem, nie miała rajstop, i raz za razem waliła go w czoło; do twarzy europejskiego oficera albo najemnika, który dowodził masakrą dwudziestu Afrykanów padających na ziemię jeden po drugim jak kostki domina; do twarzy Manoi, tak, do jego twarzy też, do twarzy Manoi, który wydłubał więźniowi oczy jak pestki brzoskwini, a potem, jak powiedział mi Tupra, poderznął temu człowiekowi gardło; i do twarzy Ingrama Frizera, który zasztyletował poetę Marlowe'a w tawernie w Deptford, chociaż ta akurat twarz jest nieznaną, nie ma nawet pewności co do imienia, tak wiele upłynęło stuleci; i do twarzy króla Ryszarda, rzecz jasna, który kazał udusić swoich małych bratanków w Tower i zabić tylu innych w szale wściekłości i gniewu albo i nie, łącznie z biednym księciem Clarence topionym przez dwóch zbirów w beczce wstrętnego wina i trzymanym za nogi, wymachiwał nimi na zewnątrz w powietrzu, którego nie miał już więcej zaczerpnąć... Moja

twarz, myślałem, może dołączyć i upodobnić się do twarzy tak wielu mężczyzn i nie tak wielu kobiet, którzy byli władcami czasu i trzymali w ręku zegar – w formie broni, w formie rozkazu – i postanowili ten zegar nagle zatrzymać, bez zwłoki i bez ociągania się, zmuszając tym samym innych, by nie mieli już więcej pragnień i by porzucili nawet własne imię. Nie podoba mi się ten związek. Ale muszę też uchronić Luisę przed niebezpieczeństwem i cierpieniem, i udręką, by jej duch nie musiał powiedzieć kiedyś temu typowi tego, co duch lady Anny zarzucił mężowi w przeddzień bitwy, ani by nie musiał rzucić na niego przekleństwa, którego ja nie wypełnię, jakkolwiek mam po temu sposobność: „Twa żona Luisa, żona twa nieszczęsna, Estebanie, co chwili z tobą nie spała spokojna... niech jutro ołowiem spadnę na twą duszę i obyś poczuł ukłucie w swej piersi: rozpaczaj i giń”. Tak, najlepiej zabić go teraz, póki czas, myślałem, mogę nie mieć w przyszłości drugiej okazji, możliwe, że nie będzie innego sposobu usunięcia go raz na zawsze z kadru i że to jest ten jedyny, byśmy byli pewni. Sam siebie zaskoczyłem tą liczbą mnogą. I to, że wciąż jeszcze myślałem o nas „my”, zachęciło mnie i dodało mi siły.

Trzymałem zatem palec na języczku spustu pod osłoną, jakkolwiek wcale już nie byłem pewien, czy strzelę, i to były natępne sekundy. Z każdą kolejną ryzykowałem wypadek, Custardoy wyglądał coraz bardziej blado i niechlujnie, jakby jego ubraniowa wytworność nagle się zdekomponowała, krawat mu się przekrzywił, a on pozwolił sobie na kolejny machinalny gest, żeby przesunąć ten krawat na środek, przypomniało mi to poprawianie kucyka – tak, było w tym geście coś niezawodnie kobiecego – potem znowu posłusznie położył dłoń na stole; jego prochowiec był mocno pognieciony, wydawał się także z gorszego materiału, koszula, ten kawałek wystający spod płaszcza, sprawiała wrażenie przepoczonej. Włosy jakby mu przykłały, a te z baczków jakby się rozprostowały; usiłował zachować uśmiech – musiał wiedzieć, że tak wygląda sympatyczniej – ale uśmiech już go nie rozświecił; nos się wyostrzył, a może to ja, zmieniwszy pozycję, widziałem go teraz z innej perspektywy; jego oczy wydały mi się zamglone i bardziej do siebie zbliżone, jakby całym sobą usiłował się zwęzić i tym samym ograniczyć powierzchnię celu, to musiało być podświadome, bo nie miało żadnego sensu przy dzielącej nas odległości, nie mogłem chybić, w żadnym razie.

– Znasz moje dzieci? – zadałem mu nagle pytanie.

– Nie. Nigdy ich nie widziałem. Nie lubię mieszać do tego dzieciaków.

– Od kiedy jesteście razem? Jak długo się znacie? I nie opowiadaj mi bajek, znam ją lepiej niż ty.

Fakt, że się do niego odezwałem, że zadałem mu jakieś cywilizowane pytanie nie okraszone żadnym przekleństwem, odrobinę go uspokoił, jakkolwiek wciąż spoglądał na lufę przeładowanego pistoletu – „przeładowany” to jak rozumiem, synonim „odbezpieczonego” – swoimi

wielkimi czarnymi oczami, nadal zimnymi i obleśnymi mimo czającego się w nich strachu, szorstkości przydawały jego twarzy raczej wąsy oraz nos.

– Jakies pół roku. – I pozwolił sobie dodać: – Dłużej nie zawsze znaczy lepiej. Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju? Żadna kobieta nie podobała mi się nigdy tak jak ona. Ty już zszedłeś ze sceny, myśleliśmy, że to jasne. – A więc to ja jestem teraz *out of the picture*, pomyślałem. Ma rację. Dlatego to się zmieni. On też mówi „my” o Luisie i sobie. – Dla Luisy to jasne, myślała, że dla ciebie też.

– Nie wiem, dlaczego używasz czasu przeszłego. Ona nadal będzie tak myśleć, bo ty nic jej o tym wszystkim nie powiesz.

To zdanie wypowiedziane z pistoletem w ręce zabrzmiało jak poważna groźba, chociaż nią nie było, a raczej ja nie wypowiedziałem go z taką intencją, lecz tylko powodowany pewnością, że począwszy od owego dnia nigdy się już więcej nie zobaczą. Custardoy nie był już taki pyskаты, zauważyłem, jak narasta w nim obawa. Wtedy przyszła mi do głowy inna myśl albo inne wspomnienie, które powinno bardziej go pogrążyć, a przecież, o dziwo, pomogło go ocalić: Ten człowiek to mój gebridguma, wielkie nieba, za sprawą Luisy on i ja staliśmy się mimowolnie „współspiącymi” albo „współjebcami”, tak samo jak najprawdopodobniej ja i Tupra jesteśmy nimi za pośrednictwem lub za sprawą Pérez Nuix bądź jak ja nieświadomie jestem z wieloma innymi mężczyznami za sprawą innych kobiet, nigdy o tym nie myślimy, gdy po raz pierwszy idziemy z kimś do łóżka, nie myślimy o tym, kogo swoją osobą łączymy i do kogo sami dołączamy, a dzisiaj takie fantasmagoryjne związki, niepożądane albo nieproszone, złożyłyby się na opowieść bez końca. Ale wedle tamtego martwego języka mnie i tego typu łączy więź, właściwie w każdym języku jest między nami powinowactwo, to na pewno, i może właśnie dlatego ja nie powinienem go zabijać, tak, również z tego względu, łączy nas coś bardzo ważnego, mnie też żadna kobieta nie podobała się nigdy tak bardzo

jak Luisa, koniec końców kochamy tę samą osobę i w tej kwestii trudno mi go winić, a może on po prostu uprawia z nią seks, nie mogę wiedzieć, jakie powodują nim uczucia. Mogłem postarać się to ustalić, zapytać go, czy ją kocha, jednakże takie pytanie wydało mi się śmieszne, szczególnie że trzymałem faceta na muszce, przecież wiedziałem, co mi odpowie, nie wiedziałem natomiast, czy powie prawdę. W owej chwili prawda była ostatnią rzeczą, jaką by mi powiedział, gdyby uważał, że ta prawda może go zabić.

Nie chcę, żeby ktokolwiek zniknął, taka była moja kolejna myśl. Nie wierzę w Sąd Ostateczny ani w żaden końcowy bal smutku i radości, ani w to, że zamordowani staną przed swoimi mordercami, wszyscy razem w jakiejś strasznej wrzawie, i przedstawią swoje oskarżenia przed znudzonym przerażonym Sędzią. Nie wierzę w to, ponieważ nie należę do czasów niezłomnej wiary, poza tym nie ma takiej potrzeby, ta scena się odbywa tu, na ziemi, tylko że we fragmentaryczny, zindywidualizowany sposób, a przynajmniej wtedy, gdy umierający wie albo widzi, kto go zabija, i wtedy może powiedzieć wraz z pożegnalnym spojrzeniem: „Odbierasz mi życie bardziej z zazdrości niż w imię sprawiedliwości, ja nikogo nie zabiłem, a przynajmniej nic ci o tym nie wiadomo, pakujesz mi kulę w głowę albo pod małżowinę uszną nie dlatego, że sądzisz, iż biję twoją już nie żonę jak pospolity damski bokser, jakkolwiek nie możesz ani nie chcesz pozbyć się takiego podejrzenia i po części w nie wierzysz na swoje chwilowe usprawiedliwienie, które na nic ci się jutro nie przyda, lecz zabijasz mnie, ponieważ się mnie boisz i chcesz walczyć o swoje – jak wszyscy, którzy popełniają zbrodnie i muszą przekonać samych siebie, że ich zbrodnia była konieczna: walczyli bowiem o swojego Boga, swego króla, swoją ojczyznę, kulturę albo rasę; o swój sztandar, swoją legendę, język, klasę albo swoją przestrzeń; o swój honor, religię, o swoich bliskich, o swój sejf, swoją portmonetkę i skarpetki; albo o swoją żonę. I krótko

mówiąc, boisz się. Umarłem u siebie w domu pewnego pochmurnego dnia, nie zdjąwszy z siebie prochowca i wśród moich obrazów, gdy najmniej się tego spodziewałem, z rąk nieznajomego, który dopadł mnie w bramie wejściowej i dał mi ostatniego papierosa, który mi nie smakował. Nie pójde już do Prado patrzeć na malarstwo, nie będę studiował, kopiował ani fałszował obrazów, nie przespaceruję się po Madrycie w moim pięknym kapeluszu z falującym z tyłu kucykiem ani nie napiję się piwa, ani nie zjem porcji *patatas bravas*, nie zajdę do księgarni ani nie przywitam się z przyjaciółkami, nie przystanę, by przyjrzeć się figurze albo nogom idącej kobiety, nikogo więcej nie rozśmieszę. Ty kładziesz temu wszystkiemu kres. Może to niewiele, ale zarazem wszystko, co mam, to moje życie, jest tylko jedno i nikt nigdy nie przeżyje swego po raz drugi. Niech teraz spadnę ołowiem na twą duszę, niech napełnię twoje sny niepokojem, poczuj na swej piersi ucisk mego kolana, gdy będziesz spał z jednym okiem otwartym, nigdy już nie zdołasz go zamknąć”. Nie, nie chcę, by ktokolwiek zniknął, pomyślałem ponownie, nawet ten mężczyzna. Nie ośmielę się, *I do not dare*, i zawsze będzie czas, by się odwrócić i *to descend the stair*, nie ośmielę się albo nie powinienem niepokoić wszechświata, a tym bardziej nic z niego usuwać w szale wściekłości i gniewu albo *in my angry mood*. Jeszcze przez jakiś czas jest miejsce dla Custardoya na tych ulicach, już spływają krwią i nikt nie powinien opuszczać ich z drżeniem, możliwe, że już wypełniają je mężowie pełni furii i błyski bez grzmotu, które rozrywają na kawałki w milczeniu, nie powinienem być jednym z takich ludzi. „Każdy jest świadkiem własnej opowieści, Jack, ty swojej, a ja swojej”, tak kiedyś powiedział do mnie Tupra. Moja twarz dołączy też do twarzy Santa Olalli i co gorsza do twarzy Del Reala, ich nazwiska zawsze były dla mnie nazwiskami zdrady; bo denuncjując mego ojca pod sam koniec wojny domowej, najwyraźniej chcieli jego egzekucji, jego śmierci, taki był los każdej zadenuncjowanej osoby, oni byli panami czasu, trzymali w dłoni

zegar i kazali mu się zatrzymać, tyle że zegar nadal tykał, nie posłuchał ich i dzięki temu ja tu jestem, a mój ojciec nie musiał powiedzieć, umierając: „To osobliwe, wszystko, co było związane, ujrzyć w przestrzeni rozpięchłe. A być umarłym to trud...”. Nie, ja nie skażę na ów trud tego nieprzyjemnego człowieka, do którego czuję dziwną mieszankę sympatii i niechęci, on jest częścią tego pejzażu i wszechświata, wciąż stąpa po ziemi i przemierza świat i nie do mnie należy to zmieniać, u kresu czasu pozostają tylko resztki lub obwódki i we wszystkich można szukać co najwyżej cienia jakiejś niekompletnej historii, pełnej luk, tak upiornej, hieroglificznej, trupiej lub fragmentarycznej jak kawałki nagrobków albo jak rozbite napisy na zrujnowanych tympanonach, „miniona materia, niema materia”, i wówczas można zwątpić, że kiedykolwiek istniały. Po co to zrobiła? powiedzą o tobie, po co ta cała udreka i przyspieszony puls, po co to drżenie i łomotanie serca? A o mnie powiedzą: dlaczego mówił albo zmilczał, dlaczego zwlekał tak długo i czekał tak wiernie, po co ten zawrót głowy, wątpliwości i cała ta męka, po co podjął takie akurat kroki i dlaczego tak wiele? A o nas obojgu powiedzą: po co ten spór i taki wysiłek, dlaczego walczyli, zamiast po prostu patrzeć i zachować spokój, dlaczego nie potrafili się spotkać albo nadal się widywać i po co tyle snu, tyle marzeń i tamto zadrapanie, mój ból, moje słowo, twoja gorączka i tyle wątpliwości, i cała ta udreka?

Wyjąłem drugi nabój i schowałem, zabezpieczyłem pistolet, zdjąłem palec wskazujący ze spustu i ponownie oparłem go o kabłąk, jak radził robić Miguelín, gdy nie będę pewien, czy strzelę z jego starej llamy. Zobaczyłem na twarzy Custadoya wyraz wstrzymywanej albo powściąganej ulgi, nie ośmielał się poczuć jej całkowicie, jakżeby mógł, wciąż widział wymierzoną w siebie lufę pistoletu, a mężczyzna trzymający broń był w rękawiczkach, poza tym właśnie zrobił coś bardzo niepokojącego: wziął dwie popielniczki z dwoma petami, swoim



i Custardoya, oraz z popiołem z obu wypalonych kareliasów, i opróżnił je do drugiej kieszeni swego płaszcza, żeby ich zawartość nie zmieszała się z nabojami, podobnie w toalecie dla kalek Tupra schował kiedyś w kieszeniach swego płaszcza mokre rękawiczki, wyżęte i zawinięte w kawałki papieru toaletowego, jakkolwiek on zrobił to dopiero po wykonaniu zadania, a ja miałem je jeszcze przed sobą. Teraz mam w sobie jego oziębłość, oziębłość Reresby'ego, teraz, gdy wreszcie rozpoznałem swoje podobieństwo do tego mężczyzny lub powinowactwo z nim i zrozumiałem, że dlatego on ujdzie z tego z życiem, pomyślałem, i teraz, gdy go tak bardzo nastraszyłem, mimo że prawie nie dał tego po sobie poznać i rzeczywiście trzymał fason, cokolwiek mu zrobię, wyda mu się w porządku i nie takie straszne, pomyśli, że los obszedł się z nim łaskawie i że mogło być gorzej. Nie będę Sierżantem Śmiercią ani Sir Death, ani Sir Cruelty, ani nawet Sir Thrashing, nie będę Rycerzem Śmiercią ani Rycerzem Okrucieństwem, ani Rycerzem Biciem, będę jedynie Sir Blow albo Sir Wound i Sir Punishment, Rycerzem Ciosem albo Raną, albo Karą, bo coś przecież trzeba zrobić, żeby się go pozbyć, tak jak Tupra pozbył się De la Garzy.

I gdy tak myślałem (a raczej dużo z tego pomyślałem sobie później), uświadomiłem sobie, kogo przypomina mi Custardoy, z kim łączy go podobieństwo, by użyć słowa Wheelera, albo z kim łączy go więź, chociaż w tym przypadku można było mówić o pewnym fizycznym podobieństwie. I pewnie ten błahy szczegół ocalił go całkowicie, ocalił naprawdę i ostatecznie, głupstwo, idiotyzm, przypadkowy niekonieczny błysk pamięci, odpowiednie skojarzenie albo kapryśne wspomnienie, które mogły, ale nie musiały się pojawić, czasem od tego właśnie zależy, czy zrobisz coś czy nie, jak wtedy, gdy decydujemy się dać jałmużnę jednemu żebrakowi z wielu, bo jego wygląd z jakiegoś powodu nas porusza: nagle widzimy w nim osobę, bez związku z jej kondycją, funkcją i potrzebami

indywidualizujemy człowieka i już nam się nie wydaje niemożliwy do odróżnienia ani łatwy do wymiany jako obiekt współczucia, taki sam jak setki innych; tak właśnie było z Luisą i młodą Rumunką albo Węgierką, albo Bośniaczką i jej maleńkim strażnikiem przy wejściu do supermarketu, nieraz wracałem do nich myślami w dalekim Londynie, dowiedziawszy się kiedyś wcześniej o ich istnieniu ze słyszenia. Kojarzyłem Custardoya z moim sąsiadem z naprzeciwka, tancerzem, z którym nigdy nie zamieniłem ani słowa, choć on tylekroć dodawał mi otuchy lub mnie uspokajał swymi tanecznymi improwizacjami, tańcząc za drzewami i za pomnikiem po drugiej stronie placu, solo albo w towarzystwie swych przyjaciółek albo *partenaires*, albo kochanek. Tak, mieli ze sobą całkiem dużo wspólnego: mój tancerz jest szczupłym mężczyzną o ostrych rysach twarzy – mocno zarysowana szczęka, nos i czoło – lecz o mocnej, atletycznej budowie, tak jak Custardoy jest muskularny; nosi gęsty wypiełgnowany wąsik w stylu dawnych bokserów, ale prosty, nie podkreślony na modłę dziewiętnastowieczną do góry, włosy ma zaczesane do tyłu z przedziałkiem pośrodku, jakby zbierał je w ogonek, lecz tego dobrze nie widziałem, pewnego dnia może się okazać, że zbiera je w kucyk jak Custardoy; czasem nosi krawat – Custardoy nosi go zawsze – nawet gdy biega i skacze po przestronnym salonie bez mebli, zupełny z niego wariat, tryska szczęściem i zadowoleniem wolny od tego, co nas wszystkich przygnębia i zżera, pochłonięty tańcem dla samej przyjemności tańczenia, oglądanie go to niezła zabawa, a nawet radość, nie umiem sobie wyobrazić, kim jest ani czym się zajmuje, wymyka się – co nieczęste – moim zdolnościom interpretacyjnym lub dedukcyjnym, które mogą prowadzić do celnych bądź fałszywych wniosków, ale nigdy mnie nie opuszczają, uruchamiają się od razu, by stworzyć jakiś skrótowy prowizoryczny portret, coś stereotypowego, jakiś błysk, prawdopodobne założenie, zarys albo skrawek życia, jakkolwiek by to było wydumane i elementarne albo arbitralne, to

mój detektywistyczny czujny umysł, mój idiotyczny umysł, Clare Bayes krytykowała mnie za to i wyrzucała mi to już wiele lat temu, zanim jeszcze poznałem Luisę, musiałem ten sposób myślenia powściągnąć przy Luisie, żeby jej nie drażnić i nie przyprawiać o lęk, o ów zabobonny lęk, który wyrządza największą szkodę, a i tak nic nie pomogło, nic nie pomaga na to, co już się wie i czego boi się najbardziej (może dlatego, że prowokuje się wówczas los, by uniknąć rozczarowania), i zazwyczaj wiadomo, na czym sprawy staną i jak się potoczą, i co nas czeka, ku czemu zmierzają i jaki ma być koniec; wszystko widać jak na dłoni, w gruncie rzeczy wszystko jest w związku bardzo szybko widoczne jak w uczciwych prostych opowieściach, trzeba tylko spojrzeć i wszystko widać, jedna chwila zawiera w sobie zapowiedź wielu mających nadejść lat i niemal całej naszej historii – jedna brzemienna znaczeniem chwila – i jeśli tylko chcemy, możemy to zobaczyć i rozszyfrować w ogólnym zarysie, nie ma aż tylu możliwych wariantów, wskazówki rzadko nas zwodzą, jeżeli tylko potrafimy odczytać ich znaczenie, jeżeli jest się – a takie to trudne i katastrofalne – na to gotowym...

Dokonałem już interpretacji Custardoya i poddałem go procesowi dedukcji, a poza tym dysponowałem informacjami, to mi wystarczyło, żeby go skazać. Ale niestety albo na szczęście – jak mi przykro, jak się cieszę – ten człowiek przypominał mi zadowolonego tancerza, któremu byłem z daleka wdzięczny, niewątpliwie właśnie dlatego czułem do niego niezrozumiałą sympatię i głęboką niechęć równocześnie. Kto wie, czy są do siebie podobni pod innymi względami, czy łączą ich inne powinowactwa oprócz miłego uśmiechu, podobieństw fizycznych i w powierzchowności: kiedy Custardoy robił notatki i szkice przed obrazem Parmigianina, prawdopodobnie był równie na tych czynnościach skupiony jak mój sąsiad na swoim tańcu, równie szczęśliwy i zadowolony, możliwe, że kiedy malował w domu, kiedy kopiował coś albo robił jakiś falsyfikat,

pochłaniało go to jeszcze bardziej, uwalniał się od wszystkiego, co nas przygnębia i zżera. I tancerz brał sobie często do towarzystwa dwie kobiety, tak jak on szedł czasem z dwiema do łóżka w swej potrzebie rozdwojenia się albo by przeżyć więcej niż jedno życie. Właśnie to, przede wszystkim to kazało mi porzucić zamiar zabicia go, głupstwo, idiotyzm, błysk przypadkowej i niekoniecznej myśli, wątpliwości albo kaprysu bądź jakiś głupi przypływ uczuć, nieodpowiednie skojarzenie kapryśnych wspomnień, a może było to raczej na wpół ślepe zapomnienie.

Nic nie mówiąc, podszedłem do kominka, który wcześniej wzbudził we mnie zazdrość, i potem byłem bardzo szybki, jakbym był roztargniony albo raczej zajęty, jakbym był w pracy, tak samo jak Reresby, odkąd wszedł do schludnej toalety. Mam teraz jego chłód, pomyślałem ponownie; teraz wiem, jak go nastraszyć, teraz już wyobrażam sobie, że to robię, a to tylko kwestia wyobraźni i człowiek naprawdę pozbywa się problemu; mogę teraz odmierzyć siłę uderzenia, machnąć mieczem i nie ściąć, unieść miecz i opuścić, ale znowu niczego nie obciąć, a mimo to śmiertelnie go nastraszyć, żeby nigdy więcej się do nas nie zbliżył, do mnie, a przede wszystkim do Luisy. Chwyciłem pogrzebacz i nie dając Custardoyowi czasu na przygotowanie się ani nawet na przewidzenie, co zrobię, uderzyłem go nim z całej siły w lewą dłoń, którą trzymał na stole, zresztą obok prawej. Dobiegł mnie trzask gruchotanych kości, usłyszałem to wyraźnie mimo potwornego krzyku, jaki wydobył się z jego gardła, twarz wykrzywiła mu się z bólu, nie była już gburowata, obleśna ani zimna, odruchowo chwycił połamaną dłoń drugą ręką.

– Kurwa! Złamałeś mi rękę, draniu! – To była całkowicie normalna reakcja, tak naprawdę nie wiedział, co mówi, z bólu zapomniał na chwilę, że wciąż trzymam go na muszce i że ostatnimi słowami, jakie do niego powiedziałem, brzmiały „bo ty nic jej o tym wszystkim nie powiesz”.

Ponownie uniosłem pogrzebacz i tym razem z mniejszą siłą – tak, potrafiłem już odmierzać ciosy – rozciąłem mu policzek, zrobiłem mu *uno sfregio* albo ranę ciętą, znacznie większą i głębszą niż rana Flavii Manoi, jakkolwiek kość pozostała nietknięta. Uniósł zdrową rękę do brody, do rannego policzka, tego z prawej strony, i spojrzał na mnie spanikowany, ze strachem już nie zwierzęcym, lecz atawistycznym, ze strachem kogoś, kto nie wie, czy spadną na niego kolejne uderzenia ani ile ich będzie, bo taka jest natura mieczy i taka jest natura broni nie rzucanej i nie miotanej, tej, która zabija z bliska i twarzą w twarz z ofiarą, gdy zabójca albo mściciel, albo sprawiedliwy nie wypuszcza jej z ręki ani nie traci z nią kontaktu, dokonując rzezi, wbijając ją, tnąc nią i kawałkując, wszystko tym samym żelazem, którego nigdy nie rzuca, lecz zachowuje przy sobie i trzyma je w garści, tnąc z coraz większą siłą, okaleczając, nadziewając na ostrze i nawet rozczłonkowując. Ja nic takiego nie zrobiłem, przecież ta broń się do tego nie nadawała, to nawet nie była broń, lecz zwykłe narzędzie.

– Powiedziałem, że masz trzymać ręce na stole. – I znowu odbezpieczyłem pistolet, mimo że tym razem nie położyłem palca wskazującego na spuście.

Spojrzał na mnie oszołomiony z odnowionym niepokojem, a może tym razem był to niepokój innego rodzaju, oczy, wcześniej przez chwilę do siebie zbliżone, oddaliły się znowu jedno od drugiego. Wiem, co mu przemknęło przez głowę, musiał sobie pomyśleć: „Nie, tylko nie to. Ten szaleniec chce mi połamać drugą rękę, tę, którą maluję”.

– Nie – powiedział. – Dlaczego? Nie. Nie ma mowy.

Nie pozostało mi zatem nic innego, jak przystawić mu lufę do skroni, obok szerokiego czoła i obok zakoli, żeby wziął mnie na serio, aczkolwiek teraz już byłem pewien, że go nie zastrzelę. On nie mógł być pewien, nie miał pojęcia, co zrobię, i na tym polegała moja przewaga, nie potrafił mnie zinterpretować, nikt tego nie potrafi w podobnych okolicznościach, nawet

ci najlepsi. Nawet Wheeler ani Pérez Nuix, ani Tupra, żadne z nich by nie umiało, bo w raporcie na mój temat, tym w starym archiwum, było napisane: „Niekiedy wydaje mi się całkowitą zagadką. A czasem uważam, że jest zagadką dla samego siebie. Wówczas znowu myślę, że niezbyt dobrze zna siebie. I że nie zwraca uwagi na siebie, bo dawno już z tego zrezygnował, z próby zrozumienia siebie. Wie, że nie rozumie i nie rozumie siebie. Dlatego nie traci czasu na bezowocne próby. Uważam, że nie stanowi zagrożenia. Ale z pewnością trzeba się go bać”. Custardoy nie wiedział wtedy, że nie stanowię zagrożenia, lecz wiedział, że należy się mnie bać.

– Kładź je na stół. – Powiedziałem to spokojnie, nie uznałem za konieczne podnosić głosu ani dodawać jakiegoś przekleństwa. – Wolisz, żebym ci wpakował kulkę? Wtedy już będzie po wszystkim. Nie ma sprawy, to chwila. – Tak, jakie to dziwne, że ktoś jest ci we wszystkim posłuszny, że jest całkowicie zdany na twoją łaskę i zrobi wszystko, co mu każesz.

Zamknął i zacisnął oczy, czując stary metal na skórze, tej naszej skórze, która wcale nie stawia oporu, jest do niczego, wszystko ją rani, nawet paznokiec ją rozrywa, sztylet przecina i rozdziera włócznie, miecz ją przebija samym świstem swego cięcia w powietrzu i rozszarpuje ją kula. (Custardoyowi pojawiła się na policzku krew w rozciętym miejscu, ale nie ciekła, tylko krzepła w ranie). Zobaczyłem, że ma wyraz twarzy umarłego, kogoś, kto myśli, że umarł, i wie, że nie żyje; skoro jednak nadal był żywy, ta mina wyrażała nieskończony strach i szamotaninę, szamotaninę tylko wewnętrzną, może jakieś pragnienie; pobladł jeszcze bardziej, jakby ktoś maznął mu szybko twarz brudnobiałą, może popielatą farbą lub farbą w mdłym kolorze, albo jakby obsypał ją mąką, a może talkiem, przypominało to chwilę, gdy szybkie chmury zakrywają cieniem pola, a po pasących się stadach przebiega dreszcz, bądź dłoń rozsiewającą dzumę albo

zamykając powieki zmarłym, bo zawsze się dostrzega realne niebezpieczeństwo śmierci i natychmiast się w nie wierzy, i czeka się, kiedy ta chwila nastąpi. Custardoy, podobnie jak De la Garza, wolał czekać, nic nie widząc, powieki mu drgały albo pulsowały – może źrenice pod nimi miotały się jak oszalałe. I położył ręce na stole, o tak, położył je obie, zranioną i zdrową, tę pierwszą z trudem, nie był w stanie jej całkiem rozewrzeć, położyć płasko. A ja znowu byłem szybki, nie ociągałem się dłużej ani nie zwlekałem, miałem już dosyć jego towarzystwa i chciałem szybko stamtąd wyjść; miałem też dosyć jego twarzy mimo dobrotliwego podobieństwa, uderzyłem pogrzebaczem drugi i trzeci raz w tę samą rękę co wcześniej i z taką samą siłą, myślę, że tym razem połamałem mu palce, a przynajmniej niektóre z nich, poniżej środkowych paliczków, tak to zabrzmiało. Znowu zawył dwa razy z bólu i chwycił lewą dłoń prawą ręką, wciąż jeszcze nietkniętą, nie potrafił się pohamować, odruchowo pocieszał jedną rękę drugą, lewa była w opłakanym stanie, ale starałem się na nią nie patrzeć, nie chciałem widzieć czy też oglądać własnego dzieła, jak zobaczyłem wcześniej, na nagraniu wideo, połamane ręce ojca Pérez Nuix, którymi starał się na próżno osłonić na stole bilardowym, nie chciałem dowiedzieć się dokładnie, jakie spowodowałem uszkodzenia, jeśli się nie przyjrzę, będzie mi łatwiej uwierzyć – później, w nadchodzących latach, a także za chwilę, po powrocie do hotelu – że to wszystko było snem, jakie miewa się za granicą (miałem bilet powrotny, moją zagranicą była Hiszpania, przynajmniej częściowo, i niedługo wyjeżdżałem). Mimo straszliwego bólu Custardoy musiał pomyśleć, że to nic takiego, że ma fart, bał się przecież o zdrową rękę i bał się nagłego strzału w głowę. Wciąż jednak miał odwagę się skarżyć. Pomimo paniki był twardy, w niczym nie przypominał tamtego kutasa.

– O co ci, kurwa, chodzi? – powiedział. – Chcesz zrobić ze mnie kalekę?  
Wtedy powiedziałem mu, czego chcę:

– Nic ci nie zrobiłem w prawą rękę, ale mogę załatwić ją tak samo jak lewą albo i gorzej. Dzisiaj lub kiedy indziej, jak będę chciał, zawsze cię znajdę. Mogę ci ją tak pogruchotać, że nigdy już nie weźmiesz pędzla do ręki. – I znowu nie mogłem nie przypomnieć sobie Reresby’ego, jak wydawał mi instrukcje dla De la Garzy, a ja te instrukcje tłumaczyłem memu leżącemu na ziemi rodakowi, Tupra wyrecytował płynnie całą listę poleceń, jakby wcześniej wszystko dokładnie przemyślał, ja musiałem wyrzeć wrażenie takiej samej determinacji i wiedzy albo umiejętności przewidywania, przedstawić Custardoyowi gotowy przetrawiony plan, powiedzieć mu, co ma się zdarzyć i co on zrobi.

Custardoy uchylił powieki, żeby ocenić swoje rany, a ja po drugim i trzecim uderzeniu go w rękę nie przystawiłem mu ponownie pistoletu do skroni. Patrzył na mnie mętным oszołomionym wzrokiem, jakby spode łba, ale w tym spojrzeniu było też coś mściwego. Wydało mi się jednak, że to wyzierające z niego tłumione pragnienie zemsty jest czysto hipotetyczne, jakby zrozumiał, że choćby bardzo jej pragnął, musi się jej wyrzec, lub jakby mógł ją postrzegać tylko w kategoriach przyszłej nadziei albo odsuniętej w czasie rekompensaty, albo opóźnionej sprawiedliwości, nie inaczej niż ludzie niezłomnej wiary przez długie stulecia musieli wyobrażać sobie i hołubić w myślach Sąd Ostateczny jako coś, co zostanie im dane podczas długiej śmierci i na co nie mają szansy za życia. Wymierzając mu razy pogrzebaczem, odsunąłem llamę od jego czoła, teraz pomyślałem, że już nawet nie potrzebuję wymachiwać pistoletem, groźba okaleczenia prawej ręki pogrążyła go całkowicie, pokonała go, szczególnie że nie wiedział, czy to zdarzy się teraz, zaraz, i miał przed sobą widok lewej, czuł ją, ból musiał być straszny. Jego kucyk wyglądał w tym stanie jeszcze bardziej żałośnie, krawat też, wąsy zdawały się rzadsze, zniknęło pragnienie elegancji, w owej chwili był człowiekiem gniewnym, ale przestraszonym, niemal błagającym o litość, przyhamowanym bezterminowo w swym



gniewie. Mimo to nie schowałem pistoletu. I faktycznie zaczął mnie błagać, aczkolwiek maskował to tonem głosu. Jego słowa brzmiały bardziej jak wyrzut niż jak prośba, lecz znaczyły to, co znaczyły:

– Nie rób mi tego. Prawą ręką zarabiam na życie. Przestań się, kurwa, wygłupiać. Czego ty, do chuja, chcesz? – Przekleństwa dobrze maskują uczucia, to na pewno, dlatego niemal każdy ich używa w Hiszpanii, najbardziej infantylnym i lubującym się w przechwałkach kraju, jaki znam, żeby pokazać, że stać go na wiele. Jednakże Custardoy już mnie o coś poprosił („Nie rób mi tego”) i tym razem nie poczuję się tą prośbą w nic wmieszany ani uwikłany, ani wplątany, wprost przeciwnie, chętnie sięgnę po nóż albo brzytwę, żeby przeciąć tę przykrą więź uwierającą nas, Luisę i mnie, chociaż ona stworzyła ją sama i na własne ryzyko. Musiałem jedynie powiedzieć temu typowi: „Chcę tego i tego w zamian”.

– Teraz wyjdę stąd jakby nigdy nic, a ty masz tu siedzieć cicho przez pół godziny od mojego wyjścia, masz się stąd nie ruszać ani nigdzie nie dzwonić, mimo że cię boli. Wytrzymasz. Potem zadzwoń po lekarza, jedź do szpitala, zrób, co zechcesz. Trochę potrwa, zanim ci ta ręka wydobrzeje, jeżeli w ogóle wydobrzeje. Nie zapominaj, że mogło być gorzej, że zawsze zdążymy przywalić ci w tę drugą albo odciąć ją mieczem, mam bardzo zręcznego kolegę w Londynie, który uwielbia miecze. Dopóki jej sobie nie wykurujesz, masz zniknąć z miasta, wiem, że nie brak ci kasy, przez jakiś czas pomieszkasz sobie w hotelu w jakimś miejscu, które lubisz, gdzieś, gdzie są muzea, zrób sobie wakacje. A jak nie, to wymyśl coś innego. Luisa ma cię nie widzieć w tym stanie, w żadnym razie nie może skojarzyć mego pobytu w Madrycie z tym, co cię spotkało. Zadzwoń do niej i powiesz, że niespodziewanie musiałeś wyjechać. Ważne i pilne zlecenie, zrobienie kopii albo restauracja jakiegoś obrazu, albo kilku, w Berlinie, Bordeaux, w Wiedniu albo w Sankt Petersburgu, bez znaczenia. Albo lepiej gdzieś dalej: w Bostonie, Baltimore, w Malibu, za oceanem, mają tam znane

muzea, które nie wiedzą, co robić z kasą, mogą coś u ciebie zamówić, sam już coś wymyślisz. Zadzwonisz do niej z komórki albo z jakiegoś zastrzeżonego numeru, żeby nie mogła sprawdzić, gdzie faktycznie jesteś. Z mojego punktu widzenia możesz się leczyć w Pampelunie, wszystko mi jedno, dokąd wyjedziesz. Ale jej powiesz, że wyjechałeś daleko i jesteś bardzo zajęty, i zadzwonisz jeszcze kiedyś w wolnej chwili, to tak na wszelki wypadek, bo jak się dowie, że jesteś blisko, może spróbować zostawić z kimś dzieci na kilka dni i przyjechać do ciebie w odwiedziny.

– Nie pozwoli mi wyjechać bez pożegnania, szczególnie jeżeli ma mnie długo nie być – przerwał mi Custardoy.

Nie przeszkadzało mi to, bo znaczyło, że przyjmuje mój plan, jest gotów się podporządkować i nie będę musiał zmiążyć mu drugiej ręki ani zastanawiać się, czy faktycznie mam to zrobić, bo gdyby tak, to co potem? Nie miałbym już argumentu, żeby go przekonać, i musiałbym go zastrzelić, a teraz to już wydawało mi się niemożliwe. Straciłem cały żar, jakkolwiek nigdy nie był duży. Nabrałem na chwilę chłodu Tupry, ale nie tak znowu wiele. Możliwe, że i Tupra wcale go tak dużo nie miał: koniec końców nie odciął przecież głowy.

– Nie rozumiesz, co mówię? Nie pożegna się, choćby chciała, bo jak do niej zadzwonisz, będziesz już daleko, zadzwonisz już po wyjeździe, zrozumiano?

– To jej się wyda bardzo dziwne.

– Wymyśl coś, żeby się nie wydało. Zdarzają się rzeczy nagłe i nieprzewidziane. Przecież nie widujecie się codziennie, mam rację? Dzwonić też do siebie co dzień nie dzwonicie. – Nie czekałem na odpowiedź, wołałem, żeby mi nie odpowiadała. – Podczas swej nieobecności masz do niej rzadko dzwonić, coraz rzadziej, aż w ogóle przestaniesz od dziś za dwa tygodnie. Za dwa tygodnie przestaniesz dawać znaki życia, całkowicie, a jeżeli ona cię namierzy, masz być opryskliwy i rozdrażniony.

A jak wydobrzejesz i wrócisz (jeżeli w ogóle ta krwawa miazga będzie kiedyś do użytku), masz do niej nie dzwonić, nigdy i pod żadnym pozorem. Wcześniej czy później dowie się od kogoś, że wróciłeś, i jeżeli wciąż będzie tobą zainteresowana, sama cię znajdzie albo zadzwoni, domagając się wyjaśnień. Wtedy ich udzielisz, bezceremonialnie i arogancko, nie sądzę, żebyś miał z tym kłopot, robiłeś to już pewnie setki razy. Powiesz jej, że ona to już przeszłość, właściwie już jej nie pamiętasz, że na plaży w Malibu poznałeś jakąś nową Bo Derek, ratowniczkę, córkę Getty'ego czy kogo tam zechcesz. Albo jakąś nadzianą dziedziczkę z Bostonu, z którą się żenisz, wymyśl, co chcesz. Dla niej ma być jasne, że to koniec, że ma dać ci spokój, że nie chcesz jej nawet widzieć. I więcej jej nie zobaczysz. Począwszy od dzisiaj, rozumiemy się? Ciebie już tu nie ma. A jeśli piśniesz jej choćby słówko o tym, co tu się wydarzyło, o moich odwiedzinach, jeżeli przez ciebie nabierze podejrzeń albo przemknie jej to przez myśl teraz albo kiedyś później, choćby za dziesięć lat, załatwię ci prawą rękę, możesz być pewien. – *„But please not one word of all of this shall you mention, when others should ask for my story to hear”*. Przypomniałem sobie te dwa wersy piosenki z Laredo: „Ale proszę, nie napomknij o tym ani słowem, gdy cię poproszą, żebyś opowiedział im moją historię”.

Custardoy otworzył trochę szerzej szorstko spoglądające oczy, nagle się postarzał, jakby natychmiastowe zmęczenie spowodowane uczuciem ulgi przydało mu w jednej chwili z dziesięć lat. Bardzo ostrożnie i delikatnie dotykał swojej okaleczonej dłoni, musiał już bardzo chcieć, żeby to się skończyło, żeby wreszcie znikł mu z oczu, żeby mógł pójść do lekarza albo do szpitala, by uśmierzyli mu jakoś ten ból.

– Nie jestem z tych, co się żenią, nie jestem taki jak ty – odpowiedział mi ze znikomą resztką pogardy, niemal niewyczuwalną. Ale ja ją zauważyłem. Nie miała znaczenia, to była jego minimalna rekompensata. Nie wiedział,

że ja też byłem jak on, jakkolwiek się ożeniłem wbrew przewidywaniom mego ojca. – Coś jeszcze?

– Siedzisz tu spokojnie pół godziny, już mówiłem, nie ruszasz się i do nikogo nie dzwonisz. Masz jej więcej nie tykać. Masz jej nigdy więcej nie widzieć. Dowiem się, jeśli nie posłuchasz, a Londyn jest o dwie godziny drogi stąd, dla mnie to żaden problem przyjechać i obciąć ci rękę.

Wrzuciłem pogrzebacz do kominka, był trochę zakrwawiony, niech go sam wyczyści. Wyjąłem trzeci nie użyty nabój, schowałem lłamę do kieszeni prochowca i ruszyłem w kierunku drzwi, nie spuszczać wzroku z Custardoya, aż straciłem go z pola widzenia. Został tam, siedział na sofie w pogniecionym ubraniu, z pogruchotaną lewą dłonią i ze szramą na policzku. Wytrzymał moje spojrzenie pomimo swego nagłego zmęczenia, niespodzianej wiekowości. Nikt nigdy nie patrzył na mnie z taką nienawiścią. Mimo to nie bałem się, że czegoś spróbuje, że sięgnie po pogrzebacz i od tyłu przyłoży mi w kark. Wcześniej za bardzo się przestraszył, żeby teraz ryzykować, czuł się już dostatecznie upokorzony. Jego nienawiść była bezsilna i bez następstw, daremna, zabarwiona strachem lub przerażeniem; albo była jak nienawiść dzieci skazanych na przebywanie zbyt długo w niestosownym ciele dziecka, zmuszonych do bezsensownego oczekiwania, które je złości, ale którego nie będą już pamiętać, gdy w końcu dorosną. Patrzył na mnie, wiedząc, że jestem i jeszcze długo będę poza jego zasięgiem, może nawet zawsze: jak wściekły nastolatek przyglądający się światu, który szybko przesuwa się przed jego oczyma i do którego jeszcze nie wolno mu wejść; albo jak więzień, który wie, że nikt na niego nie czeka ani nikt nie odmawia sobie niczego z powodu jego nieobecności i że wraz z pędzącym przed siebie światem jego czas odchodzi w przeszłość i nie można na to nic poradzić; doświadczają tego również ci, którzy umierają, tyle że dużo bardziej tragicznie.

Gdy wyszedłem z pokoju, znikł mi z oczu. Odprowadził mnie mętnym od nienawiści spojrzeniem, możliwe, że jeszcze kilka sekund wpatrywał się tak w drzwi, za którymi znikła moja postać z dłońmi w rękawiczkach. Chwilę potrwa, nim przywyknie do myśli o tym, co miał zrobić. A potem będzie mu trudno uwierzyć, że przydarzyło mu się to, co mu się przydarzyło, ale ma po tym dobrą pamiętkę albo i dwie, będzie teraz czuł w ręce i na policzku to samo, co musiała czuć Luisa wokół mieniącego się setką kolorów oka, a – wedle słów jej siostry – możliwe, że wcześniej na całej twarzy. Będzie miał przed sobą wiele dni, by obserwować, jak zabliznia się jego rana, i czekać z nadzieją, że małe kości dłoni zrosną się dobrze pod gipsowym opatrunkiem czy co tam teraz zakładają w takich okolicznościach, jakkolwiek równie dobrze może się okazać, że konieczna jest operacja. Będzie też spoglądał na swoją zdrową dłoń i może tak sobie pomyśli: „Miałem szczęście, przynajmniej ta jest cała”. I przypomni sobie dotyk metalowej lufy na skroni, i może znowu pomyśli: „Miałem szczęście. Mógł mnie zastrzelić, myślałem, że to zrobi. Ale zawsze wolimy, żeby ktoś inny umarł, każdy myśli o sobie. Uratowałem się i proszę, oto jestem”.

Zszedłem szybkim krokiem schodami („*«Do I dare?» and «Do I dare?» Time to turn back and descend the stair...*”), w pośpiechu, by wyjść i oddalić się z tego miejsca, wziąć taksówkę i pojechać prosto do Miguelína, zwrócić mu jego stary pistolet, umieściwszy na powrót w magazynku trzy wyjęte wcześniej naboje, i powiedzieć: „Stokrotne dzięki. Oddaję ci go. Nie brak żadnego naboju, bądź spokojny. Nie ma nawet moich odcisków. Jakbyś nigdy mi go nie pożyczał, jakby nie opuszczał tego miejsca”.

Nie przejeżdżały wolne taksówki, niebo wciąż zaciągnięte było chmurami, bezgłośnie błyskawice szykowały grzmot, ale na razie się nie rozlegał, ruszyłem więc szybko przed siebie nadal tą samą drogą na wprost, calle Mayor w stronę mego hotelu, nadal w rękawiczkach, chciałem oddalić

się z tego miejsca. Miałem w sobie lekkość kogoś, kto postawił na swoim, a także coś z tamtej pychy, którą poczułem, widząc, że Rafita się mnie boi, mimowolnie wzbudzałem w nim przerażenie. Ujrzeć siebie jako kogoś groźnego, tak, to miało swoje przyjemne strony. Człowiek czuł się dzięki temu pewniejszy, bardziej optymistyczny, silniejszy. Czuł się kimś ważnym i jak by to powiedzieć... panem. Tym razem, inaczej niż wtedy, ta próżność nie wydała mi się zrazu odpychająca. Ale miałem też w sobie uczucie nagłego ciężaru, takie uczucie jest wynikiem różnych kombinacji, niepokoju i pośpiechu, wstrętu wobec konieczności dokonania z zimną krwią jakiegoś aktu zemsty, nieprzewyciężonej potulności w sytuacji zagrożenia. Czułem w sobie jakiś wstręt, a także jakiś pośpiech, mego aktu zemsty już dokonałem. Dopiero na wysokości plaza de la Villa, ujrzawszy ponownie pomnik markiza De Santa Cruz („Byłem postrachem Turka pod Lepanto, Francuza koło Terceiry, Anglika na wszystkich morzach...” „*And in short, they were afraid*”), zacząłem myśleć obsesyjnie raz i drugi: „Nie można ot, tak bić ludzi, nie można ot, tak zabijać ludzi. Dlaczego nie można? Nie można ot, tak bić ludzi... Powiedz mi, dlaczego, według ciebie, nie można?... Nie można zabijać ludzi. Dlaczego nie można? Według ciebie?”. I przypomniałem sobie także słowa, które Tupra wypowiedział u siebie w domu, gdy skończył pokazywać mi swoją kolekcję nagrań: „Dopiero co widziałeś, jak często się to robi, wszędzie, czasem z wielką łatwością i beztrasko. Wytłumacz mi zatem, dlaczego nie można?”. I odpowiedziałem sam sobie to samo, co i jemu zdążyłem wówczas odpowiedzieć, nim przerwała nam Beryl czy kimkolwiek była owa kobieta, ta osoba u jego boku, jego słaby punkt jak w moim przypadku Luisa: „Ponieważ wtedy nikt nie mógłby żyć”. To zdanie pozostało wówczas bez odpowiedzi. Ale na Puerta del Sol moje myśli się odmieniły, teraz powtarzałem w nich tylko to: „Dużo jednookich, dużo jednorękich na

tych starych uliczkach, ale on jest poza kadrem. Tak, teraz jest poza kadrem i niech mu nie przyjdzie do głowy, żeby pojawić się znowu”.

W rzeczywistości nie myślałem zanadto o niczym aż do chwili, gdy znalazłem się w samolocie powrotnym do Londynu, chcę powiedzieć, że odłożyłem wszelkie uporządkowane myślenie i w ciągu tych kilku dni, jakie mi jeszcze pozostały w Madrycie, ograniczyłem się do uczuć, wrażeń i do intuicji. Dni poświęciłem dzieciom i chodzeniu z nimi w różne miejsca (dzieci nienasycone, jak pewnie wszystkie dzieci teraz, oduczyły się przebywania w domu, postrzegają dom jak więzienie i domagają się ciągłych rozrywek w uciążliwym świecie zewnętrznym), a także memu ojcu, którego stan pogarszał się powoli, lecz dostrzegalnie.

Gdy odwiedziłem go po raz ostatni w przeddzień mego wyjazdu, siedział jak niemal zawsze w fotelu ze splecionymi przed sobą dłońmi niczym ktoś czekający bez zniecierpliwienia albo nie wiedzący, na co czeka – pewnie aż zapadnie noc, a potem znowu robi się dzień – i co jakiś czas podnosił ręce i dotykał palcami brwi, gładził je machinalnie, później przesuwiał palcem wskazującym i kciukiem poniżej dolnej wargi, gładził to miejsce, niemal pocierał, to był zawsze charakterystyczny dla niego gest, gest zamyślenia. Oglądanie go takim, w tym dziwnym oczekiwaniu, robiło na mnie dość przygnębiające wrażenie, prawie się nie odzywał, to ja prowadziłem całą rozmowę i wyciągałem z niego pojedyncze słowa, łamiąc sobie głowę nad kolejnymi pytaniami i tematami, które mogłyby go sprowokować do reakcji i ożywić, nie przekładał na słowa swoich rozmyślań, nie dzielił się nimi ze mną, jak czynił zazwyczaj; wydał mi się nagle równie nieprzenikniony jak niemowlę, niemowlęta muszą przecież coś myśleć o tym, co je otacza, bo są do tego zdolne, ale nie można się dowiedzieć, jakie to myśli.

– O czym myślisz? – zapytałem w końcu po kilku nieudanych próbach zainteresowania go ostatnimi wiadomościami i wydarzeniami.



– O kuzynach – odpowiedział.

– O jakich kuzynach?

– A o jakich miałbym myśleć? O swoich.

– Przecież ty nie masz kuzynów, nigdy nie miałeś – powiedziałem lekko zaniepokojony.

Jakby się zawiesił, dokonując w myślach poprawki, ale zaraz jego twarz przybrała zwykły wyraz, nie upierał się, lecz zaczął od początku, jak gdyby wcześniej nic nie mówił.

– O wuju Victorze – powiedział. – Powiedz mu, żeby był tak miły i uprzedził ojca, że zaraz przyjdę do domu.

Naprawdę miał kiedyś wuja Victora, ale zarówno ten wuj, jak i mój dziadek nie żyli od wielu lat, od tak wielu, że żadnego z nich dwóch nie poznałem. Po raz pierwszy ojca zaczynała zawodzić głowa, przynajmniej w mojej obecności. Może to nie jest właściwe słowo, może tak naprawdę zawodziło go poczucie czasu, który – wbrew temu, co zwykliśmy sądzić – może nigdy całkowicie nie mijać, podobnie jak nigdy nie przestajemy być do końca tym, kim byliśmy, i wcale nie tak rzadko ześlizgujemy się w przeszłość tak sugestywnie, że przeszłość ustawia się obok terażniejszości, szczególnie gdy to terażniejszość starego człowieka, ona bowiem mało ma do zaoferowania i nie jest urozmaicona, dni nie różnią się jeden od drugiego. Kto czeka bez zniecierpliwienia lub nie wiedząc, na co czeka, ma powody, by przenieść się w czas dla siebie najprzyjemniejszy albo najwłaściwszy, a skoro dzień dzisiejszy go ignoruje, on ma pełne prawo ignorować dzień dzisiejszy, nie ma tu powodów do wzajemnych pretensji.

– Twój ojciec od bardzo dawna nie żyje – poprawiłem go raz jeszcze. – Podobnie jak wuj Victor.

I tym razem nie nalegał, powiedział tylko:

– Przecież wiem, że nie żyją. Wielka mi nowina, Jacobo. – I zaśmiał się pobłaźliwie, jakbym to ja miał kłopoty z głową.

Możliwe, że ojciec podróżował teraz w czasie z ogromną łatwością i bardzo szybko. Możliwe, że stawał się panem czasu i w ręce trzymał zegar, zegar swój i swego istnienia, i patrząc spokojnie, jak posuwa się naprzód, podróżował, dokąd miał ochotę. Jedynie to bowiem pozostaje starcom – zwłaszcza gdy nie są starcami przebiegłymi jak Wheeler – kiedy nie usiłują już zapełnić wolnych miejsc, znaleźć zmienników albo zastępców dla wszystkich postaci utraconych na przestrzeni całego życia, i nie uczestnicząc już w tym ciągłym uniwersalnym ruchu lub mechanizmie substytucji – który należąc do wszystkich, jest także nasz – przestają gromadzić nieudolne imitacje i otaczać się nimi, by w zamian odzyskać oryginały w całej ich pełni. Już nie trzeba im życia, marnego, bladego i ulotnego, potrzebują tylko myśli, a tę mają z każdym dniem mocniejszą, bardziej klarowną i wszechogarniającą, ponieważ nie musi już częściej niż tylko chwilami komunikować się z rzeczywistością.

– Masz w domu pistolet, prawda? – przyszło mi nagle do głowy, by go o to spytać. I tak byśmy go znaleźli po jego śmierci, należało się obawiać, że nie przyjdzie nam na to długo czekać; wtedy któreś z nas, moi bracia, siostra albo ja, dostanie go w spadku, tak jak Miguelín odziedziczył po swoim ojcu llamę, którą niedawno miałem w rękach. Może byłoby dobrze wiedzieć, gdzie szukać w przyszłości „czystego” pistoletu, zamiast od kogoś go pożyczać.

Spojrzał na mnie niebieskimi źle widzącymi oczyma z lekkim zdumieniem.

– Mam. Dlaczego pytasz? – Wydawało się, że się ocknął, wrócił do teraźniejszości.

– Skąd się wziął? Dlaczego go przechowujesz? – spytałem, nie odpowiadając na jego pytanie.

Uniósł dłoń ku brwiom, choć tym razem nie po to, żeby je pogładzić z wyrazem zamyślenia na twarzy, lecz żeby się skupić albo przywołać wspomnienia.

– No cóż. Mój ojciec miał zamiłowanie do broni. Nie tyle był myśliwym, ile strzelcem. Bardzo lubił strzelać i był bardzo zręczny. Należał do Krajowego Stowarzyszenia Strzeleckiego i miał wiele sztuk broni palnej. Karabin Mausera, strzelbę Bakera, bogato zdobiony karabinek sportowy Le Page'a; miał też strzelbę „Małpi Ogon”, nie pamiętam, dlaczego tak się nazywała; pistolety i rewolwery, niektóre bardzo stare, jakby z czasów Dzikiego Zachodu; był tam amerykański leMat i angielski beaumont-adams, i ze dwa derringersy, jeden z podwójną lufą, i pistolety z siedemnastego albo osiemnastego wieku, przypominam sobie, że miał ociekającego złotem blunderbussa, używanego w pojedynkach migueleta i mocno posrebrzany pistolet „Królowa Anna”, miał naprawdę imponującą kolekcję. Miał też broń białą pochodzącą z egzotycznych krajów: mauretańskie zakrzywione noże, jatagany, filipińskie balisongi, jeden malajski kris... i rzecz jasna rapiery. – Po chwili przerwy przypomniał sobie jeszcze dwa inne rodzaje: – Jeden nepalski kukri, a nawet indyjski bhudź, prawdziwą rzadkość, ni to sztylet, ni to tasak, znany również pod nazwą „noża słoniowego”, ponieważ miał mosiężną podobiznę głowy słonia na styku klingi i długiej wąskiej rękojeści... – Widział przed sobą ten sztylet, zrozumiałem, że ma przed oczyma ów bhudź z czasów swego dzieciństwa i wszystkie pozostałe rodzaje broni także, spoglądał wzrokiem, jaki często widuje się u starych ludzi, nawet jeżeli są w towarzystwie i prowadzą ożywioną rozmowę, czyli matowymi oczyma z rozszerzoną źrenicą utkwionymi gdzieś w dalekiej przeszłości, jakby naprawdę coś nimi widzieli, mam na myśli wspomnienia. To nie jest spojrzenie nieobecne, lecz skupione, tyle że na czymś bardzo odległym. Po tym krótkim rozmarzeniu dodał: – Zaraził nas tym swoim zamiłowaniem, mego brata i mnie, przede

wszystkim mnie. Pokazywał nam różne rodzaje broni, tłumaczył, jak działają, uczył nas, zachowując wielką ostrożność, jak się nimi posługiwać.

– Ale po co mu była biała broń? Przecież nie mógł z niej strzelać. W Stowarzyszeniu Strzeleckim nie pozwalali mu chyba rzucać malajskim krisem.

Teraz był już w pełni zainteresowany rozmową, a co najmniej swymi wspomnieniami, zareagował więc żywo na mój żarcik, udając, że wcale go nie bawi:

– Straszne z was głupki, nie przepuście żadnej okazji, żeby powiedzieć coś bez sensu. – Użył liczby mnogiej, która obejmowała zawsze całą naszą czwórkę, nawet gdy miał przed sobą tylko jedno ze swoich dzieci. – Wiadomo, że z tej broni nie strzelał. Ale mu się podobała. Tak myślę. Urodził się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, ludzie urodzeni w tamtych czasach mieli upodobanie do broni w ogóle. To było całkowicie normalne. Nie używano jej w celach przestępczych tak często jak dzisiaj.

– Hm – powiedziałem – dawanie dzieciom broni do zabawy nie było chyba specjalnie roztropne, nie uważasz? Mogliście sobie odstrzelić głowę albo poderznąć gardło, znaczy ty i twój brat. Mówisz, że miał rapiery? Dobrze wiem, jak potrafi ciąć miecz albo szpada. W dzisiejszych czasach władza... co tam władza, sąsiedzi!... nie posiadaliby się z oburzenia wobec czegoś takiego. Dzisiaj twój ojciec wylądowałby za to w pudle.

Musiało go zirytować wyrażenie „wylądować w pudle” w odniesieniu do ojca, mimo że to ja go użyłem i w formie żartobliwej.

– Dzisiaj dzieje się wiele absurdów – odparł z wyrzutem, jakbym był przedstawicielem władzy albo sąsiadem. – Dzisiaj wszyscy się wszystkiego boją i ludzie mają mało wolności w życiu osobistym i coraz mniej w kwestii wychowania własnych dzieci. Dawniej dzieci uczono wielu rzeczy, gdy stawały się rozumne, z jakiegoś powodu tak to nazywano. Uczono je tego, co mogło im się przydać, gdy dorosną, bo nie zapominano,

że dziecko ma się stać kiedyś dorosłym człowiekiem. Nie to co teraz, kiedy wychodzi się raczej z założenia, że to dorośli będą wciąż dziećmi aż do późnej starości, w dodatku mało rozgarniętymi i strachliwymi. Dlatego wszędzie jest tyle głupoty. – Uniósł znowu palce do ust i mruknął: – Smutno być świadkiem epoki schyłku, zaznawszy wcześniej dużo inteligentniejszych czasów, do czego to dojdzie... Między innymi z tego powodu nie będę rozpaczał, że odchodzę. To się zbliża, zdajesz sobie sprawę, jak mniemam.

– Zbliża się albo i nie, kto to może wiedzieć – odpowiedziałem. – Możesz nas wszystkich przeżyć. Nigdy nie wiadomo, kto umrze pierwszy, prawda? – A ponieważ nie odpowiadał, powtórzyłem: – Prawda?

– Prawda – przyznał – ale jest coś takiego jak rachunek prawdopodobieństwa, pozwala czynić dość trafne założenia. Byłoby bezinteresownym okrucieństwem, gdyby na tym etapie mego życia któreś z was miało umrzeć przede mną. Byłoby to okrutne dla was i przede wszystkim dla mnie. Nie daj Boże. – Na jego miejscu odpukałbym w niemalowane drewno. Nie żebym w to wierzył, ale dla większego wrażenia.

Rozmowa przybrała melancholijny obrót, a tego właśnie chciałem uniknąć, wymyślając tematy, które mogłyby odwrócić jego uwagę od oczekiwania na noc i oczekiwania na dzień, i ponownego oczekiwania na następne noce i następne dni, aż wreszcie nie będzie już żadnych następnych. Odwiedziłem go ostatni raz przed powrotem do Londynu, miało minąć dużo czasu, nim znowu zawitam do Madrytu. Możliwe, że już go więcej nie zobaczę, pomyślałem z lękiem (wtedy zdałem sobie sprawę, że w myślach użyłem hiszpańskiego słowa „*desmayo*” oznaczającego omdlenie, mając na myśli angielskie „*dismay*”, czyli lęk, konsternacja). Położyłem mu dłoń na ramieniu, lubił to i to go uspokajało, tym razem jednak chciałem uspokoić siebie, poczuć jego kości i rytm jego oddechu.

– Ale co mi zamierzałeś powiedzieć? – wróciłem do tego, przy czym wcześniej się rozpogodził i lekko ożywił. – Że ten twój pistolet pochodzi ze zbiorów ojca?

– Nie, w żadnym razie. Cała tamta kolekcja znikła po trochu wiele lat temu, gdy nadeszły ciężkie czasy. Ojcu poszczęściło się kilka razy w interesach, wpadał wtedy w euforię i trwonił wszystkie zyski, inwestował je w nedorzeczne przedsięwzięcia, przecież wiecie. Potem, kiedy wracał mu rozsądek, odrabiał mniej więcej straty, nadszedł jednak taki dzień, że już nie mógł ich odrobić. Te nieliczne sztuki broni, które mu jeszcze zostały, sprzedał na początku wojny domowej, podobny los spotkał kolekcję zegarów. Zresztą nie wiem, może jakieś sztuki broni mu skonfiskowano.

– To skąd ten pistolet?

– Mam go od czasów wojny, to Astra De Luxe kaliber 7,65. Jak na pistolet hiszpański jest całkiem ładny, trochę zdobiony, ma lufę ze srebrnym grawerunkiem i rękojeść z macicy perłowej. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie, z czystej ciekawości. Mógłbym obejrzeć? Nigdy go nie widziałem. Gdzie jest?

– Nie wiem – odpowiedział bez chwili wahania i nie miałem wrażenia, że wykręca się, by nie pokazać mi pistoletu. – Kiedy po raz ostatni miałem go w ręku, lata temu, postanowiłem schować go w jakimś dobrym miejscu, żeby nie znalazły go wnuki, bo jak tu przychodzą, wszędzie myszkują. Was pilnowała wasza matka, ale jej już nie ma. Schowałem go tak dobrze, że nie mam pojęcia, gdzie on u diabła może być. Zapomniałem. Miał amunicję, był dobrze utrzymany i naoliwiony. Po co ci pistolet? – Dziwna rzecz, jakby wiedział, że chciałem go dla siebie. Niezupełnie tak było, już wypełniłem swoje zadanie, posługując się innym, pożyczonym, już go nie potrzebowałem, aczkolwiek z pistoletem w kieszeni ma się większe poczucie bezpieczeństwa.

– Po nic, wcale go nie chcę – powiedziałem. – Pytałem z czystej ciekawości. Dlaczego ryzykowałeś, zatrzymując go sobie po wojnie? Jakby za rządów Franco podczas rewizji znaleźli u ciebie pistolet, miałbyś poważne kłopoty, szczególnie z twoją przeszłością. Czemu go zatrzymałeś? Czemu wciąż go masz, choć nie wiesz gdzie?

Ojciec popadł na chwilę w zadumę. Może trudno mu było odpowiedzieć, może ważył słowa, nie wiem. Potem powiedział tylko:

- Nigdy nie wiadomo.
- Czego nigdy nie wiadomo?
- Co się może przydać.

Zawsze nam mówił, że w czasie wojny miał to szczęście – pod pewnym względem – że był w Madrycie, bo z powodu krótkowzroczności przydzielono go do służb pomocniczych. I jakkolwiek nosił mundur republikański, nie musiał iść na front i ani razu nie wystrzelił. Mówił też, jak cieszyła go ta absolutna pewność, że nigdy nikogo nie zabił, że nigdy nie miał takiej możliwości. Przypomniałem mu teraz o tym:

– Zawsze mówiłeś, jak bardzo cieszy cię pewność, że podczas wojny nikogo nie zabiłeś, że nie było po temu okazji. Nie pasuje mi do tego zatrzymanie potem pistoletu w domu, gdy sprawy już nie wyglądały tak źle. Znaczący gdy nie było już tak niebezpiecznie ani nie było takiego chaosu, jakkolwiek w czasach dyktatury nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Dlaczego nie zdałeś tego pistoletu? Dlaczego się go nie pozbyłeś?

– Bo jak się przeżyje wojnę, to potem już nigdy nie wiadomo – powtórzył. I zamilkł, ale obie ręce trzymał oparte na poręczach fotela, jakby zbierał się do powiedzenia czegoś jeszcze, zczekałem więc. I faktycznie zaraz coś dodał: – Tak, bardzo się cieszę, że nikogo nie zabiłem. Ale to nie znaczy, że nie zrobiłbym tego, gdybym nie miał wyjścia. Gdyby wam albo waszej matce groziła śmierć, a ja dzięki temu mógłbym do niej nie dopuścić, zrobiłbym to, jestem pewien. Mam na myśli czas, kiedy byliście

mali, bo teraz już potraficie obronić się sami, to co innego. Nie sądzę, bym dziś kogoś zabił w waszej obronie. Pomijając już to, że nie dałbym rady, spójrz tylko, w jakim jestem stanie, sami możecie zrobić wszystko co trzeba. Już nie jestem wam do tego potrzebny. A zresztą nie wiedziałbym, czy na to zasługujecie, każde z was żyje swoim życiem i nie wiem, jak z niego korzystacie. Dawniej było inaczej, dawniej wiedziałem o was wszystko, kiedy byliście mali i mieszkaliście w domu. Miałem wszystkie informacje, teraz już nie mam. To dziwne, że dzieci stają się kimś na pół obcym, wielu rodziców nie potrafi tego zaakceptować i stoją za dziećmi murem w każdej sytuacji, nawet wbrew oczywistym faktom. Znam cię takiego, jaki byłeś, i myślę, że nadal rozpoznaję w tobie tamtego ciebie. Ale w rzeczywistości nie znam cię teraz tak, jak znałem kiedyś, w żadnym razie. Z twoim rodzeństwem jest podobnie. Waszą matkę znałem natomiast do samego końca, w jej obronie zabiłbym do końca. – Teraz zarówno jego głowa, jak i poczucie czasu działały znakomicie i po króciutkiej, zamykającej dygresję przerwie podjął poprzedni wątek: – Nigdy nie wiadomo, nigdy, może się zdarzyć, że pewnego dnia trzeba będzie użyć pistoletu. Pomyśl, co się działo w Europie podczas drugiej wojny. Długo nie wiedzieliśmy, czy ta wojna i do nas nie dojdzie pomimo obietnic Franco – jakby można mu było wierzyć – i jego taktyki bawienia się w kotka i myszkę z Hitlerem. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że podczas tamtej wojny ludzie chwyтали się każdej broni, nieważne, legalnej czy nielegalnej. W pewnym sensie tamta wojna była dużo gorsza od naszej. Pod innymi względami, rzecz jasna, nie tak bardzo. W sensie jakościowym nasza wojna była najgorsza. – Znowu zamilkł i utkwiał we mnie wzrok, jakkolwiek miałem wrażenie, że wcale mnie nie widzi, że spogląda jak ślepiec, nie odmierzając odległości. Zauważyłem, że to, co zamierza powiedzieć, budzi w nim wielkie emocje: – Ale najbardziej cieszę się z tego, Jacobo, że moje słowa, to, co mówiłem lub opowiadałem, nigdy nie



przyczyniły się do niczyjej śmierci. Zastrzelenie kogoś na wojnie lub w obronie własnej jest złem, ale można z tym nadal żyć, nie straciwszy przyzwoitości ani człowieczeństwa, a przynajmniej niekoniecznie. Jeżeli jednak ktoś umiera dlatego, że kto inny coś powiedział albo co gorsza zmyślił; jeżeli przez to ktoś niepotrzebnie traci życie; jeżeli żyłby dalej, gdyby ten drugi zachował był milczenie; jeżeli mówiło się, gdy należało milczeć, i tym samym spowodowało się śmierć jednej lub wielu osób... myślę, że nie da się żyć, mając coś takiego na sumieniu, jakkolwiek wielu z tym żyje albo takie sprawiają wrażenie.

Może dawniej tak było, zdążyło mi przemknąć przez myśl albo pomyślałem tak już potem, wspominając tę rozmowę podczas powrotnego lotu do Londynu; mój ojciec wciąż ma na myśli świat, w którym zdarzenia pozostawiały ślad po sobie i często dochodziło do głosu sumienie. Nie zawsze, rzecz jasna, ale w większości przypadków. Jednakże teraz jest na odwrót: łatwo jest sumienie uciszyć lub nałożyć mu knebel, a i to nie zawsze jest konieczne, bo jeszcze łatwiej przekonać sumienie, że nie ma powodu się odzywać. Teraz panuje tendencja, żeby nie czuć się niczemu winnym, żeby natychmiast na wszystko znajdować wytłumaczenie, nie ponosić za nic odpowiedzialności albo jak mówimy po hiszpańsku, „*cargarse de razón*”, czyli upierać się przy swoim, nie wiem, jak to się mówi po angielsku, nie szkodzi, jeszcze nie muszę posługiwać się na powrót tym językiem, od jutra już będę musiał. Jasne, że dziś można żyć z czymś takim na sumieniu i z dużo gorszymi rzeczami też. Do wyjątków należą tacy, którzy się z tego powodu męczą, podobnie jak staromodni są ludzie, którzy myślą: „Włócznia, gorączka, mój ból, słowa, sny i marzenia” i inne podobnie nieprzydatne rzeczy. A mój ojciec mówił dalej:

– A na naszej wojnie tyle tego było, tyle donosicielstwa i trucizny, tylu kłamców, intrygantów i zawodowych podżegaczy, wszyscy bez wytchnienia siali i podsycali nienawiść i agresję, zawiść, żądzę mordy, po

obu stronach, choć przede wszystkim w obozie zwycięzców, ale po obu stronach... wcale nie było łatwo zachować w tym względzie czyste sumienie; może w tym właśnie było najtrudniej. A już szczególnie trudno było komuś takiemu jak ja, kto w czasie wojny pisywał do gazet lub występował w radiu. Nie wyobrażasz sobie, jakie rzeczy wypisywano albo mówiono nie tylko przez trzy lata wojny, ale i przez wiele następnych. Wystarczyło jedno zdanie i można było wysłać kogoś pod mur albo na rozstrzelanie w przydrożnym rowie. A przecież mam pewność, że nigdy nie powiedziałem ani nie napisałem nic, co mogłoby komuś wyrządzić poważną krzywdę. Później też nie w moim osobistym życiu. Nigdy nie zdradziłem tajemnicy ani nie zawiodłem zaufania, nawet w sprawach mało istotnych; nie mówiłem nikomu o sprawach, o których dowiedziałem się ze słyszenia albo byłem ich naocznym świadkiem, jeśli mogło to komuś zaszkodzić i jeśli nie musiałem o nich mówić, żeby kogoś uratować lub oczyścić z zarzutów. Właśnie to, Jacobo, cieszy mnie najbardziej.

Pomyślałem, że ojciec dokonuje przed śmiercią rozrachunku z życiem. Przez sekundę zastanawiałem się, czy jest tak, jak mówi, czy też sam siebie oszukuje, jak ktoś raczej z moich niż z jego czasów, może kiedyś mu się coś wymknęło, co później miało dla kogoś straszliwe konsekwencje. Nie sposób było to wiedzieć. Nawet on nie mógł wiedzieć, po prostu nie da się wszystkiego pamiętać, jakby się było tym Sędzią z dawnej niezachwianej wiary. Często najzwyczajniej nie wiemy, że były jakieś konsekwencje, pomyślałem o rysunkach przestrzegających przed „*careless talk*”, tych pokazanych mi swego czasu przez Wheelera: skąd marynarz, który powiedział coś swojej dziewczynie, mógł wiedzieć, że spowoduje tym zatopienie statku ze swymi rodakami? W gruncie rzeczy człowiek nigdy nie może być pewny, że żegna się bez żadnego grzechu na sumieniu. Ale wtedy przypomniało mi się coś jeszcze i pomyślałem, że to mu pomoże przekonać samego siebie.

– Nie chciałeś mi na przykład powiedzieć, jak nazywał się ten pisarz, który razem z innymi urządził korridę twemu koledze Marésowi – powiedziałem. – A przecież nie musiałeś przemilczeć jego nazwiska. Nie tylko wobec mnie, ale w ogóle wobec nikogo.

Odrobinę się zdziwił, jakby całkiem zapomniał, że opowiadał mi o tym kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze mieszkałem w Madrycie. Jego słowa świadczyły, że istotnie zapomniał:

– Wiesz o tym. – Było to coś pomiędzy stwierdzeniem a pytaniem.

– Tak. Kiedyś mi opowiedziałeś.

– I nie chciałem powiedzieć, co?– Teraz to wyraźnie było pytanie. – Nie chciałem wyjawić ci jego nazwiska, tak?

– Tak. Przez wzgląd na jego żonę i córki. Powiedziałeś, że nie chcesz ich narażać, że ktoś zacznie w tym grzebać i wyciągnie całą sprawę, że nie chcesz stać się tego pośrednim sprawcą. Jakkolwiek jego żona też już nie żyje, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak, oboje już nie żyją. Ale to niczego nie zmienia. – I mruknął bardziej do siebie niż do mnie: – Mówisz, że nie chciałem powiedzieć. To dobrze, to bardzo dobrze...

Popadł w zadumę, patrzył znowu tym nieruchomym natężonym spojrzeniem niebieskich oczu, które mnie nie widziało. Po kilku sekundach miałem wrażenie, że wspomnienie tamtych ludzi przeniosło go ponownie w dawne czasy, gdy żyła jeszcze moja matka i gdy żona tamtego niegodziwca, dobra uczciwa kobieta, zachowała się bardzo przyzwoicie wobec nas wszystkich, a wobec niej szczególnie. Oczekałem w milczeniu ze dwie albo trzy minuty. Ojciec nic nie mówił, wyglądał na zmęczonego. Prawdopodobnie powinienem był już go zostawić, a przecież to mogło być nasze ostatnie spotkanie.

– Pójdę już, tato – powiedziałem, podniosłem się i pocałowałem go w czoło.

– Dokąd? – zdziwił się, jakby uznawał za niedorzeczność, że ja albo którekolwiek z jego dzieci może wychodzić.

– Do hotelu, a jutro wracam już do Londynu.

– Wyjeżdżasz gdzieś? Dobrej podróży, synu.

– Mieszkam teraz w Londynie, tato. Nie pamiętasz?

– Jesteś na wygnaniu? – zapytał, nie nadając temu słowu żadnego uroczystego znaczenia. – Jak greccy bogowie.

– Greccy bogowie? – Nie wiedziałem, o co mu chodzi, z czym może mieć związek ta ostatnia uwaga. Ojciec nigdy nie mówił od rzeczy, przynajmniej ja nigdy nie byłem tego świadkiem. Zdarzało mu się abstrahować od czasu, osób i okoliczności, zawsze jednak jego umysł i pamięć działały bez zarzutu, jakkolwiek na swój szczególny sposób. Zresztą tak działają wszystkie umysły i każda pamięć.

– Nie pamiętasz tego wiersza Heinego? – powiedział i zaraz zaczął recytować z pamięci po niemiecku. Nauczył się niemieckiego jako dziecko, w szkole – rzecz możliwa w latach dwudziestych i zupełnie nie do pomyślenia w dzisiejszych czasach – i zawsze się chlubił, że zna na pamięć całe wiersze Goethego, Novalisa, Hölderlina, niemieckich klasyków.

– Nie pamiętam, tato – wtrąciłem – nie mogę pamiętać czegoś, czego nigdy nie znałem i nie rozumiem, co teraz mówisz. Nigdy nie uczyłem się niemieckiego. Nie pamiętasz?

– Nie znasz niemieckiego, ładne rzeczy – odparł z nutą lekkiej ojcowskiej przygany, jakby to było dziwne, jakaś wada. – Nie wiem, czego was uczyli w szkole. – I z politowania dla mojej niewiedzy oraz z entuzjazmu dla tego wiersza swej młodości zaczął mi wyjaśniać: – Poeta widzi pośród nocy białe chmury, które zdają mu się „kolosalnymi posągami bogów ze świetlistego marmuru”, jak mówi. Zaraz jednak zdaje sobie sprawę, że to naprawdę oni: Kronos, Zeus, Hera, Pallas Atena, Afrodyta, Ares, Apollo Jaśniejący, Hefajstos, Hebe, postarzali i zdani na łaskę

żywołów, przygnębieni i skostniali z zimna na wygnaniu. „Gdzież tam, to wcale nie chmury!”, wykrzykuje poeta. – I ojciec zaczął tłumaczyć wiersz na hiszpański, przywołując go powoli z pamięci: – „Wszak to oni, bogowie Hellady, Onegdaj radośnie rządzący światem, Dziś pognębieni i zmarli, Ciągną w dal jak potworne widma Poprzez północne niebo...”. – Ale na pamięć cisnęły mu się strofy po niemiecku, a może męczyło go tłumaczenie, dość, że znowu przeszedł na niemiecki, a ja wtedy nic już więcej nie rozumiałem.

Później, po jego śmierci, podjąłem próbę odnalezienia słyszanych wtedy bez zrozumienia wersów. Znalazłem dwujęzyczne wydanie „Bogów Grecji” Heinego, po niemiecku i po angielsku (nie mogłem znaleźć hiszpańskiej wersji), i z pewnością tę właśnie strofę przetłumaczył mi wtedy naprędce na hiszpański: *„Nein, nimmermehr, das sind keine Wolken! Das sind sie selber, die Götter von Hellas, die einst so freudig die Welt beherrschten, doch jetzt, verdrängt und verstorben, als ungeheure Gespenster dahinziehn am mitternächtlichen Himmel...”*. Przypuszczam, że miał dobry akcent. Zauważyłem także dwa inne krótkie ustępy, które musiał mi wtedy wyrecytować po niemiecku. W jednym poeta zwracał się do Zeusa i mówił mniej więcej tak: „Lecz nawet bogowie nie rządzą wiecznie. Młodzież wypiera starych, tak jakoś ty sędziwego ojca...”. W drugim oddał takim obrazem gromadę zbitych z tropu zbłąkanych bogów: „Martwe, błądzące po nocy cienie, Słabe jak mgła i płoszone wiatrem...”, tak się do nich zwracał. Te słowa musiałem usłyszeć z ust ojca, stojąc obok, chociaż wtedy ich nie rozumiałem. I zastanowiłem się, o czym mógł myśleć, gdy je wypowiadał.

Kiedy on nadal był pochłonięty recytacją, pochyliłem się i pocałowałem go raz jeszcze przed wyjściem, tym razem w policzek, jakbyśmy byli dwoma toreadorami, i – w geście milczącego pożegnania – znowu oparłem mu na chwilę dłoń na ramieniu, gdy tymczasem on już podążał ku mgłę

płoszonej wiatrem albo ku wygnaniu, gdzie trzeba nawet własne imię porzucić.

Udało mi się także nie myśleć zbyt wiele o Luisie aż do chwili, gdy znalazłem się w klasie biznes samolotu Iberii, który irytującym zwyczajem tych linii lotniczych wystartował z prawie godzinnym opóźnieniem. Mojemu niemyśleniu o Luisie pomógł fakt, że ostatecznie nie zaproponowała mi, byśmy któregoś dnia zjedli razem obiad albo kolację, a ja nie nalegałem ani nie protestowałem, ani nie wyrażałem żalu po tym, co zrobiłem, wołałem nie forsować takiego spotkania i choć miałem na nie wielką ochotę, łatwo mi było oprzeć się pokusie i udać, że mi nie zależy. Mijaliśmy się więc tylko przelotnie w domu, gdy zachodziłem po dzieci albo je tam odstawiałem, albo zostawiałem jeszcze na krótko, dopóki nie poszły spać. A gdy dzieci były już w łóżkach, nigdy nie zaproponowała mi także kieliszka alkoholu ani nie poprosiła, byśmy chwilę porozmawiali. Nie odprawiała mnie, używając jakiegoś pretekstu lub wymówki, lecz swoim zachowaniem: ciągle była czymś zajęta, chodziła z miejsca w miejsce, sprzątała, zmywała naczynia, odbierała telefon, robiła porządki, zbierała porozrzucone zabawki i ubrania, i zeszyty, i ołówki – dzieci zawsze zostawiają wszystko w nieładzie, bałaganią na okrągło – i już nie było tak jak dawniej, gdy mieszkaliśmy razem, wtedy ja chodziłem za nią z pokoju do pokoju, mówiąc o tym i owym, opowiadając coś albo o coś pytając, jak często robią mężowie, drepcząc w ślad za swoimi żonami, które są bardziej aktywne i mniej skore do siedzenia spokojnie w jednym miejscu, szczególnie gdy są matkami. Teraz nie czułem się do tego uprawniony, znaczy do wchodzenia do pokojów, a i do kuchni, nawet w jej towarzystwie albo w ślad za nią. Wymieniwszy zatem ze cztery zdania na temat dzieci albo stanu zdrowia mego ojca – zawsze mnie o niego pytała, by następnie dodać otwarcie: „Muszę wreszcie do niego zajrzeć, w tym tygodniu to już

na pewno, pozdrów go ode mnie” – wychodziłem, całując ją na pożegnanie w oba policzki z dyskretną czułością, to znaczy niemal po przyjacielsku, na co ona odpowiadała zupełnie biernie, niemal mechanicznie, prawie bezwiednie.

Myślami błędziła gdzie indziej, a ja wiedziałem gdzie. Przy tych kilku ostatnich okazjach wyglądała na przygaszoną. Myślałem: „Już się dowiedziała, że przez jakiś czas nie zobaczy Custardoya, co za rozczarowanie, nie spodziewała się tego i wciąż jeszcze to do niej nie dociera, znikł jeden z bodźców motywujących ją do codziennego życia, bez wątpienia ten największy, ten, który dawał największy napęd, pomagał wstawać rano z nadzieją i kłaść się spać bez rozgoryczenia, ale nie wie jeszcze, że ten bodziec zniknął raz na zawsze, że nigdy już nie zobaczy tamtego mężczyzny, a jeśli go zobaczy, to na skutek przypadkowego spotkania; ta wiedza przyjdzie dopiero później, stopniowo, miną tygodnie albo jeszcze więcej czasu, nim zrozumie, że wszystko się skończyło, że tu nie chodzi o przedłużającą się nieobecność, lecz o ostateczne rozstanie, takie, jakie sama narzuca od dawna mnie. A wtedy spojrzę przez okno, jak ja czasem spoglądam przez moje okno-gilotynę, by popatrzeć na leniwą londyńską noc i na drugą stronę placu, na jego blady mrok ledwie rozświetlony białymi latarniami, które imitują oszczędne zawsze światło księżyca, i trochę dalej, na światła eleganckiego hotelu i domów, gdzie mieszkają rodziny albo samotni mężczyźni i kobiety, każde z nich zamknięte w żółtym czworokącie, tak samo jak Luisa albo jak ja widziani przez postronnego obserwatora; i dalej spoglądam, ponad drzewami i pomnikiem, na mojego sąsiada, który tak beztrudno tańczy, a teraz będzie mi przypominał Custardoya, bo te zbieżności i podobieństwa działają w obie strony i nikt nie jest na to uodporniony: już nie będę miał tyle sympatii dla tego radosnego tancerza, możliwe, że ocalił jedno życie, nic o tym nie wiedząc, ale to życie zaraziło go sobą zarazem. I ani ja, ani Luisa



nie odważymy się myśleć w samotności: „Będę bardziej tym, kim jestem. *I'll be more myself*. Będę bardziej sobą” teraz, gdy znowu się spotkaliśmy i przynieśliśmy sobie nawzajem nowy smutek, jakkolwiek ona nie wie, że jej obecny smutek przychodzi ode mnie.

Będąc sprawcą jej dopiero co rozpoczętej samotności, która miała być coraz większa, pozwoliłem sobie, o dziwo, na lekki żal, widząc ją w takim stanie, podupadłą na duchu, zniechęconą, apatyczną, możliwe, że w początkowym stadium długiego usychania z tęsknoty, zawsze opadamy z sił po stracie kogoś, kogo kochamy, a jeszcze bardziej tego, kto nas kocha, a nie miałem wątpliwości, że Custardoy należał dla Luisy do tej pierwszej kategorii. Nie byłem przynajmniej tak cyniczny, by wmawiać sobie, że to dla jej dobra, choć miało tak być na pewno na dłuższą metę: wiedziałem teraz, że to przede wszystkim dla mojego dobra, dla mego względnego spokoju, mojego komfortu w oddali, żebym nie martwił się więcej niż trzeba o nią i o dzieci, a także dla moich chimerycznych nadziei, których nie potrafiłem jeszcze wyzbyć się do końca, mimo że minęło już tyle czasu. I o tym faktycznie pomyślałem w samolocie z całkowitą jasnością, przed którą dotąd się wzbraniałem: że byłem egoistyczny, grubiański i nietaktowny, że wpakowałem się z butami w jej życie, i to w najgorszy możliwy sposób, za jej plecami, bez jej wiedzy, nie tylko nie pytając jej o zdanie w sprawie tego, co należało albo powinno się zrobić, lecz nie czekając nawet, aż sama porozmawia ze mną o swoim problemie, którego w dodatku wcale nie uważała za problem, lecz pewnie za jakieś rozwiązanie. Zachowałem się jak dziewiętnastowieczny ojciec wobec swojej córki, pośrednio potraktowałem ją jak małąletnią, tyle że nie poszedłem do drania, by zaproponować mu pieniądze w zamian za zostawienie jej w spokoju, co zapewne robili w tamtych czasach bogaci autorytarni ojcowie, tylko żeby zagrozić mu śmiercią i potraktować go brutalnie. To wszystko zaczęło mi się wydawać nieprawdopodobne, trudno

mi było uwierzyć, że mogłem się tak zachować, w dodatku bez szczególnych wyrzutów sumienia, jak jakiś dzikus albo wyznawca pragmatycznego poglądu, że jak jest coś do zrobienia, to najlepiej po prostu to zrobić, aby sprawa została załatwiona bez względu na to, co stanie się potem, i aby nie było już odwrotu („*I have done the deed*”. Albo: „*The deed is done*”). Oficjalnie dla Luisy nic o Custardoyu nie wiedziałem, w gruncie rzeczy nic nie wiedziałem dla wszystkich z wyjątkiem siostry Luisy, Cristiny, pomyślałem, że muszę zadzwonić do niej z Londynu, kiedy już wróci ze swojej podróży, żeby ją uprzedzić, nie pamiętałem, czy powiedziała mi, że wyjeżdża na tydzień czy na trochę dłużej, prawdę mówiąc, próbowałem już się do niej dodzwonić w ostatnich dniach pobytu w Madrycie, na wszelki wypadek, ale bez powodzenia, nie udało mi się nawet porozmawiać z jej mężem, żeby zapytać, kiedy wraca; dzwoniłem więc nadal w pierwszych dniach po powrocie, próbowałem o różnych porach dnia, aż w końcu zastałem ją w domu.

– Cristina, mówi Jacques, twój szwagier Jaime – powiedziałem, gdy przy dwudziestej próbie usłyszałem jej głos w słuchawce. – Jestem już w Londynie, ale mam ci coś ważnego do powiedzenia. Rozmawiałaś ostatnio z Luisą?

– Nie, jeszcze nie, dopiero co wróciłam, wyjazd mi się przedłużył. A o co chodzi? Coś się stało?

– Nie, nic złego. Podczas pobytu w Madrycie rozwiązałem problem jej związku z Custardoyem, a przynajmniej taką mam nadzieję, trzeba trochę poczekać, żeby się upewnić.

– Ach, tak? – odparła zaciekawiona i z niewątpliwą aprobatą. – Jakim sposobem? Co zrobiłeś? Rozmawiałaś z nim? A może z nią? Opowiadaj.

– Właśnie w tej sprawie dzwonię, bo lepiej, żebyś nie wiedziała, a najważniejsze, żeby nic nie wiedziała Luisa. Znaczący nawet tego, że ja się dowiedziałem od ciebie. Ta historia jest już skończona albo właśnie się

kończy. Nie chcę, żeby Luisa kiedykolwiek nabrała podejrzeń, że mogłem mieć z tym coś wspólnego. Dla niej ja nawet nie wiem o istnieniu tego Custardoya, nie wspomniała mi o nim ani słowem i niech nadal myśli, że nic nie wiem. Dzisiaj i zawsze. Gdybyś napomknęła jej kiedyś o naszej rozmowie, choćby i za dziesięć lat, mogłaby te sprawy skojarzyć, a wtedy nigdy więcej nie odezwałaby się do mnie ani słowem pomimo dzieci. Do ciebie pewnie też nie. Bo chociaż winą obarczałyby mnie, to pewnie by pomyślała, że i ty maczałaś w tym palce, intrygowałaś albo podjudzałaś mnie do tego, co zrobiłem. Rozumiesz? Jeżeli mnie wydasz, nie będę miał oporów, żeby wydać ciebie.

Cristina zrozumiała mnie na pewno, ale wciąż jeszcze była ciekawa.

– Jesteś bardzo tajemniczy, czyżby sprawy przybrały tak poważny obrót? Nic się nie martw, jeżeli ci się udało, pierwsza będę się cieszyć i na pewno nie narażę tego sukcesu na szwank. Ale skoro żadne z nas nie piśnie ani słowa, to jaki ma sens ta tajemnica przede mną? Co facetowi powiedziałeś? Co mu zrobiłeś? Nie wygłupiaj się, powiedz, co się stało, przecież ja cię na niego napuściłam.

– Już ci mówiłem, lepiej dajmy temu spokój. Wolę, żeby tylko on wiedział, żeby tylko on mógł to Luisie opowiedzieć, gdyby jakimś fatalnym zbiegiem okoliczności spotkali się kiedyś w przyszłości i gdyby przycisnęła go do muru, zresztą nie sądzę, żeby kiedykolwiek to zrobił, to mu się nie opłaca, byłoby jego słowo przeciwko mojemu bez możliwości sprawdzenia. Nie chodzi o to, że ci nie ufam, znaczy w tej chwili. Ale nigdy nie wiadomo. Pewnego dnia możesz się na mnie zezłościć i będziesz chciała mi dokuczyć. Nikt nie powinien wiedzieć tego, czego lepiej nie wiedzieć, nawet wspólnik. Jak sądzisz, dlaczego przestępcy tylu ludzi się pozbywają?

Cristina dobrze to przyjęła, roześmiała się, nie nalegała. Powiedziała jedynie:

– Nie martw się, nic Luisie nie powiem. Obyś miał rację i oby ta historia była skończona. Udam, że nic nie wiem, jak Luisa mi o tym powie, znaczy o zerwaniu. Może być w kiepskiej formie i zechce to z siebie wyrzucić albo przed kimś się wygadać, wykrzyczeć to. A jeśli Custardoyowi coś się przytrafiło, na pewno dojdą mnie jakieś słuchy, ludzie to straszni plotkarze.

– Nie sądzę, żebyś się dowiedziała. Nie ma go w Madrycie i przez co najmniej kilka tygodni nikt go nie będzie widział. A jak wróci, wymyśli jakąś bajeczkę, jeżeli, rzecz jasna, będzie miał jeszcze widoczne ślady po naszym spotkaniu, wymyśli coś o drzwiach do garażu albo o ulicznym słupku. – Zdałem sobie sprawę, że powiedziałem ciut za dużo, tak łatwo się zagalopować, szczególnie jak się przechwalamy, a ja się tym trochę przechwalałem, choć minęło już kilka dni: czułem się do pewnego stopnia dumny z mego wyczynu z pistoletem w ręku, z łatwością zapominałem, że kiepski to wyczyn, gdy ma się przed sobą nieuzbrojonego człowieka. Wiedziałem, że ta wewnętrzna pycha jest karygodna, zwłaszcza w świetle tego, czego się dowiedziałem, wróciwszy do Londynu czy też chwilę przedtem. Taki jednak byłem i nic na to nie mogłem poradzić, przypuszczam, że podobnie musi być z każdą nieagresywną osobą, która raz zmuszona do użycia siły stwierdza, że świetnie sobie z tym radzi. Dodałem zatem: – Nie mówię, że zrobiłem mu coś złego albo że coś mu się stało. Znaczący, coś złego.

Podczas tej krótkiej rozmowy wyrecytowałem Cristinie kilka klasycznych zaleceń dotyczących odmowy mówienia, niewiedzy i milczenia ważnych w działaniach szpiegowskich, przestępczych i spiskowaniu oraz w działalności podziemnej i prowadzonej w ukryciu: „Lepiej nic nie wiedzieć, tym sposobem gdy wezmą cię na przesłuchanie, powiesz prawdę, mówiąc, że nie wiesz, prawda jest łatwa i ma większą siłę, i jest bardziej wiarygodna, prawda przekonuje”. A także: „Jeżeli człowiek wie tylko swoją część, to sprawa potoczy się dalej, nawet jeśli go złapią

albo jeśli zawiedzie”. I podobnie: „Najbardziej cię ochroni twoja niewiedza, nie pytaj o nic więcej, niewiedza będzie twoim ratunkiem i glejtem”. I jeszcze to: „Zapamiętaj sobie, nigdy z tobą nie rozmawiałem, nic ci nie powiedziałem. Nie dzwoniłem do ciebie, nie rozmawiałem z tobą, nie słyszałaś tych słów, bo one nigdy nie padły. A choćbyś teraz je słyszała, ja ich nie wypowiadam”.

Cristina znowu się roześmiała, pewnie zadowolona, że może już myśleć o siostrze jako wolnej od niebezpieczeństwa.

– To, co mówisz, brzmi bardzo tajemniczo i trochę groźnie – odparła pół żartem, pół serio. – To nie jest ten Jaime, którego znam. Może dobrze ci robi pobyt w Londynie i fakt, że jesteś sam. Gwoli ścisłości: cokolwiek zrobiłeś, nie jestem twoją współniczką. Nie musisz się mnie pozbywać.

Jednakże to wszystko działo się kilka dni później, gdy byłem już z powrotem w Londynie i bardziej zaniepokojony, a sytuacja zmieniła się na gorsze. Natomiast kiedy leciałem samolotem, myślałem o tym, że Luisa nie powiedziała mi ani słowa o sobie aż do ostatniej chwili. W ostatnim dniu pobytu, w przeddzień wyjazdu, po spotkaniu z ojcem wpadłem do hotelu, żeby się przebrać, a potem poszedłem do domu, żeby pożegnać się z dziećmi i przy okazji z Luisą.

– Kiedy znowu zamierzasz przyjechać? – zapytał mnie oskarżycielskim tonem Guillermo, a Marina upierała się, że poleci ze mną hen, wysoko.

– Wkrótce – skłamałem, nie wiedząc jeszcze, że to wcale nie jest kłamstwo. – Tym razem nawet się nie obejrzysz, możesz być pewien. – Córeczce obiecałem, że przy następnej okazji zabiorę ją na wielką wyspę, wiedząc, że małe dzieci rzadko kiedy pamiętają coś dłużej niż dzień, to jeden z przywilejów, jakimi się cieszą.

Tylko wówczas miałem wrażenie, że Luisa ma ochotę zaprosić mnie, bym usiadł na chwilę w salonie, jakby nagle dotarło do niej, że minie dużo czasu, nim znowu się zobaczymy, i że ani razu nie porozmawialiśmy

w końcu jak należy; że nie zapytała, jak mi się żyje w Londynie ani o moją pracę, ani o moje zwyczaje i perspektywy, ani o to, jak się ogólnie miewam, ani z kim się przyjaźnię, ani w kim się może Kocham (na to mogłem jej nie odpowiedzieć, zachować się tak jak ona wobec mnie), nie spytała nawet o nieuważne albo niechlujne, albo pijane lub roztrzepane kobiety – w każdym razie bez majtek – które mogły zostawiać krople krwi na podłodze u mnie bądź u Wheelera i z których tak ochoczo sobie żartowała. Wyraźnie zauważyłem jej brak zainteresowania, brak uwagi dla mnie podczas tego nie tak krótkiego pobytu i gdyby nie to, co po kryjomu zrobiłem, gdyby nie moje brutalne wtrącenie się w jej życie – do pewnego stopnia je zniszczyłem albo zburzyłem to, które starała się odbudować – a zatem gdyby nie wynikające stąd poczucie, że jestem jej coś dłużny, uznałbym taką obojętność za wystarczający powód do urazy i pokątnego zrządzenia. Ale ona była tak nieobecna duchem, prawdopodobnie tak pochłonięta swoją historią, że nie zwróciła uwagi na to, jakie dziwne jest moje pozorne pogodzenie się z takim stanem rzeczy i moja nadmierna powściągliwość. Luisa dobrze mnie znała, pewnie lepiej niż kogokolwiek innego. Wiedziała, że szanuję innych i nie jestem namolny, że zadowolam się tym, co mi się daje z ochotą, i nie walczę o nic, czego mi się odmawia, duma nie pozwala mi się nikomu narzucać i osiągam swoje cele okrężną drogą, ociągając się i zwlekając, *lingering and delaying*, gdy taka jest potrzeba. A jednak było całkowicie nienormalne, jakkolwiek na to spojrzeć, że mając tyle czasu, nie starałem się bardziej usilnie o spotkanie z nią sam na sam. Że w tej sprawie oddałem jej całą inicjatywę, że usunąłem się w cień, że przez tyle dni nie zaznaczyłem bardziej swojej obecności, nie byłem bardziej widoczny i nie domagałem się spotkania. To wszystko powinno było wzbudzić jej podejrzenia, lecz nie wzbudziło ich. Miała głowę zajęta czym innym, bez wątplenia Custardoyem, najpierw tymi niepojętymi nadziejami, jakie z nim wiązała, może także napięciem między

swoim pragnieniem i nieufnością – taki mężczyzna zawsze musiał być postrzegany jako mało godny polecenia – a potem niepokojem spowodowanym jego nieoczekiwanym raptownym wyjazdem niemal bez słowa wyjaśnienia, narastającą dezorientacją z powodu rzadkich telefonów, możliwe, że nie dał jeszcze znaku życia od chwili swego zniknięcia zgodnie z tym, co mu przykazałem („Podczas swej nieobecności masz do niej rzadko dzwonić, coraz rzadziej”), a gdy czeka się na coś daremnie, oczekiwanie staje się w końcu naglące i zajmuje cały czas i całą przestrzeń, wciąż nasłuchuje się dzwonka, każda minuta wlecze się w nieskończoność i uwiera, jest jak kolano uciskające pierś i jak ołów ciężący na duszy, dopóki człowiek nie padnie wyczerpany i nie zazna chwili wytchnienia.

Mogło chodzić o taki właśnie rozejm spowodowany zmęczeniem, bo w pewnej chwili rozejrzała się wokół i dostrzegła mnie, przypomniała sobie, kim jestem i że nazajutrz już mnie nie będzie; i uświadomiła sobie, że pozwala mi wyjechać, nie wykorzystawszy mnie, że tak powiem, w żaden sposób, a przecież tego wieczoru mogłem się jeszcze przydać, pomóc zabić trochę czasu i odciągnąć ją na chwilę – londyńskimi opowieściami, komentarzami i anegdotami z mojego świata, o którym nic nie wiedziała – od obsesyjnych myśli, które nie chciały odejść. Słuchałaby mnie pewnie tylko połową ucha, nawet nie jednym całym uchem, jak ktoś, kto ledwie zauważa szum miarowego uspokajającego deszczu, tak silnego i nieprzerwanego, że gdy uniesie się wzrok, zdaje się rozświetlać noc długimi strugami wody niczym giętkie metalowe pręty albo włócznie bez końca; lub jak ktoś śpiący z jednym oknem otwartym, kto myśli, że słyszy i rozumie omdlewający szmer rzeki mówiącej do niego spokojnie i obojętnie, a może ta obojętność bierze się z jego zmęczenia i senności, i zasypiania, nawet jeżeli sam jest przekonany, że nadal czuwa; albo jak ktoś, do kogo przyczepia się jakaś melodia, tak że bezwiednie zaczyna nucić pod nosem ten dobiegający z oddali motyw, z podwórka albo może

z placyku, albo który słyszy, wchodząc do publicznej toalety, gdzie nuci go przy czesaniu wesoły mężczyzna, robiąc sobie na mokro z wielką starannością przedziałek („Nanná naranniario nannara nanniario”, a wtedy trudno się powstrzymać, by tego nie podjąć i nie uzupełnić tej natrętnej melodyjki znaczeniem i słowami, jeżeli się je zna: *For I'm a poor cowboy and I know i've done wrong*. „Bo jestem biednym kowbojem i wiem, że wyrządziłem krzywdę”, tak idzie ta strofka; albo jeżeli ktoś woli: „że postąpiłem źle”).

Właśnie tak, nieuważnie, słuchałaby pewnie Luisa, gdyby udało nam się uciąć taką krótką pogawędkę, jaką miała ochotę mi zaproponować. Już pożegnałem się z dziećmi, oboje leżeli już w łózkach, raczej zasypiali, niż spali, gdy od nich wychodziłem. Zamknąłem drzwi do obu sypialni i powiedziałem do czekającej na mnie w korytarzu Luisy:

– No cóż, wychodzę. Jutro wyjeżdżam. – Potem ująłem ją delikatnie pod brodę, żeby zerknąć z boku, i dodałem: – Oko już prawie w porządku. Na przyszłość bądź trochę ostrożniejsza. – Po uderzeniu nie został prawie ślad, tylko żółtawa plamka niezauważalna dla kogoś, kto nie widział wcześniej siniaka.

– Tak, już wyjeżdżasz – odpowiedziała. Sądząc z jej zamyślnego tonu, może miała za mną troszeczkę tęsknić teraz, gdy więcej czasu będzie spędzać z dziećmi i nie będzie miała tylu rozrywek. – Mieliśmy dla siebie mało czasu, prawie nic mi o sobie nie opowiedziałeś, trafiłeś na zły moment, miałam wiele wcześniejszych zobowiązań i dużo spraw do załatwienia, nie mogłam ich przełożyć ani odwołać, gdybyś zawiadomił mnie wcześniej o przyjeździe...

To był z jej strony pewien rodzaj przeprosin, czuła się w pewnej mierze moim dłużnikiem, ale tylko troszeczkę, ludzie na ogół dostosowują się do kogoś, kto przyjeżdża tylko na kilka dni, ona tego nie zrobiła. Wyglądała na smutną i nieobecną myślami, i jakby pełną złych przeczuć albo jeszcze



gorzej, jakby czuła przedsmak czegoś złego. Na spokojną w swym zniechęceniu jak ktoś, kto wywiesił już białą flagę, zanim jeszcze nadeszło uderzenie, jak ktoś, kto już wie, co ma się stać. Musiała być przekonana, że coś dziwnego dzieje się z Custardoyem, którego nazywała pewnie Estebanem; bo chociaż w przeszłości zdarzało mu się wyjeżdżać i spędzać gdzieś kilka dni albo i tygodni na uważnym studiowaniu i oglądaniu obrazów, nie było przecież czymś normalnym, że wyjechał tak nagle, bez pożegnania, bez wcześniejszego spotkania, a potem tak długo nie dawał znaku życia. Wyobraziłem sobie z satysfakcją, że widać stosuje się rygorystycznie, a nawet przesadnie do moich poleceń: tak, było całkiem prawdopodobne, że tylko ją powiadomił o wyjeździe i jeszcze do niej nie zadzwonił z miejsca, dokąd rzekomo się udał, gdziekolwiek to było. Mógł jej nawet powiedzieć, że jest w Baltimore, gdy naprawdę nie ruszył się na krok z Madrytu. Było mi naprawdę wszystko jedno, gdzie on jest, pod warunkiem że zrobi, co mu powiedziałem, i nigdy więcej się z nią nie zobaczy.

– Jak się miewasz? – zapytałem ją. – Wyglądasz na trochę przygnębioną. Czy coś się ostatnio wydarzyło?

– Nie, nic takiego – odparła, kręcąc lekko głową. – Małe rozczarowanie, nic ważnego. Szybko mi przejdzie.

– Mogę ci w czymś pomóc? Rozczarowanie kimś, kogo znam?

– Nie, zupełnie nie. Nie znasz go, to nowa znajomość. Poza tym to nie jego wina, nie mógł na to nic poradzić. – Zamilkła na chwilę, potem dodała: – Jakie to dziwne, wokół mnie będzie coraz więcej takich ludzi, których ty nie znasz nawet ze słyszenia, i nie będzie miało żadnego sensu, żebym ci o nich opowiadała ani nawet ich wspominała. To samo z ludźmi wokół ciebie, też ich nie będę znała. Przez te wszystkie lata było inaczej, prawda? W każdym razie rzadko się zdarzało. Dziwne, że żyjąc razem, jest się ze wszystkim na bieżąco, i to bez specjalnego wysiłku, bez trudu, po czym

nagle, a raczej stopniowo, nic się nie wie o ludziach pojawiających się potem. To znaczy pojawiających się potem w życiu tej drugiej osoby. Nic nie wiem na przykład o twoich przyjaciółkach w Londynie ani o twoich kolegach z pracy, z którymi masz na co dzień do czynienia. Wspomniałeś kiedyś, że tworzycie niewielki zespół, prawda? Jest w nim jakaś dziewczyna, pół-Hiszpanka, tak? Jak ci się z nimi pracuje? Nawet nie wiem, czym się właściwie zajmujecie. – Mówiąc to, wskazała ręką na salon, nie jakby pokazywała drzwi wyjściowe, żebym sobie poszedł, lecz jakby sugerowała, żebyśmy weszli tam na chwilę i żebym opowiedział jej o swojej pracy, a może chciała tylko słuchać, jak mówię. Może zdała sobie sprawę, że mogę być pomocny w przetrwaniu kilku minut oczekiwania lub że uniosę ołów leżący ciągle ciężarem na jej duszy. Pomyślałem, że zapytam ją o młodą matkę Cygankę i jej dzieci, w jakiejś mierze byli ludźmi z jej otoczenia, o których jeszcze zdążyłem się dowiedzieć podczas naszego wspólnego życia, naszej wspólnej codzienności, i wciąż o nich pamiętałem, przebywając w innym kraju.

Skierowaliśmy się w stronę salonu, ona przede mną. Zamierzaliśmy usiąść i porozmawiać w domu i tak rozmawiając, mielibyśmy wrażenie, że to najbardziej naturalna sytuacja, nie tak sztuczna jak umawianie się na spotkanie w restauracji albo w jakimś innym miejscu. Wtedy jednak zadzwoniła jej komórka, ta, na którą dzwonili inni, nie ja, i Luisa ruszyła pospiesznie przed siebie, niemal biegiem, miała komórkę w torbie w salonie, ja wchodząc, zostawiłem tam również płaszcz i rękawiczki na oparciu fotela. Pozwoliłem jej rzecz jasna odejść, nie przyspieszyłem kroku, ponieważ jednak szliśmy razem, nie zatrzymałem się także ani nie zwolniłem, okazałem dyskrecję; nie wszedłem do salonu, zatrzymałem się na progu i oglądałem książki na regale, moje książki, które kiedyś, niebawem, będę pewnie musiał stamtąd zabrać, nie wiedziałem jeszcze dokąd.

– Tak? – usłyszałem, jak mówi z nagłą pogodą ducha, jakby ten głos po drugiej stronie przegnał jej melancholię (a może to był smutek?) jednym jedynym słowem, może dwoma. Byłem pewien, że to Custardoy dzwoni przedostatni albo przedprzedostatni raz. – Tak. U ciebie wszystko dobrze? – Przerwa. – Tak, rozumiem. Choć prawdę mówiąc, czuję się trochę zdezorientowana tym nagłym wyjazdem... Nie wiesz, jak długo to potrwa? Trochę to dziwne, nie sądzisz? No, że nie wyznaczyli ci terminu. – Odruchowo oddaliła się ode mnie i ściszyła głos, żebym jak najmniej słyszał. Nie chciała jednak zachować się niegrzecznie, zamykając drzwi albo przechodząc do innego pokoju, docierało więc do mnie to, co mówiła. Mogło mi uciec kilka słów, lecz ton głosu słyszałem dobrze. Luisa nie mówiła dużo, mówił głównie Custardoy, a cała rozmowa trwała raczej krótko, jakby jemu się spieszyło (stosował się do moich poleceń co do wyjazdu, oschłości i lakoniczności). – Ale w ten sposób nie wiem, co mam myśleć. I nie mam żadnego ruchu, skoro nawet nie mogę do ciebie zadzwonić – powiedziała trochę podminowana, a zatem nieco głośniej, zaraz jednak znowu ściszyła głos i dodała tytułem wyjaśnienia: – Jest u mnie Jaime. Przyszedł się pożegnać, jutro wraca do siebie, właśnie wychodzi. Możesz zadzwonić za pięć minut? – Teraz przerwa była dłuższa. – Nie, teraz cię nie rozumiem. Już musisz wyjść? Natychmiast?... – Czasami uciekało mi kilka słów, słyszałem pojedyncze słowa albo frazy. – Nie, naprawdę nic z tego wszystkiego nie pojmuję, najpierw taki pośpiech, teraz tyle przeszkód na każdym kroku. Nie, jasne, wiem, że nie znamy się tak długo, i wcale nie uważam, że wiem o tobie wszystko, ale to jednak coś nowego, nigdy wcześniej tak się nie zachowywałaś... Tak. I jesteś jakiś nieswój, twój głos brzmi jakoś inaczej. – Znowu zamilkła, znowu zaczęła mówić szeptem, a potem powiedziała głośniej: – No dobra, nie wiem, co ci się stało, jakbym rozmawiała z kimś innym. Jakbyś się mnie nagle obawiał, nie zamierzam ci się narzucać. – To nie ciebie się boi, kochanie, lecz mnie,

pomyślałem. – W porządku, jak chcesz. Twój wybór. Ja nie nadążam... – A ostatnie słowa, te, które zabrzmiały następnie, powiedziała lodowato: – Dobra, nie ma sprawy. Jak sobie chcesz. No to cześć.

W innych okolicznościach wcale bym nie chciał słyszeć tej rozmowy, nie chciałbym słyszeć, jak Luisa nalega na tamtego mężczyznę, niemal go błaga, jak reaguje pełna urażonej dumy na jego wykręty albo obojętność. Ale przecież to ja przygotowałem tę scenę, niemal ją ustawiłem i wyreżyserowałem, jakbym był Wheelerem, który bez wątpienia poświęcał sporo czasu na przygotowywanie albo komponowanie wybranych momentów, albo, że tak powiem, na wybieganie myślą w trakcie wielu pustych lub beczynnych chwil ku kilku zawczasu zaplanowanym scenom i zamierzonym dialogom, zapamiętawszy wcześniej kwestie przeznaczone w nich dla siebie. Ja jednak nie brałem udziału w tej rozmowie, a raczej Custardoy przeprowadził ją za mnie, ostatecznie to nie były jego słowa, lecz te, do których wypowiedzenia ja niczym Jagon go nakłoniłem albo zmusiłem, by je powiedział. Na wieść o tym, że jestem obok, że jestem obecny, musiał się jeszcze bardziej przestraszyć i jeszcze bardziej mnie znienawidzić. To był zwykły zbieg okoliczności, on jednak tak tego nie odczuł, pewnie pomyślał, że nadzoruję rozwój wypadków, mam wszystko na oku. Tym lepiej dla mnie.

Luisa podeszła do mnie wciąż jeszcze z komórką w ręce i z miną wyrażającą konfuzję, rezygnację i rozdrażnienie. Jeszcze długa droga przed tobą, pomyślałem, będziesz w jeszcze większej rozpacz. Wtedy poszukasz mnie, bo jestem tym, kogo znasz najlepiej i kto będzie zawsze.

– Pójdę już – powiedziałem, wzięwszy płaszcz i rękawiczki. Wcześniej prosiła swego rozmówcę, żeby zadzwonił za pięć minut, bez wahania była gotowa poświęcić naszą rozmowę, tę, na którą niespodziewanie się zanosilo. Było dla niej sprawą drugorzędną, że ją stracimy, że się nie

odbędzie. Dla mnie wtedy też. Tamten pobyt nie był szansą dla mnie, miałem jeszcze dosyć długo czekać.

– Przepraszam cię – mruknęła. – Problemy w pracy. Ludzie zachowują się tak dziwnie. Umawiają się na coś, a potem zapominają i znikają jakby nigdy nic. – Nie musiała się silić na te fałszywe wyjaśnienia. Rozmowa miała charakter wyraźnie osobisty, wcale nie zawodowy. Ja wiedziałem, co się dzieje, ona jeszcze nie. Nie przeszkadzało mi, że mam nad nią taką przewagę, nie przeszkadzało mi, że ją oszukuję. „To nie jest ten Jaime, którego znam”, powie do mnie później Cristina. Ja jednak pomyślałem to już wcześniej: „Nie, nie jestem nim. *I am more myself*”.

Luisa odprowadziła mnie do drzwi. Pocałowaliśmy się w obydwie policzki, tym razem ona też mnie objęła. Zauważyłem, że robi to raczej z poczucia bezbronności albo w nagłym przeczuciu porzucenia i straty, niż z czułości. Mimo to odwzajemniłem uścisk serdecznie i z ochotą. Nie musiałem się zmuszać, żeby ją przytulić, ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Przyjdź, wróć do mnie, będę cierpliwy, poczekam; ale długo już nie zwlekaj, pomyślałem w samolocie na wspomnienie tego pożegnania. A potem powiedziałem sobie w myślach po angielsku fragment wiersza, który czytałem podczas jednej z moich podróży z Tuprą w pociągu: „*Why do I tell you these things? You are not even here*”. Czyli: „Dlaczego ci to wszystko mówię? Nawet cię tu nie ma”.

To były ostatnie zdarzenia, zanim wszystko się zmieniło. Poprosiłem stewardesę o jakąś angielską gazetę, powinienem był przyzwyczajać się ponownie do tego drugiego kraju. Tamtego dnia nie przejrzałem też żadnej gazety hiszpańskiej, byłem zanadto pochłonięty własnymi myślami, by interesować się światem zewnętrznym, pomimo że trzymałem na kolanach złożony i nietknięty jeszcze egzemplarz „El Paísa”. Stewardesa zaproponowała mi „The Guardian”, „The Independenta” i „The Timesa”, wziąłem dwa pierwsze, bo nie potrafię znieść straszliwego upadku tego trzeciego, odkąd stał się częścią imperium z antypodów. Spojrzałem na pierwszą stronę „Guardiana” i mój wzrok pomknął natychmiast – znane nazwiska zawsze przyciągają, bardzo szybko zwracają naszą uwagę – ku wiadomości, na której widok oczy musiały wyjść mi z orbit i która od razu kazała mi spojrzeć na „The Independenta”, żebym mógł uwierzyć w to, co widzę, i upewnić się, że nie chodzi o żaden głupi dowcip w bardzo złym guście ani o przywidzenie. Oba dzienniki ją podawały, nie mogła nie być prawdą i aczkolwiek nie zajmowała wiele miejsca ani nie krzyczały o niej główne tytuły, w obu dziennikach zajmowała eksponowane miejsce: „Dick Dearlove oskarżony o morderstwo”, obwieszczał jeden tytuł, drugi był bardzo podobny: „Dick Dearlove zatrzymany w związku z gwałtowną śmiercią nastolatka”. Rzecz jasna nigdzie nie pisano „Dick Dearlove”, lecz używano prawdziwego imienia i nazwiska, tylko ja nazywałem go Dearlove'em.

Znalazłem rozwinięcia tematu w środku gazet i czytałem je łapczywie i pośpiesznie, potem z przerażeniem i narastającym obrzydzeniem do Tupry i do siebie, właściwie uczucie obrzydzenia do siebie przyszło błyskawicznie. Informacja była bardzo niepełna, a fakty niejasne, nie

sprzyjały ich wyjaśnieniu lakoniczne i raczej hermetyczne wypowiedzi rzecznika oraz adwokatów Dearlove'a, czyli tych, którzy zawiadomili New Scotland Yard nazajutrz po popełnionym nocą morderstwie, co kazało przypuszczać, że wcześniej mieli kilka godzin na ocenę sytuacji oraz przygotowanie i ustalenie najlepszej linii obrony, choć o niej akurat niewiele pisano. W Anglii, na ile rozumiem, w odróżnieniu od Hiszpanii, gdzie od początku wszystko jest nieodpowiedzialnym biciem piany, by nie powiedzieć: werbalnym linczem, przestrzega się rygorystycznie tajemnicy śledztwa i nieujawniania opinii publicznej zebranych w jego trakcie poszlak ani zeznań, przed rozprawą nikt z potencjalnych świadków w sprawie nie ma prawa ujawniać prasie tego, co wie. Zarówno adwokaci, jak i dziennikarze ograniczali się zatem do ostrożnych spekulacji, luźnych domysłów i zachowywali znaczną powściągliwość. Sugerowano możliwość próby uprowadzenia, próby włamania („*burglary*”), a także możliwość porachunków między kochankami. Ofiarą był szesnastolatek, najprawdopodobniej Bułgar albo Rosjanin (to nie było pewne, podobnie jak nie wiadomo, czy posiadał brytyjskie obywatelstwo, przypuszczano, że nie), podawano tylko jego inicjały, które pokrywały się, o dziwo, z inicjałami jego zabójcy, czyli dajmy na to, R. D. Jakkolwiek rzeczy się miały naprawdę, a ja wiedziałem od razu, co się z grubsza stało, jedno wydawało się pewne: dwie noce wcześniej piosenkarz pchnął tego młodego chłopaka włócznią, jedną z wielu, które wisały u niego w salonie przylegającym do jadalni, pchnął go w klatkę piersiową i w szyję. To prawdopodobnie znaczyło, że telewizje sporej części świata, przede wszystkim brytyjskie, ale także w moim kraju, już od całej doby roztrzęsają tę sprawę, nie mówiąc o milionach anonimowych lub pseudoanonimowych głosów w Internecie. Jednakże ja nie oglądałem wcześniej telewizji ani nie wchodziłem do Internetu.

Pożałowałem przez chwilę, że w samolocie nie mają żadnego tabloidu niskich lotów, takiego jak „The Sun” należący do tego samego imperium z antypodów co „The Times”, lecz bardziej nastawiony na skandale, moralizatorstwo i plotki: prasa tego rodzaju pewnie już zaciera ręce i nie zawaha się złamać prawo, byle tylko sprzedać większy nakład. Na wszelki wypadek rzuciłem okiem do „El País”, ale jego relacja była wstrzemięźliwa i zwięzła i nie różniła się zasadniczo od spekulacji kolegów z Londynu. Mój żal trwał jednak tyle co nic, a raczej był tylko chwilą naiwności, ponieważ nie potrzebowałem poznać szczegółów ani okoliczności, ani kontekstu, ani powodów, ani nawet wytłumaczenia psychologicznego, nad którym zastanawiali się dziennikarze czy inni wypowiadający się na ten temat. Dla mnie było jasne, że Tupra rzucił największy biograficzny horror na tego masowego idola, zanurzył go w narracyjnym wstręcie niczym w kadzi mdłego wina, oświetlił pochodnią i wypalił rozżarzoną metalową jego nazwisko na liście dotkniętych przekleństwem K-M, czyli *Killing-Murdering* albo Kennedy-Mansfield, jak to się nazywało w naszej małej grupie bez nazwy, a może i – kto wie, na zasadzie mimetyzmu – w jakimś innym i bardziej dostojnym miejscu: dla mnie zatem było jasne, że Reresby albo Ure, albo Dundas już nie tylko skazali go na kilka lat więzienia, co dla kogoś tak sławnego jak Dearlove, obciążonego tak wstrętną zbrodnią, oznaczało długie nieustające piekło – mam na myśli to, że dłuższe i bardziej nieustające niż dla wszystkich innych – chyba że te lata, co byłoby najlepsze, zostaną przerwane nagłą śmiercią z rąk innych więźniów, lecz skazali go również na to, że cała historia jego życia i sukcesów zblaknie jak od jednego maźnięcia brudnobiałą albo popielatą, albo mdłą farbą, że popadnie w natychmiastowe zapomnienie cała jego kariera i jej rozwój oraz że od tej chwili ktokolwiek wspomni, przeczyta lub usłyszy jego nazwisko, skojarzy je od razu z ową końcową zbrodnią. Nawet matki będą o nim wspominać swoim



nierozważnym synom ku przestrodze, w dodatku trochę wszystko przekręcając i wyolbrzymiając po jakimś czasie: „Uważaj, z kim się zadajesz i z kim się spotykasz, nikogo nie można być pewnym. Pamiętaj, co Dick Dearlove zrobił tamtemu rosyjskiemu chłopcu, zabrał go do domu i rozpruł mu brzuch”. Byłem pewien, że tak właśnie było, i równie pewien, że Tupra ma już nagranie, film z faktami, na których temat prasa snuje hipotezy, ale nikt inny jeszcze ich nie zna; na tym filmie była z pewnością cała sekwencja zdarzeń od chwili, gdy młody Bułgar R. D. przychodzi do domu Dearlove’a aż do pełnego furii potwornego momentu, w którym Dick przebija go włócznią, powodując natychmiastową śmierć chłopaka – aczkolwiek potrzebował do tego dwóch uderzeń, najpierw w szyję, a potem w klatkę piersiową lub na odwrót – tak by uciszyć go raz na zawsze albo z nim skończyć; i być może potem, ze wzrokiem zaćmionym jeszcze wściekłością i z infantylnym uczuciem triumfu (bardzo to krótkotrwałe uczucie i będzie go żałował przez resztę swoich dni), przeszukać trupa i zabrać telefon komórkowy albo małą kamerkę, którymi chłopak pewnie robił mu wcześniej kompromitujące zdjęcia, ale Dearlove ich nie znalazł, przeszukując go dla zabawy przy wejściu, możliwe bowiem, że Tupra zadbał wcześniej o to, by nie musiał przynosić ich ze sobą, lecz by zostały schowane gdzieś w domu na długo przed ową miłosną schadzka albo opłaconym spotkaniem, podobnie jak słynny pistolet czekający na Ala Pacina w toalecie restauracji w pierwszej części tamtego arcydzieła składającego się z trzech części, jednej lepszej od drugiej.

Tupra nie zamierzał użyć tego wideo czy DVD, tym razem zadanie nie polegało na tym, by je zdobyć i móc wykorzystać w przyszłości, żeby wyciągnąć coś z Dearlove’a albo mu na coś nie pozwolić, teraz chodziło o to, żeby Dearlove zdał sobie sprawę z tego jednego z wielu oszustw, których padał ofiarą, i żeby sprowokować go do odpowiedniej reakcji o konsekwencjach nie do naprawienia. Tak bardzo nie do naprawienia i nie

do ukrycia, że wymagały niezwłocznej kary. Tupra zatrzyma sobie nagranie tylko po to, żeby je mieć, oglądać sobie w samotności albo rozkoszować się perfekcyjnym wykonaniem planu, prawdziwej perły w jego kolekcji. Na nic więcej mu się nie przyda, przecież zasadniczy czyn został odkryty wkrótce po jego popełnieniu: *Dearlove had done the deed* i wszyscy już o tym wiedzieli. Zabił młodego chłopca włócznią.

Ale tym, kto w ostatecznym rozrachunku to sprowokował, byłem ja. Choć może niezupełnie ja: ja to raczej wymyśliłem, ułożyłem, przedstawiłem albo podyktowałem, wyobraziłem sobie taką inscenizację. Poddąłem ten pomysł – nikt nigdy nie bierze pod uwagę, jak niebezpieczne jest poddawanie pomysłów, podsuwa się je zatem bezustannie, o każdej porze i wszędzie – i nie mogłem nie zadać sobie pytania o to, ile innych moich interpretacji albo analiz miało swoje dalsze konsekwencje, o których nic nie wiedziałem. Jak wiele i które? Przed długi czas zajmowałem się na co dzień wydawaniem sądów i robiłem to z coraz większą łatwością i beztroską, przysłuchując się wypowiedziom i przypatrując twarzom, na żywo albo schowany w studiu-wagonie, albo przeglądając nagrania wideo, mówiłem, komu można zaufać, a komu nie, kto zabije, a kto da się zabić i dlaczego, kto zdradzi, a kto będzie lojalny, kto kłamie i komu życie się nie uda albo ułoży się byle jak, kto mnie irytuje, a kto budzi moją litość, kto jest pozerem, a do kogo czuję sympatię i jakie możliwości ma we krwi dana osoba, robiłem to zupełnie jak pisarz, który wie, że cokolwiek powiedzą albo zrobią stworzone przez niego postaci, cokolwiek on im przypisze albo każe im zrobić, nic nie wyjdzie poza powieść i nikomu nie stanie się krzywda, bo jakkolwiek prawdziwe wydawałyby się te postaci, zawsze przecież będą fikcyjne i nigdy nie zrobią nic złego rzeczywistej osobie (znaczy nikomu przy zdrowych zmysłach). Ale to nie był mój przypadek, ja nie używałem pióra ani papieru, żeby pisać o tych, którzy nigdy nie istnieli, nie postawili stopy na ziemi ani nie przemierzali świata, ja opisywałem

i rozszyfrowywałem ludzi z krwi i kości, na ich temat się wymądrzałem i wygłaszałem przepowiednie, i jak to teraz widziałem, bez względu na to, czy miałem rację czy jej nie miałem, moje słowa mogły mieć fatalne konsekwencje i zdecydować o losie tych ludzi, gdy trafiały w ręce kogoś takiego jak Tupra, który przy tej konkretnej okazji nie ograniczył się do tego, by być Sir Punishment i Sir Trashing, lecz wystąpił jako Sir Death i Sir Cruelty, i może jako Sir Vengeance. A ja nie tyle posłużyłem mu za narzędzie, ile za coś bardziej niezwykłego i prawdopodobnie gorszego: stałem się dla niego inspiracją, mimowolnym szeptem do ucha, jego nierozważnym i nieświadomym Jagonem. Nic mnie nie obchodziło ani szczególnie nie interesowało, jaką urazę chował do Dearlove'a albo czy zastawił na niego pułapkę – moją pułapkę – z własnej inicjatywy czy też wypełniając jakąś ekstrawagancką misję państwową lub dobrze opłacane zlecenie od jakiejś prywatnej prywatnej osoby. To było w tym wszystkim najmniej ważne. Największą udręką była dla mnie myśl, że wprowadził w życie mój nie będący planem plan i nie cofnął się przed poświęceniem życia chłopaka, żeby ten plan się powiódł: „To osobliwe porzucić nawet własne swe imię”, rzeczywiście ofiara nie miała nawet imienia, jedynie inicjały R. D. To nie do wiary i niepokojące, że aż do teraz nie zdawałem sobie sprawy z tego, co było w tym wszystkim najgorsze i co – to zrozumiałem natychmiast, mając rozłożone na kolanach trzy gazety w samolocie – miało mnie najbardziej dręczyć do końca życia. I jakkolwiek luźnym chciałem i później zdołałem uczynić ten związek, jakkolwiek luźny w końcu się stanie – bo taki będzie, wyda mi się odległy i niezamierzony, przynajmniej z mojej strony, a moje poczucie winy osłabnie i wszystko upodobni się do snu, tak że przy odrobinie szczęścia zdołam oszukać siebie i sprawię, że zniknie, szczególnie gdy i obrys zostanie wytarty, i kiedyś będę potrafił powiedzieć sobie: „Ale to było w innym kraju” – to przecież ten młody Rosjanin, który nie wiedział nawet o moim istnieniu, jak i ja nie

wiedziałem o jego istnieniu, dopóki trwało, zginął przede mną, z powodu mojej przepowiedni albo hipotezy, albo wymysłu, zginął przez to, co ja powiedziałem i przedstawiłem, a ja od teraz już zawsze będę musiał sobie powtarzać: „*For I am myself my own fever and pain.* I tak oto jestem własnym bólem i własną gorączką”.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, gdy tylko wszedłem za próg mieszkania będącego na jakiś czas moim domem, prostodusznie urządzonego przez jakąś Angielkę, której nigdy nie widziałem na oczy, to wybrałem numer telefonu do Tupry. Wróciłem w weekend, w budynku bez nazwy nikogo pewnie nie było, przynajmniej teoretycznie, nie tylko bowiem mnie zdarzało się tam zaglądać poza godzinami pracy, żeby dokończyć jakieś sprawy albo raporty lub pogrzebać i coś sprawdzić. Podobnie jak wtedy, gdy dzwoniłem z Madrytu, teraz też w słuchawce odezwał się kobiecy głos. Użyłem imienia, do którego czułem wstręt, Bertie, żeby pokazać, w jak zażyłych jesteśmy relacjach, pomimo że nie musiałem, bo znajomość domowego numeru już wskazywała na jakiś rodzaj zażyłości.

– Nie ma go w Londynie – usłyszałem w odpowiedzi. – A kto mówi? – Nie miałem numeru jego komórki, Tupra strzegł go zazdrośnie, poza tym uważał, że wszystko może poczekać jak „w starych czasach”, tak lubił mawiać.

– Jack Deza – przedstawiłem się i całkiem niechcący wymówiłem „z” z hiszpańska, przyzwyczailem się przez tych kilka dni u siebie w kraju, dla angielskiego ucha musiało to zabrzmieć jak „Daetha”, albo „Deatha”. – Pracujemy razem, to coś ważnego. Czy byłaby pani tak miła i podała mi numer jego telefonu komórkowego? Właśnie wróciłem z Madrytu i powinienem przekazać mu pilną i ważną dla niego wiadomość.

– Nie, przykro mi, nie sądzę, bym mogła podać panu ten numer. Tylko on może to zrobić – odparła kobieta. Potem dodała z leciutką impertynencją, co skłoniło mnie do przypuszczeń, że to jest Beryl, podczas kolacji

u Wheelera nie rozmawiałem z nią na tyle długo, by teraz rozpoznać głos, który nie brzmiał zanadto młodzieńczo, ale nie sprawiał też wrażenia starego: – Skoro pan go nie ma, pewnie on nie uznał za stosowne podać go panu.

– Czy mówię z panią Beryl? – zapytałem wówczas, ryzykując sprokurowanie memu szefowi kryzysu małżeńskiego lub domowego, gdyby była kimś innym. Ale niewiele mnie to obchodziło, wkrótce miał przestać być moim szefem, podjąłem już decyzję. Albo prawie podjąłem, nic nie jest pewne, dopóki nie jest zrobione i zakończone.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – usłyszałem w odpowiedzi. Potem stwierdziła tonem na pół surowym, na pół kpiącym: – Nie musi pan wiedzieć, kim jestem.

Pewnie Tupra zabronił Beryl, jeżeli to istotnie Beryl, a chyba tak, pomyślałem, rozpowiadać, że się zeszli, a nawet więcej, że znowu razem zamieszkali, możliwe, że wolą nie myśleć o sobie jako o małżeństwie, lecz być w związku nieformalnym, że znajdują przyjemność w utrzymywaniu tego w tajemnicy. Przypomniałem sobie jej długie nogi i niezwykle bardzo zmysłowy zapach, to mogło pociągać Tuprę raz i drugi, czasem czujemy słabość do czegoś najprostszego, nie potrafimy się tego wyrzec. Już miałem powiedzieć: „Bo jeśli jest pani panią Beryl, to się znamy. Jestem przyjacielem sir Petera Wheelera, zostaliśmy sobie przedstawieni u niego w domu dawno temu”. Powstrzymałem się jednak, przyszło mi na myśl, że naleganie nic nie da.

– Proszę o wybaczenie, nie zamierzałem być impertynencki – powiedziałem. – Czy mogę w takim razie wiedzieć, kiedy Bertie wraca?

– Dokładnie nie wiem, przypuszczam jednak, że skoro pan z nim pracuje, to spotka go pan w poniedziałek w jego gabinecie. Wyobrażam sobie, że tam będzie.

W ten sposób mówiła mi, żebym nie dzwonił więcej do niego do domu w czasie weekendu. Podziękowałem i rozłączyłem się, musiałem poczekać. Otworzyłem swoje okno-gilotynę, by przewietrzyć mieszkanie po tylu dniach nieobecności, szybko rozpakowałem walizkę, starłem z grubsza kurze, przejrzałem nagromadzoną korespondencję, a potem, gdy już zapadał wieczór i nie wiedziałem, co właściwie mam robić – kiedy wraca się do domu z podróży, brakuje jeszcze naturalnego rytmu – wyjrzałem przez okno i zobaczyłem sąsiada, jak tańczy naprzeciwko, za drzewami, których korony zwieńczały środek placu: nic się nie zmieniło – nie musiało się zmienić, czas nas zwodzi, gdy jesteśmy w podróży, zawsze się wydaje, że upłynęło go więcej, niż naprawdę minęło. Był w towarzystwie tych dwóch przyjaciółek co zawsze, białej i czarnej albo Mulatki, dobrane trio, one muszą być gebridgumami jedna dla drugiej, złączone są jego osobą, to jeszcze jeden punkt zbieżny z Custardoyem, który chętnie brał sobie kobiety do łóżka dwójkami, nie sądziłem, żeby Luisa na to poszła, dokąd mógł wyjechać Custardoy z połamaną ręką? dokąd pojechał naprawdę? To nie była moja sprawa, poza tym było mi wszystko jedno dopóki stosował się do moich warunków i trzymał się od niej z daleka, i nie wspominał ani słowem o mojej akcji, to ostatnie miało zasadnicze znaczenie. Trójka tancerzy ćwiczyła szybkie kroki, jakieś dziwne walenie obcasami w stylu flamenco, a może to było stepowanie – nie potrafiłem zgadnąć, jaka muzyka rozbrzmiewa u nich na cały regulator, była sobota – bo prawą ręką każde przytrzymywało coś na ramieniu, coś ruszającego się, żywego i małego, tym razem nie mogłem się powstrzymać, sięgnąłem po lornetkę i ustawivszy ostrość, ze zdumieniem dostrzegłem na ramionach maleńkie pieski, nie znałem ich marki, to znaczy rasy, ale piesek mężczyzny miał długą sierść i spłaszczony nos, a pieski kobiet wyglądały jak myszy ze spiczastymi mordkami, paskudztwa z czubem albo kokiem, albo tupecikiem czy grzywką na głowie, tak czy inaczej obrzydliwe. Z całą pewnością psy

nie były ich własnością, ciekawe, skąd je wytrzasnęli, może tylko wypożyczyli do swego ekscentrycznego tańca, biedne zwierzęta musiały być całkiem skołowane, jeżeli nie zdenerwowane i zrozpaczone, pewnie odczuwały stepowanie tancerzy jako jakieś bezustanne trzęsienie ziemi albo coś w tym guście. Należało mieć nadzieję, że żaden z przedstawicieli tak zaciekłych i aktywnych w Anglii organizacji ochrony zwierząt nie wypatrzy moich sąsiadów, w przeciwnym razie na pewno ich oskarży o torturowanie, nękanie i ogłupianie bezbronnych zwierzątek. Powariowali, pomyślałem, pewnie sądzą, że tańczenie z żywym stworzeniem na ramieniu tak, żeby nie spadło, jest jakąś nadzwyczajną umiejętnością, ale przy byle potknięciu piesek może wylecieć w górę i rozbić się o ścianę albo okno. Obserwowałem ich kilka minut, gdy nagle przerwali taniec, a ich gesty świadczyły o zaskoczeniu i dezaprobachie: piesek białej kobiety zsiakał się na nią, oblał moczem jej twarz i włosy, a robiąc to w trakcie jakiegoś kolejnego frenetycznego tupania, opryskał też pozostałą dwójkę. Biedny pieseczek, poddawany tak gwałtownym ruchom, musiał dojść do wniosku, że wysikanie się jest jego ostatnią deską ratunku. Puścili wszystkie trzy kundły, które pobiegły chwiejnie po podłodze, a sami zaczęli w pośpiechu z obrzydzeniem zdejmować z siebie zaplamione ubrania i akurat w chwili, gdy mężczyzna ściągał swoje eleganckie polo, jego spojrzenie padło na moje okno i zauważył mnie. W jednej chwili opuściłem lornetkę i cofnąłem się o dwa kroki zawstydzony podglądaniem. Oni jednak nie wyglądali na rozgniewanych, w żadnym razie, i to mimo że obie kobiety już rozebrały się do staników, a na domiar złego – albo dobrego – Mulatka nie miała na sobie stanika. Podobnie jak poprzednim razem, kiedy też nakryli mnie na podglądaniu, zaczęli do mnie wesoło machać, zapraszając gestykulacją, żebym do nich dołączył. Poprzednim razem także poczułem się zawstydzony, ale dostrzegłem jedną zaletę wynikającą z nawiązania kontaktu wzrokowego: pomyślałem sobie, że gdyby zdarzył mi się dzień

albo noc prawdziwego przygnębienia, to oto otwierała się możliwość poszukania w takiej chwili towarzystwa i tańca po drugiej stronie placu, w owym beztroskim wesołym domu, którego lokator pozostawał odporny na moje wysiłki dedukcyjne i domysły, wymykał się moim zdolnościom interpretacyjnym, co samo w sobie było tak rzadkie, że przydawało mu aury lekkiej tajemniczości. Perspektywa takiej hipotetycznej wizyty, takiego możliwego w przyszłości kontaktu sprawiła, że poczułem się wtedy pewniej i lżej, jakby zaopatrzonej w jakąś linę ratunkową. Trudno było o chwilę większego przygnębienia niż dzień powrotu z Madrytu, w dodatku miałem przed sobą całą kompletnie pustą niedzielę, zanim zdołam porozmawiać z Tuprą, jedną z tych beznadziejnie smutnych niedziel „wygnanych z nieskończoności”, czyli „*bannis de l’infini*”, jak nazwał je kiedyś chyba Baudelaire i jak najczęściej bywa z niedzielami w Anglii, znałem je dobrze od wielu lat, odkąd po raz pierwszy zdarzyło mi się tam mieszkać, wtedy w Oksfordzie, i wiedziałem, że nie są zwykłymi drętowymi niedzielami, przez które wszędzie na całym świecie trzeba przechodzić na paluszkach, bezszelestnie i nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, lecz że są bezdenne, bardziej uciążliwe i ciągną się dłużej niż w jakimkolwiek innym znanym mi miejscu. Pewnie zatem nadeszła chwila, by chwycić linę ratunkową rzucaną mi przez to wesołe trio, w dodatku żadna z dwóch kobiet nie miała oporów, żeby pokazywać mi się w negliżu, szczególnie zaś ta, która zawsze bardziej mi się podobała i której negliż był większy. Przez chwilę się wahałem, czy nie zejść na dół, przejść na drugą stronę placu i zapukać do tego mieszkania na piętrze, zaraz jednak odrzuciłem ten pomysł. Nie, teraz to nie ma sensu bardziej niż kiedykolwiek, pomyślałem, najprawdopodobniej wkrótce – za kilka tygodni albo za miesiąc, góra za dwa – już nie będę tu mieszkał ani wyglądał przez okno na ten plac, a oni zaczną się stawać tylko miłym wspomnieniem, które się ulotni. I teraz mam już niestety jakiś klucz interpretacyjny do mego tancerza, bo zaczął mi się



kojarzyć z Custardoyem, nic nie mogę poradzić, widzę między nimi podobieństwo. Podeszedłem zatem do okna z uśmiechem i palcem wskazującym pokazałem im, że nie. Następnie otworzyłem okno i uniosłem lekko do góry dłoń w przyjaznym geście, to był mój sposób powiedzenia „Dziękuję”, a pewnie także „Żegnajcie”.

Cofnąłem się do wnętrza i zamknąłem okno. Postanowiłem pójść do pobliskiego sklepu spożywczego i kupić kilka podstawowych rzeczy, żeby zapłacić pustą niemal lodówkę; w sklepie sprzedawali też gazety i czasopisma, lecz już nie chciałem kupować „The Suna” ani nic tego pokroju, a po powrocie do domu nie włączyłem również telewizora, na pewno w jakimś programie, jeżeli nie we wszystkich, rozprawiają o straszliwej zbrodni doktora Dearlove’a, byłego dentysty, teraz przemienionego w nowego pana Hyde’a, który już nigdy nie stanie się na powrót doktorem Jekylllem: będzie lubieżnym mordercą od dziś aż do dnia Sądu Ostatecznego, kiedy to – jak wierzyli pewnie ludzie w innych czasach, w czasach niezłomnej wiary – młody Bułgar albo Rosjanin o nazwisku Daniew albo Dajanow, Dmitrow albo Dondukow stanie z nim twarzą w twarz i oskarży go gorzkimi słowy kogoś, kto umarł młodo. Albo może zwróci się do Tupry, a może nawet do mnie. Prawdę mówiąc, wolałem za dużo nie wiedzieć ani o nim, ani o Dearlove, bo przede wszystkim na nic mi to nie było potrzebne i taka wiedza powiększyłaby tylko mój smutek. Wiedziałem dostatecznie dużo, a prasa mogła co najwyżej snuć makabryczne wprowadzające w błąd spekulacje. Nikt z pewnością nie wiedział, że za tą zbrodnią stał ktoś jeszcze, pewien ekspert od wstrętu albo horroru narracyjnego i od kompleksu Kennedy-Mansfield oraz od związanego z tym kompleksem jakże skutecznego przekleństwa; nikt nie wiedział także o tym, że ta zbrodnia nie była w żadnym razie wynikiem przypadku ani fatalnej nocy, ani postradania zmysłów. Daniew albo Dondukow nie mógł już opowiedzieć, kto i w jaki sposób go wynajął ani

w jakim celu, a ja nie byłem gotów niczego udowadniać. Poza tym wcale nie zamierzałem tego robić.

Zadzwoiłem do młodej Pérez Nuix, zastałem ją w domu, powiedziałem, że właśnie wróciłem, zapytałem, czy możemy się zobaczyć tego wieczoru albo nazajutrz („To pilne, ważne, ale zajmie tylko chwilę”, powiedziałem jej, jak ona kiedyś powiedziała do mnie, a potem wszystko trwało aż do rana: nie powtórzyło się więcej). Odpowiedziała, że tak, nie starała się dowiedzieć zawczasu, o co chodzi, i wyraziła gotowość przybycia w moje okolice, („Dobrze mi robi, jak się trochę przewietrzę, prawie przez cały dzień nie wychodziłam, tak czy inaczej muszę wyjść z psem”), łączył nas pewien rodzaj niewyznanej lojalności. Umówiliśmy się w barze luksusowego hotelu widocznego z mego okna („Daj mi półtorej godziny, nie więcej, tyle mi zajmie wyprowadzenie psa, a potem dotarcie do ciebie”), a gdy już miałem ją przed sobą z kieliszkiem w dłoni, opowiedziałem jej o Dicku Dearlovie, o moich interpretacjach dotyczących jego osoby robionych na prośbę Tupry po kolacji *cum* celebrytami w Londynie i później w Edynburgu. Zapoznałem ją z moimi aroganckimi sądami, hipotezami, teoriami, moimi inscenizacjami, przepowiedniami. Sądząc po tym, jak potoczyły się potem sprawy, tamte teorie okazały się trafną zapowiedzią.

– To zbyt duży zbieg okoliczności, nie sądzisz? – dodałem i nawet przez chwilę nie pomyślałem, że mogłaby zaprzeczyć.

Zauważyłem, że jest trochę zakłopotana, jakby czuła się jakoś zniecierpliwiona albo niezadowolona z powodu mego zadręczania się, i piła powoli, jak pije się wtedy, gdy trzeba zastanowić się trochę dłużej nad tym, co zamierza się powiedzieć. W końcu odparła:

– Zbiegi okoliczności się zdarzają, Jaime, przecież wiesz. Ja właściwie uważam, że są czymś normalnym. Ale nie w przypadku Bertiego, jak sądzę. W przypadku Tupry – poprawiła się – to nieprawdopodobne, tu masz rację.

Z nim prawie nic nie jest przypadkowe. – Zamilkła na kilka sekund, spoglądając na mnie, jak sądzę, z lekkim współczuciem, potem podjęła na nowo: – Ale dlaczego się tak zadrezczasz? Że podsunąłeś mi pomysł na zastawienie pułapki, która ci się nie podoba? Że w tę pułapkę nie tylko wpadł ten, kto miał w nią wpaść, lecz jeszcze ktoś inny? Że ktoś zginął, jakaś instrumentalna ofiara? Tak, oczywiście, ale co mam ci na to powiedzieć? Rozumiem twój podły nastrój. Kiedyś w nocy już o tym rozmawialiśmy – przypomniała mi. A wobec wyrazu zdumienia na mojej twarzy dodała: – Tak, powiedziałam ci, że nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co robi albo postanawia Tupra. Wszyscy, na czymkolwiek polega ich praca, podsuwają pomysły swoim szefom. Ci zaś, gdy uznają te pomysły za dobre, przywłaszczają je sobie i dwie minuty potem już są przekonani, że sami na nie wpadli. To bardzo nieprzyjemne, nawet nie poklepią cię po ramieniu, ale równocześnie zwalnia nas to z wszelkiej odpowiedzialności. I powiedziałam ci wtedy, że przejmować się skutkami naszych raportów, to tak jakby pisarz się przejmował potencjalnymi kupcami i czytelnikami swojej książki, tym, ile z niej zrozumieją i wyniosą.

Pamiętałem to oraz to, że wtedy nie byłem pewien, czy to porównanie było trafne. Posłużyła się też innymi porównaniami, ale żadne mnie nie przekonało. Znowu wydała mi się bardziej doświadczona, w pewnym sensie starsza niż ja. Patrzyła na mnie, jakby leniwie przyglądała się po jakimś czasie czemuś, przez co sama dawno przeszła i co miała już za sobą. Może z tego się brało jej zniecierpliwienie i niezadowolenie, jej zakłopotanie: mało zachęcające jest wyjaśnianie komuś, czego samemu trzeba się było nauczyć w pocie czoła, i to bez niczyjej pomocy. A może miała do pomocy Tuprę? On potrafi przekonać do swoich racji.

– Nie wydało mi się trafne to porównanie – odparłem. – A poza tym pisarz powinien się przejmować tym, co umieszcza w swojej książce. Nie sądzisz?

– Wątpię, by któryś to robił – powiedziała stanowczo. – Gdyby się przejmowali, nigdy by nic nie napisali. Posłuchaj, Jaime, nie można mieć tylu skrupułów albo jak mówią w Hiszpanii: *cogérsela con papel de fumar*, bo to paraliżujące. Poza tym nie przesadzaj. Czego się spodziewasz? W naszej dziedzinie są ludzie, którzy robią gorsze rzeczy, mają też brudne ręce. Albo robią też lepsze rzeczy, bo oddają usługi swemu krajowi, zależy, jak się na to spojrzy. – Ponieważ rozmawialiśmy po hiszpańsku, byłem wdzięczny, że nie użyła słowa „*patria*”, ojczyzna, lecz „*país*”, kraj. To sformułowanie zanadto przypominało coś, co usłyszałem od Tupry podczas bufetowej kolacji u Wheelera. Możliwe, że ci, którzy długo z nim pracowali, a ja nie będę się do nich zaliczał, przejmowali w końcu jego poglądy. Jednakże Pérez Nuix powiedziała te słowa tak neutralnym tonem, że nie potrafiłem zgadnąć, czy mówi poważnie czy może cytuje sarkastycznie naszego szefa.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że aresztowanie Dearlove’a, wsadzenie go do pierdła na szmat czasu albo żeby go tam po trzech dniach załatwili, to świadczenie jakiejś usługi temu krajowi. Albo śmierć tamtego chłopaka z Rosji, pewnie dopiero co przyjechał i był tu nielegalnie, a to daje pewność, że nie będzie żadnego poważnego śledztwa ani nikt nie zgłosi żadnych żądań. Jak go nazwałaś? Ofiarą „instrumentalną”? Myślałem, że przyjęty termin to „ofiara uboczna”, *víctima colateral*. Jakkolwiek po hiszpańsku powinniśmy powiedzieć „*lateral*”, nie „*colateral*”. – Nie mogłem się powstrzymać, by nie zrobić tego pedantycznego uściślenia.

– To nie to samo, Jaime – zaznaczyła. – Ofiary uboczne nie są zazwyczaj ofiarami instrumentalnymi, są wynikiem przypadku albo pomyłki, albo po prostu nie można ich uniknąć. Instrumentalne natomiast spełniają zawsze jakąś funkcję. To ofiary potrzebne, żeby coś się udało. – Znowu zamilkła, napiła się, nadal milczała. Pomyślałem, że mogła przechodzić kilka razy

przez to, przez co ja teraz przechodziłem. Gdy odezwała się ponownie, w jej słowach było wahanie: – Słuchaj, ja już nie wiem, naprawdę nie wiem, mnie Tupra od dawna nic nie mówi, zresztą nigdy mi wiele nie mówił, nawet w czasach, gdy mieliśmy lepsze relacje, to znaczy gdy miał do mnie większe zaufanie albo większą słabość, on zawsze prawie wszystko zachowuje dla siebie. Zasadniczo to mało prawdopodobne, żeby państwo albo królowa, albo oni – i wskazała palcem do góry, co zrozumiałem jako aluzję do grubych ryb z SIS, czyli Secret Intelligence Service, która to służba, przynajmniej dawniej, obejmowała także MI5 i MI6 – kazali zastawić taką pułapkę, przeprowadzić taką operację wobec rockowego piosenkarza, celebryty. Ale nigdy nie wiadomo, dzięki odtajnieniu starych archiwów w Ameryce ujrzały światło dzienne bardzo zabawne rzeczy, raporty o ludziach takich jak Elvis Presley czy John Lennon, którzy byli inwigilowani przez CIA albo FBI, tak więc wszystko jest możliwe. Nie wiemy, co robił Dearlove, w co mógł być zamieszany, z kim był powiązany i kogo mógł szantażować, kto czuł się zagrożony jego pogrozkami, uważając je za wiarygodne (jeżeli rzecz jasna można tu w ogóle mówić o jakiejś wiarygodności), albo komu Dearlove wyświadczał przysługi. Nieznaczący, nieszkodliwi i na pozór czysto dekoracyjni ludzie potrafią sprawić niejedną niespodziankę. Piosenkarze i aktorzy to często niezłe świry, wstępują do dziwacznych sekt, przechodzą na islam, a dzisiaj to już nie są żarty, sam wiesz. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczysz się w tym fachu (choć lepiej to wiedzieć, zanim zaczniesz), to że nie ma ludzi nieznaczących, nieszkodliwych i czysto dekoracyjnych.

– Kiedy w Edynburgu rozmawiałem z Dearlove’em dłużej – powiedziałem – a raczej kiedy dłużej przysłuchiwałem się jego rozmowie z wieloletnią przyjaciółką Genevieve Seabrook, a to przydaje wiarygodności jego słowom, bo przed nią nie musiał grać, nie odniosłem wrażenia, że jest z kimś związany, a już na pewno z nikim, kto byłby

obiektem pożądania, ani żeby w ogóle miał taką możliwość. Narzekał, że w Anglii musi płacić za seks, że nie ma innego wyboru. Nie wierzę, że stanowił zagrożenie dla kogoś ważnego, kogo musiałyby ochraniać tajne służby. Zrobił na mnie wrażenie człowieka w fazie schyłkowej, ale chętnie podgrywającego ten schyłek. Prawdę mówiąc, mógł widzieć siebie jako znikającą gwiazdę, nie tyle znikającą ze świata, ile z ludzkiej pamięci. To go martwiło, niepokoiło, napełniało goryczą.

– Jak już mówiłam, to bardzo mało prawdopodobne, żeby państwo zadziało przeciwko niemu w taki sposób. Dlatego skłaniam się raczej ku hipotezie, że to osobista zemsta Tupry, jakieś niewyrównane rachunki, mieli ze sobą dość dużo kontaktów, a może to zemsta kogoś innego, komu Tupra wyświadczył przysługę. A może wcale nie chodziło o przysługę, lecz o zwykłe zlecenie. Tego też nie można wykluczyć.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś to zlecił za pieniądze?

– A dlaczego nie? Już ci to tłumaczyłam. Ten cały Dearlove może i jest teraz w fazie schyłkowej pod wszystkimi względami, ale z tego, co wiem, w trakcie swego gwiazdorskiego życia często zadawał się z nieletnimi obojga płci, bez wątpienia niektórzy z nich wzbudzali swego czasu wielkie pożądanie, jak się wyraziłeś, ze względu na swój wygląd fizyczny, pochodzenie społeczne albo rodzinne koneksje. Wielu z tych ówczesnych nastolatków jest dziś dorosłymi ludźmi, niektórzy pewnie dorobili się znacznego majątku i spokojnie stać ich na to, żeby opłacić takie zlecenie. Poza tym istnieją jeszcze rodzice i rodzeństwo. Czy ja wiem, może Dick Dearlove zrujnował życie siostrze albo młodszemu bratu Tupry? Może zdeprawował kiedyś samego Tuprę? – powiedziała i zaśmiała się na taką myśl.

– Myślisz, że to możliwe? Tupra nie może być od niego dużo młodszy. Czy Tupra ma rodzeństwo?

Młoda Pérez Nuix znowu się roześmiała, tym razem z powodu mojej naiwności, a może dlatego, że to, co mówiła, brałem tak dosłownie.

– Och, nie, spokojnie, jestem pewna, że nikt nigdy nie mógł zdeprawować Bertiego ani zmusić go do zrobienia niczego, czego on by nie chciał. Naprawdę trudno mi uwierzyć, żeby kiedykolwiek był niewinny i dawał sobą kierować. Poza tym powiedziałam to ironicznie, jak łatwo zgadnąć. Nie mam zielonego pojęcia, czy Tupra ma rodzeństwo, nigdy nie słyszałam z jego ust najmniejszej wzmianki o rodzinie, pochodzeniu ani nie wiem, skąd się wzięło jego nazwisko. – Peter też nie wiedział, chociaż robił sobie z tego nazwiska żarciki, pomyślałem. – Nikt o nim nic nie wie. Jakby wyrósł z jakiegoś samorodnego pokolenia. – Patricia wróciła do nazywania go „Bertiem” i w jej tonie zabrzmiała jakaś wspomnieniowa nuta, choć ona nie zdawała sobie z tego sprawy ani tego nie planowała. Zastanowiłem się, co między nimi zaszło. Szybko jednak wróciła do zasadniczej kwestii: – Chcę przez to powiedzieć, że jest nieskończenie wiele możliwości i mają drugorzędne znaczenie, nie ma sensu się w tym grzebać. – Znowu poczułem na sobie jej lekko współczujące spojrzenie. Jakby było jej mnie żal, że przechodzę przez coś, co ona ma już za sobą, ponownie miałem takie uczucie. Możliwe także, że nudziło ją to, a nawet złościło. – Poza tym jakie to ma znaczenie, Jaime? To cię nie powinno obchodzić. Nie powinno cię nawet obchodzić, co tam się stało, mimo że teraz uważasz, że powinno. Nie masz racji. Musisz się przyzwyczaić do takiego stanu rzeczy. To nie będzie zdarzać się często, teraz zdarzyło się pierwszy raz, odkąd tu pracujesz, sam widzisz. Może też nie zdarzyć się nigdy więcej. Ale musisz się przyzwyczaić na wszelki wypadek, po prostu ze względu na takie możliwe wyjątki. Nie dasz rady tego ciągnąć, jeżeli się nie przyzwyczaisz.

– Nie sądzę, żebym miał to ciągnąć – odparłem.

Młoda Pérez Nuix okazała zdziwienie, mnie się jednak wydało, że udaje, jakby uważała, że brak zdziwienia byłby przejawem złego wychowania

albo lekceważenia. Zdaniem Tupry ona była najlepsza, z pewnością dobrze mnie znała, może lepiej niż ja znałem siebie, szczególnie że nie byłem sobą zainteresowany i zaniechałem prób zrozumienia siebie, bo i po co? („Nikt nie zna cię lepiej, niż ty znasz siebie, a przecież nikt nie zna siebie tak dobrze, żeby być pewnym, jak zachowa się jutro”, tak powiedział święty Augustyn, pomyślałem, przypomniałem sobie). Tak, udała to zdziwienie przynajmniej trochę:

– Naprawdę? Kiedy to postanowiłeś, jak byłeś w Madrycie czy teraz, po powrocie? Jesteś pewien?

– Prawie pewien – powiedziałem. – Chcę jeszcze porozmawiać z Tuprą. Nie ma go dziś w Londynie.

– Przez tę sprawę z Dearlove'em? A co właściwie chcesz powiedzieć Tuprze? O co go chcesz zapytać? Dlaczego stało się to, co się stało? To jego sprawy, a może jeszcze kogoś innego, nigdy ci nic nie powie. Czasem nawet on nie zna przyczyny, dostaje polecenie, nie kwestionuje go, lecz wypełnia i już. – Spojrzała na swój kieliszek. Ja uniosłem do ust papierosa w oczekiwaniu, że jeszcze coś powie, udam, że nie wiem o zakazie palenia w hotelu, dopóki ktoś nie zaprotestuje. – Wiesz, co robisz, Jaime, ale z mojego punktu widzenia to przesada. Taki jest świat, jak mówi Tupra, tylko tyle. Poczekaj, aż się z tym oswoisz. Poczekaj, aż uświadomisz sobie, że ty nie masz nic wspólnego z tym, co się przytrafiło Dearlove'owi i temu chłopakowi z Bułgarii. Pomysły przepływają, nic nie przenosi się równie łatwo. Gdy tylko wypowiesz jakiś pomysł, od razu przestaje być twój, po prostu jest. I wszystkimi pomysłami inni mogą się potencjalnie zarazić. Poczekaj trochę, a pewnego dnia sam się przekonasz, że miałam rację.

– Nie tylko z tego powodu – odpowiedziałem. – Ale to się na pewno przyczyniło. Myślę, że nie postanowiłem tego ani w Madrycie, ani tutaj, lecz podczas lotu, w samolocie.



– Pogratulować niezłomnych zasad. – W jej tonie zabrzmiał lekki sarkazm, zaraz jednak ton stał się poważny: – W gruncie rzeczy wcale się ich niezłomnie nie trzymasz, Jaime. Nikt, kto tu pracuje, nie może sobie na nie pozwolić. Teraz je sobie mężnie narzucasz, ale to już inna opowieść. – Od czasu do czasu używała rzadkich wyrażeń, jak „*con denuedo*”, mężnie, zapewne znanych komuś tak odczytanemu jak ona, lecz niespotykanych w codziennej hiszpańszczyźnie. – W porządku, ja cię nie krytykuję; to pomaga, ma swoje zalety, wszyscy powinniśmy bardziej o to dbać. Ale wszystkiego, co się na siebie bierze, można się też pozbyć.

Przypomniałem sobie, o co mnie zapytał Tupra pierwszego dnia, gdy dokonywałem analizy osób (tego dnia po raz pierwszy mnie przynaglił: „Proszę powiedzieć cokolwiek, co panu przychodzi do głowy, proszę mówić”), zatrzymawszy mnie wcześniej u siebie w gabinecie, bym przedstawił mu swoją opinię o generale albo majorze, albo kapralu, wszystko jedno, Bonanzie z Wenezueli: „Proszę pozwolić, że zapytam: do jakiego stopnia jest pan gotów odłożyć na bok swoje zasady? Mam na myśli, do jakiego stopnia robi to pan zazwyczaj? To znaczy, nie zważa pan na teorię?” powiedział wówczas. I dodał: „Wszyscy tak postępujemy od czasu do czasu, inaczej nie dałoby się żyć: robimy to dla wygody, ze strachu, z konieczności. Bo się poświęcamy albo chcemy być wspaniałomyślni. Z miłości, z nienawiści. W jakiej mierze pan zwykł to robić? Proszę mnie dobrze zrozumieć”. A ja mu odpowiedziałem: „To zależy od okoliczności. Mogę odłożyć je w dużej mierze na bok na użytek konwersacji. Trochę mniej, gdy mam wydać sąd. Gdy oceniam przyjaciół, dużo bardziej, jestem stronnicy. W działaniu dużo mniej, tak sądzę”. Odpowiedziałem właściwie bez zastanowienia. W każdym razie skąd wtedy mogłem wiedzieć i skąd mam wiedzieć teraz? Możliwe, że Pérez Nuix miała trochę racji, i teraz po prostu narzucałem sobie zasady albo

postanowiłem nie odkładać ich na bok. Nie miała natomiast racji w tej ostatniej kwestii: nie można pozbyć się wszystkiego, co się na siebie bierze.

– Nie wszystkiego – powiedziałem. – Tatuazu nie można się pozbyć. Nie zawsze. Pewnych zobowiązań też nie można się pozbyć. Dlatego niektóre tak trudno na siebie przyjąć. A kiedy indziej lepiej to zrobić, żeby nie było drogi odwrotu.

Nie było już wiele więcej do powiedzenia. Powinienem był się domyślić, że ona nic nie będzie wiedziała. Prawdopodobnie zadzwoniłem do niej tylko po to, żeby zwalczyć własną niecierpliwość i podzielić się z kimś oszołomieniem, żeby rozładować napięcie, może po to, żeby przekonać siebie, a przynajmniej żeby czegoś dowieść albo chociaż spróbować dowieść. Zgasiłem dopiero co zapalony papierosa, zanim ktoś przywołał mnie do porządku. Zapłaciłem i wyszliśmy. zaproponowałem, że odwiozę ją do domu taksówką, ale byliśmy zbyt blisko mojego domu, nie przyjęła zaproszenia. Odprowadziłem ją zatem do stacji metra Baker Street i tam się rozstaliśmy. Podziękowałem jej, a ona powiedziała: „Daj spokój”.

– Jak się miewa twój ojciec? – zapytałem. Od tamtej nocy u mnie nigdy nie poruszyliśmy tego tematu. Ona wcześniej nic nie wspomniała, a ja nie chciałem pytać. Przypuszczam, że teraz zapytałem, bo miałem niejasne uczucie, że się żegnamy. Choćbyśmy mieli się zobaczyć w budynku bez nazwy w poniedziałek i może jeszcze kiedyś.

– Nieźle. Nie wrócił do grania – odpowiedziała.

Pocałowaliśmy się w policzki i odprowadzałem ją wzrokiem, aż znikła w środku, zeszła w dół, metro w Londynie jest bardzo głęboko. Może zazdrościła mi decyzji, żeby nie być już w grupie, i tego, że w moim przypadku jeszcze można było się wyłamać, ja tkwiłem tam dużo krócej. W jej przypadku też nic w zasadzie nie stało na przeszkodzie. Jednakże Tupra z całą pewnością chciałby ją za wszelką cenę zatrzymać, podobnie jak wszystkich pozostałych, mnie także. On podejmował kroki, jakie

uważał za konieczne, i zapewne miał nadzieję, że nas nimi nie odstraszy, może to właśnie mając na względzie, dozował i odmierzał te kroki, czekając, aż będziemy dostatecznie zahartowani, żeby znieść pewne większe wstrząsy. Było bardzo niewiele osób z naszym darem albo przekleństwem, coraz mniej według Wheelera, a on żył dostatecznie długo, by dostrzegać to nieomylnie. „Takich ludzi już prawie nie ma, Jacobo”, powiedział mi. „Nigdy nie było ich dużo, raczej bardzo mało, dlatego grupa zawsze była niewielka i rozproszona. Ale dzisiaj ich brak jest absolutny, nie będzie banałem ani przesadą stwierdzenie, że jesteśmy na wymarciu. Czasy stały się mdłe, afektowane, doprawdy pełne obłudy. Nikt nie chce widzieć tego, co trzeba widzieć, nikt nawet nie ośmiela się spojrzeć, a tym bardziej pójść o zakład, a już mowy nie ma o wyrokowaniu o czymś z góry, bo to śmiertelny grzech... Nikt nie ma już odwagi powiedzieć albo się przyznać, że widzi to, co widzi, co po prostu jest, może niewypowiedziane, dyskretne, ale wyraźne. Nikt nie chce wiedzieć, a już wiedzieć zawczasu to szczyt wszystkiego, to wzbudza grozę, grozę biograficzną i grozę moralną”. A kiedy indziej, w innych okolicznościach, ostrzegł mnie: „Nie zapominaj, że większość ludzi to głupcy. Ludzie są głupi, lekkomyślni i łatwowierni, nawet nie wiesz jak bardzo, są stale jak czysta kartka, kartka bez jednego śladu, bez oporu”.

Nie, Tupra nie byłby gotów stracić ot tak nas, ludzi, którzy mu służyli. Nie sądziłem, żebym miał wobec niego jakiś większy dług albo zobowiązania lub żebym zadzierzgnął z nim jakieś silniejsze więzy, nie zaangażowałem się, nie wplątałem, nie zapętlilem, ja nie musiałbym sięgać po nóż, by przeciąć jedną z tych więzi, które w końcu zaczynają uwierać. Chciałem go oszukać w sprawie Incompar, ale teraz, gdy wydarzyła się ta historia z Dearlove'em, chociaż obie sprawy nie były porównywalne, jesteśmy mniej więcej kwita. Co do Pérez Nuix, to na nią miał prawdopodobnie różne haki, całkiem możliwe, że jej nie byłoby łatwo

odejść albo że ona nie mogła zdezerterować. Przypomniałem sobie pewną uwagę Reresby'ego, gdy zatrzymał nagranie na obrazie pobitego ojca, biedny człowiek leżał nieruchomo na stole bilardowym, krew ciekła mu z nosa, z łuków brwiowych, policzków i pewnie z innych rozcięć, miał połamane ręce, którymi bezskutecznie się zasłaniał, były jedną zbitą napuchniętą poranioną masą, ja też złamałem komuś rękę i rozciąłem policzek pozornie na zimno, a może naprawdę na zimno: jak mogłem to zrobić?! Tupra powiedziała: „Jak już ci mówiłem, tu niczego się nie wyrzuca, nie oddaje ani nie niszczy, a to pobicie jest tu dobrze zabezpieczone, nie jest przeznaczone do pokazywania. Aczkolwiek kto wie, pewnego dnia może okazać się konieczne pokazanie go Pat, żeby ją do czegoś nakłonić, do pozostania, nieodchodzenia od nas, nigdy nie wiadomo”. Może pokazałby jej to nagranie, mówiąc: „Chyba nie chcesz, żeby coś takiego znowu przytrafiło się ojcu?”. Jakie to szczęście, pomyślałem, że moja rodzina jest daleko stąd, że ja jestem taki samotny w Londynie. Może nie musiałyby jednak posuwać się tak daleko, żeby przekonać Pat: jakkolwiek półkrwi Hiszpanka, była jednak w służbie swego kraju. Ja nie.

Tamtej nocy źle spałem, ponieważ postanowiłem wstać bardzo wcześnie. Nie zamierzałem spędzić całej niedzieli na siedzeniu z założonymi rękami w Londynie i oddając się tylko przeżuwaniu, bez żadnego zajęcia (zakończyłem wszystkie bieżące sprawy przed wyjazdem), z czającym się w rogu pokoju telewizorem i w oczekiwaniu na nadejście poniedziałku, żeby zobaczyć się z Tuprą. Od dawna już nie odwiedzałem Wheelera, a poza tym całą drogę z Madrytu targalem dla niego ciężki prezent: wspaniałą książkę, dwutomowy album w boksie poświęcony plakatom propagandowym z czasów naszej wojny domowej kupiony w starym antykwariacie, kilka plakatów – nie tylko hiszpańskie i nie wszystkie rysunkowe – było z tym samym albo podobnym motywem „*careless talk*”, czyli „nierozważnej rozmowy”. Jak już się namęczyłeś, żeby coś przywieźć, chciałbyś to jak najszybciej wręczyć, szczególnie jeżeli wiesz, że sprawi obdarowanemu radość. Gdy w sobotni wieczór wróciłem do domu ze stacji Baker Street, było już za późno, żeby do niego zadzwonić, postanowiłem więc pojechać rano do Oksfordu i dopiero stamtąd zawiadomić go, że zaraz będę, to żaden problem, Wheeler prawie nie wychodził i z pewnością będzie rad, że odwiedzam go w jego domu nad rzeką Cherwell i że zostanę na lunchu albo spędzę z nim cały dzień.

Pojechałem zatem na dworzec Paddington, z którego tyle razy odjeżdżałem w odległych już oksfordzkich czasach, i złapałem pociąg wyruszający przed ósmą rano, nie wiedząc, że to połączenie należy do najwolniejszych, z przesiadką i oczekiwaniem w Didcot. W czasach, które jeszcze zaliczały się mniej więcej do mojej młodości, spędziłem w sumie wiele minut, czekając na tej na pół opuszczonej stacji, i pewnego razu miałem przekonanie, że ominęło mnie coś ważnego, bo nie ośmieliłem się –

albo prawie – zagadnąć kobiety czekającej jak ja na opóźniony pociąg, który miał nas zawieźć do Oksfordu, i gdy tak czekaliśmy, zabijając czas paleniem, drżący snop światła obok nas oświetlał jedynie niedopałki jej papierosów leżące na ziemi obok moich (cóż to była za tolerancyjna epoka), jej angielskie buty jak balerinki nastolatki albo naiwnej tancerki, z klamerką, na płaskim obcasie i z zaokrąglonymi noskami, i jej kostki u nóg udoskonalone półmrokiem. Później, gdy już jechaliśmy opóźnionym pociągiem, mogłem przyjrzeć się jej twarzy, wiedziałem wtedy i wiem dzisiaj, że to była kobieta, która w mej młodości poruszyła mnie od pierwszego wejrzenia najbardziej, aczkolwiek nie zapominam, że tradycyjnie, zarówno w literaturze, jak i w prawdziwym życiu, taką uwagę można poczynić jedynie w odniesieniu do kobiet, których młodzi ludzie nigdy nie poznali. Wtedy jeszcze nie znałem Luisy, a moją kochanką była Clare Bayes; nie znałem nawet swojej ówczesnej twarzy, a pomimo to analizowałem tamtą młodą kobietę na stacji w Didcot.

Pociąg zatrzymał się jak zwykle w Slough i w Reading, a także w Maidenhead i w Twyford, w Tilehurst i w Pangbourne, i po dwóch i pół godzinie wysiadłem w Didcot, gdzie musiałem poczekać kilka minut – takie znajome perony – na przyjazd następnego niemrawego, wymęczonego pociągu. Właśnie tam, gdy wracałem niezborną pamięcią do tej nocnej sceny i młodej kobiety, której twarz szybko zapomniałem, lecz nie zapomniałem kolorów (żółty, niebieski, różowy, biały, czerwony; na szyi miała sznurek pereł), uświadomiłem sobie, że tym, co kazało mi wstać z samego rana i bez zwłoki pojechać w odwiedzinach do Wheelera, nie była tylko chęć zobaczenia go znowu ani niecierpliwe pragnienie, by być świadkiem tej chwili, gdy jego zdumiony wzrok spocznie na plakatach o *careless talk* w Hiszpanii, lecz potrzeba opowiedzenia mu o tym, co mi się przytrafiło, i zażądania wyjaśnień. Nie o tym, co mi się przytrafiło w Madrycie, za to nie ponosił najmniejszej winy (i ściśle mówiąc, mnie nic

się nie przytrafiło, to ja coś zrobiłem), lecz o tym, co się wydarzyło z Dearlove'em, ostatecznie właśnie Peter wprowadził mnie do tej grupy, sam do niej należał kiedyś, w innych czasach, i to on mnie do niej zarekomendował; zaaranżował moje spotkanie z Tuprą i poddał mnie małemu testowi, który teraz wydawał mi się niewinny i idiotyczny – w sam raz, żebym nie zdał sobie sprawy z ryzyka – i poinformował o jego wyniku. Możliwe, że to on napisał ów raport ze starego archiwum na mój temat: „Jakby nie znał zanadto sam siebie. Nie zastanawia się nad tym, choć uważa, że się zastanawia (ale bez większego przekonania)...”. W każdym razie to on objawił mi moje rzekome zdolności i zwerbował mnie, by posłużyć się klasycznym czasownikiem.

Gdy dotarłem do Oksfordu, poszedłem piechotą ze stacji do hotelu Randolph, skąd do niego zadzwoniłem (teraz, gdy wiedziałem, że Luisa posługuje się telefonem komórkowym, może i ja powinienem sobie taki sprawić, to narzędzie inwigilacji, ale się przydaje). Odebrała pani Berry i nawet nie uznała za potrzebne, bym osobiście porozmawiał z Peterem. Zapyta go, ale jest z góry pewna, że moje odwiedziny sprawią mu wielką radość. „Mówi, żeby pan przychodził jak najszybciej, Jack. Czeka na pana – poinformowała mnie po kilku sekundach. – Zostanie pan na obiedzie? Zresztą profesor i tak nie pozwoli panu wyjść wcześniej”.

Wchodząc do salonu, przeżyłem chwilę trwogi – jeszcze nie paniki – ponieważ rysy twarzy Petera lekko się wyostrzyły jak u człowieka, wokół którego krąży już śmierć, jeszcze bez wielkiego pośpiechu, jeszcze bez klepsydry w ręku, ale już na niego zerkając. To pierwsze wrażenie zaraz osłabło i uznałem je za fałszywe, aczkolwiek mógł to być wynik szybkiego przyzwyczajenia, jak wtedy, gdy widzimy kogoś znajomego dużo grubszego albo dużo chudsze, albo bardzo postarzałego od ostatniego razu i trzeba dokonać zmiany perspektywy, aby nowa objętość lub inny wiek utrwaliły się w siatkówce oka i byśmy mogli go w pełni rozpoznać.

Wheeler siedział w fotelu jak mój ojciec, ze stopami wspartymi na pufie i niedzielną prasą rozłożoną na niskim stolyczku obok. Laska zwisała zaczepiona o oparcie fotela. Chciał wstać na moje powitanie, ale nie pozwoliłem mu na to. Sądząc po tym, jak siedział rozparty w fotelu, pomyślałem, że miałby teraz kłopot, by przysiąść na stopniu schodów jak tamtej nocy po bufetowej kolacji, gdy już wszyscy wyszli. Położyłem mu dłoń na ramieniu i uścisnąłem z delikatną powściągliwą serdecznością, to było wszystko, na co się ośmieliłem, w Anglii ludzie prawie się nie dotykają. Był nienagannie ubrany, miał krawat, sznurowane pantofle i marynarkę z dzianiny, a może kardigan, sądzę, że to tradycyjny strój u ludzi jego pokolenia, przynajmniej zauważyłem podobny zwyczaj u mego ojca: w domu zawsze chodził ubrany tak, jakby w każdej chwili miał wyjść. Nie potrafiłem poczekać. Usiadłem obok niego na taborecie i po kilku zdaniach powitania wyjąłem z torby kartonowe pudełko zawierające „*La Guerra Civil en dos mil carteles*” – „Wojnę domową na dwóch tysiącach plakatów” – muszę wyszukać drugi egzemplarz dla siebie, jak następnym razem będę w Madrycie, to była fantastyczna książka, nie miałem wątpliwości, że Wheeler ją doceni i bardzo się z niej ucieszy, podobnie zresztą jak pani Berry, którą poprosiłem, żeby została z nami i też rzuciła okiem. Ona jednak wołała nie zostawać („Obejrzę ją kiedy indziej w spokoju. Dziękuję, Jack”). Opuściła nas pod pretekstem różnych domowych zajęć, mimo że potem w ciągu całego przedpołudnia przechodziła obok kilka razy, wchodziła i wychodziła, zawsze była w pobliżu, zawsze na wyciągnięcie ręki.

– Niech pan spojrzy, Peter – powiedziałem, otwierając pierwszy tom – książka zawiera też reprodukcje niektórych plakatów zagranicznych, zaznaczyłem żółtymi karteczkami strony z tymi poświęconymi nierozważnym rozmowom, mam wrażenie, że ten motyw był dość powszechny w wielu różnych miejscach. Amerykanie, gdy w końcu



przystąpili do wojny, skopiowali kampanię brytyjską, aczkolwiek nie ustrzegli się chwilami pretensjonalności i efekciarstwa. – I pokazałem rysunek przedstawiający pieska oplakującego swego pana marynarza, który zginął, „bo ktoś wygadał”, albo jak byśmy powiedzieli po hiszpańsku: „*¡porque alguien se fue de la lengua!*”; następny z wielkim owłosionym łapskiem z sygnetem i odznaczeniem nazistowskim oraz napisem: „Nagroda za nierozważne rozmowy. Nie mówcie o ruchach wojsk, trasach statków ani o sprzęcie wojennym”; i trzeci, bardziej łopatologiczny, na którym duże migdałowe oczy o intensywnym spojrzeniu spoglądają spod niemieckiego hełmu: „On cię obserwuje”. – Są tu też dwa plakaty angielskie, których chyba mi pan nie pokazywał, ale z pewnością je pan pamięta. – I wskazałem na plakat bardzo oszczędny w słowach, który ostrzegał: „Rozmawianie zabija” albo „Rozmowa zabija”, a w jego dolnej części widać było tonącego marynarza jako pośredni, a może bezpośredni skutek takiej rozmowy; i na inny, sygnowany przez Bruce’a Bairnsfathera, na którym widać jego słynnego żołnierza z pierwszej wojny światowej, zwanego „Old Bill”, jak rozmawia ze swoim synem zmobilizowanym podczas drugiej wojny: „Nawet ściany...” można przeczytać na górze, ponad swastyką i ogromnym uchem; na dole zaś umieszczono słowa młodego człowieka: „Do zobaczenia, tato! Przerzucają nas do... A niech to! Prawie się wygadałem!”. Zwróciłem też jego uwagę na francuski plakat sygnowany przez Paula Colina: „Cisza. Wróg czyha na twoje zwierzenia”, i na plakat fiński, ale z napisem po szwedzku, który ukazywał kobiecie usta, mięsiste i czerwone, spięte straszliwą kłódką, a pod spodem widniał tekst mówiący, jak się zdaje: „Wspieraj z tyłów naszych żołnierzy. Nie rozpowszechniaj plotek!”; oraz na plakat rosyjski, na którym twarz słuchającego mężczyzny w połowie spochmurniała i pojawił się na tej połowie monokl i wąsik, a poniżej wojskowy naramiennik (ogólnie złowieszczy wygląd). – A tu są hiszpańskie – dodałem, szukając ich

głównie w drugim tomie, pomimo że były w obu. – Niech pan spojrzy, te muszą być siłą rzeczy wcześniejsze niż brytyjskie i cała reszta.

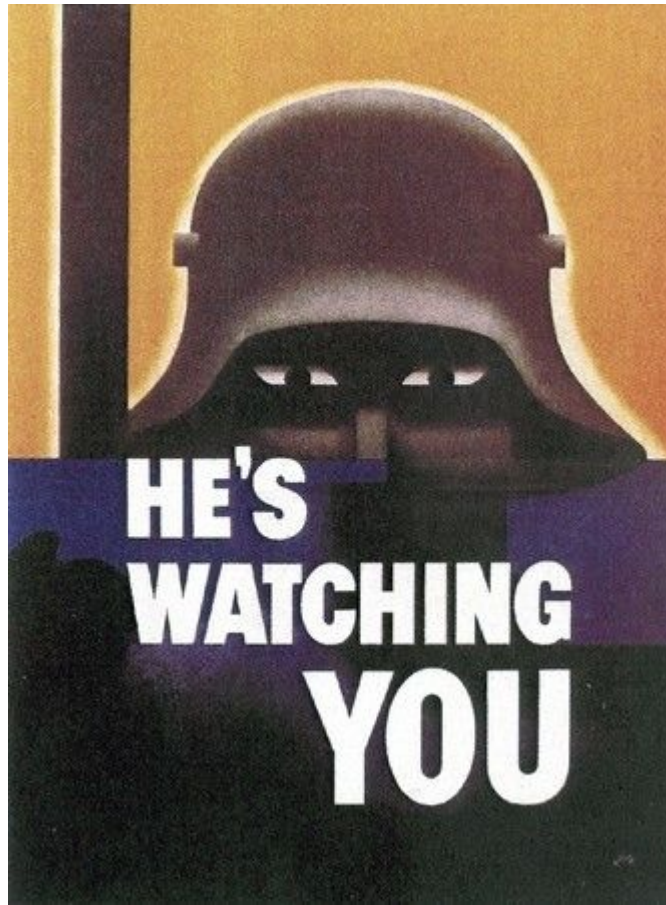


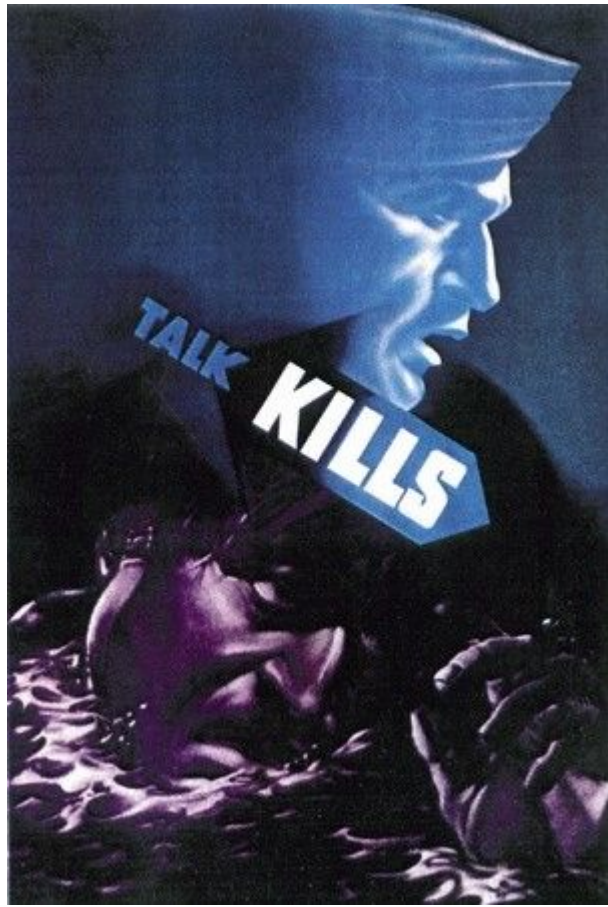
**AWARD**

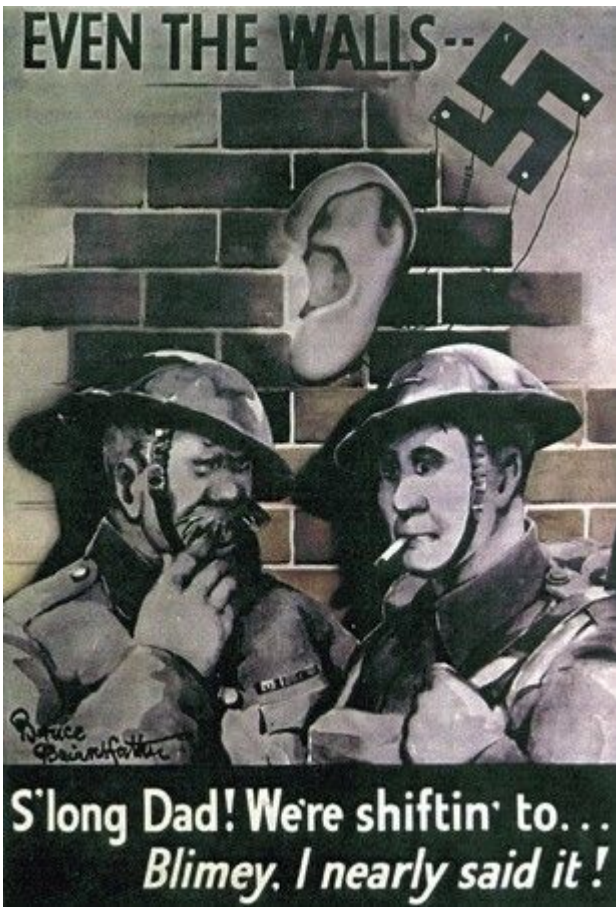


**FOR CARELESS TALK**

DONT DIE!!! 12000 MOVEMENTS!!! GIVE SWASTIKAS!!! WAR CRIMINALS!!!







# SILENCE



PAUL  
COLIN

L'ENNEMI GUETTE VOS  
**CONFIDENCES**



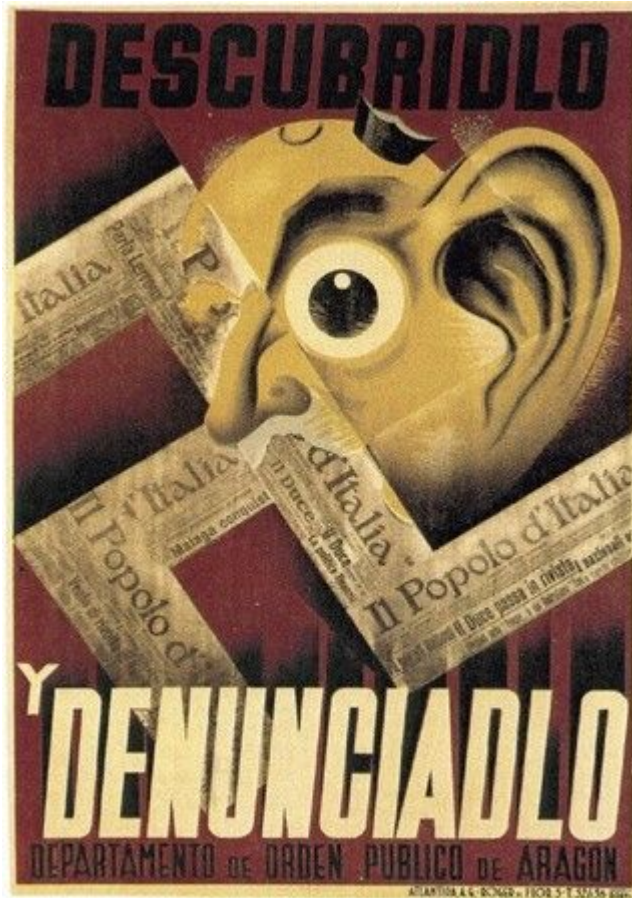
**Болтато — ВРАГУ ПОМОГАТЬ!**



**Stärk  
fronten här hemma-**



**Bygg dammar  
för ryktena!**



Wheeler przyglądał im się z uwagą i niewątpliwym zaciekawieniem, niemal z fascynacją, i po chwili milczenia powiedział:

– Są inne. Jest w nich więcej nienawiści.

– W tych hiszpańskich?

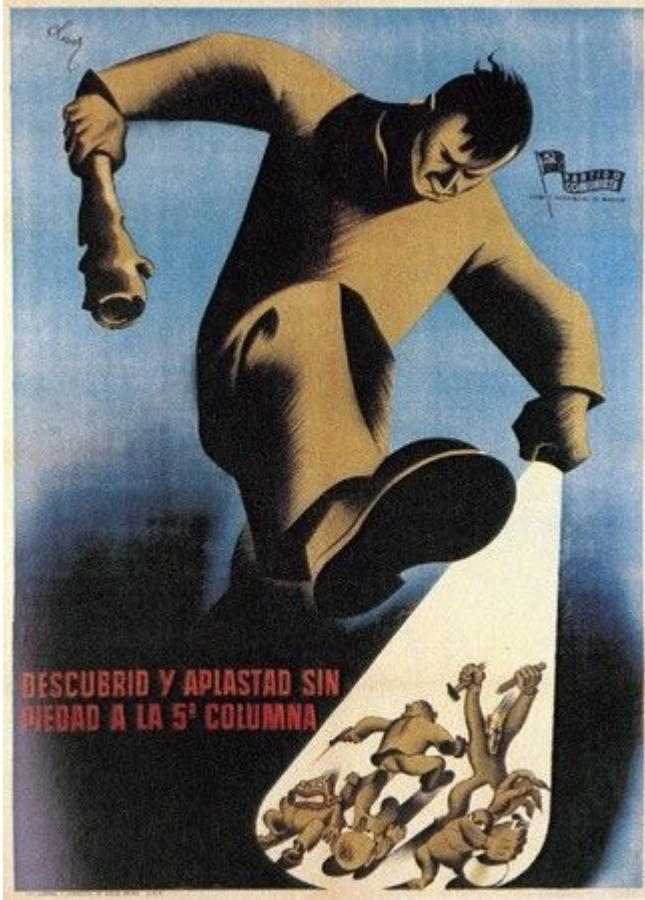
– Tak, zwróć uwagę, że nasze, a nawet te z innych krajów, głównie ostrzegały przed niebezpieczeństwem i kładły nacisk na zachowanie maksymalnej dyskrecji i środków ostrożności, lecz nie demonizowały ukrytego wroga ani o dziwo, nie zalecały tropienia go, ścigania ani zniszczenia. Nawet go nie potępiały. Prawdopodobnie mieliśmy świadomość, że gdy nadarza się okazja, sami postępujemy tak samo w Niemczech i w okupowanej Europie. I że na wojnie można się spodziewać (i dlatego zostawiwszy na boku propagandę, nie można czynić z tego zarzutu), że każda ze stron sięgnie po wszystko, co pozostaje w jej

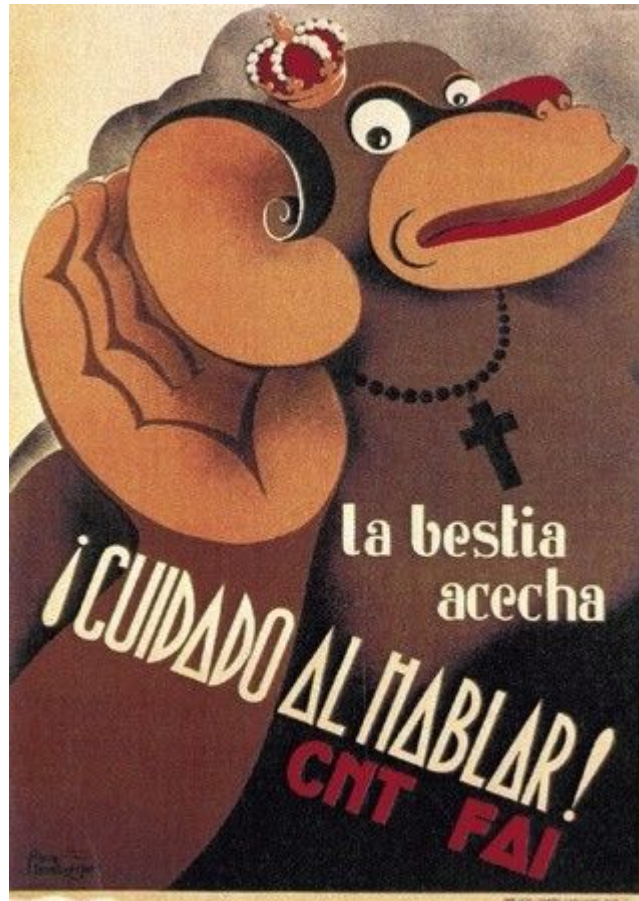
zasięgu, byle tę wojnę wygrać, bez żadnych ograniczeń albo tylko z ograniczeniami narzuconymi przez opinię publiczną. Nie oznacza to, rzecz jasna, że nie przekracza się granic, których oficjalnie się przestrzega, przekracza się te granice po cichu, w tajemnicy, nie przyznając się do tego, a nawet zaprzeczając, jak to się wyda. Ale spójrz na ten: „Zdemaskuj go i zadenuncjuj”, tu przedstawia się szpiega jako potwora z okiem i uchem niemal słoniowych rozmiarów, a także z wielkim nosem, wiąże się go z włoskim faszyzmem i nie wiem, czy na łysej głowie nie ma w dodatku księżego biretu, widzisz to? A co powiesz o tym drugim: „Zdemaskujcie i zgniećcie bezlitośnie piątą kolumnę”, członkowie tej piątej kolumny przedstawieni są jako gromada drapieżnych krwiożerczych szcurków złapanych w światło latarki, nad nimi unosi się podeszwa wielkiego buta, który zaraz ich rozdepcze, i kolczasta pała, która w nich walnie. Wiadomo, że to plakat partii komunistycznej zdominowanej przez sowieckich stalinistów, a ci podzegli do bezwzględного polowania na wroga i na każdego, kto nie wykazywał dostatecznego entuzjazmu, oraz do zabijania bez zbędnych ceregieli, tak samo jak frankiści po drugiej stronie. A popatrz na ten następny: tu podsłuchiwaniec nazwany jest „bestią”: „Bestia się czai. Uważaj, co mówisz!”, na głowie ma koronę, łańcuszek z krzyżykiem na szyi, przez to ma w sobie coś kobiecego, nie sądzisz? W ten sposób opisuje się tego, kto zastawia pułapkę, mówi się, kim jest i jaki jest, wskazuje się na niego. Te inne plakaty, te z okiem i uchem zrobione przez słynnego Renau i plakat sygnowany przez Generalną Dyрекcję Sztuk Pięknych skierowany do członków milicji, przypominają bardziej nasze, są mniej napastliwe, bardziej defensywne, bardziej zapobiegawcze, neutralne, nie myślisz? Po prostu nawołują do zachowania czujności wobec szpiegów. Tekst zamieszczony na tym ostatnim mógłby spokojnie znaleźć się na jednym z naszych: „Nie ujawniajcie szczegółów sytuacji na frontach. Ani towarzyszom. Ani braciom. Ani narzeczonym”. Te przeklęte narzeczone.

Za bardzo się je wprowadza we własne życie, a one nas zanadto wprowadzają w swoje, gdy tymczasem nikogo nie można być pewnym. To bardzo ciekawa książka, Jacobo, bardzo dziękuję, że o mnie pomyślałeś i przywiozłeś mi ją z Hiszpanii, chociaż tyle waży. – Zamyślił się na kilka sekund, a potem dodał: – Tak, ta nienawiść jest uderzająca. To coś innego. Nie wiem, czy my tutaj odczuwaliśmy ją tak silnie.

– Możliwe, że na naszej wojnie trzeba było lepiej opisać i scharakteryzować szpiega – powiedziałem – bo trudniej go było odróżnić, łatwiej mógł się ukryć i udawać. Trzeba pamiętać na przykład, że wszyscy mówiliśmy tym samym językiem, nie tak jak tutaj, gdzie walczyliście z nazistami.

Wheeler posłał mi jedno z tych swoich spojrzeń skrywających lekką irytację i niezadowolenie – oczy miał o wyglądzie minerału, jak dwie marmurowe kulki prawie fioletowe albo jak ametysty, albo chalcedony, a gdy je mrużył, były może jak pestki granatu – które dawały odczuć, że powiedziało się coś głupiego. W takich chwilach wychodziło jego podobieństwo do Toby’ego Rylandsa.

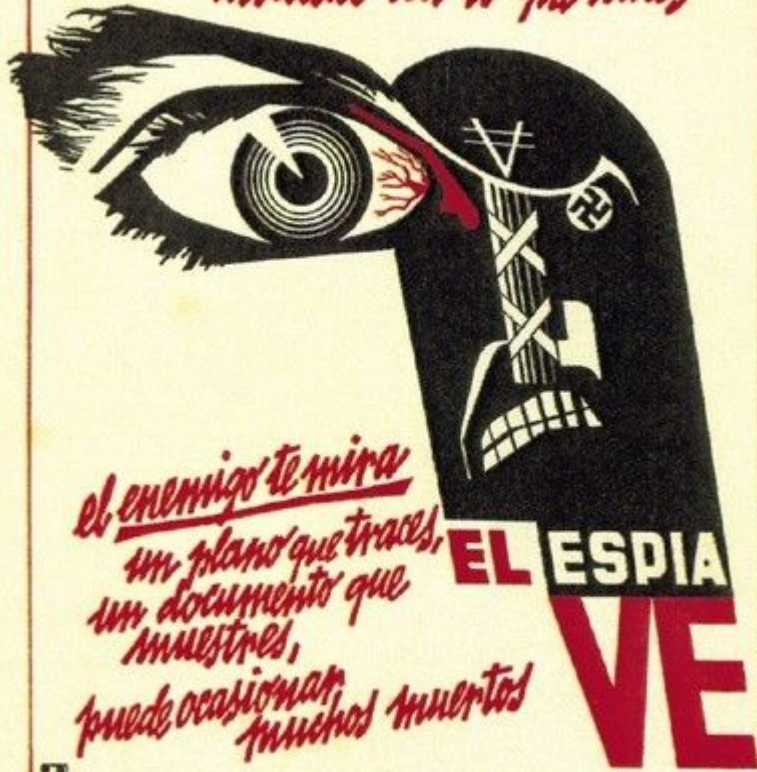




La bestia  
acecha

**¡CUIDADO AL HABLAR!**  
**CNT FAI**

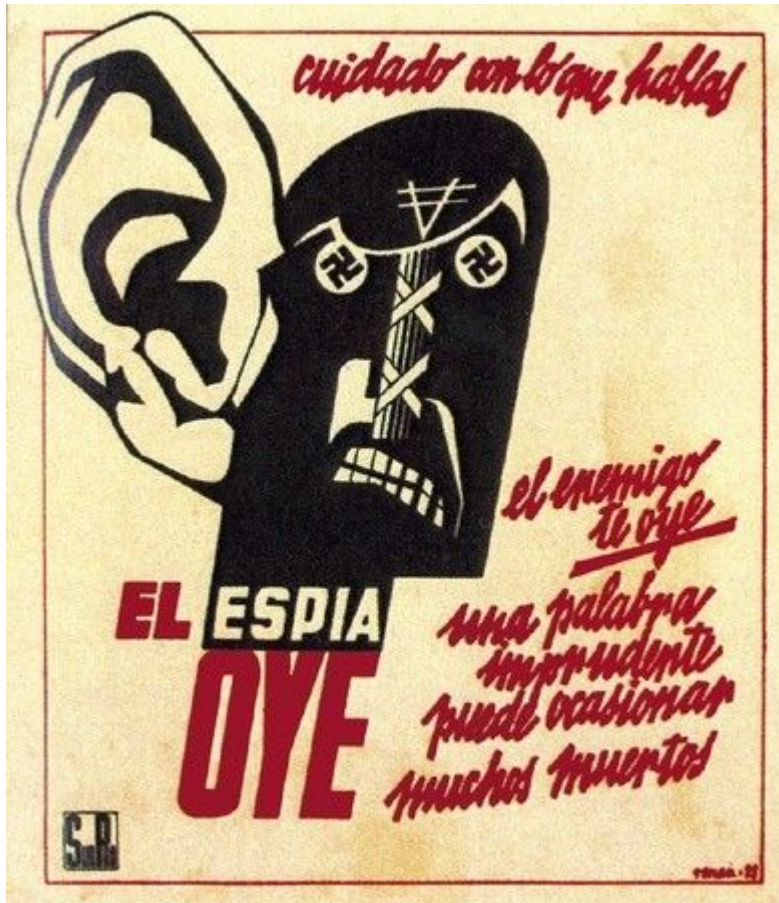
*cuidado con lo que haces*



*el enemigo te mira  
un plano que traces,  
un documento que  
muestres,  
puede ocasionar  
muchas muertes*

**EL ESPIA  
VE**

© 1964-65





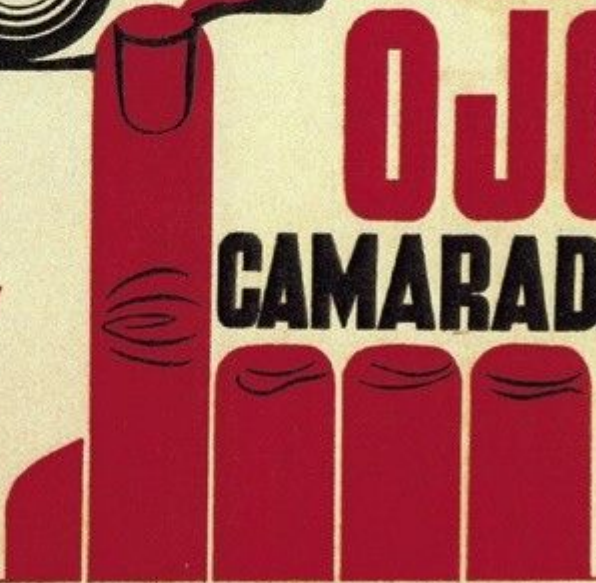
*ayuda al gobierno a perseguir al espia*



*Ayudas a la guerra  
si denuncias al espia.  
Aqui, escondido entre  
nosotros, trabaja para  
que maten a nuestros  
soldados en el frente.  
Es uno de los cómplices  
de los bombardeos.*



**MUCHO  
OJO  
CAMARADA**





– Zapewniam cię, że większość szpiegujących tutaj znała angielski jak ty i jak ja. Pewnie nawet lepiej niż ty. To byli Niemcy, którzy mieszkali w tym kraju w dzieciństwie albo jedno z rodziców było Anglikiem. Zdarzali się też Anglicy z krwi i kości, renegaci, i sporo fanatyków irlandzkich. Tak samo z naszymi szpiegami w Niemczech i w Austrii. Znali doskonale niemiecki. Niemiecki mojej żony, Valerie, był nienaganny, bez śladu akcentu. Nie, to nie to, Jacobo. Kiedy zahaczyłem o waszą wojnę, od razu to zauważyłem. To był rodzaj wszechogarniającej nienawiści, wybuchła z najmniejszego powodu i nie zwracała uwagi na niuanse, odcienie, nic nie było ważne. Wróg mógł być przyzwoitym człowiekiem, mógł zachować się wspaniałomyślnie wobec swoich politycznych oponentów albo okazać im litość, albo być nawet kompletnie nieszkodliwym biedakiem, jak wielu nauczycieli rozstrzelanych przez bestie z jednego obozu i wcale nie tak

mało zakonnicy zabitych przez bestie z drugiego obozu. Nic to nikogo nie obchodziło. Wróg był przede wszystkim wrogiem: nie można było darować mu życia ani zastosować okoliczności łagodzących, jakby nie istniała żadna różnica między zabijaniem i donoszeniem a zwykłym posiadaniem takich a nie innych przekonań, sympatii czy tylko upodobań, nie wiem, czy się jasno wyrażam. No cóż, wiesz to dobrze od swojego ojca. Nas, cudzoziemców, starano się zarazić tą nienawiścią, ale co oczywiste, trudno to było przekazać, nie w takim natężeniu. Dziwna była ta wasza wojna, niepodobna do żadnej innej, jak sądzę. Nawet do innych wojen domowych. W tamtych czasach życie w Hiszpanii toczyło się w nadmiernej bliskości, teraz pewnie już tak nie jest. – Tak, wiem, pomyślałem, do pewnego stopnia. – Miasta nie były szczególnie duże i nikt nigdy nie siedział w domu, życie toczyło się w barach i w restauracjach, poza domem. Nie wiem, jak to ująć, ale nie można było uniknąć tej namacalnej niemal bliskości, a właśnie z niej rodzi się z jednej strony serdeczna więź, a z drugiej złość i nienawiść. Tymczasem dla naszej ludności Niemcy byli jakimiś innymi, niemal abstrakcyjnymi istotami.

Nie umknęło mojej uwadze, że wspomniał o swojej żonie, Val albo Valerie. Jeszcze ciekawsze wydało mi się jednak to, że po raz pierwszy tak otwarcie mówił o swoim krótkim pobycie w moim kraju w trakcie wojny domowej, wiedziałem o tym od niedawna, bo w przeszłości nigdy się na ten temat nie zająknął. Spojrzałem na jego wychudłą teraz twarz – tak, zaostrzyły mu się rysy twarzy i patrzy teraz jak mój ojciec, pomyślałem albo przyznałem to z żalem sam przed sobą, patrzy takim samym nieodgadnionym spojrzeniem – i przyszło mi do głowy, że on pewnie wie, jak niewiele czasu mu zostało, a jak to się wie, trzeba podjąć ostateczne decyzje w stosunku do zdarzeń i faktów, które jeśli nigdy się ich nikomu nie opowie, na zawsze pozostaną nieznanne. („Nie chodzi tylko o to, że ja się zestarzeję i zniknę – mówił w Edynburgu nieszczęsny potępiony Dearlove –

lecz że powoli znikną też wszyscy, którzy mogą o mnie coś powiedzieć, jakby nad wszystkimi ciążyła jakaś klątwa”; kto jest wolny od takich myśli?). To siłą rzeczy delikatny moment: trzeba dokonać ostatecznego rozróżnienia między tym, co ma pozostać nieznanie na zawsze – co ma się nie liczyć, nie wyjść na jaw, ulec zatarciu, nie istnieć – i tym, w stosunku do czego wolimy, by pewnego dnia dało się odkryć i odzyskać, by to co minione szepnęło komuś pewnego dnia: „Ja byłem”, i nie pozwoliło, byśmy wszyscy powiedzieli: „Nie, tego nie ma, nigdy nie było, nie przemierzyło świata, nie postawiło stopy na ziemi, nie istniało i nigdy się nie zdarzyło”. (Albo nawet nie tyle, bo żeby czemuś zaprzeczyć, trzeba mieć świadka). Jeżeli nic nie powiesz, wykluczysz nawet możliwość czyjś zainteresowania, a zatem wszelkie przyszłe dociekania. Mimo wszystko Wheeler musiał sobie zapamiętać, że wieczorem po bufetowej kolacji zapytałem go, jakiego nazwiska używał w Hiszpanii, i że gdyby mi je wówczas wyjawiał, zacząłbym od razu sprawdzać w indeksach osobowych wszystkich książek, w zbiorze książek poświęconych wojnie, na regale zachodnim, a potem i na innych regałach. Właściwie sam podrzucił mi ten pomysł, mnie on wcześniej nawet nie przyszedł do głowy: może zrobił to tylko z wrodzonej próżności i pychy, a może bardziej rozmyślnie, by raz zaszczepiwszy mi ten plan, nie pozwolić mi zadowolić się byle czym ani wypuścić zdobyczy z rąk, dobrze wiedział, że nie zwykłem tego robić, podobnie jak Tupra i jak on. Może teraz był skłonny podać mi trochę więcej informacji i nakarmić moją wyobraźnię, zanim będzie za późno, by cokolwiek nakarmić, przeprowadzić, uknuć, zainscenizować albo wyreżyserować. Nim zostanie całkowicie zdany na łaskę żyjących, a ci prawie nigdy nie są litościwi wobec niedawno zmarłych. „Zbyt dużo chcesz wiedzieć, Jacobo – odpowiedział wówczas na moje zadane wprost pytanie. – W każdym razie jak na dzisiejszy wieczór. Może innego dnia, zobaczymy”. Możliwe, że ten dzień właśnie nadszedł.

– Co pan robił na hiszpańskiej wojnie, Peter? – zapytałem bez dodatkowych wstępów. – Jak długo pan na niej był? Przypuszczam, że niezbyt długo. Kiedyś powiedział pan, że tylko przez nią przejechał. Z kim pan się kontaktował? Gdzie pan był?

Wheeler uśmiechnął się wesoło, jak owego wieczoru, gdy bawił się moją świeżo obudzoną ciekawością i mówił na przykład: „Gdybyś mnie kiedyś o to zapytał... Nigdy nie wykazałeś najmniejszego zainteresowania. Wcale nie byłeś ciekaw moich przygód na półwyspie... Szkoda, że nie wykorzystałeś innych okazji w przeszłości”. Sięgnął ręką ku tylnemu oparciu fotela i usiłował coś namacać. Szukał swojej laski i nie mógł na nią trafić, nie odwracając się. Wstałem, wziąłem ją i podałem mu, sądząc, że zamierza za jej pomocą podnieść się z fotela. On jednak tylko położył ją sobie na kolanach, a raczej oparł jej końce o brzeg bocznych oparców fotela i chwycił laskę obiema dłońmi, jakby była tyczką albo włócznią.

– No cóż, byłem tam dwukrotnie, za każdym razem krótko – odparł, mówiąc początkowo bardzo powoli, jakby nie do końca chciał wydobyć z siebie tę informację, te słowa; jakby zmuszał swój język, by wyprzedził faktyczną decyzję, decyzję jeszcze nie do końca podjętą, by mi to opowiedzieć: możliwe, że chciał, ale jak wyznał mi z lekkim zawstydzeniem, nie był jeszcze do tego upoważniony. – Po raz pierwszy w marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. W towarzystwie doktora Hewletta Johnsona, nic ci to nazwisko nie powie, możliwe jednak, że obił ci się o uszy jego przydomek, „Czerwony Dziekan”, był pod nim znany zarówno wówczas, jak i potem. – Rozmawialiśmy po angielsku, powiedział zatem „*the Red Dean*”. Jasne, że przydomek mi się obił o uszy, jasne, że go słyszałem. Właściwie nie mogłem w to uwierzyć.

– ¡*El bandido Deán de Canterbury!* – wykrzyknąłem po hiszpańsku. – Proszę nie mówić, że pan go znał.

– *I beg your pardon?* – powiedział zbity z tropu tym nagłym wtrętem w moim języku i nazwaniem doktora Johnsona „bandytą dziekanem Canterbury”.

– Mój ojciec, może pan pamięta, bo kiedyś to panu opowiadałem, został aresztowany wkrótce po wojnie. Postawiono mu różne fałszywe zarzuty, wśród nich zarzut, jak sam mi wielokrotnie mówił, „towarzyszenia na ochotnika w Hiszpanii temu bandycie dziekanowi Canterbury”. I co pan na to? Właśnie przez tego dziwnego duchownego, Peter, pośrednio rzecz jasna i bez jego świadomego udziału, mogłem się wcale nie urodzić, ani ja, ani moje rodzeństwo. Chcę przez to powiedzieć, że normalnie skazaliby ojca bez większych ceregieli i rozstrzelali, przecież pan wie: przyszli po niego w maju trzydziestego dziewiątego, zaledwie półtora miesiąca po wejściu frankistów do Madrytu, a w tamtych czasach donosiciele, choćby byli prywatnymi ludźmi, nie musieli udowadniać niczyjej winy, oskarżeni zaś musieli dowodzić swojej niewinności, a przecież ojciec nie mógł udowodnić, że nigdy w życiu nie widział tego dziekana kanterberyjskiego – znowu rozmawialiśmy po angielsku, więc zamiast tego dziwaczного słowa użyłem terminu angielskiego, „*Canterburian*” – ani że inne oskarżenia, dużo cięższe, też były fałszywe. Miał niewiarygodne szczęście i po kilku miesiącach więzienia wyszedł na wolność oczyszczony z zarzutów, aczkolwiek potem przez wiele lat był szykanowany. Niech pan sobie tylko wyobrazi...

– To uderzający zbieg okoliczności – wtrącił Wheeler. „*That’s a striking coincidence*”, powiedział. – Doprawdy uderzający. Ale pozwól, że będę mówił dalej, bo stracę wątek. – Jakby nie przywiązał wagi do tego przypadku, bo uważał takie rzeczy za najnormalniejsze pod słońcem, tak samo jak Pérez Nuix i jak ja. Równie dobrze, pomyślałem, od dawna mógł już planować następne spotkanie ze mną, mając nadzieję, że do niego dojdzie, że zechcę go łaskawie odwiedzić, i dobrze wiedział, co mi chce

opowiedzieć, jaką cząstkową wiedzę mi przekazać, i teraz nie zamierza odbiegać od przygotowanego scenariusza z powodu nieoczekiwanych uwag, dygresji albo wtrąceń (on nigdy nie tracił wątku). Mógł sobie nie życzyć, bym mu przerywał, ale później i tak miał na to przystać przynajmniej raz, gdy opowiedziałem, co się stało z Dearlove'em, i zażądałem jeżeli nie wyjaśnień, to zajęcia jakiegoś stanowiska wobec postępowania Tupry. Teraz pominął milczeniem mego ojca i mówił dalej, wciąż jeszcze powoli, raczej jak ktoś, kto recytuje wcześniej wyuczone kawałki: – Pierwsi przerwaliśmy blokadę morską narodowców (zawsze uważałem za skandal, że sami tak się określali) w Zatoce Biskajskiej. Wypłynęliśmy francuskim ścigaczem z Bermeo pod Bilbao i bez najmniejszego problemu dobiliśmy do San Juan de Luz mimo szeroko rozpowszechnionych i przyjmowanych na wiarę pogłosek, że wszystko jest jakoby zaminowane. To było kłamstwo frankistów, ale bardzo skuteczne, bo statki nie chciały się tam zapuszczać i do Kraju Basków nie docierały dostawy żywności. Dziekan zamieścił relację z naszej podróży w „The Manchester Guardian” i kilka dni później statek handlowy Seven Seas Spray podjął próbę przedarcia się tą drogą, tyle że w odwrotnym kierunku, wyszedł z San Juan de Luz już po zmroku. Nazajutrz wpłynął do Bilbao przez ujście rzeki, nie napotkawszy po drodze żadnych min ani okrętów. Głodujący mieszkańcy miasta stłoczyli się na molu i widząc kapitana stojącego na mostku w towarzystwie córki, wiwatowali na jego cześć, wołając: „Niech żyją angielscy marynarze! Niech żyje wolność!”. Podobno było to wzruszające. To myśmy przetarli szlak. Szkoda, że płynęliśmy w przeciwnym kierunku. Kapitan tamtego statku nazywał się Roberts. – Patrząc szeroko otwartymi oczyma, Wheeler dał się na chwilę unieść wspomnieniom, jakby przeżywał na nowo zdarzenie, którego sam nie był świadkiem, ale czuł się po części jego sprawcą. Potem ciągnął: – Wcześniej widzieliśmy bombardowanie Durango. Właśnie zbliżaliśmy się drogą do

miasta, jeszcze dziesięć minut i bylibyśmy pod bombami. Przyglądaliśmy się z oddali, ze zbocza. Widzieliśmy nadlatujące samoloty, to były niemieckie junkersy 52. Potem usłyszeliśmy potężne wybuchy i nad miastem uniosła się wielka czarna chmura. Gdy wjechaliśmy tam później, już po zmierzchu, wokół rozciągały się ruiny. Wstępne szacunki mówiły o dwustu zabitych wśród ludności cywilnej i około ośmiuset rannych, wśród nich dwóch księży i trzy zakonnice. Jeszcze tej samej nocy kwatera główna Franco ogłosiła światu przez radio, że czerwoni wysadzili w powietrze kościoły i zabili zakonnice w Durango, w bardzo katolickim Kraju Basków. Zabili też dwóch księży, którzy właśnie odprawiali mszę, jednego, gdy dawał komunię wiernym, a drugiego w chwili podniesienia. Wszystko się zgadzało: zakonnice zginęły w kaplicy Świętej Zuzanny, jeden ksiądz w kościele Jezuitów, a drugi w kościele Najświętszej Marii Panny, wszystkie kościoły zostały zbombardowane, podobnie jak klasztor Augustianów. Pamiętam te nazwy, bo takie mi podano. Tylko że nie zrobili tego czerwoni, lecz junkersy. To było trzydziestego pierwszego marca. – Zamilkł na chwilę z rozgniewaną miną, jakby znowu odczuwał swój gniew sprzed siedemdziesięciu lat. – Taka była wasza wojna. Kłamstwo za kłamstwem, bardzo dużo i wszędzie każdego dnia, to jak powódź, która wszystko porywa i zatapia. Próbujesz naprostować jedno kłamstwo, a nazajutrz masz już dziesięć nowych. Po prostu nie nadążasz. No więc poddajesz się i te kłamstwa krążą. Wiele ludzi je wymyśla i rozpowszechnia, to potężna siła, nie sposób jej się przeciwstawić. To była moja pierwsza wojna, nie byłem przyzwyczajony, na wszystkich wojnach się kłamie, kłamstwo jest ich podstawowym, jeśli nie zasadniczym elementem. A najgorsze, że nigdy nie da się niczego odkłamać do końca. Nawet po wielu latach zawsze znajdą się ludzie gotowi powtarzać stare łągarstwa, wszelkiego rodzaju, nawet te najbardziej wysrane z palca i obłąkane. Żadnego kłamstwa nigdy nie da się wymazać do końca.



– Czy to dlatego lepiej nigdy niczego nie opowiadać, Peter? – zapytałem, cytując jego słowa. Powiedział to owej niedzieli tamtego odległego już weekendu, gdy pani Berry machała do nas z okna, żebyśmy przyszli na obiad.

Nie pamiętał albo nie zdał sobie sprawy, że cytuję jego słowa, albo po prostu to zignorował. Pogładził dłonią długą głęboką bliznę, którą miał z lewej strony brody, nigdy wcześniej nie zauważyłem, by to robił ani żeby o tej bliznie napomykał, stąd i ja nigdy go o nią nie zagadnąłem. Skoro nie istniała dla niego, należało to uszanować. Wyszedłem z założenia, że pochodzi z czasów wojny.

– Och, nie, ja też nauczyłem się kłamać, później. Mówienie prawdy wcale nie jest lepsze, nie myśl sobie. Czasem skutki bywają identyczne. – Ta uwaga nie wstrzymała jednak dalszej opowieści, mówił dalej w sposób trochę schematyczny, jakby wyznaczył sobie plan narracyjny na ten dzień, znaczy na dzień mojej następnej wizyty: – Byliśmy krótko w Madrycie, Walencji i w Barcelonie, a potem wróciłem do Anglii. Drugi raz pojechałem do Hiszpanii rok później, w lecie trzydziestego ósmego. Tym razem za przewodnika, a raczej za siłę napędową służył mi Alan Hillgarth, szef naszego wywiadu morskiego w Hiszpanii. Mimo że właściwie stale przebywał na Wyspach Kanaryjskich (tam też urodził się jego syn, Jocelyn, ten historyk, słyszałeś o nim, prawda?), mnie zlecił zadanie śledzenia i kontrolowania ruchu frankistowskich okrętów wojennych w portach Zatoki Biskajskiej, bo przyjęto założenie, że nabyłem już jakie takie rozeznanie w tamtym terenie. Większość to były rzecz jasna okręty niemieckie i włoskie, od trzydziestego szóstego nękały i atakowały brytyjską flotę handlową w Zatoce Biskajskiej i na Morzu Śródziemnym, toteż dowództwo marynarki wojennej chciało mieć jak najdokładniejsze informacje, jakiej klasy to okręty i gdzie mają swoje miejsca postoju. Pojechałem tam jako pracownik uniwersytecki, który chce się zagłębić

w starych nieuporządkowanych archiwach hiszpańskich i pogrzebać w nich, i naprawdę to zrobiłem, a jakże, z tamtych czasów datują się moje odkrycia jako hispanisty i portugalisty: w Portugalii, dokąd zostałem deportowany, zacząłem pisać rozprawę na temat źródeł, z jakich korzystał Fernão Lopes, wiesz, ten szesnastowieczny kronikarz. – Prawdę mówiąc, nigdy o nim nie słyszałem. – No tak, ale nie o tym chcę mówić. Guardia Civil aresztowała mnie na wyspach archipelagu Cíes, kiedy robiłem zdjęcia krążownikowi Canarias, jednemu z nielicznych okrętów hiszpańskiej Armady, które na początku działań wojennych przeszły na stronę rebeliantów, jak republikanie nazywali frankistów. Przeszukali mnie, rzecz jasna, i znaleźli kompromitujące materiały, przede wszystkim zdjęcia. Normalnie, jak łatwo sobie wyobrazić, zostałem rozstrzelany. Trwała przecież wojna. – Wheeler przerwał na chwilę. Mimo że opowiadał w trochę beznamiętny sposób, trochę tak, jakby nie jemu się to wszystko przytrafiło, wiedział wszakże, gdzie należy odrobinę przeciągnąć chwilę niepewności.

– I jak pan z tego wyszedł? – zapytałem, żeby zrobić mu przyjemność.

– Miałem szczęście. Jak twój ojciec. Jak każdy, komu udaje się przeżyć wojnę. Zawieźli mnie motorówką do portu w Vigo i tam, w hotelu Atlántico, zostałem przesłuchany przez dwóch oficerów SS. – Zawsze hotele zmieniają w komisariaty albo więzienia, pomyślałem, jak tamten hotel w Alcalá de Henares, w którym torturowano Nina, a może i obdarto żywcem ze skóry. – Część lata trzydziestego piątego roku spędziłem w Bawarii na obozie Hitlerjugend z powodów... powiedzmy, że biograficznych, które nie mają tu nic do rzeczy. Gdy ci oficerowie SS dowiedzieli się o tym i upewnili, że mówię prawdę, zaprosili mnie na kolację. Uratowali mi życie. Porozumieli się z dowództwem frankistów w Burgos i jak rozumiem, sam Franco wydał rozkaz, by mnie nie zabijać, lecz tylko wydalić z kraju. Po różnych korowodach z otrzymaniem pozwolenia na wyjazd zawieźli mnie na międzynarodowy most w Tui,

którym przeszedłem do Portugalii. To był najdłuższy odcinek mojej podróży, chcę powiedzieć, że najdłuższy w moim życiu, szedłem piechotą z walizką pełną książek. Za mną dwaj żołnierze niemieccy z pistoletami maszynowymi trzymali mnie na muszce, żebym nie zboczył z drogi, przed sobą miałem uzbrojonych portugalskich żandarmów. A pode mną płynęła rzeka Minho. Wydała mi się strasznie szeroka, może zresztą taka była. No więc sam widzisz: mimo że Franco miał fatalny wpływ na historię twego kraju i na życie bardzo wielu ludzi, to w moim życiu odegrał pozytywną rolę. Taki paradoks, co? Dla mnie raczej niewygodny, przyznaję. To nic przyjemnego zawdzięczać życie łasce kogoś, kto dla niemal wszystkich był bezlitosny. Sądzę, że na takim prowincjuszu i ignorancie jak Franco robili wrażenie wykształceni cudzoziemcy. – Zaśmiał się krótko z własnej złośliwości, ja też się zaśmiałem przez grzeczność. Potem dodał: – Przejechałem przez waszą wojnę, nic więcej, tak jak ci mówiłem: wciąż jeszcze używam słów precyzyjnie. Żaden z moich dwóch pobytów nie trwał długo, nie ma powodu, by nazwiska, których wtedy używałem, figurowały w indeksach osobowych książek o tej wojnie. To, co tam robiłem, nie jest warte wzmianki i dzisiaj wydaje się śmieszne. Tak samo śmieszne wydałyby się pewnie wszystkie moje późniejsze działania, już podczas naszej wojny, jakkolwiek niektóre z nich były bardziej widoczne albo spowodowały więcej szkód i miały obiektywnie większe znaczenie. Rację miał Toby, gdy lata temu powiedział ci, że opowieści z wojny brzmią infantylnie w czasach względnego pokoju i nieuchronnie upodabniają się do kłamstwa, przechwałek albo do bajki. Chyba już ci kiedyś mówiłem, że mnie samemu fikcją, niemal wymysłem wydają się rzeczy, które przeżyłem. Trudno mi na przykład uwierzyć, że byłem strażnikiem, towarzyszem, ochroniarzem, a nawet mieczem Damoklesa księcia i księżnej Windsoru w lecie czterdziestego roku. To było jedno z moich pierwszych „zadań specjalnych” wedle terminu użytego w „Who’s Who”, przypominasz sobie?

Dziś to się wydaje snem. A fakt, że wydarzyło się za granicą, tylko wzmacnia to poczucie.

Pamiętałem doskonale to sformułowanie, jak i każde słowo przeczytane tam wtedy na jego prośbę. I rozumiałem także poczucie, że wszystko jest snem: „*But that was in another country...*”.

– Księcia i księżnej Windsoru? – zdumiałem się. – Ma pan na myśli byłego króla Edwarda Ósmego i jego żonę, tę rozwódkę, dla której zrzekł się tronu? Tę brzydką Amerykankę Wallis Simpson? – Jak chyba wszyscy czytałem o tej ponoć bardzo w sobie zakochanej parze i widziałem zdjęcia w gazetach i książkach. Jeśli mnie pamięć nie myliła, Wallis Simpson była strasznie chuda, czesała się jak gospodyni w „Rebecce” Hitchcocka i miała bardzo wąskie, jakby zakrwawione wargi. Typ urody, by tak rzec, przeciwstawny do Jayne Mansfield. – Mieczem Damoklesa? Jak to mieczem?

– Nie była taka brzydka – odparł Wheeler. – A raczej tak, była, lecz miała w sobie coś intrygującego jako osoba. – Zawahał się krótko. – Przypuszczam, że mogę ci o tym opowiedzieć, koniec końców to była niegroźna misja. – Użył po angielsku słowa „*harmless*”, co dosłownie znaczy „nieszkodliwy”. – Jakkolwiek to również zabrzmiało jak jakieś kłamstwo. Zlecono mi, żebym eskortował ich oboje z Madrytu do Lizbony, a tam upewnił się, że wsiądą na statek, który miał ich zawieźć na Bahamy. Może pamiętasz, że on spędził wojnę na Bahamach jako gubernator tych wysp i że był to sposób na utrzymanie go, przy poszanowaniu dobrych obyczajów, z dala od konfliktu w Europie. Oboje mieli za sobą dość krępujący etap, germanofilski, że tak powiem, i jak wieść niosła, odwiedzili incognito Hitlera, oczywiście przed trzydziestym dziewiątym. Ta plotka była pozbawiona podstaw, jednakże rząd bał się jak ognia, żeby nie wpadli w ręce nazistów. Żeby gestapo ich nie porwało i nie wywiozło do Niemiec, to oczywiste, ale i tego, żeby sami nie zbiegli do wroga. Jednym słowem,

żeby nie przeszli na drugą stronę. Churchill nie miał do nich za grosz zaufania i nie wykluczał, że gdyby pewnego dnia Niemcy nas zaatakowali jak resztę Europy, posadziliby dawnego Edwarda Ósmego na tronie jako swoją marionetkę. Tak więc ja oraz pewien oficer marynarki z NID (w gruncie rzeczy niewielka eskorta, dziś to by było nie do pomyślenia) – znałem ten skrót, oznaczał Naval Intelligence Division – dostaliśmy każdy po pistolecie oraz dano nam do zrozumienia, byśmy nie wahali się ich użyć w razie najmniejszego ryzyka niefortunnego rozwoju zdarzeń bez względu na to, czy byłby on wynikiem własnej woli księcia i księżnej czy nie.

– Użyć przeciwko księciu i księżnej? – przerwałem mu. – Przeciwko byłemu królowi? Czy przeciwko gestapo? – To wszystko naprawdę brzmiało jak jakaś bujda, jakkolwiek z pewnością nią nie było.

– Że można ich użyć przeciwko gestapo, tego nie trzeba nam było mówić, jakkolwiek niewiele byśmy wskórali, obawiam się. Zrozumieliśmy, że przeciwko księciu i księżnej, rzecz jasna. Lepiej, żeby zginęli, niż dostali się w ręce Hitlera.

– Zrozumieliśmy? Dano nam do zrozumienia? – Takie sformułowania wzbudziły moje zdumienie. – Mam rozumieć, że nie dostali panowie wyraźnych rozkazów?

– Porozumiewanie się za pomocą niedomówień to była obsesja MI6. Ale człowiek szybko się uczył, jak to rozszyfrować, szczególnie jeżeli wcześniej studiował w Oksfordzie. Nie wiem, czy dzisiaj nadal mają ten zwyczaj. Powiedzieli nam mniej więcej tak: „Pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić, by wpadli w ręce wroga. Byłoby już lepiej ich opłakiwać”.

– Użył angielskiego wyrażenia „*to mourn them*”, które można także przetłumaczyć jako: „obchodzić po nich żałobę”. Zrozumiałem to tak samo jak on i tamten oficer z NID, z którym wspólnie wykonywał zadanie. Do tego właśnie oficera nawiązał potem wesołym, trochę plotkarskim tonem przechwałki: – A właśnie, wiesz, kim był tamten kapitan fregaty, którego

miałem za towarzysza? – Użył słowa „*commander*”, które jeśli się nie mylę, odpowiada tej właśnie randze w hiszpańskiej marynarce.

– Jasne, że nie wiem – odparłem. – Niby skąd miałbym wiedzieć?

– Właściwie prawie nikt o tym nie wie. Nawet jego biografowie – powiedział i krzyknął: – Estelle! – I od razu automatycznie się poprawił: nie mówił tak przy świadkach, mimo że ja byłem osobą zaufaną i kiedyś już słyszałem, jak zwraca się do niej po imieniu. – Mrs Berry! – I pani Berry pokazała się od razu, cały czas kręciła się w pobliżu, zawsze na jego usługi. – Czy byłaby pani tak miła i przyniosła mi paszport Czekoladowego Żeglarza? Wie pani, gdzie jest. Chcę, żeby Jacobo go zobaczył. – Tak właśnie powiedział: „*The Chocolate Sailor*”. – Zaraz zobaczysz, to cię dopiero rozbawi, nie spodziewasz się. – A kiedy po kilku minutach pojawiła się znowu pani Berry i wręczyła mu dokument (słyszałem, jak szła w górę, na ostatnie piętro, a potem w dół schodami), pokazał mi go z niemal infantylnym od wstrzymywanej dumy wyrazem twarzy i powiedział: – Patrz.

To był list żelazny albo „paszport kuriera dyplomatycznego”, jak głosił napis na samej górze, ważny tylko na jednorazową podróż do Gibraltaru oraz powrót do Madrytu, wydany przez brytyjskiego ambasadora w moim rodzinnym mieście z datą 16 lutego 1941 roku, w trakcie drugiej wojny światowej, a potem odnowiony i ważny na podróż do Londynu przez Lizbonę z datą o dziesięć dni późniejszą. „W imieniu Jego Królewskiej Mości uprasza się niniejszym wszystkim, których to może dotyczyć – głosił wykaligrafowany tekst – by zezwolili panu Ianowi Lancasterowi Flemingowi, któremu powierzono noty dyplomatyczne, przejechać swobodnie bez żadnych przeszkód i by udzielili mu wszelkiej koniecznej pomocy i ochrony”.

– Widzę – powiedziałem bez emocji. – Ian Fleming. – Brak zdziwienia z mojej strony chyba lekko rozczarował Wheelera. Nie wiedział, że

wcześniej już natknąłem się na dedykacje, które twórca Jamesa Bonda wpisał mu do egzemplarzy swoich powieści („*To Peter Wheeler who may know better. Salud!*”), zatem wiadomość o ich znajomości lub przyjaźni nie była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. A więc mieli wspólne przygody, pomyślałem. – A więc mieli panowie wspólne przygody w Hiszpanii, zanim on jeszcze zaczął pisać. Nie do wiary. – Ostatnie słowa dodałem, żeby podnieść go na duchu.



– Ten paszport pochodzi z następnego roku. Dał mi go dużo później, gdy już stał się sławnym człowiekiem, bardziej na pamiątkę naszego wspólnego pobytu w Portugalii niż w Hiszpanii. Tkwiliśmy w Hiszpanii uziemieni przy tej niepoważnej parze od czerwca do sierpnia. Mrs Simpson, to znaczy księżna nie była skłonna ruszyć na wygnanie, bo oni to tak postrzegali, bez

swojej szafy, bielizny stołowej i królewskiej pościeli, sreber i porcelanowej zastawy, które miały przybyć z Paryża przez Madryt sześcioma limuzynami hispano-suiza wynajętymi przez multimilionera Calouste'a Gulbenkiana, co w owych czasach było ryzykowną podróżą. (A skoro już o nim mowa, to rzecz dziwna, ale tego właśnie roku Gulbenkian, Ormianin z pochodzenia, został uznany za „wroga z mocy prawa” – powiedział „*Enemy under the Act*”, co jak przypuszczam, to właśnie znaczy – stracił z tego powodu brytyjskie obywatelstwo i przyjął perskie; nie wiem zatem, czy jeszcze był przyjacielem czy już wrogiem w chwili, gdy pomagał parze książęcej). Trzeba więc było czekać w Estoril i co wieczór Ian Fleming albo ja, albo najczęściej obaj ze względów bezpieczeństwa musieliśmy towarzyszyć im w wyprawach do miejscowego kasyna. Nic dziwnego, że w powieściach o Bondzie tak często pojawiają się kasyna, począwszy od lat dwudziestych Fleming był częstym gościem w kasynach w Deauville, Le Touquet, potem w Biarritz, uwielbiał gry hazardowe, szczególnie bakarata, i to był prawdziwie szczęśliwy traf, bo księżna lepiej się przy nim bawiła. (Dużo jednak nie wygrywał, raczej tracił, był graczem ostrożnym, nisko obstawiał, tak jak i jego bohater). Co do księcia, to przynajmniej można z nim było pokonwersować. Nasza wzajemna relacja była cokolwiek nudna, ale serdeczna; studiował tu, w Magdalen, zawsze więc mogłem ratować się opowiadaniem plotek z Oksfordu, gdy już nie wiedziałem, czym go zabawić. Słuchał tego ze zdumieniem, z odrobiną może podegranej lekko naiwności, szczególnie plotek o ekscesach seksualnych. Ale nie umiał się śmiać. Nudziarz, w dodatku niezbyt pewnie mądry, ale uprzejmy światowiec i oczywiście człowiek o nienagannych manierach: trudno zaprzeczyć, ostatecznie pochodził z dobrej rodziny. – I Peter znowu się zaśmiał ze swojego żarciku. – W końcu nadszedł dzień, kiedy udało nam się wsadzić książęcą parę, całą i zdrową, razem ze srebrami, porcelaną i pościelą, na pokład brytyjskiego niszczyciela przycumowanego na rzece



Tag i z ulgą patrzyliśmy za nimi, jak oddalają się, prując Atlantyckim kursem na Bahamy. Wtedy się rozstaliśmy, Ian Fleming i ja, i spotkaliśmy się ponownie dopiero dużo później. On był osobistym asystentem kontradmirała Godfrey'a, miał też dużo do czynienia z Hillgarthem i z Seftonem Delmerem, myślę, że z tym ostatnim byli razem w Moskwie i współpracowali w czarnej grze PWE... – Powiedział „*The black game*”. Kiedyś słyszałem, jak młoda Pérez Nuix użyła wyrażenia „*black gamblers*”, a może „*wet gamblers*”, w każdym razie wtedy to mi się skojarzyło z szulerami. Skrót PWE nie znałem. Nie chciałem jednak przerywać Wheelerowi. – Straciliśmy się z oczu, podczas wojny to rzecz normalna, człowiek wciąż zmieniał miejsca pobytu, jechał tam, gdzie go posyłano, i żegnając się z ludźmi, miał pełną świadomość, że pewnie więcej się nie zobaczą. Nie dlatego, że los nas wszystkich rzucał w różne strony, lecz dlatego, że łatwo mogliśmy zginąć: jeden z nas, dwóch albo wszyscy. Zawsze miałem taką świadomość, gdy żegnałem się z Valerie i wyjeżdżałem. Za każdym razem... – Jego głos słabł coraz bardziej, a przy tych ostatnich zdaniach stał się niemal szeptem: musiało znużyć go mówienie. Nie kontynuował. Oparł ręce na leżącej w poprzek fotela lasce, jakby były wyczerpane po jakimś wysiłku i potrzebowały odpoczynku. Wyglądał na zmęczonego, spojrzenie miał trochę nieobecne. – Tak, czarna propaganda Seftona Delmera, otóż to – dodał w zamyśleniu, a potem zamilkł. Może zbyt wiele przywołał z pamięci. To prawda, że początkowo beznamiętnie, a później z ożywieniem, ale jedne wspomnienia prowadzą do innych i nieuchronnie wcześniej czy później nadchodzi chwila, gdy dociera się do czegoś smutnego, do jakiejś straty, tęsknoty, nieszczęścia z tych, co nie są wcale wymysłem. Wówczas ludzie zastygają, patrząc w dół lub z nieobecnym wzrokiem utkwionym przed siebie i przestają mówić, milkną.

– Nie wiem, kim był Sefton Delmer – odezwałem się. – Nie wiem też, co znaczy skrót PWE.

Uniósł wzrok, utkwił go we mnie, wciąż jeszcze znużony. Ale również zdziwiony. Powiedział:

– Dlaczego właściwie o tym mówimy? Nie wiem w związku z czym, zapomniałem. – Ja też zapomniałem, taka była prawda. – Dlaczego nie opowiadasz nic o sobie? Z jakiegoś powodu tu jesteś, prawda? W dodatku bez zapowiedzi. Bardzo się cieszę, że cię widzę, ale powiedz, dlaczego dziś przyjechałeś, tak nieoczekiwanie?

Miał rację. Niewiele umykało Wheelerowi, mimo że głowa mogła mu już nie pracować tak jak kiedyś i teraz zwracał mniej uwagi na świat zewnętrzny, a zanurzał się w swego rodzaju gadatliwej introspekcji (pewnie gdy był sam, po prostu w introspekcji). Tak, z jakiegoś powodu pojechałem do Oksfordu, z jakiegoś powodu owej niedzieli wygnanej z nieskończoności pojechałem do jego domu nad rzeką Cherwell, której spokojny omdlewający szmer był ledwie słyszalny tam, gdzie siedzieliśmy, ale jednak było go słychać, przypomniałem sobie, z czym łączył się ten szmer w moich myślach, gdy już w końcu odpływałem w sen bardzo późno tamtej nocy po bufetowej kolacji, podczas której poznałem Tuprę: „Jestem rzeką, jestem rzeką, nicią łączącą żywych i umarłych, jak historie, które mówią do nas nocą, przybieram postać minionych czasów i minionych zdarzeń, jestem rzeką. Ale rzeka to rzeka. I nic więcej”. Pojechałem tam, żeby opowiedzieć Wheelerowi, co mi się przydarzyło, a raczej co zrobiłem – w rzeczywistości mnie nic się nie przydarzyło: to inni wyszli z tego z uszczerbkiem – oraz zapytać, czy mógł to być swego czasu przewidzieć, kiedy wprowadzał mnie do tej grupy, do której dawniej sam należał. To znaczy zapytać, w jakiej mierze wiedział, w co mnie pakuje i na jakie ryzyko wystawia. Musiał przecież znać możliwe konsekwencje naszych raportów i wiedzieć, jaki robiono z nich użytek, użytek natychmiastowy i praktyczny, w moim przypadku przestępczy i pozbawiony skrupułów. Jeżeli w czasach względnego pokoju konsekwencją jednego z raportów było morderstwo i aresztowanie w atmosferze skandalu, śmierć niewinnej osoby i zrujnowanie życia innej, sprowokowanej, to podczas wojny, kiedy grupa powstała i nie miała specjalnie dużego pola manewru ani czasu, by potwierdzać uzyskane informacje, bo decyzje trzeba było podejmować

szybko, prawdopodobnie interpretowanie ludzkich charakterów, analizowanie ludzkiego życia lub przewidywanie możliwego rozwoju wypadków musiało prowadzić do eliminowania ludzi, do katastrof i nieszczęść. Choć równocześnie pozwalało im zapobiegać – tego byłem pewien. Może Wheeler znalazł się kiedyś w sytuacji podobnej do mojej teraz; nie był człowiekiem pozbawionym skrupułów, a mimo to mógł rozsiewać w swoim czasie zarazki cholery i malarii, i dżumy, takim go nie znałem. Możliwe, że przyczynił się do śmierci nie jednej, lecz wielu osób, możliwe, że niektóre nie powinny były umrzeć. Lecz gdyby w istocie tak było, on zawsze miał na pocieszenie pretekst i usprawiedliwienie: uczestniczył w wojnie. Ja tego nie miałem.

– Tak, był powód, żeby tu dziś przyjechać, Peter – przyznałem. Przedstawiłem mu cały kontekst, wyjaśniłem, co się wydarzyło, podobnie jak podczas rozmowy z Pérez Nuix poprzedniego wieczora.

Wheeler wysłuchał mnie w milczeniu, nie przerywając mi ani razu, teraz z laską w pozycji pionowej wspartą o podłogę i z dłonią na policzku w geście uważnego słuchania. Opowiedziałem mu o pierwszej kolacji z Dearlove'em i o Edynburgu, tym sposobem pozwalałem odpocząć jego zmęczonemu językowi. Powiedziałem o swoich podejrzeniach – nie, miałem pewność – na temat przestępstwa, które było przedmiotem tylu spekulacji w prasie, wyobrażałem sobie, że o nim słyszał.

– Tak, czytałem o tym w gazetach. – Musnął czubkami palców dzienniki, które miał pod ręką, jakby bał się pobrudzić. – Te niedzielne szmatławce o niczym innym nie piszą, a Mrs Berry, która ogląda więcej telewizji niż ja, też mi o tym wspomniała przerażona i zgorziona. I bardzo zawiedziona: najwidoczniej lubi muzykę tego Dearlove'a. Nie znam wszystkich jej zainteresowań. – Zrobił przerwę i dodał, jakby składał oświadczenie: – Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że wy mogliście mieć z tym coś wspólnego. Zadziwiające, ta grupa wciąż jeszcze mnie zaskakuje. Mimo że

wszystko oczywiście się zmieniło dużo bardziej, niż jestem w stanie sobie wyobrazić. – Pomyślał chwilę, potem dodał: – Nie wiem, Jacobo. Nie wiem, co robi Tupra, rzadko do mnie dzwoni i jeszcze rzadziej o czymś mi mówi. W miarę jak człowiek się starzeje, coraz bardziej wszyscy się oddalacie, nie mam wam tego za złe. – Ale oczywiście miał, to zdanie było adresowane i do mnie. – To bardzo w stylu Tupry: nie działać pod wpływem impulsu i nie spieszyć się; na ile ja go znam, a nie znam go zbyt dobrze, Toby znał go dużo lepiej. A raczej znał tego Tuprę, który był jego uczniem, tego z dawnych czasów. Trudno mi sobie wyobrazić, jakie to niebezpieczeństwo mógł sobą przedstawiać ten piosenkarz, by zastawić na niego podobną pułapkę i usunąć go raz na zawsze. Ale nic nie jest wykluczone, człowiek uczy się powoli nie wykluczać niebezpieczeństwa z niczyjej strony. W zasadzie każdy stanowi zagrożenie, tak powinniśmy na to patrzeć my, którzy zajmujemy się takimi sprawami. W ten sposób chronimy wszystkich pozostałych, nie zapominaj, że o to chodzi. I chronimy siebie, bo jak sami się nie będziemy pilnować, nie ochronimy innych. W każdym razie wygląda na to, że ty się nie pomyliłeś, skoro tak dokładnie sprawdziły się twoje przewidywania. Ten człowiek w sposób oczywisty stanowił realne zagrożenie, nie miał skrupułów. To morderca. Nie powinienesz zadręczać się z tego powodu.

– Nie przeszkadza panu, że zapalę, prawda? – Pokręcił głową, zaproponowałem mu papierosa, znowu pokręcił przecząco głową, zapaliłem kareliasa. – Obawiam się, że przewidywania spełniły się tylko dlatego, że je sformułowałem, Peter – powiedziałem. – To nie jest takie proste. Ta sprawa nie wydarzyła się ot tak, w sposób naturalny, spontanicznie. Była w tym kalkulacja, podstęp, intryga, odpowiednia aranżacja, fachowy pomocnik, któremu ja podsunąłem pomysł niczym Jagon. Gdyby nie moje prognozy, do niczego by nie doszło, jestem pewien, a Dearlove nie zostałby mordercą. I nie zginąłby chłopak, który nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

Możliwe, że nawet nie zdążył odebrać swojej doli za to zlecenie. Wątpię, żeby Tupra zapłacił mu z góry. Nie wiem, jak miałbym z tym żyć. – Wheeler milczał. Dłoń oparł o brodę, przypatrywał mi się z uwagą i namysłem, trochę tak, jakbym wydał mu się kimś innym albo jakby się zastanawiał, co zrobić ze mną w tej sytuacji, która nie tyle była zaskakująca, ile nie miała dobrego rozwiązania. Nie powiedział nawet „Hm”, tylko milczał i przyglądał mi się. – Czy pan wiedział, że coś takiego może się zdarzyć, gdy mnie pan do tej pracy zachęcał? – zapytałem. – Że to, co nazwał pan moim darem albo umiejętnością, może właśnie posłużyć do tego, żeby ktoś umarł, a ktoś inny skończył w więzieniu? Żeby mogły być podejmowane tak drastyczne środki, żeby można tak bardzo zmieniać cudze życie, a nawet czyjemuś życiu położyć kres? Nie myślę, żebym mógł nadal wykonywać tę pracę. Chcę, żeby pan się dowiedział pierwszy, zanim dowie się Tupra. Ostatecznie to pan mnie do niego doprowadził i to pan powiedział mi o grupie.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że znowu się zaciął, że nie może wydobyć z siebie głosu, a może słów, że znowu dopadła go jego chwilowa afazja, twierdził, że nie fizjologiczna, lecz jakby wola odmawiała mu posłuszeństwa: już po raz trzeci byłem tego świadkiem, więc nie mogło się to zdarzać tak sporadycznie, jak mi kiedyś powiedział. Podobnie jak przy dwóch poprzednich okazjach nie przytrafiła mu się w połowie zdania, które pomógłbym mu dokończyć, jak się robi w przypadku jąkałów, ale na samym początku. W dodatku teraz nie wskazywał ręką na nic, co pozwoliłoby mi się zorientować (wskazał poduszkę za pierwszym razem, oryginalny *cartoon* Erica Frasera za drugim, gdy przelatował nad nami helikopter). Poprosił mnie tylko gestem ręki o cierpliwość, o chwilę czasu, jakby wiedział, że zaraz mu przejdzie i że najlepiej będzie, jak zostawię go w spokoju, nie dodam żadnych nowych pytań do tych, które już postawiłem, nie będę go pospieszał. Znowu miał zaciśnięte wargi, jakby mu

się sklewały albo jakby nie miał siły ich rozewrzeć. Wyraz twarzy wszakże pozostał niezmienny, nadal był uważny i pełen namysłu, jakby Wheeler szykował się powiedzieć mi to, co miał powiedzieć, jak tylko będzie w stanie, gdy odzyska mowę lub uwolni zatamowane słowa. To się wreszcie stało po jakichś dwóch minutach. Nie odniósł się ani słowem do swej trudności, odpowiedział mi, jakby tej niemej przerwy w ogóle nie było:

– To nie grupa jest problemem, Jacobo. Sam się o tym najlepiej przekonasz, ale rejterada niekoniecznie ochroni cię w przyszłości przed powrotem tego, co czujesz, że ci się przytrafiło. W rzeczywistości to wcale nie przytrafiło się tobie. Po prostu się przytrafiło i tyle, takie rzeczy zdarzają się wszędzie. Nikt nie jest w stanie skontrolować, jak wykorzystuje się jego pomysły i słowa ani przewidzieć do końca ich konsekwencji. Jak to w życiu. W żadnym razie. Nie ma sensu pytać mnie, czy wiedziałem czy nie: nikt nigdy nie wie, co rozpętuje, jedno i to samo działanie może wywołać diametralnie różne skutki. Ryzyko, że spowodujesz nieszczęście, nie było większe, niż gdybyś nigdy nie ruszył się z domu w Madrycie, od Luisy. – Przypomniał mi się na sekundę Custardoy, moja dłoń z pistoletem i jego poharatana ręka. Wheeler, odzyskawszy już w pełni głos, nadal przyglądał mi się uważnie, jakby poddawał mnie analizie. Czułem się obserwowany, a nawet więcej: szpiegowany, rozszyfrowywany, patroszony, i nic na to nie mogłem poradzić. Następnie dodał, jakby raz dokonawszy badania, postanowił zaryzykować diagnozę: – O tak, dasz radę z tym żyć, bądź spokojny. W odróżnieniu od Valerie ty sobie poradzisz z tym, co ci się przytrafiło, zapewniam cię, albo z tym, co uważasz, że przytrafiło się tobie. Dziwnie to zabrzmiało, ale pod pewnymi względami lepiej niż ją znam ciebie. Ciebie przeanalizowaliśmy, jej nie zdążyliśmy na czas.

Nie wiedziałem, o co najpierw go zapytać, czy o analizowanie mojej osoby, czy o Valerie, jego żonę, którą wspomniał już po raz drugi, jego

myśli krążyły wokół niej tej szczególnej niedzieli. Pomyślałem, że dopytując się o nią nadmiernie, mogę spowodować, że się wycofa i odpowie mi jak kiedyś: „Ach... Jeśli pozwolisz, wolałbym opowiedzieć ci to innym razem. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu”. Możliwe, że miało już nie być innego razu. Najlepiej, żeby ta opowieść pojawiła się sama z siebie, jeżeli w ogóle miała się pojawić.

– Mnie państwo analizowali – powtórzyłem. – Wiem, widziałem raport na swój temat w starym archiwum w biurze. Kto go sporządził? Czy to był pan?

– Och, nie, to nie byłem ja, ja nigdy nie pisałem raportów, jeżeli już, to przedstawiałem je ustnie, no wiesz, ograniczając się do tego, co naprawdę istotne; pisanie raportów to czysta biurokracja i straszne nudziarstwo. Nie, pewnie napisał go Toby w okresie, kiedy uczyłeś w Oksfordzie. To on cię odkrył, jeżeli wolno mi się tak wyrazić. Pierwszy zaczął mówić o tobie ze mną i jak sądzę, z innymi. On odkrył twoje talenty jakieś piętnaście lat temu, chyba już ci to mówiłem. A może dwadzieścia? Nie, to nie było tak dawno.

Nie wydał mi się szczególnie przekonujący. Może i mówił prawdę, jednak w takim razie kim byli ci „ty” i „ona”, do których nawiązywał raport? „...Aż strach wyobrazić sobie, co wie, ile widzi i ile wie – było tam napisane. – O mnie, o tobie, o niej. Wie o nas więcej niż my sami. Mam na myśli nasze charaktery. Albo nawet to, co nas ukształtowało. Posiada na ten temat wiedzę, do której my nie mamy dostępu...” Możliwe, że owym „ty” był Cromer-Blake, mój inny przyjaciel oksfordzki z tamtego czasu, a równocześnie bliski przyjaciel Rylandsa; w takim razie „oną” musiałaby być Clare Bayes, moja kochanka z czasów młodości, osoba, której nigdy już później nie spotkałem. To by jednak znaczyło, że Cromer-Blake również należał do grupy, co wcale do niego nie pasowało; chociaż kto wie? W Oksfordzie wszyscy bardzo udają... Nie uwierzyłem Wheelerowi.



Wyszedłem z założenia, że nie chce mi wyjawić, kto wypowiedział się pisemnie na mój temat, przypisanie raportu komuś zmarłemu było najprostszym wyjściem. Albo że nie chce mi się przyznać, iż sam go sporządził, to było bardziej prawdopodobne. Zawsze był skryty z wyjątkiem chwil, gdy trochę się odkrywał, jak owej niedzieli.

– Co się stało z pańską żoną, co się stało z Valerie? – I znowu poczułem na wargach smak nadużycia, smak świętokradztwa, wymawiając jej imię.

Teraz uniósł do czoła dłoń wcześniej opartą o policzek i o brodę, drugą ręką trzymał laskę, mocno zaciskał na niej garść. Zmrużył oczy, jak robimy to my, krótkowidze, by lepiej widzieć na odległość, i już nie zwrócił ich w moją stronę, lecz skierował spojrzenie gdzieś w dal, za okno, ku jakiemuś punktowi w ogrodzie albo na rzece.

– Błędnie to oceniliśmy, a raczej nawet mi przez myśl nie przeszło, że trzeba było dokonać jakiejś oceny. Gdyby grupa powstała wcześniej, gdyby ktoś z nas, wszystko jedno kto, wpadł na ten pomysł (Vivian, Menzies, Cowgill albo Crossman, może sam Delmer, a nawet osobiście Churchill), zrobił to kilka miesięcy wcześniej, to możliwe, że nie pozwolono by jej zabrnąć tak daleko. Przynajmniej ja bym nie pozwolił, tak sądzę. Oni tak: *no se paraban en barras*. – Użył tu hiszpańskiego wyrażenia, by powiedzieć, że dla nich nie istniały żadne przeszkody. – Ja jednak mało tu przebywałem w czasie wojny, zawsze byłem gdzie indziej, wykonywałem „zadania specjalne”; przyjeżdżałem tylko od czasu do czasu, możliwe zatem, że i tak nie zdołałbym temu zapobiec. – Zatrzymał się. Pewnie pomyślał, że już rozpoczął, ale że jeszcze może się wycofać. Myślę, że ostatecznie postanowił nie zaprzętać sobie głowy tym dylematem i po prostu mówił dalej: – Valerie, jak niemal wszyscy w tamtych czasach, chciała być pomocna, na coś się przydać. Znała bardzo dobrze język niemiecki, już ci mówiłem, bo w dzieciństwie i jako dorastająca panienka wyjeżdżała wielokrotnie na wakacje do pewnej austriackiej rodziny, z którą

od dawna przyjaźnili się jej rodzice, a najmłodsza córeczka tamtych ludzi była mniej więcej w jej wieku, były też trzy starsze córki, pierworodna starsza od Valerie o dziesięć lat. No więc zwykle spędzała lato w Melku nad Dunajem, w dolnej Austrii, tam gdzie znajduje się to słynne opactwo benedyktyńskie, wiesz, ten barokowy klasztor... – Widział, że nie kojarzę, o co chodzi, dodał więc jakby w nawiasie: – (Zresztą wszystko jedno, czy wiesz)... a ta córka w jej wieku przyjeżdżała do niej do Anglii na Boże Narodzenie. Gdy wybuchła wojna, Valerie pomyślała, że zgłosi się na ochotnika, żeby ją wysłali jako swojego człowieka do Niemiec. Wiedziała jednak, że nie jest zbyt odważna i że łatwo mogłaby spanikować i zostać zdemaskowana. Miała jak najlepszą wolę i była inteligentna, ale charakterologicznie nie nadawała się do takiej roboty. Brakowało jej niezbędnej pewności siebie i umiejętności udawania, a raczej oszukiwania. Nigdy nie byłaby dobrym szpiegiem. Wbrew powszechnemu przekonaniu większość ludzi się do tego nie nadaje, nie wie, jak to robić. Poza tym była młodziutka, kiedy wybuchła wojna, miała tylko dziewiętnaście lat, ja byłem od niej siedem lat starszy, a teraz jestem starszy o tyle, tyle więcej, ta różnica nie powinna już się zwiększać. – Jakby na potwierdzenie tych słów popatrzył z rezygnacją na swoją dłoń, żylastą, pomarszczoną, z plamami. – Pracowała jako tłumaczka dla Foreign Office aż do sierpnia czterdziestego pierwszego roku, kiedy to cała propaganda, ta biała i ta czarna, została przekazana do PWE i tam zatrudniono tyle osób z doskonałą znajomością niemieckiego, ile tylko się dało. Political Warfare Executive – rozwinął w końcu skrót, a ja przetłumaczyłem to w myślach mniej więcej jako „Referat do spraw Wojny Politycznej” albo „Referat Polityczny do spraw Wojny”, a może byłoby właściwiej jako „Referat do spraw Politycznych Działań Wojennych” – wydała mi się dla niej odpowiednim miejscem. I dość bezpiecznym. Nie chciałem, żeby ryzykowała, znaczy, żeby ryzykowała nadmiernie, żeby się zanadto narażała, bo przecież ryzykowali

wszyscy, tak na froncie, jak i na tyłach, nie muszę ci mówić. PWE był strukturą tajną i utworzoną na określony czas, istniał w czasie wojny, zaraz po podpisaniu przez Niemcy bezwarunkowej kapitulacji, siódmego maja czterdziestego piątego roku, zaczęto go demontować. Jego nazwa a nawet ten skrót przedostały się do wiadomości publicznej dopiero lata później. Wielu pracujących tam ludzi naprawdę nie wiedziało, że pracuje dla PWE, uważali, że są zatrudnieni w Political Intelligence Department, PID należącym do Foreign Office, małej, wcale nie tajnej sekcji ministerstwa. Ci, którzy się zajmowali białą propagandą (na przykład audycjami nadawanymi przez BBC na Niemcy i okupowaną Europę albo broszurami ze stemplem rządu Jego Królewskiej Mości rozrzuconymi z samolotów podczas rajdów RAF-u i tym podobnymi), zazwyczaj wcale nie wiedzieli, że istniała także czarna, a nawet szara propaganda i że tamtymi zajmowali się ich koledzy z oddzielnych wydziałów w największej tajemnicy. Wielką zaletą czarnej propagandy było to, że nigdy nie przyznawano się do jej brytyjskiego rodowodu i gdy było trzeba, rzecz jasna zaprzeczano, że jest naszym dziełem. Dlatego też, co oczywiste, mieliśmy wolną rękę, właściwie nie było ograniczeń. Pamiętaj, że oficjalnie nie robiliśmy pewnych rzeczy, mimo że robiliśmy je po kryjomu. Nigdy się do nich nie przyznaliśmy między innymi dlatego, że prawie nikt nie wiedział, że w rzeczywistości były robione. Kiedy w latach siedemdziesiątych Richard Crossman napisał o PWE w jakimś artykule prasowym związanym ze sprawą Watergate, która miała szerokie reperkusje (przypominam, że głos zabrali lord Ritchie-Calder i inni), przyznał, że podczas wojny mieliśmy tu coś, co on nazwał „wewnętrznym rządem” i co stosowało kompletnie inny kodeks i normy postępowania niż rząd widoczny i znany opinii publicznej, oraz dodał, że w czasie wojny totalnej był to mechanizm konieczny. Crossman był jedną z kluczowych figur PWE, jakkolwiek nie tak ważną jak Sefton Delmer, prawdziwy geniusz i twórca nowej koncepcji wojny

psychologicznej jako czysto destrukcyjnej. Crossman w latach sześćdziesiątych był ministrem w rządzie Harolda Wilsona, liczono się zatem z jego głosem i nie tak łatwo było zaprzeczyć czemuś, co on powiedział...

Wheeler zamilkł. Pomyślałem, że pewnie znowu się zmęczył albo zaschło mu w gardle od mówienia. Nie do wiary, z jaką płynnością prowadził rozmowę, gdy słowa nie więzły mu w gardle, nawet jeżeli, co bardzo możliwe, ponownie popadł w swoją gadatliwą introspekcję. Zastanawiałem się, kiedy wrócimy do Valerie, młodej już na zawsze i z każdym dniem młodszej od niego. Spytałem, czy chciałby się czegoś napić, odpowiedział, że wody i żebym sam też się napił tego, na co mam ochotę, żebym poprosił panią Berry, to mi przyniesie, przeprosił, że do tej pory niczym mnie nie poczęstował. Odparłem, że sam pójdę po coś do kuchni, że wolę jej nie trudzić. Przyniosłem mu wodę i otwarłszy sobie zimne piwo, skorzystałem, żeby zapytać o coś mniej istotnego:

– Czy czarną propagandę nazywano także „czarną grą”? Czy to było to samo? Wcześniej użył pan takiego wyrażenia.

– Tak – odparł. – To znaczy nie tylko propagandę, lecz ogólnie wszystkie czarne operacje. Nie wiem, kto dokładnie wymyślił to wyrażenie, Crossman czy Delmer. Ich zdaniem Amerykanie, którzy ściągnęli od nas część technik dywersyjnych i do dziś uwielbiają z nich korzystać (dość niezdarnie, trzeba dodać), nigdy nie nauczyli się stosować ich tak jak my, bawić się nimi, jakby to była gra, mimo całej powagi sytuacji. Ani co gorsza wyrzekać się ich w czasach pokoju. Była taka książka, wydana jakieś dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat temu, pod tytułem „The Black Game”. Przeczytałem ją, napisał to niejaki Howe.

– Nie wie pan, czy nazywano to także „mokrą grą”? – Powiedziałem „*the wet game*”, teraz byłem już prawie pewien, że podczas tamtej nocnej

niespodziewanej wizyty u mnie Pérez Nuix użyła sformułowania „*wet gamblers*”.

– To nie jest termin, który bym często słyszał, ale tak, możliwe. Może dlatego, że czarne operacje często skutkowały rozlewem krwi. Białe natomiast bardzo rzadko, białe były suche. Ale o czym to mówiliśmy? – dodał z lekką irytacją. – Właściwie dlaczego ci to wszystko opowiadam? Mój Boże, znowu zapomniałem. – Powiedział po angielsku „*Oh dear me*”, co nie ma odpowiednika po hiszpańsku, ale z Bogiem też nie ma nic wspólnego. Możliwe, że jego pamięć nie była już pojemna jak dawniej, nie potrafiła już objąć jednej historii od początku do końca. Możliwe, że tylko w tym względzie dawało się zauważyć jego gorszą ostatnio kondycję. Tracił z pola widzenia wyjściowy wątek, jakkolwiek potrzebował tylko minimalnej pomocy, by podjąć go na nowo.

– Mówił pan o swojej żonie – przyszedłem mu z pomocą. – O tym, co robiła podczas wojny.

– A tak, miałem ci opowiedzieć, jak umarła Valerie, ponieważ o to zapytałeś, w dodatku nie po raz pierwszy – odparł. – Ważne jednak, żebyś wiedział, czym był PWE i jak działał, w co się zaangażowała Valerie i do czego się przyzwyczaiła. Pod pewnym względem Sefton Delmer był w PWE odpowiednikiem Harrisa „Bombera”, aczkolwiek nie miał pod swymi rozkazami samolotów ani wojsk, jedynie speców od oszustw i fałszerstw. – Widząc, że nazwisko Harrisa nic mi nie mówi, dodał: – Arthur Harris, marszałek lotnictwa, to on pod cynicznym pretekstem ataku na cele wojskowe wydał rozkaz, w wyniku którego zginęło pięćdziesiąt tysięcy hamburczyków i sto pięćdziesiąt tysięcy drezdeńczyków pod koniec wojny, zrównał też z ziemią Kolonię i Frankfurt, Düsseldorf i Mannheim, był nieustępliwym człowiekiem o zbyt wielkiej władzy, nieledwie psychopata, był gotów na wszystko, byle tylko zgnieść wroga i wygrać. – Przypomniałem sobie wówczas, że raz mi już o nim wspomniał: „Kilka

miesiący temu przeczytałem w książce Knightleya”, powiedział wtedy, „że sir Arthur Harris, szef Dowództwa Bombardowań, zarzucał amatorszczyznę, ignorancję, nieodpowiedzialność i zakłamanie ludziom z SOE”, tym samym, którzy stali za zabójstwem Heydricha przy użyciu naboju nasączonych jadem kiełbasianym i za wieloma innymi akcjami sabotażu, zniszczenia i terroru. – Zdaniem Crossmana im obu, Harrisowi i Delmerowi, i prawdopodobnie tylko im, pozwolono, każdemu w swojej dziedzinie, rozpętać wojnę totalną, taką, którą grozili Göring i Goebbels, ale nigdy jej nie przeprowadzili. Delmerowi zezwolono konkretnie, by przeszedł samych nazistów (to znaczy by upadł jeszcze niżej niż oni) w tym, co się tyczy kłamstw, oszczerstw, manipulacji, fabrykowania wiadomości i oszukiwania ludności wroga. Czarna propaganda, tak jak i bombardowania strategiczne, była nihilistyczna w swoich celach, a destrukcyjna jedynie w skutkach, co również przyznał sam Crossman. Okazała się natomiast z całą pewnością nadzwyczaj skutecznym orężem i dlatego dziś wszyscy jej używają bez najmniejszych zahamowań. Sefton Delmer był geniuszem, bez dwóch zdań. Urodził się w Berlinie, jego ojciec był Australijczykiem – „Jeszcze jeden fałszywy Anglik, pomyślałem, ilu takich jest?” – najpierw studiował w Berlinie, a potem tu, w Oksfordzie; przed wojną, będąc korespondentem „The Daily Expressu” w Berlinie, poznał Ernsta Röhma, a za jego pośrednictwem Hitlera, Göringa, Goebbelsa, Himmlera. Znakomicie rozumiał niemiecki charakter i niemiecką psychikę, tak że w oczach Brytyjczyków stał się podejrzany w chwili wybuchu wojny i nie zezwolono, by objął jakieś wysokie stanowisko, dopóki służby specjalne nie poddały go inwigilacji i nie wyraziły na to zgody, masz pojęcie? Od pracujących ze sobą osób wymagał absolutnej dyskrecji, dyscypliny i determinacji, innymi słowy, wyzbycia się wszelkich skrupułów. Powoli włączał do swojej ekipy Niemców: dawnych członków Brygad Międzynarodowych, emigrantów, uchodźców, potem

kilku więźniów wojennych chętnych do współpracy, ważnego niemieckiego dezertera, który uciekł do Londynu po nieudanym zamachu na Hitlera w lipcu czterdziestego czwartego roku, a nawet byłego esesmana. Mówił im wszystkim, kiedy przybywali do Woburn, gdzie znajdował się departament: „Prowadzimy z Hitlerem rodzaj totalnej wojny na pomysły. Każdy pomysł jest dobry pod warunkiem, że przybliży koniec wojny i całkowitą klęskę Rzeszy. Jeżeli macie choćby najmniejsze skrupuły wobec tego, co może przyjdzie wam robić przeciw waszym rodakom, powinniście powiedzieć o tym teraz. Zrozumiem. W takim jednak razie nie będziecie dla nas przydatni i z całą pewnością zostaniecie przydzieleni do innych zadań. A jeżeli chcecie dołączyć do mnie, muszę was uprzedzić, że w mojej jednostce jesteśmy gotowi na każde brudne zagranie, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nic nie jest z góry zabronione. Im brudniejsza zagrywka, tym lepiej. Kłamstwa, podsłuchy, defraudacje, zdrada, fałszerstwa, zniesławienie, sianie niezgody, fałszywe świadectwa i oskarżenia, przeinaczanie słów i faktów i co tam jeszcze. Nawet zwykłe zabójstwo, nie zapominajcie o tym”. – Wheeler użył tu wyrażenia „*Sheer murder*”. – Valerie niejedną raz słyszała te słowa. Z czasem znalazła się blisko niego.

Wheeler popadł w zadumę, możliwe, że przypominał sobie Valerie blisko Seftona Delmera. Teraz przesunął dłoń do ust i leciutko je gładził. Potem znowu przejechał kciukiem po bliźnie na brodzie, dziwne, że nigdy wcześniej nie zauważyłem tego gestu. Zastanowiłem się, czy nie zachęca mnie w ten sposób, żebym i o tę bliznę zapytał. Lecz dopóki sam o niej nie wspominał, ja postanowiłem się wstrzymać.

– A jakie były te brudne zagrania? Na czym konkretnie polegała czarna gra? – zapytałem.

– No cóż, o większości ich akcji dowiedzieliśmy się grubo po zakończeniu wojny. Nie muszę mówić, że fałszowali wszystko. To była jedna z tych rzeczy, w których przeszliśmy samych siebie: audycje radiowe,

wszelkiego rodzaju dokumenty, łącznie z rozkazami grubych ryb Rzeszy, takich jak generał von Falkenhorst, dowódca niemieckich wojsk w Norwegii; przepustki urlopowe żołnierzy, przepustki dające dostęp do najbardziej strzeżonych miejsc i instalacji, okólniki, broszurki satyryczne, pieczęcie, znaczki, koperty i papier listowy, nawet paczki papierosów, pamiętam, że widziałem kiedyś takie o nazwie Efka-„Pyramiden”, zawsze chodziło o to, żeby wszystko wydawało się autentycznie niemieckie, a przynajmniej wyprodukowane w Niemczech albo w Austrii, to wywoływało w nich niepokój, że mamy tam więcej swoich ludzi, niż naprawdę mieliśmy, że dysponujemy wieloma zakonspirowanymi współpracownikami na ich terytorium, że ci ludzie są wyposażeni w sprzęt i środki i mają wielką zdolność operacyjną, to wszystko nie tylko ich denerwowało, lecz kazało podejmować wysiłki, żeby tropić i chwytać te duchy. Dzięki radiu mogliśmy dotrzeć wszędzie, nawet na okręty podwodne, niszczyliśmy morale ich załóg, tworząc wrażenie, że mamy je na oku i że nie ukryją przed nami swojej pozycji. Zasadniczą sprawą było jednak sianie niezgody między samymi Niemcami i szkodenie im tak w wymiarze zbiorowym, jak jednostkowym, wzbudzanie między nimi nieufności i strachu, żeby bali się jedni drugich. I rzecz jasna pozbywanie się, gdy było to możliwe, wysokich rangą urzędników cywilnych albo wysokich stopniem wojskowych bądź niszczenie ich reputacji. Czarna sekcja PWE niczym listy gończe za oficerami SS drukowała afisze, na których oskarżano ich o zdradę, dezercję, oszustwa lub przestępstwa kryminalne i zaznaczano, że są ścigani przez władze: zachęcano, by w razie rozpoznania ludzie strzelali do nich bez pardonu, oferowano nagrody w wysokości dziesięciu albo więcej tysięcy marek, zapewniano nawet, że Żelazne Krzyże, które mogą mieć poszukiwani, są zwykłymi falsyfikatami. Wszystko robiono w sposób bardzo przemyślany. Były takie, które wsparte odpowiednią kampanią radiową przedstawiały komisarza Rzeszy Roberta



Leya, w partii nazistowskiej szychę o cokolwiek rozwiązłym trybie życia, i zarzucały mu gromadzenie kuponów żywnościowych, i doktor Ley poczuł się w obowiązku zaprzeczyć temu z oburzeniem: „Jem jak wszyscy!”, grzmiał przez radio. – Tu Wheeler nie mógł powstrzymać chichotu na wspomnienie czegoś, co mogła mu opowiedzieć ze śmiechem sama Valerie, naruszając tym samym Official Secrets Act, którego była zobowiązana przestrzegać. – Wydano znaczki z podobizną znanego ze swej ambicji Himmlera w miejsce podobizny Hitlera, żeby ich ze sobą skłócić, żeby Hitler chętniej wierzył uporczywym pogłoskom o tym, jakoby Himmler zamierzał zająć jego miejsce, i tym samym postawić ministra pod pręgierzem. Ale były też sprawy poważniejsze, bardziej „wilgotne”. Jedną z często stosowanych metod Delmera było wysyłanie fałszywych listów do rodzin żołnierzy niemieckich umierających w wojskowych szpitalach we Włoszech w wyniku odniesionych ran. Przechwytywano nieszyfrowane depeche od dyrektorów tych szpitali do władz partyjnych w Niemczech ze wszystkimi danymi zmarłego i adresem jego krewnych. Listy podrabiane przez grupę Delmera, w nienagannej niemczyźnie i na firmowym papierze szpitala, były rzekomo pisane przez zasmuconego kolegę albo pielęgniarkę, którzy byli przy zmarłym do ostatniej chwili i w swoich listach pisali zazwyczaj wstrząśnięci, że w rzeczywistości żołnierz zmarł po podaniu śmiertelnego zastrzyku na rozkaz przełożonych, bo było wiadome, że nie nada się już do czynnej służby. Potrzebne było jego łóżko, by położyć na nim innego chorego, zdolnego do powrotu na front, pozbywano się więc beznadziejnie chorych bez litości i podzięki, jak niepotrzebnych odpadków, z okrucieństwem i bardzo sprawnie. Delmer i jego jednostka mieli pełną świadomość, że to oni są naprawdę bezgranicznie okrutni, karmiąc podobnym kłamstwem (swoją drogą całkiem wiarygodnym) zrozpaczoną wdowę, starych rodziców albo osierocone dzieci. To jednak świetnie się nadawało, żeby wzbudzać niezadowolenie i pretensje wśród ludności,

obniżać morale walczących, wywoływać niesnaski w wojsku i skłaniać do dezercji, a tylko to się liczyło. Nie zapominaj, Jacobo, że drugą wojnę światową postrzegano jako walkę na śmierć i życie. Bo taka była, naprawdę taka właśnie była. A kiedy tak jest, granice tego, co można, są ciągle przesuwane, niemal niezauważalnie. W czasach pokoju osądza się czas wojny z całą surowością, a ja nie wiem, do jakiego stopnia takie sądy są uprawnione. Te dwa czasy wzajemnie się wykluczają, w czasach pokoju nie można sobie wyobrazić czasu wojny i na odwrót, ten szczegół nam często umyka. Mimo to są przecież rzeczy, które uznajemy za godne potępienia już w chwili, gdy się dzieją, nawet jeśli się dzieją w czasach, kiedy dopuszcza się wiele, lecz te wszystkie niegodziwości były trzymane w tajemnicy również w trakcie wojny, gdy nikt nie wiedział, jaki będzie jej koniec. Jednostka Seftona Delmera oficjalnie nie istniała i wszyscy jej członkowie mieli rozkaz zaprzeczać jej istnieniu (a więc zaprzeczać swojemu istnieniu) wobec wszystkich, nawet wobec innych organizacji niemal równie tajnych (choć nie tak samo) jak SOE albo trochę później my, działających po cichu i nigdy nie wymienianych z innych powodów, głównie przez wzgląd na ich tajny charakter i poufność. I zauważ, że po zakończeniu wojny nie tylko natychmiast rozwiązano PWE, lecz wydano jego czarnym członkom takie mniej więcej instrukcje: „Przez lata nie rozmawialiśmy o naszej pracy z nikim spoza jednostki, tak więc mało wiadomo o nas i o naszych technikach. Ludzie mogą coś podejrzewać, ale nikt niczego nie wie na pewno. Chcemy, byście nadal starali się utrzymać ten stan rzeczy. Niech nikt i nic nie skłoni was do przechwalania się wykonanymi akcjami, chwytami i podstępami, jakie stosowaliśmy wobec wroga. Jeśli zaczniemy chełpić się naszą pomysłowością, kto wie, czym to się skończy. A zatem buzie na kłódkę”. – „*So mum's the word*”, powiedział po angielsku Wheeler, pomyślałem, że podobne wyrażenie widziałem na jednym z plakatów o *careless talk*. – „Propaganda z samej swej natury musi

być czymś, o czym się nie mówi”. Postąpiono tak niewątpliwie z roztropności – ciągnął Wheeler – ale i dlatego, jak myślę, że nie było szczególnych powodów do dumy za sprawą tego, co robiono, a już szczególnie w końcówce wojny. Valerie na pewno nie czuła się z tego dumna, *a fe mía...* – i użył wyrażenia ze swej literackiej hiszpańszczyzny znaczącego mniej więcej „zaiste”. – Gdy niemiecka ludność cywilna była ogromnie zdesperowana i zdezorientowana, nasze radiostacje podszywające się pod niemieckie potęgowały jeszcze dodatkowo tę desperację i zdezorientowanie. Nadaliśmy na przykład ostrzeżenie, że w całym kraju krąży wielka ilość fałszywych pieniędzy, co sprawiło, że zaczęli przyglądać się podejrzliwie markom oraz tym, od których je otrzymywali. Najgorsze przyszło jednak po brutalnych bombardowaniach z rozkazu Harrisa i Amerykanów oraz kiedy wojska wchodziły już do Niemiec, nasze od zachodu, a rosyjskie od wschodu. Podczas nalotów radiostacje niemieckie przestawały nadawać, żeby nie służyć za latarnie morskie samolotom RAF-u i USAF-u. I w kilka sekund, nie pytaj mnie jak, Delmer i jego ludzie potrafili wejść na ich częstotliwość, swoją nieskazitelną niemczyzną udawali, że podejmują przerwane nadawanie, i przekazywali wprowadzające w błąd, dezorientujące, sprzeczne lub przynoszące efekt przeciwny do oczekiwanego komunikaty, a wszystko po to, żeby spowodować jeszcze większe spustoszenie i wzmóc chaos. Najpierw radiostacje niemieckie zalecały ocalałym z bombardowań w zrównanych z ziemią miastach (Hamburgu, Bremie, Kolonii, Dreźnie, Lipsku i wielu innych), żeby nigdzie się nie ruszali, nie zmieniali miejsca pobytu i czekali na nadejście pomocy. Delmer, jak się zdaje na polecenie samego Churchilla, polecił im coś wprost przeciwnego, udając, że jest to oficjalny komunikat Rzeszy, ma się rozumieć. Powiedział ludziom, że w środkowych i południowych Niemczech stworzono siedem stref „wolnych od bomb” i że tam właśnie powinni kierować się uciekinierzy, ponieważ tam nie grożą im

nieprzyjacielskie naloty. Zapewniono ludzi, że neutralni przedstawiciele Czerwonego Krzyża w Berlinie poinformowali władze Rzeszy, iż sam Eisenhower ma ogłosić te siedem stref rejonem bezpiecznym, i że banki już przenoszą tam swoje aktywa. Te informacje były oczywiście nieprawdziwe, ale spowodowały straszliwe konsekwencje. Ludzie całymi rodzinami ruszyli w kierunku nieistniejących stref, szli obszarpani, z dziećmi, z rannymi i niewielkim dobytkiem, jechali rozklekotanymi autobusami, którym szybko kończyła się benzyna, nawet karawanami, czymkolwiek się dało, byle wydostać się ze swojego piekła. Zapanował totalny chaos. Wiele dróg zostało kompletnie zablokowanych przez takie tłumy, że utrudniło to działania obronne wojsk lądowych, bo nie wiadomo, jak tych ludzi ominąć, gdzie ich skierować, jak usunąć. I co z nimi zrobić. Bardzo prawdopodobne, że wielu przerażonych uciekinierów, którzy wyruszyli masowo na poszukiwanie bezpiecznej ułudy i być może przeżyliby, gdyby nie ruszyli się ze swoich zrujnowanych miast, zginęło pod kolejnymi bombami, bo nigdzie w Niemczech nie było bezpiecznie, a raczej bezpiecznie było tylko w miejscach już zniszczonych.

Wheeler przerwał i napił się łąpczywie wody, wypił całą szklanę duszkiem, a raczej wieloma małymi łydkami, tak jak piją dzieci, gdy bardzo chce im się pić, ale nie mogą pomieścić tyle płynu naraz i muszą robić przerwy na złapanie oddechu, nie odrywając nigdy ust od brzegu szklanki, jakby się bały, że ktoś mógłby im tę szklanę zabrać. Potem zawołał panią Berry, poprosił ją o więcej wody i żeby przyniosła mi trochę oliwek do piwa.

– Nadal macie taki sposób picia w Hiszpanii, prawda? Przegryzacie czymś, żeby alkohol nie szedł do głowy – powiedział. – Mam tu trochę hiszpańskich przegryzek, to oliwki marynowane z cytryną, chyba z Andaluzji. Bardzo smaczne. Chyba można je kupić w Taylor's, prawie naprzeciwko tego miejsca, gdzie mieszkałeś.

Tak, dobrze pamiętałem tamten sklep spożywczy. Był dość drogi, ale w moich oksfordzkich czasach w dużej mierze żywiłem się kupowanymi tam lekkomyślnie produktami (nigdy nie był ze mnie wielki kucharz). Powiedziałem pani Berry, żeby się mną nie kłopotowała, że nie trzeba, Wheeler jednak już ją poprosił o oliwki, a ona spełniała jego życzenia. Kiedy wyszła, a ja miałem już przed sobą przekąskę – pani Berry nigdy jednak nie zniknęła na długo, co chwila wchodziła i wychodziła, milcząca i zajęta – zapytałem Wheelera:

– I do tego właśnie przyłożyła rękę pańska żona, Peter? To pan nazwał niegodziwościami? Przypuszczam, że wtedy tak tego nie postrzegano. Możliwe, że to niegodziwe teraz, ale wtedy takie nie było. Zwyczajny element walki. – Zamyśliłem się z niejakim zdumieniem, bo sam nie bardzo rozumiałem, co powiedziałem. Dodałem zatem: – Nie wiem, czy coś takiego jest możliwe, znaczy, żeby coś było w porządku, a przynajmniej

usprawiedliwione, gdy się to robi, i żeby takie nie było, gdy już zostało zrobione, skoro zawsze chodzi o jedną i tę samą rzecz. Znaczy nie wiem, czy to możliwe, żeby ta sama rzecz była jednym, gdy jest terażniejszością, i drugim, gdy jest przeszłością, gdy się dzieje i gdy jest tylko wspomnieniem... Och, dajmy temu spokój.

Wheeler popatrzył na mnie, jakby istotnie pogubił się w moim zagmatwanym rozumowaniu, i nie odpowiedział mi od razu, to znaczy wydawało się, że dał spokój.

– Sefton Delmer w jednym z tomów swojej autobiografii – powiedział – nie pamiętam, czy w „Trail Sinister” czy może w „Black Boomerang” (przeczytałem je, kiedy wyszły, w latach sześćdziesiątych, trochę dlatego, że chciałem sprawdzić, czy napomyka o Valerie albo o niej wspomina; nie, nie wspomniał o niej ani o sprawie, w której miała największy udział lub do której doszło z jej inicjatywy), pisze, że pod koniec marca czterdziestego piątego roku pojechał do Niemiec i widział na własne oczy cały spektakl, taki sam jak wcześniej w Hiszpanii w ostatnich dniach waszej wojny (był tam również jako korespondent), w Polsce i we Francji: ludzie uciekający przed siebie bez określonego celu pośród ruin i zgliszczy, taszczący ze sobą resztki swego dobytku albo to, co zdołali upchnąć do zepsutych samochodów, idący piechotą drogami i polami z maleńkimi dziećmi na plecach, ze wzrokiem nieobecnym albo przerażonym, czasem z dziećmi już zmarłymi, których nie chcieli pogrzebać w szczerym polu lub z którymi nie mieli odwagi się rozstać i wciąż je nieśli, jakby to były kukły, całkiem bez sensu... I Sefton Delmer pisze, że nie podszedł do nikogo i nie zapytał, czy przypadkiem nie komunikaty Radia Kolonia albo Radia Frankfurt, których częstotliwości zajął, popchnęły tych ludzi do bezładnej ucieczki przed siebie. „Nie chciałem tego wiedzieć. Obawiałem się, że odpowiedź mogłaby być twierdząca”, napisał, pamiętam to. A więc świetnie zdawał sobie sprawę. A przecież zrobił to i zrobiliby raz jeszcze, niemal każdy robił

takie rzeczy w czasie wojny, niemal każdy to robi na wojnie. Robi się wszystko, co przyjdzie do głowy, mało pomysłów nie jest wcielanych w życie. Pomysłów na pogniębienie wroga, prawie wszystkie mają wzięcie, choćby potem nie przyznawano się do tego publicznie. Ta sztuczka z podszywaniem się pod niemieckie radiostacje była taka skuteczna i miała tak poważne następstwa, że władze nazistowskie poczuły się zmuszone zrezygnować z fal radiowych jako drogi przekazywania poleceń i instrukcji dla ludności cywilnej i przeszły na transmisje radiowe w systemie kablowym, takie radio kablowe stwarzało więcej problemów i miało dużo mniejszy zasięg, ale my nie mogliśmy się pod nie podłączyć. Tak, Delmer i jego brudna gra bardzo się przyczynili. Nie wiem, czy do wygrania tej wojny, ale na pewno do szybszego zwycięstwa.

Teraz Wheeler naprawdę wyglądał na zmęczonego. W każdej chwili mógł przerwać swoją opowieść, zostawić dalszy ciąg na kiedy indziej, zamilknąć albo na tym już ostatecznie zakończyć. Mógł nawet pożałować, że w ogóle zaczął opowiadać. Nie chciałem ryzykować, bo możliwe, że więcej nie będzie mi dane go zastać w tak dobrej dyspozycji do rozmowy – on by powiedział „talkative” – biorąc pod uwagę jego zwyczajową powściągliwość. W gruncie rzeczy kto wie, czy jeszcze kiedyś zastanę go w jakiegokolwiek dyspozycji, pomyślałem, skoro niedługo mam stąd wyjechać i wrócić do Hiszpanii. Najprawdopodobniej więcej go nie zobaczę. Zdecydowałem zatem, że będę nalegał, a nawet trochę go ponagłę.

– No więc co się stało Valerie? – Wymówienie jej imienia nie było dla mnie problemem. – Do czego przyłożyła rękę? Co się stało z jej inicjatywy, jak pan powiedział?

Wheeler pochylił się lekko do przodu i postawiwszy łaskę między nogami, wsparł obie dłonie na jej gałce, oparł brodę na dłoniach, miałem wrażenie, że to sposób na nabranie rozpędu albo przygotowanie się do jakiegoś wysiłku. Oczy stały się żywsze, głos bardziej donośny, podczas

gdy wcześniej w trakcie mówienia cichł coraz bardziej. Przyszło mi do głowy, że mógł nigdy nikomu nie opowiadać albo opowiadać bardzo dawno i bardzo niewielu osobom to, co pewnie zamierzał opowiedzieć teraz mnie. Jeszcze nie byłem pewien, czy to zrobi.

– No cóż, nie wiem, na ile jesteś zorientowany w nazistowskich prawach rasowych – powiedział.

– Naprawdę słabo – odpowiedziałem od razu: nie chciałem teraz żadnych przerw. – Mam ogólne pojęcie na ten temat, jak wszyscy.

– Były niezwykle szczegółowe, zawiłe, a w dodatku poczynając od trzydziestego trzeciego roku, ciągle się zmieniały. Zmieniała się także ich interpretacja w zależności od stosujących je osób i instytucji. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych stosowało je mniej rygorystycznie niż doktor Adolf Wagner, odpowiedzialny za te sprawy w NSDAP, a ten z kolei mniej rygorystycznie niż na przykład SS. Istotne jest jednak co innego: wszyscy, którzy mieli dwie babki i dwóch dziadków Żydów, niezależnie od wszelkich innych czynników byli bezwzględnie uważani za Żydów; ci, którzy mieli dwoje żydowskich dziadków i wyznawali żydowską religię albo w chwili wejścia w życie praw rasowych pozostawali w związku małżeńskim z Żydem lub Żydówką, byli uznawani za „pół-Żydów”, a zatem w praktyce za Żydów (identyczne traktowanie z pojedynczymi wyjątkami), ci natomiast, których dwoje dziadków było co prawda Żydami, ale oni sami nie wyznawali religii mojżeszowej ani nie byli w związku małżeńskim z osobą tej rasy, byli *mischlinge* pierwszego stopnia, czyli mieszaneцами. Istnieli wreszcie *mischlinge* drugiego stopnia, czyli ci, których tylko jedno z czworga dziadków było „skażone” rasowo, a pozostała trójka była „rasowo czysta”, to znaczy „aryjska” albo jak to nazywali naziści, „germańska”. Różnica była zasadnicza, bo tych drugiego stopnia zostawiano na ogół w spokoju, niektórzy dostali nawet certyfikaty na swoją „czysto germańską krew” po uprzednim rozpatrzeniu każdego



przypadku osobiście przez Hitlera, najwidoczniej uważał tę sprawę za tak istotną, że sam sprawdzał papiery i decydował, czy wnioskodawca zasługuje na „przekwalifikowanie” czy nie; udało się kilku tysiącom. Wyobrażam sobie, że specjalnie się nie spieszył z tymi decyzjami, na które bardzo czekali sami zainteresowani: jedni byli „Żydami” występującymi o zakwalifikowanie jako *mischlinge* pierwszego stopnia, ci pierwszego stopnia wnioskowali o uzyskanie drugiego stopnia, a ci drugiego stopnia chcieli, by przyznano im kategorię „aryjskości” i certyfikat. Wielu popełniało samobójstwo po ostatecznym zakwalifikowaniu ich jako „Żydów”. Osoby niepewne tego, jak zostaną zakwalifikowane, tak panicznie się bały, że często podejmowały próby, czasem z powodzeniem, sfalszowania, podmienienia, ukrycia i zniszczenia starych metryk urodzenia swoich dziadków, szczególnie między trzydziestym trzecim a trzydziestym dziewiątym rokiem, potem stało się to właściwie niemożliwe. Wielu urzędników magistratu albo urzędów stanu cywilnego, miejsc, gdzie metryki przechowywano, usuwało z archiwów kompromitujące dokumenty za ogromne łapówki, a nawet za tytuły własności: bywało, że powodując pożary, które trawiły część archiwum, lub tłumacząc zniknięcie plagą bardzo wybiórczo niszczycielskich szcurów. Albo gdy przynoszono znakomicie sfalszowane dokumenty, na starym papierze i tak dalej, urzędnicy godzili się je podmienić i z żydowskiego dziadka albo żydowskiej babki zrobić katolików lub protestantów, zmieniając im nawet nazwiska. W mniejszych miejscowościach zdarzało się to częściej, było łatwiejsze. Rzecz jasna te podmienione dokumenty niemal nigdy nie były niszczone, chyba że płacący zażądał, by mu je oddać, i sam zadbał o ich zniszczenie. To się prawie nigdy nie zdarzało, Żydzi nie mogli stawiać warunków, a urzędnik zatrzymywał sobie taki dokument, bo mógł mu się jeszcze przydać w przyszłości. Dowody ulatniały się zatem tylko na jakiś czas. Nalej mi kieliszek sherry, bądź tak dobry – dorzucił Wheeler, jakby

ożywił się, opowiadając. Opowiadanie o przeszłości często działa ożywczo na starych ludzi.

– Czy ma pan jakąś ulubioną? – spytałem, wskazując na zastawioną butelkami wysoką półkę po mojej prawej stronie.

– Wszystko mi jedno – odparł. Wstałem, nalałem sherry, podałem mu kieliszek, napił się dwa łyki i mówił dalej (teraz już się nie bałem, że przerwie): – Gdy zdarzało się odkryć „Żyda” albo „pół-Żyda” udającego „ćwierć-Żyda”, albo mieszańca pierwszego stopnia udającego, że jest *mischlinge* drugiego stopnia lub „Aryjczykiem”, to żadne prawa już się nie liczyły: los takiego człowieka był w rękach tego, kto go zdemaskował, zależał od jego kaprysu oraz od tego, gdzie złożył donos. Zrobienie tego na miejscowej policji czy u zwykłego burmistrza nie było tym samym co złożenie donosu do SS albo na gestapo. Mogło nie zdarzyć się nic, bo miejscowe władze spojrzały na wszystko przez palce, albo winowajca mógł zostać wysłany za karę do obozu koncentracyjnego wraz z całą rodziną. Göring albo Goebbels, nie pamiętam dokładnie, który z nich, chyba Göring, powiedział kiedyś: „To ja decyduję, kto jest Żydem”. Powiedział to akurat nie dlatego, że chciał kogoś napiętnować jako Żyda, lecz wprost przeciwnie, w tym konkretnym przypadku był zainteresowany tym, żeby określona osoba nie została tak zakwalifikowana. Wbrew powszechnemu przekonaniu i wbrew nazistowskiej propagandzie wielu *mischlinge*, a nawet „pół-Żydów” służyło lojalnie Rzeszy, nawet w wojsku lub na eksponowanych stanowiskach w państwie i w partii. Kilka lat temu wyszła książka pod tytułem „Hitler’s Jewish Soldiers” niejakiego Bryana Rigga... czytałeś ją?... i można się z niej dowiedzieć o kilku bardzo jaskrawych przypadkach. Zdjęcie blondyna z niebieskimi oczyma, „pół-Żyda” o nazwisku Goldberg, drukowano w broszurach propagandowych jako przykład „idealnego niemieckiego żołnierza”. Wyobrażasz sobie? „Pół-Żydzi” i „ćwierć-Żydzi” byli wśród pułkowników, generałów i admirałów,

ponieważ Hitler w dogodnym momencie ogłosił ich „Aryjczykami”. Jakkolwiek podpułkownik Ernst Bloch, ten filozof, weteran pierwszej wojny światowej, musiał zostać zdymisjonowany na skutek osobistej interwencji Himmlera. Nie wiem albo nie pamiętam, co się z nim potem stało: możliwe, że z dowódcy wojskowego stał się więźniem obozu koncentracyjnego, możliwe, że popadł w całkowitą niełaskę. Wiele zależało od przypadku, od tego, czy miało się znajomości albo przyjaciół wśród dygnitarzy. W przypadku na przykład marszałka polowego Milcha, który był „pół-Żydem”, jego przyjaciel Göring dostarczył sfabrykowany dowód na to, że marszałek nie był w istocie synem swego ojca, „pełnego Żyda”, lecz „aryjskiego” kochanka swojej matki; nie wiadomo oczywiście, co by matka, jeżeli wtedy żyła, powiedziała na taką rewelację ani czy istotnie miała takiego kochanka. Milch został przekwalifikowany na „Aryjczyka” i otrzymał Krzyż Rycerski za swoje dokonania w Norwegii. Sam widzisz, jakie to było błogosławieństwo, być bękartem w ówczesnych Niemczech. – I Wheeler znowu zaśmiał się gorzko, co przypomniało mi charakterystyczny śmiech Toby’ego. – Dlaczego o tym teraz mówimy, Jacobo? Przepraszam cię za te dziury w pamięci, to mi się zdarza tylko w odniesieniu do teraźniejszości. Przez te dziury i chwile afazji wkrótce już niczego nie będę w stanie opowiedzieć.

Nie jest z nim tak źle, skoro zdaje sobie z tego sprawę, pomyślałem, zawsze to coś. Jednakże podobne potknięcia nie zdarzyłyby mu się rok ani nawet kilka miesięcy wcześniej. Wygląda na to, że on i mój ojciec posuwają się w tym samym tempie, mimo że Peter jest ogólnie w lepszej formie. Choć o rok starszy, pewnie ojca przeżyje. Jakie to będzie okropne, gdy ich obu zabraknie. Jakie okropne.

– Pan musi to wiedzieć lepiej niż ja – odparłem. – Miało to związek z pańską żoną, z jej śmiercią. Tak mi się przynajmniej zdaje.

– A tak – przytaknął – ma z tym wiele wspólnego albo wręcz wszystko, tak, tak. – I miałem wrażenie, że powtórzywszy dwa razy ostatnie słowo, chwycił na nowo wątek. – Jak już mówiłem, w czarnej sekcji PWE byli ludzie, którzy nawet nie wiedzieli, że dla niej pracują ani że coś takiego w ogóle istnieje. W każdym razie Valerie nie wiedziała. Był tam jednak facet, który najprawdopodobniej wiedział o tym doskonale, pojawiał się tylko okazjonalnie w Woburn albo w Milton Bryant, tryskał pomysłami i wyglądało na to, że cieszy się dużą niezależnością nawet wobec Delmera. Nazywał się Jefferys, niemal na pewno to nie było prawdziwe nazwisko, i miał iście szatański łeb, tak mi przynajmniej opowiadała Valerie, kiedy wracałem z Jamajki albo ze Złotego Wybrzeża, albo z Cejlonu czy skądkolwiek, dokąd wcześniej mnie wysłano, i spędzaliśmy ze sobą dwa tygodnie lub kilka dni. Zadanie owego Jefferysa polegało na sianiu zamętu, stwarzaniu problemów, którymi, choćby były drugorzędne albo zagraniczne, Niemcy musieli się zajmować i starać się im zaradzić. Poza tym podkreślał do działania cały personel, był w tym, jak się zdaje, nie do pobicia.

– Żeby rozsiewano zarazki cholery? – zapytałem, nie mogąc się powstrzymać. On jednak nie odebrał tego jako aluzji, może nie pamiętał już własnych słów na ten temat.

– Właśnie. A choćby tylko ospy wietrznej. Wszyscy we wszystkich wydziałach, sekcjach, jednostkach i grupach, ogólnie w SIS, SOE, PWE, OIC, a także w NID, PWB i rzecz jasna w SHAEF, byliśmy przekonani, że wszystko, co odwraca uwagę Niemców od spraw ważnych, odciąga ich od działań wojennych, sprawia, że zaniedbują albo spowalniają te działania, i choćby w minimalnym stopniu pozbawia ich skuteczności, że to wszystko bardzo działa na naszą korzyść i pozwala nam zyskać na czasie, gdy czekaliśmy, aż Amerykanie zdecydują się w końcu (ależ byli oporni, ależ się wahali, a potem pierwsi wypinali pierś) przystąpić do wojny. Chodziło

o to, by jak największa liczba ludzi była wciąż zajęta kłopotliwymi albo na pozór niebezpiecznymi drobiazgami. Ilekroć naziści musieli przydzielić żołnierza albo gestapowca do jakiegoś niespodziewanego lub niezwiązanego z samą wojną zadania, nam to pomagało i dobrze na tym wychodziliśmy, a przynajmniej takie mieliśmy uczucie: przed grudniem czterdziestego pierwszego roku, po dwóch z okładem latach samotnej obrony, było to uczucie pełne desperacji. Ten Jefferys przyjeżdżał, instalował się na tydzień, wydawał mnóstwo poleceń, tryskał frenetyczną wręcz energią i podpuszczał ludzi, żeby tak samo jak on wymyślali sztuczki i chwytaki, byle spowodować jak największe szkody. Był typem nadaktywnego, rozgorączkowanego i zaraźliwego entuzjasty, bardzo dodawał ducha, bo do wszystkiego podchodził tak, jakby to było naprawdę ważne. Jego zdaniem każdy najdrobniejszy kuksaniec albo podstawienie nogi mogło nam pomóc. Jeżeli na przykład w jakimś niemieckim mieście albo w mieście okupowanej Europy dochodziło do morderstw albo ciągłych włamań do domów, jeżeli w budynkach i hotelach wybuchały pożary albo ogłaszano stan epidemii, choćby tylko grypy, albo jeżeli szwankowały dostawy, wszystko jedno – prądu, gazu, węgla czy wody, albo jeżeli brakowało lekarstw w szpitalach bądź psuła się żywność, to wszystko mogło nam pomóc. Nagromadzenie trudności i nieszczęść, przestępstw tworzy nastrój niepewności, nieufności i trwogi, a konieczność zajmowania się wieloma sprawami naraz wykańcza i irytuje najmocniej. Im bardziej Niemcy byli wytrąceni z równowagi, im bardziej zajęci różnymi pobocznymi sprawami, tym większe mieliśmy szanse na zadanie im ciosu w sprawach zasadniczych.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że dokonywano zwyczajnych morderstw, które wcale takie zwyczajne nie były? Chyba nie chce pan powiedzieć, że planowaliście i popełniali morderstwa na wybranych na chybił trafił cywilach?

Wheeler wykonał dwuznaczny gest otwartą dłońią na wysokości skroni, jakby unosił z boku rondo wymagowanego kapelusza.

– Nie, nie sędzę. Mimo że Sefton Delmer był bon vivantem i nieprzejmującym się zanadto pragmatykiem, człowiekiem bez specjalnych skrupułów, gdy chodziło o techniki dywersyjne stosowane w celu osłabienia i zniszczenia wroga – podobno w trakcie tych wszystkich operacji spokojnie jadał, pił i nie tracił dobrego humoru – to zachował jakieś resztki sumienia. Tak mówią. Według słów Hemingwaya, którego los zetknął z nim w Madrycie podczas waszej wojny, obaj byli na niej korespondentami, przypominał „różowiotkiego biskupa anglikańskiego”. – Powiedział „*a ruddy English bishop*” i ten pierwszy przymiotnik może również oznaczać „czerwonawego”. – Inni dostrzegali jego podobieństwo do Henryka Ósmego, bo był wielki na granicy opasłości, z wyłupiastymi oczyma i rumianą cerą. – Tu użył słowa „*florid*”. – A ponieważ w czasie wojny było trudno o żyletki, zapuścił sobie brodę. Jefferys faktycznie opowiadał się za prowokowaniem i wykonywaniem niepolitycznych morderstw, dziś to by się określiło mianem terroryzmu. Jestem pewien, że w tym względzie nie poszli za jego radą, a poza tym ludzie z SOE i ich lokalni współpracownicy w każdym kraju mieli dostatecznie dużo własnych zadań, głównie wojskowych. Większość jego euforycznych pomysłów dotyczących aktów sabotażu albo torpedowania niemieckich działań była zazwyczaj dobrze przyjmowana. Jeden poddała mu Valerie. Tak, Valerie przyszedł do głowy jeden taki pomysł. – Ton głosu Wheelera, gdy mówił te dwa ostatnie zdania, stawał się coraz bardziej ponury. Pociągnął kolejne dwa łyki sherry, znowu położył laskę poprzecznie na bocznych oparciach fotela, chwycił ją mocno jedną ręką, jakby chodziło o drążek, którego się trzymał, i mówił dalej bez wahania: skoro raz postanowił to opowiedzieć, opowie do końca. – W tamtych czasach wszyscy chcieli pomagać, Jacobo. Wprost trudno uwierzyć, jak kraj się zjednoczył, najpierw żeby wytrwać,

potem żeby pokonać nazistów. My, którzy przeżyliśmy tamte czasy, przyjęliśmy z żenadą wydarzenia za rządów Thatcher, całą tę żalospną wojnę falklandzką, kiedy ludzie robili z siebie wielkich chojraków i aż drżeli z podniecenia, to było oszustwo, farsa, nieudolne, groteskowe naśladownictwo tamtej wojny. W czasach prawdziwej wojny nie było chojractwa ani wodewilowego patriotyzmu. – Wheeler wymówił to z francuska, „*vaudeville*”, mój ojciec też by tak zrobił. – Ludzie stawiali opór i nie oczekiwali nagród ani się niczym nie przechwalali. Każdy robił co w jego mocy i poza nielicznymi wyjątkami nikt nie wypinał piersi do orderu. To były czasy prawdy, nie pozerstwa, nie jakiejś szopki. Jefferys dopingował, działał jak ostroga podczas swoich pobytów w Woburn, to znaczy w Milton Bryant. I Valerie pragnęła pomóc, jak umiała, naprawdę się do czegoś przydać. Ciężko pracowała. No tak. Siostra jej austriackiej przyjaciółki, ta starsza od nich obu o dziesięć lat, na imię jej było Ilse, miała narzeczonego już w czasach, gdy Valerie jeździła na wakacje do Melku do tej rodziny Mauthnerów, i tam kilkakrotnie się spotkali przy jakiejś okazji. Ten narzeczony już wtedy był zdeklarowanym nazistą, mówię tu o czasie między rokiem dwudziestym dziewiątym albo trzydziestym a trzydziestym czwartym lub trzydziestym piątym, czyli rokiem, kiedy Valerie przestała tam jeździć, a jej przyjaciółka rewizytować ją na Boże Narodzenie, miała wtedy czternaście albo piętnaście lat. Starsza siostra i jej narzeczony pobrali się w trzydziestym drugim albo trzecim roku i przenieśli się do Niemiec, a młodsza siostra, Maria, z którą Valerie korespondowała w ciągu całego roku – przerwały tę korespondencję krótko przed wojną – napisała jej, że rodzina bardzo zmartwiła się tym spodziewanym zresztą małżeństwem. Mauthnerowie liczyli w skrytości ducha, że nigdy do niego nie dojdzie, że Ilse zerwie z narzeczonym, jak często się zdarza w związkach rozpoczętych bardzo młodo. Ten mężczyzna o nazwisku Rendl...

Tu nie mogłem się powstrzymać i wtrąciłem:

– Rendel? R, e, n, d, e, l? – przeliterowałem od razu.

– Nie. W Austrii pisało się to nazwisko bez drugiego „e” – odparł. – Ale tak, znany ci Rendel, ten, którego ma u siebie Tupra, jest ich wnukiem, znaczy tej starszej siostry i jej męża. Nigdy go nie poznałem, a jego ojca znałem tylko o tyle, o ile. Ojcu, czyli synowi Ilse, pomogłem finansowo i swego czasu w ściągnięciu go do Anglii, kiedy był jeszcze dzieckiem; potem wolałem nie utrzymywać z nim kontaktu. Ale to już inna opowieść. No i nie wybiegajmy do przodu. Ten mąż, Rendl – wiedziała to rodzina jego żony – miał babkę Żydówkę zmarłą, zanim przyszedł na świat, był zatem „ćwierć-Żydem”, czyli *mischlinge* drugiego stopnia. Jak już wcześniej mówiłem, na ogół nic złego takich ludzi nie spotykało, uważano ich za Niemców i asymilowano, jakkolwiek teoretycznie nie mogli ubiegać się o różne ważne stanowiska. Jednakże ta ćwiartka żydostwa martwiła całą rodzinę Mauthnerów, ojca, matkę i pozostałe siostry. Nie dlatego, że byli nazistami – jak się wydaje, byli apolityczni, to znaczy bierni i dopiero w dłuższej perspektywie ulegli nazistowskiej indoktrynacji; oni po prostu bali się najlżejszego „skażenia”, to była dość powszechna obawa w tamtych czasach. Pamiętaj, że ustawy norymberskie, choć przyjęte w trzydziestym piątym roku, usankcjonowały tylko różne represje kierowane przeciwko Żydom już wcześniej (od bardzo dawna) i zalegalizowały istniejącą sytuację, to znaczy ogromną społeczną niechęć do Żydów oraz ich dyskryminację. Mimo wszystko Rendl mógłby prowadzić mniej więcej spokojne życie, gdyby nie był takim zapalonym nazistą. Chciał wstąpić do SS i wkrótce po ślubie to mu się udało. Najpierw musiał jednak pozbyć się swojej żydowskiej babki, wyobrażam sobie, że postępując tak jak wielu innych, czyli dając wysoką łapówkę lokalnym urzędnikom w miejscu, gdzie się urodziła. Na skutek owego zatajenia albo fałszerstwa, albo oszustwa „skaza” stała się pilnie strzeżonym sekretem i tak też zakomunikowano



wszystkim córkom Mauthnerów zaraz po „wyczyszczeniu” archiwów. Ale w przypadku jednej z nich było za późno.

– Bo już zdążyła powiedzieć to Valerie, to znaczy pańskiej żonie. – Tym razem od razu się poprawiłem.

Wheeler zauważył tę poprawkę. Nadal mało rzeczy umykało jego uwadze.

– W porządku, możesz nazywać ją Valerie. W owym czasie nie była jeszcze moją żoną. Nazywała się wtedy Valerie Harwood i z pewnością nie potrafiła sobie wyobrazić wielu rzeczy, które miały nadejść. Nie mogła sobie wyobrazić, że kiedyś mnie spotka, wtedy jeszcze się nie znaliśmy. Tak, Maria Mauthner opowiedziała to swojej przyjaciółce, która kilka lat później miała stać się jej wrogiem. Nie osobistym, rzecz jasna, lecz... jak najlepiej to nazwać? Narodowym, politycznym, patriotycznym? Nie wiem, jakiego rodzaju wrogiem jest się na wojnie. Nienawidzisz ludzi całkowicie sobie nieznanych i starych przyjaciół, nienawidzisz całościowo, jeden cały kraj albo nawet kilka naraz. Jak się nad tym zastanowić, to bardzo dziwne. Nie ma to najmniejszego sensu i jest wielkim marnotrawstwem. Maria nie tylko zdążyła już o tym wspomnieć, lecz pisała na ten temat w listach przez następne lata. Były zaprzyjaźnione od dziecka, miały do siebie zaufanie, rozmawiały otwarcie, mówiły sobie nawzajem, co u nich słyhać. Valerie dowiedziała się, że Ilse ma ze swoim mężem troje dzieci, chłopca i dwie dziewczynki, pierworodnego chłopca sama zdążyła zobaczyć podczas ostatniego swego pobytu w Melku w trzydziestym czwartym albo piątym roku, był wtedy niemowlęciem. Wiedziała też, że Rendl, który, ilekroć spotykała go wcześniej podczas letnich pobytów, zawsze robił na niej wrażenie idioty, błyskawicznie awansował w SS; a w trzydziestym dziewiątym roku, kiedy dziewczyny przestały do siebie pisać, wiedziała, że dosłużył się już stopnia majora albo co najmniej kapitana w jakiejś dywizji kawalerii SS. A skoro już o tym mowa, to jedna z tych dywizji, konkretnie

trzydziesta trzecia, zyskała smutną sławę (z naszego punktu widzenia radosną) rozbita w proch w bitwie o Budapeszt w czterdziestym piątym roku. To zresztą bez znaczenia, bo wtedy Rendl nie służył już ani w kawalerii, ani w SS, był w obozie koncentracyjnym, w masowym grobie albo spalony.

– Co się stało? – zapytałem, żeby nie odszedł od głównego tematu, wspominając wydarzenia z wojny.

Wheeler dopił swoją sherry i wyraził wahanie, czy powinien wypić jeszcze jedną. Zachęciłem go, wstałem, żeby mu nalać, spojrział tam, gdzie wcześniej pojawiała się i znikła pani Berry, i wtedy usłyszeliśmy ją, jak zaczyna grać na fortepianie piętro wyżej, w pustym pokoju, tam gdzie można było tylko zasiąść do fortepianu: możliwe, że ćwiczyła zazwyczaj o tej porze, zawsze przed obiadem, przynajmniej w niedziele wygnane z nieskończoności. Wheeler wskazał palcem na sufit, a potem na butelkę.

– Już się domyślasz, Jacobo, prawda? Stało się to, co myślisz. Valerie powiedziała mi, że targały nią wątpliwości i żałowała, że nie może zasięgnąć mojej opinii. Ale ja byłem daleko, niemal zawsze daleko, nasze kontakty były utrudnione i krótkie, szkoda nam było czasu na rozmowy o zmartwieniach. Kiedy powiedziała o tym Jefferysowi, od trzech albo czterech lat nie pisały już do siebie z Marią, nie wiedziała nawet, czy Maria żyje. Poza tym przeszłość blaknie, traci intensywność, a dziecięce przyjaźnie zamazują się najszybciej, głównie dlatego, że dzieci dorastają i zmieniają się, uwalniają się od swego dzieciństwa i wyrzekają się go aż do chwili, gdy staje się bardzo odległe, dopiero wtedy za nim tęsknią. Jefferys apelował do pomysłowości i do staromodnego, nie wyrażanego wprost niewiarygodnego heroizmu swoich czarnych graczy, tych, którzy wiedzieli, co naprawdę robią, i tych, którzy uważali, że są białymi graczami – rzecz jasna Wheeler użył wyrażenia „*black gamblers*” – mówił im tak: „Niczego nie zachowujcie dla siebie, choćby wam się wydawało, że to drobiazg,

głupstwo, opowiedzcie nam o tym: to może okazać się istotne, pomóc ocalić angielskie życie i wygrać wojnę”. Chciał bezustannej aktywności, inicjatyw, intryg, projektów i wciąż nowych pomysłów, i Valerie dała mu swój pomysł albo on go stworzył z tego, co od niej usłyszał: „Hartmut Rendl, oficer SS w stopniu majora albo co najmniej kapitana, jeżeli w ostatnich latach nie awansował, jest *mischlinge* ze strony swojej babki Żydówki, a ponadto zniszczył albo sfalszował dokumenty, żeby nigdzie nie było o tym wzmianki i żeby mógł wstąpić do SS, najczystszej rasowo instytucji Rzeszy i głównego inicjatora bestialskich czynów”. Rendl był członkiem SS, przestępcą i głupcem, nie należało mieć wątpliwości ani skrupułów. Nietrudno wyobrazić sobie, w jaką ekscytację wprowadziła ta wiadomość Jefferysa, a i samego Delmera. Wprost nie mogli się doczekać, żeby wprowadzić w ruch całą maszynę: nie tylko zadbali o to, żeby informacja o Rendlu dotarła do uszu dowództwa SS i w miarę możliwości do samego szefa SS, wybuchowego i chętnego do czystek Himmlera, lecz dostrzegli w niej pomysł na nowy rodzaj czarnej propagandy. Zaczęto tak fałszować akty urodzenia i strony w rejestrach urzędu stanu cywilnego, żeby wskazywały na żydowskie, półżydowskie albo ćwierćżydowskie pochodzenie wysokich rangą wojskowych, ludzi sprawujących ważne funkcje rządowe, a nawet tuzów partii nazistowskiej. Nie za wielu, rzecz jasna, nie chcieli przesadzić z tą „plagą”, oczekiwali jakiś czas między kolejnymi oskarżeniami, wypuszczali tylko kilka fałszywek naraz, tylko te najbardziej wiarygodne i najlepiej udokumentowane. Robota nie była wcale łatwa, ale ludzie z PWE byli mistrzami fałszywek: dzięki jakiemuś kolekcjonerowi mieli niemieckie czcionki i formy (albo matryce czy jak to się nazywa, nie znam się zanadto na drukarstwie) tego, co się nazywało *fraktur*, czyli pisma gotyckiego, używane od siedemnastego do dwudziestego wieku. I nawet jeżeli wcześniej czy później fałszerstwa wychodziły na jaw (choć nie wszystkie), to dopóki naziści prowadzili

swoje dochodzenia i sprawdzali każdy z tych nagle podejrzanych dokumentów... no cóż, warto było zmuszać ich do zajmowania się podobnymi głupotami, które nie miały nic wspólnego z wojną, kazać im tracić czas na grzebanie w starych archiwach miejskich i parafialnych (w dziewiętnastym wieku wielu niemieckich i austriackich Żydów przeszło na chrześcijaństwo, szczególnie na katolicyzm) i wzbudzać nieufność do swoich, mówiłem już, że dla Delmera jednym z priorytetów było sianie niezgody między Niemcami. A cóż dopiero, kiedy fałszywka spełniała swoją rolę i powodowała degradację albo wypadnięcie z łask jakiegoś pułkownika, generała, admirała czy dygnitarza partyjnego! To nam oszczędzało pracy, szerzyło panikę i obniżało morale w ich szeregach. Teraz to może się wydawać idiotyczne, ale dla nich prawdziwym ciosem była wtedy myśl, że Żydzi przeniknęli do ich najbardziej doborowych jednostek, że Wehrmacht jest pełen „szcurów” i że nikt, nawet najbardziej lojalny i zasłużony, nie może się czuć bezpieczny i wolny od takiego „sprawdzania”. To było dosyć brudne zagranie. Oczywiście było „czarne” pod wieloma względami, przecież zrobiono użytek z najbardziej okrutnego i odrażającego aspektu Rzeszy i wykorzystując go, powodowano w istocie prześladowanie kolejnych Żydów, prawdziwych i wymyślonych. Jakkolwiek chodziło tu o dość szczególnych ludzi, niewiele mających wspólnego z przeciętnymi Żydami, nie o niewinne ofiary: przede wszystkim to byli zdeklarowani aktywni naziści, którzy albo walczyli z nami, albo polowali na „pełnych Żydów”, albo robili jedno i drugie, więc nikt w Milton Bryant nie przejmował się szczególnie, że ta taktyka oparta na fałszywych oskarżeniach albo co gorsza na faktach, jak w przypadku Rendla, może być niegodziwa. Nikt z tego powodu nie miał kłopotów ze snem. Mimo to Delmer, o ile dobrze pamiętam, wolał nie wspomnieć o tym w swojej autobiografii. Mnie też nie odbierało to snu po wielu innych rzeczach, które musiałem zrobić i zrobiłem, również nie cierpiałem na

bezsenność. Naprawdę nie mogłem spać po tym, co kilka razy widziałem, ale to co innego, łatwiej uporać się z czymś, co zrobiło się samemu. – Przerwał na chwilę, jakby przechodził do nowego akapitu albo otwierał długi nawias, i odwrócił wzrok, spoglądając w dal, ku rzece. – Tylko raz nie wykonałem rozkazu, podczas rejsu statkiem z Kolombo do Singapuru. Byłem już wtedy podpułkownikiem. Wiozłem indyjskiego agenta początkowo zwerbowanego przez Japończyków, który potem, zagrożony natychmiastową egzekucją, zaczął pracować dla nas jako podwójny agent. Wcześniej sam go przesłuchałem i przeszkoliłem w Kolombo. Wojna zbliżała się już ku końcowi i powiedziano mi, że podczas tej podróży mam się go pozbyć, już nie był nam potrzebny. – Powiedział: „*To dispose of him*” i chyba dobrze go zrozumiałem w tym kontekście. – Zasugerowano mi, żebym znalazł mu mokry grób. – Tu użył wyrażenia „*a watery grave*”, „wodny grób”, to już nie pozostawiało żadnych wątpliwości. – Zaszyfrowane imię tego człowieka brzmiało „Carbuncle”, musiał się spodziewać, jestem pewien, że to go właśnie spotka podczas tego rejsu. Możliwe, że to jego przekonanie i wyraźna zgoda na swój los sprawiły, że nie mogłem wybrać odpowiedniej chwili. Grał z Japończykami i z nami jak wszyscy podwójni agenci, ale koniec końców to dzięki jego kłamstwu przechwyciliśmy i zatopili japoński krążownik Haguro koło Penangu w maju czterdziestego piątego. Był główną siłą sprawczą tamtej pułapki. Nie wiem do końca, dlaczego tego nie zrobiłem, dlaczego nie wykonałem rozkazu. Właściwie nie widziałem przyczyny, dla której należało go usunąć, a poza tym w służbach specjalnych pracowało też wielu idiotów. Skoro nam nie był już potrzebny, to Japończykom tym bardziej: gdyby dostali go w swoje ręce, załatwiliby go od razu, wrzucili do wilgotnego lub suchego grobu albo zostawiliby trupa na pożarcie świniom. Wiedziałem, co robili na Andamanach: barki załadowane rdzenną ludnością wysp i ostrzeliwane z garnizonu, takie strzelanie do celu, kiedy barki znalazły się już daleko od

brzegu, na głębokiej wodzie; odcinanie głów, straszliwe gwałty, oderwane piersi, nie odcięte maczetą ani mieczem, lecz uderzeniami pięści, cały sznur żołnierzy, jeden za drugim, walących z całej siły na rozkaz dowódcy, którego potworne zbrodnie popełniane przez lata podczas długiej japońskiej okupacji przyszło mi badać po wyzwoleniu wysp. Miałem dosyć... Dzisiaj mówi się, można to też przeczytać, że przemoc uzależnia, że jak już raz jej użyjesz albo będziesz jej świadkiem, to potem nie robi na tobie takiego wrażenia, człowiek do niej przywyka. Moje doświadczenie mówi, że to nieprawda, bajeczka serwowana głupcom przez głupców. Można znieść pewną dawkę przemocy, możliwe, że większą, niż człowiek sobie wyobraża, ale w końcu nie tyle czujesz się nią zmęczony, ile ta przemoc cię wyniszcza i dewastuje... I wciąż do ciebie wraca, i nie można jej zapomnieć... Gdy dopłynęliśmy do Singapuru, zszedłem na ląd z Carbuncle'em przykutym do mnie kajdankami, ręka w rękę, co jest zresztą potwornie niewygodne. Próbowaleś kiedyś? Spojrzałem na niego z ukosa z mojej wysokości, był ode mnie sporo niższy. Wyglądał na autentycznie zdumionego, że dotarł do celu, że znowu stoi na lądzie. Wtedy wyjąłem kluczyk, rozpiąłem kajdanki – on przyglądał mi się kompletnie oszołomiony – i powiedziałem: „Spadaj w cholere”. – Peter naprawdę powiedział „*Fuck off!*”, co jest odrobinę bardziej wulgarne. – Wziął nogi za pas i zaraz zniknął w portowym tłumie. Tak, naprawdę miałem już dosyć... A to jeszcze nie był koniec...

Zamilkł, spoglądając w stronę spokojnej rzeki – zdążyłem się z nią zaznajomić wiele lat wcześniej w domu jego brata, Toby’ego Rylandsa – jakby widział tam swego więźnia Carbuncle’a, jak znika w tłumie ludzi na dalekim molu. Niejeden raz widywałem już takie spojrzenie u mego ojca, widziałem je także u samego Wheelera, gdy szedł powolnym krokiem za panią Berry i za mną ku podnózu schodów, by spojrzeć w stronę miejsca wskazywanego przeze mnie na podeście pierwszego piętra, gdzie wcześniej, po samotnym wertowaniu książek podczas owej rozgorączkowanej nocy spędzonej w jego domu, natknąłem się na plamę krwi: oczy szeroko otwarte, nadające twarzy jakiś spreczny wyraz, niemal jak u dziecka, które odkrywa albo widzi coś po raz pierwszy, coś, co nie budzi w nim strachu, wstrętu ani go nie pociąga, lecz wywołuje jakiś wstrząs albo intuicyjny przeblýsk wiedzy, albo jakiś rodzaj urzeczenia.

Wheeler pociągnął teraz duży łyk wody prawie bezwiednie, nic dziwnego, że chciało mu się pić, mówił już od dłuższej chwili i na koniec popadł w tę swoją dziwną gadatliwą introspekcję. Właściwie cały czas, poza jedną chwilą, bałem się, że zechce przestać, czy to ze zmęczenia, czy to w wyniku jakiegoś dłuższego ataku afazji albo pożałowawszy nagle, że tak dużo mi opowiada. Nigdy wcześniej tyle mi nie mówił o swoim dawnym życiu, właściwie prawie nic mi o nim nie opowiadał. Dlaczego robi to teraz? pomyślałem. Przecież nadmiernie nie nalegałem, nie prosiłem o to, nie podlizywałem mu się, żeby to zrobił. Nie mam zwyczaju niczego wyciągać na siłę. Powinienem go o to zapytać, zanim się rozstaniemy, jeśli tylko nadarzy się sposobność. Jego opowieści ogromnie mnie ciekawiły, jednakże pozwalając, by zapuszczał się do Azji Południowo-Wschodniej swoich misji specjalnych, ryzykowałem, że nigdy stamtąd nie wróci albo że

wróci zbyt późno, gdy pani Berry już nas zawoła na obiad, jak matka woła dzieci. Oczywiście nie uważałem, że w jej obecności Wheeler nie zechce dalej mówić albo że ma przed nią wiele tajemnic, w każdym razie nie była to tajemnica śmierci Valerie, a ten temat interesował mnie w owej chwili najbardziej, może dlatego, że nie tak dawno widziałem się z moją żoną i wyczułem, że jest w niebezpieczeństwie; lecz należy obchodzić się ostrożnie z opowieściami, bywa, że nie tolerują świadków, nawet jeśli to niemi świadkowie, i gdy takowi się pojawiają, opowieści ulegają zawieszeniu. Fortepian pani Berry rozbrzmiewał nadal, znowu grała dosyć wesołą muzykę, odniosłem wrażenie, że tym razem to utwory włoskiego kompozytora Clementiego, przez długi czas również mieszkańca Londynu, jeszcze jednego wygnańca, coś z jego popularnych ćwiczeń na fortepian „Gradus ad Parnassum”, a może jakaś sonata; był jeszcze jednym muzykiem usuniętym w cień przez Mozarta, który – nie będąc chyba nigdy dobrym kolegą – określił jego umiejętności jako czysto mechaniczne i tym ostatecznie go pogrążył pewnie dlatego, że Clementi ośmielił się stanąć z nim do mistrzowskiego pojedynku w Wiedniu w obliczu cesarza, obaj byli wirtuozami fortepianu.

– Co spotkało Rendla? – Postanowiłem sprowadzić Petera tam, gdzie był wcześniej. Nie ośmieliłem się jednak skierować go bezpośrednio do Valerie. Nalegając lub nie, i tak wciąż jeszcze mogłem tę opowieść stracić.

– A tak, przepraszam. Dlatego właśnie nie lubię już opowiadać historii, a już na pewno nie w moim aktualnym stanie. Często oddalam się od głównego tematu, czyli jak to mówicie po hiszpańsku, *voy por las ramas*, skaczę po gałęziach, a nie wiem, czy one kogoś obchodzą. Byłoby idealnie, gdyby obchodziły, prawda? Gdyby były równie ciekawe jak korzenie i pień.

– Są ogromnie ciekawe, Peter. Ta poboczna historia o Carbuncle’u... nie znałem jej oczywiście. Interesuje mnie jednak, co przytrafiło się Rendlowi.



– Nikt tej historii wcześniej nie słyszał. Aż do dzisiaj – odparł i z tonu, jakim to powiedział, wywnioskowałem, że chce nadać temu faktowi odpowiednie znaczenie. – Nawet pani Berry, nawet Toby. Nawet Tupra, który jest taki wścibski, gdy chodzi o przeszłość. Chyba ci już kiedyś wspomniałem, że teoretycznie nie jestem jeszcze upoważniony do mówienia, na czym polegały moje „misje specjalne” między trzydziestym szóstym a czterdziestym szóstym rokiem, a i niektóre późniejsze także. Stosowałem się do tego. Aż do dzisiaj. Jasne, że w moim przypadku mówić „jeszcze nie” w stosunku do czegokolwiek brzmi jak ironia i jak coś w złym guście, bo zezwolenie na to, by mówić, nadejdzie za późno. Co się tyczy Carbuncle’a, jest dodatkowy powód, bym o tej sprawie nie wspominał, ponieważ moi przełożeni nigdy się nie dowiedzieli, że pozwoliłem mu odejść. Raczej nie spotkałoby mnie nic strasznego za niewypełnienie tamtego rozkazu, nie byliśmy jak Niemcy czy Rosjanie, poza tym nikogo nie naraziłem na niebezpieczeństwo. Jednakże wolałem im zameldować, że podczas rejsu urządziłem tamtemu mokry pochówek zgodnie z przekazaną mi sugestią. Koniec końców człowiek ten zamierzał zniknąć i przepaść jak kamień w wodę, tak jakby leżał na dnie cieśniny Malakka z jakimś absurdalnym workiem golfowym przywiązany do szyi, naprawdę kazałem mu dźwigać ten worek podczas całej podróży i pozwoliłem go sobie ukraść już w samym porcie. (Tak, nie wątpię, że było sporo idiotów w służbach specjalnych, to oni mi wepchnęli te kije golfowe). Po tym jak wystawił nam Japończyków, on sam był najbardziej zainteresowany tym, żeby uznano go za zmarłego, i nie było najmniejszego ryzyka, że zechce pokazać się na oczy jakiemuś Brytyjczykowi, *ni en pintura*. – Użył tu znowu hiszpańskiego wyrażenia, czyli dosłownie „nawet w formie malunku”, by powiedzieć, że pod żadnym pozorem, w żadnym razie, pewnie dlatego po nie sięgnął, że po angielsku nie ma ono dokładnego odpowiednika równie obrazowego. Wcześniej też posłużył się językiem hiszpańskim, mówiąc

„por las ramas”, i rozwinął tę metaforę już po angielsku, często używaliśmy obu języków w naszych rozmowach, kiedyś robiłem podobnie z Cromerem-Blakiem w moich oksfordzkich czasach. – A co do Rendla, to cóż: nie dość, że we wszystko można uwierzyć we właściwym czasie, to dodatkowo mieliśmy tego pecha, że w jego przypadku oskarżenie nie było fałszywe i że nie służył w regularnej niemieckiej armii, znaczy w Wehrmachcie, gdzie sprawa zakończyłaby się najwyżej upomnieniem, aresztem, degradacją albo wszystkimi trzema rzeczami naraz. Albo gdyby był szychą partyjną: wtedy jego oszustwo, przy odrobinie szczęścia i odpowiednio wpływowych przyjaciółach, mogłoby ujść mu na sucho. – Zauważyłem, że użył wcześniej pierwszej osoby liczby mnogiej, „mieliśmy pecha”. – Mówiono, że w SS wymagano jednak od członków zaświadczenia o czystej „niemieckiej” krwi sięgającego tysiąc siedemset pięćdziesiątego roku, wymagano go przynajmniej teoretycznie i na początku. Himmler musiał zdać sobie sprawę, że większość kandydatów nie potrafi prześledzić swego pochodzenia tak daleko wstecz i że liczebność jego formacji może szybko stopnieć, gdy zaczęła ponosić straty w ludziach. Począwszy więc od czterdziestego roku szeregi SS były zasilane w znacznej mierze przez ochotników z krajów uznawanych za „germańskie”, szczególnie Waffen-SS, sekcja zbrojna, bojowa, której szeregi wypełnili Holendrzy, Flamandowie, Norwedzy i Duńczycy. A później, już bliżej końca wojny, przyjmowano także ochotników „niegermańskich”: Francuzów, Włochów, Walonów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Estończyków, a także Węgrów, Chorwatów, Serbów, Słoweńców, nawet Albańczyków. Był nawet jakiś legion indyjski oraz dywizje muzułmańskie, przypominam sobie dwie: Skanderbeg i Kama (była też jakaś trzecia, teraz nie pamiętam jej nazwy), widzisz, czym się skończyła ta ich aryjska czystość. A nawet jakiś maleńki British Free Corps, używali go głównie do celów propagandowych. Jednakże ta początkowa kategoryczność lat

dwudziestych i trzydziestych może ci uświadomić, że było absolutnie nie do przyjęcia, by zasłużony już oficer był potomkiem Żydówki w nie tak dalekiej linii, bo Żydówką była jego babka, i by w tej sprawie kłamał i niszczył dokumenty, starając się ten fakt ukryć i „zanieczyszczając” formację. Przed końcem wojny nie wiedzieliśmy dokładnie, jakie konsekwencje spotkały Rendla po zdemaskowaniu go przez nas, aczkolwiek donos musiał być skuteczny, ponieważ nazwisko Rendla znikło z list oficerów, takie listy wpadały co jakiś czas w ręce MI6 albo PWE. Jefferys albo Delmer, albo jego Niemcy zajmowali się tym, żeby oskarżenia dotarły poprzez naszych ludzi do władz nazistowskich, a samo śledztwo przeprowadzały już te władze, jak przypuszczam. Było względnie łatwo rozpuścić oskarżenia, szczególnie w krajach pod okupacją, gdzie mieliśmy miejscowych współpracowników. Ale już nie tak łatwo było dostać potem informację zwrotną, czy oskarżenia padły na podatny grunt i jaki los spotkał dotknięte nimi osoby, które fałszywki uznano za autentyki, a które nie. Chyba że udało się ustalić, kto z tych fałszywych „Żydów” albo „pół-Żydów” nadal pełnił swoje funkcje, nie został odwołany, zdegradowany ani nic w tym rodzaju. W przypadku Rendla dowiedzieliśmy się, że przestał być majorem albo kapitanem czy jaki tam miał wtedy stopień, mimo że nie podano informacji o jego śmierci, nie został też uznany za zmarłego w akcji ani na tyłach. Nie figurował na listach.

– I to uradowało Valerie? To znaczy, czy to ją zadowoliło? – zapytałem. Dostrzegłem tu okazję, żeby przypomnieć mu o interesującej mnie osobie. Była to jednak czysta naiwność z mojej strony, bo Valerie interesowała też najbardziej Wheelera, ani przez chwilę o niej nie zapomniał. On nigdy tak naprawdę nie stracił wątku w mojej obecności.

Uniósł rękę do czoła – a może przegub do skroni – jakby nagle rozboleła go głowa albo jakby sprawdzał, czy nie ma gorączki, a może był to gest udręki. W każdym razie tak samo jak wtedy, tamtej innej, odległej już

niedzieli w jego ogrodzie nad rzeką, gdy w końcu otworzył oczy i odsłonił uszy po chimerycznych przelotach helikoptera, który hałasował jak gigantyczna kołatka albo jak stary sikorski H-5, na dźwięk jego warkotu ludzie wpadali w panikę, obaj siedzieliśmy wówczas w fotelach przykrytych brezentowymi pokrowcami w kolorze jasnego beżu, w fotelach przypominających mamuty albo uwiązane na postronku zjawy, a ja nie należałem jeszcze do grupy i on mnie skaptował, i zaproponował mi, żebym się przyłączył i stał się jej częścią. Chwilę trwało, nim odpowiedział, i już się przestraszyłem, że znowu zaciął się na jakimś słowie. Ale tak nie było, po prostu – pomyślałem o tym trochę później – wolał może nie odsłaniać przede mną całej twarzy, gdy będzie mi opowiadał to, czego jeszcze nie opowiedział nikomu, albo chciał mieć ramię bądź przegub ręki tuż obok oczu, żeby w jednej sekundzie móc je zasłonić, co swego czasu i mnie wielokrotnie kusiło – i zrobiłem to nie raz i nie dwa, jeśli pamięć mnie nie myli – podczas oglądania nagrań u Tupry. Jakby chciał być gotowy do ukrycia się albo do schowania głowy pod skrzydło.

– Zadowolilo ją – powtórzył. – Tak, można tak powiedzieć, jak sądzę. Pomysł wyszedł od niej, to był jej pierwszy osobisty, indywidualny, wyróżniający się wkład w przebieg wojny lub w działania zmierzające do zwycięstwa. Jefferys pogratulował jej podczas którejś ze swych kolejnych wizyt. Już ci mówiłem, przyjeżdżał na tydzień, rzucał garść pomysłów i wyjeżdżał, i nie było go z miesiąc albo i dłużej. Od tamtych czasów nigdy więcej o nim nie słyszałem ani nie widziałem jego nazwiska w żadnej książce, dlatego jestem przekonany, że używał pseudonimu. Sefton Delmer o nim nie wspomina, kto wie, kim był naprawdę. Lecz w Valerie zostało także uczucie niezadowolenia, piekącego bólu. Zadawała sobie pytanie, co się stało z Ilse, żoną Rendla, zastanawiała się czasem, w jakiej ona się znalazła sytuacji po krachu kariery jej męża. On był naszym wrogiem, i to nie byle jakim, nie jakimś nieszczęsnym rekrutem, lecz nazistą

z przekonania, z własnej woli wstąpił do SS. Poza tym był kompletnym idiotą; ale był też szwagrem jej starej przyjaciółki, mężem starszej siostry, która zawsze miała dla niej serdeczne uczucia i cierpliwość. Na wojnie jednak nie było czasu na wątpliwości ani na wyrzuty sumienia. Dlatego niektórzy wspominają czas wojen jako najbardziej witalny w całym swoim życiu, najbardziej euforyczny, później nawet tęsknią za nim na swój sposób. Wojna to coś najgorszego, ale na wojnie żyje się z nieznaną kiedy indziej intensywnością, dobre jest w niej to, że nie pozwala ludziom martwić się głupstwami ani się podłamywać czy zadreć tych, którzy są wokół. Po prostu nie ma na to czasu, przechodzi się bezustannie z jednego stanu w drugi, od trwogi do strachu, od przerażenia do wybuchu radości, i każdy dzień jest tym ostatnim, mało tego, jest tym jedynym. Maszeruje się, jest się ramię przy ramieniu, wszyscy zajęci są tym, by przeżyć, pokonać bestię, uratować siebie i innych, i dopóki nie wybuchnie panika, jest między ludźmi wielkie poczucie koleżeństwa. U nas panika nie wybuchła. Na waszej wojnie było tak samo, na pewno słyszałeś, jak mówili o tym twój ojciec i inni.

– Tak, słyszałem, jak o tym opowiadano. Nie tyle mój ojciec, który był już dorosłym, mimo że wciąż młodym człowiekiem, kiedy się zaczęła, ile ludzie, którzy byli wtedy dziećmi. Wyobrażam sobie, że za takimi czasami można tęsknić tylko wówczas, gdy wychodzi się z nich zwycięsko, niech pan o tym nie zapomina, Peter. Dla mego ojca to nie mogło być tym samym co dla pana.

– Tak, w tej kwestii masz rację. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak by to było, gdybyśmy przegrali, pewnie wtedy zapamiętałbym tylko grozę. Albo zrobiłbym wszystko, żeby zapomnieć, może by mi się udało z wielkim wysiłkiem. Trudno to sobie wyobrazić. Nie wiem, nie mogę tego wiedzieć.

– I Wheeler odsunął ramię z czoła, przyłożył dłoń do policzka i popadł

w zadumę, jakby nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, by się nad tym zastanowić.

– I co się stało? Co jeszcze? – Tak zawsze naciskał mnie Tupra podczas naszych wspólnych sesji, „Co jeszcze, powiedz coś więcej”. Już miał tak nie naciskać, miało już nie być tych wspólnych sesji, to już zostało postanowione.

– Najgorsze nadeszło po zakończeniu wojny, gdy cały kraj podniósł głowę, żeby rozejrzeć się dookoła, a niektórzy, nie tak wielu, zaczęli rozmyślać o tym, co się wydarzyło, co widzieli i jak żyli, i o tym, co czuli się zmuszeni robić. Kilka miesięcy po kapitulacji Valerie dostała list od swojej przyjaciółki Marii. Od trzydziestego dziewiątego roku nie utrzymywały ze sobą kontaktu, przestały do siebie pisać jeszcze przed wybuchem wojny. Maria nie wiedziała, że Valerie wyszła za mąż i że jej nowe nazwisko brzmi Wheeler. Poznaliśmy się w czterdziestym, a pobraliśmy się w czterdziestym pierwszym, ja nie miałem jeszcze skończonych dwudziestu ośmiu lat, ona miała dwadzieścia jeden. Prawdę mówiąc, żadna nie wiedziała nawet, czy ta druga żyje. Maria przysłała list na adres rodziców Val, matka odesłała go nam do Oksfordu, gdzie właśnie się wprowadziliśmy, bo w czterdziestym szóstym zostałem wybrany na *fellow* w Queen's College. Ojciec Val zginął podczas jednego z bombardowań Londynu. W pierwszej chwili Valerie ogromnie ucieszyła się z listu, ale jej radość skończyła się, gdy otworzyła kopertę. Ten list był dla nas wyrokiem śmierci. A właściwie dla niej. – Gdy Peter to dodał, wróciło mi w pamięci kilka słów Tupry jak przeczucie, jak echo: „Wprawdzie nie jest to naszym pragnieniem, ale zawsze wolimy, żeby śmierć spotkała tego innego obok nas w trakcie wykonywania jakiejś misji albo na polu bitwy, w lotniczym rajdzie albo wskutek bombardowania, albo w okopie, gdy były jeszcze okopy, albo w ulicznym napadzie lub podczas włamania do sklepu czy porwania turystów, w trzęsieniu ziemi, eksplozji, zamachu, w pożarze,

wszystko jedno, czy jest to przyjaciel, brat, ojciec, a nawet nasze dziecko. A także ukochana, tak, ona również, byle nie my”. – Nie było mnie przy niej, gdy dostała i przeczytała ten list, pokazała mi go później, a właściwie mi go przetłumaczyła: jakkolwiek Maria znała angielski, niemiecki Val był lepszy i pisały do siebie po niemiecku. List był długi, nie na tyle jednak, żeby Maria zdołała w nim opowiedzieć wszystko, co się z nią działo przez lata wojny: napisała pokrótce o najważniejszych rzeczach. Ona też wyszła za mąż i nazywała się teraz Hafenrichter, tyle że była wdową, bo jej mąż zginął na froncie rosyjskim. Ledwie wiązała koniec z końcem i mieszkała w międzynarodowej strefie w Wiedniu (wiesz przecież, że Wiedeń, tak jak i Berlin, został podzielony na cztery strefy: amerykańską, brytyjską, rosyjską i francuską, a samo centrum było strefą międzynarodową, to znaczy kontrolowały je i patrolowały wszystkie cztery mocarstwa). Pisała o swoim ciężkim życiu, sytuacji tak samo dramatycznej jak w miastach niemieckich, może tylko mniejsza była skala zniszczeń, i prosiła Valerie o pomoc, mimo że nie wyjaśniała dokładnie, czy chodzi o pieniądze, lekarstwa, ubrania czy o żywność... Jej rodzice, państwo Mauthnerowie, już nie żyli, podobnie jak jedna z sióstr, ta trzecia, Maria uznawała również za zmarłą swoją najstarszą siostrę, Ilse, zaginioną wraz z dwiema małymi córeczkami. Z rodziny Rendlów przeżył tylko synek, którego Maria wzięła pod opiekę, a teraz pragnęła wysłać go do Anglii i także w tej sprawie zwracała się do Valerie o pomoc: chłopiec wiele wycierpiał, w Austrii czekała go okropna przyszłość, ubóstwo, ona sama ledwie potrafiła się utrzymać. Ale najgorsze było to... – głos mu się załamał, zawahał się chwilę, ale zaraz nad sobą zapanował. – Najgorsze było to, że napisała, co się stało: „Nie wiem, w jaki sposób”, pisała i to tymi słowami Valerie zadręczała się, odkąd je przeczytała, aż do śmierci, te słowa ją zabiły. „Nie wiem, w jaki sposób” pisała Maria, SS odkryło, że Rendl miał babkę Żydówkę i że przekupił urzędników, żeby ta babka zniknęła z rejestrów.

Jednakże oryginalne dokumenty nie uległy zniszczeniu, podmieniono je tylko na inne, fałszywe; oryginały pojawiły się znowu i stwierdzono, że oskarżenie było prawdziwe. W SS mieli bardzo katoryczny stosunek do pochodzenia rasowego, pisała Maria, wyobrażając sobie, że Valerie nie może o tym wiedzieć, i wszystko wskazuje na to, że sprawa dotarła do uszu samego Himmlera, który wpadł w szał z powodu tego oszustwa i postanowił wymierzyć przykładną karę głównie po to, żeby skłonić do dobrowolnego przyznania się innych oficerów SS, którzy mogli być w podobnej sytuacji co Rendl, obiecując im, że jeśli to zrobią, zostaną potraktowani łagodniej, nie tak surowo jak ich kolega oszust. To odkrycie, w połączeniu z krążącymi po śmierci Heydricha plotkami, że nawet on był „pół-Żydem” – Heydrich, pomyślałem, ten, który umierał powoli i w wielkich cierpieniach od zatrutych kul – kazało Himmlerowi podejrzewać, jak dowiedziałem się później, że jego nieskazitelnie czysta formacja stała się w istocie, po przyjęciu ustaw norymberskich, bezpiecznym schronieniem dla *mischlinge*, a nawet dla „pół-Żydów”, bo rozumował w sposób właściwy dla umysłów chorych, że dla zwierzyny łownej nie ma lepszego przebrania niż strój myśliwego. Cóż, może jego umysł nie był aż tak chory w porównaniu z umysłem Delmera, a przede wszystkim Jefferysa, którzy wymyślali najbardziej zagmatwane intrygi i dokonywali największych manipulacji. Albo i w porównaniu z moim, sam nie wiem, może wszyscy mieliśmy umysły wojenne, podczas wojny nie ma zdrowych umysłów i potem niektóre nigdy już nie odzyskują zdrowia. Ale wracając do listu: Marii udało się dowiedzieć, że Rendl – to była ta przykładna kara – został wysłany jako więzień do obozu koncentracyjnego, mimo że w istocie był zaledwie „ćwierć-Żydem”, oraz że pewnego dnia gestapo zjawilo się u niego w domu w Monachium, gdzie wtedy mieszkali, i zabrało jego córeczki. Synka nie wzięli, nie było go w domu, bo kiedy wszystko się wydarzyło, on był u dziadków w Melku, a potem, gdy minęła



pierwsza furia, nie zadali już sobie specjalnego trudu, żeby go odszukać. Ilse pytała ich przerażona, dlaczego to robią, ale oni odpowiedzieli jej tylko, że dziewczynki są Żydówkami i że do niej nic nie mają: jeśli chce, może jechać z nimi, decyzja należy do niej. Ściśle rzecz ujmując, te dziewczynki były tylko w jednej ósmej Żydówkami i w normalnych okolicznościach uznawano by je za Niemki. Ale na tym właśnie polegała represja, taka była kara ku przestrodze: dzieci kłamcy, oszusta potraktować jak stuprocentowych Żydów. Przecież zgodnie z tym, co powiedział Göring albo Goebbels, a może sam Himmler: „To ja decyduję, kto jest Żydem”. Sprawa nie przedostała się do wiadomości opinii publicznej, bo rzecz jasna, wywołałaby fatalne wrażenie: poinformowano o niej tylko oficerów SS, żeby bardziej uważali na to, co robią, i dlatego PWE prawie nic o tym wszystkim nie wiedział. SS uwielbiała aurę tajemniczości i infantylne rytuały. – Użył słowa „*secrecy*”, nie „*secret*”. – Wedle relacji sąsiadów, świadków zdarzenia, Ilse wsiadła do samochodu razem z córeczkami i nigdy więcej o nich nie słyszano, o żadnej z nich. Przypuszczalnie gdy już znalazły się w jakimś obozie koncentracyjnym, wszelki ślad po nich zaginął i zapomniano także o ich „pochodzeniu”, to znaczy dlaczego tam trafiły, i potraktowano je jak Żydówki, w najlepszym razie jako „dysydentki”, nie, nie było w tym nic „lepszego”: czekał je taki sam los. Maria nie miała złudzeń, nie robiła sobie żadnej nadziei. Uznawała je za zmarłe, nie było miejsca na żadne spekulacje ani wątpliwości, szczególnie odkąd pojawiły się doniesienia o komorach gazowych, o masowej eksterminacji. O tym właśnie był ten list, Jacobo. Na koniec Maria dodawała, że pisze, nie wiedząc, czy Valerie przeżyła wojnę i czy kiedykolwiek to przeczyta. Prosiła jednak, że jeśli tak się stało, to żeby dała znać i przysłała jej z pomocą, a szczególnie synkowi Ilse, małemu Rendlowi. Chłopczyk miał wtedy jakieś jedenaście, dwanaście lat. – Wheeler przerwał na chwilę, wziął oddech i dodał: – Och, gdyby ten list nigdy do niej nie dotarł! Gdyby nigdy

się nie dowiedziała. Nie widziałbym wtedy, jak się zabija. Nie zostałem sam jeden pogrążony w smutku.

I Wheeler zamilkł, zamyślił się i znowu oparł grzbiet nadgarstka o czoło, jakby chciał obetrzeć sobie nagły pot albo sprawdzić, czy nie ma gorączki. „Podaj mi dłoń i chodźmy na spacer – przywołałem w myślach cytat. – Polami mojej krainy, wokół nich drzewa oliwne w kurzu, chodzę samotny, smutny, zmęczony, pogrążony w myślach i stary”. Znałem ten wiersz od dzieciństwa, tak zwracał się Antonio Machado do swojej nieżywej już dziecięcej żony Leonor zmarłej na gruźlicę w wieku osiemnastu lat. Valerie nie umarła, lecz sama się zabiła w niewiele starszym wieku, spoglądając na własną klepsydrę i trzymając ją w ręce. Ale Petera zostawiła też w podobnym stanie, samotnego, smutnego, zmęczonego, pogrążonego w myślach i starego. Niezależnie od rzeczy, które zrobił później.

Powinienem był spodziewać się tego wyznania po wszystkim, co Wheeler mi opowiedział, a przecież poczułem się tak zaskoczony, że zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. I gdy on nadal milczał, wspomniałem o czymś, o czym sobie przypominałem – nic na to nie mogłem poradzić – wiedząc, że ryzykuję w ten sposób sprowadzenie toku jego myśli ku innym sprawom i utratę końca tej historii:

– To właśnie powiedział mi Toby, że to jemu się przytrafiło. Opowiadałem panu o tym, pamięta pan? – I przypominałem sobie również, z jakim zdziwieniem i irytacją zareagował wtedy Wheeler: „Tak powiedział? «Widziałem, jak się zabiła»...?” powtórzył zaskoczony, nie kończąc zdania. – Że widział, jak zabiła się osoba, którą kochał.

Reakcja Wheelera była natychmiastowa, teraz jednak miała w sobie więcej współczucia niż zdziwienia.

– Tak. Kiedy mi to opowiedziałeś, poczułem się trochę rozczarowany, zagniewany. No cóż, skąd mogłeś wiedzieć? Jemu nic takiego się nie przytrafiło, ale lubił otaczać się aurą tajemniczości i dawać do zrozumienia,

że miał bardziej burzliwą albo bardziej tragiczną przeszłość niż naprawdę: nie brakło jej dramatyzmu, on też swoje przeżył, jak niemal wszyscy, którzy doświadczają długiej wojny. Kiedy ci to powiedział, przywłaszczył sobie niewątpliwie moją historię, żeby ubarwić trochę bardziej własną. To jest właśnie zła strona opowiadania: większość ludzi szybko zapomina, jak albo za czyim pośrednictwem dowiedziała się tego, co wie, są nawet tacy, którzy szczerze wierzą, że sami to przeżyli albo wymyślili, wszystko jedno, czy chodzi o relację, pomysł, opinię, anegdotę, żart, aforyzm, historię, styl, czasem nawet o cały tekst, który z dumą przypisują sobie, może zresztą wiedzą, że dokonują kradzieży, ale spychają tę myśl gdzieś w tył głowy i w ten sposób ją przed sobą ukrywają. To zjawisko bardzo typowe dla naszych czasów, które nie szanują pierwszeństwa. Możliwe, że nie powinienem był tak się retrospektywnie oburzyć na biednego Toby'ego. – Wheeler zamilkł, pociągnął dwa łyki sherry, a potem mruknął niechętnie, prawie z odrazą: – Na swoje szczęście on nigdy nie musiał tego widzieć. Trudno znieść taką scenę, zapewniam cię. Lepiej oszczędzać sobie tragedii. Nic nie może ich zrekompensować. A już na pewno nie opowiadanie o nich.

– Co się wydarzyło? – I z grzeczności dodałem to, co już kiedyś mu powiedziałem, aczkolwiek tym razem musiałem się zmusić, żeby zachować się zgodnie z przykazaniem wpajanym mi od dziecka: nigdy nikomu nie dokręcać śruby. – Jeżeli nie chce mi pan tego opowiadać, Peter, niech pan tego nie robi.

Obawiałem się, że w każdej chwili pani Berry może zamknąć fortepian i zejść na dół, i sprawić, że – by tak rzec – czar pryśnie, jakkolwiek nadal dobiegała nas jeszcze muzyka, miałem wrażenie, że teraz przerzuciła się na Scarlattiego, zawsze grała utwory radosne, wszystkie tego popołudnia były, o dziwo, kompozycjami ludzi, którzy zmienili kraj zamieszkania, Scarlatti spędził połowę życia w Hiszpanii i jak się zdaje, tam też zmarł, chociaż dokładnie nie wiadomo, kiedy to się stało ani gdzie został pogrzebany,

podobnie jak Boccherini: prawdopodobnie obaj zmarli w Madrycie i obaj leżą w nieznanym grobach. W kraju obojętnym na oddane zasługi i przysługi. W kraju obojętnym na wszystko, głównie na to, co nie istnieje, lub na minioną materię.

– Nieprzyjemnie to wspominać, Jacobo, słuchać tego też nieprzyjemnie. Ale myślę, że mimo wszystko mogę ci o tym opowiedzieć. Myślę, że kiedyś trzeba opowiedzieć, po upływie długiego czasu, żeby nie wyglądało, że się nie zdarzyło lub że było tylko złym snem – odparł Peter. – „Nie wiem, w jaki sposób”, napisała w liście Maria, a Valerie, odkąd ten list przeczytała, powtarzała do końca, czasem nawet po niemiecku, jakby z nią rozmawiała: „A ja wiem, ja wiem, w jaki sposób, wiem dobrze, bo to ja zawiadomiłam o tym SS”. I wciąż się oskarżała: „Dzieci. Jak mogłam nie pomyśleć o Ilse i o dzieciach? Powinnam była o nich pamiętać, dlaczego nie pomyślałam? W ogóle nie wzięłam ich pod uwagę”. W ostatnich dniach życia zadreęczała się, żyła w prawdziwym piekle i nie zamierzała odpisać przyjaciółce. „Wolę, żeby myślała, że umarłam – mówiła. – Nie potrafiłabym powiedzieć jej, co się stało”. „A gdybyś nie powiedziała i poprzestała na przyjściu jej z pomocą? – starałem się przekonywać. – Może dałoby się coś zrobić dla tego chłopca, jakoś załatwić mu prawo pobytu, może stypendium, sam nie wiem, mógłbym porozmawiać o tym z ludźmi, pomóc mu finansowo”. Od zawsze miałem odziedziczone po rodzinie pieniądze. Mój dziadek ze strony matki, Thomas Wheeler, sprzedał z zyskiem spółkę gazetowe, których był właścicielem w Nowej Zelandii i Australii, a po jego śmierci mnie i Toby’emu, gdy byliśmy jeszcze bardzo młodzi, przypadł w udziale duży spadek. Zaproponowałem jej nawet, żebyśmy adoptowali małego Rendla, mimo że ten pomysł nie wzbudzał mojego entuzjazmu. Jednakże Val była jak sparaliżowana z przerażenia i żalu, nie chciała mnie słuchać, nie reagowała. Nocami nie mogła zmrużyć oka, a gdy na chwilę przysnęła wyczerpana, budziła się po chwili zapłakana

i zrana potem i zawodziła zrozpaczona: „Biedne dziewczynki. Gdybym choć sama odkryła całą sprawę, może wtedy miałabym większe prawo, może, chociaż nie sądzę. Ale ja dowiedziałam się wszystkiego od Marii i zdradziłam ją bez namysłu, jak mogłam to zrobić, dlaczego nie zdałam sobie sprawy? I te dziewczynki, które przeze mnie zginęły w obozie, przecież nie mogły tego zrozumieć, i ich matka, która pojechała razem z nimi, biedna, nie mogła postąpić inaczej, o mój Boże...”. – Wheeler zamilkł na chwilę i przygryzł czubek palca wskazującego, zamyślony, napięty. („Smutek łożnicy twojej towarzyszem”, przywołałem w myślach cytata). Potem powiedział: – Zdrada nie leżała w jej naturze, a tym bardziej donos. Więcej, w normalnych okolicznościach nie byłaby do nich zdolna. Była wspaniałą osobą, godną najwyższego zaufania. Była antytezą złej wiary, intryganctwa, nie wiem, jak to wytłumaczyć, człowiekiem czystym. Ale wojna wszystko wywraca, powoduje nie dające się rozwiązać konflikty sumienia. Również nie leżało w jej naturze, by się oszczędzać, nie wspierać swego kraju, gdy stawką było jego istnienie. Bardzo bolała, że zabrakło jej odwagi, by przeniknąć na terytorium wroga, nie mogła więc po prostu zachować dla siebie tamtej informacji o Hartmucie Rendlu, gdy już raz dała się przekonać, że takie informacje są ważne, bo dzięki nim można było uratować wiele angielskich istnień. Tyle że teraz jej perspektywa uległa zmianie, jak to się dzieje zawsze w czasach pokoju, jedynym wyjątkiem są ci z nas, którzy wiedzą, że wojna ciągle się czai, jest tuż za rogiem, choćby nikt inny w to nie wierzył; i że coś, co w czasach pokoju wydaje nam się naganne, przerażające i skrajne, jutro może zdarzyć się znowu z przyzwoleniem całego narodu. Terminem „zbrodnie wojenne” określa się dziś niemal wszystko, jakby wojna nie polegała na popełnianiu zbrodni w ogromnej większości z góry już rozgrzeszonych. Valerie jednak nie potrafiła dostrzec, jakim to sposobem przekazana przez nią informacja, poddany przez nią pomysł mogły przyczynić się do zwycięstwa. Wprost

przeciwnie, była raczej pewna, że gdyby zachowała tę informację dla siebie, wynik wojny byłby taki sam. Niewątpliwie miała dużo racji, podobnie jak wszyscy inni Brytyjczycy, którzy tak myśleli o swoim wkładzie, z nielicznymi wyjątkami. To też jest charakterystyczne dla czasu wojny, Jacobo. Robi się wszystko co konieczne i przy okazji to co niekonieczne również. Ale kto wtedy potrafi odróżnić jedno od drugiego? Kiedy przychodzi zniszczyć wroga, a nawet tylko go pokonać, nie sposób ocenić, co wyrządza prawdziwą szkodę wrogowi, a co jest strzelaniem do jego koni czy jak wy to mówicie, dźganiem włócznią nieżywych Maurów albo robieniem chrustu na opał z powalonego drzewa. – I te dwa ostatnie wyrażenia Wheeler powiedział w moim języku: „*alancear moros muertos*” i „*hacer leña del árbol caído*”. – Wszelkimi sposobami starałem się jej to unaocznić: „Valerie, to była wojna – mówiłem – a na wojnie żołnierze zabijają czasem nawet swoich towarzyszy, przecież wiesz, co to znaczy przyjacielski ogień; albo dowódcy poświęcają własne oddziały, posyłają je na rzeź i to nie zawsze przynosi pożytek: pomyśl o Gallipoli, o Chunuk Bair, o zatoce Suvla, możesz być pewna, że za ileś lat dowiemy się o podobnych przypadkach na tej wygranej właśnie wojnie. Wszędzie giną niewinni ludzie, popełniane są błędy, lekkomyślne głupie czyny i nigdzie nie brak cynicznych albo skretyniałych polityków i wojskowych. Na każdej wojnie marnotrawi się ludzkie życie. Myślisz, że ja nie mam na sumieniu odrażających czynów, których, jak teraz na to patrzę albo jak popatrzę w przyszłości, można było uniknąć? Popełniłem je w Kingston, a jeszcze więcej w Akrze i w Kolombo. Są dla mnie odrażające teraz i będą jeszcze bardziej za jakiś czas, w miarę upływu lat, ale wtedy takie nie były. I tego właśnie nie wolno ci robić: przyglądać się tym rzeczom poza ich kontekstem i na zimno. Nie można patrzeć za siebie po wojnie, nie rozumiesz? Nie można, jeśli chce się dalej żyć”.

Wheeler znowu się zatrzymał, teraz głównie po to, żeby zaczerpnąć tchu. Wyraźnie tego potrzebował. Spojrzenie miał lekko nieobecne, patrzył w stronę schodów, nie widząc ich. Wydał mi się zmęczony i pobudzony zarazem, jakby nadmiernie przeżył znowu tamte słowa skierowane do Valerie cały wiek wcześniej, może w ich smutnej łóżnicy, może gdy zbudziła go swoim szlochem i swoimi koszmarami, które zanadto przypominały rzeczywistość, a takich koszmarów nie sposób wytrzymać, kiedy jawa powieliła sen: „niech jutro duszy twej będę ciężarem i obys poczuł ukłucie w twej piersi. Rozpaczaj i giń”. Czekałem. Czekałem. Czekałem. W końcu powiedziałem:

– Rozumiem, że na nic się to nie zdało.

– Nie, na nic, a najgorsze, że już wtedy to wiedziałem. Wiedziałem, że wszystko na nic, że jej życie zostało złamane i że ona nigdy się nie podźwignie. W owym czasie byłem już częścią grupy, która powstała zbyt późno, żeby ocalić jej życie. Nie chodzi o to, że mój dar, moja umiejętność interpretacji były przedtem mniejsze, bo nie były, lecz człowiek dostosowuje swoje widzenie do zadania, jakie ma przed sobą, wyostrza je i coraz bardziej uczy się odszyfrowywać i przenikać to, co ma nadejść jutro. Z pewnością sam zauważyłeś tę zmianę, tę wzrastającą przenikliwość, odkąd jesteś z Tuprą. Czyżbym się mylił?

– Nie, ma pan rację. Teraz baczniej się przyglądam. I mam skłonność do interpretowania wszystkiego, nawet gdy nie pracuję i nikt nie oczekuje ode mnie raportu z moimi spostrzeżeniami. – Skorzystałem z okazji, żeby nawet za cenę straty cennego czasu i ryzykując, że pani Berry nam przerwie, zapytać o coś, co mi nie pasowało: – Jeżeli dobrze sobie przypominam, Peter, gdy po raz pierwszy mówił mi pan o grupie, powiedział pan, że Valerie już nie żyła – „...*that Valerie was already dead*”, tak się wyraziłem – gdy na pomysł stworzenia grupy wpadł Menzin albo Vivian, albo ktoś inny. Nie bardzo rozumiem, przecież grupa powstała podczas wojny.

Wheeler wyglądał na speszzonego, zakłopotanego. Chwilę myślał, a potem powiedział po hiszpańsku z rozjaśnioną twarzą jak ktoś, kto znalazł wyjaśnienie małej zagadki (do samego końca lubił ciekawostki językowe):

– Ach, już wiem. To problem pewnej dwuznaczności albo twojego niezrozumienia, Jacobo. Skoro powiedziałem tak jak ty teraz: „*Valerie was already dead*”, to w twoim języku powiedziałbym: „*estaba ya muerta*”, ale w sensie przenośnym, potocznym, to znaczy chciałem przez to powiedzieć, że już była skazana, naznaczona, a nie że nie żyła w znaczeniu ścisłym. – I tutaj znowu przeszedł na angielski, było oczywiste, że bardziej go męczy mówienie w obcym języku. – Prawdopodobnie chodziło mi o to, że w owym czasie było już za późno, że już zdążyła zrobić to, przez co potem miała się zabić, że jej los był już przypieczętowany. I tak było w istocie: gdyby grupa powstała wcześniej, możliwe, że ktoś by zarządził, pewnie ja sam z moim czujnym wytrenowanym baczynym okiem, że Valerie nie nadaje się na szpiega, o czym sama dobrze wiedziała, ale nie nadaje się również do czarnej propagandy, nazbyt brudnej przy jej skrupułach i awersji do wszelkich oszustw. Tym bardziej nie nadawała się do tego, żeby narażać na niebezpieczeństwo albo poświęcać życie niewinnych ludzi, choćby byli Niemcami. Sam wiesz, krok po kroku człowiek zaczyna robić rzeczy, na które wcale nie ma ochoty albo do których się nie nadaje, a na wojnie dużo się wymaga od ludzi albo ludzie bezsensownie sami wymagają od siebie rzeczy ponad siły i pękają dopiero po wszystkim. Gdyby ktoś dostrzegł w porę jej ograniczenia, może wycofano by ją z Milton Bryant. Może odesłano by ją z powrotem do Foreign Office, nie wiem, albo przydzielono wyłącznie do białej propagandy. – Wheeler przesunął dłonią po czole, teraz niemal je ugniatając. – Czasem mówię sobie, że mimo wszystko powinienem był to wiedzieć. Ale łatwo być mądrym po szkodzie albo „*a toro pasado*”, „gdy byk już przeszedł”, jak mówicie po hiszpańsku, kiedy znane są już wszystkie fakty. Ja nie wiedziałem nawet dokładnie,



czym Valerie zajmowała się w PWE, przez większość czasu pozostawaliśmy o tysiące mil od siebie. Ona nigdy nie użyła przy mnie terminu „czarna propaganda”, nie jest zatem wykluczone, że uprawiała ją bezwiednie, a raczej nie znając tego pojęcia. Możliwe też, że zachowywała dyskrecję nawet wobec mnie zgodnie z rozkazem. Nie wiem. Jeżeli Delmer był diaboliczny, to ten Jefferys musiał być samym Lucyferem. – Zrobił małą przerwę i dodał: – Nigdy się nie dowiem, kim był, kto się ukrywał pod tym nazwiskiem. Zostało mi już bardzo mało czasu, Jacobo. Tyle co nic.

Muzyka ucichła i kilka sekund później usłyszałem, jak pani Berry schodzi po schodach. No tak, to już koniec, pomyślałem. Nigdy się nie dowiem, jak się zabiła Valerie i dlaczego Peter widział jej śmierć, nawet jeżeli w zasadzie zostało mi więcej czasu niż jemu, nie tyle co nic. Ani dlaczego nie zapobiegł tej śmierci, skoro ją widział. I dodałem w myślach: Ale nie mogę narzekać. Dużo się dziś dowiedziałem, a przecież nie w tym celu przyjechałem. Pani Berry nie weszła jednak do salonu ani nie zawołała nas na obiad, lecz udała się wprost do kuchni i stamtąd dobiegły odgłosy jej krzątania. Może wystarczy nam czasu, jeśli ona ma jeszcze coś do wykończenia, a ja się pospieszę.

– Jak zabiła się Valerie, Peter? – zapytałem teraz już bez ceregieli. – I jak to było, że pan to widział?

Wheeler poprawił się na krześle, starając się znaleźć wygodniejszą pozycję, włożył sobie kciuk pod pachę, jakby to był mały bacik, i wydawało się, że wsparł się całym ciężarem klatki piersiowej na tym kciuku, takie przynajmniej miałem wrażenie. Jakby potrzebował oparcia, choćby symbolicznego, biedny kciuk, jakkolwiek wszystkie palce miał naprawdę długie.

– Mieszkaliśmy wtedy w domu podobnym do tego, tyle że mniejszym – powiedział – dwu- albo trzypiętrowym, zależnie jak się patrzyło, bo ostatnie

piętro było bardzo małe, tylko z małym *chambre de bonne*, jak to się mówi, używaliśmy czasem tego pokoju jako gościnnego. Znajdował się... znajduje się przy Plantation Road, niedaleko miejsca, gdzie mieszkałeś. Dużo za drogi jak na moje ówczesne zarobki, ale pieniądze ze spadku pozwoliły mi na ten luksus, zawsze mi na to pozwalały. No cóż, po czterech niespokojnych nocach prawie bez zmrużenia oka – Tak, smutek krążył i krążył wokół twej łóżnicy, powtórzyłem w myślach – Valerie przekonała mnie, żebym przeniósł się spać do tego pokoiku na samej górze, trochę odpoczął, nim ona się nie uspokoi, miała nadzieję, że to nie potrwa długo, to błędne koło koszmarów sennych i bezsenności, wstrętu do siebie, gdy nie spała, i panicznego strachu przed zaśnięciem, niemożności wytrzymania ze sobą i na jawie, i we śnie. Martwiło mnie, że zostanie sama podczas tych nocnych godzin, najgorszych i najtrudniejszych do przetrwania, z drugiej jednak strony pomyślałem, że może potrzebuje samotności, żeby zapanować nad sobą, że lepiej jej zrobi, jak mnie przy niej nie będzie, nie będę do niej mówił ani jej pocieszał, zadawał pytań, nie będę przekonywał, argumentował, bo przecież nic to nie pomogło przez poprzednie cztery noce, nie nastąpiła żadna poprawa. Sam nie wiem, kiedy sytuacja się nie zmienia, nachodzą człowieka najróżniejsze myśli. Pamiętam, że kładłem się do łóżka bardzo niespokojny, zostawiłem otwarte drzwi, żeby słyszeć, gdyby mnie zawołała, zbiegłbym wtedy do niej w jednej chwili, dzieliło nas tylko piętro, dwa krótkie odcinki schodów. Ale byłem tak wyczerpany, że szybko usnąłem. To musiała być przemożna potrzeba, bo nawet nie zgasilem lampy na stoliku nocnym ani nie zamknąłem książki, została otwarta na kołdrze. Zbudziłem się dopiero o świcie, musiałem spać nieporuszony, ponieważ dopiero wtedy książka zsunęła się niemal bezszelestnie na podłogę: to było „Little Gidding”, ostatnia część „Czterech kwartetów” Eliota, wydanie Fabera w miękkich okładkach, takich rzeczy się nie zapomina, wtedy to była nowość, a ja nie miałem okazji sięgnąć po

nią podczas wojny, takie książki nie docierały na Cejlon ani na Złote Wybrzeże. – A następnie wyszeptał coś, co z pewnością było wierszem albo fragmentem wiersza: – „*Ash on an old man’s sleeve... This is the death of air... the constitution of silence... What we call the beginning is often the end...*”, tak to idzie, prawda? – Czyli: „Popiół na rękawie starca... To śmierć powietrza... konstytucja milczenia... Co nazywamy początkiem, często bywa kresem”. Potem mówił dalej: – Znaczy, nie obudziło mnie zsuniecie się książki na podłogę, nie wiem, co to było. Kilka sekund trwało, nim zrozumiałem, że jestem sam w *chambre de bonne*, i przypomniałem sobie dlaczego. Podniosłem tomik i położyłem na stoliku nocnym, spojrzałem na zegarek, dochodziła czwarta, machinalnie zgasilem światło, nie miałem jednak zamiaru spać, wrócił do mnie niepokój. Postanowiłem zajrzeć wcześniej do naszej sypialni, sprawdzić, czy Valerie śpi czy nie, zapytać, czy czegoś jej nie trzeba, a może chce, żebym z nią został. Nałożyłem szlafrok i ruszyłem na dół ostrożnie, żeby nie zbudzić jej, jeśli spała, i wtedy zobaczyłem ją w miejscu, w którym nie powinna była być, siedziała na podeście pierwszego odcinka schodów, czyli odwrócona do mnie plecami. – Wheeler wskazał palcem w lewo od siebie i ku górze, w kierunku najwyższego punktu pierwszego odcinka schodów swojego aktualnego domu nad rzeką Cherwell, nie przy Plantation Road. – Dokładnie w miejscu, gdzie jak mówisz, widziałeś kiedyś plamę krwi. Dziwne, prawda? Była całkowicie ubrana, nie miała na sobie koszuli nocnej ani szlafroka, jakby w ogóle się nie kładła albo jakby zamierzała wyjść z domu, i to mnie najbardziej zdziwiło w ciągu tej króciutkiej chwili, jaką miałem na poczucie zdziwienia. Ale wcale nie czułem trwogi, naprawdę, nigdy, ale to nigdy, ani w tej krótkiej chwili, ani wcześniej, nie naszło mnie żadne podejrzenie, nie ogarnął mnie strach, że mogłaby zrobić to, co zrobiła, nigdy. Tu zawiodłem. Mój dar, mój talent, moja umiejętność, jakkolwiek chcesz to nazwać, ta sama, którą macie także Tupra i ty, i tamta

młoda pół-Hiszpanka, ta umiejętność, którą wykazywał się Toby i ja przy tyłu okazjach i w tyłu sprawach, które nic dla mnie nie znaczyły, tym razem zawiodła mnie na całej linii. Jak mogłem się nie domyślić, jak mogłem nie widzieć, jak to możliwe, że nic mnie nie tknęło, zastanawiam się nad tym bez ustanku od czterdziestego szóstego roku. Jak mogłem być tak bezgranicznie głupim optymistą, ufnym, nieświadomym, jakbym nie widział żadnych znaków ostrzegawczych? To długi czas, prawda? Gdy chodzi o sprawy, które dotyczą nas najgłębiej, nie chcemy widzieć sygnałów ostrzegawczych, a przecież one zawsze się pojawiają. Wszelkiego typu. Człowiek woli nie myśleć o najgorszym. – Teraz Wheeler zakrył sobie oczy dłonią, przykrył je jakby daszkiem, możliwe, że tak samo jak ja, gdy patrzyłem i nie patrzyłem na przerażające nagrania Tupry owej nocy, gdy Tupra był Reresbym. – Rozumiałem jej zmartwienie, wyrzuty sumienia, nawet jej przerażenie – podjął znowu Wheeler, nie odsłaniając oczu. – Myślałem jednak, że jej przejdzie albo prędzej czy później sobie z tym poradzi, przecież niemal wszyscy poradzili sobie jakoś z tym, co widzieli albo robili na wojnie, co stracili i ile wycierpieli. Rzecz jasna tylko do pewnego stopnia, tylko tyle, żeby móc żyć nadal. To jedna z tych rzeczy, które czas pokoju przynosi ludziom nie będącym już na wojnie, aczkolwiek części z nas przypada w udziale trwać na niej nadal, czuwać. Pokój przynosi zapomnienie, przynajmniej powierzchowne, albo poczucie, że wszystko było snem. Choćby ten sen powtarzał się każdej nocy i osaczał nas za dnia: wszystko było jedynie złym snem. Okropnym. Ale koniec końców wygraliśmy tę wojnę. „Valerie”, powiedziałem, tylko tyle zdążyłem powiedzieć. Miała spięte włosy. Nie odwróciła się w moją stronę, ujrzałem tylko, jak po karku i plecach przebiegł jej dreszcz, a potem runęła do tyłu i równocześnie usłyszałem wystrzał. Dopiero wtedy w rozpaczy, nie dając wiary temu, co widzę, zauważyłem, że siedziała tam nie wiadomo od jak dawna, trzymając w rękach strzelbę wycelowaną wprost w serce. Możliwe,

że nie mogła się zdecydować albo czekała, aby zebrać się na odwagę, ona, która wcale nie była odważna. Prawdopodobnie to ja byłem sygnałem, moja obecność, mój głos, to, że usłyszała swoje imię. – „To osobliwe nawet własne swe imię porzucić, to osobliwe już nie mieć życzeń. To osobliwe wszystko, co było związane, ujrzyć w przestrzeni rozpięchłe. A być umarłym to trud”. – Pewnie pomyślała, że zaraz odbiorę jej broń i że potem nie nadarzy się już dogodna okazja, nie wiem. – „*And indeed there won't be the time to wonder, «Do I dare?» and, «Do I dare?» Do I dare to disturb the universe? Time to turn back and descend the stair... And in short, I am afraid...*” Nie, już nie będzie czasu, żeby pomyśleć, czy się ośmielę i czy się ośmielę, czy ośmielę się niepokoić wszechświat, czasu, by odwrócić się i zejść ze schodów... I krótko mówiąc, boję się... Tak więc lepiej nie czekać. – Leżała tam. – I Wheeler wskazał znowu ku górze, na podest po pierwszym odcinku schodów swego aktualnego domu, na miejsce, gdzie ja natknąłem się niegdyś na plamę krwi i wytarłem ją tak starannie i z takim trudem. – Bardzo było trudno zmyć tę krew. Tryskała, lała się, mimo że od razu tamowałem ją ręcznikami. Wiedziałem, że ona już nie żyje, a mimo to przykryłem ranę. Była ubrana, zrobiła makijaż, upięła włosy, pomalowała usta na pożegnanie ze mną, to była kwestia dobrego wychowania, czasów, w jakich żyliśmy, jej tak bardzo dziś staroświeckiego dobrego wychowania, ona nigdy nie przyjęła gościa ani nie wyszła na ulicę nieumalowana... A kiedy nie został już ślad, ja nadal widziałem krew. – Na pewno najdłużej nie chciała zejść obwódka, pomyślałem. I mogło być ich kilka, bo pewnie plam było więcej niż jedna, może zrobiła się z nich strużka. – A potem wyprowadziłem się z tego domu, nie mogłem tam zostać.

– Ale jeszcze nie wprowadził się pan tutaj, prawda, Peter? – zapytałem.

– Nie, przeniosłem się do swoich pomieszczeń w college'u i mieszkałem tam przez trzy lata, wolałem być wśród ludzi. No i widzisz: przez jedną jedyną noc nie czuwałem nad jej snem nie snem i Valerie mi się zabiła. Nie

mogła z tym żyć. A ja nic nie przewidziałem. Nigdy mi to nie przyszło do głowy, nawet gdy odesłała mnie piętro wyżej, do *chambre de bonne*. Użyła dobrego pretekstu, a ja nie byłem na to przygotowany: po raz pierwszy mnie oszukała. Nie wiesz, ile razy zastanawiałem się później, czy zdążyłbym na czas, gdybym po obudzeniu się zdał sobie sprawę wcześniej, gdzie ona jest – *Don't linger or delay*, pomyślałem – gdybym nie podniósł najpierw książki albo nie zgasił lampy, gdybym nie włożył szlafroka albo gdybym zszedł po schodach szybciej, albo gdybym zszedł tak, jak zszedłem, lecz nie otworzył ust, nie wymówił jej imienia, nie dał jej znać, że tam jestem. Oczywiście, że to bzdury. A mimo to myślisz o nich wciąż na nowo. – „Splamiony krwią i winny – ocknij się w poczuciu winy”, przyszło mi na pamięć. – Po jakimś czasie napisałem do Marii Mauthner, przedstawiłem się, ona przecież nic o mnie nie wiedziała. Napisałem, że Val umarła, ale nie wspominałem kiedy ani jak, ani dlaczego. Ot, wojna, napisałem, i to wystarczyło. Pomogłem sprowadzić jej siostrzeńca do Anglii, jakkolwiek nie chciałem mieć z nim do czynienia, to byłoby jak patrzeć na strzelbę Valerie. Pomagałem też jego synowi, temu Rendlowi, którego znasz: podobno jest całkiem niezły, ale nie tak dobry jak Tupra albo ty, brak mu przenikliwości. Cóż, przynajmniej ma dobrą posadę. Moja przenikliwość znacznie się od tamtego czasu poprawiła, zapewniam cię. Obiecałem sobie, że nigdy nikogo nie spotka nic podobnego dlatego, że ja nie umiem albo nie ośmielam się widzieć. Mimo że nikt inny nie był dla mnie taki ważny, to jasne: większość ludzi, których później obserwowałem, poddawałem interpretacji, na których temat wydawałem opinię, mówiłem, do czego się nadają, a do czego nie, wszyscy ci ludzie obchodzili mnie tyle co nic. Ale teraz mogę ci przynajmniej powiedzieć, nie obawiając się popełnienia błędu, że ty będziesz potrafił żyć dalej z tym, z czym tu przyjechałeś, co chciałeś mi opowiedzieć, ponieważ ty, inaczej niż ona, nie potrafisz uwierzyć, że jesteś za to odpowiedzialny. – Tak, pomyślałem, ja

zawsze mogę powiedzieć sobie jutro: Och, nie, ja tego nie chciałem, nic nie wiedziałem, to wydarzyło się wbrew mojej woli, jak w gęstych oparach gorączki i cienia, i snu, to było częścią mego teoretycznego życia albo życia w nawiasie, mego mglistego równoległego istnienia, które tak naprawdę się nie liczy, działo się tylko połowicznie i bez mojej pełnej zgody, koniec końców ja siebie nie znam ani siebie nie widzę, nie osłuchuję się ani nie badam, nie zwracam na siebie uwagi i zrezygnowałem ze zrozumienia siebie wedle raportu w starym archiwum z nagłówkiem „Deza, Jacques”. A poza tym to było w innym kraju. Sędzia zatem powie: „Brak przestępstwa, sprawa oddalona”. – W dodatku jesteś ulepiony z innej gliny i przynależysz do innego czasu, Jacobo, do czasu dużo mniej poważnego. Nie, ty nie jesteś taki jak Valerie, nie martw się. Prawdę rzekłszy, nikt więcej taki nie był przez te wszystkie lata, przez które jej nie widzę. A raczej widzę jedynie w snach od czasu do czasu. – „Podaj mi dłoń i chodźmy na spacer. Polami mojej krainy...” Wheeler odsłonił oczy i spojrzał na mnie zdziwiony albo przestraszony, jakby właśnie obudził się z długiego snu. A może raczej otworzył szeroko oczy, jakby spoglądał na świat po raz pierwszy tym niezbadanym spojrzeniem, jakim spogląda kilkutygodniowe albo kilkudniowe niemowlę, obserwując, jak przypuszczam, to nowe miejsce, gdzie zostało rzucone, i starając się być może odszyfrować nasze zwyczaje i ustalić, które z nich będą też jego zwyczajami. Wyglądał na bardzo zmęczonego i był bardzo blady, zaniepokoiłem się nagle o jego zdrowie. Naszła mnie ochota, żeby położyć mu dłoń na ramieniu, jak kilka dni temu położyłem ją na ramieniu ojca. Spostrzegł oliwki, sięgnął i zjadł od razu dwie. Potem pociągnął łyk sherry i jego twarz nabrała znów koloru, może miał wcześniej chwilowy spadek ciśnienia. Gdy odezwał się znowu i usłyszałem, że mówi innym tonem, uspokoilem się całkowicie i zrozumiałem, że wspomnienie się skończyło, opowieść dobiegła końca: – Pójdź i zapytaj Mrs Berry, czy już nie pora na

obiad – poprosił. – Nie wiem, dlaczego nas nie woła, przecież grać już skończyła dobrą chwilę temu.



Teraz nadal żyję samotnie, ale już nie w innym kraju, lecz znowu w Madrycie. A może półsamotnie, jeżeli można tak powiedzieć. Myślę, że jestem tu z powrotem niemal tak długo, jak wcześniej pozostawałem w Londynie podczas drugiego angielskiego pobytu, który bardziej mnie oszołomił niż pierwszy, lecz mniej przeobraził, ponieważ byłem już w wieku, gdy bardzo trudno się zmienić, można się jedynie upewnić i potwierdzić, co się ma we krwi. Teraz jestem trochę starszy. Umarli mój ojciec i sir Peter Wheeler, pierwszy ledwie tydzień po owej niedzieli w Oksfordzie, nie tyle wygnanej z nieskończoności, ile z przeszłości. W istocie to jego śmierć sprawiła, że przyspieszyłem powrót do rodzinnego miasta, żeby być z jego wnukami i moim rodzeństwem i żeby uczestniczyć w pogrzebie. Było dla niego miejsce w grobie mojej matki. Nikt więcej się tam nie zmieści. Zawiadomiła mnie siostra, zadzwoniła do mnie do Londynu i powiedziała: „Tata umarł. Serce przestało bić pół godziny temu. Jak wiesz, było już słabe, a przecież nie spodziewaliśmy się tego tak szybko. Wczoraj z nim rozmawiałam. Jak zawsze pytał o ciebie, był przekonany, że wciąż jesteś w Oksfordzie i uczysz studentów. Przyjedziesz, prawda?”. Odpowiedziałem, że tak, że jadę natychmiast. I pojechałem, pocieszałem i byłem pocieszany, Luisę widziałem tylko na pogrzebie, objęła mnie, żeby pocieszyć mnie również, i wróciłem do Londynu z zamiarem uporządkowania mego prostodusznie umeblowanego mieszkania i załatwienia wszystkiego przed ostatecznym wyjazdem, który teraz należało przyspieszyć, trzeba było zająć się wieloma sprawami w Madrycie: domem, meblami, książkami, kilkoma obrazami – kopią „Zwiastowania” – moimi poruszonymi śmiercią dziadka dziećmi,

skromnym, choć nie tak bardzo spadkiem; i zacząć wspominać. W samotności i w towarzystwie wszystkich pozostałych.

Nie było już żadnych niezłatwionych spraw z Tuprą, wszystkie zostały wyjaśnione i ostatecznie zamknięte nazajutrz po owej niedzieli u Wheelera, w gabinecie Tupry w budynku bez nazwy (który jak zakładam, nadal jej nie ma). Jak zapowiedziała Beryl lub osoba, która nie zgodziła się powiedzieć mi, czy istotnie jest Beryl czy nie, w poniedziałek, gdy przyszedłem, Tupra siedział już w gabinecie, zdążył wrócić ze swej podróży lub weekendowej nieobecności. Nasza rozmowa trwała bardzo krótko, po części dlatego, że okazała się powtórką, to znaczy kiedyś w przeszłości mieliśmy już identyczną, dawno temu, kiedy nazywałem go jeszcze Mr Tuprą. Od razu po przyjściu skierowałem się wprost do jego drzwi, rzucając tylko szybkie „dzień dobry” do Rendela i młodej Pérez Nuix, gdy ich mijalem, Mulryana nie zauważyłem, możliwe, że siedział zamknięty z Tuprą. Zapukałem.

– Tak, kto tam? – zapytał ze środka Tupra.

A ja odpowiedziałem absurdalnie:

– To ja – zapominając podać swego imienia, jakbym był jednym z tych, którzy nie pamiętają, że „ja” nie oznacza nikogo, jednym z tych absolutnie przekonanych, że bardzo lub dostatecznie mocno absorbują myśli tej drugiej osoby, jednym z tych, którzy nie wątpią, że zostaną rozpoznani od razu – któż inny mógłby to być? – od pierwszego słowa i pierwszej chwili. Przypuszczam, że pomyliłem swój i jego punkt widzenia, bo czasem jesteśmy mylnie przekonani, że wszyscy dzielają naszą niecierpliwość: od wielu godzin nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć się z nim, spotkać i zażądać wyjaśnień, a nawet stawić mu czoło. Ale Tupra pewnie wcale się nie niecierpliwił, a ja byłem tylko jeszcze jedną sprawą lub osobą do załatwienia, podwładnym wracającym do pracy po dwutygodniowym urlopie spędzonym w rodzinnym kraju, myślę, że często zdarzało mu się zapominać, że jeszcze nie byłem Anglikiem. Nie uzyskawszy odpowiedzi

i zdawszy sobie sprawę z własnej naiwności lub pychy, dodałem: – Bertram, to ja, Jack. – Zgodziłem się nazwać sam siebie imieniem, które nie do końca było moje, to najmniejsze ustępstwo, na jakie się zgodziłem, gdy w charakterze pracy zarobkowej musiałem słuchać, wytężać uwagę, interpretować i opowiadać. Ale przynajmniej jego nie nazwałem tym razem Bertiem.

– Wejdz, Jack – odpowiedział.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Siedział za biurkiem, notując coś albo pisząc na kartkach. Wcale nie podniósł wzroku, gdy wszedłem.

– Bertram... – zacząłem, ale mi przerwał:

– Chwileczkę, Jack, pozwól mi to skończyć. – Poczekalem chwilę albo dwie, a może trzy, w każdym razie dostatecznie długo, by przewidzieć, że zdarzy się to, co się zdarzyło. Usiadłem w fotelu naprzeciw niego, wyjąłem papierosa i zapaliłem. On sięgnął automatycznie po swoje ramesesy II, po czerwoną paczkę faraonów na biurku. Teoretycznie nie wolno było palić w pomieszczeniach biurowych, ale nie wyobrażałem sobie, by ktoś zabronił Tuprze wdychać i wypuszczać dym albo poskarżył się z tego powodu. Musiała być przecież jakaś korzyść z tego, że budynek nie miał nazwy i nasza grupa także, że właściwie ta grupa nie istniała mniej więcej tak samo jak grupa do czarnej propagandy PWE oraz Delmera i Jefferysa w czasie wojny. Tupra skończył wreszcie robić notatki i wtedy wyjął i zapalił jednego ze swoich wybornych papierosów. – No co tam, Jack, jak było? – W jego tonie nie było nic szczególnego, nawet pytania, jakby rutynowo interesował się jakimś prostym zadaniem zleconym mi dzień wcześniej. – W domu mi powiedzieli, że dzwoniłeś z czymś pilnym w sobotę. Problemy z twoim problemem w Madrycie?

Ja jednak nie odpowiedziałem na to pytanie, lecz bez dalszej zwłoki przystąpiłem do tego, z czym przyszedłem.

– Co się stało z Dearlove’em i z tym młodym Rosjaninem, coś ty zrobił?  
– powiedziałem. – Wrobiłeś mnie po uszy, przecież to ja poddałem ci pomysł, *joder*. – I to „*joder*”, to „kurwa”, powiedziało mi się po hiszpańsku, bo tego domagało się moje oburzenie, nawet jeżeli mówiłem po angielsku.

Na kilka sekund utkwiał we mnie spojrzenie swoich niebieskich albo szarych oczu – w tamtym świetle były szare – spod tak długich i gęstych rzęs, że wzbudzały zazdrość każdej niemal kobiety i podejrzania każdego niemal mężczyzny, owo wyblakłe spojrzenie, które wydawało się kpiarskie, nawet jeśli niezamierzenie, wyraziście nawet wtedy, gdy było bez wyrazu, jak właśnie wówczas, życzliwe albo dowartościowujące, spojrzenie oczu, którym nigdy nie było wszystko jedno, co mają przed sobą. I odparł mi tym samym, identycznym tonem, jakim powiedział kiedyś: „Tak, widziałem”, gdy któregoś ranka, przed całymi wiekami, zapytałem go w tym samym gabinecie, czy wie o nieudanym zamachu stanu w Wenezueli, bo mnie przyszło na myśl, że może ten zamach zakończył się klapą dlatego, że wcześniej myśmy nie dostrzegli – ja nie dostrzegłem – wystarczającej determinacji u generała albo kaprała Bonanzy, pierwszej osoby, którą tłumaczyłem czy też na której temat przedstawiłem zaimprovizowany raport lub zaproponowałem własną interpretację.

– Wszystkie gazety piszą o tym, co się stało. – Możliwe, że wykorzystał moje niestosowne przekleństwo po hiszpańsku, dla niego niezrozumiałe, by udać, że dotarło do niego tylko pierwsze zdanie, i zignorować całą resztę. Chociaż nie, nie udawał, to był sposób powiedzenia mi, że uważa tę resztę za niestosowną i nie zamierza jej tolerować. – Musiałeś czytać. Nawet w prasie hiszpańskiej, jak przypuszczam, czy nie mówiłeś kiedyś, że jest tam bardzo sławny? Przede wszystkim... zaraz, gdzie to było? W Kraju Basków? – Pamięć miał niezawodną. – Ty sam uprzedziłeś mnie przecież w Edynburgu, że temu Dearlove’owi tak zależy na pośmiertnej sławie, że

jest w stanie popełnić każde barbarzyństwo, by choćby z tego powodu go zapamiętano. Że nie mając szczególnej wiary w to, że jego muzyka przetrwa, gotów jest przekreślić swoje życie i przyłączyć się tym samym do klanu Kennedy-Mansfield, nie mam racji? No więc sam widzisz, miałeś oko, było jasne, że facet może źle skończyć. W dodatku na własne życzenie. – Zdążyłem już zapomnieć o mojej dodatkowej analizie, on natomiast nie zapomniał i teraz używał jej jako alibi. Zrozumiałem, że nie ma ochoty rozmawiać o tej sprawie, że nawet w ogóle nie zamierza rozmawiać, nadal byłem podwładnym wykonującym swoją pracę, za co dobrze mi płacono, nie miałem prawa pytać o cele ani o powody, a tym bardziej żądać wyjaśnień ani czynić wyrzutów, tak on to widział. Czy to z powodu pewnego szacunku dla mnie, czy z przejściowej do mnie słabości, przypominał mi, gdzie jest moje miejsce, choć nie wprost, lecz niemal milcząco, pobłażliwie. Pojąłem to jeszcze lepiej, gdy dodał: – Coś jeszcze, Jack? – Nie, nie miał w zwyczaju informować mnie, czy trafiłem w sedno, czy się pomyliłem, jakie są powody i cele, jego pakty, transakcje czy zlecenia. Już dostatecznie dużo powiedział, mówiąc: „miałeś oko”. Myślę, że to był w istocie ten jedyny raz, gdy mi pogratulował.

– Tak, jest coś jeszcze – odparłem. – Muszę wyjechać, muszę wracać do Madrytu. Tamtejsze sprawy nieco się skomplikowały, zbyt długo by opowiadać, zanudziłbym cię. Nie mogę jednak zostać w Londynie. Nie pozostaje mi nic innego, jak odejść z pracy. Dlatego dzwoniłem do ciebie do domu w sobotę, chciałem zawiadomić cię jak najwcześniej, na wypadek gdybyś miał zacząć się rozglądać za moim zastępcą, jakkolwiek w tym nie mogę ci już pomóc, rzecz jasna.

Grałem w tę samą grę co on, posłużyłem się możliwym do przyjęcia alibi, wolałem mu się nie przeciwstawiać, nie nalegać, koniec końców on już wkrótce miał być dla mnie tylko przeszłością, niemą materią, a może snem, tak jak i ja dla niego. Jestem jednak pewien, że zrozumiał, jaki jest

prawdziwy powód mego odejścia. Musiał wydać mu się absurdalny. Nie okazał tego.

– Jak sobie życzysz – powiedział zimno. – Wiesz, co robisz.

– Jeżeli chcesz, mogę nadal przychodzić, dopóki nie wyjadę – dodałem.

– Dobrze – odparł. – Tym sposobem pewne sprawy nie zostaną nie dokończone. Ale to nie jest bezwzględnie konieczne. Zrób, jak ci wygodniej. Naprawdę. – W jego tonie nie tyle brzmiała uraza, ile oschłość lub obojętność, udawana bądź właśnie nabyta, tego nie wiem. W każdym razie nowa. Było mu wszystko jedno, czy będę nadal przychodził czy nie.

– W takim razie zobaczymy. Jeżeli dam radę, to przyjdę któregoś dnia. Ale mam jeszcze wiele do zrobienia przed wyjazdem.

– Tak. Coś jeszcze, Jack? – powtórzył i wziął do ręki pióro, jakby chciał wrócić do robienia notatek, gdy tylko wyjdę z gabinetu.

I tym razem odpowiedziałem mu tak samo jak przy poprzedniej okazji:

– Nic więcej, Mr Tupra. – Tak się do niego zwróciłem.

Wstałem i ruszyłem w stronę drzwi, a kiedy miałem je otworzyć, powstrzymał mnie jego głos:

– A tak z ciekawości, Mr Deza – odwzajemnił mi się równie formalnym zwrotem, przez co zrozumiałem, że rozbawiłem go, wybierając na tę oficjalność akurat chwilę naszego pożegnania. Odwróciłem się i miałem wrażenie, że dostrzegam sam koniec, jakiś cień uśmiechu na jego miękkich mięsistych wargach, trochę afrykańskich albo raczej indyjskich, może słowiańskich albo nawet jak wargi Siuksów. – Załatwiłeś tę sprawę w Madrycie? Zająłeś się tamtym facetem swojej żony? Usunąłeś go z kadru?

Stałem krótką chwilę. Myślałem.

– Myślę, że tak – odpowiedziałem.

Teraz uśmiechnął się szeroko, machając w moim kierunku piórem, jakby mnie nim beształ:

– Uważaj, Jack. Jeżeli tylko tak myślisz, znaczy, że tego nie zrobiłeś.

Nie pojawiłem się już w budynku, tak więc Tuprę widziałem wówczas po raz ostatni. Ale teraz, w Madrycie, myślę o nim częściej, niż to sobie wyobrażałem. Pomimo tego raptownego nieco zakończenia, pomimo możliwego rozczarowania, jakie pewnie mu sprawiłem i jakie on z pewnością sprawił mnie, czuję, że jest kimś, na kogo nadal mogę liczyć. W trudnej chwili, w chwili zamętu, kłopotów, a nawet w niebezpieczeństwie. Kimś, do kogo mogę zawsze zadzwonić z prośbą o radę lub wskazówkę, szczególnie w sprawach, z którymi nie najlepiej sobie radzę, A teraz, gdy umarł Wheeler, Tupra jakby stał się dla mnie – kto wie, czy przez swój związek z Rylandsem, bratem, którego był uczniem – najbliższą po nim pozostałością, choćby tylko we wspomnieniach i w wyobraźni: jego niespodziewanym zmiennikiem lub następcą, prawie jego dziedzictwem w stałym procesie odnowy utraconych postaci naszego życia, w skandalicznym uporczywym wysiłku zapełnienia wszystkich pustych miejsc, w braku zgody na to, by zmniejszała się obsada, bez której nam kiepsko i ledwie się trzymamy; albo tak to działa, albo też jest stałym uniwersalnym mechanizmem substytucji, który dotycząc wszystkich, dotyczy też nas, i tak godzimy się na bycie nieudolną imitacją, i żyjemy otoczeni przez coraz więcej takich imitacji.

Peter umarł pół roku po moim ojcu, mimo że był od niego jakieś osiem lat starszy. Pani Berry zadzwoniła do mnie do Madrytu, była bardzo lapidarna, należała do oszczędnego pokolenia i pewnie nie zapomniała ani na chwilę, że dzwoni za granicę. A może taka po prostu była, nadzwyczaj powściągliwa. „*Sir Peter passed away last night, Jack*”, powiedziała, używając zwyczajowego eufemizmu. „Wczoraj w nocy odszedł sir Peter, Jack”, tylko tyle, a właściwie dodała jeszcze: „Chciałam tylko pana zawiadomić. Uważałam, że nie byłoby w porządku – „*fair*”, tego słowa użyła – gdyby pan myślał, że on nadal żyje, a tak już nie jest”. Chciałem się

dowiedzieć, jak to się stało i jaki był powód, ale odpowiedziała tylko: „Och, to nie było zaskoczenie. Od tygodni się tego spodziewałam” i dodała, że później do mnie napisze. Nie mogłem nawet zapytać, wobec kogo byłoby to nie w porządku, „*unfair*”, wobec Petera czy wobec mnie (ale z pewnością wobec nas obu). Po kilku dniach przypomniałem sobie, że w Anglii zwleka się dłużej z pogrzebem niż w Hiszpanii i że wobec tego mogę jeszcze zdążyć na czas do Oksfordu i wziąć udział w ceremonii. Zadzwoiłem kilka razy i o różnych porach, ale nikt nie odebrał telefonu. Może pani Berry przeniosła się do kogoś z rodziny, wyprowadziła się od razu po śmierci swego pracodawcy, i wtedy uświadomiłem sobie, że właściwie nie mam nikogo więcej, by zasięgnąć informacji. Miałem Tuprę, ale tego nie zrobiłem: nie była to, ściśle biorąc, trudna chwila, chwila zamętu, kłopotów ani niebezpieczeństwa, on ze swej strony też nie był łaskaw poinformować mnie o tej śmierci. Dopadło mnie uczucie – a może to był przesąd – że nie chcę zużywać naboju bez potrzeby, jakbyśmy obaj mieli ograniczoną ich liczbę do wykorzystania w trakcie naszego życia. Młoda Pérez Nuix też nie zadała sobie trudu, żeby mnie zawiadomić: musiała się przecież dowiedzieć, nawet jeżeli osobiście Petera nie znała. Mogłem zadzwonić do któregoś z dawnych kolegów, do Kavanagha albo do Dewara, albo do lorda Flachy Rymera, a nawet do Clare Bayes – co za pomysł! – ale zbyt dawno straciłem z nimi kontakt. Mogłem próbować skontaktować się z The Queen’s albo z Exeter, kolegami, z którymi Peter był związany, lecz byłem niemal pewien, że ich biurokracja będzie mnie beznadziejnie odsyłać od jednego biura do drugiego. Przyznaję, że nie potrafiłem się do tego zmusić: nie ma powodu, by traktować pamięć i ból jako obowiązek towarzyski. Byłem bardzo zapracowany w Madrycie. Musiałbym odkurzyć swój biret i togę. Dałem spokój.

List od pani Berry dostałem dopiero po dwóch miesiącach. Przepraszała za zwłokę, wcześniej musiała prawie wszystkim się zająć, nawet

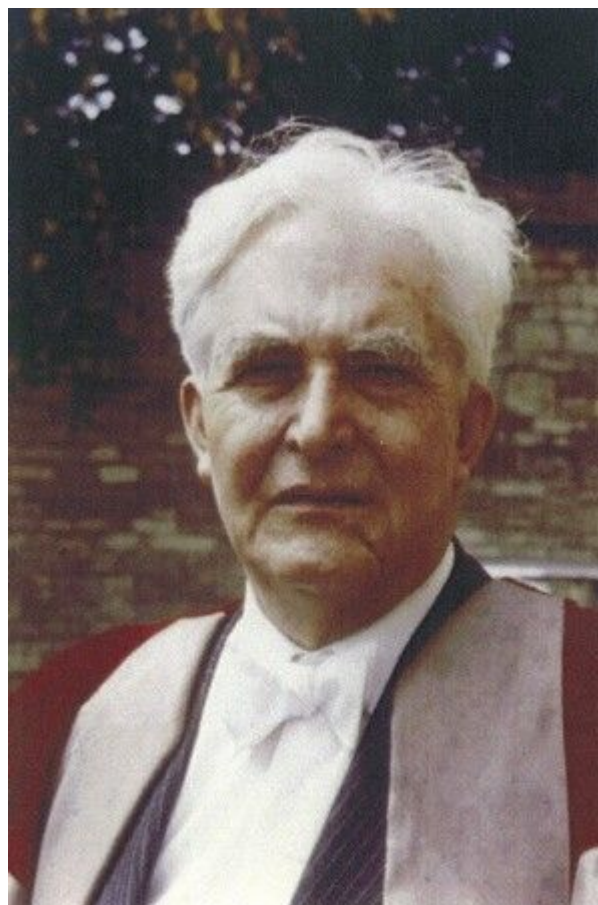


organizacją niedawnego Memorial Service, czyli ceremonii żałobnej, która w Anglii odbywa się w jakiś czas po śmierci. Była tak miła, że przysłała mi egzemplarz zawiadomienia o nabożeństwie żałobnym z listą hymnów i czytań. Jakkolwiek Wheeler nie był religijny, chciał być pochowany w obrządku anglikańskim, ponieważ, jak pisała mi pani Berry, „nie znosił improwizowanych ceremonii, tych laickich parodii pogrzebów tak dziś popularnych”. Nabożeństwo zostało odprawione w University Church of St Mary the Virgin w Oksfordzie, dobrze pamiętałem ten kościół, to tam właśnie wygłaszał kazania kardynał Newman przed swoją konwersją. Grano Bacha i Gilles’a, a także spokojny ironiczny „Carillon des morts” Michela Corrette’a, śpiewano hymny; czytano fragmenty z Eklezjastyka („...zachowa opowiadania ludzi znakomitych i wnikać będzie w tajniki przypowieści – wyszukiwać będzie ukryte znaczenie przysłów i zajmować się będzie zagadkami przypowieści... Przebiegać będzie ziemię obcych narodów, bo zechce doświadczyć dobra i zła między ludźmi... wielu chwalić będzie jego rozum i na wieki nie będzie zapomniany, nie zatrze się pamięć o nim, a imię jego żyć będzie z pokolenia na pokolenie... Za życia zostawi imię większe niż tysiąc innych, które po śmierci mu wystarczy”), a także prolog z „Celestyny” w tłumaczeniu Jamesa Mabbe’a z 1605 roku oraz fragment powieści jakiegoś współczesnego pisarza, do którego Wheeler czuł słabość, zasługi zmarłego przypomniało kilku jego dawnych kolegów z uniwersytetu, wśród nich Dewar Inkwizytor albo Młotek, albo Rzeźnik, którego mowa była szczególnie udana i wzruszająca. Wszystko odbyło się zgodnie z bardzo precyzyjnymi wskazówkami pozostawionymi na piśmie przez samego Wheelera.

Pani Berry dołączyła do listu kolorowe zdjęcie Petera („Myślę, że zechce je pan zachować”, pisała) zrobione kilka lat wcześniej. Mam je teraz oprawione w ramkę u siebie w pracowni i często na nie patrzę, żeby wraz z upływem czasu jego twarz nie zaczęła mi się zacierać i żeby inni mogli ją

jeszcze zobaczyć. Oto on w todze *Doctor of Letters*. „Uszyta jest ze szkarłatnego sukna z obszyciami albo wyłogami z szarego jedwabiu i takimi samymi na rękawach – objaśniała pani Berry. – Toga Sir Petera należała wcześniej do doktora Dacre’a Balsdona, szary kolor nieco wyblakł i wyglądał raczej jak brudny błękit albo poszarzały róż: prawdopodobnie zmokła kiedyś na deszczu. Zrobiłam to zdjęcie na Radcliffe Square w dniu, kiedy dostał tytuł. Szkoda, że zdjął do zdjęcia kwadratowy biret”. Naprawdę użyła nieprzetłumaczalnego angielskiego słowa „*mortarboard*”. Pod togą Peter ma ciemny garnitur i białą muszkę, strój noszący nazwę „*subfusc*”, obowiązkowy podczas pewnych uroczystości. W takim stroju jest teraz w mojej pracowni uwieczniony na zawsze dawno temu, gdy jeszcze go nie znałem. Naprawdę niewiele się zmienił od tamtego czasu do końca. Rozpoznaję go doskonale, gdy spogląda na mnie lekko zmrużonymi oczyma, wyraźnie widać bliznę na brodzie po lewej stronie. Nie zapytałem go w końcu, skąd się wzięła. Przypominam sobie, że wahałem się, czy o nią spytać tamtej ostatniej niedzieli po obiedzie, gdy zbierałem się, by wyruszyć na stację i wracać do Londynu, a on odprowadził mnie aż do drzwi, wspierając się bardziej niż kiedykolwiek na lasce. Zauważyłem wówczas, że nogi ma słabsze niż dawniej, jakkolwiek był w stanie poruszać się swobodnie po domu i ogrodzie, a nawet wchodzić do swej sypialni na pierwszym piętrze. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo zmęczony, i nie chciałem zmuszać go znowu do długiego mówienia, toteż przy pożegnaniu zapytałem go dodatkowo o jedną tylko rzecz:

– Dlaczego opowiedział mi pan to wszystko dzisiaj, Peter? Słuchałem z wielkim zaciekawieniem, naprawdę, miałbym ochotę dowiedzieć się wiele więcej. Ale wydaje mi się dziwne, że dziś opowiedział pan o tylu rzeczach, o których nigdy nie wspomniał pan ani słowem podczas tylu lat naszej znajomości. A kiedyś powiedział pan nawet: „W gruncie rzeczy człowiek nie powinien nigdy niczego opowiadać”. Pamięta pan?



– To prawda, Jacobo, nie powinno się nigdy niczego opowiadać... póki samemu nie jest się przeszłością, póki nie nastąpi koniec. Mój koniec się zbliża, już uporczywie puka do drzwi. Musisz zacząć rozumieć słabość, przyjdzie dzień, gdy dosięgnie i ciebie. A kiedy ta chwila nadchodzi, trzeba zdecydować, czy coś ma zostać wymazane na zawsze, jakby nigdy się nie wydarzyło ani nie miało miejsca na ziemi, czy może ma dostać szansę na to, by... – zawahał się, chwilę szukał słowa, chyba nie znalazł tego właściwego, zadowolił się zbliżonym: – ...płynąć. By ktoś jeszcze mógł to zgłębić, opowiedzieć. By nie zostało całkowicie stracone. Zrozum mnie dobrze: o nic cię nie proszę, ani o to pierwsze, ani o drugie. Nie jestem nawet pewien, czy dobrze zrobiłem, to znaczy czy zrobiłem to, co chciałem. Na tej ostatniej prostej już nie wiem, jakie mam pragnienia ani czy w ogóle jakieś mam. To dziwne, wydaje się, że pod koniec woła człowieka ulega

wyhamowaniu, wycofaniu. Kiedy stąd wyjdiesz i znikniesz mi z oczu, najpewniej będę tego żałował. Ale mogę być pewien, że Mrs Berry, która o większości spraw wie, nigdy nie powie nikomu ani słowa, gdy mnie już nie będzie. Ciebie natomiast nie jestem taki pewny, pozostawiam ci zatem wybór. Możliwe, że wolę, byś zachował to dla siebie, tak, to całkiem możliwe. Ale zarazem uspokaja mnie myśl, że z tobą moja historia jeszcze mogłaby... – Znowu zaczął szukać innego, lepszego słowa, ale nie trafił na nie: – ...tak, że jeszcze mogłaby płynąć. I w istocie rzecz sprowadza się tylko do tego, Jacobo: do płynięcia.

A ja pomyślałem i nadal w drodze powrotnej do Paddington myślałem w pociągu: Wybrał mnie, żebym mu posłużył za obwódkę, za coś, co nie chce zejść, zetrzeć się i zniknąć, co przyczepia się do płyty albo do podłogi i czego najtrudniej się pozbyć. Nie wie nawet, czy chce, żebym podjął się jej zmycia – „konstytucja milczenia” – czy żebym nie tarł zbyt mocno i zostawił jakiś cień śladu, jakieś echo echa, fragment obwodu, minimalne zakrzywienie, jakiś szczątek, popiół, wszystko, co mogłoby mówić: „Byłem tu” albo: „Wciąż tu jestem, a zatem to pewne, że byłem: ty mnie widzisz i wtedy mnie widziałeś” i nie pozwoliłoby pozostałym, byśmy powiedzieli: „Nie, tego nie było, nigdy nie miało miejsca, nie przemierzyło świata ani nie postawiło stopy na ziemi, nie istniało i nigdy się nie wydarzyło”.

Pani Berry napisała mi też w liście o plamie krwi na schodach. Tamtej ostatniej niedzieli, kiedy ich odwiedziłem, słyszała niechcący część naszej rozmowy, gdy krzątała się po kuchni, wchodziła i wychodziła (posłużyła się czasownikiem „*to overhear*”, który implikuje mimowolność), i usłyszała, jak Wheeler wspomniał mimochodem tę plamę, jakby była wytworem mojej wyobraźni („Dokładnie w miejscu, gdzie jak mówisz, widziałeś...”). Ciężko jej, że swego czasu mnie okłamała, udała, że o niczym nie wie, może kazała mi zwątpić, czy widziałem to, co widziałem. Prosiła mnie o wybaczenie. „Sir Peter umarł na raka płuc – pisała. – Właściwie był tego świadom, ale nie chciał wiedzieć. Nie było mowy, żeby poszedł do lekarza, wreszcie to ja sprowadziłam znajomego lekarza do domu, kiedy było już za późno i nic już nie dało się zrobić, i lekarz ukrył przed nim diagnozę (bo i po co było mu mówić) i tylko mnie ją potwierdził. Na szczęście umarł szybko z powodu rozległego zatoru płucnego, jak dowiedziałam się później od doktora. Nie cierpiał w długiej agonii i był w relatywnie dobrym stanie do końca”. Czytając to, przypomniałem sobie, że gdy Wheeler doznał pierwszego ataku afazji w mojej obecności – nie był wtedy w stanie wymówić głupiego słowa „poduszka” – zapytałem go, czy był z tym u lekarza, a on odpowiedział mi beztrąsko: „Nie, fizjologia nie ma tu nic do rzeczy, wiem to na pewno. To trwa tylko chwilę, jakby wola odmawiała mi posłuszeństwa. To jakby zapowiedź albo przedsmak...”. A gdy nie dokończył zdania i ja zapytałem go, o czego przedsmak mu chodzi, odpowiedział mi, nie odpowiadając zarazem: „Nie pytaj o to, co dobrze wiesz, Jacobo, to nie w twoim stylu”.

„Cały niemal czas jedynym właściwie objawem choroby – ciągnęła pani Berry i używała terminu, którego musiała się nauczyć od swego

zaprzyjaźnionego lekarza – była pojawiająca się niekiedy krwawa plwocina, czyli kasłanie krwią”. A ja, czytając ten fragment, pomyślałem: Tak wiele z tego, co nas dotyka i określa, jest ukryte. „To było zazwyczaj mimowolne i następowało przy szczególnie silnym krótkim odkaszlnięciu, czasem nawet nie zdawał sobie z tego sprawy: proszę pamiętać, że Sir Peter, mimo że na to nie wyglądał, był już bardzo stary. Chociaż więc trudno o całkowitą pewność, możliwe, że taką właśnie plamę znalazł Pan owej nocy na podeście schodów i starannie ją wyczyścił. Bardzo Panu za to dziękuję, bo należało to do moich obowiązków. Zwyczajnego dnia nic takiego nie uszłoby zapewne mojej uwagi, lecz tamtej soboty bardzo mnie pochłoneły przygotowania do kolacji, było tyle ludzi, i jeżeli dobrze pamiętam, wskazał Pan na drewnianą część podłogi, nie na tę przykrytą dywanem, gdzie plama byłaby bardziej widoczna. Jednakże podczas Pańskiej ostatniej wizyty, gdy usłyszałam, jak Sir Peter mówi Panu o krwi swojej żony na podeście schodów, sześćdziesiąt lat wcześniej i w innym domu, to, cóż, zaniepokoiłam się, że uzna Pan, że widział coś nadprzyrodzonego albo miał widzenia, i dlatego musiałam Pana powiadomić o innej możliwości. Ufam, że mi Pan wybaczy tamto udawane niedowierzanie. Nie mogłam wówczas wspomnieć o czymś, o czym Sir Peter wolał nie wiedzieć. Tak, naprawdę postanowił nie wiedzieć do końca. I rzeczywiście umarł, nie wiedząc, że umiera, umarł, nie wierząc, że to się dzieje. Szczęściarz z niego” („*Lucky him*”, pisała). I wtedy przypomniałem sobie dwie rzeczy, które usłyszałam z ust Wheelera przy innych okazjach i w innych sytuacjach: „Wszystko może być zniekształcone, wykrzywione, unieważnione, wymazane, jeżeli z twoją wiedzą lub bez niej – zostałeś już skazany, a jeśli nie wiesz, i tak jesteś bezbronny, zgubiony”. Wyraził również taką oto opinię lub sąd: „Tak więc dziś nikt nie chce dowiedzieć się tego, co widzi, co się dzieje ani co w głębi ducha wie, czego chwiejność i zmienność intuicyjnie wyczuwa, albo co może nawet być niczym albo

czego w ogóle mogło nie być. Nikt nie jest gotów, by wiedzieć coś na pewno, bo skasowano wszelkie pewniki, jakby były rozsadnikami dżumy. I tak to się toczy, tak toczy się świat”.

Tak, teraz znów mieszkam w Madrycie i tu również wszystko na to wskazuje, tak przynajmniej sędzę. Zacząłem ponownie pracować z dawnym współnikiem, finansistą o nazwisku Estévez, raz już pracowaliśmy razem przez kilka lat, po moim pobycie w Oksfordzie, kiedy się ożeniłem z Luisą. Już nie każe się nazywać „siłą napędową” jak na pierwszym etapie naszej działalności, stał się zbyt ważną figurą na takie tytułarne kadzenie, nie jest mu potrzebne. Skontaktowałem się z nim z Londynu, by sprawdzić różne możliwości wobec zbliżającego się powrotu: jakkolwiek miałem sporo oszczędności, to przewidywałem dużo wydatków w Madrycie. Kiedy opowiedziałem mu przez telefon, tak z grubsza, co się ze mną działo ostatnimi czasy, zauważyłem, że moja praca dla MI6 zrobiła na nim wrażenie, mimo że byłem zatrudniony w grupie tak dziwnej i nieznannej jak budynek bez nazwy, o którym nie wspominają nigdy żadne książki – tak eterycznej, widmowej, że nawet nie wymagała od swoich członków brytyjskiego obywatelstwa ani żadnej przysięgi – i że nie mogłem przedstawić mu żadnych dowodów, mogłem tylko powiedzieć, co wiem. Zresztą nie chciałem podawać wielu szczegółów, a może podałem mu zmyślane. Tak czy inaczej włączył mnie natychmiast do swoich projektów i liczy się z moim zdaniem, przede wszystkim w tym, co się tyczy ludzi. Wciąż zatem od czasu do czasu interpretuję dla niego ludzkie charaktery, a on, mając na względzie moje poprzednie zatrudnienie – rejestr wcześniejszych doświadczeń – słucha mnie jak wyroczni. Zarabiam dostatecznie dużo pieniędzy, by móc zainwestować w botoks dla Luisy, gdyby pewnego dnia miała taką zachciankę, lub w cokolwiek innego, co poprawiłoby jej wygląd, gdyby nagle wpadła w panikę, chociaż nie sędzę, to nie leży w jej naturze. Dla mnie jej wygląd wciąż jest tak dobry jak przed

moją wyprawą, znaczy przed wyprawą do Anglii oraz z domu. I ten dawno nieoglądany – lecz oglądany przez innego mężczyznę pod moją nieobecność – też wydaje mi się równie dobry. Jeśli mówię, że nie żyję samotnie, lecz półsamotnie, to dlatego, że prawie codziennie odwiedzam albo zabieram gdzieś dzieci, a w niektóre popołudnia przychodzi do mnie Luisa, zostawiwszy dzieci z inną opiekunką, surowa Polka Mercedes bowiem wyszła za mąż i usamodzielniała się, ma chyba własną firmę.

Tak właśnie chce Luisa: żeby każde z nas mieszkało u siebie, może dlatego nie powiedziała mi tego, co tak bardzo pragnąłem od niej usłyszeć albo przeczytać podczas początkowo samotnych, a potem pełnych zgryzot czasów w Londynie: „Przyjedź, chodź, wcześniej tak bardzo się myliłam. Zajmij znowu miejsce przy moim boku, tu masz swoją poduszkę, nie został na niej nawet ślad, wcześniej nie umiałam wyraźnie cię zobaczyć. Chodź. Chodź do mnie. Nie ma tu nikogo, wróć, duch już sobie poszedł, możesz zająć jego miejsce i przepędzić jego ciało. On stał się nikim i jego czas już nie biegnie. Już nie ma tego, co było. Myślę, że możesz zostać tu na zawsze”. Nie, nie powiedziała mi tego ani nic podobnego, ale powiedziała inne rzeczy, czasem zdumiewające: w tych najlepszych, najbardziej płomiennych lub radosnych momentach, kiedy przychodzi do mnie, jak wcześniej musiała miesiącami przychodzić do Custardoya, mówi: „Obiecuj mi, że tak będzie zawsze, tak jak teraz, że nigdy już nie zamieszkamy razem”. Może ma rację, może to jedyna forma, by dbać o siebie nawzajem: nie uważać za pewny naszego związku ani nawet obecności.

Nie zapomniałem, co powiedział mi Custardoy, nie zapomniałem ani jednego słowa, każda zapisana przez mózg informacja pozostaje w nim aż do chwili, gdy dosięgnie jej zapomnienie, a zapomnienie zawsze jest na poły ślepe; nie zapomniałem jego insynuacji, właściwie więcej niż insynuacji („Każdy ma swoje upodobania seksualne – wypalił z madrycką buńczucznością, zdania wlokły się jak muzyka z pozytywki – z jednymi



partnerami je ujawnia w pełni, z innymi nie. Z tobą ich nie ujawniała? No cóż, chłopcze, rozumiem, nic na to nie poradzę, nie wiedziałem”), i czasem korciło mnie, żeby zadać Luisie trochę bólu, odrobinę, jakby niechcący, przez roztargnienie lub przypadkiem, korciło, by zobaczyć, jak zareaguje, czy przyjmie to bez protestu i wstrzymując oddech, korciło, by się przekonać, co robi odruchowo. Ale zawsze się powstrzymywałem i tak też będzie nadal, jestem pewien, bo inaczej na swój sposób dałbym wiarę Custardoyowi i wystawił się na działanie nowej trucizny, dość mi już było trucizny Tupry, a raczej Reresby’ego, tamtej nocy. I to by również stwarzało niebezpieczeństwo, aczkolwiek mało prawdopodobne: że sam zajmę miejsce tego człowieka, którego tak się obawiałem, tego dewianta stworzonego przez moją wyobraźnię, który może pojawić się jakiejś deszczowej nocy, gdy siedzi się w domu, i zacisnąć wielkie łapska na szyi Luisy – jego palce jak klawisze fortepianu – gdy tymczasem dzieci – moje dzieci – będą się przyglądały temu z kąta pokoju wciśnięte w ścianę, jakby chciały, żeby ustąpiła i znikła, a wraz z nią ten okropny widok i więznący im w gardle szloch, zły sen, i to przeciągłe rżenie, które wydobywa się z ust ich umierającej matki. („Wprawdzie nie jest to naszym pragnieniem, ale zawsze wolimy, żeby śmierć spotkała tego innego obok nas – powiedział tamtej nocy Reresby. – ...A nawet ukochaną, tak, ją również, byle nie nas”). Nie, nie wolno nam się ześlizgnąć, zbliżyć, igrać z czasem, pokusą ani z okolicznościami, które mogą w końcu doprowadzić do spełnienia się jakichś możliwości, które ma się we krwi, my mamy we krwi, a ja mam w niej możliwość zabicia, teraz to wiem, wiedziałem już wcześniej, a teraz wiem to bardziej. Lepiej się wystrzeżać i trzymać z daleka, lepiej tego unikać i nie ocierać się o to nawet w snach („Śnij, śnij dalej o krwawych czynach i śmierci”), by nawet w snach nie mogli nam powiedzieć: „Twoja żona, ta nieszczęsna Luisa, twoja żona, Jacques albo Jacobo, albo Jack, Jagonie albo Jaime, która nigdy nie spała przy tobie

spokojna, bo te imiona cię nie zmieniają... Niech jutro spadnę ołowiem na twą duszę i obyś poczuł ukłucie w swej piersi: rozpaczaj i giń”. Ale nie, to się nie stanie, to się nie dzieje. Lepiej trzymać się z daleka.

Któregoś dnia zawędrowałem w jego okolice, w okolice Custardoya, zazwyczaj w miarę możliwości staram się ich unikać, co nie jest takie łatwe, bo to samo centrum miasta. Staram się ich unikać nie z jakiejś istotnej przyczyny, tylko dlatego, że miejsca stają się naznaczone tym, cośmy w nich robili, a jeszcze bardziej tym, co nam w nich zrobiono, i wtedy powstaje coś, co leciutko przypomina – to tylko cień, marna imitacja, bzdura, nie ma porównania – urazę do miejsc, nienawiść przestrzenną, taką, jaką poczuli naziści do wioski Lidice, więc obrócili tę wioskę w gruzy, zrównali z ziemią i wymazali z mapy, jaką poczuli do wielu innych miejscowości w Europie, nienawiść przestrzenną, jaką Valerie Harwood mogła czuć do Milton Bryant i Woburn, a Peter Wheeler do Plantation Road, pięknej cienistej ulicy w Oksfordzie, a ja do budynku bez nazwy w pobliżu Vauxhall Cross i do nierozważnej siedziby Secret Intelligence Service nad Tamizą, siedziby o wyglądzie przypominającym latarnię morską albo ziggurat, w zasadzie nigdy się tam nie zapuszczam, gdy zdarza mi się przyjechać do Londynu, wrócić tam z Luisą lub bez niej, mam tam trochę pieniędzy na rachunkach bankowych, nigdy nie wiadomo, czy nie trzeba będzie wyjeżdżać w pośpiechu z Hiszpanii. A przecież naprawdę czułem coś na kształt nienawiści przestrzennej do ulic Bailén i Mayor, to było podświadome, w gruncie rzeczy podoba mi się ta okolica, pomimo że różni głupi burmistrzowie, ich urbaniści i sprzedajni architekci zniszczyli ją rozmyślnie jak tylko się dało. Mijałem Pałac Królewski, gdzie czasem zachodzę na różne wystawy, to budynek, którego nie widać z żadnego innego miejsca w Madrycie, tylko jak się w nim jest – oto jeden z wielu widoków, które ci głupi burmistrzowie, ich urbaniści oraz sprzedajni architekci ukradli bez skrępowań mieszkańcom Madrytu oraz

przybyszom, i to idiotycznie. Wracalem po załatwieniu kilku spraw po drugiej stronie plaza de España, gdy natknalem się na dwie policjantki na koniach – patrolują tę okolicę, odkąd cały ruch samochodowy schowano pod ziemią, ot, miasto tuneli – białym i czarnym, i przeszedłem tak blisko tego białego, że prawie się o niego otarłem i poczułem jego oddech, człowiek uświadamia sobie, jakie to wysokie zwierzęta, dopiero kiedy znajdzie się tuż obok. Nie zdążyłem zrobić pięciu kroków, gdy za plecami wyczułem ich wzburzenie lub niepokój: czyjś pies zaczął na nie szczekać i za nimi gonić, biały koń się przestraszył, stanął dęba i o mało nie poniósł, ruszył przed siebie, ale przebiegł tylko kilkanaście metrów, gdy tymczasem pies – tis, tis, tis, lekkie stąpięcia, był jak pointer Pérez Nuix, tylko z brązową głową w cętki – szalał jeszcze bardziej z powodu tych wstrzymywanych gonitw ze ślizganiem się i stukotem prawie galopujących kopyt, wściekle ujadał. Policjantka powściągnęła natychmiast konia, choć nie bez lekkiego niepokoju i wysiłku: kazała mu zrobić kilka kółek, żeby tym sposobem zmusić go do wyjścia z galopu i uspokoić, a właścicielka psa odciągnęła zwierzę na smyczy i położyła kres atakom – tis, tis, tis brzmiało teraz dużo smutniej – i kazała mu być cicho. Drugi koń, ten czarny, w ogóle się nie zaniepokoił ani zaczepkami pointera, ani spłoszeniem się swego towarzysza, nie był taki delikatny. Stukot kopyt szybko zwolnił i gdy ucichła już chwilowa wrzawa, policjantka i jej koń przystanęli na krótko, ich sylwetki rysowały się na tle królewskiej fasady, ona głaskała końską szyję pod okiem dwóch wartowników w dziewiętnastowiecznych strojach, nieprzeniknionych i nieruchomych przy swoich budkach strażniczych u wejścia do Pałacu Królewskiego. Nie znajdowaliśmy się tak daleko od pomnika kapitana Melgara z jego nieproporcjonalnie małym legionistą, swego rodzaju karła Beau Geste, który stara się wspiąć ku brodzie, a raczej wąsom kapitana.

Wtedy wśród ludzi, którzy przystanęli na widok tego niegroźnego incydentu (ja wśród nich), dostrzegłem występującego do przodu mężczyznę, taki typ widza, który samorzutnie pojawia się przy każdym zdarzeniu lub sprzeczce, by wziąć sprawę w swoje ręce, jakby taką postawą chciał zakomunikować: „Ja to załatwię w sekundę” albo: „Nauczę rozumu tych furiatów, przywrócę spokój i wprawię w zachwyt gapiów”. Jego interwencja nie była potrzebna, policjantka radziła sobie z opanowaniem wierzchowca, ale człowiek ten już do nich podszedł, w trzech susach, i jakby był ekspertem od tresury koni albo kimś w tym stylu, już klepał zwierzę po szyi, głaskał je po pysku i szeptał do niego tajemne albo banalne słowa. Pierwszą rzeczą, jaka wzbudziła moją czujność, była rękawiczka, czarna skórzana rękawiczka rzucała się w oczy na tle białej sierści konia, był wiosenny dzień, pochmurny, ale nie zimny, noszenie rękawiczek wydało mi się ekscentryczne, a tym bardziej tylko jednej rękawiczki, bo gdy wyciągnął drugą rękę, prawą, i położył ją na grzbiecie, zobaczyłem, że jest goła, i zdążyłem pomyśleć: Dużo jednoręcznych... Możliwe, że jego lewa dłoń nigdy się nie wygoiła i dlatego nosi rękawiczkę, żeby ukryć deformację albo blizny, kto wie, może nigdy jej nie odsłania. Wtedy odwrócił się w moją stronę, właśnie w chwili, gdy to myślałem, to było prawie równoczesne – nie w stronę kogoś innego, lecz do mnie, jakby dostrzegł mnie już wcześniej, przed całym zdarzeniem, a może przyszedł tu za mną – i spojrzał na mnie tymi charakterystycznymi obleśnymi, szorstkimi i zimnymi oczyma, ogromnymi i ciemnymi, szeroko rozstawionymi i niemal bez rzęs, a te dwa elementy, brak rzęs i szerokie rozstawienie, czynią właśnie jego spojrzenie nieznośnie obleśnym, gdy spogląda na kobiety, które uwodzi albo kupuje, a możliwe, że i wtedy, gdy patrzy na mężczyzn, z którymi rywalizuje, a ze mną nie tylko rywalizował, on w dodatku mnie nienawidził z taką samą wściekłą intensywnością jak wówczas, gdy patrzyliśmy na siebie ostatni raz przy tej jedynej okazji,

kiedy byłem u niego w domu ze starym pistoletem marki Llama i pogrzebaczem w ręku, i w rękawiczkach takich jak rękawiczki Reresby'ego w toalecie dla niepełnosprawnych i jak teraz ta jego rękawiczka bez pary. Ale to nie była taka sama nienawiść, nie była identyczna: tam, przed Pałacem Królewskim, już nie była starcza ani bezsilna, ani bez konsekwencji, ani sfrustrowana, nie była też zabarwiona obawą ani strachem, nie była jak nienawiść dziecka uwięzionego w swoim dziecięcym ciele ani jak wściekłego nastolatka, który przygląda się mknącemu przed jego oczami światu, który nie jest łaskaw go do siebie dopuścić, ani jak nienawiść więźnia, który wie, że nikt nie czeka ani nie odmawia sobie niczego dlatego, że jego nie ma; jego spojrzenie nie było już mętne, lecz jednoznaczne i wyraźne.

Trwało kilka sekund, nim go rozpoznałem, ponieważ Custardoy nie nosił teraz kapelusza ani kucyka, nie miał nawet wąsów, a raczej zaledwie ich cień, jakby zaczynał znowu zapuszczać zarost po jakimś czasie dokładnego golenia. Głaskał konia lewą dłonią okrytą rękawiczką i mruczał krótkie zdania, ale nie wiedziałem, czy kieruje je do zwierzęcia czy do policjantki – ona chętnie mu na to pozwalała, może już uwiedziona, miała długie buty jak buty tamtej dalekiej angielskiej Cyganki w Oksfordzie – czy może do mnie, wiedząc, że nie mogę ich usłyszeć. I widząc, jak na mnie patrzy, z nienawiścią, ale i z czymś jeszcze, z bezczelnością, z groźbą i bez pośpiechu, gotów *linger and delay*, jak długo mu się spodoba i jak długo będzie trzeba, zmieniłem się z pewnością na twarzy i pomyślałem: Niech to szlag, nie pozbyłem się go z kadru, nie do końca, nie upewniłem się całkowicie. Nie można wykluczyć, że ten człowiek któregoś dnia ośmieli się przyjść po mnie albo po nas oboje, po mnie i po Luisę, albo po całą czwórkę, możliwe, że po dzieci też przyjdzie. Upokorzyłem go, zrobiłem mu krzywdę i zabrałem mu osobę, którą kochał. Powinienem był usunąć go albo wymazać z kadru na zawsze, jakby chodziło o plamę krwi. I nagle jak

błyskawica mignął mi w pamięci obraz – jak błyskawica, bo taki krótki, nie taki błyskotliwy, był przerażający, obrzydliwy, plugawy; albo był jak błysk bez grzmotu, co rozrywa bezgłośnie – mignął mi obraz, który widziałem na nagraniach Tupry, ten z naprowadzonym koniem i bezbronną kobietą, i Custardoy skojarzył mi się – nic na to nie mogłem poradzić – z tamtymi dobrze ubranymi mężczyznami oglądającymi spektakl pod biało-czerwono-zielonym zadaszeniem, mieli wąsy i większość nosiła kowbojskie kapelusze, mimo że teraz Custardoy nie nosił kapelusza ani wąsów, ale ja go z nimi widziałem, widziałem też ślady po jego agresji. To jest właśnie najgorsze, że gdy już raz trucizna wniknie do twego organizmu, czy to przez oczy, czy przez uszy, nie sposób jej się pozbyć, zostaje w środku i nic na to nie poradzisz, przenosi się bowiem i zatrzuwa każdą rzecz i osobę, przypominając, powtarzając, nalegając: „Niech to ciąży ołowiem na twej duszy”.

Ja też stałem tam przez kilka sekund, patrząc, później się odwróciłem i poszedłem w swoją stronę. Nie wiem, czy patrzyłem z nienawiścią, ale możliwe, że tak, to bardzo prawdopodobne, szczególnie że potem on zrobił coś, co mnie zaniepokoiło i wcale mi się nie spodobało: gołą zdrową ręką, tą, którą malował, wyjął z kieszeni spodni zegarek z dewizką i sprawdził na nim godzinę z dziwnym natężeniem. Najpierw pomyślałem, że to jego kolejne dziwactwo, jeszcze jedno: skoro zrezygnował z kucyka, musiał jakoś zaznaczyć swój artystowski wygląd – tak nazwała ten wygląd moja siostra, jeszcze zanim go zobaczyłem; i z jego głupiego archaicznie „cygańskiego” punktu widzenia taki zegarek noszony w XXI wieku musiał się do tego nadawać bez wątplenia. Zaraz jednak przyszła mi na myśl inna ewentualność: możliwe, że nie nosi zegarka na rękę z tego samego powodu, dla którego nosi rękawiczkę, pomyślałem, bo ilekroć chciałby sprawdzić godzinę, musiałby rękę unieść. Może naprawdę nie udało się uratować tej dłoni, może okaleczyłem go na dobre, jakkolwiek po szramie, którą

zrobiłem mu na policzku, nie został nawet ślad. Tak czy inaczej nie podoba mi się ta scena, to, jak on patrzy na trzymany w ręku stary zegarek, bo może odliczać mój czas. Nie chciałem dłużej tego oglądać, a gdy już odszedłem kilka kroków, znowu pomyślałem, może w charakterze egzorcyzmu, choć raczej dla dodania sobie animuszu: Ale teraz wiem, że w szale wściekłości i gniewu ja też jestem zdolny odmierzyć jego czas; już raz go mierzyłem i wstrzymałem odliczanie, on dobrze to wie, miał szczęście, bo mało brakowało, a odliczyłbym do końca. To go zniechęci do zbliżania się do mnie. A jeżeli pewnego dnia się zbliży, zobaczymy, kto pierwszy będzie musiał porzucić swe imię.

Można żyć z odroczoną w czasie groźbą, bo zawsze możliwe, że się nie spełni, i tak właśnie należy myśleć. Czasem widzimy, co nadchodzi, a przecież i tak nie zwracamy uwagi, pewnie nie tylko z powodu, o którym mówił Wheeler, ponieważ nie znosimy pewności, ponieważ nikt już nie ma śmiałości powiedzieć ani przyznać, że widzi to, co widzi, co po prostu jest, może niewypowiedziane albo niedopowiedziane, ale przecież jest; ponieważ nikt nie chce wiedzieć, a już żeby wiedzieć coś z wyprzedzeniem... no cóż, to wzbudza przerażenie, przerażenie moralne i horror biograficzny; ponieważ wszyscy wolimy być kompletnymi *necios* w ścisłym łacińskim tego słowa znaczeniu, które wciąż jeszcze pojawia się w słownikach: „Ignorant, ktoś, kto nie wie tego, co można i należy wiedzieć”, czyli ktoś, kto świadomie i rozmyślnie nie chce wiedzieć, ktoś, kto unika wiedzy i czuje odrazę do nauki. „*Un satisfecho insipiente*”, zadowolony kiep, jak powiedział Wheeler z właściwą sobie pedanterią, do której często tęsknię. Nie, może również dlatego, że obawiamy się zmarnować życie na środki ostrożności i podejrzania, i na nasze wizje, i strachy, i dlatego, że mamy jasną świadomość, że wszystko będzie miało koniec, a wtedy, gdy będziemy się żegnać, gdy będziemy przeszłością albo nasz koniec będzie się powoli zbliżał i pukał już uporczywie do drzwi,

wszystko wyda nam się daremne i naiwne: dlaczego to zrobiła, powiedzą o tobie, po co tyle szarpaniny i przyspieszony puls, po co to drzenie i łomotanie serca; a o mnie powiedzą: dlaczego mówił albo się nie odzywał, dlaczego czekał tak długo i wiernie, po co ten zawrót głowy, tyle wątpliwości i taka męka, dlaczego podjął akurat takie kroki i dlaczego aż tyle? A o nas obojgu powiedzą: skąd ten cały konflikt i starcie, dlaczego walczyli, zamiast po prostu patrzeć i być cicho, dlaczego nie potrafili się spotkać albo nadal się widywać i na co było tyle marzeń i tyle snów, i tamto zadraśnięcie, mój ból, moje słowo, twoja gorączka, nasza trucizna i ten cień, i tyle wątpliwości, i tyle udręki?

Tamtego popołudnia byłem umówiony z Luisą: widujemy się dwa albo trzy razy na tydzień, odkąd trwa ten długi już rozejm, którym się cieszymy. Mało tego, ona ma klucze do mnie i zdarza jej się czasem przyjść wcześniej, wtedy czeka na mnie już w domu, dokładnie tak jak wedle Tupry owej nocy trucizny i tańca miał na mnie jakoby ktoś czekać w Londynie, gdy tymczasem nie było wtedy nikogo, kto by czekał albo mógł zgasić światło, kiedy mnie nie było, światło, które zawsze zostawiałem zapalone, żeby nie być w całkowitej ciemności. Nikt nie miał do mnie kluczy i nikt na mnie nigdy nie czekał. Dozorca powiedział do mnie: „Żona, znaczy pańska przyjaciółka, jest na górze. Dałem jej przesyłkę, którą dla pana przynieśli, wzięła ją ze sobą na górę”. Ten człowiek wyczuwa w nas coś małżeńskiego, ale ten układ nie jest dla niego jasny, nie ma pewności. Powiedziałem mu, że Luisa to moja żona, ale i tak nie jest całkiem pewien, a może nie rozumie, dlaczego w takim razie Luisa przychodzi i wychodzi.

Nim jeszcze otwarłem drzwi, usłyszałem, jak Luisa coś w środku podśpiewuje, teraz często sobie nuci i znowu dużo się śmieje ze mną albo beze mnie, jak przypuszczam, już mi nie skąpi swego śmiechu i ufam, że tak już zostanie, może na zawsze, tak sobie myślę. Jej powrót wcale nie przypomina powrotu Beryl do Tupry zgodnie z moimi zamierzczłymi



analizami i nigdy się nie dowiedziałem, czy faktycznie do siebie wrócili; tu nie ma prawdziwej ani udawanej interesowności, ani nie odbywa się to w tajemnicy. Bez wątpienia dobrze Luisie robi i bawi ją to nasze widywanie się w taki sposób, od czasu do czasu, nasze niemieszkanie już razem, jakkolwiek nie wiem, czy pewnego dnia jej to nie zmęczy, zaczyna zostawiać u mnie swoje ubrania. Z mojego punktu widzenia tak jest dobrze, koniec końców w Londynie przyzwyczailem się być bardzo samotny, jak paternalistycznie mówił na początku Wheeler, i chwilami znowu mi to potrzebne, myślę, że nie potrafiłbym wytrzymać, że ktoś stale mi towarzyszy, że nie mogę nigdy samotnie przyglądać się przez okno światu, żywemu światu, który wie, dokąd zmierza, i do którego jak sądzę, nadal należę. Otwarłem drzwi i na niskim stoliku w salonie zobaczyłem przesyłkę oddaną przez dozorcę Luisie, która teraz była w kuchni, nadal coś sobie śpiewała, nie zauważyła mego przyjścia. Rzuciłem na paczkę okiem, przysłała z Berlina, buty od von Truschinsky'ego, u którego, skoro ma już moje wymiary, zamawiam jeszcze z rzadka jakąś parę, są bardzo drogie. Gdy je dostaję, zawsze myślę o Tuprze, chociaż i tak mam go właściwie ciągle w pamięci, jakby chodziło o przyjaciela, na którego – dziwna rzecz – nadal się liczy i do którego wciąż można się zwrócić. Nie zrobiłem tego na razie.

Tamtego popołudnia pamiętałem o nim jeszcze bardziej po milczącym spotkaniu z Custardoyem przy dwojgu albo trojgu zwierząt w charakterze obojętnych świadków. Po drodze do domu jeszcze chwilę mnie to zaprzętało, pomyślałem: Z wielką chęcią zobaczyłbym na twarzy Custardoya i w jego zachowaniu ten strach, jakiego nie chciałem napędzić De la Garzy, gdy poszedłem do niego do ambasady, tę panikę, którą ku własnemu obrzydzeniu wtedy w nim wzbudziłem. Ale Custardoyowi cały strach już przeszedł, a jeżeli coś zostało – a musiało coś zostać, nie ma siły – on nie daje tego po sobie poznać. Nic nie wychodzi tak, jak chcemy albo

jak to sobie zakładamy, a może po prostu jestem wciąż zanadto niezdecydowany, Tuprze nigdy nie przytrafiłoby się nic podobnego, on usunąłby go z kadru, skoro miał go już raz przy samej krawędzi, a ja będę teraz musiał pilnować wszystkich czterech rogów, na wypadek gdyby chciał znowu wślizgnąć się do środka, tym razem będę musiał pilnować z mieczem i włócznią, jakkolwiek to nie musi zdarzyć się szybko, bo człowiek nigdy nie wyzbywa się strachu do końca, gdy już raz poznał jego smak. Wciąż jeszcze te myśli chodziły mi po głowie. Luisa zauważyła, że jestem przygaszony, może nawet lekko czymś zmartwiony, bo niespecjalnie reagowałem na jej żarty, znowu chętnie sobie ze mnie żartuje.

– Co ci jest? – zapytała. – Czy coś ci się stało?

– Coś? – odpowiedziałem ni to podejrzliwie, ni to w roztargnieniu. – Co masz na myśli?

– Mam na myśli coś złego.

Tak, przydarzyło mi się coś złego i nie, nic mi się złego nie stało. W każdym razie nic nienormalnego. Ktoś wyrządza ci krzywdę i stajesz się wrogiem. Albo ty wyrządzasz krzywdę i stwarzasz sobie wroga. To proste jak oddychanie, dzieje się częściej, niż nam się wydaje, często bez naszej woli i świadomości, oplaca się być uważnym i przyglądać się twarzom, a i tak nie zawsze to zauważamy. Ja zauważyłem tego popołudnia, a to już coś. Jednakże nie mogłem tego powiedzieć Luisie, nie mogłem z nią o tym porozmawiać, nie mogłem opowiedzieć jej, kogo spotkałem. Właściwie nie wypytywaliśmy się nawzajem o ten czas, gdy byliśmy w całkowitej separacji, lepiej tego nie robić. Ona nigdy mi nie wspomniała o Custardoyu, ja jej też nie wspomniałem, nigdy nie będę wiedział, jak bardzo go kochała albo jak bardzo się go bała. Możliwe, że to jedyne, o czym nigdy nic nie będę mógł jej powiedzieć, nawet gdy już będę przeszłością, a mój koniec będzie powoli nadchodził i pukał uporczywie do drzwi, ponieważ myślę, że znam jej twarz i mam wszystko do stracenia, nawet to, w jaki sposób będzie

mnie wspominała. Może z tego powodu, a może i dlatego, że zazwyczaj jestem wesoły, nucę sobie czasem i podśpiewuję tak samo jak ona i mam ochotę zaintonować albo zagwizdać tamtą piosenkę, co ma tyle tytułów, irlandzką, a może z Dzikiego Zachodu („Nanná naranniaro nannara nanniaro”, tak idzie melodia, zawsze tak samo), „The Bard of Armagh”, która mówi: „A kiedy obejmą mnie zimne ramiona Sierżanta Śmierci”; albo „Doc Holliday”, w której ten najpierw się tłumaczy, mówiąc: „Ale ci ludzie, których zabiłem, nie powinni byli mnie zaczepiać”, a potem rozpacza: „Ale teraz jestem tu sam i zdany na łaskę losu, ze śmiercią w płucach dziś umieram”; albo „The Streets of Laredo”, słowa tej wersji znam najlepiej i dlatego nucę ją czasem na głos albo w myślach, kto wie, może jako przypomnienie, szczególnie ten kawałek, który kończy się prośbą: „*But please not one word of all this shall you mention, when others should ask for my story to hear*”. Czyli w moim języku: „Ale proszę, nie wspomnij o tym ani słowem, gdy inni poproszą, żebyś opowiedziała im moją historię”.

– Nie, nic złego.

## Podziękowania

Wiele osób przyszło mi z pomocą w różnych momentach pisania przeze mnie cyklu powieściowego „Twoja twarz jutro”: zawdzięczam im informacje, obrazy, terminy obcojęzyczne, szczegóły historyczne i geograficzne, informacje medyczne, słownictwo dotyczące korridy, cytaty, rady i podpowiedzi, opiekę nad jedynymi dwiema kopiami oryginału (nadal piszę na maszynie), gdy nie był jeszcze ukończony. Te osoby to: John Ashbery, Antony Beevor, Inés Blanca, Nick Clapton, Margaret Jull Costa, Agustín Díaz Yanes, Paul Ingendaay, Antonio Iriarte, Mercedes López-Ballesteros, Carme López Mercader, Ian Michael, César Pérez Gracia, Arturo Pérez-Reverte, Daniella Pittarello, Eric Southworth, Bruce Taylor oraz doktor José Manuel Vidal. Wszystkim im bardzo dziękuję.

Na osobne podziękowania zasługują mój ojciec, Julián Marías, i sir Peter Russell, który urodził się jako Peter Wheeler. Ta książka nie mogłaby powstać, gdyby nie użyczyli mi swoich biografii. Teraz niech obaj odpoczywają, również na stronach tej powieści.

Javier Marías

## Nota tłumaczkii

W tłumaczeniu pojawiają się fragmenty:

– dramatów Williama Szekspira: „Ryszard II”, „Ryszard III”, „Henryk IV”, „Otello” i „Makbet”, w przekładach Leona Ulricha, Macieja Słomczyńskiego, Romana Brandstaettera, Stanisława Koźmiana i Józefa Paszkowskiego,

– „Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka” i „Little Gidding” T.S. Eliota w przekładzie Władysława Dulęby,

– „Pierwszej Elegii Duineńskiej” Rainera Marii Rilkego w przekładzie Mieczysława Jastruna oraz Adama Pomorskiego,

– wiersza „Ten pokój” Johna Ashbery’ego w przekładzie Andrzeja Sosnowskiego,

– wierszy Federica Garcíi Lorki w przekładzie Zbigniewa Bieńkowskiego i dramatu „Mariana Pineda” w przekładzie i adaptacji Zofii Szleyen,

– wierszy Roberta Louisa Stevensona w przekładzie Andrzeja Sosnowskiego,

– wiersza „Bogowie Grecji” Heinricha Heinego według przekładu Roberta Stillera,

– Eklezjastyka z Biblii Tysiąclecia.

- 
- [1](#) William Szekspir, *Otello*, przeł. Józef Paszkowski.
  - [2](#) Rainer Maria Rilke, *Poezje*, przeł. Mieczysław Jastrun.
  - [3](#) William Szekspir, *Król Henryk V*, przeł. Leon Ulrich.
  - [4](#) Rainer Maria Rilke, *Pierwsza elegia duinejska*, przeł. Mieczysław Jastrun.
  - [5](#) Ian Fleming, *Pozdrowienia z Rosji*, przeł. Ziemowit Andrzejewski.
  - [6](#) Rainer Maria Rilke, *Elegie duńskie, Pierwsza elegia*, przeł. Adam Pomorski.
  - [7](#) John Milton, *Sonet XXIII*, przeł. Konstanty Piotrkowski.